

MAREK S.
HUBERATH

MIASTA POD SKAŁĄ



Marek S. Huberath

Miasta Pod Skalą

Tom pierwszy

Silvestere

1.

Na zwiedzenie Muzeów Watykańskich zawsze braknie czasu, nawet jeśli wędruje się po nich od godziny otwarcia do chwili zamknięcia. Opuszczając zamykany labirynt sal w poczuciu niedosytu, za jego bramą należy nie skręcać w lewo, lecz pójść w prawo, tłocząc się w strumieniu wychodzących turystów. A jeżeli ktoś przypadkiem skręcił w lewo, to powinien zawrócić, nim dojdzie do przystanku autobusu numer 49 – tego przed ostrogą muru watykańskiego wybiegającą ku Via Vittorio Pisani – a już koniecznie zanim w litej linii muru Leona przypadkiem zauważy od dawna nie używane, zapadające się w ziemi drzwiczki o pękniętym nadprożu. Wiedzie do nich ścieżka wytarta w trawniku, a wokół niej walają się papiery i puste plastikowe opakowania. Mowa tu nie o miejscu przy następnym przystanku linii 49, gdzie w murze jest niewielka nisza skrywająca rzeźbę; ani nie o tym na tyłach Watykanu, gdzie odchodzi Via Parusio; ani też nie o tym, gdzie kończy się wyjazd, na którego przedłużeniu odbiega Via Stazione San Pietro; a już zupełnie nie chodzi o jedno z wejść od strony frontowej Watykanu. O żadne z nich. Należy unikać tylko furtki w murze między Muzeami Watykańskimi a Via V Pisani.

Stypendysta uniwersytetu La Sapienza, profesor Humphrey Adams Jr., skręcił w przeciwną stronę niż tłum turystów wylewający się z Muzeów. Chciał uspokoić oczy, przytłoczone całodziennym oglądaniem nadmiaru, chwilami aż mrowiących, barw; odpocząć od tłumy zwiedzających, utrudniającego obcowanie z pięknem plam i brył. Turyści byli jak szum zaciemniający przekaz. Dlatego właśnie Adams poszedł inaczej niż wszyscy.

Zaciekawiła go luka w nieprzerwanej linii grubych murów, ruszył więc ku zaniedbanej, niewielkiej bramie, omijając stertę śmieci. Jej nadproże ozdobiono godłem prawie rozłożonym przez rzymskie spaliny: pszczoły Barberinich?, nie, raczej herb Leona. Klucz tkwił w zamku, choć zardzewiałych drzwiczek od dawna nie używano, a deszcze otoczyły je warstwą burego mułu. Stara, pogryziona rdzą, nigdy nie lakierowana blacha; okucia niestarannej roboty. Gdyby przyjrzał się uważniej, zauważyłby nierówno wykuty napis, biegnący wokół klamki: „silvestere”.

Klucz nie bronił się – ledwie zaprotestował chrobotem, mocniej naciśnięta klamka ustąpiła, a skrzydło wrotek odepchnęło spiętrzoną warstwę osadu. Wewnątrz mała, zupełnie pusta salka, ani śladu plastikowych butelek czy puszek po piwie. Surowy, nie licowany cegłą mur z kamieni polnych. Ani kosarzy rozciągniętych na kamieniach, ani mchu czy porostów na zaprawie, nic, nawet zapachu stęchlizny. Jasno dzięki blaskowi dnia sączącemu się przez niewidoczne otwory pod sufitem. Na posadzce, częściowo skryta pod warstewką mułu, mozaika ułożona z drobnych białych i czarnych kamyków, przedstawiająca niezdarnie odrobioną ludzką czaszkę lub raczej łeb tygrysa czy kozła.

„Schyłek imperium”, ocenił Adams.

Na prawo i lewo, niesymetrycznie względem wejścia, umieszczono dwoje obitych blachą drzwi. Przed wtargnięciem powstrzymywał fakt, że michałaniołowi przebierańcy to przecież sprawni komandosi, rozchwytywani po odbyciu służby przez firmy ochroniarskie. Ci kolorowi faceci, uzbrojeni w ozdobne szpikulce, nie mieliby żadnego kłopotu z unieszkodliwieniem samotnego intruza, który wtargnął przez niezabezpieczone drzwi.

„Przynajmniej warto obejrzyć te furtki”, pomyślał.

Obie ujęto w pozbawione ozdób portale z białego kamienia. Prawą furtkę cudacznie zapieczetowano: w portalu tkwił zardzewiały gwóźdź, do którego papierowym sznurkiem przywiązano plakietkę. Sznurek zbutwiał, ale trwał na posterunku, wystarczająco silnie wsparty girlandą kurzu, by dźwigać kawałek plastiku lub stearyny.

Adams zajął się lewymi drzwiczkami. Trzeba je było mocno nacisnąć, by uległy z jękiem zawiasów i zepchnęły solidną warstwę ilastego, szarego mułu, który i tutaj się zgromadził. Za nimi ciągnął się korytarzyk. Również tu docierało nieco światła, chociaż korytarz obniżał się, a naniesiony przez wodę muł wkrótce sięgał stropu. Tego zbadać się nie da, bo jak po rozkopaniu namułu wytłumaczyć uciążliwym Szwajcarom, że jest się tylko zabłąkanym przechodniem?

Wrócił do salki i zamknął za sobą drzwiczki.

Prawe zapieczetowano, jednak marny sznureczek mógł już w każdej chwili zbutwieć do reszty...

Adams złapał za wiszącą plakietkę i lekko pociągnął: raz, drugi. Sznurek wreszcie się zerwał. Na kawałku nawoskowanej tektury odcisnięto bulwę otoczoną wieńcem listeczków i wyraźnym napisem: „silvestere”.

Schował ją do kieszeni.

2.

Za prawymi drzwiami widniał korytarzyk, czysty, jakby go ktoś przed chwilą zamiótł. Drzwiczki szczelniejsze: nie było mułu naniesionego deszczówką, nie przykrył mozaiki. I tu przez szpary w stropie wnikał blask słonecznego popołudnia, jak się wydawało Adamsowi, po dniu, który spędził nad muzealnymi gablotami. Wszedł bez wahania. Odkrycie zapomnianego wejścia do podziemi Watykanu – jeśli to było odkrycie – znaczyło więcej niż wszystko, co podczas swojego stażu zdołałby wyczytać w bibliotece La Sapienzy na temat zapomnianej nauki mistrza Lulliusa.

Korytarz zmierzał prosto w dół do grodu-państwa. Nie obniżał się w głąb ziemi, wpadającego światła nie ubywało. Wysokiej klasy robota murarska: bloki dopasowane starannie, periodyczne żebrowania stropu. Powtarzalne zwężenia upodabniały korytarz do wnętrza olbrzymiego jelita. Między słupami, na ścianach i na posadzce często znajdował ułożone z czarnych i białych kamyków mozaiki: to trójkąty i współśrodkowe z nimi kwadraty, to wieloboki wyższe.

Przywodziło to na myśl mistrza Lulla, który chciał sprowadzić złożoność świata do przecinających się kresek ornamentu geometrycznego. Newralgiczne miejsca diagramów, wierzchołki figur, uwieńczono niedbale odrobionymi symbolami, ułożonymi zwykle z kolorowych kamyków. Znajdował wśród nich pojedyncze znaki zodiaku, odwrócone dzbanki o dwóch uchach oraz inne symbole. Zdarzały się przedstawienia węża unoszącego pokrywkę kosza i wystawiającego zeń głowę. Może były to próby stosowania nauk mistrza Raymundo, ale Adamsowi, jeszcze czującemu przesyt wrażeń po długim ślęczeniu nad przebogatą kolekcją muzealną, nie chciało się poszukać po kieszeniach skrawka papieru, by skopiować symbole z mozaiki; bardziej intrygujące zdawało się penetrowanie tajemniczego wejścia do Watykanu.

Karygodne lenistwo, gdyż celem pobytu Adamsa na stażu w Rzymie było właśnie wyjaśnienie, czy istniał szalony uczeń Lulliusa, Alonzo Zumarraga, który znikł lub został zabrany ze świata, aby nie przekazać innym wyników swych rozważań, jako że te wyjaśniały zbyt wiele. Legenda za słabo udokumentowana, aby jej badanie i godziny spędzone na szperaniu w zetłających papierzyskach już z daleka nie cuchnęły trupim odorem grobu naukowego, w którym pogrzebał go żywcem dziekan Goodman, kierując na to stypendium.

Trudno przestać być naukowcem, to rodzaj uzależnienia – już po chwili Adams żałował, że nie wziął notatnika, a żal ten rychło zmienił się w poczucie winy. Kolejne mozaiki na ścianach, dziwaczne wizerunki połączone kreskami, wyglądały coraz bardziej intrygująco. Może z nich znaki zodiaku dopiero powstały? Kamery nie wziął. Musi tu wrócić.

Korytarz łagodnie zakręcał. Wreszcie ukazała się kończąca go furтка. Za nią kolistą salka podobnie oświetlona. Barwna mozaika na podłodze wyobrażała cudaczego stwora, ni to kozła czy nosorożca, ni to hipopotama. Otaczał go wieniec małych syren, z których każda trzymała jedną ręką poprzecznikę za ogon. Wieloboki na ścianach szczyliły się obfитоścią krawędzi i wierzchołków, znaczonych odwróconymi dzbanami, łzami kapiącymi z murów, skrzydlatymi sztyletami, dziwnymi czapkami, przechodzącymi w kształt gęsiej szyi i łba, oraz mostami o dwóch przęsłach.

„Goodman byłby zdumiony upowszechnieniem myśli samotnego Katalończyka”.

Ponownie dwoje identycznych drzwi okutych blachą. I znowu robota staranna, choć bez ozdób. Zamknięto je na zasuwki, z tym że zasuwkę lewych dodatkowo zabezpieczono łańcuszkiem, na którym wisiała blaszka.

Adams najpierw otworzył nie zabezpieczone drzwi. Za nimi taki sam korytarz. Równe segmenty, dobra robota kamieniarska, symbole na ścianach, niektóre dziwne i skomplikowane. Przeszedł kilkadziesiąt metrów, jednak łagodnie zakręcający korytarz nie zachęcał do poszukiwań. Niczego nowego, co chciałaby napotkać w tym miejscu pobudzona wyobraźnia, nawet mozaiki z czarnych i białych kamyków. Brakowało tej szczególnej eskalacji tajemniczości, która skłania do dalszej penetracji nieznanego. Adams wrócił do zapieczętowanych drzwi.

Z lewej furtki, zabezpieczonej cienkim pozłacanym łańcuszkiem, na którym dyndała żółta blaszka, zerwał plombę. Na blaszce widniało: „Silvestere”. Kolejna zdobycz powędrowała do kieszeni. Drzwi musiał zdecydowanie szarpnąć. Odskoczyły z jękiem nie naoliwionych zawiasów.

Za nimi korytarz: oświetlony, lekko zakręcający, identyczna murarka. Mozaikowe wieloboki ustąpiły miejsca wyobrażeniom nieznanym zwierząt: a to grubego ni to krokodyla, ni to wieloryba, z krótkimi, masywnymi płetwami i kłębem dziwacznych wici wokół zębatej paszczy, a to lądowego stwora, chimery złożonej z hipopotama, nosorożca i bawołu. Rzadziej zdarzały się podobizny much i komarów czy syren i trytonów. Były też jakby fragmenty murów z rosnącymi w dół zielonymi gałązkami. Często przypominały starannie wykonane symbole z poprzedniego korytarza. Prawdopodobnie były to kopie rzymskich mozaik. A może nawet oryginały, rozrzutnie wmurowane w ścianę piwnicy.

Dalej wzdłuż ścian ustawiono dwa rzędy klasycznych aktów kobiecych. Łatwo rozpoznał ujęcia Wenus lub jej odpowiedniczki, „Kapitolińskie” czy „Eskwilińskie”, i to znane z reklam – z Melos, czy wspaniałe z Knidos. Nie brakło przepięknej „Niezauważonej”, która urzekła Adamsa: podobizny „Ostyjskiej” – nie bezgłowego korpusu, kopii Wenus Kapitolińskiej, niedawno znalezionej w Ostii. „Niezauważona” była nadmiernie odziana, aby zadowolić gremia decydujących, które z przedstawień ma zostać poznane przez społeczeństwo jako wzór kobiecego piękna starożytnych. Jej strzaskana twarz nie mogła przeszkadzać, bo z miłośkiej zostało jeszcze mniej. Na użytek tegoż wyimaginowanego odbiorcy każdy, co bardziej udatny, wykopany wizerunek nagiej kobiety obowiązkowo mianowano imieniem frywolnej bogini piękności. A czemu nie mogła to być jakaś Iris, pasierbica karczmarza...?

Były tu znane wzory klasyczne, jednak nie bezduszne kopie, lecz twórcze wariacje znanego motywu ukazane w wyrazie twarzy czy detalach budowy ciała. Tym bardziej przykre były ich uszkodzenia. Kamiennym kobietom brakowało ramion, to dłoni, to nosów, a niektórym strzaskano twarze. Wydawało się, że każdy z posągów jest mniej kompletny niż pierwowzór. Adams gapił się, zerkał z boku, z tyłu, szedł dalej i wracał, by dokładniej obejrzeć. Bogaty magazyn Muzeów Watykańskich. Złość brała, że te rzeźby nie są eksponowane. Nie żałował, że zerwał złotą plombę.

„Trzeba je opisać, sporządzić ewidencję ukrywanych skarbów...”, kołatało mu w głowie. Dotkliwie odczuwał brak notatnika.

Na końcu galerii rzeźb znajdowały się drzwi, za nimi znów korytarz salka z dwiema furtkami. Na

podłódze owalna mozaika przedstawiająca kozła w wianuszkach much.

Tym razem to prawe drzwi zabezpieczono, oplatając drutem klamkę i gwóźdź we framudze. Tak zardzewiałego drutu Adams jeszcze nie widział: ledwie łańcuszek rdzawych łachów drżących na wietrze. Dmuchać, a pofrunie rudymi śnieżynkami. Znów napis „Silvestere”. Tym razem wysmarowany węglem wprost na drzwiach.

„Dlaczego ograniczać się do zaplombowanych korytarzy?”, pomyślał. Zajrzał więc za lewe drzwi. Pusty korytarz, myląco podobny do poprzednich. Żebrowane jelito. Na przemian jasny i ciemny kamień. Sto kilkadziesiąt metrów łagodnego łuku. Na końcu bliźniacza salka i dwoje nie oznakowanych drzwi. Za nimi ginące gdzieś w oddali kolejne puste korytarze. Te same wzory, powtarzalność murarki i zawsze lekka krzywizna skrywająca drzwi na końcu.

„Dalej pewnie salka i drzwi. Pusto tu i nudno”. Zawrócił.

Staął przed drzwiami podpisanymi „Silvestere”.

3.

„Bez notatek przypadnę”. Przeszukał kieszenie, znajdując oprócz dokumentów i tygodniowego biletu komunikacji miejskiej jedynie rachunek z restauracji „Buca dell’Inferno” w Cortina d’Ampezzo. Na odwrocie nakreślił planik: salka wejściowa, zasypany korytarzyk, ten zaplombowany, następna salka z dwoma korytarzami, z których każdy zakończony salką z dwójgim drzwiczek. Przed prawymi właśnie stał. By zmniejszyć groźbę zabłądzenia, drzwi pozostawiał otwarte. Przeciągu nie było. Zanotował klucz, według którego szedł: prawe-lewe-prawe. Korytarze nie tworzyły zamkniętych ok sieci. Dotąd nie napotkał otwartej furtki. Czy oznaczać przebyte salki? Zostawiać w nich guziki? Przecież po śladach go znajdują. Cóż, muszą wystarczyć notatki.

Szarpnięciem klamki zerwał przerdzewiały drut. Następnie owinął go wokół niej. To będzie znak, że już tu był. Nawet jeśli przeciąg zatrzaśnie drzwi. Kolejny zakrzywiony korytarz. Za zakrętem, na okrągłym postumencie, skorpion z trawertynu, brunatno-czerwonego w szare wzorki. Infantylnie odrobiony. Nieznany mistrz brewkami podkreślił oczy stwora i dodał uśmiechnięty pyszczek, przypominający mordkę z zębami; tylko kształt pajęczaka uchwycił poprawnie. Podobna rzymska rzeźba stoi w bestiarium Muzeum Watykańskiego.

Dalej rzeźby much. Te precyzyjne jak plastikowe modele z muzeów przyrodniczych.

„Ależ ktoś to odrobił... Bez wątpienia wyroby antyczne. Dlaczego skrywają takie rzeczy...? W bestiarium prezentują mniej ciekawe. Toż to rewelacja! Sam Arystoteles czy Pliniusze nie znali muchy tak dokładnie”.

Muchy na rozkładającym się krecie, muchy na padłym nietoperzu. Wspaniałe rzeźby... Adams snuł się wśród nich jak zaczarowany. Ale skorpioną pożeranego przez ichneumona wyrzeźbiono z błędami: za chudy, za długi, i znowu ni to kocia mordka, ni to ludzka twarz.

Dalej stały jeszcze dziwniejsze rzeźby: zmontowane z części, ze szczelinami złączeń, rozepchanymi dłutem czasu. Skrzydła much, nogi i czułki wykonano z brązu lub szarego metalu. Jedne wpasowano szczelnie między fragmenty kamienne, inne obluzowane podparto wspornikami. Adams łagodnie wodził palcami po powierzchniach rzeźb. Wyczuwał ledwie zaznaczoną fakturę skrzydełek, ostre zadziorki włosków na muszych nóżkach.

Kiedys napisał obszerną rozprawę o zaginionych rzeźbach antyku. Sugerował w niej stosowanie właśnie takiej technologii. Wydawało mu się, że zebrał dość przesłanek, by przekonująco uzasadnić możliwość istnienia wtedy zaawansowanej technologii rzeźbiarskiej. Rzeźb łączonych z kamienia, metalu i drewna, jak chryzelefantyna. Rzeźb ruchomych, sterowanych wymyślnymi mechanizmami, powstałych przed Arabami, przed najwcześniejszymi mechanikami średniowiecza, jak Gerbert z Aurillac. Ukuł nawet dla tych hipotetycznych konstrukcji termin *mechanitony*. Goodman oddał mu manuskrypt z uśmieszkiem. „Za wiele tu domysłów. Uzasadnienie marne. Piękna fantazja”. Miał rację: pracę odrzucono, nie ukazała się drukiem. Teraz Adams miał przed sobą antyczne *mechanitony*. Piękniejsze, doskonalsze, niż sobie wyobrażał.

„Gdyby to recenzenci widzieli”, pomyślał z goryczą.

Oprócz much i skorpionów trafiały się wije, jętki i złotooki, te niepodobne jednak do oryginałów.

Podszedł do olbrzymiej rzeźby skorpiona z ceglatego trawertynu w czarne cętki. Każdy segment z oddzielnego kawałka, foremny i wypolerowany. Nogi, czułki oraz krawędzie kleszczy z brązu przyciemnionego przez czas. Jak wyglądałaby ta imponująca rzeźba, gdyby brązy wyblyszczono...? Przybliżył się, badając palcami, jak odrobiono delikatne narządy gębowe stwora.

„Oczywiście, infantylnie”, skrzywił się ironicznie. Widać mistrz znał jedynie muchy i tylko je nauczył się odrabiać bezbłędnie.

– Jjaangg...! Toooh...! – Z suchym chrzęstem potężne szczypce skorpiona rozwarły się i zamknęły na Adamsie.

– Khsztiiich...! – Od tyłu jak pocisk wystrzelił giętki odwłok, zakończony brązowym kolcem, trafiając Adama w dłoń, którą ten osłonił twarz. Ze zranienia pociekła krew. Adams próbował wyrwać się z mocnego chwytu.

Po nieoczekiwanym ataku rzeźba znieruchomiała. Mechanizm rozładował się.

Krawędzie skorpionich kleszczy nie były zaostrome, ale i tak boleśnie gniotły w bok. Adams ssał zranioną dłoń, by powstrzymać krwawienie. Spluwał różowawą śliną. Kolec trafił ukosem, nie wnikając głęboko. Na szczęście powierzchowne zranienia krwawią obficie, lecz krótko. Krew przestała już cieknąć. Jak wydostać się z kamiennego chwytu? Gdyby miał zdrowe dłonie, mógłby odgiąć cęgi. Ale uszkodzenie mechanizmu wprawiającego rzeźbę w ruch dodatkowo pogorszyłoby sytuację intruza w watykańskich podziemiach.

Spróbował podciągnąć się na wygiętym do przodu odwłoku skorpiona. Miał nadzieję, że w ten sposób nie napina mechanizmu podstępnej rzeźby. Powoli, kocim ruchem przeciskał biodra przez szczelinę kleszczy. Metal darł bluzę i ocierał skórę. Wreszcie, wytarmoszony przez posąg, Adams usiadł na skorpionich kleszczach. Ryzykownie, ale nie było innego wyjścia.

„Goodman jest zbyt spasiony, żeby zrobić coś takiego...”, stwierdził. „Utkwiłby tu na zawsze, wzbogacając kompozycję artystyczną pod tytułem *Drapieżnik i tłusta ofiara*”.

Zeskoczył na ziemię. Zaciśnięte szczęki i wysunięty do przodu odwłok rzeźby wyglądały smętnie.

„Ciekawe, kto i po co napiął to cholerstwo...” Obejrzał zranioną dłoń. „To chyba nie było zatrute gównem...?”

Nie puchła, nie bolała bardzo. Kiedy wydostawał się spomiędzy kleszczy, krew znowu zaczęła się sączyć, ale possał ranę, i przestała.

4.

I ten korytarz skończył się żelazną furtką. Za nią znajdowała się kolistą salka z dwójgim następnych drzwi. Nużąca wręcz konsekwencja. Na lewych drzwiach plomba na łańcuszku z białego metalu. Bez wątplenia oznaczenie z magazynów Muzeów Watykańskich. Obejrzał ją: błyszcząca, nowiutka; napis „Silvestere” wytłoczono zgrabnymi literkami. Jej zerwania nie wytłumaczyłby nawet najtępszemu urzędnikowi.

Zajrzał więc za prawe: znowu łagodnie zakręcający korytarz, na ścianach ułożone z mozaiki schematyczne podobizny owadów i pajaków, a pod stopami czarno-białe wyobrażenia lądowego potwora lub jego morskiego towarzysza. Minał postument z muchą odrobioną w zielonkawym marmurze. Gdzież jej do poprzednich podobizn. Pyszczek i trąbka upodobnione do paszczy kręgowca. Starożytnym brakowało lupy, a wszystkie dzieła tajemniczego Mistrza o Oстрыm Wzroku zgromadzono w poprzednim korytarzu. Dalej niewielkie rzeźby much, skorpionów, wreszcie parę komarów wykonanych głównie z giętego drutu. Nie dostrzegł ani jednej podobizny pszczoły, zresztą ani tutaj, ani wcześniej. Były tu niedbale wykonane przedstawienia, marnie odtwarzające oryginały. Brakowało im owego przyłożenia dłuta, które zmienia wyrób rzemieślnika w dzieło sztuki. Korytarz kończyły drzwiczki, za którymi znajdowała się salka i dwa nie zaplombowane wejścia do kolejnych korytarzy, pełnych jeszcze słabszych replik owadów czy pajęczaków oraz czarno-białych uproszczonych mozaik.

Podobieństwo salek i korytarzy męczyło. Jawiły się one plątaniną bez końca. Bolały dłoń i bok. Adams obawiał się, że mocne uderzenie kleszczy złamało mu zębra. Szczególnie ostatnie zebro było bolesne i wydawało się za krótkie. „Złamane pod kątem prostym do wnętrza, tkwiłoby głęboko w wątrobie. Nie, to nieprawdopodobne...” Przewornie dorysował oba spenetrowane korytarze na rachunku z „Buca dell’Inferno” i zawrócił. Najcenniejsze okazy magazynów przechowywano w zaplombowanych korytarzach. Barwne mozaiki też tylko tam wmurowano. Adams chciwie spojrział na zapieczętowane drzwi.

Plomba łatwo nie ustąpiła, łańcuszek trzeba było ukrećić. Rzeczywiście, tu ustawiono rzeźby najwyższej klasy. Jako pierwsza stała kompletna rekonstrukcja Afrodyty z Melos. Uaktywniona do działania, pięknym, płynnym ruchem dłoni wykonanej z kamieni spajanych metalowymi przegubami ujęła węzeł szaty i opuściła ją na ziemię, stając naga przed zdumionym Adamsem. Wykonana z blachy szata, podzielona na dwie sztywne części, opadła ze zgrzytem w zagłębienie postumentu. Niewątpliwie zsunęła się po niewidocznej od przodu prowadnicy, bo marmur ciała bogini pozostał nietknięty. Następnie rzeźba nieco uniosła głowę i zastygła, kierując wzrok nie na niego, lecz tuż obok. Obszedł ją starannie i obejrzał od tyłu. Mechanizm sterujący boginią raczej nie był zdolny do innych ruchów. Z rękami i całkiem naga była zachwycająca.

Adams już nie był przekonany, czy podobizna „Ostyjska” jest najpiękniejsza.

– Miałem rację! Jednak się zachowały...!

Na sąsiednim postumencie stał okazały owad, przypominający latającego skorpiona z podwiniętym końcem odwłoka, brakowało tylko chwytnych kleszczy. Duże, błoniaste skrzydła z cienkiej, filigranowo kutej blachy. Wojsiłka.

– Lepiej się do tego nie zbliżać... Wystarczą obrażenia po skorpionie – mruknął.

Albo Adams nastąpił na mechanizm wyzwalający, albo drzenie powietrza wywołane jego głosem spowodowało, że wojsiłka ożyła. Zaczęła rytmicznie uderzać skrzydłami i poruszać głową w górę i w dół.

„Starożytni byli lepsi, niż wynika z tego, co po nich zostało. Czas jest okrutny dla mechaniki”.

Zauważył, że opuszczona ręka krwawi. Gromadzi się w niej krew i wystarczy gwałtowniejszy ruch, a ta pokonuje tamę cienkiego strupka. Jego kroki znaczyły ciemne krople.

Mógłby przysiąc, że obnażona bogini z Melos obraca się za nim, gdyż rzeźba jakby stale za nim spoglądała. Co chwilę słyszał za sobą tajemniczy chrobot, choć zerkając kątem oka, ani razu nie zauważył jej ruchu.

Następny postument z wypolerowanego trawertynu gościł jedynie nieco blaszanych listków i drucianej trawy.

„Zaiste mogłaby tu siedzieć jakaś zmęczona Nike...”, pomyślał, „albo jakaś inna starożytna Kaśka”.

Co chwilę coś szeleściło albo chrobotowało – obecność Adamsa zaktywowała do działania wiele mechanizmów. Kiedy domniemywał istnienia *mechanitonów*, nie wyobrażał sobie, że osiągnęły tak wysoki poziom. Niewiele wzmianek sugerowało w ogóle ich istnienie. Wiele poetyckich sformułowań trzeba będzie odczytać na nowo.

– Łśśśt...! – Plasst! – Strzała wypuszczona przez Amora z przeciwnej strony korytarza trafiła w posadzkę obok nogi Adamsa. Odskoczył, ale równocześnie coś boleśnie złapało go za piętę. Szarpnął się, lecz stopy uwolnić nie zdołał. Runął na posadzkę. Szamotał się z długim, wijącym się węzem. Blaszana łuska zraniła go w drugą nogę, nieco nad kostką. Mechaniczny gad był zbyt smukły i mocnym chwytem obu ramion dał się zgiąć w kabłąk. Trzeszczała konstrukcja, nie przewidziana do takich odkształceń. Szczęki zaciśnięte na adidasie nie próbowały poprawić chwytu. Blaszane oczy gada śledziły ruchy Adamsa.

Noga piekła nieznośnie. Adams demolował klejnot sztuki mechanicznej starożytnych. Przetrażony grzbiet pozbawił węża koordynacji ruchów. Można było wywijać zdobytym końcem ogona na wszystkie strony, póki nie oderwie się zupełnie. Zgrzytały wyłamywane cięgna i prostowody. Sięgnął po strzałę i wetknął między szczęki węża, by je podważyć, ale złamała się. Druga strzała Amora zawadziła o rękaw. Adams nie zauważył, że Amor celował w niego. Sięgnął po strzałę i podważył nią szczęki węża, który teraz wykonywał nieskładne skręty. Otarcie na dłoni pękło, strzała złamała się, ale uścisk zelżał.

Trzecia przeszła bokiem, lecz czwarta trafiła Adamsa w plecy. Nie zraniła go przez kurtkę. Poczł tylko tępe uderzenie. Ból bólem, ale narzędzie bardzo się przyda. Tłukł zapamiętałe trzymaną na sztorc strzałą. Grot miażdżył delikatny mechanizm poruszający szczęką węża. Wreszcie żuchwa odpadła, uwalniając jego piętę. Skarpeta zdążyła już przemoknąć krwią. Adams wyrwał z buta oba

zęby węża. Były czerwone na końcach. Lepiej nie wiedzieć, jak głęboko weszły w piętę ani czym były wcześniej zabrudzone. Odrzucił pokonany mechanizm, którego ruchy przypominał; teraz drgawki agonalne. Otarcie na dłoni piekło nieznośnie. Skóra pękła i sączyła się krew.

Amor posłał w jego kierunku jeszcze trzy strzały, zanim zabrakło ich w kołczanie. „Iść dalej, czy zawrócić?” W krótkim czasie został dotkliwie pokaleczony, choć rany okazały się dziwnie mało bolesne. Ten korytarz był dłuższy niż dotychczasowe. A jeśli ciągnie się kilometrami...?

Warto się uzbroić. Posąg centuriona miał zgrabny gladius przy pasie. Adams sięgnął po broń, ale *mechaniton* był szybszy: płynnym ruchem oparł dłoń na głowni. Metalowe oczy posągu podążały za intruzem. Animacja była znakomita.

Naprzeciwko stała naga Wenus Kapitołińska, nieco schylona. Na widok Adamsa rozprostowała ramiona i z metalicznym chrzęstem odgarnęła drucziane włosy z karku, odsłaniając przepiękną, długą szyję. Statua spojrzała na niego z niezwykłą słodyczą. Kto rzeźbił podobizny Wenus o rozpuszczonych włosach i tak podłużnych, choć pięknych piersiach?

Dalej kilka olbrzymich owadów, potem wspaniałe przedstawienie much chodzących po trawertynowym mięsie. Nawet wykonane z białego marmuru czerwie rytmicznie pojawiały się i skrywały w korytarzach wyjedzonych w ceglasmym kamieniu.

Zatrzymał się przed niemal nagą boginią „Knidyjską”. I jej przedstawienia nie brakło w kolekcji ruchomych rzeźb. Białe uda i łydki, rozdzielone metalowymi kolanami (acz z białą rzepką), i ramiona z podobnie zaznaczonymi łokciami wyglądały niesamowicie, ale piękno tej Afrodyty zostało zachowane. Kamienna pani uniosła prawą dłoń, a szata osunęła się, odsłaniając jej drugie udo. Lekko skinęła, gdzieś chyba na swą siostrę z Melos. Rzeczywiście, Adams dostrzegł gest tamtej. Następnie rzeźba spojrzała na Adamsa i uśmiechnęła się. Miała nie tylko ruchomą żuchwę, ale i powieki. Uśmiech wyglądał niemal naturalnie. Miękkim ruchem przestąpiła z nogi na nogę.

„To muszą być rzymskie kopie, rzymskie mechanizmy”, myślał gorączkowo. „Może hellenika... Klasyczni Grecy nie byli aż tak dobrymi mechanikami”. Dlaczego takie skarby skrywa się przed światem...? To zmieni spojrzenie na antycznych artystów. Już widział się w roli odkrywcy. Trzeba iść.

Utykał, jedna jego dłoń krwawiła, druga piekła nieznośnie, ale skarbnica Muzeów nieodparcie przyciągała.

Kilka następnych rzeźb much. Znowu najwyższej klasy. Ręka tego samego mistrza. Repliki bliskie ideału. Dlaczego tyle ich rzeźbili...? Dalej wij walczący z chrząszczem biegaczem. Wij gwałtownie podrywał ciało w konwulsywnym geście. Chrząszcz wpijał się w jego bok. Scena powtarzała się rytmicznie.

„Póki sprężyna się nie rozwinie”, pomyślał. „Sugestywna animacja, ale dość prosta. Trzeba będzie potem to wszystko ponapinać, żeby porządkowi nie zauważyli”.

Dalej następna podobizna Pięknej Pani z Cypru, „Ostyjska”. Jak i poprzednie, była przyjemnie

kompletna. Ale twarz nie miała rysów klasycznych – zbyt duże oczy. Sylwetka też różniła się od znanego pierwowzoru: piersi większe, ramiona mniej umięśnione, talia mocniej zarysowana. Identyczna była poza i szata, ale rzeźba przedstawiała inną piękność.

– Ciekawe, co ty dla mnie zrobisz, Pani? – powiedział. Rzeźbę mogło uruchomić nawet drżenie powietrza.

Kamienna kobieta bezradnie wzruszyła ramionami. Właściwie taki szmer mogła wydać poruszająca się żywa istota. Adams uśmiechnął się zachwycony.

– Nie rozbiorę się przed tobą. Przynajmniej nie teraz – powiedziała kamienna Wenus z Ostii.

Chwilę milczał kompletnie zaskoczony: to było zbyt wiele na *mechaniton* czy nawet na mechanizm doskonały. Głos brzmiał wyraźnie, ciepło. A przecież nie było wątpliwości, że mówi automat. Z pewnością zrobiono to celowo, bo skoro posąg potrafił poruszać się aż tak sprawnie, nieznany geniusz niewątpliwie zdołałby lepiej zasymulować i głos.

– I tak jesteś dość rozebrana.

– Och... – Znów sugestywnie wzruszyła ramionami. – Inaczej nie mogło być. Taka epoka.

Uśmiechała się do niego oczyma. Można to odrobić z blad różowego marmuru oprawnego w biały metal.

– A co masz dla mnie, Pani?

Podniosła płytę, na której dotąd się wspierała. Pokazała mu znaki wyryte na płycie.

– To.

Przyjrzał się uważnie symbolom. Coś się nie zgadzało. To nie był zwykły schemat z linii i punktów.

– To nie jest dzieło Raymonda Lulliusa, lecz szalonego Alonza Zumarragi – powiedział, choć pierwszy raz w życiu widział taki diagram.

– Skoro tak uważasz. – Znowu to niezrównane wzruszenie ramion.

– Co mi jeszcze powiesz, Pani? Potrzebuję wskazówek.

– Niewiele więcej. Moja sprężyna zdążyła się prawie rozwinąć. Ale sąsiadka jest bardziej rozmowna, choć mniej ruchliwa. – Dłonią wskazała następną rzeźbę.

– Pani...

Afrodyta z Ostii znieruchomiała.

Obok niej stała bestia o lwich nogach, orlich skrzydłach, łuskowatym ogonie, ogromnych, półkulistych piersiach i kobiecej twarzy wykrzywionej krzykiem. Sfinks.

Stanął przed nią. Trudno było wytrzymać spojrzenie pustych metalowych oczu, grymas otwartych ust, napięcie mięśni twarzy. Nadąsana sąsiadka bogini.

Adams wykonał kilka min, gestów. Nic. Mechanizm nie działał. Głośno klasnął dłońmi. Znów nic. Sfinks milczała. Wyglądała groźnie w gabinecie ruchomych rzeźb. Jeśli byle gadzina mogła dotkliwie poranić, to co potrafiła trzymetrowa chimera lwa, smoka, orła i gniewnej kobiety...?

Panowała zupełna cisza. Wcześniej ożywione mechanizmy zamarły. Oczy Pani z Ostii niby spoglądały na Adamsa, ale trafiały obok, piękność znieruchomiała na dobre.

Inne *mechanitony* same zaczynały reagować, ona nie. Jak wprawić Sfinks w ruch...? Nabrzmiała twarz, widoczne linie podziału między kawałkami kamienia. Nieco niezbędnego metalu.

Podszedł i lekko ujął dłońią sterczący koniuszek sutki – mosiądz był tu wyblyszczony. Lewą ujął drugi i spróbował oba lekko przekręcić. Zachrobotą zębátka. Sfinks ożyła. Poruszyły się oczy z kamienia i metalu.

– Jakież zadasz mi pytania?

– Ja nie zadaję pytań. Ja odpowiadam, Adams – powiedziała kamienna chimera. Nagle uderzyła lwią łapą przed siebie.

Adams odskoczył.

– No, co!?

– Bo widzisz we mnie potwora o zwierzęcym ciele i gigantycznych, chociaż foremnych kobiecych piersiach – odparła zagniewana.

– Dla ciebie ja jestem potworem.

– Ale ja jestem jedna, a ludzi wielu. Bezradnie machnął ręką.

– Nie potrafię skonstruować drugiego Sfinksa. Może chociaż ty rozwiąż moje problemy.

– Pytaj.

– Jak powinienem tutaj działać?

– Powinieneś zrozumieć układ korytarzy.

– Pomoże mi to...?

– Nie wiem. Powiedziałam, bo tak mi się nasunęło. Zupełnie intuicyjnie.

– Mam już poranione dłonie, stopy i bok. Przynajmniej rana w boku przestała boleć.

– Twoja rana w boku jest poważniejsza, niż sądzisz. Adams zadarł kurtkę i koszulę.

– Przecież nie leje się z niej krew – odpowiedział.

– Nie leje się z niej krew ani woda, ale teraz składasz się z dwóch niezależnych części.

– Ale jak...?!

– Zwyczajnie. Krwotok jest, jeśli rozerwano większe naczynia krwionośne, a to nie w twoim przypadku. Cięcie skorpiona przepołowiło cię. Gdy chodzisz, dolna połowa wyprzedza, a górna za nią nadaża albo odwrotnie. Krew na razie trafia do swych koryt.

– Twoje odpowiedzi są trudniejsze niż twoje pytania. Wzruszyła ramionami, aż zachrobotowały kamienne skrzydła.

– Chcesz odpowiedzi prawdziwych czy miłych dla uszu?

– Ale moja górna połowa steruje dolną. Wiesz, mózg i takie tam sprawy... Powinienem je scalić?

– Nie wiem, czy zdołasz stworzyć spójną całość. Od zanieczyszczenia rozwinię się zakażenie, obojętnie, czy jest otwarta rana, czy jej nie ma.

Nagle w dalszej części korytarza zapanowało ożywienie. Z postumentów zrywały się muchy, jedna, druga, następne, coraz ich więcej. Korytarz muzeum wypełniło nie bzyczenie, ale brzęk i łomot blachy. Metalowe rzeźby wielkości kury nadlatywały lotem koszącym, wyciągając ostre łapy. Parę razy ostry pazur trafił Adamsa w czoło. Osłaniając kułakiem oczy, zaczął się wycofywać. Na dodatek z głębi korytarza ruszył okazały skorpion, a za nim, z potężnym łomotem, uzbrojony w trójzab, kroczył trzymetrowy osiłek. Adams pobiegł, bo i skorpion sunął szybkim truchtem. Już przy wyjściu potknął się i byłby upadł, jednak Pani z Melos wyciągnęła ku niemu pomocną, choć zimną, marmurowo-metalową dłoń.

Zamknął za sobą furtkę i wsparł się na niej. Wystarczy się tutaj schować. Napęd sprężynowy ma krótki zasięg, więc jest bez znaczenia, czy posągi zdołają sforsować tę zaporę, nawet jeśli zdołają wyważyć blaszane drzwi.

Za drzwiami hurgot kamieni i łomot blachy stopniowo cichły.

5.

Nie dotarł do końca korytarza *mechanitonów*, więc nie wiedział, czy wszystkie zabawki z muzealnej kolekcji ujawniły swoje irytujące możliwości. Zapuszczać się tam na razie nie zamierzał. Bardziej niepokoiła niebolesna rana. Czuł, że gdyby naj słynniejsza z Afrodyt nie podała mu dłoni, zwyczajnie rozpadłby się na kawałki: górna połowa zleciałaby z dolnej. Poczuł, jak jego połowy przesuwały się względem siebie, gdy potknął się i próbował odzyskać równowagę. Jak to wyleczyć? Wyjść z korytarzy! Czy lekarze poradzą sobie z raną, która nie krwawi, choć się nie zrasta, która kompletnie rozdziela strukturę, a przy tym nie powstrzymuje funkcji organizmu...? Cholerny skorpion! Tyle kłopotów przez jedno cięcie!

Może lepiej posłuchać Sfinks i badać nie oznakowane korytarze...? Utykając, poszedł prawym, minął znajomą muchę z zielonego marmuru, doszedł do końca, a dalej w prawe drzwi. Miał nadzieję, że stale je wybierając, zatoczy kółko i trafi do salki z otwartym dwojgiem drzwi. Każdy korytarz to kolejne sto metrów. Adams był zmęczony, jakby łaził już godzinami, jednak głodu nie czuł, a sączące się spod stropu łagodne światło nie słabło.

Na końcu korytarza drzwi, a za nimi nowa salka z parą nie zaplombowanych wejść. Za prawymi znowu korytarz, rząd niezdatnych podobizn much. Niektórym wyrzeźbiono przesadnie wielkie oczy – może miały udawać gzy. Dalej większa mucha ze skorpionim odwłokiem – nieudaczna podobizna wojsiłki.

Przyspieszył kroku. Niedaleko przecież do końca. Watykan można obejść w godzinę, a tu stumetrowe korytarze, jeden za drugim, ciągną się w nieskończoność. I to irytujące zakrzywienie, by nie można było dojrzeć końca, stojąc na początku.

Znów drzwi, znów salka – na końcu kreski, nakreślonej na rachunku z „Buca dell’Inferno”, przybędzie kółko. Rysunek labiryntu rozrasta się w dziwną pajęczynę. Na żadnych drzwiach nie ma plomby. Za lewymi korytarz – więc nowa kreska na wykresie. Na półkach rzędy kamiennych much i kilka innych rzeźb: modliszka, pędrak, dalej jakaś inna larwa. Za prawymi identyczny korytarz – periodycznie jasne i ciemne sekcje, równe łuki, lekka krzywizna, jakby człowiek krążył wewnątrz ogromnej wieży. Chociaż to mylne wrażenie, bo kolejne odcinki zakręcają bez jasnej reguły. Może tu więcej rzeźb pajęczaków, jeśli to pająka miały przedstawiać dwie wypukłe bulwy, z których jedna miała uśmiechniętą twarzączkę, i po cztery bruzdy pociągnięte od niej na boki. Ten sam wzór kopiowany wielokrotnie, a im dalej od znaczonych korytarzy, tym kopie mniejsze i gorszej jakości.

Na końcu korytarza drzwi, dalej salka z dwoma następnymi, nie zabezpieczonymi. Za prawymi na cokole uproszczona modliszka. Adams usiadł i oparł plecy o cokół. Zsuł buty. Prawa skarpeta przesiąkła krwią. Poruszył palcami. Z pięty skapnęła samotna kropla. Uzupełnił schemat nową salką i nowym korytarzem. Podziemia watykańskie jawiły się jako nieskończona sieć, w której z każdej salki wychodziły dokładnie trzy korytarze, łączące ją z trzema innymi salkami.

Od dłuższego czasu słyszał za sobą czyjeś kroki, ale jakoś nie wydawało się mu to ważne. Dogoniły go dwa posągi. Dwie dziewczyny naturalnej wielkości. Zupełnie nagie, pewnie po to, by ruch blaszanego odzienia zbytnio nie komplikował poruszeń *mechanitonu*.

Spojrzał niepewnie.

– Chodzisz z trudnością. Możesz się rozpaść – powiedziała wyższa, wykonana z ciemnobrązowej blachy, o kędzierzawych, miedzianych lokach.

– Kimże wy jesteście?

– Dwie Bezimienne Dziewice – powiedziała ta o półkulistych piersiach, uczesana w drobne loczki, ta z złotego błyszczącego metalu.

Jej uwaga ubawiła Adamsa. Westchnął i zebrał się z nimi, a one poprowadziły go pod ramiona.

Otoczyło ich kilkanaście dziwacznych trójnogów, zakończonych mosiężnymi kółkami. Kroczyły, by mniej hałasować metalowymi kółkami po posadzce.

Adams spojrzał na Kędzierzawą.

– Masz w nich dodatkowe wsparcie. Owady też odgonią – wyjaśniła.

Z rękawa kapały krople krwi, znacząc przebywany szlak. But nasiąkł krwią jak gąbka, pozostawiając widoczne ślady na posadzce. Właściwie krwawiły wszystkie rany, a tylko ta na lewej stopie i ta na lewej dłoni słabiej.

Obok metalowe i kamienne skorpiony i muchy niespiesznie uciekały, by uniknąć zdeptania. Metalowe węże wysuwały się z kamiennych koszyków i do nich wracały.

Krwi ubywało. To jasne – korytarze to jego życie, a każda salka z parą drzwi to decyzja. Kiedy krew wyleje się do końca, linia jego życia zostanie wykreślona w całości. Ale jeśli tak rysuje się życie, to sieć korytarzy nie może nigdzie tworzyć zamkniętej pętli, bo nigdy nie da się wrócić w krainę minionej młodości. Co można złapać w sieć, która nie ma ani jednego oczka...? Mnie. – Cicho zachichotał.

Obie jego towarzyszki spojrzały zdziwione, a i trójnogi zamarły w bezruchu, ciekawe jego śmiechu.

– Nie... nie... chodźmy dalej. – Machnął ręką.

Badał ową sieć. Wracał korytarzami nawet o pięć sal, żeby w szóstej zajrzeć za nie sprawdzone drzwiczki.

„Jasno widać, że niektóre decyzje nie są nieodwołalne...” Rewers rachunku z „Buca dell’Inferno” przypominał pajęczynę, ale bez jednego zamkniętego oczka.

„Dobrze, to logiczne – utwierdził się w swoich domysłach. – Przecież nie można żyć cudzego życia”.

Czas działania *mechanitonów* jest mocno ograniczony, nawet tych najdoskonalszych. Po kolei potracił swoich towarzyszy. Najpierw, jeden po drugim, trójnogi zamarły w bezruchu. Wreszcie ta z loczkami, a chwilę później Kędzierzawa znieruchomiały w pół kroku.

W jednym z korytarzy znalazł okazałą szarańczę. Zastanawiał się, co ta żywa rzeźba robi. Musiała przyjść za nim, gdyż *mechanitony* umieszczono tylko w zaplombowanych korytarzach. W innych stały rzeźby odrobione z jednego kawałka, które najwyżej sunęły po przewodnicach. Szarańcza obojętnie odgryzła pół długopisu, odwróciła się odwłokiem do Adamsa i wolno polazła swoją drogą. Na szczęście, równie łatwo było wrysowywać nowe korytarze i salki palcem wskazującym. Linia wychodziła cienka i równomierna jak z długopisu, chociaż palec był gorzej zaostrzony.

Nie można korytarzy uzupełniać z pamięci, choć trudno za każdym razem wracać i sprawdzać, gdzie prowadzi alternatywny wariant. Wzruszył ramionami – niech krew kapie. Będzie szedł przed siebie. Korytarz za korytarzem, sala za salą, wśród niezdarnie gramolących się wielgachnych owadów i pajęczaków.

„Tak duże owady nie mogą być żwawe”.

6.

Nagle wszystko się zakołysało. Korytarz skoczył gdzieś na bok; ciszę przerwał potężny głos dochodzący spoza świata.

– *Monsieur le professeur! Monsieur, monsieur...!*

Adams uniósł powieki: lekko szarpała go za ramię dziewczyna, którą widział rano, w ulewie, w kolejce po bilet do Muzeów Watykańskich. Zapamiętał ją sprzed kasy. Była tam najpiękniejsza. Adams mókł w deszczu, aż z litości wzięła go pod parasol stara Japonka. Tamta stała nieco za nimi, ubrana w lekką kurteczkę przeciwdeszczową, zielono-amarantową. Teraz też była w tej kurteczce. Złocista blondynka o oczach modrych jak niebo nad Alpami, chociaż lekko podkrążonych – a może to skóra wokół jej oczu była nadmiernie delikatna.

– Adams. Humphrey Adams jr., ale mów mi Adams.

– Mam na imię Liliane – okropnie akcentowała ostatnie sylaby.

– Miałem koszmarne sny: podziemia, żywe posągi, dziwne rany. Oderwał zachwycony wzrok od jej twarzy i wróciło poczucie rzeczywistości: nadal siedział na posadzce wsparty o cokół posągu. Obok walał się rachunek z „Buca dell’Inferno”, zarysowany siatką korytarzy, a przed Adamsem zżute adidasy. Obmacał bok: rany nie było, nie był przecięty na pół. Dłonie czyste, skóra ciąгла i gładka; stopy też całe, choć prawy but zabrudzony brunatną mazią, przypominającą rozmoczony pył ceglany. Lewy też, ale mniej. Zmęczone stopy bolały. Przynajmniej część przeżyć zawdzięczał sennym widziadłom.

– Przepraszam – mruknął i naciągnął buty, skrywając założone rano skarpety. Miał nadzieję, że Liliane nie pochyliła się zbyt nad jego stopami.

Uśmiechnęła się.

– Chyba nie spałeś długo, bo jeszcze siedziałeś. Tylko kartka i długopis wypadły ci z rąk – podała mu dwie części długopisu. – Przysiadłeś na nim, czy co...?

„Nie mam stalowego zadka”, pomyślał, gramoląc się z ziemi.

Siedział oparty o cokół posągu skorpiona, który go przepołowił. Kleszcze *mechanitonu* były zakrwawione i zaciśnięte, a odwłok mocno wychylony do przodu.

– Wydaje mi się, że to on złapał mnie w swoje szczypce. Jest na nich moja krew.

Przyjrzała się uważniej.

– To naturalna barwa kamienia. Rzeźba przedstawiająca ciebie w szponach tego potwora wyglądałaby znakomicie. Miałaby tytuł: „Drapieżnik i jego ofiara”.

Skądś pamiętał tę nazwę. Przyjrzał się: to, co brał za krew na kleszczach, było przebarwieniem

trawertynu trafnie dobrane przez starożytnego artystę.

– Jak tu trafiłaś?

– Wyszłam z muzeum, zaintrygowała mnie otwarta furtka w murze, w środku było jasno, więc nie bałam się. Dalej prowadziły otwarte furtki. – Wzruszyła ramionami. – A na końcu drogi ty siedziałeś.

Odpowiedź, choć banalna, zabrzmiała ciepło. Miło pomyśleć, że ta piękność poszła w ślad za nim. Rozsądek podpowiadał, że to tylko kurtuazja. Szkoda, bo Liliane była ładna i zgrabna, na ile pozwalały to stwierdzić kurteczka i obcisłe spodnie z cienkiej, lakierowanej skóry. Oczy zaś miała przepiękne.

– Właściwie to ja otworzyłem tę furtkę w murze. – Należało uprzedzić oczywiste pytanie. – A dla historyka kultury uchylone, niestrzeżone drzwi do Watykanu są nieodpartą pokusą. – Tym zdaniem dwukrotnie skłamał, bo wszedł tu, by odpocząć od tłumu, a ponadto ukrył szereg swoich niepowodzeń naukowych, wskutek których został (bardzo niechętnie) historykiem kultury. Przynajmniej nazwa profesji brzmiała nieźle.

– Ja jestem tylko przedszkolanką. W przedszkolu dla dzieci opóźnionych.

– To ważniejsza praca niż myszkowanie po starych szpargałach. Otwierałaś któreś z drzwi, idąc przez te podziemia?

– Nie.

– Dobrze, bo to wskazówka, którądy wracać.

– Wracać?

– Kiedyś stąd wyjdziemy.

– Tu jest wiele otwartych drzwi.

– Zapuszczałaś się tam...? – Wskazał w stronę drzwi, za którymi była salka i korytarz żywych *mechanitonów*.

– Jeśli drzwi były otwarte, to wędrowałam korytarzami. Zamkniętych nie otwierałam. Tych też nie. Wisi na nich biały, metalowy łańcuszek, chociaż ktoś go zerwał.

– Ja. To już czwarte takie drzwi. Pootwierałem też inne, żeby lepiej poznać strukturę tego labiryntu.

– Taak...? – umiała ładnie słuchać.

– Wydaje mi się, że zrozumiałem jego schemat. Labirynt jest systemem okrągłych salek połączonych korytarzami. Z każdej sali wychodzą trzy korytarze zabezpieczone solidnymi drzwiami.

Przynajmniej dotąd tak było. – Lubił referować. Drugie mówienie było częścią jego pracy, a Liliane dotąd nie okazała znudzenia. – W tych salach ukrywają kolekcję zdumiewających rzeźb. To magazyny Muzeów.

– Duży jest ten labirynt?

– Sam nie wiem. Próbowałem sprawdzić, czy sieć korytarzy tworzy pętle, ale część moich poszukiwań była snem. Zbudziłaś mnie, jak śniłem, że idę, a nie pamiętam, kiedy wróciłem do posągu skorpiona, więc może zasnąłem przy nim, a widziane wcześniej przebarwienia trawertynu przetworzyły się we śnie w moją krew.

– Dlaczego szedłeś za plombami na drzwiach?

– Prowadzą do najciekawszych korytarzy. Wcześniej intrygował mnie napis umieszczony na zabezpieczeniach.

Uniosła brwi z zaciekawieniem.

– „Silvestere”. Ktoś ważny dla tych podziemi.

– Pamiętaj, gdzie jesteś. – Skrzywiła się.

– Tak. Przechowują tu wiele ruchomych rzeźb.

– To chyba nie ta. – Liliane przesunęła smukłą dłoń po segmentowanym odwłoku skorpiona. Miała drobniutkie zmarszczki na grzbiecie dłoni i ładne, owalne paznokcie.

– Uważaj...! – Odsunął jej dłoń. – To potrafi zranić.

– Ta rzeźba? Nieee... – Obejrzała posąg starannie. – Piękna rzeźba atakującego skorpiona. Ładnie połączono kamień z metalem. Nic więcej.

Miała rację. Części skorpiona nie mogły się poruszać względem siebie: brakowało przegubów czy luzów. Obejrzał rzeźbę dokładnie, by się przekonać.

– Co będzie, jeśli zostaniemy tutaj złapani...?

– Myślę, że Szwajcarzy odstawią nas rzymskiej policji i skończy się na wyjaśnieniach, a najwyżej na nocce w areszcie. Zawsze możemy się wycofać. Zrobiłem plan... Zresztą wystarczy iść za otwartymi drzwiami i trafi się na wyjście.

– Nie całkiem. – Zmarszczyła brwi.

– Jeśli nawet otworzyłaś jakieś drzwi, wystarczy sprawdzać korytarze. Zawsze skończą się zamkniętymi drzwiami albo wyjściem. Tak znajdziemy drogę.

– Adams, to nie powód.

– Więc co wreszcie...?

– Zanim cię zbudziłam, wróciłam do wejścia. Spłoszyło mnie, że w tajemniczych podziemiach, w które wtargnęłam, nie jestem sama...

„Cóż, nie szła tu za mną”, pomyślał skwaszony.

– Drzwi wejściowe są zamknięte?

– Tak. Klamka nie ustępuje.

7.

Do wyjścia trafili bez trudu. Żaden podmuch nie zamknął drzwi ani nie otworzył dodatkowych. W salce wyjściowej na warstwie mułu przybyły ślady Liliane. Ułożona z czarnych kamyczków czaszka dziwaczного stwora nadal wykrzywiała się groteskowo. Klamka nie dawała się poruszyć, drzwi nie ustępowały.

– Spróbujmy je otworzyć. Masz pilniczek do paznokci?

– Mam też nożyczki.

Było gorzej, niż się spodziewał. Pilnik wydobywał z dziurki od klucza pojedyncze grudki tynku. Cały mechanizm zamka zalepiono zaprawą murarską. Adams pracowicie usuwał ziarno po ziarnie.

– Zamurowali nas?

– Wydobywam luźne ziarna. Może zaczęli jakieś roboty i przysypali drzwi przyzmą gruzu.

– Sporo roboty.

– Tak. – Skinął głową, nie przerywając pracy.

Liliane usiadła, obserwując jego wysiłki. Kiedy Adams przerwał na chwilę, przyjrzała się jego robocie.

– Oczyszczyłeś mechanizm zamka, klamka się rusza... – zauważyła. Obejrzała szparę przy zawiasach. – To będzie łatwiejsze, niż się wydaje. Wystarczy oczyścić z gruzu.

Drzwi, szarpnięte za klamkę, zadrżały. Osypała się zaprawa. Kiedy ją usunęli, drzwi ustąpiły. Ukazał się lity, ceglany mur.

– Łomoczemy...? – zapytała. Bezradnie machnął dłonią.

– Najpierw ty.

Adams uderzył spodem pięści. Odpowiedział głuchy mlask. Spojrzał na Liliane. Teraz ona spróbowała. Oczywiście bezskutecznie. Kolejną serię uderzeń pochłonęło sztywne podłoże. Cisza.

– Szkoda rąk – powiedział. – Tkwimy w pułapce. Gdzieś czytałem o planach przedłużenia linii metra poza Ottaviano. Mieli tu zmienić układ ulic. Spałaś w korytarzach...? – spytał po chwili namysłu.

– Nie... Myślę, że nie.

– Dziwne. To nie jest mur wzniesiony wczoraj. Zaprawa zdążyła stężeć.

– Wędrowałam przez te podziemia całymimi godzinami... Wpadłam w dziwny stan: nie

kończące się, identyczne korytarze.

– Powinnaś chociaż pamiętać przebudzenie.

– Nie pamiętam żadnego przebudzenia.

Jego zegarek pokazywał „1 stycznia 00”, przypadkowo wciśnięty przełącznik był zablokowany. Adams nacisnął go, uruchamiając. Sekundnik zaczął naliczać upływ czasu.

– Ja mam mechaniczny bez datownika – powiedziała. – Wskazuje dziewiątą.

Policzek Adama pokrywała szorstka szczecina kilkudniowego zarostu.

– Mur ma przynajmniej trzy dni – zawyrokował. – To dziewiąta rano, bo znowu jest jasno. – Tak ustawił swój zegarek.

Jednak metabolizm ma własne prawa chronologii, mierzące upływ czasu lepiej niż zepsuty zegarek. Tymczasem organizm nie dawał żadnych wskazówek. Stres ściskający żołądek byłby marnym wyjaśnieniem.

– Sam nie wiem. Niby długi czas, szczecina na gębie wyrosła, a nawet sikać się nie zachciało.

Zatrzepotała długimi rzęsami.

– Nie każdemu. Ja nasikałam w jednej salce, za postumentem jakiegoś robaka, czy jak ty mówisz: pajęczaka. – Jej angielszczyzna była płynniejsza, akcent francuski słabnął.

– No, to co teraz zrobimy...?

– A ty masz pomysł?

– Możemy iść naprzód albo próbować wydrapać dziurę w murze za pomocą twojego pilniczka. Może zdążymy ją wywiercić, zanim umrzemy z głodu. Murarze mogli zbudować naprawdę grubą ścianę.

– A pierwsze rozwiązanie?

– Oznakowania są jednoznaczne jak drogowskaz.

– Ale brniemy coraz głębiej.

– Niekoniecznie. Weszliśmy z zewnątrz, w skraj tych podziemi, na tyle nieważny, że go zamurowali. A rzeźby przyniesiono z naprzeciwka. Od strony Muzeów, nie od wejścia.

Związała jasne włosy czerwoną wstążką. Miała smukłą szyję. Podobała mu się coraz bardziej. Starał się argumentować logicznie, aby sprawić wrażenie pewnego siebie, ale to właśnie niepokój usiłował ukryć w potoku argumentów. Wątpił, że podziemia to magazyn muzealny. Skoro są aż tak

rozgałęzione – zmylenie drogi skazuje na śmierć głodową. Może zbudowali tak rozgałęzione magazyny, by lepiej usystematyzować zbiory rzeźb bezkręgowców...?

Ale dlaczego ukrywają je w magazynach, a w Muzeach prezentują ledwie parę takich rzeźb? Dlaczego nie wystawiają wspaniałych posągów Pani z Cypru...? Ani tych nadzwyczajnych *mechanitonów*?

Może *mechanitony* były dziełem snu historyka kultury...

– „Silvestere” to imię? – przerwała jego rozmyślania.

– O ile mi wiadomo, takiej formy imienia Sylwester nie używano.

– Więc jak byś to nazwał?

– Może to skrót, a może niedouczony strażnik napisał imię „Silvestro” z błędem ortograficznym. Cokolwiek znaczy, dla nas oznacza szansę.

Notatki wskazywały: „PLE”, czyli: „Wybierz prawe drzwi, dalej lewe, znowu prawe i wreszcie lewe”. Liliane podążyła za nim.

– Piękne rozety na ścianach – powiedziała.

– Myślę, że to diagramy lullijskie.

– Nigdy o nich nie słyszałam.

– Mało kto słyszał. To Raymundo Lullius, zapomniany geniusz z Katalonii. Uważał, że łącząc liniami pojęcia napisane na kartce, tak, aby powstały z tego figury regularne, ujawni ukryte cechy otaczającego świata i świata ducha. Wynałazł diagram, niektórzy uważają, że odkrył więcej.

– Więcej...?

– Klucz do świata.

– Ciekawe, co znaczą te figury na ścianach?

– Nic konkretnego, póki nie wpiszesz na wierzchołkach tych figur jakichś słów.

– Skąd to wiesz?

– Zajmowałem się jego uczniem, Alonzo Zumarragą. Battaglia napisał, że jeśli Tajemna Sztuka Lulla jest szaleństwem, to jej rozwinięcie przez Zumarragę jest szaleństwem szaleństw.

Wreszcie zatrzymali się przed ostatnimi lewymi drzwiami. Zerwana srebrna plomba z wytłoczonym „Silvestere” wisiała na klamce.

– Byłaś za tymi drzwiami?

– Nie. Przestraszyłam się plomby.

– Nie tyją zerwałaś...?

– Oczywiście, że nie ja.

– Dziwne. Myślałem, że to już była część snu.

– Chodźmy.

– Zaczekaj. – Zasłonił jej drogę ruchem ręki. – Tam mogą być niebezpieczne ruchome rzeźby.

– Popatrz na te ślady! To ślady krwi. – Na posadzce salki były brunatne plamy i mniejsze kropki. Wiodły do prawych drzwi i potem prawym, nie zaplombowanym korytarzem.

Schyliła się.

– To są inkrustacje z czerwonego trawertynu – powiedziała. – Piękna robota.

Rzeczywiście: nieregularne plamy z brunatnego kamienia otaczała cienka granica z żółtego metalu. Wyśmienity rzemieślnik odrobił krople krwi, umieszczając w posadzce z szarego kamienia otoczone mosiężną taśmą kawałki czerwonego trawertynu, a następnie szlifując do równej powierzchni.

Adams obejrzał swą prawą dłoń: na środku widniała blizna. Na lewej równie rozległa, chociaż tylko po otarciu. Skąd wziąłby się ceglany pył, którym tak wybrudził but?

– Wejdzmy już, Adams. Inaczej nie sprawdzisz, co się tam kryje.

Spojrzał na nią bez słowa i pokiwał głową. Przyłożył ucho do drzwi: zupełna cisza.

8.

Adams nacisnął klamkę, otworzył drzwi i znieruchomiał: nadchodził gigantyczny skorpion ze snu. Wyglądał jak żywy, nie jak *mechaniton*. Liliane odepchnęła go i zatrzasnęła drzwi.

– Ale bydlę! – mruknął z podziwem.

– Widzisz, co tu wyhodowali...? Co skrywają w podziemiach?

– Watykan ma parę gospodarstw, ale tam są ledwie mleczne krowy, a nie jakieś groźne stwory.

– Przecież jeśli wypuszczą to na świat, rozprzestrzeni się plaga. Trzeba to powstrzymać!

– Nie podejrzewam papieża o diaboliczne zamiary.

– Nie rozumiem, jak można tak myśleć! – jej twarz stężała.

– Zarówno pajęczaki, jak i owady, oddychają tchawkami. To mało efektywny system dla dużych zwierząt. Im większe, tym bardziej niezdarne i co chwilę dostają zadyszki – wywodził.

– Dalej nie rozumiem. – Rozgniewana wyglądała pięknie. – Przecież owady są doskonałymi tworamami przyrody. A muchy są najdoskonalsze spośród owadów.

– Skoro tak twierdzisz... Ale tylko, jeśli małe. Gdyby były za duże, to cała ekonomia ich budowy odwróciłaby się przeciw nim.

– Ty wszystko wiesz lepiej! To sam zobacz!

Gwałtownie otworzyła drzwi, ominęła wyciągniętą dłoń Afrodyty z Melos i desperacko podbiegła do skorpiona, który tkwił niemal w tym samym miejscu, co poprzednio.

– Liliane! – zerwał się za nią.

Skorpion przebierał łapami, w takt ich ruchów kiwając się na boki. Ledwie się przemieszczał. Dziewczyna szybko ominęła niezdarną poczwarę. Zaszła ją od tyłu i błyskawicznie schwyciła za odwłok, jego ostatni masywniejszy segment, zakończony żądłem. Okazja, o której marzą mangusty.

– To przecież nie jest żywe – zachichotała. – Zobacz.

Adams zbliżył się i lekko, szybkim ruchem kopnął w lewe szczytce stwora, kierując go w bok. Skorpion ociężale dotarł do ściany między posągami i napierając na nią, to zaciskał, to unosił cęgi, bądź poruszał kolcem jadowym.

Adams trzymał w ramionach Liliane. Była ciepła, jej włosy pachniały, odwzajemniała uścisk. W ręku nadal miała pilniczek do paznokci. Teraz broń, wcześniej narzędzie. Przed chwilą bał się, by nie stało się jej coś złego. Mały skorpion czasem zabija, porcja trucizny od metrowego nie dawała szans.

„Może już zmarłem, i właśnie to jest drugi świat...?”, pomyślał. „Pamiętam zranienie skorpionim żądłem”.

– To nie miało sensu. – Lekko gładził jej włosy. – Pilniczkiem do paznokci chciałaś z nim walczyć...?

– Powiedziałaś, że musi być powolny.

– Wolniejszy niż kręgowiec. Szybkość decyduje o skuteczności ataku. Duże tchawkowce pewnie też się jakoś przystosowały. Ta szarża mogła cię kosztować życie. Szybka jesteś – dodał po chwili.

– Chciałam go przebić pilnikiem i odciąć żądło, ale był za twardy.

Skorpion nadal przebierał łapami. Można go było dotykać, potrącać. Liliane złapała za nasadę kolca jadowego, nie wywołując reakcji stwora.

– Ależ jest dziwaczny. Jak to się nazywa? – zapytała.

– Atrapa, makietka, ruchomy model. – Wzruszył ramionami. – Zamiast części gębowej ma płytę z wizerunkiem głupawo uśmiechniętej twarzyczki. Chyba z brunatnej żywicy epoksydowej, bo ciepły w dotyku. Gdzież mu do rzeźb ze snu.

Rozejrzał się. Wokół znajome posągi. Z kamienia spajanego mosiądzem, ale bez możliwości ruchu. Afrodyta z Melos przykucnięta i z wyciągniętą ręką. Ciekawe, niespotykane ujęcie. Całkiem naga, z szatą w malowniczych fałdach, leżącą u jej stóp.

– Pozwól, że oprowadzę cię po moim śnie – uśmiechnął się do Liliane – w którym posągi ruszają się i mówią.

– Jak ten skorpion?

– Lepiej, znacznie lepiej. Oto pierwsza z moich wyśnionych piękności: Pani z Melos. Całkiem podobna do ciebie.

Liliane przyjrzała się posągowi krytycznie.

– Musiałaby schudnąć w biodrach.

– Ona sama się rozebrała. Może później się odzieje? – Nie wytrzymał spojrzenia posągu i odwrócił głowę.

– Żal mi tego węża. Jak można było przedstawić tak okaleczone zwierzę. To okrutne. – Wskazała inną rzeźbę.

Rzeźbiony gad miał przetrącony grzbiet i zmiażdżoną głowę. Wykuto go w jednym kawałku trawertynu.

Adams zrobił niewyraźną minę. Rzeczywistość była bezbarwna w porównaniu z tamtym snem-nie-snem. Napotykanne rzeźby imitowały tylko to, czym były we śnie. Choć wyśniły się mu wszystkie, tak jak stały: muchy na gnijącym mięsie, Pani z Kapitolu, Pani z Knidos, Pani z Ostii, a naprzeciwko nich masywny legionista. W dali Posejdon. Pamiętał je doskonale.

Z głębi korytarza dobiegł tętent kopyt. Odruchowo rozejrzał się za schronieniem między posągami. Być stratowanym w podziemiach muzeum...

– Trzeba się będzie bronić – powiedziała Liliane. Zarumieniła się ze strachu. W miarę jak rumieniec intensywniał, na twarzy ukazywał się biały wzór przypominający pręgi tygrysa.

– Adams...! Twoja twarz się zmienia! Zaczynasz przypominać demona!

Rysunek białych linii na jej zaczerwienionej twarzy stał się bardzo wyrazisty: koła wokół oczu, linie podkreślające drapieżność rysów. Jak bardzo przemieniła się twarz pięknej dziewczyny!

– Demona poznać po twarzy...? Zresztą, twoja twarz też przypomina maskę.

Tętent nadbiegającego zwierzęcia ogłuszał. Co wyłoni się zza łuku korytarza?

– Weź gladius tego centuriona.

Jej twarz wyglądała przerażająco, ale pięknie. Czymkolwiek jest stwór tak zmieniający twarze ludzi, walka z nim nie będzie łatwa. Adams rozbroił kamiennego olbrzymia. Zbyt gruba rękojeść miecza ledwie mieściła się w dłoni. Zatoczył młyńca: marnie; drugi raz: lepiej poszło dwiema rękami; i jeszcze raz.

Tętent przerodził się w przeraźliwy gwizd.

– Adams, broń mnie!

Z naprzeciwka korytarzem gnał świetliście biały wierzchowiec o rozpostartych skrzydłach. Z rozwianą grzywą, o dzikich, ciemnych oczach, wlepionych w przerażonych ludzi. Spod kopyt szły skry, jak srebrne gwiazdki, księżycy i słońeczka. Czy w susie galopu, czy wyciągnięty w locie, ostrym, spiralnie rytym rogiem, jak kopia, celował w Liliane.

Adams odskoczył z linii ataku i odepchnął w bok dziewczynę. Ciął przez róg, aż stał zadzwięczała; utrzymał broń i natychmiast pchnął w odsłonięty bok rumaka. W wąskim korytarzu skrzydlaty jednorożec nie mógł uniknąć miecza. Minął ich i z głośnym tętentem zniknął w otwartych drzwiach.

– Ależ piękny koń...! Ale mu dołożyłem...!

– Chciał nas zabić.

– Dlaczego tak gwałtownie zaatakował...?

– Oni tu spiskują, hodują zdumiewające potwory, przed którymi trzeba ochronić świat, a ty się cieszysz. – Wydeła wargi. Jej pręgowana twarz miała wyraz nadąsanego drapieżnika.

– Ta rana jest śmiertelna. Pokonaliśmy go, chociaż wolałbym go osiodłać.

– Jednorożce są nieśmiertelne. On wróci, żeby nas zabić. Dobiegł ich odgłos kopyt. Znow od strony nie przebytych jeszcze korytarzy. Tętent narastał. „Jak on zatoczył pętlę?”, przebiegło mu przez myśl.

– Szykuj się do dalszej walki – jej głos drżał. „Jeśli nie zmieni taktyki, przegra”, pomyślał Adams.

Łomot kopyt o posadzkę ogłuszał. Piękny potwór znow pojawił się, jak poprzednio, to mknąc, to frunąc. W ciasnym korytarzu nie próbował zawrócić. Adams umiał to wykorzystać. Znow uskoczył i ciał po kopytach, w bok i po tylnych nogach. Z rany w boku skrzydlaty koń krwawił purpurową nitką.

– To łatwe!

– Nie...! Nie pokonamy go!

Znow z oddali doszedł stukot, ale cichszy, mniej regularny. Przeciwnik nie próbował frunąć. Ledwie się włókł, a mimo to ponowił atak. Ze skrzydłami złożonymi na grzbiecie, słaby i wykrwawiony, nie mógł utrzymać prostej linii. Nadal groźny, spróbował nadziać Liliane na ostry róg. Zbyt wolno. Adams odbił kolec i przeszył ostrzem bok jednorożca. Nadązał za ospale zawracającym rumakiem, będąc stale w pozycji wygodnej do ataku.

– Spuszczę z niego posokę! – krzyknął. Ta walka musiała być barwnym snem.

Konające zwierzę zatoczyło się i upadło. Jeszcze desperackim szarpnięciem łba próbowało sięgnąć Liliane. Ta odskoczyła, wydając gardłowy krzyk. Adams obiegł jednorożca, zadając mu kilka ciosów. Przekrwione oczy zwierzęcia bezradnie wodziły za prześladowcą. Straciły szlachetny blask. Skrzydlaty rumak zarżał raz i drugi, przez jego ciało przebiegały drgawki. Wreszcie znieruchomiał.

Z twarzy Liliane zniknął tajemniczy biały wzór. Adams ciasno objął ją ramieniem.

– Widzisz? Nie ufałaś mi. A jednak go pokonałem.

– To niewiarygodne. Ona była blisko. Ona sama tu przysła – powtarzała Liliane. – A przecież miało Jej nie być...

Martwy rumak zmieniał się w bezkształtną kupę jakby topniejącego śniegu. Wyciekające strużki jasno-karminowej cieczy wsiąkały w szczeliny posadzki.

Ręce Adamsa drżały. Nadeszła reakcja po walce.

– Dlaczego musiałem zabić takie piękne zwierzę...? Magicznego rumaka jak z bajki.

– Chciał nas zabić! Polował specjalnie na mnie. Nie zauważyłeś...!? Zresztą, to chimera konia, oryksa i orła, nic więcej. Chcieli nim olśnić prostaczków.

Właściwie miała rację. Pamiętał zapalczywość pięknego stworzenia. „Gdzie się znajdę, kiedy wreszcie się obudzę...?”

To rzeczywiście był śnieg. Ciągnął od niego chłód. Wypływająca spod zasy woda miała różowawe zabarwienie. Niosła kolorowe ziarenka. Zasy ubywało, a woda bladła. Wkrótce ostatnia kałuża wsiąkła w posadzkę.

„Jak on się tu zmieścił z rozpostartymi skrzydłami...? Nawet piór nie połamał, chociaż skry szły”.

– Chodźmy, mój rycerzu! Droga przed nami stoi otworem.

„Przestań...”, chciał powiedzieć. „Udało się, bo to sen”. Jednak zachował te słowa dla siebie. Oddał broń posągowi.

Obojętnie minęli kilka martwych rzeźb. Wreszcie trafili do salki, w której na lewych drzwiach wisiała tekturka niestarannie nałożona na klamkę. Ktoś pośpiesznie na niej nakreślił: „Silvestere”. Gdyby nie walka z jednorożcem, można by powiedzieć, że zbliżają się do częściej używanych pomieszczeń magazynu.

Uzupełnił opis drogi: PLPLL. Siatka korytarzy wypełniła już pół rachunku. Liliane oznaczyła drzwi szminką do ust – póki jej starczy, nie będzie kłopotów z odnajdowaniem drogi powrotnej. Oczywiście w świetle, bo w ciemności nawet nieruchawa atrapa skorpiona sprawi kłopoty.

9.

Jakby przywołana niewczesną myślą, za lewymi drzwiami panowała ciemność. Za prawymi też. Zabrakło nawet odrobiny światła, która wystarcza, by nieznane i tajemnicze uczynić swojskim. Adams zmełł przekleństwo. – Stało się – powiedział.

– Mam zapalniczkę, na sto pięćdziesiąt metrów starczy.

– Palisz...?

– Czasem. Nie za często. Barbarzyństwo...? – dorzuciła, pochylając głowę ku niemu.

Zrobił niewyraźną minę.

– Papieros, trzymany odpowiednio, dodaje szyku – powiedziała.

– Może rozświetli korytarz.

– Bez sensu – burknęła. – Tylko będzie śmierdzieć. – Nie chciała go zrazić cuchnącym oddechem palacza.

Wpadli na pierwszy mebel. Upadając, pociągnęła go na siebie. Z trudem ją podtrzymał. Syknęła z bólu.

– To tylko kanapa – powiedział i naturalnym ruchem wziął ją w ramiona. Zrazu po to, by ją uspokoić po bolesnym szarpnięciu; teraz już tylko cieszył się jej bliskością. Miał ją w ramionach po raz drugi w krótkim czasie; szybko uczył się kształtu jej ramion i ciepła jej ciała. Ufnie oddawała uścisk.

Lekko przesunął dłoń po jej włosach, bardziej by odkryć, jak trzyma głowę. Spróbował ją pocałować.

Trafił niestety powyżej ust, tuż pod nosem. Miała suchą, gładką skórę.

– Skorpion chybił jeszcze bardziej... – Zachichotała, ale jednocześnie mocniej przyłgnęła do niego, by nie odczuł ironii jako odmowy. Teraz ona pocałowała go, raz i drugi. Mocno, ciepło. Nie przeszkadzało, że jest ciemno – przy pocałunku i tak nie mógłby się na nią gapić.

– Nie ma sensu iść dalej po ciemku – powiedział, kiedy wyczuł, że na razie trochę się nasyciła.

– Tak...?

– Było jasno, póki przez świetliki wpadało światło dnia. Myślę, że we wszystkich korytarzach są świetliki w suficie. Jest ciemno, bo na górze zapadła noc.

– Może już wyszliśmy spod tej skalnej czapy...?

– Nie. – Wzruszył ramionami, choć ten gest zmarnował się w ciemności. Jeszcze trzymał ją w ramionach, ale odległość między nimi była zbyt duża. – Znam te okolice: parę tanich pensjonatów, w sam raz dla biednego profesora. Pomieszkiwałem w niektórych z nich, znam te ulice, pizzerie i sklepy.

– Mhm – wymruczała, obracając się w jego ramionach.

– Nigdzie tam nie ma dziur w ziemi.

– Co...?

– Nie ma okienek, świetlików, szklanych szybek, którymi można by rozświetlić podziemia. Nic, tylko trawniki, asfalt, budynki. Wierz mi: jesteśmy nadal w Watykanie.

– Dobrze jest być z naukowcem.

– Tym korytarzem będzie najwyżej sto pięćdziesiąt metrów do następnej furtki – brnął dalej.

– Furtki.

– No właśnie.

– No i co z tego?

– Jak to, co? Dalej w głąb tego labiryntu.

– Właśnie! – to było parsknięcie. Czasem koty tak parskają. – Nie zanotujesz poprawnie drogi i się pogubimy. Śmierć głodowa z pewnością nie jest przyjemniejsza od innych rodzajów śmierci.

Nie odpowiedział. Jej słowa były jak zimny kawałek żelaza wciskany pomiędzy zębra.

– Wiesz, chciałam tylko powiedzieć, że po tych lochach nie należy się szwendać w ciemnościach. Te drzwi, korytarze, dziwaczne modele przyrodnicze. A jeśli trafi się drugi śniegowy rumak z rogami...?

– *Mechanitony*, ruszając się, wydają dźwięki.

Oboje zamilkli. Odpowiedziała im cisza, w której własne tętno już po chwili staje się głośnie.

Liliane pierwsza nabrała powietrza.

– Myślę, że są wyłączone – powiedział.

– Więc co teraz?

– Śpimy do rana. Jak się rozjaśni, dotrzemy do celu. „Ciekawe, gdzie się zbudzę ze snu o latających jednorożcach i przepięknej francuskiej przedszkolance”, pomyślał.

– Co...? Gdzie śpimy? – sploszyła się.

– Jeśli nie uważasz mnie za zwierzę biorące wszystkie kobiety w zasięgu ramion, to ułóż się obok mnie. – Takich rzeczy nie mówi się do kobiet ze snu. Tam fabuła rozwija się autonomicznie. Milczała, więc dodał: – Położę się na posadzce. Mam grube portki, nie powinienem bardzo zmarznąć.

„Wszystko przez te moje zasady”, pomyślał. „Nawet we śnie zachowuję się przyzwoicie...”

Nie spał jednak ani chwili na posadzce. Wszystko potoczyło się w takt marzenia sennego: bez zbędnych słów ułożył się obok niej, a ona zaraz wtuliła się w niego. Pocałunki smakują jak owoc awokado, jej pocałunki właśnie tak smakowały. Odzienie jakby samo się zsuwało. Za mocno ugryzła go w ucho. Aż zamrowiło, i skarcił ją:

– Przestań.

– Mhm.

Łatwo było przedrzeć się przez warstwę jej bielizny. Pod spodem Liliane była wspaniała: skóra ciepła, sucha, leciutko szorstka, a kwiatki piersi wyraziste i sprężyste. Z koronami od spodu, a króciutkimi łodyżkami do przodu.

Zachowywała się biernie. Jak cudowna lalka, choć trochę zbyt lalkowato. Powiedział jej o tym.

– Przecież właśnie tego chcesz.

Trudno było odpowiedzieć, gdy słowa trafiały w sedno. Piersi miała większe, niż myślał, i bardziej sterczące. Gdy wodził po nich palcami, wydawało się, że niteczki doznań snopkami wędrują w głąb Liliane, sprawiając jej frajdę. Nie przestawał delikatnie pieścić jej piersi, dekoltu i brzucha. Wydawało się mu, że śni cudowny sen na jawie, nie chciał go przerywać.

Później gdzieś rozsiał resztki ich odzienia. Miał ją jeszcze raz, a myśli uciekały do krainy posiadania. Odnosił wrażenie, że zrobili to setki razy, ale przecież tak może być tylko we śnie. Jej ciało widoczne w półmroku przypominało malowidło. Pokrywały je pasy, to białe, to sinawe; to blade kwiaty o niebieskich liściach; to znów złote tarcze lub łodyżki z kolcami. Szczyty jej piersi otaczały złote obręcze, jeszcze podkreślone rzędem kółeczek.

– To posklejane włoski...?

– Sam zobacz.

Jak włoski wystawały setki małych kółeczek, które leciutko pociągnięte ustami przydawały piersi Liliane bądź jej brzuskowi delikatnych fałdek.

„To istota ze snu. Tak przecież nie może wyglądać kobieta...”, coś mu podpowiadało.

Ulicą obok przechodzili jacyś ludzie. Nie zauważali nagiej pary leżącej na zniszczonej kanapie.

„To tylko sen, można z nimi zrobić, co się chce... Łatwo sprawdzić”, pomyślał.

Zerwał się z kanapy i podbiegł do przechodzącej dziewczyny. Ta ospale usiłowała się odwrócić. Nawet nie próbowała odbiec. Była odziana w wydekoltowaną suknię z brązowego, grubo tkanego płótna, luźno wiszącą na szerokich ramiączkach.

Bez wahania, mocnym szarpnięciem zdarł ją z niej. Pod spodem nie miała nic. Nie próbowała zasłonić nagości, tylko obojętnie przestąpiła workowatą sukienkę. Adams był zdumiony: Senny twór marnie przypominał nagą kobietę. Pokrywała ją gładka, cielistą powłoka. Jej piersi nie miały szczytów, a podbrzusze było gładkie, nie podzielone. To przywilej sennych wymysłów, że nic nie kryje się pod ich zewnętrzną powłoką. Jak u ruchomego manekina szerokimi szczelinami zaznaczały się połączenia źle dopasowanych fragmentów. Wiskozowe włosy ledwie trzymały się plastikowej głowy. Odkręcił tę głowę i odrzucił; następnie dłonie i ramiona. Tułów był lekki, pusty w środku. Nogi same się przewróciły. Adams skrzywił się z niesmakiem.

Dobiegł go chichot Liliane. Odwrócił się. Wygodnie ułożona na sofie piękność wyciągała ku niemu dłoń o smukłych, długich palcach.

– Wracaj już, moja bestio – powiedziała. Na jej zarumienionej twarzy widniał biały, tygrysi deseń. – Zawsze tak traktujesz nieznajome...?

Zdążyło go owiać chłodne powietrze ulicy. Wrócił w rozgrzane ramiona Liliane.

– Pozrywam ci te wszystkie kółeczka – mruknął. – Aż krew pocieknie.

– Nic z tego. Możesz spróbować. – W miarę jak jej twarz kraśniała, biały wzór rysował się coraz bardziej wyraziście.

Delikatnie pociągnął za jedno z kółeczek. Napięło skórę i zaraz potem wysunęło się z wykłutych otworków. Leciutki krążek z białego plastiku.

– Najpierw pozbawiłeś mnie dziewictwa, a teraz zniszczyłeś makijaż. To okropne...! – zachichotała.

Zbyt mocno złapała go zębami za ucho. Aż krzyknął. Niepotrzebnie, bo czar snu prysnął.

10.

W korytarzu było jasno. Ściany białe, obok tylko sekretarzyk z fornirowanego drewna, którego brązowe apliki przedstawiały to bodące się kozły, to satyra zderzającego się łbem z kozłem, to wreszcie bodące się satyry. Błat sekretarzyka ozdobiono blaszanym wizerunkiem kosza z odrzuconą pokrywką, otoczonego splotem drzemiącego węża. Ani śladu arcydzieł ze snu, *mechanitonów*.

Obok na kanapie Liliane cichutko chrapała. Kobieta potrafi uroczo chrapać, właśnie jak Liliane: cicho, spokojnie, dźwięk był przyjemny, chciało się otoczyć ją ramionami. Adams uczył się smakować chrapanie ukochanej kobiety.

Spróbował zbudzić ją lekkim pocałunkiem i zaraz potem drugim. Uśmiechnęła się jeszcze przez sen i objęła go ramieniem. Kolejny pocałunek obudził ją.

Na powiekach miała senną wydzielinę. Leciutko przetarł je palcem. Cofnęła się odruchowo, jakby mówiąc: „To należy do mnie...”. Przetarła oczy. Ale zaraz uśmiechnęła się znowu.

– A jak umyjesz mi zęby, hę...?

– Palcem.

– Ty świntuchu.

Była tak piękna. Jej powieki nie wymagały farby, rzęsy były niewiarygodnie długie.

– Cieszę się, że tu trafiłem. Nawet jeślibym miał potem odsiedzieć w areszcie.

– Mówisz jak pijany.

– Mmm... Wiem, co mówię. W całym moim życiu, pieprzonym życiu mola bibliotecznego, liczy się tylko to, że wlałem do tego labiryntu.

– Tylko to, że tutaj wlałeś?

– Dlatego, że ciebie poznałem.

– A co we mnie szczególnego...? – próbowała się droczyć. – Beznadziejna opiekunka kalekich dzieci.

– To ma znaczenie. Każdy ma kaleką duszę. – Przyglądał się jej. Piersi przyjemnie wznosiły się, kiedy leżała. Trzymał ją w pętli swoich ramion, jakby bał się, że ten skarb mu umknie. Miała gładką, jasną skórę. Znikły niebieskawe cienie pod oczyma.

Jakoś tak za szybko przebiegło to jej ranne ubieranie się.

– W drogę, mój władco – powiedziała. To nie był ton poddanego, ale zabrzmiało mile.

Adams miał ochotę jeszcze poleżeć na starej kanapie z odłóżkami złoconymi, ale powiedział:

– No pewnie, przecież musimy się stąd wydostać, zanim śmierć głodowa ściśnie nas suchą łapą...

– Chodź. Razem jest przyjemniej. – Jego słowa nie poruszyły jej. Uniosła ramiona, przeciągając się jak kot. Zerknęła przy tym przez ramię, czy wywiera wystarczające wrażenie.

– Ach, tak. No, tak – burknął, gramoląc się z posłania. Rzeźbiona kanapa wspierała się na wilczych łapkach. Przyszarzały materac z krótkimi frędzlami zdobiony był ledwie widoczną lamówką z meandrem. Obicie zużyte, podarte na krawędziach. Może to eksponat podłej klasy. Ale przynajmniej wygodny.

Drzwi na końcu korytarza przyozdobiono blaszanymi aplikami przedstawiającymi węża wychodzącego z kosza oraz most o dwóch przęsłach z zabudowaniami.

„Stylizowany widok Ponte Vecchio”, pomyślał.

Adams nacisnął klamkę.

Drzwi kończyły labirynt. Na zewnątrz widać było niebo i mizerny trawnik. Druga strona Watykanu. Znowu Rzym.

Zanim wyszli, ciekawsko zajrzał za lewe drzwi i zobaczył typowy czarno-biały korytarz.

11.

Najpierw sam wyszedł na zewnątrz, potem podał rękę Liliane. Pomógł jej zstąpić na murawę.

Zakręciło się w głowie: Wydostali się z wnętrza pnia drzewa, z dziupli. To gwałciło elementarne wyczucie przestrzeni. Zerkając do dziupli, wracało się do obszernej sali, z której wiodły lewe drzwi do korytarza ich miłości i dalej z powrotem. Ale od strony parku pień otoczony był zaniedbanym trawnikiem, skrywającym kamienie i ułamki cegieł. Dźwigał rozłożystą koronę o niezwykle długich, ostrych, mocno rozgałęzionych igłach. Na białej w trawnik emaliowanej tabliczce widniało: *Cayleia bethii*, H.

– Cholery można dostać. Ja zwariuję – wydyszał Adams, kiedy znowu wlaź i wrócił z sali, która nie pomieściłaby się w pniu baobabu, a co dopiero w smukłym pniu *Cayleii*.

– W Ogrodach Watykańskich mają najrzadsze okazy.

Taka dyskusja nie miała sensu. Adams pokornie pogodził się z regułami kolejnego snu. Poza złamaniem geometrii wszechświata wszystko się zgadzało: oznakowane emaliowanymi tabliczkami drzewa ciągnęły się rzędem. Bliźniaczo podobne, sąsiednie drzewo też nosiło etykietkę *Cayleia bethii*, H.

To musiały być Ogrody Watykańskie. Tak blisko w mieście nie ma innych równie rozległych. Jednak coś tu nie pasowało: wszędzie walały się puste puszki oraz kartony po napojach. Spośród innych w Rzymie te ogrody wyróżniały się brudem. Jednak wszędzie turyści niesamowicie śmieją, więc może to jakiś zakątek Ogródów Watykańskich...?

Opodał porządkowy w zielonym uniformie głośno beształ starą kobietę, a jej psa chłostał trzcina. Kundel skomlał i kulił się do ziemi, ale smycz w ręku surowego egzekutora nie pozwalała zbiec. Brud brudem, a przepisy przepisami. Kobięcina płaciła mandat za to, że jej psiak zrobił kupę na trawniku. Nie miało znaczenia, że tylko wzbogacił konstelację kup swoich poprzedników.

Pośpiesznie wycofali się na wysypaną drobnymi kamyczkami dróżkę. Adams wziął Liliane za rękę i spróbował oddalić się poza zasięg wzroku strażnika. Z pewnością łożenie po tym trawniku jest wzbronione, chociaż przecina go sieć wydeptanych drózek. Zmroził ich ostry gwizdek.

Strażnik podszedł, poślinił palec i odwrócił kartkę bloczka mandatowego.

– Chodzenie po trawniku i próba uszkodzenia eksponatu.

Adams nie umiał znaleźć właściwych słów, by uspokoić rozsierdzonego funkcjonariusza. Zresztą tłumaczenie prostakowi, że właśnie przed chwilą złamali topologię wszechświata, miało się z celem.

– Na dodatek próbowaliście oderwać kawałek kory z *Cayleii*. – Cerber poślinił ołówek chemiczny.

– Nie. Ja tylko przyglądałem się jej korze. Składa się jakby z dziesiątek tysięcy igiełek.

– Wszyscy tak mówią. Niby oglądają, a naprawdę próbują ułamać kawałek na pamiątkę – strażnik zamilkł, wypełniając rubryki formularza niezdarnymi kulfonami. – To będzie w sumie za dwoje osiemdziesiąt tysięcy – skrzywił się, ukazując sine zęby. – Tyle na okaziciela, bo jeśli chcecie podać dane personalne, to sto dwadzieścia.

– Aż tyle? – zaprotestował Adams.

– Daj spokój, zapłać – Liliane pociągnęła go za rękaw. – Turysta nie wygra z miejscowymi...

Oczywiście miała rację. Weszli tu nielegalnie, ujawnienie personaliów tylko pogorszyłoby sytuację. Z ciężkim sercem odliczył osiemdziesiąt tysięcy lirów i podał porządkowemu.

– A cóż to jest? – Urzędnik odtrącił dłoń Adamsa. – Obcą walutę należy wymienić przy wjeździe.

Adams spojrzał bezradnie na Liliane. Nie miał watykańskich pieniędzy.

– Można zapłacić kartą? – podsunęła. Błękit jej oczu mógł współzawodniczyć z błękitem rzymskiego nieba.

– Niech będzie – mruknął porządkowy. Właśnie skończył mozolić się z wypisaniem mandatu. Usiadł na zniszczonej ławce, pokrytej obłazącym zielonym lakierem, a oni oboje obok niego. – Aha, paszporty proszę – rzucił nagle.

„Więc jednak nie obejdzie się bez przykrych następstw...”, westchnął w duchu Adams.

– Miało być na okaziciela – zaprotestowała Liliane.

– Nie może być. Muszę wpisać właściciela konta i inne drobiazgi... – mruknął. Obejrzał swoje dłonie i zaczął usuwać brud z paznokci. – No już, paszporty!

– To może dziewięćdziesiąt tysięcy, ale na okaziciela – wcisnęła mu zwitek banknotów.

– Niech będzie – strzelił wydłubanym brudem na ścieżkę. – No... – mruknął przeciągle, wstał i obciągnął mundur. – Na drugi raz nie łazić mi po trawie.

Odszedł zamaszystym krokiem.

Za drzewami, wysoko jaśniał w słońcu mur z białego kamienia, zwieńczony wysokimi, drewnianymi masztami, pomiędzy którymi rozpostarto gigantyczne szare płótno żaglowe.

– A cóż to, u licha jest? – mruknął Adams. – Lepsze niż Koloseum.

– Pewnie, że lepsze – wyduła wargi. – To stadion przewodniczącego Nero. Faktyczne centrum miasta.

– Coś ty, przecież... – nieporadnie zaczął, ale przerwała mu grupka przechodniów:

– Mili państwo, dzisiaj mamuska schyliła głowę – powiedział mężczyzna.

Towarzyszająca mu zawinięta w ciemnoszarą szatę, ogolona na łyso kobieta spuściła wzrok. Druga – też odziana w sari, ale tęczowe – spoza zwojów wpatrywała się w Adamsa natarczywym spojrzeniem szarych oczu.

– To nasza rodzinna uroczystość. Nie może was dwojga zabraknąć. – Mężczyzna wcisnął wizytówkę w dłoń Liliane. – Mamy już odpowiednią liczbę gości – rzucił do towarzyszących mu kobiet.

Łysa blado się uśmiechnęła.

– To ważne dla nas – mężczyzna spojrzał na Liliane. – Dziś o szóstej. Przyjdźcie bez obiadu.

Zawrócił przesadnie wyprężony. Obie kobiety podreptały za nim. Zniknęli za zakrętem alejki.

– Szurnięci sekciarze – prychnął Adams.

– Niekoniecznie. To mistrz anatomii praktycznej, Bedel Schrymp – Liliane przeczytała z wizytówki.

Niedaleko ogród się kończył. Na rozwartej, przyrdzewiałej bramie, zabezpieczonej od góry kutymi, zaostrzonymi prętami, pozostawiono masywną kłódkę. Wieczorem strażnik zepnie nią oba skrzydła wrót. Napis z giętych prętów głosił: „Ogrody wypoczynku im, przewodniczącego Nero”.

Za furtką aleja parkowa przechodziła w podziurawioną, asfaltową jezdnię, ograniczoną nierównymi chodnikami. Zabudowa była niska: parterowe lub jednopiętrowe zaniedbane domy, drzwi niektórych zabito deskami.

Z wolna miasto stawało się okazalsze, ulice żywsze. To był niewątpliwie Rzym, ale zdziwaczały. Po ulicach snuły się kobiety zakutane w szare lub czarne szaty i z obręczami w przedziurawionych uszach. W radosnym włoskim słońcu jaśniały wygoloną gładko łysiną. Rzadziej mijali inne, w kolorowych strojach, zawiniętych niedbale, jakby frywolnie. Tu pastelowa tkanina zsuwała się z ramion, tam wysoko podkasana odsłaniała uda. Zdarzały się takie (z tych barwnych jak motyle), co miały chyba w honorowych miejscach wycięte otwory, ale przysłaniały je dłońmi. Nie wypadało gapić się, czy tam rzeczywiście widać koniuszki piersi i łono. „Tak przecież być nie może”, pomyślał.

– Buyuglu, Saracen Airlines – odczytał neon nad biurem podróży. Trudno było powstrzymać się od wypatrywania wśród przechodzących barwnie odzianych kobiet w podziurawionych strojach. – Gdzież to do cholery jest?

– Jak to? – zdziwiła się Liliane. Pewnie wiodła go ulicami zmienionego miasta. – Ja przyleciałam Buyuglu. W sierpniu i wrześniu dają ekstra ofertę.

Adams nie wiedział o superofercie Buyuglu. Uważał, że Saracen Airlines nie istnieją. Ulicą maszerował oddział doboszy w dwubarwnych strojach przypominających mundury. Głośno wybijali

rytm. Tłukli z rozmachem, równo, z zaciętością na twarzach. Zwielokrotnione odbiciami uderzenia niemal rozrywały bębenki w uszach. Jedni przechodnie zatykali uszy, inni formowali rzadki szpaler. Za zwartym oddziałem biegło kilkoro dzieci.

Dalej kroczyła grupa dziewcząt i chłopców odzianych w podobne dwubarwne stroje: czarny z czerwonym, zielonym lub niebieskim. Ci z kolei demonstrowali zonglerkę flagami; stosownie do stroju, każde podrzucało czerwony, zielony bądź niebieski sztandar. Za nimi znowu czworobok doboszy. Pochód otwierali i zamykali połykacze ognia, którzy regularnie zionąc strugami płomieni, odpędzali zbyt natrętnych widzów i otwierali dla kolumny przejście.

Adams trzymał chłodną dłoń Liliane w swojej, obserwując przemarsz kolumny. Gdy ruszyli, Liliane lekko uwolniła dłoń.

– Jakies święto – burknął, chowając ręce do kieszeni.

– Nie. To telewizja się reklamuje. Zamierzają zwiększyć czas emisji programu do pięciu godzin tygodniowo. Ciągłe to ogłaszają.

Adams nie odpowiedział. Akcja rozwijała się. Nigdy dotąd nie miał tak realistycznego snu, mogły się z nim równać tylko te z labiryntu w podziemiach.

– To na pewno reklama telewizji – jakby wyczuła jego wątpliwości. – Przecież czerwony, zielony i niebieski to jej barwy.

12.

Cały czas Adams oczekiwał czegoś cudownego. Był zbyt mądry, by wierzyć, że istnieje wyłącznie to, co właśnie jest dostępne obserwacji. To jakby ktoś myślał, że za Karola Wielkiego nie istniała Ameryka. Zdarzenia w podziemiach przełamały barierę sceptycyzmu. Zresztą, doznaje tego każdy, kto podróżuje i napotyka rzeczy nowe i niezwykle. Gdy poznaje się reguły rządzące widzialnym światem, łatwo zorientować się, że niespodziewanie często ujmują je proste równania – rządki czarnych robaczków, stawiane ołówkiem na białej kartce papieru. Ale dlaczego tylko wybrane sekwencje znaków miałyby nieść prawdę o wszechświecie? Dlaczego inne muszą zawsze być bezwartościowe? Są tak podobne do tych ważnych. Dlaczego dla dowolnej sekwencji czarnych znaczków na białej kartce nie miałyby istnieć taki zakątek, gdzie właśnie ona byłaby tą najważniejszą? Myśl polskiego kanonika, że te same sekwencje symboli mają sens bezwzględnie, wydała się nagle płytka i cudaczna. To jakby twierdzić, że kobiety mogą nosić jedynie szare albo czarne sari, a nie tęcze czy z dziurkami.

Może dotarł do miejsca, gdzie władają inne rządki czarnych robaczków...? To nie musi być snem. Nigdy we śnie nie miał tak mocnego poczucia rzeczywistości. Dawno uświadomił sobie, że całej tej plątaniny korytarzy nie da się narysować na żadnej kartce papieru, a jednak zdołali ją przebyć. Wyjście z *Cayleii* łamało zdroworozsądkową geometrię, ale istniało.

Starał się nie dziwić (Liliane bez trudu się w tym orientowała), bacznie kolekcjonował fakty, by wyłowić ogólne prawidłowości. Tymczasem nowych cudowności nie było. Co chwilę przejeżdżały zatłoczone, żółte tramwaje, nieznosnie jęcząc i łomocząc na szynach.

„Zaraz... przecież to Via Cola di Rienzo. Na niej nie ma torów tramwajowych”, przetarł czoło. To niezwykłość marnej próby. Dla pewności rozejrzał się, jednak tablicy z nazwą ulicy nie było.

– Może im kupić jakiś prezent? – przerwała milczenie.

Skręcili więc do najbliższego sklepu z bibelotami. Liliane wybrała dla pani Schrympowej mocno pachnący krem w drewnianej, rzeźbionej szkatułce.

– Piękna podróbka sztuki azteckiej. – Adams obejrzał małe puzderko.

– Ależ to jest oryginał – obruszył się sprzedawca. – To Aztecy podrabiali nasz tradycyjny styl ludowy.

Wszyscy troje roześmieli się.

Dla gospodarza wybrała kolorowy krawat, utrzymany w podobnym stylu i o czystych barwach.

– Można specjalnie coś zamówić, ale to nieco drożej – powiedziała towarzysząca sprzedawcy tęga kobieta o gładko wygolonej czaszce.

Adams pokiwał głową.

– Piękna robota – powiedział, oglądając ornament. Podziwiał wywrócone oczy demonów, kły

węży i czaszek. Delikatnie wodził palcem wzdłuż niepokojących, upierzonych linii, snujących się po bokach szkatułki. – Dzieci mogłyby się tego przestraszyć – zauważył.

– Och, nie tylko dzieci. – Sprzedawca życzliwie skinął dłonią. Wcisnął Liliane karteluszek z adresem zakładu. – Jeśli mąż zmieni decyzję i wróci.

Adams i Liliane spojrzeli na siebie z tym samym uśmiechem.

– Pudełko ładne, ale dlaczego wybrałaś akurat ten krem? – zapytał Adams już na ulicy. – Taki ostry, natrętny zapach...

– Jak pot?

– Coś w tym stylu. Trudno dokładnie określić.

– To jest najmodniejsze. Wiesz, kto i gdzie się tak poci...? – Uśmiechnęła się chytrze.

Wyglądało, że powinien wiedzieć.

– A ten krawat taki pysiasty – zmienił temat. – Aż oczy bolą od wściekłych kolorków.

– Zobaczysz, Bedel będzie zachwycony.

Wcześniej zajrzeli do hotelu Liliane, który mieścił się akurat w tej samej kamienicy co hotel Adamsa, tyle że dwa piętra niżej. Umówili się za pół godziny przy recepcji jej hotelu.

Nieznany recepcjonista spytał o tożsamość Adamsa, szczęśliwie wpis w książce meldunkowej pozostał. Logika snu wiję się pokrętnymi ścieżkami.

– Przepraszam, akurat nie widywałem pana na mojej zmianie – rzucił tytułem przeprosin. Miał ciemną, ospowatą skórę na twarzy i modny czterodniowy zarost, a w obu nozdrzach po kilka metalowych kółek.

Adams wcisnął w kieszeń klucz do pokoju, przytroczony do masywnego klocka.

– Zmieniliśmy tam wystrój wnętrza. Jeśli coś zginęło, zwrócimy równowartość – rzucił za odchodzącym Adamsem.

Adams wkrótce znowu znalazł się przy recepcji. Nie było żadnych rzeczy osobistych. Na szczęście przynajmniej notatki przechowywał na uniwersytecie. Recepcjonista głośno przeklinał złodziejskich robotników i bez sprzeciwu zgodził się na kwotę podaną przez gościa. Pewnie gdyby Adams zgłosił więcej przedmiotów lub zawyżył ich wartość, też dostałby żądane wyrównanie.

„Skąd jakieś moje przedmioty, skoro jestem tu pierwszy raz, a oni gościli mój analog...”, pomyślał z ironią, przeliczając gruby plik banknotów. Pieniądz zwał się sycel, ale wartością zbliżony był do włoskiego lira; czarniawy recepcjonista nie protestował, kiedy Adams liczył w lirach.

Umeblowanie zmieniono na bardziej tradycyjne: szafę ścienną zastąpiły rzeźbione, drewniane skrzynie; zamiast lekkich krzeseł – masywne, drewniane zydle, z napiętymi płatami garbowanej skóry zamiast poduszek; szerokie łóżko w miejsce składanej amerykanki. Adams wygodnie wyciągnął się na materacu. Mniej laminatów i formaldehydu, więcej drewna i skóry. Leciutki odór stęchlizny nie przeszkadzał za bardzo.

Spod prysznicą wyciągnął go telefon od Liliane. Zapraszała na szklaneczkę brandy. Przyjęła go owinięta jedynie w biodrach małym ręcznikiem. Właśnie suszyła włosy, a potem poprawiła golarką gładkość dołeczków pachowych. Była oschła, chociaż bezceremonialnie demonstrowała swoje wdzięki. Nie dała się nawet dotknąć.

Przynajmniej brandy była gładka w smaku.

W końcu jednak ją dotknął, choć marnie – kiedy zaciągał suwak jej sukienki.

– Chodźmy, już późno – rzuciła, gdy krytycznie obejrzała się w lustrze. – Chyba nie będziesz się mnie wstydził – dodała z filuternym uśmiechem.

„Och, nie...”

Wyglądała ślicznie w ciemnej sukience i dobrze dobranej, lekkiej biżuterii, ale jeszcze piękniejsza była odziana tylko w swoją skórę, tak piękna, że Adams nie miał ochoty iść na to prośzone przyjęcie.

Niestety, nie on tu decydował.

13.

Trzeba było pojechać dwoma tramwajami. Bedel Schrymp mieszkał w odrapanej piętrowej kamienicy z oknami zalepionymi nie tynkowanym murem. Kołatanie w drewnianą, pokrytą złączącym, zielonym lakierem bramę wywołało wreszcie chrobot zardzewiałych zamków. Otworzyła łysa znajoma, zawinięta w czarną chustę. Nie podniosła wzroku, lecz usunęła się, wpuszczając ich do środka. Duży oculus oświetlał wyłożone kamykami atrium, ze strzyżonym trawnikiem na środku, na którym leżała brunatna piłka, a dwie inne ustawiono na cienkich podpórkach. Obszerny dom znacznie lepiej wyglądał od wewnątrz. Pokoje wychodziły na atrium. Schody i balustrady drewniane, ale sporo stiuków i ładnej murarki. Bedel Schrymp był zamożnym człowiekiem.

– Cieszę się, że przyszliście. To godna liczba gości.

Miał podcięte nozdrza i masywne kolczyki w uszach. Zaprowadził ich do salki na piętrze.

– Aster, moja żona – przedstawił wysoką brunetkę z ostrym, drapieżnym makijażem. Szarooka Aster miała w twarzy dziesiątki cienkich kolorowych pierścionków, wklutych końcami w skórę. Trochę to przypominało obrazy ze snu w korytarzach. Wyglądała jak tatuowana, a pierścionki tworzyły regularne wzory. Wargi przekłuwały również rzędy pierścionków, krawędzie uszu też tak podkreślono. Zupełnie jakby jej twarz porastały różnobarwne kręcone włosy. Schrymp patrzył na żonę z dumą.

– Ta kreacja kosztowała majątek – powiedział. – Ale żonie trudno odmówić.

Adams rozciągnął wargi w udanym uśmiechu. „Oszpecona baba”, pomyślał.

– Wszyscy mamy przy tym się zmieścić...? – mruknął do Liliane, kiedy szurając krzesłami, usiłowali jakoś zająć miejsca wokół małego, czteroosobowego stołu.

– To taki styl, ciasny stół, od którego należy nie wstawać podczas przyjęcia – szepnęła.

Oprócz Adamsa i Liliane była jeszcze jedna para oraz gospodarz i towarzyszące mu dwie kobiety: Aster i druga, ta bardzo niska, odziana na czarno.

– To jest moja pierwsza żona, Schrympa – przedstawił ją gospodarz. Odgarnął czarną szatę i czule pogładził kobietę po gładko wygolonym ciemieniu. – Bardzo płodna.

Na razie nie podano nic oprócz pieczywa chrupkiego i wody sodowej.

– No, pochwal się, pochwal – powiedział Schrymp. Kobieta wysunęła się zza stołu. Wkrótce wróciła z popłakującym niemowlęciem. Odchyliła połą czarnej szaty, wydobyła lewą pierś i zabrała się do karmienia.

Schrymp pokraśniał z ukontentowania.

Niemowlę uspokoiło się. Łysa kobieta miała jasne oczy, nieodparcie przypominała łysą owcę.

– No, jeszcze z drugiej – powiedział Schrymp.

– Pośpiesz się wreszcie – parsknęła Aster. – Goście są głodni.

Schrympa schowała lewą pierś, z której skapnęły jeszcze dwie kropelki mleka, i wydobyła prawą. Były niezbyt ładne o średniej wielkości. Dziecko nadal chętnie ssało. Schrympa cały czas skrywała lewą dłoń pod szatą. Prawą rozgarniała swoje odzienie, by wydobyć to jedną pierś, to drugą lub by wygodniej ułożyć dziecko; lewa pozostała owinięta rąbkiem.

Ma protezę, czy co...?

Gdy Schrymp uznał, że niemowlę nie jest już głodne, w kącie odsunięto szklanek ze słonymi paluszkami, robiąc miejsce dla dziecka, a łysa kobieta – nadal skrywając lewą dłoń – przewinęła je na stole. Był to chłopczyk, wykastrowany.

Widząc zdumienie Adamsa, Schrymp oznajmił:

– Nie będzie ganiał za siostrami. Zresztą, zrobiłem to tak, żeby mu się na stare lata wygodnie sikało... No, przecież nie jest to mój najmłodszy syn.

– To jasne. Jest pan w sile wieku – uciał nieznajomy. Wreszcie zawinięto i odniesiono okaleczone dziecko. Schrympa zastawiła stół jadłem. Zupa grzybowa odstręczała. Pływały w niej drobne czerwce z czarnymi główkami. Adams próbował spychać je na brzeg talerza. Z niektórymi się to udawało, z innymi nie. Liliane trąciła go łokciem.

– Przecież gospodarze nie są ślepi – syknęła.

– Nie...?

– Przestań... To jest wartościowe białko. – Zachichotała bezgłośnie.

Adams dostrzegł wreszcie palce Schrympy. Kończyły się dziwacznie, nieproporcjonalnie blisko kiści dłoni. Zresztą i ta kiść nadmiernie nabrzmiewała pod szatą. Dziecko obudziło się i zakwiliło. Schrympa znowu przyniosła je i zaczęła kołysać. Mozoląc się ze stygnącą, niesmaczną zupą, Adams ciekawie zerkał ku lewej dłoni kobiety. Może jest owinięta opatrunkiem?

– Na pańskiej wizytówce napisano, że jest pan praktykiem anatomii, Bedel – głośnie odezwał się nieznajomy. Karen, jego towarzyszką zwracała się doń: Falzarote.

– Technikiem *ossuarnym* – poprawił gospodarz, a Liliane rzuciła krzywy uśmiezek Adamsowi. – Oczywiście, mało kogo stać na własne *ossuarium*, ale mając duży dom i praktykę zawodową...

Adams sączył wino z mlecznego kielicha rżniętego w trupa czaszkę na szyjce z kilku stylizowanych kręgów. „Raczej porcelana, nie barwione szkło”, ocenił. Kielich był wielkiej piękności, a podobizna trupiej głowy, poza mocnym odkształceniem, nie miała widocznych błędów. Wino nie było złe, zalatywało drożdżami, a na dnie kielicha zebrał się osad. Szczypało w język,

jakby poprawiano je spirytusem.

– Właściwie to dzisiejsza okazja... – Bedel gramolił się zza stołu. – Możemy obejrzyć i mamuszkę, i warsztat. – Inni też zaczęli wyplątywać się spomiędzy nóg stołowych i tych od krzeseł.

Starannie przystrzyżony trawniczek w atrium łysiał w miejscach, gdzie mury zasłaniały światło. Trzy brunatne piłki okazały się trupimi czaszkami. Dwie miały jeszcze długie pasma czarnych włosów. Trzecia leżała smętnie jak kapelusz grzyba ułamany z trzonka.

– To właśnie ta. – Bedel trącił czaszkę butem. Potoczyła się, odsłaniając nikoną w ziemi brunatną podstawę. Nie czuć było trupiego odoru.

– Żuchwa się obluzowała – zauważył Falzarote.

– Zdejmę żuchwę.

– Czaszka jest jeszcze nieczysta, skoro nie wziął jej do rąk – szepnęła Liliane do Adamsa i leciutko (przy okazji) ugryzła go w płatek ucha.

Bedel jednak usłyszał tę uwagę.

– No, ale już prawie... – powiedział. – Ułamała się trochę za wcześnie.

– Może dzieci skosiły – podsunął Falzarote.

– Dzieci się tu nie bawią – wyduł wargi Bedel. – Nigdy.

– Co z niej zrobisz? – Liliane nie wysuwała dłoni spod ramienia Adamsa.

– Jest ładnie wysklepiona. Schrympa ma taką samą. – Powiódł palcami po łysym ciemieniu pierwszej żony. – Dokładnie jak jej matka – lekko zaznaczał palcem symetrię i wypukłość kości.

„Rzeczywiście, Schrympa ma ładną, foremną głowę: bez grzebieni czy spłaszczeń”, pomyślał Adams. „Nawet skórę na łysinie ma matową i aksamitną, a nie napiętą i błyszczącą”.

Schrympa stała ze spuszczonym wzrokiem. Może zerkała na czaszkę matki albo może na wystające z ziemi kręgi szyjne.

– Zrobię z niej dzbanek lub czajnik na herbatę, a wtedy rączkę wykonam z tej żuchwy... Schrympie na pewno się spodoba.

– To nie będzie łatwe. Przecież te kształty nie pasują na czajnik i rączkę. Będzie sporo rzeźbienia, ja wiem, frezowania...?

– Och, Adams, Adams. – Twarz Schrympa przepełniło samozadowolenie. Uwaga gościa sprawiła mu przyjemność. – A kieliszek, z którego pijesz *pynuj*?

– Piękna robota – mruknął zbity z tropu Adams.

– Robota *ossuara*, kunszt *ossuara* – zauważył Falzarote.

– To jest czaszka mojej najstarszej córki – powiedział gospodarz. – Kilka lat temu wpadła pod tramwaj. Czaszka nie uległa uszkodzeniu.

– Cco...? – Adams nie stłumił świszczącego szeptu, ale czujna Liliane przycisnęła jego dłoń, by nie pytał więcej.

– To nie było szczególnie trudne – tłumaczył dalej Schrymp. – Formowanie, trzeba było tylko odciąć czerep. Właśnie ciebie uhonorowałem tym kielichem, Adams.

– Dziękujemy – odpowiedziała za niego Liliane.

– Falzarote pije z czaszki mojego drugiego najstarszego syna. Falzarote z uznaniem obejrzał swój kielich.

– Tak miało być. Was spotkałem wcześniej.

– Ale jak zasklepiłeś wylot rdzenia i inne otwory tych czaszek?

– Przecież nie miesza się kości z innym tworzywem. – Liliane zaskoczyła go swą wiedzą.

– Obejrzyj je – rzucił Schrymp z udaną obojętnością.

Przyniosła od stołu kielich Adama. Ten starł palcem osad drożdży z dna pucharu. Otwór potyliczny wypełniono pasownie kręgiem szyjnym, zgrabnie zasklepionym i zaciśniętym. Linie podziału obu kości były widoczne, ale przebiegały zwichrowane jak w marzeniu sennym. Zdumiewało wygładzenie kości czaszki do kształtu półkulistej czary, z kreseczkami zaciśniętych nozdrzy i wąskimi, jakby przymkniętymi oczodołami. Wiedząc, że to nie rzeźba, Adams obserwował robotę z wielką uwagą. Górna szczeka pozostała wraz z zębami, ale teraz ich wieniec tworzył niemal pełną obwódkę nierównych paciorków niedaleko podstawy kielicha.

– Ręka mistrza – powiedziała Liliane.

– Wygląda, Bedel, jakbyś trzymał ich głowy w odpowiednich łupkach, zanim... no wiesz, ją ten tramwaj, a jego coś tam... – rzucił Falzarote.

– Nie robiłem tego – Schrymp nie poczuł się urażony.

– Masz *ossuarium*, jestem tego pewna – Karen wspierała się na ramieniu Falzarote. Na jej szyi widniały barwne linie i listki. Reszta tatuażu ginęła pod kołnierzem. – Taki mistrz musiał zgromadzić znakomitą kolekcję.

Adams wyczuł, że prośba Karen jest czymś równie niezręcznym jak żart jej męża.

– Nie mam *ossuarium*, tylko zwykły warsztat.

– Nigdy nie widziałam, gdzie powstają takie cuda. Gospodarz uległ. Warsztat mieścił się w obszernym, jasnym pokoju. W drewnianych pakach zgromadzono dziesiątki puszczeli, kości udowych i kręgów. Wszystko starannie posortowane według rodzajów i wielkości. Czaszki poukładano rzędami na półkach. Na czole każdej widniał krótki napis, ozdobiony ornamentem, namalowaną gałązką czy kwiatkami.

– I rzeczywiście każda kość podpisana jest imieniem tego, kto ją wyhodował w sobie? – spytała Liliane.

– W praktyce nie zawsze. Oczywiście, jak kości pochodzą od kogoś znacznego, to nawet paliczki są podpisane imieniem i godłem. Zwykle podpisuje się tylko czaszkę, a jeśli to był nikczemny nędzarz, to nawet czaszki nie. Po co na zawsze ma świadczyć o jego mizerii...?

– To wiem, ale narzędzia, tajemnicze kąpiele, które stosują *ossuarzy*... – niecierpliwiła się Karen. – Mistrz powinien mieć sporo takiego sprzętu.

– Karen... – skarcił żonę Falzarote. Trzymał mocno jej kibić, by się nie zataczała.

– Należy stosować kąpiele w kwasach. To żadna ujma – odpowiedział Schrymp. – Przygotowuję je tylko na czas pracy. Nie można polegać na zwietrzałych roztworach.

Zauważył, że goście nie są usatysfakcjonowani. Pokazał więc wygodny zydeł zrobiony ze zgrabnie przeformowanych trzech kości udowych i miednicy. Forma mebla była całkiem wysmakowana. Obecnie sporządzał żyrandol dla dzielnicowego memuaru, ale nie pokazał nie dokończonego dzieła. Tu był nieubłagany.

– Za trzy miesiące zobaczycie gotowy. Jak otworzą salę pamięci ostatnich dziesięciu lat. Będzie pierwszy od wejścia.

Wrócili do stołu i znów wtłoczyli nogi między nogi stołowe i te od krzesel. W kompcie podanym w płaskich salaterkach wśród gotowanych śliwek pływały opuchnięte larwy. Łysa Schrympa miała słaby wzrok. Adams wolał już popijać zadrożdżone wino z czaszki najstarszej córki Bedela.

Panie przechadzały się po atrium; jedynie Liliane co chwilę dosiadała się, gładziła po włosach Adamsa i znowu znikwała. Widać obowiązkim mężczyzn było siedzenie i picie, bo gospodarz nie proponował spaceru. Przy stole towarzyszyła im Schrympa, uzupełniając wino, ilekroć biaława warstwa osadu wycierała spod mętnej cieczy. Adams co jakiś czas wybierał palcem osad i wycierał w rąbek salaterki, by jakoś ochronić nerki. Nikt na to nie reagował.

Adams przypomniał sobie o skrytej lewej dłoni Schrympy. Im nudniej przy stole i więcej wypitego alkoholu, tym natręctwo mocniejsze. Zbyt często zerkał w tę stronę, aby pozostało to nie zauważone. Schrymp coś szepnął do Aster. Ta usiadła naprzeciwko Adamsa i zaczęła świdrować go wzrokiem.

- Pewnie zauważyłeś, Adams, że Schrympa skrywa lewą dłoń pod szatą – powiedział.
- Myślę, że się zraniła.
- Nie... – Schrymp machnął dłonią. – Moje życie ułożyło się inaczej, niż planowałem.

Schrympa przysiadła obok, kołysząc synka do snu.

– Pierwotnie Schrympa miała być moją drugą żoną – powiedział. – Ustaliłem to z jej rodzicami. Stąd jej dłoń. Cóż, serce nie wybiera... – rzucił z teatralną intonacją i objął ramieniem Aster. – W tym czasie poznałem ją. Jest niezwykła. Schrympa to zaakceptowała i rodzi moje dzieci. Nie mogłem przecież zerwać umowy, zresztą zapłaciłem sporo forsy, żeby jej matka jadła to wszystko podczas ciąży...

Adams na wszelki wypadek pokiwał potakująco. Znow miał wsparcie w przysłuchującej się im Liliane.

- Bedel, pozwól zobaczyć – głos Liliane miał w sobie uwodzicielski czar.
- Dobrze.

Schrympa podciągnęła szatę. Zamiast dłoni miała miniaturową, trupią czaszkę bez zuchwy. Ruchome zęby łagodnie gładziły główkę niemowlęcia. Wydawało się, że trupie połączone nozdrza lekko poruszają się, a mroczne oczodoły zerkają badawczo. Wrażenie było niesamowite.

- Możecie jej dotknąć – powiedział Schrymp.

Liliane skwapliwie powiodła palcami po czole, wsunęła je w oczodoły, wreszcie schwyciła za zęby, które z kolei przycisnęły jej palce do główki dziecka.

- Świetna – powiedziała Liliane. – Pierwszy raz w życiu to widzę. Arcydzieło. Myślałam, że to tylko legendy.
- Nie ma legend. Każdy mit zostanie kiedyś zrealizowany.
- Wiem, mówiłam w przerośni. Adams, ty też dotknij.

W oczach Schrympy zajaśniała duma. Adams przemógł się i dotknął czaszki. Była ciepła, sucha, pokryta skórą. Oczywiście, była to tylko zniekształcona dłoń, ale robiła wrażenie. Schrympa umiejętnymi, drobnymi ruchami ożywiała jej mimikę. Zęby były palcami; Adams wyczuł od spodu szorstkość linii papilarnych. Paznokci nie było.

Schrympa dolewała co chwilę wina. Nie skrywała już miniaturowej czaszki. W chwilę później znowu przyniosła dziecko do karmienia i rozchyliła poły szaty.

- To już ostatni raz dzisiaj? – spytał Falzarote, kiedy Schrympa podała dziecku drugą pierś.

Łysa kobieta rzuciła mu spojrzenie.

– Niech z każdej pociągnie do końca, bo zrobi się zapalenie – zauważył ze znawstwem.

– Chcesz skończyć? – spytał Bedel.

– Zwykle dziecko nie jest w stanie poprawnie opróżnić piersi. Schrymp skinął głową, a jego łysa małżonka bez słowa podeszła blisko do Falzarote i wystawiła ku niemu pierś. Ten jakby lekko cofnął się, mając przed samym nosem wielce rozkwitłą brodawkę karmiącej kobiety, następnie przysunął usta i ujął wargami kwiatek. Ssał, cmokał i głośno mlaskał, demonstrując swoją fachowość. Wreszcie na zakończenie oblizał koniuszek brodawki.

Wystawiając drugą pierś, Schrympa podeszła do Adamsa, ten jednak udał, że całkiem pochłania go czaszka z alkoholem. Liliane posłała Adamsowi zbójce spojrzenie. Schrympa natychmiast zwróciła się do Bedela, który równie fachowo opróżnił jej prawą pierś.

Bedel wznosił nieustannie toasty, co zmuszało do szybkiego picia. Falzarote usnął z twarzą na blacie stołu. Potem Bedel obiecywał Adamsowi załatwienie pracy. Jeszcze później Aster tańczyła.

Nie pamiętał drogi do domu. Liliane wlekła go, coś mówiła, lecz zagłuszały ją maszerujące kolumny doboszy. Werble łomotały w głowie, docierając przez alkoholowe oszołomienie.

14.

Przebudzenie było równie męczące jak zaśnięcie. Zawiniło marne wino Bedela Schrympa. Liliane zbudziła Adamsa swą wizytą, a teraz niecierpliwie łąziła po pokoju. Widząc jego rozpaczliwy stan, przeprowadziła zwykłą procedurę ratunkową: kawa, zimny kompres. Mało pomogło.

– To było cholerne świństwo – powiedział.

– Tak? Piłeś jak gąbka. Dobry *pynuj* smakuje znakomicie. Ten był całkiem niezły.

– *Pynuj*?

– *Pynuj*, samogon z sokiem gronowym, leżakowany przez siedem lat. Do tego kieliszek szczyn kozła na beczkę. Dodaje pikantności...

– Jechało drożdżami. Nie do zniesienia.

– Dobry *pynuj* ma mieć w smaku zharmonizowany sztych drożdży.

– Aaa... Sztych. Nie mogłem nie pić: bez przerwy toasty.

– Zauważyłeś chociaż, jak Aster tańczyła...?

– Jednak tańczyła, więc mi się nie wydawało.

– Przecież była prawie na golasa.

– Myślałem, że miała obcisły strój w ciemne paski.

– Eee... Nic nie widziałeś – wzruszyła ramionami. – Zresztą niewiele straciłeś. Ona ma zbyt mięsiste uda i biodra, zbyt kościste kostki, kolana i przeguby, za wąskie ramiona i płaskie, obwisłe piersi – miażdżyła urodę tamtej, poprawiając włosy przed lustrem. – Ta Schrympa jeszcze gorsza: taka mała owca.

– Pamiętam, że Falzarote pił mleko Schrympy.

– Taak... To też było kiepskie widowisko. Pierwsza żona powinna przynieść swoje piersi na tacy.

– Na tacy...? – W głowie Adamsa pracowała wiertarka udarowa.

– Wtedy wygląda to wykwintnie: niesie tacę, podtrzymując nią swoje piersi. Ale do tego potrzebna jest wysoka dziewczyna o dużych, podłużnych piersiach. Niska, pulchna Schrympa ma je nieforemne i za małe, mogła jedynie podejść do siedzącego i stanąć właśnie jak owca.

– Zaskoczył mnie ten zwyczaj.

– Zauważyłam. Jeszcze kawy?

– Nie... Samo musi przejść. – Podniósł się na poduszce. – Ale miała potworność na dłoni. Jakby odrębną żywą istotę.

– To czaszka rzekoma, *craniu paradoxali*. Z palcami w roli zębów.

– A co to za cholerstwo?

– Majsterszyk. Przyszła matka zażywa odpowiednie chemikalia i wtedy dziecku wyrasta taka dłoń. Ale sprawa rzadko się udaje. Zwykle rodzi się potwornie zniekształcony noworodek, którego trzeba zabić. Nikt ci wtedy nie zwróci forsy, trzeba jeszcze dopłacić rodzinie za stracone dziecko.

– Kto to zamawia?

– Wiesz, są rodziny, gdzie rodzą się piękne córki. Można sobie u nich z wyprzedzeniem zgodzić drugą żonę... Oczywiście, urodę nie zawsze się dziedziczy... – Uśmiechnęła się. – Bedel chciał wiele, to teraz ma kłopot.

– Kłopot?

– Pewnie. Przez tę dłoń Schrympy musi płacić podatek, jakby miał dwie drugie żony.

– Daj tę drugą kawę.

– Może trucizny do kawy?

– Nie. Nigdy. Odpowiedziała uśmiechem.

– Co oni z tymi kośćmi? To jakieś dziwactwo.

– Bądźże bardziej tolerancyjny... Ciało jest naszym największym dobrem, no nie? – Podsunęła mu filiżankę. – A kości stanowią jego najtrwalszą, więc najwartościowszą część. Mogą być symbolicznym reprezentantem całego ciała, któremu odda się należyty szacunek i je upamiętni, kiedy reszta już zbutwieje w ziemi. Niektórzy twierdzą, że to kości są ostateczną, najdoskonalszą formą istnienia człowieka.

– Więc jak tramwaj komuś utnie nogę, to zostanie już mniej wartościowy człowiek, bo niekompletny – Adams jęknął. Wiertarka w głowie przyspieszyła.

– Oczywiście – nie zauważyła jego ironii. – Kaleka nie jest tyle wart, co zdrowy. Wystarczy porównać ceny na targu. To przecież jasne. Wielu zachowuje kości z utraconej kończyny.

– Gotuje nogę, czy co...?

– Nie. Grzebie w suchej ziemi, aż kość się oczyści.

– Jak matkę Schrympy?

– Właśnie.

– Świat zwariował.

– Zawsze taki był.

– Ale te jego kielichy to mistrzowska robota. Ciekawe, jak nauczył się tak formować kość?

– Akurat technologia jest dość typowa. Najpierw trawi się ją w odpowiednim kwasie, żeby wypłukać wapń i zmiękczyć fragmenty organiczne; potem formuje, w co chce, i w końcu znowu nasycza wapniem, żeby usztywnić.

– Ale ta gładkość. Wyglądało to jak porcelana.

– Sztuczki warsztatowe. Uczą o tym w szkole, ale zapomniałam detale. Teraz idę do pracy, wpadnę wieczorem.

15.

Dopiero po południu zwał się z łóżka. Nad ulicami wirowały niespokojne chmury ptactwa. Tak wielkich stad gawronów, wron czy kruków Adams nie widział jeszcze nigdy. A wszystko w miłym, pastelowym świetle późnego słonecznego popołudnia.

Ulicą przemykały kobiety w szarych szatach. Wtem nad jednym z przechodniów zakłębił się wir ptactwa: czarna trąba powietrzna zaczynająca się od jednej postaci ludzkiej. Głośny szum skrzydeł, świst rozcinanego powietrza i nagle rozdzierający krzyk. Nieznany człowiek usiłował odeprzeć atakujące ptaki. Stał, ale zataczał się.

– Niechże pan wezwie pogotowie! – krzyknęła do Adamsa jakaś kobieta. – Przecież kruki wydziobały mu oczy! Rusz się, człowieku!

– Ale jaki to numer?

Sama wybrała numer. Raz i drugi. Biła dłonią w obudowę ulicznego automatu.

– Cholera, ten też zniszczony – powiedziała bezradnie. – Po co wyrywają z nich przewody?

Oślepiiony nieszczęśnik staniał się na nogach. Spod palców ciekła mu krew. Wir ptaków rozproszył się. Czarna chmura uniosła się znad ulicy i rozplynęła w błękicie słonecznego popołudnia.

Nieznajoma była roztrzęsiona, blada, miała spocone czoło.

– No, jednak coś słychać. – Jej twarz rozjaśniła się. Spojrzała na Adamsa. Zaraz jej wzrok uciekł gdzieś w przestrzeń, gdy zaczęła wielokrotnie wykrzykiwać meldunek do marnego mikrofonu. Wreszcie przyjęto zgłoszenie wypadku.

Niektórzy przechodnie próbowali udzielić pomocy oślepionemu. Ktoś podał płócienną chustkę do nosa. Ten przycisnął ją do oczodołów. Smużki krwi ciągnące jego policzkami zastygały. Przechodnie stracili zainteresowanie wypadkiem; zniknęła gdzieś kobieta, która wezwała pogotowie; Adams został naprzeciw szlochającego rannego. Po niebie przeciągały chmury ptactwa. Nie skupiały się w groźny, ciemny wir. Przemykający obok przechodnie lekliwie zerkali w niebo.

W dali rozległ się wyjący sygnał. Brzmiał coraz głośniejszy. Wreszcie z kolumny wolno jadących zakorkowaną ulicą pojazdów wyłonił się ambulans pokryty łuszczącą się żółtą farbą. Po minucie wlokący się żółtym tempem samochód zatrzymał się przy Adamsie.

– To ten naznaczony? – rzucił sanitariusz w białej furażerce.

– Ten.

Sanitariusz wziął pod rękę oślepionego i wprowadził do karetki, od tyłu, tam, gdzie wóz miał skrzynię z małymi okienkami zamalowanymi żółtym lakierem. Na ławkach po obu stronach siedziało już kilka poszkodowanych osób.

„W taki sposób oszczędzają na benzynie i samochodzie...?”, Adams pokiwał głową. „Czy może są takie korki na mieście, że prościej zebrać naraz kilkanaście ofiar?”

Kierowca wydobyl protokół bieżącego kursu okrężnego i w odpowiedniej rubryce dopisał nazwisko i adres Adamsa, jako świadka wypadku. Ambulans powlókł się z prędkością pięćdziesięciu metrów na minutę do następnego wezwania.

– Jeśli ptaki nadlatują, należy opuścić taki rejon. To nawet dziecko wie – powiedziała Liliane, kiedy wpadła do niego wieczorem.

– Ja nie wiedziałem.

– To już wiesz. Uważaj na nie. Widziałeś, czym to grozi.

– Nie można temu jakoś zaradzić?

– Chcesz wystrzelać, może wytruć te ptaki...? Należy szanować środowisko naturalne.

Znowu byli razem. Najpierw wzięła kąpiel, chodziła przy nim nago, nawet musnęła go piersią, lekko, ale tak, by wyczuł, jak odgina się koniuszek; potem suszyła włosy, ale nie dała nawet się dotknąć. Jeszcze nie potrafił przywyknąć do jej prowokującej obojętności. Tamte chwile z podziemi coraz bardziej wydawały się wspomnieniem raczej snu niż jawy. Teraz trudno było nawet pomyśleć, by ta zdumiewająco zimna, a jednocześnie tak podniecająca kobieta kiedykolwiek do niego należała.

– Niepotrzebnie dałeś się spisać sanitariuszowi – rzuciła, wcierając w pierś pachnący krem. Potem starannie spryskała pachnidłem skórę pod pachami. – Będziesz musiał świadczyć, a los świadka jest podły.

Adams chleptał kawę, gapił się na Liliane i myślał o tym, by wziąć ją w ramiona.

– Dzwonił Bedel – kontynuowała, teraz wcierając sobie krem w ramiona i brzuch.

Miała idealnie proporcjonalną sylwetkę. Przedramiona i łydki wykrojone szczupło, lekkimi łukami, podkreślającymi delikatnie zaznaczone drobne mięśnie; smukłe przeguby dłoni, dłonie wąskie, palce długie, stopy drobne. Piękno piersi i harmonia zgrabnych bioder zachwyciły go już wcześniej. Teraz widział te szczegóły wyraźnie, jej piękno było niezemskie, bezbłędne, jakby zmaterializowany ideał stapał o parę metrów od niego.

– Deklarował, że załatwi ci lepszą pracę.

– Ślicznie wyglądasz.

– Też coś. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie. Bardzo powoli się ubierała.

– Skąd wiesz, że jesteś bez pracy?

– Sam doszedłem do tego wniosku. To jakby inne miasto. Nie mogłem zostać bezwiednie

zatrudniony.

Nie zdziwiła jej wypowiedź Adamsa.

– Szukaj więc pracy przez Bedela. Na mnie czeka przedszkole. Wyszła. Zostawiła na komodzie karteczkę z numerem telefonicznym Schrympa.

Przy apartamencie Adamsa był balkon; drewniany pomost wspólny dla wszystkich pokoi na piętrze. Zbutwiałe belki trzeszczały, a deski ugiwały się, kiedy po nich chodził, jakby pod ciężarem człowieka cała konstrukcja miała się zarwać.

Groźne chmury ptactwa rozproszyły się. Na błękitnym nieboskłonie trafiały się tylko pojedyncze gołębie czy wrony. Niezła pogoda na spacer. Może trafi na uniwersytet, chociaż to kawał drogi stąd.

Do wieczora snuł się ulicami, po których walały się kupy śmieci, gnały w pośpiechu tabuny przechodniów, a z murów lał się żar. Ten Rzym był zaniedbany i biedny. Połamane, obluzowane płyty chodnikowe. Poobijany tynk, rozłożona miejskim smogiem cegła licówka. Witryny pokryte obłazującym lakierem, na których zza brudnych szyb przebierały to korkowane papierem butelki czy słoiki, to przywiedłe warzywa, po których uganiały się muchy.

Z twarzy ścierał pot zmieszany z kurzem. Wreszcie zmęczony skierował się ku hotelowi. Wędrował długo po mieście, jednak na uniwersytet nie dotarł. Może obawiał się konfrontacji z rzeczywistością...?

Wrócił zbyt późno, by dzwonić do Bedela.

Następnego dnia rano mógł leżeć z rękami pod głową i rozpamiętywać piękno Liliane lub zatelefonować.

Aster oddała słuchawkę Schrympowi.

– Czekałem na twój telefon, Adams.

– Liliane powiedziała, żebym zadzwonił.

– Tak, ale to twój telefon.

„Znowu jakieś dziwactwa...”, pomyślał Adams.

– Kończy mi się forsa, Bedel. Potrzebuję stałego zatrudnienia.

– Podobno jesteś stypendystą uniwersytetu.

– Czy rzeczywiście myślisz, że ktoś będzie mi tu płacił za moje badania...? – Adams powiedział dosadnie, ale rzeczywistość była tak dziwaczna, że wyszło chyba naturalnie.

– Dobrze. Wyślę w twoim imieniu list do Uombocco.

– Do przewodniczącego Nero...?

– Nie, do Uombocco, Człękousta – wyjaśnił Schrymp, cedząc słowa.

Liliane znikła. W pensjonacie dwa piętra niżej nic o niej nie wiedzieli. Listy Adamsa leżały nie odebrane w jej przegródce na recepcji. Zaczął się o nią obawiać, chociaż nie wiedział, do kogo powinien się zwrócić i czy w ogóle powinien starać się ją odszukać. Na razie co parę godzin sprawdzał, czy nie wróciła. Wolał zjechać windą dwa piętra, niż telefonować do jej hotelu. W recepcji powiadomiono go, że jego konto zostało zablokowane. Dostał więc na obiad tylko kaszę i gorącą wodę. Kelner kwaśno zaznaczył, że racja socjalna przysługuje każdemu gościowi hotelowemu. Adams nie protestował – gubił się w regułach rządzących tym wszystkim.

„Może gdybym nie pomyślał, że tutaj nie mam kontraktu, problem w ogóle by się nie pojawił...?”

16.

Chrypliwie zaterkotał telefon. Adams ostrożnie podniósł słuchawkę, aby do reszty nie ukruszyć drucików błyszczących spomiędzy zetłalej izolacji.

– Czy profesor Humphrey Adams, Junior...? – głos o obcym akcencie cichutko mruczał wśród trzasków i przerw.

– Tak, słucham.

– Ibn Khaldouni z socjologii. Zapraszam do dziesiątki, jeśli ma pan czas wpaść pogadać.

– Kiedy?

– Najlepiej zaraz. Właśnie nastawiam herbatę.

– Dobrze. – Adams czuł się niesiony mocą tajemniczych żywiołów, jak korek na fali.

– Proszę zabrać ze sobą grzałkę – dorzucił nieznajomy i odłożył słuchawkę.

Adams rozejrzał się po pokoju, czy czegoś nie zapomniał, poprawił koszulę i poszedł z wizytą.

Rząd jednakowych, ciemnych drzwi na korytarzu oblepionym odłazącą tapetą. Po ścianie przemknął płaski gekon.

„Marne żarcie, co, bracie...? Z rzadka chudy karaluch – hotelowa racja socjalna... I klimat tu za zimny dla ciebie, ledwie grzeją. Chociaż może powinny ci tak wystawać żebra, żeby łuskowate panny za tobą ganiały?”

Drzwi z przykręconą dziesiątką rzymską mieściły się na samym końcu korytarza. W tamtym odcinku działała tylko jedna i to marna żarówka. Ciemno, że ledwie numer widać.

Ibn Khaldouni okazał się niestarym jeszcze człowiekiem o niespokojnym, badawczym spojrzeniu. Chudy, lekko przygarbiony, nawykowo gładził czarną, przetykaną nitkami siwizny brodę. Długi, orli nos i sucha twarz dopełniały wrażenia bystrego ptaka.

– Żeby tylko instalacja wytrzymała. – Błysnął uśmiechem, włączając grzałkę. – Kuchenka wysadza korki co drugi raz. Nie lubię awanturujących się o byle co sprzętaczek.

– Ja właściwie rzadko tu bywam, więc jakby rzadziej trafiam pod ich ostrzał.

– Wiem. Dzwoniłem parę razy, zanim pana złapałem. Na recepcji powiedzieli mi, że mieszka tu ktoś z mojego uniwersytetu.

– Nie są zbyt uprzejmi. Chyba wyrzucają listy do mnie.

– To się zdarza – burknął Ibn Khaldouni.

– Zablokowano mi konto – oznajmił Adams.

– Kasza i woda?

– Właśnie.

– Przeżyłem to już kilka razy. – Machnął ręką. – Jakaś urzędniczka pomyli się w rachunkach i narobi kłopotów człowiekowi. Trzeba zawsze trzymać nieco gotówki, tak na parę dni, najedzenie. Chroni przed nierozgarniętymi urzędnikami. Zdążyli mnie tego nauczyć. – Ibn Khaldouni kroił chleb.

– Też staram się uczyć, ale wolno mi idzie.

– Ma pan ochotę na jajko na twardo? To uzupełni dietę opartą tylko na węglowodanach.

– Pewnie.

Ibn Khaldouni skinął głową, niczym chude ptaszysko. – Jestem stypendystą rządu egipskiego – zagaił, kiedy obaj usiedli już przy herbacie. – Lubię te chińskie ziółka.

– Ja też, chociaż wolę kawę.

– No, proszę. Nasz produkt, z Lewantu. A mimo to my przyjeżdżamy do was na stypendia, a nie odwrotnie.

– Różnie z tym bywało w historii.

– Właśnie. Dlatego tu jestem. Kiedyś, obszernie argumentując, wywiodłem, że Zachód nie jest w stanie wyprzedzić myśli arabskiej i... pomyliłem się zupełnie. Chcę zrozumieć przyczyny pomyłki. – Obojętnie obserwował gotujące się jajko. – Co szczególnego odkryliście, a może posiadaliście już wcześniej, co pozwoliło wam, wybac słowa, dzikim przybłędom ze skrajnych stref świata, stworzyć tak skuteczne struktury państwowe? Dzięki czemu tak szybko pognaliście do przodu? To właśnie pytania, które postawiłem, a teraz za pieniądze podatników trudzę się nad odpowiedzią.

– Jak ty gotujesz to jajko?! – Adams zerwał się z fotela. Od paru minut w naturalny sposób przeszli na „ty”. Akademicy to jedno plemię.

– Co...?

– Wody w szklance za mało. Popatrz, jak tutaj przy przewodzie bulgoce stopiony plastik. Zrobisz zwarcie.

– Dolać wody? – Ibn Khaldouni był nieobecny myślą.

– Taak... Chociaż nie wiem, czy wystarczy. Lepszy byłby garnek.

– Chcesz to jajko na twardo?

– No, dobrze. Dolej wody.

Rozkrojone, parujące jajko pachniało smakowicie.

– Po bratersku: pół ty, pół ja.

– To lepsze niż kasza – pochwalił Adams. Chłodził poparzony przełyk, wciągając gwałtownie powietrze.

– Pewnie. Trójglicerydy.

– Masz już jakieś wnioski ze swoich dociekań? – Adams zebrał okruchy żółtka poślinionym opuszką.

– Taak. Na razie marnie mi płacą. Te ich pieprzone sycele wolniutko kapią.

– A coś więcej...?

– Uderza dwoistość Europejczyków. Mnie to pachnie synkretyzmem.

Adams uniósł brwi w zdumieniu.

– Nie upieram się przy terminologii. Ale my, no wiesz, Lewantyńczycy, reprezentujemy jedność. Nasze poglądy są spójne. Nie rozdzielamy dwóch spraw. Ale żeby rozdwojenie miało wam dać przewagę...?

– Mówże jaśniej. Nie nadąża półścisłowiec.

– Oj, Adams, przecież wiesz, co wolno tu wypowiadać, a czego nie. Mówię najjaśniej, jak umiem. W ramach reguł.

„Jesteśmy podsłuchiwani...? Co chciał przekazać między słowami?”

– Dobrze. Czuję rozdwojenie, wewnętrzną sprzeczność sytuacji, w której się znalazłem. Trudno mi znieść to wszystko. Też przebyłeś podziemia Watykanu?

– W jakimś sensie każdy musi je przeżyć.

– Znowu nie rozumiem.

– Nie chcę przypadkowo stracić swego stypendium. Zbyt ciekawi mnie temat, by ryzykować. Co powiesz na ciasto pistacjowe?

– Pewnie. Lepsze niż kasza.

– Wszystko jest lepsze niż kasza z zasiłku.

– Odkryłeś w tym mieście coś charakterystycznego wyłącznie dla nich? – Pytanie sformułował

tak, by Ibn Khaldouni mógł wyjaśnić więcej, używając innych słów.

Ten skorzystał z tej możliwości.

– Są tu dwa rodzaje ludzi – wycodził. – Jedni potrafią nazywać, inni nie.

– Jak to...?

– Obserwowałem więzy solidarności spajające mieszkańców tego miasta, by wyłowić, którym z nich przysługuje naturalne szlachectwo duchowe, czy mówiąc twoimi terminami, którzy mają naturalne predyspozycje do sprawowania władzy i ją tu sprawują. Zauważyłem, że właśnie tacy pozbawieni są zdolności nadawania nazw, definiowania. Sam zrób eksperyment. Poproś kogoś, by nadał nazwę czemuś istotnie nowemu. Jeden zdoła, drugi nie. – Na tym skończył i znowu pogrążył się w rozmyślaniach.

– Jedni ludzie są bardziej kreatywni niż inni. To jasne – przerwał ciszę Adams.

– Tutaj niektórzy są organicznie niezdolni do nadawania nazw nowym pojęciom.

– Trudno ci będzie obronić tę tezę na dowolnej konferencji.

– Sprawdź to sam, Adams. A teraz spróbuj syryjskiego ciasta.

Poczta przyniosła urzędowe skierowanie Adamsa do pracy przy zaopatrzeniu miasta.

„To stało się zbyt szybko”, pomyślał. Od rozmowy ze Schrympem upłynęło zbyt mało czasu, aby urząd zareagował. List nosił dzisiejszą datę.

W piśmie podano datę zgłoszenia do wyznaczonej sekcji Ochrony Ludności. Wydrukowano je na brudno wyglądającym papierze z odzysku, tak marnie, że trudno było odczytać niektóre fragmenty. Podpis był bezładnym kłębkim linii, przyciśniętym różową pieczęcią kancelarii przewodniczącego. (Liliane wspominała, jakoby Schrymp wygadywał po pijanemu, że Nero nie jest w stanie się podpisać). Adams nie mógł usłuchać wezwania, gdyż pominięto adres, pod który winien był się zgłosić. Trzeba było czekać na Liliane.

Ibn Khaldouni dał do zrozumienia Adamsowi, że ten jest inwigilowany i że konfidentów można spotkać tu wszędzie. Wyjaśniało to, skąd miejsce w hotelu, skąd nagle tylu znajomych, skąd praca na tutejszym uniwersytecie... Niewątpliwie śledzono każdy jego krok.

Adams nie potrafił powstrzymać się, by godzinami nie oglądać z balkonu ruchliwej ulicy. Wypatrywał tam znajomej sylwetki Liliane. Jedynie wieczorem lub rankiem, gdy było chłodniej, chował się do wnętrza. Obserwowanie było ciekawsze, niż bezczynne wylegiwanie się. Znów gromadziły się chmury ptactwa, co zniechęcało do wypraw po mieście.

Ledwie ucichł hałas werbli trójbarwnej kolumny reklamowej, kiedy Adams usłyszał chrobot klucza w zamku. Właściwie tylko tego wyczekiwał, tkwiąc godzinami na kruchym balkonie, którego teraz jakby nie chciał opuścić.

Dostrzegła go i wyszła za nim. Zmieniła się bardzo. Ognią rude włosy miała zaplecione w dziesiątki cieniutkich warkoczyków, a te z kolei ułożone w misterną fryzurę. Twarz pokrywał blado-sino-blado-różowy wzór tatuażu. Jakieś kwiaty, smoki czy łodygi i liście. W uszach zawiesiła okazałe, misternie obrobione kolczyki. Przekłuła nawet nozdrza i obie wargi. Ale nade wszystko zwracały uwagę kółka przebijające skórę. Na ogół z żółtego, ale i z czerwonego i niebieskiego plastiku.

– Są fantastyczne – powiedziała, kiedy uznała, że Adams już się napatrzył. – A teraz? – Powiodła poprzekłuwany grzbietem dłoni po dłoni Adamsa. – Prawda, że interesujące?

– Zbyt mechaniczne.

– E tam! Nie znasz się.

– Coś zrobiła z włosami?

– To ich prawdziwy kolor. Podziwiaj resztę! – Jednym ruchem zrzuciła długą, czarną pelerynę. Pod spodem była zupełnie naga. Całe jej ciało pokrywały misterne linie tatuaży, układające się w kwiaty, smoki, liście, owady czy łodygi. A na tym wzorze dziesiątki, setki małych obręczy

przekłuwających skórę. Mniejsze z nich wkomponowane we wnętrza większych. Nawet z koniuszków jej piersi zwisały złote kółeczka. – To nic nie boli – upредиła spodziewane pytanie. – Przy zakładaniu w każdym miejscu trwale znieczula się skórę.

– Ależ to makabryczne.

– Gdzie tam. Zaraz spodoba ci się bardziej. Popatrz, można robić na przykład coś takiego... – Ujęła palcami większe kółeczka umocowane na koniuszkach piersi i lekko je pociągając, nieco uniosła piersi w górę, a potem odchyliła na boki.

Adams nadal milczał zdumiony.

– Albo przyjrzyj się tym kwiatom, o...! – Uniosła dłonią pierś, a wymalowany na niej kwiat jakby skulił się, poruszyły się jego płatki. Na ramieniu miała faliście powyginaną łodygę z wielkimi liśćmi.

– Nie jest ci chłodno...? – wolałby, żeby ten spektakl odbywał się w pokoju, a nie na widoku.

Zignorowała jego uwagę.

– O teraz, ten tatuaż! – Poruszyła ramieniem, a liście zafalowały.

– To też tatuaż? – jakoś nie mógł wpaść w zachwyty nad żywym malowidłem, w jakie zmieniała swoje ciało.

– To *acerusy*, rodzaj tatuażu. Okropnie swędzi, jak go wykonują, wywołuje wysoką gorączkę, ale po paru dniach przechodzi.

Zręcznie to wciągała, to wypinała brzusek i przechylała się płynnie na boki. Wytatuowana nieco powyżej pępka jaszczurka, przebierając łapczkami, wspięła się na łodyżkę kwiatu rosnącą między piersiami Liliane. Ta zaczęła lekko uderzać palcami w skórę koło ogonka zwierzątka. Tak poganiana, jaszczurka wspięła się na kwiatek wytatuowany na lewej piersi i wysunęła rozdwojony języczek.

– Dotąd może podejść, dalej już nie – powiedziała, oczekując na uznanie. – Wszystkie te listki, łodygi, owady czy jaszczurki mogą przemieszczać się po mojej skórze. Właściwie nie trzeba się tego uczyć, a ruch wygląda realistycznie.

Adams gapił się bez słowa.

– No, można też tak. – Liliane zaczęła trzeć dłonią pierś ruchami w dół, następnie klepać skórę nad jaszczurką. Wizerunek powoli zjeżdżał, przednie łapki i szyja rozciągnęły się karykaturalnie. Wreszcie opadł na poprzednie miejsce.

– Powiedźże, co ty na to?

– Ale jak możesz chodzić po mieście zawinięta tylko w to czarne prześcieradło...? – wydusił z

siebie.

– No, przecież kółeczka by się pozrywały.

– Sama to zrobiłaś? No, te ozdoby...

– Oczywiście, że nie. Zrobił mi to mistrz fryzjerski. To przecież profesjonalna robota, dzieło sztuki.

– Ale, jakżeż mogłaś... – nie mógł się pogodzić. Nie miał jednak praw do Liliane, chociaż sam je sobie wymyślił.

– Jak śmiesz! – ucięła. – Dzięki naszej rewolucji mogę nie być ci wierna. Przecież zostałam uwolniona i takie tam inne, co mi rewolucja dała...!

– Przecież jesteś ze mną.

– Więc słuchaj, Adams: choćbym miała czterystu kochanków i każdemu z nich każdej nocy rodziła czterystaścioro dzieci...

– Ho, ho, ho... To spore przedszkole...!

– Żebyś wiedział, a chociaż każdej nocy umiera z nich setka, tobie nic do tego. – Jej błękitne oczy płonęły. W miarę jak ciało Liliane rumieniło się od gniewu i podniecenia, spod wytatuowanych roślin wyłaniał się biały rysunek: plamy i pręgi, które ułożyły się w groźną i piękną sylwetkę skradającego się tygrysa. Inne linie upodobniły jej twarz do groźnego kota.

Nagle wypowiedziała niewyraźnie jakieś słowo, rozpostarła szeroko ramiona i wzniosła się w powietrze.

Adams osłupiały wpatrywał się w jej swobodnie szybującą sylwetkę. Nabierała wysokości, leniwie machając ramionami. Frunęła jak zachwycający ptak. Im była dalej, tym wyraziściej rysowały się wspaniałe, tęczowe skrzydła, które ją niosły.

– Liliane! Liliane! – krzyknął z bólem. Właśnie odeszła najpiękniejsza kobieta jego życia.

18.

– Zareagowała gwałtownym sprzeciwem na próbę wywarcia jakiegokolwiek wpływu...? – upewnił się Ibn Khaldouni. – Jakby za wszelką cenę nie chciała okazać ci w czymkolwiek swojego posłuszeństwa?

Adams co jakiś czas przerywał rozmowę pijackim szlochem, ale na ogół składnie odpowiadał na pytania.

– Właśnie tak to wyglądało – powiedział.

– Oni to propagują. Mężczyzna ma być pyszny i samolubny, a kobieta wobec niego nieposłuszna i niewierna. Ona zachowała się jak, telewizyjny wzorzec.

– Ale żeby zwykła sprzeczka... Przecież to naturalne, że się zirytowałem, nie...? Wraca z miasta moja kobieta, a tu okazuje się, że łaźnia owinięta tylko w czarne prześcieradło.

– Była też w butach.

– I w butach. A jakiś facet wytatuował ją całą, łono wygolił, a sutki zaobrączkował...

– Napij się jeszcze, Adams. – Ibn Khaldouni sięgnął do kredensu po butelkę. – Na mój koszt. Odblokuj ci konto, to się zrewanżujesz.

– A ty?

– Ja w ogóle nie piję. Trzymam dla gości. – Pusty smak ryżu zdradził rodzaj trunku.

– I ten tatuaż. – Adams chwiejną dłonią odłożył szklaneczkę. – Jakby na jej ciele wyświetlali film. To wszystko żyło, ruszało się. Fascynujące widowisko. Nie zdążyła mi pokazać, jak lata ten motyl... – rozmarzył się.

– Tatuowane motyle latają marnie – przerwał mu Ibn Khaldouni. – Raz w życiu widziałem takiego, co latał jak żywy. Ale to był wielowarstwowy *acerus*. To potrafią tylko mistrzowie nad mistrzami. Kosztuje fortunę.

– Fortunę...?

Ibn Khaldouni pokiwał głową. – To może być powód zablokowania twojego konta. Adams westchnął żałośnie.

– Wiesz chociaż, jak wykonuje się takie wzory?

– Skądże. Widziałem to po raz pierwszy.

Małe pajęczaki drążą w skórze kanaliki, którymi potem przepływa farba o odpowiedniej lepkości. Wyobraź sobie, jakiego kunsztu potrzeba, aby te kanaliki miały dobry kształt i

odpowiednią głębokość.

– Zmyślne zwierzątka.

– Zwykły świerz – Ibn Khaldouni umiejętnie odwracał zainteresowanie Adamsa od osobistego nieszczęścia. – Bezmyślny pasożyt. To fryzjer musi wykazać się kunsztem. A co dopiero wykonanie wielowarstwowego *acerusu*...

– A ja nie zobaczyłem, jak ten motylek lata.

– Niepotrzebnie ją spłoszyłeś. Po prostu chciała zostać twoją drugą żoną, nie pierwszą.

– A co to za różnica?

– Pierwsza żona służy do rodzenia twoich dzieci, wyłącznie do tego. Ponadto prowadzi gospodarstwo domowe. Druga żona jest do seksu, ma być atrakcyjna, przyozdobiona, śpiewa, tańczy. Ma być bezpłodna. W zamian powinieneś się nią dzielić z innymi, od czasu do czasu. To nie jest wysoka cena za to, że zgodziła się na bezpłodność. Z kolei twoja pierwsza żona musi być wierna bezwzględnie.

– To jest dziwaczne.

– Te dwie role? – Ibn Khaldouni spojrzał na niego badawczo. – Trudno na ogół pogodzić obie role kobiety. Oni byli konsekwentni, rozdzielając je zupełnie.

– Ale mogłem mieć żonę... – Adams rozpaczliwie zamachał rękami. – A na dodatek była dziewicą.

Ibn Khaldouni uniósł brwi:

– Tak nie zachowuje się dziewica.

– Na pewno nią była, chociaż zachowywała się inaczej. A później powiedziała, że wychowuje setki swoich dzieci. – Adams westchnął. – Sam już nie wiem.

– Może umie odzyskiwać dziewictwo. Miałeś ją też innej nocy? – Ibn Khaldouni rzucił mu badawcze spojrzenie. – Czy ona potrafiła nazywać?

– Nie.

– No, widzisz.

– Ty znowu swoje. Nazywać, co nazywać...?

– Tak jak ci tłumaczyłem: nowe przedmioty... nowe pojęcia.

– Kiedyś, jeszcze w labiryncie, prosiła mnie, żebym jej powiedział, jak nazywa się to czy

tamto. – Opuścił ciężką głowę. Terapia Ibn Khaldouniego odnosiła skutek: Adamsowi kleiły się powieki.

– Więc nie umiała. Potem pofrunęła. Sądzę, że należała do tego drugiego rodzaju ludzi, którzy zamieszkują to miasto.

– Liliane należy do drugiego rodzaju ludzi...?

– Tak wynika z twojego opisu. Byty ułożone są w należytą hierarchię: najniżej minerały, potem rośliny, zwierzęta, wreszcie ludzie i byty anielskie. Uważam, że byty sąsiadujące w hierarchii mogą zbliżać się do siebie i upodabniać. W morzu żyją przecież zwierzęta osiadłe jak rośliny. Z twojego opisu wynika, że jest ona przykładem takiego przenikania się dwóch rodzajów bytów. Ale na pewno nie jest to przenikanie się bytu zwierzęcego i ludzkiego. – Spojrzał znacząco na Adamsa.

– Dlatego potrafi latać...? – Adams prowokacyjnie podkreślił dziwaczność wizji. – Co wieczór jest dziewicą. Potem przez całą noc szaleje z setkami kochanków, wreszcie rodzi setki dzieci...?

– A następnego dnia od nowa?

– Skoro umiała latać, może i tamto potrafiła.

– A po tamtej nocy w korytarzach bawi też i moje...?

– To nie jest wykluczone. Miałeś ją dwa razy, to może masz z nią dwoje dzieci albo nawet czterysta – powiedział spokojnie Ibn Khaldouni. Poprawił się na krześle. – Oni zwykle nie afiszują się ze swoimi możliwościami, ale i na ziemi lepiej sobie radzą – mruknął, coraz bardziej zniecierpliwiony pijanym gościem. – Jutro trzeba wstać wcześniej. Oddają nowy most. Warto będzie zobaczyć. Może pojawi się przewodniczący Nero.

Z Ibn Khaldouniego trudno było cokolwiek wyciągnąć, jeśli sam nie miał ochoty tego powiedzieć.

Na szafce nocnej czekało na Adamsa imienne zaświadczenie, upoważniające do przejazdu najkrótszą trasą do nowej pracy, wystawione przez Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia Miasta.

Białawym niebem ciągnęły ciemnoszare chmury. Siąpił drobny deszczyk. Niby nie wart otwarcia parasola, ale po półgodzinie Adams był przemoczony. Za to mżawka wypłoszyła krążące ptactwo. By dotrzeć do tramwaju 10 c, należało pół godziny kluczyć uliczkami. Przystanek wyznaczały sterty nasiąkniętych wodą gazet i porzucone, puste butelki. Dziurawa wiata chroniła przed deszczem.

Wkrótce nadjechał pojedynczy wagon, zatłoczony przemoczonymi pasażerami. Przepelniał go odór zapoconych, parujących ciał. Kontroler złapał kogoś bez ważnego biletu i wrzeszczał na cały głos. Niemal wszyscy pasażerowie legitymowali się zaświadczeniami, ale u zatrzymanego kontroler stwierdził niezgodność między adresem zamieszkania a linią tramwaju, którą jechał do pracy. Pasażer złamał przepis o najkrótszej drodze, drobiazgowo określający, na którym przystanku należy przesiąść się do jakiej linii. Kontroler wypchnął go łokciami na platformę tramwaju i stłukł po głowie służbową gumową pałką. Zakrwawionego gapowicza wykopał z wagonu na najbliższym przystanku.

Linia prowadziła daleko poza miasto. Tramwaj włókł się powoli, trzęsąc niemiłosiernie. Wreszcie zatrzymał się w szczerym polu przy pętli. Na chodniku obok torów stała zbita z desek budka, w której urzędnik Ochrony Ludności rejestrował nowo przybyłych. Stojący w kolejce kandydaci nazywali go *lewtan*. Zatrudniony fasował płócienny fartuch, gumowe rękawice i taczki o białej, plastikowej skrzyni. Adams otrzymał dziesięciocyfrowy numer identyfikacyjny.

W oddali widniała pionowa skalna ściana, której szczyt skrywały zasnuwające niebo niskie, deszczowe chmury. Spytany o nią, marudny *lewtan* burknął, że skała nazywa się Bah Beduka.

Dołączyli do kolejki tragarzy ciągnącej ku szaremu urwisku. Obok biegła druga linia wracających z taczkami wypełnionymi mięsem, które następnie ładowano do ciężarówki. Każdy kolejny tramwaj 10 c dowoził następnych. Pod skałę było dwadzieścia minut marszu. Wśród want Adams ujrzał zwały koziego mięsa. Szare zerwy dolomitu, niknące gdzieś w oparach mgieł, zbryzgane były strugami zaschłej czarnej posoki. Adams, zgodnie z pouczeniem, naciągnął gumowe rękawice i zabrał się do zbierania leżących w trawie i na piargu kawałów mięsiwa. Były starannie rozebrane, niektóre połcie nawet uwędzone. Widać krew opuszczała je, zostając na skale. Płacono od masy przywiezionego mięsa, ale nie należało ładować zbyt wiele, by nie spadło z taczek, bo za brudne liczono czwartą część stawki. Niektórzy tragarze oszukiwali, pluli i przecierali takie kawałki rękawem. Adams starał się wykonać jak najwięcej kursów. Muskulatura osłabiona pracą za biurkiem spowodowała, iż ładował mniej niż zawodowi tragarze. Przy budce mięso ważono, zapisywano i ładowano na ciężarówki-chłodnie.

Pracowali, póki całe mięso nie zostało zebrane. Wreszcie nadzorca zawyrokował:

– To tyle, dzisiaj nam nic więcej nie spadnie. Nie ma na co czekać. Fajerant.

Na koniec czekała przykra niespodzianka: od dniówki odliczono jedną trzecią na koszty prania fartucha.

– Żywność należy przetwarzać z zachowaniem surowych norm higienicznych.

Mimo to Adams zarobił tyle, co za trzy dni stypendium naukowego, a ledwie minęło południe.

Powrotny tramwaj 10 c został zatrzymany przez umundurowanego *lewtana*, który rozkazał wszystkim wysiąść i skierował ich na odbywającą się uroczystość otwarcia nowego mostu na Typhure. Mimo starań funkcjonariuszy tłum był nieliczny.

Rzeka tworzyła nieruchomą brudną maź, na powierzchni której te same śmieci – wydawało się – unosiły się całymi dniami. Kamienny most wykonano z płyt spojonych wapnem. Na szczycie przeszła wymurowano zadaszoną budkę.

Rozbrzmiały donośne werble i przeraźliwe piszczałki. Nadjechała kolumna samochodów, a w jej środku opancerzona zielonoszara ciężarówka. Z jednego z wozów wyprowadzono dziewczynę odzianą w szarą, drelichową koszulę. Skuta kajdankami, usta miała zalepione plastrem.

Z ciężarówki wysunięto na rolkach okazały *mechaniton*: naturalnej wielkości podobiznę nagiej kobiety, wykonaną z brunatnego, matowego kamienia, mosiądzu i stali nierdzewnej. Posąg dzierżył w dłoni wagę szalkową. Krzątający się funkcjonariusze sprawnie nakręcali mechanizm rzeźby. Gdy posąg przygotowano do działania, podprowadzono ku niemu skazaną. *Mechaniton* wyciągnął przed siebie wagę, jednocześnie palcem lewej dłoni przyciskając jedną z jej szalek. Z niewiadomych powodów widzowie nazywali go „karzącym palcem sprawiedliwości”. Dziewczynę rozkuto, podano jej nożyce do strzyżenia owiec.

Sięgnęła ręką, ścięła pukiel ciemnych włosów i położyła na szali. Waga nie drgnęła. Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy ostentacyjnie zerknął na zegarek. Dziewczyna wpadła w panikę, coraz szybciej sięgała po nowe pukiły włosów i ścinała jeden po drugim. Wkrótce na jej głowie prześwitywała goła skóra. Szalka wagi pozostała bez ruchu. *Mechaniton* unosił wzrok wysoko w niebo. Białka jego oczu wykonano z opalu lub chalcedonu. Mleczną bielą odcinały się od ciemnej twarzy. Funkcjonariusze coś podpowiadali skazanej. Dziewczyna szamotała się coraz gwałtowniej. Dotkliwie kalecząc palce, obcinała paznokcie. Milicjanci, w pozorowanym przerażeniu, odwracali twarze od widoku krwi. Głośno wybuchnęli śmiechem, gdy skazana bezceremonialnie zadarła w górę szarą koszulę i zaczęła ścinać włosy z łona. Tłum gapiów oddzielony był od sceny barierą z czerwonej taśmy, ale widzowie napierali na nią, chcąc widzieć jak najlepiej.

Kilkakrotnie w ostrych słowach zwrócono uwagę, że winny zerwania bariery zostanie ukarany, co ostudziło zapal ciekawskich. Wypełniona po brzegi szalka przestała kolebać się na wietrze, jej ciężar zbliżył się do siły nacisku *mechanitonu*. Nagle przez tłum przeszedł krzyk zgrozy: skazana obcięła sobie palec, zaraz potem drugi. I to nie wystarczyło. *Mechaniton*, dotąd przykucnięty, powstał i obrócił się w prawo i w lewo, pokazując, że ciężar dostarczony przez skazaną nie wystarczył do skompensowania wagi karzącego palca sprawiedliwości. Dwóch milicjantów wprowadziło skazaną do celi w domku na szczycie przeszła i przykuło do ściany. Zanim zamurowano drzwi, wynikło jakieś zamieszanie. Z celi dobiegł odgłos ożywionej rozmowy. Jeden z funkcjonariuszy wyjrzał w kierunku *mechanitonu*, a następnie coś szybko powiedział do wnętrza budki. Po chwili wybiegł ze sporym, ociekającym krwią kawałkiem ciała i rzucił go na szalkę. Szalka obniżyła się, palec rzeźby już jej nie dotykał. Funkcjonariusz głośno krzyknął ku celi i pobiegł

z powrotem. Widzowie przyglądali się scenie z rosnącym zainteresowaniem. *Mechaniton* nie przerwał płynnego obrotu. Funkcjonariusz dorzucił drugi kawałek. Szalka wagi opadła bardzo nisko. Zapanowała cisza jak makiem zasiał.

– Wprawdzie szalka opadła, jednak nie do poziomu kolan *Temidonu* – wyjaśnił przez megafon dowodzący funkcjonariusz. – Wkład osobowy nie zostanie zmieniony.

„Przecież kiedy *Temidon* stoi, szalka nie może opaść do poziomu jego kolan”, pomyślał Adams.

Zamurowano drzwi celi. *Temidon* załadowano z powrotem na ciężarówkę.

– Przesadzają z tymi wkładami osobowymi – powiedział stojący obok Adama tego mężczyzna.

– Przesadzają?

– Jasne. Porządny człowiek nie dostanie czegoś takiego, co byle złodziej. A teraz wprowadzili jeszcze te całe *Temidony*, które mogą zmienić w ostatniej chwili wyrok sądu.

– Uniewinnić?

– No, a co innego...? Co wart taki proces, kiedy przestępca sobie zeń bimba?

Adams dowiedział się później, że dziewczyna niekoniecznie została skazana za jakieś przewinienie – mogła zostać odstąpiona urzędowi przez rodziców dla wyrównania zaległości podatkowych lub po prostu losowo wyznaczona przez urząd.

Gdy zabezpieczono wkład osobowy, rozpoczęła się najważniejsza część uroczystości. Otwarto drzwi skrzyni szarozielonej ciężarówki. Wybiegło stamtąd ośmiu tragarzy, dźwigających lektykę z przewodniczącym Nero. Gnali, co chwilę zmieniając kierunek. Przewodniczący życzliwie machał do tłumu krótkim, masywnym, kleszczowatym ramieniem. Zdumiewał rozmiar i kształt jego głowy: wielka, niezwykle długa czaszka, której kształt podkreślały bardzo krótko ostrzyżone włosy, nisko osadzone oczy, patrzące niezależnie od siebie na boki. Niezdarnie się ruszał, gdy kolorowa lektyka podrygiwała nerwowo tu i tam, w konwulsywnej samotaniu. Wreszcie tragarze wbiegli na most.

– Nasz ukochany przewodniczący wszedł na most – oznajmił przez megafon ten sam co poprzednio, wysoki funkcjonariusz. – Tak, tak – kontynuował – zaraz uważni się osobowy wkład w to dzieło.

– Lubię, jak mówi Człekoust – odezwał się grubas. – Jasno i zrozumiale, bez zbędnych ozdobników.

Człekoust był jeszcze młodym, szczupłym mężczyzną. Adamsowi przypominał jednego z urzędników biura zatrudnienia.

– No, Człekoust, nadobywatel Uombocco – grubas powtarzał głośno i powoli, jakby mówił do głupka.

– Tak, Uombocco – powtórzył Adams.

Lektyka zatrzymała się przy celi. Tragarze pochylili ją w stronę świeżo zamurowanych drzwi. Starali się jeszcze bardziej zbliżyć do nich jej pasażera. Uombocco krzepiąco słał zalety przewodniczącego. Jakoś jednak nie następował oczekiwany moment. Adams stał blisko i dostrzegł, jak z lektyki skapnął jakiś płyn.

– Dotknął! Dotknął! Raczyl dotknąć swoją ukochaną dłoń – unosił się w zachwycie Człekoust.
– Most podarował wszystkim do używania. W naszym mieście, gdzie nie ma strażnika mostów. Nie trzeba ich pilnować. Każdy może przez nie przechodzić do woli, nikomu się tego nie zabrania.

Lektyka znalazła się po drugiej stronie rzeki, a następnie powróciła pod celę, gdzie się zatrzymała. W tłumie znów ci sami ludzie bili brawo. Lektyka w nerwowym tanie zbiegła z mostu, a następnie zniknęła na ciężarówce. Kolumna samochodów odjechała na sygnale. Tłum rozszedł się. Niektórzy obojętnie przechodzili nowo otwartym mostem.

„Nie dotknął, tylko zlał się...”, pomyślał Adams. „Dobrze widziałem”.

Przed celą nie było jednak kałuży, jedynie w paru miejscach tłuste plamy na chodniku. Dwóch funkcjonariuszy pełniło wartę przy świeżo zamurowanych drzwiach do celi. Będą tam, póki zaprawa nie stężeje. Potem przeniosą posterunek do drewnianej budki strażniczej na przyczółku mostu. Będą pilnować, by mostu nie zniszczono nieodpowiednim obuwiem oraz aby nie próbował przejść ktoś lekceważący wspólne dobro, czy to strojem, czy skapstwem, czy zachowaniem. Wysokość dobrowolnego datku na utrzymanie mostu ma im zostać ujawniona przed wrzuceniem do skarbonki, jak informowała kartka przypięta do desek budki.

Praca przy zaopatrzeniu miasta w mięso szybko dobiegła końca. Trudno wyłącznie opierać się na dorywczych dochodach. Adams nie miał wystarczających znajomości, aby dostawać tę pracę codziennie. Chętnych było wielu, ale prawdopodobnie stosowano tu system karencji. Wielokrotne wizyty w Ochronie Ludności kończyły się bezskutecznie.

Ślad Liliane urwał się. Nie miał nawet kogo o nią rozpytać. Trudno było przekonywać, że dziewczyna rozpostarła ramiona i odfrunęła. W niektóre dni, kiedy niebo było bezchmurne, potrafił wypatrzyć jej smukłą sylwetkę śmigającą w przestworzach. Czasem mylił ją z jaskółkami, gdyż jakby niosły ją skrzydła uformowane z mgły i obłoków, jednak zwykle ich tęcze barwy pozwalały ją rozpoznać. Ona spoglądała z oddali. Nawet łamała krzywą lotu, by zwolnić i przyjrzeć się mu lepiej. Ta ledwie widoczna sylwetka w przestworzach była dla niego gwarancją, że śni ten sam sen, w którym wielokroć zasypiał i budził się.

Konto Adamsa pozostawało zablokowane. Odkrył jednak, że niektóre banki pozwalają mu podjąć niewielkie kwoty na utrzymanie. Nie dziwiło go to specjalnie. Ostatecznie mieściło się w regulach snu.

Jedynym człowiekiem, któremu Adams powiedział o Liliane, był Ibn Khaldouni. Twierdził on, że Liliane bezpowrotnie przepadła. Niestety, mrukliwemu badaczowi nie chciało się uzasadnić tego twierdzenia.

Wynikła sytuacja irytowała Adamsa coraz bardziej. Podczas kolejnej wizyty w Sekcji Planowego Zatrudnienia nie wytrzymał i poskarżył się.

– Ten staż został przerwany – wygarnął urzędnik. – Przewodniczący Nero nie jest już zainteresowany wynikami waszych badań.

– O niczym takim nie poinformowano mnie, gdy zablokowano moje konto.

– To generalna zasada wszelkich umów. Jako oczywiste, nie wpisuje się tego w ich tekst. Przewodniczący Nero zawsze może podjąć taką decyzję.

– Więc co powinienem teraz zrobić?

– Na przykład spytać swojego *terofim*.

– Nie mam *terofim*.

– To niedobrze. Warto mieć własne *terofim*. Nawet jeśli poprosi pan o radę cudze, to i tak nie ma gwarancji, że udzielona porada będzie trafna.

– Gdzie mógłbym kupić *terofim*?

– Tego się nie kupuje. Własne można otrzymać tylko ze swojego syna, najlepiej pierworodnego.

– Ja nawet nie wiem, kto mógłby mieć coś takiego.

– Kogo wy właściwie tu znacie...? – burknął urzędnik i nie czekając na odpowiedź, zerknął do kartoteki. – No tak, Bedel Schrymp nie ma. Liliane to nie dotyczy.

Adams spojrział na niego badawczo. Jasne, przecież jeśli ona fruwa nad miastem, to więcej ludzi widzi ją na niebie. Logika snu była mocna, nie chciała tak łatwo pęknąć. Kusiło go, by spytać, dlaczego Liliane pofrunęła. Co też odpowiedziałby siedzący przed nim twór imaginacji?

– Jest tu jeszcze Falzarote – znalazł urzędnik. – Poznaliście go na przyjęciu u Schrympa.

Adamsowi stanęła przed oczyma chuda gęba modnisia.

– Proszę zaczekać – powiedział urzędnik. Podniósł słuchawkę. Rozmowa nie była długa.

– Pan Falzarote chętnie udostępni swoje *terofim*. Dziwi się, że pan go jeszcze nie odwiedził, Adams. Jeśli mógłbym jeszcze w czymś pomóc: Ciaken. Moje nazwisko Ciaken.

Adams podniósł się z krzesła. Zwykły czas przyjmowania interesanta już dawno minął. Przedłużenie rozmowy, jak i forma używana pod jej koniec, świadczyły o życzliwości urzędnika, jednak liczba przyjmowanych każdego dnia była ściśle ograniczona, Adams z kolei nie miał ochoty oberwać od rozwścieczonych interesantów, którzy nie zostaną dzisiaj przyjęci.

21.

Falzarote potrafił dbać o siebie: znowu na twarzy czterodniowy zarost. Falzarota przycupnęła w kącie z dzieckiem przy piersi. Dziewczynka miała ponad pięć lat; z pewnością matka nie karmiła jej już piersią, ale widać taki tu zwyczaj, aby pierwsza żona prezentowała tak gościom dziecko. Mała, miętoląc w ustach brodawkę, siedziała spokojnie, nie hałasowała. Matka z łagodnym uśmiechem tuliła główkę dziewczynki. Uderzała posągowa uroda Falzaroty, nie przeszkadzało, że w smudze wpadającego światła połyskiwało jej wygolone ciemię. Karen nie było.

Falzarote zaprowadził Adamsa do pokoju, w którym na ścianie wisiało *terofim*. Była to główka o zniekształconych rysach, jak trofeum myśliwskie przymocowana do drewnianej podstawki.

– Oczywiście, nie ujawnię ci jego imienia – powiedział i podał Adamsowi krążek z złotego metalu. Ten bezradnie oglądał prezent.

– Nie rozkręcaj go – powiedział Falzarote. – Wsuń mu pod język i padnij na twarz.

Język *terofim* uginał się pod naciskiem, przypominał wyprawioną skórę. Krążek dał się podeń wsunąć. Za przykładem gospodarza Adams przyklęknął na podłodze, pochylając twarz do ziemi.

– Co teraz...? – mruknął.

– Zaczekaj na mój zaśpiew, potem zadaj pytanie – rzekł Falzarote i zanucił niezrozumiałe słowa.

– Co powinienem zrobić? – Adams czuł się nieswojo, zwracając się do dziwnego przedmiotu.

Na chwilę zapanowała zupełna cisza.

– Przyszedłeś, więc idź dalej – rozległ się szept.

Albo Falzarote był brzuchomówcą, albo dźwięk dobiegł od główki ze ściany.

– Adams, nie podnoś teraz wzroku – syknął Falzarote.

– Którędy iść...?

– Tylko jedno pytanie...! – gniewny głos gospodarza. – Miało być tylko jedno pytanie.

– Tym samym, co przyszedłeś, nie takim samym – znów ten szept.

Falzarote był wściekły. Kiedy odczekali stosowną chwilę (gdyż wyrocznia mogła jeszcze coś dodać) i powstali, krzyknął:

– Miało być tylko jedno pytanie! Ciaken to zastrzegł!

Adams spróbował przeprosin, ale wychodziły marnie, bo nie rozumiał za co. Czy powinien zaproponować rekompensatę pieniężną? A może to jeszcze bardziej rozwścieczyłoby gospodarza?

Falzarote nie przestawał krzyczeć.

Przed wyrzuceniem uchronił Adama powrót Karen. Zawinięta w czarną chustę, oblamowaną białymi, bogatymi koronkami, pachniała intensywnie ziołami. Falzarote uspokoił się. Nawet poproszono Adama do stołu. Falzarota podała kozią pieczeń w winie.

– Nigdy dwa pytania. Nie można przemęczać wyroczeni. – Gospodarz dzielił mięso na porcje. – *Terofim* zamilknie na miesiąc lub nawet dwa. Co zrobię, pozbawiony porady?

Mięso było niezłe, ale zapach owocowego, cuchnącego drożdżami wina pozostał.

– Zrobienie *terofim* nie jest trudne, ale musisz spełnić parę reguł – powiedziała Karen, lekko rozsuwając chustę, żeby zauważyli, że nie ma nic pod spodem. Piersi miała tatuowane w kwiaty, podobnie jak to sobie kazała zrobić Liliane. – Przede wszystkim powinien to być twój syn, najlepiej pierworodny.

Odpowiedziała uśmiechem na zdumione spojrzenie Adama i dodała:

– Jest przecież sporo kobiet, które urodzą dla ciebie dziecko za rozsądną opłatą.

– No, tak. – Mięso pieczone w winie uderzało do głowy jak alkohol.

– Musisz jego głowę moczyć w solance, żeby wyszedł nadmiar wilgoci. Potem gotować w oleju i przyprawach – powiedział Falzarote. – Nie za długo. Przyprawy zakupisz w odpowiednim sklepie. Następnie dasz mu bardzo wolno wyschnąć. Takie *terofim* zawsze podpowie, co powinieneś zrobić.

– Wiesz, Adams ma rację – powiedziała Karen. – Na swoje *terofim* musiałby czekać przez parę lat. Syn musi podrosnąć. *Terofim* nie może być z niemowlęcia.

– Od zaraz możesz sprawić sobie *manu* – powiedział Falzarote. – Chociaż to jest mało dokładna wyrocznia.

– Niedokładna?

– Odpowiada tylko „tak” lub „nie”.

– A jak działa?

– To jest zasuszona ręka dziewczynki. Wsadzasz ją do oliwy zmieszanej z octem. Kiedy zgina się, znaczy „tak”, kiedy prostuje, „nie” – Falzarote pokiwał głową. – Rzeczywiście, jesteś w marnej sytuacji. Na razie możesz nadal korzystać z naszego *terofim*. Oczywiście, jak znowu przemówi. Tylko jedno pytanie za każdym razem.

Potem Karen zdjęła chustę i tańczyła. Adams znał już tajniki ruchomego tatuażu. Chodzące jaszczurki i liście powiewające na wietrze oceniał chłodnym okiem znawcy. Karen nie była tak pięknie zbudowana jak Liliane, a jej tatuaż był gorszej jakości. Adams uznał, że również ona należy do drugiego rodzaju ludzi.

Właściwie, podczas wizyty u Falzarote stracił dobrą okazję, by wypytać o Liliane. Jeśli potrafiła fruwać, to i inni ludzie drugiego rodzaju musieli być do tego zdolni, więc nie powinno to zszokować ani gospodarza, ani jego żon.

Może wściekłość Liliane już minęła? Skoro w Rzymie ze snu panował zwyczaj posiadania dwóch żon, w tym jednej tatuowanej, do bawienia siebie i gości, to Liliane jawiła się tu jako idealna kandydatka. Należy respektować reguły snu. Jednak myśl o zabiciu własnego syna w przeznaczaniu na (skuteczną nawet) wyrocznię napawała obrzydzeniem. Przepowiednię *terofim* zignorował, wynikało z niej wszystko, co się pomyśli. Wydawało się nawet, że jej druga część przeczy pierwszej.

Nieoczekiwanie poinformowano go, że na cały tydzień roboczy dostał pracę przy zaopatrzeniu miasta w mięso.

Mgła sięgała niemal do ziemi. Gdzieś w szarym tumanie ginęły postrzępione żebra skały.

– Bah Beduka mocno dymi – zauważył robotnik fasujący taczki w kolejce przed Adamsem i poczęstował go papierosem bez filtra.

Adams nie palił, ale we śnie można jednego spróbować. Poczul w ustach wstrętny smak. Wyjątkowo podły gatunek.

– Bieleń – przedstawił się niski, siwiejący mężczyzna o szerokiej, przyjemnej twarzy z węglistymi oczami, twarzy poorlynej głębokimi zmarszczkami.

– Zleje się z tego na popołudnie? – zagadnął Adams.

– Nie sądzę. Czasem taka mgła stoi i kilka dni. – Mężczyzna zaciągnął się.

– Dobra praca – zauważył Adams.

– Dobra, ale się wkrótce skończy.

– Skończy?

– Dostawy idą partiami. Słyszałem, że już napełnili chłodnie. Przykre, pieniędzy nadal mu brakowało.

– Długa będzie ta przerwa?

– Czasem przez miesiąc nic nie spadnie.

Po powrocie do hotelu jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że w pokoju nastąpiła zmiana. Niby wszystkie rzeczy były ułożone tak samo, ale zbyt równo i porządnie, notatki starannie posegregowane. Zeszyty leżały grzbietami wzdłuż, a ołówek równoległe do boku biurka. W

powietrzu unosił się ślad jakiegoś zapachu.

„Logika snu: rzeczywistość nieznacznie, lecz stale się zmienia”, wytłumaczył sobie. Już wcześniej zdarzało się, że po powrocie z miasta jego pokój hotelowy wyglądał nieco inaczej: te same przedmioty, ale ich układ jakby nieznacznie zmieniony.

Jednak w popielniczce tlił się niedokładnie zakiepowany niedopałek.

„Kretyn”, pomyślał z pogardą o swojej przenikliwości. „Zwyczajnie przeprowadzono u mnie czystą rewizję ze śladem”.

Trudno przypuszczać, aby fachowcy przegapili niedopałek. Papieros bez filtra, niewiele wypalony. Adams odciął popiół i zapalił z drugiego końca. Wstrętny smak papierosa, którym poczęstował go Bieleń. A może się myli? Przecież nie pali.

Ibn Khaldouni był u siebie.

– To zwykła sprawa – skwitował. Próbował sączyć kawę spod białej pianki parowanego mleka.
– U mnie przeglądają notatki średnio co dwa tygodnie. Czasem chcę, żebym o tym wiedział, czasem usiłują to ukryć. Ja wiem o tym zawsze. Mój sposób to mole i okruchy leżące na wybranych fragmentach tekstu. Wierne, zawsze zmieniają położenie w czasie przeszukiwania. No, chyba że wywiadowcy podnoszą stronę po stronie, trzymając je poziomo. Ale któremu funkcjonariuszowi chciałoby się pracować z taką pieczołowitością...? – rzucił Adamsowi uradowane spojrzenie. Właśnie udało mu się wdrzeć pod piankę. – Tylko że trzeba pamiętać, na którym zdaniu leżał taki mól. To kłopotliwe dla przeciętnie roztargnionego...

– Po co to robią?

– Rutyna. Przewodniczący Nero powinien wiedzieć, co myśli każdy piśmienny obywatel.

– Nero...?

– Oczywiście usłyszysz to z ust Uombocco. A ile wykorzysta z tej informacji, to tylko on sam wie...

– Ależ to gwałci elementarne zasady demokracji.

– Demokracja – Ibn Khaldouni wyduł wargi. – Kiedy wyprzedzaliście Wschód, nie było u was demokracji. Nie ona była przyczyną waszego przyśpieszenia.

– Nie daje ci to spokoju.

– Bo jako wzór uznałem kiedyś państwo Orientu. Nie pomyślałem nawet, że Europa jest w stanie dogonić cywilizacyjnie Wschód. I wygłupiłem się. Inna sprawa, że to były pionierskie badania, brakowało materiału zebranego przez prekursorów.

– Mnie też zdarzały się wpadki – mruknął Adams.

– Również praktyka inwigilacji nie miała wpływu na wasz rozwój. Już Tyberiusz robił to znakomicie, a mimo to rzymskie struktury nasyciły się w rozwoju i upadły.

Teraz nie było szans dowiedzieć się więcej o praktykach milicji przewodniczącego Nero. Stary potrafił na temat swoich badań mówić godzinami.

– Ale żeby dodać do naszej kawy akurat parowane mleko... – Ibn Khaldouni skinął głową z uznaniem.

W głowie Adamsa zaświeciła nadzieja.

– Ale to myśmy wydoskonalili naukę o destylacji i wrzeniu... – Ibn Khaldouni wychylił duszkiem swoją kawę.

Zapowiadała się obszerna analiza porównawcza Rzymu i Lewantu.

23.

Schrymp ponownie zaprosił do siebie Adamsa. Znowu ciasny stół. Nieoczekiwanie znalazł się tam też Bieleń.

– Przyjaźnimy się od lat – wyjaśnił gospodarz.

– Świat jest mały – powiedział z uśmiechem Bieleń. – Ja rozpoznałem pana na podstawie relacji Bedela. Tylko palenie się nie zgadzało.

„Wypaliłem przy nim papierosa, więc skąd Bieleń wie, że nie palę?”, pomyślał Adams. „To jednak sen: ja jestem tu centrum świata”.

Schrympa przyprowadziła nowy nabytek, którym gospodarz chciał się pochwalić: pawia z dwiema głowami i trzema ogonami. Imponująco piękne zwierzę nieustannie skrzeczało, a głowy dziobały się nawzajem.

– Musisz uważać – zauważył Bieleń. – Z wydziobanymi oczami nie przedstawia żadnej wartości.

– Sporo kosztował? – zapytał Adams.

– O, tak. To rzadkość. Zwiększają prawdopodobieństwo, nasycając jajko różnymi chemikaliami, ale nigdy nie wiadomo, co się wykluje.

– Można kupić kapturki zasłaniające oczy. Wtedy głowy przestają się dziobać.

Logika snu wymaga, aby goście twojego mózgu znali twe myśli, wiedzieli więcej, niż im powiedziałaś. W drugą stronę tak nie jest: sami zaskakują cię swoimi uwagami. Ich za to można śmiało pytać.

– Dlaczego przyszedłeś sam? – Schrymp szedł śladem myśli Adamsa. – Myślałem, że ta blondynka to twoja druga żona.

– Chciałbym, żeby nią była. Liliane odfrunęła, nie wiem, co się z nią dzieje.

– Liliane kto? – włączył się Bieleń.

– Nie wiem. Po prostu Liliane.

– Nie powinno się pozwalać kobietom na coś takiego.

– Trudno jej było zabronić. Odfrunęła.

– W przenośni. – Bieleń uśmiechnął się.

– Nie. Dosłownie.

– Pan żartuje, ludzie nie fruują.

– Rozłożyła ręce jak skrzydła i odleciała niczym ptak.

– Powiedziała coś?

– Tak. Ale niezrozumiałego.

– Ach, tak.

– Może jest rodzaj ludzi, którzy umieją latać?

– Ach, to też...!? – Bieleń spojrzał na niego badawczo.

– Potrafisz sugestywnie fantazjować – zauważył Schrymp.

– Tak czy owak, bardzo chciałbym z nią porozmawiać – Adams zignorował jego uwagę. – Widzisz, rozstaliśmy się podczas niepotrzebnej sprzeczki. Myślę, że chciała zostać moją drugą żoną, ale ja tego nie zrozumiałem w porę.

– Jeśli pozwoliłeś jej odejść, to wróci tylko wtedy, kiedy sama będzie miała na to ochotę.

– Może nie wracać, jeśli nie chce, ale chętnie bym z nią porozmawiał. Chociaż telefonicznie.

– Numery telefoniczne obywateli są ich prywatną tajemnicą – powiedział Bieleń. – Musiałbyś dotrzeć do samego Człəkousta. On mógłby uchylić ten zakaz.

– Dałoby się to załatwić?

– O, cha, cha, cha... – Bieleń roześmiał się w głos. – Sam bym tego chciał. Ten tu Schrymp latami kupuje osobliwości, tworzy dzieła sztuki anatomicznej, w nadziei, że zostanie kiedyś wyróżniony zaproszeniem.

– Nie obraż się, Adams, ale jesteś naukowcem, który w dodatku stracił pracę – powiedział Bedel. – A nie jest tajemnicą, że Człəkoust nie przepada za naukowcami. On pasjonuje się sztuką.

– Może nie będzie tak źle – powiedział Bieleń. – Człəkoust przepada za ciekawymi opowieściami. Jeśli opowiesz mu naprawdę zajmującą historię, nie odmówi niczego.

– Historię?

– No, relację. Ciekawą, ale prawdziwą. Opowieść o przygodach, historię życia, coś w tym stylu.

– Mogę mu sporo opowiedzieć. Byle chciał słuchać.

Na brak pieniędzy nie narzekał. Za pracą naukową jeszcze nie zatęsknił. Odkąd uświadomił sobie, że śni, działał śmieiej. Ostatecznie, to on formował otaczającą rzeczywistość oraz decydował o wszystkich wydarzeniach.

Nie zaproszony wybrał się do Falzarote. Przyjęła go Karen. Odniósł oczywiste we śnie wrażenie, że spodziewała się jego przybycia. Gospodarza nie było. Rozmowa toczyła się o niczym.

Falzarota usiadła przy oknie i nuciła miłym, niskim głosem jakąś pieśń. Wyraz niezwyklej słodyczy zdobił jej twarz.

Karen parzyła w garnuszku liście i łydugi. Po pokoju rozchodził się bardzo mocny, ziołowy zapach.

– Jeszcze parę grzybków. – Uśmiechnęła się.

Skruszyła w dłoniach jasnobeżową hubę i dorzuciła kawałki. Rozszedł się ciepły odór butwiejącego drewna.

– Dbam o siebie. – Spojrzała z wyższością na Falzarote. – Rzygoliczne świństwo. – Skrzywiła się, ale wychyliła cały kubek. – Właściwie jestem już tak dobra, że mogłabym tego nie pić.

Karen była młodsza, niż wyglądała. Ostry makijaż i bukiety kwiatów wytatuowane na skroniach zmieniały jej twarz w pozbawione wieku malowidło. Listki i łydźki bukietów wiły się za policzkami, opadały na szyję, aż znikwały za dekoltem. Zauważyła jego zainteresowanie, więc kilkakrotnie na jej twarzy pojawił się grymas. Płatki delikatnie zafalowały, a listki poruszył jakby leciutki wietrzyk.

– Ładne?

– Tak.

– Liliane miała ładniejsze malowidło?

– Nie zdążyłem dokładnie obejrzeć.

– Naprawdę ładny *acerus* kosztuje furę pieniędzy.

Karen pachniała jakimś olejkiem lub perfumami. Intensywnie, ale przyjemnie.

– Zgadza się. Wyczyściła mi konto.

– Udało ci się ją odnaleźć?

– Nie. Od nikogo żadnej wskazówki, jak jej szukać.

– Jestem przekonana, że jeśli naprawdę mocno będziesz chciał, to odzujesz Liliane.

Adams zrobił minę, która zdradziła, że nie będzie. Uśmiechnęła się, jakby właśnie tego się spodziewała.

– Gdzie Falzarote? – spytał.

– Poszedł.

– Poszedł?

– Tak. On i jego *terofim*. W parę dni po twojej wizycie.

– To przecież już ponad tydzień temu!

– Jedenaście dni – Karen nie wydawała się przejęta nieobecnością męża. – Zostały jego *rujsze*.

– *Rujsze...?*

– Całkiem dobry zbiór. Prawdziwe *rujsze*.

– Dlatego z taką ironią oglądałaś warsztat Schrympa?

– No, wiesz... nie miał ani jednego. Chciałbyś zobaczyć nasz zbiór? – pytanie było retoryczne.

Adams rozsiadł się wygodniej. Falzarota przyniosła dzbanek ze wspaniałą suchą gałązką: wyrosła jak otoczona aureolą. Rozgałęziające się łodyżki łączył nieregularny ścieg, jak brzeg wachlarza łączy jego promienie.

– Piękna roślina – zauważył Adams.

– To *rujsz* jelitowy. Wyjątkowo cenny. Bardzo trudno go wyprzebarwić. Chcesz zobaczyć inny?

– Tak.

Falzarota uśmiechnęła się mile. Jej twarz wyrażała teraz uroczą bezradność. Przyniosła okaz przypominający przystrzyżony krzak bez liści.

– To *rujsz* wątrobowy – powiedziała Karen.

– Zakonserwowany system krążenia wątroby...? – wreszcie zrozumiał.

– No, tak. *Rujsz*.

Gałązki miały gładką powierzchnię. Grzały dłoń. Jakaś żywica czy tworzywo.

– On pozostawił po sobie najpiękniejszy okaz – powiedziała. – Ale tego nie da się przynieść.

Chodź.

Falzarota poprowadziła go do niewielkiego pomieszczenia. Przyglądał się jej dokładnie. Była piękna: wysoka, smukła, o długiej szyi, foremnych, wąskich dłoniach i długich palcach. Jej uroda rzucała się w oczy mimo wygolonej głowy. Przyniesioną lampą wyraźnie oświetlała osłonięty ciemną tkaniną posąg, a następnie nieco teatralnym gestem zrzuciła zeń zasłonę. Adams ujrzał szkielet opleciony misterną płataniną, jak zwiewna mgiełka dająca pojęcie o kształtach kobiety, której resztki mieli przed sobą.

– To jest kompletny *rujsz*.

– Domyśliłem się.

– Inez – Falzarota odezwała się dźwięcznym, niskim głosem.

– Tak. Falzarote kupił ją specjalnie po to. Najpierw kurował ją i odżywił przez cały rok – powiedziała Karen.

– Inez była bardzo pięknie zbudowana – kontynuowała Falzarota. – To widać z tego *rujsza*.

– Jej twarz nie była tak piękna jak ciało. – Karen wzruszyła ramionami. – Idealny materiał na kompletnego *rujsza*.

– Asystowałam jej przy ostatniej kąpieli – powiedziała Falzarota.

Adams zrobił zdziwioną minę, więc Karen wyjaśniła dokładniej: – Trzeba spuścić krew w gorącej kąpieli, bo zimne ciało źle przyjmuje tworzywo. Falzarota kąpała ją pół dnia, rozmawiała, żegnała. Tkanka rozgrzała się znakomicie i teraz podziwiasz te wszystkie mgiełki naczyń włoskowatych.

– Lubiłam Inez. Chciałam, żeby pozostała piękna. Falzarota delikatnie otuliła imponującego *rujsza* ochronną tkaniną. Adams przytrzymał lampę. Wrócili do jadalni.

– Zatańczyć dla ciebie?

Znał już taniec Karen. Domyślił się, z czego wynika jej zainteresowanie jego osobą. Niestety, nie chodziło o jego atrakcyjność.

– Za chwilę. Obawiasz się, że Falzarote nie wróci?

– Po jedenastu dniach? – Zrobiła okrągłe oczy. – To niemożliwe, żeby wrócił.

Przekaz był jasny: Adams mógł za jednym zamachem zaopatrzyć się w dom i dwie żony, wymagane w tym śnie.

– Dlaczego wziął *terofim*?

– Myślałam, że to w wyniku twojej przepowiedni.

W kącie łysa Falzarota zabrała się do karmienia niemowlęcia.

– Akurat z jej powodu?

– Ależ na pewno, starannie szukali jego *terofim*.

– Nawet nie potrafiłbym powtórzyć, co usłyszałem od wyroczni.

– Coś ty...? Poważnie? Przecież to jest najważniejsze.

– No, wiesz... – plątał się. – Lepiej zatańcz.

Jej taniec był długi, zmysłowy. Pomagała sobie, to dzwoniąc kastanietami, to bijąc w bębenek, to dmąc we fletnię. Umiała śpiewać, stale tańcząc, i nie łapać przy tym zadyszki. W przerwie na parę łyków wina przypadła do niego. Łagodnie ugryzła w płatek ucha i powiedziała:

– Jestem tam ciepła, sucha i ciasna, nie tak jak ten posąg: zimny, wilgotny i rozciągnięty. – Wskazała głową na Falzarotę.

Taniec Karen zakończył się na kolanach Adamsa. Przez cały czas siedząca w kącie Falzarota przypatrywała się badawczo swojemu (prawdopodobnie) nowemu mężowi. Adams początkowo nie zwracał na nią uwagi, w zupełności zaabsorbowany przez Karen, której skóra, w miarę jak różowiała, coraz wyraźniej ujawniała inny wzór: biały rysunek pręg kota czy tygrysa, jednak Falzarota intrygowała go coraz bardziej. Tym bardziej że podczas karmienia tak rozsunęła poły szaty, aby mógł zobaczyć piękną pierś.

Karen natychmiast to zauważyła, pomogła mu wstać i podejść do obojętnej piękności. Sama zachęcała, by zainteresował się ciałem Falzaroty.

Adams ujął w dłoń pierś Falzaroty. Gdy delikatnie przejechał palcem wokół brodawki, wyciekła kropelka mleka.

– Nie tak... – syknęła Karen i powiedziała coś do niej szeptem.

Ta wyszła. Po chwili wróciła odziana tylko w sarong zawinięty od pasa do kolan. Miała zgrabne, smukłe ramiona, wąską kibić z lekko zaznaczoną wypukłością brzuszka i długie nogi. Niosła tacę, którą podtrzymywała swoje obfite, podłużne piersi niby egzotyczne owoce. Wyróżniały się na nich duże, ciemne brodawki. Falzarota spokojnie podeszła do Adamsa i zatrzymała się przed nim. Karen zaczęła mu szeptem zachwalać zalety piersi i opisywać fakturę skóry, jednocześnie dotykając i lekko przesuwając biust leżący na tacy.

Adams znów spróbował sięgnąć, jednak Karen przytrzymała jego rękę. Najpierw podała mu do wypicia w zrobionym z czaszki pucharze słodkie wino o mocnej, cierpkiej goryczce. Rzeczywistość zafalowała. Adamsowi wydało się, że mógłby bez trudu wznieść się w powietrze.

– Ach, aż tak cię wzięło...? – parsknęła. – To będzie udany wieczór.

Z reszty pamiętał niewiele, jedynie jeszcze rano kołatała ironiczna uwaga Falzaroty: „Ona jest w środku taka niezwykła, ponieważ wpycha sobie tam ziemię obszczaną przez kozła, a na dodatek w trakcie pieszczot po kilka razy niepostrzeżenie suszy sobie ją od środka szmatką. Czasem potrafi pół dnia włóczyć się po łąkach, szukając szczającego kozła. Stale gorączkuje przez tę ziemię, dlatego jest taka blada. To jej cała tajemnica”.

Rano, wracając do hotelu, Adams rozmyślał nad swą obecną sytuacją. Dom i dwie żony mocno zakotwiczyłyby go w tym śnie. Pięknym i dziwnym, trwającym bez końca. „Sen, który się nie kończy, to śmierć. Może już umarłem...”, pomyślał.

Karen nie była bohaterką tej nocy, nawet nie sprawdził, jakiego rodzaju jest ona człowiekiem, choć białe pręgi na jej twarzy sugerowały drugi. Nie tak piękna, jak Liliane, ale tu nie uroda była kryterium, lecz zdolność nazywania.

Tej nocy miał w ramionach gorący lód: pozornie chłodny, żywy posąg, długonogi i smukłobiodry. Pozbawiona własnego imienia, Falzarota raczej nie była człowiekiem drugiego rodzaju, choć gdyby jej skóra się zaróżowiła, może zarysowałby się na niej wizerunek białych pręg tygrysa.

Swój pokój hotelowy zastał kompletnie zdemolowany. Po podłodze walały się kartki notatek i rozrzucona bielizna. Rozpruto nawet kanapę. To nie była czysta rewizja.

Ledwie zdążył zorientować się w bałaganie, gdy ujawnili się funkcjonariusze. Czekali na niego na balkoniku. Dwóch wywiadowców w cywilu. Jednym z nich był Bieleń. Adams nie próbował złościwości. Oni zresztą też nie.

– Zostaniecie przewiezieni do Ochrony Ludności celem starannego przesłuchania, Adams – powiedział Bieleń.

– Jest jakiś nakaz czy wyrok?

– Dajcie spokój. Tak ma być. Wziąć ze sobą szczoteczkę do zębów i mydło.

Przed bramą czekała furgonetka-chłodnia z truskawkami i bananami wymalowanymi na blaszanej skrzyni.

– Do tego mam wsiadać? Przecież zamarzną.

– Nie utrudniajcie. To zwykła suka.

Nie skuli go. Mocno trzymał się drewnianej ławeczki, kiedy wóz podskakiwał na kocich łbach lub wpadał w dziury w asfalcie. Aresztowanie było nowością w tym śnie. Bez wątplenia aresztowanie, chociaż słowo to nie padło jeszcze ani razu. Mogło to być związane z ujęciem Falzarote. Gdyby chociaż wiedział, co ma ukrywać, aby go ochronić. Był mu winien jakąś wdzięczność, skoro przespał się z jego żoną.

Na komendzie skuli go i zostawili na korytarzu. Nie kazali długo czekać. Wprawdzie w kolejce przed nim było jeszcze wielu ludzi, niektórych przykutych do krzeseł, ale Adama zabrano przed nimi.

Za biurkiem siedział Ciaken. Nieokreślonym ruchem wskazał mu krzesło. Obok usiadł

nadzwiadowca Bieleń, który przyprowadził Adamsa.

– Mam nadzieję, że nie dziwi was moja obecność? – zagaił Ciaken.

Nie dziwiła. Naturalnie wynikała z obowiązującej logiki snu, według której te same postacie pojawiają się obsesyjnie często, choć w różnych rolach. Oczywiście z wyjątkami: Karen nie była podobna do Liliane, Falzarota nie przypominała Schrympy.

– Nie spodziewałem się tu ani was, ani Bielenia – odpowiedział zgodnie z oczekiwaniem rozmówcy.

– Nadmierne rozdrabnianie funkcji urzędów zmniejsza ich skuteczność. – Ciaken pokiwał głową. – Ochrona Ludności obejmuje wszystkie sprawy obywateli. Nie trzeba przenosić akt z pokoju do pokoju... – Machnął ręką. – Zresztą i tak nie dość *lewtanim* do tych wszystkich obowiązków.

Adams skinął głową na znak, że rozumie.

– Będziecie zeznawać?

– Tak.

Mógł przecież powiedzieć wszystko. Jakie znaczenie może mieć ujawnianie swoich myśli postaciom ze snu, czyli po prostu innym swoim myślom...? Pytanie, czy te zeznania mogą zaszkodzić Falzarote, było dziwaczne, nie wiadomo nawet, czy postawione sensownie. Jednak intensywność tego, co przeżył z Liliane czy Falzarotą, wcale nie przypominała zmyślenia sennego.

Ciaken wyjrzał przez okno. Ulewa nie słabła. Na suficie sali formował się spory zaciek.

„Komenda miejska nie jest szczerze dotowana”, pomyślał złośliwie Adams.

– Znowu zacina na podłogę – powiedział Ciaken. Wyjrzał jeszcze raz i zamknął okiennice. Deszcz załomotał o deski.

– Bieleń, protokołujcie.

Tymczasem Bieleń usiłował zapalić lampę na biurku, naciskając obluzowany przełącznik. Wreszcie żarówka rozblęsnęła.

– Imię i nazwisko – powiedział Ciaken.

– Przecież wiecie.

– Odpowiadajcie szczegółowo na użytek przesłuchania.

– Nazywam się Humphrey Adams, Jr.

– U nas tłumaczy się imiona cudzoziemców. Bieleń, zapiszcie „Onofrio” przez długie „o”.

Zawód?

– Historyk kultury śródziemnomorskiej, doktor.

– Po co przybyliście do Miasta pod Skałą?

– Dostałem trzyletni kontrakt na stanowisku profesora na waszym uniwersytecie, La Sapienza Jeden.

– Którym?

– La Sapienza Jeden.

– Czy tak rzeczywiście jest, Adams? – Ciaken spojrzał na niego poważnie.

– Nie mam najmniejszego powodu, żeby was okłamywać. Są tu przecież dwa uniwersytety.

– Jesteście tego pewien, Adams? – Rysy twarzy Ciakena stwardniały.

– Okłamywałeś kiedyś swoje marzenie senne?

– To nie jest sen, Adams.

– Tak, ja nie jestem snem. A w Rzymie są dwa uniwersytety. Od pierwszego z nich dostałem stypendium profesorskie.

– Jak się tu dostaliście?

– Przez furtkę. Zwyczajnie. Sami wiecie, Ciaken, bo jesteście częścią mnie – prychnął Adams.

– Opiszcie to swoimi słowami.

– Furtką przed Via Vittorio Pisani.

– Którędy?

– Przed Via Vittorio Pisani.

– Zanotowaliście, Bieleń?

– Tak jest, obywatelu przodowniku.

– Dlaczego się dziwicie, Ciaken? – wtrącił się Adams. – Nie znacie tej ulicy?

– Właśnie nie.

– Via Vittorio Pisani jest krótka, ledwie parę sklepów i knajpek.

– Tak dokładnie znacie wszystkie ulice?

– Oczywiście, że nie. Tę pamiętam.

– Co było dalej?

Adams zrelacjonował wędrówkę przez labirynt korytarzy. Ciaken słuchał, Bieleń starannie notował. Potem opisał spotkanie z Liliane, wreszcie wyjście z drzewa.

– I my mamy wam wierzyć, Adams? – przerwał mu Ciaken.

– Tak, bo to prawda.

– Twierdzicie, że Liliane pofrunęła?

– Kiedy wróciła od mistrza fryzjerskiego z nowym tatuażem. Nazwała go *acerus*.

– Powiedziała, jak nazywał się ten mistrz?

– Nie zdążyła. Pokłóciliśmy się.

– Przecież to stek wymysłów!

– Ileż razy mam powtarzać, że nie muszę kłamać w swoim własnym śnie...?

– To nie jest sen, Adams. Adams parsknął śmiechem. Ciaken westchnął.

– Dobrze, Adams. Sami tego chcieliście. – Skinął na Bielenia. Przyniesiono jakąś aparaturę. Funkcjonariusze założyli elektrody na przeguby dłoni i na skronie Adamsa.

– Wykrywacz kłamstwa? – zapytał Adams.

– Na pewno też. Ale przede wszystkim rozwiewacz wątpliwości. Przyłóżcie napięcie, Bieleń.

Jasny błysk, i straszna fala bólu przeszła przez głowę Adamsa. Nie zdołał powstrzymać krzyku.

– Nadal myślicie, że to sen?

Adams wydobył z siebie jedynie nieartykułowany bełkot.

– Jeszcze się waha. Druga seria.

Głową Adamsa szarpnęła kolejna salwa bólu.

– Aaaa! – wrzeszczał. Usta nie chciały się zamknąć.

– Nadal macie wątpliwości?

– Niee... Już nie. No, więc co, jeśli nie sen? – dodał.

– Dalsza część rzeczywistości. Akurat wam tak się ujawniła. Inni też ją poznają, przy innych okazjach. Będziecie z nami współpracować?

– Jeśli to pomoże w zrozumieniu mojej sytuacji.

– Bieleń, zdejmijcie mu te przewody.

– Jestem gotów do współpracy, ale oszczędźcie Falzarote.

– Co?

– Zwolnijcie Falzarote.

– Został zatrzymany, bo nie chciał powtórzyć, co *terofim* wam powiedziało.

– Ja też nie pamiętam dokładnie.

– Jesteście osłem, Adams.

– Skoro tak słyszę...

– Trzeba pamiętać słowa *terofim*. Choćby po to, żeby powtórzyć Człekoustowi. Jego ciekawia słowa *terofim*. Wyprowadzić aresztanta.

Adams snuł się po celi jak szczur po klatce. Takie natężenie bólu przebudziłoby umarłego. Logika snu też nie tłumaczyła wszystkich wydarzeń. Podobieństwa i refleksy myśli Adamsa, desperacko wyszukiwane w innych ludziach, po staranniejszej analizie okazywały się przypadkowe.

Mógłby próbować bronić znanej wersji świata, zakładając, że we śnie, w sobie znanym celu, tajne służby wywiozły go z Rzymu gdzieś daleko, do jakiegoś miasta na Bliskim Wschodzie (może do zamkniętego od wieków Nagranu...?), może w Europie Wschodniej (tu trudno wskazać takie miejsca). Skąd jednak choćby ten sam język...? Taki styl życia...? Trudno to byłoby jakoś wyjaśnić, nawet zapominając o pięknej jak sen Liliane fruwejacej pod obłokami.

Trzeba pogodzić się z faktami i uznać, że rzeczywistość okazała się inna, niż znał ją z codziennego doświadczenia, i inna niż to, czego go uczono. Gdzieś pod Rzymem wiodło przejście do niezwykłej części rzeczywistości. Przypomniały się słowa Harrisona: „Świat, w którym żyjesz, jest bardziej zdumiewający, niż myślisz. Choć trójwymiarowy, ty możesz w nim wykreślić figurę nawet nieskończenie wymiarową, pod warunkiem, że będzie to tylko mały jej fragment”, to mówiąc, wykładowca rysował wiele kresek na tablicy. „Powiesz, że to pokraczny model?”, Harrison odwrócił się ku studentom, a jego łysina przeświecająca spod przypominających ptasi puch, siwych włosów przestała rzucać odblask. „Może pokraczny, ale nieskończenie wymiarowy, a ty na co dzień myślisz, że żyjesz tylko w trzech wymiarach...” Właściwie to Harrison zniechęcił go do matematyki, ale tego wykładu Adams nie zapomniał, a słowa nielubianego profesora powracały w nieoczekiwanych momentach.

Ochoczo zgłaszana chęć współpracy, którą deklarował marzeniom sennym, przestawała być oczywista, kiedy proponował ją żywym ludziom, których interesy przecież na ogół były sprzeczne z jego własnymi.

Ciąg dalszy przesłuchania nastąpił wkrótce. Bez elektrowstrząsów czy innych tortur – zwyczajnie, urzędowo. Adamsowi założono teczkę. Ciaken zaglądał do niej w trakcie przesłuchania.

– Jak zapisywaliście bramki kolejnych korytarzy?

– Przecież, powiedziałem to już poprzednio.

– Jesteście tego pewni?

– Tak. Ale ja tu stale odpowiadam na pytania. Może wyjaśnicie mi wreszcie, co się tu dzieje, skoro to wszystko nie jest snem!? – odegrał wybuch zniecierpliwienia.

– To nie jest proste. Właściwie nie wiem, ile mi wolno powiedzieć bez kontaktu z Człəkoustem.

– Cokolwiek. Jakieś wskazówki. Wasze domysły. – Adams bezradnie poruszył dłońmi. – Może to mnie naprowadzi na ciekawe spostrzeżenia. Jeśli mam wam pomóc...

– Podejrzewamy, że istnieje słowo-klucz, skrywające wyjaśnienie.

– Co to za słowo?

– Ciaken milczał.

– To zadzwońcie do Człekousta. Może pozwoli.

– Myślicie, że to takie łatwe: „zadzwońcie do Człekousta”. – Wykrzywił usta, przedrzeźniając Adamsa.

– Jeśli to ważna sprawa, Człekoust odpowie. Może nawet porozmawia osobiście.

– Jest niezwykle ważna. Nie ma wątpliwości.

– Wydzwaniajcie więc raz za razem.

Trudno spotkać oficera-wywiadowcę tak dalece wytraconego z wyuczonej rutyny. Ciaken posłusznie wykonywał polecenia aresztanta. Znow rodzily się podejrzenia, że to sen.

Ciaken raz za razem wykręcał sekwencję cyfr. Wreszcie wyprostował się i zaczął szeptać do słuchawki.

– Słowo-zagadka brzmi: „Silvestere” – powiedział.

W słuchawce rozległ się krzyk, słyszalny nawet na parę metrów. Ciaken wyprężył się jak struna.

– Tak jest, nadobywatelu komendancie, jestem idiota!

Adams uważnie przyglądał się tej scenie.

– Tak jest. Powiedzieć mu wszystko, bo to nic nie zmieni – Ciaken jeszcze przez chwilę potakiwał.

– Doszedłem tutaj według tego słowa – powiedział Adams. Ciaken uniósł brwi.

„Według tego słowa” mogło znaczyć więcej, niż Adams wiedział. Nie należało budzić domysłów śledczego.

– Wybierałem zawsze furtkę zapieczętowaną lub oznaczoną imieniem „Silvestere”.

– Liliane ci to podsunęła?

– Nie. To dlatego, że napis wyróżniał drzwi.

Ciaken znow raportował do słuchawki. – To jest wszystko, co chcieliśmy wiedzieć – powiedział do Adamsa.

Adams spojrział na niego z niepokojem. „Co powiedziałem niepotrzebnie?”, pomyślał. „Co im niepotrzebnie podsunąłem?”

– Jeszcze taki test. – Ciaken napisał na kartce: „plpll”, dokładnie tak, jak Adams wcześniej oznaczał wybierane kolejne drzwi, a obok drukowanymi literami: „silvestere”. – Potraficie to powiązać ze sobą?

Adams przyjrzał się uważnie. Oczywiście, że potrafił. Natychmiast zauważył pułapkę tkwiącą w przypisaniu. Nie było powodu, żeby o tym mówić Ciakenowi. Jeśli należy on do ludzi mających kłopoty z nazywaniem, może i z zagadkami słownymi radzi sobie gorzej.

– Dwa szeregi różnych liter. Nie widzę tu reguły.

Wikt aresztancki był podły. Chleb, kasza ze skwarkami i przesłodzona herbata. Na dodatek posiłki przynoszono nieregularnie. Z początku Adamsowi kajdanki zdejmowano tylko do jedzenia, po trzech dniach go rozkuto. Godziny wypełniało oczekiwanie na posiłek.

Z ulgą więc przyjął wiadomość, że sprawę przejmuje osobiście Człekoust. Przesłuchania prowadzone przez Ciakena nużyły. Niezbyt przenikliwy śledczy w kółko zadawał pytania z kilku zestawów. Rozmowy z Człekoustem mogły wnieść wiele nowego. Dzięki torturom na pierwszym przesłuchaniu Adams definitywnie porzucił fałszywą hipotezę snu, a to zrodziło szereg nowych pytań.

Do Człekousta przewieziono go tą samą suką-chłodnią w truskawki i banany. Szczeliny wentylacyjne były zbyt wąskie, by widzieć, któredy jada. Blaszaną budę otwarto na dziedzińcu zamkniętym ze wszystkich stron. Ciakena i Bielenia zmienili inni strażnicy. Wiedziono go długimi korytarzami pozbawionymi okien. W niektórych cuchnęło zgnilizną. Po drodze zauważył nie uprzątniętego zdechłego psa. W innym z korytarzy na ścianach widniały okazałe wykwyty pleśni. Pieczęci „Silvestere” na furtkach nie było.

Kilkakrotnie zmienili się prowadzący go strażnicy, za każdym razem rewidując go pobieżnie.

„Niby tyle ostrożności, profesjonalne służby, a zdechłych psów nie uprzątną”, pomyślał Adams.

Przed wejściem do pokoju przesłuchań pouczono go, że ma powstać na powitanie Człekousta, a następnie siedzieć nieruchomo, z rękoma ułożonymi wzdłuż ciała.

Na środku pomieszczenia ustawiono masywne, drewniane biurko. Blaszanę szafę niknęły w jego tle. Oprócz rozrzuconych papierów, jedyną ozdobą biurka było blaszane ptaszysko o czarnych piórach. Stojący przy drzwiach strażnik zaplótł ramiona i oparł się o ścianę.

Adams przełknął ślinę. Nigdy wcześniej nie poznał tak wysokiego dygnitarza. Wszedł szczupły mężczyzna w średnim wieku. Adams widział go już podczas uroczystości otwarcia nowego mostu. Był to kędzierzawy brunet o świetliście zielonych oczach. Śniada twarz pocięta była głębokimi zmarszczkami, podkreślającymi drapieżność rysów.

„Takie oczy mogą hipnotyzować tłumy...”, pomyślał Adams.

– Proszę siadać – rzucił Uombocco. – Mam tu aż nadto powstających rozmówców. Niechże pan usiądzie, profesorze Adams.

Aresztant przycupnął na drewnianym taborecie. Uombocco usiadł za biurkiem.

– Jakże się panu podoba w moim mieście?

„Trzeba sporo tupetu, by tak mówić o mieście przewodniczącego Nero...”, pomyślał Adams. „Widać, jak wielkie ma tutaj wpływy...” Nieoczekiwanie sposób zachowania Uombocco wzbudzał sympatię.

– Trafiłem do pięknego miasta.

– Pięknego? Pochodzić po nim trochę, a zaraz wyjdzie na jaw cały tutejszy syf. – Uombocco coś zanotował. – Tak jest wszędzie, nawet w moich biurach. Nie da się dopilnować należytego sprzątnięcia przez te dziwaczne spory kompetencyjne.

– Miasto ma swój nieodparty czar i wdzięk.

Akurat tu mnie Michał zrzucił. – Urzędnik wzruszył ramionami.

– Trochę miejsca między kamieniami pod skałą. Ot, taki skrawek przy Moście. A Strażnik Mostu silny, nie...? – Pokiwał głową. – Czuję tę siłę – odpowiedział sam sobie.

– Świetna metafora: „między kamieniami” – ośmielił się ocenić Adams.

– Tak, między kamieniami, tam, gdzie mięso dla mnie spada. Dawniej na całym terenie było więcej want. Moi musieli to uprzątnąć, aby dało się poprowadzić ulice.

– Piękne pomniki, sklepy z pięknymi przedmiotami.

– Ostatecznie, jeśli ja potrafię najpiękniej zdobić kobiety, to i moje miasto powinno być najpiękniejsze.

– Kobiety w tym mieście wyglądają jak kwiaty.

– Co druga.

– Ale sztuka zdobienia kobiecego ciała sięgnęła tu niebywałych wyzyn.

– I to bez żadnych potworności, prawda? Bez przyszywania nosów do rąk, bez pompowania piersi, warg i brzuchów silikonem czy powietrzem. Ale to i tak jeszcze nie jest to, czego chciałbym – machnął ręką. – Mało pojętni są ci moi fryzjerzy. A przecież mając lepsze wyniki, zarabialiby więcej.

Adams musiał przyznać mu sporo racji. Stwierdzenie, że w Rzymie już od dawna nie przyszywano nosów do ramienia, nie podważyłoby trafności tej wypowiedzi.

Żelazny ptak rozdziawił dziób i poruszył skrzydłami. Uombocco wyjął z szuflady pudełko i podał mu kawałek mięsa. Ptaszysko połknęło kuta. Rozszedł się zapach zgnilizny.

– Musi skruszeć! – wyjaśnił z uśmiechem Uombocco. Zapalił mocną żarówkę, kierując ją w oczy Adamsa.

– To jednak przesłuchanie, więc niechże się pali. – Rozsiadł się w fotelu.

Adamsa już po chwili piekły spojówki. Co chwilę tarł oczy kulkami. Uombocco nie zabronił mu tego.

– Znaleźliście już tu kobietę na stałe?

– Wcześniej nie związałem się z żadną. Tutaj spotkałem Liliane.

– Tak... wiemy.

Umbocco podniósł teczkę z dokumentami.

– Mam tu sporo relacji z tej znajomości. Zarówno to, co sami mówiliście do innych, cudze opinie, jak i wyniki naszych poszukiwań i analiz. Żadnych sensownych wniosków.

– Pofrunęła. W pogodne dni czasami można ją wypatrzeć szybującą w przestworzach.

– Tak. Konsekwentnie powtarzacie tę samą wersję we wszystkich relacjach. Tu nie ma wątpliwości. Ale... nie piliście przed tymi wizjami? Nie braliście prochów?

– Nie. Wtedy myślałem, że śnię, i akurat to nie wydało mi się bardziej dziwaczne niż reszta otaczającej rzeczywistości.

– To też wiemy. Przodownik Ciaken meldował o tym szczegółowo. Sądzę, że obecnie najrozsądniej będzie umorzyć postępowanie w sprawie Liliane. Chyba pogodziliście się z jej stratą...?

Adams zwiesił głowę.

– Odwiedziliście przecież żony Falzarote.

– Chciałem usłyszeć, co nowego powie *terofim*, ale *terofim* już tam nie było.

Umbocco nie drażył tematu. Wystarczyło jedno zdanie, świadczące, jak dokładnie kontrolowany jest Adams.

– Pamiętacie, co rzekło *terofim*?

– Ogólny sens był taki, że powinienem nadal iść swoją drogą, ale dokładnie słów nie pamiętam.

Umbocco pokręcił głową.

– Czyli tutaj pozostać. Taki był sens tych słów, prawda...?

– Chyba tak.

– A co powiedziała Liliane, wzbijając się w powietrze? – rzucił znad notatek.

– Nie dosłyszałem. Mówiła bardzo cicho.

– Spróbujcie sobie przypomnieć. To ma dla nas znaczenie.

– Już mnie o to pytało. Wielokrotnie próbowałem odtworzyć w pamięci całe zdarzenie, ale tego słowa nie dosłyszałem wyraźnie ani nie zrozumiałem.

„Jeśli Liliane pofrunęła tylko dzięki wypowiedzeniu słowa, to warto znać to słowo”, pomyślał. „Jeżeli światem sterują mechanizmy wprowadzane w ruch odpowiednimi słowami, to warto poznać jak najwięcej słów-wytrychów”.

– No, dobrze – powiedział Uombocco. – Starczy tego przesłuchania. – Wyłączył lampę.

Adams przyjął to z ulgą. Oczy piekły, zdążył je zatrzeć.

– Kawy czy herbaty?

– Kawy.

Uombocco zadzwonił dużym dzwonkiem na wysokiej drewnianej nóżce. Pojawił się urzędnik w szarym garniturze. Uombocco wskazał dłonią na szklanki. Urzędnik wkrótce wrócił z tacą, niosąc pachnącą kawę zbożową. Postawił przed Adamsem spodek gestem nie pozostawiającym wątpliwości, że wyświadcza wielką, zupełnie niezasłużoną łaskę.

Uombocco skwitował zachowanie urzędnika uśmiechem.

– Adams – powiedział, kiedy milczący arogant zamknął za sobą drzwi – jesteś uczonym, profesorem. Weźmiesz udział w eksperymencie naukowym?

– Psychologicznym, socjologicznym?

Kawa była mocno osłodzona. Adams nie lubił zbożowej bez mleka, a tym bardziej przesłodzonej.

– Raczej biologicznym czy antropologicznym.

– Nie mam ochoty.

– Nie obawiaj się. Tobie nic nie grozi. Adams odsunął kawę.

– Co to za eksperyment?

– Do ciebie będzie należało tylko wejść do pokoju i patrzeć. Reszta będzie dziać się sama.

– To znaczy?

– Jeśli przewidywania się potwierdzą, powstanie kobieta. Idealna kobieta dla ciebie.

– Jak to: powstanie? – Adams nie miał żadnej ochoty oglądać czyjejś kopulacji.

– Sam nie wiem. Tak powinno się zdarzyć.

- Brzmi nonsensownie.
- Tylko brzmi. Ma sens, którego nie mogę ci ujawnić.
- A jak powstanie jakaś paskuda?
- Będzie to znaczyć, że potrzebowałeś brzyduli.

W miarę jak Adams pokonywał kolejne setki metrów i kilometry wzdłuż ścian swojej celi, propozycja wzięcia udziału w eksperymencie wydawała się coraz mniej zachęcająca. W mieście, gdzie pierwotnych przeznaczają się na ścienne wyroczone, a w nowo oddanych mostach zamurują dziewczyny, uczestnictwo w eksperymencie naukowym stwarza rzeczywistą groźbę. Anonimowy przybysz jawi się idealnym kandydatem na królika doświadczalnego: brak rodziny, niewielu znajomych...

Okrążenia pojedynczej celi były coraz szybsze. Kto się za nim ujmie? Ibn Khaldouni, który nawet nie zauważył, że Adama aresztowali? Przerazona niepewną przyszłością Karen? Czy może Liliane wylądować na parapecie Uombocco i upomni się o swojego kochanka? Sytuacja wyglądała beznadziejnie.

Wkrótce dwaj niscy, barczyści funkcjonariusze poprowadzili go na kolejne przesłuchanie, a właściwie szkolenie przed eksperymentem. Tym razem przodownik Ciaken asystował Uombocco.

– Nie zgodzę się, jeśli ten eksperyment jest niebezpieczny dla mnie – powiedział Adams, ledwie go posadzono.

Zdziwiony Uombocco spojrzął na Ciakena.

– Podpisaliście zgodę, Adams – powiedział przodownik.

– Zmieniłem zdanie. Odmawiam udziału, jeśli eksperyment grozi utratą życia.

– Wasze życie już od dawna przestało należeć do was – wycedził Ciaken.

Oczywiście! To jest wyjaśnienie dziwaczego położenia. O ileż to gorsze niż sen. Adams nie żyje. Jest po drugiej stronie. Może zmarł z głodu w podziemiach watykańskich; może zginął w wypadku, zanim jeszcze do nich dotarł. Poczul gorycz i smutek: taka jest ta druga strona...? Powieki przykro zaswędziały.

– Popelniliście szereg przestępstw finansowych. Od wielu banków wyludziliście pieniądze, niekiedy w znacznej kwocie.

Adams spojrzal nieprzytomnie na Ciakena.

– Ach, to...? – zachnął się. Ledwie pamiętał epizod, kiedy po utracie Liliane, pomimo zablokowania konta, w niektórych bankach wypłacano mu drobne kwoty.

– Tak, tak. Właśnie to. Potwierdzonych machinacji wystarczy, aby was przeznaczyć na wkład osobowy do kolejnej inwestycji oddawanej dla mieszkańców naszego miasta. Za parę dni na przedmieściach otwieramy most nad jedną z bocznych odnóg Typhure. Nie wymaga wkładu osobowego, ale wzniesie się stosowną celę – przyjrzał się badawczo Adamsowi. – Natomiast udział w naszym eksperymencie uwolni was od kary.

Adams nie odezwał się słowem.

Musiał podpisać zgodę na filmowanie całego eksperymentu. Zamierzano go przeprowadzić w zamkniętym pomieszczeniu, pokoju, którego rozkładu Adams miał nauczyć się na pamięć. Poznać wszystkie wyjścia, dźwignie uruchamiające kamery oraz jak ustawiać się, by nie zniknąć z pola widzenia obiektywu. Na czym wolno stawać, których miejsc unikać, bo dotknięcie grozi wyładowaniami elektrycznymi – przypominało to poruszanie się po gęstym polu minowym, na którym w sporych miejscach od siebie były miejsca wolne od zapalników.

Adams poddawał się wymogom procedury z pokorą nabytą w czasie własnej pracy badawczej. Ciaken, będący teraz jego oficerem prowadzącym, nie szczędził wyjaśnień. Poświęcał godziny na testy i wielokrotne odpytywanie. Wreszcie gdy uznał, że Adams został należycie przygotowany, a poruszanie się po pokoju nie grozi jego śmiercią ani kalectwem, dostali zgodę Człekousta i przystąpiono do eksperymentu.

Adams otworzył drzwi i wszedł, nadal nie wierząc własnym oczom. Znalazł się w ogrodzie, ale niezwykajnym. Ciekły w nim liczne strumienie. Jednak nie tworzyły błota, klucząc pośród równej, choć niestrzyżonej murawy; ich dno zaścielał biały piasek lub drobne kamyki przypominające perły. Rosły tu przeróżne kwiaty, ale jakby zakomponowane: te wyżej, te pośrodku, te na samym dole. Roślinność formowała zielony dach nad głową, niewyraźnie zarysowany, bo wszystko ginęło w przyjemnej mgle. Było ciepło, lecz nie duszno, jak w szklarniach. Adams podziwiał kompozycję kolorów kwiecia. To nie mogło być przypadkowe.

Nagle rośliny zaczęły śpiewać. Wysokimi tonami, niemal umykającymi możliwościom ucha. Adams uważnie przyjrzał się kielichowi jednego z kwiatów. Łatwo zrozumieć, dlaczego potrafił śpiewać: zmienione płatki stanowiły kanał dźwiękowy i zgrabną komorę rezonansową. Z pewnością ogrzane powietrze, unosząc się tędy, wydawało takie dźwięki.

„To jasne. Coś takiego musiało powstać w wyniku ewolucji...”, pomyślał. „One tak wabią ptaki, które je zapylają. Dziwne, że wcześniej nie słyszałem o kwiatkach mających takie możliwości”.

Jednakże śpiew ten przestał przypominać zbiór pięknych, choć przypadkowych dźwięków. Dźwięki następowały seriami, stały się uporządkowane. Jakby kwietna orkiestra nastroiła instrumenty. Adams wkrótce zagustował w tej harmonii.

„Harfa, pociągnięcia dłoni harfistki”, pomyślał. „Niby muzyka płynącej wody. Jasne, jak to powstało w toku ewolucji: tak reagują na intruza. Akurat teraz na mnie”.

Podrapał się w potylicę. – „Moja obecność spowodowała wydzielanie substancji, które od kwiatka do kwiatka przenoszą sygnał o wyzwoleniu dźwięku. Wszystko to rezultat ewolucji”.

Gdy znalazł uzasadnienie dla tej niezwykłości, spokojnie podziwiał śpiew. U niektórych była to tylko melodia, u innych przypominał on pieśń wykonywaną w nieznanym języku przez chór.

„Te wabią papugi...”, wyjaśnił sobie.

Zamyślony i zdumiony tym, co zobaczył, cofnął się i zamknął drzwi za sobą.

– No co, co jest...? – Przdownik Ciaken podniósł zmęczone oczy znad pulpitu sterowniczego.

W odróżnieniu od ogrodu, w pokoju laboratoryjnym panował zaduch – powietrze, które przeszło już przez dziesiątki gardeł.

– Nie, nic. Tam jest pięknie.

– Wracacie?

– Oczywiście, Ciaken.

Znów był w pokoju. Nie mógł oderwać wzroku od kwiatów. Niektóre z nich poruszały się łagodnie. Płatki innych jaśniały punkcikami światła.

„Te są zapylane przez nocne owady...”, domyślił się. „Przecież każda ćma nawiguje tak, że w końcu zawsze trafi w punktowe światło”. Rzeczywiście, punkciki przesuwają się od obrzeży ku środkowi kwiatu; u innych jarzyły się pręciki czy słupek. Ależ odmiany tu zgromadzili... Takich sposobów wabienia przez kwiaty łatwo się było domyślić. To znakomita animacja, chociaż takie kwiaty po prostu mogą istnieć... Ich kształt i działanie jest logiczne i celowe”.

Muzyka kwiatów przestała przypominać melodię harfy: stała się znacznie bardziej złożona – grały tęskną melodię.

„Ta pieśń pasuje do ogrodu, do chwili zamyślenia. To musi być wynik ewolucji nakierowanej na człowieka. Widzę rośliny z przyszłości, czy co...?” Zawahał się.

W ogrodzie zaczął padać deszcz, dziwny w swoim pięknie. Zwilżał tylko wyciągnięte dłonie, lecz nie ciekł na głowę jak zwykły. I to obojętnie, gdzie się stało. Adams sprawdził to, przechodząc w różne miejsca pokoju. Stał wyłącznie na punkty wytyczone przez Ciakena i innych ekspertów. Iluzja była znakomita, kwiaty fascynowały pięknem, przelatywały kolorowe papugi, kolibry, rajskie i inne ptaki lub motyle o skrzydłach jak płatki kwiatów. Niektóre papugi i motyle zmieniały kolor skrzydeł w trakcie lotu. „Eksponują różne fragmenty piór”, wyjaśnił sobie. „Motylom jest jeszcze łatwiej. Ich barwy to przecież ledwie selektywnie odbijana część światła. Drobną zmianą struktury łusek na skrzydle i kolor inny. Zaraz zmyli atakującego drapieżnika”. I rzeczywiście, zauważył, że niektóre z motyli zmieniają nie tylko barwę, ale i deseń na skrzydłach: pojawiały się tam i tęcze pasy, i pastelowe plamy, i pawie oka.

Nie było tu nieznośnych, gryzących gzów, utrapionych much czy kłujących łydki cierni.

„Jasny dowód iluzji całego zjawiska...”, pomyślał.

Adams stanął przy mniemanej ścianie. Deszcz się nasilał. Jego strużki tworzyły niteczki ciągnące się od murawy usianej kwiatami do góry, do zawsze, bo ich migoczące kolumny niknęły gdzieś we mgle.

„Mógłbym spędzić tu wakacje”. Powietrze pachniało. Deszcz zwilżał skórę, gdy tylko Adams zechciał i wyciągnął rękę ku srebrzystym nitkom.

„Usiąść tu ze szkicownikiem i próbować oddać chociaż detale”.

Z jednej ze strug deszczu utworzył się jakby stalagmit o znacznie szerszej podstawie. Nie mógł przecież powstawać z samej wody, więc musiały osadzać się na nim cząstki pyłu niesionego przez deszcz. Rzeczywiście: uchwycona ręką strużka dżdżu pozostawiała ciemne drobinki.

Obok zaczął rosnać drugi, bliźniaczo podobny obelisk. Adams podszedł i lekko dotknął ręką. Kość czy co...?

Oba stalaktyty przypominały stojące na szkielecie stopy kości piszczelowe; cieknąca łagodnym łukiem strużka uformowała kości strzałkowe. Adams patrzył zdumiony, jak zmieniający się kierunek strugi osadził w pół minuty gałki przypominające rzepki kolanowe. Żelowata, kleista substancja, pewnie naniesiony il czy glina, nie pozwalała im opaść na ziemię. Rysunek kości śródstopia stawał się coraz bardziej wyrazisty. Woda wypłukiwała niepotrzebne zbryłowacenia.

Ruchliwe jak żywe istoty, strużki deszczu mineralizowały się w dwóch rosnących szybko kościach udowych. Jeden z motyli spróbował usiąść na powstającej strukturze, ale struga zmyła go natychmiast, bezradnie machającego jednym skrzydłem, bo drugie już nie mogło odkleić się od wody. Adams delikatnie podsunął palec nieszczęsnemu lotnikowi. Motyl otrzepał się jak mokry psiak i wystartował z palca.

„Jakiś specjalnie przystosowany gatunek”, zauważył Adams. „Motyle inaczej suszą skrzydła”.

Miednica powinna być niemożliwa do uformowania przez ściekające strugi. Jednak najpierw wytworzyły się dwa skrzydła, gdy ciekąca z mniejszym impetem woda rozpryskiwała się w pióropusze na szczytach kości udowych; następnie oba rozrosły się na boki, a wreszcie połączyły w jedną całość, którą natychmiast zaczęły rzeźbić znów żywsze strugi wody.

Nad nimi zgrabnie wznosił się sinusoidalnie wygięty stalagmit, prototyp kręgosłupa.

Prędkość depozycji minerałów jest przecież znacznie mniejsza... Nawet jeśli zgodzić się, że przypadkowe zmiany kierunku cieków potrafią nadać osadowi kształt kości szkieletu ludzkiego. Ale tutaj czas płynął jakby szybciej, chociaż motyle latały leniwie, a wietrzyk ospale poruszał liśćmi. Adams zauważył winorośl oplatającą pień jakiegoś drzewa. Zerwał i skosztował granatowych gron: dojrzałe i słodkie. Nie potrafił powstrzymać się i zjadł całą kiść. Pestki chował do kieszeni. Nie wypadało pluć nimi w tym ogrodzie.

Strugi deszczu to osadzały, to rzeźbiły kolejne przybywające fragmenty kośćca. Odkąd zrozumiał wzajemne współdziałanie modelowania i rzeźbienia, uważnie, ale chłodno obserwował działanie inteligentnego deszczu. Patrzył, jak tworzy się pas barkowy, jak szybko rosną stalaktyty ramion, przedramion i dłoni.

Nie było sensu liczyć prawdopodobieństwa właśnie takiego działania strug wody, intuicja

mówiła, że poprawność kształtu i bezbłędna symetria zdławią je do zera.

„Chyba tę animację kręcono od tyłu... Rozpuszczając kości w jakimś kwasie...”, pomyślał.

Wkrótce kompletny szkielet patrzył pustymi oczodołami. Był nieco niższy od Adamsa; kości spajała kleista substancja, już twardsza i sztywniejsza.

Adams czekał na ciąg dalszy widowiska. Na razie powstała mineralna makieta szkieletu, możliwe, że wykonana z identycznego surowca jak oryginał. Nawet deszcz przestał padać, jakby nadchodził kolejny akt dramatu.

Tym razem zaczął prószyć śnieg. Okazałe, pierzaste płatki wolno, leniwie opadały, gromadząc się wyłącznie na szkielecie. Jednocześnie pociekł perlisty, czerwony deszcz, nie krew, bo ciecz była przejrzysta. Skosztował parę schwytych kropli: smakowały jak wino. Białe płatki osadzały się w niektórych miejscach szkieletu, przesiąkały czerwonym deszczem. Formowały się z nich to bulwiaste kształty narządów wewnętrznych, to podłużne pasma mięśni, to napięte powierzchnie błon.

Adams, zachwycony spektaklem, zaczął bić brawo.

Rysowały się już wyraźnie: serce, żołądek, wątroba, a różowe pasma mięśni opłotły kończyny. Zauważył, że surowiec nie marnuje się: śnieg niesiony wietrzykiem osadza się wyłącznie na powstającej postaci, deszcz spada tylko na nią, a jego nadmiar zawsze zdąży wsiąknąć, zanim ścieknie na murawę. Schwycił w dłoń spory płatek: nie był zimny, nie stopniał. Adams skosztował – smakowało jak ośrodka chleba.

Wzdrygnął się – przecież zaingerował w niezrozumiały proces. A jeśli spowodował nieodwracalne szkody? Niepewnym ruchem przytknął resztkę płatka do postaci. Płatek spłynął z padającym deszczem.

Proces następował etapami: chwilami zwalniał jakby po to, by Adams mógł dokładniej przyrzeć się dziełu. Tak stało się, kiedy otrzewna ujęła narządy wewnętrzne, gdy w pełni uformowała się muskulatura, a na Adamsa patrzyły pozbawione jeszcze powiek gałki oczu; tak było, gdy całe ciało pokryła żółtawa warstwa tłuszczu podskórnego.

Wreszcie zesypała się równomierna warstwa śniegu, która zwilżona, wygładziła się w jednolitą warstwę skóry. Przed Adamsem stała łysa i naga kobieta. Była bezbłędnie zbudowana, ale zupełnie bez włosów – jak piękna rzeźba. Po chwili jej głowę i wszystkie miejsca, które kobieta ma owłosione, pokrył delikatny meszek. Włosy, falując, rosły nader szybko. Te na głowie już wkrótce długie, jasne i proste, te z rzęs lekko podwinięte, te jeszcze inne – skłębione i krótkie.

Deszcz wina i równoczesny śnieg chleba przestały padać. Kobiecie usiadł na ramieniu duży motyl. Lekko strąciła go dłonią i popatrzyła na Adamsa. Ich spojrzenia spotkały się. Kobieta zasłoniła się ramionami.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała. – Jestem naga. Adams podał jej kurtkę. (Wykorzystał okazję, by sprawdzić, że to nie animacja, lecz żywa istota). Zapięła kurtkę pod szyję, włożyła ręce do

kieszeni i naciągnęła ją poniżej bioder.

– Już lepiej – oświadczyła.

Trzeba od razu przeprowadzić test Ibn Khaldouniego. Tym bardziej jeśli – jak twierdził Uombocco – ma to być idealna kobieta dla Adamsa. Umiejętność nazywania winna zaczynać się od siebie samego.

– Jak się nazywasz?

– Więc jednak umiesz mówić. – Uśmiechnęła się. – Właściwie to zależy od ciebie, ale prawdopodobnie Eva Adams. – Parsknęła śmiechem, jakby do siebie. Śmiała się teraz w głos, ukazując białe, równe zęby.

Pamiętał przecież, jak jest zbudowana: dziewczyna o szczupłych biodrach, niedużych, ale foremnych piersiach i prostych, smukłych nogach. Teraz zauważył, że Eva ma głęboki ubytek w nasadzie serdecznego palca prawej dłoni.

– Co tu masz? – zaniepokoił się.

– Przecież zjadłeś ten płatek śniegu. Każdy z nich miał swoje miejsce.

– No, ale... – Speszył się.

– Teraz mam nieładny nos. Tam przylepiłeś tę resztkę.

– Przecież nie do nosa.

– Ale stamtąd trafił na mój perkaty nosek. – Nadąsała się. Miała bardzo prosty, grecki nos, zakończony zbyt uniesionymi nozdrzami.

– Chodź, wyjdźmy stąd. – Adams lekko objął ją ramieniem. Po tym, co zdarzyło się wcześniej, uznał, że ma do tego prawo. Nigdy jeszcze nie obejmował kobiety z kropel wina, wody i płatków chleba.

Spojrzała na niego niechętnie:

– Naprawdę chcesz stąd wyjść?

– Pięknie tu, ale przecież za tą zasłoną winorośli są drzwi.

– No, dobrze. Skoro nalegasz...

29.

Za drzwiami wywiadowca wykręcił jej rękę. Dwóch innych śledczych schwyciło Adamsa.

– Zostaw ją! – krzyknął Adams. – To moja żona.

– Żartujecie...?! To coś, zrobione z nie wiadomo czego...? – niski, kwadratowy oficer pogardliwie wyduł wargi.

– To jest idealna kobieta dla mnie! Tak miało być według wszystkich ustaleń!

– Nie będę uciekać – powiedziała z naciskiem Eva.

– No, dobrze. Puśćcie ją, Ciampone.

Usiadła, rozcierając przeguby i obciągając kurtkę, by staranniej osłonić nagość.

– Nagle stałem się wrogiem, co...? – rzucił Adams. – Po godzinie pobytu w ogrodzie?

Ciaken skinął na trzymających Adamsa wywiadowców.

– Posadźcie go – rozkazał. – Zapis obejmuje trzy tysiące sześćset godzin materiału. To jest sto pięćdziesiąt dni. Byliście w Ogrodzie dłużej, niż ktokolwiek z nas myślał.

– To nie był wasz eksperyment – powiedziała Eva, kładąc szczególny nacisk na słowo „wasz”.

– Koszty tego eksperymentu przekroczyły granice rozsądku. – Ciaken zignorował jej uwagę.

– Można było przerywać zapis, kiedy nic się nie działo – rzucił Adams.

Ciaken pokiwał głową, nieustannie przeglądając papiery. – Stale coś się działo – powiedział.

– Więc Człękoust będzie zadowolony.

– Nie jestem pewien.

– Eksperyment miał się nie powieść?

– Przestańcie, Adams. I tak jest z wami dość kłopotów – Ciaken znów pogрузzył się w studiowaniu notatek.

– Czy możemy stąd odejść? – spytała Eva.

– Pani chyba żartuje! Wydarzyło się tyle niezrozumiałych rzeczy. Jest pani tworem powstałym...

– Każdy z nas jest stworzeniem – przerwała mu. – I pan, i Adams też...

– Ach, tak, tak. – Ciaken machnął ręką. – Po tym, co się stało, nie może pani tak po prostu

odejść. Trzeba ją wprowadzić do ewidencji ludności. Utworzyć teczkę, przyznać numer porządkowy, nadać imię i nazwisko.

– Ona już się nazywa. To Eva Adams.

– Imię Eva nie będzie używane, jako zbyt oczywiste.

– Jakże...!? – wyrwał się Adams.

Eva lekko powstrzymała go za ramię. – Może być Natalia? – spytała. – Natalia Adams. Ciaken zmarszczył brwi.

– Niech będzie Natalia – zdecydował. – Ale to nie wszystko. Trzeba przeprowadzić badania, testy, analizy. Pracuje nad tym cały sztab badawczy.

– Możemy się w to włączyć – zadeklarował Adams. Natalia spojrzała na niego zdziwiona.

– Tak. Wasze spostrzeżenia też się przydadzą. Teraz udacie się do swoich cel.

– Do osobnych cel...? – zdziwił się Adams. – Przecież miała powstać kobieta idealna dla mnie. Dlaczego mam zostać od niej oddzielony?

– Na razie tak będzie.

– Dlaczego wyprowadziłeś nas z Ogrodu? – spytała, kiedy strażnik wiódł ich korytarzem.

– Z Ogrodu?

– Przecież tam nie sięgało jego państwo. Własną decyzją sprowadziłeś nas z powrotem pod Skałę. Nie podobało ci się tam?

– Czegoś tak pięknego nie widziałem w życiu, ale przecież to był tylko pokój.

– To był tylko skraj Ogrodu. Mogliśmy iść w jego głąb. Nigdy by ci się nie znudziło poznawanie Ogrodu. Jest coraz dziwniejszy i wspanialszy, a w czasie tej drogi w głąb cokolwiek dotąd przebyłeś, wydaje ci się maleńkie w porównaniu z tym, co właśnie podziwiasz.

– Powiedziano mi, gdzie są rozmieszczone kamery, gdzie drzwi, którą ścieżką chodzić, by nie uszkodzić czegoś.

– To były jego punkty, posterunki, do których i w Ogródzie ma prawo. Trzymałeś się ich z niewolniczym posłuszeństwem, chociaż skoro już tam wszedłeś, wolno ci było chodzić, gdzie chcesz, i pozostać tam tak długo, jak tylko byś zapragnął.

– Przecież ten Ogród był tylko iluzją. To zbyt piękne, aby mogło istnieć w rzeczywistości.

– Rzeczywiście, z twojego miejsca nie widać było tej oszałamiającej perspektywy... – urwała.

– Ja widziałam niewiele dalej, ale już teraz serce usycha z tęsknoty.

– Co widziałaś?

– Zaraz za tymi zaroślami są cztery rzeki. Tygrys, Eufrat i jeszcze dwie.

– Znam je.

– Nie chodzi o te, o których myślisz, chociaż nazwy są te same. Oprócz nich widziałam jeszcze rzekę Miodową i rzekę Oliwną. To tylko skraj.

– Powietrze tam było takie czyste, rześkie.

– Na wysokości nie mogło być zatechłe, jak w tej norze. Wyczułam nacisk twojego ramienia, kiedy okrywając mnie, sprawdzałeś, czy istnieję naprawdę. Skoro nawet ja nie byłam iluzją, to niby dlaczego Ogród miał nią być...? Teraz przypadło, oboje jesteśmy w jego mieście.

– Ja nie wiedziałem, ale dlaczego ty stamtąd wyszłaś?

– Nawet tam nie chciałam zostać bez ciebie, samotna.

Ich rozmowie przysłuchiwał się Ciampone. Chwilami zły uśmiech rozjaśniał jego twarz.

Natalii przyznano dwupokojowy apartament na terenie komendy. W zasadzie spełniano wszystkie jej prośby, jedzenie też było zadowalające. Jedyne nie było jej wolno opuszczać apartamentu. Nudę zabijała robótkami ręcznymi, które uwielbiała. Poświęcała wyszywaniu niemal każdą wolną chwilę. Strażnicy nie odmawiali jej nici. Dopiero po paru dniach została wezwana przez samego nadkomendanta.

– Adams jest głupcem – powiedział Człəkoust. – Z jego winy opuściliście Ogród.

Natalia była w prostej, czarnej sukience, na której wyhaftowała srebrzystą nicią kilka pasków ornamentu. Siedziała w głębokim, obitym skórą fotelu, popijając dobrą kawę rozpuszczalną. Napój ledwie czuć było cykorią.

Człəkoust wstał zza wielkiego biurka, na którym leżał jedynie plik papierów.

– Gdybym to ja dostał kobietę idealną dla siebie, nie straciłbym żadnej okazji, by ją uszczęśliwić.

Natalia milczała, wiedziała przecież, że została stworzona dla Adamsa, ale rozmówca był wysokim, przystojnym, ciemnowłosym mężczyzną o wyrazistych rysach i zielonych oczach. Jego sposób bycia wywierał mocne wrażenie.

Wiedziała, że powinna się go obawiać, ale to było przesłuchanie, nie mogła tak po prostu wyjść. A poza wszystkim Człəkoust właściwie miał rację.

– Powinna pani więcej dowiedzieć się o tym, dla kogo powstała – ciągnął Człəkoust, zerkając na nią badawczo. – Profesor Adams stracił kontrakt, bo jego badania nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Wiedząc o tym, nawet trudno go winić, że tak szybko się postarzał. Łysieje.

– Adams nie jest łysy.

– Rzeczywiście, to jeszcze mało widoczne. Spodziewała się pani kogoś młodszego...?

– Nie. Spodziewałam się Adamsa. Człəkoust coś zanotował.

– Te uwagi nie są związane z przebiegiem eksperymentu ani ze zrozumieniem jego wyników – zauważyła. – Poza tym nie są miłe.

– Są związane. Wszystko, co pani dotyczy, wiąże się z eksperymentem.

Natalia milczała.

– Nie sądzę, żeby Adams był w stanie zaoferować pani naprawdę wiele. Skoro utracił Ogród, to z pewnością straci resztę. Jak można było wyjść z Ogrodu...? – pokiwał głową.

– Trafiał tutaj.

– Tu akurat nie jest najgorzej – zachnął się Człekoust. – Przynajmniej kobieta może się w pełni zrealizować. Upiększyć.

– Ale kawa z cykorii... – Skinęła trzymaną w dłoni szklanką.

– Prawdziwa kawa szkodzi na nerki. – Pociągnął jeden, zaraz potem drugi łyk. – Słusznie. Ta kawa nie jest dla pani. – Wziął z szafki butelkę brandy. Nalał Natalii pół szklaneczki. – Proszę spróbować tego.

Smak był piekący i jednocześnie przyjemnie gładki. Aromat mieszał się z ostrym zapachem alkoholu. Pierwszy łyk rozlał się swoistym ciepłem w jej przełyku.

– To mój ulubiony gatunek. Każda butelka jest numerowana – upewnił ją w uznaniu dla trunku.

Natalia piła łyk za łykiem.

– Warto podgrzać szklaneczkę w dłoni. Mocniej pachnie. Spłoszyła się, odsunęła brandy.

– Niedługo oboje zostaniecie zwolnieni.

– To dobra wiadomość.

– Przejściowe ograniczenie wolności wynikało wyłącznie z troski o wartość eksperymentu. Proszę mi wierzyć, pani Natalio.

Nie odezwała się. Wypiła za szybko brandy.

– Proszę spróbować i tego. – Z szafy wyjął matową butelkę o przyjemnie pękатыm kształcie.

Natalia podsunęła szklaneczkę.

– Ach, nie... To z czystego szkła.

Płyn był jaśniejszy niż brandy, ledwie słomkowy. Natalia powąchała i się skrzywiła.

– To drożdże. Powinno lekko się je wyczuwać.

Spróbowała: aromat soku gronowego mieszał się ze zharmonizowanym bukietem destylatu. Lekki, ale pobudzający smak. W jego tle przebijała niepokojąca, cierpka nuta.

– To jest *pynuj*.

– Świetne, chociaż ma cierpki posmak.

– Ach, to tajniki produkcji... Taki jest najlepszy. Może drugą szklaneczkę.

Natalia podsunęła naczynie. *Pynuj* smakował wyśmienicie.

– Oto moja wizytówka. Wszystkie informacje, łącznie z adresem urzędu dla przyspieszonej poczty służbowej, gdyby chciała pani skontaktować się ze mną. Proszę zachować wizytówkę, gdy pani zostanie już zwolniona.

Podsunał jej kartonik.

– Tu jest też moje prawdziwe imię.

Natalia przeczytała: „Behetomotoh”.

– Przecież wiedziałam – mruknęła.

– Może chciałem przekonać panią, że nie kłamię. Natalia skinęła głową.

– Chciałem też wręczyć pani drobny prezent – Człekoust spojrzał jej w oczy – jako drobną rekompensatę za przykrości związane z aresztowaniem. – Wyjął z biurka płaską, srebrzystą butelkę z blachy, wytłoczonej w liście winorośli i smukłe jaszczurki.

Natalia uniosła brwi zdumiona.

– To piersiówka, butelka na lekarstwo.

– Lekarstwo?

– Tak. To brandy. Czasem jeden łyk pomaga. *Pynuj* jest za słaby, trudno coś poczuć po jednym łyku.

Natalia zważyła w dłoni piersiówkę.

– Pełna?

– Oczywiście. To prezent od urzędu. Proszę z niej korzystać.

– Dziękuję – schowała piersiówkę do torebki.

Adams rozsiadł się w fotelu. Uombocco otworzył teczkę z notatkami. Protokolant Ciaken przycupnął w kącie z rozłożonym notatnikiem. Blaszący ptak dreptał w kółko po skraju biurka, to zadzierając ogon, to rozpościerając skrzydła.

– Jestem zszokowany. Samoorganizacja struktury ciała ludzkiego z najprostszymi składnikami przebiegła jak idealna animacja. Wykreowana z niczego – zaczął Adams niepytany.

Uombocco znalazł wreszcie szukaną stronę zapisków.

– Nie... – rzucił. – Dokładnie tego się spodziewaliśmy. Według wyliczenia, prawdopodobieństwo było bliskie jedności.

– Jak to...? Pojawia się człowiek i co dalej...? Gdzie życiorys, wykształcenie, gdzie dokumenty? A dowód osobisty?

Uombocco uśmiechnął się.

– To drobiazgi. Jeśli powstała, to i jej miejsce w społeczeństwie uformowało się. Mam tu jej życiorys i dowód osobisty.

– A wykształcenie...?

– Całkiem niezłe – powiedział Uombocco. – Natalia właśnie zaczyna studia na architekturze... Nie, nie, na historii sztuki anatomicznej. No, właściwie to architektura form małych.

– A inne dane?

– Oczywiście, wpisane w dowodzie. Natalia Adams. Małżeństwo z panem zawrze za sześć tygodni, dokładnie za czterdzieści dwa dni.

– Sześć tygodni? To niezłe.

– No, tak. Jest pieczętka i wpis potwierdzający uroczystość – Uombocco studiował dowód osobisty Natalii.

– To dziwne: wpisany ślub z przyszłości.

– Nie... – Uombocco pokręcił głową. – To się często praktykuje. Są dni w kalendarzu uważane przez masy ludowe za szczególnie sprzyjające zawieraniu związków małżeńskich. Jak łatwo się domyślić, w te dni opłaty skarbowe za ślub znacznie wzrastają. Dlatego oszczędni zawierają związek wcześniej, za niższą opłatą, ale do rejestru wpisuje się ślub z datą szczęśliwego dnia.

Przesłuchanie przerwano na godzinę, gdyż Człekoust został odwołany do jakiejś pilnej sprawy. Adamsa wyprowadzono na korytarz.

Gdy wrócił do gabinetu, nadfunkcjonariusz właśnie karmił swą żelazną maskotkę. Na skinienie ręką blaszane ptaszysko rozgarnęło pióra i pokazało obwisłe, kobiece piersi.

– Tak się dała wytresować...? – spytał Adams.

– Niekoniecznie. Ona bardzo lubi to robić. Jak się jej w porę nie przegna, blaszany kuper też wystawi. – Człekoust ruchem dłoni odgonił *mechaniton*.

– Dziwaczny ptak.

– To mechaniczna harpia.

Mechaniton strząsnął z głowy maskę w formie ptasiego łba. Ukazała się nieładna kobieca twarz, stężała w wyrazie nienawiści.

– Przestań go straszyć – powiedział do niej Uombocco. – Nie będę cię karmił bez maski na głowie.

Harpia przysiadła z boku, twardym, nieruchomym wzrokiem czarnych oczu śledząc akcję.

– Chciałem wrócić do protokołu sporządzonego przez Ciakena – powiedział Uombocco.

Adams podniósł wzrok.

– Na ścianach korytarzy widzieliście diagramy.

– Tak, podobne do lullijskich.

– Czy w Ogrodzie były podobne?

– Ani jednego, żadnych liter na liściach czy na skrzydłach motyli.

– Czy diagramy na ścianach korytarza były poprawne? – Uombocco spojrzał uważnie.

– Lata badałem diagramy lullijskie i dotąd nie wiem, co znaczy „poprawny diagram”. Śledząc geniusz tego człowieka, natykałem się na jego przedziwne pomysły. Nie potrafię osądzić, które były poprawne, które błędne.

– To akademicki wywód. Nie chodzi o to, czy identyczne z lullijskimi, tylko czy wykonane wedle zasad jego sztuki.

– Wykonane wedle zasad jego sztuki, ale ich geometria była dziwaczna: wielokąty nie zamykały się.

– Może właśnie wtedy pan śnił, Adams?

– Może.

– Jesteście biegli w sztuce czytania diagramów lullijskich?

„Czy on chce, abym rozwił jakiś diagram dla niego...?”

– Średnio. Znam typowe, dzięki opisom, jak należy je czytać – Adams nie powiedział całej prawdy.

– Przecież jesteście specjalistą od lullizmu.

– Niezupełnie. Raczej zajmowałem się historią lullizmu, nie dociekaniem lullistów. Poszukiwałem śladów Alonzo Zumarragi, który zniknął w Rzymie.

– Czy uważa pan, że Ibn Khaldouni to Zumarraga?

– Musiałby żyć ponad sześćset lat!

– Wychodząc z drzewa, doznaliście zdumiewającego zaburzenia przestrzeni, więc może i zaburzenia czasu są tu możliwe?

– Jednak uważam, że Ibn Khaldouni to nie Zumarraga. Przesłuchanie zostało zakończone. Adams odnosił wrażenie, że Uombocco chciałby dowiedzieć się konkretnej rzeczy, tyle że nie chciał spytać wprost.

Oboje z Natalią zostali wkrótce zwolnieni. Człekoust wielokrotnie podkreślał, że nie zdołano wyjaśnić większości problemów, ale dobiegł końca ustawowy czas przetrzymywania bez nakazu sądowego.

Na niewczesną uwagę Adamsa, że eksperyment można by więc powtórzyć, parsknął głośnym śmiechem.

– Chyba pan tego nie chce...? – powiedział. Wzrokiem jeszcze roziskrzonym od śmiechu spojrzał na Natalię, następnie głęboko w jej oczy.

Okazało się, że Adams ma wrócić do swojego pokoju hotelowego, który zgodnie z ustawą o nauce nadal trzymano dla niego. Inny przepis zabraniał zamieszkania razem z Natalią Adams, chociaż w dowodzie wpisano, że stanie się jego żoną. Powiedziano im, że naruszyłoby to nadzwyczaj ważną zasadę, na której opiera się tutejsze prawo. Natalię zakwaterowano w pensjonacie oddalonym o parę ulic od jego hotelu. Odprowadził ją na miejsce. Pięć metrów za nimi dreptał śledczy Bielen.

– Wiesz, w dowodzie przy potwierdzeniu naszego ślubu jest wolna rubryka – powiedziała.

– Coś opuścili?

– Tak, kategorię żony. Zawarcie związku małżeńskiego potwierdzała wielka na całą stronę, niestaramie odcisnięta, sina pieczęć. W kolejnych rubrykach widniały różne adnotacje, nabazgrane niedbale przez jakiegoś urzędnika. W rubryce: „żona pierwsza, żona druga, niepotrzebne skreślić” nie było rozstrzygającej kreski.

Pokrótko wyjaśnił jej zwyczaje panujące w Mieście pod Skałą. Sam zdążył się już do nich przyzwyczaić.

– Na to się nigdy nie zgodzę – powiedziała stanowczo. – Chcę grać obie te role. Zarówno pierwszej, jak i drugiej żony. Bycie wyłącznie malowaną lalką jest upokarzające, tak samo jak bycie wyłącznie służącą nałożnicą.

Miała rację, jednak najniższa linia odcisniętej pieczęci mówiła: „związek jest ważny dopiero po wypełnieniu wszystkich rubryk”. Adams wskazał jej tę adnotację.

– Coś trzeba skreślić.

– Nie obchodzi mnie to. Chcesz, żebym była twoją żoną, czy nie...?

– Po to wszedłem do Ogrodu. – Chwilę wpatrywał się w odcisnięty napis. – Wiem – powiedział. – Będiesz dla mnie zarówno pierwszą, jak i drugą żoną. Nie przekreślimy więc żadnego z określeń, tylko obok dopiszemy słowo „zarówno”, a wskazówkę: „niepotrzebne skreślić” przekreślimy. – Natalii spodobał się pomysł. Sama zrobiła wpis do dowodu.

Adams nie mógł z nią pozostać dłużej; Bielen dał się wyprosić na korytarz, ale czekał, by

odprowadzić Adamsa do jego hotelu.

Uporządkowanie pokoju, zaplombowanego od ostatniej rewizji, zajęło pół dnia. Większość kartek z notatkami przepadła.

Drzwi Ibn Khaldouniego też zalepiono opieczętowanymi paskami papieru.

Słowa Człekousta okazały się prawdą: tutejsze społeczeństwo przyjęło Natalię, jakby była kimś oczekiwanym. Obecnie uczęszczała na zajęcia na uniwersytecie. Poznawała historię sztuki *ossuarnej*. W ramach trzeciego etapu studiów powinna była przygotować doktorat. Jednocześnie została zatrudniona jako formierz *ossuarny*. Mogła połączyć pracę w rzemiośle artystycznym ze stałym doskonaleniem tej umiejętności.

Wkrótce z Natalią zaczęło układać się jakby gorzej. Odniósł wrażenie, że (przyszła) żona go unika, szuka pretekstu, aby stronić od jego towarzystwa. Może czuła się skrępowana tym, iż znał ją od tak zupełnego początku? Że widział jej powstanie? Że obejrzał wnętrze jej ciała...? Nawet wnętrza jej organów wewnętrznych...? Natalia powinna zrozumieć, że tym razem nie mogło stać się inaczej.

Powodem mogło być przecież i to, iż tak niewiele ich jeszcze łączyło. Oznajmiono, że jest ona idealną kobietą dla niego, i na tym się właściwie skończyło.

Pasjonowały ją studia, i to też mogło być powodem. Obecnie słuchała wykładów obejmujących preparatykę juvenilną i prenatalną. Zaliczenie było wymagane do doktoratu. Znowu telefonicznie zaproponował jej spotkanie.

– No, wiesz...?! – parsknęła zagniewana. – Mam dwie dwójce z prac okresowych, a koncepcji na temat doktoratu żadnej. Wylecę na pysk ze studiów.

Cóż, pozostawało się zgodzić. Niechciane kobiety same wchodziły mu w ręce, a ta jedna, stworzona dla niego, którą on już zdążył zapragnąć najmocniej, z rąk tych umiejętnie się wymykała.

Adams znalazł sposób, by spotykać się z nią częściej. Jako pretekst posłużył właśnie jej zapal do nauki. Wystarczyło, gdy zaproponował, że chętnie będzie się z nią uczył, bo kompletnie nie zna się na sztuce anatomicznej, która stanowi ważną część dorobku kulturowego. Dodał, że jest historykiem cywilizacji i wiele jego wiedzy również się jej przyda.

Odtąd przesiadywała u niego godzinami, wylegiwała się na kanapie, czytała na głos, dyskutowała, piła kawę albo *pynuj*, jednak nie dopuściła do żadnej intymnej sytuacji.

– Kości noworodków są wyjątkowo dobrym materiałem. Słabo sfosylizowane, łatwo dają się odwapnić i formować. Nie pękają – czytała podręcznik.

– Ale są małe.

– Tak. Znając te ograniczenia, można tworzyć z ich czaszek najlepsze kielichy...

– Widziałem.

– Nie przerywaj – zmarszczyła czoło.

Wstał z kanapy zaparzyć nową kawę. Zmiana tematu rozmowy nie była obecnie możliwa.

– ...Szkatułki, koszyczki, kałamarze.

– Atrament nie barwi tego i nie przesiąka? – rzucił znad kuchenki. Budziła się ciekawość uczonego.

Zajrzała w notatki.

– Nie przesiąka.

– A da się robić kieliszki...? Takie małe.

Natalia popijała ulubiony *pynuj* z małego kieliszka z grubego szkła, nierówno odcisniętego z formy.

– Kieliszki...? – Pośpiesznie wertowała notatki. – Kieliszki do wódki czy noże do papieru wykonuje się zwykle z czaszek embriionów. Jeszcze o tym nie było na wykładzie.

– Noże do papieru?

– No, rękojeści. Rękojeści sztyletów wykonuje się z całego szkieletu. Powstaje „sztylet losu” albo „przeznaczenia”.

Podał jej filiżankę. Wlała do niej dwie miarki destylatu. Butelka z *pynujem* zniknęła w barku.

– Nie powinnam pić tyle kawy, bo mi zęby ciemnieją. Roześmiał się.

– No, nie – złapała jego myśl. – Dobry *ossuar* potrafi wedle potrzeby skutecznie odbarwić albo zabarwić tworzywo.

Pasjonowała ją poznawana dziedzina sztuki. Technika transformowania naturalnych kształtów kości w wykwintne przedmioty codziennego użytku. Artysta *ossuar* nie łamał ani nie ciął tworzywa.

– Koszyki – zaczęła. – Uchwyt zwykle robi się z żuchwy lub żebra, kosz zaś z czaszki, rozciągając oczodół lub otwór nosowy.

– Uczysz się chaotycznie. Mówiłaś już o tym wszystkim. Nie połów tego kolokwium.

Zatroskał się fałszywie, bo gdyby zgarniała wysokie stopnie, cóż uzasadniałoby jego wizyty? A ona już u niego nie pojawiłaby się wcale.

– Wiem, co robię. – Natalia wypła łyk, potem jeszcze dwa. – Nie ma sensu wkuwać kolejnych rozdziałów. Jeśli studentka jest mądra i piękna – błysnęła spojrzeniem – to egzamin przeradza się w rozmowę, w której nikt nie pyta o numery rozdziałów. Ważniejsze, czy to ja sama zaproponuję logiczne związki między tym wszystkim. A wreszcie nie ma gwarancji, czy propozycje autora podręcznika mają sens. Niekoniecznie istnieje tylko jedna klasyfikacja tej sztuki.

Jej entuzjazm był trudny do okiełznania, pewnie niemożliwy do ugaszenia.

– Żeby tylko ten twój pan asystent zauważył twe pomysły.

– Asystent nie ma znaczenia, pedagog Mówiąca kieruje moim rozwojem naukowym – powiedziała.

Uznano ją za wyróżniającą się studentkę. Przydzielono ją urzędniczce, która założyła jej specjalną kartotekę i miała osobiście troszczyć się o rozwój kariery naukowej Natalii.

Patrzyła na niego mętnym wzrokiem. Miała oczy jeszcze większe niż zwykle, ale brakowało im blasku, świetlistej iskry badawczego spojrzenia. Nie próbowała ukryć, że jest pijana. Pierwszy raz ujrzał Natalię w takim stanie.

Adams wpadł bez zaproszenia. Pozwalała mu na to, byle nie przychodził zbyt często i nie przeszkadzał w pracy. Przyzwyczała się do wspólnego uczenia się. Miała zacząć zajęcia z *fragonardów*.

Nie odzywała się parę dni, więc zajrzał, ciekaw Natalii i ciekaw mało znanej gałęzi sztuki.

Niezdarnie spróbowała odsunąć notatki, by zrobić mu miejsce na kanapie. Kartki posypały się na podłogę.

– Poradzę sobie – powiedział i nie czekając, zgarnął je na jedną kupę. Wszystkie, pokryte jej niewyrobionym pismem, spracowane: ze sterczącymi rogami, wymięte, poplamione atramentem.

– Ty zawsze sobie poradzisz – powiedziała z pijacką pretensją. – Ty potrafiłbyś zrobić okropniejsze *fragonardy* niż wykładowca.

– Jeszcze nie wiem, co to są te twoje *fragonardy*.

– To jest łatwe. Wystarczy parę lekcji. Takie łatwe, ale nikt nie chce tego robić.

– Już się tego nauczyłaś?

– Wszystko mam zapisane. Możesz to przeczytać, jak chcesz... Umiem zrobić klasyczny motyw.

– Klasyczny motyw?

– No, jeździec na koniu przeznaczony do umieszczenia na placu miejskim. Trwałość: osiemdziesiąt lat na wolnym powietrzu. Tańsze niż spiżowa rzeźba, za to bardziej realistyczne. Wszystko to wyłożono mi ze szczegółami.

– A pod dachem?

– W ogóle się nie popsuje. Trzeba tylko mieć wielką salę. – Nalała sobie szklaneczkę *pynuju*.

– Nie pij już. Jutro masz kolokwium.

– Piję. To moja sprawa. Nic ci do tego. – Jej oczy krążyły bezradnie. – Piję, kiedy chcę. Już przygotowałam się do kolokwium.

– Musisz rano wstać.

– Nastawiłam budzik.

– Położysz się...?

– Tak, ale już idź. Poradzę sobie. Dzisiaj obejrzyj w mieście konne *fragonardy*. Przyjdź jutro, to opowiem ci o nich.

Prawie wypchnęła go za drzwi. Nie miał prawa protestować.

Nie było pogody na spacer: nad miastem snuły się ciemne chmury deszczowe. Wokół wirowały chmury rozkrzyczanego ptactwa. Przechodnie przemykali ulicami, lękliwie zerkając w niebo. Adams wcisnął ręce w kieszenie i ruszył przed siebie. Kilka razy musiał je wyszarpnąć, żeby odegnać jakieś natrętne ptaszysko.

Tu było równie wiele placów jak w Rzymie. Z tą różnicą, że tablice z nazwami były albo pozdzierane, albo zupełnie zardzewiałe, albo dawno z nich odprysnęła emalia. Niemal na każdym z placów stały posągi: a to golasy, to ludzko-zwierzęce chimery, to znów jakieś dziwaczne stwory. Zanedbane, obtłuczone i pokryte liszajami zacieków, pozwalały jednak domyślić się skrytego w nich kiedyś piękna. Najczęściej wykonane ze zwyczajnego wapienia.

Zaczęło mżyć. Przynajmniej natrętne ptaszyska odleciały. Adams postawił kołnierz kurtki.

Oddalał się od centrum. Domy zapuszczone, zrujnowane, ulice coraz brudniejsze. Na placach pozostawiono kozły zbite z desek, wałyły się resztki żywności: gnijące liście kapusty, rozdeptane, spleśniałe owoce.

Pomniki też były tu inne: przybyło konnych, z tym że konie były pozbawione grzywy i ogona, jeźdźcy zaś nadzy. Wszystko utrzymane w ciemnobrunatnej karnacji. Jeźdźcy występowali na ogół parami lub trójkami, zdarzały się też większe grupy. Ale wszyscy podobni: brunatni i nadzy, na brunatnych bezwłosych rumakach – wyglądali, jakby wyszli spod dłuta tego samego mistrza. Niewątpliwie mistrza, bo rzeźby odrobiono bezbłędnie. Na cokołach brakowało napisów, widać było tylko trzy lub czterocyfrowe liczby. Daty...?

Kimkolwiek był nieznanymi rzeźbiarz, zasługiwał na najwyższe uznanie. „To z pewnością *fragonardy*, o których uczy się Natalia”, pomyślał. „Konne i realistyczne”.

Pustą ulicą przejechał niemiłosiernie zatłoczony tramwaj. Samotny wagon pokryty odpadającym, czerwonym lakierem ze zgrzytem skręcił w przecznicę.

Kolejny plac gościł cały oddział na pomniku. Jeden z jeźdźców wspierał się o sąsiednich, gdyż jego koń stracił nogę. Głowa innego rozchyłała się ku górze jak płatki brunatnego kwiatu. Autor widocznie nie wytrzymał, rzeźbiąc wyłącznie realistyczne pomniki i poniosła go wyobraźnia...

Jednak dokładny ogląd ujawnił co innego: odarte nogi wielu rumaków ukazywały żółte kości; niektórzy jeźdźcy nie mieli dłoni, a ich ramiona kończyły się gołymi piszczelami; jeden zamiast twarzy ukazywał szczerzącą zęby trupa czaszkę, choć od tyłu miał poprawnie odrobioną z brunatnej masy potylicę, szyję i kark.

Adams, nie mogąc wyjść z podziwu, chodził wokół ekspresyjnego pomnika. Starał się wyłowić

wszystkie detale: Oto jeźdźcom wprawiono białe gałki oczne z czarnymi krążkami źrenic, co sprawiało niezwykle wrażenie, szczególnie u tych z odsłoniętą czaszką. Niektóre konie ukazywały jakby rozprute brzuchy, inne jeszcze (te stojące na skraju grupy) świeciły żółtymi żebrami.

„Ależ to odrobił... Co za talent...”, gapił się. „Wszystko na nieznanym placu z dala od centrum miasta”.

Adams nagle stał się ośrodkiem zainteresowania. Podziwianie rzeźb się skończyło. Mżawka przepędziła chmury ptactwa, więc męty opuściły swe nory. Śledziło go kilka par wrogich oczu, a natarczywych obserwatorów przybywało. Nie miał bronii, dlatego najpierw wolno, potem szybciej zaczął się wycofywać. Nie biegł, ale przyśpieszył. Przez jakiś czas szli za nim, poleciało nawet kilka kamieni, zgniłych ziemniaków i butelka, jednak wkrótce potem zastąpiła im drogę wychodząca właśnie z knajpy inna grupka i wdała się z nimi w sprzeczkę.

Skręcił w przecznicę, którą przebiegały tory tramwajowe. Po kilkunastu minutach oczekiwania w pełnej niedopałków wiacie mógł wcisnąć się do cuchnącego potem, dusznego wnętrza zatłoczonego wagonu. Przejechał kilkanaście przystanków bez biletu. Wspomnienie *fragonardów* intensywniało, wspomnienie agresywnych uliczników bladło.

35.

– Co chcesz jeszcze o nich wiedzieć...? – spytała Natalia, kiedy następnego ranka zrelacjonował jej wrażenia ze spaceru. – Tu mam wszystko wynotowane. W czym moczyć, jak długo, gdzie wcierać. To jest prosta technika, jeśli dobrze zestawi się ciecz konserwującą.

– Skórę się zdziera?

– Rzadko. Chyba że chodzi o efekt szczególny. Ale oskórowane *fragonardy* są mniej trwałe.

– A oczy? Nie wierzę, że można je tak zakonserwować.

– Można, ale to trudne. Trzeba oczy gotować w specjalnym roztworze. Nie mogą przecież zrobić się brunatne...

– I rzeczywiście stają się aż tak trwałe?

– Są trwałe, ale tylko pod dach. Gdybyś na przykład ze mnie chciał kiedyś zrobić intymnego *fragonarda* do pokoju, to mógłbyś zapłacić i za utrwalenie oczu...

Zmilczał. Celowo go drażniła.

– Do wystawianych na świeżym powietrzu zwykle wciska się szklane gałki. Psuje to cały efekt.

– Niekoniecznie. Tamta grupa rzeźbiarska wyglądała niesamowicie. Też właśnie dzięki tym oczom.

– Ach, żebyś ty widział te ze zbiorów akademii. Musiałam się upić z wrażenia.

– Na cokołach brakuje podpisów. Nie wiadomo, w jakiej intencji je postawiono.

– Och, okazje są najróżniejsze. Święta dzielnicowe, kadencje władz lokalnych. *Fragonardy* to najtańszy sposób wykonywania rzeźb. Blok wapienia trzeba rzeźbić, betonowy formować, a zwłoki wystarczy zakonserwować, ustawić w wymaganej pozie i poczekać do usztywnienia.

W ramach zajęć terenowych studenci mieli wykonywać praktyczne obserwacje przyszłego materiału artystycznego, nabyć umiejętności doboru i właściwej selekcji dawców. W tym celu zwiedzili dzielnicowy sierociniec.

Wracając, wpadła do niego. Była odmieniona: blada, zamyślona, jej oczy straciły zwykły blask, jakby nadal przed nimi rozgrywały się minione sceny.

– Tam jest umieralnia – powiedziała. – Dzieci leżą i czekają na śmierć. Śmierdzi szczynami i starym potem. Opiekują się nimi alkoholicy i kloszardzi.

– Kontakt z niemowlętami ma ich resocjalizować.

– Może niektórych resocjalizuje. – Wydeła wargi. – Ale większość leży i śpi albo pije. Jeden na naszych oczach poduszką zadusił niemowlę.

– Na pewno zostanie ukarany – Adams wzdrygnął się. – Jeśli nie da się inaczej, to wykorzystamy nasze dojście do Człekousta.

– Nie... Zrobiono to na rozkaz pedagoga Mówiącej. Potem mi wytłumaczyła, że to niezbędne. Dziecko było słabe i obciążone dziedzicznie.

Uświadomił sobie, że Natalia jeszcze nie zdjęła butów.

– I te kobiety, te matki, które stoją przed oknami. Przecież żadna z nich nie ma szansy obejrzeć swojego dziecka.

– To po co stoją?

– Może czują bliskość swych dzieci. Stoją, choć nie powinny, a przecież to dla ich dobra. W żłobkach obowiązkowo umieszcza się piąte i następne dzieci z najuboższych rodzin, bo byłyby ciężarem i nieszczęściem. Jasno wynika to ze statystyk społecznych.

Adams chciał jej zaproponować kawę.

– Nie. Nie chcę dalej studiować *ossuarystyki*.

– Przeniosą cię bez trudu. Na inne kierunki historii sztuki jest łatwiej się dostać, ale i zapotrzebowanie na fachowców jest mniejsze.

– Mówiąca mi wszystko wyjaśniła, ale jak sobie przypomnę te smutne spojrzenia... Nie chcę się dowiadywać, co z małych kosteczek można wykonywać. Lepiej niech żyją.

Adams z żalem pomyślał o zabawnym kościanym ptaszku, którego Natalia otrzymała za udział w eksperymencie. Pewnie zapragnie się go pozbyć... Ptaszka uformowano z kości embriona. Główkę i dzióbek z czaszki, resztę jak leci: skrzydełka z kości ramion i niektórych żeber.

Natalia jednak nie wspomniała o statuetce.

Ponieważ Adams stracił kontrakt, wyłączono mu dopływ gazu. Każdy pokój hotelowy miał oddzielny licznik i zawór. Dyskusja z przybyłym gazownikiem była niemożliwa. Na uwagę Adamsa, że regularnie płaci swoje rachunki, fachowiec odparł:

– Nie jest możliwe, abyście po utracie stanowiska byli w stanie pokrywać koszty spalane go gazu. Urząd wyprzedza skutki zaistniałej sytuacji, chroni was przed długami, które wkrótce stałyby się nie do spłacenia.

Trzeba było przestawić się na suchy wikt. Surowsze warunki egzystencji kierowały myśli ku sprawom zasadniczym. Wprawdzie tutaj stracił pozycję na uniwersytecie, ale niekoniecznie to samo stało się na powierzchni. Warto było więc gromadzić wyniki naukowe. Stypendium dostał na badanie losów Alonzo Zumarragi, który według świadectwa Battaglii zniknął w Rzymie w roku 1315.

Czy Zumarraga trafił do labiryntu? Budowniczy podziemi musiał znać figury lullijskie. Mury Leona stały już przed Zumarraga, furtka od Via Pisani też w nich była. Może uczeń Lulliusa ją otworzył... W myślach powracała dziwna sugestia Uombocco.

Czy Ibn Khaldouni już wrócił? Adams podniósł słuchawkę. Przez dochodzące z oddali dzwonki z aparatu na biurku Ibn Khaldouniego dał się słyszeć równomierny szmer oraz tykanie zegara. Cóż, Adams stał się kimś, czyje słowa warto zapisywać.

– Tak, słucham – głos Ibn Khaldouniego zabrzmiał chropawo.

– Nie masz ochoty pogadać z historykiem cywilizacji atlantyckiej? A przy okazji napić bezrobotnego herbatą?

– Ach, to ty, Adams.

– Długo mnie tu nie było.

– Wiem. Z twojego powodu spędziłem wiele godzin na rozmowach z nadzwyczajną Bieleniem. – W słuchawce chrupnęło, szum stał się głośniejszy. – Pouczono mnie, o czym nie wolno mi z tobą rozmawiać.

– Zabronili ci ze mną rozmawiać...?

– Nie zabronili. Wpadnij, stawiam wodę na kawę.

Ibn Khaldouni był blady, wymizerowany, pod jego oczami znaczyły się głębokie cienie.

– Wyglądasz marnie, profesorze.

– Przez ciebie.

Ibn Khaldouni spokojnie patrzył, jak gaśnie uśmiech Adamsa. – Przez twój eksperyment

aresztowano mnie. Dopiero wczoraj powiedzieli, że to było przewencyjnie, i wypuścili.

– Nie przypuszczałem.

– Jasne. – Ibn Khaldouni pokiwał głową. – Proszę cię o jedno: nic o eksperymencie. Mam zakaz rozmawiania o tym.

– Przyszedłem naradzić się właśnie w tej sprawie.

– Wykluczone. Te ściany są pełne pluskiew, a mikrofon telefonu podłączono do dobrego wzmacniacza. Nic nie ukryjesz. Lepiej mów o tym, o czym wolno. Nie zamierzam znowu trafić do aresztu, nawet przewencyjnego. Zaraz będzie kawa.

– Eksperyment był jedną z rzeczy, o których chciałem z tobą rozmawiać – powiedział Adams.
– Nie jedyną.

– Bieleń mówił, że znalazłeś sobie kobietę. Zdażyłeś już zapomnieć o Liliane?

– Jestem z Natalią. To wynik eksperymentu.

– Wy, Europejczycy, zdumiewacie.

– Tak...?

– Już nowa kobieta... U nas jest inaczej. Jako szczeniak bawisz się na podwórku z dziewczyną. Rodzice dogadują się albo nie. Lata lecą... Żona to jak z trudem zdobyty skarb. – Ibn Khaldouni zaparzył kawę. – A ty, Adams, przy jednej kawie rozpaczasz po Liliane, a przy następnej jesteś z Natalią. Rach-ciach, był człowiek, nie ma człowieka.

– Liliane odleciała. Nie miałem na to wpływu. – Bezradnie wzruszył ramionami.

– I co? I już? – Ibn Khaldouni szyderczo powtórzył jego gest. – A czas? A ta część życia, kiedy losy plotły się razem? Chyba was nigdy nie zrozumiem. – Postawił kawę przed Adamsem.

– To obserwuj. Ja też nie rozumiem wielu spraw, ale najpierw obserwuję, a dopiero później usiłuję wyciągać wnioski.

Zapanowało milczenie. Ibn Khaldouni głośno siorbał. To zirytowało Adamsa.

– A ty myślisz, że kiedy stąd wrócisz, zastaniesz swoją żonę, jak ją zostawiłeś...? – powiedział zaczepnie.

– Wcześniej straciłem całą rodzinę. – Ibn Khaldouni zwiesił głowę. Zamyślił się, jakby przed jego oczy napływały dawno niewidziane obrazy.

Chwilę milczeli.

– Słyszałeś o Alonzo Zumarradze?

– Czytałem jego pisma.

– Czy Alonzo Zumarraga to ty?

– Cóż za nonsens.

– Co głosił Zumarraga?

– Jeśli czytałeś tylko Lulliusa, to sporo nowego. Albo Zumarraga istotnie rozwinął naukę mistrza, albo głosił to, czego iluminowany doktor nigdy nie odważył się utrwalić na papierze.

– Co nowego czy ważnego?

– Jeśli to prawda, co czytałem, to pewnie ważne, chociaż nie zainteresuje Ciakena czy Bielenia.

– Ibn Khaldouni teatralnie przewrócił oczami.

Adams pozwolił rozmowie zejść na błahe tematy.

Później zastanawiał się nad tym: Ibn Khaldouniego dzieliła epoka od Zumarragi. Z perspektywy sześciuset lat wydaje się to mgnieniem oka, ale wtedy... Poprzednicy umarli na plagę, następcy żyli już w innym świecie; zerwała się ciągłość myśli. Możliwe, że dla Ibn Khaldouniego Zumarraga był taką samą przeszłością, jak Ibn Khaldouni dla Adamsa.

Ilu jeszcze zagubionych podróżników spotka w Mieście pod Skałą Adams...? Może Zumarragę, temat swoich dywagacji, a może i samego Lulliusa?

Wprawdzie niezbitnie wykazano, że oświecony doktor tylko wynalazł diagram, ale skoro istniało tyle różnic między powierzchnią i Miastem pod Skałą, to może tutaj metoda Lulliusa przyniesie więcej rezultatów...? Adams spróbował skonstruować diagram. Pierwszy punkt podpisał: „Ziemia” (czyli Rzym); następny: „Liliane”; kolejny: „Nero” (czyli Miasto pod Skałą); ostatni z nich zaś: „Natalia”. Pożądana symetria wymusiła, by ułożyć je w wierzchołki kwadratu.

Połączył je okręgiem, który miał oznaczać cały świat: te miasta na powierzchni i to, do którego wchodzi się przez korytarz w podziemiach.

Teraz przekątne kwadratu: „Liliane” – „Natalia”, dwie kobiety ważne w jego życiu... oraz: „Ziemia” – „Nero”. To znowu jasne: przekątne łączą byty tego samego rodzaju: jedna ludzi, druga światy, pomiędzy którymi tak trudno jest się przedostać. Na razie nic nowego.

Wrysował „kontakty”, linie łączące wierzchołki kwadratu. „Liliane” połączyły one zarówno z „Ziemią”, jak i z „Nero”. No tak, spotkał ją przecież w kolejce do Muzeów Watykańskich. Jednak diagram wskazywał jasno, że również Natalia kontaktowała się zarówno z Podziemiem, jak i Ziemią. To chyba pociecha! W porządku, droga wyznaczona, teraz należało odkryć jej kierunek... Liliane zstąpiła wraz z nim do Miasta pod Skałą. Obieg ma więc iść dokładnie tak, jak Adams rysował punkty węzłowe diagramu: Ziemia – Liliane – Nero – Natalia – (znowu) Ziemia.

Jeśli Liliane tu pozostanie, to z symetrii diagramu wynika, że Natalia wyjdzie na powierzchnię. A z kimże, jak nie z Adamsem...?

Zaczął nerwowo dreptać po pokoju, co chwilę zerkając na wyrysowaną figurę. Prawda w liniach, prawda w symetrii... Diagram jednak przyniósł pociechę.

Wśród imion umknęła mu Falzarota. Uzupełnienie diagramu o nią nie zmieniłoby konkluzji, choć zburzyłoby jego symetrię. Ważniejsze, że Liliane należała do ludzi drugiego rodzaju, Natalia do pierwszego, przypisanie zaś Falzaroty było niepewne, choć w każdym przypadku pogłębiłoby asymetrię. Najwidoczniej tak skonstruowany diagram nie był dość bogaty, by stać się poprawnym modelem obecnej sytuacji.

Zastał Natalię w swoim pokoju. Przyszła pod jego nieobecność. Chodziła niepewnie, przebrana w jego pidżamę. Zataczała się. Jej oczy znowu były puste i obojętne, jakby nie potrafiła zogniskować na nim wzroku.

– Humphrey? – zdziwiła się. – Przeniosłam się do ciebie, bo ktoś zatrzymał czas. Odbiorą nam wszystko, co dostaliśmy.

Jej wzrok nadal był nieobecny. Chwilę bezradnie kiwała się w przód i w tył.

– Co się tak gapisz?! – rzuciła zniecierpliwiona. – No, idźże do pokoju.

Na stoliku leżała niemal pusta torba białych chrupek. Kruche płatki zawierały mieszaninę halucynogennych chemikaliów. Podobno następnego dnia po zażyciu ułatwiały pracę umysłową, dlatego pracownikom uczelni i studentom zalecano ich spożywanie, a przy zakupie przysługiwała im zniżka.

– Możesz poczytać sobie mój dowód osobisty – powiedziała.

Kończyła spaghetti. Na serwecie powstała kałuża sosu pomidorowego. Pidżama zsunęła się jej z ramienia, a rękaw zanurzył w sosie. Nie reagowała. Pamiętał jej ramiona: proste, proporcjonalne, o lekko zarysowanych obojczykach.

Wizje wywołane narkotykiem dawno ustąpiły. Oszłomienie pozostało, choć już przeradzało się w otępienie i senność.

– Połóż się lepiej spać – powiedział. Ujął ją w pasie i odprowadził do sypialni. Nie protestowała, już знаła działanie tego chemikalium. Ściągnął z niej upapraną sosem bluzę pidżamy. Uważał, że ma do tego prawo, choć jeszcze nie nadszedł dzień ślubu wpisany w dowodach.

Natalia leciała mu przez ręce. Ułożył ją i narzucił na nią prześcieradło. Zaraz usnęła.

Jej dowód osobisty leżał na podłodze, wypadł z rozpiętej torebki. Adams spojrzął na zdjęcie, potem przekartkował go w poszukiwaniu wpisu małżeńskiego. Niedbale odcisnięta fioletowym atramentem, ogromniasta pieczętka była na swoim miejscu. Zaniepokojony, rzucił wzrokiem na datę: Natalia miała rację, do ślubu pozostało dokładnie czterdzieści dwa dni. Wpatrywał się zdumiony. Dla pewności policzył jeszcze raz, nie chciało wyjść inaczej.

Nerwowo wydobyl swój dowód z portfela: ta sama data, co w dowodzie Natalii. Do ślubu nadal równo sześć tygodni. Może wtedy źle zrozumiał Człękousta? Może Uombocco pomylił się i wymienił inną datę?

Wkrótce zezwolono mu na korzystanie z czytelni uniwersyteckiej. Mógł przejrzeć materiały poświęcone Alonzo Zumarradze oraz jego notatki. Było tego ledwie kilkanaście szkiców, które skopowano dla niego.

W bibliotece zatrudniano wyłącznie kobiety, obowiązkowo żyjące w celibacie. Trudno powiedzieć, co lepsze dla dziewczyny w Mieście pod Skałą: małżeństwo czy celibat.

To właśnie jedna z bibliotekarek oderwała go od pracy: szpakowata, szczupła kobieta, odziana w różne odcienie szarości, o napiętej skórze na twarzy.

„Ładnie się starzeje...”, pomyślał, gdy szła ku niemu.

– Telefon do profesora Adamsa – powiedziała, nachylając się nad nim.

Natalia. Bełkotliwym głosem oznajmiła, że jest chora, więc przeniesie się z powrotem do siebie, a ponadto, że dzwoniła dwukrotnie Liliane, więc ona, Natalia, nie ma nic do roboty w jego mieszkaniu.

Parę dni temu Natalia przeniosła się do pokoju Adamsa, ignorując zakazy urzędowe. Ochrona Ludności dotąd nie zareagowała.

Niestety, jednocześnie Natalia przestała chodzić na zajęcia. Odkąd zauważyła, że data wpisu w dowodzie się nie przybliża, załamała się zupełnie. Wychodziła tylko po codzienne chrupki, zawsze kupowała te w plastikowej torbie w niebiesko-czerwone paski. Po podłodze walały się ich okruchy. Trudno było winić ją za jej słabość, skoro data ślubu oddalała się codziennie o jeden dzień. Adams zajmował kanapę.

Telefon od Liliane? To nieprawdopodobne. Natalia mogła to zmyślić, przecież właśnie wczoraj Adams opowiedział jej o spotkaniu z Liliane i ich dziwnym rozstaniu.

Pośpiesznie złożył notatki i pojechał do domu.

Natalia była kompletnie oszołomiona. Jej oczy, zwykle przepiękne, wyraziste, obecnie były puste jak oczy lalki czy rysunku. Myjąc ręce w łazience, przez uchylone drzwi widział, jak Natalia niezdarnie próbuje zrobić porządek na stole. Nie potrafił się na nią wściekać. Zanim sięgnęła po torebkę z nałogiem, zdążyła wysprzątać pokój i kuchnię.

– Połóż się już spać.

– Pójdę. Ale obejrzyj mój dowód osobisty.

Dowiedział się, że odebrała dwa telefony, jeden po drugim; za każdym razem dzwoniła ta sama kobieta, która nie chciała się przedstawić.

– To była ta twoja Francuzica – powiedziała.

Ułożył ją do snu, szybko usnęła. Nie pochrapywała. Prawdopodobnie obudzi się późnym wieczorem, wściekła i zniecierpliwiona. Dopiero rano będzie urocza i spokojna. Powiedziała mu, że jest to „efekt powidoku”. Mówiąca wyjaśniła jej, że oznacza to tylko tyle, iż organizm prawidłowo reaguje na działanie chrupek.

Zajrzał do jej dowodu. Nadal równe sześć tygodni do ich ślubu. Obejrzał wpis pod światło: mógł być ścierany lub zamazany, a potem wpisany jeszcze raz. Kartka była w takim stanie zużycia, że nie dało się tego wykluczyć. Identyczna data widniała w jego własnym dokumencie. Jego kartki również były zużyte.

Rozłożył na biurku fotokopie rysunków Zumarragi. Na śmierdzącym denaturatem, bladoliliowym papierze rysowały się cienkie, niewyraźne linie dziwacznych figur: dwóch następujących po sobie półokręgów, przypominających literę „m”, kwadratów owiniętych serpentynami czy gałazeczek rosnących w dół. Niektóre nieoczekiwanie przypominały rysunki z korytarzy. Cały wieczór spędził samotnie nad papierami, nawet nadzieja przestała mu towarzyszyć.

Natalia mówiła zdenerwowanym głosem. Słuchawka zniekształcała go, na dodatek plątał się jej język. Rzuciła dziwaczne obelgi. Głównie pod jego adresem, ale nie tylko. Wiedział, że wiele określeń zostało jej podsuniętych przez Mówiącą. Trudno było przeceniać wpływ tej (nieznanej, lecz bez wątplenia wrogiej mu) kobiety. Nie rozumiał Natalii, próbował łapać sens wypowiedzi. Znów wspominała o telefonie natarczywej „Francuzicy”, która wypytywała o Adamsa. Od dawna nie widział Liliane na nieboskłonie, może więc wylądowała. Ale dlaczego miałaby niepokoić telefonami Natalię, mogła przecież wprost zadzwonić do niego...

Narzucił kurtkę i poszedł do niej. Było piękne popołudnie, niedawno przeszedł deszcz. Powietrze rześkie, ale nie za chłodne. Niestety, gromadziły się następne granatowe chmury. Minał go oddział doboszy reklamujących, odzianych w barwy telewizji. Wkrótce zniknęli za zakrętem i gwar ucichł.

Znajomy recepcjonista nie robił trudności. Drzwi do pokoju Natalii były otwarte. Ona sama stała w kuchni i palcami jadła zimny makaron polany keczupem. Talerz wymykał się jej rękoma, a keczup spływał na podłogę. Spojrzała na niego mętnym wzrokiem.

– O, jesteś, Humphrey. Zrobię ci herbatę.

– Sam sobie zrobię. Powiedz tylko, gdzie są szklanki.

– W szafce.

Usiłował znaleźć półkę ze szklankami.

– Cholera jasna, jak ja nienawidzę, kiedy tłumi się moją wolność. To ja ci zrobię herbatę.

– Daj spokój. Trzyma cię jeszcze powidok.

Znalazł wreszcie jakąś szklankę i wypłukał w zlewie. Wrzucił do niej torebkę z herbatą.

– Odpieprz się od mojej wolności. – Zatoczyła się. – Mówiąca wytłumaczyła mi, że wolny człowiek powinien robić to, co chce. Masz siedzieć w pokoju.

Usiłowała bezskutecznie zapalić gaz. Łamała zapalną za zapalną. Wyjął jej z dłoni pudełko i sam to zrobił.

– Ogród ogrodem, ale nie masz do mnie prawa – powiedziała. – Skoro wybrałaś tamtą Francuzicę, to ją sobie bierz. Nikt nie może mieć dwóch kobiet naraz.

– Nie widziałem tamtej kobiety od dawna. Pewnego dnia pofrunęła, a potem widywałem ją na niebie nad miastem. Nie wiem, jak nawiązała z tobą kontakt. – Nie wspomniał, że tu wymaga się właśnie, by każdy miał dwie kobiety naraz.

– Ona fruwa nad miastem? – Spojrzała na niego z lekceważeniem. – To fruwa z nią. Czas

nadal stoi w miejscu.

Poszedł do pokoju i usiadł na kanapie. Na nocnym stoliku znalazł opróżnione opakowanie po białych chrupkach. To nie był wyłącznie powidok.

Wkrótce z kuchni dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Natalia upuściła szklankę z herbatą. Wpatrywała się pustym wzrokiem w zalaną podłogę i lekko się kiwała.

– Sparzyłaś się?

– Nie wiem. Co cię to obchodzi? – Wspierała się o szafkę. Wytarł jej przedramiona ścierką. Zebrał szkło z podłogi.

– Lepiej usiądź i daj sobie spokój.

Odpieprz się ode mnie. Zabierz sobie tamtą Francuzicę. Wrócił do pokoju i usiadł. Za kanapą leżały pomięte kolorowe czasopisma. Brakowało jej notatek ze studiów. Zgubiła je czy co?

Nerwowo przerzucił parę stron.

Natalia szła do pokoju, wspierając się o ścianę. Chciała usiąść na kanapie, ale upadła na podłogę, głośno uderzając łokciami. Niezdarnie próbowała się zebrać. Obejrzał jej ramiona, ale nie wyglądało, żeby złamała jakąś kość. Była w takim stanie, że prawdopodobnie słabo odczuwała ból. Niewątpliwie potłukła się dotkliwie. Z wysiłkiem zaniósł ją do sypialni. Nie była ciężka, ale leciała przez ręce jak ktoś śpiący. Zasapany, kopnięciem otworzył drzwi do pokoju. Położył ją na zasłanym łóżku. Potem wyrwał spod niej narzutę. Wreszcie ściągnął z niej spódnicę, bluzkę, biustonosz i majtki. Poczul się jak złodziej, jednak ostatecznie widział ją przecież naga, ponadto miała zostać jego żoną. Przynajmniej on dotąd w to wierzył. Nadal była piękna, może jedynie trochę przytyła, a wokół oczu miała nieco przedwczesne zmarszczki.

Ruszała się coraz wolniej i mamrotała cicho. Przykrył ją kołdrą.

Za często się to powtarza. Jak długo to będzie trwać?

Gdy zaczęła cicho pochrapywać, zajrzał do jej torebki i sprawdził datę ślubu w dowodzie: dalej za czterdzieści dwa dni. Najmniejszego śladu, że ktoś wydrapał poprzednią i wpisał nową. Kto mógłby to zrobić...? Ona...? Wiedział, że sam siebie usiłuje okłamać. To nie był jej styl pisma. Data zmieniała się z dnia na dzień, choć wpis wciąż wyglądał tak, jakby został zrobiony ręką tego samego urzędnika. Charakter pisma pozostawał bez zmian. W jego dowodzie nastąpiła identyczna zmiana. Kiedy to zrobiono...? Czy wywiadowcy penetrują jego pokój hotelowy, gdy on śpi? A może wówczas, gdy okazuje dowód na żądanie przypadkowym funkcjonariuszom? Jak znaleźć sens tego wszystkiego?

Wychodząc od niej, zatrzasnął za sobą drzwi.

Natalia okazała się zupełnie bezbronna, nieodporna na zwykłe, codzienne zagrożenia. Była może istotą idealną, ale rajska, nie przygotowaną na atak sił ziemskich; zbyt kruchą, by przeciwstawić się używkom i odeprzeć presję urabiającego ją pedagoga. Nałóg oraz umiejętna manipulacja fachowca usidliły ją nieodwracalnie. Obdarzyła zaufaniem niegodziwe osoby, a brak doświadczenia nie pozwolił jej tego dostrzec i zaradzić owej sytuacji.

Następne odwiedziny Natalii przebiegły bardzo gwałtownie. Najpierw zadzwoniła, nalegając na wizytę. Już samo to powinno zapalić w głowie Adamsa światełko ostrzegawcze.

Przyszła wkrótce po telefonie. Dzwonek mocny, zdecydowany. Widać było, że absorbuje ją jakaś myśl. Nawet gdy pomagał jej zdjąć zakieciak, odniósł wrażenie, że go ledwie zauważa. Wzrok miała nieobecny.

„Ciekawe, czy zwróciłaby uwagę, gdybym ją wziął...?”, pomyślał nie w porę.

– Co ty sobie właściwie myślisz? – zaczęła.

– O czym?

– No, o nas.

– Wiesz, właściwie to chciałbym...

– Co chciałbyś?!

– Aby było tak, jak ustalono... – zawahał się – ...podczas eksperymentu.

– Mam być twoją drugą żoną?! Dzielić się tobą z tą Francuzicą?!

– Kiedyś oboje zdecydowaliśmy, że pierwszą i drugą.

– Ani pierwszą, ani drugą. Niedoczekanie.

– Ale dlaczego?

Patrzył na nią, słuchał i każdym nerwem odbierał jej piękno: rozwiane włosy, regularne rysy, smukłe, proste nogi.

– Dlaczego miałabym się z tobą wiązać? – rzuciła. – Starzejący się i brzydny facet, profesor czegoś tam. To już na przykład pan Behetomtoh jest znacznie przystojniejszy od ciebie.

– Kto?

– Behetomtoh, Człekoust czy jak tam chcesz. Jest zgrabniejszy, ma młodszą skórę i bardziej szlachetne rysy i nie przebłyskuje mu łysina w świetle słońca.

– Ale zostałaś stworzona dla mnie. Przecież nawet w dowodach osobistych wpisano datę naszego ślubu.

– Co z tego, że wpisano? Liliane też ci wpisali? Behetomotoh wpisał tam, co chciał. Teraz już nie będzie chciał.

Adams milczał.

– Zrozumie wreszcie, człowieku! Nic ci do mnie. Cześć! Idę swoją drogą.

Właściwie trudno było się temu dziwić. Przecież nic lepszego nie spotkało go dotąd w życiu. Dlaczego niby miało być lepiej tym razem? Dlatego, że wszedł w te korytarze...? Może dlatego, że zaangażowano go do tego eksperymentu...?

– Co będziesz teraz robić?

– Ja?

– Tak, ty.

– Muszę rozwijać się jako człowiek. Pedagog Mówiąca popiera moją decyzję. – Wyduła wargi.
– Dostałam stypendium naukowe.

– *Z ossuatystyki?* – to miała być zamierzona złośliwość. Nie została zauważona.

– A właśnie tak. Moje obawy nie miały sensu. Mówiąca przekonała mnie, że nie należy wiązać losów małych dzieci z dziełami sztuki, bo każdy z nas kiedyś przemieni się w takie dzieło.

– Jakoś nie mam ochoty się przemienić.

– Właśnie dlatego ja nie mam ochoty być z tobą. Potrzeba było wielu rozmów z Mówiącą, abym to wreszcie zrozumiała.

– Chcesz, żeby z twoich kości zrobili fotel albo świecznik?

– A czemu nie...? Ty tego nie zrozumiesz. Zatoczyła kółko wokół stołu.

– Właściwie, co ja tutaj robię...? – powiedziała do siebie. – Przecież już wszystko powiedziałam. Żegnaj, Adams! Ten wpis w dowodzie osobistym możesz sobie zmasać. Cześć, pa, udanego życia!

Wyszła, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

Siedział bezradnie w pokoju hotelowym. Przyszłość jawiła się białą plamą. Usiłował kreślić diagramy, by wywieść z nich jakieś wskazówki. Nic nowego nie przyniosły. Iluminowany doktor nauczył, jak tłumaczyć schematy, ale nie jak wróżyć. A przynajmniej Adams nie potrafił tego zrobić.

Nadzór wywiadowców był nieznośny. Adams stale rozpoznawał ich za sobą, kiedy włóczył się po ulicach; wyławiał ich wzrokiem ze szpaleru oglądającego pochody doboszy i połykaczy ognia; nauczył się ich dostrzegać wśród cisnących się pasażerów zatłoczonego tramwaju. Słyszał szum aparatu podsłuchowego, podnosząc słuchawkę telefonu.

Ibn Khaldouni prowadził program ciągłych badań na uniwersytecie, powiedziano Adamsowi na recepcji. Jakie to ciągłe badania mógł prowadzić socjolog, nie wyjaśniono. Równie dobrze egipski stypendysta mógł zostać ponownie aresztowany.

Telefon u Falzarote zamilkł, może odcięto przewód. Wybrał się więc do niego osobiście. Podświadomie chciał zdradzić Natalię z żonami Falzarote. Nie czuł nic do Karen, posągowa uroda lub smukła szyja i sposób noszenia się Falzaroty urzekły go tylko na krótko. Właśnie w Natalii zadurzył się, mimo iż widział krok po kroku jej stwarzanie: kości, mięśnie, wreszcie tłuszcz i skórę. Może chciał odreagować zerwanie, może chciał zrobić jej na złość.

Śledczy odkleił się od drzewa i powlókł w ślad za Adamsem.

„Podła robota...”, pomyślał Adams. „Deszcz czy cuchnąca mgła, a ty stale tkwisz na ulicy przed bramą hotelu”. Ale może recepcjonista zawiadomił tajniaka warującego w przytulniejszym miejscu.

Adams dreptał, chlapiąc wodą z małych kałuż, powstałych w nierównościach chodnika. Przystanął, aby zrównać się z pilnującym go funkcjonariuszem i zagadać, ale tamten też się zatrzymał. Miał włóczkową czapkę, nasadzoną głęboko na oczy. Nie Bielen, ktoś niższy wzrostem i pewnie stopniem. Do sylwetki tajniaka pasował podwywiadowca Ciampone. Trudno rozpoznać z daleka. Zrezygnowany Adams po chwili ruszył. Szary cień poczłapał za nim.

„Właściwie, jak chce, niech lezie...”, wzruszył ramionami. „Może się przyda, jakbym trafił na jakiego oprycha”.

Dom Falzarote był zamknięty na głucho. Drzwi wejściowe zapieczętowano szeroką taśmą samoprzylepną, z odcisniętymi znakami przewodniczącego Nero.

Wracając, przemókł. Znowu zaczęło siąpić. Ledwie powiesił kurtkę na wieszaku, kiedy zaterkotał telefon. Kilkakrotnie. Adams ospale zebrał się i podniósł słuchawkę.

– Tak? Słucham.

Chwila ciszy i po tamtej stronie ktoś przerwał połączenie. Adams usiadł do notatek. Znow dzwonek telefonu.

– No, słucham. Co jest...?

Znowu cisza po drugiej stronie. Odłożył.

Zaraz kolejny sygnał i znowu cisza. Adams usiadł zniecierpliwiony. Powtórzyło się to jeszcze dwukrotnie. Czy to nowy pomysł wywiadowców Człekousta? Mało prawdopodobne: mieli sto pewniejszych sposobów złamania go. Więc kto...? Może to znak, próba przekazania informacji... Natalia? Po co miałyby dzwonić, skoro nie znał jej obecnego adresu. Mogła zwyczajnie przyjść. To może Karen lub Liliane? Nie i nie. Z tego samego powodu. Ibn Khaldouni kiedyś usiłował dawać Adamsowi porozumiewawcze sygnały. Wtedy wskazywał na podsłuch. Jeśli uznał, że cokolwiek powie, zostanie wykorzystane przez funkcjonariuszy, to mógł spróbować głuchych telefonów. Czy Ibn Khaldouni ukrywa się, a głuchy telefon wystarczy, by wskazać miejsce jego pobytu? Oczywiście, miejsce znane Adamsowi – hotelowy pokój Ibn Khaldouniego.

Rozumowanie było naciągane w tylu miejscach i tak mocno, że wniosek darł się jak zetłałe prześcieradło.

„Cóż, trzeba iść i sprawdzić”, pomyślał Adams. „Przynajmniej odpocznę od tych dzwonek”. Ostatecznie wspomniany pokój był ledwie na końcu korytarza hotelowego.

Drzwi zastał uchylone. Zajrzał i krzyk uwiązał mu w gardle. Krótki przedpokój był kompletnie zrujnowany: lustro zbite, szafki wybebeszono; przerażały brunatne plamy na ścianach – dziwne, rozmazane, jakby ktoś wycierał ręce. Adams starał się omijać co większe zwały potrzaskanych przedmiotów. W pokoju gościnnym to samo: zupełna ruina i brunatne, podłużne pasma na ścianach. W łazience wanna wypełniona rozbitymi doniczkami i kawałkami fajansu. Tam też zaschłe maźnięcia na kafelkach. Do kuchni nie zdążył jeszcze zajrzeć.

Ibn Khaldouni leżał w sypialni rozkrzyżowany na łóżku. Jego galabija, w której zwykł przesiadywać, zupełnie przesiąkła krwią. Z nieruchomej piersi sterczały trzy głęboko wbite noże. Prawdopodobnie z szuflady w kuchni. Adams pochylił się nad gospodarzem. Wytrzeszczone oczy Ibn Khaldouniego nieruchomo wpatrywały się w sufit. Usta były półotwarte.

Nagle trafił w Adama mocny strumień światła, rzucając jego zgarbiony cień na ścianę nad łóżkiem.

– Nie ruszać się! – rozległo się. – Teraz ręce do góry!

Posłusznie uniósł ramiona. Ktoś błyskawicznie go zrewidował.

Milicjant znalazł jedynie klucze.

– Proszę, proszę, my się przecież znamy – odezwał się wywiadowca Bieleń. – To profesor Adams. Specjalista z Drugiej Wszechnicy, jakby jednej mu było mało.

Adams przymknął powieki. Ktoś uparcie świecił mu prosto w oczy mocnym ręcznym reflektorem.

– To światło nie jest konieczne – powiedział Adams.

– Rączki, profesorado – upomniał funkcyjnarjusz.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Jasne. Každy tak mówi.

– Przyszedełem tu przypadkiem. Chciałem odwiedzić Ibn Khaldouniego.

– Stwierdzono, że byliście pochyleni nad zwłokami, kiedy wkroczyły organa ścigania. Prawdopodobnie usiłowaliście wyciągnąć wbite noże albo właśnie wbijaliście trzeci – powiedział Bieleń. – Jesteście aresztowani, profesorado Adams. Pozwoliliście sobie na zbyt wiele.

– To zwykły przypadek. Bieleń wzruszył ramionami.

– Wyprowadzić aresztanta – rzucił.

Na komendzie umieszczono go oddzielnie, w celi numer osiem.

„Coraz lepiej poznaję tutejszy areszt. Nawet ta sama cela co poprzednio”, pomyślał Adams.

Nalał wody do miednicy. Mydła nie dali. Odświeżył się i wygodnie wyciągnął na drewnianej pryczy. Smaczne spanie, chociaż rano będzie bolała každy kość. Jednak nim zdążył zmrużyć oko, wezwali go na przesłuchanie, i to do samego Uombocco.

– Dlaczego zabiliście Ibn Khaldouniego? – zaczął Człekoust. – Czy dlatego, że nie był Zumarraga?

– Nie zabiłem Ibn Khaldouniego, przecież pan to wie.

– Ja? A niby skąd?

– Wszystkie moje rozmowy są na podsłuchu, więc z pewnością macie dzisiejsze taśmy. Znajdziecie na nich puste telefony. Uznałem, że Ibn Khaldouni daje mi do zrozumienia, abym się z nim spotkał. Łatwo się można było domyślić, dokąd powinienem przyjść.

– Ibn Khaldouni zadzwonił do was przed śmiercią? A może dzwonił już z nożami w sercu? – Uombocco uniósł brwi w udanym zdumieniu.

– Ten, kto mnie tam wzywał, zabił Ibn Khaldouniego.

– Kto was tam wzywał?! – w głosie Człekousta dźwięczała irytacja. – Opowiadacie o jakichś dzwonekach, o głuchych telefonach, profesorado Adams. Innych wizji nie było? Tłumaczcie się sensowniej!

– Ja?

– Tak, wy. Jeszcze nie rozumiecie? – Człekoust rzucił plikiem papierów. – Jesteście podejrzani

o zabicie profesora Ibn Khaldouniego. Widać nie zrozumieliście, kiedy powiedziałem raz. Jesteście jedynym podejrzanym.

Adams zamilkł. Docierała do niego groza sytuacji.

– Chwileczkę. – Zmarszczył brwi. – Przecież przybyłem tuż przed funkcjonariuszami. Skąd milicja dowiedziała się tak szybko?

– My sprawnie działamy. Sąsiedzi usłyszeli krzyki. Dotarcie do hotelu zajęło nam dosłownie parę minut. Wywiadowca stwierdził ujęcie was na miejscu zbrodni. – Człekoust przyjrzał się raportowi. – O, właśnie... Pochylaliście się nad ofiarą. Prawdopodobnie wycieraliście ręce z krwi.

– To nieprawda. Miałem czyste ręce.

– Bo wytarliście je wcześniej o ścianę.

– Właśnie, jeśli było, jak podejrzewacie, to musiały na ścianie pozostać odciski moich palców.

– Oczywiście, sprawdzimy to. Na razie pozostaniecie w areszcie. Podejrzenie jest bardzo poważne, profesorze Adams. – Człekoust telefonicznie wezwał strażnika.

– Żądam przedstawienia mi zwłok Ibn Khaldouniego.

– Cco!?! – Uombocco wyglądał, jakby autentycznie został wytrącony z równowagi.

A tak. Nie wierzę, że Ibn Khaldouni nie żyje. Myślę, że cała sprawa została ukartowana. Na przykład, by mnie zmusić do wzięcia udziału w eksperymencie bardziej ryzykownym niż poprzedni. Powtarzam: żądam okazania zwłok Ibn Khaldouniego.

Uombocco rzucił parę słów do słuchawki.

W drzwiach stanął barczysty funkcjonariusz, podwywiadowca Ribnyj.

– Wyprowadzić zatrzymanego – rzucił Uombocco.

Zupełnie jak poprzednim razem, Adamsa zwolniono o trzeciej w nocy. Podobno nie zidentyfikowano odcisków palców na smugach krwi na ścianach. Surowo zabroniono mu jakichkolwiek prób opuszczenia Miasta pod Skałą. Zwolnienie podejrzanego podpisał sam Człekoust.

Adams zrezygnował z autopsji zwłok Ibn Khaldouniego, gdyż załatwienie stosownych formalności trwałoby dwa dni i musiałyby je spędzić w więzieniu.

Znów znalazł się w środku nocy przed stalowymi drzwiami oddziału milicji. Przynajmniej nie doskwierał chłód.

„W końcu stłuką mi głowę jakieś męty...”, pomyślał i poczłapał pustymi ulicami śpiącego miasta.

Odcięto go od biblioteki, pozbawiając przy zwolnieniu służbowej legitymacji profesora. Praca naukowa nie mogła postępować, z kolei życie osobiste i tak dawno legło w gruzach. Niestety, miał dość czasu na wspomnianie Natalii, a kiedy tylko oderwał się od myśli o niej, wpadał w przerażenie.

Adams formułował hipotezy objaśniające, gdzie trafił. Każda kolejna była słabsza. Miasto pod Skałą broniło się przed klasyfikacją. Może było furtką między chwilami, skoro Ibn Khaldouni, który żył pięćdziesiąt lat po Zumarradze, odkąd tutaj trafił, postarzał się niewiele, a do niedawna cieszył się znakomitym zdrowiem. Adams był przekonany, że on sam wróci w jakiś przypadkowy moment dziejów. Czy zdoła po powrocie na powierzchnię jeszcze raz nauczyć się żyć według nowych reguł?

Zaterkotał hałaśliwie telefon. Adams podniósł słuchawkę.

– Ty bydlaku! Ty świni! Ty nędzny psie! Jak śmiesz coś Natalii narzucać?! Kim ty jesteś, żeby tutaj, w Mieście pod Skałą, wydawać polecenia?! – krzyczał nieznajomy, kobiecy głos, ale nietrudno było się domyślić, do kogo należał.

– Z kim mówię? – spróbował przerwać serię wyzwisk.

– Jeszcze nie wiesz!? Bydlaku jeden! Dobrze wiesz!

Adams odsunął słuchawkę od ucha. Jazgot nadal był dobrze słyszalny.

– Natalia ma odejść od ciebie! Ma więcej się z tobą nie spotykać. Już ja zadbam, żebyś jej nie szkodził! Przygotowałam dla niej program, według którego ma się rozwijać, a ty jej to uniemożliwiasz.

– Ja... Ale... – mówił, trzymając słuchawkę z dala od ucha. Nie wpływało to w żadnym stopniu na zacietrzewiony monolog.

– Zabraniam ci kontaktów z Natalią!

– Uformujesz ją, babo, na swój obraz i podobieństwo, co?! – krzyknął i nacisnął widełki, żeby przerwać połączenie.

– Co rzucasz?! Czym rzucasz?! – wrzask nie umilkł. – Zachciewa mu się rzucać słuchawką. Rozmowa zostanie przerwana, jak ja będę chciała ją skończyć, nie ty, Adams!

Jeszcze parę razy przycisnął widełki. Bez rezultatu.

– Zabraniam ci spotykać się z Natalią. Ona jest wolna i ma tutaj swoje miejsce, a nie gdzie indziej. Ty jesteś winien wszystkiemu. Przez ciebie nie może się rozwijać.

– Nie przeze mnie!

– A właśnie, że przez ciebie, bo stale z tobą przebywała! Rozszarpie cię na strzępy! Wydłubię oko! I jeszcze drugie!

– Natalia odeszła trzy tygodnie temu.

– Obyś zdechł, Adams! Za to, że jej nie uwolniłeś od siebie. Ty bydlaku! Zdechniesz w pierdłu. Zdechniesz o kaszy i wodzie. Obyś zgnił! – rozmówczyni ignorowała jego słowa.

„Skoro nie widziałem Natalii od dawna, a mimo to Mówiąca jest tak wyprowadzona z równowagi, wręcz eksploduje, znaczy, nie idzie im z Natalią tak łatwo...”, pomyślał. „Wbrew pozorom, wbrew temu, że tak łatwo odebrali mi Natalię, teraz nie potrafią sobie z nią poradzić...”

– Ty bydlaku jeden! Obyś przepadł! Ja cię zabiję! – jazgot Mówiącej nie ustawał.

„Natalia się broni. Nie mają jej w swoich rękach. Może nadal mnie kocha...” Uśmiechnął się do swoich myśli, choć ze słuchawki nadal leciały pomyje inwektyw.

– Ty łotrze! Ty skurwielu! Ty durniu! Fałszywy profesorze!

Adams cichutko odłożył słuchawkę i wyciągnął się na kanapie z rękoma pod głowę. Po raz pierwszy od wielu dni był w duchu zadowolony.

– Ty bydlaku! Łajdaku! Bydlaku! Bydlaku! – dobiegało zabawnym szeptem ze słuchawki.

Uniwersytet zajmował cały kwartał ulic, nie mając jednakże charakterystycznej struktury kampusu: trawniczków, alejek z ławeczkami, miejsc, gdzie można było się rozsiąść, podyskutować między wykładami, poplotkować czy zwyczajnie odpocząć. Budynki oddziałów uniwersyteckich, ułożonych rzędami w wydziały, poprzedzielano dla wygody mieszkańców miasta wąskimi betonowanymi drogami, na których stale panował intensywny ruch. Wzdłuż ulicy tyczkami zaznaczono przystanki różnych linii autobusowych. Przy każdej z nich nieustannie gromadził się tłumek pasażerów. Uliczni sprzedawcy, na prześcieradłach położonych wprost na bruku, rozkładali swój dobytek: okulary, długopisy, prezerwatywy i wkładki domaciczne, damską bieliznę, kulki do ściskania na szczęście, ruchome struktury z drutów, pozwalające na układanie figur gwarantujących osiągnięcie równowagi ducha. Umieszczenie przystanków tuż przy budynkach uczelni miało na celu wygodę dojeżdżających studentów, jednak sprowadzało w jej pobliże uliczny gwar i ruch. Z początku Adamsa denerwowały klaksony aut i zgrzyt tramwajów, przedzierające się przez opuszczone żaluzje, później się przyzwyczaił. Teraz nie miało to najmniejszego znaczenia.

Wśród stłoczonych przekupniów i oczekujących na autobus podróżnych pośpiesznie lawirowali studenci, zgarbieni, z notatkami pod pachą, starający się zdążyć na najbliższe zajęcia. Korytarze wewnątrz budynków wydziały poprzedzielano zamkniętymi drzwiami, które otwierać mogli tylko pracownicy. W ten sposób chciano odosobnić miejsca pracy naukowej, ograniczając ruch i gwar studenckich rozmów na korytarzach, nawet kosztem niewielkich utrudnień. Studentów wpuszczał na teren oddziału pracownik prowadzący zajęcia i on odpowiadał za nich prawnie i materialnie na tym terenie.

Z reguły pracownie umieszczano w innych budynkach niż sale wykładowe i seminaryjne, co obniżało choćby koszty zasilania czy dostawy gazu. I dlatego, idąc z wykładów na oddziale *ossuarnym* wydziału sztuki do pracowni, należało pokonać kilka przecznic i skrzyżowań ze światłami.

Budynek administracji ciągnął się przez cały kwartał, przepuszczając ulice miejskie systemem przewiązek. Było to masywne, betonowe gmazysko, do którego wiodły wysokie schody, a fronton wspierały przysadziste, graniaste kolumny. Na środku frontonu stała okazała rzeźba dwóch ściskających się przyjaźnie postaci, z których jedna była do pasa muskularnym mężczyzną, a od pasa kozłem, druga z kolei dokładnie na odwrót. Wiązało się to jakoś z dewizą La Sapienzy. („O duchu, który tworzy, sprawia, oczyszcza sobą innych, i ciele, które realizuje wzniosłe zamierzenia ducha nieudolnie, robi błędy, które nieoceniony duch znów musi brać na siebie, czy jakoś podobnie...”, przypomniał sobie Adams). Na narożach gmazyska stały cztery ptaki o kobiecych głowach, tułowiach i ustach rozdziawionych do krzyku. Przed nimi, lecz niżej, z naroży niemal zwisały cztery lwy o kobiecych głowach i piersiach. Owe harpie miały symbolizować pytania, a grymas twarzy oraz brak skrzydeł u sfinksów – wielką wagę udzielanych odpowiedzi.

Budynki oddziałów były właściwie pomniejszonymi kopiami gmachu administracji, ustawionymi w równych szeregach, prostopadle do jego osi. Po obu stronach administracji wiodły ruchliwe arterie.

Adams czekał na przystanku. Natalia musiała przejść tędy w czasie przerwy w zajęciach.

Postanowił z nią porozmawiać. Ciągłe jacyś ludzie przeciskali się przez tłum i potracali go. Obok stanął młody żebrak i do plastikowego kubka zbierał bilon. Co chwilę zwracał się do Adamsa i natarczywie stukał go kubkiem w brzuch. Twarz żebraka pokrywały małe, okrągłe strupki. Nawet nie otaczały ich krążki zarumienionej skóry. Na chudych rękach miał połyskliwe plamy. Na grzbiet naciągnął niemiłosiernie brudny, ciężki płaszcz. Chude ręce wysuwał wprost z jego rękawów; koszuli nie miał. Toczył mętnym wzrokiem, trochę się ślinił.

Adams odsunął się. Żebrak postąpił za nim, spychany przez tłoczących się ludzi. Krok po kroku Adams powoli odchodził od słupka z tabliczką. Dryfował z ludźmi. Tak był zajęty unikaniem kontaktu z włóczęgą, że zapomniał, po co tu przyszedł. Ciągłe potracali go zniecierpliwieni przechodnie.

Do żebraka podeszła młoda kobieta w powalanej błotem wiatrówce i dziurawych dżinsach. Miała całą twarz pokrytą plastrami. W tej masce widniały tylko otwory na oczy, usta i dziurki nosa. Na jej skraju, przy granicy włosów, widać było łuszczącą się różową, bibułkową skórę. Kobieta zaczęła głośną rozmowę z żebrakiem, która zaraz przerodziła się w kłótnię i szarpaninę.

Adams zobaczył Natalię za późno. Zamyślona, zgięta pod ciężarem pliku notatek, dotarła już na przystanek. Rzucił się za nią. Drogę zagroziła mu rozwrzeszczana odrażająca para. Akurat podjechał autobus i tłumek wsiadających zagarnął Natalię do środka, szczelnie wypełniając wóz. Spóźnialscy próbowali jeszcze jakoś upchać się do wnętrza. Nawet połowa oczekujących nie wsiadła. Autobus ruszył z wyciem zdławionego silnika.

Znowu przed nosem Adamsa żebrak potrząsał monetami w kubku. Gdzieś zniknęła jego kłótniwa towarzyszka. Adams przyłożyłby mu w gębę, gdyby nie te strupy.

Adamsowi przestano wypłacać zasiłek w gotówce. W zamian dostawał talony na trzy posiłki dziennie: śniadanie (chochła kaszy i kubek gorącej, słodkiej herbaty), obiad (miska zupy, na drugie danie ćwiartka chleba i dwie garście krwawej kiszki albo gotowana rzepa, albo ziemniaki w skórce), kolacja jak śniadanie. Brak gotówki zaczął mu doskwierać: nie można było jeździć tramwajami, nie było za co dokupić jedzenia. Z nadzieją podniósł się na dzwonek telefonu.

– Przestań wreszcie niepokoić Natalię! – rozległ się znajomy głos. – Nie waż się jej zaczepiać. Załatwię, że ci kartki zabiorą i zdechniesz z głodu! Nie zbliżaj się do uniwersytetu!

Adams słuchał uważnie. Tak, dziś ton był inny, spokojniejszy. Poprzednim razem Mówiąca miotała się jak osaczona bestia. Teraz cedziła każdą obelgę.

– Nędzny profesorek! Gnój! Przybłęda! – słowa leciały jak celnie rzucone kamienie. Zdarzały się chwile przerwy, namysłu.

Adams zapukał palcem w mikrofon.

– Co mi tam stuka na linii?! – warknęła. Dał się słyszeć odgłos uderzeń, jakby w obudowę aparatu. – A zresztą możesz z nią rozmawiać. Usłyszysz dokładnie to samo, co ode mnie! Natalia cię nie chce! Słyszysz, Adams?! Ona nie chce cię widzieć ani rozmawiać z tobą! Jesteś dla niej zbyteczny.

Tym razem to stuk słuchawki rzuconej przez Mówiącą zakończył rozmowę.

To rozwścieczyło Adama.

„Właśnie teraz powinny kończyć się zajęcia”, pomyślał. Pewna siebie Mówiąca powinna być mniej czujna.

Tramwajem pojechał na gapę. Wcisnął się w poblizę wścieklej awantury. Dwóch włóczęgów omal się nie pobiło. Wokół rozchodził się fetor nie mytych ciał. Inni pasażerowie starali się od nich odsunąć jak najdalej. W ścisłości podczas godzin szczytu nie było to możliwe. Adams krył się w chmurze ich smrodu przed czujnym bileterem. Oczywiście, nieskutecznie. Zaraz został wyłowiony i wywleczony prawie za kark.

– Nie wsiada się środkowymi drzwiami – rzucił zziębnięty bileter, który specjalnie ku Adamsowi pchał się przez pół wozu.

– Jasne, ale bałem się, że nie zdążę.

– Będzie kara.

– Nie mam czym zapłacić. Jestem włóczęgą. Podlegam programowi ochrony społecznej. – Adams wyglądał zbyt schludnie, aby bileter w to uwierzył.

– Legitymacja kłoszarda!

– Nie mam formalnych uprawnień.

– To jedziemy na komendę.

– Może być. Wyśpię się w cieple. – Adams wzruszył ramionami. Wiedział, że bileter nie zatrzyma tramwaju. Zniecierpliwieni pasażerowie rozszarpaliby go na strzępy.

– Jak ci przypierdolę! – Bileter próbował wyciągnąć służbową pałkę. W ścisku nie było to możliwe.

– Legitymacji nie mam, ale mogę okazać bloczek na obiad dla bezrobotnego. – Adams starał się załagodzić sytuację. Chciał koniecznie zobaczyć się z Natalią.

– Marny dowód.

– Mam jeszcze bloczek na kolację.

– Okazać obydwu.

Adams podał je wysoko ponad głowami podróżnych.

– Zostaną zatrzymane do sprawdzenia – powiedział bileter i schował oba kawałki papieru do kieszeni. Ruszył w kierunku następnego podejrzanego.

Tramwaj dowiózł Adamsa pod sam uniwersytet. Przystanek był przy budynku jego wydziału. Adams przez chwilę myślał, czy by nie odwiedzić swojego oddziału naukowego, może nawet swojego pokoju. Zajrzeć, jak też tam teraz wyglądało. Wyobraził sobie beznadziejną kupę notatek usypaną na środku pokoju, grób myśli – nie mauzoleum, ledwie marny kurhanek, ot, nierówność gruntu, bo tak wyszło grabarzom, którzy łopatami przyklepywali ziemię.

Machnął ręką. Nie było po co wracać. Większość swoich obserwacji mógłby zapisać ponownie. Pamiętał spostrzeżenia z Miasta pod Skałą; póki nie stłumią ich nowe, będą siedziały gdzieś pod czaszką, gotowe do spisania.

Dotarł do okazałej bramy wyjściowej oddziału *ossuarneho*. Spacerował, bo jedyna ławka z kutego żelaza, wbetonowana w chodnik, była niewiarygodnie zanieczyszczona przez kruki i gawrony.

Wreszcie doczekał się. Z budynku wysypali się studenci. Wśród nich wypatrzył Natalię. Przygarbiona, taszczyła pod pachą plik książek i notatek.

Zawołał ją po imieniu. Nie zareagowała. Podbiegł i zatrzymał ją, łapiąc za ramię.

– Natalia!

Jej spojrzenie bez blasku zniechęcało do rozmowy.

– Jesteś naćpana?

– Co? Ach, to ty, Adams.

– Natalia, wrócisz do mnie?

– Gdzie mam wracać? – jej oczy były dalej nieobecne; myśli skierowane w głąb siebie.

– Przecież to ja, twój Humphrey.

– Och, to ty, Adams. Wiesz, rozwinęłam się. – Lekko wysunęła się z jego objęcia. – Tu są wspaniali ludzie. Pedagog Mówiąca potrafi pomóc mi w każdym kłopotcie, jaki mnie spotka. Życie z tobą byłoby zupełnie jałowe, no wiesz, takie bez sensu. Praca tutaj daje mi wreszcie poczucie wolności.

– Praca, wolności...?

– Właśnie tak. Idę. – Bez słowa zbiegła po schodach. Nie próbował jej zatrzymać.

Spotkanie z Natalią nie pozostawiło wątpliwości, że utracił ją nieodwołalnie. Można się było tego domyślić po ostatniej rozmowie z Mówiącą.

Po co dłużej tkwić w Mieście pod Skałą? Żeby nieustannie rozpamiętywać utratę ukochanej kobiety? Cóż dobrego mogło go tu spotkać?

Konto, nie zasilane kolejnymi pensjami, wykrawiało się na codzienne wydatki. To, co wcześniej nazywał pensjami, było prawdopodobnie kolejnymi ratami za udział w eksperymencie. Widocznie kwotę wypłacono już w całości, wypłaty się skończyły..

Nie zamierzał wracać do zamurowanej furtki. Skoro dotarł do Miasta pod Skałą, wykorzystując ledwie połowę hasła „Silvestere”, co mogło znajdować się na końcu drogi? Może rozwiązanie problemów? Może powrót utraconej kobiety?

Cóż, z drzewa wyszedł, w drzewo przyjdzie mu wrócić. Spakował się: szczoteczkę do zębów schował do kieszeni; notatki przepadły wraz z utratą pozycji na uniwersytecie.

Dotarcie pod Janycuł wymagało zniesienia udręki dojazdu komunikacją miejską, słuchania żalosego zgrzytu kół tramwaju i wdychania smrodu kloszardów tłoczących się w strefach socjalnych każdego wozu. Prawo do bezpłatnego przejazdu w strefie socjalnej dawała legitymacja kloszarda. Jednak jej uzyskanie wymagało pokonania licznych przeszkód biurokratycznych, a potem regularnego potwierdzania w urzędzie, że jest się całkowitym wrakiem człowieka. Mimo braku legitymacji, pozbawiony gotówki [Adams](#) obecnie jeździł w strefie socjalnej. Obywatele usiłujący skorzystać z nienależnych im uprawnień, skryci w tłumie włóczęgów, by przejechać bez biletu, byli bezlitośnie wywlekani przez czujnych kontrolerów, a wyglądający zamożniej płacili wysokie mandaty. Dzisiaj szczęście mu dopisało.

Tramwaj dotarł w pobliże Janycułu. Adams precyzyjnie skierował się ku wyjściu. Musiał mocno pracować łokciami, żeby wysiąść. Nie rozglądał się specjalnie, ale nie wątpił, że za nim wyskoczył nieodłączny cień.

Za resztkę pieniędzy kupił bilet upoważniający do godzinnego spaceru po ogrodach przewodniczącego. Nie pamiętał, gdzie rośla *layleia*, zatrzymywał się więc przy każdym okazie i wypatrywał tabliczki. Wreszcie ujrzał charakterystyczną sylwetkę. Coraz drobniejsze gałązki rozszczepiały się w cieniutkie, niemal niewidoczne włoski – jak mgiełka. Przyśpieszył kroku. Wkrótce gnał, nie mogąc doczekać się wolności. Za sobą słyszał sapanie biegnącego funkcjonariusza.

Nagle zamarł: obok siebie rosły dwa okazy *Cayleii*. W którym z nich jest wejście do korytarzy...? Gdzie jest dziupla?

Czyjaś ciężka łapa opadła na jego ramię.

Adams odwrócił się gwałtownie.

– Nie możecie...! Nie wolno wam...! – krzyczał czerwony: wysiłku podwywiadowca Ribnyj, z trudem łapiąc powietrze.

– Czego nie mogę?! Czy jestem aresztowany?!

– Nie.

– Więc pójdę, gdzie chcę.

– A właśnie, że nie. – Ribnyj złapał go kurczowo za rękaw, a jednocześnie usiłował dmuchać w gwizdek. Chociaż poczerwieniał jeszcze bardziej, zdołał wydobyć jedynie cichy pisk.

Mimo to pojawiło się kilku porządkowych. Pomogli przytrzymać Adamsa.

– Jesteście aresztowani... – zdecydował wreszcie funkcjonariusz.

– Za co?!

– Za deptanie trawnika. To poważne wykroczenie. Tu jest teren stadionu przewodniczącego Nero.

Adamsa skuto i odstawiono na dobrze znaną komendę, trzęsącą się suką w truskawki i banany. Ciaken go rozkuł.

– Jednak nie zostałem aresztowany? – Adams uśmiechnął się pogardliwie.

– Wystarczy niewielka grzywna.

– Ja tam wrócę.

– To znowu będzie mandat. Trawa otacza obie *Cayleie*.

– To co, mam przeskoczyć o tycze?

– Macie zakaz opuszczania miasta, ciąży na was podejrzenie zabicia Ibn Khaldouniego. Ponadto wyniki eksperymentu nie zostały jeszcze całkowicie opracowane.

– Przecież przestaliście mi płacić.

– Sprawdzimy w rachubie, czy jeszcze nie została jakaś końcówka do wypłacenia.

– Natalia mnie opuściła. Po co mam tu tkwić i wszystko rozpamiętywać?

– To nie zależało od nas. Możemy dla was załatwić opiekę pedagog Mówiącej. Pomoże wam odnaleźć się w nowej sytuacji.

– Chcę rozmawiać z Człəkoustem.

- Nadobywateľ Człekoust jest obecnie bardzo zajęty.
- Ja jednak koniecznie chciałbym z nim rozmawiać.
- Z pewnością przyjmie was, jak tylko będzie mógł.

Odprawdzono go do celi numer osiem. W kącie stało regulaminowe wiadro zimnej wody, przynajmniej można było spłukać pot z twarzy.

Nadobywatel komendant był zbyt zajęty i rozmowa nie doszła do skutku. Adamsa zwolniono z aresztu znów o trzeciej w nocy. Prosił, żeby mu pozwolono przespać się w celi do rana, bo komunikacja miejska jeszcze nie działa, a na dodatek pada. Niestety, przepis nie pozwalał pozostać w areszcie do rana, jeśli nie przedstawi się wcześniej formalnego oskarżenia. Nocna zmiana była bowiem zobowiązana do opróżnienia i wysprzątania zwolnionej celi.

„Cóż, zmoknę ja, zmoknie cień”, mruknął i ruszył w deszcz. Kompletnie przemoczony, dotarł do hotelu około piątej.

Drżąc z zimna na ulicy, zastanawiał się, czy nie nadszedł właściwy moment, by odszukać drzwi w drzewie. Ale wyobraził sobie samotną z przemoczonym funkcjonariuszem i przeszła mu ochota. Trzeba to lepiej zaplanować. Najpierw rozstrzygnąć, w którą z *Cayleii* wiedzie droga.

Bramę otworzono o szóstej.

Nawet nie rozchorował się. Wystarczyło jeden dzień pozostać w pokoju i gorączka minęła. Tyle że Adamsowi dokuczał głód.

W urzędzie najpierw usiłowano go zbyć, przedstawiając rozliczenie, z którego wynikało, że należność została już uregulowana. Adams jednakże oświadczył, że musi więc albo z głodu opuścić Miasto pod Skałą, albo popełnić jakieś przestępstwo, by umieszczono go w areszcie. *Lewtan* wysłuchał tego w milczeniu. Dopiero gdy Adams powołał się na opinię przodownika Ciakena, wyszedł. Po dziesięciu minutach wrócił czerwony z wściekłości, ale z nową decyzją. Stwierdził, że ktoś w rachubie właśnie popełnił błąd i uznał, że Adamsowi należy się jeszcze wyrównanie za eksperyment. Ta nienależna kwota – jak kwaśno stwierdził – zostanie podzielona na stosowne raty.

Raty nie były wysokie, ale starczały na jedzenie i przejazdy. Jak na złość bilety podróżowały, odkąd starał się spenetrować okolice Janycułu i znaleźć dojście do ogrodu. Otoczenie *Cayleii* ograniczono drewnianymi barierkami. Należało zmienić taktykę.

Najpierw musiał rozwiązać problem, na który później nie będzie czasu: Do której *Cayleii* należy wejść? Czy tej, z której wyszedł, czy szukać wejścia w tej drugiej? Ponadto: jak rozróżnić oba drzewa?

Wchodząc do pierwszej, trafi pod zamurowane drzwiczki w murze Leona. Jeśli nawet sforsuje mur, straci Natalię i znajdzie się w nie wiadomo jakim czasie.

Z kolei wskazówki z hasła nie zostały jeszcze wyczerpane, więc prowadzą do jakiegoś celu. A jeśli na końcu tej drogi jest rozwiązanie i wyjaśnienie?

Aby zastosować przepis poprawnie, należało rozstrzygnąć, jaką rolę w zwiariowanej geometrii tego świata odgrywa Miasto pod Skałą. Czy w myśl reguły jest korytarzem? Czy salką z trzema drzwiami? W tym drugim przypadku korytarzem byłoby tylko zstąpienie na trawę z dziupli w dziwnym, porośniętym drobnymi kolcami drzewie, a wejścia do jego dalszego odcinka

umieszczone są gdzieś na terenie Miasta pod Skałą.

„Drzwi w salkie powinny być tak umieszczone, aby gdy się do niej wejdzie, nie było żadnej wątpliwości, które z nich są prawe, a które lewe...”, rozumował Adams. „*Cayleie* są dwie, więc z symetrii wynika, że topologicznie Miasto pod Skałą jest korytarzem”.

Czy jednak można oprzeć się na tak wątpliwym rozumowaniu?

Jaki sens dopatrywać się tutaj takiej symetrii? A jeśli w Mieście pod Skałą rośnie więcej *Cayleii*...? Nie zwiedził przecież nawet całych Ogrodów Przewodniczącego Nero. – A jeśli są tu inne ogrody? – Adams oparł dłonie na parapecie. Z natężeniem wpatrywał się w niskie, kłębiaste obłoki sunące nad miastem. Dostrzegł małą, ciemną sylwetkę.

„Ona czy jakiś gawron...?”, pomyślał.

Sylwetka zniknęła w chmurze, ale wkrótce wyłoniła się. Oczywiście, skrzydlata kobieta.

„Czy ona się bawi, przebijając na wskroś ten kłąb mgły?”, pomyślał. Nie dało się cały czas śledzić jej zabawy z obłokiem, zauważył jednak, że Liliane lata wokoło obłoku, co jakiś czas, wedle kaprysu, przecinając go na wylot.

Podziwiał jej popisy, lecz myślami był już daleko.

„Droga powinna być wskazana jednoznacznie. Co by to znaczyło? Gdyby jednak Miasto pod Skałą było salką, mam teraz skręcić w prawo. Powiniennem iść do drzwi po prawej stronie, więc wzdłuż ściany, czyli wokół pnia w prawo i wejść w najbliższe drzwi. No jasne, jeśli miasto jest salką... wycięwaną salką”, uśmiechnął się do swoich myśli, „...drzewo ma mieć trzy dziuple. Tylko tak droga może zostać jednoznacznie wskazana...”

Spojrzał na baraszkującą w powietrzu Liliane.

„Właściwie ona teraz jakby wychodzi z pnia i w innym miejscu w nim znika. Czy to Liliane naprowadziła mnie na rozwiązanie?”, pomyślał.

Jakkolwiek było, należało obejść pień *Cayleii* wokoło dla sprawdzenia, czy są w nim rzeczywiście trzy wejścia. W przeciwnym wypadku trzeba było wybrać ryzykowną hipotezę korytarza.

„Tak, ta druga *Cayleia* to zmyłka. Topologicznie jest jak rzeźba stojąca w środku salki. Takich fałszywych śladów może być w tym mieście wiele”, pomyślał Adams i zrelaksowany wyciągnął się na kanapie. „Trzeba zdobyć jakieś rękawice, bo kolce *Cayleii* są niewiarygodnie drobne”, planował. Z dłońmi pod głową, dumny z rozwiązania Adams gapił się w sufit.

Trzeba też było zaopatrzyć się w latarkę i świece.

Gdyby jednak staranniej rozumował, a chociaż wykonał prosty szkic na kartce, zorientowałby się, że jeśli rzeczywiście Miasto pod Skałą jest topologicznie salką, to powinien wracać wedle tej

samej reguły. Obojętne więc, czy pójdzie dalej, czy też zdecyduje się wracać, powinien iść według „Silvestere”. Znaczyło to dokładnie tyle, że hasło mogło zarówno skłaniać do dalszej drogi, jak też opisywać pętlę: do Miasta pod Skałą i z powrotem na powierzchnię, a na końcu dalszej drogi mogła czaić się zguba.

Jedyną możliwością niepostrzeżonego przedostania się na Janycuł był któryś z masowych koncertów, organizowanych na stadionie przewodniczącego Nero. Ze stadionu do Ogrodów Przewodniczącego było już blisko.

By uskładać na bilet i latarkę, musiał zrezygnować z siedmiu śniadań i trzech kolacji w stołówce socjalnej, z której obecnie korzystał. Wyrzeczenie nie było znaczące, bo zwykł nie jadać śniadań, zastępując je mocną kawą. Wymagało to nieco przemyślności, ponieważ obecnie pobory wypłacano mu nie pieniędzmi, ale bloczkami do opłacenia stołówki i hotelu.

„Gdybym miał kopiarkę...”, pomyślał, miętosząc w dłoni liche banknot, bez wątpienia wykonany metodą kserograficzną.

– Śniadanko za pół ceny – burczał, stojąc przed drzwiami stołówki. Źle się czuł w roli drobnego kombinatora. „To łatwiejsze niż śledzenie historii iluminowanego doktora...”, pocieszył się.

Wchodzący włóczędzy mijali go obojętnie. Wreszcie jeden z nich rzucił: – Ile porcji?

– Jedna. – Adams poczuł się trochę głupio.

Tamten skinął głową i odszedł. Po chwili przyprowadził drugiego. Ten posłusznie odliczył czarno-białe banknoty.

– Będzie jeszcze jutro?

– Będzie.

Bloczki na stołówkę przyznawano tylko niektórym, według niejasnych reguł. Za bloczek udawało mu się odzyskać połowę do dwóch trzecich jego wartości w gotówce.

Takie targi musiał powtarzać jeszcze przez kilkanaście dni, aż wreszcie zebrał na bilet. Nieco droższy niż najtańszy, by nie budzić podejrzeń.

Igrzysko na Janycule organizowano co tydzień. Adams nie przypuściłby, że aż takie tłumy biedoty tam wałają. Nabity tramwaj włókł się w ślimaczym tempie. Kolumny wyładowanych widzami ciężarówek osobowych blokowały ulice i skrzyżowania. Co chwila wybuchały awantury, a klaksony nie milkły.

Tramwaj skończył bieg, zanim osiągnął most na Typhure. Adams dołączył do hałaśliwej grupy widzów. Wszystkim udzielał się radosny nastrój. Jedni nieśli grzechotki, inni walili łyżkami w blaszane garnki. Skandowano: „Ne-ro! Ne-ro!”. Wkrótce łomot stał się zgodny, zsynchronizowany.

Na moście imienia przewodniczącego ruch zamknięto. Chodnikami i wszystkimi pasami jezdni sunęły rzesze ludzi. Od mostu na Janycuł biegła aleja Przewodniczącego Nero. Tu stały dwa rzędy jego posągów, wyłaniających się z ziemi. Te przy Typhure wykonano z betonu, a te bliżej stadionu

– z białego kamienia. W pierwszej parze widać było dwa półkuliste betonowe czerepy z resztkami zardzewiałych wieńców laurowych. Następne dwa już udatnie odtwarzały kielichowaty kształt mózgowiaszki przewodniczącego, chociaż jednemu brakowało wieńca – pozostały tylko stalowe sztangi służące kiedyś do zamocowania blaszanych liści; następna para wystawała z ziemi już po brwi, ujawniając mocno nawisłe czoło; kolejne ukazały oczy łypiące na boki; para innych – nie domykającą się dolną wargę. Adams pierwszy raz szedł tędy; aleja nie miała chodników dla pieszych.

Posągi przewodniczącego Nero rosły, jakby brodziły w ziemi, ale coraz płycej zanurzone. Przedstawiały jego ciało powyginane w dziwacznych, ekspresyjnych łamańcach.

W tłumie przeważali ludzie młodzi, chociaż zdarzali się starsi, idący samotnie mężczyźni. Nie było ani jednej kobiety zawiniętej w czarne szaty. Niektórzy gryźli chrupki wydawane przez funkcjonariuszy. Adams, by się nie wyróżniać, sięgnął po plastikową torebkę z białymi płatkami. Wybrał taką z zielonymi napisami i białymi paseczkami. Uważał, by nie wziąć tych w paski niebiesko-czerwone. Sporo zapłacił. Wyciągnął dwa banknoty. Byłe starczyło na bilet.

Sięgnął po parę płatków. Uderzyła go fala głębokiej goryczy, porażająca brodawki smakowe, i zapach suszonych grzybów. Dyskretnie wypluł resztę świństwa, żeby nie uderzyło do głowy. Poczul, jak żyły rozciągają się i sztywnieją. Jakby pod skórą niezwykle szybko rósł kolczasty krzak. „Robią ze mnie żywcem *rujsza*”, pomyślał.

Naprzemian zaciskał pięści, bo to pomagało upchać żyły z powrotem do wnętrza ciała. Ciekawe, czy inni już wiedzą, że zmienił się w *rujsza*. Rozejrzał się. Jednak z innymi było jeszcze gorzej: głowy mieli kuliste, a zęby, nosy i oczy zupełnie jak klocki drewna.

„Jak cholerne konie”, pomyślał. „Ale skurwieli wzięło”. Zarżał, jak oni. Nieostrożny wstrząs spowodował, że zaostrome końce żył przekłuły skórę i wylazły na zewnątrz. Syknął z bólu. Starał się iść w tę samą stronę, co dyniogłowi. Prostokąt nieba nad głową przypominał żagiel rozpięty nad stadionem, który nadyma się i flaczeje w takt oddechu. Niepotrzebnie zadarł głowę: mózg nadażył z obrotem i teraz, rozhuśtany jak serce dzwonu, bił w czaszkę. Adams schylił się, zatrzymał, ściskając skronie, póki minie nieznośny ból.

– Zagryź znowu, to przestanie walić do łba – podsunął jakiś przechodzień.

– Oczywiście.

Jasność umysłu jest najważniejsza. Trzeba przemóc oszołomienie, ale udawać je. Adams wcisnął w kieszeń torbę z narkotykiem tak, by pozostała widoczna.

Tłum dyniogłowych zmienił się w ciżbę wlokących się ludzi. Przygarbieni, z głowami wciśniętymi w ramiona, o niewidzącym spojrzeniu, wykonywali czasem konwulsyjne ruchy. Adams zgarbił się więc i wcisnął głowę w ramiona.

Aleję Przewodniczącego kończył plac. Strumienie ludzi nadchodzących różnymi ulicami złączyły się w rzekę prącą ku rzędowi betonowych bram. Płoty ze stalowych rur rozdzieliły tłum na

strumyki płynące w stronę kas. W klatkach ze stalowych prętów stali strażnicy uzbrojeni w broń automatyczną. Nie byli potrzebni: tłum zachowywał się spokojnie. Czasami tylko wrzasnął ktoś miażdżony o stalowe bramki przez napierającą ciżbę.

Bramka magnetyczna przed kasą zapiszczała żałośnie, ale okazana latarka nie wzbudziła sprzeciwów. Odbierano jedynie noże lub broń palną. Przy kasie Adams pozbył się gotówki. Wydawano wliczoną w cenę biletu półlitrowkę okowity, równocześnie nieletni podpisali oświadczenie, że jej pić nie będą, oraz obowiązkowo pobierali paczkę papierosów i prezerwatywę.

Stadion przewodniczącego Nero otaczała betonowa kolumnada, wzdłuż której od wewnątrz ciągnęły się trybuny, podzielone korytarzami wyjściowymi, a tu i ówdzie umieszczono nadnaturalnej wielkości rzeźby nagich ciał. Akuratnie wymalowane, przypominały trupy gigantów. Dzisiaj trybuny były puste, a widzowie wypełniali rozległą arenę, otoczoną rzędem kojców z uzbrojonymi strażnikami. Porządkowi tworzyli szpaler zagęszczający się przy kanałach wyjściowych. Na środku stadionu wzniesiono z desek okazały podest, a wieńcem wokół niego oraz w innych miejscach mniejsze areny. Na kilku z nich ustawiono klatki z solidnych stalowych prętów.

Zabezpieczenia przygłębiły Adamsa. Zamierzał przedostać się przez ogrodzenie do otaczających stadion ogrodów. Co z tego, że bramy z kutego żelaza zamykające wyjścia były niezbyt wysokie, że ich bogate wzory ułatwiłyby wspinaczkę, skoro po drodze trzeba by sforsować pola ostrzału dwóch karabinów maszynowych i szpaler pałkarzy...?

„Może chociaż dobrze się zabawię”. Zerwał zabezpieczenie i odkręcił nakrętkę. Hara uderzyła w gardło żywym ogniem.

„Z sześćdziesiąt procent...”, pomyślał i z powrotem wetknął butelkę do kieszeni.

Adams krążył w tłumie, nie zatrzymując się. Wyobrażał sobie, jak spały, sapiący z wysiłku podwywiadowca Ribnyj albo kwadratowy Ciampone usiłuje za nim nadążyć. Nie zwalniał, by nie ułatwiać zadania swojemu ogonowi.

„Niechże facet zapracuje na swoją pensję...”, pomyślał złośliwie.

Reflektory wyławiały z ciemności podesty, rozświetlając je na biało lub kolorowo. Adams dokładnie przyjrzał się najbliższemu: na podstawie z grubej, stalowej rury umieszczono scenę, zabezpieczoną pękiem stalowych kolców sterczących ku intruzowi, który usiłowałby się tam wspiąć. Obszernym wnętrzem rury wiodło pewnie zejście do sieci podziemnych korytarzy stadionu, którymi dostarczano psy do walk i tancerki. Wykorzystanie tej drogi dla przedarcia się do parku nie wchodziło w grę.

Rozpoczęto walki psów. Na sąsiednim pomoście biały o kanciastym, przypominającym gołą czaszkę łbie odgryzł łapę masywnemu jak mały niedźwiedź przeciwnikowi. Okaleczone zwierzę wyło przeraźliwie, nawet muzyka nie mogła go zagłuszyć.

Ominął inną scenę, na której masakrowały się dwa koguty, podjudzane do walki przez pracowników obsługi.

Na innych podestach tańczyły zespoły dziwnie poubieranych dziewczyn. Tancerki gibały się coraz gwałtowniej, z rur skierowanych w dół ku widzom dmuchały co jakiś czas opary aromatycznego dymu. Niektórzy wdychali je łąpczywie. Adams odsunął się. Na kolejne porcje darmowego haju zawsze zdąży. Kieszeń kurtki nadal rozpychała torba cholernych chrupek.

Lampy stroboskopowe oświetliły leżącą na trawie nie odpieczętowaną butelkę. Adams wcisnął ją do kieszeni. Zaraz znalazł następną. Pić nie zamierzał, ale wódka miała tu sporą wartość wymienną.

Można było nie pić, nie ćpać, unikać gazowego halucynogenu, ale nie można było pozostać obojętnym na ogłuszającą, rytmiczną muzykę i stroboskopowe błyski. Adams zaczął podrygiwać jak inni.

Sine błyski reflektora wydobywały pary obłapiające się na trawie. Ibn Khaldouni kiedyś stwierdził, że udział w igrzyskach przewodniczącego Nero uznaje się tu za wyzwajające i łączące przeżycie, jakie obowiązkowo powinien przejść każdy, zanim wstąpi w związek małżeński, a już koniecznie dziewczyna przeznaczona na drugą żonę.

„Ciekawe, czy ci dwoje jeszcze się uwalniają, czy już się łączą...”, pomyślał. W błyskach stroboskopu nie dało się orzec, na którym etapie obowiązkowego przeżycia się znajdowali.

Jakaś ładna, choć za gruba i krzykliwie wymalowana dziewczyna złapała go za szyję. Coś wykrzykiwała do ucha. Nie po to tu przyszedł.

– Wrócę po ciebie, cukiereczku! – Stracił jej ramię jak natrętnego owada. Nie do końca kłamał. Może tu wróci, żeby się uwolnić i połączyć dla osłody niepowodzenia w ucieczce.

W klatkach małych gladiatorów zastąpili więksi: lwice walczyły z niedźwiedziami. W żadnej dzikie zwierzęta nie rozszarpały skazańców. Coraz więcej ludzi kładło się na trawę. Czasem parami, czasem osobno.

Reflektory skierowały się ku głównemu podestowi, więc Adams podążył w tę stronę. Muzyka narastała falami; od basów drżała murawa. Nagle z głośników wybuchły okrzyki entuzjazmu. Oto na scenie pojawił się sam przewodniczący w lśniącym, metalicznym, wielobarwnym kostiumie z setkami wstążek i tasiemek. Poruszał się niezgrabnie, pokracznie przykucając. Nagle zerwał się do dziwnego tańca: to unosił, to opuszczał ramiona, wymachiwał nogami. Entuzjastyczne krzyki nasiliły się. Stroboskop błyskał kilka razy na sekundę.

„To cholerstwo rozmontuje mózg!”

Przewodniczącemu towarzyszyła na scenie grupa tancerek. Adams chciał z bliska przyjrzeć się władcy. Mocno pracując łokciami w tłumie, dotarł wreszcie pod wewnętrzny kordon pałkarzy. Towarzyszące przewodniczącemu tancerki robiły powolny striptiz. Właśnie ze sceny poleciało kilkanaście rękawiczek, rozchwytych zaraz przez gawiedź.

„Co ten skurwiel tak podryguje...?” – Adams osłaniał dłońią oczy przed błyskami i natarczywie

wpatrywał się w tańczącego władcę. Jego ruchy wydawały się nienaturalne. „Dynda na sznurkach, jak kukła...”

Ramiona przewodniczącego podnoszono linkami, z tyłu biegła najmocniejsza z nich, unosząca jego tęgie ciało.

– O, teraz lepiej widać...! – wyrwało się Adamsowi, kiedy władca naraz obiema stopami oderwał się na parę sekund od desek sceny.

Umykało to zgromadzonym, jednak bystry obserwator z pewnością dostrzegłby, że ostrzyżona na języka głowa przewodniczącego podtrzymywana jest stalowym wspornikiem, by nie opadła, twarz usztywniono klejem, by nie zszedł z niej wyraz wesołości, a powieki, by się przypadkiem nie zamknęły.

Jednak Adams miał ogon. Popchnięty przez kogoś Bielen wpadł na niego, dekonspirując się. Był profesjonalistą, skoro nie zgubił Adamsa w takim tłumie.

– O, co za spotkanie! – zaczął Adams. Bielen uśmiechnął się krzywo.

– Niezła zabawa, nie?!

– Właśnie.

– Zdrowie, panie nadzwiadowco! – Adams wcisnął mu w rękę otwartą butelkę.

– Najpierw wysłuchamy zasadniczej części dzisiejszej uroczystości.

Z głośników rozległ się głos przewodniczącego. Charakterystycznie jękając się, recytował rytmicznie. Ogłosił, że zaleca się, by telewizor został umieszczony w każdym pomieszczeniu mieszkalnym, a długość programu wzrasta z czterech do czterech i pół godziny tygodniowo. Przypomniał, że oglądanie całego programu jest obowiązkiem każdego obywatela. Abonament za drugi i następne odbiorniki zostaje obniżony o trzydzieści procent. Gdy skończył, wszystko na chwilę zagłuszył huragan braw i okrzyków zachwyty.

– No! Już wiemy, po cośmy się zebrawi. – Milicjant pociągnął potężny łyk.

Adams łyknął następny. Nie można było zbyt prymitywnie oszukiwać Bielenia, zresztą prawie utracił wiarę w powodzenie akcji.

– Na służbie nie można, co?

– Można – burknął Bielen.

– No to jeszcze raz.

Bielen skrzywił się niechętnie, ale wypił.

- Ciężka praca? – Znowu kolej Adamsa.
- Średnio. Figurant dość nieporadny.
- Może chrupek?
- Tego nie. Nie mieszam.
- No, to z rury.
- Z rury.

Adams był równie pijany jak Bieleń. Zabójcze tempo powali ich obu. Byle tamtego szybciej. Adamsowi udało się wcisnąć dodatkową kolejkę wywiadowcy, potem drugą. Butelka pokazała dno. Adams sięgnął po następną. Bieleń z pewnością widział, że Adams oszukuje, ale pił dość chętnie. Może nie tylko on go dziś pilnował...?

- A figurant nie ucieknie?
- Nnie. Zbyt niezdarny.
- A jeśli?
- Mała strata. Najwyżej upomnienie służbowe.
- A co wypite, to w brzuchu.

Bieleń pił łyk za łykiem. Adams oszukiwał.

– Jesteś dupek, Adams... – zabełkotał Bieleń. – Stąd nie ma wyjścia, a ja popiłem. – Zwalił się na ziemię i zasnął.

Adams też musiał się przespać. Byle odejść jak najdalej, żeby Bieleń go nie odnalazł, kiedy się zbudzi. Trudno było utrzymać prostą linię, ciągle ktoś go potraçał. Uwalił się na jakieś koce.

Dusił się przez sen. Półprzytomny wygramolił się spod dławiącego ciężaru: jakaś dziewczyna przysiadła mu niemal na twarzy. Alkohol przestał działać.

– O! Kameleon wyszedł spod ziemi! – powiedziała. Jeszcze nie świtało, spektakl trwał. Muzyka ogłuszała. Błyski stroboskopu nadal rytmicznie rozświetlały otoczenie. Dziewczyny tańczące na małych scenach porozbierały się już zupełnie. Striptizerki uzupełniono parami aktorów symulujących kopulację. Tłum gapiów przerzedził się. Większość z widzów zeszła do parteru. Najbardziej się obawiał rozpoznać Natalię wśród tarzających się po murawie. Ktoś złapał go za nogawkę. Strząsnął niezdarną rękę.

– Z jaszczurem nie pogadasz – wyjaśniła ta sama dziewczyna.

Adams zdobył kolejne dwie butelki okowity. Brakowało wolnych kieszeni. Oszołomiony mężczyzna kłuł się przemyconym nożem po nogach. Adams wyłuskał mu go z dłoni, wytarł ostrze o nogawkę tamtego. Złożył nóż i wcisnął do kieszeni. Facet w malignie porznął się już wystarczająco, a Adamsowi to narzędzie się przyda.

Odszukał właściwe wyjście ze stadionu. U stóp olbrzymiej kariatydy, wspierającej bramę, mieściła się budka strażnika. Zasłonił strażnikowi najbliższą platformę, na której rozneglizowana para zaplatała się w skomplikowany węzeł. Rozległ się suchy trzask ostrzegawczego strzału. Adams drgnął:

– Cholera, zapomniałem, gdzie jestem... – Odwrócił się.

Strażnik pokazał ręką, by Adams się odsunął.

Zamiast tego Adams podszedł do schronu.

– Odsłoń mi pole! – krzyknął strażnik.

– Myślałem, że chce pan kupić wódkę, sierzancie.

– Za ile?

– Dwieście syceli. – Cena była wysoka, ale o tej porze zapasy alkoholu już się kończyły.

– Podaj butelkę.

– Żarty, panie sierzancie...? Najpierw forsa.

– No, pewnie. Weźmiesz ją i zwiejesz.

– Ma mnie pan jak na talerzu. Seria i po mnie. Jasne, że nie zwieję.

– Sto syceli, butelka i następne sto.

– Niech będzie. – Adams wyciągnął rękę po banknot. Podał w zamian butelkę. Tamten ją odkorkował.

– Jeszcze setka, panie sierzancie.

– Aż setka...? – Strażnik wycelował karabin maszynowy w Adamsa. – Wystarczą trzy, może cztery. Naprawdę dobrze strzelam. Spadaj, dupku!

– No, jak tak można! – Sto syceli było dobrą ceną za półlitrówkę okowity. Adams oddalił się pośpiesznie. Strażnik mógł dla zabawy posłać mu kulkę w plecy. Zwykle strzelali plastikowymi albo śrutem o krótkim zasięgu, więc nie wahali się palić prosto w tłum, wybierając jednego winowajcę.

Od drugiej strony bramę wspierał kamienny osiłek. Przed nim umieszczono drugą budkę. Adams spróbował tej samej taktyki, ale strażnik sam go przywołał gestem dłoni.

– Zachowuję się spokojnie, panie strażniku.

– Masz wódkę?

– Jeszcze tak.

– Po ile?

– Sto pięćdziesiąt za pół litra.

– Trzymaj. – Strażnik po prostu podał mu dwa banknoty. Adams odwdzieczył się butelką.

– Jeśli trzeba, mogę zorganizować jeszcze jedną.

– Starczy. Jestem na służbie. – Przecięta blizną twarz skrzywiła się w uśmiechu.

Adams oddalił się ostrożnie. Spokojny może być groźniejszy niż nerwus. Jednak strażnik nie otworzył ognia. Adams przysiadł na zrolowanej kurtce. Należało odczekać.

Impreza biegła swoim trybem: jedni byli spici, naszprycowani lub oszołomieni, inni spali. Gołe striptizerki posilały się w przerwie tańca. Dygotały w ziąbie przedświt. Nadciągnęła wilgotna, przejmująca chłodem mgiełka. Oślepiające błyski stroboskopu i psychodeliczna muzyka nie były w stanie poderwać nikogo. Pary symulujące kopulację leżały po prostu na sobie, bo tak ciepiej. Bez ruchu, nikt przecież nie obserwował, czy pracują. A może już spali.

Chłód był sprzymierzeńcem Adamsa.

Obaj strażnicy pili szybko. „Podziwiać wygarbowane gardła...”, pomyślał. Ziąb doskwierał coraz bardziej. Pijani mniej czuli, ale i tak musieli marznąć. Pierwszy skończył chytrus. Strzelił w powietrze. Adams odwrócił się.

– Ty! – Machnął na niego strażnik.

Adams, teatralnie zataczając się, ruszył wprost na wycelowaną paszczę karabinu.

– Druga! – rzucił strażnik.

– Kończy mi się już.

– Zrobię w tobie parę dziur i spuszczę, co wypileś. – Milicjant ledwie trzymał się na siodełku.

Adams odsunął się z linii strzału.

– Bierz setkę. – Strażnik podał mu garść drobnych. Butelka powędrowała przez kratę.

Adams podjął decyzję. Spokojnie ocenił pole rażenia karabinu maszynowego. – Ciężka służba? – zagaił.

Strażnik w kojcu naprzeciw drzemał wygodnie rozparty. Jemu wystarczyła jedna butelka.

– Dzisiaj spokojny dzień – odpowiedział strażnik i zębami zdarł kapsel butelki.

– Zdrowie, panie strażniku. – Adams przytknął flaszkę do ust, udając, że pije.

– Niech będzie. – Strażnik wypił i wytarł usta rękawem munduru. Był zupełnie pijany.

Adams skorzystał z chwili nieuwagi i skrył się za stopą olbrzymiej kariatydy. Pozbył się butelki i pobiegł ku sześcimetrowej kracie. Żadnych krzyków ani gwizdka. Co chwila wszystko rozbłyskiwało światłem stroboskopu. Tu nie mógł się ukryć, liczył na swoją szybkość. Był na celowniku większości karabinów maszynowych; jedynie przed najbliższą budką skrywało go najpierw udo, potem biodro i pierś kariatydy. Żelazo było pokryte odchodami ptaków, odstający lakier ranił palce. Adams szybko piał się po kracie. Bogate zdobienia ułatwiały wspinaczkę, chociaż poprzeczne pręty rozmieszczono dość rzadko. Nie przypuszczano, że ktoś spróbuje tędy ucieczki. Sforsowanie rzędu ostrych szpikulców, kończących pręty, zajęło chwilę. W dół było łatwiej, krata częściowo go zasłaniała. Zszedł do końca, nie ryzykował skręcenia nogi przy skoku.

Dalej biegiem przez alejkę i trawnik. Był już przy *Cayleiach*. Teraz musiał rozstrzygnąć, czy jest w korytarzu, czy w salce. *Cayleia*, z której kiedyś wyszli z Liliane, stała bliżej alejki, dlatego wtedy nie zauważyli drugiego okazu. Nie było czasu, żeby obejrzeć drugą *Cayleię*, pobiegł od razu do tej bliższej. Zresztą poznał tabliczkę z odłupaną emalią.

W pniu były trzy dziuple. Wspiął się do tej od strony ścieżki. Wewnątrz otwarte drzwi, zza których wylaniał się oświetlony łagodnym światłem korytarz. Nie chciał tam pójść.

Niebo szarzało. Rozległ się gwizdek. Porządkowy pilnujący drzew był coraz bliżej. Chyba Ribnyj.

Teraz biegiem w lewo, ku najbliższej dziupli. Ribnyj był tuż, tuż. Nadbiegali inni funkcjonariusze. Ktoś wystrzelił w powietrze. Adams szybko wspiął się po ostrych nierównościach kory, starając się dotykać dłonią tylko przez rękaw kurtki. Rozpędzony Ribnyj walnął o drzewo, raniąc dłonie o gruzły pnia i twarde włoski *Cayleii*.

Adams wszedł do dziupli i natychmiast stracił równowagę: porwał go nurt wody.

Toczył się w głąb, obijał o kamieniste dno, dławił wodą. Zaskoczenie szybko minęło – trzeba się było ratować. Wartki nurt strumienia wyznaczał kierunek. Adams usiłował ułożyć się nogami naprzód, a gdy głowa wynurzała się z wody, łapał powietrze. Znów uderzenie w plecy. Odepchnął się od kolejnego głazu. Kamień oślizgły, jakby porośnięty brodą glonów. „Skąd glony rosnące w całkowitej ciemności?”, przemknęła myśl. Ale tu nie było przecież całkiem ciemno. „Można zedrzyć palce, próbując odpychać te kamienie. Byle nie głową pod powierzchnię”. Znowu wdech. Szum wody.

„Dobrze wybrałem, to jednak prawy korytarz...”, tłukło się pod czerepem. „Uważać na głowę. Jedno uderzenie i roztrzaskam czaszkę...”

Kamienie uderzały rzadziej. Nurt się uspokoił, choć przyspieszył. Łatwiej było łapać powietrze. Próbował wykastować wodę z płuc. Kiedyż to się skończy...? Przetarł dłonią oczy. Prąd niósł go rodzajem skalnego korytarza. Dlaczego łomot wody tak ogłusza? Nagle umknęła spod niego. Poleciał śladem strugi. Przytomnie złapał głęboki haust powietrza, zanim przywaliła go kipiela. Nie próbował walczyć, lecz natychmiast poszedł pod powierzchnię. Starał się zejść jak najgłębiej – lot był krótki, wodospad nie powinien mieć głębokiego kotła. Adams przeklinał w duchu sprawność fizyczną, zmarniałą za biurkiem. Płuca zaczęły boleć. Wreszcie kipiela zamarła. Dał się nieść wynoszącemu prądowi. Pracował szerokimi ruchami ramion.

Łapczywie złapał powietrze. Drugi raz i trzeci. Woda płynęła tu wolno, leniwie. Obejrzał się: wodospad miał ledwie trzy, może cztery metry wysokości. Spieniona struga wyrwała się z rygla czarnych skał i spadała perlistym łukiem.

„Roztrzaskało by mnie o nachylony próg”, pomyślał. „Jak tutaj prawidłowo rozpoznawać rozgałęzienia...? Z formuły zostało jeszcze tere... prawy, lewy, prawy, lewy. Proste. Człękoust nie wiedział, że znakiem v notowano też samogłoskę u. Dureń...”

Adams odpoczywał, płynąc spokojną żabką. W korytarzu panował półmrok. Światło sączyło się z góry, gdzie ściany zbliżały się ku sobie, przechodząc w skalną szczelinę.

Spróbował zgruntować – woda sięgała do ramion. Było coraz płycej, chociaż korytarz nie rozszerzał się. Wkrótce wygodniej było brodzić, niż płynąć, zawadzając kolanami o piaszczyste dno. Wreszcie woda skończyła się. Ociekając, wyszedł na piasek.

Ubranie najlepiej było wysuszyć na sobie, nie marzył nawet w mokrym. Zapałki przemokły zupełnie. Latarka zawinięta w plastikową torbę przetrwała. Usiadł na suchym piasku, zapałki rozłożył pojedynczo. Co jakiś czas trzeba zmienić pozycję, kiedy rozgrzana wilgoć zacznie parzyć skórę. Wyłączył latarkę, zapadła prawie ciemność. Tu nie docierało światło z nad wodospadu. Dopiero po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności – z dalszej części korytarza dochodziła subtelna poświata.

Wkrótce zasnął. Spał długo, budził się wielokrotnie. Wreszcie trzeba było stawić czoło rzeczywistości. Zapałki zdążyły wyschnąć. Świecę otoczyła aureola. Cokolwiek unosiło się w

powietrzu, spalane wzmacniało światło płomienia.

Mroczna, nieruchoma tafla wody; zza zakrętów wąwozu dochodził szum. Gdzie niknął potężny strumień, walący wcześniej spienionym wodospadem? A jeśli rozgałęzienie korytarza jest pod powierzchnią?

Adams wszedł do wody. Strzępek biletu powoli spływał w prawą (patrzac wstecz) stronę korytarza. Gdyby pod powierzchnią było odejście, to nie powinien nim pójść. Jednak aby regułę nadal poprawnie stosować, musiał rozstrzygnąć, czy ono tu jest.

Bał się, by nie uniosło go w niewidoczny odpływ. Na wszelki wypadek nabrał głęboko powietrza, by starczyło na dłużej, gdyby go porwało do ponoru. Oczywiście wyobraźni widział mroczny tunel, którym unosi go wszechmocny nurt wprost do przewężenia, w którym Adams utknie, aż woda zedrze resztki ciała z jego rozkładającego się trupa. Jeśli nawet jest tam odgałęzienie, to i tak bezużyteczne. Trzeba jednak tę możliwość wykluczyć. Żeby choć jakaś lina... Brodził, starając się stąpać szeroko, pewnie, by nie stracić równowagi w razie uderzenia podwodnym prądem. Nic takiego nie nastąpiło. Mroczna toń przypominała nieruchomą zupę. Wspierając się prawym ramieniem o ścianę korytarza, stopą próbował wyczuć podwodny wypływ. Nie znalazł, choć wrócił do miejsca, gdzie woda sięgała do ramion, a szum wodospadu znów był głośny.

W kotle pod wodospadem nie próbował nurkować. Uznał, że ponorem jest warstwa piasku, przez którą przesiąka woda do układu wielu drobnych szczelin. Znaczą, woda nie znika w rozgałęzieniu.

Nagie ciało wyszło szybko. Ruszył korytarzem. Nawet jasne światło świecy nie mogło wyłowić stropu z ciemności. Z początku szedł po miękkim, chłodnym piasku; później buty klapały w wilgotnym, lepkiem błocie. Na ścianach pojawiły się żółte wykwity, w małych kraterach bulgotało ciepłe błotko. Czuć było siarkę. Mrużył podrażnione powieki. Czyżby dotarł pod Puzzuoli? Krztusił się i kasłał. Oczy zwięził do szparek, nos przytknął rękawem. Podłoże było gorące. Pobliska żyła wulkaniczna manifestowała swoją obecność. Cuchnące błoto chlupotało pod butami. Świeca miała tu niezwykłą wydajność, rozświetlała cały korytarz, a to ledwie bubel wyprodukowany w Mieście pod Skałą...

Drgnął. Nie szedł sam! Oto przed nim kroczyła zakapturzona postać, chuda, jakby płaszcz wisiał na wieszaku. Przed zakapturzonym podążał krępy mężczyzna w zielonym kapelusiku z piórkiem, a po prawej i po lewej towarzyszyły mu dwa kościotrupy. Jeden z nich odwrócił głowę i rzucił mu mroczne spojrzenie pustych oczodołów. Adams nie przestraszył się bardzo widokiem kościstego. Ostatecznie był świadkiem stwarzania Natalii i widział wzlot Liliane. Odwrócił się: za nim też maszerował szkielet. Skinął Adamsowi podbródkiem, aby ten nie zwalniał kroku, gdyż korytarzem szła cała kolumna ludzi na przemian z kościotrupami. Każdych dwoje ludzi przedzielał idący szkielet, każde dwa szkielety dzielił człowiek. A wszyscy trzymali się za ręce.

„Cholerny efekt synergiczny... Niestrawiony alkohol plus siarkowy opar. Ależ mi to zamąciło we łbie. Jak to przerwać...?”, pomyślał, chociaż już nie śmierdziało siarką, a ziemia nie parzyła stóp.

Zdarł czarną szmatę z ramion idącego przed nim, ujawniając gołe gnaty. Kościotrup spokojnie schylił się, podniósł płaszcz i zarzucił sobie na ramiona. Spojrzał z niechęcią na Adamsa.

„Przecież czaszka nie może mieć mimiki...”, pomyślał.

Karny kuksaniec ostrego łokcia przywołał Adamsa do porządku. Nie odpowiedział pięścią – poraniłby knykcie o gołe zębra. Kościotrup życzliwie wyciągnął dłoń.

– Wykluczone! – Adams obruszył się. Przełożył świecę do prawej dłoni, a lewą wsunął w kieszeń.

Maszerujący ludzie byli w różnym wieku, choć na ogół starsi. Gdzieś na przedzie dojrzał zarys dziecka lub karła. Odziani różnorodnie, niektórzy wyglądali jak z obrazów historycznych. Wielu z nich niosło atrybuty zawodowe: to wystający z kieszeni lekarza stetoskop, to skrzynkę z narzędziami montera. Wszyscy byli brzydzy, starzy, zbyt otyli lub zbyt chudzi.

– Dlaczego pani tędy idzie?! – zwrócił się ponad kościotrupem do sąsiadki po swojej lewej ręce, tęgiej kobiety o nalanej, czerwonej twarzy, z wielką brodawką na nosie, z czepkiem na głowie, a odzianej w długą suknię i koronkowy fartuch.

Kościotrup położył palec na swych bezwargich ustach. Kobieta spojrzała na Adamsa, ale nie odezwała się.

– Proszę pani! Proszę mi odpowiedzieć!

Tym razem kuksańce poleciały z obu stron, a na dodatek zarobił kopniaka w łydkę. Szczególnie bolały trafienia w odsłonięty prawy bok, pod uniesioną prawicę dzierżącą świecę.

– No, dobrze, już dobrze!

Od czoła pochodu dotarł jakiś impuls czy rozkaz, bo wszyscy maszerujący, zarówno ludzie, jak i kościotrupy, zaczęli kolebać się na boki. To podbiegali, wyciągając do przodu złączone ręce, to znów zwalniali. Podrygiwali rytmicznie, ale nikt nie śpiewał. Również Adams, popychany i potrącany, zmuszony został do dziwnego truchtu.

– Cholerne tańce... – mruknął. Z trudem chronił świecę, by nie została zdmuchnięta.

Marszobieg w podrygach męczył. Adams nie czuł głodu, ale sapał i się pocił. Inni tańczący też byli zmęczeni. Widział pot ściekający po tłustych, nalanych obliczach. Słyszał ich ciężkie dyszenie. „Cholera, radosny korowód ku świetlanej przyszłości. Męczą się, ale podrygiwać nie przestają, chociaż nikt ich nie popędza”.

Wyrwanie się z pochodu było koniecznością: korytarz łagodnie zakręcał, a idący stopniowo znikali w ścianie. Nawet nie wchodzili pod firankę zlewającej się wody. Ot, lity skalny mur dla nich nie istniał. Niby normalna ściana: występy, szczeliny, zagłębienia – jakiś hologram czy co...?

Adamsa delikatnie, ale stanowczo spychano ku coraz bliższej ścianie. Zdmuchnął świecę i

schował ją do kieszeni. Zapadł półmrok. Mocnym ruchem pchnął kościotrupa po lewej, aż tamten się zatoczył. Wymagało to tyle wysiłku, jakby pchnął mężczyznę o normalnej masie. Adams rzucił się w bok, lądując na biuście tęgiej towarzyszki po lewej. Zaraz ominął kobietę, deptając po jej stopach. Syknęła z bólu.

– Powinieneś iść z nami – odezwała się.

Adamsa mocno schwyliło jaśniejące w półmroku ramię następnego kościotrupa. Wykręcił je – było słabsze niż ramię mężczyzny. Zanurkował za idącym szkieletem, jednocześnie puszcżając wykręconą łapę. Uderzeniem obu rąk niemal przewrócił idącego z krańca starego, zasuszonego mężczyznę. Podbiegł do przodu; nikt za nim nie ruszył. Wydostał się z kolumny.

Zapalił świecę. Idący wlepił w niego wzrok. „Jak ćmy urzeczzone ogniem...” Patrzyli z wyrzutem, czasem niechęcią lub nawet zapiekłą nienawiścią. Wyrzut odczytywał nawet z pustych oczodołów.

– Chodź z nami. Jesteś jednym z nas – niosło się. – Pora do nas dołączyć.

Dotknął dłonią miejsca, gdzie kolejny rząd idących niknął w mirażu ściany. Powierzchnia skały była zimna i twarda. W chwilę potem właśnie wtedy wszedł w skałę tęgi mężczyzna, zaraz po nim kościotrup, a jeszcze później karykaturalnie otyła dziewczyna. Szli w tanecznych podrygach, znikając w litym kamieniu. Adams plasnął otwartą dłonią w skałę.

– Dla mnie kamień jest zamknięty. Nie jestem jednym z was.

– Jesteś, jesteś. Dołącz do nas, a wrota się otworzą. Odwrócił się i poszedł dalej, jednak stracił pewność, że idzie właściwą drogą. Oni znikali w prawej ścianie korytarza, a hasło wskazywało, że na najbliższym skrzyżowaniu powinien skrócić w prawo. Wkrótce monotonne zachęty tańczącego pochodu ucichły w dali.

Adams przystawał w marszu, wysypywał piasek z butów, na skórze robiły mu się otarcia. Zamiast smrodu siarki pojawił się odór kanału, mieszanina woni sfermentowanych fekaliiów i gnijących resztek żywności.

Smród nieznośnie narastał.

– Och, nie! – wyrwało się Adamsowi. Dalszą drogę zamykała krata z grubych pionowych prętów, przeżartych rdzą. Za nią korytarz urywał się ciemnością.

Pręty umieszczono zbyt gęsto, by głowa zmieściła się między nimi. Od góry wbetonowano je w strop korytarza; na dole znikwały w piachu. Spróbował rozgiąć dwa z nich. Ustępowały z najwyższym trudem. Spróbował kopania w piasku. Butem szło najszybciej. Po pół metra osiągnął podłoże, w które wbetonowano pręty. Kamieniem można by kuć. Jednak tutaj korytarz starannie obmurowano: regularne ściany, półkolisty strop i równa warstwa piasku. Żadnych luźnych kamieni.

Wybrał parę najbardziej przeżartych rdzą prętów. Owinął je kurtką, aby nie poranić rąk. Próbował rozciągać pręty zarówno obiema dłońmi, jak i jedną, zapierając się barkiem. Potem, opierając się o ścianę, pchał nogami jeden z nich. Wkrótce głowa przechodziła swobodnie.

Przelazł na drugą stronę kraty. Jeden z prętów obluzował się w dolnym betonowym gnieździe. Adams wyłuskał go, usuwając grudy wylupanego betonu.

„Przyda się do obrony”, pomyślał i wyginając prętem na wszystkie strony, ułamał go u góry.

Po drugiej stronie kraty korytarz urywał się ciemną, cuchnącą pustką. Świeca nie rozświetlała czerni, na dodatek oślepiała. Wreszcie dostrzegł zarys stropu i przeciwległej ściany. Wyglądało tak, jakby korytarz kończył się nad salą czy większym poprzecznym tunelem.

Mocny stożek światła latarki wydobył przeciwną ścianę korytarza idącego w poprzek dotychczasowej drogi. Półkoliste ściany, ceglane sklepienie i charakterystyczny smród nie pozostawiały wątpliwości: Adams stał nad kanałem ściekowym. Należało pójść w prawo, choć dalszy marsz tropem sunącej wolno czarno-burej, odrażającej masy będzie trudny do zniesienia.

Myśl o zanurzeniu się w ścieku wywoływała dreszcz obrzydzenia. Nawet trudno było tam się dostać: zamkniętą kratą korytarz opadał gładką ścianą.

Adams zrolował kurtkę i zawiązał rękaw wokół pręta kraty. Postawił jedną świecę, dwie pozostałe i zabezpieczoną workiem foliowym latarkę wtłoczył w kieszenie spodni, pręt wetknął w zęby.

Trzeba było zsunąć się z przegięcia, potem w dół. Stopy dotknęły chłodnej mazi. Dalej opuszczał się na rękach, coraz głębiej w fekalia. Bolały zaciśnięte na pręcie zęby. Zadrżał z obrzydzenia, gdy nogi zanurzyły się już całe. Kiedy chłodną wilgoć poczuł na brzuchu, ogarnął go wstręt – być może nie uda się dosięgnąć dna i trzeba będzie w tym płynąć. Trzymał w dłoniach

koniec rękawa kurtki. Z tej pozycji trudno by było wydzwignąć się z powrotem.

Musiał zaryzykować. Nabrał powietrza, zamknął oczy i puścił kurtkę. Zanurzył się po ramiona, a stopy dotknęły dna. Odszedł parę kroków na środek kanału. Dno było płaskie. Chłodna wilgoć sunęła w prawo, lekko znosząc Adamsa.

„W ciemności przegapię kolejne rozgałęzienie drogi”, pomyślał.

Unióś latarkę i gdy obciekła z nadmiaru wilgoci, przez folię nacisnął wyłącznik. Światło wydobyło szczegóły na obu ścianach korytarza. Dostrzegł obły zarys ekskrementu, leniwie sunącego przed nim. Nie zdołał powstrzymać torsji. Kozuch wymiocin z wolna wyprzedził go we wspólnej wędrówce. Obawiał się zakażenia. Mógł mieć jakąś ranę czy otarcie, a to całe płynne świństwo wnikało do otworów ciała.

Opierał się prądowi, podpierając żelaznym prętem. Latarkę to zapalał, by sprawdzić, czy droga się nie rozgałęzia, to znów gasił, by oszczędzić baterii, a oczom widoku.

Jeśli nie poblądził, to czeka go jeszcze „ere”, a najbliższy skręt ma być w lewo.

Poziom ścieku opadał wolno, lecz stale. Obecnie sięgał Adamsowi do pasa. Można było latarkę zatknąć do kieszeni na piersi. Ręce nie drętwiały od ciągłego trzymania nad głową. Nagle potknął się na czymś wystającym z dna, co się poruszało. Włosy stanęły mu dęba na samo wyobrażenie krwiożerczego stwora.

Zaraz zauważył, że coś innego popycha go od tyłu. Stopą wyczuł obły kształt. Zaraz za nim taki sam. Czaszki. Znowu jego droga przecięła się z trasą tańczącego korowodu. Aby się upewnić, przytrzymał pręt pod pachą i sięgając w głąb przed siebie i w lewo, garścią złapał za włosy idącego człowieka, który ledwie do pasa wystawał z dna.

„Przynajmniej nie tańczą...” Ponowne zazębianie się przestrzeni pochodni i przestrzeni kanału nie dziwiło go.

W wielu miejscach na powierzchni pojawiały się bąble powietrza wydychanego przez idących. Skąd brali pod wodą powietrze na wdech, pozostawało tajemnicą.

„Śledzą mnie, czy co...? Jakby tak roztrzaskać drągiem któryś z trupich łbów...?” Jednakże jeśli wykluczyć hipotezę spisku, to gdyby wraz z nimi wszedł w ścianę korytarza, trafiłby tutaj, czyli wtedy skręcił we właściwą stronę.

Dno kanału znowu opadało. Wkrótce maż sięgała Adamsowi do ramion. Z lewej strony ział owalny otwór boczny kanału. To musiała być dalsza droga, przecież należało skręcić w lewo. Pójście dalej prostą drogą było tym razem wyborem skrętu w prawo.

Adams spróbował płynąć nad zanurzonym pochodem. Energiczne ruchy nóg uniosły go z dna. Jak sądził, ominął kościotrupa z lewej. Opuszczając nogi na dno, wyrznął stopą w czyjeś ramię. Wsparł się na pręcie. Ktoś napierał na niego. Na powierzchni gnojówki pojawiały się wielkie bańki. Kolejny sus i kolejne lądowanie.

Był wściekły, że chcą go zabrać ze sobą. Irytowała owa determinacja i milczący, konsekwentny napór. Stopniowo zbliżał się do bocznej ściany kanału. Jeszcze jedno odbicie – chyba zawadził o czyjąś czaszkę. Już był przy ścianie. Parę kroków i osiągnął wylot bocznego kanału.

Rzucił pręt i latarkę w ciemność przed siebie. Teraz stożek światła rozjaśnił boczny korytarz. Złapał dłońmi za krawędź wylotu i odepchnął się nogami. Czyjeś słabe dłonie próbowały go ściągnąć z powrotem. On jednak leżał już na brzuchu na dnie bocznego kanału. Parę gwałtownych szarpnięć i kopniaków udaremniło anemiczne próby zwleczenia go z powrotem. Jeszcze jedno odbicie i wczółgał się w głąb kanału. Uniósł się na rękach i powstał. Spływały zeń strużki cuchnącej masy.

Zdejmowanie odzieży nie miało sensu. Tylko zebrał z twarzy cuchnącą ciecz, wycisnął wilgotne włosy i strzepał dłońmi nadmiar płynu z ubrania. Miał nadzieję, że nie wywiąże się infekcja od powierzchniowych otarć na dłoniach, pozostałych po walce z kratą. Nie zmusił się, by zlizać gnojówkę i wyssać ranki.

Z brunatnej masy nadal wydobywały się bańki powietrza. „Szerokiej drogi. Mam nadzieję, że się więcej nie spotkamy”, pomyślał.

Bocznym kanałem sączyła się cienka strużka gnojówki. Latarka oświetlała cały obwód korytarza. Omijał kawałki kału i nierozpoznawalne resztki.

Droga wiodła podziemiami Miasta pod Skałą. Jeden kanał, teraz drugi. Sceneria niemal zwyczajna.

Kod był symetryczny, identyczny dla idących z naprzeciwka. Należało skręcać, zupełnie jakby wracał drogą, którą tu wszedł, przez pierwsze salki. Może więc to już podziemia Rzymu, a tą drogą uda się wrócić z miasta, gdzie niektóre kobiety fruwały w powietrzu, a inne powstawały z płatków chleba i z wina?

Podpierając się drągiem jak laską, podreptał dalej.

Betonowy kanał lekko się wznosił. Z mokrej odzieży przestało kapać, a ciszę przerywały rytmiczne stuknięcia pręta. Coraz wyraźniej czuł swój odór.

Jeśli to Rzym, to kiedy wreszcie będzie studzienka rewizyjna?

Kłapa z wytłoczonym napisem „spqr” skończyłaby podróż. Niczego takiego nie było.

Adams zgłodniał. Droga wiodąca do Miasta pod Skałą biegła jakby pozaczasowo, uwalniając od fizjologii, ta jednak była niezdolnie realistyczna, nawet odrażająca. Jakby od momentu przekroczenia wyłamanej kraty dziwność i baśniowość scenerii stopniowo ustępowała. Tu, w bocznym ścieku, wszystko było zwyczajne.

Jednolitą formę kanału przerywał stopień, z którego leniwie ściekała gnojówka. Grunt osiadł, rozrywając betonową rurę. Sterczały stalowe pręty uzbrojenia. Z prawej strony ziały ciemności, których nie mogła rozświetlić latarka.

– Cholera jasna! – zaklął. – Że to akurat w tym miejscu. – Obejrzał dokładnie całe pęknięcie. Z lewej osypisko, bez drogi. Musiał brać pod uwagę każde rozgałęzienie. Tu, niestety, nie ma wątpliwości: trzeba pójść ciemną, ciasną ziemną norą. Pozostawił drąg.

Wsunął się pomiędzy pręty konstrukcji. Ziemna szczelina była wąska, chwilami musiał się przeciskać. Bał się. Osuwający się strop mógł go w każdej chwili pogrzebać żywcem. Przynajmniej zapach wilgotnej ziemi przytłumił smród fekaliiów.

Korytarz rozszerzał się, ale strop był coraz niżej. Wkrótce trzeba było iść na czworakach. Pojawił się zapach znany z wykopów przy starych budowlach: kwaśny odór wiekowego szamba. Było gdzieś blisko, ziemia przesiąkła jego smrodem. Adams zdołał się przemóc i wędrował kanałem, zanurzony po ramiona w fekaliiach. Jednakże głębokie szambo stwarzało śmiertelne niebezpieczeństwo. Zarówno gdyby było pod nim, jak i nad nim.

Światło latarki słabło. Krąg otaczający jasne kółko żółknął coraz bardziej. Adams znów dotarł do zwężenia korytarza. Każdym ruchem ścierał osypującą się ścianę. Strop opadał coraz niżej. Kark rozbolał go od schylania się. Żołądek skręcał głód i strach przed utonięciem. Na czworakach było wygodniej, niż szorując brzuchem, chociaż musiał jakoś trzymać latarkę, a ręce zajęte.

Uniósł garść ziemi do nosa. Cierpki, kwaśny odór. Stuletnie szambo nie zmienia się w cuchnącą glebę, lecz w rzadką, smrodliwą topiel. Szczelina mogła zostać utworzona przez ziemię osypującą się do szamba. Czy cienka warstwa ziemi utrzyma jego ciężar?

Próbował rozpierać się łokciami i łydkami, by zmniejszyć nacisk. A jeśli przebiję boczną ścianę i zostanie zatopiony przez szambo?

Czołgał się, aby zmniejszyć obciążenie podłoża. Smród był coraz silniejszy. Korytarzyk jeszcze się obniżył, chwilami Adams tarł włosami o strop. To w sumie nie miało znaczenia, skoro cały był

pokryty skorupą ziemi, przyklejonej do zaschłych na cieple i odzieży fekaliiów.

„Jeśli ta droga ma być do pokonania, to nie powinna się pode mną zarwać! Tyle rozgałęzień w myśl skomplikowanej formuły nie może prowadzić donikąd”.

Posuwał się szybszymi ruchami. Smród słabnął. Ziemia w dłoni miała normalniejszy zapach. Minał poblizze szamba. Wędrował jakby odwróconym planem miasta: sieć kanałów zamiast ulic, ziemne szczeliny miast-pasaży, a szamba w miejsce budynków.

Może jednak tunel prowadzi donikąd...? Mógł się przecież pomylić, skręcając w złą stronę. Ta droga może nie być do przebycia dla mężczyzny o jego masie, może w ogóle jest nie do pokonania. Cóż, fałszywa nadzieja pomogła zaliczyć złowrogi odcinek. A jeśli rzeczywiście to ślepy korytarz, w którym utknie? Stąd trudno wycofać się rakiem, o zawróceniu nie ma mowy. Adams trzymał w zębach ledwie żarzącą się latarkę.

Mozolnie szorował brzuchem. Ani ściany, ani strop nie były zbyt spoiste. Czasem ziemia osypywała się, a dreszcz przerażenia przebiegał mu po grzbiecie. Niektóre chrząszcze potrafią kopać ziemię przed sobą, a następnie przepychać urobek i ubijać za sobą. Człowiek tego nie potrafi, przysypany ziemią, zostaje pogrzebany żywcem.

Korytarz kończył się ślepo. Dalszą drogę tarasował kamień. Właściwie nie... Miodowe światło latarki wydobyło zakręcający w prawo korytarz. Adams odetchnął, ale w mózgu zapłonęło ostrzegawcze światełko: „E”, ostatnia litera Imienia, mówi: „Skręć w lewo”. Od Miasta pod Skałą salki są zwyczajnymi rozstajami.

Spróbował pchnąć kamień, ale brunatna, gładka powierzchnia nie ustąpiła. Przesunął po niej dłonią: wypolerowana jak otoczek, ale nie chłodna. To mogły być dziwaczne drzwi do właściwego korytarza. Tu było najciaśniej. Żadnych szans, by zawrócić. Tchu dodawała jedynie pustka korytarza wiodącego w prawo. Pachniało wilgocią.

Adams zaczął wybierać ziemię wokół kamienia. Metodycznie, choć ręka słabła, a drobne kamyczki urażały obolałe opuszki palców. Paznokciami drapał oporną glebę (pomyślał: „jak chrząszcz”), potem urobek rzucał do prawej odnogi, starając się rozsiać jak najbardziej. Nie chciał zasypać korytarza, by nie odciąć możliwej dalszej drogi. Latarki nie używał, by jej nie uszkodzić.

Nieoczekiwanie kamień się poruszył. Zaraz łatwo się poddał. Wyjątkowo lekki, dał się obrócić dłonią. Adams ujrzał przed sobą dziwnie zakłęśnięte oczodoły i otwór nosowy gigantycznej, zdeformowanej ludzkiej czaszki. Uwolniona z ziemnego łoża, w którym spoczywała przez lata, dała się toczyć. Żuchwa była wielkości ludzkiej szczęki. Jej właściciel musiał mieć ze trzy metry wzrostu.

„Czegoś tu, chłopie, szukał”, pomyślał Adams.

Czaszka otwarła lewy korytarz, właściwą drogę. Adams przetoczył czaszkę do prawego korytarza. Latarka wydobyła z mroku inne kości olbrzyma. Jedne ułożył obok czaszki, inne próbował upchnąć z boku, aby się obok nich precyzyjnie. Ciało dawno uległo rozkładowi. Bez trudu rozłączył mostek i żebra. Zaplątał się w zetlełej tkaninie. Były to resztki płótna, prószące pyłem, kiedy chciał

je odchylić. Truchło czy całun...? Z trudem przecisnął się obok miednicy. Może jedną z grubych kości udowych nieszczęsnego olbrzyma zabrać jako motykę? Ale lepiej nie afiszować się z ludzkimi resztkami.

Napotkane zwłoki zamiast przerazić napełniły Adamsa nadzieją. Gigant prawdopodobnie zmarł z głodu, zaklinowany głową w zbyt ciasnym dla siebie korytarzu, lub udusił się pod niewielkim obwałem. To, co dla olbrzyma było śmiertelnym zaciskiem, Adams mógł pokonać. Nadzieję budziło ułożenie zwłok: tamten pełzył z naprzeciwka. Znaczący, drugi koniec tej drogi istniał. Adams nie pobłądził. Na końcu drogi mieszkali ludzie, choć niewykluczone, że byli trzymetrowymi olbrzymami. Adams czołgał się energiczniej, korytarzyk stał się znacznie szerszy, a strop wyższy. Dało się podnieść na łokcie. To prawie komfort.

Niestety, latarka zdechła. Adams macał przed sobą i na boki jak ślepiec. Według Reguły, był to już ostatni korytarz. Napisało się już całe imię. Nie chciał dopuścić myśli, że Reguła może być ułudą.

Przecież „Silvestere” widniało na pieczęciach, kiedy tu wchodził. Korytarz dłużył się w nieskończoność, ale to mógł być tylko pozór. Zaczął wyobrażać sobie, jak będzie wycofywać się nogami naprzód. Niechże wreszcie będzie znowu Rzym, Rzym po drugiej stronie Imienia. Wydało mu się, że ziemia jest wilgotniejsza, że bardziej klei się do dłoni. A może sam siebie oszukuje, bo bardzo chciał jakiegoś znaku?

Nagle natknął się na przeszkodę. Najpierw opuszkami palców, potem całą dłonią, badał chropawą powierzchnię drewna zamykającego dalszą drogę. Zastukał latarką: odpowiedział głuchy odgłos. Zaczął pchać, najpierw dłońmi, potem barkiem, coraz mocniej.

Deska była mokra, może zbutwiała. Ustąpiła, a razem z nią druga. Dały się obie odchylić do góry. Poczłł nowy zapach. Powiew wiatru. To powietrze smakowało jak wino. Adams wypełził spod desek. Pod dłońmi miał mizerną trawkę. Właściwie trochę ją widział, bo mrok nie był zupełny. Do oczu napłynęły mu łzy. Wreszcie precisnął się pod deskami. Wstał i rozejrzał się.

W poprzek ciągnęła się ulica jakiejś miejscowości. Noc rozświetlały kaganki w oknach i z rzadka rozmieszczone latarnie. Za nim, na niewysokiej skarpie, wznosił się parterowy budynek. Wylot ziemnego tunelu zasłonięto kilkoma zbitymi deskami. Dwie z nich Adams zdołał podważyć. Ktoś odsunął zasłonę i żółte światło rozproszyło mrok. Z naprzeciwka, po drugiej stronie gruntowej drogi, obserwował go wychudzony chłopiec. Miał bardzo głęboki, obustronny rozszczep podniebienia. Mocno splunął na Adamsa raz i drugi.

– Wodogłów! Płucodych! Wodogłów wrócił! – krzyknął i rzucił się do ucieczki.

Adams patrzył za nim w niemym zdumieniu. Rękawem starł płwocinę z twarzy.

– Wodogłów! Płucodych! – poniósł się ulicą krzyk biegnącego.

Adams cuchnął, a wyglądem ledwie przypominał ludzką istotę. Jego odzienie pokrywała skorupa ziemi spojonej zaschlą gnojówką. Dziecku musiał wydać się podziemnym potworem, poczwara, która właśnie wychynęła na świat.

W pobliżu była studnia. Nie używana: bez łańcucha, z otworem nakrytym ciężką płytą z podobizną twarzy. Zdołał ją przesunąć o parę centymetrów. W nozdrza uderzył trupi fetor. Zasunął płytę z powrotem.

W dół ulicy było jaśniej, a kałuże lepiej widoczne. Próbował płukać w nich buty. Przy kolejnych domostwach stały beczki na deszczówkę, czasem przy wylocie rynny, czasem pod gargulcem. W pierwszej z nich umył dłonie i twarz. W następnej wyprał koszulę. Przetarł ciało mokrymi spodniami, co wywołało eskalację fetoru. Tu mogła pomóc tylko radykalna kąpiel, ale w stojącej wodzie mogły żyć pasożyty.

Trudno wejść do beczki porosłej oślizgłymi glonami, a wychodząc, można pysk rozbić. Obok piętrzyła się sterta desek i innych gratów. Położył łatę na beczce. Szybko wyskoczył z mokrej odzieży, pozostając w butach. Czarny owal wody nie ujawniał, ile paskudztwa skrywa. Adams wsparł się na łacie, przełożył nogi przez krawędź i powoli opuścił się w głąb. Woda nie śmierdziała, była z ostatniego deszczu.

„Za zimna, żeby cholernym larwom i nicieniom chciało się pływać...”, uspokajał się. Nabrał powietrza w płuca i zanurzył głowę, płuczac włosy z reszty duszącego smrodu. Wreszcie wydzwignął się na łacie i ociekając wodą, wylazł z beczki. Wyprał, a następnie wyjął odzież. Zapach kloaki niemal zniknął. Drżąc, założył wilgotne łachy.

A wtedy spomiędzy ciemnych budynków wyłoniło się kilka cieni. Dopadli go, zanim zdążył zareagować. Spadł na niego grad ciosów. Bili metodycznie, w milczeniu, drewnianymi kijami. Próbował ramionami osłonić głowę. Większość uderzeń trafiała w plecy. Nie mógł nawet zbliżyć się do otaczających go kołem napastników. Wreszcie celny cios pozbawił go przytomności.

Przebudzenie było bolesne. W głowie świdrowało i ćwierkało. Plecy piekły, jakby zdarto z nich skórę. Przez zapuchnięte powieki ledwie co widział. Leżał na szmacie rzuconej na szare siano. Nogi i ręce skuto łańcuchem przymocowanym do niskiego, betonowego słupka. Nawet nie mógł wstać. Rozejrzał się po szopie: rozrzucona słoma, przez dziury w suficie prześwieca niebo. Trochę sprzętów gospodarskich. W zasięgu ręki stał gliniany dzbanek z wodą. Próba sięgnięcia po niego wywołała falę bólu. Bolały wszystkie kości. Łyk wody przyniósł ulgę opuchniętym wargom. Adams starannie się obmacał. Kości, chociaż poobijane, były całe. Co najwyżej złamali jakieś żebro. Chrząstka nosa nietknięta, wszystkie zęby na swoich miejscach. Wyglądało, że oberwał ciężkie, ale fachowe baty. Ułożył się wygodniej, okupując to bólem podrażnionych zranień. Zapadł w sen bez zjaw.

Zbudziło go brutalne szarpnięcie. Tym razem stało przed nim dwóch zbirów uzbrojonych w długie kije. Zanim zdołał oprzytomnieć, posypały się razy. Tłukli w obite i posiniaczone plecy.

– Dlaczego?! Za co?! – wykrzykiwał, niezdarnie próbując się uchylać.

Nie na wiele się to zdało. Oprawcy prali niemiłosiernie. Adams przestał krzyczeć, tylko pojękiwał. Wreszcie jeden z nich złamał kij na jego grzbiecie. Grad razów osłabł, rozbrojony nie bił pięściami, nie kopał ofiary, lecz przyglądał się robocie swojego kolegi. W końcu jeden plasowany, niezbyt silny cios w głowę pozbawił Adama przytomności.

Gdy wróciła świadomość, w głowie szumiało mniej, ale grzbiet bolał tak, że Adams nawet nie próbował sięgnąć po dzbanuszek z wodą. Wargi wyschły i popękały, ale pragnienie było słabsze od bólu. Jeszcze nigdy tak mocno nie oberwał.

Usłyszał szelest i odruchowo się skulił. Te stąpnięcia były jednak cichsze i lżejsze. Ktoś rozchylił jego rozdartą koszulę i mokrą szmatką delikatnie ścierał wyschłą krew i brud. Przyjazna dłoń przypadkiem zawadziła o strup pokrywający jakąś ranę. Adams syknął.

– No, już, już – rozległ się cichy szept.

Zaintrygowany podniósł głowę i pokonując ból, obrócił się. Chłodna, dziewczęca dłoń pomogła mu usiąść. Nieznajoma była od stóp do głów zawinięta w długą szatę, na głowie miała obszerną chustkę. Wreszcie spojrzenia skrzyżowały się. Tak pięknych i wyrazistych oczu Adams jeszcze nie widział: ciemnobrązowe, wilgotne, o długich rzęsach. Niezwykłym blaskiem rozświetlał je promień wpadający przez szpary szopy. Spod chustki wysunął się kosmyk jasnych włosów. Dziewczyna dmuchnięciem spróbowała go spędzić z łaskotanego noska. Uśmiechnęła się spojrzeniem. Powąchała wodę w dzbanku i podsunęła Adamsowi. Mógł wprawdzie sam unieść naczynie, ale takiej propozycji za nic by nie odmówił. Nawet grzbiet bolał jakby mniej. Niestety, tylko do chwili, kiedy spróbował się poprawić. Jęknął.

W jej spojrzeniu pojawił się ślad zrozumienia, choć nie wyrzekła słowa. Sięgnęła za pazuchę i coś wydobyła.

– *Jimłojesz byngoro...* – powiedziała śpiewnie, wciskając mu w dłoń drobny, lepki i włochaty przedmiot. Następnie zatoczyła ręką jedno i dwa kółka, jakby zaklinając.

– *Jimłojesz byngoro* – powtórzyła. Cokolwiek miało znaczyć, wymawiała to z mocą i wiarą.

– Płucodych? Wodogłów? – Wskazała na niego gestem podbródka. Chusta rozluźniła się, ukazując całą twarz.

Adams miał przed sobą fascynującą piękność.

– Nie Płucodych. Nie Wodogłów. Wodogłów nie żyje. – Rozumiał, że utożsamiają go z gigantem, którego szkielet tkwił w tunelu.

Dostrzegł popłoch na jej twarzy.

– Nazywam się Onofrio Adams. Jestem profesorem uniwersytetu w Rzymie... – nim skończył, nieznajoma zerwała się i wybiegła. Ze skrzypem zamknęły się za nią drzwi.

Przyjrzał się prezentowi i zatrzęsł z odrazy: było to czworo oczu – chyba kurzych – troskliwie pozszywanych w bukiet. Spomiędzy nich wystawały cztery kurze palce z pazurami, a z tego zwisała kępka długich, jasnych, ludzkich włosów.

Z oddali dobiegły go krzyki, hałas, wreszcie płacz dziewczęcy. Domyślił się, co zaraz zajdzie. Po chwili usłyszał czyjeś pośpieszne kroki. Zdażył przyjrzeć się oprawcom: obaj średniego wzrostu, tłustawi. Jeden z płaskim nosem boksera, a drugi z głęboką szramą na twarzy, nie pozwalającą domknąć się bezzębnym ustom. Blizna sprawiała, że wyglądał tak, jakby nieustannie się uśmiechał. Gdyby Adams miał wolne ręce i kij jak oni, nie poszłoby im tak łatwo.

– Przestańcie! Czego do cholery, chcecie?! – wrzeszczał, gdy przewracano go na brzuch. Bili po plecach, po pośladkach. Płaskie kije wydawały głośnie plaśnięcia, a fale piekącego bólu rozlewały się po skórze. Kilkakrotnie oberwał kopniaka w udo. „Dzisiaj lżejszy sprzęt...”, zdażył pomyśleć i zemdlął.

Zbudził się w ciemności. Cuchnęło uryną.

„Naszczali na mnie...” Nie pamiętał, że nie utrzymał moczu w czasie bicia. Ciało miał obolałe. W zaciśniętej dłoni nadal tkwił dziwny, odrażający prezent. Ból słabnął szybciej niż poprzednio. „Po jakim czasie stoczę się do poziomu zwierzęcia? Regularnie bity i przykuty do betonowego słupka”, pomyślał. Zasnął z twarzą wtuloną w siano.

Zbudziła go struga zimnej wody wylanej z wiadra. Zaraz potem z drugiego. Sen umknął bez śladu, Adams zatrzęsł się z zimna, leżąc w kałuży. Mroźna kąpiel stłumiła ból i splukała mocz.

Postawna, brzydka dziewczyna o czerwonej, nalanej twarzy i bezbarwnych włosach przyjrzała się mu badawczo. Bez słowa odwróciła się i zabierając oba wiadra, wyszła. Rozległ się jazgot nie naoliwionej korby studziennej i huk łańcucha.

Wróciła, taszcząc pełne wiadra. Przemoczony Adams cofnął się instynktownie. Nie pomogło. Lodowata struga trafiła setkami szpileczek.

– No – powiedziała kobieta. Cofnęła się ku drzwiom.

– Illatio! – zawołała. – Chodź no tu.

„Ta też mówi zrozumiale...”, pomyślał z ulgą. „Tylko Pięknooka używa dialektu”.

Pojawił się Uśmiechnięty. Zamiast kija dźwigał kłęb grubego drutu. Dojrzał nieufne spojrzenie Adamsa i skrzywił się.

– Do tego będziesz srał. – Postawił przed nim wiadro.

– Za co się mnie więzi? Dlaczego to wszystko? Proszę mnie skontaktować z policją!

– Milcz, psie. – Uśmiechnięty odsłonił sine, bezzębne dziąsła. Wspiął się na drabinę i wysoko pod dachem przymocował koniec drutu. Następnie, rozwijając kłęb, zszedł z drabiny i krok po kroku opuścił stodołę. Zabrał ze sobą drabinę. Wrócił, ciągnąc krótki kawałek łańcucha, zamocowany do pętli smykającej po drucie. Przepiął Adamsa do nowego łańcucha.

– Wstawaj, psie – rzucił, pryskając kropelkami śliny.

Adams niezdarnie gramolił się z ziemi. Szło mu zbyt wolno. Uśmiechnięty przyłożył mu pięścią w brzuch. Średnio silnie, ale w sam splot, aż Adamsa zaćmiło. Świadomość wróciła wraz z chęcią do obrony. Adams szarpnął się, ale drugi celny cios powstrzymał jego zamiary. Był skuty, co dawało przeciwnikowi wystarczającą przewagę.

– Jesteś teraz psem. Jakby cię kupiono.

Adams nie odpowiedział, aby uniknąć kolejnych razów.

– Wstawaj, psie.

Adamsowi wreszcie udało się podnieść. W miarę jak się rozgrzewał, wracał ból obitych gnatów.

– Przed siebie.

Adams sunął ze szczękiem łańcuchów i zgrzytem pętli jadącej po drucie. Wyszedł z szopy. W oczy uderzyło go światło. Słońce świeciło zza chmur, ale odwykł od tak mocnego blasku. Znajdował się na podwórku gospodarstwa. Trochę szarych zabudowań krytych strzechą, obok cuchnący gnojownik. Gdzieś w drugim końcu Czerwonogęba karmiła kury.

– Tu wrzucaj swoje gówno. – Uśmiechnięty wskazał na boks z gnojem. – Teraz wracaj do szopy i wychodź stamtąd tylko ze swoim sraniem. I nie próbuj żadnych sztuczek!

W szopie Adams spróbował zbadać granice nowej swobody: wprowadzie drut ciągnął się przez całe pomieszczenie, ale umieszczona na nim blokada uniemożliwiała przesunięcie pętli zbyt blisko ściany. Nawet napinając go maksymalnie, nie mógł dotrzeć ani ściany, ani żadnego z walających się sprzętów.

Odnalazł prezent Pięknookiej. Kurze ślepie nabrzmiałe świeżą porcją wilgoci lekko się szklify. Talizman? Informacja? Czy nosić to w dłoni, czy w kieszeni? Ukrywać czy okazywać prześladowcom?

Chyba ukrywać, skoro Pięknooka oberwała.

Zafrapowała go zmyślna konstrukcja uwięzi. I blokada, i zamocowanie drutu wyglądały na wielokrotnie używane. Cóż, widać takie były prawa miejscowej gościnności. Ze szczękiem łańcuchów biegał rzeczywiście jak pies podwórzowy. Hałas musiał nieść się daleko. Adams uznał, że jego ruchliwość zostanie przyjęta z uznaniem – dbał przecież o sprawność. Pomylił się.

Zaraz wparował Bokserowaty. Bez słowa palnął Adamsa, fachowo mierząc w splot. Przytrzymał go i pozwolił ogłuszonemu miękko osunąć się na ziemię.

– Przestań wreszcie hałasować.

Jednak właśnie to lekkie, napominające bicie sprawiło, że w Adamsie wezbrał gniew. Zbudziła się duma. Kimże są, żeby go maltretować? To tylko zwyczajne wiejskie podwórze, wcześniej widział niepozorne zabudowania wsi czy małego miasteczka. Trzeba uwolnić się od tych ludzi, dotrzeć na policję. Dłuższa uwięź stwarzała nowe możliwości. Przeszukiwał szopę, dźwigając luźny odcinek łańcucha, by nie dźwięczał. Spod słomy wyłowił nogę stołową i ułamany pilnik. Już nie był bezsilny. Wynosząc wiadro, rozejrzał się po podwórzu: pusto. Pod murem dreptało kilka gęsi. W kałuży pływał ogryzek jabłka. Zabudowania ograniczały dalszy widok.

Nie niepokojony, doczekał wieczoru. Raz zajrzała Czerwonogęba, przynosząc pół bochenka razowego chleba i wodę. Pochłonał wszystko łapczywie. Gdy przestały dobiegać głosy domowników, Adams wziął się do piłowania łańcucha. Mógł pracować tylko do zapadnięcia zmierzchu. Żelazo poddawało się pilnikowi. Po kilkunastu minutach przeciął łańcuch pętający prawą nogę i wziął się do rozcinania założonej na nią obręczy. Pozostawało jedynie mozolnie i cierpliwie pracować, oczekując skutków.

I skutki nadeszły. Do szopy wpadli Bokserowaty i Uśmiechnięty. Bili pięściami i kijem, mocno, na oślep. Gdzieś przepadły znalezione narzędzia. W końcu Adams runął pod gradem ciosów.

– Spróbuj jeszcze raz, a wybiję ci wszystkie zęby! – warknął Uśmiechnięty. – A wtedy do końca swojego parszywego żywota pozostaniesz psem łańcuchowym!

Czerwonogęba, która przyświecała latarnią, wskazała im coś na klepisku.

– A, jeszcze to! – Bokserowaty z rozmachem rozdeptał niewielki przedmiot.

Gdy skończyli, nie chciało im się nawet przykuć jego prawej nogi do łańcucha. Adams spluwał

krwią z rozbitych warg. Sprawdził dłonią zęby: wszystkie się ruszały.

„Człowiek jest kompletnie nieodporny na bezpośrednią przemoc fizyczną...”, pomyślał. Wróciło poczucie beznadziei.

Przebudzenie było przykre. Przeleżał całą noc na chłodnej ziemi. Mimo napuchłego oczodołu, dostrzegł wdeptany w klepisko talizman Pięknookiej. Co za parszywa sytuacja! Po jaką cholere uciekał z Miasta pod Skałą? Wspomnienie milicyjnych szykan i niedostatku zbladło, a hałaśliwa, orgiastyczna zabawa na cześć przewodniczącego Nero wydawała się niedosiężnym szczęściem. Sam pchał się tu uparcie przez rzekę gówna i ziemne nory. Płakać by nad takim losem.

Ciężko stęknął, poprawiając pozycję. Trzeba zadbać o posłanie, bo inaczej szybko rozwinię się reumatyzm... Sprawdził dłonią szczęki: zęby przestały się kiwać.

Rozmyślenia przerwał zgrzyt drzwi. Skulenie się było już nawykiem.

Powoli, z każdym dniem, Adams coraz bardziej stawał się niewolnikiem. Nie potrafił powstrzymać tego procesu. Może spojrzenia Pięknookiej mogły jakoś spowolnić to spodlenie.

Trafiła go struga zimnej wody. Zaraz potem druga. Dobrze: Czerwonogęba, a nie bicie. Wolno się obejrzał.

To nie była Czerwonogęba. Nieznajoma w długiej, pofałdowanej szacie – może pelerynie – badawczo wpatrywała się w niego matowymi, jakby jaszczurczymi, niebieskimi oczami. Kaptur zsunął się jej z głowy, odsłaniając jasne, krótko przycięte włosy. Właściwie dziewczyna mogłaby uchodzić za piękność, ale coś osłabiało to wrażenie, a opuszczone kąci nadąsanych ust podkreślały jaszczurczy wyraz twarzy.

– Nie bój się mnie, przecież nie gryzę – powiedział. – Profesor nie gryzie... – dodał półgłosem.

Dziewczyna wybiegła, zabierając oba wiadra.

„Zaraz wrócisz, mała”. Zastępczyni powinna przecież robić to samo co Czerwonogęba.

Miał rację: wróciła, ale zamiast oblać wiadrem podeszła i namoczoną szmatą zaczęła wycierać jego poraniony grzbiet. Przynosiło to ulgę, więc nadstawiał się z lubością. Nietrudno wyobrazić sobie mapę, jaką obecnie przypominała jego skóra na plecach.

– Popatrz, zniszczyli mi to. – Wskazał na rozdeptaną maskotkę.

– Och, *byngoro!*

Skinał głowę – powtórzyła słowo Pięknookiej.

– Twoje *byngoro?*

Zamiast odpowiedzi stęknął, bo rozdarła zaschniętą ranę.

– Jak ma na imię ta dziewczyna z czerwoną twarzą?

– Lotta.

– A ty?

– Nie. – Pokiwała głową. – Nie.

Myślał, czy nie zrzucić do reszty podartej koszuli, ale nawet luźne paski tkaniny jakoś osłabiały razy.

Następnie zajęła się jego włosami. Przeglądała kosmyk po kosmyku. Domyślił się i wstrząsnął z obrzydzenia. Słyszał, jak zgniata w paznokciach wyłowione pasożyty. Trudno się dziwić: sypiał na klepisku, na zbutwiałej słomie, grzbiet przykrywał jakimś zetłalymi szmatami. Wszy bez trudu znalazły swoją ofiarę.

Nieznajoma skończyła pracę na głowie, przejrzała potarganą koszulę.

– Tu nic nie masz. Chyba już wyłapałam wszystkie. To Symmachs znowu kupił zgniłe szmaty i kłopot wrócił.

Śledził wzrokiem, jak odnosiła wiadra. Jej urodzie nie można było nic zarzucić, ale wciąż pozostawało to dziwne, nieuchwytne wrażenie.

Właściwie mogło być przyjemnie przy takiej pielęgniarce. Tyle że ziąb ciągnął, a zęby szczykały od takiej kuracji. Inna rzecz, że ropiejące rany należało myć jak najczęściej.

Przestali go bić. Już nie było trzeba. Stał się posłuszny. Jadł, wynosił wiadro, gdy się wypełniło. Trochę łąził po szopie, by nie osłabnąć, wreszcie zasypiał na wiązce słomy. W dni deszczowe kapało na głowę. Jaszczurka przyniosła mu drewniany, bardzo gęsty grzebień, za pomocą którego można było samemu pozbyć się wszystkich pasożytów. Włosy należało jednak przeczesać wielokrotnie, bo wiele zębów było wyłamanych.

Jak dalece można oczyścić się ze wspomnień: Pięknooka stała się odległym ideałem piękna i dobra, a Jaszczurka jawiła się najwspanialszą istniejącą dziewczyną. Jakże mało trzeba do szczęścia: nie biją, chleba dość – dostawał kawałki większe niż półbochenek. Raz nawet Lotte skrzyczano za to. Adams doszedł do siebie, wzmocnił się, nie groziły mu starcia z kolegami z wydziału, utarczki z recenzentami prac, nikt go nie nękał aresztowaniami ani fałszywymi oskarżeniami. Zwyczajnie: jeść, pić i spać. Życie niewolnika nie ma samych minusów.

Przyszła Zastępczyni. Adams wylegiwał się, wyciągnięty na słomie z rękami pod głową. Śmiała się do niego jaszczurczymi oczyma. Niebieskozielone, nie niebieskie, jak myślał wcześniej. Piegi na jej twarzy przypominały deseń. Może stąd to wrażenie jaszczurczości, a nie przez zielononiebieskie oczy, piękne jak półszlachetne kamyki...

– Głodny? – zaczęła. Uśmiechnął się.

– Nie biją, więc nie jest źle. – Adams dawno nie czuł się taki swobodny.

Zastępczyni wyczuła to i spłoszyła się.

– Wybiją mi zęby?

– Myślę, że tego nie zrobią, *bellvekhi*.

– Piękny-Stary?

– No, masz zęby, chociaż zmarszczki też. Parsknął śmiechem.

– Powiedz, dlaczego nie przychodzi Pięknooka?

Spojrzała na niego lodowato. Pogroziła mu palcem, ale zaraz wcisnęła mu w dłoń kosmaty przedmiot.

– *Jimłojesz truchol* – powiedziała, zataczając dłonią kręgi nad jego głową.

Adams przypatrywał się jej zabiegom.

– *Jimłojesz truchol. Truchol hałemza.*

– To od niej?

Rzuciła tak złe spojrzenie, że zamilkł.

– *Jimłojesz truchoł hałemza* – powiedziała z naciskiem.

– *Truchoł hałemza* – powtórzył posłusznie.

– Adala! Gdzie się chowasz!? – dobiegł krzyk z podwórka.

Dziewczyna przytaknęła i bez słowa wybiegła. Adams obejrzał dar: uformowane z gliny rogi, wielokrotnie oplecione kłębkami jasnych włosów. Znów miał nad czym rozmyślać, wspominać odległą i tajemniczą Pięknooką czy bliską Adalę? Obracał w palcach prezent. Potem wygodnie ułożył głowę w zaplecionych ramionach.

„Diabełek”, pomyślał. „Zastępczyni ma krótko ścięte włosy. Nie starczyłyby, aby to tak opleść. Włosy Pięknookiej skrywała chustka, ale to muszą być jej włosy. No, chyba że Lotty...”

– *Jimłojesz truchoł.* – Zatoczył dłonią kółko nad talizmanem. – Coś takiego ma działać...?

Wszystko sprzed bramy w watykańskim murze wydawało się ledwie snem. Niemożliwym wspomnieniem sprzed narodzin. Oczyma duszy ujrzał Liliane moknącą w kolejce do kasy muzeum. Ale zaraz jej oblicze zbladło, skryło się za spłoszonym spojrzeniem modrych oczu Natalii. Płacze? Zrobiła grymas, jakby chciała mu coś powiedzieć. Obok, z włosami spiętymi w kok, w tunice bez rękawów odsłaniającej smukłe ramiona, stała Falzarota. Położyła dłoń na ramieniu Natalii.

Obudził go kopniak w udo.

– Zbieraj się – warknął Bokserowaty.

Adams wiedział już, że wołają go Symmachs. Podnosił się niezdarnie. Dwa mocne ciosy w brzuch zgięły go w pół.

– Patrz w ziemię, nie na mnie – skarcił go Symmachs. Adams opuścił wzrok. Kulił się, czekając na następny cios.

– Na ziemię.

– Co?

– Kładź się na ziemię.

Symmachs skuł mu nogi przyniesionym łańcuchem, ale odpiął od uwięzi. Następnie uwolnił rękę. Adams odruchowo rozcierał przeguby dłoni.

– Teraz się zbieraj – rzucił Symmachs. – I za mną. Szczękając niesionym w ręku łańcuchem, ze zwieszoną głową, Adams podreptał za swym prześladowcą. Dzień był chłodny, niebo pochmurne. Na podwórzu znów stały kałuże. Symmachs wskazał mu pryzmę granitowych otoczaków.

- Masz to przenieść tutaj. – Z ziemi wyłaniały się fundamenty nowego budynku gospodarskiego.
- A potem? – Adams przezornie unikał wzroku swego pana.
- O to się nie martw! – usłyszał, ale obyło się bez karcącego ciosu. – Bierz się do roboty!

Jaszczurka przelewała wodę z nosilków do cebra. Nieznany staruszek, niewolnik – zdradziła go zwieszona głowa – mieszał zaprawę i donosił Symmachsowi, który wziął się do murowania. Niewprawny Adams dostarczał kamienie.

Adams nadal sypiał w stodole, a do towarzystwa przybyli mu dwaj inni niewolnicy: staruszek Marcupij oraz Ingvar, kilkunastoletni syn Rokki. Na czas wdrażania Adamsa do niewolnictwa przenieśli się do sieni domostwa. Każdy z nich spał na wyprawionej skórze porosłej długimi, czarnymi kudłami. Na dzień rolowali futra i składali na zbitej z nie heblowanych desek półce, by przeschnęły.

Adams stał się użytecznym członkiem gospodarstwa młynarza Hrabbana. Był cichy i posłuszny; słuchając właścicieli, nie podnosił wzroku. Bito go coraz rzadziej. Schudł, a ręce stwardniały mu od prostej roboty. Wykorzystywano go do najgorszych prac, jak noszenie kamieni, ładowanie gnoju na furmankę (nadal nie opuszczał gospodarstwa), rąbanie przywiezionego drewna, tłuczenie kamieni na szuter, wysypywanie kamyków na podwórzu w miejscach, gdzie robiły się kałuże. Od ciągłej pracy fizycznej na świeżym powietrzu i niedożywienia wrócił do młodzieńczej wagi. Obawiał się jednak, że z braku witamin zaczną mu się ruszać zęby.

Właśnie niósł wiadro z odchodami niewolników sypiających w stodole, gdy drogę zastąpił mu osobnik wysoki jak góra i jak góra masywny. Adams nie zdążył się usunąć, kiedy tamten pchnął go z całej siły, sprytnie podstawiając nogę. Adams runął jak długi.

– Nie będziesz mi, śmieciu, wlaził w drogę! – zadudnił napastnik. – Patrz, kiedy przechodzę.

Adams burknął jakieś przekleństwo. Powoli zbierał się z ziemi. Nie był pewien, czy nie upadł na skutek przypadkowego zderzenia. Tymczasem tamten oglądał skraj swojej szaty.

Nagle z całej siły złapał podnoszącego się Adamsa za poły.

– Cholerny śmierdzielu! Wybrudziłeś mi swoim gównem najlepsze ubranie! – ryknął.

Zaskoczony Adams wypuścił z rąk wiadro, jeszcze bardziej brudząc tamtego ekskrementami.

– Czyść to! Własnym językiem zlizuj! – wrzasnął olbrzymi niewolnik, wymierzając Adamsowi otwartą dłońią kilka zamasztych policzków. Ten jednak zaraz wyswobodził się z jego uścisku.

– Ty cholerna kupo mięsa, jeśli straciłem chociaż jeden ząb – wycedził, ścierając kulakiem krew z rozbitych warg – to cię znajdę i utopię w wiadrze gówna, w moim własnym gównie!

– Strzeż się! – Z rozmachem cisnął połówką cegły w ledwie obutą sandałem stopę olbrzyma.

Trafiony zawył z bólu i runął na Adamsa. Obaj padli na ziemię, wprost w rozlany gnój. Adams, niestety, przygnieciony olbrzymim cielskiem. Napastnik sięgnął po wiadro i próbował nabić je na głowę Adamsowi, który wywijał się ze wszystkich sił.

– Gorgonij! – rozległ się przeraźliwy krzyk. Adala świsnęła przez zęby, jakby miała zaraz wysunąć jaszczurczy, podwójny język. – Opamiętaj się! Przestań natychmiast!

Olbrzym, zaskoczony nieoczekiwanym wsparciem dla przeciwnika, stracił animusz. Zgramolił

się z Adamsa. Ten też się zbierał, cały umazany i spocony.

– Zniszczyłeś jego ubranie! – grzmiąca niepozorna dziewczyna.

Niewolnik spoglądał na nią spode łba.

– Zaraz przynieś dla niego wodę. A ty masz się umyć i wyprać swoje cuchnące łachy.

Olbrzym posłusznie skierował się ku studni.

– Nie! – Adala była nieubłagana. – Masz przynieść ciepłą wodę z kuchni. Ten brud nie puści od zimnej.

Nie musiała powtarzać polecenia. Zaraz pełne wiadro ciepłej wody stanęło u stóp Adamsa.

– Będziesz musiał przynieść jeszcze drugie wiadro, Gorgonij. – Adams skrzywił gębę w paskudnym uśmiechu. – Ale zaczekaj tutaj, zanim zużyję to pierwsze. Nie można przecież marnować ciepłej wody, Gorgonij.

Dawno nie mył się w ciepłej wodzie – wprawdzie wszystkie zranienia odżywały, ale schodził zastarzały brud. Olbrzym z pogardą spoglądał na nienawistnika, jednak nie odszedł, zanim Adams nie zakończył ablucji i w drugim wiadrze nie przeparał swoich łachów.

„Między niewolnikami nie ma solidarności...”, pomyślał Adams, zerkając za odchodzącym przeciwnikiem.

Okazałe domostwo Hrabana wyróżniało się wśród innych dużą liczbą czaszek z okazałymi rogami przybitych do bramy wyjściowej i do ścian. Różniły się między sobą, ale z pewnością nie były to krowie czaszki: miały z reguły mocno skróconą część trzewiową, wystające kły i duże oczodoły z przodu, a nie po bokach. Gdyby istniały rogate mały, te czaszki mogłyby do nich należeć. Adala wyjaśniła, że to Czarne, z którymi toczy się wojna.

W gospodarstwie panowała jasna hierarchia, a na samym jej dole tkwił Adams. Nieco wyżej stał Marcupij, pokurczony staruszek, który skądś brał jeszcze siłę, by się cieszyć. Wystawiał w uśmiechu bezzębne dziąsła, a każdy z jego dowcipów kończył się rytmicznym ruchem ręki i cmokaniem. W chwilach depresji Adams rozmyślał, że na starość upodobni się właśnie do Marcupija.

Wyżej w hierarchii stała Rokka. Miała długie, tłuste, czarne włosy i twarz pociętą siecią głębokich zmarszczek. Adams mawiał na nią: „Staruszka z Czarnymi Włosami”, chociaż Rokka nie ukończyła jeszcze czterdziestu siedmiu lat. Jej legowisko było w sieni lub w maleńkim pokoiku przy drzwiach wejściowych. Adams jeszcze ani razu nie był wewnątrz domu, widział jedynie przez otwarte drzwi fragment barłogu Rokki, rozłożonego na czarnym futrze.

Jej syna, Ingvara, już przegnano do stodoły. Jego ojcem podobno był Synkryt, niewolnik, którego gospodarz sprzedał parę lat temu. Natomiast na pewno gospodarz był ojcem młodszego syna Rokki, Eluwy. Eluwa sypiał jeszcze na barłogu obok matki. Gdy jadł, resztki pożywienia wydostawały się jego nosem. Często wtedy kichał. Nie potrafił sobie poradzić ze swoją ułomnością. To właśnie on był świadkiem, jak Adams wychynął z ziemnego korytarza, on też sprowadził Hrabana i jego synów.

Hierarchię niewolników otwierał Gorgonij, wypasiony dryblas, który nadzorował pozostałych, załatwiał zakupy i prowadził buchalterie gospodarstwa. Zajęty, zwykle przesiadywał w domu. Gospodarz bardziej mu ufał niż synom. Był on czwartym z drabów, którzy w tamtą noc pobili Adama wychodzącego z tunelu. Gorgonij wykorzystywał swoją pozycję; tłukł innych niewolników. Marcupija bijał najczęściej, Ingvara rzadziej – Adama zaczepił tylko raz – Rokki zaś nie odważył się tknąć.

Rodzina gospodarza tworzyła bardziej poplątaną strukturę. Obaj synowie – Symmachs i Illatio – byli traktowani jak zwyczajni parobcy, chociaż spali w domu. Wiele razy Adams był świadkiem, jak Gorgonij wydaje polecenia Bokserowatemu. Gospodarz miał trzeciego syna, Pachoma, obecnie na froncie. Wojna toczyła się gdzieś daleko, nie dając odczuć swoich bezpośrednich skutków.

Hrabban zarządzał całą tą małą społecznością. Barczysty, siwawy mężczyzna o zaciętej, brutalnej twarzy, z wianuszkami włosów okalających szerokie łyse ciemię, z siwizną tylko na skroniach. Jego żona, Raachill, była prawdopodobnie faktycznym władcą, choć pozostającym w cieniu. Rzadko pojawiała się na podwórzu, zakutana w długą, czarną szatę.

Adams, nieoczekiwanie dla siebie, szybko awansował. Posiadał szereg umiejętności nieznanymi innym. Potrafił pomóc, doradzić w robocie. Jego rady były zwykle trafne. Zarówno córki

gospodarza, jak i niewolnice lubiły z nim przebywać, bo nie odzywał się wulgarnie ani nie brał się natychmiast do macania.

Bez kajdanów i łańcuchów zaczęto go wreszcie wypuszczać poza obręb gospodarstwa. Widać uznali, że już zrozumiał, iż ucieczka nie ma sensu, bo zaraz zostanie pojmany i przerobi go na niewolnika jakiś inny gospodarz. Zwykle towarzyszył Jaszczurce jako tragarz i rozmówca. Nosił zakupy.

Wojnę odczuwano jako codzienną niewygodę. Na rogatkach, a wewnątrz miasteczka co kilka przecznic, stały posterunki żołnierzy i urzędników miejskich, zwanych *behmetim*, które rewidowały przechodniów. Żołnierze uzbrojeni byli w broń białą: hełmy, metalowe napierśniki, piki i pałasze. Forma przypominała najbardziej zbroje rzymskie, ale to tylko pierwsze wrażenie, gdyż faktycznie stanowiła mieszankę wyposażenia z różnych epok. Akurat piki tych tutaj wartowników naśladowały ciężkie rzymskie pila. Wszyscy mieli owalne tarcze oraz hełmy rzymskich auxiliaries; nosili też szare płaszcze i szare kilty, niektóre przykryte płytami zbroi.

Adala i obładowany Adams zatrzymali się w kolejce do wiaty zbitej z nie heblowanych desek. Nad wejściem przybito kilka rogatych czaszek.

– Stanać dwójkami – rzucił żołnierz.

Szarzy, zmęczeni ludzie posłusznie zgrupowali się w pary. Grube kobiety niosły kosze z żywnością. *Behmet*, rosły, opalony drab w skórzanej kurtce zabrał się do przeglądania zawartości koszy, kobiałek i zawiniątek.

– Papierosy?

Tęga niewiasta wzruszyła ramionami. Łapa *behmeta* wylądowała w jej torbie. Chciwie tam gmerała.

– Nie ma papierosów... No, nie ma. – Roześmiał się. Kobieta odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Urzędnik wyłowił z torby pęta kiełbasy.

– Grube papierosy. – Mrugnął do żołnierza.

– Podzielcie się, panowie. Na zdrowie.

– *Na*, Jochen. – Rzucił żołnierzowi kawałek. Kobieta przeszła z resztą wiktuałów. Następna, czyjaś niewolnica, niosła mleko..

– Własne, własne. – Zachichotał *behmet*, jednocześnie wyławiając garścią jej pierś spomiędzy fałdów szaty. – Co takie chude? – Popchnięta, już biegła zawstydzona.

Następnej zabrał garść papierosów. Podzielił się z żołnierzem. Tytoń cenili szczególnie wysoko, kobieta przeszła, pognana klapssem w pośladek.

Kontrolowane uśmiechały się do *behmeta*, żartowały, że tyle dziewczyn na niego leci. W

większości były to niewolnice i kilka ubogich wieśniaczek. Starły się jak najmniej stracić podczas przepawy. Zwykle wystarczała garść papierosów, udko kurczaka czy macanie. Wolnych kobiet *behmet* nie zaczepiał, z wyjątkiem najbiedniejszych, które rozpoznawał bezbłędnie.

Mężczyzn przepuszczał bez słowa, jedynie pobieżnie rewidując ich bagaż. Widocznie swe powinności wobec walczącego kraju spełniali w inny sposób.

Wreszcie nadeszła kolej Adamsa i Adali. Zanim mała coś rzekła, Adams rzucił sucho:

– Kartofle, trochę buraków, pół tuzina gołębi. – Nie udzieliła mu się służalcza radość stłoczonych kobiet.

– *Na, katofle, cha, cha, katofle* – powiedział *behmet*. – Przechodzić, przechodzić. – Nie próbował zaczepiać Jaszczurki. Może zniechęciło go spojrzenie Adamsa.

Po drugiej stronie bariery było luźno i przewiewnie. Widać było czarne łokcie uwijającego się *behmeta* i napierającą na niego gromadę sztucznie uśmiechniętych kobiet. Jochen oparł pikę o słup i opychał się kielbasą.

Obładowany Adams podążał za drepczącą Jaszczurką.

– Gdy idę z Gorgonijem, ten zawsze żartuje, że przemycam papierosy pod pachami – powiedziała.

– Pod pachami?

– Tak. Wtedy *behmet* zawsze łapie mnie za piersi, aż się robią siniaki. – Widać Adams spojrzał na nią dziwnie, bo dalej się tłumaczyła: – Mam tylko *pas*. Ojciec nie chce kupić mi reszty *stroju dziewczicy*.

Adams zaczął wykorzystywać swoje walory fizyczne – kiedyś przecież lubił biegi długodystansowe. Teraz więc, kiedy trzeba było kupić coś pilnie, dostarczyć komuś przesyłkę, wysyłano go.

Nie wydał pieniędzy na kubek okowity, nie zjadł niesionego jedzenia. „Podskocz!”, wołał go Hrabban i wydawał polecenia. Bystry i sumienny Adams wypełniał je bezbłędnie. Blizny po kajdanach zdążyły zbieleć. Okolica wzbogaciła się o widok biegającego niewolnika. Jogging przydał się nieoczekiwanie.

Dotąd najbardziej wpływowy Gorgonij nie był stworzony do szybkiego przemieszczania się. Ciężki, masywny, tłusty i rumiany szybko zorientował się, że w niektórych dziedzinach Podskocz jest najlepszy i lepiej z nim żyć w zgodzie.

Do spania Adams dostał czarne futro. Z paroma dziurami i mocno wyleniałe, ale ciepłe. Dziś też jeszcze wylegiwał się na sianie – ceniony, wykwalifikowany robotnik. Nawet Gorgonij zwlókł się już do swoich zajęć. Z rękoma pod głową rozmyślał, że Pięknooka go unika. Przy pracy towarzyszył zwykle Adali, Ingvarowi lub Marcupijowi. Obracał się w ciasnym kręgu kilku osób, od jednych mógł spodziewać się upokorzenia czy bólu, inne go tolerowały, jeszcze inne nawet wykonywały jego polecenia, jednak ta jedna, pięknooka dziewczyna, znikła. Od czasu, kiedy odprawiała nad nim dziwaczne gusła, niemal nigdy jej nie widywał. Oberwała za tamtą niewczesną wizytę i za *byngoro*, które mu sprezentowała. Widać Jaszczurce było wolno, Pięknookiej nie. Jakby znikła, ale kiedy dom wypełniała duszna woń kadzidla, wiedział, że kąpie się albo ona, albo Adala, albo sama Raachill. Nie mogły to myć się w pomieszczeniu, którego nie wypełnia siwa mgła...?

Snuł te rozważania niepotrzebnie, nieznana kara dobiegła końca. Pięknooka weszła bezszelestnie i spod narzuconego kaptura spojrzała na niego, kiedy właśnie przepastnie ziewnął. Zerwał się natychmiast, zasłaniając dłonią usta.

– Dalej masz wszystkie zęby?

– Nie wiem... – Sprawdził palcami. – Nie uciekły.

– Przestań ze mnie żartować. Przecież jesteś niewolnikiem. – Jej oczy śmiały się, nie pozostawiając wątpliwości, jak rozumieć te słowa.

– Niewolnik nie odważyłby się śmiać.

– Dlaczego...? Marcupij ciągle się śmieje.

– Zobacz, siedzą sobie na miejscu, tylko dwóch brakuje.

– Są równe, białe.

– Twoje są bielsze i równiejsze.

– Moje to co innego. – Wydęła wargi.

– Pewnie, bo takie ładne.

– Mógłbyś przestać się wylegiwać. – Jej strofowanie nie miało żadnej siły. Mówiła zbyt miękko, a roziskrzona oczy nie potrafiły skryć radości.

– Jak na mnie mówisz?

– Ty.

– Ale imię?

– Pan Hrabban mówi najczęściej „Podskocz”.

– Ale inni nazywają mnie Wodogłów, Płucodych.

– Przyszedłeś stamtąd, dokąd odszedł. Nie jesteś do niego podobny, ale mogłeś zostać odmieniony.

– Nie mam wielkiej głowy, a tu Wodogłów...

– Pierwsze imię się nie zgadza.

– A drugie?

– Nie dyszysz.

– Tylko chrapię. A tu zaraz i Wodogłów, i Płucodych.

– Gdy żył, nikt nie miał odwagi tak się do niego zwrócić.

– A jak się nazywał?

– Engilu Groźny albo Engilu o Strasznej Twarzy.

– Był niebezpieczny dla ludzi...?

– Tylko dla niektórych. Był moim przyjacielem.

– Dlatego mnie polubiłaś?

– Skąd wiesz, że cię polubiłam...?

– Właśnie to powiedziałaś. Dwa uśmiechy spotkały się.

– Jak masz na imię, Pięknooka? – odważył się.

– No, wiesz? Przecież jesteś niewolnikiem... Wykonał nieokreślony gest dłonią.

– Renata.

– Ładnie.

– Pięknooka też mi się podoba. Adali również podoba się twoje określenie. Jak chcesz, żebym na ciebie mówiła?

– Adala mówi *bellvekhi*.

– Nie muszę mówić jak Adala – nadąsała się. – Wolę tak, jak wcześniej cię nazywali.

– Tam, skąd przyszedłem, mówili na mnie Onofrio.

– A ty jak na siebie mówisz?

– Humphrey. To samo znaczy.

– Hemfri, Hemfri – powtórzyła. – Ale śmieszne. – Zaczęła pryskać na niego wodą z dzbanka. Palcami, po parę kropel, żeby nie trzeba było wracać, aby dolać.

– Przestańże wreszcie. Aleś nieznośna. – Krzywił się.

– Masz moje *byngoro*?

– Jak mam mieć? Rozbili je. Wdeptali w klepisko.

– To co cię chroni?

– Adala dała mi *truchol*.

– To chodź sobie z Adalą na zakupy. – Z jej oczu strzelił czarny piorun. Gwałtownie obróciła się i wyszła.

– Pięknooka, ja marzę, żeby chodzić na zakupy z tobą. Ostatnie zdanie nie uleciało z wiatrem. Następnego dnia został zaopatrzony w nowe talizmany.

– Masz *myloro*. – Wyciągnęła ulepionego z gliny ludka, okręconego jasnymi włosami. – Przyniesie ci szczęście. I jeszcze to – tym razem *hukała*, opleciona włosami gałązka w kształcie widełek. – On ochroni cię przed strzałami – instruowała. – I to jeszcze... – Nowy *truchol hałemza* i na koniec *byngoro*.

Adams chował jeden za drugim.

Nieszczęsny *truchol* od Jaszczurki został przykładnie rozdeptany, a resztki wyrzucone do gnoju.

Pięknooka stała się jego najczęstszą towarzyszką. Może jakoś zależało to od przyjętych

amuletów czy maskotek. Adala ograniczała się do chłodnych spojrzeń, rzucanych zza skrywającej twarz chustki.

Uczył się odgadywać znaczenia spojrzeń i gestów Pięknookiej. Jak wszyscy tutaj, mówiła narzeczem. Jednak Adams, przygotowany pobytem w Mieście pod Skałą, radził sobie z tutejszą gwarą. Coraz częściej przyłapywał się, że myśli w miejscowym dialekcie.

Miejscowość, do której trafił, zwano Dolnym Miastem lub Krum – od kamiennej warowni wznoszącej się na skalnym cyplu nad brzegiem morza. Układ murów, okien, furt strzelniczych i blanków warowni przypominał ludzką czaszkę. Krum, Zamek Czaszki, był siedzibą Pana z Morza. Podobno obecnie władca bawił w dalekiej podróży.

Pięknooka przysiadła się do niego, obserwując, jak Adams zgrabnie wyplata wiklinowy koszyk. Od kiedy Marcupij pokazał mu, jak łączyć dno ze ściankami, Adams udziwniał formy koszyków. Szczególnie spodobały się kobietom te o bardzo przewężonym wylocie. Więziły w nich kurczęta, które gdy podrosną, nie zdołają ich opuścić. Chowaly się gorzej, bo nie znajdowały same pożywienia, ale nie groziło, że zostaną ukradzione. Adams tkął ażurowe denka koszy, żeby biedne ptaszyska nie tonęły we własnych odchodach. Renata chwilę przyglądała się jego pracy.

– Skąd przyszedłeś, Unofriu, jeśli nie zawróciłeś spod ziemi? – spytała.

– Z Miasta pod Skałą. Tak na nie mówili.

– Krum to Miasto pod Skałą.

– Są więc dwa Miasta pod Skałą.

– Zawsze takie rzeczy opowiadasz dziewczynom...? – Spojrzała na niego zbójcecko. – A one, biedne, wierzą? Adala może w to uwierzy... – Zmierzyła go spojrzeniem.

– Powiedziałem ci prawdę.

– Więc jesteś Wodogłów, tylko cudownie odmłodzony i ozdrowiony. Engilu nie był wyższy od ciebie. Mnie nie nabierzesz tak łatwo... – Znowu śmiała się do niego.

Zerwała się i zabrała dzbanek.

– Ale możesz być Unofriu czy Hemfri. Podobają mi się oba te imiona...! – rzuciła, z głębi korytarza.

Dom Hrabana wznosił się na skraju miejscowości, najbardziej oddalonym od warowni. Pobliski posterunek był rogatką, chociaż i w mieście kilka znaczniejszych ulic przecinały posterunki legii. Kilkadziesiąt metrów za stanowiskiem celnika i żołnierzy wznosiła się wysoka statua. Postać wykonano z czarnego, a płaszcz spadający w wymyślnych fałdach z jej ramion ze skrzyżnego się różnymi barwami obsydianu. W wyciągniętej, przeraźliwie chudej ręce postać dzierżyła latarnię, w której tkwiła brązowa bryłka.

Po drugiej stronie Krum, na placu położonym kilkaset metrów za końcową rogatką, w dni targowe roilo się od sprzedawców i kupujących. Adams uważał, że targowisko celowo urządzono tak daleko, aby urzędnicy mogli dwukrotnie ściągać myto.

Z jakichś powodów częste kontakty z Pięknooką przestały przeszkadzać Hrabbanowi i jego synom. Za to zaczęły się półuśmiechy.

Pracy u Hrabana było dość. Sporą część niemałego domostwa zajmował młyn: rząd czterech kamiennych żaren obracanych przez niewolników. Obecnie stały beczynnie, czekając na nowe zbiory, tylko czasem obracało się jedno z nich. Mąka została dawno odebrana przez właścicieli, a jej reszta – młynarzowa zapłata – stała w piwnicy. Teraz rolnicy zwozili świeże ziarno, które musiało najpierw przeschnąć. Pięknooka opowiadała, jak w zimie młyn hurgotał całymi dniami, a niewolnicy mdleli z wyczerpania. Zamożny Hrabban wynajmował wtedy ich od sąsiadów. Kosztowało to mniej niż kupienie kilku na własność.

Pięknookiej polecono zrobić zakupy. Adams miał jej towarzyszyć. Gorgonij odmierzył kilka miar mąki. Z namaszczeniem nabierał ją do garnuszka w kształcie roześmianej głowy. Następnie uchylał klapkę glinianych ust, by mąka sypała się do płóciennego woreczka. Trzy takie worki Adams nałożył na dwukołowy wózek, do którego sam siebie zaprzął. Brakowało tylko zwyczajowej łapówki dla strażnika.

Na posterunku przywitano Pięknooką jak starą znajomą.

– *Na, Hinate. Piękna Hinate.* – Żołnierze mówili inną gwarą, chociaż słowa były zrozumiałe. Przepuścili ich bez sprawdzania. – *Kiedy Pachom przyjedzie? Pachom teha oficijer.* Prawie jak *sotnik Durubbaal.* *Na, Hinate, idź.* – Żołnierz odsunął się z przejścia.

Za Pięknooką podreptał Adams, ciągnąc wózek po bazaltowych płytach drogi. Przyjrzał się mijanej postaci na cokole. Był to poprawnie wyrzeźbiony półkościotrup, z zaznaczonymi wnętrznościami, ścięgniami, niektórymi warstwami mięśni oraz oczami z białych kamyków. Jak woskowy model człowieka rozebranego z zewnętrznych warstw mięśni.

– To jest Pan Czuwający?

– Oczywiście, że nie. To jest Latarnik. Codziennie żołnierze wymieniają *próczywo* w jego lampie – cierpliwie wyjaśniła. Przywykła do jego prostych pytań.

– Co? *Próczywo?*

– No tak, magazyn światła w lampie Latarnika. Za dnia się ładuje, w nocy świeci.

Adams widział już tu kiedyś morze. Nie było widoczne z domostwa Hrabana, gdyż zasłaniały je inne domy, ale już z sąsiednich uliczek ukazywała się równa, roziskrzona powierzchnia, pod gęstymi, szarymi chmurami.

Do Krum prowadził jeszcze długi odcinek pustego terenu. Trawa, rozrzucone śmieci i rzadkie krzaki. Na wózku tylko trzy nieduże worki. Można przysiąc w jakimś miejscu osłoniętym krzakami od drogi.

– Nigdy nie byłem na brzegu morza. Zejdziemy na plażę?

– Nigdy w życiu nie byłeś, Hemfrii?

– Nie na brzegu tego morza.

– Jako Płucodych byłeś kiedyś rybakiem.

– Dokładnie pamiętasz Płucodycha?

– Tak – urwała i spuściła głowę.

– To co z tym brzegiem?

– Tędy – wskazała miejsce dogodniejsze do zjazdu.

Poszło nieoczekiwanie ciężko. Kółka utykały w dołkach. Pokrzywy owijały się wokół osi. Adams kosił bujne chabazie, wrywał zakleszczone zielsko. Wypłowiła koszula, którą dostał za podartą w czasie bicia, lepiła się od potu. Spodnie miał jeszcze własne, chociaż łąta na łącie. Zabłocił trzewiki, pokrzywy poparzyły mu dłonie. W dół poszło łatwiej, choć zbocze skarpy też było zachwaszczone.

Wreszcie zjechali na wąską plażę z czarnego żwiru; przy zaroślach leżało nieco grubszych kamyków. Morze było zupełnie spokojne. Ospale docierające do brzegu drobne fale podobne były do gęstej brei. Woda cuchnęła. Zapach przypominał smród mułu i wodorostów, którym przesiąkają wszystkie owoce morza, ale zmieszany z trupim odorem. Może jakaś padlina leżała w krzakach?

Usiedli. Chmury miały niemal jednolity, ponury, szary odcień, a tu i ówdzie jaśniejsze żyłkowania na powierzchni.

„Piękne niebo”, pomyślał. „Niby jednolita, kamienna powierzchnia”. Uśmiechnął się: przecież z takiej odległości żadnych żyłkowań żadnego kamienia nie byłoby widać.

– No, już dość. Napatrzyłeś się.

– Niezwykłe jest to niebo: jak monolit.

– Pieczęć.

– Co?

– Na takie niebo mówimy *Pieczęć Sylwestra*. Ale rzadko widać je właśnie tak. Najczęściej są chmury. Dzisiaj jest czysta *Pieczęć Sylwestra*.

– A to nie są chmury?

– No, chyba trochę też – zgodziła się grzecznie. – Ale zwykle snują się niskie opary.

– Co jest za tym morzem?

– Za morzem? A cóż może być za morzem? Nikt stamtąd nie przyjechał i nikt się tam nie wybiera. Zresztą daleko by nie odpłynął... – Zachichotała.

– Nikt nie próbował?

– Próbował...? – Jego naiwność ubawiła ją. – Przecież Pan Czuwający nie pozwoliłby na to.

– Pan Czuwający tutaj włada?

– Tak, ale nie całkiem... Uniósł brwi w zdziwieniu.

– Powiem ci wierszyk, jeśli nikomu go nie powtórzysz.

– Dobrze.

Objęła go za szyję i przyłożyła usta do ucha. Zamknął ją w ramionach, aż się roześmiała:

– No, słuchaj! – Poczul jej ciepły oddech. *Władcy dwakroć zmierzył Jan czas spętania skrycie. Gerbert pieczęć nań nałożył, Król zaś ją ponowił.*

– Sporo tych pieczęci – powiedział.

– Sza. – Położyła palec na ustach. – Za ten wierszyk jest dwanaście syceli grzywny.

– Skąd go znasz?

– Taka wyliczanka. Wszystkie dzieci to znają. Spróbował dalej ją wypytywać.

– Ludzie umierają – powiedział.

Jej oczy rozszerzyły się, a czał się w nich ironiczny uśmiezek.

– Mhm. – Pokiwała głową z udaną powagą.

– To gdzie idą zmarli po śmierci?

– Idą Drogą Trupa. Tak twierdzą Hrabban i Pachom. Ale chyba nie mają racji, bo zmarli są na cmentarzu.

– No tak, na cmentarzu – przytaknął. Uznał, że jej zrozumienie spraw ostatecznych równa się rozumowaniu dziecka.

– Jedzą i piją. Z niektórymi z nich można porozmawiać.

– Czy ja też mógłbym?

– Pewnie. Zabiorę cię jutro.

Wyciągnięcie wózka na skarpe po stratowanych zaroślach poszło łatwiej, niż myślał. Musieli przejechać prawie całą miejscowość i użerać się na rogatkach, za to ceny na targu pod wieczór spadły. Za jeden worek mąki wypełnili cały kosz wózka drobnymi rybkami. Za drugi dostali kilka okazałych głowonogów.

Wracali, gdy już zmierzchało. Droga opustoszała.

Nagle rozległ się przejmujący, głęboki jęk. Renata instynktownie przypadła do niego.

– Uaaa...! Uaaa...! – wycie wyrywało się jakby z głębi udręczonej duszy. Niesamowita, niehumanitarna skarga.

– Ach...! – Zaśmiała się. – Ależ mnie przestraszył. Jęki nie cichły.

– Kto? – Adams też czuł się nieswojo.

– Latarnik wzywa wszystkich do powrotu, bo dzień się kończy. Krum powinno już spać.

– Niełatwo wykonać dźwięczący posąg – powiedział.

– To *kobuk* jęczy. Co wieczór.

Zmilczał jej niezrozumiałą uwagę. Wieczorem wiała bryza od morza. Adams uznał, że stały kierunek wiatru ułatwił zaprojektowanie mechanizmu.

W garści Latarnika jarzył się zielonkawy ognek.

– Co to jest *próczywo*?

– Hevrensz przyniósł je do Krum z Drogi Trupa... Rozjaśniało drogę, którą wędrowali umarli.

– My też jesteśmy umarli, skoro nam przyświeca?

– No, skądże, Hemfrii. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Teraz przyświeca żywym. *Kobuk* dba, by

nie zgasło przypadkiem.

Również w powrotnej drodze nie było kłopotów z posterunkiem. Żołnierze po służbie zeszedli się na rogate. Podpici, grzali się przy ogniskach, łupali w *astragale*. Zaaferowani sprzeczkami, nie zwrócili na nikogo uwagi. Jedyne podoficer skinął głową, by przeszli.

Kupione rybki przełożono do kadzi, w której miały kruszeć przez parę miesięcy. W tym czasie sfermentują, zmieniając się w brązową masę, w której plątać się będą zmacerowane skórki i miękkie szkielety. Masa nabierze ostrego, zaprawionego goryczką smaku i będzie zawierała alkohol. Niektórzy, jak Symmachs, przepadali za tym. Gdyby nie okropny fetor, ta potrawa miałaby więcej amatorów.

Na cmentarz wybrał się z Renatą dopiero dwa dni później. Dostał do niesienia kosz z chlebem, parę kawałków wędzonej ryby i dzbanek.

– Po co to wszystko?

– Dla zmarłych.

Pierwszy posterunek przepuścił ich przy akompaniamencie zwykłych żartów. Inne też nie robiły trudności. Minęli straganiarzy, wreszcie ostatnią rogatkę. Dalej wzdłuż drogi stały małe ni to budyneczki, ni to pomniki, okazałe kamienne skrzynie z wąskimi szparkami otworów. Cmentarz Dolnego Miasta. Na niektórych grobach wykuto inskrypcje, na innych wizerunki trupich czaszek z rogami lub skrzydlatych kościotrupów. Bogatsze miały rzeźbione fryzy, niektóre przyozdobiono pilastrami.

Wreszcie zatrzymali się przy skrzyni z jasnoszarego kamienia, ozdobionej wystającymi łapami z pazurami. Renata mocno zapukała kijkiem, przykładając ucho do szpary.

– Babciu Wytha?!

Jeszcze raz energicznie zapukała.

Z wnętrza skrzyni doszedł słaby jęk. Na kolejne wezwanie powtórzył się głośniejszy, ale nieludzki, jakby zwierz zawył.

– Babciu Wytha, przyszło jadło. Znów podobny odgłos.

– Tam jest studnia. Przynieś dzban wody.

Adams posłusznie podreptał, a Renata wsunęła kilka bochenków chleba w otwór. Następnie do szpary obok wlała wodę, napełniając pojemnik wewnątrz grobowca.

– Chcesz rybę, babciu Wytha?

– Głośniejszy jęk.

– Nie jest zbyt słona. Hemfriiu przyniesie ci dość wody.

Dwa kawałki ryby powędrowały za plackami. Wlała jeszcze dwa dzbany. Znów zastukała w ścianę.

– Idziemy, babciu Wytha. Cieszę się, że jeszcze nie poszłaś. Trzymaj się, babciu Wytha. Teraz tu. Do tego grobu – powiedziała do niego. – Tu leżą nasi zmarli niewolnicy. – Wskazała na prostokątne pudło pozbawione ozdób.

Renata znów zastukała kijem.

– Bruno! Prokop! To ja, Renata.

– Bruno śpi.

– Obudź go, Prokop.

– Bruno śpi, panienko.

– Nie słyszałam Brunona od tygodnia. Adala też nie.

– Śpi.

– Uważaj, Prokop, jeśli go będziesz jadł, pamięć po tobie zostanie ukarana. Już lepiej, żebyś odszedł w Drogę.

– Jestem głodny.

– Przyniosłam dość chleba dla was obu.

Adams kilkakrotnie obrócił z pełnym dzbanem. Renata wrzuciła do środka resztę przyniesionych chlebów i ryby.

– Weź jeszcze dzbanek wody dla innych. Nasze groby są blisko studni, dlatego ze zmarłymi rozmawiamy dłużej niż inni. Nie odchodzą tak szybko.

Renata stukała kijem w kolejne groby i jeśli odpowiadał jakiś jęk czy głos, Adams wlewał w odpowiedni otwór nieco wody, a potem znowu szedł ku studni.

– Głodzicie ich na śmierć?

– Skądże. Nasi mają dość jedzenia i picia, ale w końcu nie wytrzymują w zamknięciu i odchodzą Drogą Trupa. Wcześniej zapuszczają się w korytarz i wracają; docierają coraz dalej i widzą więcej. Niektórzy do końca nie chcą tam pójść, ale większość z nich decyduje się na to.

– Z grobu wychodzi jakiś korytarz?

– Pewnie. Z każdego.

Udali się w głąb nekropolii. Chciała mu pokazać, jak daleko ciągnie się cmentarz.

Trafili na grupkę odzianych w skórzane kubraki *behmetim*. Nosili oficjalny tytuł: „Usta Pana z

Morza”, ale nikt tak na nich nie mówił. Otoczyli otwartą komorę. Między nimi stała młoda kobieta, ładna, wysoka, o spracowanych, dużych dłoniach.

– Znam ją. To Linda. Próbuje grać o wolność – szepnęła. – Podejźmy.

Dziewczyna była spokojna. Uważnie patrzyła na ręce urzędnika przesuwające trzy czarne żetony. Miała rozpuszczone, jasne włosy i lekko nadąsany wyraz twarzy. Gdy w jej piwnych oczach zaświecił promień słońca, stawały się wręcz miodowe.

– Grać o wolność?

– Renata skinęła głową.

– A co może przegrać?

– Człowieczeństwo.

Obok *behetim* stało trzech uradowanych mężczyzn w lichych szatach.

– Oni już wygrali? – spytał Adams.

Ręce urzędnika biegały, błyskawicznie mieszając żetony.

– Biała wygrywa, czarna przegrywa. Wolność jest biała. Grasz o jej dziesiątą część.

Nagle żetony znieruchomiały.

Linda wskazała jeden z nich. Biały od spodu.

– Brawo, Lindo. Wygrałaś dziesiątą część wolności. Jesteś w dziesiątej części wolną kobietą. Pan Czekaający zapłaci sownie twojemu właścicielowi.

Ręce *beheteta* rozpoczęły magiczny taniec.

– Lindo, czy grasz o piątą część wolności? To będzie razem już trzy dziesiąte.

– No, Linda...! Linda...! – zachęcali ją szczęśliwcy.

Oczy Lindy wlepione były w dłonie urzędnika, który kilka razy pokazał spód białego żetonu, aby go starannie zmieszać z innymi. Nie dość starannie dla Lindy. Pokazała bezbłędnie.

– Lindo, jesteś już w trzech dziesiątych wolna – oznajmił urzędnik. – Od góry czy od dołu? – zażartował protekcyjnie.

Jego dłonie znów zręcznie biegały.

– Czy chcesz być wolna w większym stopniu? Jeszcze raz trafisz. O następne trzy dziesiąte części wolności.

Linda jak zaczarowana wpatrywała się w biegające żetony.

– Ten. – Zdecydowanie wskazała palcem. Był czarny od spodu.

– Trzy dziesiąte odjąć trzy dziesiąte – zawyrokował *behmet*. – Jesteś znowu tylko niewolnicą. A gdybyś wybrała na trzy dziesiąte swoje łono, właściciel nie mógłby cię tykać. Tyle już miałaś wolności.

Oczy Lindy szkliście błyszcząły, twarz pokraśniała. Ręce *behmeta* zręcznie przemieszczały żetony.

– Twoja ostatnia szansa, Lindo. Czwarta gra. Możesz uzyskać wszystko albo stracić wszystko. Cała wolność albo całe człowieczeństwo. Możesz odejść stąd jako wolna kobieta. Ostatnia gra, ostatnia szansa na poprawę losu, Lindo.

Ręce urzędnika migają, hipnotyzując spojrzenie Lindy.

– Ten, ten – powiedziała, wskazując palcem żeton. Był czarny.

– Ale... ale...

– Przegrałaś, Lindo. Utraciłaś swoje człowieczeństwo.

– Coś takiego, jako pierwsza dzisiaj – zatroskał się jeden z wyzwoleńców.

– Wczoraj też wszyscy wygrali – dodał drugi.

Linda stała poblądła, tylko parę łez zaperliło się na jej rzęsach.

Behmet wypisywał świadectwa uwolnienia dla zwycięzców. Odbierali je rozradowani. Wreszcie zwrócił się do niej:

– Czy wyrzekasz się swojego człowieczeństwa, Lindo?

Milczała.

– Lepiej sama powiedz, bo i tak wyrwiemy ci to z gardła – sucho rzucił drugi.

– Wyrzekam się swojego człowieczeństwa.

– Jesteś zmarła, Lindo – wyrzekł formułkę. Coś starannie notował. – Zostaw swoje ubranie, bo szata należy do twojego właściciela i zostanie mu zwrócona.

Można ją było teraz dokładnie obejrzeć: ładna dziewczyna o prostych nogach i nieco za małych piersiach.

– Teraz wejdź do krypty, Lindo.

Gdy usiadła wewnątrz kamiennego pudła, ośmiu mężczyzn, *behmetim* i wyzwoleńców, zgodnym wysiłkiem zasunęło ciężką, zgrzytającą na łożyskach kamienną ścianę. Poskładali narzędzia, rejestry i protokoły, spakowali szaty Lindy i odeszli w jednej grupie.

– Znałam ją. Mieszkała w zagrodzie pod lasem. Przyniosę dla niej chleb, gdy znowu tu przyjdziemy.

– Czy ja też mógłbym wygrać wolność?

– Lepiej nie próbuj.

– Nie chcę być niewolnikiem.

– Nie zachowujesz się jak niewolnik. Myślę, że nikt jeszcze nie wygrał wolności.

– A ci szczęśliwcy?

– To podstawieni aktorzy. Chyba widziałam ich kiedyś w strojach *behmetim*.

– Więc po co to zrobili?

– Grobowiec nie powinien zbyt długo pozostawać pusty. Schnie i gorzej przyjmuje następnych zmarłych. Może gminny grobowiec pusty był zbyt długo?

– Chociaż powiedz, jak można ukarać pamięć.

– Wrzucają wtedy do studni nakrytej ludzką twarzą. Stamtąd nie wiedzie żaden korytarz. Zaprowadziłabym cię tam, ale boję się kary.

– Chyba widziałem taką jedną – skinał głową.

Obrzmiałą twarz Hrabana zwykle rosił pot. Kiedyś był przystojny, zanim jego rysy skundliły się od przeżarcia i uciech. Dawno już minął pięćdziesiątkę. Niepotrzebne zmarszczki, drugi podbródek i czarne kropki wągrów na mięsistym nosie szpeciły jego oblicze. Gawędziarz Marcupij często opowiadał, że Hraban sypia nie tylko z Rokką, ale i z Lottą, i Adalą. Żona, Raachill, już poszła w odstawkę. Mówił to jednak takim tonem, cmokał i ubarwiał takimi gestami, że Adams nie dał mu wiary. Nadstawiał jednak ucha, kiedy Marcupij obgadywał Renatę. Według niego, jedynie ona pozostawała nietknięta, chociaż nie była córką Hrabana, a ledwie siostrzenicą Raachill, córką wdowy Szoszannah. Upatrzył ją sobie *sotnik* Drubbaal, dowódca wszystkich wojsk. Linia frontu przechodziła niedaleko od Krum, granią zamykającą Ciemną Dolinę, ale chociaż obecnie był spokojniejszy okres, Drubbaal ani razu nie pojawił się tu z wizytą. Pod Drubbaalem służył Pachom, najstarszy syn Hrabana,znaczony na następcę mienia i kobiet. O nim Marcupij wspominał z wielkim szacunkiem. Pachom różnił się od swych młodszych, ociężałych braci. Był odważnym i inteligentnym mężczyzną, zdolnym pokierować całym gospodarstwem, a ojcu zapewnić spokojną starość. Aby Pachomowi nie stała się krzywda, Pięknooka cieszyła się nietykalnością – dziewictwo można zawsze sprawdzić. Gospodarz musiał żywić ją wyłącznie za jej pracę, bez widoków na inne korzyści – co było szczególnie przykre z uwagi na zjawiskową urodę służki.

Adamsa przeniesiono z siana w szopie na ciepłą, drewnianą podłogę przy zakręcie korytarza na parterze. Dostał wyprawioną skórę, którą rozkładał do snu. Wbrew pozorom nie był to awans, gdyż zarówno Ingyara, jak i Marcupija też umieszczono na korytarzu.

Obecnie Symmachs i Illation wdrażali nowego niewolnika. Codziennie z szopy dochodziły wrzaski i lamenty nieszczęśnika obijanego deskami. Można było podziwiać regularność, z jaką obaj synowie gospodarza wywiązywali się ze swojego obowiązku. Hraban nic za niewolnika nie zapłacił. To Pachom odbił go z transportu i podesłał z Linii.

„Ja byłem w lepszej sytuacji, jego nie odwiedza żadna z panien...”, pomyślał Adams. Nie było to jednak prawdą, co jakiś czas bowiem córki gospodarza zachodziły do stodoły i wiadrami zimnej wody splukiwały przyuczane.

Po dwóch tygodniach regularnego bicia nastął etap hurgotania obręczą na drucie. Niewolnik pilnie wnosił wiadro ze swoimi odchodami. Zgrzyt zardzewiałej obręczy irytował wszystkich.

Adams nauczył się toczyć na kole garncarskim; zastąpił przy tej robocie Adalę. Pretekstem było, żeby nie niszczyła sobie dłoni, w rzeczywistości chciał opanować tę umiejętność. Uważał, że potrafiłby wyrabiać piękniejsze dzbany, niż to robiły obie dziewczyny. Jeszcze w zeszłym tygodniu Lotta zachwycała się przyniesionymi właśnie z targu topornymi skorupami.

Ktoś lekko szturchnął go w plecy.

– Podskocz, chodź! Nauczmy posłuchu Nowego! – Gorgonij uśmiechnął się do Adamsa. – No, zbieraj się. Będzie trochę zabawy!

Adams wytarł ręce w fartuch. Gorgonijowi nie wypadało odmówić, kiedy postanowił dopuścić

do komitywy.

Nowy właśnie dźwigał swoje wiaderko. Był suchy i pogarbiony, twarz miał czarniawą, jakby zapadniętą w sobie. Wodniste, podkrążone oczy łypały krzywo. Kości jarzmowe nierówne, naznaczone pokoleniami nie dojadających przodków. Szedł, garbiąc się, pokurczony. „Chyba jest mojego wzrostu”, zauważył Adams. Gorgonij podbiegł i z całej siły palnął Nowego pięścią w plecy. Adams stał nieruchomo. Nowy ruszył kłusem, by jak najszybciej wylać swój cuchnący ładunek. Gorgonij podstawił mu nogę i wywrócił w błoto.

– Ty śmierdziuchu! Ty zasańcu! – wrzasnął z pogardą. – Zabieraj swoje gówna do tego dołu!

Nowy, uwijając się na czworakach, zaczął w pośpiechu garściami zbierać swoje odchody. Gorgonij wybuchnął śmiechem.

– No, już! Śpiesz się! Szybciej! Szybciej! – ponaglał krzątającego się nieszczęśnika.

Adams przyglądał się scenie w milczeniu. Nowy rzucał spode łba przerażone spojrzenia.

Wiadro wypełniło się mieszaniną błota, przypadkowych śmieci i nieczystości. Zgarbiony niewolnik kłusem podbiegł do gnojownika i wylał tam zawartość.

Gorgonij mocnymi ciosami kulałów pogonił go z powrotem do stodoły.

– Za co, paniczku? Dlaczego te razy? Przecież szybko pozbierałem – powiedział Nowy, usiłując pokracznymi susami umknąć prześladowcy. Mówił zaskakująco poprawnie, używając słów zwykle obcych niewolnikom.

Gorgonij przyłożył mu jeszcze parę razy w plecy i po krzyżach. Gdy ofiara znikła za wrotami stodoły, poprawił odzienie.

– Nie oberwie, nie będzie słuchał – powiedział. – Tyś mu nie przyłożył, to nie będzie cię szanował. Zobaczysz!

Adams uświadomił sobie, że słowa Nowego były skierowane właśnie do niego, nie do Gorgonija. Może nie bronił się, bo myślał, że zajście obserwuje jeden z właścicieli, a mocarny niewolnik tylko wykonuje jego polecenia.

Renata wyniosła sobie szycie do światła, na ławkę przed domem. Adams reperował drzwi do chałupy, które wczoraj rozbił kopniakiem pijany Hrabban, wracając do domu. Renata przycupnęła na progu i przypatrywała się jego robocie. Stolarka niekoniecznie jest łatwiejsza od historii cywilizacji, ale Adams zadowolająco radził sobie z jednym i z drugim. Przerwał i wziął się do łatania dziur w skórze, na której sypiał. Przez te dziury kości odgniatyły się na drewnianej podłodze. Usiadł na schodach, jak najbliżej Renaty.

– Fajnie było tam na plaży: na niebie *Pieczeń Sylwestra*. Dzisiaj wszystko jest zachmurzone.

– Dzisiaj jest zbyt późno i za zimno. Jeśli chcesz, możesz ze mną jutro pójść na cmentarz – powiedziała, spuszczać oczy.

Mógł teraz ocenić długość jej gęstych rzęs.

– Zanieść im pożywienie?

– Nie. Mam pomóc Sylwii w przewiezieniu siostry do doliny Mehz Khinnom.

Sylwia była przyjaciółką Renaty. Mieszkała dwa domostwa dalej przy drodze. Gospodarstwo jej rodziców było znacznie uboższe niż zagroda młynarza Hrabbana.

– Nie pomoże ci Lotta ani Adala...?

– Tam trzeba kogoś silnego.

– A Symmachs?

– Chcesz, żeby Symmachs z nami poszedł? – Potrafiła puszczać w jednej chwili niezwykle powłóczyście spojrzenia, matowe jak aksamit, a już w następnej jej oczy rozbłyskiwały jakby wewnętrznym blaskiem. Teraz było to spojrzenie tego drugiego rodzaju.

– Pewnie, że nie chcę – droczyć się, byłoby głupotą.

– Wózek nie będzie ciężki. Niewiele tam tego zostało.

– Nie byłem jeszcze w Mehz Khinnom.

– To nie jest dobre miejsce – zasępiła się. – Dlatego chcę... chciałabym, żebyś ze mną poszedł.

Zerknął na jej zgarbione plecy.

– Pali się tam niegasnący płomień. Jest bardzo gorąco.

– Skały topnieją?

– Nie aż tak.

– Myślałem, że to ogień z głębin ziemi... – Może tędy przechodzi żyła wulkaniczna, którą spotkał w korytarzach.

– Też z ziemi, ale w Mehz Khinnom zawsze coś płonie.

– Renata, ty darmozjadzie! – dobiegł krzyk Raachill. – Gdzie się chowasz?! Krowy nie wyprowadzone, kury leżą do sąsiada!

Dziewczyna odłożyła robotę i pobiegła na podwórze. Gniew gospodyni mógł mieć przykre następstwa. Adams odnosił wrażenie, że Raachill traktowała Renatę szczególnie surowo.

Adala usiadła zaraz na wygrzonym miejscu kuzynki. Na włosy narzuciła chustkę.

– O czym tak ciągle rozprawiasz z Renatą?

– Idziemy do Mehz Khinnom.

– Z Gracją?

Adams jej nie zaciekawiał, bo zebrała się i rzuciła na odchodne: – Strasznie się guzdrasz z tymi drzwiami.

– Chcę to zrobić porządnie.

– Eee... Tata znowu je rozwali – rzuciła przez ramię.

Dzień później Renata kazała Adamsowi wziąć dwukołowy wózek gospodarski i umieścić na nim skrzynkę po owocach. Sylwia już czekała przy gościńcu. Była chudą, przygarbioną, niepozorną dziewczyną. Niedowidzącą tak, że potykała się na drodze. Miała szkła powiązane sznurkiem, ale nie używała ich poza domem. Dziewczyny szły zatopione w rozmowie, a niewolnik włókł się za nimi.

Na cmentarzu już czekało dwóch *behmetim* i paru niewolników. Stało tam też kilka grupek ludzi z dwukołowymi wózkami. Urzędnik coś sprawdzał w swoich papierach, potem kredą oznaczył parę grobów. To wokół nich gromadzili się przybyli. Niewolnicy odsuwali kamienne płyty grobowców jedną po drugiej. Coś układali, przenosili.

Wreszcie nadeszła kolej Sylwii.

– Gracja, córka Geddbaala – odczytał *behmet*.

– Tak.

Skinął dłonią niewolnikom. Płyta opierała się wysiłkom wynędzniałych mężczyzn, ale wreszcie z jękliwym hurgotem uległa.

W środku nawet nie cuchnęło. Otwory wentylacyjne nadziemnego gminnego grobowca wystarczyły w zupełności. Gracja, zmarła dwa lata temu siostra Sylwii, nie odeszła w Drogę Trupa. Jej szkielet leżał w nie zbutwiałym truchle. Towarzyszący *behmetowi* niewolnik zebrał jej piszczele i ułożył w zwykłej skrzynce na owoce. Na czaszce zachowały się jeszcze włosy, chociaż teraz miały szarosiwy kolor. Niewolnik uniósł za nie czaszkę; urwała się żuchwa. Wtedy Sylwia rozplakała się w głos. Dotąd tylko pojedyncze łzy ściekały jej z oczu równym ściegiem. Renata przytuliła ją mocno, ale ona wyswobodziła się z jej uścisku i jak zaczarowana wpatrywała w szczątki siostry. Niewolnik uniósł truchło, wytrzepując zmieszane żebra i kręgi, następnie z rękawów wysupłał kości ramieniowe. Wszystkie szczątki ułożył w skrzynce. Na końcu starannie wytarł truchłem dno grobowca i przykrył nim kości.

– Należy się czternaście syceli za dwuletnie przechowywanie zwłok – powiedział *behmet*.

Sylwia wysupłała żadaną kwotę. *Behmet* coś odnotował w dokumentach.

– Proszę tu podpisać albo odcisnąć pieczęć.

Oczywiście nie wolno jej było podpisywać żadnych dokumentów. Pochuchała starannie i odcisnęła na dokumencie dużą pieczęć swojego ojca. Propozycja podpisu była podstępem, gdyż po formalnym sprawdzeniu Sylwię ukarano by grzywną.

Kilku zwłok brakowało i rodziny nie musiały zapłacić za przechowywanie. Adams ciekawie zerknął w tajemniczy, mroczny korytarzyk, wiodący w głąb ziemi. Widać było parę pierwszych stopni. Robotnicy zasuwali boczną płytę gminnego grobowca. Jeszcze nie kończyli roboty, jeszcze czekało parę grup ludzi.

Renata otoczyła Sylwię ramieniem, a za nimi podreptał Adams, ciągnąc wózek ze szczątkami Gracji, jej ukochanej siostry, cichej dziewczyny, którą dwa lata temu powalił atak ślepej kiszki. Bitą drogą do Mehz Khinnom zaczynała się zaraz za ostatnimi zabudowaniami miasta. Wiodła najpierw gęstymi zaroślami, potem rachitycznym lasem wzdłuż potoku, na którego brzegach walały się gnijące odpadki. Nieuczciwi mieszkańcy pozostawiali tu śmieci, aby nie wieźć ich aż do doliny. Było to surowo karane, ale przecież *behmetim* nie mogli być wszędzie.

Droga była nierówna, Adams przytrzymał kości Gracji podskakujące na wybojach, aby nie rozsypały się. Skrzynka na owoce nie była dobrym pomysłem, bo przez otwory w jej bocznych ściankach wypadały drobne kostki, a nawet kręgi ogonowe.

Zrobiło się gorąco, chociaż niebo było zachmurzone. W zaduchu buczały okazałe lazurowo-brzuche muszyska, a wokół głowy wirowały kąsające boleśnie maleńkie komary.

– Będzie burza – rzucił.

Sylwia odwróciła głowę i zauważyła, że Adams akurat walczy, aby resztki Gracji nie wypadły na drogę. Zaczekała na niego i odtąd sama przytrzymała zawartość skrzynki.

– Nie zmokniemy – powiedziała Renata. – W dolinie nie powinno padać.

Droga zakosami wspinała się na próg doliny. Gdzieś zginął potok. Wreszcie podejście skończyło się, było łatwiej toczyć wóz; odór też przestał dokuczać, bo jeśli ktoś dowlóknął swoje śmieci dotąd, to już ciągnął je aż do przepisanego miejsca.

Odsłoniła się długa, pusta polana pozbawiona roślinności. Także zbocza wzgórz otaczających Mehz Khinnom były jałowe: tylko szarobrunatna ziemia czy drobny żwir.

Kłębiły się tak gęste chmury, że w dolinie panował szary półmrok. Rozświetlał go jedynie rząd wielkich ognisk na polanie, jakby płonący potok. Droga wiodła z boczem, nieco nad dnem doliny, nad wielkim płomieniskiem. Opodal dwaj mężczyźni ścigali z wózka potwornie wzdęte ścierwo krowy. Z wysiłkiem wlekli je ku ogniovi. Wreszcie zepchnęli cielsko w płomień. Ten przygasł na chwilę, jakby nie godząc się na nową strawę, zasyczał, puścił kłęby czarnego, smrodliwego dymu, ale wreszcie z trzaskiem wystrzelił okazałym pióropuszem.

Na skraju ogniska leżały nie dopalone resztki: kilka owczych racic, kłęb cuchnących wnętrzności, dalej kupa liści tkniętych zarazą upraw. Adamsowi wydawało się, że w ogniu widzi tańczące zwłoki ludzkie. Z jednych płomieni zlizywał ciało, inne tylko omiatał. Ale to tylko wyobraźnia podsuwała takie obrazy.

Gęsty, gryzący, słodkawy dym leniwie snuł się w dolinie.

– Nie tu. Jeszcze nie tu – powiedziała Sylwia.

– Pewnie, że nie. Tutaj pali się padłe zwierzęta. My podejźmy wyżej – przytaknęła Renata.

Płomienisko ciągnęło się nieoczekiwanie daleko. Ogień nie palił się równomiernie, lecz nasilał i słabł, pulsował. „Czy trupy zwierząt gospodarskich albo zgniłe rośliny wystarczą do podtrzymania takiego płomienia? Tu musi być jakaś żyła lawy albo wypływ gazu”.

– O tu, tu – wskazała Renata. – Wyżej nie trzeba.

– Jak to zrobić? Od razu całą skrzynkę?

– Kiedy byłam mała i odwoziłam tu moją mamę, rzucałam kości po jednej, żeby doleciały. Kiedy Hrabban odwiózł tu mojego braciszka, też robił tak samo.

Sylwia zamyśliła się.

– No, już – powiedziała Renata – bo się błyska.

Sylwia pokiwała głową, wybrała szerniały piszczel, pocałowała go i posłała w ogień. Za słabo rzucona kość wylądowała na stromym trawniku. Adams zszedł w pobliże płomienia po piszczel. Bijący żar palił twarz. Przynajmniej trawa sucha jak wiór nie groziła poślizgnięciem.

– Rzucaj mocniej. Nie chcę spłonąć żywcem.

– Płomień Chciwości ci nie grozi. Czego nie rozpałiłeś, ciebie nie spali – powiedziała Renata.

Następne kości Sylwia ciskała z całej siły. Każdą pocałowała, ale nie było to już intymne pożegnanie siostry, gdyż jednocześnie myślała, aby rzut się udał. Małe i lekkie kości trudno było dorzucić do płomienia, Adams nie musiał jednak drugi raz schodzić w pobliże żaru. Na koniec Sylwia ciasno zrolowała truchło Gracji i z rozmachem miotnęła w płomień. Widać było, jak zawiniątko rozwija się, a języki ognia biorą je w posiadanie.

– Niepotrzebnie spaliłaś jej suknię – powiedziała Renata. – Była w dobrym stanie. Mogła się jeszcze przydać.

– To była suknia Gracji. Nie chciałam, żeby w niej pochowano kogoś innego.

Chwilę patrzyła w ogień, potem razem zebrali się w drogę powrotną. Wózek był niewiele lżejszy, ale w dół poszło łatwiej.

– Ależ było chmur w tej dolinie – powiedział Adams, gdy pożegnali już Sylwię. – Cień taki głęboki. Może z tego powodu rośliny nie rosną na jej zboczach.

– Tam zawsze jest ciemno. Jej imię to znaczy.

– Tylko płomień ją rozjaśnia. Skoro mi tamten nie groził, to który mi zagraża...?

– Myślę, że Płomień Niezgody. Ale tamten zapłonął, gdy byłeś już dość daleko. Nie dałabym ci się wtedy zbliżyć.

– Ile ich jest, tych różnych płomieni...?

– Cztery – wyjaśniała cierpliwie. – One rozpalają się nawzajem. Dlatego wszyscy skończą w tych płomieniach, w Mehz Khinnom albo na Drodze Trupa.

– Ale Hrabban ma własny grobowiec.

– To nie ma znaczenia. Przepis mówi, że każdego, kto sam nie chce odejść w Drogę Trupa, pochłoną płomienie Mehz Khinnom w dwa lata i trzydzieści dni po zgonie. Nie liczy się, czy ktoś ma własny grobowiec, czy korzysta z gminnego. Nie można dopuścić do zarazy.

– Przecież kości Gracji nie stałyby się przyczyną zarazy. Po dwóch latach nic na nich nie pozostało.

– Może, ale zawsze tak robiono. Władca tak ustanowił.

– Jak się nazywa władca tej krainy?

– Ma swoje imię. Ale nie należy go wymawiać. Mówi się na niego Pan z Morza albo Pan Czuwający.

Wyjazd na zakupy był pretekstem, żeby posiedzieć nad cuchnącymi falami. Renata niemal wymusiła zakup oliwy tylko dlatego, że nad głowami znów szarzała wolna od oparu mgieł, pokryta delikatnymi żyłkowaniem, intrygująca *Pieczęć Sylwestra*. Pamiętała, że Adams lubi taką pogodę.

Zmaltretowana roślinność nie zdążyła się odrodzić: tu i tam leżały pozrywane liście, sterczały połamane łodygi, ale Renata wypatrzyła dogodny zjazd na plażę. Jak mogli tego nie zauważyć poprzednio? Zarósł kolczastymi krzakami i zielskiem, jednak nie dość gęstym, by nie dało się przejechać dwukołowym wózkiem. Plażą wrócili na swoje stare miejsce, niewidoczne z drogi.

Adams wyciągnął się z rękami pod głowę.

– Pierwszy raz w życiu jesteś niewolnikiem?

– Zgadłś.

– Szybko się wykup.

– Jak to zrobić?

– Musisz zapłacić Hrabbanowi swoją wartość.

– Ile?

– Nie wiem. Spytaj go sam.

– Nie chcę oberwać.

– Jak kto inny spyta, to Hrabban poda twoją wartość.

– Ty?

– Może ja. – Zaczęła się śmiać. – Wtedy będziesz musiał mi być posłuszny.

– I tak jestem.

– No tak, ale wtedy Symmachs nie mógłby cię tknąć.

– Czasem mam ochotę mu przyłożyć.

– Lepiej nie rób tego. Wybije ci zęby. Przestaniesz być *bellvekhi*.

– A ty przestaniesz zabierać mnie na zakupy?

Zamilkła.

Adams zauważył, że horyzont nie tworzy prostej linii. W kilku miejscach dojrzał jakby

wzniesienia. Wyspy? Samotne skały sterczące z głębin? Tak daleko ciągną się przybrzeżne płycizny?

Renata zdjęła chustkę. Odwróciło to uwagę Adamsa od horyzontu. Miała ciemno-miodowe włosy przewiązane szarą opaską. Rozplatała ją, poruszyła głową, a włosy opadły na ramiona. Rozsypały się w złocistą burzę. Właściwie pierwszy raz je zobaczył, wcześniej mógł się ich jedynie domyślać na podstawie kosmyków uciekających spod chustki. A były właśnie takie, jak sobie wymarzył.

Patrzyła mu w oczy, a w spojrzeniu perlił się uśmiech. Wzrok Adamsa musiał wyrażać wszystko, bo Renata ruchem głowy jeszcze raz rozrzuciła włosy i przeczesała je dłońmi.

Spojrzała w górę raz i drugi, tak aby niebo przejrzało się w jej oczach, i wybuchnęła śmiechem. Nie mogła zbyt długo grać, zachowując powagę. Doskonale wiedziała, kiedy wygląda najpiękniej.

On też się roześmiał. Jej gra była zbyt czytelna.

Renata jednak rozsuptała pas i rozsunęła poły szaty. Tej nowej grze trudno się było przeciwstawić. Oczy zaświeciły się mu jak kotu. Ona jednak pokręciła przecząco głową. Całkiem zdjęła szatę, pozostając w białej, sięgającej do pół łydki, tunice. Złożyła błękitną tkaninę w kosteczkę.

„Przecież ona ma zbyt szerokie ramiona...”, pomyślał.

– Będiesz się kąpać?

– Kąpać się w morzu? Tylko choroby można by dostać od takiej kąpieli.

Zaraz schyliła się i sięgnęła po poły tuniki, podciągając ją wysoko i zsuwając przez głowę. Pod spodem nie była naga. Miała na sobie metalową, obszytą płótnem i skórą obręcz na biodrach, połączoną od dołu z szerokim paskiem schodzącym między nogi, a od góry z szerokimi szelkami, rozchodzącymi się w solidnie zabudowany stanik. Renata niknęła w pancernym odzieniu: pas był jakby za obszerny, pozwalając dojrzeć sporo pod spodem, gdy się schylała, a za luźne szelki podnosiły się na jej brzuchu.

– Mam pełny *strój dziewicy* – powiedziała z dumą. – Mój własny.

– Drubbaal zmusił cię, żeby go założyć?

– Co ma do tego Drubbaal...? Przecież w Krum jest wojsko. Musiałabym zwariować, żeby wyjść z domu bez zabezpieczenia.

– Ale w tym można się chyba odparzyć?

– Gdzie? – Przejechała paluszkami pod pasem na biodrach. – Nie, nigdy jeszcze mi się nic nie odparzyło.

– Zawsze go nosisz?

– Zawsze poza domem, a w domu też na wieczór, kiedy Hrabban za dużo pije. Na wypadek, gdyby zapomniał o Drubbaalu... – Roześmiała się.

Usiadła obok niego na złożonej w kostkę szacie. Przechodzący przez krok metalowy pas nie zasłaniał całkiem trójkąta ciemnych włosków pokrywających jej łono. Nie zwracała na to uwagi, miała przecież na sobie zabezpieczenie.

– Wzięłaś kluczyk do tego *pasa*?

– Tutaj? Oszalałeś? A jak któryś z żołnierzy ma na pieńku z Drubbaalem i będzie chciał się zemścić?

– To jak się załatwiasz?

– Przecież nie oddalam się na długo od domu. Spojrzał na nią zaciekawiony.

– Myślisz o poniewierce? No, gdyby trzeba było opuścić dom na długo, tak? – upewniła się.

Skinął głową.

– Tak, wtedy byłoby to nieprzyjemne. Ale są w nim dziurki... – Znowu się śmiała.

Cała konstrukcja trzymała się na niej luźno, przesuając nieco w różne strony. Wyglądała podniecająco, kiedy wysuwały się spod pasów to brzegi porośniętego włoskami łona, to fragmenty piersi. Przesuwała palcami pod paskami, najczęściej na piersiach, i w pasie, widać tam jednak skóra, mimo miękkiego płótna okrywającego rusztowanie, mogła się łatwiej odparzyć. Dzień był ciepły, prawie upalny, nad wodą było duszno. Adams też miał ochotę zrzucić kubrak.

– Ciepło tutaj – powiedział i lekko rozsunał poły szaty.

– Chcesz być traktowany jak niewolnik czy jak wolny?! – nieoczekiwanie podniosła głos.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Mnie wolno, tobie nie! Przecież nie masz nic pod spodem.

– Mam bieliznę.

– Nie masz *skorupy*. Dlatego Symmachs z Illationem zrobili z ciebie niewolnika.

– Dlatego?

– Tak. Chcieli cię wykastrować, bo nie miałeś *skorupy* na sobie. Planowali cię na eunucha do pilnowania Adali i mnie.

– Coś takiego!

– A tak. Skoro masz takie zwyczaje, że wędrujesz bez *skorupy*. – Wzruszyła ramionami. – Nie znosili Engilu, a mieli okazję się zemścić.

– Co mnie uratowało?

– Raczej: kto. Lotta zauważyła, że masz prawie wszystkie zęby. Rozdziawiła twoje zakrwawione wargi i przeliczyła je. Przekonała Hrabana, że jesteś młody i zdrowy, więc można cię będzie niezłe sprzedać. Eunuch nie osiągnie wysokiej ceny.

– Jak można zdobyć *skorupę*?

– Kupić u płatnerza. Takie są najlepsze. Zwykły kowal robi gorszą.

– Ale nie mam pieniędzy. Na dodatek nic nie zarabiam.

– Mógłbyś sprzedawać dzbanki i koszyki.

Spodobał mu się pomysł samodzielnego zarobkowania. Ale jak zdobyć materiał...? Adams przesunął dłonie pod głowę.

– Wiedziałem, że to jest *strój dziewicy*. Adala mi mówiła.

– Adala pokazała ci swój *pas*?! Ależ ona nie ma do niego szelek i nosi piersi na wierzchu! Adala już pokazała ci swoje piersi?! Ta cholerna żmija, Adala! Nie żmija, to jaszczurka, jaszczureczka o aksamitnej skórze i szmaragdowych oczkach jak szlachetne kamyki, tak?! I o foremnych, zadartych piersiaczkach, tak?!

– Nie pokazała mi piersi, powiedziała, że nosi tylko *pas*, bo Hrabban nie chce jej kupić całego stroju.

– *Pas* można zedrzeć przez biodra, raniąc skórę. Nie jest wystarczającym zabezpieczeniem. – Wydeła wargi. – *Pas* Adali już nie ma czego chronić. Nie nosiła go w domu...

Adams spojrzał na nią poważnie.

– Ty jesteś jedynym mężczyzną, któremu się pokazałam w tym stroju.

– To kto ci go kupił?

– No, przecież ty.

– Jakżeż ja?

– Wodogłów, Engilu o Strasznej Twarzy. Machnął ręką.

– Ech, ty znowu o tym samym...

– Jeśli nie jesteś Engilu, to jesteś drugi, który mnie w tym widział. Engilu nauczył mnie zakładać *strój*.

– Ale szelki niczego nie trzymają – zauważył Adams. – Unoszą się, podwijają.

– Bo je sama dorobiłam. Wiesz, wyrosłam za wysoka. Ten *strój* był przeznaczony dla znacznie niższej dziewczicy i... sporo szerszej w biodrach.

– Zauważyłam.

– Musiałam go przerobić. Ucięłam oryginalne szelki, a stanik połączyłam z pasem innymi. Myślę, że trudno to zauważyć.

– Ja zauważyłam.

Spojrzała na niego tak jakoś dziwnie i ciepło, jakby chciała powiedzieć: „Dość przedstawienia”, wstała i naciągnęła tunikę.

– Pora kupić ten olej, zanim ostatni sprzedawcy zabiorą się do domów – powiedziała.

Starannie drapowała zwoje szaty. Adams znów spojrzał na morze. Ostre iglice czy wzniesienia na horyzoncie były jakby większe.

– Widzisz te wyniosłości w oddali? – wskazał palcem. Nie był pewien swojego wzroku.

– Pan Czuwający przybywa – powiedziała. – Trzeba wszystkich ostrzec, żeby godnie go przyjęli.

Przybycie Pana z Morza nie było już nowiną. Zbliżający się obiekt przypominał gigantyczny okręt o wielu wieżach, wzniesionych w równych odstępach. Po trzech dniach morze miało inny zapach. Nieznośnie cuchnęło ścierwem. W następnym dniu zmieniło kolor na żółty. Poziom wody wolno się podnosił; morze pochłonęło pas czarnej plaży, weszło w nabrzeżne zarośla. Zbliżyło się do zabudowań Krum.

Kadłub Pana z Morza oszałamiał rozmiarami, ciągnął się wzdłuż całego wybrzeża. Jeszcze zbyt daleki, by dostrzec załogę na pokładzie. Burta podzielona była na sekcje, z których jedne kulminowały w strzelistych wieżach, inne kończyły się rozgałęzionymi masztami czy antenami. Uderzała nieregularność struktury, nierówne płyty (może blachy?) wieńczące burty. Widać było, że zetknie się z lądem na cyplu, gdzie stała twierdza Krum. Tam na blankach krzatali się żołnierze; całe połączenie muru przykrywano płótnem; transporty znikwały w paszczy trupiej czaszki z kamienia. Hrabban dwoił się i troił.

– Zabić deskami wszystkie okna. Uszczelnić słomą drzwi – wydawał fachowe polecenia.

Zabezpieczano siano w stodole i zapas mąki w spichlerzu. Dom zmieniał się w ciemny bunkier. Niby cieszą się na tę wizytę. Miała zapewnić urodzaj i dostatek na długi czas. A tu nagle takie środki zapobiegawcze...

Zabiegany gospodarz stał się dziś bardziej przystępny niż zwykle, Adams podzielił się z nim obawami.

– Zależy jak długo potrwa jego wizyta. Krótka to same dobrodziejstwa, przekonasz się, Podskocz. Długa często kończy się epidemią. Ale wszystko zależy od tego, czy wyjdą czerwce. – Hrabban pokiwał głową. – To jest cholera, plaga. Wielu umrze z ich powodu.

Adams musiał mieć nietęgą minę, bo gospodarz go pocieszył:

– Ale nie zawsze czerwce wychodzą.

Należało zgromadzić jak najwięcej wody. Była już we wszystkich dzbanach i naczyniach; w łaźni wypełnili czystą wodą cały basen.

– Gorgonij! – rozkazał Hrabban. – Weź Podskocza i Nowego i opróżnijcie gnojownik, nie cały, ale do połowy.

Wiadrami przenosili cuchnącą maź z niższego zbiornika do wyższego. Gdy już sporo ubyło i nie można było sięgnąć wiadrem na kiju, nowy niewolnik, Kuczer, zszedł do dołu i zanurzył się po pas w gnoju. Podawał pełne wiadra na górę.

– Ty, popatrz! – Kuczer wskazał niewielkie drzwiczki wylaniające się nad poziom gnoju. Były zablokowane belką.

Gorgonij wezwał gospodarza.

– Wybierać, aż całe się odsłonią, potem je otworzycie – powiedział Hrabban.

Wraz z dolnym brzegiem drzwiczek pokazała się gliniasta grobla. Niewolnicy ułożyli na niej łatę. Drzwi prowadziły do stemplowanego belkami, ciasnego korytarzyka, który kończył się niewielką ziemianką.

Zaczęło mżyć żółtawą, cuchnącą mazią.

– Trzeba się pośpieszyć – powiedział Hrabban. – Ty, Nowy, zostaniesz w domu. I tak się już utaplałeś w gnoju. Kiedy wejdziemy do środka, zablokujesz te drzwi, spuścisz wrotka i gnój znowu wypełni zbiornik. Potem zamknij się w domu i za nic nie wychodź, póki nie przestanie padać.

Kuczer nie potrafił stać prosto w obecności właściciela. Garbił się ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Cuchnął bardziej niż smród ciągnący od morza.

Hrabban skrzywił się.

– Ale taki brudny nie wejdiesz mi na pokoje. Marcupij!

Stary posłusznie przydreptał.

– Trzy albo cztery wiadra. Zaczerpnij i wylej na Nowego. Aż go umyjesz do czysta. Ale biegiem!

Reszta domowników weszła do schronu. Illation prowadził kobiety. Każda z nich ścisnęła pod pachą szkatułkę. Po kobietach wszedł Hrabban, pochód wolnych kończył Symmachs.

– Deska! Rzucić ją na stertę. No, już! – rozkazał.

– Jak przejdziemy? – spytał Adams w imieniu niewolników.

– Grobla zostaje – burknął Symmachs. – Jak spadniesz, to sobie zębów nie wybijesz! – Zarechotał.

Gorgonij, a po nim Ingyar i Adams zniknęli w korytarzu. Dołączył do nich Marcupij, który zamknął drzwiczki.

Kuczer zabarykadował je od zewnątrz. Miał trochę satysfakcji, że właściciele są bardziej uwięzieni niż on sam, a po chwili spuścił na nich falę gnoju. Deszcz zgnilizny gęstniał. Od wybrzeża dochodziły odgłosy cichych detonacji. Nawet przez głowę nie przeszło Kuczerowi, żeby spróbować ucieczki. Staranność przygotowań do wizyty władcy przekonała go, że to dom będzie najlepszym schronieniem.

W ziemiance świecili tylko przez krótki czas – otwory wentylacyjne były mało wydajne. Mimo zabezpieczeń i chociaż Marcupij uszczelnił drzwi szmatami, w ciasnej klitce śmierdziało. Korytarz wznosił się ponad poziom gnojownika. Zatopienie im nie groziło.

Hrabban przeliczył wszystkich.

– Gdzie Eluwa? – rzucił.

Adams nie lubił nieprzyjemnego, złośliwego gówniarza, który go tutaj powitał jako pierwszy.

– Nie zdążył wrócić z Mehz Khinnom – powiedziała Rokka. Mały zawiózł tam ścierwo padłej krowy.

– Żeby tylko nie wrócił za wcześnie.

By oszczędzać powietrze, ułożyli się na deskach podłogi. Mimo obfitości czarnych futer od ziemi ciągnęło chłodem i wilgocią. Mieli tak czekać, aż Hrabban da znak, że można wyjść. Po jednej stronie zgromadzili się wolni, po drugiej niewolnicy. Adamsowi wypadło leżeć między Rokką i Gorgonijem.

– Kiedy wyjdziemy? – spytał szeptem.

– Pan wie – odpowiedziała.

Illation zaczął głośno chrapać. Brat uciszył go kuksańcem. Adams nie mógł zasnąć. Wydawało się mu, że wśród westchnień kobiet poznaje przyspieszony oddech Renaty.

Znów byli na plaży, Renata odciągała palcami szelki *stroju*, aby widać było jak najwięcej, ale zaraz potem on leżał ze skrępowanymi rękami twarzą do czarnego piasku. Pan z Morza postawił mu sandał na głowie. „Renata właśnie pojechała do Ciemnej Doliny. Przez ciebie, bo spojrzaleś na nią, kiedy nie było wolno”, powiedział. „Nie zobaczysz jej już nigdy” Coraz mocniej przyciskał głowę Adamsa. „Dla Drubbaala, nie dla ciebie!” Pan z Morza coraz mocniej wdeptywał twarz Adamsa w piasek, ostre ziarna raniły skórę. Brakowało tchu.

Adams szarpnął się gwałtownie. Nabrał powietrza, wydobył się spod ciężaru śpiącego Gorgonija, który miażdżył go olbrzymim barkiem.

– Jęczałeś przez sen – powiedział spokojnie Hrabban. Inni spali.

– Śnił mi się Pan z Morza – powiedział Adams.

– Jako kobieta?

– Nie jako kobieta. Wdeptywał mi twarz w piasek.

– Po co miałby męczyć się wdeptywaniem twojej twarzy...?

– Starłby cię w proch, gdyby chciał.

– To Gorgonij mnie przycisnął.

– Ucieszy się, że wziął go za Pana z Morza.

– Panie, jak rozpoznać koniec wizyty naszego władcy?

– Inaczej śmierdzi. Poza tym on tak samo długo przy pływa, co odpływa. Zmierzyłem czas zbliżania się.

– Ale przecież nie czekaliśmy, aż zakotwiczy przy brzegu.

– Żółty deszcz to znak, że już zakotwiczył.

– Kiedy ciecz sięgnie zagrody?

– Bystry jesteś, Podskocz.

Adams zamilkł. Nie spodziewał się wiele dobrego. Znowu miał za długi język.

– Potrafiłbyś sobie poradzić z rachunkami?

– Za mąkę?

– Nie tylko. Za mąkę, za ryby, za sprawunki. Ściąganie należności od rolników.

Było zbyt cicho. Kilka osób przysłuchiwało się tej rozmowie. Ubyło równych oddechów śpiących.

– Myślę, że tak. Nie ma wiele do liczenia.

– To spróbujesz. Gorgonij wyjaśni ci, jak to się robi.

– Gorgonij radzi sobie z dłużnikami. Jest silniejszy.

– Nie masz go zastąpić, tylko mu pomagać. Będziecie to robili razem. Dobrze, że Lotta rozdziawiła twoją gębę...

Dawno umilkł ciężki, równomierny oddech Gorgonija. Już wiedział, że trzeba będzie dzielić pierwsze miejsce w hierarchii.

– Jak, panie, poznałeś przebieg wizyt Pana z Morza? Jak mierzyłeś ich fazy? – Adams zmienił niewygodny temat. Poniewczasie pomyślał, że akurat te pytania mogą obrazić gospodarza. Przecież jak wszyscy krył się w mysiej dziurze.

– Byłem kiedyś Szczurem. Z grani dobrze widać wybrzeże. Dość czasu na obserwacje.

– Co będzie, jak wyjdą czerwie?

– Lepiej nie wiedzieć. – Hrabban ułożył się do snu. Czerwie nie wyszły.

Po pewnym czasie zmienił się rodzaj fetoru. Cuchnęło gliwiejącym serem. Hrabban obracał klepsydrę, przyświecając sobie suchym drewnienkiem, rozpalanym od żarzącej się hubki. Wreszcie zarządził opuszczenie kryjówki. Z ziemianki wiódł dalej ciasny korytarzyk, który zaraz zadzierał pionowo do góry. Ruszyli nim, a potem po krótkiej drabinie do klapy, którą wyważył Gorgonij. Sypnęło ziemią. Do korytarza wtargnęło światło pogodnego popołudnia, a na głowy kapnęło nieco cuchnącej cieczy.

Ciekawski Gorgonij pierwszy wychylił głowę.

– Ale żółto – powiedział. – Ale smród!

Pozostali wspinali się za nim. Znaleźli się na trawniku za stodołą. Całe gospodarstwo, budynki i placyk, pokrywała gruba warstwa żółtej brei, cuchnącej zgnilizną lub gliwiejącym serem. Na progu domu siedział niedbale Kuczer i pił z kubka. Widok domowników go zaskoczył, schował kubek za siebie. Szczelnie zamknięty w zacienionym domostwie, słyszał potępieńcze wrzaski, jęki zabijanych, myślał więc, że jego dręczyciele przepadli. Smrodliwy deszcz skończył się wczoraj, a oni wciąż nie wracali.

Mimo gotowości do wykonywania poleceń wszystkich swoich panów nie był w stanie zebrać się z miejsca. Wodził mętłym wzrokiem wokoło.

– Mam ochotę mu przyłożyć! – mruknął Gorgonij. – Chłał się tutaj na świeżym powietrzu, a my musieliśmy gnić w smrodzie pod ziemią.

– Że się odważył tyle wypić... – zauważył Adams.

– Włamał się do piwnicy – powiedział Hrabban. – Gorgonij, wymierz mu dwadzieścia batów, ale tak, żeby skóra nie pękła i żeby mu czego nie złamać.

Gorgonij ochoczo złapał Kuczera za kołnierz.

– Trzeba zebrać całą martwinę. Ile wejdzie, wrzucić do gnojowników – powiedział Hrabban. – Na resztę wykopiecie dół za stodołą, jak okaże się, że trzeba, to i drugi. Będzie z tego wartościowy nawóz.

– Deszcz by to sam spłukał – mruknął Adams.

– Lepiej, żeby teraz nie padało. Martwina skaziłaby studnie i spaliła uprawy. A dojrzała użyźni nasze pole.

Kuczer z blaszanym kółkiem na szyi znowu uganiał po podwórku. W parę dni zebrali całą cuchnącą masę. Podeschła, formując galaretkę, którą dało się kroić łopatą. Najtrudniej było oczyścić dachy. Wyjście z ziemianki zasłonięto na nowo klapą z desek, następnie przysypano ziemią. Hrabban kazał uciąć darni i zasłonić otwór. Trawa się przyjmie i skryje wyjście.

Z sąsiednich gospodarstw dochodziły odgłosy krzątania. Zapobiegliwi mieszkańcy Krum przyjmowali dziwny, cuchnący dar swojego władcy. Zużywano dużo wody: do mycia murów, do czyszczenia, do zmywania resztek martwiny. Przepis zabraniał używania studni przez tydzień od zakończenia wizyty. Pitną wodę przywozili ze źródła w lesie wysoko na zboczu górskim. Adams ciągnął wózek załadowany dzbanami, a towarzysząca mu Renata dźwigała po dwa wiadra na nosidłach. Sama wyznaczyła go do pomocy.

– W ziemiance śniłem, że jesteśmy na plaży.

– To mógł być znak. Warto tam iść.

– To weź mnie na zakupy...

Pretekst nietrudno było wymyślić, gdyż gospodarzom nakazano dwa razy w tygodniu dostarczać wózek ze źródlaną wodą dla warowni. Adams podejrzewał, że nie zabezpieczono należycie studni w Krum i woda uległa skażeniu. Akurat dzisiaj wypadało zawieźć trybut dla warowni: trzy duże dzbany i dwa bukłaki z wodą. Oczywiście Hrabban dostarczał tę z domowej łaźni, a nie źródlaną. Adams załadował wózek.

Krum wyglądało brudno i ponuro. Trupia głowa posepnie szczyrzyła się do nadjeżdżających. Do czaszki twierdzą upodabniał nie przypadkowy układ murów, lecz zamysł architekta połączony z trudem rzeźbiarzy i sztukatorów. Wokoło twierdzy piętrzyły się przyzmy martwiny. Mury pokrywały żółte liszaje. Niewolnicy wozili taczkami serowatą masę. Inni zmywali ściany.

Wracając, zjechali nad brzeg morza. Poziom wody opadał. Odślaniały się kolejne metry czarnego, drobnego piasku, pokrytego czapami morskiej piany, zostawianej przez drobne fale uderzające o brzeg. Wzdłuż brzegu wiał mocny, chłodny wiatr. Wywiewał odór, dlatego chodzenie po plaży było przyjemnością. Piana nie opadała, woda zawierała zbyt wiele lepkiej treści organicznej. Kleiste bańki piany nie miały ochoty zsunąć się do wody, nie pękały, lecz pędzone wiatrem, sunęły wzdłuż brzegu, zostawiając za sobą śliskie ślady, jak idące ślimaki.

– Duchy poległych legionistów wracają do Krum. Na czas wizyty opuściły warownię, żeby swoją obecnością nie gniewać Pana Czuwającego.

Kolejna półksiężycowata niby-wydma jak żywe zwierzątko biegła po wilgotnym piasku.

– To naturalne zjawisko. Popatrz.

Oslonił nogą kłębek piany od wiatru. Ten zaczął dziwacznie podrygiwać w miejscu, niezdarnie

szarpać się na boki, miotany chaotycznymi podmuchami.

– Pozwól mu iść – powiedziała. – On chce tam wrócić. Wybrał inny. Spróbował staranniej go osłonić od powiewu. Udało się: czapka piany znieruchomiła.

– To naturalne zjawisko – powtórzył.

– Ten był zbyt słaby, żeby się zbuntować. Albo zauważył, że szybko się zniechęcasz, i zaczął, aż się znudzisz...

Gorzelnia, zamiast przerobić całą martwinę na kompost i wysypać na pola, skupiła ją, proponując dobrą cenę.

Z pola starannie zebrano opadłą warstwę, opróżniono dół na kompost. Udało się nawet sprzedać zawartość gnojownika za ćwierć ceny. Martwinę wozili kurs za kursem do warowni, gdzie mieściła się miejska gorzelnia. Z trupa też można pędzić spirytus. Tę wódkę mieszkańcy Dolnego Miasta będą pić przez najbliższe miesiące.

Nad twierdzą unosiła się chmura czarnego dymu z pieca gorzelnianego, dymił blaszany komin urządzenia destylacyjnego, sterczący ponad czerepem. Kiedy źle ustawiono temperaturę procesu, w twierdzy bardziej cuchnęło alkoholem niż trupem.

Adams wielokrotnie przekroczył wrota rozdziawionych ust. Przywiezione porcje ważono razem z wózkiem, następnie Adams zrzucił ładunek do przykrytego rzadką kratą otworu, a pusty wózek ponownie wtaczał na wagę. *Rachubiec* wyliczał należność i zapisywał w zeszycie oraz na kopii, którą trzymała Adala. Jaszczurka stale siedziała przy *rachubcu*, podobnie jak wiele wolnych dziewcząt, wyznaczonych przez swoich rodziców. Pod wieczór zajrzy Hrabban i zainkasuje należność. Dziewcząt było wiele, więc *rachubiec* nie oszukiwał. Każda próba zaniżenia należności wywoływała zgodny krzyk wydobywający się z kilkudziesięciu młodych gardeł.

Poziom morza wrócił do normy. Woda przestała cuchnąć, straciła żółtą barwę. Jedynie na plaży zostało nieco zaschniętych strzępów piany. Mocno przyklejone, nie były już w stanie wędrować. Duchy spóźniaków nie wrócą do twierdzy.

Wieczorem Hrabban podsumował zarobione pieniądze. Wprawdzie sporo z nich się rozejdzie, bo sprzedawcy ryb i oleju zawczasu podnieśli ceny, jednak nie psuło to dobrego humoru gospodarza. Sam wypił sporo i pozwolił napić się innym. Wszyscy zgromadzili się w dużej izbie na parterze domostwa. Kobiety raczyły się winem, mężczyźni destylatem. Nawet pogardzany Kuczer przycupnął pod ścianą gościnnej izby.

Adams miał świeżo w pamięci zamkową gorzelnię, ale uniknąć picia nie mógł – niewolnik nie odmawia.

Hrabban dźmierzył najwartościowszy w domostwie kubek z matowego, błękitnego szkła. Inni pili z glinianych. Drugi od pary szklany kubek pozostał w komodzie.

– Kiedy znowu uda się tak szybko zarobić? Gdyby można przewidzieć wizyty Pana z Morza – powiedziała Raachill.

– *Terofim* zawsze powie prawdę – podsunął Adams.

– W tym domu nie ma *terofim* – powiedziała z naciskiem Raachill. Rzuciła mu jedynie surowe spojrzenie szarych oczu, choć mogła kazać mu wyjść albo jednym słowem rozkazać, by go oćwiczono. Symmachs czekał na takie polecenie.

Zapadło niezręczne milczenie. Adala nalala ojcu z dzbanka. Obeszła wszystkich, uzupełniając mężczyznom wódkę w kubkach. Rozmowa zesła na inny temat.

– Nigdy nie próbuj pytać *terofim* – szepnęła Renata. – To jest złe – siedziała obok niego, ale dotąd milczała.

– Dlaczego nie pochwalasz *terofim*? Widziałem, jak *terofim* przepowiada przyszłość.

– Jasne, że przepowiada. W *terofim* jest człowiek. Dlatego przepowiada.

– Był człowiek. To spreparowana główka niemowlęcia.

– Zarówno w *terofim*, jak i w *manu* siedzi *kobuk*, dusza uwięziona. Dusza właśnie tego dziecka, którego to była głowa albo ręka. Nie wiesz tego?

– Nie.

– Siedzi i cierpi. Cierpi, kiedy *manu* się zgina, bo *kobuk* musi się zgiąć z nią. Kiedy usta *terofim* się otwierają, *kobuk* musi w sobie zrobić otwór. *Kobuk* męczy się, gdyż zmuszony jest ujawniać przyszłość, a tego mu nie wolno.

– Nie dość, że zamordowany przez ojca, to jeszcze uwięziony w przedmiocie. Podły los syna pierworodnego.

– *Kobuk* marzy, żeby pójść Drogą Trupa.

– Marne marzenia.

– Byle uciec, byle przestać tkwić w przedmiocie.

– Trzeba to rozłamać, żeby go wypuścić? Potrzaskać na kawałki?

– Ach nie, wtedy rozerwiesz, potrzaskasz na kawałki jego duszę. To ból stokroć większy, niż gdyby ciało szarpano na strzępy.

– To jak mu pomóc? Zostawić?

– Obracając się w pył, też będzie cierpiał. Cząstki jego duszy zaczną się odrywać, unoszone wiatrem.

– Nie ma dla niego pomocy?

– Spalić. Ogień oczyszcza, uwalnia. Będzie cierpiał, płonąc, ale to krótka męka, nie wieki ani lata, ani nawet miesiące.

– A *truchol*, a *byngoro*, a *myłoro*?

Symmachs z Lotta wymienili spojrzenia.

– To nic przy *terofim* – Renata machnęła ręką. – Jaką duszę może mieć kura czy ryba?

– A włosy?

– Co włosy? Jak się strzygę, to duszy mi nie ubywa – nadała się. Pomyślała, że z niej żartuje.

Dziś nawet Kuczerowi pozwolono się napić. Ponuro spojrział na gliniany kubek, z którym przyszło mu się uporać, a następnie wychylił go jednym haustem. Wydał przy tym wstrętny dźwięk, coś pośredniego między skrzekiem i sykiem. Wytrzeł usta rękawem i popił samogon wodą. Powiódł wokół mętym wzrokiem. Jeden kubek wystarczył, by go upić.

– Chcesz drugi? – Żartowniś Marcupij szybko dolał mu repetę.

Dostrzegła to Renata. Jak furia zerwała się z miejsca i jednym ruchem wytrąciła mu kubek z ręki. Hara chlusnęła po ścianie. Skorupa łupnęła o deski podłogi.

– Dostyc! Jeden kubek wystarczy! Kuczer! Do stajni! Spać! – Jej oczy miały błyskawice.

„Cóż ją ugryzło...?”, pomyślał Adams.

Eluwa chorował od paru dni. Zranił rękę w Mehz Khinnom, a potem pomagał przerzucać martwinę. Przyplątało się zakażenie. Dzieciak miał gorączkę, bredził w malignie. Rokka chłodziła jego rozpalone czoło zimnymi kompresami. Adams przekonywał gospodarzy, że należy sprowadzić do niego lekarza.

– Wodogłów, przestań się wreszcie mądrzyć! – warknął Symmachs i wymierzył Adamsowi cios na odlew. Ten już umiał tak się uchylać, aby zminimalizować ból. Oczywiście, teatralnie jęknął. Nie do pomyslenia było, aby niewolnik oddał panu. Nawet panu niższej kategorii, jakim był ten syn właściciela.

– Chrzanisz bez sensu od paru dni – Symmachs nie ustawał. – Eluwa czymś się struł. To samo przechodzi. Jaki pożytek z tego pomiotu, skoro się wyleguje w łóżku!? Ty też weź się do roboty, w głowie ci tylko włączenie się z Renatą.

„Więc o to chodzi. Ciężkie czasy już blisko...”, pomyślał Adams. „Pewnie podsłuchał rozmowę z Hrabbanem. Dość mu jednego Gorgonija. Przynajmniej nie uderzył kolejny raz”.

Symmachs wiedział, że Adams naprawdę ani nie oberwał, ani się go nie bał.

– Byłem z nią w Ciemnej Dolinie, by zawieźć Grację. I parę razy z zakupami... – Adams udał głupiego przed Symmachsem. Nie miało to sensu, ten umiał grać znacznie lepiej.

– Skończy ci się to łożenie. – Pokryta bliznami gęba wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu. Bez wątplenia znał sto sposobów na obrzydzenie Adamsowi życia. Jednak teraz odszedł, zawieszając groźbę w powietrzu.

Renata obserwowała scenę, depcząc pedał kołowrotka. Na koniec posłała Adamsowi szelmowskie spojrzenie. Zaraz jednak spochmurniała, kiedy Raachill zaczęła ganić jakoś jej roboty.

– Symmachs zazdrości cudzego – powiedziała później, kiedy przypadkiem minęli się wieczorem w korytarzu. Niosła dzbanek z piwem dla Hrabbana, który wcześniej niż zwykle pożegnał kolegów. – Nigdy nie będę należeć do tej małpy.

– A do Drubbaala? – wyrwało się Adamsowi.

– Ph...! – parsknęła gniewnie jak kot i zniknęła w drzwiach.

Następnego dnia opatrunek Eluwy cuchnął jak dar Pana z Morza. Całe przedramię miało szary kolor, rana nabrzmiała, sączyła się z niej ciecz.

– Wodogłów chyba ma rację – tylko Lotta mogła to powiedzieć bez urażania Symmachsa. – Dużo wody we łbie i dlatego tyle rozumu. – Roześmiała się.

Symmachs spojrzał niechętnie.

– A ty masz tam wino. Od wina się we łbie mąci, pomysły nie przychodzą.

– Wolę wino niż wodę. Niech kombinuje Wodogłów, ja nie muszę. Ale jak się pomyli, to go rąbnę siekierą przez głowę, żeby przestał bredzić.

Oboje zarechotali.

– *Decyma* Pachoma stacjonuje na Mrocznej Przełęczy. Mają dobrego chirurga. Można go zaprosić – podsunęła.

– Wysłać Wodogłowa po niego?

– Nie zna drogi, jeszcze się zgubi.

– Sam się przejdę. Illationa mogą nie posłuchać...

Lotta pokiwała głową; jej uśmiech przerodził się w nieprzyjemny, nieruchomy grymas.

Wezwanie wojskowego chirurga z linii frontu do mało wartego niewolnika nie było zwykłą rzeczą. Adams wzdrygnął się. Co ta para kombinuje...?

Następnego dnia Renata pełła półko jęczmienia. Adams uporał się ze swoją robotą i przyszedł jej pomóc. Illation zwykle nie dręczył go dodatkowymi zajęciami.

– Symmachs poszedł po chirurga – powiedział.

Spojrzała na niego. Kosz z chwastami już był w połowie pełen.

– Dlaczego nalegał, żeby pójść osobiście...? Nie jest głupcem, za jakiego stara się uchodzić.

– Nie jest. Poszedł, żeby opowiedzieć o nas Drubbaalowi.

– Co powiedzieć?

– Ktoś musiał nas widzieć na plaży.

– Albo ja sam wygadałem przez sen.

– Sen to nie powód do zabijania.

– Śniłaś mi się w ziemiance. Hrabban powiedział, że mówiłem przez sen. Myślałem, że inni spali...

– Prawie wszyscy słyszeli, jak Hrabban zrobił cię nadzorcą. Symmachs na pewno też słyszał. Hrabban i tak późno zauważył, jak bardzo jesteś mądry.

– Co Symmachs myśli osiągnąć, mówiąc o nas?

– Pozbyć się ciebie. Ma nadzieję, że Drubbaal wścieknie się, przyjdzie sam i cię zabije.

– Co mam zrobić...?

– Ty?

Nie odpowiedział.

– Nic. A gdzie chcesz stąd uciec? – Schyliła się nad robotą, która z czasem pewnie pozbawi ją pięknej, wyprostowanej postawy.

Symmachs wrócił następnego wieczoru. Towarzyszył mu niski, krępy, barczysty mężczyzna o ponurym wejrzeniu borsuka. Był to Hjalmir, chirurg z *sotni* Drubbaala. Przybył w wybluszczonej zbroi legionowej: w hełmie z krótkim, gęstym jak szczota, czerwonym pióropuszem; napierśniku i nagolenicach oraz w przerzuconym przez ramię czerwonym płaszczu. Na wieczór przebrał się w zwyczajne, cywilne łachy, jednak przy pasie miał krótki pałasz, a o blat stołu oparł służbowy obrzyn. Adams nie mylił się: to pozbawiony kolby wojskowy karabin, model z czasów pierwszej wojny światowej. W zestawieniu z resztą uzbrojenia stanowił dziwny anachronizm. U żołnierzy garnizonu ani razu nie widział broni palnej. Skoro oddziały liniowe zaopatrują się w tak nowoczesną broń, to trzeba dotrzeć do źródła ich zaopatrzenia, a mogło nim być tylko jedno miejsce: współczesny Rzym.

Hrabban przyjął chirurga obfitym posiłkiem i napoił niezłym winem. Oczywiście nie najlepszym, nie tym z omszałego gąsiorka skrywanego w głębi piwnicy.

– Ciężko tam jest...? – zagaił.

Hjalmir spojrzał na niego z niemiłym rozbawieniem.

– Tak jak było – burknął łaskawie. – W zeszłym tygodniu ciąłem trzy nogi, dwie pod, jedną nad kolanem. Jednemu wyprali flaki, pozszywałem, co się dało, ale i tak umarł.

Adams został wyznaczony do usługiwania biesiadnikom. Widać Hrabban realistycznie ocenił wrażenie, jakie sprawiali obaj jego synowie. Stojąc w gotowości z dzbanem, Adams łowił uchem rozmowę.

– Tu w mieście ludzie stale myślą o wojnie. Nasłuchują wieści. Ze strachem wypatrują, czy wróg nie nadchodzi.

Adams nie odczuwał, że żyje w obleganym mieście. Było wiadomo, że toczy się wojna, że nad miastem wisi groźba, ale nie pamiętano o niej na co dzień. Żołnierze pilnujący rogatek przypominali raczej najeźdźców niż obrońców. Trudno mu było wyobrazić ich sobie jako dzielnych synów i braci kobiet, które tak obcesowo traktowali przy rutynowych kontrolach na posterunkach.

– W Dolnym Mieście ludzie bawią się dobrze, a tymczasem nasze chłopaki nadstawiają dupy.

– Sam mam syna w waszej *sotni*.

– Pewnie nie narzekacie, żeście się go pozbyli. W *sotni* nie ma ochotników – naciskał chirurg.

– Akurat trafiło na Pachoma. Mam jeszcze dwóch synów.

– Tamci głupszy od Pachoma...? – Hjalmir łypnął złośliwie na Adamsa. – Głupszy niż ten niewolnik, hę...?

Adams poczuł się nieswojo.

– Jak będzie trzeba, to Symmachs albo Illation zasilą *sotnię*.

– Mnie tam bez różnicy. To sprawa Drubbaala. Na razie nie potrzeba uzupełnień. Nasz dowódca traci niewielu żołnierzy. Potrzebowałyby raczej krzepkich tragarzy, może trochę *tarcz*. Ten tutaj wygląda na zdrowego i silnego, jak na swój wiek.

– Jak trzeba, to go możecie zabrać ze sobą. Je więcej, niż przynosi dochodu. – Wolał oddać dobrego niewolnika niż drugiego syna. Gorgonij mógł w końcu samodzielnie prowadzić rachunkowość. Do tej pory dawał sobie radę.

– Drubbaal nie rozkazał.

– Ale go oddam, jak będzie trzeba. – Hrabban kiwnął kielichem, trzymanym w masywnej łapie porośniętej rudą szczeciną, na znak, by mu dolać. Wychylił duszkiem jeden i drugi i zapatrzył się przed siebie.

– A wiesz, śmieciu, co Czarne robią ze złapanymi *tarczami*...? – Hjalmir zwrócił się wprost do Adamsa.

Oczywiście nie dostał odpowiedzi.

– Rozrywają na strzępy, na wąskie paseczki, potem żrą, żrą, a ich mlaskanie niesie się po dolinie.

Gospodarz wodził niewidzącym, mętłym spojrzeniem.

– A Stwory Mroku są jak wściekłe psy. – Hjalmir pociągnął wielki łyk, aż chlupnęło w gardle. – Dorwą cię za Linią i w mig odgryzą stopy, a ty będziesz się czołgał, wlokąc za sobą krwawiące kikuty.

Hrabban stuknął czaszką o blat stołu. Adams co chwilę dolewał Hjalmirowi. Niechże wojak wreszcie uśnie.

– Trzymaj się, śmieciu, chirurga Hjalмира, a nie pożałujesz. Nie trafisz do *tarcz*. – Nieoczekiwany przyływ sympatii nadszedł z falą wypitego alkoholu; jego ranny odpływ zabierze sympatię ze sobą. – Jak masz pewną i delikatną rękę, będziesz pomagał przy amputacjach. Ostatnio chlasnąłem pomocnikowi dwa palce... – Zachichotał.

Niedopity żołnierz był nieobliczalny. Należało jak najszybciej spić go do zwalki. Hrabbanowego wina ubywało w szybkim tempie.

– Pokaż rękę, śmieciu. Adams wycofał się pod ścianę.

– No, pokaż, śmieciu, łapę, bo ci utnę, a potem i tak obejrzę! – Hjalmir niezdarnie próbował dobyć pałasza.

Adams podsunął mu dłoń pod nos. Ostrożnie, jak dzikie zwierzę, gotów do odskoku. Hjalmir

przyglądał się, nie mogąc zogniskować wzroku.

– Trochę poraniona i są odciski – powiedział wreszcie. – Ale odciski świeże, a stawy ani nie rozdęte, ani usztywnione goścem. Po dwóch tygodniach będziesz najlepszym pomocnikiem chirurga, jakiego miała *sotnia* Drubbaala.

Puścił dłoń Adamsa. Przygarbił się.

– Niezwykła dłoń... wąskie palce – mruzczał. – Spracowane, zdarte, no, jasne... ale ty nie jesteś z niewolników, śmieciu... A może ciebie podesał Pan z Morza w sobie wiadomej misji...? Muszę cię ściągnąć na nowego pomocnika. Tylko jak przekonać *sotnika*, żeby cię nie ukatrupił... – mówił coraz ciszej i coraz mniej wyraźnie. Wreszcie miękkim, płynnym ruchem ułożył się do snu na blacie.

Broń Hjalmira wyglądała zdumiewająco. Była to strzelba lontowa, natomiast zamek odtylcowy oraz wszystkie elementy wyposażenia charakterystyczne dla karabinu wielostrzałowego okazały się tylko dekoracyjnymi detalami rzeźbiarskimi. Adams odłożył broń i zawołał Adalę i Lottę, żeby ułożyły ojca do snu. Przyszła tylko starsza z nich. Bez słowa pociągnęła potężny łyk wprost z dzbana. Wytarła usta i znowu przypięła się, pijąc duszkiem.

– Weź kubek.

– Nie warto. – Machnęła ręką. – Słuchaj, Wodogłów, ta twoja Pięknooka śpi jak zabita, zazdrosna zmija Adala też. Wszyscy śpią, jakby ich wymiotło. – Znowu wypięła sporą porcję.

– To nalej mi. – Podsunął jej kubek.

– Wolę takie gadanie. – Uśmiechnęła się.

Oboje czuli się jak złodzieje, podpijając wino Hrabana.

– Możesz przyjść do mnie – powiedziała. Jej twarz nabrzmiała od alkoholu. – Pięknooka ma tylko oczy takie niezwykle. Resztę ja mam ładniejszą. Przyjdiesz, wrócisz, zanim ktokolwiek zauważy.

– Ty jesteś skażona – rzuciła od progu Adala. – Dwóm twoim kalekim synkom Hrabban musiał rozbić główki o mur.

– Twoim też rozbije. Wszystkim, które będziesz z nim miała!

– Bierz lepiej starego pod pachy – zakomenderowała Lotta, zwlekając Hrabana z krzesła.

Chirurg miał przenocować w kuchni, więc tylko zepchnięto go z krzesła na rozłożone pledy.

Hjalmir zgramolił się z barłogu, kiedy gospodarstwo już tętniło codzienną krzątaniną. Adams przyniósł mu miednicę z wodą i ręcznik. Chirurg sapał, jęczał i kłął. Zamiast śniadania wypił dzbanek kawy z palonego zboża. Za domem zwymiotował do gnojownika. Struga przypadkiem zawadziła koguta. Wściekle gdacząc, mokre ptaszysko stroszyło pozlepiane pióra. Kury zaczęły dziobać z niego rzygowiny. „Perwersyjne pieszczoty...”, Hjalmir skrzywił się z obrzydzenia. Wrócił do kuchni. Głowa bolała, jakby chciało ją rozerwać.

– Jeszcze jeden – rozkazał.

Drugi dzbanek kawy zdołał już utrzymać w trzewiach. Kazał sobie polewać głowę zimną wodą.

– Dużo będzie tych zabiegów? – rzucił, wycierając twarz.

– No, Eluwa... Może przyjdzie ktoś od sąsiadów. Wiedzą o przybyciu chirurga.

– Który to jest Eluwa?

– Plujący Nosem.

Hjalmir skinął głową na znak, że sobie przypomina.

– Będiesz mi pomagał, potrzebuję pomocnika. Adams się wzdrygnął. Nie uszło to uwagi Hjalмира.

– Co...? Muszę sprawdzić, coś wart, zanim cię kupię. Myślisz, że zapomniałem wczorajszą rozmowę?

Adams w milczeniu odebrał wilgotny ręcznik.

– Wiem, ile są warte takie dłonie. To mogą być ręce chirurga. Przyuczysz się do pomocy, zbierzesz grosza, to i wykupisz ode mnie, a jak ja już będę stary, przejmiesz po mnie praktykę.

– Chyba to ja jestem starszy. Hjalmir przyjrzał się mu krytycznie.

– Ciało ludzkie to mapa dotychczasowego życia – powiedział. – Na twoim jest wyjątkowo mało zapisane.

– Zacząłem łysieć.

Hjalmir zmusił się, żeby powstać. Obejrzał czuprynę Adamsa. Przejechał dłonią po włosach, a następnie mocno pociągnął. Adams wrzasnął.

– Eee... – powiedział chirurg. – Mocne włosy jak u młodzieńca. Żebyś widział, jak szybko łysieję moi legionieści. Od hełmów wycierają się kudły. Wszy też nie masz. Te dziewczyny o to dbają? Córki Hrabana...?

Adams nie odezwał się.

– Uważaj, wielu się nie podoba, że niewolnik mąci w głowach pannom, jakby był wolnym mężczyzną.

– Nie odważyłbym się zawracać im w głowach.

– Taak... Wystarczy, że do nich gadasz. To nie jest gadanie tępego parobka. Takiego Symmachsa na ten przykład.

– Symmachs nie jest tępy.

– To akurat jest prawda. O mało nie przekonał Drubbaala, żeby dowódca przyszedł tu osobiście.

– Jestem dużo starszy od nich wszystkich. Hjalmir pokręcił przecząco głową.

– Zęby masz białe i mocne. – Zamyślił się. – Pokaż no te zęby. – Podniósł się z ławy. – Schył się. Rozdziaw tę gębę. Nie tak, do światła.

Oglądał zęby Adamsa jak końskie, próbował, czy się nie kiwają, czy dziąsła nie rozpulchnięte.

– Coś takiego. Nigdy czegoś takiego nie widziałem – powiedział wreszcie. – Ktoś lepił twoje zęby i ratował. W życiu nie widziałem takiej techniki. Potrafisz to sam robić?

– Nie.

– Żałuj. Zbiłbyś fortunę. Więcej niż za amputacje. Znowu obejrzał zęby Adamsa. – Myślę, że rzeczywiście jesteś tak stary, jak sam mówisz, ale zęby masz znakomicie polatane. Prawie na każdym jest twardy plaster. Miałeś dotąd dużo szczęścia w życiu, niewolniku, nie zostawiło na tobie zwykłych śladów. Jak dbasz, żeby ci zęby nie powypadały?

– Jem cebulę.

– Właśnie. Córki Hrabana cię rozpieszczają. Czasem brakuje cebuli nawet dla moich legionistów. Za Mroczną Przełęczą rośnie tylko trująca trawa. Dolej mi jeszcze tej waszej kawy. – Spojrzał badawczo na Adamsa. – Mam rację, nie jesteś zwykłym niewolnikiem – stwierdził. – Macie tu jakiś samogon?

– Edykt zabrania.

– Taa... To może być wódka z Krum. Teraz potrzebuję tylko szklanę, żeby ręce nie drżały.

Adams wrócił z napoczętym dzbankiem. Wprawdzie nikt nie miał odwagi obudzić Hrabana, ale Raachill pozwoliła naruszyć domowe zasoby.

– Co to są Czarne? – spytał Adams, gdy Hjalmir był już w połowie szklanki cuchnącego

kwasem trunku.

– Huh...! Truczna! – wytarł usta. – Nie widziałeś ich?

Adams pokiwał przecząco głową.

– Przecież połowa Krum śpi na ich skórach... A na każdej bramie będzie z dziesięć ich czaszek. Na waszej też.

– Tylko to widziałem, a nigdy żywego Czarnego.

– To się przerazisz za pierwszym razem. Jak wszyscy. Potem się przyzwyczaisz jak każdy żołnierz. Można z nimi walczyć, da się nawet odnosić zwycięstwa.

– Co jest dziwnego w ich wyglądzie? – Adams nie był pewien, czy nie pozwala sobie na nie przystojącą niewolnikowi natarczywość. Hjalmir jakoś tego nie zauważał. Może zaczął już szkolenie swojego pomocnika.

– Na ogół chodzą jak ludzie, ale niektóre biegają na czterech nogach i wcale im to nie przeszkadza w walce z nami. Żarłoczne pyski, czasem po dwa: jeden normalnie, a dodatkowy z tyłu albo w kroczu, albo na brzuchu. Niektóre mają rogi jak krowa lub baran, inne wcale nie mają rogów. To samo z ogonami: krótkie, długie, łuskowate, rozdwojone, owłosione albo bezwłose. Nie ma dwóch jednakowych Czarnych.

– To rozumne stwory?

– Cha...! Cha...! Cha...! – Wybuchnął tubalnym śmiechem Hjalmir. – Pewnie, że rozumne. Bestie zmyślne jak zaraza. Rozumniejsze niż niektórzy legionieści.

– Dlaczego nazywają ich Czarnymi...?

– Bo młode są zwykle porośnięte czarnym albo czerwonym futrem. A te nieliczne bezwłose mają matową, czarną skórę. Dorosłe są często wielobarwne, czasem całe pokryte łuską, ale przyjęło się na wszystkie mówić „Czarne”.

– A w środku są jak ludzie, panie?

– Flaki, bebechy...?

– Właśnie.

– Napatroszyłem się ich ścierwa, ale nie znalazłem dwóch jednakich. Niby mają żołądki czy wątroby, jak my, ale w innym kształcie albo po kilka. A na dodatek całą masę innych narządów. Są też takie, co mają w środku to, co my. Zgłodniałem. Przynieś coś.

Rokka przyniosła na rękach Eluwę. Chłopczyk był już zbyt słaby, by chodzić o własnych siłach. Nie majaczył, ale trawiła go gorączka: wzrok miał szklisty, czoło spocone. Hjalmir założył długi fartuch lekarski, czarny i sztywny od zaschłej krwi. Starannie pozapinał guziki za wyjątkiem dwóch na piersi. W dziurki od nich włożył kawałki nici chirurgicznych. Przygotowując się do pracy, promieniał energią. Twarz jego poczerwieniała od alkoholu, oczy nabiegły krwią. Adams założył czysty fartuch, w którym podawał do stołu.

– Wdziejże swoje najgorsze łachy, niewolniku – powiedział chirurg. – Żeby je później wyrzucić na śmieci.

– Słyszysz, Wodogłów? – warknął Symmachs, uradowany, że może pognać nienawistnika. – Nie niszczy mienia swojego pana. Zaraz się przebieraj!

Adams zdjął fartuch. Został w połatanym ubraniu codziennym.

– Weź te łachy, w których przerzucasz gnój – nakazał Symmachs.

Adams go zignorował.

– Wtedy Eluwa umrze na pewno – powiedział.

– Dziwactwo. – Hjalmir wzruszył ramionami.

– On wcześniej dziesięć minut mył ręce w wodzie z sodą – oskarżył go Symmachs. W jego oczach paliło się złośliwe zadowolenie.

– Po coś to robił?

– Tak trzeba.

– Tak uczył cię ten spec od klejenia zębów...?

– Powiedzmy.

– Mów „tak” albo „nie”, niewolniku.

– On też tak uczył.

– Mnie nie będzie uczył. Pół życia mi zeszło na krojeniu ludzi. Niektórzy dotąd mi za to dziękują. Posadźcie chłopaka na ławie. Przytrzymaj go – rzucił do Symmachsa.

Pozostali domownicy stali w izbie kręgiem, ciekawi pracy chirurga. Jedynie Hrabban odsypiał kaca, dawno już spisał Eluwę na straty. Wystarczył mu zapach z rany.

Ściągnęli małemu koszulę z grzbietu. Matka zdjęła mu opatrunek. Dłoń była szara, cuchnęła.

Hjalmir w kilku miejscach naciął nożem dłoń i przedramię małego, za każdym razem sprawdzając, czy wypływa krew. W łokciu czy w połowie przedramienia jeszcze tak; bliżej dłoni już nie. Nic nie mówił, przecierał palcem ostrze noża, zastanawiał się nad czymś.

– Co o tym sądzisz, niewolniku?

– To ty jesteś, panie, chirurgiem. Ja się na tym nie znam.

– Taak... Kto cię tam wie – burknął pod nosem. – Lepiej go położyć – powiedział głośniej. – Nie chcę, żeby się szarpał, jak go będę ciął.

Illation z Symmachsem rozciągnęli chłopca na stole. Symmachs trzymał za lewe ramię, Illation za stopy, a Adams, jako pomocnik, miał unieruchomić operowane ramię.

– Mocno trzymać – zakomenderował Hjalmir.

– Jasne. – Illation tym razem naprawdę się uśmiechnął. Renata wyprowadziła Rokkę, żeby ta nie patrzyła.

– Wsadzić mu jakąś szmatę albo kołek w zęby i przytrzymać, żeby nie wypluł.

W ustach Eluwy wylądował złamany trzonek od miotły, owinięty ścierką. Symmachs przygniótł go ciężką łapą.

Hjalmir kilka razy przeciągnął po pasie nożem o ostrzu wąskim jak skalpel.

– Trzeba ostrze zanurzyć w wódce – powiedział Adams.

– Niepotrzebne ceregiele – rzucił Hjalmir, ale zanurzył je w dzbanku. – Niech mały też ma jakąś przyjemność – powiedział z wymuszonym śmiechem. Sam pociągnął łyk i wytarł usta rękawem.

Odłożył nóż na stół. Ujął ramię Eluwy i oparł o krawędź stołu. Następnie mocnym ciosem zadany kantem dłoni złamał obie kości przedramienia. Eluwa zatrzepotał konwulsyjnie, spod kołka wyrwał się jego nieartykułowany bełkot. Ręka zwisała, nienaturalnie przegięta.

– W ten sposób należy odpuścić napięcie mięśni – chirurg zwrócił się do Adamsa. – Łatwiej uformuje się kikut. Ręka jest martwa do łokcia, muszę ciąć powyżej – dodał, rozglądając się po przerażonych twarzach domowników.

Znowu wyprostował ramię Eluwy, aby zwisało poza stołem.

– Mocno zaciśnij na tym sznur – powiedział do Adamsa. Ten założył na ramię Eluwy pętlę z grubego sznura.

– Niżej?

– Nie. W tym miejscu jest dobrze. Nie chcę, żeby zakażenie pozostało w organizmie. Drugi raz ciął go nie będę.

Adams zacisnął pętlę, aż zbielała skóra.

– Trzeba było podłożyć szmatę – powiedział.

– Nie trzeba. Sznur jest dość gruby. Skóry nie przetnie. Chirurg wziął nóż do ręki.

– Trzymaj mocno – rzucił do Adamsa. Szybkim okrężnym ruchem objechał wokół wątle ramię Eluwy, przecinając jednocześnie skórę i tłuszcz podskórny. Mały szarpał się jak złapany pstrąg. Spod przeciętej skóry pociekła na deski podłogi ciemna krew. Hjalmir drugim cięciem rozdzielił płaty mięśni. Poprawił i ukazała się kość. Adams wpatrywał się w ranę nieprzytomnie. Symmachs mocarną łapą wgniał Eluwie kij od miotły w usta. Nieoczekiwanie delikatnym ruchem Hjalmir wyłowił spod przeciętego mięśnia tryskającą krwią tętnicę. Naciągnął naczynie.

– Zaciśnij to – rzucił do Adamsa.

– A to? – Wskazał na trzymany sznur ściskający ramię małego.

– Zawiąż.

Adams mocno zacisnął gruby sznur. Chciał sięgnąć po nici w dziurce guzika Hjalmirowego fartucha, ale chirurg wskazał mu kłębek na stole. Zawiązał ciasny węzeł na tętnicy małego Eluwy. Teraz Hjalmir palcami wyszukiwał białawe, sprężyste nerwy i je wrywał. Za każdym razem dzieciak szarpał się konwulsyjnie. Hjalmir powiedział, że to jest konieczne, żeby ustały bóle. Wokół rozchodził się nieznośny smród, bo Eluwa zrobił w gacie.

Wreszcie Hjalmir odwinął ucięte mięśnie i odsłonił jak najwięcej kości. Następnie kilkunastoma szybkimi pociągnięciami piłki do metalu przeciął kość. Ramię nieszczęsnego Eluwy spadło na podłogę. Adala wyszła, zasłaniając usta.

Chirurg miękko przebiegł palcami po miejscu przecięcia. Poprawił piłką parę zadziorów, aby potem nie raniły kikuta.

– Trzymaj mocno! – rzucił gniewnie do Adamsa, kiedy Eluwa poruszył kikutem. Następnie zaciągnął mięśnie na uciętą kość i zaszył je mocnymi ściegami. Końce nici wywlókł na zewnątrz.

– Te szwy wyciągniesz po dziesięciu dniach – powiedział do Adamsa. – Jak nie będą chciały iść, to je rwij.

Naciągnął na kikut skórę, wpychając jednak pod spód nieco szarpi, ale tak, by wystawały na zewnątrz. Adams podziwiał jego co prawda barbarzyński, ale niewątpliwy kunszt.

– Dreny powyrywasz po siedmiu, ośmiu dniach. Powinny wrosnąć, ale to nie szkodzi. Trzeba je rwać. Gdyby rana się ślimaczyła, zostaw je, póki nie zaschnie.

Nieprzytomny Eluwa nie dawał znaku życia. Hjalmir zaszył teraz skórę. Potem przycisnął do krwawiącego kikuta kłębek szarpi i wszystko owinął ciasnym opatrunkiem.

– Co dwa dni masz zmieniać opatrunek i sprawdzać, czy nie zagniło. Jeśli zagnije, powtórzysz moją robotę dziesięć centymetrów wyżej, niewolniku.

Zauważył, że Eluwa leży bezwładnie. Kazał Symmachsowi usunąć z ust chłopca kij, następnie lunął wodą z miednicy w twarz dziecka. Eluwa zadławił się, ale otworzył oczy i zaczął jęczeć. Równie mocno jak obcięte ramię bolały go krwawiące wargi rozgniecione kijem trzymanym w niedźwiedzim chwycie Symmachsa.

– Z każdą godziną będzie lepiej – powiedział do niego Hjalmir. – Musisz to wytrzymać. Będiesz żył, ale machał tylko jednym skrzydłem.

Wyniesiono go do matki. Adams miał nogi jak z waty. Napięcie, wywołane asystowaniem przy operacji, opadło.

Na szczęście niewielu chorych się zgłosiło, chociaż sława Hjalmira była duża. Uważano go za najlepszego chirurga legionowego. W praktyce zabiegowej żaden lekarz z miasta nie mógł mu dorównać.

Przyszedł niewolnik sąsiada z okazałym karbunkulem na karku. Chory nie mógł prosto trzymać głowy. Skóra na ropniu była sinofioletowa i napięta. Ten zabieg był prosty. Hjalmir nawet nie wymagał, aby chorego przytrzymać – zwyczajnie wbił koniec noża w guza, zręcznie usuwając się przed tryskającą strużką ropy. Przytrzymał nóż w ranie, rozszerzając otwór, aby cała treść ropna wyciekła.

– Wiesz, co to jest...? – Wskazał na spływające z ropą żółte nitkowate twory.

– Nie wiem, nie jestem chirurgiem.

– To też trzeba zlać nalewką? – Wskazał na opróżnioną kawernę.

– Lepiej starannie wypłukać gotowaną wodą. Hjalmir pokiwał głową.

– Myślę, że kiedyś byłeś chirurgiem, niewolniku – powiedział cicho.

Po przemyciu opróżnionej kawerny Hjalmir zawinął ranę pacjenta. Było jeszcze jedno dziecko z krzywo zrośniętym złamaniem ręki.

– Złóż jej rękę – powiedział:

– Nie potrafię, panie. Moja wiedza jest ułamkowa. Nigdy nie praktykowałem.

Hjalmir popatrzył na niego poważnie.

– To też jest możliwe.

Następnie krótkim, wprawnym uderzeniem kantu dłoni przełamał krzywo zrośniętą kość. Nie zważając na dziki wrzask małej pacjentki, naciągnął chudziutkie ramię i prawidłowo ułożył kość. Z pomocą Adamsa starannie przywiązał je do kija.

– Tak ma nosić przez pięć tygodni – przykazał ojcu dziewczynki. – Zły to chirurg, co nie nastawia złamań – skarcił Adamsa. – Należy ćwiczyć na zwierzętach, choćby na bezpieczeństwa psach – dodał z przyganą.

Trzeba było teraz wysprzątać izbę zamienioną w salę operacyjną. Zetrzeć stół, zmyć krew z desek podłogi. Krzatali się przy tym Ingyar i Rokka. Adams znowu awansował. Rokka pochlipywała, aż Symmachs lekko ją szturchnął.

– Niech ona się cieszy, że mały będzie żył. Machając jedną gałęzią, też sobie poradzi – powtórzył cudzą myśl.

Hjalmir odbierał umówioną zapłatę. Rokka odliczyła osiem syceli, ponadto miała wyprać i pocerować ubranie chirurga. Ojciec dziewczynki ze złamaną ręką odstąpił Hjalmirowi na godzinę jedną ze swoich niewolnic. Chirurg najpierw narzekał, że za stara i za chuda, ale w końcu się zgodził. Za przecięcie karbunkułu dostał dzbanek samogonu i pół sycela.

Świeżo wyszorowana izba pachniała mokrym drewnem, w powietrzu jeszcze unosiła się para wodna. Hjalmir wrócił już po odebraniu zapłaty. Niewolnicy stali po kątach, wolni siedzieli na ławach, a przy stole obok Hjalмира zasiadł sam gospodarz. Usługujący Adams zajął miejsce pod ścianą. Inni też wracali do izby; wspomnienie makabrycznych popisów Hjalмира traciło na wyrazistości, a głód dawał o sobie znać. Adala przycupnęła na ławie, opróżniając miskę ze stawy. Obok niej usiadł Symmachs; dalej Illation starał się, aby zupa nie ściekała mu z ust. Niemal wszyscy domownicy zgromadzili się w izbie biesiadnej. Co jakiś czas rzucali na gościa ukradkowe spojrzenia: wyluskiwali z półmroku świeże plamy krwi na jego tunice; przyglądali się sękatym ramionom, masywnym dłoniom, którymi właśnie wyłamywał kurze udko. Hjalmir milczał, świadom wrażenia, jakie wywiera.

Przyszła Renata. Na Adamsa jej obecność wywierała materialny wręcz wpływ. Zerkał w jej kierunku, jakby na sali oprócz niego istniała tylko ona. Nie przeszkadzało mu, że chowała się gdzieś w cieniu, z dala od okna. Doskonale potrafił wyobrazić sobie jej opuszczone powieki i długie, gęste rzęsy.

Hjalmir wolno obrócił masywną głowę. Był bystrzejszym obserwatorem niż inni.

– Mam jeszcze jedno zadanie do wykonania w tym domu – powiedział głośno. – Zlecił je mój dowódca, *sotnik* Drubbaal.

Renata zadrżała, Adams też. Symmachs rozdziawił gębę.

– Dobrze, że tu jesteś, Pięknooka.

– Nic mi nie dolega.

– To się jeszcze okaże... Mój dowódca chce, abym zbadał, czy jesteś nadal dziewicą, Pięknooka. Taki mi dał rozkaz.

– Co!? – zachnęła się. – Jak zbadać...?

– Zwyczajnie: dwoma palcami. – Zadudnił rubasznym śmiechem. – Ułóż się na stole i rozluźnij swoje szatki. Adala przyniesie lampę oliwną, żeby było jaśniej.

Adams poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Skoro pan Drubbaal tak rozkazał... – wmieszał się Hrabban. Nie mógł jej mieć, ale mógł się za to zemścić. – Należysz do niego.

Bokserowaty zasłonił sobą drzwi, żeby Renata nie uciekła. Obejrzenie tak pięknej dziewczyny było nie lada gratką. Illation zebrał się z ławy i zajął miejsce przy oknie.

„Z pewnością nie ma na sobie *stroju*. Zakłada go w domu dopiero na wieczór...”, pomyślał Adams. W bezsilnej wściekłości rozglądał się za jakimś drągiem. Nie miał szans. Hjalmir był przy

pałaszu, a przecież Adams miałby przeciw sobie także innych.

Popchnięta do przodu, Renata znalazła się na środku izby. Jeden jej ruch i obaj synowie Hrabana rzuciliby się, aby zedrzeć z niej odzienie. Niedostępna, a na dodatek dumna i pewna siebie kobieta była wreszcie w ich zasięgu.

– Dobrze – powiedziała Renata. Spojrzeli na nią jakby zdziwieni.

– Ale dwie rzeczy: bez mężczyzn, świadkami będą tylko Raachill, Adala i Rokka; i druga rzecz: okaż *simbolon* na dowód, że to rozkaz Drubbaala, któremu muszę się podporządkować.

– Jaki *simbolon*...?

– *Sotnik* Drubbaal podzielił dla mnie *simbolon*. Tylko posiadacz drugiej połowy może przynieść mi jego rozkaz. – Nerwowym ruchem wyszarpnęła zza pazuchy kawałek ceramiki. – Innych poleceń, nawet mojego pana, mogę nie wykonywać, a jeśli mnie zmusisz, to on się za to zemści na tobie...! – Jej dłoń dzierżąca połowę *simbolonu* drżała nerwowo.

Hjalmir milczał.

– No, pokaż drugą połowę, i wtedy niech oni wyjdą albo zapomnę o tym, co powiedziałeś!

– Pokaż tę tabliczkę. Tu, do światła.

– Jest na niej imię Drubbaala. – Adala nachyliła się z lampką. – To jest *simbolon* Drubbaala.

Hjalmir nic nie powiedział, umiał przecież czytać.

– Jednak *sotnik* powiedział wyraźnie. Nalegał, żebym cię zbadał. Widać zapomniał o tabliczce...

– Gdyby rozkazał, miałbyś *simbolon* ze sobą. To nie jest rozkaz, a jeśli zrobisz to przemocą, chirurgu, to ja nigdy nie zapomnę tego upokorzenia. Wszystko zrobię, żebyś trafił do linii, do pierwszej linii, i zginął.

– Możesz tego nie mówić. Stale jestem na Linii. Nie podniosę ręki przeciw żonie mojego dowódcy. Sam utnę taką rękę. – Ostatnie stwierdzenie zabrzmiało bardzo wiarygodnie. Adams odetchnął głęboko. Wiedział, że gdyby Renata sama się nie obroniła, on nie zdołałby jej pomóc.

Cisza przedłużała się. Zapanowała nieprzyjemna, ciężka atmosfera. Nikt nie chciał wywołać gniewu Hjalмира, wielkiego chirurga i żołnierza, właśnie upokorzonego przez nie lubianą nietykalską.

– Nalej nam! – powiedział Hrabban, przerywając wreszcie milczenie.

Adams skwapliwie wypełnił oba cynowe pucharki.

– Chciałem jeszcze z tobą porozmawiać – Hjalmir zwrócił się do gospodarza – na osobności.

Wszyscy chętnie opuścili izbę. Jedyne Adams pozostał w gotowości z dzbanem wina. Próbował złowić spojrzenie wychodzącej Renaty, ale ona uparcie gapiła się w ziemię.

– Dolej gospodarzowi i też wyjdź. – Chirurg wzmocnił rozkaz stanowczym gestem dłoni. – Zaczekasz w sieni.

Rozmowa w cztery oczy przeciągała się. Zza kotary dolatywały tylko pojedyncze słowa. Liczby i kwoty. Inni domownicy gdzieś się pochowali, może w oczekiwaniu burzy.

Adala nadeszła cicho jak kot i lekko dotknęła jego ramienia.

– Wiesz, o czym mówią? – szepnęła. Adams przecząco pokręcił głową.

– A ja wiem.

– Nie daj się prosić. Powiedz.

– Dla mnie to nic dobrego. – Podsunęła kubek. – Więcej roboty w gospodarstwie. Hjalmir kupuje niewolnika.

Adams spojrzał na nią pytająco.

– Tak, tak, ciebie. – Sączyła wino, zerkając na niego.

– Jak to?!

– Zwyczajnie. Zgodzili się na sześćdziesiąt syceli. Myślę, że jesteś więcej wart. Ale ojciec nie chce mu odmówić.

Adams zadrżał. Wypiła wino do dna.

– Dolej mi jeszcze.

Hrabban nie pozwalał pić domownikom. Zobowiązał Adamsa do pilnowania dzbana. Nie widziana przez innych, Adala korzystała więc z okazji. Adams popatrzył znacząco na dzbanek.

– Przecież to z powodu twego odejścia.

– Odejścia?

– Jeszcze nie rozumiesz? Pójdiesz z Hjalmirem.

– Gdzie Renata? Muszę z nią porozmawiać.

– Renata i Renata. – Oczy Adali nabrały soczystej niebieskozielonej barwy. – To ja będę miała kłopot, a nie ona.

Adams napełnił jej kubek.

– Pamiętaj, że chirurg nie powinien zażądać więcej niż dziewięćdziesiąt syceli wykupnego – powiedziała. – Zbierz te pieniądze jak najprędzej – rzuciła. Opróżniła kubek i szybko odeszła.

Spojrzał za nią i też wypił parę łyków. Okazja była ważna. Wino pite wprost z dzbana śmierdziało drożdżami mocniej niż z kubka.

– Wodogłów! – dobiegł krzyk Hrabana. Adams posłusznie wrócił do izby.

– Dolej.

Wina jeszcze starczyło.

– To jest twój nowy pan. – Hrabban wskazał ręką chirurga. – Pójdiesz za nim i będziesz słuchał wszystkich jego poleceń. Jesteś wart sześćdziesiąt syceli.

– Myślę, że nie przepłaciłem – powiedział Hjalmir.

– A kto będzie pielęgnował Eluwę? – Adams zasiał przygotowaną wątpliwość. – Przecież to mnie pouczyłeś, panie, jak to robić.

– Nie bądź krnąbrny, niewolniku. Eluwa i tak umrze. Sam widziałeś szarą tkanekę w kikucie. Zresztą Pięknooka potrafi zmieniać szarpie. Już to nieraz robiła.

– Symmachs! – wezwał syna. – Przypilnuj, żeby Wodogłów spakował swoje rzeczy. I żeby nie spakował czego innego.

Symmachs nie okazał zdziwienia. Wieść o sprzedaniu Adama zdążyła się rozejść.

– Kiedy wyrusza?

– Zaraz.

– Zbieraj się. – Symmachs popchnął Adama kułakiem. – No, już.

Rzeczy Adama zebrało się na tłumok. Ot, wypłowiałe łachy, chociaż starannie pocerowane. Celowała w tej robocie Adala. Gotówki Adams nie uskładał żadnej, bo i jak?

Symmachs znów chciał go szturchnąć, ale Adams nie pozostał mu dłużny: mocne pchnięcie i Bokserowaty runął jak długi.

– Będziesz tarmosił legionowego niewolnika?! – Adams zacisnął pięści. Znał swoje prawa, a poza wszystkim miał ochotę przyłożyć Symmachsowi. Mimo że tamten silniejszy, Adams był wyższy, miał dłuższe ramiona, a od dawna nie był w tak dobrej formie fizycznej.

Symmachs jednak zawiódł. Zbyt często go bito, aby zachował sztywny kark. Podniósł się z

podłogi i tylko łypnął krzywo.

– Tyle twojego – rzucił, pogardliwie wykrzywiając usta. – Już żadna panna nie będzie cerować twoich łąchów. Na Linii kobiet nie ma, chyba że Czarne... No, już. Zbieraj swoje łąchy, śmieciu!

– Też trafisz na Linię.

– Ale wcześniej Czarne ciebie zeżrą i wysrają.

Nie można było awanturować się bez końca. Hjalmir chciał wyruszyć, a przecież nie wolno było rozzłościć właściciela. Adams pobiegł po schodach.

– Jasne. Biegnę na talerz do Czarnego! – krzyknął za nim Bokserowaty.

– Dużo rzeczy jak na wiejskiego niewolnika – ocenił Hjalmir. – Jak to weźmiesz?

– Tak. – Adams zawiązał worek sznurem, którego końce przywiązał do rogów wora, tworząc prymitywny plecak.

– To legionowy sposób. Skąd go znasz?

– Nie służyłem w legionach, panie. Zawsze tak nosiłem bagaże – skłamał Adams. Nie pamiętał nawet, skąd znał ten sposób robienia prowizorycznego plecaka. Może gdzieś o tym czytał.

Hjalmir skrzywił się na słowo „legiony”, jednak dalej nie dociekał. Dołożył Adamsowi swój bagaż, a sobie zatrzymał bukłak i torbę z jedzeniem. Adams starał się ułożyć bagaż w zgrabny pakunek, którego ostre krawędzie nie dotykają pleców. Weszła Adala.

– Ojciec chciałby pana widzieć – powiedziała. Hjalmir bez pośpiechu zebrał się od stołu.

– Jemu też coś dolega? – Wykrzywił gębę w uśmiechu. Przerażona Adala nie odpowiedziała uśmiechem, więc tylko prychnął coś niemiłego pod nosem. Poszedł łyknać strzemiennego z gospodarzem.

Korzystając z okazji, przybiegła Renata. Adams złapał ją w ramiona.

– Nie. – Wymknęła mu się. – Ktoś może zobaczyć. Sięgnęła za pazuchę.

– Masz *skorupę*. – Podała mu mocno wykrojone slipy ze zmyślnie uformowanym obłym pojemnikiem z przodu.

Postukał w niego palcem: blacha obszyta płótnem.

– Wszędzie jest wszyty łańcuch, jak zaciśniesz w pasie, nie da się zedrzyć – powiedziała. – Noś na przepaskę i nie zdejmuj nigdy...

– Za co ją kupiłaś?

– Miałam zaoszczędzone. Adala pożyczyła mi resztę.

– A *simbolon*? Ja chcę mieć twój *simbolon*.

Spojrzała na niego spłoszona. Przysięgłby, że w jej oczach zakreśliły się łzy.

– Kiedy miałam go zrobić? Czasu zabrakło, a przecież nawet nie byłam pewna, czy chciałbyś...

– Tak, tak i tak.

Popatrzyła na niego przeciągle. Znowu go urzekła.

– Masz przecież mój *simbolon*. Trwalszy niż gliniany, bo nie można go zgubić. – Patrzyła mu w oczy. – Tylko ty nie zapomnij mnie, ja zaczekam.

– Wrócę.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i pociągnęła ku sobie. Jeden, dwa pocałunki, i zaraz musiała uciec, bo ktoś nadchodził. Jeszcze miał w oczach jej spojrzenie.

– Idziemy – zabrzmiało jak komenda wojskowa. Powlókł się za Hjalmiem.

Tom drugi
Po Stronie Trupa

Najpierw skierowali się przez miasto, a potem w górę, ku Mehz Khinnom. Podchodzili coraz węższą ścieżką, biegnącą stromymi zakosikami wśród zarośli. Wreszcie sterty porzuconych rupieci i gnijących odpadków pokazały, że dochodzą do głównej drogi wiodącej w dolinę. Dalej szli w smrodzie śmietnika, otoczeni kłębami wypasionych much.

„Czy tu inaczej być nie może, jak duszno i wilgotno...?”, pomyślał Adams z niechęcią.

Szurki prowizorycznego plecaka wrzynały się w ramiona, tłumiąc natrętne myśli. Został wyrwany z nowego środowiska, akurat kiedy wspiął się na szczyt dostępnej hierarchii. Przyzwyczał się do swojego statusu i nie pragnął zmiany. Właśnie w Dolnym Mieście, wśród ludzi żyjących według czasem odrażających reguł, zaznał najgorszego w życiu, ale i spotkał to, co najlepsze. W miarę jak odległość rosła, wracały wspomnienia wcześniejszych przeżyć z tej niezwyklej wędrówki, a miesiące spędzone w niewoli u Hrabana jakby się oddalały.

„To nie był epizod”, pomyślał.

– Wróć tu po nią – dodał pod nosem.

– Co chcesz? – Hjalmir odwrócił się z życzliwym uśmiechem. Choć wspinali się na próg doliny, szło mu się lekko, bo Adams dźwigał bagaże.

– Nic ważnego. Ciężko nadążyć.

– Brzmiało to inaczej. Przy obcych kończ zdanie słowem „panie”. Mnie to nie robi różnicy, ale innym tak.

„Spory awans”, pomyślał Adams. „Zaczęło się od śmieciu, a teraz nawet panie nie musi być”.

– Żałuję, że mnie kupiłeś. Nauczyłem się żyć u Hrabana – powiedział.

– Nie żałuj. Skoro poradziłeś sobie u Hrabana, to i do życia w legionie przywykniesz. Nie pierwsza i nie ostatnia zmiana.

Hjalmir zwolnił, by nie złapać zadyszki. Adams przestał zostawać z tyłu.

– Służba chirurga wojskowego nie jest niebezpieczna – powiedział Hjalmir. – Nie zabiją cię, chyba że przypadkiem. Na akcję biorą rzadko, a i wtedy idziesz do walki jako ostatni. Potrzebują chirurga. Legioniści na ogół płacą, kiedy dostaną żołd. Nie chcą zadzierać z *katrupem*.

– *Katrupem*...?

– *Katrup* to dla nich chirurg. Forsa sama szybko się zbiera. Wykupisz się ode mnie. To będzie dziewięćdziesiąt syceli.

– Przecież zapłaciłeś za mnie tylko sześćdziesiąt!

– Po pierwsze, nauczysz się ode mnie zawodu chirurga, a to kosztuje – urwał, jakby oczekując zaprzeczenia. – Po drugie, i najważniejsze, ocaliłem ci życie – dodał po chwili. – Twoje życie jest warte więcej niż trzydzieści syceli.

– Życie...?

– Drubbaal wie o tobie i Pięknookiej. Nie przybył tu ze mną, bo ciągle podchodzą watahy Czarnych i nie wiadomo, czy im się nie zachce pchać na Przełęcz. Jakby nie zobaczyli znaku *sotnika*, na pewno by spróbowali ataku.

Adams nie odpowiedział. Nie miał przecież pojęcia, ile Hjalmir naprawdę wiedział.

– Renata powinna pozwolić się zbadać – ciągnął chirurg – żeby rozwiać podejrzenia. Gdyby Drubbaal ze mną tu przybył, byłby to ostatni dzień w twoim życiu.

– Nie z powodu badania.

– Taak...? – Hjalmir uśmiechnął się ironicznie. – Dla mojego dowódcy nie miałyby to większego znaczenia. I tak by cię zabił. Lubi zabijać.

Adams patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

– Ruszaj. Zrobimy postój przy ogniach. Zjemy coś.

Na progu ponad lasem, gdzie Mehz Khinnom rozszerza się i wypłaszcza, mrok był głębszy niż w lesie. Kłęby szarej mgły snuły się tak gęsto, że wydawały się czymś solidniejszym niż tylko chmurą. Przypominały grzbiety jakichś wijących się stworów. Czarny dym zmieszany z mgłą gryzł w gardło i zmuszał łyzy, by pociekły.

„To nie może być prawda”, pomyślał Adams.

Gęstsze pasma mgły niosły ze sobą drobniutkie kropelki wody, które nieco tłumiliły ostry smak dymu. Po kościach ciągnął przejmujący ziąb, uczucie, od którego Adams zdążył odwyknąć.

Z mgły wyłonił się czyjś wózek. Stary, zgarbiony mężczyzna wrzucał odpadki do płomienia.

– Ghyzz...! Ghryzz...! – rozległo się gardłowe rżenie. Starzec odskoczył, kuląc się instynktownie.

– Addulh! Addulgh! – zawtórował drugi nieludzki głos. Wyłoniły się cudaczne stwory, wyciągające ku staremu zniekształcone ramiona o bezwładnie zwisających dłoniach.

„Czarne...”, Adams rozglądał się za poręcznym kamieniem. Wychudły człowiek, cofający się lekliwie przed maskarami, zbliżył się niebezpiecznie do płonącej czeluści.

– Tylko tam nie wpadnij, dziadek! – rozległ się donośny głos. Towarzyszył mu wybuch tubalnego śmiechu.

Starzec podbiegł do wózka i zaczął odciągać go za dyszel.

– Wrzucaj, wrzucaj. Nie będziesz przecież tego z powrotem zwoził do miasta.

Adams schylił się, sięgając po kamień.

– Niece... Zostaw. Chłopaki żartują – mruknął Hjalmir.

Oba potwory miały nieludzkie głowy o potężnych kłach, zakręconych rogach i torbiaste cyce pokryte gruzłowatymi brodawkami. Wywijają trzymanymi w rękach długimi ogonami.

„Ręce o dwóch dłoniach każda...”, zauważył Adams.

Nagle w stronę poczwara wystrzelił długi strumień płomienia. Oba potwory gwałtownie odskoczyły.

– Nie żartuje się przy płomieniu w Mehz Khinnom. A nuż mu się coś nie spodoba... – Roześmiał się Hjalmir. – A wy co, jeszcze nie w karczmie, a już ludzi straszą, he...?! Do miasta sił wam braknie.

– Starczy, starczy, Mistrzu – powiedział potulnie potwór z dodatkową kozią głową na piersi.

– A kórześ ty?

– *Korpuśny* Chetti. – Potwór wyciągnął na powitanie sękatą, ludzką dłoń. Kozie łeb przegiął się bezradnie w bok. Chetti cuchnął zaparzoną, sfermentowaną potęgą.

Hjalmir skrzywił się.

– Cuchnie ścierwo. Wszystkie panny uciekną z miasta.

– Nie było kiedy wymoczyć.

– Dłoni nie wyczyściłeś z mięsa. Zgnije ci ta ozdoba. Wyrzucisz, ledwie zejdziesz do Krum.

– Udała się nam potyczka. *Sotnik* dał przepustkę na dwa dni, to my biegiem, Mistrzu. Nie było co zwlekać.

– Aż przepustkę...?

– Zakradliśmy się daleko w mrok, wzdłuż Nocnej Grani. Dwie *gabery* poszły za nami. Wzięło się też trochę brańców.

– Nie próbowałaś zaznać tej swojej pani? – Hjalmir spytał drugiego żołnierza.

– Gdzieżby tam... Jeszcze mi zdrowie miłe.

– Za to teraz cały w niej siedzi! – zarechotał Chetti.

– Napij się z nami, Mistrzu. Za to zwycięstwo.

– A co tam macie?

– Zwyczajnie. Destylat.

– Pędzony ze ścierwa...? – skrzywił się Hjalmir. Jednak usiadł na kamieniu. Adams na sąsiednim.

– Rzetelny, kwaterunkowy. Ale pies wie, z jakiego psa robiony. Chetti usiadł naprzeciwko Hjalmira. Obok niego żołnierz.

Obaj ściągnęli z głów potworne łby. *Korpuśny* miał zaciętą twarz o mocnej szczęce, przeciętą biegnącą od czoła do zuchwy szramą, i zimne, niebieskie oczy. Żołnierz, o rudej, polepionej potem, przerzedzonej czuprynie i cofniętej zuchwie, wyciągnął z zawiniątka gąsiorek i podał dowódcy.

– Żebyśmy na przepustce w ładniejszych pannach siedzieli. – Chetti wznosił toast.

Gąsiorek dotarł do Hjalmira, który pociągnął haust, wytarł usta rękawem, złapał oddech i podał Adamsowi naczynie. Mały łyk podziałał jak uderzenie. To nie mógł być tylko etanol.

– To nie był Płomień Niezgody – Adams chciał lepiej poznać miejscowy folklor.

– Rozgorzał Płomień Kłamstwa – wyjaśnił Hjalmir.

– Jakie tam kłamstwa – obruszył się Chetti. – Ot, żartowaliśmy trochę.

Milczący dotąd żołnierz nagle się rozgadał. Niestety, bardzo się jąkał. Coś wywodził, stukał Adama łokciem w bok.

Wreszcie przyszło zostawić urlopowanych legionistów. Hjalmir szedł ciężko, sapał, pocił się intensywnie. Adamsowi łatwiej było dźwigać worek. Jednak w marszu chirurg trzeźwiał i stąpał szybciej. Nad polaną ścieżka znowu zaczęła się wznosić. Podejście osypującym się szutrem zrobiło się uciążliwe. Nadal szli w gęstej mgłę, która skraplała się na odzieży. Adams sięgnął językiem po wiszącą z nosa kropelkę wody.

– Naszło tego cholerstwa. Ale zimno! – burknął Hjalmir. Adamsowi nie było zimno: ciężki bagaż grzał w plecy, choć ubranie nasiąkało wilgocią.

– Wyżej będzie lepsza pogoda. – Hjalmir przystanął dla złapania tchu.

Trudno było w to uwierzyć.

– Najwyżej dwie godziny podejścia. – Chirurg jeszcze nie uspokoił oddechu. Nie był otyły, ale nadwaga utrudniała mu wędrowanie po górach. Alkohol we krwi dobijał serce.

Wyżej trzeba było przekroczyć piarżysko schodzące z bocznej doliny. Był to przykry, ruchomy piarg, chociaż niektóre wanty miały rozmiary po parę metrów. Jeden ruch kiwającego się głazu mógł obciąć stopę. Drogę wyznakowano tutaj kopczykami. Spod piargu wyzierały kałuże wody, może rozlewał się w nie strumyk.

Opar mgły skończył się nagle, jakby ucięty. Wyszli ponad chmurę. W górę zadzierały skalne bastiony; dolina nastromiła się, wyżej przechodząc w żleb opadający spod pasa skał. W dole ciemnoszara warstwa wypełniała dolinę, nie wychodząc jednak poza jej granice. Gdzieś za lesistym progiem niknęło Krum; aż po horyzont jaśniała srebrzysta tafla wody.

Przemoczone odzienie nie chroniło przed wiatrem. Hjalmir rozglądał się po skałach spiętrzonych nad doliną.

„Szuka jakiegoś przejścia czy co...?”, pomyślał Adams.

Hjalmir machnął ręką, żeby iść dalej. Piarg osypywał się przy każdym kroku. Kopczyków tu nie było.

Nagle znad wanty wychynął zarys ramion i hełmu.

– Stać! Kto idzie?!

Legionista mierzył do nich z kuszy. Drugi wychylał się zza kamieni.

– Nie pytaj, synu, kto idzie. Sam podejdź i się przyjrzyj, jak mówi regulamin służby. Z tej odległości sprawdzany może powiedzieć cokolwiek, a ty uwierzysz. – Hjalmir pokiwał głową. – Jakiś młody – powiedział do Adamsa.

– To ryzykowne. Z wartownika się nie żartuje.

– Oni wszyscy mnie tu znają. Ja ich jeszcze lepiej, bo i od środka...

– To Katrup? – doleciało niepewne pytanie.

– A jak myślisz?

Jeden z legionistów wyszedł ku nadchodzącym. Pozostali dwaj osłaniali go z tyłu.

– No, wreszcie regulaminowo – powiedział Hjalmir. – A co to te kusze? Nie wzięliście na patrol obrzyna?

Żołnierz poznał Hjalмира. Broń przewiesił przez ramię.

– Sporo broni przepadło w ostatniej potyczce.

– *Sotnik* jest na przełęczy?

– Na Nocnej Grani. Pachoma też nie ma. Chetti zeszedł na przepustkę.

– Spotkaliśmy Chettiego. To kto wami dowodzi?

– Na popasie jest Hugge.

Żołnierze Huggego nie znali Hjalмира. Mogli zachować się nieprzewidywalnie. Tego *decymusa* spotkał ledwie parę razy.

Wszyscy trzej legioniści podeszli ku nim. Adams nie mógł uwolnić się od niechęci do żołnierzy. Barwa mundurów, dialekt, którym mówili, wyższość w sposobie bycia – zniechęcały. Nie potrafił traktować rostrych, pewnych siebie żołdaków inaczej jak najeźdźców. Choć Adams był wyższy od większości mieszkańców Krum, wśród legionistów nie wyróżniał się wzrostem.

– Miałeś, panie, sam wrócić – powiedział *korpuśny*, dryblas o czerwonych, bezrzęsnych oczach i posiwialej na skroniach czuprynie. Nie używał dialektu żołnierskiego. Widać podoficerowi nie wypadalo.

– Kupiłem niewolnika. Pomocnika.

Bezrzęsy przeniósł taksujące spojrzenie kaprawych ślepi na Adamsa.

– Będzie roboty dla dwóch. Zebrało się za ostatnie dni.

– Parę dni mnie nie ma, to zaraz z oddziału ręce i nogi odpadają, człowiek nie nadąży przyszywać. – Chirurg wyszczerzył zębiska w uśmiechu.

– Młody, coś chuderlawy. – *Korpuśny* wskazał podbródkiem na Adamsa. – Podoła służbie?

„Właściwie fajny komplement”, pomyślał Adams.

– Silny jest. A do jego roboty potrzebne lekkie ręce.

Adams zauważył, że zaprawieni w bojach żołnierze obawiają się chirurga.

– Kto był u was za *katrupa*? – rzucił Hjalmir.

– Jorge-Grizius.

– Uff... – stęknął. – Ożesz ty... Ten to ma łapska. To już lepiej wpaść między żarna.

– Przyzwyczailiśmy się.

– Urządźcie sobie przy mnie święto niedoszłych kikutów.

– Idą już z dołu z wodą? – podoficer zmienił temat.

– Nie spotkaliśmy.

Znowu trzeba będzie ssać szmaty. – Skrzywił się żołnierz. Nie przestawał żuć liści, co chwilę spluwał czerwoną śliną. Nie było i wiadomo, czy to sok, czy krew z dziąseł.

– Kłopoty z wodą?

– Od wczoraj. Wszystko poszło na mycie rannych.

– Zbierze się znowu. Potrzebuję obstawy. Inni wasi żołnierze też mnie nie znają.

– Jasne. Dalchow, doprowadźcie *katrupa* do oddziału – rozkazał kusznikowi.

Chirurg z Adamsem ruszyli w ślad za przewodnikiem. Patrol znikł wśród want piarżyska.

Nikła ścieżyna wiodła trawersem pod skały ograniczające żleb od lewej; następnie w górę, stromo w zakosiki spróchniałą grzędą. Na razie nie trzeba było używać rąk. Żołnierz nonszalancko niósł kuszę na ramieniu.

Na kulminacji grzędy napotkali drugi posterunek. Minęli nabitą na długą tyczkę ogromną czaszkę Czarnego z nadzwyczaj okazałymi, falującymi rogami, niżej na poprzecznym drzewcu wisiał prostokąt grubej, czarnej tkaniny utkanej z jego sierści.

„Na czas deszczu muszą to chyba ściągać, bo wylinieje”, pomyślał Adams.

Dalchow zamiast hasła wywołał po imieniu wartownika i zawrócił na dół.

Obozowisko znajdowało się z dala od przełęczy, w wiszącej dolinie, dobrze osłoniętej skałami od grani. Zastali w nim jedynie trzech żołnierzy i kilkunastu rannych, na ogół Golców odbitych z transportów, jak powiedział Hjalmir. Zdrowi brańcy siedzieli w kucki, zawinięci w pledy, skuci łańcuchami. Pilnował ich czarnoskóry legionista ze stalowym hakiem zamiast lewej

dłoni.

– Jakoś nie są zachwyceni... – mruknął Adams. Hjalmir zerknął krzywo.

– Po tamtej stronie są zupełnie bezwolni. Nie zdarza się, żeby wrócili do transportu, ale w obozie na ogół ich się nie rozkuwa. Na dół każdy sprowadza swoich brańców zwykle w łańcuchach – powiedział. – Czyi są ci tutaj? – rzucił do strażnika.

– Zależy który. Ten spory, łysy, i ta kobieta koło niego to dziesiętnika Huggego. – Wskazał hakiem strażnik. – A ta czarnula mnie przypadła.

Tęga dziewczyna spojrzała na niego spode łba, zgarbiła się i mocniej zaciągnęła szarą koszulę na piersiach.

– Po tamtej stronie laźła goła, a tutaj wstyd już wrócił – skwitował szyderczo chirurg. – Badanie, czy jest zdrowa, kosztuje pół sycela. Znaczą: ogólne oględziny i sprawdzenie, czy nie ma wszy ani świerzbu.

– Dużo. Nie jest tyle warta. – Bezręki pokręcił nosem. – Wszyscy więci są bardzo marni, pójdą pewnie na *tarcze*.

– Stwierdzenie, czy nie ma syfa, kosztuje drugie pół sycela – chirurg nie ustępował.

Żołnierz zrobił głupią minę.

– Śmierć na syfa to podła przypadłość. Gniesz za życia. Ciało odchodzi od kości. Ale przeszkadza ci to tylko do momentu, zanim nie zidiociejesz do reszty, potem już lżej...

Żołnierz nie odezwał się.

– Stale pracujesz, panie – szepnął Adams.

– To lżejsza praca niż krojenie, a równie pożyteczna. Ta cycata, tęga czarnula ma dla niego większą wartość, niż powiedział. Chodź, obejrzymy rannych. Pewnie i co skroimy.

Rannych było trzech legionistów. Mieli głębokie, choć krótkie cięcia, a jeden ślady ukąszeń, jakby ludzkich zębów. Adams nie spodziewał się takich obrażeń.

– Jego nie pogryzł człowiek – wyjaśnił chirurg. Zmierzył zasięg rany. Ledwie sięgał od końca do końca, rozcapierzając dłoń. – Widzisz...? – uczył Adama. Legionista cierpliwie leżał. – Gdy uważnie obejrzyś ranę... O, tu. – Przejechał palcem po spuchniętej linii. – Tutaj *busierec* wyciągnął zęby... Wychodzące z rany kły zrobiły te boczne cięcia.

– Barber ciął go przez pysk, dlatego mnie puścił.

– Tylko raz zacisnął szczęki, ale nie poprawił. Nie rozżarł tej rany.

Ranę już umyło. Skóra wokół niej była mocno zaczerwieniona, brzegi uniesione i rozsunięte, wewnątrz widniał rozszarpany mięsień.

– Trochę szycia, he! – Hjalmir rzucił uśmiech pacjentowi.

– Nie odetniesz mi, panie, ramienia?

– Wasz *katrup* by uciał...?

– Milczenie żołnierza było wymowne.

– Trzy sycele będzie za szycie.

Rany pozostałych też wymagały szycia. Hjalmir rozpakował swoje rzeczy.

– Twój kolega to niezły rzeźnik – powiedział Adams. – Żeby amputować ramię w takim stanie...

– Grizius właściwie ma rację. Mała szansa, że to nie zagnije. Ukąszenia Czarnych paskudnie się goją.

– Trzeba odkazić.

– Znowu te twoje teorie, he...?

– Właśnie. Trzeba tę ranę myć i myć.

– Wody już nie ma. Zbierze się dopiero trochę na rano.

– Przemyć wódką, samogonem.

– Dobrze. Tak zrobimy. Jak żadna z tych ran nie zropieje, dostaniesz pół sycela.

Adams pokręcił głową.

– Zropieje na pewno. Ale może obejdzie się bez amputacji.

– Cha, cha, cha...! Toż ja nie mówiłem, że zamierzam ci dać te pół sycela...

Rany żołnierzy Adams przemył ich własną wódką; rozwierał je i wymuszał krwawienie. Dwóch cicho syczało, trzeci tak zacisnął zęby, że słychać było zgrzytanie. Cięcia zostały zadane pazurami Czarnego.

Hjalmir zszył pogryzionego.

Przyszła kolej na pociętych.

– Wolisz, żebym ja to zszył za półtora sycela, czy mój niewolnik za pół sycela? – powiedział

do pierwszego, zanim Adams zdążył zaprotestować.

Pierwszy z nich wybrał fachowca, drugi debiutanta. Adams uważnie śledził pracę mistrza. Hjalmir sztywno rozdartą skórę na plecach żołnierza. Ponure zadowolenie nie opuszczało jego gęby.

„Lubi być podziwiany...”, pomyślał Adams. „Każdy naukowiec lubi być podziwiany”, poprawił się w myślach.

Kiedy wypadła jego kolej, wymył zakrwawioną igłę w wódcę, jedwabne nitki też zamoczył. Hjalmir pokiwał głową z uznaniem. Doceniał teatr, ale nie miał przekonania do Adamsowych guseł.

Szycie nie było trudne. Ranę dało się ściągnąć palcami. Kłopot sprawił węzełek. Adams wiedział, że chirurdzy zakładają każdy szew osobno, przerywał więc pracę co ścieg i wiązał końce. Nie potrafił powtórzyć sposobu szycia Hjalмира, który używał jednej nici, zawężając kolejny szew na poprzednim.

Odciął nożem końce nitek i ranę zabandażował.

Hjalmir przyglądał się jego robocie. Pacjent odliczył mu pół sycela należności.

Pod wieczór Hjalmir postanowił wyjść na spotkanie wracających *decym* Pachoma i Quirinu. Czasami każda minuta mogła mieć znaczenie dla transportowanych rannych.

Najpierw wspięli się niewyraźną ścieżyną po piargu do posterunku na kulminacji grzędy, następnie łatwa wspinaczka w dobrze urzeźbionej skale wyprowadziła ich na grań. Dalej, nie przekraczając jej, samym ostrzem lub zasypanymi szutrem półkami wiodła powietrzna ścieżka ku Mroczej Przełęczy. Stamtąd otworzył się niezwykle widok: Z prawej w dole wybrzeże i Krum, z niewielkim kształtem trupiej głowy – warowni, dalej kilka innych, małych osad. Od lewej rozściierało się nieznane pustkowie, rozległy, łagodnie opadający płaskowyż.

Zeszli na siodło Mroczej Przełęczy, zaznaczone kilkoma wysokimi kopczykami z płaskich want.

Stąd wyraźna ścieżka sprowadzała ku płaskowyżowi. Tutaj teren wyglądał jeszcze bardziej pusto niż od strony Krum. Niebo ciemniało na horyzoncie, jakby osłonięte od słońca piłą skalnej grani. Skąła była tu szara, bez liszajów, porostów czy poduszek mchu. Przysypana drobnym żwirkiem lub grubszym piargiem. Poniżej przełęczy ślady ścieżek wydeptanych przez żołnierzy ginęły wśród leżących równo, jakby ułożonych bezsensowną pracą olbrzyma, okazałych, płaskich want. Skąła wietrzała kolejnymi warstwami, kiedyś mozolnie osadzonymi przez wodę. Jedyłą roślinnością były kłęby suchych, kolczastych gałęzi. Niektóre leniwie toczyły się z powiewami wiatru. Czasem zatrzymywały się za wantami. Miejscami wszystkie pustacie między wantami zatkałe były kłębami cierni.

– Uważasz, panie, że ci dwaj podrapani umrą od tego?

– Niby dlaczego?

– Skoro zakażenie tego ramienia da się powstrzymać tylko odcinając rękę...

– Z pojedynczych zadrapań Czarnego da się wyjść, chociaż się długo ślimaczą. Pogryzione ramię to gorsza sprawa.

Zbliżał się ku nim powracający oddział. Żołnierze prowadzili grupę ludzi. Legioniści maszerowali raźnie, z bronią na ramionach; niektórzy pogwizdywali. Brańcy zawinięci w pledy szczękali łańcuchami.

Na czele siedł oficer w szkarłatnym płaszczu, w kilcie o zielono-czerwonym tartanie, napierśniku i hełmie z grzebieniem. Nieco niższy od Adamsa, atletyczny podobnie jak Hjalmir, ale nie tak kwadratowy. Uśmiechnął się do chirurga.

– Szybko zeszło w Krum, Mistrzu. Tęsknota za robotą wzięła?

– Tam też było trochę roboty.

Oficer miał zimne, zielononiebieskie oczy, jasne włosy i zarumienioną, pokrytą piegami skórę

na twarzy. Skóra źle znosiła górskie słońce. Oprócz piegów tworzyły się na niej kalafiorowate narośla. Mimo twardej, wąskiej linii ust i kwadratowej szczęki twarz oficera wydała się Adamsowi znajoma. Domyślił się, że ma przed sobą brata Adali.

– Quirinu już wrócił?

– Na razie wy wracacie. Pachom uśmiechnął się.

– Na moich dzisiaj nie zarobisz. Brańcy sami garnęli się w ręce. Czarnych nie uświadczyl. Do roboty będzie tylko podbite oko. Jeden się szamotał z gołą panną...

– Było trochę roboty w obozie. Nie narzekam.

– A ty? – Pachom wskazał podbródkiem Adamsa.

– Kupiłem go od Hrabana. Będzie moim pomocnikiem.

– Aa... to on. – Pachom zlustrował go wzrokiem.

– Drubbaal daleko?

– Nie pojawi się prędzej niż za parę dni. – Pachom teraz uśmiechał się do Adamsa. Nie był to zły uśmiech. – Napór Czarnych przytknął go w obozie na Nocnej Grani. Bethmann, doprowadźcie oddział do obozu – rozkazał *korpuśnemu*.

Ten rzucił rozkaz, żołnierze ruszyli jego śladem, za Pachomem pozostało jedynie dwóch nieskutych brańców. Jeden z nich przypominał Kuczera: miał chudą, czarniawą twarz, kości policzkowe jakby mu spróchniały i zapadły się do wewnątrz. Był zgięty w krzyżach, zgarbiony, z głową podaną do przodu.

– Słyszałem o tobie – powiedział Pachom. – Rzadko mówi się tak wiele o niewolniku.

Twarz Adamsa przybrała uprzejme zdziwienie. Pachom spojrzał chłodno na niego. Hardy niewolnik nie budził sympatii.

– Ojciec zadowolony z prezentu?

– Z Kuczera? Najbardziej zadowolony jest Marcupij. Upija go jednym kubkiem wina albo hary i potem ma ubaw.

– Racja. Nie będę ojcu przysyłał następnego alkoholika.

Pachom sięgnął za pas po służbowy obrzyn i obojętnie, z odległości pół metra, strzelił w głowę brańcowi. Chlapnęło rozbryzgującym się mózgiem. Bezgłowe zwłoki skrzyły się cudacznie, upadając.

– Ściągnij z niego szmatę. Przyda się następnym – rzucił do drugiego z brańców.

Adams zmartwiał, widząc nagłość tego wyroku. „Ten zbrodniarz ma taką siostrę...?”, pomyślał.

– Ten drugi to syfilityk. – Hjalmir wskazał na klęczącego brańca ściągającego z bezgłowego trupa opończę. – Tamten poprzedni nie był jeszcze taki zły.

– Syfilityk?

– Nos zapadnięty, przebarwiona skóra. Nie mam wątpliwości. Pachom zmeł przekleństwo. Dobył miecza i ściał brańca. Z szyi popłynęła struga krwi.

– Syfilityków nie należy ścinać – przyganił chirurg. – Choroba może przejść po nożu.

– Po nożu?

– Po krwi syfilityka.

Pachom pokiwał głową i starannie wytarł *gladius* w opończę zdekapitowanego.

Wracali do obozu w milczeniu. Adams unikał rozmowy ze zbrodniarzem. Szczęśliwie Pachom o nic więcej nie pytał.

Niewolnicy rozwieszali już pledy i koce do zgarniania wody. Spodziewano się, że mgła podejdzie wysoko i na rano zbierze się sporo rosy.

Bezręki Barber sprowadził swoją pulchną zdobycz. Gryzły go wątpliwości zasiane przez lekarza.

Hjalmir odszedł z nią na stronę. Dokładnie zbadał ciało. Przeczesał włosy, obejrzał kolor powłok. Młoda kobieta, o długich, tłustych, ale wolnych od pasożytów włosach i bladej cerze. Adams asystował przy oględzinach. Miała nieco wzdęty brzuch i zbyt odstające pośladki. Chirurg wskazał palcem na jej piersi.

– Ile razy rodziłaś? – rzucił.

– Ani razu.

– Jasne – mruknął. – Podnieś rękę.

Obejrzał jej skórę na brzuchu i pod pachami, a także w talii i na plecach. Znalazł kilka strupków i zadrapań.

– Ściągnij przepaskę – rzucił.

Kobieta rozwiązała supeł i odwróciła się pośladkami do Adamsa. Hjalmir dłońmi rozgarnął jej uda. Sprawdził łono i pachwiny.

– Po sikaniu wycieraj wszystko starannie – powiedział. Na zakończenie skinął głową. – Ubierz

się.

– Nie zostanę zabita?

– Nie zabija się was po tej stronie.

– Jakiej stronie?

– Po Stronie Ludzi. Jak ta powierzchnia aż do horyzontu.

– Ocean?

– Właśnie – mruknął, nierad, że nie zrobił wrażenia. Więcej się do niej nie odezwał. Wrócili do ogniska.

– Kobieta jest całkiem zdrowa – powiedział do Barbera. – Doliczysz sobie tego sycela do ceny, jak ją sprzedasz w Krum. Młoda, robotna, powinna przynieść sporo.

– Chciałem dać jej pierwsze imię.

– Niewolnicom nie daje się pierwszego imienia.

– Chciałem zostawić ją dla siebie.

– W *sotni* nie można trzymać swoich kobiet. Wszystkie muszą odejść na dół.

– Ale ja kończę służbę.

– Kiedy to wypada?

– Za miesiąc.

– Dokładnie liczysz... – Hjalmir pokiwał głową.

– Tak mam napisane na certyfikacie. Data nie zmieniona od dwudziestu pięciu lat.

Już nocą wrócili żołnierze Quirinu. Nie przyprowadzili nikogo, ale też nie ponieśli strat. W ich rejonie przechodziły dzisiaj całe watahy Czarnych. Jakakolwiek akcja zaczepna była niemożliwa.

Na noc Hjalmir zakuł ręce i nogi Adamsa w kajdany połączone łańcuchem. Wszyscy niewolnicy w obozie byli tak skuwani. Reszta kajdan walała się na kupie przykrytej płachtą. Przynajmniej nie został skuty z innymi, mógł ułożyć się przy legionistach. Dostał pled, nieźle chroniący przed chłodem wieczoru. Wkopał się dodatkowo pod stertę opończ dla brańców. Tutaj musiało być nad ranem naprawdę zimno.

Spytał Hjalмира o tę szybką diagnozę. Nie przypuszczał, żeby proste oględziny mogły wykluczyć zbyt wiele chorób.

– Aidsa w ogóle nie jestem w stanie wykryć, chyba że już mocno zaawansowanego.

– Więc kłamałeś, panie.

– I tak, i nie... – Hjalmir zakreślił dłońmi koło. – Nie zdarzył się jeszcze braniec z mało rozwiniętą chorobą. Nikogo jeszcze nie zakazili po mojej diagnozie. Jak idzie który z aidsem, to choroba wypisana na ciele, że nie może być wyraźniej. Jak syfilityk, to zawsze taki jak ten rozwalony przez Pachoma.

– Twardnieje człowiek w legionowej służbie – Adams nie mógł uwolnić się od wspomnienia podwójnego morderstwa.

– Tak?

– Nie przypuszczałbym, że brat Adali potrafi zabić z zimną krwią dwóch ludzi. Oczywiście, jak jest potrzeba...

– Pachom nie potrafiłby zabić człowieka z zimną krwią.

– A ci dwaj?

– Golcy?

– No przecież.

– Po tamtej stronie Linii słowa „życie” i „śmierć” trochę zmieniają znaczenie. Za parę dni oni obaj znowu będą szli z transportem. Trzeba było spytać o ich imiona, to mógłbyś ich sam odnaleźć.

– Spotkałeś już takich w pochodzie, panie?

– Zobaczysz jutro, co zostanie z ich ciał. Gdybym wiedział, że będziesz wątpić, kazałbym ci przystawić tę uciętą głowę do kadłuba. Wynik byłby jeszcze ciekawszy. Powinieneś wierzyć swojemu panu, niewolniku... – zniecierpliwiał się. – Pachom popisywał się przed tobą. Zmarnował nabój. Po tamtej stronie przełęcz nie używa się broni palnej, może to sprowadzić całą hałastwę Czarnych na głowę – dodał po chwili milczenia.

– Po co oficer miałby się popisywać przed niewolnikiem?

– Trochę słyszeliśmy tu o tobie. Nie jesteś zwykłym niewolnikiem. Sam przecież to powiedział. Zresztą znasz jego siostrę – dorzucił i szczelniej zakutał się w szmaty.

Chirurg rzadko towarzyszył oddziałom na Linii, jednak dziś Hjalmer dołączył do patrolu *decymusa* Quirinu. Adamsa wyposażył w przyrdzewiały, ale za to krzywy pałasz. Bładym świtem wyruszyli piarżystą ścieżką na grań, potem do Mroczej Przełęczy i na płaskowyż. Niektórzy jeszcze w marszu kończyli racje sucharów.

„Czy tam nigdy nie świeci słońce?”, zastanawiał się Adams, zerkając na mrocze niebo nad odległym horyzontem.

Legioniści mówili na to miejsce Czarny Wschód, gdyż słońce wychodziło zza chmur ledwie przed południem, kiedy było już wysoko nad horyzontem.

Ze zwłok obu zabitych brańców pozostał jeden szkielet. Błyskał białą, gładką kością.

– Widziałeś coś takiego? – Hjalmer wskazał podbródkiem na kości. – Czyste, jak wypolerowane.

– Co je tak wyczyściło?

– Wiatr Noży. Zwykle przychodzi w nocy.

– Kto przystawił tę czaszkę?

– Sama się posklejała. To ten zastrzelony.

– A tamten drugi?

– Już podrałował. Ale i ten zniknie do wieczora.

Oddalali się od przełęczy. Teren łagodnie opadał. Kłęby kolczastych krzaków przekraczały wysokością wzrost człowieka. Stąpali po płaskich skalnych płytach. Stopy bolały, gdy drobne kamyczki dostawały się między podeszwę sandału i stopę. To obuwie nie nadawało się do wędrowek górskich. Legioniści owijali stopy onucami, ale to nie pomagało.

Coraz częściej napotykali płyty spiętrzone w piramidy. Niektóre tworzyły naturalne koleby: pustą przestrzeń pomiędzy głazami, od góry nakrytą pojedynczą płytą.

– Te wszystkie koleby są sztuczne. To legionowa robota – wyjaśnił Quirinu. – Ciągłe je stawiamy, a przydałoby się jeszcze więcej.

Kryjówek było wiele, na ogół prostych konstrukcji z trzech ścian; niektóre miały dachy uszczelniane kłębami cierni. Większość osłaniała od płaskowyżu, inne od przełęczy; jeszcze inne były całkiem zabudowane.

– Jak jest spokojnie, to służbę poświęcamy robotom inżynieryjnym. Czarne tego nie burzą. Nie poznają, że to sztuczne. – Quirinu strzyknął czerwoną śliną.

– Jak właściwie przebiega Linia? – zapytał Adams. Stary oficer chętnie rozmawiał z niewolnikiem.

– Mroczną Przełęczą, więc tutaj powinna być już Strona Trupa, ale chyba jesteśmy jeszcze na ziemi niczyjej.

– Nie wiadomo dokładnie?

– Niektórzy mówią, że stamtąd nie da się wrócić. My wracamy z patroli, więc to jeszcze nie jest naprawdę ich strona...

Znajdowali się już głęboko po stronie płaskowyżu. Stąd przełęcz nie była już widoczna. Całe zbocze usiane było kryjówkami-fortyfikacjami.

Oalbertus, chudy jak wiór legionista, wypatrył nadchodzącą grupę. Oddział zaległ za płytowatymi wantami. Rozdzielili się między trzy koleby.

Od lewej, czyli od północy, jak twierdził Quirinu, zbliżała się kolumna pieszych. Niektórzy wyróżniali się wzrostem i posturą, stawiali kroki w innym rytmie. Wiatr przyniósł od nich mocny, ostry zapach. Jego kierunek utrudniał zdemaskowanie żołnierzy, ale widać było, że tamci przejdą bardzo blisko.

– Żeby nas młode nie wyniuchały. – Quirinu zerknął na kłęb cierni zasłaniający dziurę w stropie koleby.

– Tędy?

– Małe Czarne fruwią, mogą nas wypatrzeć z góry. Na dodatek rzucają kamienie.

– Ale tamte nie fruną...

– Gdy dorastają, tracą skrzydła i chodzą po ziemi. Małego lepiej nie trafić, stare wtedy dostają szau.

Po paru minutach Adams wtulił się w ziemię, najmocniej jak potrafił: niemal przed jego nosem defilowała czereda Czarnych. Rogate stwory, zajęte rozmową i swarami, nie zwracały większej uwagi na otoczenie. Nie były uzbrojone, nie dźwigały zapasów. Ot, jakiś przemarsz, przegrupowanie, bo trudno przypuszczać, że spacer dla przyjemności. Legioniści wpatrywali się w nie jak urzeczeni. Czarne nie mogły wywęszyć patrolu, bo ludzie szli pod wiatr. Za to fetor bijący od Czarnych był nie do zniesienia. Mocny, drażniący, nie do pomylenia z jakimkolwiek innym zapachem.

Idące stwory demonstrowały cały zasób dziwaczności i pokraczności. Jedne miały dodatkowe łby na piersi, inne patrzące w tył, na zadku, jeszcze inne szczyliły się dodatkowym pyskiem sterczącym na przyrodzeniu. Niektórym, wyposażonym w workowate cyce, z monstrualnego sromu sterczała dodatkowa głowa na cieniutkiej szyi. Liczne łby czy pyski nieustannie łupały ślepiami, mlaskały ozorami, coś gadały. Czarny jawił się raczej jako cała grupa różnych stworów niż pojedyncza istota. Wiele z nich miało czarną skórę, sporo też było w różnych odcieniach brązów i czerwieni, rzadziej

trafiały się wielobarwne czy pstrokate.

Wokół nich młode śmigwały jak rogate jaskółki. Starannie omijały zarośla, chroniąc błoniaste skrzydła. Te zwykle były czarne albo ciemnośniade, czasem zdarzały się ogniecie czerwone.

Nagle jeden z młodych przemknął zbyt blisko dorosłego. Ten błyskawicznie machnął muskularnym ramieniem, strącając niefortunnego lotnika. Mały, chyba z przetrąconym karkiem, próbował niezdarnie czołgać się przed siebie. Stary schylił się i podniósł go. Przyjrzał mu się uważnie, następnie rozdarł skrzeczące stworzenie na strzępy i pożarł, głośno mlaskając. Drobnie kości zgniatał zębami i wysysał; wnętrzności cisnął w krzaki; palcem wydlubał oczy i zeżarł, następnie czaszkę zgniótł w dłoniach jak orzech; mózg wybrał palcem, a czerep wyrzucił.

Zdumiewało nie tyle okrucieństwo, do jakiego Adams zdołał przywyknąć, ale zupełna obojętność starego, który niedojrzałe stworzenie swojego gatunku potraktował jak pokarm. To nawet nie wyglądało jak kanibalizm: wyłuskał mózg małego, jak smacznego małża ze skorupy. Ot, posiłek w marszu.

– Mówiłeś, panie, że bronią swych małych jak szalone – powiedział Adams, kiedy urwała się kolumna przeciwników.

– Tak jest. Lepiej nie trafić szczeniaka.

– A ten tutaj?

– To inna sprawa. Im wolno. Rozszarpia i zeżrą każdego małego, jaki im się nawinie w łapska. Obyśmy cało wycofali się na przełęcz. Dzisiaj tędy idą, a my jesteśmy za blisko ich przemarszu. Na razie biegiem, tam! – Wskazał dobre miejsce w kolebie nieco wyżej. Szeptem rzucił komendę.

Żołnierze wycofali się, zanim nowa grupa Czarnych wyłoniła się z oddali. Nawet niedługi bieg pod górę, w rynsztunku, potrafi zarznąć każde serce. Ciężko sapali, rozplaszczeni w nowej kryjówce.

W samą porę, gdyż spoza skał nadeszła następna gromada. Czarne mają dobry wzrok, słuch i węch. Lepsze zmysły niż ludzie. Na swoim terenie z pewnością zaatakowałyby. A potrafią dłużej biec pod górę niż człowiek.

Grupy Czarnych maszerowały niemal bez przerwy do wieczora. Nad każdą fruwały młode. Goniły się w powietrzu, zderzały się, baraszkowały.

Było już późno, kiedy mogli się wycofać w stronę przełęczy.

– Lepiej tutaj nie czekać na Wiatr Noży. – Quirinu wskazał ku przełęczy.

Wystarczyło. Żołnierze ruszyli wyteżonym marszobiegami. Nikogo nie pojmano, sukcesem było, że wszyscy wrócili do obozu. Szkieletu ściętego brańca już nie zastali.

Adams przy kolacji usiadł koło Barbera. Gdy wytarli już chlebem resztki tłustego sosu z misek,

a jeszcze nie sięgnęli po kubki, Adams zagadał:

– Mało czarnych w obozie. Tylko ty i Hugge. A w Krum jest ich znacznie więcej...

Nagle świat zatoczył koło. Adams runął do tyłu na ziemię. Barber siedział na nim, hakiem przygniół prawe ramię, a do gardła przycisnął sztylet.

– Jeszcze słowo, a cię zarżnę, ścierwo – wysyczał. Adamsa zamurowało, patrzył zdumiony.

– Jestem Murzynem, rozumiesz...?! – Barber gniótł mu gardło sztyletem. – Z Czarnymi wszyscy walczyliśmy. Czarny to kolor smutku, rozpacz i *behmeta*, nie mój. Nigdy więcej tak nie mów.

– Jasne – wydyszał Adams.

– Jak ci się „Murzyn” nie podoba, możesz powiedzieć „Smoluch” albo „Asfalt” i najwyżej dostaniesz w mordę, ale nigdy nie powiedz „Czarny”.

– Jesteś Murzynem, żołnierzu.

– No. – Barber uwolnił go ze stalowego chwytu. – Miałeś szczęście, bo Hugge zarżnąłby cię za to i wypłacił równowartość Hjalmirowi.

Adams wygramolił się spod niego. Nie krwawił.

– Czarny jak i czerwony to kolor *behmeta*, nie człowieka – powiedział później Hjalmir. – Jak złapiemy Czarnego, to Barber przyłoży swoje ramię do skóry tamtego. Zobaczysz, że to zupełnie inny kolor, tyle że też ciemny.

– Barber zabiłby mnie za coś takiego.

– Barber nie chciał cię zabić. Przyciskał gardło tępą stroną sztyletu. A ty lepiej siadaj przy ognisku z oficerami, nie ze *simplami*. Jesteś niewolnikiem Katrupa.

Nazajutrz Adama znowu przydzielono do *decymy* Quirinu jako felczera. Hjalmir zabrał się z oddziałem Pachoma. Adams próbował wyjaśniać, że jest ignorantem medycznym.

– Gdybyś nie poszedł, mieliby jeszcze gorszą opiekę medyczną. A poza tym to rozkaz, niewolniku.

Adams skinął głową w zadumie: oba zdania były prawdziwe.

Ścieżki oddziałów wkrótce rozeszły się. Pachom poprowadził granią na zachód, skąd nadchodzą Golcy, Quirinu płaskowyżem w dół. I podobnie jak wczoraj nie miał szczęścia. Ledwie zalegli w kolebach przy Drodze Trupa i zamaskowali się kłębami cierni, a już nadeszły hordy Czarnych. Wystarczająco blisko, by ich obejrzyć.

Skrajem grupy szła samica, otoczona wirującym kłębem młodych i oganiająca się od nich energicznie. Zgromadziły się nad nią chyba wszystkie szczeniaki towarzyszące tej grupie. Wreszcie jeden z nich, zręcznie unikając ciosu, przemknął pod włochatym, masywnym ramieniem i przypiął się pyszczkiem do długiej brodawki wieńczącej wielki, workowaty cyc *gabery*. Wtedy samica się uspokoiła. Przestała opędzać się od innych młodych, opuściła ramiona. Nie protestowała. Nie przerywając marszu, karmiła szczeniaka, który z daleka przypominał małego nietoperza ze złożonymi czarnymi, błoniastymi skrzydłami. Natychmiast z okazji skorzystał inny mały, który przywarł do wolnej brodawki. Zaraz potem jeszcze inne obsiadły jej ramiona i brzuch.

Czarna miała cyce w kształcie ruchliwych twarzy, przyjmujących różne grymasy, z wystającymi grubymi, cylindrycznymi brodawkami. Kiedy małe ssały jej mleko, obie twarze paradoksalnie wykrzywiały się do nich, naśladując ich ruchy, jakby to one ssały pyszczek małego.

„Mogłaby je teraz bez trudu wyłapać i pożreć” pomyślał Adams. „Wyraźnie przejawia instynkt macierzyński”.

Stało się coś dziwnego. Reszta małych zerwała się z niej, skierowała do innych samic z grupy i kolejno jeden za drugim przysysały się do ich cyców. Żadna z Czarnych nie próbowała ich odganiać, wszystkie posłusznie karmiły młode. Jedyne kilkoro małych maruderów zataczało bezradnie kółka nad pochodem. Dla nich nie starczyło brodawek.

– *Gabera* zmienia zapach, kiedy karmi – wyjaśnił potem Quirinu. – Inne to czują i też pozwalają się doić. Gdybyśmy bliżej zalegli, sambyś poczuł różnicę. Nie cuchnie tak wstrętnie jak zwykle. Niektórzy lubią zapach karmiącej *gabery*.

Koło południa nadeszła chwila przerwy w przechodzących grupach. Zapowiadało się, że jedynym plonem kolejnego dnia będą znowu bolące gnaty i raport *rachubca*. Jego zadaniem było zliczać przechodzących Drogą Trupa oraz klepsydrą mierzyć całkowity czas obserwacji. Dopisywał jeszcze, jak wcześniej wyszli na patrol. Drubbaal starannie czytał te raporty. Pozwalały mu trafnie planować przyszłe, śmiałe i zwycięskie akcje.

W następnej grupie wśród idących Adams dostrzegł ludzi. Brzydcy, o różnych kolorach skóry: mężczyźni na ogół łysi lub o nadzwyczaj przerzedzonych włosach, z balonowatymi brzuchami i patykowatymi nogami, spoceni, bezzębni; kobiety tłuste, rozochrane, o skórze przeświecającej między włosami, z małymi, obwisłymi piersiami, z twarzami nalanymi, zaciętymi i złymi. Niektórzy byli potwornie wychudzeni, zgarbieni, mieli chorobowe przebarwienia na skórze; jeszcze inni mimo wychudzenia uginali się pod ciężarem wzdętych brzuchów. Wszyscy pozbawieni byli włosów łonowych, a ich przyrodzenia szczelnie skrywały przypięte spore liście – ani jeden nie był zielony, wszystkie miały cielisty kolor. Nadzy, nie licząc dziwnego przyrodzenia, jakby z satysfakcją demonstrowali światu szpetotę swoich ciał. Kolumna ciągnęła się w nieskończoność. Idących ludzi nikt nie pilnował. Niektórzy rozmawiali ze sobą, inni szli w milczeniu. Nie byli podobni do siebie, ale nie było wśród nich nikogo o pięknym czy chociaż ładnym ciele.

– Można by ich namówić, żeby przeszli na Stronę Człowieka.

– Ich przekonać...? – Gjuirinu wykrzywił się ironicznie. – Golcy wolą iść z Czarnymi.

– Da się do takiego zagadać? – Adams już widział pochód ludzkich manekinów. Ale tamten nie mógł być realny, ludzi pilnowały wtedy kościotrupy.

– Czasami idą pojedynczo albo w małych grupkach. Wtedy można z takim pogadać.

– Do kogo oni idą?

– Zwykle mówią, że do swojego pana, Lewiahatannaha. Bzdura, bo to przecież Pan z Morza. Muszą iść gdzie indziej.

– Może udałoby się cały pochód przekonać...? To cała armia. Razem roznieślibyśmy w puch wszystkie watahy Czarnych. Muszą wśród nich być jacyś rozsądniejsi.

– Tak i nie. Z naszymi siłami jesteśmy w stanie utrzymać przełęcz, a kto wyżywiłby tyle gęb, kto by ich odział? Już teraz miasto jęczy z powodu kontrybucji dla wojska.

Leżący opodal żołnierze przysłuchiwali się rozmowie. Niektórzy musieli myśleć jak Adams.

Znów pojawiły się Czarne. Jedne na skraju grupy, inne przemieszane z ludźmi. Niektóre zawiadywały tym dziwnym pochodem, który sprawiał wrażenie, jakby nie miał ani początku, ani końca. A nie skończył się do wieczora. Głodni i przemarznięci żołnierze do obozu zwlekli się dopiero o zmroku.

Adams przysiadł przy ognisku, koło chirurga. Siedzieli tu w kółku podoficerowie, *decymusi* i *katrup*. Przy sąsiednim ogniu gromadzili się żołnierze. Nie było to regułą, ale zwykle rozpalano dwa ogniska.

– Dziwnie ubrani byli ci wędrowcy – zaczął rozmowę.

– Golcy są całkiem nadzy.

– A te liście zasłaniające przyrodzenia?

– To im samo na jajach wyrasta, jak idą Drogą Trupa. Adams zrobił tak głupią minę, że Hjalmir parsknął śmiechem.

– No tak... No tak... Po to, żeby taki nie mógł dymać – wyjaśniał, rechocząc. – Babom też zarasta. Wyobrażasz sobie, co oni by tam wyprawiali, gdyby mogli...? Hyc w pary, odmieść zielsko z kamieni i myk do parteru. Płyty płaskie, to w tyłek nie gniecie. – Rechotał głośno. – Nic ich już nie czeka, więc gdyby mogli, to rznąliby się na okrągło. Przecież tłumy chętnych, gołych bab są pod ręką. Dlatego właśnie każdemu wyrasta taki liść.

– A brańcy? – zapytał Adams. Podejrzewał, że ludność Krum to potomkowie odbitych z transportów.

– Przy okazji ci wyjaśnię. Dzisiaj już za późno. Jakbym zapomniał, to mi przypomnij.

Przy ognisku *simpli* rozmowa ożywiła się.

– *Nasz korpuśny to jest cipa* – ktoś zaintonował.

– *A my dwaj jego ekipa* – podchwycili inni.

– Tyle im wolno. – Hjalmir lekceważąco machnął ręką. – Odkąd tu jestem, wyśpiewują te same szyderstwa. Jutro obaj pójdziemy z Quirinu.

– Z Quirinu? Pachom ma więcej szczęścia. Dzisiaj sprowadził trzech brańców, w tym dwie kobiety.

Hjalmir niechętnie spojrział na krnąbrnego niewolnika.

– Quirinu jest dobrym dowódcą. Poza tym Hugge odchodzi, a z Pachomem zaraz byś się zbratał. To tym gorsze, że już wkrótce nadejdzie sam Drubbaal. Lepiej, żeby cię spotkał przy mnie. Nie chcę stracić swojej forsy...

Adams nie miał żadnej ochoty bratać się z Pachomem, ale się nie odezwał.

Nadejście Drubbaala opóźniało się. *Sotnik* odniósł wielki sukces, zgarniając ponad stu brańców. Stało się to jednak przyczyną obecnych kłopotów. Najpierw sporo czasu zajęło sprzedanie ich w Dolnym Mieście i okolicznych osadach. Rynek niewolników nie był wielki, nadmierna podaż obniżyła ceny. Na dodatek wywołało to silną reakcję Czarnych, które na swój niezorganizowany, jednak bardzo agresywny sposób próbowały przegnać legionistów. W kilku kolejnych potyczkach Drubbaal stracił sześciu ludzi, teraz musiał czekać na uzupełnienia z Krum. Nie opuszczał obozu na Nocnej Grani o kilkanaście kilometrów na wschód od Mroczej Przełęczy, odpierając zażarte ataki Czarnych.

– Chodź, podszkolisz się. – Hjalmir wyrwał Adamsa z rozważań, jak by tu udoskonalić sandały, by nie męczyły stóp tak bardzo.

Adams zebrał się i zawinął w wypłowiały płaszcz legionowy, bo ciągnął ziąb.

Hjalmir szturchnął stopą drzemiącego Barbera.

Legionista instynktownie sięgnął po *gladius*. Widząc, że to swoi, rozluźnił się.

– Co jest?! Odpieprz się, *katrup*. Nic nie mam do twojego pomocnika.

– Odesłałeś już na dół tę swoją czarnulę?

– Co ci do tego?

– Kazałeś mi sprawdzić, czy nie ma syfa.

– Zapłaciłem uczciwie. Grosza więcej nie dostaniesz.

– Nie będziesz płacił. Sam chcę sprawdzić, czy uczciwie zarobiłem forszę. Gryzą mnie wątpliwości.

Barber zerknął uważniej.

– Tam siedzi, za kamieniami, przy innych brankach. – Błysnął białkami, wskazując kierunek. – Chcesz ją rozkuć?

– Nie trzeba.

Zmarznięte niewolnice tuliły się do siebie, szczelnie zakutane w opończe. Łatwo ją rozpoznali.

– Wstawaj. Mamy cię zbadać – rzucił Hjalmir.

– Znowu?

– Chora na syfa nie będzie gospodynią w Krum. Dziewczyna nie marudziła więcej, zebrała się

i poszła za nimi, szczękając łańcuchem. Zatrzymali się za skałami.

– Rozbieraj się. Przepaskę też – powiedział Hjalmir. – Stań w rozkroku, żebyśmy ci mogli zajrzeć z przodu.

Obaj przykucnęli przed nią. Dziewczyna poddawała się oględzinom z widoczną przykrością i wstydem.

Jej łono zasłaniał okazały liść uformowany ze skóry. Wszystko miał jak trzeba: łodyżkę, żyłki, wystrzępione krawędzie, tylko że dotknięty, grzał jak ludzkie ciało.

– Już zaczął zanikać – powiedział Hjalmir. – Dwa miesiące i zrobi się jej z tego elegancka cipka. – Powiódł palcem po promieniu idącym w osi liścia. Dziewczyna cofnęła się zażenowana.

– No, stójże spokojnie. To tylko badanie. – Wskazał palcem małe pęknięcie tego promienia. – Na razie tędy sika, ale będzie coraz lepiej.

Dziewczyna wzdrygnęła się pod dotknięciem. Hjalmir zerknął porozumiewawczo na Adamsa.

– Starannie się wycieraj po sikaniu, bo może ci się zrobić zapalenie.

– Tak.

– Jest w porządku – powiedział Hjalmir. – Możemy wracać. Nie masz syfa. Barber będzie miał z ciebie pożytek.

Adams zauważył, że niewolnica zrzuciła sporo nadwagi.

– Tak. Odmłodnieje, wyszczupleje i wyładnieje – wyjaśnił chirurg. – W miarę jak *fartuszek* się cofnie i szpetota gdzieś się schowa.

– To jest *fartuszek*?

– Oni wszyscy wolą na to mówić *fartuszek*, nie listek. Facet ma wrośnięte w *fartuszek* zarówno jaja, jak i członek. Od spodu, pod liściem, można zauważyć ślady tych utensyliów. Jak chcesz, to możemy przebadać jakiegoś brańca.

– Wystarczy.

Dla Adamsa dni służby stały się podobne jeden do drugiego: zwiad głęboko na płaskowyżu, podkradanie brańców. Ani razu nie wziął udziału w potyczce z Czarnymi. Żołnierze wierzyli, że Czarnego nie da się zabić, póki ten jest po Stronie Trupa. Unikali więc bezpośredniego starcia po stronie pustynnego płaskowyżu, a bliżej Czarne nie chciały się zapuszczać. Zajęli się więc inżynierią. Nigdy dość schronów.

Nową kolebę wzniesli w ciągu kilku wypadów, teraz skutecznie chroniła przed okiem Czarnych. Dwóch zwiadowców drzemało, przykrywszy twarze płaszczami; Adams zerkał w

kierunku odchodzących kolumn Golców, a *korpuśny* Chetti obserwował pozostałe kierunki.

Tam, dokąd podążały transporty, niebo było zawsze mroczne. Jakby słońce nie podnosiło się tak wysoko, by wprost oświetlać płaskowyż, jakby z tamtej strony drogę promieniom słonecznym przecinała jakaś niezwykle wysoka zaporą. Z powodu specyfiki tutejszego klimatu Adams nie pamiętał prawdziwie słonecznego dnia, a tylko mniej lub bardziej zachmurzone lub zamglone; za najpiękniejszą pogodę miejscowi uznawali ciemne, brunatnoszare chmury, zwane *Pieczęcią Sylwestra*.

Zamierzał podzielić się tym spostrzeżeniem z *korpuśnym*, kiedy dostrzegł chmurkę w oddali, niby ruchome pasmo mgły, idące przy ziemi. Jakby wrysowane – zbyt wyraziste i dziwaczne. Szybko rosło, potężniało, nadlatywało z potężniejącym szumem.

– Burza nadchodzi – szepnął do Chettiego.

– To nie burza, tylko Wiatr Noży. To cholera nie nadchodzi prawie nigdy w dzień...! – Chetti wydał pośpiesznie komendy, zbudzono śpiących, wszyscy zalegli płasko na kamieniach, zachowując absolutną ciszę.

Chmura była sinoniebieska, dzieliła się na mocno zarysowane pasma.

Właśnie mijała ich kryjówkę grupa wędrujących. Szli sami, nikt ich nie pilnował. Adams ujrzał, jak pierwsze pasmo sinej mgły weszło w kolumnę idących. Trafiona ostrzem mgły tęga kobieta o tłustych, czarnych włosach, zaplecionych w ciasny kok, zatrzymała się, dobiegł jej przeraźliwy krzyk. Mgła zdierała skórę kobiety jak pilnik. Wokół fruwały czerwone drobinki. Krew, strzępki skóry?

Kobieta stała jakby zdumiona. Gdy mgła wyrwała, czy wypłukała jej tchawicę, krzyk umilkł. Za to krzyczeli inni atakowani kolejnymi pasmami mgły. Wokół poczerwieniało od fruwających drobin.

Trafieni nie upadali, może pęd wichru nie pozwalał im runąć. Zdumiewała selektywność tych ataków: spośród całej wędrującej grupy mgła wybrała tylko kilka osób. Teraz zlizywała z nich ciało, odsłaniając narządy wewnętrzne.

Wokół zaroilo się od much. Mgła ściągnęła za sobą całą ich chmurę. Zaciekle uganiały się za skrawkami ciała ofiar.

„Mgła może nas wysledzić. Trzeba stąd natychmiast uciekać”, pomyślał Adams i spojrzał znacząco na Chettiego.

– Czekaj. Obserwuj – szept *korpuśnego* był jak tchnienie wiatru.

Pasma wirowały wokół wybranych osób. Pozostawiały ociekające krwią ciała, żebra, wokół których kłębiły się sine drobiny, puste oczodoły. Nagie kości natychmiast obsiadały muchy, łapczywie zlizując krew i limfę.

Żadna z ofiar nie upadła. Wybielone szkielety nie rozsypały się, pozostały na nich resztki

ścięgien, więzadła spajające strukturę w całość. Wir jak nadleciał, tak zniknął. Świszczący ucichł, pozostał natrętny bzyk. Muchy suszyły odsłonięte powierzchnie kości z resztek wilgoci. Wreszcie i one nie znalazły pożywienia. Zerwały się w powietrze ciemnym kłębem i odleciały.

Rozebrana ostatecznie kobieta poruszyła ręką, spojrzała na nią. Z głębi oczodołów zerkały przerażone, pozostawione tam niby przypadkiem, a poruszane cieniutkimi pasemkami mięśni, gałki oczne. Pozostał jej też kok szarych włosów, choć jakby wyrastający wprost z czaszki. Wyschła skóra była niemal niewidoczna. Kości spojone były słabo zarysowaną tkanką, tworzącą cienką, pomarszczoną warstwę wokół stawów. Cała reszta kośćca była odsłonięta jak model anatomiczny. „Przecież ona nie ma mięśni, by ruszać tymi piszczelami”, pomyślał Adams.

Jednak poruszyła się. Zrobiła nieśmiało pierwszy krok. Inne kościotrupy przyglądały się jej uważnie, one też coraz śmieiej próbowały swoich możliwości. Szkielet-kobieta ruszył w drogę za resztą pochodu. W ślad za nią poszli inni odarci. Niektórym pozostały oczy, innym suche, bezbarwne włosy. Pozostali wędrowcy, których ominął Wiatr Noży, po chwili przestali dziwić się ich towarzystwu.

Adams widział już kiedyś szkielety wśród pochodu. Uznał wtedy, że była to halucynacja wywołana wyciekami wulkanicznymi, a za kościotrupy wziął zwyczajnych dozorców. Teraz widział to samo, powietrze zaś było czyste, mroźne i świeże, jak to bywa w górach. Ani śladu otępiających oparów. Pozostali żołnierze widzieli to samo.

Wrócili na przełęcz w zapadających ciemnościach. Nie było mowy, żeby łązić po grani w zupełnym mroku, więc zabiwakowali pod Mroczną Przełęczą. Adams, zawinięty w pled, marzył przy małym ognisku, które ledwie rozganiało ciemności, ciepła nie dając. Palla dorzucał do ognia małe kłębki kolczastej trawy, w sam raz, by płomień nie wychynał zza gładów i nie ściągnął przypadkiem *busierców*.

Adams zagadał do *korpuśnego*; żołnierze przyzwyczaili się, że felczer rozpytuje o najróżniejsze sprawy dotyczące służby i uważnie słucha.

– Suche nie mówią – rzucił Chetti, gdy uraczył się łykiem z manierki Adamsa. – Ale ze złapanym można się porozumieć.

– Złapanym?

– W sieci. Najlepsze są druciane, ale takie dużo kosztują. Nie walczy się z Suchymi. Omija się ich. Sterczą z nich te ostre gnaty, człowiek porani się, próbując takiego złapać.

– Jak się porozumiewacie?

– *Sotnik* Drubbaal nauczył nas numerować litery. Trupistwór stuka gnatem w kamień. Długo to trwa, ale obaj z Hjalmiem potrafią całą noc wypytywać takiego. Znaczący, Drubbaal pyta, a *katrup* notuje w swoim kapowniku. Potem puszczają Trupistwora wolno. Żaden pożytek z takich gnatów: ani do ozdoby, ani do obrony. Porozdzielać się nie da, tak mocno poszczepiane.

Gdy w obozie było więcej brańców, łańcuchów nie starczało na oddzielne zabezpieczenie niewolnika legionowego i Adamsa skuwano z nimi. Nie było to przyjemne, chociaż Hjalmar nie zaciskał mu metalowych obręczy na rękach ani na nogach, a już nigdy nie zakładał kolczatek. Zresztą używano ich bardzo rzadko, bo brańcy zachowywali się potulnie.

Bardziej dokuczliwe od kajdan były utrapione ptaszyska, zwykle gawrony i wrony, które zlatywały się w pobliże obozu w poszukiwaniu resztek. Półoswojone, kradły jedzenie, jak się tylko dało. Raz Adams stracił całą słoninę do kolacyjnej kaszy, kiedy nieostrożnie odstawił miskę, układając się wygodniej w łańcuchach.

Nad ranem robiło się naprawdę zimno, jednak wtedy zwykle brańcy już wykopali się ze swoich workowatych koszul i było czym się przykryć. Niby apatyczni, ale wystarczyło z nich spuścić wzrok, a już starali się wydobyć z odzieży. Już po paru dniach to ich dziwaczne pragnienie słabło. W miarę jak budowa wracała do normy, zachowanie też normalniało.

Adams zbudził się skoro świt, drżąc z zimna. W zasięgu ręki nie było dodatkowego przykrycia. Przyglądał mu się okazały gawron. Ptaszysko przekrzywiało głowę i raz jednym, raz drugim okiem lypało na Adamsa. „Upasł się na naszych racjach”, Adams spojrzał na niego niechętnie.

Ptak dreptał, przestępując z nogi na nogę. Nie mógł się zdecydować, czy nadal obserwować Adamsa, czy gdzie indziej poszukać darmowego śniadania.

„Upłynie jeszcze z godzina, zanim słońce zacznie grzać”, pomyślał Adams. Skulił się w kłębek.

Niedaleko leżał tłusty braniec. Szpetny, łysy mężczyzna przez noc ściągnął z siebie koszulę i zaplatał sobie w nią ręce. Pokryty gęsią skórką wielkości ziaren grochu i siny jak *Pieczeń Sylwestra*, nie próbował się odziać. Leżał bez ruchu na wznak. Nie spał. Nieruchomy wzrok wlepił w niebo. Wczoraj powiedział, że nazywa się Cyrjak. Może by do niego zagadać?

Adams poprawił się, bo ramię zdrętwiało. Mocniej otulił się futrem, dreszcze nie słabły.

Gawron zatrzepotał skrzydłami, zerwał się ciężko i wylądował na piersi brańca. Zrobił parę kroków, przymierzył w błyszczące oko, ale chybił, i trafił w skórę na czole. Cyrjak skrzywił się i przymknął powieki. W ranie pokazała się krew.

Ptak, nie nęcony blaskiem oczu, zostawił w spokoju twarz leżącego i podreptał na jego brzuch. Zainteresował się liściem. Raz i drugi dziobnął w *fartuszek*. Golec zadrżał z bólu, tłumiąc jęk, ale nie zmienił pozycji.

Adams skrzywił się z obrzydzenia.

Głodny gawron metodycznie raz za razem dziobał Golca w genitalia, wyskubując spod liścia małe kawałki skóry. Braniec krwawił coraz obficiej; wił się z bólu i wyginał, ale nie próbował odpędzić ptaszyska.

– Ruszże się, człowieku! – nie wytrzymał Adams. – Machnij ręką! Odpędź tę cholere! – Szarpnął za łańcuch, łączący go z grubasem. Gawron podskoczył, ale nie dał się przepłoszyć.

Cyrjak zerknął na Adamsa przez zaciśnięte szparki oczu. Pojękiwał w takt uderzeń ptasiego dzioba. Jego nogi same zginały się, by ochronić rozrywane genitalia, jednak mężczyzna nie odpędzał niegroźnego przecież napastnika. Krzyki Adamsa ściągnęły wartownika.

– A ty czego?!

Adams wskazał podbródkiem dziobanego.

Żołnierz wzruszył ramionami, ale odpędził żarłoczne ptaszysko. Nawet cisnął za nim kamieniem.

Łzy struzką ściekały poranionemu mężczyźnie spod zaciśniętych powiek.

– Ten jest *korpuśnego* – mruknął wartownik.

Po chwili wrócił z zaspanym podoficerem. Chetti obejrzał ranę brańca. Pokręcił głową.

– Nie warto mu z powrotem naciągać tej koszuli, bo się zakrwawi. Zupełnie popsuty. Nawet na eunucha się nie nada. Rana paskudna, zakażenie pójdzie. Dam go na *tarczę* – zawyrokował. – Obróć się na brzuch – powiedział do Cyrjaka.

Golec posłusznie zmienił pozycję. Zapytany przy śniadaniu, Hjalmir wyjaśnił:

– Śmierdzą im niemyte jaja, dlatego przyciągają głodne ptaki. Oczy chronią przed ptasim dziobem, reszta ciała ich nie obchodzi, *fartuszki* sami nadstawiają. Myślą, że ptak usunie narośl.

– Przecież ich boli. On się wił, jęczał i płakał. Hjalmir wzruszył ramionami:

– Spytaj takiego, odpowie ci, że już podjął wszystkie decyzje i nie zamierza ani ich zmieniać, ani podejmować nowych. Rozpacz i zwątpienie. Nic innego nie tłumaczy ich niechęci do decydowania. Ten i tak był dość rozgarnięty. Może mu się bab chciało i dlatego nadstawiał *fartuszek*.

– Pachom przysłał ojcu takiego jednego, Kuczera. Ale tamten zachowywał się normalnie.

– Zgadza się. Po Stronie Człowieka powoli normalnieją. Coraz mniej przypominają manekiny.

– Gdyby takiego Kuczera sprowadzić tu z powrotem, to znowu straci zdolność decydowania?

– Jak dłużej pobędzie w Dolnym Mieście, to już nie. Pytanie, czy nie można by wydawać im więcej wody do mycia, nie padło. W obozie na grani często brakowało jej nawet dla żołnierzy.

Gdy zgromadzono już w obozie dość brańców miernej jakości, których nie chciał wziąć żaden legionista, Quirinu spróbował polowania z *tarczami*. Kiedy na horyzoncie nie było widać ani jednego Czarnego, a wśród idących znajdowały się najwyżej Trupistwory, formowano zwartą grupę pieszych ze skutymi brańcami od przodu, tyłu i po bokach, a dwoma krzepkimi legionistami ukrytymi w środku. Kierowani kuksańcami i dżgani ostrymi kolcami, Golcy mieszały się z korowodem. Następnie grupa zakręcała ku grani, zabierając ze sobą Golców – bezwolnych i owczo ufających idącym przed sobą. Czasami udawało się bez szamotaniny wyprowadzić z pochodów ponad dwudziestu za jednym zamachem. Za linią przejmowali ich pozostali żołnierze. Suche nie próbowały przepędzać otoczonych *tarczami* legionistów. Jeśli w odwodzie pozostawały dwa *korpusy*, można było ten sposób stosować, nawet gdy korowodu pilnowały Czarne. Dołączały do uprowadzanej grupy i próbowały ją zawrócić. Był to pewny sposób na zwabienie Czarnego poza grań i zdobycie jego skóry.

Bezwład i bezwolność Golców idących płaskowyżem udzielały się *tarczom*. Często kierujący legioniści musieli ich ranić, by wymusić żądany kierunek marszu. Jeśli po akcji *tarcze* mieli poważne obrażenia, wypuszczano ich na płaskowyżu.

Quirinu nie odniósł sukcesu. Poświęcając dziewięć *tarcz*, z których zostało tylko czterech, zgarnięto pięć kobiet i dwóch mężczyzn, ale spośród nich i tak, niestety, aż trzy osoby nadawały się znowu tylko na *tarcze*.

Wspomnienie nieudanego zwiadu trzeba było rozpuścić w alkoholu. Wino się skończyło. Został już tylko destylat pędzony z martwiny. Cuchnął paskudnie.

Korpuśny Aubel ze zwiadowcą Geronem łupali w *astragale*. Gero pozbywał się ćwierścycelówek jednej za drugą. Adams tęsknie zerkał w tamtą stronę, odliczając w duchu: „Usuwanie ropy, usuwanie ropy... krótkie szycie”. Uśmiechnął się do swoich myśli. Tymczasem kostki wołowe uparcie pozbawiały żołnierza dobytku. Gero czerwieniał na twarzy coraz bardziej. Po każdym rzucie jego dłoń zbliżała się do rękojeści tkwiącego za pasem sztyletu. Twarz miał czerwiejszą niż rude piegi na policzkach.

– Dość hazardu – rzucił sucho Quirinu.

„Stary nudziarz popsuł zabawę”, pomyślał Adams. Kibicował *korpuśnemu*, widział, że podoficer nie oszukuje, tylko ma niesamowite szczęście. Już zauważył, że graczom często trafiają się dobre passy. Jakby tutaj los celowo prowokował cierpliwość przegrywających i chciwość wygrywających.

Kółeczko obserwatorów rozleciało się. Obsiedli wokoło bezdymne ognisko. Aubel wrzucił *astragale* do mieszka.

– Następnym razem gramy moimi – wysapał Gero.

– Jasne – mruknął Aubel.

– *Korpuśny*, opowiedzcie ciekawą historię – rozkazał Quirinu. Cokolwiek mówił stary oficer, brzmiało nudno. Teraz też było pewne, że historia będzie nieciekawa.

Aubel wypił łyk, potem drugi. Uśmiechał się do swoich myśli. W jeden wieczór zebrał ponad dwa sycele. Gero nie był z jego *korpusu*, Aubelowi nie groziła jego zemsta podczas zwiadu. Był tu najstarszym żołnierzem i wielokrotnie świadkiem podobnych zbiegów okoliczności. Umiał korzystać z tego zjawiska.

– Na zachód grań staje się coraz bardziej skalista – zaczął Aubel. – Twarda skała, którą bardzo trudno kruszyć, nawet młotem, nie to, co tutaj. Nie ma ścieżek na grani, płaskowyz opada coraz niżej. Nie trzeba bronić Linii, bo nikt przez te góry nie przejdzie, ani Czarny, ani legionista.

Aubel przypominał rzeczy znane. Twarze słuchaczy były coraz bardziej znudzone.

– Zaczynałem służbę właśnie na skraju tych skał.

– U Drubbaala? – spytał przysypiający Hjalmir.

– Nie. *Sotnik* nazywał się Hevrensz-Trzy-Palce.

– Mówią, że Drubbaal przegnał Czarne z Krum, to skąd Hevrensz-Jakiś-Tam? – głos Gerona był o nutkę zbyt zaczepny.

– To prawda, ale wtedy Drubbaal był najlepszym *decymusem* Hevrensza. Oddziały uformowano ze zbiegów z Dolnego Miasta. Wolne były tylko zbocza górskie. Czarne zajmowały Krum.

Stary przerwał. Popił. Chuchnął.

– Ale co innego chciałem... – zaczął.

– No, wreszcie – mruknął do siebie Hjalmir.

– Wszyscy mówili o pięknej Czarnej. Pojawiała się wśród ich patroli prowadzących Golców.

Nagle zapanowała cisza jak makiem zasiał.

– Niby zwyczajna *gabera*, futro czarne, choć trochę rudawe, krótkie, lśniące, chociaż na głowie dłuższe, jak drobnutki loczki, nie? – Rozejrzał się po słuchaczach. – Ale miała twarz kobiety. Oczy duże, czarne, trochę przekrwione, lecz spojrzenie ciepłe, powłóczyście, jak u dziewczyny... – Aubel rozglądał się po zasłuchanych żołnierzach. – Szyję miała smukłą, wdzięczną, muskułki drobne, płaskie. Cyce... co tam cyce. Zupełnie jak piersi dziewczyny, tyle że trochę dłuższe i porośnięte futrem. Ale za to nabite, jak ze stali. Wysoka jak każda, ale smukła, i nogi nie *gabery*, ale dziewczęce, tylko trochę w icks. Dziurę miała też zwyczajną, jak kobieta, żadna głowa jej stamtąd nie wystawała. Właściwie to wyglądała zupełnie jak dziewczyna, tylko po futrze było poznać, że *gabera*. No i miała rogi. Nie jakieś wielkie bawole rosochy, ale zgrabne, niedługie różki, wystające spod włosów.

Siedzieli rozmarzeni, niektórzy rozdziawili usta.

– I ta *gabera* dawała, jak się ją poprosiło.

– Jak to dawała? – spytał rozmarzony Gero.

– Zwyczajnie. Trzeba było do niej podejść i zagadać, jak nie było przy niej innych Czarnych.

– Tak podejść, zagadać i już...? – włączył się Palla.

– Zależy od szarzy. *Decymusowi* to dawała tak po prostu. *Korpuśnemu* też. Poznawała władzę. A jak się jakiś *simpel* wyróżnił na służbie, to też szła z nim za darmo. A innemu to za jakiś prezent, za sycela, za pierścionek albo za manierkę.

– Już ja go widzę, jak wyszedł pogadać do Czarnej – doszło z drugiego szeregu słuchaczy. – Tylko mlaskanie i krew chlapie.

– Nie z Piękną. Tylko trzeba jej było pokazać koc do podłożenia, bo nie lubiła na twardym. Jak koca nie było, to rzeczywiście mogła się wściec.

– Wam też dała? – spytał Quirinu.

– Nieraz. Ale potem coś się porobiło i przestała przychodzić. Może ją jaki dureń upolował.

– Mówią, że zdarzają się *gabery* o złocistym futrze i wielkich, niebieskich oczach – powiedział stojący w cieniu Distefanu. – I wyglądają zupełnie jak piękna dziewczyna, tylko w futrze i czasem z krótkimi różkami albo chwostem. A piersi mają zupełnie jak dwie półkule, żadna kobieta takich nie ma.

– Piękne Gabery są i czarne, i żółte, i brązowe, i rude, ale podobno już je wszystkie wyłapano, bo lepsze są od prawdziwych kobiet, a w domu robotne.

Aubel zamilkł. Cisza wywołana jego opowieścią trwała jeszcze chwilę.

– Co drugi zmyśla brednie o Złotej Gaberze, a reszta w to wierzy – szepnął Hjalmir do Adamsa. – W kamieniu babę zobaczą, byle pękniętym...

– Zdarzają się Czarne o siwym futrze? – spytał Adams.

– Bardzo rzadko. Kroilem raz *gabere* albinoskę. One źle znoszą światło. Miała ropiejące liszaje pod futrem, nawet tam ją słońce dopadło. A nozdrza i wargi, gdzie nie ma futra, to rana na ranie – wyschła, spękana skóra i ciekące strużki krwi. Była prawie ślepa, bo tęczówki czerwone, przeświecające. Cała biała, rzeczywiście, ale to była zwyczajna bestia, nie dziewczyna.

Adams coraz częściej pomagał Hjalmirowi w robocie. Czyścił rany z ropy. Szył tylko skórę, rzadko zewnętrzne powłoki mięśniowe – właściwie tylko tego nauczył się porządnie. Do diagnozowania czy do trudniejszych robót nie garnął się wcale. Należność za zabieg Hjalmir zabierał dla siebie, Adamsowi wypłacał pół, czasem całego sycela. Dał mu do pracy dwie igły. Większe niż szewska igła do dratwy proste w kształcie. Przy szyciu rozrywały tkanekę. Wynik wyglądał topornie,

trudno było wyrównać brzegi rany.

Adams rozhartował igły nad ogniskiem, skrócił o połowę, zaostrzył na nowo, półkuliście wygiął i znowu zahartował. U płatnerza zamówił pincetę. Kosztowała całego sycela, ale tylko tak można było wygodnie trzymać igły. Szyło się trudniej, lecz wynik był znacznie lepszy. Żołnierze zaczęli nazywać go Krawiec. Dumny Hjalmir przyglądał się sceptycznie jego wyczynom, do swojego repertuaru włączył tylko dezynfekowanie ran. W oczach pacjentów, dezynfekcja dodawała jego działaniom więcej magii, co pozwoliło podnieść cenę za zabieg przeciętnie o ćwierć sycela.

Adams ulepszył swoje sandały: pod podeszwę naszył dwie warstwy skóry Czarnych, futrem do siebie. W nowym obuwiu przestał czuć każdy kamyk pod podeszwą, jednak było za niskie, żeby ochronić stopę przed skręceniem.

Wymiana z mieszkańcami Krum odbywała się w żlebie pod przełęczą. Rzemieślnicy przynosili swoje produkty, można też było sprzedać pojedynczych niewolników. Barber oddał swoją piękną brankę na przechowanie do szewca Crawheza, opłacił jej utrzymanie przez najbliższe tygodnie. Kupił też dla niej kompletny *strój dziewicy*. Crawhez przechowywał już trzech innych niewolników Barbera, na razie korzystając z ich pomocy w gospodarstwie.

Przed jej wysłaniem na dół przesiedział z nią cały wieczór koło tyczki z łopoczącym sztandarem legionu. Oboje owinięci w szkarłatny płaszcz Barbera, długo rozmawiali wpatrzeni w ciemniejącą tafłę oceanu. Dziewczyna zwracała uwagę: wysoka, długowłosa brunetka o posągowej urodzie. Trudno było uwierzyć, że kiedyś miała nadwagę.

Na następny patrol przydzielono go do najlepszego *korpusu* z *decymy* Pachoma, do Bethmanna. Adams próbował zasnąć, zmęczony. Wysłuchiwał polecenia i przytaknął skinieniem głowy. *Korpuśny* nie sarkał, że lekarz znowu pójdzie z Quirinu, tylko przyniósł wyleniała czarną skórę i rzucił na felczera. Ten skorzystał z okazji i chciwie się w nią zakutał; jak najwięcej łańcucha skrył w futro: kiedy się ogrzeje jego własnym ciepłem, nie będzie wychładzał kostek.

Ledwie zmrużył oczy po nieciekawym, zbyt długim wieczorze (przedłużanym na siłę, aby jak najbardziej opóźnić założenie pęt), kiedy mocne szarpanie wyrwało go z niemiłego lepkiego snu, po którym boli głowa, a w ustach pozostaje przykry, nieświeży posmak. Dojmujący chłód przedświt wtarznął przez rozsunięte futro.

– Krawiec! – szept Hellweiga był twardy jak komenda.

– No, co...? – Adams nie chciał pogodzić się z utratą odrobiny posiadanego ciepła.

– Pora. Zbieraj się.

Mrok był jeszcze najgęstszy, przedświtowy. Wentzel rozdmuchiwał wczorajsze ognisko. Bethmann przeglądał sprzęt. Wkrótce w dłoni nieruchawego jeszcze Adamsa wylądował kubek gorącej, gorzkiej herbaty. Pajdy suchego, ziarnistego chleba nie chciały przejść przez gardło.

– Popiłbym czym – burknął. Łyk hary przepędziłby resztki senności.

– Pić będziesz na wieczór. Nie przed zwiadem – powiedział Bethmann.

– Mocz chleb w herbacie – poradził Wentzel. – Tak lżej wchodzi.

Nad horyzontem gwiazdy już bladły. Hellweig przecierał olejem bełty i tor kuszy. Troszczył się o to bardziej, niż zwykł to czynić żołnierz. Wszyscy trzej umiejętnie dzielili obowiązki: gdy jeden sprawdzał sprzęt, dwaj pozostali przygotowywali posiłek. Potem zmieniali się. Działali jak sprawny mechanizm. Ani śladu chaosu, jaki panował przed wyruszeniem *decymy* Quirinu.

Wkrótce byli gotowi do wymarszu. Bethmann bez słowa obejrzał nowe sandały Adamsa. Żołnierze owinęli stopy onucami.

Ułożyli się w szereg. Najpierw szedł *naczelny*, za nim *korpuśny*, dalej Adams, a pochód kończył *zamek*.

Ścieżka ledwie wyłaniała się z rzedniejącego mroku. Od wschodu niebo nad oceanem szarzało.

Zręcznie wspięli się na grzbiet i skręcili na zachód. Wkrótce osiągnęli najtrudniejsze do walki i najbardziej mylne miejsce, bezimienną płaszczyznę, gdzie brakowało jednej wyraźnej kulminacji granicznej, a kilka równoległych wzniesień nie tworzyło ciągłej linii, lecz na przemian to wyłaniało się, to znikało w rumoszu piarżyska, tworząc labirynt zmurszałych grzbietów i rowów graniowych.

Oficerowie nie lubili tego miejsca – dokładny przebieg Linii nie był tu znany (niektórzy twierdzili, że tutaj stale zmienia ona swoje położenie), a przecież ta wiedza decydowała o taktyce walki.

Adams zrobił tak niepewną minę, że Bethmann uśmiechnął się do niego, szczerząc zęby pokryte kamieniem.

– To miejsce dla nas. Tu się nas nie spodziewają.

Przywarli pod wantami, mając przed sobą rozległy obszar płaskowyżu. Adams czuł się niepewnie: za plecami pozostał mylny obszar o nieznanym przebiegu Linii, a na przedpolu nie było ani jednego schronu. Schodzenie niżej nie miało sensu. Bethmann rozlokował ich w odstępach kilkunastu metrów. Adams miał nie brać udziału w potyczce; zresztą kuszy mu nie wydano.

Legioniści założyli płaszcze lewą, szarą stroną na wierzch. Kiedy poszedł refleks światła odbity od nałokcicy Hellweiga, żołnierz poprawił płaszc.

– A Wiatr Noży? – Ciemności nocy często niosły go ze sobą.

– Nie będzie. Jak są już takie kolory na niebie, Wiatr przychodzi równie rzadko jak w biały dzień – rzucił dowódca.

Niebo świeciło wielobarwnymi pasmami. Lada minuta miało wzejść słońce.

– Ale jakby co, to kładź się na płask...

Adams, rozgrzany marszem, marzył od nowa, tkwiąc nieruchomo za skałką. Gdzieś tam, po drugiej stronie grani, cała tarcza słońca wychynęła już pewnie zza horyzontu, ale po tej stronie Linii, w głębokim cieniu, panowało przejmujące zimno.

Nadeszły pierwsze, pojedyncze grupy Golców. Nie podążali jeszcze w tanecznych podrygach. Może nie przypuszczali, że ktoś ich obserwuje. Ot, grupki wędrowców utyskujących na kamienie raniące stopy.

Pierwszą i drugą grupkę Bethmann przepuścił. Następnej towarzyszył ogromny *busierec*. Plamy futra na jego płowej skórze układały się w symetryczny wzór. Łysą czaszkę i bezwłosą twarz miał rudoczerwoną, wokół jego bioder biegł opadający *fartuszek* ze skóry w kształcie skrzydeł motyli i też motyli wzór pasków i kólek prezentujący. W miejscu przyrodzenia *busierec* miał różową, niby małpią gębę, która co chwilę wystawiała język, nieustannie węszyła nozdrzami i przewracała oczami, naśladując grymasy właściciela. Spomiędzy pośladków wyrastał mu komiczny ptasi łeb – czarny, zaopatrzone w skórne fałdy imitujące pióra i zakrzywiony dziób drapieżnika. Ten dla odmiany nieustannie wykrzywiał się do maszerujących Golców. Na piersi olbrzymiego samca pyszniła się jedna twarz paradoksalna, nieco przypominająca świński ryj, zaopatrzone w szablaste kły. *Busierec* toczył naokoło nerwowym spojrzeniem wielgachnych, jakby wołowych oczu, niuchał masywnym nosiskiem.

„Wywęszył nas czy co?”, pomyślał Adams.

Ogromny Czarny prowadził grupę złożoną z samych niewiast, w większości o jasnych, bezbarwnych włosach i skórze zaróżowionej od chłodu lub od wysiłku, a tłustych często tak, że wiszące podbrzusza zasłaniały listki kryjące srom.

Bethmann cicho świsnął i na ten sygnał obaj *simple* z trzydziestu metrów wystrzelili w *busierca*. Jeden bełt wbił się mu głęboko w szyję, drugi utknął pomiędzy żebrami. Olbrzym schwycił obiema łapami za wystającą z gardła brzechwę, usiłując wyrwać drzewce. Wokół bełta wbitego w klatkę piersiową zaczęła pęcznieć różowa piana.

Gdy samiec zwrócił oblicze w stronę skał, dowódca ulokował mu bełt w oczodole, a Wentzel trafił różową gębę w krocze. *Busierec* upadł na kolana, rycząc przeraźliwie. Próbował czołgać się w stronę stanowisk strzelców.

Bethmann podniósł dwa palce, co znaczyło „Hellweig”.

Wtedy Hellweig pomknął zajęczym sprintem w stronę Gołych. Te stały zdezorientowane. Dobiegł do upatrzonej, najbliższej z nich, jednym ruchem złapał za długie zmierzwione włosy i przygiął jej kark do ziemi. W parę sekund wyłowił ramię, schwycił i wykręcił za plecy, aż Goła krzyknęła.

Busierec zauważył go i na czworakach zwrócił się w stronę napastnika. Skórny fartuszek wokół bioder uniósł się i nabrał kolorów – teraz wyglądał już zupełnie jak skrzydła motyle.

„Zaraz nam tu ściągnie na głowy całe *busiercze* plemię”, pomyślał Adams, prawie ogłuchły od ryku Czarnego.

Bethmann podniósł kciuk, co znaczyło „Wentzel”. Drugi z *simpli* wybiegł po zdobycz. Bethmann tym razem ulokował *busiercowi* kolejny bełt w okolicy lewego stawu biodrowego. Trafił chyba w jakiś nerw, bo stwór zadygotał, a potem powłóczył lewą nogą; cielisty fartuszek opadł od tej strony, choć od drugiej dalej naśladował owadzie skrzydełko.

Hellweig tymczasem zdążył skrępować ręce branki, odpędzić kułakami kilka innych tęgich Gołych, które próbowały ją uwolnić, i jeszcze owinać szmatami stopy ujętej kobiety, żeby potem nie poraniła ich w pośpiesznym biegu.

Gołe rzuciły się do ucieczki, choć na bosaka szło im to marnie.

Wentzel, klnąc i potykając się na zasypanym luźnymi kamieniami terenie, dogonił inną z uciekających i identycznie powalił ją, skrępował i zakneblował. Zaraz potem obie kobiety, poganiane (choć niezbyt brutalnie), żwawo podążyły w stronę posterunku.

Busierec stale, na czworakach, zbliżał się w ich stronę. Bethmann raz jeszcze zmierzył i celnym trafieniem wystrzelił mu drugą gałkę oczną, a potem oślepego, charczącego wściekle stworza pozostawił swojemu losowi.

Wkrótce wracali ledwie widoczną ścieżyną przez mylną płaśń. Szli szybkim krokiem, branki nie

spowalniały marszu. Jeszcze było daleko do południa, a *korpus* w dobrej formie wracał do bazy z udanej akcji.

Adams z podziwem patrzył na okazałe sylwetki obu kobiet. Wentzlowa była wysoka jak on sam, Hellweigowa nieco niższa, a przy tym obie nadzwyczaj otyłe. Szły, ale ich nozdrza rozdymały się coraz bardziej, a płonący rumieniec pokrywał twarze, szyje i dekolty.

– Krzykniesz, to oberwiesz – rzucił Wentzel swojej i wyciągnął jej knebel z ust. Goła łapała powietrze jak ryba.

Hellweig zrobił to samo ze swoją.

– Ładne panny, nie? – rzucił do Adamsa.

Ten robił właśnie pobieżne oględziny schwytanych. *Simpel* miał rację: obie branki były wyjątkowo młode jak na Gołe, wprawdzie otyłe, jednak skórę miały czystą, pozbawioną narośli, ropni czy przebarwień. A na dole, w Krum, normalnie żywione, obie dziewczyny wrócą do miłszego wyglądu, odmłodnieją, wypięknieją.

Hellweig podszczypywał swoją zdobycz w wydatne, falujące przy każdym kroku pośladki. Nie zamierzał jej sprzedawać, oczyma wyobraźni widział ją krzątającą się przy gospodarstwie. Niewiasta zerknęła na niego szarymi, okolonymi białymi rzęsami oczyma, ale nie odezwała się ani słowem. Przykrył jej ramiona derką i przewiązał sznurkiem.

– Żeby ci skóra nie zlazła od górskiego słońca – powiedział do niej.

Wentzel nie miał dla swojej ochrony przeciwsłonecznej – jej skóra zaczęła różowieć na karku i ramionach. Troskliwy żołnierz okrył ją płaszczem legionowym.

– Dzisiaj była ich kolej. Obaj mieli szczęście – wyjaśnił Bethmann, zapytany przez Adamsa. – Ja ściągnę jeszcze bielszą i zdrowszą niż one. – Uśmiechnął się, szczerząc szare, królicze zęby. Miał równie białe rzęsy i brwi jak branka Hellweiga.

– Jedyńka to Wentzel, dwójka Hellweig, a *korpuśny*?

– Zero. – Bethmann pokazał kółko zrobione z palców. Numerowanie żołnierzy w *korpusie* liczbami: zero, jeden i dwa wzięło się z tego, że Hevrensz nie mógł zgrabnie pokazać trójki palcami swojej pokaleczonej dłoni, a nie chciał, żeby żołnierze powtarzali niezdarne gest. Adams spytał, dlaczego pozostawili ранego *busierca*.

– Tam go zabić nie można. – Bethmann wzruszył ramionami. – Ślepy przestaje być groźny. Jak przejdzie na naszą stronę, to go kto dobije. My zbieramy brańców, nie skóry Czarnych. Zresztą ten był prawie łysy, musiał być bardzo stary. Ludzi też nie kaleczymy, nawet Gołych.

– Dlaczego inni nie walczą jak wy, tylko unikają Czarnych po ich stronie, a Golców łowią na *tarcze*?

– Nikt tak celnie nie strzela jak mój *korpus*. Może tylko *pretoria*, ale oni nie chodzą na zwiady – powiedział Bethmann bez specjalnej dumy. – Młody polega na nas – dorzucił.

Mówiono, że Wentzel kiedyś zakłuł *busierca*, mając do dyspozycji tylko *gladius*, niewiele dłuższy od pazurów Czarnego. Bethmann dwukrotnie przyprowadził swój *korpus* bez strat po awaryjnym noclegu na płaskowyżu. Hellweig szczycił się zabiciem dwunastu *busierców* bez użycia obrzyna.

Bethmannowi spędzali najwięcej czasu na ćwiczeniach strzeleckich i walki wręcz. Okiełznanie Golca zajmowało im najwyżej pół minuty, Gołej – połowę tego czasu. Kiedy inni pili lub łupali w *astragale*, *korpuśny* Bethmann gonił swoich do monotonnych ćwiczeń. W *decymie* nazywali ich Konie Robocze.

Bładym świtem do obozu dotarł *korpuśny* Surister, posłaniec od Drubbaala. Ominął Kozie Perci, obawiając się tam zasadzki, i szedł płaskowyżem aż do samego zmroku; noc przetrwał pod przełęczą. Wyglądał, jakby uciekł z paszczy Czarnego, tak był pocięty i podrapany. Twierdził, że jednego z nich zakłuł *gladiusem*, jednak nie dano temu wiary, ponieważ doszło do tego na płaskowyżu.

Hjalmir zszywał rany posłańca, jednak po godzinie dalszą pracę przekazał Adamsowi. Nieznośnie bolały go stawy palców. Osobiście scalił płaty mięśni, skórę mógł zeszyć pomocnik.

Surister przyniósł rozkazy od dowódcy. Drubbaal żądał, aby cała *decyma* Pachoma przeniosła się do jego obozu. Mieli przerwać oblężenie Czarnych. Obrońcom, odciętym od dostaw wody i żywności, głód zaczynał zaglądać w oczy.

– Nie można było przejść po grani, jak się wstrzelały w jeden punkt – mówił Surister. – Musieliśmy czekać, aż nadchodził powiew i strzały znosiły.

– Czarne potrafią strzelać z łuków? – rzucił *korpuśny* Aubel. Uważano, że Surister zbyt ubarwia relację.

– Już potrafią. Oblegające nas strzelały znakomicie.

– Skąd miały łuki?

– Strzały były nasze, legionowe, więc pewnie i łuki zdobywcze.

Dotąd sądzono, że Czarne nie potrafią posługiwać się narzędziami, jednak wychodziło na to, że człekopodobne stwory uczyły się szybko.

Odejście *decymy* Pachoma osłabiło aktywność oddziałów, bo obawiano się kontrataku Czarnych w razie zgarnięcia zbyt wielu brańców. W okolicy Mroczonej Przełęczy pozostało obecnie ledwie kilkunastu żołnierzy.

Nadpłynęła wyjątkowo gęsta mgła i trzeba było wstrzymać zwiady. Sporo wody osadzało się na kocach wywieszanych w tym celu. Mimo że od dwóch dni dostawy z Krum nie nadchodziły, wody nie brakowało. Mgła uwięziła w obozie Crawheza, który wedle wskazówek przerobił żołnierskie sandały Adamsa. Szewc dziwił się mniemanej pomysłowości niewolnika. Za dwa sycele doszył do nich cholewki, z utwardzonymi wypukłościami na kostkę. Dwa sycele to było tyle, ile Crawhez musiał tu zapłacić za żywność i wino.

Górski szuter przestał ranić stopy. Uszczelniony but i onuca pozwalały na wielogodzinne marsze w kamienistym terenie i po płatach śniegu.

Starczyło jeszcze pieniędzy na nową tunikę – stara poszła na onuce. Wprawdzie trafił się zgrabny kirys, ale trzeba było z niego zrezygnować, bo zabrakło gotówki. Adams nie miał wątpliwości, że w krótkim czasie zgromadzi resztę kwoty i wymaganą nadwyżkę, jednak

niewolnikowi nie wolno było kupować na kredyt.

Surister zaczął mocno gorączkować. Trzęsły nim silne dreszcze. Hjalmir raczył go swoimi proszkami, których składu nie ujawniał nawet Adamsowi.

Hjalmir, zakuwając Adamsa na noc, zagadał:

– Jak było na zwiadzie z Koniami Roboczymi?

– Walczą szybko, sprawnie i skutecznie.

– Stary jest nieudolny, hę...? Bezsensownie mozoli się z *tarczami*?

Spojrzenie Adamsa było nadto wymowne.

– Konie Robocze zużywają zbyt wiele amunicji. Wiesz, że to najuboższy *korpus* w całym obozie?

– Przecież odnoszą sukcesy.

– Zbyt dużym kosztem. Za wszystko, co zdobędą, kupują bełty. Do ćwiczeń i do walki. Ciągłe ćwiczą, a dobry bełt kosztuje. Zobaczysz, jak za tydzień, najdalej za dwa, potracą te swoje dorodne, białe panny.

– Przesiadywanie całymi dniami w kolebach przynosi więcej pożytku?

– Przynajmniej tak uważa Drubbaal. Woli raporty z głębi płaskowyżu. Kiedy zwiad tylko muska Stronę Trupa, liczby są niewiele warte.

Adams nie odpowiedział; chirurg znowu go zaskoczył.

– Za późno przemyliłmy rany posłańca? – spytał Hjalmir. – I czynnik zakaźny zdążył przedostać się do krwi?

– Tak właśnie myślę.

Hjalmir uważnie obejrzał wysokie buty Adamsa. Masywne i solidne w porównaniu z własnymi sandałami, odsłaniającymi dwa środkowe palce.

– To nowy pomysł czy elegancja?

– Pomysł. Każ sobie zrobić takie same, panie.

– Tam, skąd przychodzisz, takie nosili?

– Faktycznie jeszcze lepsze. Ale nie potrafię objaśnić Crawhezowi, jak należałoby je zrobić, nawet gdyby on potrafił.

– Ile wziął za te buty?

– W sumie z cholewkami cztery i pół sycela, ale od ciebie pewnie weźmie siedem.

– Zaczynasz mnie irytować, chyba cię sprzedam.

– Nie chcę nowego pana. Zaczekaj, aż zbiorę pieniądze i sam się wykupię od ciebie.

– I wtedy ożenisz się z Adalą, a Pachom wespół z Drubbaalem uczynią moje życie nie do zniesienia?

Adamsa na chwilę zamurowało.

– Mógłbyś mnie nie skuwać na noc – powiedział po chwili. – Nie zamierzam uciekać. Zresztą, stąd nie ma gdzie.

– Nie robię tego dla przyjemności. Przepis mówi, że niewolników trzeba zakuwać.

– Nieodwołalnie?

– Dziesiętnik może uwolnić z nakazu za niewielką opłatą.

– Quirinu?

– Tak, ale to przecież stary, suchy służbista bez wyobraźni, prawda...?

Po paru dniach gęstej mgły zalegającej na zboczach, przejaśniło się dość, by można było wyruszyć na patrol. Hjalmir pozostał w obozie, do zwiadu przydzielając Adamsa. Szli wolnym tempem prowadzącego grupę Quirinu. Stary szedł zgarbiony, milczał. Żołnierze zerkali po sobie, niecierpliwili się.

W oparach targanych podmuchami wiatru osiągnęli suchy płaskowyż, gdzie mgła nie sięgała. Zalegli w kolebie. Było już późno, wkrótce nadeszły pierwsze grupy Golców.

Quirinu wskazał podbródkiem.

– Wybierz jakiegoś, podejdź i przekonaj.

Palla spojrział zaskoczony. Pamiętał niedawną rozmowę, jednak dlaczego Quirinu puszcza Adamsa wolno, skoro ten jest niewolnikiem Hjalмира, nie jego...?

– Tak zwyczajnie?

– Czarnych nie widać.

– A jak Golcy podniosą alarm?

– Twoje ryzyko.

Sam się wkopał. Musiał mieć nietęgą minę, bo Quirinu dodał:

– Masz dość czasu. Żaden Czarny nie zdąży się do ciebie zbliżyć. Dostaniesz od nas wsparcie, jak który się pojawi.

„Jakie tam wsparcie...? Nie otworzą ognia”. Adams niechętnie spojrział na powolne w działaniu kusze i jednostrzałowe samopały. „Quirinu nie zaryzykuje utraty oddziału dla jednego niewolnika. Przynajmniej jeśli uda się zwerbować jakiegoś siłacza, będzie powód do dumy”. Jak na złość maszerowali teraz otyli lub rachityczni, na przemian z paskudnymi jędzami.

Adams wystartował w kierunku kolumny przechodzących. Wybrał mężczyznę średniego wzrostu. Po zrzuconiu dwudziestu kilogramów byłby z niego żołnierz.

– W pobliżu jest wojsko. Walczymy z Czarnymi, z twoimi prześladowcami – powiedział zdyszany. – Możesz do nas dołączyć. Wyrwiesz się z tego korowodu. Nie musi tak być.

– Pewnie, że nie musi. Nic nie musi. – Mężczyzna nie zatrzymał się.

– Zostaniesz legionistą. Będiesz walczył przeciw tym włóchatym potworom.

– Lepszy wróbel w garści. Tu mi nic nie grozi. Chyba że z twojej strony. – Mężczyzna krzywo spojrział na Adamsa. – A walczył będę pewnie o tę wolność?

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Ja idę, gdzie chcę. Jestem wolny. A ty jesteś wolny?

– Akurat jestem niewolnikiem.

– To czego chcesz ode mnie? Takich jak ty powinno się wylapywać. Skąd się tu wzięłeś w tym ubraniu? Chcesz ukryć *fartuszek*?

– Chcesz pokazać, że jesteś lepszy?

– Podszedłem do ciebie.

– Może ja nie czekałem na twoją wizytę, co...?

Adams oddalił się już poza zasięg wsparcia ogniowego. Rozejrzał się ostrożnie.

– A dokąd ty idziesz?

– Do mojego pana.

– Co cię tam czeka?

– Nie twoja sprawa. Ja jestem wolny przy moim panu, ty przy swoim jesteś nędznym niewolnikiem.

Takiemu tylko przyłożyć. Adams w wyobraźni usłyszał mlask, z jakim jego pięść rąbnęłaby w spocone brzuszysko aroganta. Niestety, w oddali dostrzegł grupę Czarnych. Rzucił się biegiem do najbliższej koleby. Zanurkował jednym susem, mając nadzieję, że go nie zoczą. Przeczekał jeszcze kilka przechodzących grup i przedarł się do kryjówki oddziału. Nikt na niego nie czekał.

Do obozu wrócił po zmierzchu. „Przecież nie straciłem aż tyle czasu na płaskowyżu...”, pomyślał.

Było już po awanturze. Chirurg zarzucił, że przez nierozwagę starego stracił pomocnika i pieniądze, jakie w niego zainwestował, a które zamierzał odzyskać z nawiązką przy wykupie. Katrup był uważany niemal za oficera, dlatego zwracał się jak do równego sobie. Jednak Quirinu miał prawo wysłać Adama. W czasie zwiadu Adams pozostawał pod dowództwem *decymusa*. Hjalmir mógł zastrzec przed akcją, żeby jego niewolnik, felczer, nie był bez istotnego powodu wysyłany do akcji indywidualnych, ale tego nie zrobił.

Przy ognisku Adams dostał kubek Hjalmirowej gorzałki. Wrócił, dając dowód wierności swojemu panu. Adams nie kupował alkoholu od handlarzy wychodzących pod przełęcz, chociaż na razie nie przysługiwała mu racja służbowa. Formalnie do *sotni* przydzielić go mógł dopiero sam Drubbaal.

– Straciłbyś osiemdziesiąt syceli, panie.

– Dziewięćdziesiąt.

– Rozszarpaliby i pożarli twoją własność.

– To akurat by się nie stało. Nie miałeś broni. Szedłeś z tym tłumem. Raczej wzięliby cię za brańca. Najwyżej który Czarny zdarłby ci łachy z grzbietu.

– Dokąd bym z nimi zaszedł?

– Nie wiadomo. W Krum przechowują o tym bajkowe relacje. Mówią, że droga kończy się Płomienistymi Wrotami. Pewnie tam jest kraina Czarnych. – Dorzucił do ognia bryłę węgla. – Nie słyszałem, żeby ktoś stamtąd wrócił.

– Myślisz, że władza tam Pan z Morza? – Adams uważnie wpatrywał się, jak węgielek łapie żar.

– To po co Czarne podbijałyby Krum? Po co starałyby się nas zepchnąć z Mrocznej Przełęczy? Choć właściwie... – Hjalmir głośno myślał – ...może władać i nimi, i nami. A swym poddanym pozostawia ustalenie, którzy z nich zasługują na niewolnictwo.

„Ja zasługuję na niewolnictwo?”, pomyślał Adams, ale głośno powiedział:

– Czarne rzeczywiście kiedyś władały Dolnym Miastem?

– Tak wszyscy mówią.

– Jak się udało ich przegnać? Jak zdołano sformować oddziały podczas okupacji? Jak w tych warunkach udało się wyprodukować broń? – Adams popchnął węgielek patykiem: niech rozżarzy się do białości.

– Tak... Mało prawdopodobne, ale wszyscy to powtarzają.

– Co rano budzę się ze zdrętwiałymi dłońmi i stopami. Do południa nie mógłbym operować nawet w razie nagłych przypadków. – Adams wrócił do starego tematu.

– Ja operuję nagłe przypadki. – Hjalmir uśmiechnął się. – Ale skoro Quirinu uważa, że nie uciekniesz, to niech bez opłaty zwolni cię od obowiązku zakuwania na noc. Ja się zgadzam.

Rano, gdy gniew już minął, Hjalmir przyznał, że czasami udawało się przekonać kogoś z kolumn maszerujących z dala od przełęczy, a Czarne specjalnie przepędzały w pobliżu ich stanowisk wyjątkowo zatwardziałyh głupców. Czytał o tym kiedyś w archiwach twierdzy.

Tydzień później zmarł Surister. Dzień przed śmiercią był nieprzytomny, parę dni wcześniej bredził w gorączce. Pogrzebali go blisko grani, usypując nad mogiłą wysoki kopiec z kamieni obok wielu podobnych. Zmarłych lub zabitych niewolników, jak brańców, pozostawiano na płaskowyzu.

Tego samego dnia do obozu dotarł kolejny posłaniec, wyzwoleniec legionowy Krippel. Został wykupiony przez legion, jako szczególnie zdatny do służby wojskowej. Był własnością jednostki wojskowej, a nie konkretnego człowieka i jego status nie różnił się od pozycji przeciętnego legionisty. Tyle że nie dostawał regularnego żołdu. Musiał wyróżniać się w walce, skoro uzbrojony był jak oficer: w samopał i kuszę; posiadał też sporo elementów zbroi i hełm *pretoriański* z czerwonym pióropuszem. Jego służba miała trwać do czasu, aż się nie wykupi, nie krócej jednak niż dwadzieścia pięć lat, jak u wolnego legionisty. Dlatego zwyczajowo mówiono na niego „wyzwoleniec”, chociaż był niewolnikiem.

Krippel przyniósł lepsze wieści. Drubbaal wsparty *decymą* Pachoma przegnał Czarnych nękających obóz na Nocnej Grani. Udało się zwabić cały ich oddział na Stronę Ludzi. Czarne dostały nauczkę. Jorge-Grizius nie mógł nadażyć ze skórowaniem, a potem skóry i czaszki przez trzy dni znoszono do Krum. Jednak w przełomowej bitwie poległo aż pięciu legionistów, a dwóch Czarne uprowadziły.

W obozie skończyła się żywność, więc Drubbaal wraz z *decymą pretorii* zamierzał się przenieść pod Mroczną Przełęcz. Miał tam pozostać, dopóki zapasy nie zostaną uzupełnione dostawami z Krum. Należało mu wysłać na spotkanie dwa *korpusy* z *decymy* Quirinu.

Błady strach padł na Adamsa. Nieuniknione właśnie nadchodziło. Aby się czymś zająć, wziął się do konserwacji swoich butów. Na razie ten model obuwia wojskowego był daleki od ideału: sztywne, wysokie cholewki obcierały łydkę, a onuce zsuwały się w marszu. Olej powinien zmiękczyć wyschniętą skórę.

Hjalmir, który przez cały dzień chodził skwaszony i zły, teraz przysiadł się i przyglądał pracy Adamsa.

– Zawiodłem się na twoich zdolnościach, Krawiec – zaczął. Adams przerwał robotę. Spojrzał pytająco.

– Nie robisz postępów. Za wolno się uczysz.

– Szyję poprawnie.

– To prawda. Szyjesz koronkowo, ale powoli. A tutaj czasem trzeba pozszywać czterech rannych w godzinę. Do tego się nie nadajesz.

– Nigdy nie byłem chirurgiem. Nie chciałeś mi wierzyć.

– Nie będzie z ciebie chirurg.

Adams przytaknął skinieniem głowy. Trudno było nie zgodzić się z tą opinią.

– Ile masz już pieniędzy? – zapytał Hjalmir. Adams rzucił mu spojrzenie.

– Odłożyłem dwanaście syceli na lepszą żywność czy wino. Upatrzyłem sobie też niezły kirys u płatnerza. Pasuje akurat na mnie. Jak go kto wcześniej nie kupi, to wkrótce powinienem mieć dość pieniędzy. Przyda mi się zbroja. Często wysyłasz mnie na płaskowyż.

– Dwanaście syceli, he...?

Adams pokiwał głową. Nie przerywał roboty. Wysuszona skóra łapczywie chłoneła tłuszcz. Niewolnik miał prawo do własnych pieniędzy, właścicielowi nie było wolno mu ich odebrać.

– Jako wykupne zapłacisz mi dziewięćdziesiąt syceli.

– Wiem o tym. Mówiłeś mi już.

– Pora zapłacić pierwszą ratę.

– Już teraz? Tak nagle? Przecież nie mam obowiązku wykupywać się od ciebie...

Hjalmir uśmiechnął się nieszczerze.

– Dasz mi te dwanaście syceli, to policzę ci za piętnaście. Do spłaty pozostanie ci tylko siedemdziesiąt pięć.

Adams spojrzał na niego niechętnie. „Jak mnie Drubbaal zabije, to mniej stracisz?”, pomyślał. Jednak na początku pobytu na Linii często był bez grosza. Dwanaście za piętnaście – niezły przelicznik. Podstawowe jedzenie, które zapewniał mu Hjalmir, zupełnie wystarczało.

– Niech będzie, ale ogłoś tę propozycję przy Quirinu i przy *korpuśnych*.

– Nie ufasz mi...?

– Transakcja powinna być ogłoszona, no nie? – W ten sposób jednocześnie zmuszał chirurga do publicznego ujawnienia ceny wykupu. Hjalmir nie mógłby wtedy zmienić zdania. Adams wrócił do pracy.

Quirinu nie spodziewał się pochwał za swoje ostatnie wyczyny. Służba sprawiała mu coraz więcej trudności. Był słaby, chodził wolniej. Wiedział, że żołnierze zauważają jego marną formę fizyczną. Dochodził do tego ustawiczny tępy ból brzucha, narastający z dnia na dzień. Coraz trudniej było mu wykonywać obowiązki dowódcy. Przekładało się to na chaotyczne, nietrafne decyzje. Doświadczony oficer na stare lata zrobił się apodyktyczny i konfliktowy. Teraz niemrawo poganiał żołnierzy, żeby doprowadzić oddział do jakiegoś takiego wyglądu. Kilka tygodni upłynęło od ostatniej potyczki z Czarnymi, a obóz przypominał bardziej chlew niż obóz wojskowy. Niewolnicy szwendali się bez celu. Pledy porozwlekane, łańcuchy rozrzucone wokół obozu. Przynajmniej branki odprowadzono na dół.

Skoro świt Quirinu wyprowadził na spotkanie Drubbaala wymagane dwa *korpusy*. Wcześniej kazał spętać wszystkich niewolników, w tym Adamsa. Wychodząc, nie odwołał rozkazu – może zapomniał. Odrętwiały Adams z niepokojem i zaciekawieniem wypatrywał, jak wyglądają najlepsi z najlepszych, Purpurowi, *decyma pretorii*.

Nadeszli koło południa. Już wcześniej płaszczyzna obozowiska wypełniły szarpący duszę głos dud i dzika nuta skrzypiec. Świadom efektu, Drubbaal przyprowadził oddział rzadko używaną, okrężną ścieżką od mylnej płaszczyzny. Dzięki temu nie byli widoczni z dala, mozolnie zygzakując zakosami po piargu, i nagle wyłonili się przed oczami załogi obozu; wyglądali jak na paradzie.

Pochód otwierał trębacz, który wejście oddziału do obozu oznajmił chrapliwym hejnałem odegranym na zwiniętej w okrąg srebrzystej trąbce sygnałowej. Wylot trąby niemal kąsał ustnik, choć dźwięk zgrabnie omijał głowę trębacza. Za nim kroczył chorąży, dzierżąc maszt ze sztandarem na drzewcu, a przedstawiającym znak *sotnika*: skrzyconego, złotego smoczego węża o czterech nietoperzych skrzydłach i ostrych rogach. Rozdziawiał on paszczę, wystawiając rozwidlony język. Za chorążym szli dudziarz i skrzypek, którzy umilkli na czas hejnału.

Drubbaal przyprowadził ze sobą tylko siedmiu *pretorian*, rosnących dryblasów o zaciętych, jakby kutych w kamieniu szerokich twarzach, a łapach jak bochny. Wszyscy mieli pełne zbroje, składające się przynajmniej z napierśników, fartuchów, nałokcic, zarękawi i nagolenic oraz hełmy z gęstymi, czerwonymi pióropuszcami wydatnie osłabiającymi ciosy bite maczugą na wprost. Na kirysach *korpuśnych* lub naramiennikach umieszczono złociste łby paradoksalne, wzorowane na twarzach i pyskach na ciele starego *busierca*. Podobnie uformowano fartuchy chroniące podbrzusze. *Korpuśni* mieli łbów więcej i bardziej ozdobne niż *simple*. Każdy z *pretorian* był przy mieczu i przy obrzynie oraz niósł złożoną kuszę na plecach. Purpura ich płaszczy różniła się od czerwieni używanej przez pozostałe *decymy* z Linii. Wszyscy nosili kilty o zielono-czerwonym tartanie. Kim był ów tajemniczy Hewensz, twórca tych oddziałów?

Czy utalentowanym oficerem z legionów brytyjskich, dziwnym trafem zaplątanym w te okolice?

Zbroja *prefektusa* wyróżniała się ozdobami: licznymi łbami paradoksalnymi na piersi, brzuchu, plecach, a nawet ramionach i biodrach. Widać też takie *busierce* spotykano. Oczywiście i krocze, i dół miednicy od tyłu chroniły fartuchy przyozdobione płaskorzeźbami łbów busierczych, hełm

wyposażono w rogi po bokach pióropusza, a twarz wyłaniała się jakby z mosiężnego, rozdziawionego busierczego pyska. Obrzyny *pretorii* przypominały ręczne armaty. Też strzelby lontowe, ale ładowane od tyłca. Formowane na kształt strzelby policyjnej. Niektóre miały niezwykle dokładnie odrobione atrapy zamków skałkowych.

Sam Drubbaal okazał się pięćdziesięcioletnim masywnym, muskularnym mężczyzną wzrostu Adamsa. Miał całą głowę zawiniętą w bandaż. Ledwie jedno oko błyszczało spod zwojów. Był w wypolerowanej lustrzanie, kompletnej zbroi *pretorii*, ale gładkiej, bez łbów paradoksalnych; jedyną, ale dominującą ozdobą była jakby narzucona na zbroję kompletna skóra *busierca* uformowana z blachy z żółtego metalu. Idąc do namiotu dowódczego, który już dla niego rozbito, potknął się i byłby upadł, gdyby Quirinu nie podparł go ramieniem. *Sotnik* burknął coś w podzięcie, niezadowolony, że musiał skorzystać z pomocy niedołęgi. Już w namiocie Drubbaal ciężko opadł na zydel. Ordynans pomógł mu zrzucić zbroję i kolczugę. Dowódca wdział długą białą koszulę. Odsapnął.

Oczywiście pamiętał sprawę romansu Renaty z niezwykłym niewolnikiem. Teraz jednak zajmowała go poraniona twarz. Ból przytłaczał inne myśli. Wiedział już, że Hjalmir kupił Adamsa. Jednakże od czasu sensacyjnych relacji Symmachsa upłynęło sporo czasu; inne wydarzenia przytępiły niesmak i gniew. Oczywiście Adams zginie, to zostało postanowione, jednak nie trzeba tego robić bez widocznego pretekstu. Słyszał już, że legioniści cenią felczera. Na dodatek on sam dopiero co dał sobie uprowadzić dwóch żołnierzy, i to akurat z *decymy pretorii*. W drodze na Mroczną Przełęcz, na Kozich Perciach, nadziali się na grupę Czarnych. Obecnie należało unikać niepopularnych posunięć.

Mówił z najwyższym trudem. Rozcięta tkanka rozsunęła się szeroko. Rana nie krwawiła, ale wystarczył przypadkowy grymas, by krew znowu zaczęła się sączyć.

„Dwie Twarze”, myślał z niechęcią, oglądając swoje oblicze w zwierciadle. „Będą na mnie mówić: Drubbaal Dwie Twarze”.

Jorge-Grizius był mistrzem amputacji, ale inną robotę wykonywał topornie. Drubbaal nie chciał powierzać mu swojej rany. Wystarczyło, gdy usłyszał, że trzeba będzie usunąć do reszty pół nosa. Zresztą teraz Grizius był zajęty opatrywaniem ciężko rannych. Od jego roboty zależało życie innych legionistów. Twarz Drubbaala mogła poczekać, chociaż nie zabił się bez dobrego szycia. Natomiast Hjalmir potrafił zgrabnie łątać. Paskudnie rozkwaszoną facjatę Chettiego pozszywał całkiem akuratnie. To również z tego powodu Drubbaal przeniósł kwaterę na Mroczną Przełęcz.

Wezwał chirurga.

Hjalmir zdjął całkowicie przemoczony opatrunek *sotnika*. Z poranionej tkanki ciekła już limfa, nie krew. Krytycznie przyjrzał się ranie. Biegła od czoła do żuchwy. Szczęśliwie Drubbaal oka nie stracił: pazur Czarnego trafił pod hełm, ześlizgnął się po łuku brwiowym i opadł głęboko w policzek, rozkrawając potem nozdrze. Inne rany były krótsze, choć równie głębokie. W kilku miejscach prześwitywały zęby.

– Wygląda na wielokrotne cięcie – powiedział Hjalmir.

– Haratnął mnie dwiema skrzyżowanymi łapami. Nawet nie dało się gada zabić. Chociaż musiał poczuć dwa bełty w plecach... – Drubbaal mówił szeptem przypominającym syk.

– Będzie z tym trochę roboty. Rany zbyt długo nie zszyto. Może nie chce się zrosnąć.

– Twój pomocnik tego nie robi? Nie trzeba mi w *sotni* darmożjada! – W taki sposób mógł bezpiecznie pozbyć się znieawidzonego niewolnika: za błąd się go zabije i każdy to uzna, natomiast Hjalmir jest pod ręką, więc błąd naprawi.

– Dopiero się uczy.

– Starczy tej nauki. Niewolnik przy oddziale ma normalnie walczyć albo iść na *tarczę*.

– Niech będzie. – Hjalmir kazał sprowadzić Adamsa.

Dwaj *pretorianie* zwlekli go z barłogu w kolebie i podnieśli za skute przeguby. Leżał zdrętwiały i obolały. Przypominały mu się dawne czasy, początek pobytu w Dolnym Mieście. Wojacy rozkuli go, a po drodze wyjaśnili cel spaceru. Adams rozcierał zdrętwiałe przeguby. Starał się przywrócić krążenie w dłoniach. „Dlaczego nagle Hjalmir postanowił się mnie pozbyć?” Pokręcił głową do swoich myśli. Rana zabagniona, będą komplikacje, a on chce uniknąć konfliktu z Drubbaalem i dlatego mnie wystawia na pożarcie”. Praktykant nie wywiąże się z tego polecenia.

Powoli wracało krążenie w dłoniach. Już w oczach Adamsa stanęły łzy od nieznośnego bólu; palce mrowiły, zupełnie jakby dziesięć imadeł wykręcało każdy z nich w inną stronę.

– Długo to będzie trwało? – rzucił chirurg.

– Przecież byłem skrupowany, panie – powiedział Adams głośno, by Drubbaal usłyszał. – Palce zgrabiały od niedokrwienia, a tutaj koronkowa robota. Muszę się przygotować.

– Katrup, nie poganiaj go! – burknął Drubbaal, a kropla krwi ściekła mu po brodzie.

„Musi bardzo cierpieć, ograniczył się tylko do jednej uwagi”, pomyślał Adams. Wytarł *sotnikowi* brodę szmatą nasyconą destylatem. Sam wypił dwa łyki: hara rozszerzy naczynia krwionośne.

– Nie pij tyle. Zszyj mnie równo. Jak będę zadowolony, dostaniesz dwa sycele.

– Dasz mi, panie, trzy sycele, tak spodoba ci się moja robota – powiedział pewnie Adams. „Ale skąpiec”, pomyślał. „Za proste szycie jednej rany Hjalmir bierze półtora sycela, a tutaj ran jest z siedem”. – Ale wezmę dopiero po sześciu dniach, jak się zrośnie – powiedział. Wytarł Drubbaalowi kroplę krwi, która ściekła po ostatnim słowie. Tkanka opuchła i już wywinęła się na zewnątrz. Nie można było dłużej zwlekać z szyciem.

Naczerpał kubek gotującej się wody, dolał zimnej i rozpuścił w niej łyżkę soli.

– Teraz będzie bolało – powiedział i zamoczył w płynie strzępek czystego płótna. Następnie

zaczął nim starannie przemywać ranę. Wsuwał przy tym płóciemko głęboko między rozerwaną tkankę.

– Co robisz!?! – rzucił zdumiony Hjalmir.

– Na pazurach Czarnego mogła być trucizna. Myję ranę.

– Wodą?

– Ani olej, ani gorzałka nie nadają się do tego. Woda nie zaszkodzi, a zwykle pomoże.

– Soliłeś ją.

– To naturalny płyn ludzkiego ciała. – Lekko palcami rozsunął rozerwany policzek Drubbaala. Chciał wykrzyć, jak w głębi biegnie rozdarcie tkanki. – Szyć od wewnątrz i od zewnątrz czy tylko od zewnątrz? – szepnął, zerkając bystro na Hjalmira.

– Od zewnątrz. Policzek sam się zgoi. Nie jest przecięty całkowicie – odpowiedział cicho chirurg.

– Daj, panie, swój puchar – Adams zwrócił się do Drubbaala. Nie potrafił odmówić sobie odrobiny teatru. Z obojętną miną złowił zdziwione spojrzenie dowódcy.

– Alkohol pali rany. Źle się goją – szepnął Hjalmir.

Adams spojrzał na niego w milczeniu, wydobyl z za pazuchy trzy półkolisty zgięte igły i pincetę, następnie okrągłym ruchem wrzucił to wszystko do samogonu. Zamieszał ciec w kielichu i wypił łyk.

Hjalmir uśmiechnął się w duchu.

Adams skrzywił się i poprosił o dolewkę.

– Ile? – rzucił pogardliwie ordynans.

– Do pełna.

Adams wypił łyk, potem drugi. Chciał się uspokoić i poprawić krążenie w rękach. A poza tym łatwiej będzie wyłowić narzędzia.

Zaczął od czoła. Rana była tam płytsza, więc łatwiej szło wyrównywanie brzegów. Szył półkolistą igłą, trzymaną pincetą. Każdy szew kładł z osobna, ale w niewielkich odległościach, starał się też nie wkłuwać igły za obszernie, zbyt daleko od krawędzi rany. Blizna nie powinna być duża. Poruszona rana znowu zaczęła krwawić, wytarł krew.

Hjalmir nie bez zazdrości patrzył na pracę Adamsa, lecz potem uznał, że i on by tak potrafił. Widział błędy i brak wprawy niewolnika, jednak doceniał talent i pomysłowość.

Adams od linii włosów doszedł do łuku brwiowego. Niepewny swoich umiejętności, zeszył go w sześciu miejscach.

– Nie zaciskasz zeszytej skóry? – nie wytrzymał chirurg.

– Chcę, żeby skóra ułożyła się tak jak przed zranieniem. Szwów jest więcej, ale są delikatne. Twarz ma się nie zmienić.

Adams rozmawiał, nie przerywając szycia. Teraz przystąpił do łątania policzka, a Drubbaal zaczął mimowolnie krzywić twarz. Dotąd był w stanie zapanować nad bólem, w tym miejscu już nie.

– Nie zdołam zeszyć bezbłędnie, panie, jeśli skóra będzie drgać.

Drubbaal spojrział na niego wściekle.

– Potrafię znosić ból.

– Tylko tam, gdzie dusza sięga – Hjalmir przyszedł w sukurs Adamsowi. – Twoja dusza nie włada policzkami.

– A dlaczego nie? – obruszył się nieustraszony dowódca.

– Bo... lejce, którymi sterowała policzkiem, zostały przecięte pazurem Czarnego – palnął Hjalmir.

– Aha – zgodził się operowany.

– Musisz, panie, odlecieć – powiedział Hjalmir.

– Nigdy nie biorę tych świństw. Jak ja zidiocieję, Czarne wrócą do Krum.

– Musisz, panie. Chociaż na godzinę. – Hjalmir wiedział, że Adams nie zostałby wysłuchany. – Po obudzeniu nie możesz, panie, zwymiotować. Rana mogłaby się zakazić.

– Reutel, przejmijcie dowodzenie na czas mojej nieświadomości.

Prefekt *pretorii* skinął głową. *Prefettus* był formalnie jedynie *decymusem*, jednak faktycznie numerem drugim na Linii.

– Wybierz taki, co nie daje przyjemności, a pomocnik niech dalej szyje.

Hjalmir rozpałił skrawek grzyba. Następnie, używając małej rurki, kilkakrotnie wdmuchnął w nozdrza Drubbaala biały dymek, unoszący się z tłącej się substancji. Drubbaal zamknął powieki.

– Uh...! – stęknął Hjalmir. – Mnie też się we łbie zakręciło.

– Wystarczy tylko tyle? – zdziwił się Adams.

– Jakby się budził, to poprawię.

Teraz policzek szło się łatwiej. Adams pracował bez pośpiechu. Dbał, aby stare blizny składały się w równe linie.

– Rana jest zastarzała – powiedział Hjalmar. – Trzeba to szybko zeszyć.

– Pół godziny nie ma znaczenia, a chcę, żeby wyszło równiutko. Dość już ma blizn na twarzy.

Nozdrze zszył trzema szwami, resztę nosa ośmioma. Znowu robotę przekazał chirurgowi. Na drugim policzku Hjalmar położył kilka szwów na mięśni. Rana była zbyt głęboka.

– Teraz ty szyj dalej skórę – polecił. Adams w milczeniu wziął się do roboty.

Drubbaal przebudził się, kiedy ranę już bandażowano. Choć skręcały go nudności, wymioty zdołał powstrzymać.

– Liczyłeś szwy? – zapytał Hjalmar.

– Nie, ale będzie ze czterdzieści.

– Myślę, że raczej sześćdziesiąt.

– Nigdy nie kładłem aż tylu jednemu pacjentowi. W gardle mi zaschło.

Żołnierz nalał mu wina. Po samogonie smakowało jak woda. Hjalmar podsunął swój kubek.

– Koronkowa robota. Ja mam za duże dłonie do takiego dziergania.

– Tego mnie nauczyłeś. Reszty jeszcze nie umiem. – Adams pił drugi kubek.

Drubbaal przysłuchiwał się ich rozmowie. Sam też spróbował popijać. Adams życzliwie, ale stanowczo wyjął mu dzban z dłoni.

– Rana jest świeżo szyta – powiedział. – Musisz, panie, pić tak, żeby wino po niej nie ciekło. Inaczej twarz się nie zrośnie i nie ocalisz urody.

– Uroda męża tkwi w szramach.

– Jasne. Ale kobiety wolą pocałunki foremnych ust, nie postrzępionych.

Drubbaal zarechotał, aż tłuste brzuszysko wysunęło się spod koszuli. Natychmiast jednak spoważniał i rzucił Adamsowi złe spojrzenie.

Ten udał, że nie zauważył.

– Niech zaufany żołnierz wlewa wino do twoich ust cienką strużką, omijając ranę.

– Jak chcesz. Rauschl, chodźcie tu – wezwał ordynansa.

Wieczorem przy ognisku przygrywał im na skrzypkach *korpuśny pretorii*, Tatar. Mówili na niego Przedkamień, gdyż zawsze kierował akcjami na Kozich Perciach. Gdy Tatar przerwał dziką melodię, która harmonizowała ze scenerią skał i tym miejscem jak ze snu, Adams obejrzał płytkie, drażone, podłużne skrzypki.

– Wolę grać na *złóbcokach*. – Wąsaty muzyk wyszczerzył mocne, białe zęby, kontrastujące z jego pociągłą, smagłą twarzą. – Trąbka płuca wyrywa.

Adams uśmiechnął się.

– Niech teraz Coghan pracuje. – *Korpuśny* Tatar skinął na dudziarza. – To też ciężka robota.

Do późna obozowi towarzyszyła muzyka.

Do znaku legionowego zawieszzonego na tyczce doszedł znak *sotnika*. Mówiono, że na kiju tkwi czaszka pierwszego *busierca* zabitego przez buntowników Hevrensza-Trzy-Palce. Czynem tym przypomniano, że z bestiami można walczyć i że można przegnać to utrapienie daleko od ludzkich siedzib. Po tym zwycięstwie Hevrensz-Trzy-Palce zorganizował legion. Zasad organizacji oddziałów dotąd nie zmieniono, zaś zniszczona czaszka została już wielokrotnie podmieniona.

Drubbaal leżał w namiocie dowódcy pilnowany przez *pretorian*. Jednym z pierwszych rozkazów zaliczył Adamsa w stan legionu. Oznaczało to lepszą rację żywnościową, ale bez żołdu, bo Adams był niewolnikiem.

Quirinu wyprowadzał codziennie rutynowe patrole w sile jednego lub dwóch *korpusów*. Zwykle dołączał do nich Adams, a Hjalmir pozostawał w obozie. Czarne nie pojawiały się w większej liczbie. Widać odczuwały jeszcze klęskę na Nocnej Grani. Po trzech dniach Drubbaal dostał gorączki. Zabagnionej rany nie udało się wymyć do czysta. Hjalmir ordynował mu gorzałkę i zimne okłady. Śmierć legendarnego dowódcy wywołałaby nieprzewidywalne skutki.

Obóz na Mroczej Przełęczy nie przeżył ostatnio tak zmasowanych ataków jak ten na Nocnej Grani. Znudzeni bezczynnością żołnierze palili się do walki. Reutel sprzeciwił się wypadowi, więc Quirinu postanowił na przynętę złowić kilka Czarnych. Mieli akurat dwóch marnych brańców, pokaleczonych przez ptaki.

Quirinu szedł jak zwykle milczący i apatyczny. Inni jednak pogwizdywali, nawet wymachiwali pałaszami do taktu. „Chcą sobie dodać odwagi”, pomyślał Adams.

Przeciwnik niebezpieczny, walka trudna, ale poprawnie przeprowadzona – zwykle zwycięska. A kompletna skóra Czarnego na grzbiecie to marzenie każdego legionisty na przepustce.

Quirinu polecił uwiązać Golca na długiej lince i pozostawić na płaskowyżu. Żołnierze przycupnęli za skałami na samej grani. Najpierw rozkazano zaatakować legionistów; chirurg i felczer mieli włączyć się do walki tylko w wypadku niepowodzenia ataku. Obaj otrzymali typowy zestaw do takiej akcji: siatkę i linę. Quirinu zabronił wzięcia pałek.

„Gdzie jest Linia?”, pomyślał Adams. Środkiem grzbietu biegła wydeptana ścieżka, trochę żwiru, tu i ówdzie głazik. Lawirowała, omijając co większe wanty. „Wzdłuż tej ścieżki?”

Wystawiony na przynętę Golec ułożył na dużej wancie drut, którym go uwiązano, i próbował przeciąć go uderzeniami mniejszego kamienia.

„Chcą się uwolnić, żeby odejść”, powiedział Quirinu przed zwiadem. „Zawsze robią to samo: biją kamieniem o kamień. Ten hałas zwabia Czarne”. Używa się drutu, a nie liny, żeby za szybko nie przecięli go uderzeniami ostrego kamienia.

Powiedział jeszcze: „*Gabery* nie wolno zranić”. Później dodał: „Ona będzie walczyć, póki nie założymy jej worka na głowę, wtedy przestanie być agresywna”.

Akurat przechodziła *gabera*. Była zaaferowana kilkoma młodymi, które jak utrapione muchy próbowały przyssać się do jej sutek. Ze sromu wystawała jej mała główka, która strojąc błazeńskie grymasy, rozglądała się wokoło. Główka spostrzegła przynętę i lekko ukąsiła Czarną w udo. Ta rozejrzała się i skierowała ku Golcowi.

Wspinała się mozolnie. Wyglądało, jakby utykała, jednak to zginające się w przeciwną stronę stawy nadawały taki charakter jej chodowi.

Gdy zbliżyła się do przynęty, legioniści zaczęli nawijać drut na bęben. Pociągnięty za obręcz na szyi Golec musiał odejść od swojego kowadła. Czarna pośpieszyła za nim.

Szła wprost na Adamsa. Nie stawiała nóg równo przed siebie, jej stąpaniu towarzyszył okrężny ruch przesuwanej kończyny, wywołujący wrażenie, że Czarna stawia obie stopy w jednej linii, choć tylko stawiała je wąsko. Pochyliła głowę do przodu, skrywając zwierzęce oblicze. Nie miała rogów ani przesadnie wielkich uszu. Ze zwieszoną głową wyglądała po ludzku. Włochate cyce, połyskujące aksamitnym, czarnym futrem, teraz rytmicznie falowały w pośpiesznym marszu. Wyposzczonych żołnierzy i to podniecało.

Przyśpieszyli zwijanie drutu. Golec podbiegał wypłaszczając się stromizną. Roztargniona *gabera* ze zwieszoną głową sunęła prosto przed siebie, choć widać już było legionistów za sztańcem. Młode zostawiły ją samą.

Adams trzymał w dłoni siatkę; kłęb liny ułożył w zasięgu ręki. Nagle Palla wychylił się zza sztańca i celnie rzucił lassem, które opadło aż na biodra Czarnej. Żołnierz zacisnął pętlę i mocno ściągnął. Czarna straciła równowagę, ale natychmiast zorientowała się w sytuacji. Obiema łapami schwyciła za sznur, wrywając go z rąk legionisty. Jacobez narzucił na nią sieć, oplątując ramiona, ta jednak wyswobodziła prawe i ruszyła ku atakującemu. Żołnierz rzucił się do ucieczki, jednak ona dopadła go, trafiając pazurami w napierśnik. Pazury zazgrzytały o stal. *Gabera* przygniotła go sobą. Razem upadli na ziemię i przetoczyli się po niej. Żołnierz osłonił twarz. Spadły na nich sieci pozostałych legionistów i sieć Hjalмира. Rzuty były jednak niecelne – Czarna pocięła sieci uderzeniami pazurów. Mocnym kopniakiem ogłuszyła Jacobeza. Nieoczekiwanie niemal cały oddział pozostał bez sprzętu. Nie można było użyć broni palnej ani białej. Hjalmir kłął, że nie wzięto pałek. Legioniści wycofali się ku grzbietowi po zestaw siatek przewidziany na drugie łowy.

Gabera gramoliła się z ziemi, wyplątując nogi. Siedziała na nieprzytomnym Jacobezie. Adams zbliżył się ukradkiem i schwycił luźny koniec lassa rzuconego przez Pallę. Szarpnął, przewracając siedzącą. Następnie szybkim ruchem narzucił swoją sieć na Czarną. Kilka pośpiesznych pętli sznura skrępowało jej ramiona, parę następnych Adams narzucił na szyję, przyduszając ofiarę.

Czarna próbowała węzowym ruchem wysmyknąć się spod więzów, jednak Adams zacisnął jej na szyi sznur, a następnie owinał *gabere* kilkoma ciasnymi zwojami do pasa. Jeszcze raz przełożył sznur pod jej biodrami, zręcznie usuwając go spod zębów szczeniaka. Nogi samicy pomógł mu skrępować Quirinu.

– Poluzuj pętlę na szyi. Nie może się dusić, zanim przeniesiemy ją przez Linie, bo dostanie ataku szału, uwolni się i nas pozabija.

Adams rozluźnił pętlę. Nie podsunął oficerowi myśli, że wystarczy samicy oślepić.

Nadal wiła się jak wąż, więc zacieśnili zwoje, krępując ją w podłużny tłumok. Na głowę naciągnęli jej worek, żeby nie zapamiętała drogi do obozu. Wtedy uspokoiła się i znieruchomiła. Słysząc tylko jej chrapliwy oddech. Przywiązali ją do kija.

– Ta *gabera* jest twoja, Krawiec – orzekł Quirinu. – Ty spętałeś ją swoją siecią i skrupowałeś sznurem. Należy do ciebie.

Decyzja była sprawiedliwa, jednak mogła wywołać sarkania i pretensje. W akcji został mocno poturbowany legionista, a niewolnik został właścicielem zdobyczy. Sam właściciel jeszcze nie wiedział, co zrobić ze swoją własnością. Teraz sapał, niosąc ją na kiju. Palla zgodził się za pół sycela pomóc dźwigać *gabere* do obozu. Przenieśli ją przez grań i złożyli obok drugiej przynęty.

Jacobez odzyskał przytomność. Wprawdzie mocno obity, lecz nie miał otwartych ran. Hjalmir brutalnym szarpnięciem nastawił mu wywichnięte ramię, a zaraz potem wybitą dłoń. Ułożyli poturbowanego na pledzie i uraczyli kubkiem gorzałki.

Z drugą przynętą mieli mniej szczęścia. Ledwie uwiązali Golca na drucie i schowali się za skałami, a ten załomotał kamieniem o wolność. Pojawił się wielki *busierec*. Miał ze dwa i pół metra wysokości. Coś go zaniepokoiło. Ogromne nozdrza ruszały się nerwowo. Badawczo łypał zaczerwienionymi białkami oczu. Na piersi miał dodatkowe oczy, a w miejscu pępka usta. Paradoksalna twarz powieliała jego mimikę. Trudno przypuszczać, by oczy uformowane z brodawek sutkowych cokolwiek widziały.

Busierec spostrzegł nagiego, tłustego mężczyznę, którego brzuch podskakiwał w takt uderzeń kamieniem. Podbiegł kaczkowatym chodem. Zamiast pognać Golca w Drogę Trupa, mocno uderzył łapą przed siebie, wrywając pazurami płat skóry. Polała się krew, Golec krzyknął żałośnie. Czarny połknął wyrwany kawałek ciała. Szarpnął pazurami ranę, wydzierając następny strzęp. Daleko niesły się rozdzierające wrzaski pożeranego żywca.

Żołnierze spodziewali się, że Czarny ruszy za drutem na grań i wejdzie w pułapkę, choć walka z olbrzymim stworem nawet po Stronie Ludzi była niebezpieczna. Jednak nic takiego się nie stało. Czarny ignorował drut i nadal się posilał. Teraz, głośno mlaskając, łapczywie pił krew tryskającą z rozerwanej tętnicy. Gdy wreszcie się nasycił, mężczyzna dawno już nie żył. *Busierec* odrzucił ogryzioną kość, rozejrzał się wokoło i odszedł kaczkowatym chodem. Pozostawił rozkawałkowane zwłoki.

Jako niewolnik Adams musiał zdjąć stalową obręcz i zwinąć drut. Nie trzeba było wyplątywać obręczy ze skrwawionych strzępów ciała ofiary: Czarny urwał jej głowę i obręcz sama spadła na ziemię. Wystarczyło wytrzeć blachę.

Uwolnili pierwszą przynętę.

– Zrobiłeś swoje. Teraz jesteś wolny – powiedział Quirinu. – Drugi raz nie pójdziesz ani na *tarczę*, ani na przynętę. Tak mówi prawo.

Mężczyzna roztarł sine przeguby. Adams poznał go, to był Cyrjak, ten pokaleczony przez gawrona.

– No, tak. – Cyrjak spojrzał z wyższością. – Nie zostanę z wami.

Odwrócił się na pięcie i odszedł na wschód, w stronę Nocnej Grani, w ciemność. Zapomnieli mu ściągnąć sandały. „Sam zrzuci, a obuwie przepadnie”, pomyślał Adams.

– To był wielki *busierec* – powiedział Quirinu, kiedy wracali do obozu. – Nie dalibyśmy mu rady, tylko ludzi by poturbował. Musiał być bardzo głodny. One rzadko atakują Golców.

– Rozwściecza je zapach krwi Czarnego – mruknął Palla.

– *Gabery* nie zraniliśmy. Nikt jej nie zaciął pałaszem, nikt pałką nie rozkwasił jej nosa.

– One czasem same się ranią – Hjalmir lubił puszyć się swoją wiedzą, a teraz z lubością poprawiał starego *decymusa*. – Właśnie po to, żeby było czuć zapach ich krwi.

Czarna była własnością Adamsa, jednak zgodnie z przepisami najpierw miał ją przesłuchać Hjalmir. Nie zrezygnował z tej możliwości, choć nie spodziewał się dowiedzieć wiele. Adams miał asystować przy robocie.

Do badania *gaberę* rozkrzyżowano na płaskim gładzie o pociemniałej powierzchni, służącym Hjalmirowi za stół do niejednej już operacji. Żołnierze wprawnie skrępowali kończyny Czarnej grubym sznurem i rozciągnęli jedną po drugiej. Za tę robotę, jak i za pocięte sieci, Adams musiał zapłacić. W sumie wyszło trzy i pół sycela, ale dzisiaj rano zarobił półtora za czyszczenie ran z ropy. Brał po ćwierć sycela od rany od biedniejszych legionistów. Bogatszym czyścił rany Hjalmir za pół sycela od sztuki.

Workowate, porośłe gęstym, czarnym futrem cyce Czarnej były zakończone dziwacznymi, haczykowatymi wyrostkami. Unosiły się i opadały w takt przyśpieszonego, płytkiego oddechu. Dysząc, rozwierała wielkie nozdrza.

– Po co tu przychodzicie? – rzucił Hjalmir. – Płaskowyż jest jałowy. Czego tu szukacie? – Spojrzał na Adamsa, jakby odpowiedź Czarnej miała właśnie jego pouczyć.

– Tak ma być – jej głos był czymś pośrednim między charczeniem i jękiem. – Tu powinniśmy być.

– Idealny żołnierz, he...? – Chirurg łypnął na Adamsa.

– Prowadzicie tłumy ludzi – włączył się Adams. – Nikt z nich nie może uciec z pochodu.

– To służba. Moja służba, służba innych.

Hjalmir nieco rozluźnił jej pętlę na szyi. Przestała dyszeć.

– Ci ludzie są bici, czasem nawet pożerani.

– To służba. Tak ma być.

– Daj już spokój, Krawiec. One mają mocno ograniczony zasób słów. Niewiele powiedzą. Koniec przesłuchania. Lepiej zacznijmy już sekcję. Ona ma dodatkową głowę sterczącą ze sromu. Chcę zobaczyć, z czego wyrasta ta głowa, ile tego siedzi w środku tej Czarnej.

– Przestań, Mistrzu Hjalmirze. To moja Czarna.

– To ją zerznij, jak dasz rady, mimo tego łba w cipie, a potem zabij. To ci wolno. Jednak nie puścisz wolno tej bestii, bo taki jest przepis. Jeśli pokaleczyłaby ludzi, to oznaczałoby twoją śmierć.

Adams umilkł. „Czy bronić tę istotę...?” Była niewątpliwie rozumna. Mówiła normalnie, ale przecież te stwory w polu są gorsze niż zwierzęta, złośliwe i zażarte. One jednak wydawała się inna od wszystkich: roztargniona, może nawet nieporadna. Dlatego przecież ją złapali.

– Niektórzy rzeczywiście biorą się za złapane Czarne...?

Hjalmir uśmiechnął się paskudnie i pokiwał głową.

– No, no... – wycedził. Ponieważ jednak Adams nie podchwycił tego dowcipu, powiedział: – Był taki jeden, Kazigrot. Znaczy, zwał się inaczej, ale później tak o nim mówili. Spróbował ze złapaną *gaberą*, tak go przyparło. Z taką, co nie miała szczeniaka w cipie.

– Naprawdę?

– Taak... Mówił, że było prawie jak z kobietą. Tylko że mu kutas zagnił od tego. Nawet nie musiałem obcinać, sam odpadł. Potem Kazigrot pożył jeszcze z tydzień, ale dalej gnął i umarł od gangreny.

Adams skrzywił się z odrazy.

– No jak, Krawiec? Kroimy?

Adams nie odpowiedział. Człowiek to nie był. A czy na pewno istota rozumna, tego też nie wiadomo. Jeśliby pies albo świnia czy baran umiały mówić, prosiłyby o to samo przed zarżnięciem. Czy umiejętność mowy była dowodem na rozum istoty lepszym niż wycie, miauczenie, czy wyraziste spojrzenie wielkich oczu...?

– Chociaż ją wcześniej zatłucz.

– Za szybko gnije, jak zdechnie sama. Za to jak spuścisz juchę, to trup trzyma się tak długo, że dasz rady zobaczyć, co ma w środku. Chyba ta jucha ją gryzie.

– Dobrze. Wykrwawienie to lekka śmierć. Niektórzy sami taką wybierają. Z tętnicy, żeby szybciej zesła.

– Jak chcesz znaleźć tętnicę, mądralo?

Adams poruszył bezradnie ramionami.

– No, tak, no, tak. Skąd masz niby wiedzieć, gdzie ona ma tętnicę? – burknął do siebie chirurg. – Poszukam, ale nie tętnicy, tylko żyły, żeby nas nie pochlapała...

Czarna odwracała głowę od jednego rozmówcy do drugiego. Łypała kremowymi białkami wypukłych oczu. Poruszała mięsistymi wargami, zza których wyglądały ostre, zwierzęce kły. Żebra unosiły się w przyśpieszonym oddechu. Adams nie potrafił traktować jej jak zwierzęcia.

– Ona nie rozumie, o czym mówimy. – Hjalmir zerknął spod oka na Adamsa. Obojętnie przejechał ostrzem noża po cholewie.

Samica, widząc to, zaczęła się wyrywać. Rozkrzyżowana na płaskim gładzie nie miała szans uwolnienia.

– Sprawdź, czy który sznur się nie przeciera o skałę. Nie chcę stracić oka albo nosa, kiedy przypadkiem uwolni rękę.

Liny jednak, mocno zawiązane na nadgarstkach i przegubach, napinały się równo ku głazom, do których zostały przytroczone. Hjalmir przyjrzał się więzom krytycznie.

– Uważaj, żeby przypadkiem nie chlapnęło na ciebie.

– Żrący kwas?

– Czy kwas, nie wiem, nie kosztowałem. Ty od tego dostaniesz wysypki albo egzemy. Nawet ten kamień ściemniał od juchy. – Obszedł ją wokoło. – Ta noga jest w miarę ułożona. – Wskazał palcem: – Tu. – Rozciął jej skórę nieco ponad kostką. Krew pociekła leniwie. Sycząc i puszczając bańki, wsiąkała w ziemię.

Samica zaczęła cicho, monotonicznie wyc. Przypominało to melodię. Wodziła smutnym wzrokiem za Adamsem.

– Panna próbuje cię czarować... – Zarechotał Hjalmir.

– To nie jest dobra żyła. Ledwie cieknie, zaraz samo przestanie. – Adams zignorował jego uwagę. Chciał skrócić cierpienie tej istoty.

– Wino... wino... – *gabera* powtarzała błagalnie. Strumyk krwi zamienił się w rzednącą serię kropel.

– Co proponujesz? – spytał Hjalmir.

– Lepiej nadgarstek. Bliżej serca. Krew lepiej pójdzie.

– Ona sama nie wie, gdzie ma serce. Ale dobrze.

– Wino – powtórzyła Czarna.

– Można jej dać?

– To twoja racja. Najwyżej sam mniej wypijesz.

Adams przyniósł gąsiorek.

– To premia za twarz Drubbaala – powiedział.

– Jak się ładnie zgoi, może cię nie zabije. Na razie ropieje i chyba szwy popuszczają.

– Ani nie syknął przy robocie.

– Zależało mu, żeby nie zeszeptnieć. Donieśli mu, że masz lekką rękę do roboty.

Adams nachylił gąsiorek ku Czarnej.

– Nie za blisko, bo stracisz palce – rzucił Hjalmir.

W tym samym momencie Czarna szarpnęła się do przodu, próbując zębami złapać dłoń Adama, a może tylko szyjkę dzbanka. Krew z rozciętej żyły pociekła żwawiej.

– Chcesz wina czy nie!? – warknął Adams. Samica spojrzała spokojniej.

– Rozdziaw gębę.

Z wysoka wlewał w gardziel Czarnej cienką strużkę rozwodnionego destylatu. Co chwilę przerywał, żeby nabrała tchu.

– Trzeba ją trochę przesunąć – zauważył Hjalmir. Wezwał od ogniska dwóch legionistów. Żołnierze zebrawali się niechętnie. Na ten wieczór planowali już tylko pijaństwo. Ale skoro Katrup wzywa, trudno odmówić. Z nim się nie zadziera.

– Chcę, żeby jej ramię bardziej wystawało poza stół.

– Nie damy rady, panie. – *Korpuśny* Janiak podrapał się w głowę. – Bestia porani mi ludzi. Już popili, nie będą dość ostrożni.

– Nie chcę, żeby posoka zalała mi stół, kiedy otworzę jej żyłę.

– W którym miejscu dokładnie?

– Hjalmir wskazał lewy przegub.

– Starczy skrócić trochę sznur, ręka sama się naciągnie. Adams wlał w gardziel samicy kolejną porcję.

– Nie za dużo, bo się zeszczy – powiedział Hjalmir. – Tylko jej nie urwij ramienia – zwrócił się do *korpuśnego*.

Podoficer skinął głową na znak: „To proste”. Rzucił rozkaz, a legionista wetknął gruby kij między sznury rozciągające ramię Czarnej i wykonał kilka obrotów. Ta zacharczała, ale ramię nie zostało przecież naciągnięte, tylko straciło dotychczasową, mocno ograniczoną swobodę ruchów. Może przegub dłoni został mocniej zgnieciony zaciągającą się pętlą. Niewielkie napięcie wystarczyło, aby wysunął się poza krawędź stołu skalnego.

Hjalmir obejrzał przegub.

– Miałem rację, pogryzła się, żeby jej krew poczuł *busierec*. Dłoni i wewnętrznych stron przegubów *gabery* nie porastało futro. Odsłonięta, błyszcząca, czarna skóra ułatwiła cięcie.

Żołnierz przesunął zakleszczony w sznurach kij, aby zaprzeć go o ziemię.

– Będzie? – spojrział wyczekująco na Hjalмира.

– Będzie. – Hjalmir skinął głową.

Żołnierze odeszli ku ognisku.

Chirurg głębokim cięciem rozszerzył ranę na przegubie Czarnej. Musiało sięgnąć jakiejś ważniejszej żyły, bo krew popłynęła strużką. Czarna zaczęła głucho stękać.

– Ma dość w czubie – powiedział Hjalmir. – Zmarnowałeś pół dzbana. Ale dzięki temu niewiele czuje.

– Chcesz jeszcze? – Adams zwrócił się do Czarnej.

– Zleje mi się na stół – mruknął Hjalmir.

– Dobrze. Najlepsze picie – powiedziała Czarna. Głowa wystająca z jej krocza poruszyła się, rozwierając usta.

Adams cofnął się z odrazą.

– Temu też?

– A dlaczego nie? To nie jest tylko narośl. Adams sięgnął po dzban.

– Ale uważaj. Szczeniak może wyskoczyć z niej i boleśnie pokaleczyć. Nie podchodź od strony nóg, ale od boku.

Adams pochylił się nad leżącą, a stojący z drugiego boku Hjalmir wyciągnął nóż, by w razie czego zarżnąć przebudzonego stwora.

Cieniutka strużka alkoholu ściekła po wystającej, pomarszczonej głowie. Oczy były cały czas zamknięte, tylko usta rozwierały się łapczywie, by schwycić jak najwięcej specjału. Adams łał porcjami z przerwami na oddech, dopóki małe usta nie zamknęły się. Dało się słyszeć ciche, ale rytmiczne sapanie: szczeniak zasnął.

Krwawienie z podudzia ustało, ale z nadgarstka krew nadal obficie spływała, wsiąkając w grunt. Miało się pod wieczór. Hjalmir sarkał, że przez niepotrzebne skrupuły Adama nie skroją Czarnej przed zmierzchem. Samica nie dopominała się już o alkohol, chociaż Adams wlał jej jeszcze parę łyków. Krew zmieniła kolor na jaśniejszy: nie była już czarna, lecz brunatna. Hjalmir teraz już spokojnie czekał. Wkrótce z rany szła bezbarwna ciecz. *Gabera* znieruchomiła, wyłupiaste oczy uciekły gdzieś pod czaszkę.

Wreszcie przezroczysta strużka urwała się.

– Myślę, że zeszło wszystko – powiedział Hjalmir. – Można ją już skroić, nie żyje.

Spojrzał na czerwony krąg słońca nad horyzontem.

– Bawimy się z nią za długo – powiedział. – Musimy przed zachodem ściągnąć skórę, bo do rana nawet wykrwawiona zupełnie nam zgnije. Stracisz czarny przyrodziewek. Na dodatek zaświni mi ten zgrabny stół do operacji i będziesz musiał go szorować.

Obmacał jej klatkę piersiową: żebra zrastały się w mostek jak u człowieka. Palcami wyczuł miejsce, gdzie mostek się kończy. Od tego punktu zrobił długie cięcie aż po srom Czarnej. Powtórzył je i wspólnie z Adamsem rozszerzyli szczelinę. Rozszedł się mocny fetor. Krwawienia nie było. Odśloniła się seria workowatych narośli, dziwacznie biegnących niby-jelit, krwistych bulw.

– Każda w środku jest niespodzianką. – Hjalmir wyszczerzył zębiska w uśmiechu. – Już ci to kiedyś tłumaczyłem.

Nie było to podobne do wnętrzości ssaka ani trzewi innego kręgowca. Jednak z zewnątrz Czarna bardziej przypominała człowieka niż jakiegokolwiek zwierzę.

– Wiesz, co to jest? – Hjalmir wskazał ostrzem noża na różowy, cielisty worek, połączony z jamą ciała grubą szypułą i węzłem żył.

– Pies wie co. – Adams wzruszył ramionami.

– Żaden pies tego nie ruszy. – Roześmiał się chirurg i wyrzucił do trawy wyciętego flaka. – Za nią weźmiemy się potem. Najpierw zobaczmy jej małego lokatora. – Pogłębił cięcie przez srom, przepiłował spojenie miednicy. Krwawienia dalej nie było. Dziwaczny łebek sterczący z krocza Czarnej miał dobrze wykształcone ramiona, przedramiona i dłonie. Łączyły się one z chudym tułowiem fałdem skóry, która kiedyś utworzyłaby błoniaste skrzydła. Tułów, z kolei coraz marniejszy, biodrami przechodził już w ciało *gabery*; uda i podudzia małego trudno było oddzielić od pochwy Czarnej. Hjalmir zręcznym ruchem noża wyłupał cały zarodek. Widać było, że młody nie ma jeszcze rozwiniętych ani podudzi, a już ani śladu stóp.

– Utnij mu ten łebek – powiedział Hjalmir.

– Co...?

– Nie zrobisz teraz, to jutro będzie zdychał w męczarniach. Adams spojrzał na niego pytająco.

– Z pragnienia, w promieniach słońca. Bo tę noc jakoś przetrwa.

– To żyje...?

– Pewnie. Szczeniak jest tylko kompletnie pijany. Sam lałeś w niego hare.

– Nie mogę.

– Ma już zęby wystarczające, żeby przegryźć przegub ręki dziecka, a tobie chlasnąć palec jednym kłapnięciem. Utnij ten łeb. – Podał nóż Adamsowi.

Niewolnik ma wykonać polecenie pana. Adams oparł główkę szczeniaka o głaz. Przynajmniej nóż sekcyjny Hjalмира był ostry. Adams musiał tylko nacisnąć nadgarstkiem, by przerwać kręgosłup. Chrupnęła przecinana chrząstka. Główka otworzyła usta. Adams rzucił ją gdzieś w ciemność.

– Skąd ten mały wziął się w jej sromie...?

– Zwyczajnie. – Hjalmir wzruszył ramionami. – To był jej młody. Ona go tak rodzi.

– Przecież to nie ma stóp.

– Mały narasta w niej jak twoje paznokcie. Po kolei. W końcu rodzi się, to znaczy wypada, bo Czarna czasem nie przerywa marszu, rodząc młodego. Widziałem to parę razy.

– A co z małym?

– Jak mu wyschną skrzydła, to zrywa się do lotu, albo nie, i krąży wokół stada starych.

– A jak się nie zerwie...?

– To albo stary go zeżre, albo sam zdechnie, kiedy wyschnie od słońca. Sporo takich można znaleźć na szlakach przemarszu Czarnych. Wyglądają jak zeszczone żaby.

Adams odrzucił resztę embriona w krzaki.

– Trzeba się pośpieszyć, bo ciemnieje – powiedział Hjalmir. Następnie wsunął obie dłonie do jamy ciała, odrywając połączenie wewnętrzności z resztą i wylupując zawartość, a następnie unosił je wszystkie ujęte błoną w obłą bryłę. – Widzisz...? Łączą się z resztą tu od góry i od dołu. Najpierw tu chłaśniemy.

– To twoje doświadczenie?

– Właśnie. Ale w tej kupie każdy flak jest inny. Zresztą nie zdążymy przed zmrokiem. Jak z tego co zostanie, to rano pobawimy się w staranniejsze badanie...

Adams przeciął przelyk i jelito we wskazanym miejscu, Hjalmir zaś zręcznie przemknął ostrzem po naczyniach krwionośnych. Nieco krwi wyciekło do jamy ciała. Z pomocą gniewnego legionisty wygarnęli całą kupę dymiących wewnętrzności do prześcieradła. Adams rozpoznał jelita, żołądków było kilka, ale małych, wątroba wyglądała zwyczajnie. Wielu gruczołów nie potrafił nawet nazwać. Następnie wyrzucili to w trawę.

– Powieście to prześcieradło, niech na mgle obcieka do rana – polecił żołnierzowi Hjalmir. – Ludzi nie będą zawijał w brudne szmaty. – Wiedział, że legionieści krzywo patrzą na zwyczaj krojenia Czarnych.

– Raz, dwa, trzy, cztery. – Wyluskiwał kolejne nerki. Składał je w nadstawione dłonie Adamsa. – Całkiem nieźle uformowane. Wygląda, że wszystkie działają. Od biedy można by zaryzykować zjedzenie takiej jednej.

Adams skrzywił się z obrzydzenia.

– Z reguły mają zwielokrotnione narządy? – spytał.

– Na ogół tak. Już się ściemnia, więc nie zdążymy obejrzeć tego starannie, ale wygląda, jakby przejmowały czynność jeden po drugim. Zwykle, jak Czarny ma trzy żołądki, to najstarszy jest perforowany wrzodami albo zrakowaciały drugi trawi, a trzeci nie jest jeszcze dojrzały. Te zużyte, nie działające już, częściowo wyglądają jak rozłożone, nadgniłe czy pożarte, czy jak to nazwać. Tobie też kiedyś wypadły zęby mleczne, którymi gryzłeś jako szczeniak, no nie, Krawiec...? – Hjalmir wyszczerzył zęby.

Adams odpowiedział uśmiechem.

– Rzuć te nerki na kupę flaków. Głodu nie ma, nie będziemy eksperymentować na naszych kolegach. Piękny, zdrowy pęcherz – dodał, dotykając go palcem. – Drożny. Już zaczęła szczać, ledwie nacisnąłem.

Adams odwrócił wzrok.

– Co się krzywisz...? To rutynowy test. Niektóre z nich mają tyle pasożytów, że cewka moczowa jest prawie zatkana.

Słońce skryło się za grań. Szarzało.

– Zdejmiemy z niej skórę, żebyś miał się czym popisywać na przepustce, a jak czasu starczy, to obejrzymy, co ma w środku klatki piersiowej i w czaszce. Ale ja też powinienem coś dostać za tę robotę. Może czaszkę...?

– Na co mi futro...? – wzdrygnął się Adams.

– Głupcze. Możesz to zawsze sprzedać. A schodzącego w skórze Czarnego witają w Krum jak bohatera. Zniżka w burdelu... Darmowe wino w knajpie... Nie każdy potrafi zabić takiego wroga. Skóra *gabery* jest najlepsza, nie trzeba podwijać futra.

– Dobrze. Czaszkę weź, jak chcesz.

– Do czego to doszło... Niewolnik daje prezenty swojemu panu. Niech tak będzie. Ale czaszkę trzeba gotować. Nie wiem, czy jest dość opału.

Wziął kozik z tępym końcem przeznaczony do skórowania.

– Tę dziurę na jej brzuchu zaszyjesz. Cięcie do zakładania skóry na siebie zrobimy na plecach, ale to już jutro.

– Nie szkodzi. Będę wiązał ją na brzuchu.

– Tak wygląda gorzej. Ta samica ma bardzo efektowne cyce. Skóra będzie się lepiej

prezentować wiązana na plecach.

Hjalmir starał się ciąć jak najmniej. Cięcia zaczynał nożem operacyjnym; ciągnął kozikiem, żeby nie kaleczyć tkanki leżącej głębiej. Czarna nie miała ogona, jej pośladki przypominały ludzkie, natomiast uda były skrócone, stopa zaś wydłużona i smukła. Czarna stąpała na palcach przekształconych w drobne kopytka. Dlatego Adams odnosił wcześniej wrażenie, że kolana zginają się jej w przeciwną stronę.

Odwiązali jej kończyny. Skóra na ogół łatwo odchodziła od reszty ciała, wywracając się na lewą stronę. Aby jej nie rozciąć na kończynach, musieli je mocno przykurczyć. Trudniej było na dłoniach, gdzie Hjalmir odciął palce, zostawiając je z pazurami.

– Głowę robi się inaczej – powiedział.

Chciał rozciąć jej skórę na potylicy i odwrócić ciało na brzuch. Zdarta skóra trzymała się już tylko na głowie i twarzy.

– Może uda się bez cięcia – podsunął Adams.

– Tak to się robi u was...? – mruknął Hjalmir i ściągnął skórę z czaszki, dochodząc od potylicy do czoła, a potem z twarzy. Adams odwrócił się, nie umiejąc znieść tego widoku. Wyglądało to, jakby Czarna ożyła i nagle zaczęła robić błazeńskie grymasy.

– Już możesz patrzeć. Ładnie poszło: razem z chrząstką z nosa. Będiesz w niej dobrze wyglądać. Jak nie zgnije do rana, to wybierzesz resztki mięsa, a skórę dasz kuśnierzowi do wyprawienia.

Adams zebrał cały kłęb wilgotnej i cuchnącej skóry i odłożył. Tymczasem Hjalmir rozciął mostek Czarnej.

– Ma dwa podwójne serca – rzucił w trawę wycięte organy. – I kilka dodatkowych par, jeszcze niedojrzałych.

– Jak to podwójne?

– Zwyczajnie. Człowiek ma jedno poczwórne serce. Ta miała podwójne, ale za to dwa.

– Jedno płucne, drugie od reszty krwioobiegu.

– Możliwe – mruknął Hjalmir, zerkając na niego spode łba. – A człowiek ma te serca połączone razem?

– Tak.

– Nie spotkałem jeszcze tak dziwnego człowieka, jak ty, Krawiec. Głowę daję, że w życiu nie widziałeś serca Czarnej, pewnie nie widziałeś też i ludzkiego serca, a wiesz o tym zadziwiająco wiele, i na ogół się nie mylisz.

– Dajesz swoją głowę czy Czarnej...?

Hjalmir spoważniał. Adams wyczuł, że posunął się za daleko.

– To jest prawda – powiedział pośpiesznie. – Czytałem o tym.

– Gdzie są te książki? Nie jestem zbyt szybki w sztuce czytania, ale takie książki są warte czasu i wysiłku. – Hjalmir odpiłowywał głowę Czarnej.

– Opowiadałem ci moją historię, panie – powiedział pokornie Adams. – Te książki są jej częścią.

– Tak, pamiętam. Nie ma do nich dostępu. – Hjalmir wziął w garść odciętą głowę. – Na dzisiaj fajerant.

Nie było jeszcze całkiem ciemno. Siedzieli przy ognisku, popijając. W kociołku gotowała się głowa Czarnej. Adams wyplukał skórę, używając prawie wiadro wody, potem zebrał nadmiar wilgoci. Teraz starannie wyłuskiwał palce. Należało ciąć wokół pazura, wtedy skóra łatwo się zsuwała. Hjalmir poradził mu wygotować palce, by pazury ładnie się zakonserwowały. Dorzucił je więc do kociołka, ale tylko na krótko, by odeszły od reszty tkanki.

– Posoka nie trawi jej skóry – powiedział Adams. – Po umyciu jest całkiem czysta.

– Następnego zabijemy przed sekcją. Zobaczysz, jaki gnój znajdziesz w środku – powiedział Hjalmir. – Czasem trudno zdążyć ze zdarciem skóry, żeby nie zgniła.

Docierał do nich coraz mocniejszy fetor.

– Aaa... – Hjalmir wykonał w tamtym kierunku nieokreślony gest ręką. – Już się zaczęło.

Wieczór był bezwietrzny, nie dało się schować przed smrodem. Jedynie wypity alkohol mógł osłabić trupi odór.

– Do rana zostaną gołe żebra. Nie obejrzymy sobie ani płuc, ani serc, ani mięśni.

– Dlaczego w takim razie nie zostawiłeś tam głowy?

– Kości zostają brzydkie, czarne albo brunatne. Nie takie czyste jak po gotowaniu. – Hjalmir dorzucił drewno do ognia. Poruszał kijem w kociołku, żeby głowa nie przywarła. Na razie wokół rozchodził się zapach gotowanego mięsa. – Dlaczego Czarne gniją tak szybko...? Potrafisz to wyjaśnić?

– Mogę tylko przypuszczać. Mam zresztą dwa sprzeczne wyjaśnienia. – Adams drewnianą skrobaczką usuwał resztki tłuszczu. Wyczyścił skórę jak najstaranniej, żeby się nie zmarnowała.

– Mów.

– Może ich ciało przesycone jest substancjami, które w szybkim tempie potrafią trawić tkankę. Póki tkanka jest żywa, coś je od tego powstrzymuje, a gdy Czarny zemrze, trawienie natychmiast się zaczyna. W ten sposób pozbywają się zużytych narządów, ale przez to po śmierci rozkładają się, jakby pożerane.

Dotarła do nich fala skondensowanego smrodu.

– A drugie?

– Może potrafią żyć, stale mając w sobie zarodki rozkładu, całe kolonie bakterii gnilnych albo podobnych.

Hjalmir skinął głową.

– Pamiętam, mówiłeś mi o nich.

– Właśnie. Jeśli nie atakują żywej tkanki, to mogą pełnić funkcję czynnika trawiącego. Słyszałem o cmentarzu, gdzie zwłoki rozkładają się w ciągu jednej nocy i dnia. Wszystko zależy od stężenia bakterii gnilnych. Dlaczego nie mogłoby tak być z ciałami Czarnych, przesyconymi takimi bakteriami...?

– Dlatego Kazigrot stracił kutasa?

– Przy ścisłym kontakcie błon śluzowych bakterie się łatwo przenoszą. A naprawdę wiele bakterii gnilnych poradzi sobie z żywym organizmem.

– Jeśli powiesz: „czynnik rozkładu”, to oba te wyjaśnienia stają się jednym.

– Prawda, ale to zbyt ogólne. Nie wyjaśnia mi wiele.

– Twoje wywody są staranne i delikatne, Krawiec, jak i twoje szwy. Ale wolę to drugie wyjaśnienie – Czarne są stworami nieczystymi. To mówią wszyscy. Ich mięso cuchnie, niektórzy uważają, że jest trujące.

Adams wyrócił na lewą stronę oba cyce Czarnej. Starannie wyczyścił skórę z resztek tłuszczu, za namową Hjalмира wybrał, ile się dało tkanki z brodawki, a następnie zgrabnie je uformował, wypychając kłębami suchej trawy. „Za życia nie były takie ładne”, pomyślał z uznaniem o swojej robocie.

Już prawie po ciemku wyniósł skórę pod maszt ze sztandarem legionu, aż na samą kulminację grzędy, gdzie mgły zbierało się najmniej. Oba rękawy skóry starannie zawiązał na tyczce. Jak przyjdzie wiatr, wywietrzy ją i wysuszy. „Wisi nisko, nawet huragan jej nie zerwie”.

Na tyczce przyozdobionej rogatą czaszką zgodnie powiewały: wystrzępiony na wietrze smoczy znak *sotnika*, dywanik z czarnej wełny – godło legionu – a na samym dole, jakby podpierająca tyczkę, stojąca, sflaczała *gabera*. „Ładna kompozycja”, pomyślał.

Potem we dwójkę wypili cały gąsiorek do dna, a i tak czuł cuchnące ścierwo. Hjalmir, zakuwając go na noc, nie przewlókł do końca zawlecзки; nie zwrócił też uwagi, że przekręcany klucz wydał inny dźwięk.

„Włał się w porę”, zadowolony Adams wtulił się w zbutwiały pled i zaraz zsunął do reszty kajdany. „Założę je rano, zanim przyjdzie mi je ściągnąć”, pomyślał. Ułożył okowy w zasięgu ręki.

Zapał w ciężki, męczący sen, jednak zbudził się wkrótce. Czuł się podle. Obawiał się, że zacznie mu nawalać serce. Wiedział, że wypił za wiele.

Leżący opodal Golcy stękali przez sen, niektórzy już wykopywali się z odzieży, chociaż ich zęby szczękały z zimna.

Adams marzył coraz bardziej. „To dobre uczucie. Serce nie będzie się wygłupiać. Znowu się wykpiłem..”

Wczołgał się do małego zagłębienia pod głazem, jakby minikoleby. Układał się tam do snu, gdy było naprawdę zimno, ale robił to niezbyt często, bo w zagłębieniu lubiło nad ranem zbierać się nieco wody, a na dodatek nie dało się wygodnie ułożyć spętanych podudzi. Teraz jednak szukał tu schronienia przed chłodem, a uwolnione z kajdanów nogi można było wygodnie wyciągnąć. Nad ranem się stamtąd wygrzebie.

Wreszcie usnął, w jamce było przytulniej niż pod gołym niebem. Sen bez marzeń sprawiał wrażenie, jakby Adams stale czuwał, a tylko w obserwowanej rzeczywistości następowały nieoczekiwane przeskoki.

Było już najzimniej i najciemniej tej nocy: wilgotna mgła szczelnie otuliła obóz. Sen odpłynął na dobre i nie chciał wrócić. Adams rozszerzonymi oczami próbował przeniknąć ciemność. Przed chwilą wydało mu się, że dostrzegł nieznaczny ruch; teraz jednak nie był już tego pewien. Jeśli coś skradało się do obozu, to wszelkie odgłosy ginęły w jękach, chrapaniu i rżeniu Golców.

Oczy rozbolewały od wypatrywania. Adams dzierżył w dłoniach kajdany, uważając, żeby nie wydały dźwięku. Wyliczył sobie, jak zamachnąć się, by złożony na pół łańcuch trafił w głowę wymagowanego napastnika.

Poświata od chmur i nieco blasku od żarzących się węgli wydobyły z mroku niewyraźne cienie. Teraz nie miał już wątpliwości: zbliżały się dwa, może trzy, może więcej kształtów. Słyły wprost na niego. Lęk ustąpił natychmiast – Adamsa dostrzec nie mogły.

Wstrzymał oddech. Nagle jeden z cieni sprawnym susem znalazł się przy leżących brańcach. Nastąpiła krótka szamotanina, a zaraz potem gwałtowny charkot i stłumione rżenie. Do pierwszego dołączyły następne cienie.

Pojaśniało – wartownik dorzucił do ognia. Adams ujrzał kilka *busierców*, uwijających się wśród spętanych Golców. „Ależ to wielkie stwory”, pomyślał. Kąsani brańcy nie bronili się, co najwyżej niektórzy próbowali unikać ostrych kłów.

Nagle ciszę rozdarł zgrzytliwy dźwięk trąbki sygnałowej. Wokół rozległy się krzyki zbudzonych legionistów, dobiegły uszu strzępki komend. Czarne porzuciły leżących – teraz rzucały kamieniami w stronę nadbiegających żołnierzy. Zaświstały bełty: Bethmann już wprowadził swoich do akcji. Któryś *busierec* zawył z bólu.

Walka toczyła się przed oczami Adamsa w niesamowitym tempie. Nagle przed sobą dojrzał samego Pachoma w szponach czarnego olbrzyma. Młody *decymus* stracił pałasz, a teraz gołymi rękami zmagał się z bestią. Inni nie próbowali strzelać, żeby przypadkiem go nie trafić. Adams znajdował się najbliżej. Pachom, choć sprawny i wyćwiczony, nie mógł sprostać nieludzkiej sile bestii. *Busierec* przydusił go do ziemi, starał się przytrzymać jego ramiona, żeby sięgnąć do gardła.

Adams wystrzelił ze swojej kryjówki i zwinnym ruchem zarzucił Czarnemu łańcuch na szyję. Mocno zaciągnął podwójną pętlę i skrył się za jego plecami. Przyduszona bestia, rżąc, usiłowała rozluźnić stalowy stryczek. Ta chwila wystarczyła Pachomowi, żeby wydostać się spod napastnika.

– Krawiec, na ziemię! – dobiegł krzyk Bethmanna.

Adams posłusznie padł na kamienie. Czarny, uwolniony, wyprostował plecy, kurczowo usiłując złapać oddech.

W tym momencie trafiły go trzy bełty. W szyję, w pierś i jeszcze raz w szyję. Bestia próbowała powstać z kolan, ale mocno się zatoczyła. Naraz błysk, huk samopałów *pretorii*. Cudacznie wykrzywiona gęba na brzuchu *busierca* rozbryzła się w krwawy strzęp. Potwór spojrzał na to jakby zdziwiony. Wtedy Pachom długim cięciem poderżnął mu gardło. Dwadzieścia sekund wystarczyło mu, by odzyskał broń.

Zaraz potem rozległa się komenda Reutela i padły dwa strzały w stronę Czarnych atakujących od przełęczy. Chwilę później następna salwa.

Nagle wokół ucichło. Czarne gdzieś znikły. Jako ostatni, na czworakach wycofał się ten ciężko poraniony, łapą tamując posokę ciekącą z otwartego gardła.

Drubbaal zabronił ich ścigać: mogły w mroku przygotować zasadzkę. Nikt z legionistów nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Jęki mordowanych brańców zaalarmowały wartowników, którzy zdążyli pobudzić resztę oddziału. Zmasowany ogień *korpusu* Bethmanna, a zaraz potem *pretorii* najpierw w stronę atakujących od przełęczy, potem ku okrążającym obóz, pozwolił uniknąć walki wręcz. Niestety, rzeź brańców nastąpiła wcześniej. Zostali wymordowani co do jednego. Broni palnej użyto z opóźnieniem, gdyż w wilgotnej mgle lonty nie chciały się tlić.

Świt ujawnił całe kałuże czarnej posoki. Aż dziwne, że żaden trup Czarnego nie został między wantami. Przeżyje nawet ten najciężej poraniony *busierec*, jeśli tylko zdoła doczołgać się do Lini. Legioniści poszukiwali bełtów: trafione *busierce* zwykli wyszarpać je z ran. Choć spenetrowali cały teren obozu i drogę Czarnych aż pod grań, znaleźli ledwie dwa bełty, z których jeden zniszczony: drzewce pogryzione, brzechwa zdarta. Czarne zbierają strzały czy co...?

Sprawność i profesjonalizm nocnej wycieczki Czarnych przypominały raczej taktykę *korpusu* Bethmanna niż chaotyczne wysiłki półzwierząt. Jak uważać je nadal za niezdarne, przygłupiaste potwory? Adams mógł obawiać się o swoje życie, jeśliby nadal sypiał poza obrębem obozowiska.

Żołnierze musieli zająć się pozyskiwaniem wody na cały dzień. Ostrożnie zdejmowali ze sznurów nasiąknięte rosą szmaty oraz koce i wyciskali wilgoć do wiader. Zebrało się tego mniej niż zwykle, Czarne zdarły sporo zawieszonych tkanin.

Roboty chirurgicznej po nocnym starciu było niewiele: kilka niegroźnych draśnień, jedno krótkie szycie. Żołnierze wyrwani ze snu nie kwapili się do starć wręcz. Ci z kolei, którzy uderzyli bronią ręczną, zdążyli założyć broje. Pachom, chociaż posiniaczony, nie miał otwartej rany. Hjalmir szybko uporał się z robotą i już od świtu krzątał się przy kociołku, w którym gotowała się głowa *gabery*. Adams przycupnął obok chirurga.

– Zgrabnie poradziłeś sobie z kajdanami.

– Niedokładnie je wczoraj zapiąłeś, panie.

– Może celowo – mruknął Hjalmir. – Dałeś dość dowodów, że nie uciekniesz.

– Teraz jakiś *busierec* ma z nich naszyjnik. Hjalmir skrzywił się z powątpiewaniem.

– Zostawi po drodze. One nienawykłe do odzieży ani do ozdób.

– Znowu będziesz mi je zakładał, jak się znajdą?

– Na pewno nie. Młody wyjedna ci zwolnienie u Drubbaala. Jeśli nawet nie uratowałeś mu życia, to przynajmniej bardzo pomogłeś w walce. Pachom nie zapomina takich rzeczy.

Hjalmir rozwidlonym kijem wydobył białą czaszkę z kociołka. Zaczął usuwać z niej resztki mięsa. To nie była ludzka czaszka ani tym bardziej małpia. Znacznie większa od ludzkiej, inne proporcje, wprawdzie mocno sklepiony wał nadoczodołowy, ale znowu żuchwa cofnięta i podbródek jak u człowieka, choć z kolei potężne kły. Nad czołem dwie bulwiaste wypukłości, radełkowane w drobny wzorek.

– A to? – spytał Adams.

Hjalmir popukał palcem w to miejsce.

– Ta zrzuciła poroże. Niektóre co roku tracą rogi i co roku odrastają im nowe. Z rogami, to dopiero byłby okaz.

Wybielona czaszka zerkła na nich mrokiem pustych oczodołów. Hjalmir spróbował przystawić do niej żuchwę.

„Ludzkie proporcje ujęte w puszcze mózgowej czaszki zwierzęcia”, pomyślał Adams.

Wyszedł pod grań po skórę Czarnej. Wywietrzyła się przez noc, podeschła, nie cuchnęła. Sporo tłuszczu jeszcze na niej pozostało. Należało doczyścić powieki i brodawki sutkowe. Szczęśliwie ich nie uszkodził, pracując w zapadających ciemnościach.

Hjalmir radził powtykać tam kłębki tkaniny, ale skąd je wziąć?

Wystające spod kamieni kłębki trującej trawy, suche i kłujące, marnie nadawały się na wypełniacz.

– Zapach skóry je ściągnął.

– A nie odór ścierwa...?

– Jedno i drugie. Trzeba było znieść ją do obozu i wymyć starannie. Teraz jest do wyrzucenia. Skór sprawionych na wieczór nie daje się zakonserwować: zawsze zgniją od wilgoci.

– Ta akurat wyschła na wietrze. Nie śmierdzi i nie zagniła.

– Coś podobnego...

„Wiedział o tym, dlatego zostawił mi skórę, a sam wziął czaszkę”, pomyślał Adams. Później dowiedział się, że chirurg miał obowiązek przesłuchać i sprawić Czarną, Adams nie musiał mu za to płacić ani jej czaszką, ani skórą.

Hjalmir próbował narysować czaszkę. Znowu powstawał nieudacznym szkic, jakich chirurg miał w swoim notatniku dziesiątki, na przemian z równie marnymi obrazami ludzkich wnętrzności czy przekrojów. Adams zaofiarował pomoc. Jego ręką powstawała udana podobizna. Wkrótce Hjalmir wprawnie czyścił skórę Czarnej, dyktując Adamsowi uwagi do zanotowania.

– Co za czasy... – mruknął, uśmiechając się pod nosem. – Jeszcze nie miałem niewolnika, za którego bym wykonywał całą pracę.

By dotrzeć na dół, wieści potrzebowały tyle czasu, ile zabierało nosiwodzie zejście do Dolnego Miasta. Jedynie w czasach zażartych walk posterunek nad Mehz Khinnom zawracał mieszkańców Krum z drogi do obozowiska. Handel ze Szczurami przynosił niezły (dochód. Krum odzyskiwało w ten sposób pieniądze ściągnięte jako kontrybucja i te wydane na zakup nowych niewolników.

Na wieczór przybył z Krum kuśnierz, – Ebener. Pochwalił wstępne oczyszczenie skóry i gwarantował, że już się nie rozłoży. Obiecał ją wyprawić za siedem syceli. Powiedział jednak, że

najlepiej ułożyć skórę na oryginalnej czaszce. Hjalmar zgodził się wypożyczyć czaszkę, jednak bez zmrużenia oka zażądał ćwierć syceła tygodniowo za wypożyczenie. Adams przeklinał chwilę, w której wpadł na pomysł sprezentowania czaszki chirurgowi. Na dodatek obecnie miał tylko cztery sycele. Dobrze, że Ebener nie zażądał wyższego zadatku.

Drubbaal przestał gorączkować i z wielką energią wziął się do działania. Zarządził rozbudowę obozu pod Mroczną Przełęczą. Miał już dość siły, aby osobiście nadzorować robotę. Nocny napad nie okazał się decydujący, chociaż nie był bez znaczenia. Dawniej zdarzały się wypadki Czarnych na Stronę Ludzi, jednak po wielu sukcesach legioniści odwykli od bezpośredniego zagrożenia bazy. Kiedyś nie daliby się tak podejść.

Adamsowi pozwolono nocować z żołnierzami, a nie z brańcami. Przestano go skuwać na noc, chociaż ryzyko zaskoczenia zmalało, jako że Drubbaal nakazał podwoić warty. Po naradzie z oficerami *sotnik* uznał, że jeszcze lepszą obroną będzie akcja zaczepna, jednak nie na terenie Czarnych, gdzie miałyby one zbyt dużą przewagę. Mapa wskazała teren, na który ostatnio coraz częściej zapuszczały się Czarne, będący po Stronie Człowieka, chociaż nadzwyczaj trudny do walki: Kozie Perci.

Na tych wążutkich, niemal zawieszonych w powietrzu chodniczkach nie dało się prowadzić walki rutynowymi metodami. Do wymiatania Kozich Perci Drubbaal wyznaczył *korpuśnego* Tatarą, mianując go dowódcą oddziału, i dodając mu Krippela; podoficer dobrał sobie Barbera. Ryzyko tej akcji wymagało obecności lekarza. Drubbaal bez mrugnięcia okiem wskazał chirurga i felczera, chociaż Tatar oponował, że nie chodził z żadnym z nich po tamtym terenie.

Wyszli z rana – Przedkamień zarządził późniejszą pobudkę niż przy zwiadach Koni Roboczych. Dojście było dość długie: najpierw na kulminację grzędy ze sztandarem legionowym, potem trawersami lub ostrzem grani na Mroczną Przełęcz. Tam droga się rozchodziła: po stronie płaskowyżu wiodła częściej używana ścieżka, ale niepewna, możliwe, że już po Stronie Trupa; w prawo zaś, omijając stromy uskok grani nad przełęczą, znajdowało się oznaczone kopczykiem wejście w Kozie Perci. Ścieżki wiodące do Nocnej Grani – niby bardziej pewne, bez wątplenia znajdujące się po Stronie Człowieka, lecz nie lubiane przez żołnierzy. Marna ścieżyna wspinała się na drobną szczybę w skalnym żebrze, a po drugiej stronie zupełnie zanikała. Ciągnął się tu tylko pas niewyraźnych zachodów i wąskich półek, z rzadka oznaczonych kopczykami.

– *Busierce* przyjdą tu za dnia? – spytał Adams.

– W nocy nie da się tu walczyć. Nikt tędy nie przejdzie, one też nie – Tatar żuł jakieś liście. Z rzadka splotał czerwoną śliną. – Widzisz tamten kopczyk na końcu zachodu? – Wskazał mu w ścianie miejsce wyróżnione warstwą ciemniejszych skał. Adams skinął głową.

– To prowadź do niego.

Zdziwiony Adams bez sprzeciwu wziął się do wypatrywania drogi. Okazało się to nietrudne (półki i wąskie zachodziki tworzyły ciągłą linię), chociaż bardzo nieprzyjemne – półki były nachylone do przepaści, a wszystko pokrywał osypujący się szuter. Teren podobny jak po zachodniej stronie Mroczonej Przełęczy, ale trudniejszy. Barber co jakiś czas zgrzytał hakiem o skałę, w miejscach, gdzie inni korzystali z chwytów.

Przy kopczyku zaczęli czekać na resztę oddziału. Adams złowił spojrzenie *korpuśnego*. Dowódca nie

odezwał się jednak. Ostatni dotarł Hjalmir. Chirurg zaczerwienił się, jego czoło rosił pot, a ręce mu drżały. A przecież dotąd droga wiodła trawersem; nie wznosząc się specjalnie ani nie opadając, na razie nie zmuszała do poważniejszego wysiłku fizycznego.

Teraz ostro zadzierała w górę. Tatar poprowadził sam i rozkazał, by Adams szedł na *zamku*. *Korpuśny* piał się po skałach jak górska koza, Barber radził sobie całkiem nieźle, wspierając się na haku, z Krippelem też problemów nie było, chociaż nie nadażał za poprzednikami; kłopoty zaczęły się z Hjalmiem. Szedł wolno, stopy stawiał niepewnie, odcinki bardziej wspinaczkowe zatrzymywały go na długo.

– Wiem! – warknął, kiedy Adams odważył się wskazać mu jeden czy drugi dobry chwyt.

Trzeba było cierpliwie czekać, aż Hjalmir poradzi sobie z samym sobą. Tatar stał na skalnej ambonce, kończącej wspinaczkę, i chłodno oceniał technikę swoich żołnierzy.

Dalej droga była łatwiejsza: ciąg trawersów, przecinających to spróchniałe żebra skalne, to piarżyste żleby. Pierwszy odcinek ograniczał logistyczne znaczenie Kozich Perci: wprawdzie były do przebycia dla żołnierzy, jednak do transportu zaopatrzenia się nie nadawały. Łatwiej było teraz zrozumieć znaczną autonomię obu obozów. Tatar rozglądał się naokoło, coś rozważał. Wreszcie pokazał dłonią wąski, żółty lizak piargu, wcinający się wysoko pomiędzy postrzępione skały.

– Tędy.

Odpowiedziało mu gniewne prychnięcie Hjalmira.

Oddział rozciągnął się, mozolnie podchodząc osypującym się piargiem. Legioniści obcierali stopy w sandałach, obuwie Adamsa spisywało się znacznie lepiej. Już wkrótce dźwigał obrzyn Hjalmira i piękny petrynał Krippela, dzieło sztuki rusznikarskiej. Kolbę pokrywały inkrustacje żółtą kością, mieszane z intarsjowaniem czarnym, matowym drewnem. W odróżnieniu od broni chirurga, krótki petrynał miał podwójny kurek zarówno skałkowy, jak i lontowy, przyciskowy, gdzie miast obejmy na lont był pojemnik na kawał hubki. Nawet z dwiema sztukami broni na plecach Adams nie zostawał z tyłu.

Nagle posłyszeli świst i strzała smyknęła po piargu. Zaraz potem druga.

– Na tym zebrze. – Tatar wskazał w lewo do góry. – Dwa *busierce*. Stale są poza zasięgiem celnego strzału. Marnują amunicję.

Trzecia strzała upadła całkiem blisko oddziału.

„Tu jesteśmy jak na tarczy”, pomyślał Adams.

Z góry nadleciał kamień, ale tylko odbijał się od skał. Nawet nadludzka siła Czarnego nie mogła dorzucić go do miejsca, gdzie wspinali się legioniści. Zaraz wystające zęby skalne skryły ich przed napastnikami.

– Zajdziemy ich od góry – Tatar zwrócił się do Adamsa i Barbera. – Hjalmir i Krippeł zostają

tutaj. Jak *busierce* zaczął zbiegać, raził ich z samopalmów.

Krippel odsalutował. Obaj założyli stanowisko pięćdziesiąt metrów niżej w zlebie za wybitniejszą wantą, która chroniła przed pociskami z góry.

Piarg stromiał i mizerniał. Spod niego wylaniało się coraz więcej źle urzeźbionej skały. Trudno było się na tym utrzymać. Barber pomagał sobie hakiem, Adams tępił sztylet. Tatar natomiast jakby frunął po tych głazach. Pokazał im wejście w litą skałę. Dalej wąskimi listwami, w lewo w skos w górę, na grzędę, z której zostali zaatakowani. Tutaj jednorękiemu Barberowi szło się trudniej, chociaż czasem sięgał hakiem szczelin bezużytecznych dla innych wspinaczy. Wreszcie osiągnęli ostrze grzędy i ujrzeni pod sobą obu napastników w zasadzce. Jeden miał rozpostarte tęczowe, nibymotyle skrzydła u ramion i u bioder, drugi był jednolicie czarny, bez twarzy paradoksalnych czy innych ozdób. Oba *busierce* były uzbrojone w bardzo długie łuki. Niecierpliwie zerkały w dół, nieświadome zagrożenia. Coś sobie nawzajem pokazywały na zboczu.

– Najpierw my strzelamy. Potem Adams strąca ich stamtąd kamieniami. Nie mogłem dla ciebie rozbroić żadnego z naszych towarzyszy... – dodał *korpuśny*, zerkając na niego.

Napięli kusze, Tatar odłożył swoją na podorędziu i zmierzył z samopalmu. Pocisk świsnął o skałę powyżej Czarnych, a rykoszet trafił jednego z nich w plecy. Bełt Barbera dosięgnął ramienia tego samego stwora. Oba jednocześnie spojrzały w górę, a wtedy zdrowy *busierec* został trafiony w policzek bełtem Tataru. Adams rozpoczął kanonadę seria gładzików, by umożliwić przeładowanie broni. Drugiemu strzałowi Tataru odpowiedział potworny wrzask *busierca*, któremu kula rozorała udo. Znowu Barber palnął ze swojej kuszy. Mimo kalectwa potrafił niezwykle szybko ładować broń. Zaraz poleciały dwie niecelne strzały obu *busierców*, dla których legioniści byli poza zasięgiem. Po krótkiej naradzie oba Czarne opuściły pozycję nie do obrony. Szybkimi susami zaczęły zbiegać coraz bardziej przepaścistą grzędą. Ścigały ich kamienie Adamsa. Pozostali żołnierze oszczędzali amunicję.

Znacznie niżej cynobrowy *busierec* o motyli skrzydłach zatrzymał się na skalnym występie i wtedy strzał z dołu zdruzgotał mu kolano. Przechylił się do przepaści i osunął. Nie było tam aż tak stromo, by poleciał, jednak zsuwał się coraz szybciej, wybijając się na występach. Dolinę wypełnił jego bolesny wrzask, który nagle ucichł, i już tylko bezwładne ciało stukało o skały. Razem z towarzyszącą mu małą lawinką kamienną zniknął gdzieś w dole nad zerwami skalnymi dolinki.

Drugi w tym czasie zbiegł do sąsiedniego zlebu i, mimo pocisku wbitego w twarz, żwawo pognął po piargu do góry.

Tatar zarządził odwrót. Schodzili już z grzędy na piarg, kiedy zabłąkana strzała trafiła dowódcę w łydkę. Barber dostrzegł w koronie skał napastnika i już z piargu posłał w jego stronę pocisk, ale bezskutecznie. Różnica wysokości dała tamtemu wystarczającą przewagę, lecz ogień legionisty go spłoszył i *busierec* się wycofał.

– Cholera, tak przegapić trzeciego! – zżymał się *korpuśny*, kiedy Adams sztyletem rozszerzał ranę, żeby wydobyć zaopatrzone w zadziory grot strzały. Przynajmniej ominęła ważniejsze naczynia krwionośne. Z rany leniwie sączyła się ciemna krew.

Adams zaszył ranę i zawiązał bandażem. Ostrożnie pod ramię sprowadził dowódcę po piargu. Byli już na dole, gdy z sąsiedniej grzędy poleciały kamienie. Trzeci *busierec* nie rezygnował.

– Tego nie wygarniemy – burknął Tatar.

– Za tym żebrem jest podobny piarzysty żleb?

– Stary skinął głową.

– Spróbuję go stamtąd ściągnąć, ale muszę dostać broń palną – powiedział Adams.

Zeszli do dolnego stanowiska. Hjalmir odżył, już przechwalał się znakomitym strzałem.

– Przeleciał koło nas jak bełt z kuszy – rechotał.

– Trzeba się wspiąć po trzeciego *busierca*. Krawiec, bierzcie Barbera i Krippela – powiedział Tatar. – Napędźcie go na nas, jak tamte.

– Tak jest.

Nikt nie zaprotestował, że niewolnik dowodzi wypadem. Adams poprowadził do trawersu, a potem w poprzek kolejnego żebra, po nieprzyjemnych, wąskich upłazkach i śliskiej skale. Wspinaczka samym żebrem okazała się wygodniejsza niż mozolne podchodzenie ruchomym piargiem. Udało się wspiąć bardzo wysoko, w bezpośredni rejon grani, niemal pod kulminację grzędy. Wszyscy trzej rozglądali się bacznie, jednak zwiadowcy przeciwnika jakby zapadli się pod ziemię.

„Muszą mieć kolebę”, pomyślał Adams. „Podpatrują naszą inżynierię”.

Wtedy z góry poleciały kamienie. Z samej kulminacji. Należało uważnie obserwować, jak kolejny pocisk odbija się od skały i na samym końcu uskoczyć. Łatwe to nie było, ale przynajmniej tutaj kruszyzny nie było dość, żeby zrobiła lawinkę. Kanonada nie chciała się skończyć. Wreszcie Adams wskazał zejście z ostrza grzędy. Tam przynajmniej kamienie nie zagrażały, chociaż wilgotną skałę porastały jakieś śliskie mchy. Zaraz też pojawiły się możliwości wspinaczki. Adams chciał zaskoczyć przeciwnika i znowu zająć go od tyłu. Hjalmir głośno pokrzykiwał z dołu. „Znowu błaznuje”, pomyślał Adams.

W tym terenie Krippel zostawał z tyłu, Barber darł o dwa metry za Adamsem, błyskając białkami oczu. Na kulminacji grzędy uderzył w nich bardzo mocny wicher, wiejący ku grani. Nie zastali tam nikogo. Szybko rozejrzeli się w terenie. Z dołu Hjalmir ręką pokazywał im, że mają zejść. Adams sprowadził więc drużynę żółtym piargiem. Wprawdzie z góry żleb wyglądał bardzo nie zachęcająco, ale wiedzieli już, że zaraz się wypłaszczy; początkowe trudności można było pokonać, zsuwając się na siedzeniu.

– Coś tak się wydzierał z dołu? – spytał Adams już przy nich.

– Odwracał uwagę przeciwnika. Mieliście przeciw sobie cztery *busierce*. Wychodziliście wprost pod nie tą swoją hyrną drapaniną. Strąciłyby was w parę minut – powiedział Tatar. – Az

góry... – urwał, pokazując w kierunku kulminacji żebra. – Już posiłki doszły.

Ze szczytu patrzyło na nich przynajmniej siedem potężnych Czarnych. Niektóre uzbrojone w łuki, inne w kamienie. Nie strzelały, przeciwnicy byli poza zasięgiem.

– Ściągnę jednego, to ich odstraszy – powiedział Hjalmir i nie czekając na rozkaz, złożył się i palnął z obrzyna. Pocisk świsnął między Czarnymi.

– Katrup! – wrzasnął Tatar. – Pod sąd cię za coś takiego. Teraz szybko przed siebie, tam na grzędę, jak prowadził Adams.

Oddział ruszył. Dowódca utykał, gryzł w zębach przekleństwa. Musieli wejść głębiej w Kozie Perci, odcięci od Mrocznej Przełęczy. *Busierce* już szukały zejścia na trawers. Nie odważyły się osunąć, ryzykując jak wcześniej Adams ze swoimi, i tak długo szukały dogodnej drogi, aż Tatar zdążył wyprowadzić zwiad spod zagrożenia.

Oddział *busierców* nie poszedł za nimi. Jednak zrobiło się już za późno na powrót i trzeba było przenocować w skałach. Zaszyli się na wąskiej półce nachylonej do przepaści, na którą prowadziło niełatwe dojście.

Adams obejrzał podudzie dowódcy. Śledził, czy nie idzie zakażenie.

– Tylko czekać, jak nauczą się zatruwać strzały swoją juchą – mruknął, kiedy upewnił się, że szarej pręgi nie widać.

Zapadał zmrok. Gdzieś wysoko nad głowami, nad granią, wiało; tu zaś wolno od oceanu wspinała się ściana mgły.

– Na Nocnej Grani zawsze mocno wieje – wyjaśnił Tatar. – Niektórzy mówią, że to płomień syci się powietrzem.

Tatar do późna grał na swoich *złóbcokach*. Dzika, zgrzytliwa, ostra nuta pasowała do scenerii postrzępionych skał. Tęskne rytmy niosły się w nieruchomym powietrzu wieczoru.

Adams zauważył, że muzyka ich demaskuje.

– Nawet dobrze, jakby który się tu znecił – odpowiedział *korpuśny*. – W mroku tu się nie wystyrma, tylko spadnie. Dopiszemy sobie jeszcze jeden sukces. Jak na razie, to one wyeliminowały naszego dowódcę, a myśmy wyeliminowali ich dowódcę. Tyle że to one wymiotły nas z Kozich Perci. Taak... – Tatar wyszczerzył mocne zębiska.

Stary podoficer zagrał teraz skoczną melodię, w takt marsza. Zupełnie jakby chciał nią skusić nierozważne Czarne.

– Gdzie się nauczyłeś tak ganiać po skałach? – rzucił.

– Dawniej lubiłem wspinaczkę skałkową.

Chmurny Hjalmir siedział samotnie. Przez niego wszyscy musieli całą noc marznąć w skale. Tatar obciąży go za niesubordynację grzywną pięciu syceli. Jednak nie to było dla niego najbardziej przykre. Tkwił przytulony do ściany, byle dalej od ssącej przepaści, na której widok drętwiały mu ręce. Nie znosił tych kup kamieni, jak zwał nastyrmane turnie, nie znosił tej dzikiej muzyki. Nieustraszony wojownik cierpiał na mocny lęk przestrzeni.

Po zniszczeniu fortyfikacji na Nocnej Grani obóz na Mroczej Przełęczy miał przejąć rolę głównego punktu oporu na długim odcinku grani. Zamiast prowadzenia zwiadów, wszystkich legionistów zatrudniono do szeroko zakrojonych prac inżynierskich. Według planów sporządzonych przez Drubbaala, wznoszono jednocześnie pierwszą i drugą linię umocnień, linię wysuniętych szańców. Podobno kreślił szkice, jeszcze leżąc w łóżku. Złośliwi mówili, że są one wynikiem jego rojeń w malignie. Planowano nawet dążyć korytarze w kruchej skale.

Brak akcji zbrojnych odciął jednak dopływ nowych niewolników oraz przerwał polowania na pojedyncze Czarne. Brak niewolników oznaczał brak pieniędzy. Żołnierze zaczęli sarkać. Mówiono też, że to nie Czarne zniszczyły obóz na Nocnej Grani, tylko Drubbaal zwariował i sam kazał zburzyć stary obóz, aby wznieść sobie pomnik. Fortyfikację na Nocnej Grani czasem zwano *hevrensz*; przyszła nazwa nowej warowni nie budziła wątpliwości.

Rana Drubbaala goiła się. Coraz mniej ropy schodziło z otworów po szwach. Nie trzeba ich było już rozszerzać, ale i tak blizny miały pozostać szerokie. Adams właśnie opatrywał Drubbaalowi ranę. Usuwał sączącą się ropę, wymieniał bandaże.

– Chyba na wyrost nazwałem cię Krawcem, niewolniku – powiedział z przekąsem, przeglądając się w zwierciadle. – Szewc by to lepiej załatał.

– Rana była zanieczyszczona. Ropiała. Wtedy zawsze blizna się rozszerza.

Drubbaalowi trudno było protestować. Pamiętał swoje rany. Teraz na twarzy została mu tylko wiązka różowych ściegów. Mimika pozostała normalna. Nawet Hjalmir by tak dobrze sobie nie poradził, a co dopiero Jorge-Grizius.

Machnął ręką, odsyłając felczera. Nadal nie wiedział, jak się go zrećcznie pozbyć. Nie dość, że nie zginął na Kozich Perciach, ani nawet się tam nie zbłąźnił lękiem, to jeszcze Tatar w meldunku wskazał go jako szczególnie uzdolnionego do wspinaczki i zarekomendował do *pretorii*. „Niewolnik moim rywalem” – już krew zaczynała gotować się w żyłach *sotnika*.

Machnął ręką, odganiając przykre myśli. „Prędzej czy później rozwiązanie samo się znajdzie”. Uśmiechnął się brzydko do siebie. Teraz do roboty. Wezwał *rachubca*. Miał rozpatrzyć prośbę starego legionisty o zwolnienie ze służby.

„W istocie, właśnie kończyło się statutowe dwadzieścia pięć lat jego służby. Stracił lewą dłoń, to sześć miesięcy upustu, jednak dwukrotnie złapał karę służbową, zwykłą. Dwa razy za awantury i bójki w karczmie w Krum podczas urlopu. To akurat wyrównuje upust za kalectwo. Na Kozich Perciach radzi sobie jak Tatar – jak tu pozbywać się tak doświadczonego żołnierza?”, rozważał. Akurat kiedy ponieśli takie straty, a w każdej chwili można znowu spodziewać się ataku Czarnych na Linię? Tłumaczy, że ma w Krum niewolnicę, Donne, którą chce uwolnić i poślubić. Kobieta jest u szewca Crawheza. Opłacił jej utrzymanie za miesiąc, został bez pieniędzy.

Powinien jak najszybciej zejść do Krum i podjąć tam jakąś pracę, zanim Crawhez przejmie ją

na własność za utrzymanie.

Znowu zajrzał do pisma ułożonego Barberowi przez Hjalмира. Jeszcze raz je przeczytał.

„Ale jeśli Czarne przełamiają Linie, to zejdą do Krum. Barber nie będzie miał pożytku ze swojej uwolnionej żonki”, rozmyślał dalej dowódca. „Ja przecież też gniję tu w zimnie i wilgoci daleko od mojej kobiety. Nawet toleruję gacha, tylko dlatego że jest przydatny”.

– Barber nadal pozostanie na Linii. Nie mogę teraz zwalniać ludzi, kiedy sytuacja niepewna. Gdy tylko zagrożenie minie, Barber zostanie zwolniony – podyktował rozkaz *rachubcowi*.

Na wierzchu dłoni starego Quirinu znowu pojawiła się narośl. Poprzednią wyciął Hjalmir, jednak nie dość dokładnie. Wśród legionistów przebywających na Linii nie było to rzadkością. Ta sprawiała sporo kłopotu, wchodziła pod gardę *gladiusa*, na dodatek była bolesna, szybko rosła, zarazem rozpadając się i ropiejąc.

Niestety nie stać go było na zabieg. Właściwie zawsze był bez pieniędzy. Mimo lat dowodzenia nie przyswoił sobie tej isierki samowoli, która w przypadkach wątpliwych pozwoliłaby przypisywać sobie schwytywanie Czarnej czy podczas podziału brańców przyznawać sobie najlepszych. Teraz, do najbliższego żołdu, pozostawał na strawie statutowej, popijanej przydziałowym destylatem z martwiny.

Nieoczekiwanie dał się wyciągnąć Hjalmirowi na *astragale*. Chirurg też był w podłej sytuacji. Brak nowych zwiadów oznaczał brak ran do zszywania. Pielęgnacja gojących się ran przynosiła ledwie ósme albo szesnaste części sycela. Teraz spodziewał się wyciągnąć nieco ćwierćsycelówek od starego.

Jak na życzenie, dzisiaj szczęście przyświecało Quirinu. Już po paru seriach chirurg został bez gotówki. Stary nie chciał zrezygnować. Umówili się na dziesięć kolejek, Hjalmir winien tego dotrzymać.

– Będziemy grać a konto moich przyszłych dochodów.

– Ale do każdego wygranego sycela dołożysz mi jeszcze ćwierć.

Wrócili do gry. Szczęście nadal nie opuszczało *decymusa*. Po dziesiątym rzucie Hjalmir był mu winien cztery sycele.

– Masz narośl na dłoni – zauważył chirurg.

– Tak, przydałoby się ją usunąć... Ale wolę, żeby mi to zrobił Krawiec. On nie zostawi blizny, a to jest ważne miejsce: muszę władać mieczem.

Hjalmir skrzywił się niechętnie.

– Kup mi za te cztery sycele długą operację u młodego – powiedział bezczelnie Quirinu.

Hjalmir zaproponował co innego.

– Możesz za nie dostać osiem syceli z wartości Krawca.

Quirinu już wcześniej o tym myślał. Tym sposobem mógł ochronić Adamsa przed Drubbaalem. Było możliwe, że ten odkupi go od chirurga albo wymusi na nim jego sprzedaż, a następnie jako swoją własność zagnębi. Oficera nie mógłby zmusić do sprzedaży.

– Niech będzie. Ale jutro ogłosisz transakcję.

Adams zoperował narośl *decymusa*. Niestety, nie było to proste wycięcie kawałka skóry. Narośl zdążyła się zakorzenić między ścięgnami, sięgała swoimi wypustkami aż do kości.

– Powinno się amputować dłoń – powiedział. To prawdopodobnie było jedyną szansą dla starego.

– Nie mogę stracić prawej dłoni – powiedział *decymus*. – Usuń tylko guza. – Zbyt wiele czasu mu pozostało do końca służby. Nie dostałby jeszcze odprawy. Odszedłby z legionu jako żebrak.

Adams starannie wrywał nitki narośli wgryzające się w tkanki dłoni Quirinu. Bardzo chciał wyrwać wszystkie. Dziesiętnik, oszołomiony gorzałką, słabo szamotał się w stalowym chwycie Palli i Gerona. Wreszcie skórę, rozciętą wcześniej w kształt nierównej litery „Z”, Adams zgrabnie scalił serią szwów. Kiedy wyczyszczoną ranę już zabandażowano, stary spytał:

– Czy znów będę mógł władać mieczem? Urwać się można z nudów, prowadząc ciągle tylko zwiady rozpoznawcze.

– Po operacji będzie poprawa. Garda miecza stale drażniła narośl.

– Garda nie przeszkadzała. Jelec sklepałem, a kosz odgiąłem, kiedy to jeszcze było małe. Problem, że ręka osłabła. Czy bóle też przejdą?

– Jakie bóle...?

– Czasem nie mogę usiedzieć przy ognisku, tak rwie we flakach i w boku. Najgorzej jak złapie podczas zwiadu. Trudno utrzymać twarz przed żołnierzami. Przestałbym jeść, żeby ustąpiły.

– Od dawna te bóle?

– Zanim poszedłeś ze mną na pierwszy zwiad. Ale z każdym dniem są mocniejsze.

– Poprawa będzie, jeśli narośl nie odrośnie. – Adams pokiwał głową. „Ma przerzuty. Dobry człowiek nie pożyje długo. Co zrobią z należącą do niego częścią mojej wartości?”

Skóra Czarnej wyglądała znakomicie. Futro przyjemnie pachniało środkami użytymi do wyprawiania. Można je było nosić jak odzienie. Miało tylko jedno duże rozcięcie: od mostka do sromu. Czarna była wzrostu Adamsa, jednak dużo potężniej zbudowana, tak że bez trudu mieścił się w futrze w ubraniu, nawet w kolczudze. Dłonie wsuwał w skórę jej dłoni jak w rękawiczki, tyle że ostatnie człony palców, wystawały. Obszerne rozcięcie zapinało się na haftki; mógł nawet załatwiać potrzebę, nie zdejmując skóry. Warstwa na cycach ładnie ułożyła się po wypchaniu suchymi wodorostami – sierść połyskiwała efektownie.

Niestety, Adams zdradził się zachwyconą miną: Ebener zażądał jeszcze trzech syceli. Tłumaczył, że robota zajęła mu wyjątkowo wiele czasu, a wszystko odrobił z niepraktykowaną zwykle starannością. Trudno było zaprzeczyć, widząc, że nawet drutowate rzęsy nie wypadły z powiek. Adams klął pod nosem, ale zapłacił.

Hjalmir zaraz zgarnął z tego pół sycela, usuwając Ebenerowi kaszak z potylicy. „Że też nie zauważyłem tej narośli”, pomyślał Adams ze złością. Znowu był bez grosza. Musiał odsprzedać kirys. Została mu kolczuga.

Nie wiedział jeszcze, co zrobi ze swoim majątkiem – myślał sprzedać skórę za sporą cenę któremuś z legionistów lub komuś z Dolnego Miasta. Futro nie miało ani jednego miejsca nadzartego gniciem, ani splachetka wyłysiałej skóry. Na razie składał je sobie pod głowę do snu, a w resztę się zawijał.

Drubbaal uznał, że w obozie na Nocnej Grani wystarczą obecnie dwie *decymy*. Czarne bardziej zagrażały nowo wznoszonym umocnieniom. Zwiedziały się, gdzie prowadzone są roboty fortyfikacyjne, i zaatakowały od strony bezimiennej płasni na zachodzie. Jednakże oba ich ataki odparto bez strat. Trudno powiedzieć, jakie straty zadano Czarnym, bo po nocnej strzelaninie nie został żaden trup. Jedyne kałuże krwi oraz ubywająca w zastraszającym tempie amunicja świadczyły o nocnych starciach. Odzyskano niewiele strzał – wszystkie legionowe, zrobione w Tibium. Własnych wystrzelonych bełtów nie znajdowano. Palla zameldował, że koło głowy świsnęła mu jeden wystrzelony z przedpola. Nikt tego nie potwierdził.

Nadal wystawiano wzmocnione warty, a ukończone fragmenty wznoszonych fortyfikacji od razu włączano w linię obrony.

Po służbie *prefektus* Reutel przesiadywał z Quirinu i popijając wino, rozmawiali godzinami. Uważał go za swojego mistrza – kiedyś wprowadził go w arkana sztuki wojowania, a potem dowodzenia. Irytowało go, że wielu uważa starego *decymusa* za złego dowódcę – mimo że poprawnie planował akcje, te kończyły się niepowodzeniem; jego słuszne decyzje często miały złe następstwa. Pech szedł za nim od lat, a inni uznawali to za błędy rutyniarza.

– Znać rękę Hjalmira w waszym obozie – powiedział Reutel do Quirinu, przecierając dłonią przerzedzoną, siwiejącą czuprynę. – Nie było mnie kawałek czasu, a tu wszyscy cali. Nasz Jorge-Grizius uciął legionistom dwie dłonie i jedną nogę. Z brańcami po utracie obozu zrobił taką jatkę, że połowę trzeba było posłać na *tarcze* albo dobić.

– Zanim przyszlście, u nas było spokojnie. Zwiady, trochę drobnych starć. Nie było rannych. – Quirinu trzymał kubek w lewej ręce. Prawą miał na temblaku.

– Jorge ucina ręce w przypadku głębokich cięć pazurami.

– Tak, to różnica z Hjalmiem. Ale to młody wprowadził zwyczaj mycia ran wódką. Leje tego od cholery, najtwardsi wyją z bólu. Nie sarkają, że marnuje siwuchę, ale się proszą o jego robotę. Potem bierze gorączka i przechodzi, a ręka zostaje.

– Co na to Hjalmir?

– Nic. Operuje, robi wszystko inne. Ale młody myje rany. Tylko jeden mu umarł od tego. Surister.

– Wiem.

– Podobno gdyby mu rękę ucięli, toby wyżył. Tak *katrupy* sami mówili między sobą. Mimo tego ludzie wolą ryzykować i idą do Krawca.

– Jorgemu nikt nie umarł.

– Właśnie. Ale każdy woli mieć obie ręce.

– Młody bawił się z twoją dłonią ponad godzinę.

– Jest cierpliwy. Hjalmir zna się na wszystkim, ale jest bardziej porywczy. A jak się młody czego nauczy, to robi to najlepiej.

W gardłach zaschło od gadania, dzbanek też wysechł. Reutel przyniósł nowy. Wino niezłe, mocne, ale zbyt kwaśne. Obaj *decymusi* gawędzili, siedząc na ukończonym fragmencie fortyfikacji. W dole jaśniały ogniska oficerów i ogniska *simpli*.

– Ludzie mówią, że ta rzeź na Nocnej Grani to wina Drubbaala – powiedział Quirinu. – Dawniej było nie do pomyślenia słyszeć takie rzeczy o dowódcy.

– Obóz był na samej Linii. Kiedy Czarne odważyły się podejść, a wreszcie się wdarły, nic się ich nie imażo. Można im się było przeciwstawić dopiero na schodach; tamtędy przebiegała Linia. Mur i blanki oddaliśmy właściwie bez walki.

– To był stary obóz. Stawiając go, jeszcze wtedy nie wiedziano, jak dokładnie przebiega Linia.

– To prawda, ale później Drubbaal miał dość czasu, żeby go przebudować.

– Może się starzeje. Ja też się starzeję. – Quirinu uśmiechnął się do swoich myśli. – Kiedyś Czarne całkiem zmieniły trasy swoich przemarszów jedynie ze strachu przed Drubbaalem.

– Może pora, żeby się ożenił z tą swoją ciemnooką pięknoscią. Wiele problemów by to

rozwiązało.

- Może pora, żebym ja się wycofał – burknął stary.
- Ty? Drubbaal cię nie puści. Barber skamlał, piszczał, ale dalej gania z pałaszem.
- Jak mi guz odrośnie, to poświęcę prawicę, żeby żyć.

Mrok dawno już zapadł, jedynie nad samym horyzontem jaśniał wąski pasek ciemnego błękitu. Mgła wolno, lecz konsekwentnie pięła się po zboczach. Ziab ciągnął po kościach.

- Stawia naraz pierwszą i drugą linię umocnień. – Reutel starannie zakutał się w czarne futro.
- Łatwiej donosić materiał. Szybciej idzie robota.
- Ale naraz dwie nie zamknięte linie. Drobne wycieczki przeganiamy, ale jak przyjdzie ten oddział, co nam rozbił obóz na Nocnej Grani, to weźmie nasze fortyfikacje spacerkiem.
- Drubbaal opiera się na raportach *rachubców*. Wychodzi z nich, że ataku nie będzie.
- Pod warunkiem, że on sam wyciąga z nich poprawne wnioski. Na Nocnej Grani się pomylił – odparł Reutel i ułożył się do snu.

Kostniejący z zimna za złomem skalnym *rachubiec pretorii*, Urbanyj, odczekał, zanim obaj oficerowie nie zaczną równo chrapać, i wrócił do obozu.

Etatowy skład *decymy* wynosił trzy *korpusy* i dowódcę. Do akcji zwykle zabierano dodatkowo jednego z dziewięciu *rachubców* albo *katrupów* należących do *sotni*. Cała *sotnia* winna więc składać się z dziewięciu *decym*, dziewięciu pomocników i *sotnika*. *Sotnikowi* bezpośrednio podlegała *decyma pretorii*, której dowódca, *prefektus*, zwany był w Krum Drugim Szczurem. Wojsko broniące Linii nazywano legionem lub *sotnią*, lecz próżno by w niej szukać dziesięciu *decym*. Uzupełnienia z Dolnego Miasta ledwie wyrównywały straty, daleko było do osiągnięcia stanu etatowego.

Trzeba było docenić mądrość Drubbaala w dysponowaniu tak szczupłymi siłami. Taktyka ustawicznych wypadów na terytorium Czarnych, częstych starć, lecz bez angażowania poważnych sił, i jednocześnie staranne gromadzenie informacji o przeciwniku umożliwiały trzymanie wroga z dala od miasta. Jeszcze pamiętano rządy Czarnych w Dolnym Mieście, a niektórzy twierdzili, że kiedyś opanowały nawet twierdzę Krum. Drubbaal potrafił utrzymać Linie, dysponując kilkudziesięcioma legionistami, choć Czarnych były rzesze. Płaskowyżem ciągnęły ich setki, a przecież były to ciągle inne osobniki – zróżnicowanie ich wyglądu pozwalało tak sądzić.

Reutel poprowadził *decymę pretorii* na patrol. Zwabili kilkoro Czarnych na Stronę Ludzi i dosłownie rozstrzelali je z kusz. Cztery *gabery* i starego *busierca* (miał starte zęby i wyleniałe futro na grzbiecie, chociaż zupełny brak twarzy paradoksalnych). Czarne zachowywały się niezwykle pewnie. Bez obawy przekroczyły granie. Patrol nie zdążył przekroczyć Linii – Czarne ruszyły za nim w pościg, jak tylko dostrzegły legionistów na grani.

Z dnia na dzień zaczęto mówić o wielkich skarbach, jakie kryją się w ciemnościach, do których zmierzają Golcy.

– Skarby...? Tam skarby? – rzucił nieoczekiwanie Quirinu. – Sucha skała i szuter jak tutaj. Tyle że na dodatek mrok... – Stary wypił zbyt wiele i był dzisiaj hałaśliwy jak rzadko.

Zwykle dowódcy *decym* i pomocnicy popijali razem. Adams, prawie *katrup*, choć niewolnik, był tolerowany w ich kole.

– Trudno inaczej uzasadnić determinację Golców – odpowiedział Urbanyj. – Muszą tam iść w ważnym celu.

– Są prowadzeni przemocą – powiedział Adams.

– Podobno sam kiedyś nakłaniałeś jednego z nich, aby się do nas przyłączył? – Zerknął badawczo Reutel.

– Zachowywał się, jak owładnięty jakąś siłą, omotany natrętną ideą...

– Właśnie. Chciwość może tak opętać, że nie myśli się o niczym innym.

Adams zmilczał. Niewolnikowi nie wypadało się upierać w sporze z *prefektusem*.

– Gdyby im było źle, to wracaliby. A wracają tylko Suche i Czarne – zauważył Urbanyj.

– Suchy klekoce i bez biżuterii – ktoś rzucił i żołnierze ryknęli śmiechem.

Barber był już myślami w swojej przyszłej zagrodzie. Oczyma duszy widział siebie jako gospodarza i małżonka.

– Wrócisz ze złotem, ale z zarośniętymi jajami – powiedział.

– To plotka – powiedział Hjalmir. – Każdy z nas przechodzi na drugą stronę Linii i jeszcze żadnemu nie zarosły. Golcy już przychodzą tu z liśćmi na przyrodzeniu. Nie wiadomo, gdzie im to wyrasta. Może zanim wyruszą w Drogę Trupa?

– My nie oddalamy się zbyt od Linii – powiedział Barber. – W większym oddaleniu jaja mogą zarosnąć *fartuszkiem*.

– Nawet wtedy strachu nie ma. W miesiąc po powrocie po liściu nie będzie śladu. Zresztą w kronikach nie podają, żeby jakiemu legioniście jaja zarosły od patrolowania.

Rano dowiedzieli się, że Drubbaal zamierza wysłać oddział na Czarny Wschód, gdzie odchodziły transportowane grupy ludzi. Mówiono, że ci zwiadowcy będą mogli zachować całe zdobyte złoto dla siebie. Do kasy legionowej oddadzą tylko trzecią część zdobytego srebra i kosztowności. Najpierw mówiono, że zostaną wysłani ochotnicy, jednak odczytany dzień później przez Urbanyja rozkaz Drubbaala stanowił, że wyprawę poprowadzi Pachom. Dowódca uniknął osobistego przekazania trudnego rozkazu. Nie czuł się jeszcze dobrze.

Ponieważ *decyma* Pachoma była mocno przerzedzona, miał z niej wziąć tylko jeden swój *korpus*, ale za to najlepszy – Bethmanna. Konie Robocze byli wyszkoleni jak *pretorianie*. Od Quirinu Pachom miał dostać *korpuśnego* Aldnoya oraz Krippela i Barbera, jako *simpli*. Nigdy nie walczyli w jednym oddziale, ale Barber był najbardziej doświadczonym żołnierzem w obozie. Po tej wyprawie czekał na zwolnienie do cywila i odprawę. Jako felczer i *rachubiec* miał im towarzyszyć Adams.

Choć gadanina Barbera była nie na rękę dowódcy i było jasne, że zostanie wysłany, to wszyscy uważali Pachoma za ulubieńca Drubbaala, był przecież bratem Adali. Jego udział w niebezpiecznej wyprawie uznano zatem za dowód sprawiedliwości i bezstronności *sotnika*. Dowództwo nieudolnego Quirinu skazałoby zwiad na niepowodzenie, Reutel zaś z *pretorianami* nie mógł opuścić *sotnika*.

Adams chciał powiedzieć, że ten rozkaz to wyrok śmierci na niego i na pozostałych żołnierzach. W porę jednak ugryzł się w język – w pobliżu był Urbanyj. Gdyby to powiedział, wyrok na nim zostałby wykonany wcześniej.

Hjalmir jednak nie zachował powściągliwości – kłął w żywy kamień. Przez tę wyprawę tracił przecież sporo pieniędzy. Poszedł wprost do *sotnika* z zażaleniem. Był pewien swojej pozycji najlepszego *katrupa* legionowego. Nie pomogło mu to; dowódca rozkazu nie zmienił.

– Możesz iść sam, chirurgu. Wtedy ocalisz swoją własność. Wzbogacisz się bardziej – powiedział mu Drubbaal. W końcu jednak zdecydował, że *decyma* Pachoma odkupi trzydzieści syceli z wartości Adamsa.

„Krytyczną sprawą jest tu odpowiednie przebranie – rozmyślał Adams. – Idąc w przebraniu Golców (założone *skorupy* miały imitować *fartuszki*), jak na początku wspomniał Pachom, trafimy tam gdzie i oni, a stamtąd żaden z nich nie wrócił”.

Podsunał swoje myśli Hjalmirowi.

– Przebierz się za *gaberę*, oczywiście za *gaberę* – powiedział chirurg. – Masz dobrą skórę. Młody wprawdzie twierdzi, że nie potrafimy udatnie naśladować zachowania Czarnych, ja jednak myślę, że iść tam jako Golec będzie jeszcze gorzej.

Adams się zgodził. Wiele Czarnych stapało zupełnie jak ludzie, a pod włochatą skórą można ukryć kolczugę, broń i szereg innych przydatnych przedmiotów. Goła skóra nie będzie żadną ochroną. Czarny rozszarpuje Golca na strzępy w ciągu kilkunastu sekund. Przetrwanie zależy tylko od humorów tego czy innego potwora, nic tu nie pomagał prawdziwy wygląd istoty ludzkiej, a grube futro stanowiło jakąś ochronę przed pazurami.

Adams uznał, że miecz zdemaskuje, postanowił więc tylko przywiązać do palców pazury Czarnej. Z tej broni będzie go bardzo trudno rozbroić. Już wcześniej wyczyścił je w destylacie.

Każdy pazur to dodatkowe ostrze. Adams zostawił nie uzbrojone tylko palce wskazujące. Co jakiś czas trzeba się będzie przecież podrapać.

Hjalmir umieścił wyczyszczonej czaszkę *gabery* na widoku, na głazie, przy murze, gdzie palili ognisko. Adams przygotowywał swoje maskujące odzienie. Mozoląc się ze skórą, nie mógł co jakiś czas nie zerkać w mroczne oczodoły olbrzymiej czaszki.

„Jest znacznie większa od ludzkiej” rozmyślał. „Masywne kości nad czołem to skorupa nie do rozbicia. Żaden cios mieczem nie przetnie takiego łba”. Uciął prostymi nożyczkami pasek z brzegu skóry – posłuży do zesnurowania nogawki z cholewką buta. „Tej skorupy nie przebije ani bełt z kuszy, ani śrut czy kula z obrzyna. Jest lepsza niż hełm wojskowy”. Natrętne myśli nie chciały odejść.

Legioniści brali pod futro swoje etatowe hełmy; Adams hełmu się jeszcze nie dorobił.

Hjalmir siedział naprzeciwko, przy ognisku, popijał wino i uważnie go obserwował.

– Ile chcesz za czaszkę, panie? – nie wytrzymał Adams. Na twarz Hjalмира wypełził nieładny uśmiech.

– To jest wyjątkowo piękna czaszka.

– Co ci z niej przyjdzie? A mnie może uratować życie.

– Co mi przyjdzie? Ależ przyjdzie to, co z każdej czaszki Czarnego: prestiż, sława, łaskawsze spojrzenia dziewcząt. Służbę kiedyś trzeba zakończyć. Chirurgowi w Krum przyda się młoda

gospodyni.

– To wszystko dzięki mojej *gaberze*...? Nie złowiłeś żadnej swojej? – zaperzył się Adams.

– Wprawdzie jej właścicielkę przypisano tobie, ale ja też miałem swój udział w jej schwytaniu
– odparł z niezmaconym spokojem Hjalmir.

Adams spojrział na niego niechętnie.

– Może masz trochę racji... Lepsze wrażenie zrobi upolowana własnoręcznie – głośno myślał chirurg. – A ta...? Może jak się nią już nacieszę, to potem dobrze sprzedam w Krum. Tam każdy chce mieć taką czaszkę na znak, że pomaga w wojnie. *Macajbaby* takich lepiej traktują.

– To ile chcesz za tę czaszkę?

– Kiedyś spłaciłeś mi piętnaście syceli swojej wartości, Krawiec. Adams pamiętał transakcję wymuszoną powrotem Drubbaala.

– Za czaszkę też będzie piętnaście syceli – powiedział Hjalmir, obserwując jego reakcję.

– Aż piętnaście syceli?! Przecież to kupa forsy za tego gnata!

– Gotowała się parę godzin. Woda i chrust sporo kosztują. Adams milczał chwilę. Perspektywa posiadania solidnego hełmu ciągnęła jak magnes opiłki.

– Ale ja nie mam piętnastu syceli.

– A ile masz?

– Spłukałem się ostatnio. Przygotowując się do tej wyprawy, miałem sporo wydatków.

– Łatwo się domyślić. Ile masz syceli?

– Cztery i pół. To wszystko, co mam.

– To dasz mi te cztery i pół sycela, i na dodatek z powrotem te piętnaście syceli, które mi spłaciłeś. Znowu będziesz winien dziewięćdziesiąt syceli do uwolnienia. Mnie pięćdziesiąt, Quirinu osiem, a legionowi, czyli *decymie* zwiadowców, trzydzieści.

– Zostanę bez pieniędzy.

– Tam. – Hjalmir skinął dłonią w nieprzenikniony mrok na wschodzie. – Tam nie będziesz potrzebował pieniędzy.

Ostre dłutko skrawało drobne wiórki. Adams lekkimi uderzeniami młotka usuwał porowate kości otaczające nosogardziel, przeciął podniebienie. Zamierzał uformować hełm zasłaniający całą twarz. Nawet wyprofilowaną zuchwę chciał dosztukować. Naciągnięta na czaszkę skóra nadawała głowie naturalny kształt.

Puszka mózgowa tej *gabery* imponowała pojemnością. Po usunięciu niepotrzebnych kości głowa mieściła się wygodnie w kościanym hełmie, a oczy zerkały przez oczodoły. Adams upłócił gęstą siatkę ze sznurka. Końce sznurków wywlókł na zewnątrz przez otwory przewiercone w kości. Zgrabnie powiązał je ze sobą, aby plecionka wewnątrz czerepu naprężyła się. Następnie wykonał płócienną, szeroką, dopasowaną opaskę na czoło. Tę z kolei doszył do siatki wewnątrz hełmu. Powinno wystarczyć, by hełm mocno trzymał się na głowie i chronił przed uderzeniem. Opaskę uszył z płótna, nie ze skóry, żeby lepiej wchłaniała pot.

Kark osłonił kolczą firanką, na której wsparło się futro.

Z cyców częściowo usunął wodorosty, chciał tam umieścić parę drobnych przedmiotów. Cyce nie odzyskały pierwotnego, pełnego kształtu, pozostały płaskie, lecz foremne. Brodawki nasycił tłuszczem, żeby nie wyschły i nie zapadły się.

Najtrudniej było skryć w przebraniu nogi. Gołe łydki ciasno opinało futro, a małe kopytka w ogóle nie nadawały się do użycia. Adams sporządził getry z nadmiaru skóry wziętej z brzucha *gabery*. Zawiązywane pod stopami, osłaniały całe buty.

Odziany dla próby w futro i czaszkę wyglądał jak spora *gabera*. Łącząc wśród wylegających się legionistów, wzbudzał zainteresowanie. Dogadywali najróżniej, jednak nikt nie powiedział, że to złe maskowanie. Wygląd Adamsa zrobił swoje. Pachom wydał rozkaz, by wszyscy zwiadowcy sporządzili dla siebie przebrania ze skór *gaber*.

Niemal każdy z legionistów miał już jakąś skórę Czarnego, jedynie Barber, który właśnie nabył zagrodę na skraju Krum, pozbył się wszystkich posiadanych. Teraz zszywał przebranie ze ścinków skóry odrzucanych przez Aldnoya. *Korpuśny* chełpił się okazałą skórą *busierca*, jednak na ściśle dopasowane przebranie nie nadawała się: Czarny miał dwa i pół metra wzrostu, Aldnoy metr siedemdziesiąt.

Barber łątał braki skóry czarną tkaniną. Szczęśliwie do obozu przybył Crawhez. Oczywiście, został internowany: nawet słowo o wyprawie nie mogło przedwcześnie wyjść poza obóz. Był bardzo nieszczęśliwy. Zanudzał, ile to zamówień mu przepadnie. W obozie wziął się za sporządzanie przebrań. Z początku pracował za strawę. Nie dość, że sprawnie dopasował skórę na Aldnoya, to namówił Krippela i legionistów z *korpusu* Bethmanna, aby posiadane skóry też przerobili. Najpiękniejszą, ale i największą czaszkę *busierca* zabierał Hellweig. Miała ona dwie pary długich rogów, jedną uniesioną jak u bawołu, drugą opadającą miękkim łukiem. Żołnierz powiększył jej wnętrze, by umieścić tam elastyczne zamocowanie. Nie powtórzył plecionki zrobionej przez Adamsa, lecz zamierzał owinąć głowę turbanem.

Wkrótce Crawhez przestał przeklinać los, a jego kiesa napełniła się. Drubbaal uznał, że nawet jeśli te przebrania wywołają dodatkowe straty, winą obarczy się Pachoma i Adamsa.

Przeróbki futer zapewniły Barberowi dość materiału na całe przebranie. Crawhez uformował dla niego nawet torbiaste cyce, wypchane kłębkami kłującej trawy z płaskowyżu. Cały zapas morskiej trawy wcześniej wykupił Adams.

Ebener, uwięziony w obozie jak Crawhez, radził sobie znacznie gorzej. Z każdym dniem głębiej grzął w długach, skór do wyprawienia nie było, zamówień też nie.

Pachom doglądał prac. Porównywał przebrania; próbował je ujednoczyć (co – jak uważał Adams – było błędem). W przeddzień poprowadził z podoficerami odprawę. Przysłuchiwali się jej *simple* i Adams.

– Będziemy szli w oddaleniu od siebie – powiedział. – Lepiej nie tworzyć zwartej grupy. Różnice w naszym wyglądzie będą wtedy mniej widoczne, Czarne trudniej nas rozpoznają. Chodzimy innym rytmem niż one.

– Jak my sami rozpoznamy się między nimi? – spytał Bethmann.

– Tak samo: po sposobie chodzenia. – Pachom spojrzął po oddziale. – Szyk będzie taki. – Wziął do ręki patyk i zaczął nim kreślić kółka na suchej ziemi. – Prowadził będą ja. Za mną *korpus* Bethmanna. Zamyka *korpus* Aldnoya. *Korpuśni* zachowują kontakt wzrokowy ze mną, *simple* ze swoim *korpuśnym*. Krawiec przy mnie, jakby mój adiutant. Idziemy luźno, ale nie osobno, wolno zmieniać ten układ jedynie z ważnego powodu.

Pachom spokojnie wydawał polecenia. Wybierał się na akcję w nieznany teren, stawić czoło nieznanym trudnościom, jednak jego plan sprawiał wrażenie przemyślanego, rutynowego zadania.

„Dlaczego nie powie, że zostajemy wysłani na śmierć? Może wtedy się zbuntują, może wtedy uratują życie”, pomyślał nerwowo Adams.

Spokojne słowa Pachoma sprawiały, że straceńcza eskapada nabierała pozorów prawdopodobieństwa. Dla tych żołnierzy samobójczy rozkaz był nadal rozkazem do wykonania.

– Co w przypadku, jeśli jeden z nas zostanie zaatakowany? – spytał Adams.

Odpowiedziało mu lodowate spojrzenie oficera.

– Po naszej stronie Linii odpowiadamy walką. Po tamtej nie. I tak Czarne są tam nietykalne. Nie należy demaskować pozostałych uczestników wypadu.

Taka decyzja, choć logiczna, nie mogła mu przysporzyć sympatii żołnierzy.

– Prawo legionowe stanowi, że powinniśmy nawzajem dawać sobie wsparcie – zauważył Bethmann.

– Tak. Jednak po tamtej stronie Linii zaatakowanemu nie pomożemy, a skążemy wyprawę na niepowodzenie; demaskując się, wydamy wyrok śmierci również na siebie. – Logika Pachoma była nieubłagana.

Żołnierze niepewnie zerkali po sobie. Docierało do nich, że to wyprawa bez powrotu. Barber rytmicznie stukał hakiem w kamień. Niektórzy zaczęli szeptać.

Pachom ruchem ręki uciszył ich głosy.

– Przebieg Linii znamy aż po Strażnicę Hewensa, czyli jakieś dziesięć kilometrów od Nocnej Grani – powiedział. – Dalej nikt nie zaszedł. Nie ma więc pewności, że Linia stale biegnie górskim grzbietem.

Legioniści spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– Jakże mogłaby opuścić grań? – spytał Barber.

– Mówi się, że Linia idzie granią, bo to jest naturalna granica, jednak nie musi to być regułą. Tym bardziej my nie powinniśmy pozbawiać sami siebie szans na uratowanie kolegi w tarapatkach, jeśli jesteśmy po Stronie Człowieka.

– Jak rozpoznamy, że jesteśmy w miejscu, gdzie atak ma szanse powodzenia? – Aldnoy miał nieruchomą, pozbawioną zmarszczek twarz lalki i małe, czarne, błyszczące oczka gryzonia. Adams nie przypuszczał, że ta twarz może kiedykolwiek cokolwiek wyrażać.

Pachom uśmiechnął się, wysuwając do przodu żuchwę. To była właśnie część planu, z której był dumny. Trochę teatralnie pokiwał głową.

– To jest zadanie zaatakowanego... – Powiódł wzrokiem po oddziale.

Odpowiedziały mu rozdziawione usta i bezmyślne spojrzenie Bethmanna. Pachom uśmiechnął się drapieżnie wprost w twarz *korpusnego*. Bethmann zamrugał białymi rzęsami.

– Zaatakowany powinien jak najszybciej skrwawić Czarnego – powiedział Pachom. – Jeśli mu się powiedzie, niech uniesie *gladius*, pokazując reszcie krew na ostrzu. Wtedy dostanie rutynowe wsparcie: najpierw swojego *korpusu*, a jeśli trzeba będzie, to i reszty *decymy*. Z obrzynów palić tylko z najbliższej odległości, nie marnować amunicji.

Teraz miał swój oddział za sobą. Nikogo z tych ludzi nie należało zachęcać do walki. Taki sposób rozpoznania terenu odpowiadał żołnierzom.

– Kiedy wyruszamy? – spytał Bethmann.

– Jutro o świcie. Do nocy trzeba będzie znaleźć jakieś schronienie. Lepiej nie sprawdzać, czy Wiatr Noży rozpozna nas pod futrami...

– Przydałby się rekonesans – powiedział Adams. – Wyjść na krótko na płaskowyż i zmieszać się z Czarnymi. Najlepiej pojedynczo. Sprawdzić, czy rozpoznają nasze przebrania. Zagrożenie dla oddziału byłoby mniejsze, pewność wykonania zadania większa.

– Jest rozkaz, że mamy pójść od razu – odpowiedział sucho Pachom. Pytanie Adamsa było mu na rękę. – Bez rekonesansu.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Adams już przekonał ich o konieczności rozpoznania. Drubbaal mógł wydać bezmyślny rozkaz, nie on nadstawiał tu karku. Akurat *sotnik* przechadzał się po wznoszonym pasie murów wokół obozu i wydawał polecenia murarzom.

Czarne po swojej stronie Linii były nie do zabicia. Jednak w bezpośrednim jej pobliżu można je było poważnie poranić i – przynajmniej chwilowo – okaleczyć. Wprawdzie odcięte części zrastały się w całość, a rany zamykały, jednak na pewien czas taki osobnik był wyeliminowany z walki.

W większym oddaleniu od Linii – tak powszechnie twierdzono – Czarne nie udawało się nawet drasnąć.

Wieczorem Hjalmir przysiadł się do Adamsa. Może chciał zatrzeć przykre wrażenie po ostatnich targach.

– Pozostaw wszystkie pamiątki w obozie – powiedział.

– Pamiątki?

– No, wiesz... wszystkie dziewczynskie czarowania, jeśli je przyjąłeś od jakiej panny.

– *Byngoro* czy *myloro*?

– Właśnie. Po tamtej stronie Linii może ci to ściągnąć na głowę kłopoty. Czarne wyczują choćby mały fragment duszy jakiegoś stworzenia. Zdemaskują cię od razu jako kilka dusz. Dla nich dusza to dusza, nie rozróżniają ich rodzajów. Kura albo człowiek, czy choćby skrawek krowiej duszy, świecą tak samo. Znalazłem kilka niezależnych zapisków mówiących to samo.

– Mam *byngoro*, *truchol*, *myloro* i *bukałę* – powiedział Adams, sięgając po mały woreczek noszony za pazuchą.

– To cały komplet! Szczęściarz z ciebie.

– Co one oznaczają? Na przykład *byngoro*?

– Nie jestem ekspertem od dziewczęcych zaklęć, ale *byngoro* znaczy „będę cię widziała oczyma duszy”.

Adams wziął do ręki paskudztwo z pozszywanych oczu.

– O! Jakie świeże! Popatrz, te oczy są stale wilgotne. Nie zmętniały ani nie wyschły. To wartościowy czar – zauważył Hjalmir.

– Takie coś działa?

– Pewnie gdybyście oboje byli w Dolnym Mieście, to widziałyby cię w myślach. Tutaj, to nic pewnego.

– A to? – Adams wziął do ręki oplecione włosami gliniane rogi.

– *Truchol halemza*...? Znaczący „tylko my dwoje”. Nie będziesz myślał o innej dziewczynie ani

ona o innym. Ale najważniejszy jest ten ludek, *myloro*. To wyłączość ciał: ona należy do ciebie, ty tylko do niej. Wyklucza zdradę.

– A taka kostka, *bukala*?

– To wasz wspólny dom, ale działa jakoś warunkowo... Znaczy, tylko jeśli poprzednie zostały założone i nie przełamane. Oj, mocno cię złapała tamta panna, mocno...

– Jak je zabezpieczyć?

– Najlepiej daj mi na przechowanie.

– O, nie! Schowam w sobie wiadomym miejscu. Hjalmir wybuchnął śmiechem.

– Rzeczywiście złapało cię to czarowanie. Podobno w takim właśnie przypadku te wszystkie cuda działają.

Adams zrobił głupią minę, nie odezwał się.

– Jeśli to od twojej czarnookiej panny... – powiedział szeptem Hjalmir – ...to Drubbaal zabiłby cię nie raz, a cztery razy. Za każdy czar z osobna. Lepiej pozbądź się tego jak najszybciej.

Przed wieczorem Adams wyszedł na bezimienną płaszczyznę, gdzie przebieg Linii był niepewny, ponad miejsce, w którym pod kopcami z głazów pochowano poległych legionistów, i w rozpadlinie między wantami schował talizmany. Przykrył je płaskim kamieniem.

Już pierwsze kroki napawały lękiem, chociaż dopiero zamierzali wejść głęboko na Stronę Czarnych. Buty szurały na drobnym szutrze, wznosiły chmurkę pyłu.

„Czy Czarne chodzą bezgłośnie, czy hałasują?”, pomyślał Adams. Dźwięk kroków może zdemaskować.

Pachom potknął się na ruchomym kamyku.

„Zupełnie mu się rozjechała skóra na brzuchu, widać czarny kaftan. Dobrze, że chociaż wdział go na kolczugę”, pomyślał Adams.

Gnany wiatrem kłęb suchego, kolczastego zielska zaplątał się między nogi Adamsa. Próbował go kopnąć, odsunąć stopą – nic z tego. Cholerne ciernie coraz mocniej wplątywały się w czarne futro. Mocna łodyga, napinając się, ściągała getry z łydek. Zatrzymał się i wziął do wyplątywania kolców. Futro odpowiadało trzaskiem wyszarpywanej łodydze. Nie mogą go tak zobaczyć Czarne, im coś takiego nigdy się nie zdarza. Wreszcie z ulgą odrzucił utrapiony kłęb, teraz przyozdobiony czarnymi kudłami.

Pachom utykał w butach zrobionych na wzór Adamsowych. Może Crawhez nie ułożył wystarczająco płasko pozszywanych rzemieni, może *decymus* nie zawiął dość starannie onucy.

Korpus Bethmanna przekroczył Linie. Legioniści szli równym krokiem.

„Tekturowe kukły, maszerują jak wojsko”, pomyślał Adams zirytowany. Zatrzymał się. „Czarne idą, nie maszerują”.

Wskazał ich dowódcy ruchem podbródka.

– Idą jak na paradzie – syknął przez zęby.

Pachom skinął głową. Zaczekał, aż zbliży się Bethmann. Szeptem go zrugął.

Korpus Aldnoya wyglądał jeszcze gorzej: mieli źle zrobione przebrania. Pozszywane ze ścinków nakrycie głowy Barbera marnie przypominało łeb Czarnego. Krippel szedł dziwnie zgięty z okazałym garbem na plecach. „Wepchał pod futro cały plecak”, pomyślał Adams.

W dali widać było przechodzącą kolumnę Golców. „Lepiej, żeby nie było przy nich Czarnych”, zastanawiał się Adams. „Warto najpierw sprawdzić, czy Golcy nas rozpoznają. To niczym nie grozi”.

Niestety, Golcy nie byli sami. Zauważył wśród nich pojedyncze sylwetki poruszające się charakterystycznym chodem.

Nigdy jeszcze Adams tak bardzo nie chciał się skurczyć. Najchętniej pod spojrzeniem wolich oczu o przekrwionych białkach zapadłby się do środka. Wydawało mu się, że każde takie spojrzenie demaskuje szwy futra, węzły tasemek jego stroju, że każdy z nich widzi w nim dziwnego

przebierańca, zabójcę roztargnionej *gabery*.

Spodziewał się, że w każdej chwili na jego plecy spadnie potężna łapa i mimo kolczugi zdruzgocze kręgosłup. Wyobrażał sobie, jak pazury w kształcie szabli, dłuższe od tych przywiązanych do palców, rozrywają kółka kolczugi, a następnie równie sprawnie wchodzi między kręgi, tnąc jego rdzeń kręgowy i paraliżując go na ostatnie chwile życia.

Nic takiego jednak się nie stało. Idąca obok *gabera* przedzieliła go z Pachomem. Miała dodatkową głowę wystającą z zadka; wyprzedziła wolniejszego Adamsa, a wtedy ta dodatkowa, podrygująca w takt kroków *gabery* głowa zaczęła się do niego wykrzywiać. Potem kilkakrotnie prychnęła.

Adams nastąpił na wyschłe ścierwo szczeniaka. Poślizgnął się na błonie skrzydła, gryząc się w język, by nie zakląć.

Po chwili minęła go inna *gabera*, potem jeszcze inna i jeszcze. Rytm marszu koił strach. Golce podrygiwali tanecznie. Niektóre Czarne trzymały ich za ręce i płały z nimi.

„Jak najmniej się wyróżniać”, pomyślał Adams. Nieśmiało spróbował podrygów, ale wyglądało to jak pokraczne drgawki.

Samice były mniej uważne. *Busierce* zachowywały się inaczej. Już pierwszy, mijający Adamsa, czujnie węszył. Wciągał powietrze z głośnym świstem, wielkie nozdrza ruszały się rytmicznie.

„Daj sobie spokój, chłopie – powiedział do niego w myśli Adams. – Jasne, że nie cuchnę jak twoja pani”. Czarne futro straciło zapach podczas wyprawiania.

Busierec rozglądał się bacznie, przewracał oczami. Jednak zwolnił i odczepił się od Adamsa. Zostawił Pachoma, a następnie *korpus* Bethmana.

Adams nie miał wątpliwości, że Czarny wietrzy oszustwo. „Z tego nie wyniknie nic dobrego”, pomyślał. Szedł wolniutko, co chwilę odwracając głowę. Kolumna rozrzedziła się.

Busierec niezbyt pewnym krokiem podszedł do Barbera. Coś wydawało mu się nie w porządku w całej grupie idących *gaber*. Ta jednak była najbardziej dziwaczna – jakby łaciata. Jednak nie, uspokoił się, zrównał krok, wyciągnął do legionisty łapę. (Nierzadko Czarne chwytają się za ręce między sobą lub prowadziły za ręce Golców). Schwycił dłoń Barbera.

Wtedy ryknął wściekle. W łapie trzymał kawałek czarnego futra, a Barber błyskał odsłoniętym metalowym hakiem. Tylko przez moment, zaraz *busierec* rzucił się na niego wściekle, jednym ruchem skręcając mu kark i wreszcie odrywając głowę. Bezgłowy trup legionisty osunął się na kolana i upadł na piarg, jeszcze drgając. Krew z roztarganej szyi ciekła strumieniem. Czarny schylił się i zaczął ją chleptać wprost z tętnicy. Głowę starego odrzucił gdzieś przed siebie. Raz i drugi przejechał pazurami po futrze, jakby zdziwiony, że tnie tak płytko. Nie zauważył kółek kolczugi ukazujących się spod futra. Nasycony, odepchnął trupa. Nie pożarł go. Podniósł się i dołączył do innych. Rano szkielet Barbera wyruszy w swoją drogę.

Adams miał ochotę wcisnąć się pod najmniejszy kamień. Jednak akurat tutaj płaskowyż tworzyła słabo spękana, pokryta drobnym szutrem płyta. Want nie było. Wydawało mu się, że wzrok każdego Czarnego przeświała jego przebranie.

„Idź do nich. Zmieszaj się z nimi”, powiedział sobie. „Nie wycofasz się, i tak rozszarpią. Może tylko ten jeden *busierec* był tak spostrzegawczy? Jak tu nasiąknąć ich cierpkim odorem?”

Nogi jak z waty nie chciały słuchać. Zmuszał się, by stawiać krok za krokiem. Przechodząca grupa Golców była coraz bliżej.

„Ustawić się między ludźmi a Czarnymi. Blisko idących ludzi. Wtedy Czarne nie zauważą, że nie cuchną jak one. Pokonać ten dystans”.

Szedł coraz szybciej. Za nim podążał Pachom i reszta żołnierzy. Krippel i Aldnoy z dala ominęli zwłoki Barbera. Agresywny *busierec* poszedł sobie.

Weszli już w głąb płaskowyżu dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Płytkie żleby schodzące od grani nie formowały dolin, a znikwały w płasni biegnącej równolegle do grzbietu. Może gdzieś daleko urywała się ona ostrą krawędzią nad doliną, przepaścią, nie wiedzieć czym..

„Takie formy są możliwe w górach osadowych”, ocenił Adams.

Dołączyli do licznej grupy Golców, z rzadka przedzielanych Suchymi. Czarnych było tu ledwie paru. Same *gabery*. Adams wyprzedził innych, nie tracąc jednak kontaktu wzrokowego z Pachodem. Inni legionieści pozostali daleko w tyle.

Adams ledwie zwrócił uwagę na mijaną stertę głazów, zwaną Strażnicą Hewensa, wyznaczającą zasięg poznanej części płaskowyżu.

Tutaj spotykali więcej czworonogich Czarnych. Spore, o psich lub małpich pyskach, biegały, wydając szczekliwe wrzaski. Niektóre kręciły się przy idących Golcach i próbowały gryźć ich po nogach. Stare odpędzały je zamaszystymi kopniakami, chociaż czasem mocno oberwało się któremuś z idących golasów – aż broczył krwią. Poranieni krzyczeli i zrzędzili, inni nie zwracali uwagi na ich narzekania.

Młodziaki miały podłużne, giętkie gadzie ciała i skrzydła, już zbyt słabe, by je unosić w powietrzu, które nadal wznosiły się nad grzbietem czarnym baldachimem. Szybko biegały na smoczych łapach, zakończonych długimi pazurami. Starsze miały skrzydła zmarniałe, kończyny dłuższe, ciała porośnięte rzadkim futrem, a *loszom* pączkowały porośnięte sierścią, niewielkie jeszcze cyce.

Adams nie miał wątpliwości, że to pośrednia forma rozwojowa Czarnych, chociaż legionieści uważali je za oddzielny rodzaj istot, nazywając je Stworami Mroku i czując wobec nich szczególny respekt.

„Stwory Mroku”, powtarzał w myśli, zamaszystym kopniakiem odpędzając warczącego smokopsa. „Cholerne podrostki, agresywne szczeniaki! Już nie lata, a jeszcze rozumu nie ma!”

Idąca obok *gabera* schyliła się i szybkim ruchem poderwała w powietrze szczególnie dożartego młodziaka. Mocnym chwytem złapała go za kark i przydeptała do ziemi, następnie jednym szarpnięciem wyrwała mu przednią łapę. Okaleczony stwór, żałośnie skowycząc, oddalał się, utykając na trzech pozostałych. *Gabera* zdarła z oderwanej kończyny skórę i wgrzyła się w surowe mięso. Gdy posiliła się do syta, cisnęła kością w stadko Stworów Mroku, które teraz trzymały się w bezpiecznej odległości.

Niektóre z nich kicały jak rogate zające. W przerwach między susami zastygały jak zasuszone, pomarszczone figurki. Kilka razy taki zając wyskoczył na kark idącego człowieka, boleśnie gryząc go w kark. Zawsze wtedy jakiś dorosły Czarny uwalniał Golca mocnym szarpnięciem, zdzierając napastnika. Na karku pozostawała krwawiąca rana.

Adams nauczył się trzymać blisko dorosłych Czarnych – obawiał się, że tak daleko od Linii nie byłby w stanie zagrozić takiemu młodziakowi.

Dokuczliwe małe zwykle tworzyły wokół idących wirujący kłęb. Adamsa omijały nawet w chwilach, gdy pierwszemu szczeniakowi ze stada udało się przedrzeć do sutka którejś ze samic i wtedy u wszystkich *gaber* opór przed karmieniem zgodnie słabł. Naciągnięta na grzbiet skóra samicy nie mogła zmylić szczeniaków. Inaczej rozpoznawały płęć idącego Czarnego.

Im bardziej na wschód, tym stawało się ciemniej. Dawno temu minęli już stertę cegieł, ruiny wieży strażniczej Czarnych, zburzonej kiedyś przez Hevrensza-Trzy-Palce, a teraz zwane jego imieniem.

Ciepło myślał o roztargnionej samicy Czarnych, która użyczyła mu swojego futra i czaszki i teraz ratowała jego życie. W myślach nazwał ją żartobliwie „Gabercia”.

Krippelowi dokuczał upał. Odział się grubo, na to jeszcze futro, a jak na złość dzień był ciepły. Wziął za wiele sprzętu i jedzenia. Upchał to wszystko w worku niesionym na plecach. Niestety, sznurki, na których go dźwigał, mocno wrzyły mu się w ramiona. Petrynał przewieszony przez ramię, a schowany pod futrem, też ważył swoje.

Uważał, że przygotował się najlepiej ze wszystkich. Reszta legionistów nierozważnie wyruszyła bez etatowego wyposażenia; zabrali ze sobą mniej niż na kilkudniowy zwiad. Jego zdaniem skazywało ich to na klęskę. On sam wziął całe etatowe wyposażenie, a nawet więcej. Teraz jednak za swoją rozwagę i zapobiegliwość płacił bólem i zmęczeniem.

Śmierć Barbera wydawała się wydarzeniem tak odległym, że jakby nierealnym. Zaszła zbyt szybko, żeby lęk się utrwalił. Tamten *busierec* obwąchał wszystkich z oddziału, wybrał sobie tylko Barbera, zabił go i szybko odszedł. Widać przebrania innych były wystarczająco realistyczne.

Krippel nie pamiętał już, jak długo idzie; wszystko sprzed marszu zbladło, skurczyło się w pamięci. Zupełnie jak gdyby szedł już od dzieciństwa, jakby jeszcze jako umorusany pędrak pożegnał przedwcześnie postarzałą, zniszczoną ciężką pracą matkę, od razu naciągnął na grzbiet czarne futro i ruszył w drogę tym płaskowyżem, ku czarnemu horyzontowi.

Ze zdartych pęcherzy wyciekał płyn surowiczy, ukryta pod nimi wrażliwa skóra ścierała się do reszty, pod sznurami otwierały się krwawiące rany. Każdy krok odzywał się bólem promieniującym aż do miejsca, skąd z czaszki wyrasta kręgosłup.

Krippel zostawał z tyłu. Był odpornym żołnierzem, wprawdzie durnym i próżnym, jednak zdolnym przetrwać nawet ciężki ból, jeśli miał jakąkolwiek nadzieję na jego koniec. Teraz takiej nadziei nie potrafił w sobie wzbudzić: do końca marszu było zbyt daleko, a ból przepelniał całe ciało.

Właśnie minęła go kolejna grupka konwojowanych przez dwa rogate, segmentowane węże o niemal ludzkich głowach. Stwory, sprawnie się wijąc, bez trudu nadażały za krokami Golców.

Wyczekał, aż go wyprzedzą. Stęknął, spróbował przez futro schwycić za sznury, przesunąć oba narzędzia tortury. Z trudem wyłowił ich kształt spod gęstych kudłów. Złapał mocniej i poczuł ostry ból skóry klutej szablastymi pazurami, przywiązanymi do palców. Z nowych ran promieniowało ciepło.

„Cholerny Krawiec, cholerny niewolnik”, pomyślał ze złością. „Omotał *decymusa*, omotał nas wszystkich. Nawet ja go posłuchałem, cholera jasna”.

Zsunął futro z palców i dłoni. Zaczął niezręcznie rozsypywać paski, którymi przytroczył szpony. Niepotrzebnie do każdego palca przywiązał ostrze i nie zostawił ani jednego do precyzyjnych ruchów.

Plecy i obojczyki piekły nieznośnie.

Przeciął pazurem tasiemki mocujące inne szpony. Pracował zbyt nerwowo, raniąc palce.

Dosyć tego! Dość! Uwolnić się z tych krępujących więzów! Poprawić to dziwaczne przebranie.

Od dłuższego czasu szedł sam, sylwetka Aldnoya zniknęła w oddali razem z ostatnimi Golcami. Krippel rozejrzał się: nikogo w pobliżu nie było. Zatrzymał się; odwiązane pazury rzucił na ziemię, spróbował sięgnąć dłonią na kark, gdzie związane były tasiemki futra. Worek wisiał nisko, na krzyżach, przeszkadzał mniej, niż się wydawało.

Wreszcie pociągnięta tasiemka ustąpiła, potem następna, jeszcze kilka innych. Byle się z tego wydobyć, jakoś ukoić piekący ból. Potem będzie czas, by ponownie się odziać w futro.

Bez ściągania czaszki Czarnego nie dało się wydobyć głowy z przebrania. Przeszkadzały okazałe rogi. Kiedyś kupił tę czaszkę właśnie dla pięknych rogów, a teraz przez nie pozbywał się praktycznego hełmu.

Zsunął więc futro z całej górnej połowy ciała. Owionął go chłodny wietrzyk. Wreszcie udało się unieść sznury z krwawych kolein. Odetchnął z ulgą. „Zroluję kawałki tkaniny i podłożę pod sznury” pomyślał. „Wtedy da się iść”. Położył plecak na ziemi. „Można przecież go nieco opróżnić. Wziąłem sporo niepotrzebnych rzeczy. Tu jest dużo cieplej, niż myślałem”.

Przyplątał się do niego mały Stwór Mroku. Zajadłe zwierzę przypominało małpę o psim pysku, miało przesadnie długą, jaszczurczą szyję i krótkie różki na głowie. Stwór zaczął szarpać przednimi łapkami za zsunięte futro, próbował do reszty zedrzeć je z Krippela. Pienił się z wściekłości i warczał, ukazując długie kły. Szarpnął raz i drugi, przewracając Krippela i ściągając z niego futro do reszty. Ten sięgnął po broń. Mały odbiegł parę metrów, jakby drażniąc się z żołnierzem, który za wszelką cenę musiał odzyskać przebranie. Młodziak już nie wściekał się, lecz stroił do niego miny, wystawiał jęzor i przewracał oczami, pokazując zrabowany skarb.

Nagle jakaś siła uniosła Krippela za kark w powietrze. Przed oczami ujrzał dziwną, wykrzywającą się do niego twarz, której z gałek ocznych wyrastały kępki włosów. Suchym językiem przejechała po twarzy Krippela, spróbowała nawet ukąsić miękkimi, uformowanymi z ciała zębami.

Ogromny *busierec* oglądał go ze wszystkich stron. Następnie wolną ręką sprawnie zdarł spodnie, zaraz uwalniając z butów stopy żołnierza.

Petrynał leżał na skale. „Tu skałkówka nie wypali”. Krippel wyliczył sobie dokładnie trasę: jak sięgnąć po broń w biegu, następnym ruchem drapnąć leżący obok *ignitor* i dalej biegiem za widoczną skałkę. Byle się uwolnić z żelaznego chwytu.

Kopnął *busierca* piętą w brzuch. Z całej siły poprawił. Nie zrobiło to na Czarnym większego wrażenia. Jakby od niechcienia machnął pięścią wielką jak bochen chleba. Rozbłysk światła pozbawił legionistę przytomności.

Zbudził się z głośnym szumem w uszach, nagi, jedynie w *skorupie*. *Busierec* siedział obok,

czekał na jego przebudzenie. Teraz mocnym chwytem postawił go na nogi. Jego ostre szpony orały skórę człowieka. Zdecydowanie pchnął Krippela w stronę przechodzącej kolumny Golców. Kilka szturchańców idących obok Suchych pozbawiło legionistę woli ucieczki.

– Wreszcie się zdecydowałeś – powiedziała przechodząca goła kobieta. Miała okrągłe, bezmyślne oczy, czerwoną twarz i potwornie spuchnięte całe lewe ramię. – Lepiej z własnej woli iść do naszego pana. On na pewno będzie dla takich łaskawszy niż dla tych, co chcieli mu uciec.

Wykrzywiła twarz w parodii uśmiechu.

Tutejszy płaskowyż pełen był dziwacznych, niewysokich formacji skalnych. Szersze górą, węższe przy podstawie, przypominały grzyby dwukrotnie wyższe od człowieka. Wyrastały z płaskich płyt skalnych, urywających się warstwicami. Z grani koło Mrocznej Przełęczy takie formy nie były widoczne.

Hjalmir twierdził, że z dala od Linii zdarza się spotkać w pochodzie nawet osoby odziane. Z takimi rozmawiało się inaczej niż z pozostałymi Golcami. „Tak daleko. Stąd przecież nie dałoby się wyciągnąć kogoś z kolumny, nawet gdyby dał się przekonać”, pomyślał Adams.

Właśnie teraz w kolumnie Golców Adams zauważył dziewczynę odzianą w brązowy, dziwacznie skrojony kubraczek i króciutką, brązową spódniczkę. Zerknął badawczo to na ciemniejące niebo, to na Golców trzymających ją za ręce. Miała brązowe oczy, takie same włosy i bladą, nerwową, szczupłą twarz.

Nigdzie nie było Czarnych, więc Adams odważył się podejść i zagadać do niej.

– Jak się tu zaplątałaś?

– Ja? – pokazała palcem na siebie.

– Właśnie. Różnisz się od nich. Wszyscy oni są brzydcy, ty nie.

Nie zadziwiła jej *gabera* mówiąca męskim głosem. Popatrzyła na trzymającego ją za rękę grubasa, któremu wywalone brzuszysko zasłaniało *fartuszek*.

– Wszyscy ludzie nie mogą być piękni. Ja miałam opinię brzyduli.

– Ty?

Rozmowę przerwali sąsiedzi dziewczyny, którzy zaczęli szemrać i wygrażać Adamsowi, obrażeni jego uwagą. Przyśpieszyli, unosząc dziewczynę ze sobą.

– Tak, tak, ja... – rzuciła, uśmiechając się. Nie była brzydula, a fakt, że szła w pochodzie szpetnych Golców, jeszcze tę urodę podkreślał.

Przyśpieszył i on, podszedł do niej znowu, stanowczo rozsunał Golców i za rękę wyciągnął ją z kolumny idących. Nie zaprotestowała.

– Ty różnisz się też i z innego powodu.

– Z jakiego?

– Jesteś w ubraniu.

– Ach, tak... – zawahała się. – Kiedyś się rozebrałam, żeby się do nich bardziej upodobnić, ale

zaczęli ciamkać i sapać. Otoczyli mnie kółkiem. Ledwie się uwolniłam.

– Golcy? Przecież to bezwładne worki.

– Stali się natarczywi. Podniecili się.

– Oni nie ruszają się, nawet dziobani przez ptaki.

– To się przekonaj... – powiedziała. Zanim zareagował, Brązowa Dziewczyna szybko ściągnęła kubraczek, spódniczkę, bluzkę i bieliznę. Złożyła to w kostkę i umieściła ją na głowie, przytrzymując pakunek dłonią. Jej błyskawiczny striptiz zaparł mu dech. Widokiem szpetnej golizny maszerujących w kolumnie niewiast dawno zdążył się znudzić, ona zaś nogi miała zgrabne, proste, biodra szczupłe, piersi nieduże, ale foremne.

– No, chodź... – Wyciągnęła do niego rękę.

– Tak zwyczajnie?

– No.

Szli chwilę w milczeniu. Uniesione koniuszki jej piersi poruszały się rytmicznie.

– Jakoś nie zaczepiają – powiedział.

– Tu już jest półmrok. Może niedowidzą i dlatego są spokojniejsi. Poczekaj, podejść bliżej kolumny. – Puściła jego dłoń.

Wtedy się zaczęło: Golcy ożywili się, zaczęli mlaskać, ciamkać, tłustymi cielskami napierać na nią, spoconymi dłońmi dotykać jej skóry. Łapczywie macać jej piersi i pośladki. Nie przerywali jednak marszu, obok przecież szła spora *gaber*a. Przez tłum przeciskały się ku niej Gołe. Te szarpały dziewczynę za włosy, próbowały rwać pazurami jej skórę. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Brązowa krzyknęła o pomoc. Adams mocnymi kuksańcami rozgonił hałstrę. Szczodrze rozdzielał ciosy. Połała się krew, kiedy jego pazury rozdarły skórę na czymś grzbiecie. Odepchnął podnieconych napastników od klęczącej na szutrze dziewczyny. Ta, szlochając, zebrała rozrzucone odzienie i na powrót się ubrała.

– Ależ to było – powiedziała już spokojnie. – Poraniły mnie te jędze. Miałam krew na rękach. Chodźmy.

– To mogła być ich krew. Uderzyłem parę razy pazurami.

– Teraz już nie masz wątpliwości.

– Tak, zaskoczyli mnie swoją aktywnością.

– Mają tylko *fartuszki*, wydają się ospali, nieruchawi. Jednak na widok mojego ciała budzi się w nich co innego. Oni dalej przesyleni są żądzami.

– Na widok ich bab nic się w nich nie budzi. Roześmiała się.

– Gdybyś ty się tutaj rozebrał, pewnie też zaczęłyby ciamkać i cię atakować.

Adams burknął coś niezrozumiałego.

– Właściwie dlaczego jesteś tutaj w przebraniu *gabery*?

– Chcę wiedzieć, dokąd idą Golcy. Przebrałem się dla bezpieczeństwa.

– Od razu cię poznałam. Chodzisz jak człowiek, nie jak Czarny.

– A ty, po co tam idziesz?

– Idę, potem wracam. Wiele razy tam podchodziłam. Zbieram wiedzę, chcę wiedzieć jak najwięcej.

– Wiedzę?

– Pewnie. A co innego można tutaj grabić...?

– Jak masz na imię?

– Grieta.

Adams musiał oddalić się od niej. Nie mógł zgubić swojego oddziału. Zwolnił. Wreszcie dogonił go Pachom.

Krippel nie zrezygnował z walki. Przyśpieszył i wyprzedzał Golców. W kroczu czuł przykre mrowienie. Genitalia były odrętwiałe, włosy wypadły, zaczerwieniona skóra wspinała się na ochronną *skorupę* – w końcu całkiem ją zarośnie. „Może chłopaki ze zwiadu mi pomogą?”, krzepił się nadzieją.

Bose stopy już krwawiły. Wcześniej nosił wygodne skórzane buty, wzorowane na Adamsowych. Była to najlepsza para wykonana przez Crawheza. Nogi owijał miękkimi onucami. Stopy zdążyły wydelikatnieć. Teraz miękką podeszwę raniły ostre kawałki skały.

„Jak daleko zostałem z tyłu? Gdzież oni już odeszli?”

Stale pilnował go ten wielki *busierec*. Zerkał zaciekawiony, jakby pytając: Co ten człowiek tak się śpieszy? Przecież i tak dotrze do celu. Nawet wyciągał do niego pomocną dłoń, kiedy Krippel się potykał. Prowadzący kolumnę Suchy mocno złapał go za rękę. Ostre kości gniotły skórę. Krippel wyszarpnął się z przykrego chwytu. Na dłoni zostały sine ślady.

Przyśpieszył. „Nie do pomyślenia, żebym aż tak został z tyłu”. Znowu mijali idących.

Przez jakiś czas biegł truchtem. Potem zmęczył się i zwolnił kroku. *Busierec* bez trudu za nim nadążał.

Wreszcie po dwóch parach rozłożystych rogów i długim ogonie rozpoznał sylwetkę Hellweiga z korpusu Bethmanna. Musiał gdzieś przegapić swojego *korpuśnego*.

– Hellweig! Hellweig! – zawołał na całe gardło. – Jestem tutaj! To ja, Krippel!

Biegł coraz szybciej.

Tamten lękliwie się obejrzał, jakby skulił w sobie.

– Hellweig, to ja, Krippel! Ratuj mnie! Pomóż mi wydostać się z kolumny! Nie chcę z nimi tam odejść!

Hellweig przyśpieszył, jednak nie dość, by umknąć gołemu legioniście. Krippel odłączył od kolumny (pilnujący *busierec* nie przeszkodził temu) i zmierzał w stronę umykającej *gabery* ze zdwojonymi bawolimi rogami i długim ogonem.

– Hellweig! Nie uciekaj przede mną! To ja, Krippel! – powtarzał, sadząc dziwaczными susami. Nie zauważył, że po drodze mija Bethmanna, Wentzla i zbliża się do Pachoma. Przed oczyma miał tylko skulone plecy uciekającego truchtem Hellweiga i widoczne na nich drobne węzłki, ściągające poły jego futra.

Uciekająca przed Golcem *gabera* zaintrygowała towarzyszącego Krippelowi samca i inne Czarne. Teraz goniła Hellweiga cała grupka. Krótka. Zaraz otoczyły go ze wszystkich stron. Zewsząd poleciały na niego ciosy ostrych jak noże pazurów, które darły futro, odzież pod nim, rozrywały kółka

kolczugi. Hellweig dobył *gladius* i próbował się opędzać. Jednak przeciwników było zbyt wielu, a grube futro skutecznie ochroniło ich przed jego mieczem. Nie skrwawił żadnego, a sam otoczony przez Czarne krwawił coraz obficie, coraz słabiej natomiast odbijał ostrzem wymachy muskularnych ramion. Wreszcie któraś z łap trafiła go w nasadę kręgosłupa; któryś z pazurów dotarł między kręgi. Hellweig wygiął się do tyłu i bezwładnie osunął.

Teraz rozrywały go żywcem. Rwały pasy skóry, wyskubywały całe płaty mięśni. Żarły, mlaskały.

Zdyszany Krippel dogonił Hellweiga, kiedy makabryczna biesiada dobiegała końca.

Adams wreszcie odnalazł Pachoma. Zbyt wysforował się przed oddział, rozmawiając z Grietą. Dotarł do miejsc, gdzie było już ciemno. Półmrok nie stanowił wielkiej trudności, tym bardziej że rozjaśniało go fosforyzujące światło latarni rozmieszczonych na wysokich, zwykle ceglanych słupach. Przypominało ono blask *próczywa* trzymanego w ręku przez Latarnika w Krum. Grieta nazywała te konstrukcje Latarniami Umarłych. Przy jednej z nich Adams zaczekał na Pachoma.

– Uważaj na Krippela – powiedział dowódca.

– Nie widzę go za nami. Z tyłu mającą tylko Bethmann i Wentzel. Idą zbyt blisko siebie.

– Krippeł został zdemaskowany. Jako Golec idzie w pochodzie. Poznaje naszych i głośno woła o pomoc. W ten sposób wskazał Czarnym Hellweiga. Rozszarpały go na strzępy.

– Nie mogę iść z dala od kolumny, żeby nie budzić podejrzeń.

– Warto go wypatrzeć i iść za nim. Jednak trudno go poznać, bo *skorupa* już mu prawie obrosła *fartuszkami*.

– Gdzie teraz jest?

– Wysforował się do przodu. Myślałem, że cię rozpozna. Musiałeś go minąć, czekając na mnie.

– Wlokłem się z boku. Mógł nie zauważyć, jak zginają się moje kolana.

– Myślę, że poznaje naszych po rozcięciu na plecach. Ja mam futro wiązane z przodu.

– Ja też.

– Powoli się ściemnia – powiedział oficer po chwili. – Dawno minęliśmy grzyby skalne, a nawet przy nich nie byłoby dobrego schronienia przed Wiatrem Noży.

– Trudno ocenić, jak długo już idziemy – zauważył Adams. – Mnie się wydaje, że zawsze szliśmy.

– Mnie też. Staram się ocenić upływ czasu na podstawie światła. Jest go coraz mniej. Spore te konstrukcje. – Pachom gestem wskazał słup latarni. – Nie słyszałem, żeby Hevrensz coś takiego wznosił po tej stronie.

– Tego nie wznosił żaden legionista. Mur zdobiony, spajany. Kunsztowna robota kamieniarska. A każda z tych latarni działa. Myślę, że to jedną z nich Hevrensz zburzył, myśląc, że zmieni kierunek wędrówek Czarnych. Co dalej, dowódco?

– Każdy na własną rękę stara się dotrzeć jak najdalej, o świcie zawraca, spotykamy się na płaskowyżu, przy grzybach skalnych – powiedział. – Wtedy wydam nowe rozkazy. Na razie nie widać skarbów ani bogactw obiecanych przez Drubbaala.

Pachom zwolnił, aby przekazać rozkaz Aldnoyowi i Bethmannowi. *Decymus* nie wiedział, że tutaj świtu nie ma.

Adams poszedł dalej sam. Odpowiadało mu to. Wiedział, że ma najlepsze przebranie. Większym niebezpieczeństwem dla niego byli inni legioniści. Zdemaskowania przez Czarne mniej się obawiał.

Zbliżył się do idącej wzdłuż kolumny Golców dorosłej *gabery*, niedużej, jego wzrostu.

Czasem potykała się po ciemku, kwitując to gardłowym chrapnięciem. Parę razy spojrzała na niego. Teraz też podeszła bliżej.

Adams przez naciągniętą skórę poczuł na dłoni uścisk Czarnej. „Nadzwyczaj mocny chwyt”, ocenił.

Sam spróbował odpowiedzieć równie energicznie. Ledwie widoczna ręka majaczącej w mroku sylwetki stanowiła nieoczekiwane oparcie. Starał się stąpać pewnie, miękko wyczuwać stopami podłoże, nie tracić równowagi na ruchomych kamykach. Czuł ostry zapach idącej *gabery*. Inne dorosłe Czarne też pomagały sobie w mroku trzymaniem się za ręce.

Szemranie Golców przerodziło się w jęki i skamlenie. Maszerujący potykali się, objęli stopy na niewidocznych przeszkodach. Trzymali się za ręce z towarzyszącymi im Suchymi, jednak uchwyt kościanych dłoni był przykry, przy gwałtownych ruchach twarde krawędzie kości mogły poranić.

Jękom Golców towarzyszyły wrzaski i ujadania Stworów Mroku. Niewidoczne w ciemności, wyciem oznajmiały swoją obecność. Może marzły, może bały się samotne w mroku. Ich przesycony niezwykłym bólem, żaloszny głos był trudny do wytrzymania.

„Tu świeci jedynie mrok”, pomyślał Adams.

W mroku i chłód stał się bardziej dokuczliwy. On sam, grzany tuniką, kolczugą, a przede wszystkim grubym futrem Gaberci, nie marzł, jednak nadzy ludzie dotkliwie odczuwali zimno. Wcześniej goli z wyboru, teraz nawet gdyby chcieli, nie mieli czym się odziać. Zęby same zaczynały szcząkać. Wolny marsz nie rozgrzewał. Wkrótce słychać było jęk i zgrzytanie zębów całej kolumny pieszych, zagłuszane ujadaniami Stworów Mroku.

Na dodatek zerwał się mocny, mroźny wicher: ostre igiełki chłodu kłuły skórę. Z początku wiatr wiał w twarz, potem nieco ocieplił się, zmienił kierunek i powiał w plecy.

Adams poczuł, jak coś otula futro na jego hełmie. Małe łapki kurczowo wczepiły się w czarne kudły; nietoperze skrzydełka z całych, wątłych sił przyciskały się do sierści. Na plecach czuł niewielki ciężar uwieszony na futrze, jeszcze dwa inne wędrowały ku górze. Wreszcie dotarły do karku i głowy i znieruchomiały.

„Żeby który nie znalazł zapięcia”, pomyślał niechętnie o szukających schronienia szczeniakach.

Szli tak godzinę za godziną, tempo marszu spadło, choć i tak było za szybkie dla objętych

stopy do krwi Golców. Wreszcie mrok osłabł, wyłoniły się zeń zarysy idącej obok *gabery*, zaraz potem z drugiej strony kontury niskiej, kwadratowej, gołej grubaski sapiącej w marszu. Wystarczyło machnąć ramieniem, a wszystkie szczeniaki zerwały się do gwałtownej ucieczki.

– Przed nami pusto – burknęła *gabera*. Puściła dłoń Adamsa i przyśpieszyła. Zajęła miejsce nieco przed nim, by zmniejszyć odstęp od poprzedzających ich Czarnych.

Rozjaśniało się nadal. Blask był anemiczny, jakby zielonkawy, lecz dzięki samemu światłu odnosiło się wrażenie, że jest cieplej. Wiatr przygnał świecąca chmurę. Sunąca nad głowami masa fosforyzowała zielonkawo, to znów fioletowo, kiedy indziej jarzyła się karminem.

Ujadania Stworów Mroku ucichły; co chwilę słyhać było pośpieszny tupot ich łap.

Golcy przestali szczekać i zgrzytać zębami, a kiedy było już na tyle jasno, że mogli bosymi stopami wybierać najlepszą drogę, jęki ucichły.

Chmura jarzyła się i pulsowała nad głowami. Jej jaśniejsze i ciemniejsze miejsca układały się w ciągle zmieniające się pasma. To światło rozbłyskało jaśniejszymi kalafiorami, to w innych miejscach pojawiały się mroczne obszary. Twarze Golców wyglądały w tym świetle chorobliwie lub trupio.

Stało się widno jak w pochmurny dzień. Tak jasnej chmury Adams jeszcze nigdy nie widział. Golcy wrócili do swych tanecznych podrygów. Jedni sami, inni popędzani kłapnięciami szczęk groźnych, skrzydlatych czworonogów, skradających się przy ich łydkach.

Adams zauważył Stwora Ciemności, który wił się i skręcał na ziemi. Młodziak miał zwiędłe i uschłe skrzydła, gadzie kończyny pokurczone, dziwacznie pozakręcane i zmarniałe. Psi pysk z zadziwiająco ludzkimi brwiami i wolimi, przekrwionymi oczami wykrzywił grymas wielkiego bólu i cierpienia. Nie ujadał, tylko wił boleśnie, a głos ten co chwila przechodził w żalony jęk.

Adams przystanął przy męczącym się stworze. Chciał obejrzeć przemianę. Podejrzewał, że tak właśnie rodzi się dojrzały Czarny.

Stwór wił się coraz energiczniej, konwulsyjnie wyginał w kabłąk. Wreszcie skóra na jego grzbiecie pękła. Wyciekło parę kropel ciemnej krwi. Wyłonił się segmentowany grzbiet. Czarny skrętami ciała wysuwał się ze starej powłoki. Nie miał już kończyn, a tylko węzowate, podzielone na segmenty ciało. Gdy mocno zginał swoje skręty, pomiędzy stwardniałych segmentów wyłaniała się biaława błona, może cienka skóra.

Smok przedzierzgnął się w węża. Nie wszystkie Czarne wstawały z czterech nóg na dwie. Czasami przemiana omijała jedno ze stadiów organizmu.

Psi pysk z wyrzutem spojrzął na Adamsa i przeistoczony Czarny falistymi ruchami ruszył w drogę. Radził sobie nad podziw sprawnie, wkrótce zostawił z tyłu idącego wolnym krokiem człowieka.

Powiał mroźny wiatr, ostre igielki wdarły się pod odzienie. Z kolumny znów dobiegły

złorzeczenia i szczękanie zębów. Stwory Mroku zaniósł się żalonym wyciem.

Drobny deszczyk zaszumiał o skały. Padało coraz gęściej. Lecące krople świeciły. Mokra skała jarzyła się zielonkawą poświatą.

Adams zebrał w garści trochę świecącej cieczy i powąchał: stęchły zapach stojącej wody, zgniłych glonów. Drobinka brudnej wody nadal jarzyła się mizernym blaskiem.

„Rośliny albo grzyby. Jarzy się jak próchno”, ocenił. „Z tego robią *próczywo* dla Latarnika?”

Świecący deszcz jasnymi nitkami łączył mroczną ziemię z rozświetloną, kłębiącą się nad głowami masą. Płynne światło zbierało się na karkach Golców, ściekało po ich ramionach, po plecach. Z mroku wyłonił się pochód jarzących się postaci. Zostawiały za sobą świetlisty ślad, jak ślimak szklistą linię wyschłego śluzu. Wszystko wokół cuchnęło gnijącymi wodorostami.

Z deszczem ubywało światła w chmurze; mimo fosforyzujących konturów kamieni, Golców, Czarnych, robiło się coraz ciemniej. Zostawiali za sobą większość opadłego blasku. Na odległym horyzoncie przyświecały im jedynie nikłe punkciki kolejnych Latarni Umarłych.

W gęstniejącym mroku Aldnoy zgubił towarzyszy. Został sam na końcu grupy. Długo miał w oczach śmieć Barbera. Odrazę i lęk budziły w nim Czarne widziane z bliska i w tak wielkiej liczbie. Obawiał się, że zostanie rozpoznany po uścisku ręki – nie zaopatrzył się w pazury Czarne. Idącym Golcom czasem podawał dłoń, choć ci budzili jego pogardę szpetotą kształtów i dziwaczną pasywnością.

W miarę jak się ściemniało, Aldnoy wypracował metodę sprawnego poruszania się: z rozpostartymi ramionami, ze wzrokiem wlepionym w nieboskłon. Świejące chmury nadchodziły często i zawsze któraś pomagała zachować kierunek marszu. Teren był równy, kamyki drobne, udawało się więc tak wędrować. Oczy przyzwyczajone do mroku pozwalały wyłowić jaśniejszy obszar nieboskłonu.

„Kiedy wreszcie zacznie świtać?”, zastanawiał się. „Kiedy wreszcie będzie można się wycofać? Obiecywane przez Drubbaala skarby są mrzonką. Tu nic nie ma. Golcy idą bez ustanku. Ta droga nigdy się nie skończy...”

Teraz znowu było jakby jaśniej. Mijali jedną, potem drugą latarnię, jednak ich światło co najwyżej wskazywało kierunek, ale nie rozwiewało ciemności.

„Straciłem swój *korpus*. Zdegradują mnie za to do *simpla*. Marnie, chociaż nie było w tym mojej winy”. Szedł całkiem żwawo, przyzwyczał się do mroku. „Tyle tych bab”, pomyślał. „Ciemno tu. Można by jaką wyciągnąć z tego jęczącego tłumu. Zamiast obijać stopy do krwi, przystanąłaby na jaką chwilę...”

Zarysy idących obok Golców były teraz ledwie widoczne. Wydawało mu się, że akurat obok idzie jakiś Suchy.

„Przecież to są zwyczajne baby, tyle że brzydkie. Po ciemku tego nie widać. Podobno pod *fartuszkami* mają zwyczajne cipy; jakby mocno zadrzeć, to *fartuszek* się podnosi do góry. Tylko *katrupy* wmawiają ludziom co innego”.

Jakaś Goła spróbowała schwycić go za rękę. Miała wilgotną, miękką dłoń. Aldnoy wytarł swoją o futro i zaraz sięgnął ku niej. Chciał w mroku wymacać brzuch, piersi niewidocznej kobiety. Ta jednak przestraszyła się lub nie zrozumiała jego intencji. Próbowała wyswobodzić się z jego włochatych ramion, potknęła się i podcięła go. Stracił równowagę i runął jak długi, waląc głową o kamień. Naga kobieta przygniotła go swoim ciężarem.

Zrobiony z czaszki *gabery* hełm nie był jak należy wyścielony miękką tkaniną i nie zamortyzował mocnego uderzenia. Aldnoy ujrzał jedynie sine światło błyskawicy i stracił świadomość.

Tutaj świt był tylko nieznacznym rozszarzeniem ciemności, kiedy nadchodziła gnana wiatrem świecąca chmura. Jednak wtedy na krótko ściemniło się zupełnie. Przeszła inna chmura, ciemna i gęsta. Wiatr Noży zlizwał ciało z nieprzytomnego Aldnoya. Zebrał też skórę *gabery*.

Uwolniony z ciała, Suchy podniósł się niepewnie i ruszył z kolumną Golców.

W oddali na wschodzie, nad horyzontem, jaśniała coraz wyraźniejsza luna.

„Stamtąd wiatr nie przygnał dotąd ani jednej świecącej chmury”, uświadomił sobie Adams. „Ta jest pierwsza”.

Jednak to nie chmura nadpływała ze wschodu. Światło miało inny kolor, cieplejszy. Nie zielony od fosforyzujących bakterii, lecz ciepły blask pełgających płomieni.

Iść było wygodniej i przyjemniej. Młodziaki znowu zaczęły się niemiłosiernie wydierać. Szczęnięta Czarnych kłębiły się nad kolumną Golców jak gęsta chmura. Wysokie na dziesiątki metrów pasmo płomieni rozpościerało się na horyzoncie.

Im bliżej, tym płomienie bardziej grzały. Adams dłonią zasłaniał twarz przed ich blaskiem. Chciał dojrzeć, co jest za ścianą ognia.

Golcy wpatrywali się w płomienie jak zauroczeni. Niektórzy z nich, co niebywałe, stawali i próbowali się cofać. Rytm tanecznego marszu całej kolumny został zaburzony. Czarne, gryząc i bijąc kułakami, doprowadziły tłum do porządku. Po chwili wahania nadzy ludzie ruszyli przed siebie.

Ściana ognia wznosiła się pod niebo. Żar palił mimo osłony z futra i czaszki Gaberci. Za płomieniami rysowały się jakby jakieś mury, bramy, wysokie kominy zionące ogniem w niebo. Wszędzie majaczyły tłumy drobnych postaci – choć może było to złudzenie wywołane tańcem płomieni.

Adams zatrzymał się. Dalej iść się nie dało.

Przed Golcami płomienie jakby rozstępowały się, choć to może też było złudzenie, a ci wkraczali wprost w pożogę. Słyszał przecież ich rozdzierające wrzaski. Choć mogły to być skowyty młodziaków, tak podobne do ludzkiego krzyku.

„Skarby Drubbaala”, pomyślał pogardliwie. „Ogień wali stokroć mocniej niż w Mehz Khinnom, a taniec płomieni jeszcze bardziej przypomina tańczące postaci. Formuje elementy architektoniczne, jakieś konstrukcje, tworzy skłębione ramiona i twarze skrzywione od krzyku”.

Przemógł się i zrobił jeszcze dwa kroki. Żar gdzieś uciekł. Płomienie ułożyły się w portal ozdobiony dziesiątkiem ludzkich twarzy.

„O nie!”, pomyślał. „Ten żar nadal pozostał, tylko z jakichś powodów przestałem teraz go czuć. Dym może zawierać odurzające chemikalia...”

Wzruszył ramionami i zawrócił. Szybko, bo zaraz futro zapłonie, a na twarzy i na dłoniach powstaną pęcherze. „Do światła. Z powrotem w rejon, gdzie zagląda słońce. Przy grzybach skalnych zaczekać na dowódcę”.

Adams przyśpieszył.

Wentzel osłaniał swojego *korpuśnego*. Odkąd zgubili Krippela, zacieśnili szyk. Kiedy dotarli w rejony, gdzie drogę wskazują Latarnie Umarłych, a teren rozświetlają marnie świecące chmury, przestali obawiać się rozpoznania. Wędrowcy łapali się tu za ręce, więc para idących ramię w ramię nie powinna nikogo zdziwić. Jednak oni obaj zachowywali szyk: wysunięty do przodu Bethmann, a nieco za nim, z prawej, obstawiający go Wentzel. Obecnie ta formacja była wyłącznie dekoracyjna: w razie potrzeby Wentzel najprawdopodobniej nie zdążyłby dobyć *gladiusa*, a kusza była rozmontowana na części; obaj jednak nie przestali być zwiadowcami.

Z poległym Hellweigiem stanowili najlepszy *korpus* Pachoma. Wentzel miał nadzieję, że Drubbaal wkrótce przerzuci ich do *pretorii*. Ostatnie straty mocno przerzedziły elitarną *decymę*. *Prefektus* Reutel miał opinię utalentowanego dowódcy. Jeśli ten zwiad powiedzie się, to awans do *pretorii* jest pewny. Fizycznie też tam pasowali: trzech rudych dryblasów o zaciętych twarzach. Takich właśnie żołnierzy wybierano do oddziału reprezentacyjnego. Żołd wyższy, prestiż wśród obcych i swoich – o czym więcej marzyć?

Wszyscy trzej chcieli wyróżnić się podczas tej misji.

Kilka razy Wentzel musiał odganiać dożarte Stwory Mroku. Były mniej groźne, niż wynikałoby z opowieści przy ognisku. Wystarczał mocny kopniak – Bethmann lubił poprawić kułakiem – a czworonóg uciekał ze skowytami. Przejmująco wyły, ujadły i wściekle skowytały, jednak ani razu nie spróbowały gryźć po nogach.

„Boją się ciemności”, myślał. „Czują się tu równie obco, jak my. Co z nich za Stwory Mroku...?”

W oddali, nad horyzontem, pojawiła się luna pożaru. Z każdą godziną marszu nabierała mocy. Blask był ciepły, żółty przy ziemi, na niebie czerwony. Zupełnie inny kolor niż trupi poblask świecących chmur.

W kolumnie maszerujących też zapanowało ożywienie. Znowu podjęli taneczny pług.

„Ciepłej, to podskakują”, pomyślał Wentzel.

Blask rzeczywiście pochodził od gigantycznego pożaru, może ogniska. Płomienie strzelały w górę na setki metrów. Wentzel starał się wypatrzeć, co płonie, co spala się tak imponującym płomieniem. Wysilał wzrok, ale nic tam nie było. Wyglądało na to, że płomień wydobywa się spod ziemi.

Bethmann zaczął na niego.

– Widzicie coś w tych płomieniach? – rzucił.

Wentzel wyteżył wzrok. Płomienie pełgały, tańczyły, wydawało się, że za nimi rozpościera się złote miasto, pełne wież i wysokich domów. A zaraz za linią ognia wznosiły się równe mury, zębate

blanki, machikuły i umocnione wieżami bramy miejskie. Otwarte bramy.

– Czy też widzicie tam miasto i ludzi? – upewnił się podoficer.

– Złote Miasto. Bethmann pokiwał głową.

– Właśnie, Wentz – powiedział. – Ale wygląda na to, że tylko my dwaj tu dotarliśmy. Nawet *decymus* się zgubił, może zawrócił. Znowu nasz *korpus* okazał się najlepszy.

– Jak zawsze, *Korpl*. Nie było silnych na Koni Roboczych. Szkoda, że Hellweig ubył z naszej trójki.

– Szkoda. Chwilę milczeli.

– Czujecie żar od tych ognii? – rzucił Bethmann.

– Ani trochę, choć ogień wali pod chmury.

– Właśnie. A powinno palić twarze. Myślę, że to jakaś zmyłka, zasłona, żeby zniechęcić przybyszów.

– Teraz wchodzi tam grupa Golców.

Bethmann zmrużył oczy – wyśmienity żołnierz niedowidział na odległość. Od dawna nauczył się radzić sobie ze swoją wadą, jednak teraz potrzebował pomocy sokolookiego *simpla*.

– Jak wchodzi?

– Zwyczajnie. Ognie odchylają się jak zasłona z płótna.

– Nie widać po Golcach oparzeń?

– Nie widzę, ale stąd trudno orzec z całą pewnością.

– Dobrze, Wentz. Idziemy do Złotego Miasta. Przyda mi się prawoskrzydłowy.

Wentzel uśmiechnął się.

– Zmontować Drewnianą Pięść?

– Tak. Na rozkaz odrzucicie. Może się przydać przy przejściu. Możliwe, że w tych płomieniach znowu przekroczymy Linię.

Wentzel zamontował łuk kuszy na jej korpusie. Mechanizm korby ciągnął z cichym zgrzytem cięciwę splecioną ze stalowych drutów. „Nasiąkło wilgocią od mojego potu”, pomyślał Wentzel.

Bethmann spojrzał na jego robotę z wahaniem. To mogła być niepotrzebna dekonspiracja. Sam jednak dobył *gladiusa*.

– Myślę, że skoro potrafili wznieść miasto, to ani kusza, ani miecz nie stanowią dla nich sensacji. Za mną marsz – rzucił.

Delikatna aureola z płomieni omiotła ich sylwetki. Wszystko rozjarzyło się wokół, rozzłociło.

Płomienie jednak parzyły coraz bardziej. Bethmann zasłaniał oczy ręką. Coraz głębiej wdzierał się w ognistą ścianę. Przyspieszył, chciał jak najszybciej pokonać tę przeszkodę.

„Stary jest twardy jak skała”, pomyślał Wentzel. On sam z trudem nadażał za pracującym do przodu *korpuśnym*. Czuł, że płonie. Twarz próbował osłaniać rękoma.

„Przecież nie zawrócę”, pomyślał zdesperowany Bethmann. „On wierzy we mnie, bardziej niż w jakiegokolwiek innego dowódcę. Nigdy ich nie zawiodłem. Teraz też nie mogę”. Spomiędzy pokrytych białymi pęcherzami warg mimowolnie wydzierał się jęk.

Człowiek idący przed Wentzlem otoczony był aureolą ognia. Futro paliło się jasnym płomieniem. Wentzel zerkał na niego tylko jednym ledwie otwartym okiem. Szedł naprzód krok za krokiem. Odrzucił kuszę, która paliła dłoń żywym ogniem. Zresztą tor bełtu spłonął, nie dałoby się z niej celnie strzelić.

„Nie zostawię starego samego. Niech mnie, ten skurwiel właśnie nas doprowadzi do Złotego Miasta. Żelazny Bethmann”, pomyślał.

Nie ustawał przeć do przodu, choć nie miał już małżowin usznych, a twarz pokryły szybko puchnące pęcherze. Pierwsze z nich już strzelały od gorąca.

Płomienie wszystkiemu nadają kolor złota.

Z rzadziejącego mroku wyłoniły się zarysy idących Suchych i Czarnych. Adams dostrzegł w ciemności charakterystyczny kubraczek. Ona też stamtąd wracała. Podeszedł i ujął Grietę za rękę. Razem było przyjemniej wędrować.

– Właśnie myślałam o tobie – powiedziała. – Powiedz mi, czy tylko ty jeden jesteś człowiekiem przebranym za Czarną?

– Suche są przebranymi ludźmi – wykręcił się od odpowiedzi. – Widziałem, jak Golec przebiera się w Suchego. Wiatr Noży go przebiera.

– Ale ty nie jesteś przebranym Golcem.

– Nie.

– Też widziałam, jak szara chmura zdiera z Golca skórę i ciało i przerabia go w Suchego. Podeszłam bliżej, żeby lepiej widzieć.

– To było śmiertelnie niebezpieczne. Wiatr Noży znajdzie każdego stojącego na otwartej przestrzeni, nawet ukrycie się pośród kamieni może nie wystarczyć.

– Myślałam, że mnie to nie grozi. Długo milczeli.

– Dlaczego zawróciłeś?

– Na drodze stanęła mi ściana płomieni.

– Nie widziałam tam żadnych płomieni.

– Ściana jasnych płomieni, które na odległość nie grzały, jednak nie miałem najmniejszej wątpliwości, że spłonę, jeśli w nie wejdę. I że będę płonął jednocześnie od zewnątrz – znaczy: ten kombinezon, odzienie, skóra – jak i od wewnątrz, od środka ciała.

– Ja tam weszłam.

– Przez płomienie widziałem zarysy budynków.

– Są budynki. Mieszkają tam ludzie, chyba ci Golcy. Nieustannie sprzeczą się, kłócą ze sobą. Uprzykrzają sobie życie, jak mogą. Dziwacznie i niepotrzebnie. Wiesz, że przy każdym domu wzniesli małe krematorium?

– Po co?

– Co jakiś czas, uchwałą kolektywu, palą w nim żywcem wybranego w głosowaniu lokatora. Nie muszę ci tłumaczyć, że zwykle jest to ktoś zwaśniony z administratorem albo nielubiany, chociaż spokojny.

– To ich ubywa.

– Pewnie tak, chociaż trudno to zauważyć w ciągłym ruchu. Jedni przychodzą, inni się wyprowadzają, jeszcze innych eksmitują. Dziwaczne to wszystko.

– I tak jest tam wszędzie?

– Nie wiem. Weszłam tylko do najbliższego domu i zniechęcona zawróciłam.

Chwilę szli w milczeniu.

– Jak chcesz, to cię tam przeprowadzę – zaproponowała.

– Tam?

– No, pewnie. Skoro płomienie mnie nie spaliły, nawet ich nie widziałam, to i tobie nie zrobią nic złego. Teraz idź sam – powiedziała Grieta. – Jest jasno. Zbyt długo idziemy razem. Parę Czarnych szwędą się za nami. Nie chcę, żeby cię rozszarpały.

Bardzo daleko w górze, z lewej, dostrzegł Strażnicę Hewensza. Tej ruiny nie można było pomylić z niczym innym. Nadchodziły mu na spotkanie drobne grupki nagich ludzi z rzadka konwojowanych przez Czarne. Tak nisko ruch był bardzo mały, większość sunęła wyżej, płaskowyżem.

Nagle omal nie wpadł na leżącą na skalnej płycie kobietę. Nieruchomym wzrokiem patrzyła w mrok nad sobą, usta miała rozchylone. Było to niezwykle po Stronie Trupa. Ona sama różniła się od większości Golców również tym, że była młoda, szczupła, nie wychudła, i całkiem urodziwa, choć krótko ścięte włosy miała jakby wilgotne i zmierzwiłone. Uderzała niezwykle bladość jej ciała.

– Dlaczego leżysz? – spytał. Kobieta odwróciła głowę w jego stronę.

– Bo muszę się nad tym wszystkim zastanowić. Myślałam, że nic więcej nie max Tak mi powiedziano. A tej obecnej rzeczywistości nie rozumiem. Dlaczego teraz mam pójść tam, gdzie ci wszyscy ludzie pędzeni przez was? – Adams spojrział na nią uważnie.

– To chodź ze mną. Może dostaniesz szansę na co innego.

„Kobieta zebrała się z ziemi i posłusznie poszła za Adamsem. Widząc *gaberę* przy niej, inne Czarne nie niepokoiły samotnej wędrowniczki, wracającej na główny szlak. Adams wziął ją za rękę.

– Różnisz się od tych stworów – powiedziała.

– Tak, ale o nic więcej nie pytaj.

Czasem kobieta syczała z bólu, stąpając boso po drobnym szutrze. Nie nadażała za nim. Adams zwolnił. Prowadził oboje coraz bliżej grani, ryzykując atak zarówno Czarnych, jak i legionistów z tamtej strony. Wreszcie odbił tak bardzo, że trafił na ścieżkę na płaskowyżu wiodącą ku Mroczej Przełęczy. Kobieta słabła w marszu, wziął ją więc na plecy, pozwalając odpocząć jej udręczonym stopom. Mocno przygniecione jego ramionami, oba cyce odpadły. Już wcześniej zauważył, że futro skurczyło się na cycach – deformując się na przedmiotach, które schował w środku – wreszcie wyszło do reszty i ukruszyło. Nie przejął się utratą drobnego ekwipunku. Skoro nici ani *ignitor* nie przydały się dotąd, więc i później nie będą potrzebne.

Zaraz, jakby za szybko, znalazł się nad Mroczną Przełęczą.

– Teraz podejdź do tych tyczek na przełęczy – powiedział do nieznajomej. – Potem na drugą stronę do żlebu, ale nie za nisko. Patrz na kopczyki po prawej. Za nimi ścieżką przez skały, aż wyjdiesz na ostrze bocznej grani. Nim do znaku. Tam zobaczysz po prawej w kotlinie obóz, w lewo zaś zejdziesz inna ścieżka, aż do osady nad oceanem. Ci ludzie mogą cię skrzywdzić, ale to twoja jedyna szansa na przerwanie marszu płaskowyżem.

– Pójdiesz ze mną?

– Nie teraz. Mówiłem, byś nie pytała.

– Mam na imię Jelena – powiedziała i przytuliła się do niego, zaskakując czułością.

– Idź już, bo każdy inny Czarny zapędzi cię w Drogę Trupa. Adams zauważył na jej plecach niedużą, owalną siną dziurę po postrzale. Uważnie obserwował jej zgrabną sylwetkę, póki nieznajoma nie osiągnęła siodła przełęczy i nie pomachała do niego ręką.

„W Krum jej się to szybko wygoi. Tak urodziwej i zdrowej branki nie powinien zabić żaden żołnierz ani inny mieszkaniec Dolnego Miasta”, pomyślał i skierował się na płaskowyż. Przerwanie zwiadu potraktowano by jako dezercję.

Zawrócił w stronę ciemności, wypatrując towarzyszy. Wkrótce – dostrzegł daleko przed sobą sylwetkę Pachoma (chód zdradził człowieka, a inni żołnierze mieli sznurowania na plecach). Dowódca markował marsz, prawie nie posuwając się do przodu. Plątał się przy pierwszych grzybach skalnych, jakie wyłaniały się z mroku.

To blask przechodzącej w oddali świecącej chmury Pachom wziął za jutrzenkę. Jak jednak miałby tutaj nadejść dzień od wschodu, skoro dotąd nigdy nie nadszedł?

Zawrócił, zanim dotarł w rejony, gdzie zielonkawe chmury były jedynymi latarniami. Zgubił w mroku cały oddział, teraz chciał zebrać swoich żołnierzy. Mimo że szedł równym krokiem, Adams, który jak sam czuł, włókł się noga za nogą, dogonił go bez trudu.

– Widziałeś innych? – rzucił oficer, gdy zrównali się w marszu.

– Ani jednego. Pachom pokiwał głową.

– Może jeszcze nadejdą.

– Lepiej tu nie stać. Oddalmy się nieco.

– Wtedy nie dogonią nas.

– Dogonią. Tu dzieją się dziwne rzeczy. Idę od dawna, a teraz ciebie doganiam, który podobno też szedłeś, choć, jak uważasz, zawróciłeś przy pierwszym blasku.

Dobrze. Chodźmy Maszerowali w milczeniu. Adams zaczął rozglądać się w poszukiwaniu Brązowego Kubraczka. Szybko znudziło go towarzystwo mrukliwego dowódcy.

– Myślałem, że wybierzesz Adalę, a ty zaczęłaś romansować z Renatą – przerwał milczenie Pachom.

– Ja?

– Właśnie. Symmachs wszystko opowiedział. Myślał, że ci tym zaszkodzi. Zadbałem, żeby szkody były mniejsze.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Renaty mieć nie będziesz, bobyś zginął. Adala jest piękna. Czas płynie.

– Dlaczego tak ci na mnie zależy?

– Stanowiłbyś dla Adali ochronę – powiedział Pachom. Miał zimne, zielone oczy. Nie matowe, jak Adala, lecz wodniste, połyskliwe. Teraz zerkały przez wąskie szpary w czarnym futrze. – Zasłużyła na lepszy los. Ojciec nie da jej spokoju, póki pozostaje w gospodarstwie. To nie jest przecież niewolnica, lecz wolna dziewczyna.

– Ja jestem niewolnikiem.

– Tak, w połowie Hjalмира, w trzeciej części należysz do mojej *decymy*, trochę do Quirinu, a

resztę sam wykupiłeś.

– Hjalmir odzyskał resztę za mój hełm.

– Niech będzie. Dla mnie nie ma znaczenia, żeś niewolnik.

– Niewolnik byłby gospodarzem?

– A dlaczego nie? Łatwiej się wykupić. Jeszcze jak ktoś ma złote ręce do roboty.

– Nigdy nie byłem młynarzem.

– To łatwiejsze niż praca chirurga, a tego fachu łatwo się nauczyłeś. Zresztą mógłbyś sprzedać młyn, gdybyś chciał, i żyć tylko ze swej wiedzy.

– Hjalmir planuje zakończyć służbę i kupić dom.

– Hjalmir nigdy nie osiadzie w Krum. Zanadto lubi żołnierski żywot, choć gór nienawidzi. Nie porzuci wojaczki dla jednej kobiety.

– A ja tak?

– Właśnie. Ty raczej obserwujesz nasze życie, niż bierzesz w nim udział. Nie uderza ci walka do krwi. Za to kobiety za tobą przepadają, Krawiec.

– Jestem stary, Pachomie.

– Powtarzasz to, kiedy ci wygodnie.

– Jak nie wierzysz, spytaj Hjalмира, ile mam lat.

– Pytałem. Stwierdził, że jesteś dość stary. – Pachom wzruszył ramionami. – Drubbaal chce się mnie pozbyć. Dlatego mnie tu wysłał.

– W oddziale mówili, że cię faworyzuje. Że szybko cię awansował na *decymusa*.

– To prawda, za szybko. Obawiał się Bethmanna. To zbyt dobry żołnierz, żeby wysoko awansować pod Drubbaalem. I tak już raz się pomylił, mianując Reutela *prefektusem*.

– To cyniczne.

– Może. Okazja nadarzyła się przypadkiem. Awansował mnie, bo się wyróżniłem w akcji, przy okazji ratując mu życie, na dodatek stary *decymus* zginął. Reszta ze strony Drubbaala to tylko gra. Trochę nic nie znaczących słów.

– Dlaczego miałyby się ciebie pozbywać? Jesteś przecież bratem Adali.

– Właśnie. Gdy Drubbaal poślubi Renatę, przejmie nasze gospodarstwo na własność. To jest

jasne. Adale też będzie miał, kiedy będzie chciał. On o tym wie.

– A Symmachs, Illatio czy Lotta?

Pachom wzruszył ramionami.

– To nie są dzieci Raachill. Pozostają „półdziećmi”. Hrabban nigdy nie wyniósł ich do pełnej wysokości dzieci.

Adams patrzył wyczekująco.

– Dzieci niewolnicy nie dziedziczą, chyba że ojciec ogłosi inaczej. Hrabban nie chce tego zmienić.

– Skąd wiesz, że dobrze traktowałbym twoją siostrę?

– Z tego samego powodu, dla którego mówię to wszystko: można ci ufać.

Adams nie odpowiedział.

Dla bezpieczeństwa rozłączyli się na jakiś czas.

Szli płaskowyzem, wolno wznosząc się wzdłuż piętrzącego się pasma niewysokich wzgórz i skałek, które po drugiej stronie opadały urwistymi zboczami lub pionowymi ścianami ku morzu. Teren wyglądał znajomo. Na którejś z płytkich przerw w skalistej linii mogły stać charakterystyczne kopczyki i tyczki.

Znów podszedł do Pachoma.

– Jesteśmy na wysokości Mrocznej Przełęczy – powiedział cicho do dowódcy.

– Nie czuję głodu. To dziwaczne, przecież tak długo idziemy – zauważył Pachom. – Mogliśmy paść ofiarą jakichś złudzeń. Twoja ocena może też wynikać ze złudy.

– Są obszary, gdzie normalna czynność organizmu jakby się zawiesza. Możliwe, że wracamy z takiego obszaru.

– Więc dlaczego to rejon Mrocznej Przełęczy? Legionistów nie widać.

– Wygląd i kolor skał jest dość podobny. Dawno temu minęliśmy Strażnicę Hevrensza. A poza wszystkim legionieści na zwiadzie starają się nie rzucać w oczy Czarnym.

– Nie możemy jeszcze wrócić. Zebraliśmy za mało informacji. Jednak lepiej nie zapuszczać się na zachód. Tam, skąd przychodzą Golcy, mogą nas przerobić na nich.

– Chcesz zawrócić?

– Tak. Trzeba staranniejsz spenetrować rejon na wschodzie.

– Obawiam się tych płomieni – powiedział Adams.

– *Katrup* powinien znaleźć wyjaśnienie, dlaczego ściana płomieni tam stoi. Taka profesja wyjaśniacza.

– Naoglądałem się dość. Pora wrócić do obozu i przemyśleć zebrane obserwacje.

– Z powodu tego wszystkiego, co ci wcześniej powiedziałem, nie możemy tam wrócić. Zostaniemy ujęci przez *pretorię* i cichcem zabici. Posłano nas na stracenie, więc mamy zginąć. *Drubbaal* nie jest głupcem, skądś dowiedział się, że na Czarnym Wschodzie nie ma nic dobrego.

Adamsa zmroziła uwaga *Pachoma*. Było w tym wiele racji: za jednym zamachem *Drubbaal* pozbył się większości niewygodnych osób.

– Stać tu nie można, bo się jaki *busierec* nami zainteresuje. Trzeba odnaleźć pozostałych, zebrać raporty.

– Kiedyś jednak musimy wrócić ze zwiadu.

– Czas pracuje na naszą korzyść. Może co przytrafi się *Drubbaalowi*...? Zresztą, tu jest wszędzie bliżej, niż mi się wydawało.

Rozejrzeli się, czy w pobliżu nie znalazł się jakiś Czarny albo Stwór Mroku, i zawrócili.

Adams znów szedł bardzo długo ku ciemnościom. Drogę wyznaczały ogniki kolejno mijanych Latarni Umarłych. Znów mrok stał się bardzo uciążliwy. Mizerne ogniki *próczywa* niewiele tu pomagały. Zatrzymał się przy jednej z kolumn, gdyż blask z tej Latarni bardzo przybrał na sile, wydobywał się świetlistym oparem i rozprzestrzeniał po niebie. Adamsa zamurowało. Zielone światło obejmowało coraz więcej nieba. Wokół jaśniało. Chmura nabierała blasku od Latarni i niosła go dalej w siebie.

Poczuł drobną dłoń w swojej. Odwrócił się: w poświacie od Świecącej Chmury, której powstawania właśnie „był świadkiem, Adams dostrzegł dziewczynę w brązowym kubraczku. Grieta odpowiedziała mu ciepłym spojrzeniem, choć przez jej twarz przebiegł nerwowy grymas.

„Obawia się mojej reakcji czy co...? Niby za co miałbym się na nią gniewać?”, pomyślał.

– Jednak wracasz. Chociaż zamierzałeś co innego.

– Daleko już zaszedłem, skoro ciebie odnalazłem.

– Zdarza mi się dojść i do światła.

– Ze mną tam nie dotarłaś.

– Zauważyłbyś, że mam połatany kubraczek.

– A ty, że moje przebranie rozłazi się na szwach.

– Rozmawiałam z twoim kolegą. Też jest przebrany w skórę Czarnej.

– Taak...?

– Nazywa się Sykenu.

– Nie znam nikogo o takim imieniu.

– On jest twoim dowódcą.

– Dowódcą? – Adams dalej próbował udawać.

– Tak. Był was cały oddział. Zostaliście tylko wy dwaj. „Wszyscy pozostali zginęli? Również najlepsi żołnierze: Bethmann i Wentzel?”, pomyślał.

– Byli wśród nas najlepsi żołnierze.

– Wiem. Sykenu płakał, kiedy mu o tym powiedziałam.

– On nigdy nie płacze.

– Może nie ronił łez, ale dusza mu płakała.

– Skąd wiesz o ich śmierci? – Nie można było grać bez końca. Grieta pójdzie sobie i Adams nie dowie się nic więcej.

– Rozmawiałam – urwała.

Nie doczekał się wyjaśnienia.

– Dowódca powiedział ci, że nazywa się Sykenu?

– Nie musiał. On tutaj nazywa się Sykenu.

– A ja?

– Engilu.

– Skąd znasz to imię?

– Widzisz, nazywasz się Engilu.

– Słyszałem o kimś takim. On już dawno nie żyje.

– To nie ma znaczenia. Wielu ludzi może nosić to samo imię. Tutaj nazywasz się Engilu.

– Dlaczego zmieniasz imiona?

– Nie zmieniam. Będąc tutaj, jesteś kimś wystarczająco innym, aby nosić inne imię. Idąc tu, opuściłeś swoje imię, wracając stąd, wrócisz do swojego imienia.

Adams nie odpowiedział.

– Możesz dowódcę wezwać nowym imieniem. Przekonasz się – powiedziała Grieta.

„Wolałbym, żeby to on wezwał mnie moim nowym”, pomyślał. „Wtedy bym może uwierzył”. Grieta przyspieszyła, chciała spotkać kogoś innego.

Adams dotarł do miejsca, gdzie było już zupełnie ciemno. Żadnej latarni, ani jednej świecącej chmury. Tutaj nawet one nie dochodziły. Ani śladu czerwonej łuny nad horyzontem. Macał przed siebie ręką jak ślepiec. W zupełnej ciemności szło się bardzo trudno.

Nagle obok jakieś zamieszanie, szamotanina czy walka. Głośnemu rykowi *busierca* odpowiedział stłumiony syk wściekłości i zaraz potem wrzask rozwścieczonej *gabery*. Odgłosy jak wtedy, kiedy *busierca* usiłuje przemocą pokryć samicę, a ta odgryza się wściekle. Ten hałas był taki, jakby walczyło kilka Czarnych, jakby kilka samców naraz usiłowało dobrać się do jednej *gabery*. „Pozagryzają się nawzajem z zimna”, pomyślał. „Że też im się chce na tym ziąbie”.

Nagle coś gwałtownie go potrąciło. Żeby nie upaść, złapał się tego z całych sił. Uciekająca *gabera* wpadła mu w ramiona, przytulając się do niego cała. Nawet twarzą przywarła do jego futra. Wyczuł w ramionach zaskakująco drobną postać. Tuż przy uchu rozległ się jej pośpieszny oddech, głośno dyszała po świeżo stoczonej potyczce.

Nieoczekiwanie delikatnym ruchem odsunęła go od siebie, przytrzymując jednak jego dłoń. Następnie pociągnęła za sobą w ciemność. Jej śladem iść będzie znacznie łatwiej.

Starannie wybierała drogę, Adams potykał się rzadziej. Uważał, że Czarne lepiej widzą w ciemnościach niż ludzie. Trzymanie za rękę *gabery* pomagało wędrować, lecz nie pomagało na zimno. Adams marzył, mimo grubego futra i odzienia. Wokół ponownie rozbrzmiały jęki i zgrzytanie zębów. Golcy znów trzęśli się z zimna, do krwi objali stopy o kamienie.

Nagle w oddali dostrzegł punkcik światła. Przez chwilę myślał, że to złudzenie, że oszukuje go siatkówka oka.

Jednak światełko z każdym krokiem wzmacniało się. Było żółtoczerwone, ruchliwe, pełgające; nie takie, jak od Latarni Umarłych czy od Świecącej Chmury. Wśród maszerujących zapanowało ożywienie. Zbliżali się do wysokiej ceglanej wieży. Na jej szczycie jaśniało wielkie ognisko. Wśród słupów nośnych ażurowej konstrukcji wieńczącej wieżę wesoło figlowały żółte płomienie. W jej pobliżu nie było ciepłej, ale sam blask ognia przyciągał nagich ludzi. Gromadzili się przed żelaznymi wrotami wieży. Niektórzy wchodzili do środka. Byle się ogrzać. Stojące przy bramie Suche zachęcały do wejścia. Golcy śmieiej znikali we wnętrzu. Aby uniknąć niepotrzebnego zamieszania, Suche zaczęły kułakami rozpędzać napierający tłum. Odpowiedziały im złorzeczenia i tumult. Suche wdziały garnkowate hełmy, sięgnęły po tarcze i piki. Dopiero po dłuższym czasie udało się im wprowadzić jaki taki porządek. Chętni Golcy czwórkami wchodzili przez blaszaną bramę.

Adams myślał przez chwilę, czy do nich dołączyć, jednak nie było mu aż tak zimno, a w wieży zbyt wiele oczu widziałoby jego przebranie z bliska.

Płomień buchnął z nowym impetem, gorąca struga waliła w górę, zaraz potem znacznie ściemniał, a z paleniska poszedł gęsty, czarny dym. Wydawało się, że cegły wieży aż świecą od żaru. Ten płomień tańczył. Zwijał się i skręcał. Jego języki to przypominały ludzkie ramiona z rozcapierzonymi palcami, to znów układały się w gorejące ciała, w ludzkie torsy, ramiona i uda,

uformowane z ognia. Z jego głębi wyłaniały się twarze wykrzywione bezgłośnym krzykiem. Ciemniejsze miejsca przetwarzały się w oczy wypełnione bezbrzeżnym cierpieniem. Płomień huczał i szumiał łakomie, nawet u podstawy wieży zrobiło się wreszcie cieplej.

Golcy zadzierali głowy, pokazywali sobie nawzajem palcami niezwykle spektakl płasających ogni. Zaczęli szemrać, rozprawiali z ożywieniem. Przestali tłoczyć się przy stalowych wrotach. Bezrobotne Suche przysiadły na kamieniach. Nie było kogo odpychać od drzwi, nie było kogo ustawiać w czwórki.

Kolumna nagich ludzi ruszyła w swą zwykłą drogę. Płomień, jakby pozbawiony stawy, ponownie przygasał. Może czekał, kiedy nadejdą inni ludzie, spragnieni ciepła, światła lub widowiska?

Adams miał okazję obejrzeć swoją towarzyszkę. Ciało *gabery* pokrywało złociste, połyskliwe, krótkie futro; miała proste, zgrabne dziewczęce nogi, kolana zginała jak człowiek; szczupłą i proporcjonalną sylwetką przypominała szczelnie odzianą w futrzany kombinezonik zgrabną dziewczynę, a nie włochatą, nieludzką bestię. Pełne wargi, prosty nos i duże, niebieskie, lekko skośne oczy nadawały jej twarzy, porośniętej króciusienką, złocistą sierścią, wyraz ciepła i łagodności. Futro na głowie, skręcone w drobne loczki, falowało jak kobiece włosy. Jej piersi były półkuliste, zakończone sterczącymi, dużymi, czerwonymi brodawkami.

Złota była dużo drobniejsza niż inne *gabery*, parę centymetrów niższa od Adamsa. Ot, idealnie dobrana fizycznie do niego, piękna kobieta w obcisłym, płowym futrze. Jej kopytka przypominały kobiece stopy w gustownych rogowych bucikach. Miała krótkie, zalotne różki, a w miejscu ogona niewielką, jasną kitę. Adams nie powstrzymał się i powiódł dłonią po tej kitce, by przekonać się, że to nie ogon, lecz puszyste, długie futro. *Gabera* odpowiedziała wspaniałym uśmiechem.

Swoją drobną dłoń (zakończoną długimi, choć foremnymi paznokciami) znów miękko wsunęła w dłoń Adamsa. Pachniała jakby wodą kwiatową. Przyjemność sprawiało mu, że trzyma ją za rękę. Złota pewnie poprowadziła go w gęstniejącą ciemność.

„Spełnił się sen samotnego legionisty”, pomyślał Adams, i była to jedyna ironiczna myśl, na jaką się zdobył. Nieodparty urok Złotej wykluczał ironię. Adams zaraz uświadomił sobie, że pożąda Złotej Gabery coraz mocniej. Pociły mu się dłonie.

Z dala, nad horyzontem mrok wschodniego nieboskłonu wreszcie rozjaśniła czerwona luna. Była coraz mocniejsza. Zbliżali się do znanych płomieni.

Złota lekkim, delikatnym ruchem uwolniła rękę, następnie miękko wsunęła ją pod ramię Adamsa. Przytuliła się mocniej.

Wydawało mu się, że idą po miękkiej murawie. Po czapach suchego, czystego mchu, przypominających mięsiste poduchy tapczanu czy przytulnej kanapy, które lekko uginają się pod stopami, a na których można się wygodnie położyć.

Złapał się na rozważaniach, jak rozluźnić z przodu przebranie, nie demaskując swojego

wyglądu.

Złota wysunęła dłoń spod jego ramienia i otoczyła swoim jego szyję. Zadrżała, wyczuwając chropowatości kolczugi, jednak ramienia nie cofnęła.

„Odgadła, kim jestem. Zaraz zaalarmuje swoich”, pomyślał. Jednakże strachu nie poczuł. Złota budziła dziwne zaufanie, może dlatego, że sama była ufna. Nie słabło podniecenie. Ona coraz mocniej tuliła się do Adamsa. Nie było w tym jednak nic z natarczywości, co najwyżej nieśmiałe pragnienie pieśzczot.

„Czego ona chce?”, myśli tłumem biegły przez głowę. „Przecież już wie, że jestem człowiekiem”. Przed oczyma stanęła wizja Złotej jako gospodyni jego domu w Krum. Nie wydała się zupełnie nieprawdopodobna.

Gabera zdjęła ramię z szyi Adamsa (nie było jej tak zbyt wygodnie) i objęła go w pasie. Natomiast jego ramieniem otoczyła swoją szyję. Jej pieśzczoty były delikatne, ale stanowcze. Nie próbował się przeciwstawić. Teraz lekko ściągnęła jego dłoń niżej, by przytulił ją mocniej, i dalej w dół, aż jego palce spoczęły na sterczącej brodawce jej piersi. Była tak gorąca, że Adams odruchowo cofnął palce. Wyczuł, jak pod jego dotknięciem przez ciało Złotej przebiegł dreszcz. Lekko docisnęła jego palce, więc już nie próbował usunąć dłoni, zresztą nie chciał, czując, jak z każdym drgnieniem jego ręki fale skurczów przebiegają pod złocistą skórą przytulonej towarzyszki.

„Złota jest idealną kochanką”, przypomniało się czyjeś zdanie.

Bestia cicho mruczała mu do ucha. Brzmiało to przyjemnie, matowo i podniecająco. Czuł ciepło jej ciała. Może gdyby coś powiedziała, czar prysnąłby w zetknięciu z chropawym szeptem *gabery*. Jednak Złota nic nie mówiła, nitki czaru coraz mocniej oplątywały zmysły Adamsa.

Bariera ognia była coraz bliżej.

Tym razem płomień nie miał zwykłej mocy. Tu i ówdzie biegały jego mizerne języki. Tylko z trudem można było rozpoznać w nich ludzkie kończyny czy korpusy. Za to wszędzie kłębił się gęsty, gryzący dym.

Złota pewnie wiodła go ku płomieniom. Szła coraz szybciej, jakby niecierpliwiła się, że gdzieś nie zdąży. Płomienie nie paliły w twarz, nawet z niewielkiej odległości; dla Złotej utworzyły przejście jak ciasną furtkę. Wprawdzie pamiętając namowy Griety, Adams nie był już pewien, że nie powinien tam wejść, lecz teraz podążał pod ramię nie z Grietą, a z *gaberą*, przepiękną, niezwykłą, choć konwojentką Golców.

Pierwsze płomienie otoczyły go, poczuł je na dłoniach, stopach, na boku. Szarpnął się w tył. Złota wyszczerzyła ku niemu długie kły. Z gardłowym pomrukiem z całej siły pociągnęła go za sobą. Adams znów dostrzegł w niej groźne zwierzę, nie egzotyczną piękność. Mocno szarpnął się i wyswobodził ramię. Złota nie miała nadludzkiej siły. Na jej twarzy widać było kobiecy gniew i zawód.

– Ach, ty! – rzuciła niskim, gardłowym głosem. – Chodź! Dlaczego stoisz? Myślałam, że mnie chcesz.

Adams nie odpowiedział. Nie mógł, bo przecież brzmienie głosu niezbitcie dowiodłoby, że jest przebierańcem.

Szczerząc garnitur białych zębów, zrobiła gwałtowny ruch do tyłu, jakby próbowała w ostatniej chwili złapać Adamsa.

Ten cofnął się odruchowo poza zasięg płomienia.

Nagle, jednym czytelnym ruchem, zupełnie jak obrażona kobieta, obróciła się na pięcie i odeszła w płomienie. Kurtyna ognia zamknęła się za Złotą Gaberą.

Minęła go, potrącając, inna rosła *gabera*. Pośpiesznie zmierzała w płomień, gdzie zniknęła Złota. Adams poczuł zapach, poznał Pachoma. *Decymus* szedł za Złotą jak urzeczony.

– Sykenu, stój! – szepnął Adams.

Ten jednak parł naprzód. Adams przytrzymał go za ramię.

– Zostaw mnie, Engilu – powiedział Pachom łamiącym się głosem. – Ja chcę iść za nią. Chcę z nią być! – Gwałtownym szarpnięciem wyrwał się Adamsowi i zniknął w płomieniach.

Adams stał bezradnie i patrzył w miejsce, gdzie ściana ognia zamknęła się za dowódcą. „Cóż, przyszło mi samemu wracać”, pomyślał. „Czy rozpoznam Mroczną Przełęcz?”

Po chwili pomiędzy tańczących ogni wyłoniła się ciemna sylwetka o osmolonym futrze. Sykenu wracał, nie spłonął. Adams odetchnął z ulgą. *Decymus* zatrzymał się przy Adamsie.

– Dobrze, że się rozmyśliłeś. Ten płomień by cię spalił. On też zwęgla, ale z początku wolno, żeby nie spłoszyć ofiary.

– Nie rozmyśliłem się, to Złota powiedziała, że chce ciebie, nie mnie. Mnie zatrzymała w pół kroku, nawet popchnęła z powrotem. Powiedziała, że jest tylko twoja i że ty byłeś pierwszy.

– Przecież jestem skryty w futrze Czarnego. Poznała mnie?

– Tak. Ona wiedziała, że jesteś przebrany w futro, o mnie tak samo. Kazała ci to powiedzieć.

– Zakochała się czy co?

– Na to wygląda. Pewnie jeszcze tam na ciebie czeka – urwał. – Gdybyś ją wziął na tym suchym mchu, tobym chyba cię zabił z zazdrości – dodał po chwili. – A potem sam bym ją wziął...

– Skąd wiedziałeś, że chcę ją wziąć?

– Że nie możesz się powstrzymać? Jasne, że wiedziałem. Powietrze wokół było aż naładowane elektrycznością. Łączyła was poświata. Sam nie mogłem wytrzymać. Ona była nieziemsko podniecająca. Właściwie dlaczego jej nie położyłeś na tamtym mchu?

– Przypomniałem sobie, że Kazigrotowi zgnił od tego kutas.

– Głupcze. Złota nie jest nieczysta. Można ją wziąć jako żonę. Podobno jest lepszą żoną niż zwykła kobieta. Wielu miało Złote Żony, które rodziły im prawie zwyczajne dzieci. Inne Czarne nie znoszą Złotych; często je zagryzają.

– Rzeczywiście zachowywała się inaczej niż Czarne. Ale jak taką przeprowadzić przez Linie? – mruknął pod nosem Adams. Myślał już o czym innym.

Przez ten dym czy opar dostrzegł zarysy jakichś zabudowań, mizerną szopę, kurną chatę. Wrota do najbliższego budynku były na wyciągnięcie ręki.

– Chciałem czegoś spróbować – ciągnął Adams. – Grieta powiedziała mi, że ten płomień to atrapa, że da się przezeń przejść. Złota przeszła.

– Jednak za nią idziesz...

– Nie. Tylko sprawdzam, czym jest ten płomień.

Adams zdecydowanie podszedł do płomienia. Przez brunatny dym sięgnął ku złocistym nitkom ognia.

Delikatne muśnięcie dłonią naruszyło subtelną równowagę żywiołów. Odpowiedziała mu gwałtowna eksplozja, fajerwerk ognia, światła i nieznośnego hałasu. W tym blasku rzeczywistość po drugiej stronie okazała się zupełnie inna. Po Złotej Gaberze nie było ani śladu.

Po horyzont widać było tłumy. Suche wiozły Golców upchanych na wozach ciągnionych przez innych Golców. Jedni nadzy ludzie wieszali innych na wieloosobowych szubienicach pod czujnym okiem Czarnego.

Obok jakiś inny Czarny zgrabnie wskoczył na właśnie powieszoną gołą kobietę, a następnie, sapiąc z wysiłku i uciechy, zgwałcił ją. Podrygując rytmicznie w takt ruchów Czarnego, wiszące ciało wytrzeszczało przekrwione białka oczu akurat w stronę Adamsa.

Tak się to spodobało innemu, że wskoczył na Golca powieszzonego obok kobiety i wisząc na nim, zrobił to samo, a następnie z małpią zręcznością przeskakując od wisielca do wisielca, gwałcił ich wszystkich po kolei, bez różnicy – kobiety i mężczyzn. Okazało się przy tym, że wszyscy powieszeni żyją, dyndając na postronkach.

Jakiś Golec urywał sobie jedną rękę, potem z pomocą usłużnego Suchego drugą, tworząc ze swoich kończyn dziwaczne, ruszające się stwora, który umieszczoną w odbycie łyżką nakarmił leżącą obok resztę swojego właściciela.

Opodal biegła, płonąca, naga kobieta. Gdy ogień przygasał, ból słabł, zwalniała, a mknący obok Czarny polewał jej plecy nową porcją płonącej, lepkiej mieszanki, a wtedy ona znowu przyśpieszała. Jego kolega identyczną mieszaniną pokrywał twarz jakiegoś mężczyzny. Kiedy ukazały się opalone z ciała zarysy oczodołów, zaczął bić brawo z uciechy, poparzonego odpędził, a następnie spośród Golców wyciągnął kolejną ofiarę.

Całe grupy ludzi wchodziły do małych pomieszczeń u stóp wysokich, ceglanych kominów, przypominających tamten napotkany w ciemnościach. Niektórzy nieśli w rękach swoje głowy, inni dźwigali tylko twarze, głowy mając nadal na szyi. Po wejściu kolejnej grupy, z komina wystrzelał pióropusz ognia i dymu, leciały czarne łachmany sadzy.

Ktoś leżał rozciągnięty na kole od wozu; jego kończyny powyginane były pod najdziwaczniejszymi kątami. Z otwartych złamań ciekła krew.

Widokowi towarzyszył bardzo głośny dźwięk, nie seria wybuchów, lecz nieznośny hałas, uciążliwy warkot jakby pracującego urządzenia, przez który czasem przedzierał się dźwięk żalobnych dzwonów. Daleko na wzgórzach kościotrupy były w dzwony rozwieszane na szubienicach.

Stwór zmontowany z obu rąk i jednej ludzkiej nogi próbował grać na podsunętej mu przez Czarnego lutni. Mimo gwaru Adams słyszał brzydotę niewprawnych dźwięków wydobywanych z instrumentu. Znudzony Czarny kopnął w pozostały kadłub Golca – odpowiedziało mu głucho stęknienie. Odebrał stworowi lutnię. Dla odmiany oderwał jedną rękę przechodzącemu Golcowi i przymocował ją wprost do lutni; ta sama zaczęła grać. Zadowolony z wyniku, przymocował drugą

rękę: zaczęła biegać po gryfie, dźwięki stały się składniejsze. Czarny głośno cmoknął, chwycił najpierw nogę Golca i przykręcił do pudła rezonansowego instrumentu, potem urwał drugą. Ruchoma lutnia odeszła chwiejnym krokiem, nieporadnie przygrywając. Czarny wymierzył leżącemu na drodze kadłubowi jeszcze jednego kopniaka i odszedł. Ten sam żywy korpus został zaraz przejechany przez wóz wiozący Golców. Adams usłyszał bolesny krzyk pozbawionego kończyn i przedrzeźniające go wrzaski wiezionych.

Czarny wrócił, przynosząc skądś kilka trąbek. Jedną zainstalował Golcowi w ustach, przyklepał dłonią. Zaraz trąba i wargi okaleczonego złączyły się w jedną całość. Oddychając, wydawał nierówne dźwięki. Chwilę potem Czarny umieścił mu identyczną trąbę w odbycie.

Niezadowolony ze swojej roboty, kolejną trąbę wcisnął w nozdrze stojącego obok. Drugie nozdrze mocno zacisnął. Kiedy trąbka stała się już jedną całością z człowiekiem, ten zaczął przechadzać się, wygrywając nieskładnie. Palcami przebierał po klapach trąbki. Przed siebie rozpylał z niej litry smarków.

Opodal stało koło garncarskie. Zwyczajne, tyle że duże. Czarny rzucił na nie gołą kobietę, mocno przycisnął, żeby się nie ruszała. Następnie usiadł i piętami wprawił koło w ruch. Mocnymi ruchami, stanowczo uciskając ciało ofiary, zaczął formować je w dzban, którego ucho stanowiły jej głowa, ramiona i piersi, a otwór wypadł gdzieś na krzyżach, nad pośladkami. Przeformowaną, ale nadal żywą kobietę-dzban gdzieś zaniósł.

Potem Czarny wrócił, złapał jakiegoś mężczyznę i przerobił na dzban z otworem w odbycie. Mocnym kopniakiem obrócił go otworem do góry. Ustami mężczyzny zaczął ciec kolorowy płyn. Czarny, niezadowolony z dziurawego dzbana, zgniótł go w nieforemną bryłę.

Inny Czarny wyłowił z tłumu parę Golców, mężczyznę i kobietę. Schwycił ich za ręce i pociągnął za sobą. Nieoczekiwanie oboje wyładnieli. Oszołomieni, wpatrywali się w siebie. Czarny popchnął ich ku sobie. Zmusił, aby nadzy ludzie się objęli i mocno przytulili. Może uradowani, może przerażeni, mocno przywarli do siebie. Zanim zdążyli zmienić pozycję, Czarny przytaszczył przezroczytą czaszę rozmiarów miednicy, ale znacznie głębszą. Przykrył nią stojących. Przez chwilę widać było ich twarze złączone w pocałunku. Nagle czasza zmętniała, przybrała kolor i fakturę ludzkiego ciała. Wrosła w Golców, a i oni do niej przyrosli. Wreszcie ich oczy wyskoczyły z głębi na powierzchnię czaszy. Ludzka meduza rozglądała się nieskładnie, jednak odejść nie mogła – wszystkie jej nogi skierowane były piętami na zewnątrz. Myliły się jej. Zataczała się nieporadnie.

Ubawiony rezultatem, Czarny wyciągnął z tłumu drugą parę. I ci nie wyglądali wstrętne. Czarny splótł ich ciała, skłaniając oboje do piesszot. Jednak zanim zaczęli stosunek, przykrył ich od góry jedną czaszą (ta przyrosła), obrócił i z drugiej strony przyłożył drugą. Obie czasze zrosły się z ciałami kochanków w podrygującą, cielistą kulę o czworogu przypadkowo rozmieszczonych oczach. Zadowolony, rozkazał Suchym toczyć tę kulę.

Jakoś nie chciał zrezygnować z upakowywania ludzi. Teraz przyniósł (Adams łatwo go rozpoznawał po wyrazistych twarzach paradoksalnych na piersiach, plecach, pośladkach i na przyrodzeniu) wielkiego małża, omułka wielkości trydakny. Wepchnął weń słabo protestującego mężczyznę. Nie mieścił się cały. Czarny, mocno zaciskając połowy skorupy, odciął nimi dłonie i

stopy mężczyzny. Pozostawiony sobie, zaciśnięty maź kiwał się na boki, wprawiony w ruch poruszeniami uwięzionego człowieka; spomiędzy pokryw ciekło nieco krwi, a posklejane parami odcięte dłonie i stopy próbowały się niezdarnie poruszać.

Inny ustawił grupę Golców szeregiem. Następnie mocno ich ścisnął, aż się zrośli w jedno: korpusy utworzyły ciało przypominające olbrzymią krewetkę, głowy złączyły się w jedną linię, oczy wszystkich przesunęły się na początek uformowanego tworu. Kopnięty w zadek, wielonogi twór ruszył przed siebie.

Obok grupy Golców kilku Suchych zbijało z nieheblowanych desek proste trumny. Co którą skończyli, umieszczali w niej oczekującego Golca i zabijali wieko gwoździami. Zamkniętą trumnę inny Suchy odwoził dwukołowym wózkiem na miejsce, gdzie Golcy kopali groby. Trumnę spuszczano do dołu, grób zasypywano, ale płytko, tak że widać było, jak się ziemia rusza, „kiedy pogrzebany wstrząsa trumną, próbując się wydostać. Dla następnego oczekującego już kopano nowy grób.

Gdzie indziej całą grupę Golców Suche upchały do ogromniastego jajka. Gdy już się zmieścili, jajko zostało zaklejone dekielkiem skorupki, a Trupistwory potoczyły je przed siebie. Gdy teren opadał, jajko przyśpieszało, umykając toczącym; doganiali je na końcu pochyłości.

Czarny wcisnął Golcowi w odbyt przyniesioną rurę, która przyrosła do ciała. Drugi jej koniec wetknął w jego usta. Potem mocno zatykając mu nos i wgniatając oczy, zmusił go do nadmuchiwanie brzucha do monstualnych rozmiarów wydychanym powietrzem. Następnie potężnym szarpnięciem wyrwał rurę z odbytu. Oślepiiony Golec odleciał pchany uchodzącym gazem.

Kolejny przyniósł skądś wielki fioletowy kwiat jak cebula. Zerwał go z łodygi, krótko, ale tak, by płatki nie rozsypały się. Jeszcze później na troje Golców nałożył ten kwiat kielichem w dół. Ich głowy wyszły przez otwór po łodydze. Zaczekał chwilę, aż zrosło się to w całość. Urwał wtedy dwie wystające głowy, a pozostały twór zmusił do radosnych podrygów. Urwane głowy złączył szyjami i dławiające się pozostawił na kamieniu. Zaraz stamtąd spadły.

Gdzie indziej stłoczoną grupkę gołych ludzi otaczał płomień uformowany jak liście cebuli. Płomień chłodniejszy od innych, bo nie palił za szybko, a powoli narastając, najpierw parzył skórę. Obok stał Czarny o długim, bocianim dziobie zamiast pyska. Trzymał go wysoko nad płonącymi, a na jego końcu perliła się ogromna kropla wody. Płonący ludzie wyciągali do niej ręce, ta jednak nie odrywała się od dzioba. Mogła to być atrapa albo inna bardzo lepka ciecz, lecz nie woda.

Do jeszcze innego Czarnego stała kolejka gołych ludzi. On odrywał im głowy i przyklejał w różnych miejscach ciała. Przeformowani, posłusznie odchodzili, niektórzy dławiając się i siniejąc z braku tchu. Formowanie nowego człowieka zwykle nie kończy się sukcesem.

Do Golca podeszła Czarna, piękna jak Złota:, miała aksamitne, czerwone futro, okrywające pełne kobiece kształty, krótkie, gustowne różki, kopytka oraz lwi ogon. Zaczęła się do niego przymilać i tulić. Golec przez jakiś czas nie reagował, wreszcie uległ, i zabrał się do stosunku. Wtedy z krocza Czarnej wysunęła się wstrętne główka młodego, która szarpiąc na boki, odgryzła człowiekowi przyrodzenie. Wyjąc z bólu i słaniając się na nogach, Golec próbował się

oswobodzić, jednak piersi Czarnej przeistoczyły się w dodatkową parę suchych, mocnych ramion, mocno dzierżących ofiarę; twarz zaś zmieniła się w odrażające oblicze wiedźmy. Główka szeroko rozwarła szczęki, zacisnęła zęby na tym, co zostało z przyrodzenia Golca. Nie cięła ciała zębami, lecz miażdżyła i wrywała tkankę. Wreszcie wyszarpała wszystko, puściła wijącą się z bólu ofiarę i obojętnie odeszła ku następnemu Golcowi. Droga przechodziły głowy na samych rękach lub idące na samych podudziach. Ludzkie głowonogi mijały leżącą przy drodze rozkraczoną kobietę, która co chwilę rodziła regularnie pobrużdżone jajka. Stojący obok Czarny wciskał jej do ust urodzone przedmioty. Ściskając jej szczęki, zmuszał, żeby połknęła. Ta dławiła się, łzawiąc obficie. Gdy wreszcie obły przedmiot przeszedł jej przez gardło, zaczynały się bóle i skurcze następnego porodu. Aby szło szybciej, zniecierpliwiony Czarny zaczął deptać po jej brzuchu. Kiedy wrzasnęła rozdzierająco, pazurem rozpruł jej brzuch. Ukazał się cały magazyn pobrużdżonych jaj. Czarny, sięgając w głąb jej ciała, wyciągał je z niej. Urodzone wypychał w usta, chociaż te teraz wytaczały się z rozciętego brzucha.

Wreszcie znudzony, złapał inną kobietę. I jej rozkroił pazurem trzewia. Przełożył jaja z jednej do drugiej kobiety. Następnie brzuch tej drugiej zaszył jelitem pierwszej, zaczekał, aż wszystko zleje się w całość, i odszedł zadowolony, zostawiając obie ofiary dziwacznie połączone.

Inny mocno złapał ramionami klęczącą, ciemnowłosą kobietę o wzdętym brzuchu. Gdy zacisnął mocny chwyt wokół jej brzucha, kobieta zaczęła wymiotować dziesiątkami złotych monet. Wydobywały się z jej ust całą strugą. Czarny gniótł, póki nie oddała ich całego kopca. Wtedy puścił, a kobieta zaczęła z powrotem połykać monety. Były one wszystkie połączone z nią cielistymi nitkami. Gdy z nieopisanym wysiłkiem wtłoczyła w swoje wnętrze cały ten majątek, Czarny mocno ją ścisnął i zgniatając żebra, zmusił do nowych wymiotów.

Jeszcze inny ostrym pazurem, jakby dla zabawy, rozpruł mostek jakiejś kobiety, wyrwał serce, które okazało się kawałkiem czarnego kamienia, a następnie drgające, ale ciągle żywe ciało rzucił na wóz załadowany innymi ciałami, a powożony przez parę Trupistworów. Suche zrzuciły swój ładunek do piwnicy przy wysokim kominie. Inne wrzuciły nieruchomą zawartość do paleniska. Z jego komina walił wyjątkowo wysoki, obfity, czarny dym.

Adams najpierw przyglądał się tym scenom osłupiały, wreszcie uświadomił sobie, że jest ich zbyt wiele, aby mógł je wszystkie jednocześnie obserwować. To było tak, jakby działały się na jakiejś planszy przeznaczonej do demonstracji, z zaburzeniem reguł perspektywy – jakby na płótnie malowidła. Po chwili zorientował się, że spogląda w głąb zapadającego się leja i dlatego wszystkie te sceny są naraz widoczne.

Trzy rzeczy zdumiewały w obserwowanej rzeczywistości. Pierwsza to niezwykła siła Czarnych: bez trudu urywały kończyny nagim ludziom. Druga – łatwość, z jaką oderwane kończyny lub inne części ciała przyrastały w różnych miejscach czy do innych przedmiotów, na ogół nabywając normalnej sprawności i precyzji ruchów. A trzecia, że te wszystkie zabiegi odbywały się na ogół bez rozlewu krwi, a ofiary przeżywały, nie tracąc nawet świadomości, chociaż ich cierpienie było bardzo widoczne.

Golcy zwykle obojętnie przyzwalali na wszystko. W milczeniu znosili wymyślne tortury. Dopiero kiedy ból stawał się nie do zniesienia, wyli, krzyczeli, próbowali się szarpać. Wołali, iż tak

miało nie być, jednak Adams nie usłyszał, żeby choć jeden z nich powiedział, że chce stąd odejść.

Z bezradną obojętnością Golców kontrastowała złość Czarnych, z jaką odnosili się do siebie. Powarkiwali między sobą, zamiast mówić, wrywali sobie Golców, przeszkadzali w robocie. Często dochodziło do hałaśliwych bójek, w których posługiwali się zarówno pięściami, jak i pazurami czy kłami. Towarzyszył temu zgiełk i harmider, głośnie szczeki i charczenie. Ich futra czy nieowłosiona skóra mieniły się różnymi odcieniami czerwieni, wily się po nich dziwne wzory, pasy, kropki, fragmenty czerni. Były też osobniki pokryte wzorami o barwach tęczy: błękitem, szmaragdem, żółcienią, fioletem. Tak barwnych bestii Adams dotąd nie widział. „Może ten gorący ścisk wyzwala w nich taką zajadłość”, pomyślał. „Może i te barwy wywołuje na ich ciałach”.

Z lewej okolica nie tworzyła leja. Wznosiła się tam biaława piramida o ziarnistej powierzchni, nad którą kłębiła się chmura dymu. Staranniejsze spojrzenie ujawniło, że piramida uformowana jest z setek, tysięcy nagich ludzi, stojących warstwami, jedni na drugich. Niósł się od niej jęk i zawodzenie tych stojących najniżej.

Opar dymu nagle rozwiął się, ukazując przerażającą postać o czarnych skrzydłach, rysach twarzy rozwścieżonej, postarzałej kobiety, kobiecych piersiach i biodrach, ptasich łapach zakończonych szponami i kruczym ogonie. Harpia osobliwie przypominała Adamsowi miniaturowy *mechaniton* widziany kiedyś na biurku Człekousta. Deptała stojących najwyżej w piramidzie, wbijając w nich pazury, bądź wrzeszczała im w twarz przeraźliwie.

Żywą piramidę zakolem otaczała rzeka płomieni. Płynący ogień barwił stojących we wszystkie odcienie żółci i czerwieni. Po chwili Adams nie był już pewien, czy harpia jest rzeczywiście czarna, czy to tylko cień czarnej chmury nad nią, ona zaś jest koloru głębokiej czerwieni.

Gdy wyteżył wzrok, patrząc dalej w lewo, wydawało się, że wznoszą się tam jeszcze przynajmniej dwie podobne piramidy udręki, wokół których meandruje płomienisty ciek, a szczytami władają mroczne hybrydy ptaka i człowieka.

Z prawej sceneria była zupełnie inna. Golcy bardziej ożywieni, nawet Czarne niepodobne do spotykanych dotychczas: miały bezwłose ludzkie torsy, psie pyski i psie uszy zamiast rogów. Tłukły się między sobą i walczyły niemal bez przerwy. Szarpały za ogony, rozrywały kłami uszy. W walce nie gardziły żadnymi chwytami: tu jeden złapał w garść przyrodzenie drugiego i próbował wyszarpnąć, złapany zaś bronił się rozbijając mu twarz pięścią. Gdzieś obok dwa *busierce* szamotały się na ziemi, splątane we wścieklej walce: jeden pragnął zadusić drugiego. Słabszemu zsiniała twarz, wyszły na wierzch przekrwione oczy, a spomiędzy warg wystawał obrzmiały język. Bezskutecznie próbował sięgnąć palcami do oczu dusiciela.

Tutaj Golcy nie wymagali dozoru, wzorem swoich oprawców sami zmagali się z sobą, okładając się pięściami lub dusząc. Jeszcze dalej, stłoczeni w głębokich ziemnych dołach, pożerali się nawzajem żywcem. Mocowali się, rozszarpywali skórę, wgryzali w płaty mięśni. Czarne nawet się do nich nie zbliżały, zerkając z pogardą. Zresztą na ogół były zajęte walką między sobą.

W sąsiednim dole leżały ludzkie głowy. Chyba odcięte, bo przecież zakopanemu w ziemi człowiekowi nie udałoby się zadrzeć głowy w górę pod takim kątem. Czarne spychały tam przechodzących Golców. Kiedy zepchnięty próbował się pozbierać i wspierał na dłoniach lub kolanach, wtedy szczęki wystających głów żarłocznie kąsały jego skórę. Pozbawiony dłoni i kolan, padał, a odcięte głowy rozrywały jego trzewia i mięśnie. Wkrótce samotna głowa dołączała do pozostałych.

Gdzie indziej z bezwładnych, potwornie wychudzonych Golców wyciekało rozkładające się ciało. Ich skóra przypominała worki napełnione ciecżą, której już niewiele w środku pozostało. Do tych Czarne też się nie zbliżały.

Znęcały się zaś nad grupą stojących obok ludzi. Może dlatego, że nie chcieli kaleczyć się nawzajem. Czarne jednych dusiły dłońmi, innym odgryzały uszy, jeszcze innym wrywały włosy. Jakiś Czarny przydeptywał głowę leżącej kobiety, jednocześnie wykręcając i wrywając po kolei palce jej stóp. Odrywał jeden po drugim, kobieta przeraźliwie krzyczała i wiała się z bólu. Urwane palce odrzucał na kupkę. Ale kobiecie palców nie ubywało, chociaż kupka rosła.

Golcy się nie buntują, jednak ci w tej okolicy najwyraźniej zachowali się inaczej, bo właśnie cały oddział Suchych uzbrojonych w piki zapędzał gołych ludzi do stalowych wrót. Golcy nie bronili się czynnie, jednak wygrażali i złorzeczyli zbrojnym.

Niektórych sadzano na krzesła z wysoką belką przybitą do oparcia. Do belki z kolei przymocowano opaskę z blachy, którą Suchy zakładał na szyję siedzącego Golca. Następnie, kręcąc ślimacznicą, zaciskał blaszaną opaskę na szyi Golca, aż mu odpadła głowa. Wtedy wrzucał ją na przejeżdżający wóz wyładowany ludzkimi czaszkami i uciętymi głowami, a na krzesła sadzał następnego. Suchy, w garnkowanym hełmie, powoził, drugi siedział na oklep na wychudzonym koniu ciągnącym wóz. Ucięte głowy wyły lub gwizdały na dorzucaną, czaszki kłapały zuchwami. Woźnica uciszał harmider, tnąc przez nie batem. W końcu obaj wozacy znaleźli wolny dół w ziemi i tam zrzucili kłapiący ładunek. Następnie widłami wyrównali warstwę, żeby głowy się nie piętrzyły, i wrócili po następne.

Na smolistym niebie zajaśniała samotna gwiazda. Jasny punkt szybko rósł, zostawiając za sobą smugę światła. Wkrótce rozświetlał swym blaskiem otoczenie. Nagle rozległa się potężna eksplozja, grzmot naddźwiękowca, dalej przedłużony w ciągły huk, przeraźliwy świst rozcinanego powietrza i ogłuszający ryk jakby kilku silników odrzutowych. Na Golce, na Czarne w szaleńczym, orlim ataku pikowała smukła, połyskliwie srebrzysta postać o złotych rozwianych włosach i ostrych, złocistych skrzydłach. Na blaszanych ostrzach lotek powietrze płonęło. Przeraźliwy wizg płaszczyzn nośnych tnących powietrze chciał rozerwać mózg. Niezwykły lotnik, o pięknej, lecz groźnej twarzy, spokojnym, chłodnym spojrzeniem omiatał rosnące postacie. Ramiona trzymał wyciągnięte przed sobą dla zachowania równowagi. Błyszcząca metalicznie szata leciutko odkształcała się przy szaleńczych skrętach lecącego. Nad dymiącą ziemią, nad błotnistymi dołami nagle wyrównał lot i w nieprawdopodobnie ciasnych skrętach jak ludzka jaskółka pognał między grupami dręczonych Golców i zapracowanych Czarnych, zostawiając za sobą smugę blasku, a co skręt oślepiając ich rozbłyskami światła. Czarne odruchowo kuliły się, unikając zderzenia.

Nagle pióra ułożyły się w hamulec aerodynamiczny. Wizg ciętego powietrza zmienił ton. Rzsiewany blask stracił na intensywności. Szalony lotnik zniżył się do samej ziemi, ostro przyhamował i z jednego z dołów wypełnionych cierpiącymi ludźmi podniósł rudą staruchę. Szpetną, zgarbioną, niemal łysą, o skórze pokrytej liszajem i usianej krwawiącymi, szarpanymi ranami, śliską od mieszaniny potu, krwi i łez. Wyrwał kobietę z ramion dręczących ją towarzyszy.

Odpowiedział mu wściekły jazgot tysięcy gardeł Golców, wygrażanie tysięcy pięści. Rozwścieczone Czarne miały kamieniami, gorączkowo odsuwały płyty darni, odsłaniając dziesiątki, setki armat, rusznic i machin miotających. W chaotycznej kanonadzie zginął ryk przelatującego, który zręcznymi manewrami unikał trafień. W błyszczących metalicznie, jednak niewątpliwie żywych ramionach dźwżył uniesioną kobietę. Ta młodziła w oczach: już miała gładką skórę, jej owalną twarz o pięknych rysach i migdałowo wykrojonych zielonych oczach

otaczała płonąca nawałnica włosów. Ledwie ruda z podziwem obejrzała swe wyśmienite ciało, a już jej gibka sylwetka o prostych nogach, jędrnych piersiach i wąskiej talii skryła się w zgrabnie skrojonej, seledynowej sukni, na twarzy wyschły łzy, zamiast rozpaczy i beznadziei zagościły radość, zaniepokojenie i fascynacja wspaniałą „przygodą. Już za żadną cenę nie wróciłyby do błotnistych dołów, pełnych dręczących się nawzajem ludzi, skąd przecież wydobył ją ledwie cień jej własnej nadziei.

Teraz biła już w nich cała obrona przeciwlotnicza. Odsłoniły się zamaskowane stanowiska: ciężkie moździerze siały w zenit setkami odłamków; granatnice miotały dziesiątkami drażonych skorup eksplodujących na wysokości; drewniane, wkopane w ziemię, spięte kutymi obręczami lufy pod stromymi kątami paliły w niebo kamiennymi kulami; arkabalisty słały za nimi igły płonących strzał. Miotacze rzygały kulami płynnego płomienia. Dziesiątki maskujących płatów darni, rozpiętych na rusztowaniach z desek, leżały odrzucone przez obsługę stanowisk artyleryjskich jak stare materace. Między wybuchami dało się słyszeć komendy wydawane chrapliwym wrzaskiem. Czarne, w garnkowatych hełmach na głowach, uwijały się jak w ukropie. Lawina ognia artyleryjskiego leciała w niebo.

„Ależ tego tu mają”, zadziwił się Adams. „Są nawet najcięższe działa przeciwlotnicze z drugiej wojny światowej kalibru 12,8 cm, a tych kalibru 8,8 cm dziesiątki”.

Chyba strzelali wszyscy Czarni, Golcy miotali kamieniami, wrzeszczeli, wygrażali lub przynajmniej wykrzywiali się wrogo. Potworna siła ognia musiała strącić złotoskrzydłego, jednak załogi kolejnych stanowisk artyleryjskich wadziły się ze sobą, nawet wymieniały kuksańce.

A lotnik potrafił to wykorzystać. Wymknął się prawie wszystkim pociskom. Jedynie odłamki potargały szatę.

Jednak już na pułapie zasięgu dział najcięższego kalibru dostał mocne trafienie w skrzydło, aż poleciały metaliczne pióra. Bezpośrednie trafienie pociskiem 12,8 cm rozerwałoby go na strzępy, to był jedynie odłamek granatu. Zatrzęsło lecącym, bardzo zwolnił, stracił sporo wysokości, zaczęło znosić go w lewo. Stanowił teraz dziecinnie łatwy cel dla ciężkich dział. Załogi baterii opanowała żywiołowa radość: wszystkie przypisywały sobie trafienie. Zaraz przerodziło się to w harmider, bójki i starcia. Czarne, warcząc, szamotały się nawzajem. Załogi najcięższych armat stoczyły ze sobą regularną bitwę na pięści i pazury o to, której z nich należy zaliczyć trafienie.

Kiedy uspokoiły się wreszcie i ponownie otworzyły ogień, lotnik był już poza zasięgiem ognia i nie musiał wariacko manewrować. Zraniony, z trudem wyrównał lot i mozolnymi kręgami piął się w górę z uniesioną zdobyczą.

Do stóp Adama sfrunęło złote pióro.

Z mrocznego nieba sypał się teraz grad odłamków. Bębniły o hełmy Czarnych, raniły Golców. Kilku ludzi upadło bez czucia. Inni osłaniali sobie głowy ramionami. Suche zgarnęły trafionych na wozy z ciałami. Powoli wszystko wracało do normy. Czarne przysłoniły stanowiska artyleryjskie maskującą darnią. O epizodzie zapomniano. Adams schylił się i podniósł pióro: było z cieniutkiej blaszki, rozchodzącej się w dziesiątki pasemek stosiny.

„Lepiej tutaj nie mieć tego przy sobie”, pomyślał i odrzucił złote pióro do błota.

Nagle zaroilo się od Czarnych. Natychmiast zainteresowali się oboma zwiadowcami. Niektórzy wskazywali sobie ich palcami. Biegli w ich kierunku. Twardo odpychali z drogi gołych ludzi, robiąc sobie i następnym miejsce. Zbliżały się całe grupy Czarnych. Nadbiegali dwójkami, potem czwórkami, na ogół uzbrojeni w ostre piki, kołysali się w charakterystycznym, kaczkowatym chodzie. To nie było luźne stado czy horda, jak to zwykle u Czarnych, lecz regularne oddziały.

Pachom oprzytomniał pierwszy.

– Engilu! Chodu! – rzucił. – Zaraz tu będą ze dwie *sotnie* Czarnych!

Adams tkwił w miejscu jak zaczarowany. Z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w przerażającą rzeczywistość po drugiej stronie muru z płomieni.

– Sykenu...? – odezwał się, jakby wyrwany z koszmarne go snu. Nie mógł uwolnić się od wizji.

– Rusz się! Ratuj życie, człowieku! – Pachom mocno szarpnął go za ramię.

Adams wreszcie rzucił się do ucieczki. Pośpieszył za Pachomem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było dostanie się na tamtą stronę płomienia. „Co ja zrobiłem, co ja zrobiłem?”, tłukło się pod czaszką. „Dotykając płomienia, przełamane granicę żywiołów. Nie zareagowali na Sykenu – miarkę przepełniło, kiedy naruszyłem te ognie”.

Biegiem – byle dalej od sięgających pod zenit płomieni. Oddalał się prosto w ciemność. Zaraz zgubił Pachoma, kogoś w ciemności potracił, o kogoś innego się potknął. Za sobą słyszał gwar wielu głosów. Obijał się o idących z naprzeciwka. Wpadł na kolumnę Golców. Jak na parkan ze stalowych prętów, nadział się na jakiegoś Trupistwora. Zatrzymał się. Trzeba ominąć tę grupę. Oczywiście przywykły do ciemności. W oddali, na horyzoncie, dostrzegł ognik Latarni. Odetchnął.

Wreszcie grupa idących z naprzeciwka przerzedziła się, a zaraz potem znikła. Wzrok ma niezwykle możliwości przystosowania się do mroku: po paru minutach dostrzegał już zarys mijającego go olbrzyma – to *busierec*, zaraz za nim drugi. Obok niego szła postać jego wzrostu. Sięgnął w jej stronę, natrafiając w ciemności na szorstkie futro i wystający pośladek. *Gabera* odszukała w ciemności jego dłoń. Prowadzony przez czarną bestię, podążał ku majaczącej w ciemnościach Latarni.

Nauczył się iść w mroku. Odkrył, że nigdy ciemność nie jest pełna: albo kruszy ją ognik Latarni, albo zielonkawa poświata chmury. Należy tylko uważnie obserwować. Choćby niewielkie rozjaśnienie wystarczało, aby iść, nie tracąc równowagi; gdy zaczął unosić wyżej stopy, przestał się potykać.

Trzymanie za rękę idących *gaber* unikał, gdyż po Złotej Czarnej samicy napawały go szczególną odrazą. Ponownego spotkania ze Złotą obawiał się nawet bardziej: Co powiedziałyby dziwnej, szalonej, zakochanej istocie? Czym było jej uczucie? Czy pierwszy spotkany mężczyzna wywiera na niej niezatarte piętno? A potem już żaden następny? Jeśli tak, to stała się bardziej jego kobietą, niż

mogłaby się nią stać którakolwiek prawdziwa kobieta. Czego dowiedziałyby się od niej? Czy mógłby oprzeć się jej słowom, urokowi jej ciała? A gdyby okazało się, że jest ona kimś więcej niż tylko półludzkim, półrozumnym stworem, miotany żądzami okrutnym poganiaczem ludzi, którzy zrezygnowali z nadziei? Czy wtedy miałyby siłę jeszcze raz odtrącić delikatną dłoń, miękko wsuwającą się pod jego ramię? Jasne, że takie wędrowanie oznaczałoby więcej niż tylko wspólny marsz...

Wspomnienie gibkiej, złocistej sylwetki o gładkim futrze niemal iskrzącym elektrycznością, dziewczęcej twarzy otoczonej złotymi włosami i lekko skośnych, niebieskich oczu nieustannie powracało. Obraz garnituru białych zębów i długich kłów rozpląnął się jakoś w niepamięci.

Hałas pogoni był ledwie słyszalny. Dawno go wyprzedzili. Zdążyli się już wysforować do przodu. Zgubili go w ciemności. Nie stanowili już zagrożenia. Właściwie przywykł do ich obecności. Słyszał gwar w oddali i równy marszowy krok już przynajmniej od trzech miniętych Latań Umarłych.

Wyczuł charakterystyczny mdły, słodkawy zapach. W ciemności zamajaczył niewyraźny zarys czyjejs sylwetki: wzrost *gabery*, tylko ten obcy, mdlący, słaby zapach.

– Melduję się, dowódcu – powiedział.

– W porządku, Engilu. Ja was też zauważyłem. Śmierdźcie na kilometr.

– Znaleźliśmy się za pogonią.

– Minęli nas w ciemnościach. Przechodzili tuż koło mnie. Szli czwórkami. Kolumna samych *busierców*. Trzymetrowe giganty. Wszystkie z włóczniami albo z łukami. *Gabery* dreptały za nimi, niosąc zapasowe strzały – powiedział Pachom. – Całe towarzystwo przebiegło koło mnie bardzo zaaferowane. Jeśli dobrze zgaduję, Drubbaal będzie miał z nimi sporo roboty.

Od jakiegoś czasu Adamsa nie opuszczała obawa. Złośliwość Sykenu tylko ją umocniła.

– Te ciemności są jakby rzadsze, Sykenu – powiedział. – Potrafię nad samym horyzontem zauważyć świecąca chmurę. Na godzinę, zanim znajdzie się nad naszymi głowami.

– Też je widzę. Coraz trudniej mi wytrzymać zapach Golców. Jest wstrętny, słodkawy.

– Ja staram się ich unikać. Czarne pachną normalnie, chociaż intensywnie.

Żaden nie wspomniał o smrodzie drugiego.

– Na samą myśl o Złotej jaja puchną mi z bólu – powiedział Sykenu.

– Ze mną jest podobnie. Stale myślę o niej.

– Bardzo bym chciał spotkać swoją Złotą. Nawet bardziej niż kobietę. To nie jest dobrze, Engilu.

- Co? Że zgubiliśmy pogoń?
- Oni mogli przestać nas gonić z innego powodu.
- Jakiego?
- Próbowaleś przesunąć skórę, w której siedzisz?
- Przesunąć?
- No, tak... Choćby po przegubie dłoni.
- Nie.
- To spróbuj.

Adams uchwycił w garść futro na przegubie lewej dłoni. Drasnął się swoimi szablasytymi pazurami. Schwycił fałd skóry i mocno pociągnął – trzymała się jak przylepiona. Każdą próbę jej przesunięcia okupował bólem. Jakby szarpał swoją własną skórę.

- Już widzisz?
- Tak. Chyba przyrosła. – Adamsowi zimny pot spłynął po karku.

– Właśnie. Moja też. Myślę, że to dlatego wyostrzył się mój wzrok i węch. Engilu, staliśmy się Czarnymi, i dlatego oni nas przestali gonić – głos Sykeny drżał.

„Nadal czuję, że mam na twarzy czaszkę Gaberci”, pomyślał Adams. „Nadal czuję szatę i zbroję”.

– Nie, Sykeny – powiedział. – My dopiero stajemy się nimi. Jeszcze czuję na sobie zbroję i hełm.

– Ze mną może być gorzej.

– Czarnego nie można zabić po tej stronie Mrocznej Przełęczy. Widocznie po jakimś czasie nawet jego skóra ożywa.

– Było błędem ich wdzianie.

– Niewdzianie byłoby błędem jeszcze większym.

– Widzisz jakieś wyjście?

– Jak najszybciej stąd odejść. Jak najszybciej na drugą stronę grani. Może skóry dadzą się jeszcze ściągnąć.

– Musimy dotrzeć do światła. Dopiero tam są ścieżki prowadzące na wybrzeże.

– Tak – powiedział po namyśle Adams. – Tu może w ogóle nie być gór. Przecież zatrzymałyby świecące chmury. W rejonie Mehz Khinnom cała wilgoć kondensuje na zboczach.

– Gór nie ma, to i morze dawno mogło się skończyć.

Wreszcie osiągnęli obszar półmroku. Szli niewyobrażalnie długo, a niebo nie ciemniało, znacząc różnicę między dniem a nocą, jednak nie głód im dokuczał, a tylko nieznośne znużenie. Dowódca niecierpliwił się, chcąc uprzędzić postępy swojej przemiany.

– Nie chcę zostać włochatym stworem – powiedział, skubiąc czarne kudły.

– Obaj ścigamy się z czasem, Sykenu.

– Dlaczego ty przemieniasz się wolniej?

– Wdziałem kolczugę pod futro. Ty też?

– Nie. Założyłem skórzany kubrak nabijany ćwiekami i także spodnie. Myślałem, że ty nie wytrzymasz w kolczudze tak długo, a kubrak równie „dobrze zabezpieczy przed ich pazurami.

– Z czyjej skóry ten kubrak, Sykenu?

– Jasne, że z Czarnego. W obozie najwięcej takiego materiału, mimo że trudny do wyprawienia.

– Sam sobie odpowiedziałeś. Obie skóry ożywają. Możliwe, że już się połączyły.

– Coś ty taki mądry, Engilu?! – wybuchnął *decymus*. – Skąd ty to wszystko wiesz?! Kto cię przysłał do Krum?

– Sam przyszedłem.

– Może Czarne cię wysłały, skoro tak im się podobasz?

– Złotej, nie Czarnym.

– Ee... Ty i tak nie powiesz. – Sykenu zaczął energicznie się drapać. Pazurami orał skórę. – Nie mogę wytrzymać tego swędzenia.

– Ja też ciągle drapię się po rękach.

Naprzeciw nich szedł Golec, zgarbiony tłścioch na krótkich, krzywych nogach. Pachom podbiegł kilkoma susami i mocnym ciosem pięści skosił go na ziemię. Zanim Adams zdążył go powstrzymać, poprawił leżącemu kopniakiem.

– Jeszcze to cuchnące ścierwo! – warknął Sykenu. – Aż mnie mdli od tego smrodu!

– Zostaw go, Sykenu. – Adams odciągnął rozjuszonego oficera od ofiary.

Golec niezdarnie zbierał się z ziemi. Pluł czerwoną śliną. Dłonią sprawdzał, czy nie stracił

zęba.

– Popatrz, co mi odpada – powiedział Sykenu i zaczął usuwać z cyców *gabery* resztki skóry. Łuszczyła się i schodziła bez bólu.

– Moje same odpadły już wcześniej. Straciłem sprzęt, który w nich schowałem. Z początku pomyślałem, że to Ebener spartaczył robotę, ale to skóra rozpoznała pleć i sama się dostosowała.

– Co tam schowałeś?

– Drobiazgi: nici do szycia, *ignitor*, hubkę.

– Aleś ty praktyczny. Znowu widać tę twoją cholerną wyższość – powiedział ze złością Pachom. – Pamiętam, jak mocowałeś sobie żuchwę, żeby hełm z czaszki *gabery* zasłaniał całą twarz. Wszyscy obserwowali z podziwem. Niezwykły niewolnik. Nawet córki gospodarskiej nie chce...

Adams zmilczał uwagę, że właśnie dzięki żuchwie futro jeszcze nie przywarło do twarzy, bo kość *gabery* wydaje się nadal martwa.

– A ja już nie mogę ruszać szczęką, żeby to czarne świństwo nie poruszało się z nią. Ale nie martw się: obaj skończymy jako czarne potwory, aż nas w końcu rozwalą chłopaki z legionu. – Dalej z pasją szarpał czarne kudły.

– Co się z tobą dzieje, *decymusie*? – powiedział Adams. – Ta skóra przyrasta do ciała i do duszy. Zatrzymaj się.

– Zaraza. Zaraz to zedrę z siebie! Zedrę do końca!

– Jeśli wolisz być martwy, niż żyć jako Czarny, to zdzieraj. Właśnie z naprzeciwwka idą dwa okazałe *busierce*. Rozerwą cię na mniejsze kawałki niż ty swoje cyce.

– Tyle tylko radzisz, Mądry Niewolniku? – Pachom był już spokojniejszy. Przestał się miotać.

– Wśród Czarnych nie ma niewolników.

– A to skąd wiesz?

– Jeden Golec mi mówił. Chociaż to marna pociecha.

W jasnym świetle dnia płaskowyz wyglądał gościnnie i znajomo. Adams dostrzegł coś błyszczącego wśród want i podszedł. Między kamieniami leżał piękny petrynał Krippela. Adams obejrzał broń – nie zauważył uszkodzeń. Obok walał się rozpruty worek z dobytkiem legionisty.

– Weź też ładownicę. – Oficer podał mu skórzane puzderko. – Wysuszysz, będzie działać.

Adams zabrał inkrustowaną kuszę i siedem bełtów oraz *gladius* i graniasty sztylet. Reszta wyposażenia nie zainteresowała żadnego z nich. Odzyskany po Stronie Trupa należał do znalazcy.

„Ależ facet dbał o piękny sprzęt”. Adams obejrzał wysmakowane proporcje *gladiusa* zakończonego dużą, dyskowatą głownią, pełniącą funkcję skutecznej przeciwwagi. „Za coś takiego musiał zapłacić jak za dwa zwyczajne pałasze”. Schował *gladius* do pochwy.

Rozglądali się bacznie. Usiłował wypatrzyć niewybitne wcięcie Mrocznej Przełęczy. To było za trudne dla niego: każde mijane siodło w grani brał za właściwe. Sykenu prostował, opisywał elementy topografii, po których można je rozpoznać, żywo gestykulował.

Obaj nie mieli wątpliwości, że są już blisko celu, że obóz jest najwyżej o dzień drogi. Humor poprawił im się wraz z powrotem nadziei.

– Pierwszą rzeczą, jaką zrobię po naszej stronie, będzie zderzenie tych cholernych kudłów – powiedział Sykenu. – Czuję, że ich cebulki wysysają człowieczeństwo z mojej skóry i przerabiają je w rosnący kudeł. Z każdym momentem coraz we mnie mniej człowieka, a coraz więcej bestii.

– Tam skóra powinna obumrzeć. Nie trzeba jej będzie niszczyć. Może jeszcze kto ją kupi...

Sykenu zachichotał złośliwie.

Na Mrocznej Przełęczy nie było posterunku. Ostrożnie przeszli na Stronę Ludzi. Sykenu szeroko jak kaczką stawiał stopy na grubym piargu, zupełnie jakby jego kolana przetworzyły się i tylko chwila, a zaczęły się zginać do przodu. Nie była to jednak prawda: kulał, ponieważ podeszwy jego trzewików były zbyt cienkie.

Zatrzymali się w zwężeniu żlebu. Słońce już zaszło. Od dołu podchodziła gęsta mgła. Nie chcieli tej nocy szukać w skałach odejścia ścieżki w stronę obozu. Utłuc się przypadkiem na samym końcu tak trudnej wyprawy?

Adams zwinął się w kłębek na płaskiej wancie z kraju żlebu. Sykenu poszedł w jego ślady. Było zbyt ciemno, żeby bezpiecznie uwolnić się od półprzyrośniętej skóry, i zbyt zimno, żeby się nią potem nie przykryć. Sykenu cicho charczał przez sen, czasami przeradzało się to w warczenie, to znów w cichy skowyt. Adams z przerażeniem słuchał tych odgłosów. Mimo zmęczenia nie mógł długo usnąć. Był głodny i obolały, dokuczały mu liczne otarcia skóry, z których dotąd nie zdawał sobie sprawy.

Ledwie blade światło zagościło na niebie, Adams zerwał się na równe nogi. Sykenu chrapał w

najlepsze, co chwila szarpiąc się gwałtownie przez sen. Mgła już opadła, ale dokuczał przenikliwy ziąb.

Adams zaczął od pazurów: najpierw odchylił futro. W miejscach, gdzie je kiedyś przytroczył, odeszło. Następnie spróbował lekko zsunąć taśmy, którymi były przypasane szpony. Nie ustępowały. Ich zwoje dały się przeciąć ostrą krawędzią szponu i usunąć do reszty, jednak pazury zostały: zrosły się z paznokciami Adamsa. Sięgały do końca członu palca, chociaż tam nie przyrosły do skóry. Łączyły się z jego ciałem tylko na powierzchni paznokci. Usunąć je można było, dopiero zrywając wszystkie paznokcie. Jedynie palce wskazujące miał wolne od ostrych szabli.

Strach narastał. Zabrał się do ściągania skóry. Wiedział, że nie będzie łatwo. Przyrośnięcie pazurów nastąpiło niezauważalnie. Futro było rozcięte między cycami, szpara zaciągnięta haftkami. Zdążyły zarosnąć skórą w jednolite grudki. Pazurem odciął jedną po drugiej. Spróbował rozsunać skórę – nie dało się.

„Czyżbym przeistoczył się już zupełnie w potwora?”, pomyślał. Po karku przebiegł mu dreszcz strachu.

Jednak nie: prawdopodobnie futro złączyło się tylko z kolczugą; poruszając ramionami, mógł się przesuwać pod odzieżą.

Cięciem wokół bioder rozdzielił futro na dwie części. Przylegało do kolczugi – rozcinał je równo z jej dolną krawędzią. Najgorzej było z rękami, kolczuga nie sięgała rękawic, na przegubach futro nie dawało się przesuwać. Niepewna była też okolica głowy i szyi. Grzbiet, piersi i brzuch powinny zostać ochronione przez stalowe kółka.

Drugie cięcie poprowadził wokół głowy, na granicy, gdzie kolcza firanka hełmu stykała się z kolczugą. Skóra ożywała płatami, gdyż cięcia z dala od miejsc, gdzie przyrosła, nie powodowały ani bólu, ani krwawienia.

Cieszyło, że nienawistna powłoka jeszcze nie całkiem przyrosła do ciała. Okrężnym cięciem pazura pociągnął wzdłuż krawędzi rękawów kolczugi.

Sykeny spał w najlepsze; głośno chrapał, ciągle zwinięty w kłębek. Powoli robiło się cieplej.

Adams ostrożnie zsunął hełm z głowy – nos zawadzał. Skończyło się na paru drobnych zadrapaniach i wyrwaniu garści przyklejonych włosów. „Mogło być gorzej”, pomyślał.

Wyściółka hełmu została już pochłonięta przez narastającą kość. Obecnie kość zalewała kędziory czupryny Adamsa, stąd ich wyrwanie. Twardy hełm nie dałby ochrony w razie uderzenia w głowę: przeniósłby tę siłę bez zmniejszenia, może nawet któraś z kostnych wypustek uszkodziłaby skórę. Adams utracił końcem noża co dłuższe z nich, a ich ostre krawędzie przytępił.

Mozolnie ściągnął kolczugę złączyłą z futrem. Tylko na prawym boku, gdzie w kolczudze była niezalutana dziura, skóra Gaberci, zdołała zakorzenić się w skórze Adamsa. Oddzielił ją nożem, pozostawiając owalne, włochate znamię.

Bielizna cuchła kloszardzim odorem; na koszuli widniał liszaj zapleśniałego starego potu.

Uda i stopy też dądo się uwolnić z czarnego futra, jednak nagolenice w całości nim obrosły. Pozostały jedynie owalne plamy na podbiciu stóp, gdzie futro sięgło jego ciała przez dziurki w bucic, plama na prawym boku oraz na przegubach dłoni.

Lekko szturchnął *decymusa*.

– Sykenu!

Ten coś mruzczał przez sen.

– Pora!

Oficer otworzył oczy. Przetarł powieki kułakami, zgrabnie unikając zadrażnienia szablasytymi pazurami.

– Krawiec?

– Trzeba iść do obozu. Zameldować o powrocie.

– Nie śpiesz się, Krawiec – mruknął. Nadal tarł zaspane oczy. – Przecież z ciebie zlądo prawie całe to cholerstwo...! – Zebrał się z ziemi. – Pomóż mi się z tego uwolnić.

Adams skinął głową i zaczął oględziny. Kłuł dowódcę w różnych miejscach sztyletem. Sykenu kazał mu to robić dosłownie co kilka centymetrów, jednak za każdym razem wynik był ten sam: ukłucie wywoływało ból, spod czarnego futra wyciekała kropla krwi.

– Nie jest dobrze, *decymusie*. Futro przyrosło na całej powierzchni. Teraz to już jest twoja skóra.

Spod ciężkich powiek *gabery* zerkały na Adamsa przerażone oczy Pachoma.

– Ja nie chcę zostać potworem. Krawiec, znajdź jakąś radę. Jesteś przecież *katrupem*.

– Marny ze mnie *katrup*. Może Hjalmir co poradzi. Moim zdaniem, skóra będzie obumierać. Po tej stronie Linii przestanie przyrastać. Jednak nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością.

– Co ty wiesz! Co ty wiesz naprawdę! – nieoczekiwanie zaperzył się Sykenu.

– A wy tam kto!? – dobiegł ich głośny okrzyk. Obaj rozejrzeli się bacznie.

– Za tamtym głazem. – Sykenu wskazał podbródkiem. – Myślę, że cały *korpus*. Mają przynajmniej dwie kusze – dodał szeptem.

– Tutaj! – odkrzyknął Adams. Nie było czasu, żeby naładować petrynał, a pozorować, że się z niego celuje, nie miało sensu. – *Decymus* Pachom i Krawiec wracający ze zwiadu. – Adams za

wantami nie potrafił dostrzec nikogo.

– Nie było żadnego zwiadu! – odkrzyknął tamten.

– Znasz tych żołnierzy? – szepnął Adams.

– Jacyś nowi. Może od Huggego.

– Hasło? – dobiegło zza kamieni.

– Nie znamy aktualnego hasła. Byliśmy na dalekim zwiadzie – krzyknął Adams do ukrytych żołnierzy. – *Sotnik* Drubbaal czeka na nasz powrót.

– Powtórz imiona.

– *Decymus* Pachom i Krawiec.

– *Decymus* Pachom nie żyje. Miesiąc temu zaginał na płaskowyżu.

– Podejdz no tu! – wrzasnął Sykenu. – Poczujesz, jak ci przyłoży martwy *decymus!* – Wielką pięścią pogroził w kierunku, skąd dobiegał głos.

– Widzieliście takie dziwo?! *Gabera* tak składnie gada! Musi co jakaś uczona!

– Włos mi z głowy spadnie, a Drubbaal was pośle, *korpuśny*, na *tarczę!* A jeśliście nasłani przez Czarne?

– Sam się przekonaj. Masz nas natychmiast dostarczyć przed oblicze *sotnika*. Wracamy z ważnej misji.

Zza kamienia wyłoniła się przygarbiona sylwetka żołnierza. Pośpiesznie podbiegł ku nim.

– Meldunek – wycedził przez zęby Sykenu. Legionista wyprężył się służbowo.

– *Simpel* Humrug.

– Czyja *decyma*?

– Huggego.

– Poprawcie sznury sandałów, *simpel*.

Legionista schylił się instynktownie, by po chwili znów prężyć się jak struna.

– Zapasowych bełtów nie zawdziewa się za pasek od hełmu.

– Tak jest.

– Ściągnijcie swoich. Niechże przestaną się wygłupiać.

– Tak jest.

– Spocznij.

Żołnierz skinął ramieniem ku swoim. Na umówiony znak pojawili się jeszcze dwaj.

– Macie krótką pamięć, Nehanu – rzucił sucho Sykenu, a *korpuśnego* замуrowało. – Powinniście rozpoznawać oficerów w legionie.

– Wasze przebranie, panie... – plątał się *korpuśny*.

– Przebranie było częścią naszego zadania – sucho skwitował Sykenu. – Krawiec, nałóżcie maskowanie.

– Tak jest. – Adams naciągnął kudłatą kolczugę, następnie na głowę nałożył twardy hełm.

– W drogę – Sykenu rzucił do *korpuśnego*.

– Prowadźcie, Humrug – wydał rozkaz Nehanu.

– Wszyscy mówili, że Pachom poprowadził ze sobą *decymę* – szepnął Nehanu do Adamsa, kiedy pochód rozciągnął się nieco.

– Dokładnie dwa *korpusy* i *katrupa*, czyli mnie.

– Gdzie reszta waszych?

– Polegli.

Nehanu stracił chęć do rozmów.

Wartownia prezentowała się okazale: Dwie linie muru ułożonego z głazów spojonych cementem, a wewnątrz czworokątna wieża strażnicza z czujnym wartownikiem na blankach. Zewnętrzna linia niewiele przekraczała wzrost *busierca*, wewnętrzna była o metr wyższa. Obie spięto unoszonymi drewnianymi pomostami. Blanki ułożono z postawionych na sztorc płaskich płyt łupku. Mur był cienki, ale wystarczający dla ochrony przed strzałami z łuków lub bełtami z kuszy. Drubbaal uważał, że Czarne nie dysponują bronią palną. Znak legionu przeniesiono do fortu. Na szczycie wieży szczyrzyła się nabita na kij czaszka *busierca* poniżej na poziomym drzewcu łopotał znak *sotnika*. Wężo-smok Drubbaala dostał dodatkową parę skrzydeł. By osiągnąć maksymalną liczbę ośmiu i lotny ogon, *sotnia* musiałyby osiągnąć etatowy stan dziewięciu decym.

Prawdopodobnie za postawienie tej solidnej warowni Drubbaal mógł się przyzdobić w piąte i szóste skrzydło.

Życie fortu toczyło się za murami. Z zewnątrz sprawiał wrażenie niemal opuszczonego. Nad kamiennym murem widać było jedynie strażnika i sztandar. W dwóch miejscach nad murami unosiły się dymy ognisk czy palenisk.

Nadchodzący zostali rozpoznani, bo na blanki wyległo kilku ludzi. Wkrótce otwarto bramę. Na spotkanie wyszły im dwa etatowe *korpusy pretorii*, w galowych szkarłatnych płaszczach i hełmach błyszczących z dala. Maszerowali równym krokiem.

Sykeny zaczekał na Adamsa. Wskazał palcem fortyfikacje.

– Ładny widok, he? – mruknął. – Przyjemnie na to popatrzeć. Jak wyruszaliśmy, budowa była ledwie rozgrzebana.

– Spokój na murach – zauważył Adams. – Wygląda, że pościg za nami jeszcze tu nie dotarł.

– Żadne Czarne nie przejdą przez Linie, jeśli im życie miłe. Purpurowi równo idą – dodał po chwili. Jak zaczarowany gapił się na nadchodzący oddział. Nie potrafił oprzeć się urokowi broni i barwy.

Oddział prowadzony przez Reutela zatrzymał się przed nadchodzącymi. *Decymus* pozdrowił wracających zwiadowców. Żołnierze wyprężyli się jak struny. W kilku szcęknięciach oddali honory. Reutel ustawił oba *korpusy* po bokach Adamsa i Sykeny. Honorowy konwój ruszył. Za nimi podążył *korpus* Nehanu.

Przeszli ledwie ze sto kroków, kiedy nagle do gardeł Adamsa i Sykeny przyłożono zimne ostrza, a do ich boków przyciśnięto lufy obrzynów.

– Ani kroku! – padł rozkaz *decymusa*. – Lepiej nie stawiajcie oporu – powiedział cicho. – Mamy rozkaz w razie czego strzelać.

Opór nie miał sensu. *Pretorianie* natychmiast rozbroili ich, a dłonie i ramiona skrępowali im

rzemieniami. Jeden wprawnie zwilżył więzy.

– Macie iść równym, paradnym krokiem – powiedział Reutel. – Żołnierze na murach mają nie zauważyć, że jesteście uwięzieni.

Sykenu pogardliwie splunął przez zęby.

– To jest warunek waszego przeżycia – powiedział spokojnie Reutel. – Jeśli sprawa się wyda, mamy rozkaz was zabić.

– Daliśmy się podejść jak dzieci – burknął Sykenu. Wprawdzie mówił do Adamsa, jednak odpowiedział mu Reutel:

– Uratowaliście życie. W przypadku trudności mieliśmy was rozwalić na miejscu.

Ledwie dwóch strażników przypatrywało się wchodzącym przez bramę warowni.

– Pusto tu – zauważył Sykenu. – Wojska nie widać.

– Akurat pora zwiadów – powiedział Reutel. – Na wieczór zejdzie do fortu sporo ludzi.

Zaprowadził ich na dziedziniec. Wskazał na ciemny, prostokątny otwór wiodący do lochu.

– Skaczcie.

Obaj się zawahali: skręcenie lub złamanie nogi przekreślało szanse obrony czy uciezki.

– Skaczcie – powtórzył Reutel. – Tam nie jest głęboko. Na wzrost *busierca*.

Najpierw skoczył Sykenu, Adams w ślad za nim. Upadł do przodu, uderzając hełmem w ścianę, aż go zamroczyło.

– Engilu! – przez szum w głowie przedarł się szept. Nagle poczuł ostry, przeszywający ból głowy.

– Engilu! – jeszcze raz, ale jakby okraszone chichotem.

– Już dobrze – mruknął Adams. Ból narastał i słabnął falami. – Tylko we łbie założyli mi pasiekę garnizonową. Pewnie jak spałem.

Odpowiedział mu chichot Sykenu.

– Miód kapie?

– Tak. Cholerny miód...

Adams czuł w ustach słony smak krwi – pozbawiony wyściółki hełm rozciął skórę. Głowa jednak nie bolała bardziej niż potłuczone upadkiem, umęczone gnaty.

– Nie jest źle. Mogli nas tu zepchnąć – mruknął Sykenu. Loch nie cuchnął, od nowości jeszcze nie był używany. Jednak ściany i podłogę wyłożono płytami łupka, od których ciągnął przykry ziąb. Dwa i pół metra wyżej jaśniał otwór wejściowy, przyciśnięty kratą z solidnych bali. Nie była zbyt wysoko. Adams zebrał się z ziemi.

– Strażnik! Do mnie! – zawołał.

– Ty cholerna, czarna poczwaro! – wrzasnął legionista. – Siedź mi tu zaraz cicho!

– Krawca nie poznajesz?

Strażnik zaciął batem przez kraty, koniec rzemienia sięgnął ramienia Adamsa, ale bezboleśnie dzięki kolczudze.

– Przełazą przez Linie. Jeszcze ich tutaj nie widzieli!

Nowy raz bata.

– Siadaj, cholero! Każę sobie zrobić sandały z twojej skóry, paskudo! *Busiercu*, wypierdziołku!

– My jesteśmy Krawiec i Pachom.

– Milcz! Nie wymieniaj imion bohaterów! Samaś ich pewnie pożarła, stworo! Ale mistrz *katrup* wywlecze z ciebie wszystkie wieści! Poczekaj, tylko wróci ze zwiadu.

– Daj spokój, Engilu – mruknął dowódca. – Szkoda wysiłku. Nie zdzieraj gardła.

Jednakże wołania Adamsa odniosły skutek: po godzinie do lochu spuszczone drabinę i *pretorianie* wyprowadzili ich na górę. Przeniesiono ich do małego pomieszczenia bez okien. Światło wpadało jedynie przez świetliki pod sufitem i przez szpary w solidnych drzwiach z grubych desek.

– Komuś były bardzo nie w smak twoje okrzyki.

– Pozostaje tylko zgadnąć, kto miał ich nie usłyszeć.

W ciasnym pokoiku nie było cieplej niż w lochu. Adamsa trochę niepokoiło, że światło jest tak intensywne, potem zainteresował się dobrze widocznymi rzemieniami pętającymi ramiona *decymusa*.

– Pazur powinien przeciąć te rzemienie – powiedział. – Musimy tylko ciąć je sobie nawzajem.

Sykenu pokręcił przecząco głową.

– To zły pomysł. Związali nas specie. Purpurowi to najlepsi żołnierze. Zaraz zauważą, że z więzami jest coś nie tak. Mam lepszy pomysł.

– Pasków nie da się rozluźnić bez przecinania – nalegał Adams. – Namoczyli je, teraz się skurczyły; ramiona mi już drętwieją.

– Nie będziemy rozluźniać pasków ani zdejmować więzów.

– To jest ten pomysł? Będiesz ich przekonywał czy co?

– Właściwie tak. Ale do tego muszę mieć wolne ręce.

– No właśnie.

– Więzów nie wolno ruszyć ani tobie, ani mnie. Nietknięte więzy uspią ich czujność. Z resztą sobie poradzę.

Adams zamilczał. Skrzywił się z niechęcią. Zmęczyło go kluczenie Sykenu.

– Zwyczajnie. Związali mnie jak człowieka, nie jak *busierca* – wyjaśnił dowódca. – To cienkie paski.

„Ramiona straciły sprawność. Nie utrzymam w nich miecza. Kiedy zaczną obumierać?”, pomyślał. Nie pamiętał reguł rządzących tkanką, do której odcięto dopływ krwi. „Może trochę tam dopływa...?”

Na dodatek dręczyło pragnienie. Zdążyli zapomnieć to uczucie. W areszcie dzbana nie było, zresztą i tak trudno byłoby spętanemu nie wylać jego zawartości.

– Czujesz dalej słodkawy zapach ludzi? – spytał Adams.

– Bardzo wyraźnie. Potrafię ich po nim rozróżniać. Szkoda, że nie rozumiem, co oznaczają te

różnice w zapachach.

- Ja przestałem ich czuć.
- Może ci krew zaschła w nosie po tym upadku?
- Już wcześniej nie czułem. Ale nosa nie rozbiłem, rozciąłem ciemię.

Sykenu, nabierając powietrze w płuca, kilkakrotnie napiął mięśnie. Czuł, jak rzemyki delikatnie ustępują. Nie chciał ich zerwać przedwcześnie.

– W zasadzie nie jestem związany – powiedział wreszcie do Adamsa i przestał ćwiczyć. – To, co widać, to tylko pozór rzeczywistości... – Uśmiechnął się.

Adams siedział w kącie, oparty o ścianę. Przypatrywał się ćwiczeniom *decymusa*. W przeciwieństwie do Sykenu, nie spodziewał się niczego dobrego po najbliższych godzinach. Brutalne aresztowanie i determinacja *pretorian* oznaczały, że wyrok został wydany, zanim ich ujęto.

– Dlaczego nikt z nami nie rozmawia? – rzucił do Sykenu. – Siedzimy już parę godzin w zamknięciu.

– Siedzimy tu już drugi dzień. Najpierw straciłeś przytomność, a gdy się ocknąłeś, zaraz usnąłeś. Sen cię leczył. Zbudziłem cię dopiero rankiem.

– Drugi dzień... Właśnie, tak jasno tutaj mimo marnych światełek. Musiałem długo krwawić.

– Niekoniecznie. Nie dało się obudzić cię delikatnie. Szarpnąłeś się, odnawiając ranę.

– Na co oni czekają? – Adams wrócił do starego tematu. – Powinni wysłuchać naszych relacji.

– Może wiedzą, co mamy do powiedzenia.

– Niby skąd?

– Podejrzewam, że nasz zwiad mógł nie być pierwszy...

– W takim razie, po co w ogóle był?

– Żeby się łatwo pozbyć kilku niewygodnych ludzi. Nas obu na ten przykład.

– Jednak wróciliśmy stamtąd. Nie można bezkarnie zabić *simpla*, a co dopiero *decymusa* z Linii. Z pewnością nie wszyscy poprą taką decyzję.

– Możesz się mylić. Ja byłem nielubiany. Za szybko zostałem *decymusem*.

Dopiero kiedy przez świetliki wpadało już miękkie światło zachodzącego słońca, wyprowadzono ich z celi. *Korpuśny* Croyn prowadził, dwaj *pretorianie* trzymali ich za ramiona. Adams przez chwilę rozważał, czy nie warto by znowu zacząć wykrzykiwać swoje imię, ale zrezygnował.

Zaprowadzono ich wprost do Drubbaala. Oprócz *sotnika* w *pretorium* zgromadzili się *decymusi*, Hjalmir oraz *korpus pretorii*, który ich przyprowadził. Dziwiła jedynie obecność Chettiego. Można było domyślić się, że teraz on dowodził oddziałem Pachoma. Więźniowie stanęli na środku sali, pod baczynym okiem *pretorian*. Drubbaal leniwie sączył wino. Inni dowódcy stali w milczeniu, przypatrując się więźniom. Hjalmir spod zmarszczonych brwi lustrował Adamsa.

– *Decymus* Pachom melduje powrót ze zwiadu – Sykenu natychmiast przejął inicjatywę. – Obecnych dwóch. Pozostali polegli.

Obaj wyprężyli się służbowo, na ile tylko pozwalały skrępowane ramiona. Trochę teatru nie mogło zaszkodzić.

Drubbaal spoglądał na nich ironicznie; potem wymienił z *decymusami* spojrzenia. Było jasne, że przed wprowadzeniem więźniów odbyła się narada i podjęto jakieś decyzje. Odgadnąć je było niepodobieństwem. Adams wpatrywał się w twarz Hjalмира, licząc na jakiś znak, jednak oblicze chirurga pozostawało nieruchome.

– Nauczyły się długich słów – mruknął Drubbaal. Sykenu zmilczał kąśliwostkę.

– Dlaczego przeszliście przez Linie? To przecież Strona Ludzi – powiedział Drubbaal. – Tutaj grozi wam śmierć.

– Wracamy ze zwiadu, *sotniku*. Chcę złożyć rutynowy raport z wykonania zadania – powiedział Sykenu.

– Czy spotkaliście po waszej stronie ludzi przebranych za *gabery*? – nie ustawał Drubbaal.

Adams zauważył, że *sotnik* ma poszarzałą, zmęczoną twarz, jakby nie przespał parę nocy. „Co się tutaj działo, kiedy ganialiśmy po płaskowyżu?”, pomyślał. „Jakie zmiany zaszły? Dlaczego *decymusi* milczą?”

– Reszta naszych poległa – powiedział Sykenu. – Tylko my dwaj powróciliśmy. Zadanie zostało wykonane. Wiemy, dokąd prowadzi płaskowyż. Wiemy, dokąd wędrują Golcy. Wiemy też, że skarbów tam nie ma.

Wyjaśnienia Sykenu odniosły jednak jakiś skutek. Zbyt wiele wiedział o celach zwiadu. Drubbaal zwrócił się do Hjalмира:

– Czy zwiadowcy przebrali się w skóry *busierców*?

Chirurg spojrział na więźniów zatroskanym spojrzeniem.

– Wszyscy założyli skóry *gaber*. Jedynie *sirnpel* Barber miał przebranie zszyte z kawałków różnych skór – powiedział.

Adams uświadomił sobie, że obaj nie zdołają udowodnić swojego człowieczeństwa: Sykenu w ogóle nie ściągnie tej skóry, jemu samemu pozostaną placki przyrośniętego futra.

– Kto sporządził notatki dokumentujące przebranie i wyposażenie zwiadowców?

– Ja sam sporządziłem. – Hjalmir zwiesił głowę, jakby wydawał wyrok śmierci na Adamsa i Pachoma.

Drubbaal rozejrzał się po oficerach.

– Czy tak mogą wyglądać skóry *gaber*? – znów zwrócił się do Hjalmira, wskazując głową na skrzepowane.

– Jest to mało prawdopodobne – odpowiedział chirurg. – Z reguły mają wydatne, owłosione cyce, odróżniające je od samców. Skóry wykorzystane przez zwiad też takie były. Nie są mi znane egzemplarze dorosłych samic pozbawione tej ozdoby. Tylko młode Czarne, *losze*, jeszcze cyców nie mają. Jednak... – głos Hjalmira zawahał się – ...nie są mi też znane tak niewielkie skóry dorosłych *busierców*.

Reutel z Quirinu wymienili szybkie spojrzenia.

Coś się działo między dowódcami. *Decymusi* milczeli, jednak ich spojrzenia były wymowne. Czy decyzję podjęto po zażartych kłótniach? Czy po długich wahaniach? Kto z nich uwierzył w słowa Sykenu?

Pretorianie stale mierzyli z kusz w aresztantów. Użycie obrzynów w małej sali było wykluczone. Nawet ładowanych kulami.

„A może Drubbaal ma rację?”, myślał Adams. „Może już nie jesteśmy ludźmi? Może zrobiły się z nas spotworniałe hybrydy?”

Może zasługujemy tylko na śmierć?” Skoro on sam nie był wolny od tych wątpliwości, łatwo mógł sobie wyobrazić, co myśleli oficerowie. „Z drugiej strony: skąd oni wiedzą, że nie możemy zdjąć przebrań? Hjalmir nas nie badał. Może mają protokoły wcześniejszych zwiadów?”

– Czy spotyka się egzemplarze młodzieńcze *busierców*? – rzucił Drubbaal, przechadzając się. Wyglądało, że powtarza wywód z poprzedniej narady. Czy on sam się wahał?

– Obserwowano przemianę Stwora Ciemności w Czarnego, jednak nie schwytano wylęgłego osobnika. Nikt go nie zmierzył, nikt też nie określił jego płci. Ja sam takiej przemiany nigdy nie widziałem. Nie jest niemożliwe, że młode *busierce* są wielkości *gaber*, To przypuszczenie?

– Tak, to tylko przypuszczenie.

– Takie przypuszczenia nie wystarczą do zmiany naszej decyzji – powiedział Drubbaal do oficerów.

Nagle Sykenu nabrał głęboko w piersi powietrza. Jednym skurczem potężnych mięśni rozerwał krępujące go rzemienie.

– Engilu! Padnij! – wrzasnął, odbił się od podłogi i jednym susem skoczył do gardła Drubbaala.

Adams posłusznie wykonał rozkaz swojego dowódcy, waląc gnatami o wyszorowane, białe deski.

Sykenu energicznym szarpnięciem przyciągnął do siebie dowódcę, obrócił twarzą do strażników, jednocześnie kryjąc się za nim przy ścianie. W tej samej chwili w serce Drubbaala wbiły się dwa celne bełty z kusz *pretorian*, a głęboko w oczodół zagłębił sztylet rzucony błyskawicznym ruchem przez *korpuśnego* Croyna. To było ponad ludzką miarę. Tylko dzięki nieprawdopodobnej szybkości ruchów Sykeny, która zmyliła wyćwiczonych żołnierzy, wszystkie te pociski nie uwięzły w jego ciele.

Obaj *pretorianie*, ignorując leżącego Adamsa, sprawnie napięli cięciwy. Kilka sekund później mierzyli w Sykeny kryjącego się za trupem.

– Poddaj się, *decymusie* – powiedział spokojnie Reutel. – Jednym rozkazem ściągnę tu drugi *korpus*. Tamci użyją obrzynów.

– Widziałeś moją siłę i szybkość – odpowiedział Sykeny. – Zanim nadejdą następni twoi żołnierze, zdążę zabić tych tutaj, a was wszystkich wziąć do niewoli.

„Oczywiście blefuje, ryzykant”, pomyślał Adams.

– Musisz odpowiedzieć za zamordowanie Drubbaala. To nie *pretorianie* go zabili, lecz ty.

– Nie jestem przekonany – odezwał się stary Quirinu. Reutel uniósł brwi.

– *Pretorianie* wykonali rozkaz – powiedział. Tu nie ma wątpliwości – stary mówił z wysiłkiem, oczy mu błyszczały. – Jest zgoda wszystkich. Ja chcę wrócić do naszej dyskusji. Pamiętasz moje zdanie. Decyzja Drubbaala była błędna, teraz dodam, że była jego osobistą zemstą na Krawcu. Pachoma też chciał się pozbyć. Dla nikogo z nas nie jest tajemnicą, że po ostatnich klęskach *sotnik* zdałby dowództwo. Na emeryturę przydałoby się mu wtedy dobre gospodarstwo w Krum. Na przykład to zarekwirowane od zdrajcy Hrabbana, którego syn przeszedł na stronę Czarnych.

– Rozważ to, *decymusie*, zanim ściągniesz tu swoich strzelców, którzy zmienią Pachoma w krwawą miazgę – włączył się ciemnoskóry Hugge.

– Przecież ty mocno popierałeś Drubbaala...!

Hugge przetarł spocone czoło. Błysnął białkami oczu.

– To prawda. Popierałem, zanim ujrzałem zwiadowców – powiedział. – Żaden Czarny nie potrafiłby mówić tak składnie. – Wskazał palcem na Sykenu i Adamsa: – To są nasi ludzie. Nie mam wątpliwości.

– Nawet jeśli przemienili się w Czarne?

„Skąd on to wie?”, Adams się skrzywił.

– Stare zapisy mogły być niedokładne. Tamte zwiady mogły odbywać się w innych warunkach.

Reutel spojrział po oficerach. Coś w myślach ważył, czegoś się obawiał.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Wyjdź z za osłony, *decymusie*. Stań przed nami i złóż raport.

– Wcześniej twoi *pretorianie* złożą przede mną swoje kusze. Chciałbym też, żeby tam położono sztylety.

– Masz moje słowo. – Reutel pokręcił głową. Sykenu złożył na ziemi zwłoki Drubbaala.

– Rozwiążcie Krawca – powiedział.

W chwilę potem Adams rozcierał nieznośnie mrowiące ramiona. Nie mógł ściągnąć hełmu, bo czucie w palcach jeszcze nie wróciło. Poprosił o kubek destylatu. Siedział na podłodze, co chwilę skręcając się z bólu. Czucie wracało powoli, coraz bliżej bezwładnych palców.

Sykenu zrelacjonował przebieg zwiadu. Nie pomijał szczegółów. Jego doświadczenia nie różniły się wiele od obserwacji Adamsa. Historia żołnierza, który spłonął wierny swojemu dowódcy, wstrząsnęła oficerami. Nawet twardy Reutel rzucił okiem na strażników, obojętnie dzierzących naładowane kusze.

– Jak się zwał tamten żołnierz? – spytał.

– Wentzel, *simpel* z *korpusu* Bethmanna. Reutel pokiwał głową. Słuchał dalej.

Jedyną rzeczą opuszczoną w relacji Sykenu była Złota Gabera. Poza tym opisał nawet swoją transformację. Nie było sensu kłamać. Zresztą nie zrobiło to na nich wielkiego wrażenia. Oficerowie już wcześniej wiedzieli o zmianach zachodzących w zwiadowcach przebywających głęboko po Stronie Trupa.

Potem przesłuchano Adamsa. Hjalmir pilnie notował. Wypytywał ze szczególnym zainteresowaniem o Grietę. Nie wierzył, by ktoś mógł wchodzić w płomienie i stamtąd bezkarnie wracać. Na dodatek, żeby temu komuś wolno było chodzić wśród Golców w odzieży. W swojej relacji również Adams zataił spotkanie Złotej Gabery.

– Usiądź, *decymusie* – powiedział wreszcie Reutel. – Dokonałeś rzeczy niebywałej. Nikt

jeszcze nie powrócił spoza Płomienistych Wrót. Nikczemnością byłoby ukarać twoje bohaterstwo.

Do ręki Sykeny trafił puchar z winem. Adams też usiadł na ławie. Hełm położył obok.

– Trzeba wybrać *sotnika* – powiedział Quirinu. Zapanowało krótkie milczenie.

– Powinien nim zostać Reutel – przerwał je Hugge. – Jest tu najlepszym dowódcą. – Rozejrzał się po oficerach. – Myślę, że nie obraziłem tym nikogo.

Pierwszeństwo należało do Izabbaala, dowódcy garnizonu w Krum, jednak było tradycją, że *sotnikiem* zostawał *decymus pretorii*. Tak stało się przecież w przypadku Drubbaala. Jednakże nie było wątpliwości, że Hugge miał na myśli ich seniora.

– Reutel jest najlepszym dowódcą – powiedział Quirinu. – Ja jestem zbyt chory.

Oficerowie spojrzeli teraz na *prefektusa*. Ten odpowiedział poważnym spojrzeniem.

– Odmawiam przyjęcia dowództwa – powiedział. Ruchem ręki uciszył szum na sali. – To jest przemyślana decyzja. Wyszkoiliłem się w taktyce działań zbrojnych, *to* prawda. Jednak do dowodzenia legionem potrzeba stratega wiedzącego więcej od innych. Drubbaal był takim dowódcą.

Izabbaal taki nie jest – rzucił Hugge.

Oczywiście. Obermacajbaba ani razu nie był na Linii. Oddziały liniowe i garnizon strzegący zaplecza darzyły się nie skrywaną niechęcią. Na żołnierzy garnizonu mówiono pogardliwie *macajbaby*, oni z kolei nazywali liniowych *szczury*.

– Jest jednak kandydat – powiedział Reutel, a Quirinu uśmiechnął się nieznacznie. – To młody Pachom. Wie więcej niż każdy z oficerów. Jest bohaterem, który już wielokrotnie wcześniej udowodnił swoje umiejętności taktyczne. Poza tym ma do pomocy nas, którzy wesprą go swym doświadczeniem. – *Prefektus* rozejrzał się po dowódcach.

Zapanowało milczenie, zgromadzeni wazyli ryzyko tej decyzji. A jeśli Pachom przemienił się całkowicie w Czarnego? A jeśli nawet częściowo przemieniony okaże się zdrajcą? Nikt jednak nie wypowiedział tych wątpliwości na głos.

– Przyjmij tę godność, Pachomie! – powiedział senior Quirinu. – Bądź mądrym dowódcą!

Pachom powstał.

– Tak – powiedział chrapliwym głosem. Pod ciężkimi powiekami czarnej bestii zakręciły się łzy.

Adams pierwszy uścisnął mu prawicę.

Adams, oswobodzony z groźnego przebrania, zanurzył się w gorącej kąpieli. Tyle wody kosztowało go dwa sycele, ale nie żałował: czuł, jak schodzą warstwy zaschłego potu, jak otwierają się pory skóry. Bolały strupy zrywane z zakażonych otarć.

Gdy tylko nasiąkły wodą, Adams obciął długie szpony. Narastały na palcach grubą warstwą, która ustępowała dopiero pod mocnym naciskiem ostrego noża. Ściął je najkrócej, jak potrafił; jednak pozostały po nich przyrośnięte, grube klocki.

Place futra równo przyrosły do ciała. Granicy owłosienia nie dało się podważyć palcem. Ani sucha, ani namoczona, nie odróżniała się fakturą od reszty skóry Adamsa. Nieustannie czuł pod nią słabe mrowienie. Cholerstwo mościło sobie wygodniejsze miejsce w jego ciele...

Spróbował wytargać parę włosów. Bolało, ale jakby słabiej niż zwykle. Wyrwał więc jeszcze kilka innych i jeszcze kilka, i znowu. Powstrzymał go ból. Obok wanny leżał kłębek wyrwanej sierści. Skóra zaczerwieniła się.

Starannie obejrzał resztę ciała. Oprócz licznych otarć żadnych zmian spotwornieniowych nie było. Zawinał bandażem wszystkie miejsca porośnięte sierścią. Później zgoli czarną szczecinę.

Następnego dnia przed południem został wezwany przez *sotnika*. Sykenu przyjrzał się jego zawiniętym przedramionom.

– Wyglądasz w tym przebraniu zupełnie normalnie – zauważył. – Całkiem, jakby cię płomienie nie liznęły.

Adams zrobił niewyraźną minę.

– Nalej sobie sam. – Sykenu wskazał na dzbanek. – Od jutra moim adiutantem będzie Croyn.

– Wybrałeś na swoich *pretorian* ludzi, którzy godzinę wcześniej chcieli cię zabić. Croyn rzucił ci w głowę sztyletem.

– *Pretorianie* nie przysięgali zemsty – skarcił go Sykenu. – Ślubowali wierność żywemu *sotnikowi*. Potrzebuję wiernych żołnierzy, nie zdrajców.

– Niewiele zostało z *decymy pretorii*. Drubbaal wytracił ich, używając do służby liniowej.

– Prawie dwa *korpusy*. Dołączę do nich Nehanu, Humruga i Calielą. To niezły oddział.

– Bo widzieli cię z bliska?

– Właśnie. Widzieli, nie przestraszyli się, a wzięli za swego.

Adams popijał niezłe wino. Już prawie odespał niedole więzienia. Wypoczywające mięśnie przyjemnie mrowiły. Niestety, mrowiła również skóra pod bandażami.

– Powiedz, skąd wiedziałeś, jak oficerowie zareagują? Myśląc racjonalnie, twój atak na Drubbaala był szaleństwem.

– Przecież jestem w dużej części Czarnym, no nie...? – Sykenu skrzywił pysk w uśmiechu. Futro oblekające czaszkę *gabery* przybierało ludzkie grymasy. Przetarł oblicze włochatą łapą, zakończoną pazurami ostrymi jak sztylety. Czaszka stanowiła już jedność z jego głową.

– Stałeś się jasnowidzem? Czytasz w cudzych myślach?

– Niestety, nic z tych rzeczy. Chociaż wtedy łatwiej by się dowodziło.

Sykenu leniwie sączył wino. Namyslał się, jakby szukał odpowiednich słów.

– Ja po prostu wiedziałem, że ci ludzie nie chcą mnie zabić – powiedział. – Że są do mnie życzliwie nastawieni, tylko związani podległością służbową. Po prostu to wiedziałem.

– Ale jak to odkryłeś?

– To trudno wyjaśnić. Ich gesty, zapach, barwa głosu... Dla mnie było oczywiste, że właśnie tak myślą. Wiedziałem też, że nie zaatakują. Jedynie Chetti lękał się, inni się mnie nie obawiali.

– Nie odezwał się ani razu.

– Właśnie. Ale wytłumaczyłem sobie jego strach obawą przed moją zemstą. Przejął moją *decymę*. Jedynie on mógłby zaatakować w obronie Drubbaala. Ale uczyniłby to bez przekonania.

– A jednak to, co zrobiłeś, wyglądało na spektakularne samobójstwo.

– Ani trochę. Wiedziałem, że jestem szybszy niż kusznicy. Adams uśmiechnął się znad pucharu.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział.

– Nadal mam wyostrzone zmysły, Engilu. Jeszcze teraz czuję tu zapach krwi Drubbaala.

Adams wzdrygnął się, on sam nie był w stanie wyczuć niczego.

– Nie przeszkadza mi to. – Sykenu wzruszył ramionami. – Po prostu niedokładnie zmyto podłogę.

Adams spojrzał na niego zdziwiony.

– Nie czuję żalu ani nienawiści. Ja tylko walczyłem o życie – wyjaśnił Sykenu. – O twoje też.

– Zaskoczyłeś mnie swoją... – ugryzł się w język, chcąc powiedzieć „nieładką” – ...niewiarygodną sprawnością. Muszę się przyzwyczać.

– Tak, tak, Krawiec. Nadal jestem szybki i silny – powiedział Sykenu. – Zamierzam to

wykorzystać.

Drubbaala pochowano cichcem, pod osłoną nocy. Ciało zaszyte w prześcieradło *pretorianie* wynieśli na zachód, wysoko na grzbiet, na mylną płaszczyznę, daleko poza miejscem zwyczajowego pochówku poległych żołnierzy. W ustronnym zakątku opuścili je do szczeliny między wantami i starannie obłożyli kamieniami. Nad mogiłą nie wzniesiono zwyczajowego kopca z kamieni. Ponieważ noc była wyjątkowo ciemna, potem nie byli w stanie wskazać miejsca pochówku *sotnika*. Doszli bowiem wtedy aż do mylnej płaszczyzny, gdzie grań spłaszcza się i rozszerza w rumowisko luźnych want.

Rozsierdzony Sykeny twierdził, że mogli w ciemności zejść na Stronę Trupa. Uwaga ta, rzucona na wieczornej naradzie, zmroziła *decymusów*. Drubbaal, mimo swych wad, był wybitnym dowódcą i skazywanie go na Wiatr Noży było rzeczą niegodną.

Nieoczekiwanie mało mówiono o śmierci Drubbaala. Od wysłania zwiadu ku Płomienistym Wrotom szczęście jakby odwróciło się od niego, ponosił ciężkie straty. Większość wypraw kończyła się sromotną ucieczką w bramy fortu. Jeszcze zanim nadeszła grupa Czarnych prawdopodobnie ścigająca Adamsa i Sykeny, bestie zhardziały – nie wahały się gonić legionistów aż pod mury. Jakby nauczyły się zgadywać, kiedy zwiadowi kończy się zapas naboju i bełtów do kusz. Wtedy bowiem atakowały nieustępliwie po Stronie Ludzi. Mając przewagę liczebną, nie bały się pałaszy i włóczy.

Aby skompensować straty w *korpusach* liniowych, Drubbaal przesunął *pretorianów* do służby na Linii, jednak w utarczkach z przeciwnikiem stracił dwa ich *korpusy*, które uzupełnił jednym, pośpiesznie skleconym. Nowy *korpus* nie zdążył jeszcze się zgrać, a już *sotnik* posłał ich na Linie.

Pamiętano ostatni, najgorszy okres Drubbaala. Mówiono, że Drubbaal ma dosyć walki i pragnie osiąść w Krum, poślubiając swoją piękną narzeczoną. Choruje przy tym z zazdrości i chce koniecznie zabić Krawca; dlatego celowo wysyła dalekie zwiady. Myśl o zemście tak go opętała, że przestał dbać o życie żołnierzy i niepotrzebnie ich gubi.

Może dlatego bez żalu pożegnano legendarnego bohatera walk i nie roztrząsano drobiazgowo przyczyn jego śmierci. Wśród żołnierzy na ogół powtarzano, że to *decymusi* zamordowali Drubbaala, by przerwać bezmyślną rzeź. Inni twierdzili, że Młody w czasie zwiadu dotarł do kwatery Czarnych za Płomienistymi Wrotami i dowiedział się tam, że Drubbaal zdradził i przeszedł na stronę bestii. Po powrocie Młody przekazał ten meldunek oficerom, którzy skazali zdrajcę na śmierć i wyrok na nim wykonali w jego własnej kwaterze. Obie wersje nie budziły zamętu wśród żołnierzy.

Większe zainteresowanie wzbudzała osoba nowego *sotnika*. Jego wygląd, wprawdzie potworny, jednak wystarczająco różnił się od Czarnych, aby nadal mówiono na dowódcę „Młody”. Raczej mu współczuto, a transformacja, której uległ, budziła lęk lub przerażenie. Hjalmar jednak wyczytał już wcześniej w archiwach Krum, a teraz to szeroko rozpowszechniano, że taka przemiana jest czymś normalnym u wracających z dalekich zwiadów. Dawniej, póki takich zwiadów nie zaprzestano, zmienionych żołnierzy nazywano Spalone Szczury, a samą przemianę Ukąszeniem Ogni albo Ukąszeniem Płomienistych Wrót. Zdarzało się, że Spalone Szczury stanowiły dziesięć procent stanu osobowego na Linii. Legioniści zaczęli zabobonnie obawiać się przechodzenia na Stronę Trupa, chociaż przemianą w dziwną istotę groziły tylko dalekie zwiady.

Tymczasem sytuacja na froncie zmieniła się radykalnie. Sykenu bez wytchnienia prowadził zwiad za zwiadem, wyprawę za wyprawą. Wiódł z sobą zaledwie po jednym, rzadziej dwa *korpusy*. Resztę żołnierzy trzymał jako odwód w forcie, na który przyjęła się nazwa: „Wentzel” – na pamiątkę żołnierza, który poszedł w ogień za swoim dowódcą.

Zaprzestano zwiadów prowadzonych przez dziesiętników. Jednak nikt nie narzekał, ponieważ Sykenu wprowadził rotację oddziałów liniowych. Rzadko zdarzała się wyprawa, z której *sotnik* wracał z pustymi rękami. Golców zgarniał osobiście, własnoręcznie wyciągając z grupy wybrane osoby. Widząc to, inne Czarne nie protestowały. Reszta oddziału zwykle czekała na przełęcz. Dowódca szczerze dzielił się brańcami z innymi żołnierzami.

Hjalmir twierdził; że taka praktyka zdemoralizuje żołnierzy. Wtórował mu Reutel, narzekający na spadek karności wśród *pretorian*. Ale póki zdobyczy było pod dostatkiem, a każdy *simpel* miał przynajmniej jedną, a zwykle więcej zdobycznych skór, nikt inny nie przejmował się konsekwencjami taktyki Sykenu.

Od dawna nie zabito tylu Czarnych, a nikt nie pamiętał, żeby tak nachalnie i bezmyślnie pchały się na Stronę Ludzi. Wraz z nimi przechodziły ruchliwe i dożarte Stwory Ciemności. Na pewien czas stały się one prawdziwym utrapieniem legionistów. Okazało się jednak, że wściekle agresywne Stwory Ciemności da się łatwo ustrzelić z kuszy. Ich skóry, wprawdzie mniejsze, zwykle były trwalsze niż skóry dorosłych. Rozkładały się wolniej, przez co łatwiej je było wyprawić. Ceniono je dla delikatnego, jedwabistego futra.

Sykenu brańców przekazywał oddziałowi. Rzadko zostawiał dla siebie jednego lub dwóch – z reguły posyłał ich ojcu. Wiedział, co robi, kupując sobie żołnierzy. Legioniści w każdej chwili mogli przestać akceptować takiego dowódcę, który nie potrafi ściągnąć z siebie czarnej skóry. Póki odnosi sukcesy, wszystko jest dobrze; gdy nadejdą klęski, sytuacja odwróci się natychmiast. Na razie nie szemrali, a bajecznie przetworzona historia zamordowania Drubbaala budziła małe zainteresowanie.

Zwykle Czarne brały Sykenu za swego. *Gabery* same przychodziły łąsić się i tulić. Najpierw wydawało mu się to perwersyjne, potem przyzwyczaił się i polubił takie zaloty. Sam zaczął uganiać się za co zgrabniejszymi Czarnymi. Podszczypywał je i obłapiał. Mówił Adamsowi, że niezwykle bawi go to zajęcie, a szczególnie uciężne piski *gaber*. Podobno nauczył się bezbłędnie rozpoznawać, w której kielkuje szczeniak, a która staje się „mokra” po jego zaczepkach. Unikał tych „zasianych”. Używał swoich własnych określeń do opisywania Czarnych. Uważał, że dzięki ludzkiej ogładzie bardziej podoba się *gaberom*, mimo że nie dorównuje wyglądem ani siłą żadnemu *busiercowi*. Wiele opowiadał swoim zaufanym, do których oprócz Adamsa zaliczał chirurga, Reutela i starego Quirinu. Hjalmir starannie notował te opowieści.

Dziwaczne afekty do *gaber* nie przeszkadzały mu prowadzić bezlitosnej eksterminacji tych stworów. Wkrótce sława wojenna Młodego przyćmiła dawne wyczyny Drubbaala. Tym bardziej że straty były niewielkie: tylko dwóch lekko poturbowanych żołnierzy.

Zdarzało się, że Czarne próbowały powstrzymać uprowadzanie Golców. Robiły to bez przekonania, zwiedzione wyglądem *sotnika*. Na ogół tłumaczyły mu, że pomylił drogę. Sykenu

ściągał je przez Linie na stronę Krum. Tu on sam lub jego oddział rozprawiał się z nimi bez litości. *Sotnik* zalecał brać ze sobą dużo broni. Lubował się w niezwykle kosztownej, ale skutecznej broni palnej. Przynajmniej na co trzeci zwiad zabierano samopaly. *Korpuśny* miał przygotowane aż po cztery naboje na akcję, *simple* po dwa.

O ile z *gaberami* rozprawiano się jedną celną kulą, to do *busierców* Sykeny zalecał strzelać siekańcami albo grubym śrutem. Miał w tym sporo racji: Pojedyncze kule zwykle nie powalały *busierców*, które nawet celnie trafione i zranione, potrafiły rozszarpać niefortunnego strzelca. Znajdowały go, idąc po zapachu spalonego prochu. Nawet trafienie w czaszkę mogło okazać się nieskuteczne, jeśli nie poszło z boku w skroń. Na ogół kula z obrzyna nie przebijała grubych kości czaszki, a często grzęzła już w rogowej skorupie na czole samca. Rzadko zdarzał się okaz, który właśnie zrzucił rogi.

Natomiast siekańce wywalały w *busiercu* dziurę wielkości głowy mężczyzny; wtedy stwór gubił wnętrzności i wykrwawiał się, zanim dopadł strzelającego.

Nawet bełty odnosiły lepszy skutek niż pojedyncza kula: wprawdzie trzeba było pięciu do siedmiu trafień, aby powalić samca, ale głęboko wbite ostrze było bardzo bolesne, każdy ruch ofiary wywoływał dodatkowe zranienie, odwracając jego uwagę. Nadto strzał z kuszy nie zdradzał ukrycia legionisty.

Adams odkrył, że petrynał przerobiono na broń lontową, dobudowując dodatkowy kurek. Oba kurki działały sprawnie, chociaż sprężyna hubczastego, wzięta pewnie od jakiegoś innego zamka skałkowego, była zbyt twarda.

Zagadnięty o skałkówki, Hjalmir odpowiedział:

– Przestaliśmy używać takiej broni, bo jak przyjdzie na nią czas, to skałkówka nie odpali.

Adams zrobił tak zdumioną minę, że Hjalmir wzruszył ramionami.

– Nie potrafię tego wyjaśnić, ale czasem i przez miesiąc każda z nich milczy. Iskry krzemień nie skrzese, a nawet jeśli, to skra poleci gdzieś, omijając podsypkę. A lontem zawsze odpalisz.

Petrynał okazał się tyleż piękny, co niepraktyczny. Wprawdzie dzięki krótkiej lufie można go było nosić w olstrze, jednak dziwaczny kształt kolby utrudniał celowanie. Adams załadował broń jednym z trzech posiadanych naboju, zmierzył z ręki i ściągnął spust. Rozległ się huk, a kula zarykoszetowała po głazach. Chirurgowi powiedział, że odpalił przyciskowym, jednak odwiódł kurek skałkówki. Jeszcze dźwięczały w uszach uwagi Sykeny na temat wywyższania się niewolnika legionowego.

Hełm wymagał poważnych przeróbek. Sporo masy kostnej narosło w czasie zwiadu i trudno było to usunąć w całości. Adams odciął fragment kości potylicznej. Teraz, gdy założył hełm, zęby górnej szczęki sięgały równo z linią jego czoła. Po oddzieleniu żuchwa zasłoniła mu twarz poniżej nosa. Wyglądało to tak, jakby wyłaniała się ona z paszczy Czarnego. Hełm zrobił się bardzo malowniczy, ale odsłaniał oczy i nos. Niestety, nie dało się tego rozwiązać inaczej.

Adamsowi przydzielono wbudowaną w wewnętrzną linię muru ciemną salkę, pozbawioną okien i zamykanych drzwi. Niby w środku fortowego rozgardiaszu, lecz była wyniesiona o dwa metry nad poziom bruku, co wystarczająco izolowało od otoczenia. Nie przeszkadzało drżenie sufitu od tupotu wartowników na blankach. Otwór drzwiowy Adams zasłonił paroma starymi skórami, kupionymi za bezcen, i już miał własny pokój, pierwszy od niepamiętnych czasów.

Jeszcze w nocnym mroku wyrwało go ze snu szturchanie. Pochylał się nad nim Humrug.

– Krawiec! – syknął *pretorianin*. Adams otworzył oko.

– Ja się nadaję do wypadków, nie do chorób – burknął. – Nie przychodźcie z tym do mnie. Obudźcie Hjalмира.

– Bierz sprzęt – rzucił Humrug. – Idziesz na zwiad.

– Ja? Przecież jestem chory.

– Tak zdecydował Młody.

Adams westchnął i naciągnął obrośniętą futrem kolczugę. Głowę skrył w czaszce Gaberci – nowa wyściółka hełmu przyjemnie szorstko opierała się o czoło – i przypasał graniasty sztylet po Krippelu.

Sotnik i reszta *korpusu* Nehanu zebrali się przy bramie.

– Chodźmy już, słońce zaraz wzejdzie – rzucił Sykenu. Obecnie zwiady zawsze wychodziły przed świtem, a wracały przed południem. Bardzo rzadko kończyły się później. Sykenu uważał, że im później, tym groźba napotkania Wiatru Noży jest większa.

Wartownik uchylił dla nich wrota *Wentzla*. Ruszyli miarowym, niezbyt szybkim marszem. Powietrze było rześkie. Każdy wydech zamieniał się w mgiełkę.

Adams zdziwił się, że nie idą na Mroczną Przełęcz.

– Na Mogiłę Drubbaala – rzucił przez ramię prowadzący Nehanu. – Ostatnio tam się nam szczęściło.

Mogiłę Drubbaala nazwano mylną płaszną, gdzie przebieg Linii był niewiadomy. Wdawanie się tam w potyczki z Czarnymi mogło przecież już od początku być skazane na klęskę. Sykenu się tym nie przejmował.

„Chce mnie wykończyć czy co?”, pomyślał Adams. „Przecież po tamtej stronie Linii znowu zacznie się moja przemiana. Chce mieć drugiego takiego samego jak on?” Zerkał nieźyczliwie na porośnięte czarnym futrem, pochylone plecy maszerującego dowódcy.

Szybko nabierali wysokości. Na grzbiecie uderzył ich chłodny wiatr. Adams przestał się pocić, wilgotna odzież schła. Włochata kolczuga grzała wystarczająco, chłód nie przenikał. Żołnierze, zawinięci w purpurowe płaszcze, drżeli z zimna. Wszyscy przycupnęli w płytkim, niezbyt długim okopie, umocnionym murkiem z luźno ułożonych płaskich kamieni.

– Tu czekacie na mnie – powiedział Sykeny. – Nehanu, kaźcie naładować broń. Nie strzelać bez rozkazu. Nadejdę stamtąd. Tam mierzyć. – Wskazał grupę głazów.

Nehanu spokojnie wydał komendy. Zajęczały korbki kusz. Obrzynów nie wzięli.

Sykeny spojrział na Adamsa. Jasny wzrok zdradził dawnego Pachoma.

– Ty masz się nie ruszać zza tego murka – rozkazał. – Linia przechodzi o dziesięć metrów dalej. – Wskazał usłaną rumoszem płaszną. – Jeśli ci miły dotychczasowy wygląd, to nie wystawiaj nosa z okopu – dodał twardo.

Dowódca odwrócił się i oddalił w kierunku grzbietu. Szedł lekko pochylony do przodu. Sprawnie przebywał ruchomy piarg. Skakał z jednej wanty na drugą.

„Stale ryzykuje”, pomyślał Adams. „Dwie tonowe wanty niewielkim przesunięciem odetną stopę jak gilotyna. Przecież nie potrafi przewidzieć, w którą stronę się waha...”

Sykeny, zamiast wybrać mniej widoczną, ale bezpieczną ścieżkę wołał się popisywać.

Adams rozsiadł się wygodnie. Nie wziął kuszy, zresztą nie potrafił z niej celnie strzelać. Zwiadowi mógł być przydatny jedynie jako felczer. Lepiej, żeby nie musiał się przydawać.

„Z większej odległości nie można go odróżnić od Czarnego”. *Sotnik* zniknął wśród złomów skał.

– Co teraz? – Adams spytał *korpuśnego*.

– Za jakąś godzinę zrobi się cieplej. – Nehanu obojętnie zerknął na pochmurne niebo.

Adams zdążył żołnierskim zwyczajem się zdrzemnąć. Odkąd stało się nieco cieplej, legionieści przysypiali na przemian.

Wreszcie na grzbiecie pośród nastyrmanyh want ujrzeli dwie zbliżające się sylwetki. Jedna, wyższa, szła kaczko-watym krokiem, druga, zwyczajnie, jak człowiek.

Sykeny wiódł za rękę sporą *gaberę*. Czarna co krok zerkała na niego, jakby lekko opierała się prowadzącemu. Sykeny wsunął jej więc ramię pod pachę, przycisnął barkiem. Czarna mocniej przywarła do niego, przestała się opierać. Wyglądała mało efektownie: jak dwunogie zwierzę. Ani dziwacznym narośli, naśladowujących wyglądem i mimiką twarze na brzuchu czy cycach, ani łba szczeniaka wystającego ze sromu. Znane, choć niezwykle stworzenie o bardzo szerokich biodrach, paradoksalnie zginających się nogach i połyskliwej, krótkiej, czarnej sierści. Gdzie jej tam było do powabnej Złotej Gabery.

Nehanu nakazał absolutną ciszę. *Pretorianie* mierzyli z kusz w nadchodzącą.

„Miejmy nadzieję, że nie pomylił przebiegu Linii”, pomyślał Adams.

Dwadzieścia metrów od okopu Sykenu zatrzymał prowadzoną. Zresztą sama dalej by nie poszła. Delikatnie przejechał jej dłonią po twarzy. Czarna odwzajemniła ten ruch, jakby podsuwając się pod jego dłoń. Delikatnie sięgnął pod jej brodę i zaczął rozsuwać kudły. Czarna wysunęła podbródek. Łapczywie reagowała na pieszczoty. Stała teraz w niemym oczekiwaniu. Sykenu przejechał dłonią po kudłatym brzuchu, wreszcie wsunął ją pod długi włosy cyc.

– Mhru... Mhru... – *gabera* zacharczała gardłowo, unosząc wysoko głowę.

Sykenu ważył w dłoni cyc Czarnej, przesuwając dłoń wzdłuż jego długości, lekko uciskając. Wreszcie sięgnął do końca. Ujął palcami brodawkę i zaczął ją delikatnie przekręcać to w jedną, to w drugą stronę. Jednocześnie lekko pchał *gabere* w stronę Linii.

Teraz stanął za jej plecami i sięgnął po drugiego cyca. Lekko podrzucił oba w dłoniach.

– Trudno unieść – nieoczekiwanie odezwał się głośno.

Gabera mruczała rozanielona i unosząc głowę, starała się przytulić do niego swą twarz. Komicznie przewracała oczami i łypała przekrwionymi białkami.

– Co on? – szept Adamsa był jak tchnienie wiatru.

– Ona teraz już nic nie słyszy – powiedział cicho Nehanu. – Oprócz pieszczot Pachoma nic do niej nie dociera.

– Rzygać się chce – mruknął Caliel.

Sykenu raz zarazem przesuwając dłońmi po cycach *gabery*, to unosząc je, to leciutko za nie ciągnąc. Z początku wykonywał wszystkie ruchy beznamietnie, jak myśliwy wabiący zwierzynę. Później jego zachowanie się zmieniło, przestało być tylko taktyką wojownika. Jednakże nadal krok za krokiem popychał ją ku Linii.

– Sam się tym podnieca. Patrzeć, jak którą zwali.

– Trzyma ją w ramionach. Z daleka by odróżnił od baby, z bliska może pomylić – zauważył Nehanu.

– Ją wystarczy złapać za rękę, a już jej się głos zmienia – powiedział głośno Sykenu. – A ty wiele z nich łapałeś za ręce, Engilu. Pamiętasz jeszcze, jak wygodnie było wędrować w ciemności, trzymając w ręce dłoń *gabery*...?

Adams wzdrygnął się.

Sykenu znowu bawił się końcami cyców Czarnej.

– Ona szybko zapamiętuje się w pieszczotach. Ale im tego brakuje, ale brakuje... – powiedział Sykenu. Uwagi miały być instruktażem dla Adamsa, lecz jego głos nie brzmiał tonem zimnej, bezosobowej relacji. Wypowiedź przerywał dla nabrania oddechu.

Pomruk *gabery* rzeczywiście przypominał zniekształcone słowa „Jeszcze, jeszcze”. Popychana przez Sykenu, przekroczyła Linie.

– Nehanu, przejmuję bezpośrednio dowództwo nad oddziałem – powiedział Sykenu.

– Tak jest – regulaminowo szepnął *korpuśny*.

Gabera unosiła ramiona do góry, żeby sięgnąć do kryjącego się za nią Sykenu. Chciała jakoś odwzajemnić doznawaną przyjemność. Już byli po Stronie Człowieka.

– *Busierec* łapie taką za rękę i zaraz bierze się do rzeczy, dlatego one tak silnie reagują na pieszczoty – Sykenu kontynuował dziwny instruktaż. Mówił, przerywając co zdanie. Nie przestawał pieścić cyców *gabery* i gładzić jej brzucha. Jedynie do sromu nie sięgał.

Odpowiadała mu rytmicznym mruzeniem, w kącikach jej paszczy zbierały się płatki piany.

– Engilu, czujesz jej zapach? Ona zaraz oszaleje w moich rękach! Ależ to są dziwaczne stwory – dodał dla stonowania zachwytu.

Nie przerywając swoich zabiegów, Sykenu jedną ręką delikatnie schwycił ramię *gabery* i przeciągnął je do tyłu. Ta i tym razem nie zaprotestowała. Trzymała rękę posłusznie za plecami.

To samo zrobił z drugim ramieniem, jednocześnie nie przestając intensywnie pieścić jej cyca.

„On ją skrępował”, zauważył ze zdumieniem Adams. „Ale to tylko cienkie rzemyki do wiązania ludzi...”

Czarna nie protestowała. Bez oporu poddawała się pieszczotom Sykenu, mrużąc i warcząc coraz głośniej. Co jakiś czas pojękiwała pod nosem albo cichutko wyla.

Kiedy *sotnik* nie miał już wątpliwości, że są po Stronie Człowieka, lekko rozgarnął jej kudły na szyi. *Gabera* ułatwiła mu to, odchylając głowę w przeciwną stronę. Kiedy wyczuł pod palcami pulsowanie tętna, sięgnął za pas po sztylet i jednym cięciem otworzył tętnicę. Czarna cicho zawyla, ale ciszej, niż można by się spodziewać. Odrzucony nóż stuknął o kamień.

Sykenu przechylił ją nieco do przodu, żeby sikająca krew nie pochlapała futra, i obiema rękami wrócił do pieszczot.

Adams zdumiony obserwował, jak słaniająca się coraz bardziej na nogach bestia nie przestaje sapać z uciechy i wyginać do tyłu, by mocniej przytulić się do Sykenu. Wreszcie jej czarne oblicze zmieniło się na ciemnopopielate, wytrzeszczone z zachwytu oczy uciekły gdzieś do tyłu, a postać bezwładnie zwisała w ramionach Sykenu.

Sotnik lekko opuścił ciało *gabery* na ziemię, uważając, żeby futro nie zmoczyło się w kałuży krwi.

– Odczucie rozkoszy czy tylko przyjemności jest u niej mocniejsze niż uczucie bólu – wyjaśnił Sykenu już w okopie. – Nawet wykrwawiając się, czuje słabszy ból niż przyjemność, którą sprawiają jej moje dłonie.

– W sumie, lekka śmierć – zauważył Adams.

– Właśnie. Widzisz, one nie zaznają w życiu zbyt wiele frajdy. Nawet jak pokrywa je *busierec*, to bije po mordzie, czasem przy tym wybije oko. Skoro tak mało mają w życiu przyjemności, to muszą być na te jej resztki szczególnie wrażliwe. Żeby w ogóle chciała zbliżyć się do samca. Dlatego łatwo dają się podejść.

Adams spojrział na leżące ciało Czarnej. Do tej pory miała w kącikach ust płatki piany, a na pysku stężał wyraz błogości.

– Znieść ją poniżej grani – rzucił Sykenu. – Później losujemy, kto dostanie skórę i czaszkę. To jeszcze nie koniec na dzisiaj. Nie wybrudziła mi futra, więc spróbujemy jeszcze raz. Przykryć tę kałużę płaskówkami.

Nehanu skinął głową i wydał rozkazy *simplom*.

Sykenu zaczekał, aż ciało zostanie usunięte, a kałuża zakryta. Potem wyruszył na drugą stronę Linii.

Legioniści znowu rozdzielili między siebie chwile drzemki. Tym razem czekali długo, aż wreszcie pomiędzy wantami kończącymi płasń po Stronie Trupa pojawił się *sotnik*, wiodąc za rękę kolejną *gabere*.

Wybrał podobną do poprzedniej: bez szczeniaka, bez ozdób, futro gładkie, aż lśniące. Jedyne aureole sutkowe miała uformowane w kształt małych twarzątek, które nieustannie stroiły dziwaczne grymasy. Każda z nich jakby trzymała w zaznaczonych zmarszczką ustach cylindryczną brodawkę Czarnej. I ta *gabera* poddawała się zabiegom Sykenu. Nieustannie międląc jej cyce, wolno, metodycznie popychał ją ku Linii. Uciskane jego dłońmi, obie twarzątki krzywiły się na przemian to niechętnie, to zaciekawione; czasami traciły formę, nadmiernie rozciągnęte twardą dłonią.

W pobliżu stanowiska strzeleckiego *gabera* zaczęła się niepokoić. Nerwowo rozglądała się, otwierała paszczę. Próbowwała sięgnąć za siebie łokciami, żeby wydobyć się z uścisku Sykenu.

Przewleczona na Stronę Człowieka, zaczęła rzucać głową na prawo i lewo, zerkając z ogromnym przerażeniem. Wyglądające spod dłoni *sotnika* twarzątki na jej cycach powtarzały te grymasy. Wreszcie nagłym ruchem spróbowała wyrwać się z objęć Sykenu. Ten ściągnął jej długie cyce do tyłu i dzierżył ją za nie, jak za rękawy kaftana bezpieczeństwa. *Gabera* próbowała machnięciami szablanych pazurów sięgnąć przeciwnika. Nie okazywała śladów podniecenia.

Sykenu został trafiony raz i drugi ostrzem pazura.

– Nehanu, wal w nią! Celuj obok mostka! – krzyknął.

Belt wbił się pomiędzy jej żebra z odgłosem przypominającym uderzenie drewnianego młota. Drugi trafił ją w przedramię, kiedy próbowała się osłonić.

Legioniści natychmiast zakręcili korbami kusz.

Zraniona *gabera* zaryczała wściekle. Nie bacząc na ból rozciąganego cyca, próbowała się obrócić.

Raz za razem uderzała za siebie ramieniem.

Dwa kolejne bełty głęboko utkwily w jej klatce piersiowej. Samica oddychała chrapliwie, na jej pysku rosły bąble różowej piany. To ryczała, to charczała, aż w gardle jej bulgotało. Sykenu spróbował zadać parę ciosów nożem, ale ledwie kąsał nim pokrytą sfilcowanym futrem grubą skórę. Był w złym położeniu, bestia lada chwila mogła uwolnić się z jego podstępnego chwytu.

Wreszcie świst i twarde uderzenie: belt z kuszy Nehanu po brzechwę utkwil pomiędzy jej żebrami.

Gabera upadła na kolana. Wtedy Sykenu dobił ją, podrzynając gardło od ucha do ucha.

Chwilę stał ze sztyletem w ręku, ciężko dysząc.

– Będziesz miał ze mną trochę roboty, Engilu – rzucił do Adamsa, przyciskając dłonią ranę na ramieniu, żeby powstrzymać krwawienie.

Do obozu Adams z *korpuśnym* nieśli na drażu jedną upolowaną *gabere*, a obaj *simple* drugą. Sykenu prowadził, Adams podążał w ślad za nim.

– Wiatr szedł od waszego stanowiska – wyjaśnił *sotnik*.

– Poczula nas?

– Jucha poprzedniej śmierdziała, aż w nosie kręciło. *Gabera* czuła bratnią juchę i była śmiertelnie przerażona.

– Tym razem magia piesszczot nie wzięła góry?

– Właśnie. Dla mnie też jest to zaskakujące. Te Czarne, widać, nie są jednakie...

Z każdym dniem Adams czuł się gorzej. Osłabł, gorączkował. Między kudłami futra skóra pękała, rany sączyły się przezroczystą cieczą. Mozolnie skubane futro rzedło. Na akcje Sykeny obecnie brał Hjalмира. Wprawdzie Adams podczas zwiadu nie przekroczył Linii, jednak podejrzewał, że pogorszenie zostało wywołane samą bliskością Strony Trupa. W głębi duszy taił przekonanie, że to właśnie on, a nie Sykeny, był bardziej podatny na Ukąszenie Płomieni. Przecież skóra zidentyfikowała jego płęć już wtedy, gdy odprowadzał Jelenę, znacznie wcześniej, niż rozpoznała Pachoma. Przed kompletnym przyrośnięciem skóry Czarnej uratowało go wyłącznie założenie pełnej kolczej zbroi. Skoro okazał się tak nieodporny na te zmiany, to, czy zachowa ludzką postać, nadal wydawało się wielce niepewne.

Jeszcze niedawno był zachwycony swoim maleńkim pokoikiem, o wymiarach ledwie przekraczających jego wzrost, a obecnie nie mógł w nim wytrzymać. Wydawało mu się, że zamknięto go w pudełku, a kamienne ściany zewsząd napierają, chcąc go stłamsić.

Mimo podwyższonej temperatury często przesiadywał na dziedzińcu. Zakutany w wyprawione futro, siedział na zwiniętej skórze innego Czarnego – drewniany zydel miał tylko *sotnik*; w *pretorium* były drewniane ławy. Adams pił jeden kubek gorących ziółek po drugim. Hjalmir porządkował notatki. Wypytywał Adama, wyglądał swój raport, dodawał spostrzeżenia. Cieszył się, że jego praca wzbogaci archiwa Krum. Podsunął Adamsowi kubek destylatu na rozgrzewkę.

– Zastanawiam się, ile jeszcze człowieka zostało w Młodym. – Chirurg zerknął znad papierów.

– A ile we mnie? – Adams skubał futro z lewego nadgarstka. Wyławiał pojedyncze włosy i krzywiąc twarz z bólu, jeden po drugim je wyrzywał.

– Ciągnie cię do *gaber*?

– Do jednej mnie ciągnęło. Prawie za nią poszedłem w płomienie. – Mały łyk alkoholu palił gardło jak kwas.

– Musiało cię niezłe przypilić na tamtym pustkowiu, żeby ci się taka paskuda spodobała.

– To była Złota Gabera. Śliczna jak z żołnierskich opowieści. – Adams uśmiechnął się do swoich myśli. – Zupełnie jak dziewczyna w złocistym futerku, a nie jak bestia. Nawet kopytka miała jak damskie pantofelki. Nie zdziwiłbym się, gdyby je zdjęła.

Hjalmir przerwał notowanie. Spojrzał dziwnie na Adama. Słyszał już tę opowieść, jednak nadal w nią nie wierzył. Uważał, że piękne *gabery* nie istnieją. W raporcie konsekwentnie pomijał uwagi o nich. W pobliżu płomieni obaj zwiadowcy mogli zostać oszołomieni dymem. W rzeczywistości napotkali jedynie *gabere* albinoskę, a wyobraźnia dodała resztę. Może uwierzyłby, gdyby powiedzieli o tym podczas pierwszego przesłuchania. Teraz trudno było skruszyć jego sceptycyzm.

– Młody gania za każdą bestią – powiedział Hjalmir. – Rzygać się chce. Tylko czekać, jak je

zacznie posuwać.

– Na razie zabija. *Gabery* tylko obmacuje.

– Pamięta przygodę Kazigrota.

– Ja też jej nie zapomniałem. Nawet za Złotą nie poszedłem.

– Młody zabija tylko *busierce*. Nad *gaberami znęca* się, czasem kaleczy je i zostawia. Jest niezwykle okrutny.

– *Gabery* też zabija, czasem żołnierze je dobijają. Nie byłem świadkiem jego szczególnego okrucieństwa.

– Pozwala sobie na coraz więcej. Wczoraj własnymi pazurami rozszarpał brzuch jednemu *busiercowi*. Powiedział, że był o niego zazdrosny. Poradził sobie z potworem, chociaż był od niego niższy prawie o połowę.

– Zmiany w nim ciągle postępują. Futro linieje, skóra schodzi. Wyrastają pod spodem gęstsze kudły, a nowa skóra jest twardsza albo dziwnie zmieniona. Drzę ze strachu, że mnie spotka to samo, tyle że później.

– A co z twoimi znamionami?

– Stale to samo: futro linieje, skóra obumiera i odpada, otwierają się rany. Sączy się z nich ciecz. Nie chcą się goić. Jedynie z pazurów pożytek: nie łamią się przy robocie. W legionie ujdzie, ale jak takie łapy pokazać kobiecie...?

– Pomagasz swemu futru linieć.

– Najchętniej bym kazał to wszystko wyciąć. – Adams wytargał kilka włosów naraz – razem ze skórą.

– Wycięcie płata skóry może okazać się jedynym lekarstwem – powiedział poważnie Hjalmir.

Sykenu wrócił z kolejnej wyprawy. Znowu ściągnął kilkoro Czarnych na Stronę Człowieka. Legioniści rozprawili się z nimi z obrzynów. Adams oderwał się od ogniska. Czekają go oględziny *sotnika*, a potem asystowanie przy sekcjach upolowanych Czarnych. Nadal gorączkował. Czarne włosy na przegubach i podbiciach stóp schodziły lekko pociągnięte. Spod nich wyzierała zarumieniona, sącząca się skóra. Futro wyrosłe na boku nie wyglądało lepiej.

Dowódca już zrzucił srebrzysty, legionowy napierśnik i blachę z pleców. Zakładał je wprost na futro – pod spodem miał przecież wrośniętą skórzaną kurtkę i także spodnie. Nie dbał, że na porośniętej włosami czarnej skórze tworzą się otarcia, a ból od nich tylko go złościł.

– Nalej, Engilu. – Wskazał stojący pod ścianą dzbanek. – Croyn jest na przepustce.

Adams napełnił kubek dla *sotnika*, drugi dla siebie.

– Dzisiaj znowu się poszczęściło – powiedział do Adamsa. Rzucił mu ciepłe spojrzenie jasnych, dawnych oczu. Pozostały jedynym ludzkim elementem jego twarzy. – Ściągnęliśmy zgrabne stadko na naszą stronę.

Adams skinął głową z uśmiechem. *Sotnik* wydierał charakterystyczny ostry, kwaśny odór. „Pot Czarnego. Z rana tak nie cuchnął. Umęczył się tym marszem”.

– Jakież nowe objawy? – rzucił Adams, oglądając futro Sykeny.

– Zwyczajne. Rano garść kudłów została na prześcieradle.

– Jasne.

Adams przystąpił do opatrywania nowych i starszych otarć. Młody topił pomruk w kielichu wina, kiedy Adams zbyt mocno wcierał alkohol w otwarte rany.

– Stąd wychodzą kudły? – rzucił Adams, dotykając wacikiem placków na piersi *sotnika*. Tworzyły się na nich płaskie narośla, coraz wyraźniej przypominające rysy twarzy. Nie potrafiły jeszcze robić min, pod naciskiem tylko krzywiły się i odkształcały.

– To swędzi? – Mocniej przycisnął jedną z narośli.

– Jak cholera. Nie muszę przechodzić przez Linie.

– Widział to Hjalmir?

– Rano.

– Masz więcej takich narośli?

– Hjalmir twierdzi, że formują się na pośladkach, na kolanach i na łokciach. Poza nimi jest

jeszcze kilka innych w różnych miejscach.

– Co o tym sądzi?

– Mówi, że powstają twarze lustrzane. Co drugi Czarny ma coś takiego, dlaczego ja miałbym być wyjątkiem...?

– To są twarze rzekome lub paradoksalne. – Adams przetarł wacikiem nasyconym alkoholem jedną z takich twarzy. Sykenu nabrał głęboko powietrza. Skóra w tym miejscu była wrażliwa i bolesna.

– A co z tobą, Krawiec? Starannie zawijasz wszystkie ukąszone miejsca. Chcesz je ukryć?

– Wydzielina z nich kapie. Skóra obumiera, odpada. Lepiej to ukryć, bo wygląda wstrętnie.

– Może masz szansę wrócić, skoro ciało to odrzuca. Na mnie przyjęło się świetnie i rośnie na schwał. Będzie ze mnie okazały *busierec*.

– Podobno spróbowałaś z *gaberami* na płaskowyżu.

– Nie na płaskowyżu. Po naszej stronie.

– Opierały się?

– Ani razu. Tylko kijem sprawdzałem, czy nie ma szczeniaka.

– Podobno potrafisz poznać, czy która jest zasiana.

– Zgadza się. Ale na wszelki wypadek lepiej sprawdzić.

– Kaleczyłeś je?

– Gdzie tam. One już wiedzą, że je sprawdzam. Nie protestują, tylko czekają.

– Zdarzało ci się to więcej razy?

– Więcej razy? Engilu! Toż prawie co zwiad jakaś mi przypada do gustu...

Adams spojrział na niego. „Według relacji Kazigrot umarł po tygodniu albo po dwóch”, pomyślał.

– Od kiedy z nimi próbujesz?

Sykenu spojrział na belki stropu.

– Parę dni po tym, jak wziąłem ciebie za felczera. Parę razy jeszcze się powstrzymałem, ale potem już nie dałem rady.

„To zbyt długi okres”, myślał Adams. „Jeśli zakażają bakterie gnilne, jakoś tolerowane przez organizm Czarnego, to Sykenu został na nie uodporniony. Jego przemiana ma też dobre strony”.

Sykenu wziął milczenie Adamsa za niedowierzanie. Skrzywił pysk w uśmiechu.

– No tak, Engilu. I zawsze mi nie dość moich czarnych dziewczyn. Ile by ich było...

– Potem je zabijasz?

– Gdzie tam. Zabijam tylko brzydule.

– To co robisz ze swoimi dziewczynami?

– Odprowadzam za Linię. Każdą pannę, która mi da.

„On może być dla nas groźny. Jeśli przypadkiem kogo draśnie pazurem, jak Calieła dwa dni temu...”, pomyślał Adams. „Jeśli pijemy z tych samych naczyń...”

– Chyba się im spodobałem – powiedział Sykenu. – Zresztą wszystkie Czarne do mnie lgną. Tylko Złota się na mnie nie poznała...

A jeśli urodzą się potem dzieci...? A jeśli Czarne są z nami spokrewnione bliżej, niż się na pozór wydaje?”, myślał Adams. „Jeśli mogą się mieszać geny ludzkie i geny Czarnej? Urodzi się wtedy mieszaniec, może taka istota jak Złota Gabera?”

– No, nie chmurz się, Krawiec – powiedział wesoło Sykenu. – Przecież nie jestem zazdrosny o tę jedną. Mam ich dziesiątki. Zresztą gdyby Złota mnie pierwszego spotkała, byłoby dokładnie na odwrót.

„Skoro do *Cayleii* wchodziło się, łamiąc geometrię przestrzeni, to może na płaskowyzu są jakieś zawirowania upływu czasu? Skąd niby rozkawałkowani Golcy tak szybko znowu pojawiają się zdrowi i cali, ponownie przemierzając drogę ku Płomienistym Wrotom?”

Może Złota była córką Sykenu? Czyżby wiedziała, że jest jej ojcem i dlatego bratanica Adali unikała go, a lgnęła do mnie? Właściwie można by dopatrzeć się w niej podobieństwa... Nie do niego, ale do Adali właśnie”.

– Nie jestem dziś w formie, Sykenu – Adams usprawiedliwił swój namysł. – Gorączkuję.

Dowódca skinął pucharem, pozwalając mu wyjść. Akurat Hjalmir kroił Stwora Ciemności na kamieniu sekcyjnym. Chirurg wprawnie oskórował upolowaną bestię, a teraz przyglądał się wnętrznościom. Zerkał, dziwował się, coś nacinał nożem, odchyłał fałdy tkanki, znowu zerkał. Co chwilę notował na karcie ziarnistego papieru. Obok tekstu widniały już dwa nieudaczne szkice.

– Dawno nie pomagałeś mi przy sekcji.

– Zdążyłem przekazać ci już wszystko, co wiedziałem z medycyny. Obawiam się zakażenia

moich ran.

– Niby tak – burknął do siebie chirurg. – Ale ty wolisz wojaczkę.

– Pachom akurat kiedyś stwierdził, że wojaczka mnie nie bawi.

Hjalmir wskazał skalpelem na krojoną bestię.

– Pierwszy raz tnę coś takiego.

Adams podszedł bliżej. Na pozór nic szczególnego nie było w wyglądzie oskórowanego stwora: pasma mięśni, trochę widocznych błon i ścięgien. Może tułów zbyt wzdęty.

– Tutaj. – Hjalmir rozchylił nożem cięcie na grzbiecie, ukazując widoczny spod mięśni inny układ tkanki: segment za segmentem. – Jakiś pasożyt czy co...?

– Nie jest zrosnięte z resztą?

Hjalmir chwilę pracował nożem sekcyjnym.

– Wyodrębnia się kilkanaście segmentów, jakby owadziego albo homarzego odwłoku, ale i dołem, i górą jest przyrosnięte do jego ciała. O, tutaj od góry wrasta wprost w kręgosłup...

– Wiem, co to jest.

„Znowu będzie się wymądrzał”, chirurg spojrzał niechętnie, nadal trzymając w ręku skalpel.

– On wkrótce miał przejść przemianę. Może dlatego dał się upolować. Zwykle Stwory Ciemności są bardzo ruchliwe.

– Przemianę w co?

– W robaczego węża. Głowa zostaje od stwora, wyschnięta skóra pęka, a spod niej wychodzi długie, węzowe ciało, podzielone na segmenty pokryte pancerzem.

– Stwór Ciemności przekształca się w Czarnego.

– Nie każdy. Na płaskowyżu widziałem przemianę w robaczego węża.

Hjalmir podłubał w rozciętym korpusie.

– Segmenty pancerza jeszcze nie stwardniały – powiedział. – Miał jeszcze trochę do przemiany. Reszta ciała funkcjonowała w miarę normalnie.

– Tamten na płaskowyżu bardzo cierpiał. Potem jednak poczołgał się o własnych siłach.

Hjalmir wziął się do notowania. Kiedy skończył, kazał właścicielowi skóry wyrzucić ścierwo precz.

- Napijmy się przy ogniu. Noc nie jest bardzo zimna.
- Pewnie się jutro zachmurzy, a na wybrzeżu lunie. Usiedli z garnkami grzańca.
- Nie uważasz, że teraz to nie jest wojna, tylko rzeź? – zapytał Hjalmir..

Adams zerknął na niego.

- Kiedyś to ja wahałem się zabijać Czarne. Pamiętasz? Kiedy kroiliśmy moją Gabercię.
- Nadal nie twierdzę, że nie wolno ich zabijać.
- Zawsze wiedziałeś, że są rozumne.

– To prawda. Przynajmniej w niektórych fazach rozwoju najprawdopodobniej są rozumne. Ogrodnik często obcina gałęzie drzewa, ale nie znaczy to, że drzew nienawidzi.

Adams uniósł brwi w zdziwieniu.

- Teraz uważasz, że nie należy zabijać Czarnych?

– Idą na nas jak barany na rzeź. To nie przeciwnik, którego pokonanie przynosi chwałę, to bezbronny głupiec, którego się podstępnie eksterminuje. Czasami wcześniej znęca się nad nim dla zabawy. Takie zwycięstwo nie przynosi mi satysfakcji.

- Naszym obowiązkiem jest obrona Krum i Tibium.

– Tak, tak... wiem. – Hjalmir otarł czoło. – Tylko że codziennie rozmawiam z *sotnikiem*, który mimo postaci Czarnego nadal pozostał człowiekiem, a jednocześnie jest najokrutniejszym rzeźnikiem Czarnych. Widzę ciebie, który zacięcie walczysz z kiełkującą na tobie naturą Czarnego. Jednocześnie konsekwentnie powtarzasz historię o zadurzeniu w złotej piękności, chociaż nigdy w bajki legionistów nie wierzyłeś. Po tym wszystkim trudno mi patrzeć na te bestie tak jak dotychczas. Może tylko to paskudztwo... – wskazał za siebie w kierunku, gdzie rzucono oskórowane zwłoki Stwora Ciemności – ...nie budzi dziwnych myśli. Śpią. Na razie.

Sotnik niedołążniał z dnia na dzień. Oddział zwiadowców musiał iść zwolnionym tempem, by sapiący z wysiłku *busierec*-człowiek mógł nadążyć. Zbyt osłabł, by własnoręcznie walczyć z Czarnymi. Przeprowadzał je tylko przez Linie i wystawiał na ogień legionistów. Jak dotąd ta strategia przynosiła sukcesy – nadal był w stanie odskoczyć w porę, odsłaniając pole do ostrzału. Z każdym dniem jednak przychodziło mu to z większym wysiłkiem.

Adiutant Croyn sprowadził Adamsa do kwatery dowódcy.

Sykenu leżał na pryczy. Futro porastające jego twarz wyleniało, odsłaniając matowo-czarną skórę. Dzisiaj jednak skóra na jego twarzy była ledwie szarawa. Chrapliwie wciągał powietrze do płuc.

– Pić... – wyszeptał.

Croyn podsunął mu kubek z winem.

– Dlaczego *sotnik* leży w kirysie? – zapytał Adams.

– Nie rozkazał zdejmować – powiedział adiutant.

– Nie chcę, żeby Croyn się zranił – powiedział Sykeny. – Wszystko we mnie jadowite, wszystko trujące...

Croyn podniósł go na łokcie, żeby dowódca usiadł wygodniej.

– Sam zdejmę, tylko słabość przejdzie.

– Jasne – burknął Adams.

Rozsupłał *sotnikowi* węzły rzemieni. Zsunął kirys. Przyglądał się uważnie dobrze uformowanym twarzom paradoksalnym na piersi *sotnika*. Imitującymi oczy gruzłami ze skóry obie zerkwały ciekawie na Adamsa. Co chwilę któraś wykrzywiała się do niego złośliwie.

– Jeszcze swędzi? – Adams nacisnął igłą lewą narośl. Ta odpowiedziała grymasem przerażenia.

– Hjalmir twierdzi, że formowanie już się zakończyło – powiedział Sykeny. – Mam ich cały zestaw.

Adams nie odezwał się.

– Jaja mi zarosły taką bulwą – Sykeny dorzucił po chwili desperackim tonem.

– Też stroi miny?

– Podobno już tak. – Sykeny duszkiem osuszył kielich do dna. – Croyn!

Adiutant wrócił z dzbankiem. Nalał też Adamsowi.

– Miałem ptaka, mam ptaka – powiedział Sykenu. – Narośl wygląda jak ptasi łeb. Ma ptasi dziób i język.

Futro Sykenu liniało na całym ciele, prześwitywały płaty gołej skóry. Wokół szyi wisiała luźna fałda. „Drugi podbródek sięgający dookoła szyi jak kołnierzyk?”, pomyślał Adams.

– Jeszcze coś się formuje – wskazał na fałdy różowej skóry na szyi *sotnika*.

Sykenu usiadł na pryczy.

– Już się uformowało. A drugie takie samo wokół bioder. Nawet wiem, jak działa.

Adams spojrział na niego pytająco.

– A... takie *busiercze* wspaniałości... – Sykenu machnął ręką. – Ciekawe, co jeszcze na mnie wyrośnie.

Pociągnął głęboki łyk. Na oblicze wróciły normalne kolory, znów było węgliście czarne.

– Hjalmir twierdzi, że to taka wspaniałość starego *busierca*. Taka rekompensata, kiedy już nie może.

– A co to takiego?

Sykenu wlepił spojrzenie w jeden punkt ze szczególnym napięciem, zeszywniał i zamilkł.

Skóra wokół jego bioder zaczęła podnosić się, tworząc coś w rodzaju fartuszka pokrytego drobnymi żyłkami. „Zupełnie jak motyle skrzydełka”, pomyślał Adams. „Nawet jest na nich wzorek, tyle że uformowany z czerwonych naczyń krwionośnych”.

– Idiotyczne, ale *gabery* nie mogą od tego oderwać wzroku – powiedział Sykenu. – Idą za mną jak nieprzytomne.

– Jak to podnosisz?

Sykenu uśmiechnął się.

– Najgłupsza rzecz na świecie. Nadymam się, jakbym chciał robić kupę. Hjalmir twierdzi, że wtedy krew się w tym gromadzi i skrzydełka usztywnia. Tyle że czasem co po tym zostanie pode mną...

Adams nie spytał, jak Sykenu prezentuje ozdobę szyi.

– Nikt nie pamięta, żeby Czarne tak się garnęły na naszą stronę – powiedział. – Szczególnie *gabery*, to pewne.

– Ale z *gaberami* się już skończyło. Przez tę cholerną gębę lustrzaną... – urwał i zamilkł, sącząc wino. – Durny, ptasi dziób.

– Większość *busierców* ma twarze paradoksalne.

– Widać taki los starego *busierca*. Chwilę patrzył przez okno.

– Ale co zaliczyłem, to moje – powiedział. Znowu usiadł. Chwilę pił w milczeniu.

– Szkoda tylko, że Złota mi nie dała. No, ale ty szedłeś wcześniej... Całej reszty nie żałuję.

– Może Złota była twoją córką – rzucił nieoczekiwanie Adams. Postanowił pokrzepić *sotnika* swoim wymysłem. – Jasne włosy, niebieskie oczy, zarys twarzy Adali...

– Co?

– Płaskowyż to dziwne miejsce. Pamiętasz, jak tam się szło: dni całe, tygodnie, miesiące, a przecież ani człowiek nie był głodny, ani spać się nie chciało. Szedłem wiele dni, a doganiałem ciebie, któryś w tym czasie nie ruszał się z miejsca.

– W istocie tak było. A potem okazało się, że szliśmy niecały miesiąc, chociaż żaden z nas nie przespał ani chwili. – Sykenu potarł nerwowo czoło.

– Zagwarantujesz, że tam przeszłość nie przeplatała się z przyszłością...? – powiedział Adams. „Aż takie zawirowanie czasu, żeby spotkał swoją córkę, zanim ją począł, jest nieprawdopodobne. Przynajmniej nie myśli o swoim nieszczęściu”.

Rozwijał więc dalej nierealny pomysł.

– Może ona wiedziała, że jest twoją córką, i dlatego cię unikała.

Sykenu rozważał słowa Adamsa. Widać było, że go uspokoiły. Wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Wiesz, to piękna córka... I jedyna – powiedział w zamyśleniu. – Żeby jej tylko inne Czarne nie zagryzły.

Oczy mu zwilgotniały.

– Nie zdążyłem zostawić jej brata – dodał po chwili. – Żeby ją obronił przed Czarnymi.

– Póki mogłeś, ostro sobie poczynaleś z *gaberami*. Może i jaki Złoty Busierec teraz też ugania się po płaskowyżu...? – Adams konsekwentnie podtrzymywał mit. Sykenu natychmiast przywiązał się do myśli, że Złota była jego córką. Zbrodnią byłoby go teraz z tego wyprowadzać. A może wbrew zdrowemu rozsądkowi to jednak prawda?

– Nie, on też by jej nie pomógł przeciw tylu *busiercom*. – Sykenu zwiesił głowę. – Ja nie ochroniłem Adali przed ojcem.

Chwilę łapczywie wciągał powietrze.

– Engilu! – powiedział głośno. – Pójdź na płaskowyż i znajdź Złotą. Sprowadź ją do Krum i ożeń się z nią. Złote są dobrymi żonami. Robotne i małowówne. – Zachichotał. – Będziesz miał z niej więcej pożytku niż z Adali.

– Boję się iść na płaskowyż, żeby przemiana nie podążyła dalej.

– Aa... zapomniałem. – Sykenu machnął ręką. – Ale jak ją przypadkiem znajdziesz, to możesz mieć dwie żony: Adalę i Złotą. Nikt ci nie zabroni, przecież Złota to *gabera*.

Adams poprawił mu zwiniętą skórę pod głową. „Złota weszła w Płomieniste Wrota”, pomyślał. „Pewnie już tam przepadła, jeśli była półczłowiekiem”.

– Jakie rozkazy na jutro, panie? – włączył się Croyn. Sykenu spojrzał na niego nieobecny wzrokiem.

– Na jutro...? Te same, co dzisiaj – dodał pewnie. – Poganiamy się z Czarnymi. Same pchają się nam na widelec. – Pokiwał wielką czarną głową. – Karta w końcu się odwróci. Pokapują się i zmieniają taktykę.

– Ludzie są przemęczeni – powiedział Croyn. – Jest pięciu rannych.

– Przemęczeni?! – Sykenu nagle ryknął wściekle. – Dupy z okopu nie wystawiają, a ja im sprowadzam zdobycz!

Sapał rozwścieczony, aż nagle wokół głowy wystrzeliła mu ni to czerwona aureola, ni to kryza. Uniosła się górna ozdoba. Zasyczał jak rozwścieczona agama.

– Czym to się przemęczyli!? Dłubaniem w zębach czy popierdywaniem w okop?!

Odpowiedziało mu milczenie.

Po chwili uspokoił się, zaczął dyszeć. Wściekłość minęła. Krwisty kołnierz pobladł i opadł.

– Jak się to cholerstwo podniesie, to od razu mi się ćmi we łbie – powiedział zmienionym głosem. – Cała krew do tego odpływa, a przed oczami biegają mroczki. Nie wolno mi się denerwować.

Milczący Croyn podsunął mu puchar. Sykenu łapczywie pociągnął kilka łyków. Dobrze. Podniecenie mijało, twarz nabierała normalnych kolorów.

– Mnie stale brakuje ruchu. – Wyciągnął się wygodniej. – Dobrze... – powiedział po chwili – ...to jutro zrobimy co innego: zaczekamy u siebie. One same podejda pod mury.

Chwilę milczał.

– Czy to, co robię, jest bratobójstwem? – rzucił pytanie. Nie dostał odpowiedzi.

Zrezygnowano ze zwiadów, ponieważ okazały się niepotrzebne: brańców było więcej, niż można było wyżywić, a Czarne same pchały się pod lufę.

Oddział zamknął się w wartowni. W widocznym miejscu na murach siedział gardzący śmiercią *sotnik*, a Czarne schodziły się, jakby chcąc mu oddać pokłon. Widać potrafiły go teraz wywąchać z dużej odległości. Przyciągał je jak magnes. Gdy zebrało się ich dość, Sykenu dawał ręką znak i padała salwa z obrzynów. Potem na pobojojwisko wychodził oddział zbierający zdobycz. Sztyletami spuszczała krew z rannych i zabitych Czarnych. Ciała znoszono na dziedziniec, gdzie Hjalmir je skórował, Adams mu w tym asystował. Ponieważ każdy z żołnierzy miał już kilka paradnych skór, nowo zdobyte przeznaczano na sprzedaż do Krum lub wymieniano je na ładunki prochu z Nocną Granią. Tam od miesiąca ani jeden Czarny nie podszedł do murów.

Hjalmir uważał, że dziwne zachowanie Czarnych wywołane zostało przemianą *sotnika*. Nie starzał się jak zwykły *busierec*, zbyt wiele było w nim z człowieka. Według Hjalмира, to właśnie mogło tak przyciągać Czarne. Przed mury przychodziły wyłącznie *gabery* albo *suki* Stworów Nocy.

Wieczorami żołnierze pili na umór i grali w *astragale*. Więcej obrażeń powodowały sprzeczki przy hazardowej grze niż walka.

Bezczynność jest najgorszym wrogiem legionisty. Sykenu doskonale zdawał sobie z tego sprawę, jednak zaradzić nie potrafił. Już nie był w stanie poruszać się o własnych siłach. Na mury wychodził równo ze świtem, prowadzony pod ramiona przez dwóch najwierniejszych pretorian, zwykle Croyna i Nehanu. Reszta *pretorii* ciasno otaczała go ze wszystkich stron, żeby niepowołane oko nie dostrzegło, jak *sotnik* nieporadnie powłóczył nogami. Na czele szedł zawsze Reutel, dzierżąc sztandar legionu. Jego rosła sylwetka dodatkowo osłaniała kulejącego dowódcę.

Sykenu od połowy uda w dół nie władał nogami ani nie miał w nich czucia. Kolana usztywniono mu przywiązanymi laskami; na podudziu w zastraszająco szybkim tempie tracił mięśnie i jędrność tkanek. Podobnie działo się z jego przedramionami, ale te można było ukryć pod połami szaty. Ledwie już widział na oczy. Niedosłyszał. Czaszka *gabery* wolno, lecz konsekwentnie zarastała oczodoły oraz zaciskała otwory uszne – dziwne, że mózgu jeszcze nie gniotła. Reutel podpowiadał niedołącznemu *sotnikowi*, kiedy należy dać rozkaz otwarcia ognia. Sykenu wtedy unosił ramię. To jeszcze dawał radę robić.

– To nie może trwać długo – powiedział kiedyś Hjalmir. Właśnie skończył oględziny *sotnika* i naradzał się w sąsiedniej izbie z Adamsem. Rozmowie przysłuchiwał się chmurny Reutel.

– Ile? – rzucił.

Adams siedział w kącie, obejmując ramionami kolana. Trzęsły nim dreszcze. Starał się pić dużo gorących płynów, pocił się obficie. On też słuchał opinii chirurga.

– To raczej życzenie niż ocena – powiedział Hjalmir. – Codziennie widzę nowe, zdumiewające zniszczenia na jego ciele i codziennie uświadamiam sobie, że jego organizm i z nimi sobie

poradził. Obecnie rozkładają się twarze paradoksalne: ich kontury rozmyły się, teraz to zaledwie wypukłe narośla, nie przypominające rysów twarzy. Dawno już przestały naśladować mimikę, nerwy sterujące nimi obumarły.

– Kasa legionu jest pusta – powiedział Reutel. – Skoro idzie nam tak łatwo, Krum przestało płacić należną kontrybucję. Dociera niewiele i nieregularnie. Ceny za skóry i za niewolników spadły do poziomu nieznanego od lat. Nawet i to źródło dochodów legionu prawie wyschło.

– Więcej rąk do pracy spowoduje wzbogacenie się mieszkańców Dolnego Miasta – powiedział Adams. – Zapotrzebowanie na skóry i czaszki Czarnych wróci.

– Prawdopodobnie tak. Jednak dopiero po długim czasie. Zdążymy zdechnąć z głodu.

Adams hałaśliwie podrapał się po pokrytym liszajami nadgarstku.

– Co tam głód... – powiedział po chwili Reutel. – Wkrótce skończą się zapasy prochu. Już dwa razy wysyłałem tragarzy na Nocną Grań.

Obóz na Nocnej Grani przestał dosyłać ładunki prochu. Twierdzili, że się im skończyły. Reutel uważał, że próbują wyłamać się spod zwierzchnictwa Sykeny. Nawet jeśli tak było, to w obecnej sytuacji nie było sposobu, by narzucić Huggemu posłuszeństwo. Widać opowieści o zwierzęcym wyglądzie, dziwnym zachowaniu *sotnika* i rozprzężeniu panującym w *Wentzlu* zrobiły swoje. Na dodatek pomysł obwarowania obozu na Nocnej Grani, wzniesienia tam drugiego *Wentzla*, nie podobał się starym legionistom. Uważali, że siłą legionu jest mobilność małych pododdziałów zwiadowczych, a zamknięcie się w forcie zachęci tylko Czarne do frontalnego ataku, który przy ich olbrzymiej przewadze liczebnej zakończy się klęską Szczurów. Zbyt świeże były wspomnienia klęski poprzedniego obozu. Poza wszystkim wzniesienie drugiego *Wentzla* to wielki koszt i wysiłek inżynierski, a obecnie kasa legionowa świeciła pustką.

Sykeny leżał bezwładnie na pryczy. Dziś po raz pierwszy nie wyszedł na blanki. *Pretorianie* nie mogli przecież, na oczach wszystkich legionistów, nieść na ramionach półprzytomnego dowódcy.

Kto dałby znak do salwy? Coraz głośniejsze mówiono o jego słabości. Szerzyły się plotki o śmiertelnej chorobie *sotnika*.

Adams poprawił na poduszce rozpaloną głowę dowódcy. Ten to otwierał, to zamykał oczy. Coś cicho bełkotał. Charakterystyczny odór jego potu wiercił w nosie. Przy drzwiach siedział Croyn posępny jak chmura gradowa. Popijał wino, dolewał sobie co chwilę. Przed Adamsem nie krył się z piciem na służbie.

Sykeny uniósł ciężkie powieki. Przez chwilę jego wzrok błędził, aż wreszcie odnalazł twarz Adamsa.

– Engilu? – upewnił się.

– Tak.

– Kiedyś mówiłem ci, żebyś poślubił Adalę. Tam na płaskowyżu. Pamiętasz?

– Tak.

– Nie odpowiedziałeś wtedy ani „tak”, ani „nie”.

– To prawda.

– Ja wiem, że ona ci się należy. Jesteś tu drugim bohaterem, a ona to siostra *sotnika*, najlepsza partia w Krum.

– Tak.

– Nie żęń się z nią, proszę... Sykeny sapnął głośno. Chwilę milczał.

– Nie chcę, żeby rodziła takie włochate bestie jak my. Adams zadrżał. Rzucił okiem na splechcę

czarnego futra na przegubie ręki. Unikał myśli o swojej przemianie.

Nie wiedział, co mu odpowiedzieć. To mogły być tylko humory dziwaczejącego dowódcy. Sykenu mógł nagle zmienić zdanie i poczuć się obrażony odrzuceniem Adali. Deklarując się, Adams odsłaniał się przed nim.

– Chciałem wziąć sobie Renatę – powiedział jednak.

– Renatę? Tę Drubbaalową?

Adams skinął głową.

– Ale ona niespłacona – Sykenu zatroskał się. – Drubbaal wykupił większość jej *tarhatum*, a teraz nie wiadomo, jak to rozwikłać. Rozstrzygnięcie takiej sprawy może trwać latami.

– Masz jego *simbolon*? Nie zniszczył go?

– Mam jego *simbolony*.

– Możesz mi dać odpowiedni. Należy mi się coś od Drubbaala za to, że wysłał mnie na pewną śmierć.

– Racja, należy ci się. Ona też ci się za to należy. Dam ci też *simbolon* Hrabbanowy. Byłeś jego niewolnikiem, ale posiadającego jego własny *simbolon* ojciec będzie traktował poważniej.

Skinął na Croyna, a ten pomógł mu wybrać z mieszka dwa właściwe ułamki ceramiki. Adams sprawdził, że są na nich imiona Drubbaala i Renaty, a na drugim Drubbaala i Hrabbana. Następnie schował oba znaki za pazuchą.

Od dwóch dni Sykenu nie odzyskiwał świadomości. Wił się w barłogu strzeżony przez najwierniejszy *korpus pretorii*. Koce i skóry zawieszane w sali tłumily dobywające się z jego gardła zwierzęce wycie. Adams i Hjalmir nie odstępowali go na krok; Reutel zaglądał co godzinę.

Adams tkwił pod ścianą zwinięty w kłębek, z lękiem patrzył na przemianę *sotnika*. Obawiał się, że i jego to nie ominie. Odruchowo skubał czarne kudły, porastające prawy bok. Wiele ich już wypadło, ale jeszcze sporo pozostało. Rany na wierzchach dłoni goiły się. Jednakże to nie uspokajało.

Oto przed nim dogorywał ostatni towarzysz straceńczej wyprawy. Wprawdzie większość czarnych kudłów na ciele Sykenu wyleniała, jednak spod nich wychodziła zarumieniona, chora skóra, która sączyła się bezbarwną surowicą i pękała na całej grubości, odsłaniając podskórny tłuszcz. Twarze paradoksalne zamieniły się w przypadkowo rozmieszczone gruzły. Przemiana Sykenu sięgała jednak znacznie dalej: nie władał już ani rękami, ani nogami, a jego kończyny stały się nienormalnie chude, giętke i sflaczałe, jakby kto wywlekl z nich kości. Macając pod włosami, dawało się wyczuć zmieniony kształt czaszki o mocno zredukowanej, wąskiej puszcze mózgowej – Rozpuszczają mu się kości – powiedział Hjalmir, badając ciało Sykenu. – Inaczej nie potrafię tego wyjaśnić. – Spojrzał na Adamsa.

Ten notował wymiary malejącej czaszki dowódcy, mierzone przez chirurga drewnianym cyrklem.

– Organizm wchłania wapń, kość mięknie.

– Może i tak jest. – Hjalmir wzruszył ramionami. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Do czego może ten wapń zużywać?

Adams rozłożył bezradnie ręce.

– Zwykle do utwardzenia kości, może zębów... – powiedział.

Hjalmir skończył oględziny *sotnika*. Skinął na Adamsa, żeby razem wyszli. Zwykle dzielił się uwagami z Adamsem w *pretorium*. Od chorego felczera nie spodziewał się nowych spostrzeżeń, raczej dyskutował sam z sobą, szukał lepszych uzasadnień dla własnych obserwacji. Na miejscu zaczął od poszukiwań dzbana. Akurat wszedł *decymus pretorii*. Hjalmir dostawił trzeci kubek.

– Znowu ustrzeliliśmy Czarnego, który podszedł pod jego kwaterę. – Reutel odpiął *gladius* i przysiadł obok Adamsa. – *Busierce* tkwił, wyjąc, pod samymi murami dokładnie na wysokości kwatery *sotnika*. Jak one wyczuwają jego obecność, skoro jęki ledwie słyhać w sąsiedniej izbie?

Obecnie Czarnych podchodziło pod mury mniej. *Gabery* zostawały na płaskowyżu, pod *Wentzla* docierały jedynie stare *busierce* o wielu twarzach i łbach paradoksalnych na piersiach czy plecach. Krojący je Hjalmir twierdził, że to wyjątkowo stare osobniki, które czują nadchodzący koniec.

– Czarne mają wyjątkowo ostre zmysły. Mogą coś czuć – powiedział Adams.

– Węższą swego?

– Raczej niecałkiem swego. Za schwytanymi Czarnymi nie przekraczały Linii – zauważył Hjalmir.

– Wy coś wężycie, Krawiec? – rzucił Reutel.

– Nie, nic. Chociaż po tamtej stronie Linii wydawało mi się, że mam wyjątkowo wyostrzone zmysły. Potrafiłem wyczuć zapach *sotnika* na kilka metrów. Różnił się od odoru Golców i zapachu Czarnych.

– Nie odwrotnie?

– Nie. Tak właśnie odczuwałem te wonie. Teraz już ludzie przestali mi śmierdzieć.

Z pokoju *sotnika* dobiegał słaby skowyt. Zaraz potem rżenie, które przerodziło się w gardłowe chrapnięcie.

– Ile to będzie jeszcze trwało? – Reutel skinął głową w tamtą stronę.

– Od przedwczoraj przyśpieszyło.

– Nadal nie wiecie, co go czeka?

– Pierwszy raz widzę coś takiego – powiedział Hjalmir. – Krawiec nie traci świadomości. Jego przemiana jest inna.

Reutel zerknął przez ramię na Adamsa.

– Wy też, Krawiec?

– Myślę, że inna, sam nie wiem... Ręce się goją. Myślę, że mój organizm odrzucił skórę *gabery*, dlatego gniłem przez jakiś czas. Jestem świadomy, poruszam się o własnych siłach.

– Jeśli to prawda, to samo będzie ze skórą na kostkach nóg i na boku – powiedział Hjalmir.

– Prawdopodobnie już wkrótce. Skóra jest podrażniona i zasiniona. Zgoliłem futro w tych miejscach.

– A co z tym niewidocznym czynnikiem zakaźnym, o którym tyle zawsze opowiadałeś?

– Staram się utrzymać czystość. Tyle mogę. Nie zabijajcie mnie.

– Jestem daleki od zabijania bohaterów – powiedział Reutel. – Zaszliście dalej niż ktokolwiek inny. Zaslugujecie na życie chociażby po to, aby innym przekazać swoją wiedzę. Ale pomóc wam

przeżyć nie zdołamy. Sami musicie się z tym uporać.

– Wiem.

„Jak przeżywają ci, co zaszli jeszcze dalej?”, pomyślał Adams. „Na przykład Grieta w brązowym kubraczku”.

Hjalmir zszedł do Krum zarobić trochę grosza. Na Linii panował spokój, a stan zdrowia *sotnika* wydawał się stabilny. Obecnie w *Wentzlu* nie prowadzono żadnych zwiadów, a Czarne pod mur przestały podchodzić. Nadeszły chude czasy dla chirurgów.

Jednak akurat pod nieobecność Hjalмира nastąpił przełom w przemianie *sotnika*. Stan Sykeny pogarszał się z każdą godziną. Tułów jego pęczniał, stawał się coraz bardziej walcowaty. Na wieczór Reutel zdecydował wynieść go na Linię; uznał, że tam sytuacja musi się wyjaśnić. Skoro *sotnik* przemienia się w Czarne, niechże to się już stanie. Zasluguje na uwolnienie.

– Pójdiesz z nami na Linię – powiedział do Adamsa.

– Obawiam się tego jak śmierci. Chcę uniknąć przemiany w Czarne, a tam grozi mi ona najbardziej.

– A może to najlepsze, co cię może czekać? – *Decymus* spojrzał na niego poważnie. – Przynajmniej sprawa wyjaśni się: czy jesteś jeszcze człowiekiem, czy już bestią.

– Wolę pozostać, kim jestem. Nawet w trakcie zatrzymanej przemiany.

– Jeśli przemienisz się i nie zaatakujesz nikogo z nas, pozwolimy ci odejść wolno – powiedział Reutel. – Tak jak jemu. – Wskazał na poruszający się niezbornie obły kształt.

– Mogę jednak zostać?

– Lepiej idź. Kiedyś mogę nie upilnować żołnierzy. Rozochocili się polowaniem na Czarne.

Zawiniętego w prześcieradło Sykeny wynieśli na Przełęcz trzej *pretorianie*. Towarzyszyli im Adams i Reutel. Wszyscy oprócz Adamsa mieli broń. Wymknęli się boczną furtą wartowni. Żadnego Czarnego nie było w zasięgu wzroku. Pojedynczy *busierec* zapuszczał się tu teraz nie częściej niż raz na dwa, trzy dni. Adams po drodze zerwał strzępek skóry z plamy na prawym boku. Nawet nie krwawiła.

Zeszli na płaskowyż, ale niedaleko, i skryli się w kolebie. Sykeny zostawili w dobrze widocznym miejscu.

Adams drapał się zawzięcie.

– Bierze się za mnie – powiedział. – To swędzi, kiedy wrasta w człowieka. Sykeny stale uskarżał się na świąd na płaskowyżu.

– A ty?

– Też, ale znacznie mniej.

– Cii... – szepnął Reutel. – Patrz na niego.

Sykenu wił się jak wąż, jego twarz wyrażała ogromne cierpienie i wysiłek. Wydawał z siebie zduszone jęki. Obrócił się na brzuch, pod białawą skórą na grzbiecie prześwitywało coś ruchomego, dokładnie w miejscu, gdzie powinien być kręgosłup. Nagle napięta do niemożliwości skóra pękła, odsłaniając węzowy, segmentowany splot. Jeden, potem drugi.

– Zabijcie go! Zabijcie go natychmiast! – powiedział podniesionym głosem Adams. – Widziałem już taką przemianę. On nie przemienia się w Czarnego.

Głowa Sykeny uniosła się na węzowym ciele, poruszała się bezładnie, rzucając we wszystkie strony nieprzytomne spojrzenia. W przekrwionych oczach płonął obłęd.

– Reutel, wydajcie rozkaz! Jego trzeba przenieść przez Linie i zaraz zabić. Powstaje z niego nędzny, zredukowany stwór: wąż o ciele segmentowanym jak larwa owada. Pachom nie zasługuje na tak nikczemny koniec!

Prefektus zawahał się przez moment.

– Mamy gości – *simpel* przerwał tę wymianę zdań. Podbródkiem wskazał na zbliżające się trzy rosłe *busierce*. Już nie można było opuścić kryjówek.

Sykeny nie przemienił się nawet w segmentowanego węża. Przemiana nie przebiegła prawidłowo. Z pękniętej, wyschłej skóry wylaniały się nierówne sploty, do których w przypadkowych miejscach doczepione były różne narządy wewnętrzne: tu zniekształcone, ale ciągle bijące serce, tu płat wątroby, niżej żołądek spinał ze sobą dwa sploty węzowego cielska, w innym miejscu dyndała samotna nerka uwieszona na moczowodzie; ogon kończył się groteskową stopą. Powstały twór nie potrafił się sprawnie poruszać: ruchy kolejnych zwojów przeszkadzały sobie nawzajem.

„Skóra *gabery* nie jest jedynym promotorem przemiany postaci u Czarnych”, ocenił Adams.

Pokraczny wąż zdziwił swoim wyglądem również nadchodzące Czarne. Zareagowały po swojemu: najpierw zaczęły odrywać organy przyrośnięte do jego splotów i kosztować, jak smakują. Następnie wzięły się za resztę jego ciała.

Pachom już wcześniej wyzionął ducha, kiedy zaraz na wstępie litościwa dłoń jednego z *busierców* wyszarpała mu serce.

Po Sykeniu *sotnikiem* został Reutel. Nie mógł dłużej się wzbraniać. Starzy dowódcy wykuszali się, młodszy był jeszcze zbyt niedoświadczony. *Decymę pretorii* objął Croyn. Oficer, podobnie jak Pachom, bardzo utalentowany, ale zbyt młody na *prefektusa* i w gorącej wodzie kąpany. Jednak boleśnie brakowało mu wyszkolonych żołnierzy. Co więcej, Croyn zbyt krótko był adiutantem *sotnika*, żeby się dość nauczyć. Ile zresztą można było nauczyć się od tak dziwnego dowódcy, jakim był Sykeniu...?

Hjalmir wrócił z Krum ponury jak chmura gradowa. Nie było go wszystkiego trzy dni, a wtedy akurat zaszły najważniejsze zmiany w wyglądzie *sotnika*. Przemiana interesowała go jako lekarza i jako badacza, a właśnie jej przełomowy moment przegapił. Adams nie miał odwagi spytać, czy chirurg odwiedził domostwo Hrabana.

Z twierdzy Hjalmir przyniósł niepokojące wieści, ale na razie trzymał język za zębami. Szybko uporał się z dolegliwościami żołnierzy i wziął się za przeszukiwanie archiwów oraz dołączenie do nich swoich ostatnich raportów. Robota szła wolno, gdyż obecnie zatrudniony tam *rachubiec* cechował się przysłowiową wręcz głupotą. Trudno inaczej ocenić kogoś, kto miał czytać raporty potrafi tylko je podrzucać, zarazem narzekając na górę papierów, która go rzekomo przysypuje. „A niby od czego jest *rachubiec*?”, pomyślał z pogardą Hjalmir. „Jak nie od roboty z papierami? Jeśli nie chce się tym zajmować, niechże ruszy dupę do służby patrolowej”. Ten osobnik nie ułatwiał w najmniejszym stopniu dostępu do archiwów, na ogół twierdząc, że zapisów nie ma lub że się nie zachowały. Hjalmir nie miał czasu, żeby sprawdzać wszystkie kłamstwa leniwego bibliotekarza. Spodziewał się przecież, że wkrótce nadejdzie punkt kulminacyjny przemiany *sotnika*. Pomylił się ledwie parę dni.

Jako obiekt badań pozostał jedynie Krawiec, ale jego przemiana na razie nie nabierała tempa ani wyrazistości. Na dodatek coraz więcej wskazywało na to, że skóra Czarnej nie przyjęła się na nim i obumiera.

Adams gapił się bezmyślnie w zasnuty mgiełką horyzont. Wydawało mu się, że powierzchnia wody nie tworzy równej linii. Starał się siłą woli zmusić oczy, by przestały go oszukiwać, jednak nie dało się pokonać gorączki. Z prawego boku ciekła limfa. Skóra złuszczała się warstwami. Czarna sierść linała. Zakutany w pled, na chłodzie wieczornym beznadziejnie szcząkał zębami.

„Kiedy wreszcie temperatura opadnie?”, kołatało w głowie.

Rano był tak rozpalony, aż przestraszył się, że umrze od hipertermii. Hjalmir zaordynował mu kąpiel w beczce zimnej wody. Mimo gorączki Adams przemarzył niemal na kość. Teraz czuł, że się przeziębził i przyplącze się zapalenie płuc.

Hjalmir usiadł obok niego.

– Myślałem, że prędzej zastanę żywego Pachoma niż ciebie, Krawiec – powiedział. – Skoro przeżyłeś te trzy dni, to wyjdiesz z tego. Tak czuję.

– Cienko ze mną. Roi mi się, że horyzont się pokrzywił.

– W istocie nie stanowi on już linii prostej. Stąd z obozu odkształcenie jest wyraźne.

– Odkształcenie...?

– Wzrok cię nie myli, Krawiec. Nasz władca znowu nadpływa. Przywiezie nam z powrotem Drubbaala.

Adams zmartwiał.

– Strach pomyśleć, jak będzie wyglądał *sotnik* – powiedział Hjalmir. – Zostawili go przecież na Wietrze Noży.

– Drubbaal wróci?

– Tak uważają *macajbaby*. Nie chciałbym być wtedy w twojej skórze ani w skórze Reutela. Moja skóra też nie będzie zbyt ciekawym pomieszczeniem... – Wzruszył ramionami i zniknął w *pretorium*.

Zaraz potem *pretorianin* wezwał tam Adamsa. Słaby, rozgorączkowany, wspierając się na kiju, podreptał za powiewającym szkarłatnym płaszczem dziarskiego żołnierza.

Reutel polecił mu usiąść w kącie sali i przysłuchiwać się naradzie. Poważał Adamsa dla jego wiedzy.

Oprócz *sotnika* i chirurga w sali zgromadzili się Croyn, Hugge, Nehanu i nestor Quirinu.

– Obermacajbaba nawet nie przyjął do wiadomości śmierci Drubbaala – relacjonował Hjalmir. W twierdzy nadal uważano, że to on jest dowódcą. Pachom mógł co najwyżej pełnić jego obowiązki. Uznano, że Drubbaal wróci i ponownie obejmie dowodzenie. Dopiero wizyta Pana z Morza i jego stosowna decyzja mogła to zmienić. Według Izabbaala dowodem było to, że Pachom nie nosił imienia. Drubbaal musiał przejść swoją drogę, by wrócić jakby na następną kadencję.

– Tłumaczenie mu, jak zginął Drubbaal, nie ma obecnie sensu – zauważył Quirinu. – Nie da wiary.

– Sądzę, że on sam zamierza przejąć funkcję *sotnika*.

– *Macajbaba sotnikiem?* – prychnął Croyn. – *Sotnik* zawsze dowodzi na Linii. Izabbaal nie ma żadnego doświadczenia.

– Ma imię. Poza tym żadne prawo nie nakazuje *sotnikowi* dowodzić na Linii. To zwyczaj, a zwyczaje ulegają zmianie... – zauważył Reutel.

– Izabbaal ani jego *decymy* nigdy nie walczyli. Nie utrzymają Linii – nie ustępował Croyn.

– Nasze sukcesy w ostatnim czasie pokazały, że Czarne nie stanowią groźby. Może przeciw nim dowodzić nawet kwatermistrz z tyłów – powiedział Hjalmir. – Izabbaal wyciągnął właściwy wniosek z dostępnej informacji.

– Gdyby znał prawdę...

Macajbabom nie ujawniono na razie przemiany Sykeny. Nie wiadomo przecież, jak garnizon twierdzy przyjąłby informację, że dowódcą legionu nie był człowiek.

– Obawiam się, że mogą nas zbrojnie ściągnąć za kark z Linii. Jeśli nie podporządkujemy się decyzjom Izabbaala.

– Kto ściągnie? *Macajbaby*? – roześmiał się Croyn.

– Jest ich trzy razy więcej niż nas. Przynajmniej siedemdziesięciu dwóch ludzi – powiedział dowódca. – Pamiętaj, że stanowią nasze uzupełnienia. Każdy z nas wywodzi się z ich oddziału. To nie są źli żołnierze.

– Dlaczego w takim razie dotąd rządziły Szczury...? – włączył się Adams. Jeśli jego rady miały być cokolwiek warte, powinien orientować się w sytuacji.

Wszyscy spojrzeli na niego. Choć był nadal rozpalony gorączką, nie wyglądał już na umierającego.

– Bo mieliśmy broń palną. – Reutel pokiwał głową. – Cały zapas broni palnej posiadają oddziały liniowe. Zawsze mogliśmy *macajbabom* narzucić nasze decyzje.

– Nadal ją mamy.

– Tak i nie. Zostało wszystkiego po dwa, po trzy naboje na *simpla*. W razie buntu Izabbaala nie sprostamy garnizonowi... – Reutel zamilkł na chwilę. – Poza tym to on, nie ja, jest naznaczony imieniem.

– Przypadek – burknął Quirinu. – Pachom też nie był naznaczony.

– Przyniósł nowe imię ze zwiadu. Ja wcześniej zacząłem dowodzić, nim nadano mi odpowiednie imię.

– Izabbaal nie wie, że skończyła się nam amunicja – zauważył Adams.

– Zachowuje się, jakby sporo wiedział – odezwał się Hjalmir. – Jest hardy. Musi mieć powody. Albo dotarły do niego szczegółowe relacje ze sposobu walki Sykeny, albo w tajemnicy wykonano w Krum samopały dla jego żołnierzy, albo jedno i drugie.

– Może trzecie? – Quirinu poprawił się wygodniej na ławie.

– Niby co? – Chirurg spojrzał pytająco.

– Przeglądałeś archiwa Krum. Czy znalazłeś tam coś, co mogłoby go naprowadzić na takie przypuszczenia? Jakaś przepowiednię? Raporty, które mówiłyby o sytuacji podobnej do obecnej?

– Nic.

– Obermacajbaba nie umie czytać – zauważył Nehanu.

– W Krum jest trzech felczerów, wszyscy *decymusi* też czytają, podobnie z ośmiu legionistów. Poza tym uczą każdego, który idzie na Linie.

– Uczą pisać imiona. Tyle, żeby podpisać zgodę na dwadzieścia pięć lat służby. Za mało, żeby tę zgodę przeczytać, tym bardziej za mało, żeby przeczytać przepowiednię.

Gdy doszło do rad, dyskusja zrobiła się zgiełkliwa. Młodzi legioniści nawzajem zagrzewali się do walki z garnizonem. Lekceważyli wartość bojową żołnierzy zaplecza.

Adams uważał, że bratobójcza walka oznaczać będzie wyrok dla Dolnego Miasta. Ktokolwiek zwycięży, będzie zbyt słaby, żeby powstrzymać napór Czarnych na Linie. Ludzie znów dostaną się do niewoli nieludzkich bestii.

Jego opinii wysłuchano – nawet zapadło milczenie, kiedy mówił – jednak nie zrobiła wrażenia na rozgorączkowanych młodych dowódcach. Croyn rozłożył szary arkusz mapy, zaczęli rozważać możliwe kierunki ataku Izabbaala, planować środki obrony i przeciwuderzenia.

Kiedy przeszli do dat i zaczęli rozważać możliwość prewencyjnego ataku w trakcie wizyty Pana z Morza, Quirinu nie wytrzymał i walnął pustym pucharem w ławę. Rozgorączkowni dyskutanci umilkli. Osłabły, błądy, pożerany chorobą nestor nadal miał autorytet. – Przeprowadzona wojna czasem może być zwycięska, może przynieść pożytki. Dobrze przygotowana, ale uniknięta wojna przyniesie korzyści zawsze.

Quirinu wymienił spojrzenie z Reutelem.

– Jak uniknąć walki? – spytał Croyn.

– Izabbaal ma trzykrotną przewagę liczebną. Jednak zobowiązany jest przesyłać uzupełnienia na Linie. Pora, żeby podesłał nam żołnierzy... – przerwał. – Powiedzmy: ośmiu ludzi. Trzech na Nocną Grań, pięciu do nas.

– Tylko pięciu? – mruknął Adams.

– Dla mniejszej armii każdy nowy stanowi istotne wzmocnienie.

– Można będzie na nich polegać? – Adams nie był przekonany.

– O, tak. Na Linii każdy natychmiast staje się jednym z nas, Skalnym Szczurem. Za nic nie zostanie na powrót *macajbabą*.

– To cały plan? – rzucił Croyn. – To ledwie niewielka zmiana proporcji między naszymi i ich siłami.

– Tak. Ale każdy dzień pracuje dla nas. Dostawy prochu zaczną spływać lada dzień. Od śmierci Sykeny zużycie prochu spadło do zera, Czarne przestały przekraczać Linie.

Adams odniósł wrażenie, że rady Quirinu nie są wystarczające. Słabnący z każdym dniem *decymus* nie stworzył spójnego planu rozgrywki z garnizonem, rzucił jedynie kilka wskazówek. Słusznych i pożytecznych, ale czy to wystarczy?

Adams odżywiany był przez kuchnię *sotnika*. Reutel chciał, żeby rekonwalescent jak najszybciej wrócił do formy.

Quirinu udzielił Adamsowi kilku lekcji podstawowych technik obrony i ataku. Słabujący nestor zaprzestał służby patrolowej; do prostego szkolenia jeszcze się nadawał. Reutel nie ryzykował oddania mało rozgarniętego ucznia w ręce młodych, zapalczywych *decymusów* czy podoficerów, szkolenie bowiem przebiegało z użyciem normalnych bojowych pałaszy.

Nieoczekiwanie dla Adamsa, Izabbaal nie odmówił uzupełnień. Przysłał pięciu żołnierzy. Trzech dalszych zasiliło obóz na Nocnej Grani. Z Krum dostarczono nieco prochu, niewiele, bo produkcja szła wolno. Skoro Izabbaal nie śpieszył się do starcia, to i Szczurom pozostało spokojnie wyczekiwać. Czas pracował na korzyść Linii. Może uda się przeciągnąć sprawę do wizyty Pana z Morza i wtedy załatwić właściwe imię dla Reutela?

Wznowiono patrole. Golców w obozie było jeszcze dość, więc ograniczano się do penetracji płaskowyzu; prób zdobywania nowych brańców jeszcze nie podejmowano.

Tajemnicze pielgrzymowanie Czarnych pod *Wentzel* skończyło się z ostateczną przemianą Sykenu. Adams nie interesował ich zupełnie, nawet jeśli był już hybrydą dwóch organizmów.

Hjalmir uzupełniał swoje notatki.

– Wygląda, że obaj z Pachodem mieliście rację – powiedział niechętnie.

Adams spojrział na niego pytająco.

– Znalazłem kilka raportów o Złoty Giberach. Chociaż same stare. Z czasów, kiedy jeszcze pamiętano rządy Czarnych.

– Ile było tych przypadków?

– Siedem.

Adams pokiwał głową. Nie zamierzał przygwaźdzać chirurga złośliwościami.

– A przemiany Czarnych? Co o nich zebrano?

– Właściwie dla nas niewiele nowego. – Hjalmir wyciągnął zza pazuchy zrolowany papier. – Latający szczeniak; potem Stwór Ciemności; potem dorosły, rozumny Czarny, który przez jakiś czas może się rozmnażać, póki nie porośnie twarzami paradoksalnymi, pseudoskrzydłkami czy łuskami, skóra mu nie wyłysieje albo nie dostanie przebarwień; wreszcie segmentowany wąż.

– Sykenu próbował więc odbyć normalną przemianę.

– Właśnie. Ponadto niektórzy autorzy raportów uważali, że czerwie powstają z

segmentowanych węży.

– Czerwie?

– Tak. Towarzyszące wizytom Pana z Morza. To ciąg dalszy służby dla Pana, jaką jest całe ich życie.

Adamsa zaskoczyła dziwaczność przeobrażeń Czarnego.

– Co cię niepokoi w tych przemianach...? – rzucił Hjalmir, zupełnie jakby wyczytał to w myślach Adamsa. W Górnym Mieście zdarzało się to częściej, tutaj było rzadkością. – Człowiek też ulega przemianom. Zmienia zęby... Na jakiś czas staje się płodny, potem znowu przestaje takim być.

– Zdumiewa skala tych przemian, ich zupełność.

– Już zwierzęta niższe ulegają przemianom daleko poważniejszym: jajko, larwa, poczwarka... Te wszystkie formy są do siebie zupełnie niepodobne.

– Ale to owady.

– Właśnie. Skoro już tak proste stworzenia to potrafią, aż dziwi, dlaczego człowiek nie korzysta z tej możliwości, dlaczego nie wykorzystuje takich przemian dla swojego rozwoju. Fizycznego, umysłowego czy jakiego tam jeszcze... Może to właśnie Czarny pokazuje pełen zakres możliwości?

– Człowiek nie wykorzystuje swoich potencjalnych możliwości?

– A właśnie! Bo to jeszcze nie wszystko... – Hjalmir uśmiechnął się. – Przemiana Czarnego może zajść z pominięciem fazy rozumnej, a nawet fazy Stwora Ciemności. Szczeniak może od razu przeistoczyć się w węża, prawdopodobnie też od razu w czerwia. Taki skrócony czy uproszczony rozwój...

– Z pominięciem niepotrzebnego balastu myśli?

– Właśnie.

– Czy możliwe, że forma rozumna jest wynikiem krzyżowania z ludźmi? – Adams spojrzał podejrzliwie. – A kiedy ludzkiej krwi coraz mniej – uniknął niezrozumiałego dla Hjalмира słowa „geny” – to Czarny wraca do swej podstawowej przemiany?

– Wpadłem na to samo – powiedział Hjalmir. – Przepatrywałem archiwa właśnie pod tym kątem. Skoro istnieją Złote Gabery, skoro młode *losze* często wyglądają bardzo człekopodobnie, taka myśl była oczywista. Może właśnie dlatego *gabery* tak Ignęły do Sykeny. Nadzieja na ludzką krew, na rozumne potomstwo.

– To dlaczego mnie ignorują?

– Może straciły nadzieję, że się skusisz na którą...? A może w przemianie już zwyciężyła

ludzka część twojego organizmu i one przestały w tobie rozpoznawać bliską sobie istotę...?

– Masz na to zwycięstwo jakieś dowody?

– Żadnych.

Reutel starał się podnieść dyscyplinę oddziałów. Codziennie wysyłał na zwiad dwa *korpusy*. Jeden penetrował grań, drugi zapuszczał się na płaskowyż. *Sotnik* nie zabronił gry w *astragale*, ale zatrudnił beczynnych żołnierzy do prac inżynierskich. Otaczano *Wentzel* suchą fosą, podwyższano wewnętrzną linię murów o metr. Adams rozrysował plany machikułów, z których można by razić Czarne strugami wrzątku, ale z powodu niedostatku wody nie zyskało to uznania dowódcy. Przy okazji kopania fosy Hjalmir zaprojektował tajne podziemne wyjście z *Wentzla*, którego spory fragment wykonano. Prace szły powoli, aby ludzi nie przemęczać, ale prowadzono je codziennie. Fort wyludniał się co dnia, a na wieczór zmęczeni legioniści nie byli skorzy do bójek.

Reutel skłonił Huggego do rozpoczęcia budowy drugiego *wentzla* na Nocnej Grani. Roboty szły tam w ślimaczym tempie, lecz i tak głównie miały chronić przed beczynnością. Na razie wznoszono tylko jedną linię umocnień. Drugi fort miał charakter umocnionego obozu, nie małej twierdzy, w której można by się trzymać przez długi czas. Oddziały na Mrocznej Grani ubezpieczały Tibium, wliczaną w obręb Dolnego Miasta nadmorską osadę, znacznie mniejszą od Krum.

Stopniowo rosła karność oddziałów. Mijało rozprężenie z ostatniego okresu dowodzenia Sykeny, kiedy wszyscy zachowywali się dziwnie: i ludzie, i ich przeciwnicy.

Śmierci Sykeny nie sposób było w nieskończoność ukrywać przed garnizonem Krum. Inną sprawą było, że mieszkańcom Dolnego Miasta dotąd nie ogłoszono śmierci Drubbaala. Decydował o tym kwatermistrz, który uznał, że należy z tym poczekać, póki nowy dowódca nie schwyci spraw równie mocną ręką, jak poprzedni. Tymczasem nowy dowódca wprowadził dziwne (choć bardzo skuteczne) metody walki i miast odpędzić, raczej przyciągnął Czarne w pobliże Linii, dopuścił do bezprzykładnego spadku dyscypliny wśród Szczurów, a wreszcie zmarł w męczarniach. Postępowanie Izabbaala mogło być częścią jego gry o przejęcie władzy. Musiał też brać pod uwagę możliwość, że Drubbaal wróci z Drogi Trupa wraz z najbliższą wizytą Pana z Morza.

Reutel uznał, że informację o śmierci Sykeny może *macajbabom* przekazać Hjalmir. Uznaniem chirurgowi nie powinno wiele grozić, nawet ze strony niezyczliwie nastawionego kwatermistrza.

Wezwany przez adiutanta do *pretorium*, Hjalmir pomysł Reutela przyjął bez entuzjazmu.

– Właściwie powinienem tam zejść raz jeszcze – niechętnie przyznał. – Obermacajbaba paskudnie zakaził ranę. Płytkie zranienie goleni, ale zabagnione. Kość jest zagrożona, jeśli ropień rozwinie się dalej. Obejrzałem to, spuściłem ropę i przykazałem, co powinni z tym dalej robić, ale dobrze by było zobaczyć samemu...

– Czego sam nie mówiłeś wcześniej?

– Trzy godziny marszu w dół, potem pięć godzin znowu na górę. Za stary jestem, żeby często tak biegać.

– Nie potrzeba forsy?

– Na razie zebrało się jej dość. – Zerknął spode łba na dowódcę.

– Trzy dni starczyły?

– Tak wyszło... – Trudno było coś wyciągnąć z chirurga, jeśli sam nie chciał powiedzieć.

– Będziesz chciał obstawę na dół?

Hjalmir stęknął ciężko; opór nie miał sensu. Reutel zbyt nalegał, choć nie wydał rozkazu wprost.

– Po co mi obstawa? Od razu poczują pismo nosem.

– Wiedzą, że masz tu posłuch. Mogą cię cichcem ukatrupić, żeby pozbawić mnie doradcy.

– Wiedzą, że jestem najlepszy. Że nogi, które Jorge-Grizius obciąłby bez wahania, ja potrafię zachować dla właściciela.

– Na przykład nogę Izabbaala?

– Nogę Izabbaala na ten przykład...

Reutel uśmiechnął się do niego samymi oczyma. A twarz Croyna, który przysłuchiwał się ich rozmowie, rozjechała się w drapieżny wyraz.

Hjalmir rzucił po nich spłoszonym spojrzeniem.

– Nie, tylko nie to... – powiedział szybko. – Ucięta noga Izabbaala to byłby wyrok śmierci na mnie.

Reutel spoważniał.

– Nie daj się zabić, Hjalmirze. Jesteś potrzebny na Linii.

– Tak jest.

Następnie Reutel wezwał Adamsa. Dzierżył w ręku plik papierów. Rzucił Adamsowi surowe spojrzenie i nie bawiąc się we wstępy, od razu przeszedł do rzeczy.

– Przeżyjesz swoją przypadłość, Krawiec. Hjalmir nie ma już wątpliwości.

– Mnie tego nie powiedział.

Reutel uśmiechnął się. Usiadł, rzucił przed siebie zapisane stronice.

– Widać nie miał sił na przydługą dysputę.

Adams zmilczał. Złościło go, że przyczepiono mu opinię kłótnika.

– Wkrótce całkiem wrócisz do zdrowia. Co zamierzasz dalej robić, Krawiec?

– Ja...? A co ja mam do zamierzania? – odpalił Adams. – Ot, służba niewolnika legionowego...

– O tym właśnie chciałem porozmawiać. Adams spojrzał zdziwiony.

Reutel kazał mu spocząć. Sam przechadzał się po sali. Słabo umocowane, ruszające się płyty podłogi odpowiadały głuchym stukiem.

– Dla mnie nie do pomyślenia jest, żebyś nadal był niewolnikiem. – Widząc niepewne spojrzenie Adamsa, dorzucił: – Zbyt wiele dla służby poświęciłeś. Wykonałeś zadanie, zdawałoby się, nie do wykonania. Nie godzi się, byś do kogoś należał. Nawet do tak zacnego chirurga jak Hjalmir.

– Nie mam dość pieniędzy na wykup. Po powrocie nie zarobiłem jeszcze wiele.

– Legion wykupi cię do reszty. Kasa pusta, ale dziewięćdziesiąt syceli jeszcze się znajdzie. To znaczy, zostaniesz spłacony w czterech piątach.

– Co z pozostałą częścią?

Reutel uśmiechnął się pod nosem.

– Resztę, znaczy dwadzieścia syceli, sam spłacisz. Teraz masz zejść z Hjalmirem do Krum. Chirurg przekaze *macajbabom* wieść o moim mianowaniu na *sotnika*. Masz być jego obstawą.

– Ja? Obstawą? – Adams prawie parsknął śmiechem. – Toż ja ledwie stoję. Każdy *simpel* z Linii będzie tu lepszy.

– Już nie jest z tobą tak źle. Zresztą żaden *simpel* iść z nim nie może, a felczer tak. Moim zdaniem przyniesiesz więcej pożytku swoją obecnością niż szkody. – *Sotnik* rzucił mu bystre spojrzenie. – Twój miecz dźwigasz na szyi, pod hełmem.

– Jeśli tak... – Błado uśmiechnął się Adams.

– Zrobisz nie tylko to – rzucił Reutel.

Adams aż spojrzał na niego, zdziwiony zmianą tonu.

– Jeśli *macajbaby* zabiją *katrupa*, wrócisz i przyniesiesz nam informację. To rozkaz.

– Tak jest.

– Jeszcze jedno. Adams nadstawił uszu.

– Nasza rozmowa nie wyjdzie poza ściany *pretorium*.

– Tak jest.

Tom trzeci

Ponownie Urodzona

Adams z Hjalmiem zbiegali Ciemną Doliną. Drobną piarg osypywał się wraz z ich krokami. Tak wysoko dolinę zapowiadał ledwie szeroki, płaski żleb, pokryty ruchomym szutrem. Z góry wyraźnie rysował się ścieg wydeptanej dróżki.

– Wyszedłeś na górę jako niewolnik, a wracasz wolny – zauważył Hjalmir. – Kiedyś ci coś takiego przepowiadałem.

– Nie narzekam.

W dole, na płasni, w którą rozszerzała się Mehz Khinnom, kłębiła się szara chmura. Nie sięgała daleko w las, urywała się równą linią, nie ograniczając nadmiernie widoczności. Na horyzoncie rysował się kadłub Pana z Morza.

– Coś dzisiaj jesteś mało rozmowny, Krawiec.

– Dziwisz mi się? – odburknął Adams. Stale rozmyślał nad tym, co zastanie w Krum. Czy ktoś tam jeszcze na niego czeka?

– Panna poślubić nikogo nie może. Nadal należy do Drubbaala.

„Przynajmniej tyle”, pomyślał Adams.

– Ile nam zajmie przekonywanie Obermacajbaby, że powinien pozostać kwatermistrzem? – Adams zmienił temat.

– Leczenie Obermacajbaby. Przekonywać go nie ma do czego.

– No więc ile?

– Jak pierwszy raz oglądałem tę ranę, wyglądała marnie. Leczyli mu to jakimś świństwem i się rozjadziło. Sam nie wiem, czy zdążyłem mu pomóc.

– Trzy dni cię nie było.

– Masa roboty. Za same ropnie zebrałem pięć syceli. Coś wszystkich *macajbabów* oblaży wrzody. Nie wyglądają na zaraźliwe, ale kto to wie...?

Ogarnął ich szary opar. Było chłodniej, ciemniej, a drobiny wilgoci przywierały do twarzy. Wkrótce zeszli na rozległe wypłaszczenie kotliny. Widać było buzujący ogień. Płomienie wydobywały się z głębokiej szczeliny. Nie zrywały się wysoko, ale były ruchliwe i obfite. Uważnie obserwowane, migały, formując pełgające sylwetki: tu ramiona, tam uda, tu twarz wykrzywiona krzykiem, ówdzie kobiece piersi.

Ktoś pozostawił na skraju gorejącego wąwozu kilka tłumoków starych szmat. Leżały nad samą szczeliną, a uformowane z płomienia sylwetki co chwilę usiłowały ich sięgnąć.

– Takich powinno się karać. – Hjalmir wskazał na leżące rupiecie. – Płomień tylko czeka, żeby wyskoczyć ze szczeliny. A zagonić go z powrotem jest znacznie trudniej.

– Zagonić?

– Kiedyś widziałem takie zaganianie. Spędzili do tego kilkunastu niewolników. Dwóch spłonęło.

– Nie protestowali?

– Nie. To byli tacy, co grali z *behmetim* o wolność i przegrali życie. Zaganianie ognia było dla nich szansą, żeby nie iść do grobowca.

– Kim właściwie są *behmetim*?

– Zajmują górne pomieszczenia w twierdzy Krum, ale traktujemy ich jak powietrze. *Macajbaby* też. Pewnie ich zobaczysz w twierdzy. Kręcą się tam, przygotowując kolejną wizytę Pana z Morza. Oni przyjmują wizytę, oni wchodzi na pokład. Jeśli wróci Drubbaal, oni go przyprowadzą.

– Widziałem, jak jedna dziewczyna grała z nimi o wolność.

– Taak... Nic miłego. *Behmetim* zawsze byli. Również jak w Krum rządziły Czarne.

– Wyglądali zwyczajnie.

– Namawiałbyś dziewczynę do gry o wolność?

– Skądże.

– Właśnie tacy oni zwyczajni...

Wkrótce znaleźli się przy kupie zgniłych szmat i spleśniałych papierów.

– Chodź. Raz, dwa zrzucimy to w ogień – powiedział Hjalmir.

Najpierw trzeba było takim tłumokiem zakręcić, potem sprawnie miotnąć. Po kolei znikały w żarze. Ostatni, największy, zrzucili wspólnymi siłami.

– Cholerne lenie – powiedział Hjalmir. – Jestem przekonany, że to te łachy urzędowe zostawiły...

Ciekawskie płomienie uspokoiły się. Przestały się wychylać ze szczeliny i myszkować po jej zboczach, a tylko kłębiły się w otchłani.

Krum nie zmieniło się ani trochę. Wśród zajętych swoimi sprawami przechodniów apatycznie snuli się żołnierze garnizonu, dwójkami patrolując zabłocone uliczki. Czasem trafił się *behmet*, o czerstwej, opalonej i pobrużdżonej zmarszczkami twarzy, świdrujący oczyma przechodzących. Kryjące twarze pod chustami, zakutane w szare szaty kobiety pośpiesznie pomykały na targ lub wracały już z zakupami. Niewolnicy dreptali za nimi ugięci pod ciężarem koszy lub płóciennych zawiniątek.

Adams strzelał oczami po młodych dziewczynach, ale Renaty nie wypatrzył. Obce panny odwzajemniały mu się powłóczystymi spojrzeniami. Wysoki, opalony legionista w szkarłatnym płaszczu, przy mieczu i w zbroi przyozdobionej futrem Czarnej, w pięknym hełmie na kształt łba bestii oraz z groźnym petrynałem w olstrze – wzbudzał ich zainteresowanie. Zmarszczki na twarzy świadczyły, że to stateczniejszy człowiek – koniec służby w legionie pewnie bliski, czyli panny nie skrzywdzi, bo nie przygody, ale żony już szuka.

Niski, krępy Hjalmir wyglądał przy nim jak kwadratowy. Dla odmiany jego napierśnik i nagolenice jaśniały blaskiem wypolerowanego brązu, hełm z gęstym jak szczota czerwonym pióropuszem wyczyszczony był do połysku. Hjalmir kroczył zamasyście, powiewając połami szkarłatnego płaszcza. Co chwilę opierał dłoń na kolbie obrzyna, aby nikt nie miał wątpliwości, że oto nadchodzi potężny i zamożny wojownik. Znano go tutaj: co chwilę gestem odwzajemniał pozdrowienia byłych pacjentów. Nieco wyprzedzał Adamsa dla wyjaśnienia, kto tu naprawdę jest ważniejszy. Adams roztropnie zostawał w tyle, dbając, by jego płaszcz powiewał mniej efektownie; starał się sprawiać wrażenie obstawy chirurga.

Mijając wiatę posterunku, niedbale odsalutowali *macajbabom*. Garnizonowi *simple*, prężąc się służbowo, podnieśli spocone czoła znad przeglądanych pakunków i tobołków. Na chwilę przerwali użeranie się ze zmęczonymi kobietami. Z zainteresowaniem przyjrzeni się zbrojom bogato szamerowanym futrem Czarnych, świadczącym o bitewnych przewagach ich posiadaczy.

Żołnierzom na posterunku towarzyszył *behmet*, ten sam, który kiedyś wygrał człowieczeństwo od Lindy: dryblas wyższy nawet od Adamsa o pół głowy, w skórzanej kurtce do pasa, by nie krępować ruchów, i wąskich czarnych spodniach. Właśnie do odprawy podeszła drobna jasnowłosa dziewczyna, przypominająca Adalę. *Behmet* bezceremonialnie wepchał łapę pod jej szatę, by wyciągnąć na wierzch piersi i ją upokorzyć.

Adams jednym ruchem skoczył mu do gardła. Rąbnął przeciwnikiem o drewnianą ścianę posterunku; mocnym pchnięciem wbił łufę petrynału między szczęki tamtego, aż chrupnęło kruszące się szkliwo. Przytomny Hjalmir błyskawicznym ciosem sztyletu przybił lewe ramię *behmeta* do ściany.

– Ty skurwielu! Ty pierdolcu! Rusz jeszcze którąś z bezbronnych, a ci dupę odstrzelę! – wrzeszczał Adams, pchając broń między szczęki *behmeta*.

Oczy tamtego biegały w kółko, oceniając sytuację.

– Nie próbuj sztuczek! – warknął Hjalmir. – On ci naprawdę rozwali pałę. A twojego pana tak to ubawi, że będziesz zapierdalał bez czerepu do końca czasów. – Okrężnym gestem wolnej ręki pokazał, dokąd zostanie czaszki *behmeta*.

Spojrzenie tamtego wreszcie się uspokoiło. Cera poszarzała. Zaczął wydawać urywane odgłosy, coś niby skrzeczenie.

– Mój kolega puści cię wolno, jak będziesz się trzymał z dala od tego miejsca i z dala od nas obu. Słowo, jakeś żywy?

Behmet z wysiłkiem skinął głową. Z rozbitych ust ciekła mu strużka krwi.

– Zrzucić paznokcie na znak zgody.

Z palców obu dłoni odpadły *behmetowi* paznokcie.

– Teraz nogi – zakomenderował Hjalmir. – A ty trzymaj mu dalej lufę w pysku – rzucił do Adamsa.

Behmet dziwnie wygiął się i zaczął wolną ręką rozwiązywać buty. Na klepisku wylądowały szponiaste pazury najpierw jednej, potem drugiej stopy. Spojrzał z wyczekiwaniem. Spod nogawki wyglądały skłębione czarne kudły.

– Teraz włosy! Zrzucaj, skurwielu, włosy!

Czupryna tamtego sypała się, odsłaniając białą pomarszczoną skórę. Jego śniada twarz o twardych, stężonych rysach wyglądała teraz jak naciągnięta maska.

– A teraz spierdu! – Hjalmir wyszarpnął sztylet, uwalniając rękę tamtego. – A ty mu dalej celuj w czoło.

Behmet schwycił lewą dłonią przebitą prawicę. Spomiędzy palców ciekła krew.

– Przebiłeś mi rękę – powiedział.

– Nie chrzań. Na tobie goi się szybko i bez śladu. Adams cofnął się o krok, trzymając broń w obu rękach.

– No, spierdu! – powtórzył Hjalmir.

Behmet zrobił jakiś gest dłonią, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

– Słowo się rzekło – przypomniał Hjalmir, a tamten wreszcie odwrócił się i odszedł.

Adams schował petrynał do olstra.

– Zajrzyjmy tu do knajpy opodal. – Hjalmir poklepał go po ramieniu. – Oni tam dolewają do

swoich szczyń całkiem sporo dobrego piwa.

Knajpa zajmowała parter piętrowego domostwa. Rozsiedli się w ciemnym wnętrzu. Hełmy postawili na blacie stołu. Adams oparł petrynał o ławę. Oprócz nich było tam tylko trzech *macajbabów* i kilku gospodarzy.

– Jelena! – krzyknął szynkarz.

Służebna szmatą przetarła blat. Była młodą, szczupłą kobietą o krótkich bezbarwnych włosach, teraz spiętych czerwoną wstążką. Krzątała się podali. Jej policzki barwił lekki rumieniec, woskowa bladość gdzieś odeszła. Spojrzała spod oka na hełm Adamsa, jednak nie odezwała się.

– Dzban dobrego piwa dla Szczurów – zamówił Hjalmir. Szynkarz przyniósł dwa gliniane kubki i dzbanek. Nalał żołnierzom.

– Jak tam paznokieć, Drobar? – spytał chirurg.

– Odrósł równy jak u młodzieńca. Ręka sprawna.

– Wyleczyłem mu rozszczip. – Hjalmir wskazał kubkiem. Skosztował piwa i skinął głową z uznaniem.

Zadowolony szynkarz zostawił ich samych.

– Krawiec, ale z ciebie to się nerwus zrobił tam na górze! – Hjalmir stuknął swoim kubkiem w kubek Adamsa. – Kobiety cię zgubią.

– Puściłeś go jednak. Dorwie nas za tą karczmą?

– Dorwie każdego z nas, ale jeszcze nie teraz. Najwyżej dostaniesz go jako osobistego, jak już transz na drugą stronę, w ich moc.

– To oni...? *Behmetim*? Nie Czarne?

– Gdzie tam Czarne. To tylko poczwary, z którymi ludzie nawet mogą się parzyć. Skądś się tam wzięły na granicy mroku. *Behmetim* to zakała wcielona, pomniejsze zło osobowe. – Hjalmir pociągnął łyk z kubka.

– Może trzeba mu było rozwalić ten łeb?

– Jak mogłeś palnąć, kiedy ci lont zgasł?

– Chciałem palnąć ze skałkówki.

– Do *behmeta* ze skałkówki nigdy nie wypalisz. Lepiej podpalaj ten lont, jak ci się krew będzie gotować... Już ci o tym kiedyś mówiłem.

– Ale mi się powiedziało z tą dupą...! – Adams parsknął bezgłośnym śmiechem.

– Pies go wie, gdzie on ma dupę, a gdzie głowę – powiedział filozoficznie Hjalmir. – Ze zwykłego oglądu się nie wyznasz. Możeś akurat to trafnie ujął...?

– Coś mu kazał pozrzucać te paznokcie i włosy?

– Przyobiecał nam na życie, ale włosy i paznokcie są martwe. Mógłby nas nimi nieźle pociąć. – Hjalmir podniósł dzbanek za ucho i obejrzał jego dno. – Pora płacić i do roboty. – Machnął na gospodarza.

– Panowie oficerowie macie metę?

– Powinno się coś znaleźć.

– Jakby się nie znalazło, to lupanar jest naprzeciwno. – Gospodarz wskazał ręką. – Jest gdzie przespać i co przedymać. Niedrogo, bo panny leciwe... – Zachichotał.

– Spalony jeszcze nie zapomniał – rzucił chirurg. – A ty sam, Drobar, trzymasz u siebie młodsze panny.

Adams śledził wzrokiem krzątającą się urodziwą niewiastę. Cieszyło go, że Jelena dostała swoją szansę.

– Znowu Spalone Szczury w legionie? – zatroskał się szynkarz. – Znowu będą się rodzić dzieci z różkami i kopytkami.

Żołnierze zostawili na blacie po ćwierćsycelówce.

Od skraju lasu do brzegu morza nie było daleko. Mierzone w poprzek Dolne Miasto nie było okazałą miejsciną. Wkrótce znaleźli się przed bramą fortu.

Adams zadarł głowę, obserwując wysoki, kamienny portal w kształcie uzębionej górnej szczęki. Mury porośnięte były mchem, tu i ówdzie pomiędzy spojonymi głazami kłębiło się suche zielsko.

– Jeszcze trzy pokolenia temu pisali jego nazwę „Kran’m” – powiedział Hjalmir, też podziwiając jedyny kształt murów.

Adams spojrzał na niego pytająco.

– Znaczy, Trupiłeb. Ale tak mówili tylko prostacy. Teraz mówi się i pisze „Krum”.

Ich kroki łomotały na zwodzonym moście, opuszczonym nad fosą. Kły żuchwy szczyrzyły się groźnie pod przechodzącymi.

– Nie zmarnowałeś czasu, siedząc w twierdzy.

– O, nie... Może i ciebie wpuszczą do archiwum. *Macajbaby* sami nie wiedzą, jakie skarby tam trzymają.

Przechodzący żołnierz spojrzał na niego krzywo. Hjalmir odpowiedział mu złym wzrokiem. Wśród żołnierzy garnizonu Szczury wzbudzały zawsze mieszaninę podziwu i niechęci. Czuli, że liniowi uważają się za lepszych i że prawdopodobnie jest to prawdą. Jednak każdy wiedział, że prędzej czy później sam zostanie Szczurem, a podmacywanie niewolnic się skończy. Jednocześnie o walkach na Linii krążyły w garnizonie najdziwniejsze legendy, na ogół bardzo odległe od rzeczywistości, choć zawsze przerażające. Szczególną niechęć wzbudzało to, że sprawy zabójstw osądzone były przez *sotnika* – Oberszczura.

Zameldowali się na wartowni. Strażnik wskazał im ławę, by zaczekali; sam wysłał umyślnego. Oni jednak woleli spacerować w pobliżu, obserwując urządzenia twierdzy. Hjalmir oceniał uzbrojenie wartowników; Adams z zainteresowaniem przyglądał się drewnianym kołowrotom, podnoszącym zwodzony most za pomocą stalowych, kutych łańcuchów.

Hjalmir uznał, że dziesięciu Szczurów mogłoby stawić czoło piętnastu do dwudziestu *macajbabów*. Zadowolony ze swoich spostrzeżeń, dostrzegł teraz zainteresowanie Adama inżynierią militarną.

– Czyste marnotrawstwo – powiedział. Adams odpowiedział mu zdziwionym spojrzeniem.

– No, łańcuchy.

– Wyglądają jak trzeba. Nie za ciężkie, nie za wątłe.

- Może i tak. Tylko że każdy to stali na kilkanaście obrzynów. Konopna lina by tu wystarczyła.
- Inna stal idzie na lufę obrzyna, inna na łańcuch, choćby kuty.
- Może i inna – naburmuszył się pouczony chirurg. – Ale zawsze można ją przetopić na lepszą.

Nie czekali długo, kiedy pojawił się Hejlabbaal, adiutant kwatermistrza. Miał siwe, kędzierzawe włosy, godnie niósł przed sobą wystający brzuszek. Widok ten zaskoczył wyschłego na wiór Adamsa. Ostatnio nawet Hjalmirowi brzuch przysechł do pleców.

Adams przypomniał sobie słowa Hjalмира: „Imiona przychodzą im szybko, awanse wolniej, wyszkolenie najwolniej”.

Hejlabbaal powiódł ich korytarzami twierdzy na kwatery, gdzie pozostawili broń, a potem udali się do kwatermistrza. Nie wspominał o tym słowem, ale pośpiech świadczył, że czekano tu na nich niecierpliwie.

Izabbaal był barczystym, tęgim mężczyzną o olbrzymim, wywalonym brzuszku. Spod krzaczastych brwi zerkały zimne, szare oczy. Potężnie sklepiony, łysy czerep był wilgotny od potu. Kwatermistrz leżał na twardym pościu. Jego nalana twarz była blada, pod oczyma gościły sine cienie, a rzadkie, siwe włosy kleiły się do spoconej skóry. Muskularne ramiona porośnięte były szpakowatymi włosami. Z masywnych dłoni nie wypuszczał kufla; adiutant zaś uzupełniał jego zawartość.

– Ha, wreszcie jesteś, *katrup!* – mruknął, podnosząc oczy. – Coś tyle czasu zmitrężył?

– Jestem chirurgiem przy *Wentzlu*, nie przy Krum. Wróciłem do oddziału. – Garnizon nie miał wojskowych chirurgów, wykorzystywali cywilnych balwierzy z Krum; Izabbaal im nie ufał.

– Mówiłem ci, żebyś przyszedł. Hjalmir nie odpowiedział.

– Zaraz powiesz mi, że właśnie przyszedłeś, hę...? – Izabbaal sapnął i ciężko poprawił się na siedzeniu. – No, dobrze. Niech będzie. – Chwilę milczał, dysząc chrapliwie.

Hjalmir podrapał się po nosie. Oczekiwał dalszej reakcji kwatermistrza.

Izabbaal trochę bezradnie zerknął na Adamsa. Może miał wadę wzroku?

– Który to jest ten młody?

– Spalony Krawiec, nasz felczer, wyzwoleniec legionowy.

– Wzywałem tylko ciebie.

– Może pozostanie przy wstępnych oględzinach.

– Dobrze, ale niech mnie nie dotknie, a potem niech się zmywa. Nie będzie mnie leczyć czarna

bestia.

– Jak sobie życzysz, panie. – Adams skłonił się z udanym szacunkiem.

Adiutant pomógł odrzucić futro, którym przykryty był dowódca. Rozszedł się charakterystyczny zapach. Hjalmir i Adams wymienili spojrzenia. Hjalmir bez słowa zaczął oględziny. Jak kiedyś Eluwę, tak teraz kłuł wysokiego oficera w nogę, punkt po punkcie, coraz wyżej. Wreszcie gdzieś nad kolanem znalazł miejsce, w którym nerwy czuciowe Izabbaala jeszcze działały.

– Masz gorączkę, panie?

– Była. Już spadła. Hjalmir wyprostował się. Otarł czoło z potu.

– Chciałbym skonsultować się z felczerem – powiedział.

– No, to na co czekasz?

– Na osobności.

– Wykluczone. Przy mnie albo wcale. Nie będą mi tu Szczury spiskować pod bokiem.

„Co chce mi powiedzieć?”, pomyślał Adams. „Czy od razu mam wyruszyć do *Wentzla*?

– Nie chcę cię straszyć, panie, fałszywymi domysłami.

– Fałszywymi?! Przecież czuję, że gniję! – Izabbaal aż szarpnął się na posłaniu. Nastawił kufel po nową porcję z dzbana.

– Nie mam pewności, a chciałbym rozważyć wszystkie możliwości.

– Będiesz rozważał sam. – Izabbaal energicznie podciągnął się na łokciach, jednocześnie krzywiąc twarz z bólu. – Młody ma stąd wyjść. Bez rozmowy z tobą. Spotkasz się z nim za dwa dni, nie wcześniej.

– Spalony ma lekką rękę... Wziąłem go, bo najlepiej szyje rany. Czysto i równo.

– Tu nie wystarczy samo szycie – burknął kwatermistrz. – Zresztą czarna bestia nie będzie mnie szyła. Dość ich się tu kręci, kiedy Pan przybywa. Jeszcze by mnie dotykali... – Skinął na adiutanta.

Adams nie zdążył zareagować, kiedy dwaj legioniści wezwani przez adiutanta grzecznie, ale stanowczo wyprowadzili go z kwatery Izabbaala. Nie zamienił już ani słowa z Hjalmirem.

Na kwaterę Adamsa odprowadził cały *korpus*, bo do dwóch *simpli* dołączył ich dowódca.

– Skąd masz takie pazury? – *Korpuśny*, wskazując na nienaturalnie masywne paznokcie Adamsa, wyszczerzył w uśmiechu żółtawe, mocne zębiska, każdy z ciemniejszą plamą na koronie: zbyt często przyszło właścicielowi odżywiać się marną strawą i zdążył zetrzeć szkliwo do denty. Jego

ospowata, pomarszczoną twarz porastały rzadkie, czarne kudły.

– Robią się takie od chodzenia na Stronę Trupa.

– Cie... Zaraza. – *Macajbaba* stracił ochotę do rozmowy.

Adamsa zakwaterowano w pojedynce. Wyznaczono mu nawet ordynansa na czas pobytu. Wprawdzie nie całkiem wolny, ale *katrup*, a na dodatek Spalony, więc prawie oficer. Nie był tu więźniem, ale miał unikać pomieszczeń kwatermistrza. Drzwi zasłonięte kotarą wychodziły na zewnętrzny korytarz, idący spodem prawego oczodołu Trupiłba.

Żołnierze kwaterowali tylko do poziomu oczodołów. Pomieszczenia wyżej, pozbawione okien, były zajmowane wyłącznie przez *behmetim*. Wszystkim żołnierzom wstęp do pomieszczeń *behmetim* był wzbroniony. Mieli oni nawet oddzielne schody i bramę fortu od strony oceanu, umieszczoną tak, jak wychodzi pień mózgu i rdzeń kręgowy z czaszki. Korzystali z tego przejścia zwykle podczas wizyty Pana z Morza.

Niektórzy mówili, że przez zabudowania twierdzy również przebiega Linia, odcinając część cypla od Krum, a pomieszczenia *behmetim* od pozostałych.

Zmorzony marszem na świeżym powietrzu, piwem i wydarzeniami tego dnia, Adams uciął sobie drzemkę do rana. Zdziwiony, że spał tak długo, zebrał się z posłania, obmył szybko w misce wody przyniesionej przez ordynansa i sprawdził ekwipunek.

Dzień już w pełni, do posiłku jeszcze sporo czasu, a nikt nie rozkazał siedzieć w ciasnej klitce – Adams wyszedł na korytarz zewnętrzny. Wychylony z fortowego oczodołu, chwilę gapił się na ruch przy bramie wejściowej. Hurgot kółek wozów i gwar rozmów przyciągały uwagę. Na służbie odwykł od zwykłego, miejskiego życia. Może Renata albo Adala przywiozą kontrybucję...?

Zbliżała się pora posiłku, ruch był mniejszy. Było leniwe, ciepłe przedpołudnie, choć tarcza słoneczna nie była widoczna, bo dzień – jak zwykle tutaj – był mglisty. Od tej strony szum oceanu docierał słabo, a kiedy żaden spóźniony wózek nie tłukł się przez most zwodzony, zapadała niemal cisza.

Wtedy było najprzyjemniej. Adams przeciągnął się, aż kości zatrzeszczały. Do jego uszu dotarł dziwny dźwięk, ni to wycie, ni zawodzenie. Dobrze pamiętał podobne odgłosy.

„To trzeba koniecznie sprawdzić”. Nie wiedział, czy wypada chodzić po forcie z bronią, wziął jednak cały sprzęt: sztylet, pałasz, kuszę i petrynał. Ostatecznie kryły się pod płaszczem, a gdyby jaki *macajbaba* zwędził mu broń z kwatery, trudno by było ją odzyskać.

Kuszy nie zmontował, ale petrynał mógł dobyć z olstra jednym ruchem ręki.

Po ordynansie ani śladu. Wrzeszczeć po forcie nie wypada. Z dziedzińca trafił do kantyny podoficerskiej, a w niej znalazł *korpuśnego*, który go kwaterował. Ten, zagadnięty o Czarne, wyjaśnił nawet, gdzie są trzymane, ale nie chciało mu się tam iść z Adamsem. *Katrup* mógł sam zejść w każdej chwili, nawet jeśli by nie miał ochoty na wiwisekcję. Adams poszedł więc za dziwnym, gardłowym śpiewem i znalazł wejście do lochów. Wartownik nie zaprotestował. Nie trzeba było tam pochodni, bo świetliki w sufitach cel wychodziły na dziedzińiec. Lochami opiekował się *rachubiec* Barchem. Za darmo oprowadził po nich Adamsa. Oczywiście nie oglądali

aresztantów, tylko więzione Czarne. Było ich tutaj sporo, trzymany po kilka w osobnych, ciasnych celkach. Drzwi wykonane ze stalowych prętów zamknięto na duże kłódki. Każdy stwór miał skrępowane nogi (między którymi umieszczono klocek drewna) i podobnie unieruchomione ręce. Więzy rąk i nóg połączono dodatkowym łańcuchem, umocowanym do klocka w murze.

– To od Drubbaala? – wskazał dłonią Adams.

– Nie. Ostatnio sporo ich zeszło do Krum. Coś niedbale pilnowaliście Linii. – Skrzywił się w uśmiechu. – Z łapaniem tych stworów też nie mieliśmy większych problemów. Czarne są bezradne, same w sieci leżą... No tak, ale wam tam zimno na górze, ręce grabieją, dlatego tak trudno to idzie... – Pokiwał głową w udanym współczuciu.

Mieli tu ponad dwadzieścia *gaber* i trzy *busierce*, młode osobniki porośnięte gładką sierścią, o krótkich rogach, kopytach i ogonach. Za to żadnych Stworów Mroku czy segmentowanych węży. Więźniowie milczeli i ponuro gapili się na zwiedzających.

– Małe trzymamy tutaj w pudle. – Barchem energicznie zatrzęsł drewnianą skrzynią i podniósł wieko. Kilkanaście zestrachanych szczeniaków łaziło po dnie. Z początku lękliwe, zaraz zaczęły wspinać się po ścianach.

– Zamknę, bo zaraz wylecą.

– Szczeniaki też połapaliście?

– Gdzie tam. *Gabery* je urodziły w niewoli. Jeszcze parę młodych przybędzie.

– Co robicie z tymi wszystkimi Czarnymi?

– Mamy je od niedawna. *Katrup* je po kolei bada, skóry sprzedajemy. Sprawił dopiero osiem. Wolno to idzie, bo skóry tanie, a *katrup* mówi, że już wie, co każda ma w środku. Ja myślę, że się guzdra, bo za asystowanie przy sprawianiu musi sam płacić. Właścicielem tych stworów jest legion, nie jakiś pojedynczy żołnierz. W Krum nawet Czarnych nam nie brakuje. Sam możesz sobie jakiego kupić. Trzy sycele za *gabere*, cztery za *busierca*, niedrogo, ale jakoś nikt nie kupuje. Za samą skórę mogliby dostać od sześciu syceli w górę, ale nie potrafią tego sprawić.

– Ja umiem oskórować takiego stwora, ale nie potrzebuję czarnej bestii. Jedną skórą przyzdobiłem sobie zbroję, drugą wyprawioną mam na górze.

– Skąd jesteś?

– Z Ciemnej Doliny.

– One przełaziły od strony Tibium. Podobno ostatnio przestały. Mamy jedną specjalną, *katrup* dotąd jej nie ruszył, bo za bardzo ludzka. Może ciebie zainteresuje...?

Adams drgnął.

– Jakaś inna?

– Jeszcze jak. Poczekaj, przyświecę na nią. Zaraz ci laska stanie.

Barchem przyniósł pochodnię, żeby lepiej widzieć. Otworzył jedną z cel z *gaberami*. Obaj weszli do środka. *Rachubiec* pochodnią rozpedził uwięzione, które niezgrabnie wijąc się, odsłoniły przygniecioną ich ciałami. Adams poznał Złotą Gaberę. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Ona też go poznała.

– Ładna, nie?

– Bardzo ładna.

– Jak dla ciebie dwanaście syceli.

– Podwójna cena?

– Przecież warta jest znacznie więcej. Kobiety nie kupisz poniżej pięćdziesięciu syceli, a to prawie kobieta. Każdy wie, ile warta jest Złota Gabera, ale nikomu z Krum nie wolno jej kupić. Izabbaal zabronił. Nie chce, żeby rodziły się tu potwory. Ty sobie możesz ją wziąć na Linię.

– My sobie łapiemy kobiety na Drodze Trupa. A ona nie jest warta aż tyle, na dodatek ja nie mam dwunastu syceli, ale... – zawiesił głos. – Kiedy, *rachubiec*, idziecie na Linię?

– Co ci do tego? – obruszył się Barchem.

– Bo na Linii *rachubców* jest na razie dosyć, – owego pošlą do *decymy*, a wtedy bez dobrego sprzętu od razu zginiesz. Mam fajną kuszę, celną, inkrustowaną. To dobra i piękna broń, sprawdzona na Linii. Mogę wam ją sprzedać za cenę tej bestii. – Adams odroczył korpus kuszy i jej łuk. Zgrabnie zmontował piękną broń przed nosem Barchema, blokada zaskoczyła z trzaskiem.

– Ale opuść sycela, bo mam tylko jedenaście... – sapnął *rachubiec*.

– Może tak być – powiedział Adams. – Ale mam też do niej siedem bełtów zrobionych na miarę. Trafiają najcelniej, a potem możesz je wydlubać z Czarnego, wymyć i użyć jeszcze raz. Nie deformują się. Każdy wart trzy czwarte sycela.

– Dużo – sapnął *rachubiec*.

– Są tego warte. A na Linii są warte twoje życie.

– Nie zgromadzę aż tyle.

– Sprzedam ci je razem za cztery i pół sycela. Znaczy, dajesz mi Złotą oraz trzy i pół sycela za komplet broni.

– Przyniosę ci te pieniądze, ale wpierw muszę je pożyczyć.

– Przynieś mi je na kwaterę. Razem z pieniędzmi.

– Sam sobie ją nieś. Nie widzisz, że mam garba?

– Strasznie brudna i poobijana przez te inne, mógłbyś dać pół sycela zniżki na jej mycie. – Adams schylił się, unióśł Złotą w ramionach i złożył w korytarzu.

Barchem pośpiesznie zamknął celę i pobiegł po pieniądze.

– Nie zapomnij spisanej umowy! – rzucił za nim Adams. Dokładnie obejrzał ciało Złotej. Nie znalazł poważnych obrażeń ani złamań. Ból sprawiało jej, kiedy przesuwiał skrupowane nogi czy ramiona. Nie wiedział, czy wolno mu ją tu rozwiązać. Przerzucił sobie Złotą przez ramię, przykrył połą płaszczem, żeby legioniści nie gapili się na jej pośladki, a do wolnej ręki wziął kuszę.

– Dasz radę? Wytrzymasz ból?

– Tak – powiedziała ciepłym, niskim głosem Złota. – Chciały mnie zadusić, przygniatając swoimi ciałami, ale zawsze dało się spod nich jakoś złapać powietrze.

Złota nie ważyła wiele. Jak dość wysoka, szczupła kobieta, nie jak Czarna. Przykryta płaszczem, jej kształtna sylwetka rysowała się jakby skryta w szkarłatnej sukni. Jedyne wystawały smukłe, złociste łydki. I tak zwróciło to uwagę legionistów odpoczywających po służbie.

– *Katrup*, bierzesz ją wydymać do siebie? – doleciało od ławy, gdzie *korpus macajbabów* raczył się piwem.

– Pewnie. Na Linii tylko Czarne i Czarne. Już mi się znudziły.

– Szczurom to wszystko wolno.

– Nie, chłopie... – Adams pokiwał głową. – To obowiązek zawodowy. Jak sobie nie podymam, to mnie taka złość nachodzi, że każdego kulasa chlastam nad kolanem, a gnata ponad łokciem. Zapytaj, jak trudno mocować protezę, kiedy brakuje kolana w kikucie. A ty tam, wesole, co to takie szare znamię na goleni?

– Podejź no do mnie z wieczora, bo coś mi się widzi, że idzie zakażenie.

Zapanowała cisza, jak makiem zasiał.

Adams rozpoznał wśród nich przydzielonego mu ordynansa.

– Wy, *simpel*, w mojej kwaterze za pięć minut po rozkazy. Legionista odsalutował.

– Tacy wykupieni są najgorsi. Z Krippela też był niezły skurwiel z nosem w chmurach – powiedział cicho ordynans.

– Ten jeszcze gorszy, bo oficer. Pójdę z moją nogą do tego starego – burknął drugi.

Na miejscu Adams przeciął więzy Złotej. Usunął usztywniające kołki, uwolnił udęczone kostki i przeguby. Barchem przyniósł umowę i pieniądze, obaj podpisali, wtedy *rachubiec* poinformował go, że od tej chwili Adams odpowiada za Złotą. Patrzył przy tym krzywo na przecięte więzy. Adams wręczył mu kuszę i siedem bełtów. Barchem z lubością gładził wyprofilowany korpus broni. Palcami wodził po wzorze intarsji.

– Umiesz z tego strzelać?

– Barchem pokręcił głową.

– To ucz się na dorobionych bełtach. Szkoda tych siedmiu.

– Muszę ci jeszcze przypomnieć, że masz ją zabrać z Krum, z miasta i z twierdzy. Tak stanowią przepisy – powiedział Barchem na odchodnym.

Adams skinął głową. Nie zatrzymywał go.

– A ty nie zawieźdź mojego zaufania – powiedział surowo do Złotej.

Ordynansowi kazał zamówić podwójną kąpiel. Ten zaraz przysłał dwie niewolnice fortowe, które zaczęły rozkładać skórzaną wannę. Miało być ćwierć sycela za obie wody. „Na dole woda tania. Życie płynie milej”, pomyślał.

Nieoczekiwanie pomysł kąpieli przeraził Złotą.

– Nie wchodziłam do wody. Mam przecież futro.

– To wejdiesz. Dobrze ci to zrobi. Umyjesz rany.

– Koniecznie kup kadzidło.

Adams spojrzał pytająco na krzątające się kobiety.

– Trzy czwarte sycela za cztery porcje – powiedziała siwowłosa niewolnica.

– Niech będzie.

Wkrótce wanna została wypełniona gorącą wodą.

– Wskakuj – rzucił do Złotej.

– To nie jest mi potrzebne. – Dalej zerkała w popłochu. Adams skinął głową, więc *gabera* nie broniła się więcej, tylko zanurzyła po szyję w wodzie. Podał jej kawałek mydła.

– Włosy na głowie też umyj.

– Włosy też? – Znowu popłoch w oczach.

– Będziesz ładniej wyglądać.

Już wychodziła z wody i owijała się ręcznikiem, kiedy stara przyniosła zamówione kadzidło.

– Rozpal to jak najszybciej! – powiedziała Złota.

Adams wzruszył ramionami. Niewolnica zostawiła im koszyczek z metalowych prętów. Można nim było kiwać jak wahadłem. Adams okadził najpierw Złotą, potem wszystkie kąty, wreszcie resztę pokoju. Duszna, aromatyczna woń przechodziła przez kotarę na korytarz fortu.

– Teraz dobrze?

– Nie wiem. Może starczy. – Złota suszyła włosy i futro. Niewolnice już nalewały wodę dla niego. Zanim poszły, zamówił dwa podpłomyki i butelkę wina. W sumie pół sycela. Pieniądze w Krum wyciekały wartkim strumieniem, chociaż tutaj było niby taniej niż na Lini.

Adams pluskał się i szorował. Zerkał koso na Złotą, która zamiast siedzieć przy wyjściu i

gapić się, czy nie idzie jaki pacjent, szybko rozpałała drugą porcję kadzidła i nerwowo go okadzała.

– Chcesz mnie uwędzić czy co? – burknął.

Kiedy niebieski dym znowu wypełnił pomieszczenie, powiedziała:

– Teraz już jesteś bezpieczny.

– Podaj mi prześcieradło i usiądź przy wyjściu, jak przykazałem. Przed czym mnie ochroniłaś...? – spytał, susząc włosy.

– Nagi jest dostępny złu osobowemu. Może utracić władzę nad sobą. Zło może przejąć władzę nad nim. Tylko kadzidło może go zabezpieczyć.

– Ty stale jesteś naga.

– Mam futro. To jakoś zabezpiecza.

– To dlaczego kazałaś, aby cię okadzać przy kąpieli?

– W kąpieli każdy jest nagi, ja też. Jeśli myje wtedy włosy, to jego nagość jest już pełna. Co najwyżej może tego nie być widać. Ty z kolei mógłbyś nie ściągać *skorupy* do kąpieli.

– Kąpać się w czymś takim...? Ciężko się pod tym umyć, a jeszcze trudniej wysuszyć.

– Wtedy jednak one nie miałyby do ciebie dostępu.

– Załatwić ci jakieś odzienie?

– Przynajmniej tutaj. Irytuje mnie pożądlivość legionistów.

Adams założył *skorupę* i narzucił szarą tunikę. Akurat wtedy pojawiły się służebne. Zlikwidowanie łaźni nie trwało długo. Kobiety przyniosły krótką, białą szatę niewieścią. Znowu ćwiartka sycela. Adams nalał Złotej kubek słodkiego wina.

– Czy naprawdę chcesz, żebym to piła...?

– A smakuje ci?

– Nigdy czegoś tak dobrego nie piłam. Inna rzecz, że mało co do tej pory piłam.

– Wiem. Na Drodze Trupa nie czuje się głodu ani pragnienia.

– Czarne czują.

Skończyła i poprosiła o dolewkę.

– Nie tak szybko. To silnie działa. Masz swoje imię?

– Pokręciła głową.

– Nikt mi nie nadał.

– Ja mówię na ciebie Złota.

– Jak na wszystkie takie.

– Nie wiem, jakie imię jest dobre dla *gabery*.

– Jakie mi nadasz, wezmę..

– Dobrze. Teraz powiedz, co pamiętasz z dzieciństwa.

– Niewiele. Matka powiedziała mi, że moim ojcem był Szczur. Była piękna; ona też była Złotą Gaberą, chociaż skórę miała bardzo ciemną, prawie czarną, za to nieporośniętą włosami, zupełnie gładką, jak u was. Dużo przecież wśród was pięknych dziewczyn o ciemnej, gładkiej skórze, prawda?

– Tak. Rozmawiałaś z nią...? Nie porzuciła cię jak inne *gabery*...?

– Ja się urodziłam jak ludzkie dziecko – powiedziała z naciskiem. – Ja jestem Złotą Gaberą, nie czarną poczwarą. W żyłach matki też płynęło sporo ludzkiej krwi. Wykarmiła mnie piersią, chociaż nie czułam głodu. Potem, kiedy jednak przemieniała się w Wężostwora, byłam przy niej, chociaż nie mogłam na to patrzeć. Ja już się w coś takiego nie przemienię. Mam zbyt dużo ludzkiej krwi. Całe życie będę piękna, a wybranemu człowiekowi urodzę ludzkie dziecko.

– Z różkami i kopytkami?

– Najwyżej. A moje wnuki będą już wyłącznie ludźmi. Jest przecież powiedziane, że Córki Ziemi będą rodziły dzieci synom Bożym. Ja jestem Córką Ziemi i dlatego mam prawo do dziecka z człowiekiem, bo ludzie są dziećmi Bożymi. Nie chcę niczego innego. Zresztą ja sama wśród ludzi się zmieniam. Popatrz!

Sięgnęła ręką i delikatnie zżuła najpierw jedno, potem drugie kopytko. Adams spojrzał zdumiony na jej zgrabne, podłużne stopy. Podszedł i ujął je w dłonie: normalne, drobne paluszki, złociste, krótkie futro, na spodniej stronie stopy skóra pozbawiona włosów, złocista, jak na dłoniach. Nie chciał ich puścić, taką przyjemność sprawiało mu trzymanie jej uwolnionych stopek w dłoniach.

– Chodzę w nich jak w butach – powiedziała.

Adams obejrzał zdjęte kopytko. Wyglądem przypominały kobiece pantofle na wysokim obcasie. Od środka żyłkowana powierzchnia, rogowa, przeświecająca masa.

– Pomóż mi jeszcze w jednym. Spojrzał na nią.

– Wyrwij moje zwierzęce kły. – Otworzyła usta. Wyglądała teraz nieludzko.

– To poważna sprawa. Będiesz potem intensywnie krwawić.

– Są martwe. Obejrzyj je.

Każdy z kłów Złotej wyrósł poza łukiem zębów; po usunięciu nie wyglądałaby szczerbato, a między zębami powstałaby ledwie widoczna szczelina. Wokół wszystkich czterech dziąsło odstawało i opadało, otaczały je głębokie kawerny. Adams mocno ujął palcem jeden z kłów. Złota ułożyła głowę tak, by mu było wygodniej.

– Teraz – powiedział i mocno pociągnął. Słabo trzymający się w dziąśle ząb został w palcach. Owszem, był skrwawiony, ale niezbyt. Krew nie ciekła. Mniej, niż gdyby wyrwał mleczaka. – Następny?

Złota skinęła głową.

Adams oparł się wygodniej i wyrwał jej drugiego górnego kła. Piękny, długi, też ledwie krwawiący. Odkładał wyrwane zęby do jej dłoni. Z dolnymi poszło nawet łatwiej. Ledwie się trzymały.

– Uśmiechnij się teraz. Zrobiła to, jak umiała najpiękniej.

– Śliczna dziewczyna. Zrobisz sobie z tych kłów naszyjnik. A dzisiaj ani kropli wina więcej. Musi się zagoić.

Rozsiadła się wygodniej. Była imponującym zjawiskiem.

– Lepiej załóż tunikę – powiedział po chwili.

– Wreszcie wyglądam dość ludzko dla ciebie? – Założyła białą tunikę, ale celowo niedbale, żeby jedna pierś była nadal widoczna. Przynajmniej już nie siedziała z nagim łonem, otwartym ku niemu.

Zmilczał. Opowiadać jej teraz, jak trudno mu było się powstrzymać przy Płomienistych Wrotach, nie miało sensu.

– Dlaczego mi wtedy nie powiedziałeś, że należysz już do tej ciemnookiej dziewczyny? Skąd miałam to wiedzieć?

– Skąd teraz to wiesz?

– Przez te wszystkie dusze zwierząt i ptactwa, które nosisz przy sobie, a które cię pilnują. Przecież ja je widzę.

– Nie miałem ich z sobą na Drodze Trupa. Podobno demaskują przed Czarnymi.

– Mnie byłoby łatwiej cię zrozumieć. *Busierce* widzą dusze, ale mało z tego rozumieją. *Gabery* są bardziej spostrzegawcze, ale one często mają nadzieję na potomstwo z ludźmi.

– Bałem się, że mnie zdemaskujesz. Nie chciałem podzielić losu innych zwiadowców.

– Ja od pierwszej chwili wiedziałam, że jesteś człowiekiem. Dlatego wpadłam ci w ramiona, kiedy wyrwałam się z łap tamtych napastników. Przecież jestem córką zwiadowcy, który też wędrował przebrany w skórę Czarnego.

– Sykenu powiedział mi, że nim wzgardziłaś. Mogłaś mieć go natychmiast. Dlaczego wtedy mnie wybrałaś?

– Bo ty masz piękną duszę. Powiedziałam ci, że potrafię ją ujrzeć. Ta ciemnooka, do której należysz, a ona należy do ciebie, ma duszę jeszcze piękniejszą od twojej.

– Mówiłem na nią „Pięknooka”.

– To daj mi chociaż to jej imię.

– Cała jesteś piękna, ale skoro chcesz, to nazywasz się „Pięknooka”.

– Dobrze, Hemfri. Ona też cała jest piękna, chociaż jej jeszcze całkiem nagiej nie widziałeś.

Żołnierz z szarą pręgą na łydce nie zgłosił się. „Jego noga, jego wybór. Jeśli to rzeczywiście zakażenie, nie potrafiłbym mu pomóc”, pomyślał Adams.

Przygotował Złotej posłanie w drugim końcu celi, z dala od swojego, na wszelki wypadek.

– Masz nie wyjść z tego pomieszczenia. Odpowiadam za ciebie gardłem. Można ci zaufać?

– Tak. Nazywaj mnie moim imieniem. Już nie jestem bezimiennym stworzeniem.

– Śpij dobrze, Pięknooka Złota.

W ciemności przed oczyma duszy Adamsa rysowały się wydarzenia minionego dnia. Wkrótce docierał do niego równomierny oddech Złotej, a do niego samego sen nie chciał przyjść.

W pomieszczeniu było nadal jasno, mrok nocy też jakoś nie nadchodził.

„Popatrz, dziąsła mi się już zupełnie wygoiły”, Złota delikatnie przejechała paluszkami wzdłuż zębów. „Czy ja kiedykolwiek miałam kły...? Nawet różki mi odpadną, jeśli pozostanę w Dolnym Mieście”, powiedziała. „Tylko te włosy na całym ciele zostaną”. „Złota sierść”, poprawił Adams. „Ale nie każ mi stale chodzić w odzieży, bo się wytrą i zbrzydnę. Przestanę być Złota, zostanę tylko Pięknooka”, mówiąc to, wyswobodziła się z tuniki i lekko kopnęła ją w kąt. „Zostaniesz Pięknooka, nawet jak się zestarzejesz”. „My żyjemy zbyt krótko, żeby się zestarzeć”.

Złota rozsiadła się szeroko na brzegu wielkiego łóżka z baldachimem. „Chcesz zobaczyć, dlaczego podobam ci się tak nieodparcie?”, pokiwała głową z uśmiechem. Nie czekając na jego odpowiedź, uchwyciła suwak zamka błyskawicznego i rozpięła futro od szyi po krok. Zsunęła z głowy czapkę ze złocistego futra i wysunęła z niego ramiona. Miał przed sobą Renatę, która właśnie z filuternym uśmieszkiem uwalniała nogi ze złocistego odzienia. „Bo to ja jestem”, powiedziała po prostu, a iskierki figłowały w jej oczach. Miała na sobie kompletny strój. „Odwróć oczy, bo chcę wyjąć kluczyk”, powiedziała. Posłuchał, a ona szybko wyswobadzała się ze swej konstrukcji. Naga usiadła naprzeciw niego, otwarta tak, jak Złota zeszłego popołudnia. Aby piersi jeszcze lepiej wyglądały, uniosła dłonie, niby po to, by poprawić włosy. Cały czas się do niego uśmiechała. Jej sylwetkę otaczała świetlista aureola. Uległ pokusie i zerwał się ku niej. Oboje upadli na miękkie posłanie. „Hemfri, nie tak szybko. Ja tego jeszcze nigdy nie robiłam. Wiem tylko tyle, co mi powiedziała Złota”. Już dotyk jej skóry był nadzwyczajny, niebywale gładki, jedwabisty, chwilami wydawało mu się, że jej aksamitną skórę pokrywają króciutkie, złociste włoski; a potem to, co nastąpiło, nie przydarzyło się Adamsowi z żadną inną kobietą, a przecież w Górnym Mieście miał dwie należące nawet do drugiego rodzaju, Liliane i Falzarotę, a także Karen. To jakby przez ciało przepływał nurt od nieskończoności wypływający i do nieskończoności zdążający. Rozkosz nieustannie zmieniała odcienie, a Adams chciał, żeby to się nie skończyło. Każda chwila niosła spełnienie tajemnicy i obietnicę następnej chwili, jeszcze bogatszej w doznania.

Kiedyś musiało się to skończyć, ale Adams nie chciał jej wypuścić z ramion. „Podobało ci się?”, spytała Renata. Nie musiał odpowiadać. „Przecież Córki Ziemi musiały czymś zachwycić

ludzi, żeby je brali dla siebie”, powiedziała. „Nie przeżyłem jeszcze czegoś takiego”. „To dlatego, że Córki Ziemi robią to zwykle raz w życiu. Musisz to więc mocno przeżyć”. „Chcę jeszcze”. „Dosyć”, delikatnie, ale stanowczo Renata odsunęła go od siebie. Lekko pchnięty jej ramieniem, uniósł się w powietrze i pofrunął, miękko lądując na swoim pościeliu.

Świat nagle zaczął kiwać się rytmicznie.

– Hemfri! Obudź się wreszcie! Nie ma czasu!

Przed oczyma miał zatroskane oblicze Złotej. Całe pomieszczenie wypełniał duszny aromat kadzidła. Tłumiąc resztki snu, uniósł się na łokciu.

– Musimy natychmiast uciekać – powiedziała Złota. – Hjalmir został uwięziony.

– Ależ tu nadymione. – Adams próbował się niezdarnie pozbierać z barłogu. – Jakaś krew na prześcieradle...

– Znowu spałeś nago. Może rozdrapałeś jakieś otarcie. Nie wiem, czy zdążyłam cię zabezpieczyć przed złymi. Załóż wreszcie *skorupę*.

Nie pamiętał, żeby ściągał przepaskę do snu, ale milczał. Wstał z pościeli i się odział. Wszystkie talizmany od Renaty zostały zniszczone. Pokazał jej to.

– Nie wiem, co robiłeś tej nocy, może jednak kadzidło jakoś zabezpieczyło cię przed złem osobowym.

– Skąd wiesz, że Hjalмира uwięzili?

– Powiedziałam ci, że czasem widzę dusze. Siwa kobieta miała brzydką duszę. Oszukała ciebie. Cztery porcje kadzidła kosztują pół sycela. Chciałam zobaczyć, czy ci coś grozi, i zobaczyłam, że Hjalmir siedzi w lochu.

Natychmiast domyślił się, dlaczego uwięziono chirurga. Szybko spakował swoje rzeczy, włożył zbroję i przytroczył pałasz; petrynał wsunął do olstra. Białą tunikę Złotej przykrył szkarłatny płaszcz legionowy. Sztyletu jednak odmówiła. Gdy zwrócił jej uwagę, że nie jest silniejsza od zwykłej kobiety, powiedziała, że potrafi zatrzymać swoje serce i gwałcieł posiądzie co najwyżej trupa. Założyła kopytka jak buty. Adams poślinił dwa palce i ścisnął w nich knot aganka. Zapadła ciemność. Ledwie szarzało, do blasku dnia było jeszcze daleko. Starali się schodzić cicho, chociaż na kamiennych płytach kopytka lekko stukały.

Most zwodzony podnoszono na noc, jednak zostawiano kiwającą się w powietrzu na linach kładkę szeroką na jednego człowieka. Podeszli do wartowni.

– A wy dokąd? – rzucił zaspany żołnierz.

– Na Linie.

– A kto?

– Spalony Krawiec, *katrup* legionowy.

Wartownik drapał się po głowie, przeglądał dokumenty.

– Nie mam dzisiaj zgody na żadne nocne wyjście.

– A co wy mi tu chrzaniecie, *korpuśny*?! – wydarł mu się w twarz Adams. – Piętnaście minut do brzasku, a w *Wentzlu* na Mrocznej Przełęczy nie ma ani jednego chirurga! Przyszło mi sapać po nocy przez cztery godziny na górę, a wy mi tu jakieś kity sadzicie! Jak mi który Szczur w międzyczasie wyzionie ducha, to przypilnuję, żeby właśnie wami, *korpuśny*, uzupełnili tego Szczura! – Adams celował w niego paluchem zakończonym tępym szponem, zadbawszy, by szata się odsunęła i pokazały się czarne kudły na przegubie. Przez ramię wartownika zobaczył w jakimś spisie imię Hjalmira, imienia Adama nie było. Nie oznaczało to jednak, że jego samego aresztowanie nie obejmuje.

– A ta *gabera* w płaszczu legionowym?

– Złotej nie widzieliście, *korpuśny*? To moja własność, Pięknooka. Nie wiecie, że w Krum nie wolno takich trzymać?

– *Simbolon* tej *gabery*.

Adams podał mu kawałek ceramiki. Wartownik przeczytał i oddał mu dokument.

– Możecie przechodzić – powiedział. – A drzeć się nie musieliście.

Odblokował drewniane drzwi z bali. Jednak kiedy przechodzili chybotliwą kładką, złośliwie opuścił nieco liny, by most pod nimi się zakolebał. Zapadka przesunęła się ledwie o jeden ząb, a oboje niemal wpadli do fosy. Adams zaklął pod nosem.

– Podobała ci się jego dusza...?

– Czegoś tak paskudnego dawno nie widziałam, ale nie było jak cię ostrzec.

Szybkim marszem pokonywali puste i mroczne ulice Krum. Złota kopytkami wystukiwała rytm. Na posterunku dwaj wartownicy grzali się przy ognisku.

– Co to, Czarne służą na Linii...? – zagadnął żołnierz.

– Tak wyszło. Wam się stąd nie śpieszy, to trzeba Czarnymi uzupełniać stan.

– Mnie się też nie śpieszy, ale jak trzeba, to pójdę. A Złota ładnie wygląda w legionowym płaszczu. Szerokiej drogi. – Obaj wartownicy wyprężyli się w pozdrowieniu.

Adams im odsalutował.

W lesie było jeszcze całkiem ciemno, jednak dobrze znał drogę. Oczy przyzwyczyły się do rzednącego mroku. Nikogo na ścieżce do Mehz Khinnom nie spotkali. Taniec płomieni nad szczeliną przyciągał wzrok jak magnes opiłki. Przerażona Złota schowała się za Adamsem.

– Przecież to Płomienie z za Wrót. Skąd się tu wzięły?

– Wiem. Nie widziałaś ich jeszcze?

– Schodziłam przez las do tego drugiego fortu, podłużnego.

– Tibium. Pewnie szłaś od Mrocznej Grani.

W szczelinie ożywiło się jeszcze bardziej. Płomieniste postaci z rozdziawionymi ustami próbowały jak najwięcej objąć ognistymi ramionami. Ogień sięgał na płasń.

– Tańczące Płomienie chcą mnie porwać. Poznały mnie.

– Obejdziemy je skrajem doliny.

Musieli sporo drogi nadłożyć. Wreszcie cały obszar płomienisk znalazł się u ich stóp. Mozolne podejście przez piarg wyniosło ich w końcu nad opar mgły Mehz Khinnom.

– Jak piękny jest wasz ocean – powiedziała. – Chciałabym całe życie mieszkać nad jego brzegiem.

– Z grani widać jeszcze lepiej. – Adams lekko ją popędził. Sam jakoś nie potrafił dostrzec uroków tego morza. Woda zbyt często śmierdziała, fale były leniwe jak żółta zupa.

Wreszcie po dwóch godzinach od płasni Mehz Khinnom osiągnęli posterunek.

– *Katrup* z Linii, Spalony Krawiec – odkrzyknął Adams na wezwanie niewidocznego żołnierza.

– Poznają twoje czarne kudły. A ten biały w służbowym płaszczu?

– Pięknooka, *gabera* na służbie legionowej – krzyknęła Złota, zanim ją przedstawił.

Adams spojrzał na nią z uśmiechem.

– Podoba mi się tu. Ja chcę być jedną z was – powiedziała z naciskiem.

– Cie... Tego jeszcze nie było! – dobiegło od strony want.

– Ale się zgadza. Moja własność. Kupiłem ją w Krum.

Zza kamieni wyłonili się strażnicy. Cały *korpus* podszedł ją obejrzeć.

– To jest prawdziwa Złota Gabera? – zapytał Bertucci, rozdziawiając gębę w zachwycie.

Adams pokiwał głową.

– Kobiet na Linie sprowadzać nie wolno – powiedział *korpuśny* Palla.

– Zgadza się. Dlatego kupiłem Złotą Gaberę. Za dwanaście syceli.

– Spalony, będziesz ją kroił na kamieniu? Dam ci za nią żywą szesnaście syceli. To wszystko, co oszczędziłem przez całą służbę – Bertucci dalej gadał nieprzytomnie.

– Złotą Gaberę będzie kroił, głupku?! – warknął Palla. – Przechodźcie. Na górze zameldujcie się u *decymusa* – rzucił do Adamsa.

– Rozkaz.

– Wczoraj umarł Quirinu.

Ostatnia wiadomość trafiła stalowym ostrzem w serce.

– Jak umarł?

– Nie obudził się rano.

Poszli przed siebie. Adams ze zwieszoną głową. Złota nie dopytywała się. Drugi posterunek też nie robił trudności.

Wentzel był opustoszały. Obie *decymy* na zwiadach. Adams zakwaterował Złotą w swoim pomieszczeniu i poszedł zameldować się dowódcy. Croyn wskazał mu drogę.

Reutel coś czytał, zgarbiony nad służbową ławą – za dnia pomagał sobie kagankiem.

– Niosę złe wieści – zaczął Adams. Dowódca pokiwał głową.

– Domyślam się, że wykonujesz rozkaz.

– Tak. Hjalmir został uwięziony. Ja przypadkiem uniknąłem aresztowania.

Reutel nie odpowiedział.

– Czy to oznacza walkę? – spytał Adams.

– Myślę, że uda się uniknąć strzelaniny.

– Izabbaal posunął się do jawnego zatargu.

– I tak, i nie. Mógł aresztować Hjalмира, bo nastąpiło pogorszenie jego stanu albo stracił nogę pod nożem chirurga.

– Widziałem tę nogę. Hjalmir musiał ją odciąć. Wywiązała się już gangrena.

– Właśnie. A wedle twoich nauk, wizyta naszego Pana to wielkie zagrożenie dla otwartych ran.

– Zakażenie rany martwiną to pewna śmierć.

– Zatem obejmę bezpośrednie dowództwo nad garnizonem.

– A jeśli on zabił Hjalмира?

– Odpowie za to. Ale jako *sotnik* przede wszystkim muszę uniknąć bratobójczych walk.

– A jeśli Drubbaal wróci? – Adams ujawnił najskrytsze obawy.

– Nie wróci, bo nie odszedł – powiedział Croyn. – Zaraz po waszym odejściu znaleźliśmy jego zwłoki na Mogile Drubbaala. Jest po naszej stronie płasni.

– Miał wrócić. *Behmetim* się nie mylą.

– Nie mylili się i tym razem – Croyn się uśmiechnął. – Drubbaal leżał po Stronie Trupa, ale przy samej Linii. Tak blisko, że zebranie się do drogi zajęło mu całe tygodnie. Ledwie zdążył wykopać się spod kamieni i usiąść.

– Nie zdążył się podnieść?

– Nogi mu mocno nadgniły. Pewnie dlatego tak się niemrawo zbierał w drogę...

– Leżał dokładnie na Linii.

– Na to wychodzi.

– Dobiliście go?

– Nawet nie. Przenieśliśmy całkiem na naszą stronę. Marnie się bronił, słabeńki. Wygnite mięśnie, trupi odór... Teraz nie broni się nawet przed poczciwymi robakami. Sprawdzamy

codziennie.

– Właśnie dlatego obejmę Krum bez obaw – podsumował Reutel. – Wizyta Pana z Morza niczym nie grozi.

– Widziałem w Krum sporo więzionych Czarnych. Może być tak, że *macajbaby* nabrali hardości, bo udało się im tyle tego połapać. Widać im dalej od Linii, tym Czarne słabsze.

– Przeszły tak daleko...?

– Niedawno podchodziły pod *Wentzel*. Wtedy niektóre z nich mogły zejść na dół nawet ścieżką do Mehz Khinnom. Mogła tamtędy też zejść pogoń za mną i za Sykenu. Podobno one przestały już przechodzić, więc to może się zgadzać.

Reutel zamyślił się.

– Czy jeszcze coś...? – zauważył, że Adams nadal czeka.

– Kupiłem sobie niewolnicę, Złotą Gaberę, za dwanaście syceli.

– Mogłeś się wykupić za te pieniądze.

– Nie kupiłem za gotówkę. Sprzedałem kuszę i bełty.

– To jest ta sama Złota, która wam obu we łbach zawróciła pod Wrotami...? – Reutel pokiwał głową.

– Ta sama. Nie chciałem, żeby jej zrobili wiwisekcję.

– *Gabery* jeszcze w naszym obozie nie było. Ręczysz za nią?

– Tak. To ona ostrzegła mnie, że uwięziono Hjalmira, i dzięki temu zdążyłem uciec *macajbabom*.

– Złota panna uratowała ci życie?

– Na to wychodzi.

– Dobrze. Możesz ją zatrzymać u siebie, ale niech za bardzo nie rzuca się w oczy żołnierzom.

– Tak jest. Sprawilem już jej ubranie. *Sotnik* skinął ręką, że Adams może odejść.

Z rana Adams zrobił obchód medyczny; na zwiad wyszedł tylko jeden *korpus*, reszta żołnierzy siedziała w obozie. Obecnie usługi medyczne Spalonego Krawca były cenione bardziej niż robota Hjalмира, chociaż nadal ograniczał się do prostego szycia. Ponieważ długo sam chorował, niewielu zdążył zaszkodzić, jego sława więc na razie nie bladła. Złota miała mu w robocie asystować. Może teraz ona wyuczy się fachu chirurga...?

Widząc, że wziął się do czyszczenia pierwszego wrzodu, inni *simple* też zgromadzili się przy nim. Wystudiowanym u Hjalмира ruchem rozkroił karbunkuł i spuścił ropę. Przeplukał gotowaną wodą i opatrzył. Skasował pół sycela za robotę. Przy notorycznym braku wody na Linii powierzchowne zakażenia skóry były utrapieniem żołnierzy.

– Jeszcze żeby mnie ona dotknęła – zażyczył sobie legionista.

– Połóż mu dłoń koło opatrunku – powiedział Adams.

Złota Pięknooka posłusznie ułożyła dłonie na ramieniu pacjenta, otaczając ułożonym z nich kręgiem ranę.

– To będzie ćwierć sycela na trzech. Który też chce, żeby Złota położyła swoje dłonie na chorym miejscu?

Zgłosili się wszyscy pacjenci. Po skończonej pracy Adams odliczył jej zarobione pół sycela. Złota patrzyła na niego w zdumieniu, potem szeroko się uśmiechnęła.

– Tak, tak, to twoje pierwsze zarobione pieniądze. Jeszcze jednaście i pół sycela i się ode mnie wykupisz.

– Po co oni to robią? – prychnęła mu do ucha, kiedy opatrzeni żołnierze rozeszli się do swoich zajęć.

– Może powstał jakiś nowy przesąd? Może wierzą, że ich uleczysz? Albo na przykład, że jeśli przeżyli dotknięcie *gabery*, to dotknięcie żadnej innej na płaskowyżu nie zrobi im krzywdy... Kto ich tam wie.

Oboje przysiedli na blanku. Złota wszędzie chodziła za Adamsem, nieodłączna towarzyszka. Trzymała się go bardziej niż on sam Hjalмира w pierwszych dniach swojego pobytu na Linii. Widać jej było jeszcze trudniej się przystosować. Stojący obok *decymus* Hugge spojrział życzliwie na felczera.

Na horyzoncie rysowało się ciemniejsze pasmo Pana z Morza. Wyodrębniało się z mgiełki zasnuwającej dal.

Obaj przyglądali się nadpływającemu olbrzymowi.

– Nie dalej jak dwa tygodnie i już będzie w Krum. – Hugge wskazał dłonią w dal.

– Wolno się zbliża. Na jakiś czas jakby znieruchomiał.

– Teraz już nie. Wkrótce zacznie się wydawać, że przyspieszył.

– Jak taka wizyta zwykle przebiega?

– Bywają różne. Na ogół podpływa burtą, ciągnąc za sobą od drugiej burty żółtą chmurę. Opiera się o brzeg w miejscu twierdzy.

– Tam jest cypel wychodzący w morze. Krum leży na przylądku.

– No właśnie. Kiedy już zakotwiczy, a Trupiłeb głęboko werżnie się w jego korpus, zaczyna się wysięk martwiny. Jasnymi rozbryzgami pokrywa całe Dolne Miasto. Wygląda, jakby kto pomalował okolicę na żółtobrazowo.

– Jak daleko sięga wypływ?

– Zabarwia miasto, gościniec nadmorski i otaczające pola. Zwykle martwina nie dolatuje do pierwszych drzew lasu na zboczach. Trupiego smrodu stąd nie czuć, ale w Mehz Khinnom już zalatuje. W końcu odpychany wydmuchiwanymi gazami i wyrzucaną martwiną Pan z Morza oddala się.

– To wszystko? A czerwie na ten przykład?

– Widziałem je tylko z daleka. Trudno je wypatrzeć z obozu, a nikt nie odważa się zejść do Miasta w czasie wizyty władcy. Czerwie schodzą z jego pokładu, wreszcie nikną w ziemi. Niektóre wlatują w powietrze, ale ja tego nigdy nie widziałem. Te latające podobno opadają na ziemię i też się zakopują. Czerwie są groźne dla ukrytych w schronach. Potrafią przekopać się i zagryźć skrytych tam ludzi.

– A ta najbliższa wizyta też będzie taka? Można już coś orzec?

– Poprzednia obyła się bez czerwi, ale reguły nie ma.

– Na dole boją się wyjścia czerwi.

– Pogadaj z *macajbabami*. Oni wiedzą najlepiej, dlaczego należy bać się czerwi.

Złota Pięknooka uważnie przysłuchiwała się ich rozmowie, szczelnie zawinięta w szkarłatny płaszcz Adamsa.

– Jest bardzo źle, gorzej, niż przypuszczałam – powiedziała, gdy zostali już sami.

Adams uniósł brwi.

– Wasze terytorium jest maleńkie. Pan z Morza zajmie Krum, a na grani już Linia. Wolnej ziemi prawie nie ma.

– Wiesz, ja kiedyś nie przypuszczałem, że tutaj może być jakikolwiek wolny obszar.

– Może masz rację... Hemfri, załatw mi *pas*, zanim przyplynie Pan z Morza. Wtedy muszę też mieć biodra przepasane.

– Przecież możesz uganiać na golasa, bo masz futro.

– To słabe zabezpieczenie. Często zawodzi. Zbliża się czas, kiedy to przestanie wystarczać.

– Mogą cię opanować... One... Dlaczego ja nie mogę tego wysławić? – Przetarł dłonią usta.

– Bo jesteśmy zbyt blisko granicy. Najlepiej rozmawia się w Krum. Nie zauważyłeś tego jeszcze...? Nie powiedziałam ci, ale od rana nie mogę zzuć kopyt. Znowu stały się częścią mojego ciała.

– Pokaż dziąsła – chciał sprawdzić wizje ze snu.

Posłusznie otworzyła usta. Otwory po wyrwanych kłach były widoczne, choć spłaszczyły się i wypełniał je charakterystyczny strup. Goiły się jak zwyczajne dziąsła.

– Jak ma wyglądać to twoje zabezpieczenie?

– Zwyczajny *pas*, jaki dla bezpieczeństwa noszą dziewczyny w Krum. Oprze się na biodrach i żaden *busierec* mi go nie zedrze. Poza tym muszę mieć przepasane biodra.

– Pogadam z Crawhezem. Weź sztylet graniasty, nie odmawiaj. Przyda ci się broń. Ja woleń dłuższy *gladius*.

Skinęła głową.

– Podoba ci się szkarłatny płaszcz legionowy?

– Jest piękny.

– Kupię taki płaszcz dla ciebie. Zauważyłem, że wzbudza szacunek u żołnierzy.

– Jak chcesz, mogę chodzić bez tuniki, byle w płaszczu. Uśmiechnął się szeroko.

– Coś pięknego – powiedział – ale tak tutaj chodzić ci nie wolno. Za dużo wyposzczonych mężczyzn.

Na wieczór wyszli pod grań w stronę Mogiły Drubbaala, ale tylko do płasni, gdzie wieloma kopczykami zaznaczono miejsca pochówku legionistów. Adams odszukał kopczyk oznakowany postawionym na sztorc, złamanym pałaszem o wygiętym jelcu. Dołożył do kopczyka jeszcze jeden kamyk. Złota obok dodała swój. Oba kamienie wyróżniały się, leżąc na płaskiej płycie skalnej.

Hjalmir nadal nie wracał z Krum. Żadne wiadomości też nie przychodziły. Reutel czekał raczej na informację o zgonie Izabbaala. Wnioskiem z narady, którą odbył z *decymusami* już pierwszego dnia, było nieatakowanie od razu. Pan z Morza znowu się zatrzymał.

Adams miał teraz bardzo wielu pacjentów. Nawet zupełnie zdrowi legioniści przychodzili przed zwiadem, by Złota położyła swe dłonie na ich głowy. Zdarzało się, że więcej zarabiała za kładzenie rąk niż felczer za opatrywanie ran. Przesąd przesądem, ale dotąd żaden z tak zaopatrzonych przez nią legionistów nie odniósł ran w starciu z Czarnymi.

Adams poprosił, by *sotnik* udostępnił mu dokumentację Hjalmira, gdyż chciał kontynuować jego dzieło. Teraz postanowił przesłuchać Złotą. Okazało się jednak, że większość ze swoich notatek chirurg nosił przy sobie. Zostało ledwie nieco arkuszy papieru, pióra i tusz. Dobrze znanego notatnika Hjalmira ani śladu.

Złota oczywiście zgodziła się opowiadać o Stronie Trupa. Wieczór robił się chłodny, więc zamiast siadać przy ognisku na murach, Adams zabrał ją do swojej kwatery, wziął też kaganek i butelkę rozcieńczonego destylatu na rozgrzewkę. Poprzednie noce Złota przespala na barłogu rozkładanym na noc u drzwi do jego pokoju. W miejscu przeznaczonym dla niewolnika.

Dzisiaj barłóg zajął całą podłogę pokoiku. Adams ustawił kaganek na cienkiej desce, którą rozłożył do notowania. Złota ściągnęła z siebie wszystko. Powiedziała, że jest jej tu duszno i za gorąco. Widocznie jeszcze nie przywykła do odzieży. Pełgające światło kilku kaganków wydobywało złote refleksy z jej futra. Trudno było nie dostrzegać jej urody, kiedy rozsiadła się wygodnie, pólżąc, z ramionami pod głową i nogami zazębionymi z jego nogami.

– Nie wiem wiele. Postaram się jednak odpowiedzieć na każde twoje pytanie – zaczęła. – Nalać ci?

– Nie... – Adams przygotowywał kartkę do notowania. W Krum można było kupić pergamin, wyglądający jak nasycony oliwą, a który przyjmował tylko gęsty tusz. Hjalmir kroił z kupowanych arkuszy niewielkie kartki równej wielkości i zapełniał je drobnym maczkiem albo niezdarnymi szkicami.

– A czy mnie wolno sobie nalać...?

– Tak. Ale nie jest to tak dobre jak wino, które piłaś w twierdzy. Opowiedz o płaskowyżu. Znam tylko poblizę Linii. Powiedz, skąd wychodzą Golcy.

– Skąła ich wypuszcza. Niewysoka lita ścianka jest dla nich bramą. Tam i ja zachodziłam. Niektóre Trupistwory wychodzą razem z nimi. Tam czekają na nich Czarne. Niektóre próbują kamieniami kuć tę ścianę, ale to bezskuteczne. Nie wiem, po co to robią. Jakby nie wiedziały, że Skąły nie przemogą. Mądrzejsze cierpliwie czekają na Golców.

– Wszyscy Golcy chętnie idą z Czarnymi?

– Nie widziałam innych. Choć najbrzydsze dusze są przeganiane poblizem Linii. Wiesz, ja starałam się często zaglądać w poblizę Linii. Wiedziałam, że po drugiej stronie są ludzie.

– Żaden zwiadowca cię nie widział.

– Chodziłam tam, tylko gdy było całkiem ciemno. Za dnia, jak każdy, obawiałam się śmierci. Matka mówiła jedno, Czarne mówiły co innego. Dla nich tam jest niezwykle groźnie, a mimo to są zbyt tępe, żeby wybierać inne trasy.

– Może im nie wolno? Bałaś się ludzi, a jednak zbliżałaś do Linii?

– Kryłam się tam przed Czarnymi, które mnie nienawidzą, a przy Linii jest ich mniej. Kilka razy *busierce* chciały mnie zgwałcić, ale nigdy się to nie zdarzyło blisko Linii. Na dodatek tam ludzka część mojej natury była silniejsza. Nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli...?

– Akurat to rozumiem bardzo dobrze.

Chwilę notował. Zaostrzonym patyczkiem szło to wolno.

– Często zdarzają się na Drodze Trupa osoby odziane?

– Nigdy. – Spojrzała zdziwiona. – Oni wszyscy muszą być tam dostępni. Zresztą dla nich to żadna różnica, bo przecież i wcześniej chcieli być dostępni.

– Ja spotkałem tam dziewczynę w brązowym kubraczku. Wchodziła za Płomieniste Wrota, wracała stamtąd. Opowiadała mi, co tam w środku jest. Nazywała się Grieta.

Pokręciła głową.

– To nie jest możliwe. Tam są tylko Golcy. Ja jej nigdy nie widziałam. Może ona jest tylko dla ciebie?

– Tylko dla mnie?

– Może to było twoje wyobrażenie, jakieś wspomnienie?

– Golcy też ją widzieli. Atakowali ją.

– To może było wasze wspólne wyobrażenie. Kobieta, która grabi przed Płomienistymi Wrotami? To niemożliwe... – Złota pokiwała głową.

Istotnie, historia opowiedziana przez Grietę opisywała życie za Wrotami anachronicznie, bardziej odzwierciedlała myśli samego Adamsa. Czy i zachowanie Griety było wyrazem pragnień samotnego zwiadowcy...? Tych pytań Złotej nie zadał, ale skrętnie je zanotował. Zdołał zapisać stronę w całości. Wśród czystych arkuszy znalazł gruby karton gąbczastego, czerpanego papieru. Specjalnie przeznaczonego do rysowania.

– Suchych też nie ma? Idą sami Golcy?

– Trupistworów jest tam wszędzie bardzo dużo. Całe ich tłumy czekają pod Skałą. Siedzą albo kucają, a kiedy Skała nie powstrzyma następnych idących, zbierają się z grupką nowo przybyłych albo czekają na jeszcze następnych. Czasem same snują się po płaskowyżu. Nieprzyjemnie wpaść na takiego, bo się można poobijać. Czy wolno mi wypić drugi kieliszek?

Adams podniósł na nią wzrok. Złota spoczywała w wyjątkowo pięknej pozie. Siedziała z ramionami pod głową, a powieki opadały jej do połowy. Wspaniała, leniwa drzemka. Drugi raz w życiu piła alkohol i mocno odczuwała jego działanie.

– Może nie – powiedział. – Nie pij jeszcze. Siedź chwilę spokojnie. Nie zmieniaj pozycji. Spróbuję cię naszkicować.

Wziął się do pracy. Mierzył, zaznaczał ołówkiem cienkie linie pomocnicze. Umiał dobrze rysować, jeszcze zanim został historykiem cywilizacji. Potem było mniej czasu na rozwijanie tej umiejętności, chociaż w szybkim szkicowaniu zdołał się wydoskonalić.

Gdy uchwycił już jej proporcje, zaczął rysować. Unikał nadmiernego podkreślania konturów. Rysował ją dokładnie tak, jak usiadła: na wprost niego z nogami uciekającymi na boki. Oddał więc wszystkie szczegóły jej korpusu, łono też. Ponieważ nie miała dłuższych włosów częściowo kryjących te szczegóły anatomii u kobiety, a całą skórę porosłą równomiernie króciutkim futrem, widać było więcej niż na zwyczajnym akcie – tak jakby rysownik celowo eksponował jej łono. Mimo pewnej dosłowności powstawał piękny akt na całą stronę.

Złota czekała cierpliwie, leciutko się uśmiechając. Śledziła wzrokiem ruch gałek ocznych Adamsa.

– Rysuj mnie jak najczęściej – powiedziała. – To wspaniała rzecz. Twoje spojrzenie pięści najdrobniejszy szczegół mojego ciała. Myślę wtedy, że jestem tego warta.

Adams pokiwał głową. Rozrobił wodą nieco tuszu, żeby dodać lawowanie i zrobić też modelunek jej ciała. Subtelna gra światła na jej futrze i tak zginie w tej technice.

Cały czas obserwowała go ciepłym, łagodnym spojrzeniem.

Ta praca obudziła dawnego Adamsa, profesora historii cywilizacji. Dobrego rysownika, choć gorszego malarza, jednak bystrego obserwatora, badacza. Chłodno oceniał jakość powstającego rysunku, poprawiał drobne błędy. Zauważył, że udany rysunek nieoczekiwanie wyeksponował nieludzkie cechy Złotej. Wyglądała niezwykle pięknie, choć dziwnie.

„W co ja się wplątuje”, pomyślał. „Co ja bym zrobił, gdyby Renata znalazła się w takiej sytuacji. Przecież ona tam czeka na mnie w Krum, a ta dziwna piękność nie drapnęła mnie za Wrota, to teraz wchodzi mi do łóżka. Przecież Złota faktycznie leży naga z rozrzuconymi nogami, splecionymi z moimi”.

Złota spojrzała na niego poważnie, jej twarz skrzywił wyraz cierpienia, ale tylko na mgnienie

oka; zaraz wróciła pogodna zaduma.

„To niewolnica, wszystko ci z nią wolno”, przyszła inna myśl. „To twoja własność, a traktujesz ją stokroć lepiej niż inni”. „Kim ty się stałeś? Niewolnice kupujesz, chociaż sam przecierpiałeś niewolnictwo?”, pomyślał znowu. „Przecież ona zasługuje na wolność”.

Wtedy powtórzyła się sytuacja z kwatery w Krum. „Przecież to ja jestem Renatą”, powiedziała Złota i rozpięła zameczek błyskawiczny. Tym razem *stroju* ściągać nie musiała. Pod tym złocistym kombinezonikiem była zupełnie naga. Adams nawet nie próbował się bronić. Wyfrunął w powietrze, chwilę unosił się pod sufitem, jak urzeczony patrząc na nią, a wreszcie wpadł w jej ramiona. Renata tuliła się do niego z jakąś dziwną zapamiętałością, czuł jej gorący oddech, to znów znajdował chłodniejsze miejsca na jej skórze. Czekał na to niezwykle uczucie, którego doznał w Krum. Wreszcie przyszedł od nieskończoności znajomy, przenikający powiew. Znowu można się było zapomnieć. Jednak czegoś tu brakowało. Było wspaniale, ale zwyczajniej. Tamto niezwykle uczucie unoszenia się ponad swoje ciało nie wróciło. Renacie z kącika oka spłynęła pojedyncza łza. „Córki Ziemi nie robią tego wiele razy, dlatego za każdym następnym razem jest już coraz bardziej zwyczajnie – powiedziała. – Musisz się do tego przyzwyczaić. Miałeś zbyt wiele kobiet, żeby nie zauważyć różnicy”.

Rano Złota zbudziła go przed świtem. To stało się już ich zwyczajem. *Skorupa* mu się we śnie poprzesuwała, musiał wszystko poprawić, zanim się pozbierał z posłania. Złota zwiłała swój barłóg sprzed progu jego kwatery. Zrolowaną skórę wrzuciła w kąt pokoju, potem złożyła jego posłanie w kostkę. Przy nikłym ognisku zwiad zbierał się do wymarszu.

– Ona nosi się jak purpurowi – zauważył Bertucci, widząc nadchodzącą parę. – Tej nocy jęczała pod Spalonym od zmierzchu do świtu.

– Pośpieszcie się, *simpel* – rzucił Hugge. Jemu też nie odpowiadały nowe zwyczaje w *Wentzlu*, ale na głos ich nie krytykował. – Na płaskowyżu znajdziecie swoją Czarną, to będzie pod wami jęczała.

– Dużo jest Złotych? – spytał Scholz, idący na swój pierwszy w życiu patrol. Przybył z ostatnich uzupełnień.

– To jedyna, jaką w życiu widziałem – powiedział *decymus*. – Spalony znalazł ją sobie pod Płomienistymi Wrotami, potem gdzieś pogubił, a teraz odkupił w Krum.

– Pomaga, jak ona położy ręce na czole – zauważył Bertucci. – Jeszcze żadne Czarne nas nie zaatakowały. Następnym razem poproszę ją, żeby mnie dotknęła gołą piersią. Dam jej za to całe pół sycela. To pomoże jeszcze bardziej.

– Wam już nic, *simpel*, nie pomoże. Słońce wschodzi, zaraz zaczną się transporty, a wam baby w głowie. Ze zwiadu wracasz, kiedy i przed zwiadem, i na zwiadzie myślisz tylko o zwiadzie – dowódca powtórzył znaną maksymę. – Ruszcie dupsko, *simpel*.

Po wyjściu zwiadu pozostało jeszcze nieco czasu do ранego posiłku. Reutel zgodził się, by przyjąć Złotą na stan legionu. Uznał, że jej zabiegi mogą poprawić maskowanie zwiadowców, chociaż groziły ich większą nonszalancją. Może unosili z sobą ślady zapachu Czarnego...? Praktycznym skutkiem było, że Złota miała obecnie status zbliżony do niewolnika legionowego, czyli bez żołdu, ale żywionego przez wojsko.

Inni żołnierze dosypiali jeszcze ostatnie minuty, nikt nie prosił o porady, można było, stojąc na blankach, oglądać, jak robi się coraz jaśniej, chociaż odbita od fal oceanu tarcza słoneczna pojawiała się dopiero koło południa, i to przy najlepszej pogodzie, kiedy niebo spowijały te najpiękniejsze, najniezwyklejsze chmury, *Pieczeń Sylwestra*.

Złota nie potrafiła czytać w myślach, a obraz duszy Adamsa rysował się jej w sposób trudny do nazwania. Choć nie do wysłowienia, niósł często zrozumiałe przesłanie. Dotąd widziała jego rosnące uczucie do niej, co dawało jej nadzieję, do której – zdawała sobie przecież sprawę – nie mogła mieć prawa, teraz jednak nastąpiła zmiana i obraz ten mówił co innego. Rozumiała też, że uczyniła wiele poza wiedzą Adamsa i ujawnienie całej prawdy jej nie pomoże. Z drugiej strony, nie mogła przecież przeskoczyć swojej natury i postąpić inaczej. Zerkając na profil felczera wpatrzonego w daleki ocean, postanowiła, że powie mu o wszystkim. No, chyba że znowu znajdzie

się we władaniu tych stad i sytuacja wymknie się jej spod kontroli. Teraz była nieźle zabezpieczona; miała dwie warstwy odzieży i swą naturalną osłonę.

– Zimno z rana – powiedział Adams. Starannie zakutał się w skórę Czarnej narzuconą na tunikę.

– Jak komu, mnie futro grzeje. Lubię te poranki w forcie. Czy oni będą mnie zabierać na patrole...?

– Jeśli wyuczysz się fachu, może im się przydasz. Mogą też cię brać z sobą jako maskowanie oddziału. Skoro twój dotyk ich zabezpiecza, to obecność powinna jeszcze lepiej działać.

– Nie wierzę w to. Reutel dał sobie wmówić żołnierskie przesady.

– Jaką ma duszę? Szary lis nie łaknie krwi – powiedziała po namyśle. Straciła odwagę do wyznań. Powie mu innym razem.

Adams pokiwał głową. „Dobra charakterystyka”, pomyślał. „Pod Reutelem jest wyjątkowo mało strat, chyba że się porwą na zdobywanie twierdzy”.

Z Krum przywędrował Crawhez. Dla Złotej miał wąski, skórzany pas, na którym mogła nosić sztylet otrzymany od Adamsa. Miał też szkarłatny płaszcz w innym odcieniu niż barwa *pretorii*. Złota zapłaciła trzy sycele, a resztę – dwa i pół – bez słowa dołożył Adams.

– Czy teraz masz już biodra przepasane?

– Tak, to wystarczy. – Skinęła głową. – Chciałabym jeszcze dostać *pas*, aby się zabezpieczyć przed przeciwnikiem zawsze widzialnym... – Uśmiechnęła się. – Najlepiej taki, żeby trudno go było zauważyć: pewny, a niezbyt zabudowany. Pełny *strój dziewicy* jest wykluczony.

– Masz wymagania.

– Żeby *busiercom* zbyt się w oczy nie rzucał, bo mi zedrą.

Złota przechadzała się z dumą w nowym odzieniu. Pas podkreślał jej smukłe biodra. Chodziła po blankach z Adamsem, nieświadomie naśladowując jego ruchy, jego sposób noszenia głowy.

Adams zatrzymał się i spojrzał na Złotą.

– Powiedz, co jest na początku drogi każdego Golca? – zapytał. – Opuszczają Skałę, ale co jest na samym początku?

– Nie wiem. Matka opowiadała, że Golcy zaczynają się w pięknym Ogrodzie. Każdy z nich bardzo szybko ten Ogród traci. Nie potrafi oprzeć się pokusie. To początek ich drogi. Ale to takie baśnie.

„Skoro Eden istnieje, bo byłem na jego skraju, to może każdy z nas jest stwarzany nie

metaforycznie, lecz rzeczywiście w Edenie?”, zastanawiał się Adams. „Może dusza każdego z nas jest stwarzana z płatków chleba i kropel wina właśnie tam? A każdy z nas powtarza w taki sposób dzieje Pierwszych Rodziców choćby po to, by lepiej rozumieć, skąd zostaliśmy przegnani...? Może po prostu o tym nie pamiętamy. Na razie, na Ziemi”.

Mogłoby to się dziać między stworzeniem duszy a jej wcieleniem.

A jak jest z ciałem? Nie jest powiedziane, że Bóg poprzestał na stworzeniu jednej pary, Adama i Ewy? Dlaczego miałby poniechać stwarzania ludzi z chleba i wina? Nie można Mu odmówić takiej możliwości działania. Mogło się zdarzyć, że tylko potomstwo jednej spośród stworzonych par trwa nadal lub że różne potomstwa nie stykają się. Zresztą dlaczego miałyby się nie stykać...? Może być jeszcze inaczej. Przecież widział stwarzanie Natalii.

Eden jest faktem. Skoro raz powstał, to miałyby przez resztę czasu pozostać bezludny? Czy więc wina Pierwszych Rodziców nie obejmuje następnych stworzeń...? Niby dlaczego miałyby się przenosić tylko wśród kolejnych pokoleń, tylko przez zrodzenie?

Przecież i zrodzeńcy, i stworzeńcy to ta sama kategoria: ludzie. Wina jest wyznacznikiem naszej kategorii. Wszyscy opuszczają Eden. Każdy osobiście pieczętuje decyzję Pierwszych Rodziców własnym upadkiem. Natalia przecież też stamtąd wyszła...

– Byłem w Ogródzie. Widziałem stwarzanie z wina i chleba.

– Stąpałeś po miejscach Węża...? To tylko sam skraj, przedsionek Ogrodu.

Chwilę milczał.

– Wszyscy ludzie tracą Ogród?

– Wszyscy. Tylko jedna kobieta nie straciła, ale wyszła stamtąd na jakiś czas z własnej woli, a potem tam wróciła, kiedy zechciała.

Złota próbowała namówić go, żeby ją znów rysował, bo przecież jedyny szkic oddaje tylko górną część jej sylwetki, a gubi nogi i charakterystyczne kopytka. Adams w zasadzie się zgodził, ale opatrywanie żołnierzy przeciągnęło się do zmroku.

Wieczorem posłusznie rozeszła sobie przy wejściu do kwatery Adama, choć czyniła to z bólem. Intuicja mówiła jej jasno, że wkrótce nadejdzie chwila rozstania, dlatego jak najwięcej jej wcześniejszych sióstr tej jednej chciała spędzić blisko niego.

Usiedli pod masztem sygnałowym na kulminacji grani bocznej, obramowującej Mehz Khinnom. Obecnie czarny znak legionu przeniesiono nad *Wentzel*. Tyczka ze znakiem *sotnika* samotnie celowała ku *Pieczeni Sylwestra*. Reutel wybrał jako swój znak węża z ptasim ogonem. Na razie przysługiwało mu jedno skrzydło.

Złota usiadła nieco za Adamsem, ale tak blisko, żeby czuć dotyk jego ramienia. Adams nie odsunął się, lecz bardziej przytulił. Przypomniawszy sobie, że kiedyś widział tak przytulonych do siebie Barberę i Donnę. Powinien wreszcie rozmówić się ze Złotą Gaberą. Ta zażyłość nie mogła trwać dalej.

Twarz Złotej skrzywił znany bolesny wyraz, znów odczuła jego myśli. Domyślała się, co usłyszy.

Adams zbierał siły, by zacząć rozmowę. Nie można było przeciągać tej sytuacji w nieskończoność. Widział krzywe spojrzenia innych żołnierzy, nietrudno było domyślić się, o czym rozmawiali. Złotą wyciągnął z tarapatów, uratował jej życie, zresztą ona mu się za to niemal natychmiast zrewanżowała. I tyle. Powinna się tym cieszyć. Nie do pomyslenia było, żeby Renata tolerowała taką domowniczkę. Myśląc o tym, półświadomie czuł, że nie jest z sobą do końca szczery. Złota była piękna jak sen, przyjemność sprawiało przebywanie w jej obecności, przyjemność sprawiało dotykanie jej i obejmowanie.

Te rozmyślenia przerwał widok kogoś pośpiesznie nadchodzącego z dołu. Tutaj grań nawieszała się skalną amboną nad Mehz Khinnom – widać było odcinki ścieżki wznoszącej się zygzakami piarżystym żlebem. Piechur szedł sam, bez plecaka ze sprzętem; spod szarego płaszcza kwatermistrzostwa co chwilę błyskały brązy. Wysoka ranga. Będzie musiał przejść całkiem blisko nich. Ścieżka poniżej przełęczą obchodziła próg żlebu, wznosząc się na skalne żebro, a potem wiodła do *Wentzla*, do żlebu już nie wracając.

– Słyszysz, jak on sapie, idąc pod górę? – spytała Złota.

– Z tej odległości jeszcze nie. Skoro o tej porze znalazł się tutaj, to pewnie wyszedł jeszcze przed świtem. Nie zaczekał na Crawheza albo na nosiwodów.

Adams przykrył ich oboje swoim płaszczem. I cieplej tak, i bliżej.

– Bolą mnie dźiąsła – powiedziała. Spojrzał pytająco.

Pokazała palcem miejsca po wyrwanych zębach.

Rana była już prawie zagojona, jednak wewnątrz dało się wyczuć zgrubienia. Mogły to być zawiązki nowych kłów. Bliskość Linii domagała się od Złotej stosownego wyglądu.

– Tylko w Krum jesteś bezpieczna. Tutaj wrócisz do takiego wyglądu jak przedtem.

Zadrzała w jego ramionach.

„Przesadza, przecież grożą jej ledwie niewielkie zmiany”, pomyślał. „Kopytka i tak już jej przyrosły na nowo”.

Wreszcie wędrowiec wspiął się do nich. Szedł wolno, ciężko dysząc. Kręcone, siwiejące włosy, worki pod oczyma i wydatny brzuch zdradziły zażywną postać Hejlabbaala. Adams zsalutował, Złota też stanęła na baczność. Wysoki oficer odsalutował i zatrzymał się dla złapania tchu.

– *Sotnik* w forcie? – rzucił, przecierając chustką pot z czoła. Adams przytaknął skinieniem głowy i wskazał dłonią dalszą drogę.

– Pamiętam cię. Przyszedłeś do Krum z tym starym *katrupem*. – Hejlabbaal wdział hełm z okazałym pióropuszem.

Adams spojrzał niepewnie. Oficer garnizonu chce go aresztować pod samą Linia? Broń została na kwaterze, jedynie Złota miała przy sobie sztylet.

– W tym momencie to ja jestem jedynym *katrupem* w *Wentzlu* – powiedział na wszelki wypadek.

– Taa... – Oficer skinął głową i poszedł.

Trudno było dalej próżnować, gapiąc się na widoki. Skoro pierwszym posłańcem z Krum był numer drugi w tamtejszej hierarchii służbowej, to musiał przynieść ważne nowiny. Tylko dlaczego przyszedł sam? Tak wysocy oficerowie nie ruszają się bez obstawy. Dobra chwila do szczerzej rozmowy ze Złotą bezpowrotnie minęła. Jeszcze przez jakiś czas siedzieli pod znakiem legionu, ale Adams myślał już o czymś zupełnie innym: wyobrażał sobie różne warianty rozmowy Hejlabbaala z *sotnikiem*. Złota wyczuła, że myślami umknął od niej.

– Wracajmy – zaproponowała, a on się nie sprzeciwił.

W warowni panowało ożywienie. *Sotnik* jeszcze negocjował z Hejlabbaalem, ale już wydał rozkazy i cała *decyma pretorii* szykowała się do wymarszu.

Adams niepewnie patrzył po żołnierzach: „Takie osłabienie Linii? Najlepsza jednostka schodzi na tyły”.

Prefektus Croyn uśmiechnął się dziarsko.

– Idziemy nauczyć *macajbabów* posłuszeństwa – powiedział. – Pora, żeby przestali się szarogęścić.

Adams nie zaryzykował stwierdzenia, że nie mają szans.

– Dziesięć sztuk obrzynów. Prawie cały sprzęt – powiedział.

– A na każdego sześć sztuk amunicji – odparł uradowany Croyn. – Po jednej na każdego

macajbabę.

„Szaleńcza wyprawa”, pomyślał Adams. „Zginą najlepsi żołnierze. Krum stanie otworem dla czarnych bestii”.

Croyn polecił mu poczekać w pobliżu, bo *sotnik* na pewno będzie go potrzebował przed wyjściem. Rzeczywiście, nie trzeba było czekać długo, kiedy jeden z *pretorian* poprowadził go do dowódcy.

Sotnik patrzył na Adamsa z leciutkim uśmieszkiem. Na jego opalonej twarzy mocniej rysowały się zmarszczki. Zdjął hełm, przetarł chustką spocone włosy. Ostatnio przybyło wśród nich sporo nitek siwizny.

– Nie obawiaj się, Krawiec. To nie całkiem tak, jak rozpowiadają *simple* – powiedział. – Musimy jednak się pośpieszyć, bo Izabbaal wydał wyrok śmierci na Hjalмира. Chirurg zostanie stracony, gdy kwatermistrz umrze. Trzeba więc umierającego głupca szybko odsunąć od władzy. Powinno obyć się bez bratobójczej walki. W Krum też są rozsądni ludzie.

– Hejlabbaal zostanie kwatermistrzem?

– Tak to widzę... – Reutel rzucił Adamsowi chłodne spojrzenie, jakby oczekiwał dalszych pytań. Jednakże niczego nie usłyszał, więc kontynuował: – Zwracam ci wolność do reszty. Akt uwolnienia już został spisany. Legion dopłaci brakującą kwotę, zasłużyłeś na to.

Reutel podał mu certyfikat.

Adams troskliwie zawiązał opieczętowany pergamin ze świadectwem uwolnienia w wołowy pęcherz. Zwitek zaciśnięty sznurkiem był wystarczająco wodoodporny. W milczeniu oczekiwał dalszych wieści. Szary Lis okazał się poza wszystkim bardzo ludzki.

– Widzisz... – zawahał się *sotnik*. Rzucił Adamsowi uważne spojrzenie. – Gdybym wcześniej wiedział, że nie przemienisz się w bestię, zrobiłbym z ciebie prefekta *pretorii*.

Adamsowi dech zaparło.

– Ze mnie...? Przecież ja mieczem ledwie władam.

– Nieważne. Dobrze sobie radzisz w trudnym terenie. Wyszkoliłbyś dla mnie ze dwa *korpusy* do walki na Kozich Perciach. Tatar odszedł bez następcy. Poza tym *decymus pretorii* rzadko dobywa miecza. Powinien być najważniejszym doradcą *sotnika*. Croyn jest zbyt zapalczywy. To frontowiec, nie strateg. Więcej pożytku przynosi niesłuchanie jego rad niż odwrotnie. Pachom był równie młody, ale przynajmniej rozważny.

– Poradzisz sobie bez doradcy.

– Starannie czytałem twoje relacje ze zwiadu. Skoro Czarne zza Płomienistych Wrót mają rodzaje broni nie znane nawet nam, skoro znają sposoby walki, o których nam się tu nie śniło, to nie

są tylko gamoniowatymi przyglupami, półludzkimi bestiami. W takim razie choćby z prostego porównania sił jasno wynika, że utrzymanie Linii przez moje oddziały stoi pod znakiem zapytania. Oceniam, że Czarne najprawdopodobniej zepchną ludzi z grani, może nawet znowu opanują Dolne Miasto. Naszą powinnością jest jak najbardziej to opóźnić.

– Barchem mówił, że Czarne koło Krum są bardzo słabe. Ponoć *macajbaby* łapali je bez większego trudu. Może to nie jest miejsce Czarnych?

– Wiem... – mruknął Reutel. – Czytałem twoją relację z Górnego Miasta. Uważasz, że Krum i wybrzeże oceanu jest wyjątkowym miejscem. Takim jak punkty, po których stąpałeś w Ogrodzie.

– O podobnym charakterze, lecz dokładnie przeciwnej przynależności.

– Tak, wiem. Sam widzisz, każdym słowem udowadniasz mi, jak cennym byłbyś doradcą. Co zrobisz jako wolny?

– Odejdę po zakończeniu służby. Reutel zamrugał białymi rzęsami.

– Mówisz nawet to – powiedział. – Cóż, lepiej tak, niż miałbyś tu planować ucieczkę... pod moim nosem... – zamilkł, coś ważył w milczeniu. – Póki co, pozostajesz wolnym legionistą.

– Tak jest.

Zaraz schodzę wraz z całą *pretorią* do Krum. W tym czasie, Spalony, obejmiecie dowództwo w *Wentzlu*. Na Nocnej Grani stacjonuje *decyma* Chettiego i wy mu podlegacie do mojego powrotu. Natomiast w *Wentylu* podlega wam Hugge ze swoją *decymą* oraz wszyscy inni, którzy się na tym terenie znajdują, w tym *rachubiec* Urbanyj. Hjalmir też, jeśli wróci przed moim powrotem.

– Tak... jest... – Twarz Adamsa wyrażała bezbrzeżne zdumienie. – Ale...

– Awansuję was do rangi *decymusa*.

– Ale, dowódco...

– Wykonać!

– Tak jest.

– Faktycznie już dotąd mieliście posłuch jak oficer. Ponieważ jesteście, Adams, *katrupem*, ta ranga nie będzie oznaczać, że od razu dostaniecie do dowodzenia *decymę*. – Reutel uśmiechnął się nieco ironicznie. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Adams nie miał doświadczenia w rutynowych akcjach polowych. – To godność. Po moim powrocie zostaniecie przeniesieni do *pretorii*. Zaraz moje rozkazy zostaną powtórzone w obecności oficerów. Powiedziałem wam to najpierw na osobności, żebyście się z czym nie wyrwali przy nich. Takie uwagi są przez niektórych źle widziane.

Sotnik wezwał innych oficerów i ogłosił nominację Adamsa. Wręczył mu też brązową blachę dowódcy do przymocowania w widocznym miejscu zbroi, obowiązujący Adamsa regulamin służby

oraz zalakowane rozkazy na czas swojej nieobecności.

Jako dowódcy przysługiwało mu teraz wywieszenie swojego znaku obok godła legionu. Adams wybrał wizerunek złocistej szarfy. Akurat taka znalazła się w magazynie fortowym.

Wkrótce z blasku obserwował, jak cała etatowa *decyma pretorii*, w pełnej gali, w kirysach, szkarłatnych płaszczach, czubatych hełmach, przy kuszach i obrzynach, schodzi do Krum. Żołnierze szli rozradowani, pełni energii, jednak wrzaskliwy hejnał legionu odegrali tylko raz, przy forcie. W Mehz Khinnom ma nie brzmieć muzyka.

„Z czego się tu cieszyć?”, pomyślał Adams. Oddziałowi towarzyszył Hejlabbaal. „W dół nie będzie za nimi zostawał”, ocenił.

Trzeba było zapoznać się z mapami i przygotować rozkazy na rano. Do zmroku pozostało mało czasu.

Usiadł za biurkiem Reutela, położył na blacie swój hełm i w świetle kaganka wziął się do czytania regulaminu służby.

Funkcja dowódcy warowni wymagała wypełniania tak wielu zadań i była obwarowana tyloma nakazami i sankcjami, za których złamanie groziła kara śmierci, że pomyślał nawet, iż za ten niechciany zaszczyt zapłaci głową. Tym bardziej że obecnie fort pozostawał mocno osłabiony, a jedyną bronią palną był tutaj jego własny petrynał, zaopatrzony w dwa naboje. Całą resztę broni palnej i amunicji wzięła ze sobą *pretoria*.

Wiele z rozkazów wymuszonych było rutynową działalnością warowni, jednak przygotowanie odprawy i zadań na jutro wymagało solidnego przestudiowania mapy. Złota przycupnęła przed drzwiami i cicho czekała na polecenia. Nie śmiała mu przeszkadzać w pracy.

Mapa wykreślona tuszem na delikatnie wyprawionej skórze wyróżniała się jakością. Nie była prymitywnym schematem, jej autor próbował faktycznie oddać topografię terenu. Z pewnością mapę oparto na wykonanych przez kogoś pomiarach. Adams wziął się do studiowania.

Dysponując w forcie jedynie kilkoma ludźmi, nie był w stanie utrzymać tak długiej linii frontu. Trzeba się było ograniczyć do obrony fortu. Zwiadów nie mógł zaniechać. Na bieżąco informowały o sytuacji po Stronie Trupa. Mógłby poprosić o posiłki Chettiego, ale już jeden posłaniec znacząco osłabiłby załogę, a przecież stan kadrowy obozu na Nocnej Grani był równie zły. Tym bardziej że ścieżka na Nocną Grań ciągnęła terenem łatwym do zrobienia zasadzki, a bardzo niewygodnym do obrony. Na dodatek wszystko wskazywało, że właśnie w tamtym rejonie grani Czarne przeszły do Krum. Musiało wśród nich pozostać jeszcze wiele osobników znających tę drogę.

„Znowu dzisiaj nie dotarli nosiwodzi”, przerwał rozmyślania nad mapą. „Trzeba rozwiesić koce”. Wody wprawdzie jeszcze nie brakowało, ale w zbiorniku w forcie pozostało jej niewiele. Z korytarza dochodziło cichutkie pochrapywanie Złotej Gabery.

W dolinach już ciemniało. Dzień miał się ku końcowi. Pora wydać rozkazy. Hugge był starszym, bardzo doświadczonego żołnierzem. Rozkazywanie mu wymagało wiele taktu. Wezwany, przyszedł z trzema swymi *korpuśnymi*. Adams zaplanował na jutro płytki zwiad w sile jednego *korpusu* (dowodzi Hugge, wzmocniony o jednego *simpla* z *korpusu* Palli) w rejonie Mrocznej Przełęczy.

Zwykle rozpoznanie terenu, liczenie przechodzących grup, bez łapania brańców. Unikać starcia. *Korpus Palli*, ale z Urbanyjem w miejsce jednego z żołnierzy, penetruje grań na wschód od Mroczej Przełęczy. *Rachubiec* ma skartować wszystkie przejścia przez grań, których jeszcze nie zaznaczono. Uważać na Czarne, Linii nie przekraczać. Spenetrować mniejszy teren, ale dokładniej. Reszta *decymy*, *korpus Oalbertusa*, pozostaje w *Wentzlu*, a tej nocy wystawia wartę. Za dnia Oalbertus z jednym *simplem* trzymają posterunek nad Mehz Khinnom.

Hugge wysłuchał rozkazów, pokiwał głową, nie skomentował. Adams odebrał to jako dobry znak. Nie było już czasu na przegląd medyczny. Zresztą nie wolno mu było w czasie dowodzenia zarabiać w taki sposób.

Adams zaniósł na rękach śpiącą Pięknooką Złotą do swojej kwatery. Potem zrobił jej posłanie przy wyjściu. Transportowana i układana do snu nie przebudziła się nawet. On sam nie mógł usnąć do późna. Dziesiątki myśli zaprzętały uwagę. Rozwiązywał problemy, przygotowywał wypowiedzi. Kilka razy chciał zrywać się, by sprawdzić, czy wartownik nie przyspał. Śmiały wypad Czarnych obecnie mógł mieć katastrofalne skutki. Bez solidnej fortyfikacji utrzymanie tej pozycji siłami paru żołnierzy było praktycznie niemożliwe. Trudno było nie docenić geniuszu strategicznego Drubbaala.

Futra, którymi przykrył się Adams, grzały zbyt mocno, skóra go swędziała, nie mógł znaleźć wygodnej pozycji do snu.

Przed świtem był już na nogach. Odprawił *korpusy* wychodzące na zwiad. Przejrzał ekwipunek. Rzucił okiem na opatrunki, nie badając gojących się ran. Spodziewał się życzliwości odprawianych, a wyczuł ich niepokój. Sprawa się wyjaśniła, gdy na dziedzińcu pojawiła się spóźniona Pięknooka. Dopiero gdy skronie każdego z legionistów obdarzyła dotknięciem złocistych dłoni, Adams dostrzegł ulgę u żołnierzy. „Sprawni propagandziści chwytają się też dziwacznych sposobów”, pomyślał, odsalutowując wymaszerowującym.

Na blankach chrapał Oalbertus po skończonej warcie; jego *simpel*, zakutany w futro, lustrował otoczenie fortu.

„Dobry dowódca”, pomyślał Adams o *korpuśnym*. „Sobie wziął parszywą wachtę”.

Mrok rzedł. Zbliżał się przedświt. Mgła opadła już do doliny. Trzej niewolnicy fortowi ostrożnie zdejmowali rozwieszone na noc koce. Następnie wycisną je starannie do dzbana, gdzie woda się odstoi. Potem zostanie ostrożnie zlaną znad zanieczyszczeń, chociaż nie straci wstrętnego smaku.

Adams tkwił na blanku, wpatrując się w mroczną grań. Oczyma duszy widział oba patrole wspinające się ścieżką. Jeszcze idą razem, dopiero na Mrocznej Przełęczy się rozdziela: Palla pójdzie dalej granią, a Hugge poprowadzi swoich na płaskowyż. Żeby tylko nie wplątali się w jakąś potyczkę. Strata każdego żołnierza byłaby w obecnej sytuacji nie do powetowania. Bliskość ciepła Złotej nie uspokajała. Nie zauważył nawet, że przykryła go swoim płaszczem. Trzeba wziąć się za jakąś robotę. Oka zmrużyć się nie uda.

Kaganek w *pretorium* dawał niewiele światła. Adams rozłożył mapę i wziął się do studiowania Strony Trupa. Zaznaczono siedem Latarni Umarłych idących łańcuszkiem na wschód. Ku zachodowi mapa nie sięgała miejsca, gdzie wznosi się Skała, o której wspominała Złota. Trudno się zresztą dziwić, że nie potrafiła wskazać, jak to miejsce jest ulokowane względem obszaru ujętego na mapie. Natomiast dalej ku północy, z Mrocznej Przełęczy zaznaczono ścieżkę schodzącą w dół z płaskowyżu. W otchłań, która kończyła jego krawędź. „Nawet tam prowadzili zwiady”, pomyślał. Znacznie niżej wiódł równoległy do górnego szlak wyznakowany Latarniami Umarłych. „Tędy przeganiają piękniejsze dusze”, pomyślał. „Wiele dróg wiedzie pod Płomieniste Wrota, a tylko jedna z nich przebiega przy grani i tylko w tę mamy stały wgląd. Co więc mierzą nasze statystyki transportów Golców?”

Nagle podniósł głowę znad ławy. Słoje jej deski zostawiły ślady na policzku. Kości go bolały. Ruszał się z nieoczekiwanym trudem, coś krępowało ruchy. Jego spojrzenie spotkało się z ciepłym spojrzeniem Złotej, która jak wierny adiutant oczekiwała w pobliżu. Teraz właśnie wyplątywała go z futra, którym go wcześniej przyrzuciła.

– Spałeś całe trzy godziny. Nie budziłam cię, chciałam, żebyś odpoczął. W *Wentzlu* nic się nie działo – powiedziała.

Było już zupełnie jasno. Adams usiadł na ławie.

– Dlaczego tak łatwo się z tobą porozumieć? – spytał nieoczekiwanie. – Gdzie nauczyłaś się tak dobrze mówić w naszym języku?

– Nie musiałam się uczyć. Mówimy wszyscy językiem sprzed poplątania.

– Wydaje mi się, że to włoski dialekt.

– Tak ty go nazywasz. Pora, żeby dowódca coś zjadł – zauważyła. – Więcej pożytku z silnego *decymusa* – powiedziała, przynosząc przełamany chleb, kawałek sera i dzbanuszek wina.

Około południa do *Wentzla* dotarł *Crawhez*. Żadnych walk czy zamieszek w *Krum* nie zauważył. Może plan *Reutela* rozwija się pomyślnie? *Crawhez* przyniósł aż trzy *pasy* do wyboru. *Złota* wybrała najbardziej wcięty, bo najmniej widoczny, za to wsparty na metalowych łańcuszkach. Nawet pazur *busierca* nie przetnie stalowego ogniwa. *Crawhez* zażądał czterech i pół sycela za ten *pas* (najdroższy ze wszystkich przyniesionych), ale wystarczyło, że wzrok *Adamsa* trochę stwardniał, a kuśnierz natychmiast obniżył cenę do czterech syceli. Dowódca mógł przecież pozbawić go dochodów, przepędzając z warowni. *Złota* nie miała dość pieniędzy, ponad połowę musiał więc za nią wyłożyć.

– Nigdy nie będziesz musiała zatrzymywać akcji serca.

– Teraz mi tego nie wolno.

Nie odpowiedział. W pobliżu *Linii* wiele reguł dziwnie się zmieniało.

Nadzorowanie opustoszałego fortu nie wymagało dużego wysiłku. *Scholz* dyrygował niewolnikami, którzy akurat mieszały przegotowaną wodę ze spirytusem, by otrzymać mocno rozcieńczony destylat do picia, a wcześniej znosili do obozu kolczaste gałęzie na podpałkę. *Adams* jako wartownik snuł się po blankach. Srebrzysty blask niósł się od oceanu. Piękny, jasny dzień. Byle tylko coś nie przydarzyło się patrolom.

Zaraz po południu wrócił *korpus Hugge'a*. Byli widoczni z dala na ścieżce wiodącej granią, na drągu nieśli pakunek. *Adams* patrzył zaniepokojony – przykazał przecież, żeby nie wdawać się w awantury z Czarnymi. Gdy zbliżyli się do warowni, można było rozpoznać, że niosą schwytaną *gabereę*. Zaraz *Scholz* otworzył dla nich bramę. Zdobycz jednak zostawili na kamieniu sekcyjnym *Hjalmira*, poza obrębem *Wentzla*.

Hugge złożył raport. Na zapisanym skrawku zestawiał liczbę i liczebność przechodzących grup oraz liczbę towarzyszących im Czarnych. Na koniec wyjaśnił sprawę *gabery*.

– Sama poszła za nami na Stronę Ludzi. Zupełnie się nas nie obawiała. Nie chciałem, żeby poznała drogę do *Wentzla*, więc kazałem ją ustrzelić. Zraniona, łatwo dała się skrepować.

Adams mu odsalutował. Nie było powodu do awantury.

– Trzeba ją sprawić – powiedział.

Żołnierze rozwinęli Czarną z sieci, ułożyli ją na wznak i rozkrzyżowali ramiona. To była jeszcze częściowo *losza* o krótkich rożkach, niedużych piersiach, bez szczeniaka. Wyglądała zaskakująco ludzko; może w jej żyłach krążyło nieco ludzkiej krwi. Nie ruszała się. Na piersi miała ranę od bełtu, wokół niej nieco spienionej, zaschłej krwi.

Adams nie wyczuł tętna. Gałki oczne, wywrócone, straciły połyskliwość. Ciało stygło. Odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał jej kroić.

– Musicie ją wynieść pod grań. Już się zaczął rozkład. Nic nie będzie ze skóry.

Bertucci, który ustrzelił Czarną, był niepokieszony. Była to jego pierwsza zdobycz w życiu.

Złota posępnie przyglądała się tej scenie. Trudno było zgadnąć, o czym myślała. Pozwoliła się potem narysować, stojąc, całą postać. Adams chciał czymś zająć myśli, bo *korpus* Palli się spóźniał. Złota też pozowała bez specjalnego zainteresowania. Powstał zaledwie poprawny rysunek.

Palla przyprowadził swoich dopiero o zmierzchu. Strat nie ponieśli, jednak niczego wartościowego nie dokonali. Urbanyj nie nadawał się do prac kartograficznych i nie potrafił pokierować zespołem. Po prostu przeszli odcinek trawersu płaskowyżem ku Mrocznej Grani i zawrócili. Szczęśliwie nie zostali zaatakowani. Szkice Urbanyja były bezwartościowe. Ten *rachubiec* wąsko wyspecjalizował się w sztuce donosów, a w innych dziedzinach był znacznie słabszy. Wymiana go na jakiegokolwiek innego przyniosłaby oddziałowi na Mrocznej Przełęczy tylko pożytek. Nieodparcie nasuwał się jako zmiennik inteligentny i fachowy Barchem.

Wieczorna odprawa kosztowała Adama mniej nerwów niż wczorajsza: wiedział, czego się spodziewać. Tym razem zaplanował, miast kartowania rejonów ścieżki na Nocną Grań, pomiary czasu. W magazynie znalazł kilka jednakowych klepsydr, półgodzinnych. Używano ich do ustalenia czasu gotowania wody do spożycia. Teraz jednak zarówno zwiadowcy na płaskowyżu, jak i penetrujący teren w stronę Nocnej Grani, mieli nimi nieustannie mierzyć upływ czasu. Liczyć półgodzinne cykle. Może biegły w sztuce donoszenia Urbanyj zdoła donieść działającą klepsydrę do kryjówki na płaskowyżu. Kartować miał Scholz, który, jak się okazało, wykonywał już kiedyś jakieś szkice w garnizonie na dole. Tym razem Hugge pozostawał w *Wentzlu*, a na zwiad szli Palla i Oalbertus. Palla dostał jako uzupełnienie *rachubca*.

Jeszcze krótki, darmowy przegląd dolegliwości legionistów i koniec służby na dzisiaj. Adams zasnął bez natrętnej gonitwy myśli. Wrócił niezwykle sen o Renacie, która ściąga z siebie powłokę Złotej Gabery jak dopasowany kombinezonik na zameczek. Tym razem jednak odczucia ze zbliżenia z ukochaną były jeszcze słabsze niż poprzednio. Renata wyjaśniła, że Córka Ziemi niemal nigdy nie ma okazji należeć do człowieka więcej niż raz, a ona sama już pewnie przekroczyła dozwoloną granicę. Na uwagę Adama, że ludzie czasem żenią się ze Złotymi Gaberami, Renata powiedziała, że widocznie są różne Złote, może niektóre z nich mają jeszcze więcej krwi ludzkiej niż ona. „Ale z taką pierwszy raz nie jest czymś tak nadzwyczajnym, jak był ze mną”, wyjaśniła z szelmowskim uśmiechem.

Rano Złota zbudziła go szarpaniem za ramię. Adamsowi trudno było opuścić krainę snów.

– Hemfriu, odprawa! Wstańże wreszcie!

Dowódca zbierał się niezbornie. Bielizna znowu była poprzesuwana, jakby to nie on sam ją nakładał. Wyciągnął ręce, a Złota naciągnęła na niego tunikę. Pozwolił się odziać. Wolno wracał z mocnego snu.

Na dziedzińcu oba *korpusy* stały w gotowości. Ani Palla, ani Oalbertus nie pozwolili na żadne oznaki zniecierpliwienia. Najpierw rozdanie klepsydr, potem równe ich uruchomienie. Dalej rutyna służby: lustracja sprzętu, jeszcze dotknięcie dłonią Złotej czoł wszystkich *simpli*, salutowanie, i oddziały wyszły z fortu. *Simpel* Sinyj uchylił dla nich wrota fortu i pożegnał, salutując. Złota spojrzała pytająco na Adamsa, w dłoni trzymała zarobione monety. Zawrócił, obejmując ją ramieniem: można odespać na kwaterze. Ostatecznie, *decymus* Hugge też nabierał sił po wczorajszym zwiadzie – na odprawie swoich *korpusów* się nie pojawił.

Późnym rankiem Adams zlecił Crawhezowi przyszyć znaku dowódcy do swojej kolczugi, obrośniętej futrem Gaberci, na sercu – może ochroni przed jakim ciosem. Mosiężny orzeł rozbłysnął po starannym wypolerowaniu.

Potem Adams wziął się do rysowania Złotej. Lekka, rozświetlona mgła zmiękczała cienie. Złota, odziana w zabezpieczenie i pas ze swoim sztyletem oraz płaszcz, wyglądała bardzo interesująco. Zauważyła już wcześniej, że ten widok działa na Adamsa, i dlatego chętnie ganiała przy nim w lekkim stroju. Pas i *pas* nie zawadzały o siebie. Rysował obecnie jej sylwetkę w tym odzieniu, ale również odzianą tylko we własne futro. Starał się udokumentować unikalne zjawisko, jakim była. Złota miała dziś dobry humor, a każdy powstający rysunek był lepszy od wczorajszego. Po pracy obejrzała prace Adamsa.

– Jestem piękna na twoich rysunkach. Ten jest najlepszy. – Trzymała w dłoniach jeden z kartonów.

– To ostatnia kartka. Trzeba będzie sprowadzić z Krum więcej papieru rysunkowego.

– Ten też jest świetny.

– To akurat twoja pierwsza podobizna. Wtedy wpadłem na pomysł, żeby cię uwiecznić. Nie pamiętasz...?

– Nie wiem, czy wiele kobiet wygląda lepiej ode mnie. – Wydęła wargi. – Archiwom w Krum przybędzie sporo wartościowego materiału.

Wkrótce wrócił *korpus* Palli. Dzisiaj oni nieśli na drągu złapaną *gaberę*. Już z dala widać było, że włochata zdobycz próbuje wyswobodzić się z siatki. Zbyt słabo ją skrępowali. Adams przyglądał się temu ponuro. Trzeba będzie specjalnym rozkazem zabronić im polowania. Każda strata żołnierza

w obecnej sytuacji stwarza poważną groźbę.

Adams przebrał się w stare, zniszczone odzienie, którego używał w czasie sekcji.

– Muszę ją sprawić – powiedział do Złotej. – Tak stanowią przepisy. Jestem tu jedynym *katrupem*. Jako dowódcy, tym bardziej nie wolno mi się od tego uchylać. Możesz mi w tym nie towarzyszyć. To będzie przykry widok.

– Będę w pobliżu. Muszę to zobaczyć.

Również i dzisiejszą *gabere* zdobył Bertucci. Jak wczorajsza, ta też poszła w ślad za wracającymi zwiadowcami i dała się łatwo schwytać po Stronie Człowieka. Dzisiaj Bertucci nie strzelał, lecz przepisowo posłużył się siecią. Pozostali żołnierze z *korpusu* Palli pomogli mu rozkrzyżować zdobycz na kamieniu sekcyjnym. Teraz Bertucci miał asystować Adamsowi.

Bestia uważnie przyglądała się działaniom ludzi. Jej głowa wydłużona była w szpetny, jakby dziczy ryj. Dziwny, przerażający kształt podkreślały wystające, okazałe dzicze szable. *Gabera* miała kolana zginające się jak u człowieka, cyce zakończone gwiaździstymi wyrostkami, otoczonymi przez niewielkie twarze paradoksalne, które nieustannie poruszały wargami, jakby ssały jej sutki. Nieco niżej miała drugą parę cyców, niby ujmowanych parą dłoni paradoksalnych, które celowały nimi do przodu. I cyce, i twarze, a wreszcie i ręce paradoksalne były cynobrowe, kontrastujące z ciemnym futrem. Z monstrualnie powiększonego sromu *gabery* wystawały głowa i ramiona sporego szczeniaka. Stara samica milczała, oglądając zabiegi oprawców, nie krzyczała, nie przeklinała. Adams nie mógł znieść mądrego spojrzenia jej wolich oczu.

– Spuścimy twoją krew. Zaraz uśniesz – powiedział.

– Wiem.

– Chcesz hary?

Spojrzała na niego pytająco.

– Będzie ci po tym lżej.

– Tak. Dajcie też małemu.

Adams skinął legioniście, żeby ten nadstawił manierkę. Bertucci posłusznie wlał destylat w rozwarte usta *gabery*. Piła i piła, tylko jej grdyka poruszała się przy przetykaniu. W tym czasie Adams rozciął jej skórę na przegubie. Łatwo znalazł żyłę. Krew żywo pociekła. Bestia drgnęła. Poczowała zranienie, ale nie próbowała wyrwać się czy gryźć.

Przestała pić, jej szczeniak był już kompletnie pijany. Ruszała się coraz wolniej, a skóra w miejscach nie porośniętych futrem bladeła.

Złota stała opodal, w swojej białej tunice i zawinięta w szkarłatny płaszcz. Poważnym spojrzeniem ogarniała scenę.

Czarna jakby domyśliła się jej obecności. Ciężko uniosła powieki i spojrzała Pięknookiej prosto w oczy.

– Ty, zdrajczyń – powiedziała i opuściła wzrok. Złota zadrżała.

Niedługo przestała ściekać krew z żyły Czarnej, jej oczy uciekły, puls na szyi nie dało się wyczuć. Adams kazał ją odwiązać i odwrócić na plecy. Wcześniej Bertucci musiał wylupać z jej sromu embriona i odciąć mu głowę. Adams nie zamierzał robić sekcji, chciał oszczędzić Złotej chociaż tego widoku. Przeciął skórę na plecach Czarnej od ogona aż do potylicy. Drewnianą łopatką oddzielał ją od tkanki. Kiedy skóra zsunęła się z całej szyi, Bertucci musiał odpiłować głowę. Miał potem wypreparować z tego czaszkę. Ściągając skórę z twarzy *gabery*, Adams uważał, aby Złota nie widziała przerażających grymasów. Ściąganą skórę trzeba było rozciąć na tyle, żeby dała się przeciągnąć ponad rogami *gabery*. Po oskórowaniu głowy poszło już łatwiej. Cyce dały się tak czysto wycisnąć, że Bertucci będzie musiał czyścić je z ciała tylko w pobliżu brodawek, dłoni i twarzy paradoksalnych. Ogon odciął u nasady. Właściciel sam to oczyści.

– Gotowe – Adams odetchnął z ulgą, gdy po raz pierwszy w życiu samodzielnie sprawił Czarną. – Teraz odnieść ciało daleko pod grań, bo zaraz będzie cuchnęło. Jeśli ściągniecie nam tu w nocy atak *busierców*, legion wstrzyma wam żołąd. Kupcie dość wody i wygotujcie czaszkę do białego. To będzie ładny okaz. Zrobicie sobie z tego hełm, *simpel*.

– Tak jest.

– Muszę się po tym umyć – powiedział do Złotej.

Skinęła głową, jednak wzroku na niego nie podniosła. Ostrożny Bertucci wyniósł ciało Czarnej prawie na Mroczną Przełęcz.

Popołudniem dotarł do obozu transport wody pitnej i chrustu. Hugge wycenił kilkudniową porcję na jeden i ćwierć sycela. Adams odliczył ćwierćsycelówki z kasy legionu.

Korpus Oalbertusa wrócił znacznie później, już pod wieczór. Szkice Scholza nie wyglądały wiele lepiej od wczorajszych Urbanyja. Zastanawiały te same błędy w notatkach obu obserwatorów. Rzeźba terenu tam się zmienia czy co...? W porównaniu do pomiaru w *Wentzlu*, wskazania klepsydr pokazały różnicę kilkunastu minut dla korpusu wracającego z płaskowyżu. Niczego podobnego nie zmierzyl penetrujący ścieżkę ku Nocnej Grani. Adams uznał jednak, że niewielka rozbieżność wskazań mogła wynikać z niedbalstwa albo choćby zaaferowania Urbanyja walką z *gabera*. *Rachubiec* zarzekał się, że za każdym razem przedstawiał klepsydrę bez straty czasu, jednak nie dało się tego sprawdzić. By to wyjaśnić, pomiary trzeba było kontynuować.

Złota unikała go przez cały wieczór. Nie podtrzymywała rozmowy, chociaż obowiązki ordynansa wykonywała rzetelnie. Na noc pościeliła sobie na korytarzu, dalej od drzwi jego kwatery niż zwykle.

Do późna niósł się po forcie zapach gotowanego mięsa. Bertucci preparował swój nowy hełm.

Otworzył oczy i napotkał spojrzenie Złotej. Siedziała przy wejściu, patrząc na niego natarczywie. Miała zaczerwienione oczy. Płakała czy co...?

– Masz jeszcze pół godziny do odprawy zwiadów – powiedziała.

Przymknął więc oczy jeszcze na chwilę. Zbudziło go łagodne szarpanie Złotej.

– Oni już się gromadzą na dziedzińcu – powiedziała. Pozbierał się z jej pomocą. Przy odprawie *korpusów* wręczył wyskalowane klepsydry. Wszystko ginęło we mgle gęstej jak mleko. Zupełnie jakby w ogóle nie zamierzała opaść. Żołnierze wyruszyli niemal po omacku. Zaraz zniknęli z oczu dowódcy, śledzącego ich z blanku. Wilgotny ziąb przenikał kości. Adams szczerze zawinął się w płaszcz. Wartownik Bertucci rozniecił ogień pod kociołkiem – dalej preparował czaszkę Czarnej. *Korpuśny* Oalbertus poszedł się zdrzemnąć. Posterunek nad Mehz Khinnom wystawiają po świcie.

Złota wróciła na kwaterę, nie towarzysząc dowódcy, który nadal usiłował przeniknąć wzrokiem szary opar. Wartownik miarowo przemierzał blanki; lustrował tylko najbliższe otoczenie fortu. Mgła sprawiła, że zapach gotowanego mięsa nie rozpraszał się, a ciężko wisiał w powietrzu.

W taką pogodę Czarne mogły bez trudu przechodzić przez grań. Nikt by tego nie zauważył. Ileż można tkwić w wilgotnym ziąbie, wpatrując się w szarą ścianę? Zebrał się śladem Złotej.

Zastał ją w *pretorium*. Siedziała zawinięta w swój płaszcz, jakby zmarznięta. Spojrzała na niego poważnie.

– Muszę ci coś wyznać – zaczęła. Adams usiadł naprzeciwko, patrząc na nią. Kiedyś powiedziałam ci, że wszystko zrobię, żeby moje dziecko było człowiekiem, nie czarną bestią. Że znajdę człowieka, któremu urodzę to dziecko. Próbował wymyślić właściwą odpowiedź na spodziewane wyznanie. Opowiadać jej o swoim związku z Renatą...? Przecież wszystko to już wiedziała, zaglądając czasami w ludzkie dusze. – Jednego nie dodałam. Ja już tego człowieka znalazłam. Nie potrzebuję nikogo więcej szukać. Dlatego poprosiłam cię o ten *pas*. Nie chcę z wami dłużej tu siedzieć. To ponad moje siły. Powiedz, ile pieniędzy muszę zebrać, żeby się wykupić z twojej niewoli. Nie tego Adams się spodziewał. Niby Złota rozwiązała problem, z którym on sam się zmagał, jednak teraz czuł się nieswojo. Oczekiwał innego wyzwania, któremu we własnym mniemaniu winien stawić czoło. Nawet żałował, że ona to powiedziała. Czy była to tylko duma i próżność? Czy w ogóle mógł przypuszczać, że będzie mógł zachować je obie...? To przecież nie była ludzka istota. No, przynajmniej nie całkowicie ludzka istota.

– Czy dlatego wtedy powiedziałaś, że nie wolno ci zatrzymywać serca? – Adams nie to teraz najbardziej chciałby powiedzieć.

– Tak, ale obecnie nic nie grozi mi ze strony *busierców*. One rozpoznają zasiane samice. *Pas* jest dla ochrony przed innymi ludźmi.

– Ja nie kupiłem cię, żeby mieć powolną sobie niewolnicę, ale dlatego, żeby ci uratować życie.

– Uratować życie Czarnej...?! Nieludzkiej bestii, którą kroi się żywcem, żeby zobaczyć, dlaczego taka cudaczna?! – wybuchnęła.

– Tak. Wykupiłem cię, aby uratować twoje życie.

– Ponieważ budzę twoje pożądanie?

– Czasem też. Trudno ukrywać przed tobą cokolwiek... Ale i nie tylko dlatego. Przecież przed Płomienistymi Wrotami to ty nie wydałaś mnie Czarnym.

– Też coś. – Wydęła wargi.

– Chociaż chciałaś mnie zaciągnąć w płomienie.

– Tak, to był mój błąd. Zaraz potem z przerażeniem zobaczyłam, jak płomienie kłują duszę Sykenu. Wcześniej nie wiedziałam, co wam od nich grozi. Twoje rany wygoją się, przemiana nie zajdzie. Zresztą wtedy sama zaszłam w nie za głęboko, aż mnie samą prawie pokąsały, ale to było z przekory...

– Po tym, co mi wyznałaś, jeszcze bardziej cieszę się, że cię wykupiłem.

– Nie przeszkadza ci to zabijać mnie podobnych?

– Muszę przestrzegać nakazów. Nie zapominaj, że jest wojna. Musimy zabijać Czarne, aby nie przechodziły na Stronę Ludzi. W przeciwnym razie one uprowadzą wszystkich mieszkańców Krum za Płomieniste Wrota.

To, że rozmowa przerodziła się w sprzeczkę, było łatwiejsze dla obojga. Mogły przecież w czasie tej rozmowy paść zupełnie inne słowa.

– Kiedy urodzisz swoje dziecko?

Zadrzała.

– Po takim czasie jak każda kobieta. Ono nie będzie stopniowo wyrastać ze mnie.

– To fajnie. Sprawi mi to przyjemność. Nieoczekiwanie w jej oczach błysnęły łzy.

– Boję się o nie.

– Może więc lepiej będzie, jak tu pozostaniesz. Pokręciła głową w milczeniu.

– Chciałabym mieszkać, gdzie mi nie wolno, w Krum, bo to oaza spokoju. Tutaj nie mogę patrzeć, jak mordujecie jeńców. Jak ty to robisz.

– Dawniej Złotym wolno było mieszkać jako gospodyniom w Krum, może rozkaz Izabbaala zostanie uchylony i znów będzie wolno.

– Jakoś nie mam ochoty na gospodarza z Krum.

– A ten człowiek, ojciec twojego dziecka...?

– To niemożliwe. Skończona sprawa.

Zawinęła się szczelniej w szkarłatny płaszcz. Ostatnio nosiła pas ze sztyletem na tunice. Podkreślało to jeszcze bardziej jej zgrabną, szczupłą sylwetkę.

Szczęśliwie dzisiaj żaden ze zwiadów nie zdobył jeńców. Adams nie musiał sprawiać czarnej bestii.

Przed południem do obozu dotarł Hjalmir. Wyglądał dobrze, nie znać było po nim trudów uwięzienia. Zdał rutynowy raport, uznając zwierzchnictwo Adamsa. Z pomocą Hejlabbaala w Krum władzę przejęły Szczury. Konający Izabbaal jest obecnie w areszcie domowym. Jedyne przejęcie Tibium przez Reutela wymagało potyczki, w której jednak nikt nie zginął. Hjalмира trzymano pod strażą w areszcie domowym, a na oględziny kwatermistrza był doprowadzany przez etatowy *korpus*. Raczej bagatelizował niebezpieczeństwo, chociaż potwierdził, że Izabbaal wydał na niego wyrok w razie własnej śmierci. Wyglądało na to, że Złota nieco przesadziła, choć jej alarm spowodował zdecydowaną reakcję *sotnika* i ostatecznie umocnienie jego władzy w Dolnym Mieście.

Adams siedział naprzeciw chirurga, kiedy ten relacjonował ostatnie wydarzenia w Krum. Złota, jako ordynans dowódcy, dbała o puchary rozmówców. Jej piękna sylwetka przyciągała wzrok obu mężczyzn.

– Obecnie jakby słabiej wierzę w to, że Złote Gabery nie istnieją. – Hjalmir zarobił jej zbójecki uśmiech.

– Starannie ją opisałem i wyrysowałem.

– Nie wątpię, nie wątpię... Sam bym tak zrobił.

Adams podsunął mu kartki ze szkicami i gęsto zapisane strony notatek.

Hjalmir uniósł brwi z podziwem. Dokładnie przyjrzał się szkicom, spojrzął na Złotą, porównując z rysunkiem, pokiwał głową i pogrążył się w lekturze. Czytał i milczał, jakby zapomniał, że nie skończył relacji z Krum. Wreszcie odłożył ostatnią kartkę.

– Spalony, mnie nie udało się zebrać tylu wniosków przez rok. Te klepsydry... – Pokiwał głową.
– Nie marnujesz czasu. Teraz rozumiem, dlaczego zrobili cię dowódcą. Ja nie poznałem się na tobie.

– Poznałeś się, Hjalmirze, choć może nie dość.

Hjalmir przejął dokumentację badań rozpoczętych przez Adamsa, najpierw testów upływu czasu, potem topograficznych. Teraz on sam miał je kontynuować i rejestrować wyniki. „Byłby niezłym naukowcem”, pomyślał Adams. „Może nie z ekstraklasy, ale też nie spośród nieudaczników”.

Mimo zapału chirurga okazało się, że zbierane wyniki nie są jednoznaczne. Może i czas płynął szybciej na płaskowyżu, ale różnica nie wydawała się duża. Pomiar wykonany podczas zwiadu dalekiego mogłyby to wyjaśnić z większą dozą wiarygodności. Póki co, nikt nie planował takiego zwiadu.

Hjalmir zajął się również sprawianiem pochwyconych Czarnych. Był bardzo dobrym *katrupem*, ponadto za każdą robotę dostawał od właściciela skóry trzy sycele, Adams zaś musiałby to robić za darmo. Jak na złość dawały się schwytać urodziwe, młode *losze*, o niepokojąco ludzkim wyglądem.

Również i w środku były zbudowane podobnie do człowieka. Adams jednak nie mógł wprowadzić zakazu polowania na Czarne, chociaż niektórzy legioniści przebąkiwali, że bardziej nadają się one na żony niż na skóry. Złota unikała rozmowy o tym procederze; zapytana wyjaśniła niechętnie, że żadna z trzech złapanych nie jest Złotą Gaberą, a obcowanie z nimi to śmierć dla człowieka. Tę uwagę rzuciła pod adresem Bertucciego, który stał się zapamiętałym łowcą *gaber*, choć nie o zabijaniu schwytych okazów myślał.

Ciemnowłosa, smagłolicy Bertucci pilnował kociołka z preparującą się od wczoraj głową, trzeciej już upolowanej przez niego *gabery*. Zaintrygowany Adams podszedł do gorliwego żołnierza, który dzisiaj po służbie zajął się nie tylko tym, czym zwykle. Oto Bertucci przyniósł sobie stół z kantyny, rozłożył arkusz papieru rysunkowego i próbował ołówkiem oddać niezwykle kształt wydłużonej czaszki starej *gabery*. Rysował oszczędnie: w kącie kartki, by starczyła na więcej szkiców.

– Czysta już ta czaszka? – zagadnął Adams. – Zrobicie sobie z niej hełm?

– Hełm będzie z tamtej pierwszej, futro też jest na miarę, dowódco. Tę sprzedałem chirurgowi Hjalmirowi, bo taka dziwna. Crawhez weźmie jej skórę za wyprawienie poprzedniej.

– Sprawcie sobie koniecznie misiurę i kolcze nogawice, zanim zaczniecie zakładać futro Czarnej na zwiady, *simpel*.

– Tak jest.

– A co tu rysujecie?

– Chciałbym nauczyć się rysować, dowódco. Kupiłem pięć kartonów po ćwierć sycela.

– Dlaczego akurat zaciekało was rysowanie?

– Dobry *katrup* musi umieć sporządzać notatki. – Żołnierz błysnął spojrzeniem. – Do tego rysowanie jest niezbędne.

– Chcecie zostać *katrupem*, *simpel*?

– Tak jest. Starannie przyglądam się sekcjom wszystkich upolowanych Czarnych.

Adams pokiwał głową.

– Pokażcie te wasze szkice.

Rysunek miał wszystkie wady amatorszczyzny: ujęcie dokładnie z boku, przerysowane detale, nietrafione proporcje trzewio i mózgowczaszki. Pokazywał lewy profil, ale niezdarnie wydobywał się też prawy oczodół. Ale coś w tym rysunku było. Chłopak niewątpliwie miał talent: sugestywnie zaznaczył szwy kostne, dobrze odrobił staw żuchwy, spróbował nawet cieniowania, mimo że miał do dyspozycji tylko twardy ołówek. Adams westchnął i usiadł obok.

– Przed rysowaniem macie temat pomierzyć. Kciukiem albo ołówkiem. O, tak. – Adams wyprostował ramię, przymknął oko i kciukiem jako jednostką wyznaczył proporcję długości do szerokości. Przeniósł to na papier obok rysunku żołnierza. Szybko zaznaczył zasadnicze figury określające kształt bryły – w tym przypadku koło i trójkąt.

– Tak macie postępować zawsze: od ogólnej formy do szczegółu. I jeszcze jedno: rysujcie nie to, co czaszka ma, lecz tylko to, co widać. A tego oczodołu nie widać. – Wskazał palcem. – Jak macie wątpliwości, *simpel*, to przymknijcie jedno oko i tak obserwujcie.

– Tak jest. – Sapiąc z wysiłku, Bertucci zaczął mierzyć proporcje do nowego rysunku. Pomagał sobie językiem.

– Macie zapał do tej pracy.

– Chciałbym do czegoś w życiu dojść. – Żołnierz zaczerwienił się, gdyż podeszła do nich Złota Pięknooka i przez ramię przyglądała się ich pracy.

Adams uśmiechnął się przyjaźnie i zebrał się z miejsca.

– Nieudane szkice możecie ścierać chlebem, kartonów starczy na dłużej. Potem ten chleb możecie zjeść, nie zmarnuje się.

– Tak jest.

Adams położył dłoń na ramieniu Złotej.

– Chodź, spisujemy akt twojego uwolnienia – powiedział.

W archiwum *Wentzla* było nieco wzorów, chociaż żaden dla *gabery*. Urbanyj już wypalił stosowny *simbolon* Adamsa i przełamał go na połowy. Kiedy Złota dowiedziała się o planie swojego uwolnienia, zasugerowała coś przeciwnego: Niech Adams pozostanie jej właścicielem, dając tym samym rękojmię jej bezpieczeństwa. Przecież w takim przypadku nikt inny nie uczyni jej swoją niewolnicą.

– Dobrze – powiedział Adams. – Zostaniesz więc na służbie legionu. Nie chcesz siedzieć z nami, to wyślę cię na zwiad. Będziesz naszym zwiadowcą po Stronie Trupa. Będziesz wykonywać pomiary czasu i zdawać relacje z tego, co się tam dzieje. Hjalmirowi zaświeciły się oczy.

– A jeśli ci się kiedyś odwidzi, możesz wrócić do *Wentzla* i dalej zarabiać kładzeniem rąk. To rzeczywiście jakoś zabezpiecza naszych przed atakiem *busierca*. Zbyt długo nikt nie odniósł żadnych obrażeń, by mogło być inaczej. Gdy mnie tu już nie będzie, będziesz bezpośrednio podlegać Hjalmirowi.

W spojrzeniu Złotej Gabery zakręciła się łza.

– Będzie twoim zwierzchnikiem wojskowym, ja jestem twoim właścicielem, ale ty pozostaniesz panią swojego łona. Sama też zadecydujesz, czy urodzisz na płaskowyżu, czy u nas, czy w Krum.

Potem możesz zamieszkać, gdzie wybierzesz, chociaż ja nie mogę zapewnić ci domu.

Dał jej swój *simbolon*. Umieściła go w maleńkim skórzanym mieszku na pasie.

– Ciężko będzie wcisnąć do tego mieszka cały pergamin – zauważył, wręczając jej kopię aktu uwolnienia łona, swoje postanowienia odnośnie jej przyszłości oraz nominację na zwiadowcę legionowego. Adams wymyślił tę rangę wojskową.

– Lepiej było poczekać z tym na potwierdzenie *sotnika* – zauważył chirurg.

– To mogłem zrobić... – Adams wzruszył ramionami. – Ja jestem jej panem. Moje decyzje dotyczące legionu mogą zawsze zostać zmienione przez dowódcę.

– Ty chcesz już odejść? – Hjalmir zwrócił się do Złotej.

– Tak będzie chyba najlepiej. Może wrócę z dzieckiem, bo na płaskowyżu będzie mu jeszcze gorzej niż tutaj.

Właściwie nie musiał wstawać na odprawy codziennych zwiadów. *Sotnik* zwykle tego nie robił. Żołnierze bardziej oczekiwali kładzenia rąk przez Złotą niż jego obecności. Jednak poczucie obowiązku codziennie wyganiało go z posłania. Zawsze też wracało natrętne pytanie: Kiedy usłyszysz w wieczornym raporcie o śmierci pierwszego żołnierza? Jednakże zwiadowcy zaopatrzeni dotknięciem Złotej Gabery nie odnosili obrażeń. W końcu, jak można wytłumaczyć całkowity brak strat? Adams był już zmęczony dowodzeniem fortem. Kiedyż *sotnik* ukróci wreszcie niesubordynację *macajbabów* i przejmie dowodzenie *Wentzlem*?

Miało się pod wieczór. Zwiadowcy wrócili z płaskowyżu; Hjalmir zaczął sprawianie złapanych Czarnych. Dziś Stronę Trupa penetrowały dwa *korpusy*. Życie *Wentzla* toczyło się zwykłym rytmem.

Adams przyglądał się tym scenom z blanków. Nim się ściemni, trzeba jeszcze wydać rozkazy na jutro...

Po schodach wspięła się do niego Złota, opatulona szczelnie w szkarłatny płaszcz.

– Idę – powiedziała. Zabrzmiało to ni jak stwierdzenie, ni jak pytanie.

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

– Chcę już odejść na płaskowyż. Odprowadzisz mnie? – W jej głosie jakby dźwięczała nadzieja, że Adams jej tego zabroni.

– Tak.

Odwróciła się i ruszyła w dół.

– Wzięłaś z sobą wszystko?

Skinęła głową.

On też właściwie był gotowy, wpadł tylko do siebie po petrynał. Zajrzał jeszcze do głównej izby. *Decymus* siedział tam z kubkiem wina.

– Wychodzę na krótki patrol – powiedział Adams. – Przejmijcie na ten czas dowodzenie, Hugge.

Za bramą *Wentzla* na kamieniu do sekcji legioniści już rozkrzyżowali pierwszą z Czarnych, starą samicę o brązowym futrze i jasnej skórze. Jej cyce wyglądały jak lwie głowy, trzymające w ustach brodawki. Na plecach pyszniła się peleryna przypominająca płową lwią grzywę. Na podbrzuszu miała trzecią twarz paradoksalną, też w kształcie lwiego łba. Spomiędzy zębów wystawało ciało zdeformowanego i martwego szczeniaka; jakby kły paradoksalne ciągłym naciskiem stopniowo zniekształciły jego rozwój, a wreszcie odebrały mu resztę życia. Złota odwróciła wzrok.

– To znowu Bertucci? – spytała Hjalмира.

– Tym razem Scholz i Sinyj.

Chirurg ostrzył nóż sekcyjny o cholewkę buta. Druga Czarna leżała opodal, zawinięta siecią w ciasny tłumok, czekając na swoją kolej. W tej pozycji wyglądała jak zwykła dziewczyna o kędzierzawych, kasztanowatych włosach i czekoladowej skórze.

Wąską ścieżką wspinali się pod górę. Złota szła pierwsza, Adams jej śladem. Wkrótce osiągnęli grań, tym razem jednak nie poszli – jak zwykle – w stronę masztu ze znakiem legionowym, lecz w górę, ostrzem grani, ku Mrocznej Przełęczy. Ostatni odcinek drogi wiódł przepaścistą ścieżką, obchodzącą uskoki grani. Było jeszcze dość jasno, droga nieźle widoczna, chociaż pokryte szutrem, nachylone do przepaści półki jak zwykle nieprzyjemne. Ścieżka wyprowadziła do zlebu poniżej przełęczy. Trzeba było podejść na siodło. Wreszcie przed nimi otwarł się płaskowyż. Wiał chłodny, niezbyt mocny wiatr. Na środku Mrocznej Przełęczy obok kilku kopczyków tkwiła tyczka ze złocistą szarfą. Adams polecił również tutaj umieścić swój znak.

Przysiedli na pozostawionej tam kiedyś belce. Chwilę wpatrywał się w mroczny przestwór po Stronie Trupa. Nie wiedział, co jej powiedzieć na pożegnanie. O pierwszym spotkaniu? O ucieczce z Krum? O rysunkach, które tak lubiła?

– Mógłbyś nadać imię mojemu dziecku? – przerwała jego rozmyślania.

Wzdrygnął się.

– Sama nie potrafisz nazywać?

– Ech, ty znowu... – Machnęła ręką. – Oczywiście, że potrafię, ale ucieszyłoby mnie, gdybyś mi doradził. Tyle dla mnie zrobiłeś.

Adams zaczął się zastanawiać nad dobrze dźwięczącymi imionami.

– Dla syna wybrałam Hemfriu, jak ty – zaproponowała sama. – Ale jeśli będzie miał jeden róg na środku czoła nazwę go Tubal-Hemfriu, dobrze...?

– Pochlebia mi to. A jeśli będzie córeczka?

– Nie wiem. Może ty coś wybierz.

– A ojciec dziecka nic ci nie zaproponował?

– Nie, nic.

– Jesteś bardzo piękna. Kiedyś piękną kobietę nazwano Helena.

– Dobrze. Khalmat, tak ją nazwę.

Podniosła się i zaczęła rozbierać: zdjęła płaszcz, pas ze sztyletem i tunikę.

– Muszę się teraz tego wszystkiego pozbyć. Ukryję między wantami. Zaczekaj tu na mnie. – Odeszła z ciasnym rulonem. Za chwilę znowu pojawiła się zza skał. – Przyda się później, kiedy tu wrócę. Byle tylko tego *busierce* nie wywęszyły.

Adams siedział w milczeniu i przypatrywał się jej sylwetce. Nadal była piękna, wczesna ciąża nie zmieniała jeszcze krzywizn jej ciała. Piękna, ale niby-ludzka istota.

Złota podeszła i zasalutowała.

– Pora na zwiad, dowódco – powiedziała. On też powstał.

– Masz ze sobą *simbolon*?

– I *simbolon*, i resztę dokumentów. – Oparła dłoń na łańcuszku *pasa*. – Będzie dobrze.

– Do *Wentzla* możesz wracać bezpośrednio przed zachodem słońca. Wrota będą czekać otwarte specjalnie dla ciebie. Załoga wtedy nie otworzy ognia do *gabery*. Jeśli *sotnik* zmieni rozkazy, to pozostawię ci znak.

Spojrzała pytająco.

– Kiedyś zostawiliśmy przy mogile Quirinu na płaskim kamieniu dwa kamyki obok siebie. Jeśli wszystko będzie w porządku, odchodząc stąd, dołożę trzeci kamień, jeśli powrót do *Wentzla* mógłby ci czymś zagrozić, na tej płaskowie nie znajdziesz nowego kamyka.

Pokiwała głową, potem spojrzała w kierunku płaskowyżu.

– Zaczekaj, aż nie będą przechodzić żadne grupy Golców.

– Nie muszę.

Wpadła mu w ramiona. Pocałunków unikała, by nie zauważył jej odrośniętych kłów.

– Uważaj na siebie, *simpel*.

– Tak jest. – Uśmiechnęła się. – Chyba jednak jestem jednym z was – powiedziała. – Zwiadowcą, nie czarną bestią.

Odpowiedział uśmiechem.

– Cieszę się, że będziesz mieć piękne dziecko.

Uwolniła się z jego uścisku. Jej uśmiechowi jakby towarzyszyła maleńka łza.

– Tak. Żegnaj, Hemfri.

Odwróciła się i odeszła. Z dołu jeszcze raz obejrzała się za siebie i pomachała mu ręką.

Adams długo patrzył w ślad za nią, choć dawno już jasnej sylwetki Złotej Pięknookiej nie było widać. Czas płynął, zmierzch nadchodził, a on nadal rozmyślał.

Nagle zza spróchniałej grańki, zza want od strony trawersu na Nocną Grań wychynęli żołnierze. Na spotkanie Adamsa szedł uśmiechnięty *sotnik*. Doganiali go Croyn, Chetti, *pretoria* i inni legionieści.

– Dowódca na patrolu? – przywitał Reutel oniemiałego Adamsa.

Sotnik rozpuścił żołnierzy na postój. Ci natychmiast runęli w trawę. Potrafili niewiarygodnie szybko zasypiać. Aż uśmiech sam cisnął się na usta.

– Wysłałem Złotą na zwiad. Ciężko jej było znieść sprawianie jej Czarnych pobratymców.

– Jasne. – Reutel skinął głową. – Zdacie mi raport w *Wentzlu*.

– Strat nie było.

– Dobrze. Ja też nie mam zabitych.

Podszedł do nich obecny dowódca fortyfikacji na Nocnej Grani, Chetti.

– Na dole już legendy krążą o tym, jak to Katrup z Krawcem zajebali *behmeta*. – *Decymus* uśmiechnął się i wyciągnął do Adamsa manierkę z dobrym winem.

Croyn zaraz podsunął mu liść do żucia.

Obaj przyjmowali nowego oficera do swojego grona.

Reutel rozejrzał się niechętnie.

– Za ciemno na te śliskie perci. Schodzimy do żlebu i tam przekimamy.

– Kiedyś wróciłem po zmroku ze zwiadu.

– Wiem, ale ja prowadzę tu też gorszych wspinaczy. Mamy czwórkę uzupełnień. Ci są jeszcze nieobchodzeni. Brakuje doświadczonego Tatara... Wy możecie wrócić, Spalony.

– Jak zginął Przedkamień?

– Nie pomylił się, jak niektórzy powiadają. Nie była to też niepotrzebna brawura. Często prowadził akcje w takim terenie. Po prostu odpadł z chwytem. Idźcie już, *decymusie*. *Wentzel* nie powinien pozostawać bez dowódcy, a w zupełnym mroku nawet wy nie znajdziecie drogi tymi parszywymi trawersikami.

Adams skinął głową.

– Nie schodźcie za bardzo na dół, bo tam poderwane, a po ciemku słabo widać – powiedział. – Złota Pięknooka będzie nad wami czuwać. Myślę, że nie oddaliła się bardzo.

Reutel mu odsalutował.

Adams szybko wracał. Nie było zbyt ciemno dla niego. Powrót niewprawnych wspinaczy musiałby przeciągnąć się do nocy. Jeszcze z grani spojrzął na niknącą w cieniu Mroczną Przełęcz. Zaraz już zbiegał w zakosiki ścieżką po piargu. Trochę zaniepokoiło go, że przy *Wentzlu* pali się ogień i kręcą się ludzie mimo zapadających ciemności.

Na widok schodzącego Adama Hjalmir i kilku legionistów zgromadziło się wokół kamienia sekcyjnego, na którym leżała rozkrzyżowana żywa *gabera*.

Adams zatrzymał się przy nich.

– Jeszcze nie skończyłeś roboty? – zapytał chirurga.

– Nie jestem zbrodniarzem. Zbadaj ją sam dokładnie. Zdumiewała ludzka budowa i brak owłosienia na ciele *gabery*.

Wyglądała jak młoda, ciemnoskóra kobieta, tylko z krótkimi różkami, kopytkami oraz lwim ogonem zakończonym kitą. Skłębioną sierść miała tylko na głowie, w miejscach, gdzie człowiekowi porastają włosy na ciele, i tylko trochę pojedynczych włosów na łydkach i przedramionach – piękna dziewczyna o długich rzęsach i dużych oczach.

– Rozdziaw tę gębę – rozkazał Adams. Czarna spiorunowała go wzrokiem.

– To dama. Już zauważyliśmy – powiedział Hjalmir.

– Otwórz usta.

Więźniarka posłusznie rozsunęła pełne wargi i poddała się oględzinom uzębienia.

– Nawet wystających kłów nie ma.

– Piersi ma też jak zwyczajna kobieta, nawet nie takie jak twoja Złota.

– Na co czekasz? Co mam powiedzieć po oględzinach przy świetle pochodni? Nie wiem, czy to Złota Gabera. Tak mogła wyglądać matka Pięknookiej, opis by się zgadzał. Ale ostatnio dało się złapać kilka ludzko wyglądających *gabere*. Żadna z nich nie była Złotą. Jeśli orzeknę, że to Złota, w razie pomyłki skażę właściciela na śmierć od zakażenia.

– To moja własność. Kupiłem ją od Sinyja za sześć syceli. Najwyżej zostanie mi z niej skóra warta trzy sycele.

– Ludzkiej skóry nie sprzedasz. Obejrzymy ją jutro w świetle dnia – powiedział Adams. Pomacał dziewczęce ramię i drobny biceps uwięzionej. – Jeszcze jeden test. Rozwiążcie jej lewe ramię.

Hjalmir spojrzał pytająco.

– Chcę zobaczyć, ile ona ma siły.

Adams stanął poza zasięgiem jej ciosu. Prawą ręką ujął ramię *gabery*, a lewą zaczął ją łaskotać pod porośniętą kędzierzawymi włoskami paszką. Czarna zaczęła chichotać, wyginała się, próbowała osłonić ręką, ale nie miała dość siły.

– To rzeczywiście może być Złota. Prawdziwa *gabera* ma siłę trzech mężczyzn. Na noc skrępujcie jej ręce i nogi z klockami. Tak je trzymali w Krum. Tylko nie zrzucać do lochu, a znieść, żeby się nie zabiła ani nie poobijała.

Hjalmir dodatkowo otulił ją kocem, by nie zmarzła.

Rano Adams przyjął ostatnią odprawę wychodzących *korpusów*. Nieoczekiwanie pojawił się też Hjalmir ze swoją czarnoskórą Złotą. Była rozkuta, rozmawiali normalnie. Gdyby nie ogon, wyglądałaby jak zwyczajna, urodziwa dziewczyna. Kładła ręce na skronie legionistów, Bertucci za pół sycela zażyczył sobie dotknięcia czoła jej gołą piersią. Musiał przy tym przyklęknąć przed drobną ogoniastą. Hjalmir zainkasował należność.

„Skurwiel”, pomyślał z zazdrością Adams. „Już robi interesy na niewolnicy”. Jednak nie wiedział, czy rzeczywiście chirurg oszukuje swoją Złotą.

Godzinę później przybyła *pretoria*. Nocleg przetrzymali bez strat. Adams zdał *sotnikowi* dowództwo. Reutel zaakceptował postanowienia Adamsa w sprawie służby Pięknookiej.

– Codziennie jeszcze przez godzinę po zmroku brama będzie otwarta – powiedział. – Twoja Złota nadal pozostaje na służbie legionowej... – Urwał, czytając raport Adamsa. – Mogę Urbanyja odesłać Chettiemu, ale kim go zastąpić...?

– W Krum złapanych Czarnych dogląda *rachubiec* Barchem. Dobrze mu z oczu patrzy. Tyle że się marnie nadaje do zwiadów, bo schorowany, garbaty.

– Ten z twoją kuszą?

– Właśnie.

Reutel pozwolił mu się odmeldować. Nie wspomniał o przeniesieniu felczera do *pretorii*.

Gdy tylko Adams wyszedł od *sotnika*, Hjalmir poprosił go na obdukcję swojej Złotej.

– Już wszystko powiedziałem ci wczoraj – mruknął, idąc za chirurgiem.

Czarna siedziała za stołem. Szczupła, naga ciemnoskóra dziewczyna, żadna bestia. Piersi miała lekko opadające niczym prawdziwa kobieta, nie jak Złota. Różki ledwie wystawały ponad kędzierzawe, ciemnokasztanowe loki. Zwracał uwagę dość długi ogon.

– Potrafisz zzuć kopytka? – spytał Adams.

– Oczywiście, że nie.

– Moja w Krum potrafiła je zdjąć, tutaj straciła tę zdolność – powiedział do Hjalmira.

– Co o niej sądzisz? Za dnia przecież jaśniej.

– To samo, co wczoraj: nie wiem. Skórę ma czekoladową jak ciemnoskóra dziewczyna. Tylko różki, ogon i kopytka. Ona wygląda bardziej ludzko niż moja.

– Weź ją do siebie na dwa dni – zaproponował Hjalmir. – Rysuj, badaj, rób z nią, co chcesz.

Będę polegał na twojej opinii.

Trudno odmówić takiej prośbie. Adams zdążył przywyknąć do ordynansa.

– Skończył mi się papier rysunkowy, jak mam ją dokumentować?

– Mam jeszcze kilka kartek. – Hjalmir wyszperał ze swoich maneli parę arkuszy kremowego papieru.

– Kup jej tunikę, bo się złączą awantury w obozie. Przynies do mnie. Przyjrzę się jej dokładnie, możesz mi w tym asystować. A ciebie jak zwać...? – rzucił do Złotej, zbierając się do wyjścia.

– Nazwij mnie jakoś.

– Może Crispa? – Przejechał dłonią po jej kędzierzawej czuprynie.

– Niech będzie – przytaknął Hjalmir.

Już u siebie Adams zmierzył jej obwód ramion, przedramion, ud i podudzi. Jej słabość nie mogła być udawana, przy takim przekroju żaden mięsień nie mógł mieć nadludzkiej siły.

Rysowanie sylwetki szło mu łatwo. Mierzył, znajdując w niej proporcje ideału. Według wszelkich miar czarna dziewczyna była zbudowana tak, jak powinien wyglądać wzorzec kobiecego ciała. Adams wybrał klasyczną pozę aktu klęczącego z uniesionymi ramionami. Była tu jak najbardziej odpowiednia, a jednocześnie pozwalała wyeksponować wspinały ogon.

Hjalmir przyszedł, rzucił w kąt zrolowaną tunikę, spojrzął na karton i się zachwycił.

– Przyjdę, jak skończysz, Spalony. Nie chcę, żeby ci ręka zadrzała. Wychodzi jeszcze piękniej niż twoja Złota.

Adams wrócił do szkicowania. „Znów powtórzy się dziwaczny sen?”, pomyślał.

Jakby na życzenie Crispa wysunęła się ze swojej czarnej skóry, zdjęła maseczkę i kędzierzawą perukę i znów miał przed sobą nagą Renatę. Zaraz wpadła mu w ramiona i obrócili się tak, że ona była pod spodem. Ktoś mocno szarpnął go za ramię. Zdumiony Adams uniósł głowę. Ujrzał przed sobą zapłakaną twarz Złotej Pięknookiej, która próbowała go unieść. Jej wysiłki nie zdały się jednak na nic. Wróciło to niesamowite uczucie wyfruwania poza własne ciało i bajecznego lotu z Renatą w ramionach. Wrażenie mocne, jak w pierwszym z serii niezwyklej snów. Złota gdzieś zniknęła. Obudził się. Crispa szarpała go za ramię.

– Usnąłeś za dnia w czasie rysowania – powiedziała. – Jesteś przemęczony służbą.

Adams pozbierał się. Opodal leżał nie ukończony rysunek. Poplątane rzemienie *skorupy* gniotły go w przyrodzenie.

– Siadaj na ławie – rzekł. – Pracujemy dalej.

Wzruszyła ramionami i przybrała pozę. Gdy skończył rysować, ułożyła się wygodnie i wkrótce zasnęła.

Zaczął drugi szkic, postać pólężącej Crispy. Pracował pewnie, szybko. Czuł, że trafia właściwe proporcje, że kreśli właściwe kreski.

Wkrótce zajrzał do nich Hjalmir.

– No, i jak się czujesz, Krawiec? Wszystko z tobą w porządku? – zapytał.

– Świetnie się czuję. Robota pali się w rękach. Patrz na ten karton. – Na chwilę pogрузił się w pracy. – Zostawiłeś mi ją, żebym się z nią przespał na próbę? – Uniósł oczy znad kartonu. – Bo Spalony jest odporniejszy, hę...?

Hjalmir zrobił niewyraźną minę.

– To byłby poważny błąd. Gdybym skorzystał na niej, wiele byś stracił.

Hjalmir dziwnie spojrzał na niego.

– Widzisz, każda z Córek Ziemi pragnie ludzkiego dziecka, a potem traci zainteresowanie mężczyzną. Pierwsze razy z nią są niezrównane, niepodobne do niczego innego...

– Wiem, drą się na cały *Wentzel* – przerwał mu Hjalmir ze zmarszczonymi brwiami i nagle się zirytował. Patrzył surowo, jakby słuchał kpin w żywe oczy, ale nie zareagował.

Adams uniósł brwi.

– ...A potem jest coraz bardziej zwyczajnie, wreszcie gorzej niż z kobietą – zreferował swoje sny. – Moja Złota Pięknooka była już zasiana i mną się nie interesowała. Po co miałbyś stracić swoje najlepsze...?

– To jak się przekonać, że nie jest trująca dla mnie?

– Śpij z nią na jednym pościu, ale ciasno zasznurowuj swoją *skorupę*. Niech się zmiesza wasz pot. Jak cię co oblezie, znaczy, że ci zagraża, a ze słabą infekcją sobie poradzisz. Sam możesz wymyślić sporo innych podobnych prób. A potem weźmiesz swoje szczęście.

– Czegoś mi to powiedział? Mogłeś ją jeszcze dłużej trzymać u siebie.

– Bo nasza jedna wątpliwość. – Adams pokiwał głową. – Widzisz, *behtim* przybierają ludzką postać. Dlaczego niby niektórzy z nich nie mieliby przychodzić do nas w postaci Złotych Gaber?

Hjalmir spojrzał z niepokojem na rozkosznie rozciągniętą, nagą Crispę.

– Jak to sprawdzić?

– Sposobem z Górnego Miasta. Każ jej nazywać. Jeśli będzie umiała, to zwyczajna Złota. Jeśli nie, to jest *behmeta*. Ale do końca nie jestem pewien, czy to jest rozstrzygające kryterium.

Hjalmir zebrał się, żeby ją zbudzić i wziąć z sobą.

– Zaczekaj. Skończę ten rysunek.

W ciągu dnia *Wentzel* tętnił życiem, mimo że na zwiad wychodziły co dzień trzy *korpusy*. Chirurg wziął się energicznie za kurowanie pacjentów. Obecność tajemniczej, ciemnoskórej współpracownicy dodawała mu respektu w oczach żołnierzy. Kolejne ćwierć – i półsycelówki napępiały kiesę *Hjalmira*. Nieodłączne dotknięcia skroni pacjentów drobnymi dłońmi *Crispy* przynosiły dodatkowy dochód.

Natomiast *Adams* czuł się kompletnie bezużyteczny. Na zwiady chodzić nie mógł, bo z racji obecnej rangi musiałby takim zwiadem dowodzić, a do tego brakowało mu kwalifikacji. Nie chciał przecież ryzykować życiem żołnierzy przez swoją nieudolność. W forcie nikt mu nie podlegał. *Adams* unikał też udziału w sprawianiu schwytanych Czarnych, *Hjalmir* więc przejął tę dochodową robotę. Zdecydowanie zabronił *Crispie* przyglądania się sekcjom, unikając błędu *Adamsa*. Siedziała wtedy posłusznie w forcie, nie zerkając nawet z dala w stronę kamienia sekcyjnego.

Adams niepotrzebnie szybko zrezygnował z propozycji *Hjalmira*, co pozbawiło go adiutantki. Jak kiedyś *Złota* za *Adamsem*, teraz *Crispa* przyodziana w krótką tunikę koloru miodu chodziła w ślad za niższym o pół głowy *Hjalmirem*. Trudno jej było przywyknąć do życia w warowni frontowej.

„Uznał, że *Złota* dodaje powagi *katrupowi*”, pomyślał kwaśno *Adams*. „Odgapił to ode mnie”. Podpatrzył, nie podpatrzył, cieszył się bliskością pięknej dziewczyny, a bezrobotny *Adams* snuł się po obozie od rana do wieczora.

Właściwie niewiele więcej pozostało mu tu do zrobienia, niż nakłonić *sotnika* do cofnięcia rozkazu *Izabbaala*. Doszedł do końca tej drogi. Nic dobrego dalej nie czekało. Mógł tylko tu zostać, gdzie go znano i akceptowano, albo wracać. Pora wracać.

Trzeba było rozmówić się z *Reutelem*. Sprawę ułatwiał fakt, że *Adams* nie dostał jeszcze przydziału do *pretorii*. Może *sotnik* zmienił zdanie i obecnie przydzielanie *Adamsa* do elitarnego oddziału nie było mu na rękę?

Adams zamówił się u dowódcy. Zaraz do środka poprosił go *Croyn*. Dwaj strażnicy przepuścili ich do *pretorium*.

Dowódca spojrzał zmęczonym wzrokiem na przybyłego.

– Usiądź, *decymusie* – powiedział. Nie przestał przeglądać papierów. – I tak bym cię dzisiaj wezwał do siebie. W *Krum* się nie uspokoiło.

Adams mu nie przerywał.

– Ty przewidywałeś wtedy, że mianowanie *Hejlabbaala* jest błędem?

– Potęga imienia?

– Na to wychodzi. Myślałem, że moje dotychczasowe brzmi nieźle. Żołnierze już zdążyli się

przyzwyczajając, więc nie muszę się z tym śpieszyć. Wygląda, że jest inaczej. Odkąd Hejlabbaal został *obermacajbabą*, zaczął zachowywać się dziwnie i raczej prędzej niż później wypowie Szczurom posłuszeństwo. – Wykonał okrągły gest dłonią. – Ale to nie twój problem, Spalony. Poradzę sobie z nim. Sytuacja się zmieniła. Chetti szkoli uzupełnienia na Nocnej Grani, w Tibium pewna załoga.

Adams nie przerywał monologu dowódcy. Zastanawiał się, jak wyłożyć swoją sprawę.

Reutel podniósł wzrok.

– Przyszedłeś prosić o zwolnienie ze służby?

– Tak.

Sotnik pokiwał głową.

– Zwalniam was ze służby, Spalony – powiedział oficjalnym tonem. – Wykonaliście ostatni rozkaz.

Adams czuł się, jakby rosły mu skrzydła.

– Co zrobicie jako wolny weteran?

– Czy powinienem przez jakiś czas pozostać w legionie dla twojej pomocy, panie?

– Masz na myśli kłopoty z nowym *obermacajbabą*...?

Adams przytaknął skinieniem głowy.

Reutel wziął na siebie ciężar rozmowy; wolał sam powiedzieć pewne rzeczy, niż na nie reagować.

– To nieważne. Zwykły los dowódcy. Rozwiązałem trudniejszy problem.

– W takim razie odejdę. Nic tu już po mnie. Nie chcę więcej zabijać *gaber*. Dalej zajść się nie da. Spróbuję wrócić do siebie na górę.

– Pójdiesz tam z cudzą żoną?

– Nie żoną, tylko narzeczoną.

– Prawo tu mówi jedno.

Adams spoważniał: będą komplikacje? Reutel jednak spoglądał na niego spokojnie i życzliwie.

– *Macajbaby* nie będą robić wam trudności, jednak *behmetim* ujmą was i osądzą. Oni nie przyjęli do wiadomości nawet faktu śmierci Drubbaala – powiedział. – Dam ci list, że opiekujesz się nią. Wystarczy na moje posterunki.

„A co dalej?”, pomyślał Adams. Właściwie mógłby spytać o radę *sotnika*. „Nie, to zły pomysł”, uznał. „Reutel może udawać niewiedzę i nie stosować prawa. Przecież dał mi znać, że działałam wbrew prawu. Moja wypowiedź zmusi go do reakcji...”

Sotnik wręczył mu przygotowany wcześniej pergamin. Stosowne pieczęcie były już na nim umieszczone. „Dokładnie przewidział tę rozmowę”, pomyślał Adams, chowając otrzymane dokumenty w wodoodpornym schowku z pęcherza.

– A twoja prognoza sytuacji, Spalony? – spytał Reutel. – Co nas tutaj czeka?

– Przekażę ci moje przypuszczenia. Ale w niektóre z nich sam mało wierzę.

– Jasne. Mów. Na to właśnie czekałem.

– Wprawdzie Czarne mają potężne rodzaje broni, lecz myślę, że ich nie użyją przeciw Krum, skoro dotąd tego nie zrobiły. Jakby im dalej od Linii, tym więcej im wolno. Natomiast po naszej stronie stają się bezradne. Czarnego można zabić równie łatwo jak człowieka. Moim zdaniem nie przystąpią do frontalnego ataku. Przecież w czasie każdej wizyty Pana z Morza są w Krum, ale wycofują się równo z jej końcem.

– Czego więc się obawiać?

– Może za wcześnie na obawy, ale obserwować warto. Dlaczego nagle zaczęły pojawiać się Złote Gabery, skoro wcześniej mało kto o nich pamiętał? Moja przeszła grań do Tibium, teraz dała się złapać Crispa. Poza nimi schwytano kilka innych Czarnych o bardzo ludzkim wyglądzie. Może być tak, że obecność jednej ściąga tu następne, może chodzić o coś zupełnie innego.

– Niby co?

– Może to być dalsza reakcja na nasz zwiad, podczas którego sięgnęliśmy do Płomienistych Wrót. Tamta strona za Wrotami ożywiła się i działa. Również nadchodząca wizyta Pana z Morza może być reakcją na tamten zwiad. W takim wypadku pojawienie się licznych Złotych może oznaczać próbę pokojowego opanowania Krum. One same mogą nawet nie wiedzieć, że są narzędziami w cudzych rękach. Może być jeszcze co innego: Żołnierze zapatrzyli się w Złote. Mniej w nich ochoty do odbijania kobiet spośród Golców. Transporty za Płomieniste Wrota idą bez zakłóceń.

– Sam przecież prosiłeś o uchylenie rozkazu Izabbaala.

– Dalej proszę. To dla Złotej Pięknookiej. Uratowała mi życie.

– Nie widzisz tu sprzeczności?

– Podzieliłem się z tobą moimi najskrytszymi podejrzeniami, dowódco. Nie znaczy to, że w nie wierzę, ale i to trzeba brać pod uwagę.

– Dobrze. Odwołam jego rozkaz. Dlaczego atak na nas miałby zostać tak poprowadzony?

– Wśród Szczurów nie ma *behetim*. Może kiedy już przyzwyczaimy się do Złotych wśród nas, podesłane zostaną wśród nich *behetymy* w ich ciele? Crispa nie jest owłosiona. Nie ma naturalnej ochrony przed *behetim*. Dopiero od niedawna chadza odziana. Hjalmir jest w niej zakochany po uszy – gotów jestem się założyć, że dotąd nie sprawdził, czy ona potrafi nazywać.

Reutel pomyślał, że Adams zazdrości chirurgowi pięknej adiutantki, jednak powiedział co innego:

– W archiwach stoi, że urokowi Złotej żaden mężczyzna się nie oprze. Ty jeden okazałeś się wyjątkiem.

– Może dlatego, że ona już wcześniej spotkała swojego człowieka?

– Ach, tak.

– Crispa jest urodziwa i czarująca. Jeśli ona czy inne Złote biorą udział w takim planie, to tylko jako nieświadome narzędzia. A jeśli jest inaczej, a te człekopodobne Czarne to dzieci Pachoma...? Czas na płaskowyżu może płynąć inaczej.

– Ale twoje klepsydry nie pokazały nic nadzwyczajnego.

– Może im dalej od Linii, tym efekt silniejszy. Sam nie wiem.

– Niedługo ludzie powiedzą „Klepsydry Hjalmira”, nie „Klepsydry Spalonego”.

Adams wzruszył ramionami. Nie zależało mu szczególnie na prawach autorskich do akurat tego odkrycia naukowego.

– A w Kram o Krawcu zapomną i opowiadać będą, jak to Hjalmir w pojedynkę zajął *behetim*. – Uśmiechnął się Reutel.

Sotnik wezwał *Barchema*, by ten spisał wyłożone opinie Adamsa. Hjalmir towarzyszył dzisiaj zwiadowi. *Rachubiec* sprawnie spajał wypowiedzi Adamsa w zwięzły raport.

– Petrynał pozostawisz na Linii. To zbyt potężna broń, by dostała się w ręce *macajbabów*.

Adams nie protestował. Sprzedał petrynał legionowi aż za dwadzieścia cztery sycele, które przeznaczył na wykupienie części *tarhatum* Renaty od legionu. Za resztę kupił piękny sztylet, wypolerowane zarękawia i nagolenice z niewielkimi twarzami paradoksalnymi. Obecnie nosił się już jak *pretorianin*.

Już po służbie Bertucci i Scholz popijali przydziałowy destylat, siedząc przy ognisku.

– Jak tam twoje eksperymenty? – zagadnął Scholz, wskazując podbródkiem ku samotnej Crispie stojącej na blankach. – Ja zapłaciłem dwunastą część sycela, a też nie zostałem draśnięty.

– Ale nigdy jeszcze tak piękna pierś nie dotykała mojego czoła – prychnął Bertucci. – Twoich

pryszczy nie chciałyby dotknąć nawet za dwa sycele.

– Uważaj sobie. *Katrup* zauważy, że mu ją podrywasz.

– Kędzierzawa wodzi maślanymi oczami za Spalonym, ale on nie gustuje w *Złoty*.

– Ee... – Scholz pokręcił głową. – Wszystkim zawróciła w głowach, to i jemu też. Zobaczysz, zaraz do niej wyjdzie.

– Chciałbym zobaczyć tę jego młynareczkę.

– Wszystko chciałbyś robić jak Spalony.

– No, wiesz, facet zaczął od niewolnika. Chciałbym się tak wybić, jak on.

– To się śpiesz. On tu długo nie zostanie. Dowodził *Wentzlem*, teraz może mu nie być w smak słuchanie cudzych rozkazów.

– Uczył mnie rysować góry i ocean. Kazał zaczynać rysunek od kresek wychodzących z jednego punktu.

– Nauczyłeś się?

– Hjalmirowi się podobało, Spalony mi to pokreślił, jest wymagający, ale wiem, o co mu chodzi. Wczoraj w *Krum* trochę poćwiczyłem. Od tych kresek ulice wychodzą jak prawdziwe. – Pokiwał głową z podziwem.

– Spałeś na przepustce w *lupanarze*...?

– Nie. W *oberży Drobara*.

Samotna *Crispa*, oparta łokciami o *blank*, gapiała się na ocean.

– Nawet *Jelena* nie ma takich pięknych piersi jak *Kędzierzawa* – rzucił *Scholz*, bacznie obserwując rozmówcę.

– *Boś* widział u *Jeleny*... – *Bertucci* uniósł się o *ton* za bardzo. *Gęba Scholza* rozjechała się w chytrym uśmiechu.

Umilkli, gdyż na *blanki* wyszedł *Adams*. *Scholz* znacząco łypnął oczyma. *Adams* stanął obok *Crispy*.

– Ależ tam jest pięknie w *tamtym mieście* w *dolinie*. Bardzo chciałabym chodzić tą *plażą*.

– Może *Hjalmir* cię tam kiedyś sprowadzi.

– Mieszkałabym w *jednym z tych maleńkich domków* i *co dzień* wychodziła nad *wodę*

posłuchać fal. Dotąd wędrowałam tylko głęboko pod tym miastem.

– Pod miastem też wiodą ścieżki Drogi Trupa?

– Dolne ścieżki. Krętymi, dusznymi korytarzami. Z sufitu czasem wystają ludzkie nogi, czasem ręce, a nawet ludzkie głowy. Póki nie wysuną się całkiem, nie spadną i nie pójdą z innymi Golcami, cuchną nieznośnie.

„Czy w Krum skazani na śmierć z pohańbieniem pamięci sięgają idącej pod ziemią granicy między Stroną Ludzi a Stroną Trupa i, jak kiedyś Drubbaal, tygodniami zbierają się do swojej drogi?”, pomyślał.

– Inni schodzą po schodkach ciasnymi korytarzykami i sami chętnie dołączają do pochodu – powiedziała.

– Zawędrowałaś kiedyś za Płomieniste Wrota...?

– Nie, nigdy. Tylko zbliżałam się do nich, a Golcy przechodzili przez nie. Musiałam uważać, żeby mnie przemocą tam nie wciągnęli. Zbyt wiele we mnie ludzkiej natury i ten ogień by mnie spalił.

– Złota Gabera może przejść na tamtą stronę i wrócić.

– Widocznie nie jestem dość złota. Za to jestem już zasiana – dodała z dumą.

– Szybko się z tym Hjalmir uporał.

– Człowiek zawsze zasiewa Córkę Ziemi za pierwszym razem.

– Chyba jeśli jest płodny, nie...?

– Córka Ziemi to pozna. Wymyśliłam imiona dla mojego dziecka, ale nie wiem, czy spodoba się człowiekowi.

– Sama wybrałaś...?

– Tak. Dla córki Lawdah.

– Popraw na Lavinia. Bardziej mu się spodoba. A dla syna?

– Almekh.

– Zmień na Almert. Jeszcze ładniej zabrzmie.

„Jak bliska jest nam...”, pomyślał. „Czy w ogóle można wskazać znaczące różnice? A zaraz Złota Pięknooka, a potem te *losze* zaszlachtowane przez Hjalmira”. Popatrzył na Crispę. Odeszła nieco, by gapić się na ocean i drobne domki Dolnego Miasta, a jednak co chwilę zerknęła na niego,

obdarzając skrzącym się uśmiechem. „A jeśli Czarne to zwyczajni ludzie, przemieniani od pokoleń Ukąszeniem Ognia? Jeśli tę przemianę wywołuje wyłącznie ukąszenie duszy przez Płomieniste Wrota? Im głębiej za Wrota wchodzi, tym przemiana mocniejsza; im Wrota dalej i dawniej za nimi byli, tym odmienność słabnie. Sam nie wiem...” Pogrążył się w zadumie.

Wieczorem wybrał się na grań i dalej, do miejsca pochówku zmarłych legionistów. Przy kurhanie Quirinu, na płaskiej płycie znalazł trzy kamyki obok siebie. Dołożył do nich czwarty. Niech i ona wie, że z nim też wszystko w porządku.

Trudniej było odnaleźć nie oznakowany kopiec Suristera, pierwszego pacjenta, którego nie udało się mu uratować. Wreszcie uznał, że trafił na właściwy kopczyk. Tu też dołożył kamyk.

Adams skierował się ku zagrodzie Hrabana. W miarę jak się tam zbliżał, wątpliwości gryzły go coraz mocniej. Zatopiony w myślach, stale przyspieszał. Musiał wreszcie zatrzymać się i odsapnąć, żeby wejście wyglądało odpowiednio okazale. Z pewnością niejedna para oczu obserwowała go zza drewnianego płotu. Szedł dalej godnie, sprężystym żołnierskim krokiem, opierając czasem dłoń na głowni miecza. (Miecza wolałby nie dobywać, bo władał nim bez porównania gorzej niż krzywą igłą). Hełm udawała czaszka Gaberci, zbroja kolcza szczelnie obłożona czarnym futrem i takież fartuch, sporo wypolerowanych blach, na ramionach purpurowy płaszcz... Jakże wzbogacić mogą zręczne dłonie...

Wyszedł już poza centrum Dolnego Miasta – tu domostwa były mizerniejsze, murowane niezdarnie, krzywo; zabudowania gospodarskie zbito z czarnych desek. Szcerbate płoty oddzielały je od polnej drogi. Omijał kałuże po ostatnim deszczu, glina zdążyła już przeschnąć, błoto nie kleiło się do butów.

Zagroda Hrabana zawsze wyróżniała się zasobnością. Obecnie wyglądała jeszcze lepiej: zbutwiałe deski obory, w której kiedyś przyuczano Adama, zostały wymienione na nowe, jeszcze jasne, a nad drzwiami domu i stodoły pyszniły się przybite wielkie czaszki *busierców*, często o dwóch lub nawet trzech parach okazałych rogów, lub nieco mniejsze, o krótszych rogach, czaszki *gaberze*. Adams naliczył ich przynajmniej z dwadzieścia cztery sztuki. Hrabban, eksponując prezenty od syna, podkreślał swoje znaczenie i wkład w obronę Linii.

W obejściu krzątał się Kuczer. Dwa pełne wiadra przyginały go do ziemi. Suchy jak wiązka chrustu, twarz zakłęśnięta w sobie, oczy podkrążone jak zawsze.

„Alkoholik odbity z transportu...”, rozpoznał Adams.

Jednak sina cera Kuczera gdzieś zniknęła, policzki różowił blady rumieniec. Zgarbiony niewolnik uśmiechnął się przyjaźnie.

Aby zapukać, Adams dla fasonu naciągnął okutą rękawicę. Łupnął tak, że niemal wyleciała framuga. Drzwi otworzył zgięty wpół Illation. Ledwie śmiał podnieść oczy w górę.

– Hrabban jest?!

– Tak, panie.

– Prowadź do niego, Illation.

Syn gospodarza rozdziawił zdumioną gębę.

– To ty, Zębaty...? To twoje, to wszystko...?

– Uważaj. Mówisz do *decymusa* z Linii.

Illation zgarbił się. Adams miał przy sobie *gladius* i sztylet. Trudno byłoby mu sprostać,

walcząc pięściami i pałką.

– Poproszę ojca.

Nie było to potrzebne: wieść rozeszła się błyskawicznie. W drzwiach izby już stał Hrabban, z za niego ciekawie wyglądały Rokka i Adala.

– Bez urazy, Onofrio – powiedział Hrabban. Jego bladą twarz pokrywał zimny pot. Były niewolnik, obecnie silny i uzbrojony po zęby oficer, mógł łatwo wyrównać rachunki.

– Bez urazy. – Adams przytaknął skinieniem głowy. „Jakie cuda może sprawić zbroja legionowa...”, pomyślał.

– Renata! Adala! – krzyknął gospodarz, a po grzbiecie Adamsa przebiegł dreszcz. – Dlaczego jeszcze nie przyniosłyście wina...?! – Wskazał Adamsowi zydel. Ten sam, który on kiedyś mozolnie wystrugał.

Adams rozsiadł się wygodnie. Hełm postawił na blacie stołu. Stężałe rysy Gaberci wyszczerzyły się do gospodarza. Adams przetarł włosy wilgotną dłonią. Nie chciał, żeby skóra przeświecająca na czubku głowy była zbyt widoczna.

Renata przysła w chuście na głowie. Dopiero napełniając jego kielich, spojrzała na niego spod cienia chusty. Nie zmieniła się, nadal szczupła i gibka, skryta w fałdzistej szacie. Nie zmieniło się też jej spojrzenie. Tyle blasku, tyle iskierek, a te skierki były dla niego: jej oczy śmiały się, gdy napotykały jego spojrzenie. Nic nie mówiła.

Adams odpowiedział uśmiechem. Wyostrzone górskim słońcem zmarszczki wygładziły się. Spojrzała na niego przeciągle. Był w domu, u siebie.

– Co tu nowego, odkąd odszedłem?

– Marcupij nie żyje – powiedział Hrabban.

– Ale ledwie dwa tygodnie temu. Jeszcze mu nosimy jadło – przerwała Renata. Nie mogła wytrzymać milczenia. Chciała z nim rozmawiać, chociaż na neutralny temat.

– Jeszcze się odzywa? – spytał obojętnie Adams. Z trudem zachowywał pozę.

Zauważył, że oba gąsiorki wina pochodzą z najtajniejszych zasobów Hrabbanowej piwnicy. Trunek był mocny, aromatyczny. Dziewczyn nie minie bura.

– Tak, ale trudno zrozumieć – włączyła się Adala. – To tylko jęki. Chyba wkrótce zdecyduje się odejść.

Czarny piorun z oczu Renaty strzelił w jej kierunku. Adams westchnął. Jak dobrze, że tu tak mało zmian...

– Gdzie Symmachs?

– A pewnie przy jakiejś robocie. – Hrabban zerknął z niepokojem na Adamsa.

– Chciałbym go zobaczyć.

Hrabbanowi drgnęła powieka. Doskonale wiedział o ich wzajemnej niechęci. Bokserowaty znęcał się nad Adamsem ze szczególnym upodobaniem. Dał znak, żeby sprowadzono syna.

Adams z lubością smakował najlepsze wino Hrabhana. Pił je wcześniej tylko raz, w tajemnicy, użyzione przez Lottę.

Wypasiony parobek wszedł z niepewną miną, trzymając się poza zasięgiem Adamsowego *gladiusa*.

– Dobrze wyglądasz, Symmachs – powiedział Adams.

– No... – mruknął tamten, podejrzliwie wpatrując się w nienawistnika. – Jakoś ostatnio niedostatek nie doskwiera.

Adams wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Na Linii potrzeba krzepkich, dobrze odżywionych żołnierzy. Pora na służbę, Symmachs.

Zapanowało milczenie.

– Za dwa dni pójdziesz Ciemną Doliną na Mroczną Przełęcz. Tam dołączysz do *sotni* Drubbaala.

Było to oczywiście wymysłem Adamsa. Ale Symmachs zasłużył sobie na to. „Reutel potrzebuje żołnierzy”, pomyślał Adams. „Zrobił dla mnie wiele dobrego, muszę mu załatwić uzupełnienie za moje odejście”.

– Ale jak...? Dlaczego? Już jeden mój syn służy w legionie – włączył się Hrabban.

Adams obejrzał się leniwie. Nie wiedziano tu o śmierci Pachoma; Adams ani nie chciał, ani nie mógł być jej zwiastunem. Należało to do garnizonu. Tutaj jeszcze nawet nie ogłoszono śmierci Drubbaala.

– Drubbaal dał ci *simbolon*, Hrabbanie. *Simbolon* przeznaczony wyłącznie na taką okazję.

– Dał.

– To porównaj jego drugą połowę. – Adams sięgnął do mieszka i starannie wybrał właściwą glinianą skorupę. Nie mógł jej pomylić z najważniejszą.

Hrabban przyniósł swój okruch. Niestety, pasowały do siebie idealnie. To była decyzja

Drubbaala. Adams schował swoją połówkę.

– Przez dwa dni jedz, pij i baw się, Symmachsie – powiedział. – Potem czeka cię wiele przygód.

Renata przyniosła alabastrowy flakonik. Bezszelestnie zbliżyła się od tyłu i delikatnie rozczesała włosy Adamsa. Poczul na czole leciutki dotyk jej chłodnych dłoni. Następnie zaczęła wcierać w jego włosy wonny olejek. Oczywiście nie sprzeciwił się wyrazowi najwyższego szacunku. Wolałby je umyć, chociaż olejek też usuwał pył z włosów.

– Nie należy mi się takie uznanie – powiedział do Hrabana.

– To jej własny olejek, robi, co chce.

Adams lekko odchylił głowę do tyłu, żeby Renacie było wygodniej. Symmachs wyszedł; zresztą nawet gdyby został, nie groziłoby, że ten poderżnie Adamsowi gardło – *simbolon* Drubbaala miał moc magiczną.

– Zużyjesz cały zapas, a przecież to bardzo drogi olejek – powiedział Hrabban.

– Tak. Drogi – odrzekła sucho Renata.

Zaraz jednak nastąpiło coś nieoczekiwanego. Oto Adala przyklękała u jego stóp.

– Czy mogę ci zdjąć sandały, Bellvekhi? – Jej spojrzenie było o wiele za długie.

„Czy tu naprawdę nic się nie zmieniło...?”, pomyślał. „Czy może to mundur je tak odmienił...?”

Obie panny pogubiły się zupełnie.

Adala rozplatała rzemienie jego górskich butów. Z zaciekawieniem obejrzała pogrubioną podeszwę. Sprawdziła sztywność cholewki. Pokręciła głową.

– Dają przewagę nad Czarnymi.

– Tak. – Spuściła wzrok i delikatnie odwinęła jego onucę. Następnie zaczęła masować stopy i wcierać w nie oliwę. Przyjemne mrowienie relaksowało.

„Warto było iść na Przełęcz, szyc rannych, odbijać Golców z konwoju, ryzykować pod Płomienistymi Wrotami...”, pomyślał. „Choćby dla tego przywitania. Cokolwiek się stanie później”.

– Dużo masz olejku, Adala – rzucił kwaśno Hrabban.

– To zwykła oliwa. Onofrio miał zranioną stopę. Muszę ją opatrzyć.

– Moich stóp tak nie pielęgnujesz.

– Onofrio jest żołnierzem.

– Ale Drubbaalowi nigdy tak stóp nie opatrywałaś.

– Bo nie muszę. Od tego jest Renata.

Spotkały się dwa spojrzenia: szmaragdowe i czarne.

– Drubbaal nie rani stóp. Ma stwardniałą skórę. – Renata jednocześnie pociągnęła Adama za oboje uszu. Zbyt mocno.

– Au... – jęknął.

– Co jeszcze przykazał Drubbaal...? – spytał Hrabban.

– O tym jutro. To nie są tak ważne sprawy. – Adams machnął ręką.

Z pewnością martwy Drubbaal wydawał mniej poleceń.

Rozsądny Hrabban ugościł swojego byłego niewolnika najlepszą izbą na piętrze, do której wchodziło się z ganku nad atrium lub od korytarza. Adams już kiedyś w niej był, gdy pomagał wnieść tam łóżko, świeżo zbite z desek. Teraz opierał dłonie na szorstkim drewnie balustrady, obserwując, jak Kuczer z pomocą nieznanego niskiego mężczyzny mozoli się z rozeschniętą beczką. Kiedy ją wreszcie wytoczyli z atrium, stało się całkiem cicho. Zamknięty pierścień zabudowania izolował od smrodu gnojownika czy gwaru codziennej krzątania przy młynie. Rodzina gospodarza niechętnie opuszczała zacisze atrium.

Zrzucił zbroję, sandały, *skorupę*, aż wreszcie został w samej przepasce biodrowej. W cebrzyku splukał całodzienny pot. Chłodna woda usuwała zmęczenie, odświeżała. Obejrzał czarne kudły na znamionach: nie były rzadsze niż w *Wentzlu*. Paznokcie zmiękły od wody, ale pozostały spotworniałe: kilkakrotnie grubsze niż ludzkie i ciemnosine. Rowki, z których wyrastały, były nabrzmięte, skóra wokół zaczerwieniona. Ściał paznokcie, a następnie spiłował starannie. Póki nie odrosną, będą wyglądać prawie normalnie.

Dobrze namoczona sierść nie broniła się przed brzytwą. Dokładnie wygolił włosy na znamionach – odrosną gęstsze, ale może wcześniej Renata przyzwyczai się do ich obecności. Brakowało kremu do golenia: skóra piecze, później się zaczerwieni.

Odświeżony, wyciągnął się na miękkim pościeliu. Zabrakło mu szorstkiego dotknięcia futra na deskach pryczy – teraz jakby zapadał się w głąb. Po chwili minęło niemiłe uczucie zagłębiania się w otchłań.

Sen nie chciał przyjść. Przed oczyma biegł film z wydarzeń minionego dnia. Spotkanie z Hrabbanem i nienawiść na twarzy Symmachsa przeplatały się w myślach z widokiem Renaty, z jasną twarzą Adali i jej upartym, jakby surowym spojrzeniem. „Jej oczy to rzeczywiście dwa drogocenne kamyki”, pomyślał. „Renata ma zupełnie inne – ciemne, czekoladowe i niewiarygodnie ciepłe. Jakże różne mogą być oczy dziewczyn”. Wystarczyło przymknąć powieki, by ujrzeć, jak Renata pojawia się w drzwiach izby kuchennej. „Ona chodzi z taką gracją”.

Dom uspokajał się. Cichła krzątania niewolników. Jedni znikali w szopie, inni w korytarzu, przy wyjściu, układali się do spania. W gościnnej izbie, na parterze, Hrabban kończył samotny wieczór nad dzbanem zadrożdzonego wina. Zabicie Zębatego rozważał już wcześniej i odrzucił ten pomysł. Miałoby to poważne następstwa – na pewno zaszkodziłoby Pachomowi.

„Cóż, Symmachs pójdzie na służbę. Pachom nie da mu zrobić krzywdy, chociaż za nim nie przepada. Zresztą mało kto lubi Symmachsa”, westchnął do siebie. „Mnie ubędą dwie ręce do roboty. Zresztą może to i lepiej? Ostatnio *pólsyn* zhardział, domaga się swojej części majątku. Żony nie ma, a pieniądze i mienie by brał. Do lupanaru co sobotę gania. Tylko pić i się bawić, a robota kiedy?”

Złość na zachłannego potomka ożywiła gospodarza. Po chwili wino znów wzięło górę. Głowa ciążyła Hrabbanowi. Twarz Adali siedzącej na ławie, w pogotowiu, by uzupełnić ojcu kielich, wydawała się rozmyta i niewyraźna. Senność powoli brała go w swe ramiona.

„Symmachs!”, jak błysk przeszło przez głowę Hrabana. „No, jasne, to on. Już raz ledwie go powstrzymałem”. Tym razem resztki senności pierzchły na dobre.

Adams przed oczyma duszy miał twarz Renaty. Zarys czoła niemal skryty narzuconą na głowę chustą, prostą linię nosa. I tę chwilę potem, kiedy uniosła wzrok na niego. I pierwsze iskierki uśmiechu, jakie w tym spojrzeniu zagościły. A potem jak tych iskierek przybywało, a wokół oczu formowały się zmarszczki uśmiechu.

„Może ona teraz myśli o mnie?”, pomyślał. Wyciągnął się na wznak. Dłonie podłożył pod głowę. Wyobraził sobie skręconą w kłębuszek dziewczynę. Wymyślona Renata naciągnęła na grzbiet przykrycie i odwróciła się plecami. „Czyżby zasnęła...? Nie, to niemożliwe. Ja nie śpię, ona też nie może zasnąć”.

Usłyszał leciutki szmer przy wejściu. Cicho uchylila się zasłona. Równie delikatnym ruchem sięgnął po sztylet. W domu już pogasły światła, jednak w panującym zmroku dostrzegł ciemniejszy kształt skradający się ku jego posłaniu. Adams odłożył broń. Rozpoznał zbliżającego się intruza. Lekko odsunął tkaninę, by mogła się łatwiej pod nią wsunąć. Mocno wtuliła się w niego.

– Jesteś. Wiedziałaś, że wrócisz – wyszeptała mu prosto do ucha.

Wsunął dłonie pod ramiączka jej lnianej tuniki. Równie z ciepłem jej ciała wyczuł nienawistną szorstkość ramiączka podtrzymującego *strój*. Nigdy nie ściąga tego cholerstwa?

Zachichotała. Kusząco poruszała się wewnątrz swojego pancerzyka. Nie protestowała, gdy zsunął jej tunikę, nawet pomogła ją ściągnąć, ale przecież nadal pozostała w zabezpieczeniu. Mógł pieścić tylko jej ramiona, szyję i uda. Reszta pozostała ukryta. Miłość miłością, ale ślubu jeszcze nie zawarto – panna wiedziała, co robi... Tracąc dziewictwo, stałaby się warta jedynie dziesiątą część swojego *tarhatwn*, stratę musiałaby wyrównać jego posiadaczowi. Nigdy nie spłaciłaby tej kwoty, na resztę życia czekałby ją smutny los niewolnicy.

– Przeszedłem po ciebie – powiedział. – Zabrać cię z sobą. Zwrócili mi wolność za zasługi w służbie, ale tutaj, w Krum, mogą mnie aresztować. Prawdopodobnie nadchodząca wizyta Pana z Morza została sprowokowana przeze mnie. Dotarłem zbyt daleko w głąb jego włości, a on teraz usiłuje mnie schwytać. Pogoń trwa już od dawna.

– Uciekaj więc, Hemfri. Zrobię wszystko, żeby cię nie złapali. Powiedz, co powinnam zrobić.

– Uciekaj ze mną.

– Nie mogę pójść z tobą.

– Jak to? – Lekko odsunął ją od siebie. – Przecież powiedziałaś, że mnie kochasz.

– To prawda. Nikogo bardziej nie kochałam i nie Kocham. Upewniłam się, kiedy odszedłeś z Hjalmiem. Gdy tylko zamykałam powieki, twój obraz pojawiał się przed oczyma mej duszy. Gdybym miała oddać życie, abyś ty żył nadal, zrobiłabym to.

Nie mógł jej nie otulić ramionami.

– Dalej nie rozumiem.

– Nie należę do siebie. Ojciec decyduje, jakiego mężczyznę poślubię. Mam być posłuszna.

– Nie masz ojca. Od dawna jesteś sierotą.

– Połowa mojego *tarhatum* należy do Hrabana, a połowa do Drubbaala. To dużo pieniędzy. Nie mogę tego zmienić.

– W legionie zmieniło się wiele: Drubbaal nie żyje. Nie mów tego nikomu. To jeszcze tajemnica.

Odezwała się dopiero po namyśle:

– Domyśliłam się tego, zanim mi powiedziałaś. Wróciłeś zdrowy i cały, a na dodatek w triumfie. Zabiłeś Drubbaala?

– Nie ja. Pachom to zrobił. Drubbaal chciał nas obu zabić.

– Tak też myślałam. Dobrze, że go pokonaliście.

– Pachom był jego następcą.

– Pachom *sotnikiem*? Młody nawet na oficera.

– Pachom też już nie żyje.

– Ach, Pachom... – urwała. Tego się nie spodziewała. – Wiesz, kto jest spadkobiercą Drubbaala? – spytała po chwili.

– Legion. Kasa legionowa.

– Więc należę w połowie do legionu. To dobrze, legionowym *tarhatum* zawiaduje *sotnik* przy zgodzie *decymusów*. Hrabbanowi jeszcze trudniej będzie zmusić mnie do spania z nim.

– Wykupiłem znaczną część twojego *tarhatum*, a obecny *sotnik*, Reutel, nie będzie rościł praw do ciebie. Nie odejdę bez ciebie.

– Musisz. Ja chcę, żebyś żył. Mnie wystarczą chwile, które razem spędziliśmy. Wiem, że nic lepszego mnie w życiu nie spotka.

Ich szepty przerwał szelest od drzwi. Adams dobył sztyletu. Sobą zasłonił leżącą Renatę..

– Renata – rozległ się dziewczęcy szept. – Natychmiast uciekaj! Ojciec tu idzie. Gramoli się już po schodach.

Renata szybko zgarnęła tunikę i naciągnęła na siebie. Adala wyprowadziła ją na ganek atrium. Hrabban wspinał się od frontu.

Suche deski trzeszczały pod dziewczynami, jednak nie dość głośno dla dzisiejszych uszu gospodarza.

Wreszcie Hrabban pojawił się w drzwiach pokoju.

– Zębaty?

– Tak. Słucham.

– Dobra. W porządku. – Hrabban podrapał się po karku. – Siadę sobie za progiem. Ciepły wieczór dzisiaj, burzowy. Może co komu złego przyjść do łba...

„Mógłby sobie wymyślić lepsze wytłumaczenie”, pomyślał Adams.

Wkrótce rozległo się głośne chrapanie. Gospodarz nie był w stanie podołać służbie wartowniczej. Niestety, nie było też nadziei, że Renata sforsuje tę przeszkodę.

Adams zasnął ze sztyletem w zasięgu ręki.

Sen o Renacie przychodzącej pod postacią Złotej lub pod postacią Crispy nie wrócił.

Adams zaproponował Hrabbanowi po pół sycela za każdy dzień gościny. Ten skwapliwie się zgodził. Adams nie opuszczał domostwa, spotykając Renatę jedynie na posiłkach.

Zgodnie z poleceniem, Symmachs po dwóch dniach zebrał się do drogi. Adams przyglądał się jego przygotowaniom. Poradził, żeby starannie owinął stopy onucami, nim założy sandały. Pokazał, jak z worka zrobić sobie wygodną namiastkę plecaka.

– Weź jedną skórę Czarnego – poradził. – Żebyś nie marzył na noclegach, zanim zdobędziesz swoją.

Parobek podporządkowywał się rzeczowym radom fachowca.

– Broń i stawę dostaniesz za służbę, ale weź trochę koło siebie, bo za opatrywanie ran musisz *katrupowi* zapłacić, a pierwsze *stipendium* dostaniesz po miesiącu.

Symmachs odruchowo położył dłoń na wypchanej sakiewce i skinął głową.

– Jeszcze jedna rada: zawsze miej ze sobą trochę soli, papryki i pieprzu.

– Drogie na Linii?

– Na Linii wszystko jest droższe niż w Krum. Musisz mieć się czym wysmarować i posypać, jak cię Czarne dorwą. Lepiej smakujesz, krócej boli...

Symmachs poczerwieniał ze złości, jakby miał eksplodować, ale się nie odezwał.

Adams nie mógłby przysiąc, czy tamten tuż przed wyjściem na wszelki wypadek nie zajrzał do spiżarni.

Na wieczór Hrabban nie ułożył się do snu na schodach; najwyższy czas, bo po trzech nocach przespanych na twardej podłodze gnaty bolały.

Na trzeci dzień oboje odważyli się razem wyjść poza domostwo. Adala krzątała się na dworze; rzuciła im szybkie spojrzenie. Ingyar rąbał drewno, odwrócony tyłem. Kuczer latał tynk na murku przy gnojowniku, pomagali mu dwaj nowi. Energicznie kierował robotą. Śpieszył się, by związało jeszcze przed opadem martwiny. Inni domownicy gdzieś się zawieruszyli.

Na łące nad Krum na trawie było jeszcze sporo rosy. Powietrze dopiero ogrzewało się, wszechobecny zapach Pana z Morza nie był jeszcze tak dokuczliwy. Przysiedli na parze pniaków. Drzewa rosły splecione – pniaki utworzyły zgrabną ławkę. Zdążyły ściemnieć, zdradzieckich płam żywicy nie było.

– Wymarzyłem sobie taki wieczór, w którym przyjdiesz do mnie. Ale jak usłyszałem szelest, sięgnąłem po sztylet.

– Zrobiłam rzecz nie do pomyślenia. Zdrada karana jest śmiercią z pohańbieniem pamięci.

– Ale teraz też jesteśmy blisko siebie.

– Nikt nie widzi.

– Widzieli, jak wychodziliśmy razem.

– Ale to biały dzień, nie noc i nie twoje łóżko.

– Przecież miałaś *strój* na sobie.

– Bez *stroju behmetim* zabiliby mnie na miejscu. Jak było, też by zabili, tyle że później. Jestem narzeczoną *sotnika*. Zabiliby mnie, a pamięć pohańbili.

– Czy Adala mogłaby donieść na nas?

– Wykluczone.

Nie uspokoiło go to jednak. Wyobraził sobie, jak Adala właśnie biegnie do Krum. Potem próbował sobie wyobrazić następstwa. Ale myśli leniwe nie chciały skoncentrować się na groźnych przewidywaniach. Czuł ciepło Renaty, ufnie przytulonej do niego. O takim poranku marzył, kiedy przykrył grzbiet wyleniałą czarną skórą, żeby umknąć chładowi, a pierwsze promyki ciepła rozgrzewały zmarznięte, wymęczone ganiem po górach gnaty, ale im więcej czasu upływało na służbie, tym marzył, niestety, coraz rzadziej.

– Pomimo śmierci Drubbaala skazaliby cię za zdradę?

– Jego śmierć nie została oficjalnie ogłoszona w Krum, więc według prawa on jest nadal posiadaczem mojego *tarhatum*.

– Niektórzy jeszcze uważają, że on może wrócić jako Suchy.

– Suchy?

– Jako Trupistwór, żyjący kościotrup o gnatach połączonych wyschłymi więzadłami. Chcesz mieć takiego męża?

– Nie chcę innego męża niż ciebie.

Spojrzał na nią z leciutkim uśmiechem. Wokół jego oczu wyraźniej zarysowały się zmarszczki.

– No, dobrze – powiedziała. – Kiedy wyruszymy?

– Adams przygarnął ją mocno; odpowiedziała uściskiem.

– Wkrótce. Nic nie mów nawet Adali.

– O śmierci Pachoma na pewno nie dowie się ode mnie.

Chwilę milczeli.

– Powiedz, jak masz na imię? – zapytał.

– Na imię? – Spojrzała filuternie, posyłając świetlisty błysk z oczu. – Przecież wiesz, jak mam na imię.

– Tutaj każdy ma dwoje imion.

– Kto ci to powiedział?

– W legionie mówili.

– I chcesz, żebym ci powiedziała moje pierwsze imię? – Dalej śmiała się samym spojrzeniem.

– Myślę, że powinnaś mi powiedzieć.

– No, Renata.

– Nie bujaj. To jest twoje drugie imię.

– Ale wszyscy na mnie mówią „Renata”. – Znowu zerknęła w niebo. Wiedziała, że wtedy jej oczy błyszczą najbardziej.

– Wiem, jak do ciebie mówią wszyscy.

– Ale co wtedy jeszcze będę mogła ukryć przed tobą?

– Po co masz coś ukrywać?

– Będziesz wiedział, co skrywam w duszy.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, co tam skrywasz.

– Eva.

– Eva?

– To jest moje pierwsze imię.

– Eva Renata. – Spojrzał na nią ciepło. Zaczerwieniła się lekko pod tym spojrzeniem.

– Kto jeszcze zna twoje pierwsze imię?

– Mama znała. A teraz zna je Adala.

- Adala mogła komuś powiedzieć, jak ty powiedziałaś.
- Najwyżej tobie. Ufam Adali. Ona mi też.
- A jak ja komuś powiem?
- Nie powiesz. Tobie też można ufać.
- Nie powiem.

Lada godzina miał się zacząć wysięk martwiny. By nie wzbudzić podejrzeń, Adams już od wczoraj chodził w zbroi. Hełm oraz jej blachy, dla niepoznaki, pozostawił w swoim pokoju. Hrabban gonił robotników do przygotowań. Właśnie niewolnicy pod wodzą Kuczera zaczęli opróżniać gnojownik.

Adams dał wzrokiem znak Renacie.

„Czy już nadszedł czas?”, spytała spojrzeniem.

– Tak. Właśnie nadszedł.

Chyłkiem wymknęli się z gospodarstwa i wspięli łąkami ponad Krum. Renata dźwigała ze sobą koszyk z prowiantem. Ich kolejne, wspólne wyjście nie powinno dziwić, gdyby nie początek wizyty Pana z Morza. Zatrzymali się dopiero na skraju lasu, gdzie kończyły się pola i łąki. W dole czerniły się zabudowania Krum. Adams zrzucił kolczugę, cisnął sakwę w cień drzewa. Rosa już wyszła. Wiatr oddalał od nich zapach martwiny. Promień słońca wychylał się spod kraja *Pieczęci Sylwestra*. Łąka zdążyła już się nagrzać. Za dużo owadów napępniało trawę swoim buczeniem. Żwawe, krótkonogie, szare pogońce pośpiesznie przebiegały brzegami derek. Właśnie skończyli jeść. Renata przysiadła, obejmując ramionami kolana. Wpatrywała się w ogromny brudnordzawy kadłub władcy krainy. Adams bładził dłonią po jej plecach. Palce znalazły pionowy skórzany pas *stroju*.

– Hrabban traktował cię inaczej niż swoje córki, inaczej niż wszystkie kobiety w gospodarstwie.

– Chcesz powiedzieć, że mnie nie wziął?

– Właśnie. Ale i co innego: liczył się z tobą, poważał cię. Czy to tylko dlatego, że byłaś narzeczoną Drubbaala?

– Zawsze tak mnie traktował.

– Jak to się stało?

– Miałam przyjaciela, olbrzyma.

– Engilu o Strasznej Twarzy?

– Engilu o Złotym Sercu i wyglądzie groźnej bestii. Starego *decymusa*, który nie mógł już walczyć, więc zszedł z gór do miasta. Nikt poza mną nie wiedział, że stary jest bezbronny, bo nie próbował sprawdzić. Engilu zamieszkał u wdowy Szoszannah.

– Twojej mamy?

– Tak. Zwyczajnie: pokochał trzpiotowatą, małą dziewczynkę jak córkę. Nie pozwalał jej zrobić krzywdy, kiedy miała kilka, potem kilkanaście lat:

– Ładnie opowiadasz.

– To są wspomnienia.

– Mów dalej.

– Ojca nie pamiętam. Straciłam go bardzo wcześnie, miałam wtedy zaledwie parę latek. Czarne go rozszarpały. Engilu był dowódcą ojca. Dlatego po służbie zamieszkał u matki. Był z nami przez dziesięć lat; najpierw w naszym domu, a potem u Hrabana, kiedy się do niego przenieśliśmy, bo w zrujnowanym domu nie dało się już mieszkać. – Renata wyciągnęła się na trawie, półożąc na zboczu wzgórza. Podłożyła ramiona pod głowę i patrzyła nieobecny wzrokiem, jej myśli odwiedzały minione czasy, a uśmiech był przeznaczony dla dawnych chwil. – Przyszliśmy do Hrabana, a matka poprosiła, aby ją przyjął na służbę, bo do naszego własnego domu rabusie zaglądali niemal co dzień, a już na pewno co noc. Uważała go za solidnego człowieka. Engilu siedział za stołem i tylko na przemian podnosił krzaczaste brwi; milczał i spoglądał ponuro spośród łba swymi oczyma jak szparki. Głowę miał dwa razy większą niż normalny mężczyzna, ogromną, łysą, pobrużdżoną. A Hrabban bał się go, bał się jego milczenia, jego grymasów. Tylko dlatego nie odmówił.

– Bał się?

– Dlatego zadawał się tylko z Lottą. Adala była wtedy za młoda, jak ja. Ale potem też nie odważył się do mnie zbliżyć; nawet jak dwa lata później matka zachorowała i umarła. Zamęczył ją robotą. Wymagał od niej wiele wysiłku za każdy kęs chleba. Dla mnie, dla Engilu i dla niej. Matka przed śmiercią przekazała Engilu *tarhatum* za mnie. Engilu przyniósł ze sobą żołąd odprawny, zebrało się na połowę mojego *tarhatum*. Resztę spłacił matce później.

Od gór powiało rześkim powietrzem. Natrętne owady przycichły na chwilę.

– Engilu był już wtedy niedołężny. Leżał koło kominka, bo stale marzły mu nogi, marzły ręce. I to nawet w ciepły dzień. Miał straszne bóle głowy, czasami cicho jęczał, ale tylko przy mnie, nigdy przy Hrabanie czy innych domownikach. Może z wyjątkiem małej Adali. Słyszał i widział coraz gorzej; zataczał się, gdy próbował chodzić. Udawał wtedy, że jest pijany, aby Hrabban nie poznał, że Engilu utracił swoją siłę.

Patrzył na jej oczy, nie mogąc oderwać wzroku. „Mógłbym w nich tonąć godzinami”, pomyślał.

– Na koniec wyszukał mi narzeczonego. Powiedział Drubbaalowi, że zostałam upilnowana i nadaję się na żonę oficera. Drubbaal wpłacił mi za mnie połowę *tarhatum*. Engilu dostał więcej, niż wcześniej zapłacił za całe *tarhatum* mojej matce. Jego chora głowa nadal nadawała się do interesów...

– Opłaciła mi się inwestycja. Gdyby wyrosła z ciebie brzydula, straciłby na tym.

– Nie. Te pieniądze ja dostałam w całości. Kiedy Engilu upewnił się, że Drubbaal spisał stosowne dokumenty w Krum, postanowił odejść. Zniknąć w dziurze w ziemi, którą w bajkach

nazywano Mostem. Powiedział, że nie zdołamy bez końca ukrywać jego niedołęstwa. Karmiłam go łyżeczką, a potem przez rurkę, bo szczęki Engilu prawie się zrosły. Nie wychodził ze swojego pokoju, czasem ryczał gniewnie, żeby Hrabban nadal się go bał. Tylko ryczeć jeszcze jako tako potrafił. Był już wtedy zupełnie ślepy i prawie głuchy. Wreszcie wlokłam go, bo sam by nie doszedł, w nocy, by nikt nie widział, jak jest bezradny. Powiedział, że pójdzie do miasta z bajki, ale ja już wtedy rozumiałam, że mówi tylko, by mnie uspokoić.

– Pachom też nazwał mnie jego imieniem.

– Ty możesz być nim. – Spojrzała przenikliwie. – Młody i zdrowy musiał być piękny, mógł wyglądać podobnie do ciebie. Też jesteś dobry dla mnie. Dla Adali zresztą też. – Nieoczekiwanie dodała z przekąsem.

– Nie uciekła ze mną.

– Bo jej tego nie zaproponowałeś.

– Hrabban nie tknął cię, by nie stracić swojej połowy twojego *tarhatum*, ale za córki też dostałby wysokie *tarhatum*, a sypia z nimi.

– Nie potrafił się powstrzymać. Adala jest piękna, za nią i tak dostanie *tarhatum*. – Spojrzała mu uważnie w oczy. – Ale najwyżej dziesiątą część tego co za mnie, bo napoczęta. A za Lotte pewnie nikt nie wyłoży złamanego sycela, bo stara i brzydka.

– Ochroniła cię ściana pieniędzy.

– Wysoka ściana. Drubbaal nie zdążył uskładać na drugą połowę. A długo składał.

– Nie śpieszyło mu się. Już dawno mógłby zdać dowództwo i osiedlić się w Krum. Dowodzenie zbytnio weszło mu w krew. Nie zdecydował się do końca.

– I dobrze.

W dole widać było drogę, wzdłuż niej rząd gospodarstw Krum i górujący nad wszystkim, zbliżający się nieregularny kształt ogromnego Pana z Morza.

Wzdłuż górnej krawędzi kadłuba ciągnął się pas dziwacznych, teleskopowych wież, dość równomiernie rozmieszczonych, na ogół prostych. Podkreślały periodyczną, jakby segmentową formę kadłuba. Niektóre z wież były przechylone, celowały w chmury pod nieprawdopodobnymi kątami. Mimo to wiodły nimi zewnętrzne schody i balustrady. „Tylko szalenciec wspinałby się po tak nachylonych schodach”, pomyślał. „Chociaż dzięki balustradzie byłoby to łatwiejsze niż wspinaczka przez okap przewieszki”.

– On przybędzie już za parę godzin. Pora wejść do schronu.

– Przed nami droga Mostem. Rozgałęzia się wielokrotnie, a w jej połowie jest twoje miasto z bajki, Górne Miasto. Ani razu nie wolno się pomylić.

– Znalazłeś właściwą drogę? – Uśmiechnęła się.

– Dotarłem tu zgodnie z hasłem... – urwał, widząc, jak uśmiech gaśnie na jej twarzy. – Tu ciebie znalazłem, więc droga była właściwa – powiedział zbyt późno. Już nie zapaliło to iskierek w jej oczach.

– Zgodnie z hasłem?

– Musisz się go nauczyć, by móc sama dotrzeć do celu.

– Przecież idę z tobą.

– Kartkę papieru możesz zgubić albo mogą ci ją odebrać. Na każdym rozstajach musisz skrócić we właściwym kierunku. Wtedy nawet jeśli będziesz szła jakiś czas sama, to na końcu tej drogi się spotkamy.

– Długa ta formuła?

Objął ją i przysunął usta do ucha. Szepnął:

– „Silvestere”, to formuła. Spółgłoska to w prawo, samogłoska w lewo. – Wyjaśnił też pułapkę ostrego „u”. – Górne Miasto jest salką, wycinowaną – dodał.

Spojrzała zdziwiona.

Poprosił ją o opaskę na włosy. Pokazał na niej przykładowe drzwi, a potem wywrócił ją na nice.

Renacie zabłyszczały oczy. Jeszcze raz to obejrzała, sama wywinęła kawałek płótna.

– Ale zmyślne. A według jakiej formuły ty doszedłeś aż tutaj?

– Takiej samej. Czy tam, czy z powrotem, reguła brzmi identycznie. Musisz ją zastosować, jak będzie potrzeba.

Wysunęła się z jego objęć i uniosła na łokciach. Czegoś wypatrywała w dole. Spojrzał za jej wzrokiem: drobna sylwetka wspinała się w ich kierunku – to Adala. Wkrótce dotarła do nich.

– Szukają cię, Hemfrii – powiedziała. – Do domu przyszli żołnierze. Zbili Gorgonija, bo nie wiedział, gdzie jesteś.

– W jakich płaszczach?

– W szarych. Adams pokiwał głową.

Adala patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

– A ty pójdiesz za nim?

Wyraz oczu Renaty nie pozostawiał wątpliwości.

– Ja... właściwie to przewidziałam. Przyniosłam dla was koszyk z zapasami na drogę.

Podawała Renacie zawiniątko; było w nim nieco żywności, butelka wina, jakieś drobiazgi. Renata nie odmówiła, przeglądała dostarczone amulety: szukała niezbędnych na tak daleką wyprawę.

– Pozdrowisz Pachoma ode mnie?

– Adamsowi przebiegł po twarzy nerwowy tik.

– Jeśli go tylko zobaczę – odpowiedział. Adala wcisnęła mu w rękę zwitek tkaniny. „Co to jest?”, spytał spojrzeniem.

– Wyhaftowałam dla ciebie przepaskę biodrową. Noś ją pod *skorupę*, jest z delikatnego płótna.

Przesuwał w dłoniach pas tkaniny ozdobionej drobnym wzorkiem. Adala też schyliła głowę, patrząc na jego dłonie. Niestarannie założona chustka zsunęła się jej na kark.

– O! – krzyknął zdumiony. Dziewczyna miała krótko obcięte włosy.

– Adala!? – Wsunął dłoń między ich pasma.

Obecnie nie miały więcej jak cztery palce długości. Nierównymi kreskami zaznaczały się linie cięcia.

– Ścięłaś włosy?! Swoje piękne włosy?

– Nie chciałeś ich – powiedziała. Zmrużyła oczy, zza rzęs błyszczały dwa zimne, zielone kamienie.

Nie odpowiedział.

– Może opaski nie wyrzucisz. To nie *myłoro* ani *truchol*.

– Musisz wracać. Zaczyna się wypływ martwiny – powiedziała Renata. – Wszyscy już wchodzą do schronów.

– Tak.

Nagle obie zaczęły mówić szybko i niewyraźnie dialektem, Adams nie rozumiał ani słowa.

– Nie nadążam, kiedy mówicie po swojemu.

– Omawialiśmy drobiazgi. – Renata machnęła ręką. Adala patrzyła na nią jakoś dziwnie.

– Biegnij już na dół – powiedziała Renata.

Adala patrzyła na Adamsa. Jej spojrzenie było jeszcze twardsze niż zwykle. Może mylił się, może było tylko uważne. Nieśmiało wyciągnęła do niego ramiona.

Właściwie sam w nie wpadł, nieznacznie popchnięty przez Renatę. Przytulił Adalę i pocałował. Miała gorące policzki, wilgotne od łez.

Nie spojrziała na niego, lekko uwolniła się z objęcia. Zaraz wzięła w ramiona Renatę. Obie panny się popłakały. Wreszcie Adala delikatnie odsunęła od siebie kuzynkę.

– Już czas – powiedziała.

Zawróciła i bez słowa poszła ku zabudowaniom Krum. Jej sylwetka stopniowo niknęła na tle ostatniej zieloności ukwieconych łąk.

Powietrze wypełniał trupi odór martwiny.

Wspinali się jeszcze prawie godzinę. Wreszcie Adams uznał, że są w bezpiecznej odległości od żołnierzy garnizonu i poza zasięgiem Pana z Morza. Przystanęli na rozgrzanej słońcem polanie, porosłej zieleń i pełnej szmeru owadów, na małym spłachciu terenu, nie koszonym od lat, z trzech stron otoczonym to wysokimi, gęstymi zaroślami kosodrzewiny, to kępami lasu. Drzewa i kosówka chroniły od wiatru, nagrzana łąka pełna była dusznego zapachu kwiatów. Gorąc aż odbierał dech, jednak Adams nie zdejmował zbroi.

Pan z Morza wypełniał sobą pół horyzontu. Z wysokości polany przypominał olbrzymi półmisek czy kadłub wraka, wypełniony ruchliwą, nerwowo kłębiącą się zawartością. Stąd jednak nie dało się dostrzec natury tych istot. Od strony morza władca pienił się, bulgotał i pryskał ciecżą. Otaczał go biały, pianisty welon rozbryzgów. Wyglądało, że gigant i tym razem zetknie się z brzegiem na cyplu Krum.

– Jego odległość od warowni maleje w szybkim tempie.

– Przez ciebie przypląwa? Sam wielki Pan z Morza usiłuje cię pochwycić? Ten gigant taką drobinę?

– Obawiam się, że go poruszyłem, zaniepokoiłem, pobudziłem do działania przeciw Krum.

Zabrzmiało to jeszcze mniej przekonywująco niż wczoraj. Ot, przechwałki Adamsa...

– Dlaczego miałby to robić? Krum i tak należy do niego.

– Wcześniej była długa przerwa, a teraz jedna wizyta po drugiej.

– Zjedźmy coś – zmieniła temat.

Czuł, że Renata nie wierzy w istnienie Górnego Miasta. Zgodziła się na ucieczkę, bo wolała być z Adamsem (a może ze strachu przed narzeczonym – żywym szkieletem). Cel ponieważ wydawał się jej mętny. Zapasów mieli niewiele, a na dodatek Adams twierdził, że można je wcześniej zjeść, bo w drodze nie czuje się głodu. Zachęta do jedzenia była z jej strony gestem rezygnacji.

Po niespełna godzinie kadłub Pana z Morza zetknął się z cyplem, ale nie zatrzymał. Cypel wbijał się w jego korpus. Dopiero gdy cała twierdza, aż po bramę trupiej czaszki, schowała się wewnątrz ciała władcy, ustał ruch olbrzymiego cielska. Nad wrotami twierdzy, Trupią Gębą, wznosiła się jedna z wież Pana z Morza.

– Dalej pryska od strony morza – zauważyła.

– Ale coraz słabiej.

– Cypel zdołał go zatrzymać. Zobacz, że jego kadłub od strony brzegu wznosi się znacznie wyżej. Wypuścił nadmiar gazów od strony morza i się zaklął.

- Może zawsze jest wyższy od tej strony.
- Przekonamy się wkrótce. Wystarczy obserwować.
- Ach, ty, ty! Wszystko wiesz. – Przejechała delikatnie dłonią po jego twarzy.

Wyczuł, ile w tym geście było lęku. Ujął jej rączkę i pocałował paluszki. Twarz jej pojaśniała. Adams, wyjaśniając coś, nadmiernie poważniał, wyglądał wtedy zbyt srogo.

Erupcja ustała. Kadłub Pana z Morza nadal był mocno przechylony na burtę. Może właśnie to uniesienie rozluźniło strukturę oraz zainicjowało wydzielanie gazu i wypływ martwiny w stronę brzegu. Na zabudowania Krum lunął deszcz cieczy i mazi. Dachy zmieniały kolor na brudnożółty. Gejzer cieczy wznosił się coraz wyżej nad pokładem Pana z Morza.

- Na co czekasz?
- Na czerwie. Chciałbym zobaczyć ich wyjście, a tutaj nam nie zagrażają.
- Lepiej ich nie spotkać z bliska.
- Tak wszyscy mówią.

I wtedy wyszły czerwie. To była właśnie ta ruchliwa zawartość kadłuba władcy. Małe, białawe drobinki opuszczały jego burtę, przedzierając się ku brzegowi. Wkrótce były ich setki. Poruszały się wijącym, robakowatym ruchem. Wyrzucone w powietrze, niektóre leciały skęczone w kłębek, inne lekko pofalowane. Najbardziej przypominały skoszone deszczem kwiecie. Wylatywały, zarysowując krótkimi, białymi kreskami strugi bijące z kadłuba.

Nie mogły osiągnąć polany. Zasięg desantu białych niteczek nie przekraczał górnej granicy zabudowań Krum. Jednak okazało się jeszcze co innego: warstwa chmur na niebie stanowiła dla czerwii jakby stałą tafłę.

– One zatrzymują się w powietrzu i potem nim idą, jak gdyby *Pieczęć Sylwestra* była dla nich normalną drogą – powiedział zdumiony.

Hordy cienkich, białawych przecinków wolno rozchodziły się po nieboskłonie we wszystkie strony od gejzera bijącego z pokładu Pana z Morza.

„Trudno będzie sprostać istotom, które potrafią chodzić pieszo po powietrzu...”, pomyślał. Wróciło wspomnienie szybującej swobodnie w obłokach Liliane. Czerwie jednak nie leciały jak ptak czy tatuowana dziewczyna; one czołgały się mozolnie, wolno i ciężko. Rozchodziły się we wszystkich kierunkach, ale najwięcej parło w stronę lądu. Marsz białych przecinków był wolny, lecz konsekwentny.

W dole, wśród zabudowań, ujrzeni biegające sylwetki. Czarne... Coraz więcej schodziło ich na ląd. Kręciły się po mieście. Poganiały jakichś ludzi. Oczyma duszy Adams ujrzał piękną twarz Adali pędzonej wraz z kolumną nieszczęśników przez Płomieniste Wrota.

– Łapią mieszkańców Krum – powiedział.

– Nie. Wygarnęły kilku niewolników wyznaczonych do pilnowania domostw. – Miała lepszy wzrok niż Adams.

Ktoś uciekał. Ktoś został przebity włócznią. Czarne sprawnie się uwijały. Legionistów nie było nigdzie widać.

– Krum zostało podbite przez Czarne. A jemu chodziło o pojmanie tylko jednego człowieka, mnie.

– Im nie wolno podbić Krum. Tylko zgarną pojmanyh i wrócą do Pana z Morza.

– Skąd to wiesz?

– To każdy wie.

Pierwsze czerwie pełzające po niebie dotarły nad ich głowy. Wędrujących po ziemi ubywało, co raz któryś zakopywał się, choć długo w ziemi nie pożyje. Przez trzy miesiące ziemia nie wyda plonów; rośliny z podgryzionymi korzeniami uschną.

Blade przecinki wędrujące po nieboskłonie przerywały marsz. Odrywały się od niewidzialnej powierzchni i szybując na skrzydełkach, opadały na ziemię. Bezskrzydłe roztrzaskiwały się.

Jeden z lecących czerwi zbliżał się do Adamsa i Renaty. Kilkanaście par błoniastych, nietoperzych skrzydełek niosło cielisty, robakowaty kadłub.

– Hemfriu, od prawej!

Adams dobył *gladiusa* i ściął bezoki pysk, wyposażony w wielkie, nieustannie wężące nozdrza. Ostrze zgrzytnęło, przechodząc przez chrząstki, uwsteczniiony kręgosłup. Bezgłowy kadłub drgał w konwulsjach na trawie.

Drugi nadleciał nieoczekiwanie od strony gór. Adams trochę chybił i pozbawił go tylko skrzydła. Okaleczony stwór przywarł do lewego przedramienia Adamsa kilkoma parami drobnych, zdeformowanych, niby-dziecięcych dłoni. Zanim czerw zacisnął zęby, Adams pchnięciem rozdzielił ruchliwe nozdrza bezokiego pyska o ludzkich ustach i ludzkich zębach. Jeśli były tam kości, to niezrośnięte. Ta istota miała wiele ludzkich cech. Miecz łatwo wszedł w tkankę. Pocięła krew.

Czy to jest ostatnia, najbardziej zredukowana postać Czarnego?

Stąd podobieństwa do ludzkiego ciała? Forma bezmózga i niemal bezkostna, obła jak robak przetworzony z segmentowanego węża. Czarny kończy swój żywot pod ziemią. Cóż znajdzie tam człekompodobna istota o rozmiarach dramatycznie utrudniających jej rycie w glebie...?

Adams paroma cięciami *gladiusa* uwolnił się od kurczowego chwytu małych dłoni. Nawet odcięte od chudych ramionek należało rozpoławiać, bo zaciskały się na tkaninie. Tu też kości nie

było. Wątle przedramiona gięły się jak zielone gałązki. „Jak szkielet embriona...”, pomyślał Adams. „Ten Czarny utracił niemal cały wapń na skutek kolejnych przemian”.

Niedaleko pikował następny czerw. „Skąd ich się tyle bierze...?”

Wraził stworowi ostrze miecza prosto w pysk. Zakręcił w prawo i w lewo, rozrywając gardziel.

– Co robisz?! – krzyknęła. – Mogłeś chybić! Nie dość, że nauczyłeś się mówić jak legionista, to jeszcze nabyłeś legionowych zwyczajów! Bawi cię walka, zabijanie!

Kolejny stwór wpił się w jego odzież kilkunastoma dłońmi i gryzł zajadle. Stracił przy tym parę zębów, ale to nie osłabiło jego zapału. Nie miał nerwów czuciowych? Dalej niezdarne próbował dostać zębami przeciwnika. Adams ściał ten rozzarty pysk. Poszło trudno, bo ten miał lepiej skostniały kręgosłup.

– Tak właśnie! One nie mają mózgow! Nie czują bólu. Ścinaj te łby! Latające ścierwo! – Drobną piąstką wygroziła nadlatującym stworom.

Ślepe czerwie wirowały nad polaną jak tornado.

– Hemfri, one w nas mierzą! Nad naszymi głowami formuje się wir!

– W las! – rzucił.

Wpadli w zarośla. Adams rozchyłał sztywne, iglaste gałązki dłonią lub *gladiusem*. Czerw wylądował na pobliskim krzaku. Ucapił się baldachimu żywicznych gałęzi. Zakręcił pyskiem, łapczywie niuchając. Adams nie próbował go zaatakować. Kosówka była wysokości człowieka. Schyleni przepychali się wśród kolących gałęzi. Łatwiej było się poruszać wśród grubych, lecz rzadszych konarów. Ubrania obsypywał żółty pyłek kosówki. Dławił, drażnił nos, zmuszał do kichnięć.

Wir podłużnych, białawych kształtów pozostał nad polaną. Może tylko przyciągnęło je cieplejsze powietrze, wznoszące się nad łąką, w którym wolniej opadały, a ich atak w istocie był przypadkowy?

Zatrzymali się w lesie przy polanie. Smród porzuconych odpadków wskazał ścieżkę ku Mehz Khinnom.

– Ty pokochałeś wojaczkę, Hemfri. Wolisz ją niż spokojne życie. Zrobił się z ciebie legionista. Nudziłbyś się na gospodarstwie. Widziałam blask w twoich oczach, kiedy zabijałeś. Zasmakowałeś w walce.

– Pachom uważał inaczej.

– Nawet mówisz jak legionista.

Spojrzał na nią, zdziwiony. Już raz to od niej usłyszał.

– No... innym akcentem. Tak gardłowo.

– Oni wszyscy tak mówili, nieświadomie to przyswoiłem.

– Ale tak sucho. Jakbyś rozkazywał.

– Bo dowodziłem, ale oduczę się przy tobie – powiedział i otoczył ją ramieniem.

– To też było takie... żołnierskie – zachichotała.

Pan z Morza nadal tkwił przyklejony do brzegu, jednak wypływ martwiny tracił na intensywności. Całe wybrzeże pokrywała równomierna żółtobrazowa warstwa.

Sandały Renaty nie były dostosowane do długiego marszu górką ścieżką. Adams podał rękawy koszuli i zrobił jej onuce. Ochroniły od otarć. Nie protestowała, posłusznie drepcząc za nim. Kółka kolczugi nieprzyjemnie tarły o gołą skórę.

Musieli umknąć, zanim normalne życie wróci do Krum. Groził im pościg łowców nagród. Z pewnością bowiem, kiedy zostanie ustalone, że uciekają, ich ujęcie *behetim* wycenia wysoko. Znęcony tym, byle chciwy parobek może sprawić sporą kłopotu uciekinierom czołgającym się wąskim tunelem.

Szybko schodzili lasem. Śmierdziało gliwiejącym serem nieznośnie, mimo że twarze zawinęli w chustki nasączone olejkiem.

Niżej drogę pokrywała gruba warstwa cuchnącej, żółtej mazi. Grzęźli w niej po kostki. Hałas wydobywającej się martwiny tłumił ich kroki. Adams obawiał się, czy Renata nie ma otwartej ranki na stopie. Szła przecież w lekkich sandałach na paskach.

Z drzew kapały gęste krople. Martwina osiadła na liściach. Jeśli wkrótce nie spadnie deszcz, to drzewa stracą liście i wypuszczą nowe; jeśli deszcz spadnie, liście zostaną spalone jadem, a wiele drzew uschnie.

– Teraz jest najlepszy moment, żeby zniknąć pod ziemią – powiedział. – Wypływ martwiny wkrótce się skończy. Czarne już wróciły na pokład swojego Pana, a mieszkańcy Krum siedzą w ziemiankach. Nikt nas nie zauważy.

– Czarne ujęły większość pilnujących niewolników, ale może jeszcze któryś pozostał. Zauważy nas, a potem doniesie.

– Musimy zaryzykować. Skoro kiedyś Engilu wszedł do tunelu, wielu zna tę drogę.

Szli ulicą Krum w cieniu gigantycznego kadłuba, odgłos wydobywających się gazów słabnął. Wiatr unosił smród, a prysznic trupiej masy ledwie kroił. Warownię Krum pokrywał brązowy liszaj. W korpusie olbrzyma widniał wygnieciony otwór.

„Już odpływa. Czarne nie grożą”, pomyślał Adams. Zaraz jednak wyobraźnia podsunęła inne pułapki. Hałas gazów nie tłumił ich kroków. Ciapkanie w smrodliwym błocie odbijało się w jego głowie wielokrotnym echem. „Ile par oczu nas obecnie obserwuje? Czy już wysłali za nami patrol?”

Trudno było przypuszczać, że już ktoś wydostał się z zaklejonej martwiną twierdzy. Żołnierze dopiero wyszli na mury i spychali martwinę szuflami. Rozpoczęto mycie ścian. Na ochrowym sklepieniu trupiej czaszki pojawił się szary zaciek. Szybko rósł.

Minęli pokryte martwiną dachy domostwa Hrabana. Gdzieś w ziemnym schronie kryli się mieszkańcy. Adams i Renata wymienili spojrzenia. Oboje pomyśleli o Adali.

Bez słowa skierowali się ku otworowi. Adams poznał właściwą stodołę na umocnionej deskami skarpie. Wszystko pokrywała jasnobrązowa, wolno spływająca maź. Trzeba było odsłonić deski.

„Pod którą z nich? Która z desek się rusza?”

Ściekająca martwina odsłoniła już dolne końce desek. Adams sprawdzał wszystkie po kolei.

Renata wskazała jedną z nich.

– To chyba ta – szepnęła.

Adams odchylił wskazaną deskę i dwie obok. Pod jedną z sąsiadek ciemniał otwór wiodący na Most. Pod następną też ziała czeluść. Wydostający się z niego chłodny powiew pachniał mokrą ziemią.

– Wejdź do środka – powiedział. – Będę tobą kierował.

– Najpierw ty, Hemfrii. Znasz już drogę.

Z dala dobiegły czyjeś głosy. Pogoń...?

Adams wsunął się do mrocznego otworu. Parł do przodu szybkimi ruchami ramion. Co chwilę sprawdzał przed sobą po omacku. Chciał, żeby ona zmieściła się w otworze. Usłyszał delikatny stuk deski zamykającej otwór; zniknęły resztki światła.

Łapczywie wciągał świeże powietrze. Węch przytępiiony odorem martwiny zaczynał normalnie działać.

Wyobraził sobie, że Renata została ujęta przez pościg. Brutalnie wywleczona za nogi. Jego pozostawili, bo tylko ona – najpiękniejsza dziewczyna, najwyższe *tarhatum* w Krum – ich interesowała. Nie usłyszał jej krzyku, gdyż ciasny korytarz zbyt dobrze tłumił dźwięki.

Mimo chłodu zaczął się pocić. Nie mógł obrócić się w ciasnym korytarzu. Bardzo chciał ją ujrzeć, by rozwiały się wątpliwości.

– Widzę go... Przyśpiesz – znowu jej szeptał.

Nawet nie mógł gryźć palców z bezradności. Dziewczyna musiała poradzić sobie z tą grozą sama. Tu było całkiem szeroko. Niewiele trzeba, by poszerzyć korytarz, aby mogła go wyprzedzić.

„Nie ma czasu. Czerw zdąży ją poranić. Nie mogę się odwrócić, żeby jej pomóc. Zwłoka w ucieczce zaszkodzi jej najbardziej”.

Dobiegł go odgłos szamotaniny.

– Renata?

Jeszcze kilka gwałtownych ruchów, gdzieś poza nim. Zaczął drążyć otwór w bocznej ścianie: Renata nie poradzi sobie sama z potworem.

– Idź! Nie zwalniam! – ostro ponagliła. – Szybko! Ucięłam mu łapę. Będzie szedł wolniej. Została mu tylko jedna.

– Nie zranił cię?

– Tylko poszarpał sukienkę.

Zapalił drugą świecę, pierwsza pozostała za czerwem. „Może przecież napatoczyć się następny”, pomyślał. „Przeciwko dwóm nie będzie miała szans”.

Napotkał leżące luźno kości. Zbliżali się do pierwszego skrzyżowania. Powiedział o tym Renacie. Pośpiesznie wydrążył sztyletem zagłębienie dla napotkanej miednicy olbrzyma.

Poczuł kilka szturchnięć zniecierpliwionej dziewczyny. Może potrąciła go, wymierzając ciosy wstecz, za siebie.

– Już, już...

Miednicę wcisnął do dołka, żeby się dało ją ominąć, ale w miarę możliwości nie zasypywał jej.

– Jeśli dasz radę, spróbuj miednicą zamknąć korytarz za nami – powiedział. – Spróbuj zrobić zaporę ze skrzyżowanych kości udowych. Sięgniesz za siebie...?

– Tak. Zaczekaj chwilę.

Najlepszym zabezpieczeniem będzie kość miednicy. Pozostałe kości co najwyżej pomogą ją zablokować. Czerw w końcu i tak przekopie się obok przeszkody, ale to da im nieco czasu.

Po lewej ujrzał znajomy, białawy kształt: nieforemne oczodoły, częściowo zarośnięty otwór nosowy, zniekształcona górna szczeka. Właśnie mijał lewy korytarz, zatłoczony czaszką olbrzyma. „Pierwsze rozgałęzienie”, odliczył w pamięci.

– Czyje to kości? – spytała. Lekkim pociągnięciem za nogawkę dała znać, że uporała się z robotą. Ustawiła marną zaporę, może zniechęci to czołgającego się za nimi okaleczonego stwora.

– To kości Engilu. Po lewej napotkasz jego czaszkę. Doszliśmy do pierwszego rozgałęzienia. Czaszka zatyka fałszywy korytarz.

„Dobry człowiek, nawet po śmierci służy nam pomocą”, pomyślał.

Wydawało mu się, że usłyszał jej szlochanie.

Nie zatkała olbrzymią czaszką drogi za nimi, by skierować pościg do fałszywego korytarza. Nawet ruszyć jej nie zdołała; Adams zbyt mocno kiedyś wepchnął czaszkę w wylot bocznego korytarza.

Dalej droga zwężała się, Adams przeciskał się wolniej.

– Hemfri, nie marudź!

Pojawił się kwaśny smród. Zaczynał się złowrogi odcinek korytarza, grożący zatopieniem. Adams schował sztylet, tylko dłońmi próbował poszerzać zaciski.

– Ziemia śmierdzi – powiedziała.

– Tak. Przez jakiś czas. Ale to jest dobra droga. Staraj się nie uderzać niepotrzebnie w strop

ani w ściany, gdzieś tu jest zbiornik płynnego gnoju.

Adams czołgał się na brzuchu, ścierając zbroją ziemię ze ścian tunelu. Nie słyszał, czy Renata idzie za nim. Jedyne co jakiś czas czuł jej szarpnięcia za nogawkę. Świecey ubywało. Miał ich jeszcze kilka w mieszk, ale tutaj wyciągnąć nową było niepodobieństwem.

Chwilami wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby czerw zaczął go pożerać od tyłu: czy prędzej straciłby przytomność z bólu odgryzanych nóg, czy też z powodu wykrwawienia? Po chwili pomyślał z przerażeniem, że to ona właśnie może się teraz wykrwawiać.

Wreszcie miejsca zrobiło się więcej. Fetor osłabł. Można było czołgać się na łokciach.

– Renata?

– Tak?

– Teraz będzie łatwiej. Jeszcze trochę wytrzymaj.

– Tak.

W blasku świecy zajaśniał rdzawy, stalowy pręt uzbrojenia. Adams odetchnął z ulgą: byli przy końcu ziemnego korytarzyka. Wysunął dłonie w ciemność, zmacał zimne, gładkie podłoże i po chwili już stał na betonowej powierzchni.

Postawił ogarek i pomógł Renacie ominąć sterczące pręty zbrojeniowe. Najpierw podała mu sztylet i *gladius*. – Tyle stali. Bogactwo wyrasta z ziemi – powiedziała. Następnie ostrożnie zstąpiła w ciemność, ku niemu. W nozdrza uderzył odór kanału.

– Nie jesteś ranna? Powiedz teraz. Niebezpieczeństwo już minęło. Opatrzę cię.

– Nie... Poradziłam sobie z nim. Miał zbyt krótkie ramiona, żeby chodzić sprawnie. Najpierw zastawiałam mu drogę koszykiem, potem przygniotłam go stopą do ściany korytarza, i to ja go zraniłam.

Była umazana ziemią, jednak nie krwawiła. Obawiał się, że może ją dosięgnąć zakażenie. Nie zapomniał przecież, którędy wiedzie dalsza droga. Wskazała mu strzępy tuniki, w miejscu gdzie sięgnął pysk potwora. Wziął ją w ramiona.

– Hemfriu, nie teraz. Drapiesz...

Jego zbroja pokryta była warstwą ziemi. Dał spokój z bezsensownymi czułościami.

Spojrzała na niego. Jej oczy zabłyszczały w blasku świecy. Renata była nadal przerażona.

– Tam były jeszcze przynajmniej dwa inne czerwie.

– Jeszcze dwa?

– Tak. Tamte poruszały się szybciej. Jednakże przeszkadzały sobie, gryzły się nawzajem.

– Chciałem poszerzyć korytarz, żebyś wyszła przede mnie. Ja ustawiłbym się im naprzeciw, zabiłbym je, a następnie wycofał nogami naprzód.

– Tego się najbardziej bałam. Wtedy by nas dogoniły.

– Bardzo chciałem odwrócić się i cię zobaczyć.

– Wtedy byś mnie stracił. Nie poradziłabym sobie z nimi. Były groźniejsze niż ten pierwszy, skoro tak szybko biegły. Pewnie już pokonały zaporę.

– Tu nie są już groźne.

Spojrzała na niego, jakby potrzebowała potwierdzenia, że idą właściwą drogą.

– Zostawiłem go tutaj, idąc do Krum. – Podniósł zardzewiały pręt kraty.

– Dobrze. A teraz?

– To jest rozgałęzienie. Mamy pójść w lewo, w dół tym korytarzem. „Si”, pamiętasz...? Patrz pod nogi, gnojówka niesie różne świństwa.

Korytarz wolno opadał. Szli śladem cieką cuchnącej wody. Renata obserwowała łukowate sklepienie rury kanalizacyjnej. Zauważyła spojenia kolejnych betonowych segmentów.

– To podziemia twierdzy? Jesteśmy pod Krum?

– Nie sędę. Idziemy rurą wkopaną w ziemię, prawdopodobnie ściekiem Górnego Miasta.

Omijać leżące resztki nie było trudno. Renata starała się nie stawiać stóp w cieku.

Wreszcie korytarz zakończył się ciemnością. Jedna świeca nie mogła dać jej rady. W nozdrza uderzył fetor.

– Tu skręcimy w prawo. To kolejne rozgałęzienie – powiedział.

– To już niewiele drogi zostało – ucieszyła się. – Przecież jeszcze tylko jedno i Górne Miasto.

– Teraz droga będzie trudniejsza – Adams nie umiał wykrzesać z siebie ani śladu entuzjazmu. – Dłuższe odcinki.

– Znowu ciasny tunel?

– Nie. Tak ciasnego tunelu jak na początku już nie będzie.

– Ten smród jest nie do wytrzymania.

– Tak. Ale musimy tędy przejść.

Tej części drogi obawiał się najbardziej – nie walki z Golcami i Suchymi, lecz wybuchu metanu zgromadzonego w kanale. Ich życie zależało od przypadkowej fluktuacji stężenia gazu. Niestety, niepodobna przejść tego odcinka zupełnie po ciemku.

Trzeba było zejść do głównego kanału. Zamierzał – przynajmniej na początku – nieść ją na barana. Potem, kiedy Renata przywyknie do fetoru i obrzydliwego otoczenia, będzie jej już wszystko jedno.

Misiura zazgrzytała o beton. Adams zsunął się w pustkę i nogami zapadł w cuchnącą breję. Wolno ogarnął go mokry chłód. Smród zapierał oddech.

Obecnie poziom cieczy sięgał ledwie do pasa. Na powierzchnię nie wydobywały się bańki powietrza. Renata ześlizgnęła się na jego plecy. Nie protestowała przeciw dalszej drodze, wiodącej przez gnojówkę. Babranie się w gnoju było przywilejem przysposobianych niewolników. Teraz ona sama miała zanurzyć się w odrażającej masie. Mocno schwyciła szyję Adamsa, zarazem udami obejmując go w pasie. Jej stopy, a potem podudzia i uda zanurzyły się w chłodną maź.

Wolną ręką sięgnęła po świece: jedną podała Adamsowi, drugą niosła sama. W ich świetle widać było łukowate sklepienie kanału: ten sam kształt, co w bocznym korytarzu.

– Obserwuj światło. Jeśli wokół płomieni pojawią się aureole, na jakiś czas zgasimy świece.

Z mroku wylaniały się mijane linie spojeń, nadpływały wystające nad powierzchnię odpadki.

Adams z trudem łapał oddech w kurczowym uścisku Renaty. Wreszcie z westchnieniem zsunęła się w dół. Nie miało to wielkiego znaczenia, bo i tak była już zanurzona w cieczy. Tutaj poziom podniósł się – już sięgał jej piersi. Świece nieśli w uniesionych rękach.

„Musimy zdążyć przed kolejną grupą Golców”, pomyślał. Nie mieliby dość siły, by przec naprzeciw pochodowi, a starcie z Suchym mogło wywołać niebezpieczne otarcia.

– Ile jeszcze? – rzuciła. – Nie mogę tego wytrzymać.

– Patrz z lewej. Będzie odejście korytarza. Zakratowane. Nurt pod prąd był słaby, jednak zauważalny. Szybciej przesuwać się wbrew nurtowi nie dało się. A przecież wkrótce nadejdzie kolejna grupa tańczących wędrowców. Wreszcie po długim czasie Renata powiedziała:

– W górze jest krata.

Nad ich głowami ział mroczny otwór zamknięty stalowymi zębami. Zwieszała się z niego zrolowana kurtka Adamsa.

Pomógł Renacie wdrapać się po sobie. Kiedy już trzymała kurtkę, było łatwiej: stanęła mu na ramionach. Jeszcze kilka ruchów i już znalazła się na krawędzi bocznego kanału. Podał jej świecę. Druga już się wypaliła.

– Co teraz?

– Przejdź między prętami i zaczekaj na mnie.

Przecisnęła się otworem. Dłońmi zgarnęła z siebie nadmiar cuchnącej cieczy. Zrzuciła odzież i tuniką wytarła ciało.

Adams pozostał w mroku. Nad głową jaśniał podkowiasty wylot bocznego kanału. Z mroku dochodził bulgot wydobywających się bąbelków powietrza. Zbliżała się grupa Golców.

Spróbował dosięgnąć kurtki: brakło dobre pół metra. Każda próba wybicia się kończyła się opadnięciem w ciecz; nasiąkła mazią odzież i zbroja ściągały go z powrotem. Już widać było głowy Golców przedzielane Suchymi. „Uniosą mnie ze sobą pod Płomieniste Wrota”, pomyślał. „Renata nie zna dalszej drogi”.

– Renata!

– Tak? – Wychyliła się w ciemność. Jej sylwetka umazana szarą mazią wyglądała w marnym świetle jak drewniana figurka.

– Nie mogę sięgnąć kurtki. Dowiąż do niej swoją tunikę.

– Tak.

– Pośpiesz się. Golcy nadchodzą.

Renata zniknęła w korytarzu, mocując się z supłem.

Coś go uderzyło. Stracił równowagę i poszedł pod powierzchnię cieczy. Wstrzymał oddech, by nie zachłysnąć się gnojówką.

Ktoś pchał go przed sobą, ktoś inny usiłował stratować. Ciosy i kopniaki pochłaniała kolczuga. Starał się sam wymierzać ciosy kułakiem, jednak ruchy spowalniała kleista masa.

Zaczynało brakować tchu. Próbował usunąć się pod ścianę. Przeszkadzały czyjeś ramiona, niektóre twarde i mocne jak stalowe manipulatory. Nie wpadł w panikę: niebezpieczeństwo było znaczne, lecz znajome. Musiał jednak za wszelką cenę nabrać powietrza. Schwycił któregoś idącego, z całej siły wsparł się na nim i unióś. Starł z twarzy warstwę mazi i łapczywie nabrał powietrza. Za chwilę gwałtownie spluwał obrzydliwą cieczą.

Nieznany wędrowiec dźwigał go ze sobą. Ponad powierzchnię wystawała jedynie jego głowa, a wokół zewsząd wydobywały się bąble powietrza. Nieoczekiwanie daleko mrok rozbijała jaśniejsza plama. „Tak daleko mnie unieśli...”, pomyślał.

Z dali słyszał krzyk Renaty. Wołała jego imię.

Ramieniem wyczuł gładki, obły kształt. Schwycił zań obiema rękami i brutalnie przecisnął się na sąsiedniego wędrowca. Suchy przez kolczugę zranić nie mógł. Adams mocno trzymał się czaszki i suchych ramion. Obok znów Golec. Przenosić się z jednego na drugiego nie było łatwo. Przy samej ścianie nie było już nikogo. Idący wyciągali ramiona, żeby go stamtąd wygarnąć. Brakło im siły, by unieść go ze sobą, ale dość jej było, żeby zmienić marsz w męczącą szamotaninę. Wolno, nieznośnie

wolno zbliżał się ku światłu.

Zaległa ciemność. „Ona musi mieć chwilę, żeby znaleźć kolejną świecę”, pomyślał. Wstrzymał marsz, jednak nie przestał mocować się z sięgającymi po niego łąpczywie ramionami.

Nie wiedział, czy stoi w miejscu, czy metodycznie spychany oddala się od Renaty. Światło nie pojawiała się. Słyszał rytmicznie powtarzane imię: „Hem-friu...! Hem-friu...!”.

Ruszył ponownie. Jak ślepiec macał w ciemności ścianę kanału. Mozolnie parł pod prąd. Jej głos brzmiał cicho. „Zdążyła ochrypnąć?”

Po nieskończeniu długim czasie na twarz opadła mu jakby wilgotna, lepka torba. Zerwał ją z twarzy: nie poddała się. Była to nasiąknięta cieczą tunika Renaty.

– Hem-friu! – usłyszał tuż nad sobą.

– Jestem!

Adams powoli obciążał tkaninę. Wynurzał się z gnojówki.

– Wokół płomienia świecy powstała tęcza. Kiedy już była bardzo duża, zgasiałam świecę. Bałam się wybuchu.

– Na razie jej nie zapalaj. Spróbuję wspiąć się po ciemku. Gaz może nadal się tu unosić.

Misiura ważyła z kilkanaście kilogramów. Podciąganie się było za trudne. Z powrotem osunął się w maź.

– Hemfrii?

– W porządku. Zaraz wyjdę.

Zawiązał na końcu tuniki węzeł, a nieco wyżej drugi. Znowu stopniowo podciągał się, chociaż zrolowana kurtka źle siedziała w dłoni.

Na węźle postawił stopę, kiedy już w całości wisiał w powietrzu, a śliska ściana nie dawała wsparcia.

Dosięgnął zimnego pręta kraty. Kurtka skończyła się, podciągał się po kracie, wspierając stopę na drugim węźle.

Renata wyciągnęła rękę. Znalazł ją w ciemności. Nieoczekiwanie silnie podciągnęła go. Z jej pomocą wkrótce stał na zewnętrznej krawędzi bocznego korytarza, trzymając za kratę.

– Czy już zaświecić?

– Nie. Gaz może jeszcze się tu unosić. Wybierz naszą linę. Dasz radę sama odwiązać tunikę...?

– Tak.

Wolno przymierzał się do otworu. Odpiął pas i odłożył. Głowa przechodziła, zatrzymywał się na klatce piersiowej. Może dałoby się na głębokim wydechu, ale nie ryzykował uduszenia, kiedy utknąłby między prętami.

– Przejdź wreszcie.

– Tak. Już.

Balansując na wąskim pasku betonu nad mroczną rzeką, uniósł ramiona, ściągnął przez głowę obrośniętą futrem kolczugę i położył przy kracie. Przedostał się między prętami. Po drugiej stronie odpiął sprzączki i uwolnił się z kolczych nogawic. Za chwilę trzymał w ramionach Renatę.

– Zgubiłam świece.

– Zostawiłem tu kiedyś jedną. Powinna leżeć przy kracie.

– Lepiej zostańmy tu, zanim gaz się nie rozejdzie.

– Możemy przez jakiś czas iść po omacku. Zaraz zrobi się odrobinę jaśniej. Ten korytarz nie kryje niespodzianek... – urwał, gdyż teraz mogła to nie być prawda.

Po omacku znaleźli zawiniątko i świecę – kolejny dowód, że to właściwa droga.

– Odejźmy w głąb korytarza. Tam mniej śmierdzi. Usłuchała go. Trzymając się za rękę, przeszli kilkanaście metrów.

Marzła w samym *stroju*. Adams wyjął jej tunikę. Zebrał nadmiar brei. Renata, kuląc się z obrzydzenia, nałożyła ją na siebie. Usiedli na chrzęszczącym piasku.

Zbudził się, gdy opadła mu głowa. Rzeczywistość wróciła z odorem kloaki. Renata spała wsparta na jego ramieniu. Widział zarys jej twarzy w półmroku. Światło sączyło się z głębi korytarza, ze stropu, choć nie dało się wypatrzeć jego źródeł. „Obejdzie się bez świecy”, pomyślał. Im dalej od kanału, tym ryzyko wybuchu metanu mniejsze.

– Pora iść dalej – powiedział, kiedy się zbudziła.

– Jestem brudna. Cuchnę gnojówką.

– Czysta woda jest dalej. Mamy jeszcze sporo drogi do przejścia.

– Od tego brudu się zarażę. Zostanę bezpłodna, a ty mnie oddalisz, bo nie dam ci synów... Albo zrobisz ze mnie tylko nałożnicę. A ja zasłużyłam, żeby mieć męża, nie pana-kochanka.

Siedziała bezradna i rozpaczała. Jej wybuch zaskoczył go. Dotąd nie skarżyła się wcale.

– Przecież poszłam z tobą na poniewierkę, jak chciałeś. A ty każesz mi iść w takiej nieczystości. Dlaczego, Hemfrii...?

– Taka jest ta droga. Przez nieczystości. Niedługo będzie miejsce, żeby się umyć. Cała rzeka.

„Nie wiem, jak ją przebedziemy”, dodał w myśli.

– Dlaczego kazałeś mi tu iść? Tak straszną drogę opisujesz... Która żona musi iść za swoim mężem w taką drogę?

Opasał ją ramieniem. Potwornie cuchnęło.

– Nawet nie wiem, jaki jest *baal* tamtego miejsca. Nie wiem, jak należy mu oddawać cześć. Idę z tobą w nieznane.

– Kto był *baalem* w Krum?

– Pytasz, jakbyś nie wiedział. Pan z Morza przecież! Każdemu było wiadome, czego on od nas wymaga.

Jej lamentsy nie wynikały z załamania. Adams odnosił wrażenie, że dziewczyna jest zdeterminowana nie opuszczać go, a mówi to, co w takiej sytuacji młoda żona z Dolnego Miasta mówić powinna.

– Chyba wiem, kto jest *baalem* Górnego Miasta. Znam go osobiście.

– To chodźmy tam jak najszybciej. – Renata się podniosła. – Miałam zły sen. Jego resztki nie chciały odejść. Śniło mi się, że mnie porzuciłeś, a ja zostałam w nieznanym świecie.

W miarę drogi robiło się coraz jaśniej. Oczy przywykły do ciemności: Adams mógł dostrzec w mroku rysy twarzy Renaty. Odór kanału został zastąpiony ostrym, ale słabszym zapachem siarki.

Taneczny korowód napotkali przy gładkiej ścianie korytarza. Golcy znikali w litej skale. Adams zademonstrował Renacie dwoistość przestrzeni w tym miejscu: dla nich dwojga była to zimna powierzchnia kamienia, dla podrygującego pochodu i towarzyszących mu Suchych – normalne przejście. Renata sprawdziła dłonią skałę, gdy akurat nikt nie szedł.

– Gdybyśmy nadeszli razem z nimi, i dla nas otwarłoby się tędy przejście – powiedział.

– Wiem, nieistniejące furki czasem otwierają się.

Stroje Golców jasno wskazywały ich profesje czy stany – to piekarzy, to handlarek ryb, to sprzątaczek, kowali, prawników, służących czy dam. Widać było dobrze detale ich strojów.

– Dołącz do nas – zwracali się do Renaty, jego ignorując. – Porzuć tego mężczyznę. Masz z nim nie iść.

Trupistwory wlepiały w nią przepastny mrok pustych oczodołów, kłapały zuchwami. Żaden z nich nie miał gałek ocznych ani włosów.

Renata milczała, kurczowo ściskając dłoń Adama. Pierwszy raz widziała widmowy pochód.

– Cuchniesz – odezwał się przechodzący rzemieślnik. – Przy nas będziesz wyglądać schludniej. Na co ci droga pod prąd czasu...?

– Widziałem ich wielokrotnie na płaskowyżu. Tam idą już nadzy. Potem wchodzą w Płomieniste Wrota. Brańcy zostają wyrwani z pochodu. Kuczer był jednym z nich.

– Masz wrócić do Krum – rzuciła kolejna niewiasta. – Twoje *tarhatum* nie zostało spłacone. Nie wolno ci odejść z Krum.

– Boję się, Hemfriu – powiedziała Renata, kiedy tęga niewiasta w króciutkiej spódniczce, opiętej na grubych udach, zniknęła już w skale. – Oni mają rację: mnie nie wolno było opuszczać Krum. Może nie idą do Płomienistych Wrót...?

– Idą tam. Oni nie mają władzy nad tobą.

– To skąd wiedzą o moim *tarhatum*?

– Suchy wraca z płaskowyżu i drugi raz pokonuje tę drogę. Stąd wiedzą – Adams sam nie był zupełnie pewien swoich słów.

– Na co jeszcze czekasz? Zgubisz i siebie, i jego – powiedział następny przechodzący. – Ty do nas należysz. Jesteś jedną z nas. Tam, dokąd idziesz, znajdziesz tylko gorycz i ból.

Adams mocniej ścisnął jej dłoń. Wykrzywione niechęcią twarze przechodzących szczyrzyły się

do Renaty – Ty nie jesteś jedną z nich – powiedział, choć nie był tego do końca pewny.

Renata przywarła do niego, jakby szukała obrony przed siłą spojrzeń tanecznego korowodu. Adams stanął za nią i otoczył ją ramionami. Dość silnie, by przytrzymać ją, gdyby otumaniona ich słowami, próbowała wejść w kamień. Ona jednak nie chciała wyrwać się z tego chwytu, a przeciwnie – mocniej wtuliła się w niego.

– Zaczekajmy, aż przejdą – powiedział. – Pod prąd się nie przepchamy. Uniosą nas ze sobą.

– Tak.

Doczekali wreszcie przerwy w pochodzie. Piasek tłumiał kroki. Szlam kanałowy wysechł na skórze i odzieniu – nad ich odór przebijał zapach siarki. Zapalona świeca rozjaśniła korytarz.

Za zakrętu wyłoniła się samotna postać: kobieta w tunice. Tęga i zdeformowana wiekiem, jak wszyscy w Pochodzie Trupa.

– Stop! – Kobieta wyciągnęła rękę. Następnie rozluźniła zapięcie na ramieniu i zrzuciła z siebie odzież. – Jestem tobą po latach – powiedziała. – Jeśli tam pójdziesz, stracisz swoją urodę. Będziesz wyglądać jak ja. Wreszcie mogę to zrzucić... – dodała do siebie.

Przykuwało spojrzenie jej wyrazistych, ciemnych oczu, otoczonych siecią zmarszczek.

– Taką się staniesz tam na górze. Starą i szpetną. Tylko w Krum zachowasz młodość.

– Młodości nie da się zachować – szepnął Adams.

– Nie jesteś mną. Ja nie mam pieprzyka na prawej piersi. Jesteś oszustką.

„Dopiero takich argumentów potrzeba?”, pomyślał.

– Owszem, jesteś. To nie jest pieprzyk, tylko narośl, która dopiero ci wyrośnie, jeśli pójdziesz do Górnego Miasta.

– Kim ty jesteś?! – rzucił ostro Adams.

– Nią samą, tylko o trzydzieści lat mądrzejszą.

– To niemożliwe. Chodź, nie traćmy na nią czasu... Tu jest obszar ułudy. To i sobowtór może się trafić.

Mocniej objął Renatę ramieniem i pociągnął za sobą. Ominęli nagą kobietę. Nie protestowała, ale długo patrzyła za nimi, zanim dołączyła do kolejnej grupy Golców. „Jeśli Renata tak się zestarzeje, nie będzie źle wyglądać”, pomyślał. Kobieta wprawdzie była otyła, jednak zachowała sporo dawnej urody: piersi za ciężkie i zbyt obwisłe, nadal pozostały piękne, wystający brzuch nie wyglądał niezgrabnie, szerokie uda też.

Adams ponaglał Renatę. Nadal byli na drodze tanecznego korowodu. Następni przechodnie mogli przemocą powlec ją z sobą. Jednak nikt już nie nadszedł.

– Wkrótce będzie czysta woda – powiedział.

Siarka cuchnęła, aż oczy łzawiły. Ubrania obeschły, rzadko spod kołnierza czy rękawa uniósł się opar kanałowego odor.

Usłyszeli gwar za plecami. Ze skały wyszła grupa ludzi i Trupistworów. Adams i Renata minęły punkt, w którym taneczny pochód wylaniał się ze ściany. Można było zwolnić.

Wreszcie osiągnęli obszar, gdzie piasek był gorący, a ściany pokryte barwnymi siarkowymi wykwitami. Spod piasku wyłoniła się zmurszała skała. Spomiędzy jej szczelin wydobywała się para wodna. Świdrujący zapach siarki zmusił, by nosy skryć w poły odzieży. Dokuczało gorąco. Nie mieli ani czasu, ani chęci, żeby podziwiać fumarole czy kształty i barwy osadzonych minerałów. Byle szybciej przebyć cuchnący, upalny obszar.

Nareszcie znowu piasek.

– Woda już blisko – rzucił Adams zduszonym głosem. Odpowiedziała mu spojrzeniem zaczerwienionych oczu skrytych za połą szaty.

W wodę weszli niepostrzeżenie. Stopy rozbiły nieruchomą, przezroczystą powierzchnię. W półmroku woda wyglądała groźnie i tajemniczo.

Głębokość rosła wolno. Po kilkunastu krokach zagłębili się po kolana. Woda zmywała cuchnącą maź, uwalniała od nieznośnego smrodu. Najpierw twarze i włosy. Potem ręce. Strugi ściekały z odzieży. „Ubranie można wyprać na sobie”, pomyślał.

Oboje stali zanurzeni po pas.

– Masz śmieszne paznokcie, Hemfri, inne niż dawniej. Sporo odrosły, nie da się ukrywać tego dalej: kobiety zwracają baczną uwagę na ręce. Reszta też się wyda.

– Moje paznokcie to szpony, rosnąc, grubieją i zakrzywiają się. Muszę je często przycinać. To niełatwe, bo poddają się dopiero solidnie namoczone albo starannie namaszczone.

– Twoje dłonie bardzo mi się podobały, teraz wyglądają inaczej.

– To tylko paznokcie nadają im dziwny wygląd.

– Tu nie musisz ich przycinać. Szpony mogą się przydać.

– To nie tylko paznokcie. – Ukazał czarne odrosty na nadgarstkach.

– Czy to wszystko? – Wielkie oczy Renaty nie były w stanie ukryć przestachu.

– To samo na prawym boku i na podbiciach stóp. W miejscach, gdzie skóra *gabery* stykała się z moją skórą.

– Miałeś w tych wszystkich miejscach białe znamiona.

– Teraz zostały przykryte przez futro.

– Miałeś je po wewnętrznej stronie dłoni. Tam powinny pozostać.

Obejrzał swoje dłonie: Blizny po wewnętrznej stronie zniknęły bez śladu. Skóra zresorbowała zbliznowaciałą tkankę.

– Zupełnie znikły. Nie ucieszyło jej to.

– Znamiona z korytarza zabezpieczyły cię. Zostały skompensowane, lecz przewyciężyły rozwój skóry Czarnego. Samo nałożenie skóry *gabery* i przekroczenie Linii to za mało, by zniknęły. Co jeszcze zdarzyło się na waszej wyprawie? – spytała.

– Doszliśmy do płomieni.

– Hemfrii, czy tylko widziałeś te płomienie... Chodź za mną. Tu, na brzeg. – Takiej rozmowy nie można było toczyć w wodzie. – Powiedz mi o tym zaraz.

Na brzegu oboje przykucnęli, ociekając. Od razu zrobiło się im chłodno. Gorąco siarki pozostało daleko za nimi, ale wrócił kanałowy odór ich odzieży.

– Czy wszedłeś do Miejsca Płomieni, Hemfrii?

– Pachom wszedł, ale zaraz wrócił.

– A ty, Hemfrii? A ty?

– Ja tylko sięgnąłem w nie rękami. Zaraz je cofnąłem. Te płomienie tylko mnie liznęły. Nie sparzyły mnie.

– Nie można bezkarnie wejść do Miejsca Płomieni. Na pewno nie skończyło się na tych znamionach.

– Długo chorowałem, ale wydobrałem. Pachom miał mniej szczęścia.

Renata wysłuchiwała historii przemiany *sotnika*. Otuliła się ramionami, drżała z zimna.

– Czy to już wszystko, Hemfrii? Nie ukrywaj nic przede mną, proszę. Wszystko dla ciebie poświęciłam. Muszę znać prawdę. Ja na to zasługuję.

Westchnął, usiadł na piasku i rozpoczął opowieść o swoim pobycie na Linii. Zaczął od przybycia Drubbaala i zszywania jego twarzy. Opowiadał o odprawie, wyruszeniu, losie poszczególnych uczestników zwiadu.

Słuchała ze zmarszczonymi brwiami. Nie przerywała.

Zawahał się przy spotkaniu Złotej Gabery, jednak w końcu o tym opowiedział.

– Poszedłeś za Złotą w płomienie?

– Nie.

– Mów dalej. Wrócił do opowieści.

Drobiazgowo wypytała go o przemianę Pachoma i jego dolegliwości: czy gorączkował, czy włosy wyrывał, czy też same wypadały, czy skóra się łuszczyła.

– Widziałaś chorych na tę przypadłość?

– Nie, ale słyszałam opowieści.

– Powtórzysz mi je.

– Nie warto... Każda mówi co innego.

– Tę Złotą potem odkupiłem. Trzymali ją w lochu, w Krum.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Ona mnie nie wydała pod Płomienistymi Wrotami, ratując mi życie. Wziąłem ją potem ze sobą na Linię.

– Co? Przecież Złota Gabera robi wszystko, żeby mieć dziecko z człowiekiem.

– Ją kto inny zasiał już wcześniej.

– To niemożliwe. Wtedy nie zeszlaby na Stronę Człowieka. Hemfri, od pewnego czasu przestałam cię widzieć w snach. Kiedy straciłeś moje amulety?

– Pogmiotły się w pierwszą noc po jej zakupieniu.

– To ona je zniszczyła. A jak miała na imię?

– Dałem jej Pięknooka.

– Coś ty zrobił?! Dałeś jej moje imię. Miała wgląd w moją duszę i w twoich myślach mogła przybierać mój wygląd. Czy prosiła, żebyś nadał imię jej dziecku?

– Sama wymyśliła imiona, ale mnie się radziła. – Adams był coraz bardziej osłupiały. – Też w jej obecności niepokoił mnie sen, o tym, że mam ciebie.

– Oczywiście! To ona do ciebie należała, nie ja. To ona urodzi twoje pierwotne dziecko, nie ja. Hemfri, co ty narobiłeś...?! Co ty narobiłeś? – Złapała się za głowę.

– Taki sen zdarzył mi się też później. Przy innej Złotej.

– Była jakaś druga...?

– Tak. Hjalmir ją kupił. Ona też pytała, czy wymyśliła ładne imiona dla swojego dziecka.

– Drugie dziecko.

– Ale jej nie dałem imienia... To znaczy dałem, ale nie związane z tobą.

– Włamała się śladami pierwszej. Co teraz będzie z nami?

– Ja chcę być tylko z tobą. One wykradły te dzieci, bo przyjęły twoją postać. Nie miałem pojęcia, że cię zdradzam.

– Tak. Wiem – powiedziała markotnie.

– To były *behmety*?

– Właśnie nie. To w tym wszystkim najgorsze. Poza tą jedną, niepohamowaną kradzieżą obie miały kryształowe dusze. Czy one mówiły, gdzie chcą wychowywać swoje dzieci?

– Crispa nic nie mówiła. Pięknooka chciała zejść do Krum.

– Może chociaż zejdzie do Hrabana. Adala jej nie przegna. Twoje dziecko się nie zmarnuje.

– Proszę, uwierz mi, że nie byłem świadomy tego, co się dzieje... – umilkł, spoglądając na nią.

Renata milczała. Musiał liczyć się z jej każdą decyzją. Nawet gdyby zażądała, żeby ją odprowadził do Krum, nie sprzeciwiłby się. Co powie? Co zadecyduje? Patrzył na nią z niepokojem. Bardzo nie chciał jej stracić. Nie czuł winy, ale rozumiał, że ona może nie pogodzić się z tym, co zaszło.

Renata powoli pokiwała głową.

– Ukradła twoje marzenia o mnie. Złota Gabera jest nieszczęściem narzeczonej, rozpaczą żony. Zawsze tak było i pozostało. Co teraz?

– Zalany korytarz, potem próg wodospadu.

– A tak starannie uczyłam się zakrętów.

– Później się to przyda.

Jakiś nieuchwytny cień pojawił się między nimi – mniej widoczny niż szyba; jakaś cieniutka przegroda. Trudniej będzie z tym żyć.

Powoli stawało się coraz ciemniej, jakby tam, skąd docierały resztki światła, zapadał mrok.

Sen nie przychodził, przemoczona odzież ziębiła grzbiet, zęby szczękały, a mięśnie kurczyły się falami dreszczy.

– Możemy wrócić tam, gdzie korytarz był cieplejszy – powiedział.

– Zapach siarki aż wierci w nosie. Trudno to znieść.

– Trzeba się poruszać.

– Tak – mruknęła apatycznie.

Adams zebrał się. Ich sylwetki ledwie rysowały się w mroku.

– Wypiorę odzież.

Niechętnie zanurzył ręce w chłodnej wodzie. Zrzucił łachy prócz *skorupy* i otrzymanej od Adali szarfy. Wyginając się, wlaź do wody po pas, zanurzył się cały. Było cieplej.

– Renata! Zrób to samo. W wodzie jest lepiej niż na brzegu. – Starannie płukał włosy.

– Boję się, że coś może przypląć w ciemności. Wzdrygnął się: nie, czerwce nie umiały pływać. Prał swoją odzież, póki do reszty nie straciła zapachu.

– Podaj mi swoje ubranie, też je wypiorę.

– Dobrze.

Głośno szorowała nogami w wodzie, żeby podać mu swoje rzeczy. Jednak zanurzyła się w toni. Nie umiała pływać. Kurczowo trzymała się jego ramienia. Dzięki temu mógł ją łatwiej wziąć w ramiona.

Sama uniosła się na nim w górę. Miał teraz twarz na wysokości jej piersi. Na policzku poczuł chłodny dotyk metalowych płytek *stroju*. Czuł gładką skórę na jej plecach, skrywające się pod nią płaskie, napięte mięśnie. Ciało Renaty było chłodne i mokre. „Jak rybka”, pomyślał czule.

Nie dało się przesunąć dłoni pod jej *strojem* do przodu, na piersi. Westchnął zawiedziony.

– Cholerne rusztowanie.

– A czegoż byś chciał? Przecież to osłona przeciw takim wścibskim rękom.

Pas był bardziej wykrojony, aby uchronić przed otarciami w czasie biegu. Przynajmniej nie zamykał dostępu do jej włosków. Wywinęła się spod jego ciekawskich dłoni.

– Hemfri, przestań... Nie.

Zsunęła stopy na piasek, jednak dalej obejmowała go ramionami za szyję.

– Rozjaśnia się – powiedziała.

– Będę cię wyraźniej widział.

– W wodzie nie widać.

– To dlaczego nie zdejmiesz *stroju*?

– Boję się wchodzić do tej wody.

– Jest w niej całkiem ciepło.

– Ale jest tak mroczna. Ja nie umiem pływać, a tam jest głęboko.

Mogła go tak dalej zwodzić błahostkami i żartami. Dziewczyna знаła wartość dziewictwa. Jej *tarhatum* było przecież najwyższe w Krum.

Jednak gdy wyszli z wody i osuszyli skórę odzieżą, Renata odwróciła się doń tyłem, żeby nie zauważył, gdzie skryła kluczyk *stroju*. Chwilę majstrowała przy kilku zamkach. Zamoczone, mogły już zardzewieć. Teraz tylko zgrzytały i chrobotwały.

Nie przypuszczał, żeby zamknięcie było skomplikowane. „Niezdarnie wykonany zamek kowalskiej roboty”, uznał. „W Krum nie mają dobrych obrabiarek”.

Ona jednak skwapliwie skrywała przed nim zamknięcia. Nie znając ich, nie mógł ich ujawnić.

Konstrukcja wreszcie rozdzieliła się na dwie części. Inny zamek rozluźnił umocniony blachą pasek w talii. Wyginając ramiona, Renata wysunęła się spod usztywnionych pasami blachy szelek. Pas też dłużej nie trzymał się na jej biodrach. Miękkim, sennym ruchem wsunęła się w jego ramiona. Usiedli na rozłożonej odzieży. Ciepło i sucho.

Miała duże, foremne piersi o ciemnych kwiatkach. „Jak kuliste owoce”, pomyślał. Spróbował delikatnie objąć jej pierś dłonią. Nie mieściła się. „Jaka chłodna”. Czuł, jak jego dotyk wprawia jej ciało w drżenie. Zsunął dłoń, by wyczuć przez chwilę bicie jej serca, potem talię, wreszcie wspiąć się na biodro.

Renata miała wciętą talię, a biodra i pośladki wydobywały się spod niej śmiałą, kulistą krzywizną. „Kiedyś będzie pewnie zmagać się z nadwagą...”, pomyślał.

Kuliła się pod dotknięciem jego dłoni. Koniuszki jej piersi natychmiast zjeżyły się, skórę przechodziły dreszczyki. Dotknięcia w uda czy łono bardzo łaskotały. Skóra stale skrywana pod *strojem* reagowała mocno.

Dziewczyna lekko oddawała jego pocałunki, jednak przed dotknięciami instynktownie się cofała. Obejmowała jego szyję, by nie przerywał pieścizot, ale nie wzmacniała uścisku.

– Hemfriu, czy właśnie tutaj? Nie ma nawet kadzidła, żeby nas zabezpieczyć. – Jej szept wyraził poddanie się jego woli. Jakby wiedziała, lecz właśnie rozwiewała wątpliwości. Coraz wygodniej układała się w kobiercu jego ramion. Renata dała się całować; oddawała pocałunki, najpierw niepewnie, potem coraz śmielej. Teraz jednak największą przyjemność sprawiały jej pieszczoty. Adams uważał, by nie zadrasnąć jej skóry spotworniałymi paznokciami. Łasiła się jak kotka. Miała gładką skórę, suchą i już nie chłodną.

Zrobiło się cieplej. Odpychający korytarz nad chłodnym lustrem wody wydawał się dawać wszystko, co najlepsze miał do zaoferowania.

I już w ramionach trzymał kędzierzawą Crispę. Uśmiechała się do niego samymi oczyma jak filuterny diabełek. Krótkie różki wystawały jej spomiędzy loczków. Obok, jak zzute dwa pantofelki, leżały jej kopytka. Ujęła go za dłoń, położyła ją na swojej piersi i zamknęła palce Adamsa na wydatnym jej koniuszku. Ułożyła się wygodniej w jego ramionach. Czuł, jak od jej ciała przez jego palce promieniuje ciepło.

– Od początku wiedziałam, że podobam ci się bardziej niż Złota Pięknooka. Lubisz przecież niepokojące kobiety.

– To ciebie chcę wziąć – powiedział.

– Hemfriu, przecież zdjęłam *strój* – odpowiedziała Crispa głosem Renaty.

Ktoś lekko pogładził jego włosy. Odruchowo uniósł dłoń ku głowie i odwrócił się. Kopytka Złotej Pięknookiej jak pantofelki leżały obok tych Crispy. Poczul, jakby ktoś miękko ujął jego dłoń i znowu opuścił na pierś Crispy.

„Tu jest tak daleko od Płomienistych Wrót...”, usłyszał w myślach. „Pieść ją jeszcze. Kędzierzawa tak mało od ciebie dostała, a zasługuje na wiele więcej. Ona cię tak gorąco kocha. Nie opuszczasz jej myśli”.

W mgnieniu oka wizja zniknęła. Znow miał w ramionach Renatę – gładził dłonią kwiatek jej piersi. Wokół rozchodziła się duszna woń kadzidła. „Czy właśnie jestem egzaminowany?”, pomyślał. „Skąd to ciepło...? Liliane miałem w tych korytarzach, ale potem ją straciłem. A jeśli mam się wstrzymać, żeby nie stracić Renaty?”

– A jeśli ja zginę? – powiedział. – Zostaniesz nędzarką bez *tarhatum*.

– Ty przecież wiesz, co robisz.

Tym jednym zdaniem zmroziła go. Zamiast dalszego podniecenia nadeszły czarne myśli: uwięziona przez Człekousta, zgwałcona i zmuszona do milczenia. A jeśli nawet tak się nie stanie, całe życie będzie wąpił w jej prawdomówność?

– Wiedziałaś... – Mocniej wtuliła się w jego ramiona.

– Co wiedziałaś?

– Że to mnie kochasz naprawdę. Że mogę dla twojej przyjemności zdjąć *strój*, a ty nawet wtedy rozumu nie tracisz.

– Rozumu?! Co?

– Pewnie, że rozumu – powiedziała leniwym, rozmarzonym tonem. – Weźmiesz mnie w naszym domu, na naszym łóżku. A do naszego domu wniesiesz mnie przez świeżo wystrugany próg.

– Niech będzie – westchnął. Opowiedział jej swoją wizję.

– Obie tu były.

– Widziałem tylko Crispę.

– One obie cię powstrzymały. – Pokiwała głową. – Udaremniły czyjś zły plan. Odwdzięczyły się za te dzieci od ciebie. Mówiłam ci przecież, że to nie *behmety*, że one obie mają czyste dusze. Popatrz, kadzidło zapaliło się samo od przewróconej świeczki. Pięknooka zadbała, żeby nic się nie przyplątało. One już spełniły swoje marzenia, a teraz mi pomogły.

– To ja musiałem zawadzić ręką o świeczkę.

– Z pewnością.

– Więc obie żyją...? – ucieszył się.

– W przeciwnym razie nie zdołałyby wejść do twojej duszy.

– Ale że jedna nie była zazdrosna o drugą...

– Crispa wtedy myślała o tobie, zorientowała się w sytuacji, dlatego pierwsza przybyła do ciebie i zajęła moje miejsce w twoich ramionach. Może Złota dołączyła do cudzego marzenia, bo jednej z nich byś nie usłuchał...?

Teraz dopiero z zapalem wzięła się do pieszczot.

– No, uważaj... Z kamienia nie jestem.

– Przecież jesteś. – Zachichotała.

To dziwne wtargnięcie obcych istot uspokoiło Renatę. Znow była taka jak dawniej. W obu złodziejkach dostrzegła sojuszniczki. Bez powodu matki jego dzieci by nie interweniowały, a skoro ją uratowały, to ona nie mogła już tak bardzo go winić.

– Któraś podrzuciła kadzidło – powiedział.

– Nie. To ja zapomniałam, że została jeszcze porcja.

Znow było przyjemnie jasno. Przez niewidoczne szczeliny, gdzieś z wysoka, wpadało tutaj światło. „Gdzie te szczeliny...?”, pomyślał zdziwiony. Aby tak rozjaśnić korytarz, musiałyby zajmować większość powierzchni stropu, a ten ginął w ciemności, jedynie ściany jaśniały w swej górnej części. Widać szczeliny skrywała przed wzrokiem struktura skalnych ścian korytarza.

Wolnymi, miarowymi ruchami podpłynął pod wodospad. Powietrze wydychał pod wodę jedynie dla czystości stylu. Dawno nie pływał, teraz z przyjemnością odnajdował dawny rytm. Zatrzymał się: zupełna cisza.

Z progu wodospadu sączyła się wątła struga. Ani śladu huczącego żywiołu. „Spadając tędy, zdrowo bym się poturbował o kilkumetrowy próg”, pomyślał.

Starał się znaleźć drogę. Mrok skrywał rzeźbę skały. Oczy wolno przyzwyczajały się. Nad samą wodą ścianę skrywał cień. Adams spróbował po omacku: występy były mokre, pokrywał je śliski liszaj, chociaż skała była dobrze urzeźbiona.

Spróbował wspiąć się po występach. Najpierw wolno, żeby woda ociekła, potem nieco szybciej. Mroczna ściana zaraz nawieszała się nad głową. Raz za razem docierał do miejsc bez możliwości dalszej wspinaczki. Wtedy mocno odbijał się od ściany w powietrze i z głośnym pluskiem lądował w wodzie. „Frajda. Przynajmniej schodzić na ślepo nie trzeba”, pomyślał.

Próbował wejść w ścianę w kilkunastu miejscach, po obu stronach wodospadu. Ani razu nie zdołał wspiąć się wyżej niż na swoją wysokość.

Popłynął z powrotem miarowymi ruchami żabki. Wkrótce sięgał stopami piaszczystego dna. Brodził do brzegu, ociekając strugami wody.

– Długo cię nie było.

– Nie mogę znaleźć drogi przez próg. Nie poradzę sobie na oślep. Urzeźbienie skały jest w cieniu.

– Nawet jeśli znajdziesz, to jak mnie tam dostarczysz?

– Tam jest wyjście. Choćby nauczę cię pływać.

– Choćby... – Skrzywiła się. Podała mu zawiniątko. – To ostatnia świeca.

– Tam jej nie zapalę.

– Popłyniesz z zapaloną. Skoro tak dobrze pływasz... Usłuchał. Ostrożnie wszedł do spokojnej wody, dzierżąc w dłoni świecę. Nie było trudno tak płynąć. Musiał tylko uważać, by przypadkiem jej nie zatopić.

Przykleił świecę do występu bocznej ściany korytarza przy wodospadzie. Odsłoniła się rzeźba skalnego progu. Było łatwiej, niż myślał. Prawą stroną ściany dało się wspiąć bez większego trudu. Pokonał tę drogę do góry i z powrotem.

Nad progiem wodospadu potok ciągnął się dalej, niknąc za zakrętem korytarza. Przejście zbliżało się do zwycięskiego końca. Ostrożnie zszedł z progu, a z połowy ściany skoczył w czarną toń.

Najpierw trzeba było przekonać Renatę do zanurzenia całego ciała. To się jej spodobało. Teraz ona przejęła inicjatywę: nabierała powietrza i pozwalała unosić się wodzie.

– Frunę – powiedziała. – Ryby fruną.

Na więcej nie było czasu. Pokazał jej, jak płynąć razem. Delikatnie objął ją ramieniem, zarazem umieszczając się pod nią. Spokojnymi ruchami wolnego ramienia i nóg niósł ich oboje. Trzeba było tylko uważać, żeby przez przypadek nie zanurzyć jej twarzy pod wodę, bo wtedy wpadłaby w panikę, a przy wodospadzie było głęboko.

Na piasku zostawili większość odzieży, jego *gladius* i sztylet. Miał potem po to wrócić.

Zachowywała się ufnie. Może za mocno chwyciła się jego ramienia, może była zbyt spięta.

– Oddychaj ustami, żeby się nie zachłysnąć. Odmruknęła.

Zaraz znaleźli się w kręgu światła. Podsunął się pod nią, żeby mogła wesprzeć się stopami o jego ciało. Intensywnie pracował nogami, aby bardziej wydobyć ją ponad powierzchnię.

– Tutaj. Widzisz to zagłębienie?

– Tak.

– Spróbuj schwycić skałę.

Renata powoli obróciła się ku urzeźbionej ścianie. Adams podtrzymał ją w talii.

– Musisz wspiąć się wyżej. Szukaj chwytów. Jeszcze nie możesz wesprzeć nóg na skale.

Woda lała się na ich głowy. Nie było jej tu wiele, ale dość, żeby uprzykrzyć wspinaczkę.

– Ach...! Nie było innej drogi?

– Wcześniej tędy nie ciekło.

Już ujmował ją w pasie, zaraz potem wspierał uda. Zwinna dziewczyna szybko drapała się w górę.

– Idź miarowo, ale nie tak szybko.

– Ależ to łatwe, Hemfriuu... Tylko że ślisko. Byle dalej od tej mrocznej otchłani. – Strugi rozbryzgiwały się na jej głowie. Wydawało mu się, że wody przybywa z każdą chwilą.

Nadażał za nią z trudem. Może dlatego, że za dużo uwagi poświęcał Renacie, a mniej na szukanie chwytów i stopni dla siebie, zresztą rozbijające się strugi wody utrudniały obserwację.

Próg był gładko wyslizgany. Teraz jeszcze splukiwał go strumień wody. Wygodne chwytaki były daleko. Musiał ją podsadzić, by przeciągnęła ciało ponad obłą krawędzią. Jemu było łatwiej do nich sięgnąć.

– Tutaj woda porwała mnie do kotła. Ani śladu dna czy wystającej skały. Tyle wody tędy waliło.

Spojrzeli z góry na kipiący krąg wydobyty z mroku blaskiem świecy. Nad progiem było ciemniej. Może w stropie znajdowało się mniej szczelin.

– Hemfriuu, teraz tej wody też nie jest mało. Nie chcę zostać splukana i roztrzaskać się o skałę albo utonąć.

– Wody przybywa z każdą chwilą.

– Chodźmy więc jak najszybciej. Mówiłeś, że to niedaleko.

– To prawda, ale jesteśmy prawie nadzy.

– Mam *strój*, a ty masz *skorupę*. Nie jesteśmy nadzy.

– Tam została broń i ciepła odzież.

– Usłuchaj mnie i chodźmy, zanim prąd nas porwie.

– Dobrze. – Pamiętał tamten huczący nurt, pędzący z nieprawdopodobną prędkością.

Wziął ją za rękę i poprowadził w głąb mrocznego korytarza. Potykali się na kamieniach, lecz w trzewikach nie obijali stóp. Woda sięgała kolan, ale płynęła jeszcze spokojnie.

Nadal jej przybywało. Wkrótce po świetle pozostał jedynie jaśniejszy kontur skał wokół progu.

Pojawił się strach: „Kiedy trafimy na wyjście? Czy uda się tam zdążyć, zanim woda nas zmyje?”. Renata ufnie podążała za nim, mocno trzymając go za rękę. Przypuszczała, że Adams

prowadzi w znane sobie miejsce.

– Kiedy wyjdziemy z dziupli, to pędem pognamy w lewo do drugiej – pouczył ją. – W ten sposób ominiemy Górne Miasto. Nie ma po co tam wchodzić.

– Nie zgubisz mnie?

– Będę stale przy tobie.

Woda sięgała już do połowy uda, a nurt przyśpieszył.

„Jak potok spod lodowca, przybierający na wiecór”.

„Bardzo chciałbym już stanąć na tym zaśmieconym trawniku”, pomyślał. „Zobaczyć bramę stadionu przewodniczącego Nero, byle tylko ta cholerna woda nie zabrała z powrotem... Ile wtedy płynąłem?”, spróbował sobie przypomnieć. Mogło to być kilkadziesiąt metrów, mogło też być kilkaset, przecież niósł go wtedy rozszalały nurt.

Wejście do Górnego Miasta otwarło się nagle, dopiero kiedy Adams w nie wszedł. Jego ramiona i barki znalazły się w blasku poranka. Chłodny wietrzyk rozganiający poranne mgły przyprawił o gwałtowne dreszcze. Światło zachmurzonego parku oślepiło. Ostrożnie stanął na mokrym gładzie. Chciał uniknąć zranienia o nieskończenie ostry brzeg dziupli.

„Wysoko tutaj. Trzeba będzie ją podsadzić. Krawędzie tną jak ostrza”, pomyślał.

– Ribnyj, zbierajcie się! – dobiegł głos. – On przepadł. Oberwiecie za swoje nieudactwo. Za tydzień oddajemy nową latrynę w koszarach. Przyda się wkład osobowy.

Czyjaś mocna ręka schwyciła go za ramię. Wzrok zaczynał działać normalnie. Adams dostrzegł kilka ciężarówek milicyjnych, zwijających się funkcjonariuszy i wydających rozkazy oficerów.

– Mam go! Mam go, obywatelu przodownika! – usłyszał triumfalny wrzask. Mocarne łapy unosiły Adama w górę. – No, wyłaźcie – sapnął funkcjonariusz. – Bez żadnych sztuczek.

Zdezorientowany Adams został przeniesiony przez krawędź dziupli i stanął na trawniku. Jeszcze ociekał wodą. Przed chwilą marzył, by się tu znaleźć. Teraz już o tym nie marzył.

Szarpnął się gwałtownie, aby ostrzec Renatę. Jednak Ribnyj zdławił jego krzyk dłonią. Ktoś inny sprawnie go obezwładnił. Adams poznał po charakterystycznych, szerokich kościach policzkowych grubo ciosanej twarzy przodownika Ciakena.

Natychmiast uspokoił się: Po co ostrzegać Renatę...? Dokąd miałyby uciekać? Należy ją wyciągnąć jak najszybciej, aby jej woda nie porwała. „Żeby tylko jej nie pozostawili”, struchlał.

– Tam jest ktoś drugi – powiedział Ribnyj. – On chciał go ostrzec.

– Zaczekamy. – Ciaken skinął głową.

– Krzyknij, a oberwiesz – powiedział do Adama. Ribnyj odetkał mu usta, czekając w pogotowiu, by przyłożyć, gdyby więzień nie usłuchał.

– Nie będę krzyczeć. – Adams nie mógł się doczekać, żeby ją jak najszybciej wyciągnęli.

– Z kim jeszcze uciekliście?

Rozmowę przerwała Renata, która właśnie wychyliła się, schodząc z Mostu łączącego odrębne przestrzenie.

– Hemfrii?!

Zanim zdołał coś do niej powiedzieć, silne ramiona funkcjonariuszy wydobyły dziewczynę z *Cayleii*. Została wniesiona do Górnego Miasta. Zawadziła butem o krawędź dziupli.

– Nie walcz – Adams odpowiedział na jej przerażone spojrzenie. – Oni czekali na nas.

– Zgadza się – burknął Ribnyj. – Równe trzy godziny. Adams nie zdołał wydusić z siebie słowa: to wciąż był poranek po tamtej nocy, kiedy włóczył się i pił podczas masowej imprezy na cześć przewodniczącego Nero.

– Kobieta znalazła się tu przypadkiem – zdecydował Ribnyj. – Odstawimy ją z powrotem. Miał być tylko Adams.

– Zaraz...! Jak przypadkiem? – Adams rozrywał pęcherz z dokumentami przytroczony do pasa. – Tutaj! Tutaj mam zaświadczenie! Ona jest pod moją opieką.

– Jakie zaświadczenie?

Adams podetkał Ribnyjowi pod nos certyfikat Reutela.

– Oo! To ciekawe! – Złakniony sukcesów, Ciaken wyrwał pismo z ręki podwywiadowcy. – Dołączy się to do akt sprawy. – Spojrzał surowo na Adamsa. – Nie poprawi to waszej sytuacji!

Oboje zostali skuci kajdankami i rozdzieleni. Któryś z milicjantów narzucił Renacie na ramiona filcowy szynel. Adams drżał z zimna.

Zaprowadzono ich do oddzielnych suk.

Adamsowi wydano szare więzienne spodnie i także bluzę. Umieszczono go w pojedyncze aresztu śledczego. Akurat była pora śniadania, więc strażnik przyniósł miskę słabo osłodzonego grysiku, kromkę ciemnego chleba i kubek przesłodzonej herbaty. Adams skwapliwie wziął się za strawę. Wikt więzienny nawet mu posmakował: odwykł od tych potraw. Potem przez zakratowane okienko długo wpatrywał się w chmury. Co jakiś czas pojawiały się między nimi fragmenty nieba. Zdumiewało go nasycenie błękitu. W Krum spomiędzy chmur wyglądała co najwyżej szara *Pieczeń Sylwestra*. I to też rzadko.

Nie czekał długo, aż klucz zachrobotał w zamku.

– Pójdziecie ze mną – rzucił Ciaken. Towarzyszył mu uzbrojony strażnik.

Adams bez słowa udał się za śledczym. Dobrze pamiętał kilometrowe korytarze Urzędu. Ślady szczyń na ścianach. Nawet ten sam zdechły pies. Teraz leżał pod ścianą, ktoś kopnął go z drogi, by nie zawadzał przechodzącym. Trup zaklął się w sobie, śmierdział też jakby mniej. Nie wyglądał na roczną padlinę. Wydawał się podeschnięty, ale może to Adams nie pamiętał dokładnie wyglądu ścierwa.

Wreszcie śledczy wprowadził Adamsa do sali. Strażnik pozostał na korytarzu. Za wielkim, ozdobnym staroświeckim biurkiem siedział mężczyzna w mundurze. Zapracowany, pochylił głowę; coś starannie notował.

Siedzący podniósł wzrok. Adams poznał Człekousta. Rozpaczliwie szukał jakiejś zmiany w wyglądzie tamtego, jakiegoś potwierdzenia, że jednak czas płynie normalnie, że to tylko Ribnyj się przejęzyczył, że rok to rok, a nie trzy godziny. Jednak urzędnik nie zmienił się przez ten czas, nie postarzał. Tylko biurko było nowe. Harpia w ptasiej masce pólleżała na jego kraju, podpierając głowę skrzydłem.

Uombocco badawczo przyjrzał się Adamsowi.

– Ledwie parę dni się nie widzieliśmy – powiedział – a już będzie sporo do opowiadania.

W pomieszczeniu rozchodził się charakterystyczny odór sfermentowanego potu. Człekoust skrzywił się.

– Ciaken, znowu nie zmieniliście skarpetek. Śledczy stojący za Adamsem chrząknął zmieszany.

– Melduję, że kwatermistrz nie wydał. Nie mieli całych na stanie. Pięty wylatują.

– Eaa... – Człekoust machnął z rezygnacją ręką. – Zanim zaczniecie opowiadać – zwrócił się do Adamsa – muszę poinformować was, że zostaliście oskarżeni o zamordowanie Ibn Khaldouniego. Grozi wam najwyższy wymiar kary. Dodatkową okolicznością obciążającą jest próba ucieczki z Miasta pod Skałą.

– Przecież zostałem już z tych oskarżeń oczyszczony. Tylko dlatego opuściłem Miasto pod

Skalą na jakiś czas.

– Śledztwo zostało wznowione. Pojawiły się nowe dowody. Na ścianie pokoju Ibn Khaldouniego znaleziono odcisk waszego palca.

– Przecież już wcześniej oznajmiono mi, że to był odcisk palca kogo innego.

– Niewykluczone, że wyniki analizy zostały przypadkowo zamienione – powiedział Uombocco. – Przy takim poziomie finansowania milicji nie można wymagać od nas nieomyślności. Odcisk na ścianie bez wątplenia pochodzi od serdecznego palca waszej prawej ręki. Zamordowaliście Ibn Khaldouniego, a krew wytarliście o ścianę. Dlatego nie było krwi na waszych rękach.

– Nie zabiłem Ibn Khaldouniego.

– Dajcie spokój z tą gadką. Jeszcze się nagadacie. Śledztwo zacznie się od jutra. Prowadzić je będzie Ciaken. Słyszeliście...? – zwrócił się do stojącego przy drzwiach funkcjonariusza.

– Tak jest.

– A wy – spojrzał na aresztanta – wymyjecie się, odżywicie, wyśpicie. Jutro czeka was ciężka praca.

– Jest z nim jeszcze kobieta – zauważył Ciaken.

– Jaka kobieta...?! – Człekoust zaczął nerwowo przeglądać papiery.

– Eva Renata – podpowiedział Adams. – Moja żona.

– Dlaczego odnotowaliście to w protokole...! – ryknął zagniewany Człekoust. W jednej chwili spurpurowiał. Rysy jego twarzy stężały. Aż wychylił się w stronę Ciakena. Śledczy odruchowo cofnął się w cień.

– No, proszę, wymieniona w raporcie w dwunastu niezależnych miejscach. Trzy razy imiennie! A to?! A to!? Co to jest? – Z nieopisanym obrzydzeniem wziął w dwa palce przypięty do protokołu podśmierdujący pergamin z ledwie widocznym tekstem. – I jeszcze taki pasztet. Zaświadczenie jakiegoś Reutela! Podpisane: Reutel, *sotnik*... – sierzdził się Człekoust. – Przecież to nie jest imię!

– Jaki Reutel? Dlaczego jakiś Reutel został *sotnikiem* na dole? Co za bałagan! Przecież tego się nie odkręci! – warknął. – Jakbym nie miał dość kłopotów! Muszę Grubego znowu ściągnąć na górę! A jego miejsce jest w bajorze!

Adams patrzył zdumiony na wybuch funkcjonariusza.

– Wyjść! Natychmiast wyjść! – Człekoust machnął wściekle ramieniem. – Bierzcie go do celi, Ciaken! A tamtej dać pojedynek na żeńskim.

– Już dostała – skwapliwie powiedział śledczy.

– Wyjść.

Ciaken szedł głęboko zamyślony. Przyśpieszył, schował głowę w ramiona.

– Jesteście pewni, że z wami była kobieta...? – rzucił.

– Nie mam wątpliwości. Została przez waszych ludzi ujęta i skuta, Ciaken. Ma na imię Eva Renata. Przyszła ze mną z Krum.

Śledczy jakby skurczył się na te słowa.

– Nie... ja nic... Ja tylko tak pytałem. – Machnął ręką.

Renata ledwie nadążała za szybko maszerującymi strażniczkami. Mijała długie, pokryte odłóżającym lakierem korytarze z dziesiątkami drzwi. Dla niej jednak stary lakier pysznił się bogactwem odcieni.

Do strażniczek dołączyła po drodze tęga, szeroka w biodrach, brzuchata funkcjonariuszka o dużej głowie, krótkich, jasnych włosach i zimnym spojrzeniu wodnistych oczu. Zmierzyła dziewczynę surowym spojrzeniem i podała jej złożoną w kostkę więzienną odzież.

– Bierz – rzuciła sucho. – Najpierw do łaźni. – Ruchem szpicruty wskazała kierunek dalszego marszu.

Strażniczki ruszyły, a zwierzchniczka dołączyła do nich. Renata czuła na karku jej sapanie.

Łaźnia nie była daleko. Mroczne pomieszczenie pokryte do wysokości półtora metra odłóżką lamperią, a wyżej na ścianie wykwitami grzyba. Strażniczki zabrały się, a funkcjonariuszka przekręciła klucz w zamku.

– Rozbieraj się – powiedziała. Renata instynktownie cofnęła się o krok.

– No, zrzucaj te łachy. – Wskazała szpicrutą. – Dostaniesz regulaminową odzież.

Renata miała na sobie tylko milicyjny szynel. Milicjantka zlustrowała ją wzrokiem.

– To też. – Stuknęła szpicrutą w szelkę *stroju*.

– Nie.

– Regulamin zabrania nosić coś takiego. Dostaniesz zwykłą bieliznę. Chyba nie chcesz, żeby kilku funkcjonariuszy ściągnęło ci to...?

– *Stroju* nie da się zdjąć. Najwyżej poranią mi skórę.

– Gdzie masz kluczyk!?! – zagrzmiała tęga niewiasta.

– W porę wyrzuciłam do kanału.

– No dobrze. – Funkcjonariuszka wyciągnęła z kieszeni nożyce do cięcia blachy.

Renata zrobiła ruch, jakby chciała rzucić się do ucieczki.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała milicjantka. – Za próbę ucieczki dostaniesz baty, a potem rozbiorą cię strażnicy.

Renata zatrzymała się.

– No, grzeczna dziewczynka... Pora na resocjalizację. – Grubaska przecięła obie szelki i wąski pasek biegnący na biodrze.

Renata zdumiona patrzyła na sprawność narzędzia.

Milicjantka ściągnęła jej *strój*.

Dziewczyna instynktownie zasłoniła się ramionami.

– Baczość! Nie garb się! – Milicjantka uderzyła ją szpicrutą przez plecy. – Ręce wzdłuż ciała.

Renata posłusznie się wyprostowała.

– No, wreszcie. – Stara lustrowała ją badawczo. Renata zarumieniła się pod tym niecnym i natrętnym spojrzeniem.

– Więc tak wygląda Ponownie Narodzona.

Renata czuła, że wrogie spojrzenie tamtej wydobywa każdą, nawet najmniejszą usterkę jej budowy.

– Natalia była zgrabniejsza od ciebie, chociaż masz większe piersi i biodra bardziej krągłe – powiedziała milicjantka. – Właściwie można się dziwić... – dodała ciszej do siebie.

Następnie wyjęła miarkę i zmierzyła długość ramion, nóg i stóp więźniarki oraz obwód w biuście, talii i biodrach. Zmierzyła następnie tak dziwne wielkości, jak odstęp od płatków uszu do koniuszków piersi czy od szczytu szpary w łonie do koniuszka nosa, zapisując wyniki w czarnym notesie. Dotyk krzepkich, zimnych dłoni o szorstkiej, stwardniałej skórze sprawiał dziewczynie przykrość, szczególnie gdy była bezceremonialnie dotykana w miejsca intymne.

Widząc jej zakłopotanie, funkcjonariuszka wyszczerzyła zęby w uśmiechu, coraz bardziej się rumieniąc. A na różowym tle jej skóry zarysował się biały wzór, przypominający skłębione włosie wojskowej futrzanej czapy. Zaraz zniknął jednak z blednącym rumieńcem. Milicjantka umiała się kontrolować.

– Musisz się nauczyć, że człowiek i jego ciało to są dwie zupełnie rozdzielne rzeczy. Teraz przeprowadzam absolutnie niezbędne i ważne pomiary naukowe, a ty masz się im podporządkować. Wyniki zostaną porównane z rezultatami Natalii.

Renata odnosiła wrażenie, że te pomiary sprawiają funkcjonariuszce przyjemność, której ta nie potrafi całkiem ukryć.

Wreszcie funkcjonariuszka zakończyła oględziny i podała Renacie mydło.

– Namydl się, wykąpiesz się tutaj. – Pociągnęła drucianą dźwignię, a na Renatę z pokrytej osadem kratki lunął zimny prysznic.

Woda nie była przeraźliwie zimna, ale wystarczająco chłodna, by się pod nią kulić. Znowu cios szpicruty.

– Trzymaj się prosto i szoruj gnaty.

Renata starannie namydliła się, spłukała, namydliła raz jeszcze i znowu. Sama chciała pozbyć się resztek odoru kanałowego, stale podejrzewając, że jakieś jego ślady przyłgnęły do jej ciała.

Kiedy funkcjonariuszka uznała, że wystarczy, rzuciła dziewczynie lnianą ścierkę. Zaraz potem, jakby niezadowolona z wycierania się więźniarki, sama zaczęła energicznie rozcierać jej ciało ścierką, jednocześnie pobudzając krążenie.

Renata syczała z bólu.

– No, wreszcie – orzekła funkcjonariuszka. – Teraz odwszenie. Wetrzyj ten proszek we włosy. – Podała jej tekturowe pudełko z dziurkami.

– Nie mam wszy. Nigdy nie miałam. Znowu cios szpicrutą. Teraz w udo.

– Nie szkodzi. Wcieraj we wszystkie: na głowie, pod pachami i na cipie.

Renata już nie protestowała. Rozszedł się słodkawy, duszący zapach.

– Teraz do celi.

– Mam iść naga? Funkcjonariuszka wzruszyła ramionami, więc Renata nałożyła bieliznę, więzienne spodnie i bluzę.

– Jestem twoją prowadzącą. Będę profilować twoją resocjalizację. Ze wszystkim masz się zwracać do mnie. Nazywam się Mówiąca, pedagog Wassilisa Mówiąca.

Cela, do której zaprowadziła ją Mówiąca, była większa i lepiej urządzona niż jej pokój w domu Hrabana.

– Na wieczór masz spłukać włosy z proszku – rzuciła jeszcze w drzwiach Mówiąca.

Adamsa przeniesiono z aresztu śledczego do regularnego więzienia. Oznaczało to tylko dwa posiłki dziennie i zakaz używania pryczy za dnia. Cella pusta, za duża na pojedynek, na wyposażeniu aż cztery koce. „Widać jestem ważnym więźniem, skoro opróżnili dla mnie zbiorówkę”, pomyślał.

Nie było ciemno. Panował półmrok, światło wpadało tylko przez szczeliny w blindach, pod samym sufitem. Stanowczo za wysoko, aby wspiąć się tam i wyjrzeć na dwór. Jedynym sprzętem w celi było wiadro nakryte klapą. Adams mógł stać, dreptać w kółko albo siedzieć na zimnej posadzce, bo prycza musiała być na dzień składana. Mógł też pisać palcem w kurzu na podłodze.

Dreptanie jest całkiem miłym zajęciem, szczególnie kiedy porównuje się je z przesłuchaniem: myśli nikt nie wymusza, same przychodzą, te które chcą. Przesłuchania przeprowadzano regularnie, dwa razy dziennie. Zawsze wcześniej skuwano go w celi, a przesłuchania prowadził Ribnyj. Wielokrotnie zadawał te same pytania; do protokołu Adams musiał mu literować co dłuższe słowa. Ponieważ odpowiadał bez sprzeciwów, nie był bity. Schematyczne, ciągle te same pytania sprawiały wrażenie, że nikt nie jest zainteresowany wynikami śledztwa. Adams przyzwyczyił się i z pamięci recytował odpowiedzi. Ribnyj skwapliwie je notował, myląc się w pisowni tych samych wyrazów.

Adams zatrzymał się naprzeciw świetlika. W wąskim paśmie wpadającego światła leniwie poruszały się drobinki kurzu. „Słoneczny dzień mamy dzisiaj”, pomyślał. „Tramwaje już się wloką miastem, przeraźliwie zgrzytając na zakrętach; bezrobotni ustawiają się po pracę przy zbieraniu koźliny”.

Gdy słońce wdrapie się wyżej na nieboskłon, wąski promień zniknie. Adams uważał, że cela jest pod samym dachem i okap zasłania światło.

Co z Natalią...? Ta nieszczęsna piękność, stworzona dla niego, kojarzyła się z Górnym Miastem. Liliane ujawniła swą tożsamość, kiedy rozpostarła kolorowe skrzydła i pofrunęła, Natalia nie. Natalia pozostała zagubiona. Bez wątpienia bardziej niż on.

„W tym mieście sztuka Lulliusa działa lepiej niż gdziekolwiek indziej...” Adams palcem na kurzu nakreślił diagram, chociaż już wcześniej domyślił się, co wyjdzie.

Rysował kolejne wierzchołki, w kolejności chronologicznej: „Rzym” – „Liliane” (przecież już kiedyś ustalił, że łączyła oba te miasta) – „Behet.” (bo przecież to jego miasto) – „Natalia” – „Krum” – „Renata”. Połączył je bokami, oczywiście chronologia narzuciła obieg. Zrezygnował z dalszej analizy, przekątne musiały połączyć bądź miasta, bądź kobiety. Liliane trafiła tu z Rzymu, nic nowego. Prawdopodobnie tu zostanie, fruwając po niebie. Natomiast los Natalii wyglądał ponuro: obieg diagramu lullijskiego nakazywał jej trafić jeszcze niżej – żeby choć do Krum, a nie na płaskowyż.

„Zasługiwała na lepszy los”, pomyślał. Już miał wystartować do dalszej tury wzdłuż ścian celi, jednak zerknął jeszcze raz. Dostrzegł dobrą wieść niesioną przez diagram. „Jednak spotkam Renatę...” Przetarł dłonią twarz. „Więc jest jeszcze nadzieja. Tyle warta, co przypadkowo skreślony wykres”, pomyślał z sarkazmem.

Nie pomyślał, że Renata może samotnie powrócić do Rzymu, a on może pozostać w Górnym Mieście na zawsze. Na diagramie zabrakło też Falzarofy, Crispy i Złotej Pięknookiej.

Przed kolejnym przesłuchaniem skuto Adamsa ciężkimi, ozdobnymi kajdanami, na których wygrawerowano tu wzory geometryczne, tu wypukłe oczy i wyszczerzone kły fantastycznego stwora. Zerknął parę razy na grawerunek, ale motyw nie przywiódł nic na myśl.

– To jakaś pokazówka...? – spytał Ciakena.

– Może przyjdzie pan Leviahatannah. Pośpieszcie się.

W sali przesłuchań Uombocco miał gościa. Obaj studiowali akta rozrzucone na biurku.

Przybyły łypnął spode łba na Adamsa. Miał szeroko sklepione, wypukłe jak ćwiartka sfery czoło; błyszczące, bezwłose ciemię; brutalną twarz o rysach wygiętych w zakrzepłym uśmiechu; o głowę górował nad Adamsem, był z półtora raza szerszy od niego w ramionach i miał nieprawdopodobnie grube uda. Wręcz emanował energią i siłą.

– Pan z Morza? – wyrwało się z ust Adamsa.

– No pewnie, że nie tamto gnijące ścierwo – obruszył się nieznajomy.

Adams musiał zrobić dziwną minę, bo Leviahatannah powiedział z gniewem:

– Jakże można brać za mnie gnijącą stonogę, utopioną w kałuży pod kamieniem?!

– Wija – poprawił Behetomotoh.

– Wija. Ale i z tego wija mają dość pożytku. W państwie, gdzie morzem jest mała kałuża pod kamykiem. A, co tam...

Podszedł do Adamsa i mocno złapał go pod brodę, wykręcając mu skórę na twarzy. Adams nie zaprotestował. Mocarna łapa zacisnęła mu szczęki, tak że nawet jęk nie zdołał się przedrzeć.

– To, według ciebie, miałby być Haddam Kadmon...? – Leviahatannah wyszczerzył w uśmiechu kremowe zęby. Z jego ust rozszedł się odór próchnicy. – Niedorzeczność. Przecież ten jest podstarzały... podłysiał nawet... – Pokiwał głową. – Nieee, to jakieś nieporozumienie. Tamten był inny.

– Tłumaczyłem ci już różnicę – powiedział Behetomotoh, który rozsiadł się za biurkiem. – To przebiegło inaczej... – urwał. – Ale coś z Kadmona jest wypisane na jego twarzy. Przypatrz się uważnie, Panie z Morza.

– Taak – mruknął Leviahatannah. – Pamiętam, oczywiście. Synalek wplątał się w tę grę, no nie...? Synalek musi być podobny. – Badawczo spojrzął na Adamsa. – Na jakiś sposób rzeczywiście jest podobny.

– Natura tego podobieństwa nie jest oczywista na pierwszy rzut oka.

– Przecież widzę więcej niż zewnętrzną powłokę. Rozmowa toczyła się ponad głową Adamsa. Skute archaicznymi kajdanami przeguby zdążyły zdrętwieć; bolała żuchwa zgniatana wielką jak bochen dłonią Leviahatannah, niby obcęgami. Ten wreszcie puścił Adamsa.

Więzień zaczął niezdarnie rozcierać sobie szczękę skutymi rękoma.

– To była kałuża...? – wysapał.

– Dla ciebie cała kraina! – huknął olbrzym.

– Dla mnie krainą było już Dolne Miasto.

– Właśnie! Śmieszny, mały bunt garstki drobinek!

– Wyłamali się spod twojej władzy...? – rzucił Adams. „On włada nimi administracyjnie, ale stracił nad nimi rząd dusz...”, pomyślał. „Już nie należą do niego, nie różnią się od innych ludzi. Tyle że żyją w tamtym miejscu”. Spojrzał na Pana z Morza poważnie.

Ten domyślił się lub odczytał jego myśli.

– Czym dla mnie jest taki skrawek...?! – Pogardliwie wydał mięsiste wargi. – Małe miasteczko i parę osad. To jest nic! – Zaczął w złości uderzać pięścią w stół.

„To dlaczego tego nie zgnieciesz?”, pomyślał Adams. „Może próbowałeś, a oni odparli twój atak...?”

Widać to pytanie wypisane zostało i w jego oczach, bo Leviahatannah znowu wrzasnął:

– Legion!? To ledwie ze siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu żołnierzy! Też mi legion!

Adams wiedział, że lepiej nie podnosić wzroku, bo znowu oberwie. Widać rzeczywiście obowiązuje swoista symetria i w kraju Leviahatannah są miejsca, małe jak punkty, wyłączone spod jego władzy.

Renatę umieszczono w pojedynczej celi. Mówiąca zdarła z niej *strój*, jednak jej nie pobiła. Uderzyła tylko kilka razy i niezbyt silnie. Potem już żadna inna funkcjonariuszka nie posunęła się do przemocy fizycznej.

Uwięziona otrzymała szary drelich więzienny: bluzę i spodnie. Na dodatek drugą zmianę ciepłej bielizny i kapcie. Dwa razy dziennie strażniczka przynosiła jedzenie, którego Renata nigdy wcześniej nie kosztowała. Nie smakował jej więzienny wikt.

Co drugi dzień przychodziła resocjalizatorka. Groźna, masywna baba wzbudzała jej lęk. Łypała na nią rozbieżnym zezem wodnistych oczu i wygłaszała swoje opinie i pouczenia, którym Renata musiała potakiwać. Dużo mówiła o uwolnieniu Renaty i obowiązku rozwijania się, jaki na Renacie nieuchronnie ciążył. Czasami Renatę korciło, żeby spytać o jakie uwolnienie chodzi Mówiącej, skoro nie można opuszczać nawet izby, jednak lodowate spojrzenia funkcjonariuszki zniechęcały do żartów.

Po wygłoszeniu dwudziestominutowego pouczenia Mówiąca wyciągała notatnik i rozpoczynała wypytywanie więźniarki. Chodziło głównie o detale życia w Krum oraz o ucieczkę kanałami. Po wysłuchaniu odpowiedzi Mówiąca, drapiąc się po tłustym brzuszku, notowała je niezdernymi kulfonami półanalfabety, ignorując znaki przestankowe. Po wizycie resocjalizatorki Renata oddychała z ulgą i upewniwszy się, że ciężkie kroki Mówiącej ucichły już na korytarzu, ustawiała zydel w stałym miejscu, na wydrapanych jego nogami śladach na posadzce.

Nudziła się w samotności, lecz było to lepsze niż natrętne indagowanie Mówiącej. Ustawiała zydel zawsze w tym samym miejscu: takim, by z niego widać było w oknie ograniczony linią murów fragment błękitu. Takiego nieba nie znała i jeszcze nie zdążyła się nim nasycić. Było zadośćuczynieniem za jej obecne, dziwne bytowanie.

Nie czuła się źle. Stale jednak rozmyślała o swojej sytuacji. Błogosławiła chwilę, kiedy Hemfri� jednak powstrzymał się i jej nie wziął. Wtedy zdecydowała się dać mu chociaż trzecie dziecko, by inne nie ubiegły jej jeszcze bardziej, ale teraz, bez *stroju*, jak udowodniłaby, że pozostała mu wierna? I tak nie było pewne, jak Hemfri� się zachowa. Na Liniu były tylko Złote Gabery, i to nie jego wina, że im uległ, bo wiadomo, że ta istota to nieszczęście dla narzeczonej i tragedia dla żony. Ukradły mu dwoje pierworodnych dzieci, ale wrócił; jednak w tym olbrzymim mieście roi się od niewiast. Mówiąca wygląda szpetnie, ale choćby te strażniczki: urodziwe nie są, ale zdrowe, rumiane, postawne. Piersi nie mają dużych, ale jak szerokie biodra, jak mięsiste uda. Taka kobieta potrafi zarządzić dużym gospodarstwem, potrafi rodzić synów do późnych lat. Hemfri� nie wyglądał na interesownego, ale który mężczyzna potrafi być stały w swoich uczuciach? A jeśli zwodził, mówiąc, że ją kocha? Jednak zatrzymał się, kiedy mógł dostać wszystko – czyli dowiódł, że kocha. Ale jeśli zrobił to w jakimś celu? Jaki mógł mieć cel, skoro powstrzymywał się resztką woli?

Na ucieczkę dała się namówić, bo czuła, że przy nim jest jej miejsce. A teraz, kiedy straciła wszystko, co miała, co z nią będzie, jeśli Hemfri� ją porzuci? Przecież nie zawarli formalnych zaślubin.

Nie chciała wrócić do Krum, choć tam zostałaby szanowaną gospodynią i żoną *decymusa*, który skończył służbę, tak zasłużonego dla społeczności. Wszyscy poważaliby ją, szczyła się przeciw najwyższemu *tarhatum* w całej miejscowości. Miałaby dom, służbę, niewolników i całe lata, żeby zapomnieć o dziwnym niewolniku, który zawrócił w głowie jej i jej kuzynce, a potem w krótkim czasie został szanowanym chirurgiem i oficerem *pretorii*.

Tutaj trafiła do nieoczekiwanego miejsca: gwarne, tętniące życiem, w tłum ludzi – wprawdzie po drugiej stronie krat, jednak mając nadzieję, że prędzej czy później oboje do nich dołączą. To obietnica, jednak równie dobrze bytowanie w tym mieście może okazać się gorsze niż w Krum.

Nie, stwierdziła po namyśle, przy emerytowanym *decymusie* nie starczyłoby lat na zapomnienie o Hemfrii i o jego słowach. Dobrze, że wtedy na górskiej polanie, w cieniu nadpływającego kadłuba Pana z Morza, zgodziła się dzielić jego los. Żeby tylko on dotrzymał obietnic...

Dopiero parę dni później pierwszy raz wyprowadzono ją z celi. Dwie strażniczki szły szybko, trzymając broń niedbale przewieszoną przez plecy. Spoglądała z respektem – delikatna forma samopału nie wykluczała jego skuteczności. Renata z trudem nadążała za milicjantkami. Wiedziała, że aresztantowi nie wolno pozostać w tyle, gdyż może to zostać uznane za wykroczenie i ukarane obcięciem racji żywnościowej. Dlatego obie rosłe niewiasty gnały przed siebie, nie zwracając uwagi na więźniarkę. Zresztą, jakżeby stąd uciekła? Może biegiem...? Mimo karykaturalnej otyłości obie rumiane strażniczki były w niezwyklej formie fizycznej. Renata z najwyższym trudem nie zostawała z tyłu.

Człekoust siedział w swoim biurze za masywnym rzeźbionym biurkiem, w wielkim fotelu obitym sztuczną skórą. Mimo ogromu mebla Człekoust wydawał się rosły, wysoki, o rasowej twarzy skrywającej tajone namiętności.

– Witam w moim kraju – powiedział, nie podnosząc się z fotela. Dłonią wskazał Renacie drewniane krzesło aresztanckie.

Usiadła.

– Jak ci się tu podoba, Ponownie Urodzona? – Uśmiechnął się.

Bez wątpienia był jeszcze przystojniejszym mężczyzną niż Adams. Najprzystojniejszym, jakiego w życiu widziała Renata. Zanim poznała Adamsa, znała tylko niewolników, synów gospodarza oraz żołnierzy o zwierzęcych, brutalnych twarzach i takichże obyczajach. Człekoust wiedział o tym i wręcz próbował ją zahipnotyzować wzrokiem. Ona jednak czuła, że musi strzec się go z całej siły. Był fizycznie podobny do Hemfrii: wysoki i szczupły, jednak wzrok Hemfrii był przedłużeniem spojrzenia Renaty, jego myśli jakby następowały po jej myślach lub prowadziły je za sobą. Wzrok Uombocco był niepokojący i arogancki, myśli nieprzeniknione.

– Wiem, gdzie trafiłam. – Spojrzała na niego poważnie. – Baśnie mówiły, że Most wiedzie do szczęśliwego kraju Azahaela, gdzie kobiety są piękne jak motyle. Śledcze powiedziały mi, że to tutaj.

- Nie używaj tego imienia.
- Wiem, że tego nie wolno, ale myślałam, że to też część baśni. – Spuściła wzrok.
- Mów Człekoust albo Uombocco, tak lubię.
- Dobrze, panie.
- Czy wiesz, kto strzeże Mostu?
- Każdy most powinien mieć strażnika.
- Nie próbuj kpić ze mnie.
- Baśnie mówiły, że Strażnika Mostu wybiera spośród siebie niewieluznaczonych.
- To pewnie jakiś siłacz? – Spojrzał na nią badawczo.

– Siły winien być wielkiej, chociaż innego rodzaju. Ciało może mieć słabsze niż Engilu, kiedy go odprowadzałam na Most. Czasem nawet po jego śmierci ta siła trwa.

– Jak Sylwestra?

– Nie wiem, panie. – Spojrzała przerażona, czy nie powiedziała zbyt wiele.

– Mówiłaś o tym Adamsowi?

– Nie, panie.

– Nie musisz być aż tak oficjalna. – Człekoust wykonał nieokreślony ruch dłonią. – Szklaneczkę brandy?

Renata nie odezwała się.

– Ach, przecież w Krum nie używacie szkła. Ani nie wiecie, co to dobra brandy... – Nalał jej i podsunął szklanekę. – Skosztuj.

Renata przyjrzała się szklaneczce miodowego płynu.

– Podoba ci się szkło? – Uśmiechnął się Człekoust. – Zupełnie jakby kubek był z powietrza, prawda...?

– Wojsko używa szkła – powiedziała. – Chirurg Hjalmir trzymał medykamenty w szklanych buteleczkach.

– Nie wiedziałem... – Skrzywił się niechętnie. Cień strachu przemknął przez wyraziste oczy Renaty.

– Ale żaden gospodarz nie używał szklanek, tylko glinianych kubków – powiedziała pośpiesznie.

– Więc i szklanki już widziałaś.

Człekoust obejrzał pod światło szklaneczkę, wypił łyk, potem drugi. Spojrzał na Renatę i uśmiechnął się.

– Jak smakuje?

Ostrożnie pociągnęła łyk.

– Dziękuję, ja nie pijam samogonu.

– To przecież lepsze niż samogon.

– Podobnie smakuje. Dziękuję.

– Tu nie ma gospodarza, żeby ci zabronił. Hemfriu też nie widzi.

– Jednak nie, wybacz panie.

– To zmiataj do celi, głupia. – Piękna twarz Człekousta stężała gniewem. – W Szeolu ci siedzieć. Na nic lepszego nie zasługujesz. Wyprowadzić aresztantkę! – wezwał wartowników.

Z korytarza weszły dwie strażniczki. Te same olbrzymki, które ją tu przyprowadziły. Obawiała się, że będą ją biły, jednak została tylko odprowadzona do celi.

Ocknął się z drzemki na posadzce celi. Był zmarznięty, od kamiennej podłogi ciągnął wilgotny chłód. Warstwa pledów nie chroniła dobrze. Powoli się zebrał; bolały go mięśnie, bolała obita szczęka. Palcami sprawdził po kolei zęby: jednak nie oberwał za mocno – żaden z nich się nie kiwał.

Wczoraj Ribnyj powiedział, że za dobre sprawowanie przywróci się Adamsowi prawo do używania pryczy za dnia.

Od paru dni zmienili metody przesłuchań. Ribnyj domagał się przyznania do zabicia Ibn Khaldouniego coraz natarczywiej. Niemal codziennie bił skutego Adamsa. Zwykle starał się trafić w wątrobę, czasem przyłożył w szczękę. Wielogodzinne przesłuchanie kończył biciem.

Przedwczoraj stłukł Adamsa tak mocno, że tamtemu zaczęły się ruszać zęby, a obolała szczęka uniemożliwiła zjedzenie czegokolwiek przez cały dzień. Dopiero pod wieczór przełknął kromkę razowego chleba, rozpuszczoną w lurowatej herbacie.

Adams odnosił wrażenie, że śledczy bije go, by odreagować swoje problemy – zaczynał zwykle bez powodu, jakby zeznania więźnia zbytnio go nie obchodziły, a tylko szukał w ten sposób jakiejś rozrywki. Na ogół po laniu nie zadawał już dalszych pytań, tylko rozkazywał wyprowadzić lub – rzadziej – wywlec aresztanta.

Dzisiaj, z uwagi na spuchnięte wargi więźnia, Ribnyj oszczędzał jego twarz, bijąc w brzuch czy kopiąc w uda. Ale to też robił jakby bez przekonania. Uporał się z aresztantem w niecałą godzinę. Może chciał się urwać z roboty?

Sprawa wyjaśniła się po obiedzie. Na popołudnie znowu przewidziano dla Adamsa pokazówkę. Z ozdobnymi kajdanami mozolił się Ciaken; zapomniał, jak działa mechanizm zamykania szczęk i kłął nieobecnego Ribnyja. Przyniósł inny egzemplarz: jeszcze masywniejszy, obejmujący nie tylko przeguby dłoni, ale i szyję, jeszcze bogatszy w zdobienia.

W biurze Człekousta unosił się kwaśny, ciężki zaduch. Nikt jednak nie myślał o przewietrzeniu pomieszczenia. Leviahatannah przechadzał się szybkim, nerwowym krokiem. Zamaszyste gesty olbrzymiego mężczyzny stale zagrażały stertom dokumentów na biurku. Zastrachana harpia kulila się za każdym razem, gdy przechodził. Człekoust z krzywą gębą siedział za biurkiem i szklankę po szklance lał w siebie *pynuj*. Bezmyślny wzrok wlepił w blat biurka.

„Bili się tutaj czy co?”, pomyślał Adams. Wydawało mu się, że Człekoust ma podsiniaczone oczy, a pod nosem plamkę niedokładnie startej krwi. Jednak nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością, gdyż twarz urzędnika tonęła w cieniu.

Leviahatannah rzucił Adamsowi złe spojrzenie, zatrzymał się i założył ręce za plecy, jeszcze bardziej wypinając ogromne brzuszysko.

– Siada – rzucił.

Chwilę wpatrywał się w niego z natężeniem, ciężko posapując. Zaraz jednak odprężył się, jego twarz wygładziła się. Uspokojony, zaczął wypytywać Adamsa o pracę, o jego zawód wykonywany w Haddammie – tak nazywał świat na powierzchni.

Adams wziął się do relacjonowania odległego okresu swojego życia.

– Ale głównie piszę. Powtarzam cudze myśli, dyskutuję z nimi, analizuję; dodaję do tego swoje.

– Pisze, on pisze! – Leviahatannah wybuchnął tubalnym śmiechem, jednocześnie głośno wypuszczając wiatry.

Adams skrzywił się. Trudno było wytrzymać natężenie smrodu. Wiedział już, czym tak śmierdziało w biurze Człekousta.

– Przestań się krzywić! Co to za demonstracje?! – ryknął Leviahatannah. – Pan sra, sługa wdycha. I się zachwyca...! – Głośno roześmiał się ze swojego dowcipu.

Adams zmilczał. Gniecione dybami przeguby nawet bardzo nie bolały.

– Cała twoja aktywność to kupka papieru. Ty wiesz, ile takich kupek już widziałem?! – rozsierdził się Leviahatannah. Wrócił do nerwowego marszu między biurkiem, oknem i krzesłem aresztanta. – Piszesz. A ile to stronic? Dwa tysiące? Pięć, nie więcej – prychnął. – A ci tam u mnie na dole skrobą i skrobą, strona za stroną... Dziesiątki, setki tysięcy... Ha, a potem wszystko w ogień. Rach-ciach, na oczach autora. Ja nawet nie czytam... Wyobrażasz sobie ich gęby...?! – Znowu wybuchnął ogłuszającym śmiechem. – I co ty myślisz, śmieciu...? Co warte są twoje bzdety?

– Obojętne na jaki temat.

– Moje życie to praca. Tworzenie.

– Co...? – parsknął Leviahatannah. – Ja mam u siebie Alpy, Himalaje ludzkiej myśli. – Znowu głośno wypuścił wiatry.

– Czego? – tym razem nie wytrzymał Behetomotoh.

– No, takie kupy notatek. – Rozsierdzony władca pokazał wysoko ręką, dokąd sięgają góry myśli potępionych.

– Dlaczego wcześniej tego nie stworzyli? – przytomnie spytał Behetomotoh.

– A bo ja wiem? – Masywny olbrzym wzruszył ramionami. – Parę szklanek alkoholu i wieczór z głowy. Mój geniuszek niczego nie wykoncypował. Tak ucieka wieczór za wieczorem, potem raczek i do mogiłki. Koniec zapisu. Tak to im szło, a teraz skurwiele smarują smołą czy czymś tam innym swoje bzdety... Ale potem frajda, bo się lepiej pali.

Spojrzał na zgnębionego Adamsa.

– Co jest, pan twórca posmutniał...?

Adams nie odezwał się. Śmierdziało tak, że czuł mdłości. Kręciło mu się w głowie z niedotlenienia. „Jak się znowu zesra, to zwymiotuję”, pomyślał.

Rozwścieczony jego obojętnością, Leviahatannah nagle podbiegł do szafki z narzędziami.

– Gdzie są?! No, gdzie są?! – wrzasnął.

– Co takiego? – Uombocco zwrócił głowę ku niemu.

– No, szczypce, te wąskie!

– W prawej szufladzie, u dołu. Adams zmartwiał z przerażenia.

– Nie mogę ich znaleźć! – Ręce Leviahatannaha drżały. Uombocco podniósł się z krzesła.

– No, szybciej! Przecież cholery dostanę, jak na niego patrzę! Nie wytrzymam! – grzmiał poirytowany olbrzym. Jego mięsista twarz nabrała sinoczerwonej barwy, oczy nabiegły krwią.

Adams patrzył, jak tamten ze zręcznością niedźwiedzia podbiega, dzierżąc metalowe szczypce o długich, płaskich końcach. W chwilę później krzyczał, gdy Leviahatannah wpychał mu koniec szczypiec pod paznokieć.

Mocne szarpnięcie. W głowie aż zaćmiło się z bólu. Adams wrzeszczał, nie próbując się powstrzymać, gdyż wszelkie próby ukrywania bólu jedynie rozzuchwaliłyby okrutnika.

Tym razem skończyło się na jednym paznokciu.

– Noo! – stęknął Leviahatannah i ciężko opadł na zydel. – Nalej mi szklaneczkę – rzucił.

Behetomotoh podszedł do barku. Nalał Panu z Morza brandy. Potem obejrzał palec Adamsa i skrzywił się z niechęcią.

– Aleś ty słaby – powiedział. – Drobiazg i już się rozlatujesz. Trzeba to zawinąć. – Wezwał felczerkę, wielką, białorzęsą dziewczynę w mundurze. Miała duże, miękkie dłonie i powolne, nieporadne ruchy.

– Trzeba odkazić – powiedziała, ale owiązała gazą palec Adamsa.

– Taa... – burknął Behetomotoh i wylał na zawiniętą ranę szklaneczkę brandy.

Adams wrzasnął od eskalacji bólu. Po chwili znowu zaduch wziął górę nad bólem poranionego palca.

Gdy Leviahatannah znudzony opuścił salę przesłuchań, Człekoust podszedł do Adamsa. Podsunął mu brandy. Zaczekał, aż ten poradzi sobie z piekącym płynem.

– Dobra, nie...?

Adams potwierdził skinieniem głowy. Wypity alkohol dodawał sił.

– Właśnie. A twoja Renata nie chciała skosztować. Adams zostawił tę uwagę bez komentarza.

– Niestety, nie wolno mi uwolnić cię z dybów. Decyzja nie zależy ode mnie. Bardzo boli?

– Ręce zdrętwiały, więc nie czuję bólu.

– Alkohol je ożywi – powiedział Człəkoust. – Widzisz, Adams, u mnie nie jest całkiem tak, jak powiedział Leviahatannah. Ja potrafię docenić piękno. Wiele dzieł dotarło od moich do tych mieszkających na górze.

– Jak...? – Alkohol obudził czujność badacza. Jednocześnie wrócił ból zdartego paznokcia. Ręka mrowiła.

– Nie tylko Mostem można wędrować między miastami. – Człəkoust wzruszył ramionami. – Czasem wejdiesz komuś do snu. Zobaczy, a potem weźmie za swoje. Przecież nikt nie udowodni, że jego sen został podesłany przeze mnie... Sam byś wyśmiał takie wywody, profesorze Adams, prawda...?

– Bo lepsze kryteria, które powodują utratę części informacji, niż brak jakichkolwiek kryteriów, będący furtką dla bzdury. – Adams syknął z bólu, mrowienie narastało, palec piekł nieznośnie, jednak rozmowy nie można było przerwać, póki Człəkoust nie okaże znudzenia.

– Zdziwiłbyś się, wiedząc, ile pomysłów podesłałem na górę – rzucił urzędnik.

– Zauważyłem znakomite kawałki sztuki azteckiej.

– Ach, to też... Tamci faszerowali się halucynogenami, otwierali wrota dla przekazu. Skorzystali ze swojej szansy. Stąd tyle pięknych dzieł powstało. Nie twierdzę, że wszystko podejrzeli u moich, ale wiesz, wystarczy złapać coś nieuchwytnego, inspirację czy coś takiego, a nowe pomysły same cisną się do głowy...

Człəkousta nagle zaaferowały jakieś papiery na biurku i przestał mówić. Adams musiał czekać jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim wywiadowca odprowadził go do celi.

Po tym przesłuchaniu nastął dzień przerwy. Może chcieli, żeby rana się podgoiła? Potem przesłuchania prowadził znów Ribnyj. Podobno Leviahatannah opuścił Miasto pod Skałą, a i Behetomotoh przestał się pojawiać. Bicie na przesłuchaniach skończyło się. Wywiadowca prowadził Adama do pokoju przesłuchań, gdzie zadawał serie nudnych pytań. Adams z reguły powtarzał te same słowa, zresztą Ribnyj nie okazywał przesadnego zainteresowania jego odpowiedziami. Niezdarnie notował niektóre zdania, co niezbyt interesowało Adama, ponieważ nie był zmuszany do podpisywania zeznań. Po kilku dniach pracy wywiadowcy wezwano aresztanta do Człəkousta.

– Więc wreszcie przyznaliście się, Adams – powiedział nadkomendant.

Adams na chwilę zaniemówił.

– Ja...? Przyznałem się? – wydusił wreszcie.

– No, tak. O, tu stoi, że przyznaliście się do zabicia Ibn Khaldouniego. – Człekoust podał mu kilka kartek protokołu.

Adams uważnie przeczytał nabazgrany ołówkiem, rojący się od błędów ortograficznych tekst.

– Przecież tu nigdzie nie napisano, że się przyznałem.

– Ribnyj powiedział mi, że się przyznaliście. Notował ołówkiem, a sentencję przyznania się wymazał, jednak potem sobie przypomniał, że ją wypowiedzieliście.

– Oświadczam, że nie zabiłem Ibn Khaldouniego. Nic takiego nie zeznałem ani Ribnyjowi, ani innemu przesłuchującemu.

– To też jest możliwe. Ribnyj stwierdził, że mówiliście bardzo niewyraźnie. Możliwe, że staraliście się powiedzieć rzecz wyjątkowo cicho i bełkotliwie. Dlatego właśnie, jako solidny przesłuchujący, wygumkował niektóre fragmenty. Jednak to samo poczucie solidności zawodowej nie pozwoliło mu zmilczeć faktu waszego przyznania się.

Adams chciał dalej przeczytać, lecz Człekoust już zmierzał w kierunku komody narzędziowej. Uciekać nie miało sensu: przy drzwiach stał rosły, uzbrojony milicjant.

– Przykro mi, Adams, ale to przewiduje procedura – powiedział Człekoust, biorąc dłoń Adamsa. – Nie mogę was uwolnić od odpowiedzialności. Utrudnialiście prowadzenie śledztwa.

Jednym zdecydowanym ruchem wbił ostrze szczypiec pod paznokieć Adamsa. Ten zawył, nie musiał udawać: ból był nie do wytrzymania. Nie patrzył na okaleczaną dłoń, kiedy rozbłysk przed oczyma zaznaczył wyrwanie paznokcia.

– Lepiej przyznalibyście się do tego morderstwa. Po co tak cierpieć – powiedział Człekoust. – Wyprowadzić aresztanta i opatrzyć mu ranę – rzucił do czekającego strażnika.

Procedura przesłuchań znów uległa zmianie. Prowadzili je na zmianę Ciaken i Bielen lub z rzadka Ribnyj. Te same pytania odczytywano ze zniszczonych, zatłuszczonych kartek. Adams uważał, że ciągle z tej samej. Zwykle podsuwali mu gotowe egzemplarze jego zeznań – stale te same ozalidowe kopie, śmierdzące denaturatem. Trzeba było starannie czytać ledwie widoczne bladoniebieskie litery, ponieważ od czasu do czasu pomiędzy standardowymi odpowiedziami ukrywały się zwroty będące przyznaniem się do zamordowania Ibn Khaldouniego. Każde takie odkrycie powodowało irytację przesłuchujących, którzy musieli dostarczyć nowy egzemplarz protokołu przesłuchania, a czasem – co gorzej – własnoręcznie taki protokół wystukiwać na mechanicznej maszynie do pisania. Nawet Adams tego nie lubił, gdyż wtedy przesłuchanie przeciągało się w nieskończoność.

Zwykle śledczy nie bili go, jednak gdy zirytował ich oporem albo kiedy musieli samodzielnie układać protokół przesłuchania, wrywali mu kolejne paznokcie. Zawsze tymi samymi szczypcami z szafy narzędziowej. Na powierzchni niemytego narzędzia widniały brunatne plamy. Adams pocił się już na sam widok tego mebla. W sali przesłuchań odwracał głowę, żeby na nią nie patrzeć.

„Niedługo zacznę łać ze strachu na jej widok”, pomyślał. „Wytwarzają we mnie odruch jak u psa”.

Oglądał miejsca po zdartych paznokciach. Ostatnio wzięli się za paznokcie u nóg, u rąk bowiem zabrakło. Skóra po ich zdarciu goiła się, jednak trzeba było uważać na urazy. Na pierwszym, zdartym przez Levihatannaha, poniżej wałka paznokciowego pojawił się już pofalowany półksiężyc nowego paznokcia. Czasem przesłuchujący tylko przypalał mu skórę papierosem; często wtedy zapalały się włosy. Z reguły na przedramionach, czasem na stopach. Raz Bielenowi wpadło do głowy, żeby jeździć zapaloną zapalką wzdłuż brzucha i piersi Adamsa – po chwili kępa długich, czarnych włosów na prawym boku przesłuchiwanego zmieniła się w pochodnię. Śledczy z widoczną uciechą wysłuchiwał wrzasku płonącego Adamsa. Bielen zapomniał wydać polecenia, żeby opatrzyć ranę, i Adams dopiero z celi wezwał *medstrażniczkę*, która bez żadnych ceregieli założyła opatrunek.

Potem już wołał ją za każdym razem. Strażniczka medyczna, postawna, wysoka, młoda niewiasta, starannie opatrywała jego obrażenia po przesłuchaniach. Nauczyła go zdejmować narastające nierówno płytki paznokcia. Bolało, ale podobno dzięki temu te właściwe miały odrosnąć bardziej foremne. *Medstrażniczka* załatwiła mu też zgodę na używanie pryczy za dnia. Uważała, że leżenie przyspiesza gojenie, a zimna posadzka opóźnia. Nie dyskutował z tym.

Adams zaczął poważnie rozważać przyznanie się do zabicia Ibn Khaldouniego. Nieuchronność tortur była nie do zniesienia. Co wieczór wiedział, jakiego bólu doświadczy następnego ranka, wiedział też, że nie ma od tego odwołania. Ta świadomość kruszyła wolę, jak ziarna piasku pod obcasami przechodniów ścierają kamienne stopnie.

W czasie przesłuchań Adamsa parokrotnie zajrzał Behetomotoh. Mówił niewiele; raz lub dwa mu przyłożył; sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał jego zeznań. Na ogół zajmował się swoimi obowiązkami, przykazywał, żeby śledczy uważali na jego biurko i komodę – przesłuchania

odbywały się przecież w jego gabinecie. Raz zrobił awanturę Ribnyjowi, kiedy krew po zerwanym paznokciu nakapała na wykładzinę.

Pozbawione paznokci, gojące się palce nie miały zwykłej sprawności. Adams niezdarnie próbował zawiązać strzepy podartej kapoty. Rękaw odpruł się już prawie na połowie obwodu. Hałas na korytarzu wywołał gęsią skórę na grzbiecie. „Przecież już rano było przesłuchanie”, pomyślał. Zaczęły mu się pocić dłonie. Musiał przerwać krawieckie mozoły: palce zbyt mu drżały.

Kroki na korytarzu zbliżały się.

„Wygląda, że kroi się pokazówka”. Prestiżowe przesłuchania w obecności gościa z reguły urządzano po południu. „Dawno Grubego nie było. Pewnie znowu przylazł z dołu”.

Adams zerknął na drzwi. Stopa bolała po świeżo zdartym paznokciu. Nie było sensu podbiegać do judasza: wtedy droga do pokoju przesłuchań będzie krótsza. A tak można będzie gramolić się z rozścielonych koców. Nieuchronne nadejdzie kilkadziesiąt sekund później. Jednak opuścił stopy na posadzkę, żeby potem w pośpiechu nie urazić świeżej rany.

Tym razem jednak nie wzięli go na przesłuchanie. Funkcjonariusz Clfugg sprowadził drugiego aresztanta. Clfugg nie przesłuchiwał osobiście Adama, chociaż kilkakrotnie prowadził go do pokoju przesłuchań, pełnił straż przy drzwiach, kiedy Ciaken czy Bieleń zadawali nie kończące się serie pytań, zwykle też pomagał przytrzymać Adama, kiedy przesłuchujący bił go lub zrywał mu paznokcie. Miał szeroką, bezmyślną twarz, pokrytą dziesiątkami zaskórniaków i krótki, perkaty nos. Zamiast brwi – proste, wąskie kreski – blizny po wypadku albo operacji plastycznej, jak przypuszczał Adams.

– To wy tu jesteście...? – funkcjonariusz zdziwił się jego obecnością. – Myślałem, że cela jest już wolna... – zawahał się. – Nie szkodzi. Tak też może być.

Clfugg rozłożył nowemu pryczę.

– Ten tutaj nazywa się Adams – rzucił. – Będzie starszym sali.

Nowy spojrzął spode łba na sąsiada.

– A wy, Adams, co rano przy obchodzie będziecie składać raport o stanie sali – dodał milicjant i wyszedł.

Adams spodziewał się nowych szykan: nie miał przecież pojęcia, jak ma wyglądać forma raportu.

Nowy odstawił swój nocnik do kąta. Na pryczę rzucił zawiniątko z betami. Na zewnątrz Clfugg mocował się z nienaoliwionym zamkiem. Zgrzyt ucichł, a z korytarza dobiegło coraz cichsze człapanie funkcjonariusza.

Nowy siedział zgarbiony, stale przechodziły go dreszcze. Spod narzuconego kaptura wystawały zmierzwione, siwe włosy i długi, pogruźlowany nos. Zaniedbana broda sięgała na pierś.

– Masz gorączkę? – Adams spytał nowego.

– Jak cholera. – Szczęki tamtego dzwoniły. – Aż mi się ćmi we łbie. – Zrzucił kaptur.

Adams skądś pamiętał ten ton. Dotknął pochylonego czoła: było rozpalone.

– Człowieku, ty ledwie żyjesz. Trzeba ściągnąć *medstrażniczkę*. Znam ją, to porządna funkcjonariuszka. Nie bije bez powodu.

– Do mnie nie przyjdzie. Oni mnie tu nie leczą. Stary ułożył się na pryczy i zwinął w kłębek. – Lepiej przykryj mnie drugim kocem.

Adams spełnił jego prośbę. Koc oparł się na wystających gnatach leżącego: wysoki mężczyzna musiał być zupełnie zagłodzony.

– Podeprzyj czymś tę pryczę, bo się kiwa. Zaraz się przewróci, a ja spadnę.

Adams z niedowierzaniem spojrzał na nieruchomy blat, solidnie zawieszony na dwóch grubych łańcuchach.

– Pewnie zamocowane – powiedział. – Porządna robota.

– Aha. Ale dzisiaj kołysze. Pewnie będzie sztorm – jęknął stary. – Gdzie oni mnie znowu wiozą?

Adams pobiegł po wiadro. W ostatniej chwili zdążył je podstawić choremu. Celę wypełnił żrący odór wymiocin.

– Dyżurna! Strażniczka dyżurna! – Adams zawołał do kratek judasza. – Potrzebna *medstrażniczka*.

Nowy przestał wymiotować; teraz oddychał chrapliwie, ale równo, może zapadł w drzemkę.

Na korytarzu załomotały podkute buciory. Jednak to nie była *medstrażniczka*, a Ribnyj i jego tępą, zaciętą, ponurą gębą. Czuć było od niego grochówkę, jeszcze coś tam mamlał w gębie. Jednym uchem słuchał Adamsa. Niechętnie zerkał na wijącego się po łóżku starego.

– Wezwę babę – burknął. – Az wami chce rozmawiać nadkomendant. Poprawcie te swoje łachy, Adams. Zapiąć guziki, wszystkie i równo. Koszula do gaci. Wyglądacie jak łajza.

Adams poprawiał odzienie.

– Nos chce urwać od tych rzygowin – powiedział Ribnyj.

– Ten człowiek jest ciężko chory.

– Obrzygał was?

– Nie.

– Dobra. Idziemy.

Na korytarzu dla odmiany cuchnęło zgnilizną i psimi odchodami. Ścierwo psa milicyjnego wciąż nie zostało usunięte. Przybyło nowych kup, starych nikt nie uprzątnął. Minał ich patrol szeregowych funkcjonariuszy z psami bez kagańców. Dowódca niedbale przeglądał jakiś raport. Zapienione z wściekłości rottweilery usiłowały zerwać się z uwięzi i rzucić do gardła aresztanta. Adams kulił się przed rozzartymi pyskami.

Umbocco siedział za swym biurkiem. Studiował jakieś raporty. Dziś wciągnął na siebie paradny mundur milicji: z pagonami, lampasami i akselbantami. Ordery jednak zastąpił skromnymi baretkami. Po chwili podniósł oczy znad papierów.

Kazał Adamsowi usiąść.

– Śledztwo zostało zakończone, potwierdzając wasz decydujący udział w śmierci Ibn Khaldouniego. Nie można wykluczyć, że przerażony waszym zachowaniem, zmarł na zawał serca, zanim zadaliście mu ciosy lub w trakcie ich zadawania, jednak ta okoliczność nie zwalnia was od odpowiedzialności. Egzekucja zostanie przeprowadzona jutro o świcie. Mam tu dla was regulamin. Zapoznacie się z nim przez wieczór, żeby jutro wiedzieć co i jak. To żalosne widowisko, kiedy skazaniec nie wie, co ma robić. – Umbocco sięgnął po kilka kartek spiętych zardzewiałym spinaczem. Błdych, ozalidowych kopii regulaminu egzekucji. Jeszcze śmierdziały alkoholem technicznym.

– Przecież Ibn Khaldouni żyje! – krzyknął desperacko Adams. – Jakże mogę zostać stracony za jego zabicie!?

– Coo...? – Twarz Człękousta skrzywiła się w wyrazie szczerzego zdziwienia. – Jak to żyje!? A te wszystkie materiały? – Potrząsnął grubym segregatorem pełnym raportów, zaświadczeń i zdjęć. – Skąd niby się to wzięło...?

– Zwyczajnie: Ibn Khaldouni żyje. Od rana siedzę z nim w celi. Clfugg go sprowadził.

– Co...!? W celi? – Umbocco złapał słuchawkę i wykręcił odpowiednią liczbę. Niecierpliwie stuknął w widełki.

Wypytywał funkcjonariusza po drugiej stronie. Nagle wrzasnął do słuchawki:

– Jakie niedopatrzenie?! Co miał dopiero jutro do tej celi!?

Czytam mu rozkład czynności przy egzekucji, a tu nagle się dowiaduję! Co to? Oczami mam świecić przed skazańcem!? Co przepraszacie! Co mnie obchodzi wasz zaplamiony grafik?! Co wy ze mnie wała robicie, Bieleń?!
Czytam mu rozkład czynności przy egzekucji, a tu nagle się dowiaduję! Co to? Oczami mam świecić przed skazańcem!? Co przepraszacie! Co mnie obchodzi wasz zaplamiony grafik?! Co wy ze mnie wała robicie, Bieleń?!

Umbocco poczerwieniał na twarzy. Wyszczерzył zęby. Zerwał się z fotela i zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu. Adams zwinął palce. Zerkał odruchowo na szafę narzędziową.

– Wobec Bielenia zostaną wyciągnięte konsekwencje służbowe – rzucił do Adamsa jeszcze podniesionym głosem.

– Zawdzięczam mu życie.

– Co „życie”...? Własnoręcznie rozszarpię go na strzępy i pożrę kawałek po kawałku!

Adams wpatrywał się w Uombocco wielkimi oczyma. Nadkomendant uspokajał się powoli. Usiadł wreszcie, jego twarz wracała do normalnych kolorów. Znowu zatopił się w myślach.

– Wyprowadzić przesłuchiwanego – rozkazał wreszcie. Rano Adamsa nie wzięto na przesłuchanie. Zresztą nie miał już ani jednego paznokcia, a nowe nie zdążyły odrosnąć. Sublokator przespał aż do popołudnia.

Wreszcie otworzył oczy, nawet usiadł na pryczy. Sen go wzmocnił; przesilenie choroby jakby już minęło.

– Ibn Khaldouni, poznajesz mnie?

– Co mam nie poznawać. Nie zostawiłeś mi części swojej racji?

– Nie... Nie wiedziałem.

– Oni mnie tutaj chcą zgłodzić. Nie wydają mi racji. Kiedyś napisałem, że do głodu można się przyzwyczać, i to jest chyba ich szyderstwo w odpowiedzi.

– Na wieczór będzie osłodzona herbata. Może rzucą kromkę chleba.

– Jem tylko, kiedy się kto ze mną podzieli albo jak wygram ze strażnikiem. Ostatnio stale przegrywałem.

– Wyglądasz jak cień.

– Jednak żyję. Było więc trochę racji w tym, co napisałem.

– A ja żyję dzięki tobie. Cały czas oskarżali mnie o zamordowanie ciebie. Dopiero dzisiaj im udowodniłem, że to nieprawda. Trudno było, bo wcześniej widziałem twoje zwłoki. Po głuchym telefonie, pomyślałem, że od ciebie, przybiegłem do twojego pokoju hotelowego, a tam leżałeś skrwawiony i martwy. Zaraz potem w tym pokoju nakryła mnie sprowadzona przez kogoś milicja.

– Jedyne rany odniosłem tutaj od ich pięści albo pałek.

– Leżałeś z wbitym nożem, a ktoś twoją krwią pomazał ściany.

– Raz myłem się z krwi po przesłuchaniu, chociaż nie miałem świeżych ran. Musieli mi zdrowo dołożyć, bo obudziłem się w celi. Ta nie wyjaśniona krew to jedyna dziwniejsza rzecz, jaką pamiętam. Tylko wtedy mogli mnie gdzieś podłożyć. Zaraz potem ktoś mnie zdjął z rejestru

więźniów i wstrzymali mi żarcie. Zaczęli mnie głodzić. Mają tu cholerny bałagan.

– Pieprzona prowokacja.

Na wieczór więźniom wydano dwie porcje posiłku. Ibn Khaldouni nie wierzył w swoje szczęście. Łapczywie pochłoniął porcję gotowanej kaszy. Przez pół nocy wił się z bólu na pryczy. Co kilkadziesiąt minut zrywał się na kibel. Wnętrznosci odwykłe od trawienia niechętnie brały się do pracy.

Szczęśliwie kasza była bez omasty i skończyło się tylko na boleściach. Ibn Khaldouni wracał do zdrowia. Przesłuchania Adamsa urwały się: widocznie ktoś rozważał, jak poradzić sobie z zaistniałą sytuacją.

Dla Adamsa było jasne: niewinny powinien zostać zwolniony – prawdopodobnie nie uda się uzyskać odszkodowania za niesłuszne aresztowanie i obrażenia w czasie przesłuchań. Powinni też zwolnić Renatę, przecież na nią nic nie mają.

Niestety, anonimowy decydent nie zajmował stanowiska.

Jednakże ani Adams, ani Ibn Khaldouni nie zostali zwolnieni. Podobno Adamsowi przestało przysługiwać pomieszczenie aresztanckie w związku z wycofaniem zarzutów. Przeniesiono ich obu do regularnej celi, mieszczącej się w przyziomie, kilka kondygnacji niżej. Pomieszczenie było zimne, przez judasz czasami dolatywał znajomy odór kanału. Po deszczach instalacja się zatykała, wtedy w latrynie strażników wywalało fekalia.

Blade światło poranka wlało wreszcie do celi. Obaj czekali, aż rozproszy się mrok nocy. Adams nauczył się budzić przed świtem. Ibn Khaldouni umiał cieszyć się tą przyjemnością już wcześniej. Adams, okutany pledem, kiwał się teraz z zimna w kącie; Ibn Khaldouni siedział na drewnianej ławie, udając, że wilgotny ziąb się go nie ima.

– Nie spotykałem cię na uniwersytecie, nawet kiedy mnie tam jeszcze wpuszczali – powiedział Adams.

– Jestem historykiem.

– Właśnie. Ja przecież też jestem historykiem cywilizacji. Czy ty jesteś moim *alter ego*, Ibn Khaldouni?

– Czego ty jeszcze nie wymyślisz, Adams? Chyba nie uważasz, że jesteśmy identyczni? – prychnął.

– Zajmujemy się tym samym.

– Przepraszam, to ja wymyśliłem historię cywilizacji, ty się nią zajmujesz.

– Wymyśliłeś socjologię.

– Chcesz się przerzucać słowami...?

– Tyle rzeczy dowiedziałem się od ciebie, a przecież dawno nie żyjesz, Ibn Khaldouni.

– Co znowu zaczynasz? – Ibn Khaldouni machnął ręką. – Przejście Mostem nazywasz śmiercią? Chcesz, to ci przyłożę. Poczujesz, bracie, że tu, po tej stronie, jest tak samo realnie, jak tam na górze. No co, przyłożyć...?

– Most nie kończy się w tym mieście, prowadzi znacznie głębiej. Tam byłem rabem, tyrałem jak wół w gospodarstwie Hrabana, broniłem Mrocznej Przełęczy, też w randze oficera. Nie dasz rady staremu wiarusowi, profesorce historii... I to jeszcze jako rekonwalescent po przedłużonej głodówce.

– Kariera zrobiona w miesiąc... Rzeczywiście, zeszczuplałeś, opaliłeś się, wyglądasz znakomicie. Pomyślałem, że znowu roisz, jakobyś śnił.

– Nie wątpię w rzeczywistość tej celi i tego miasta. Ale skoro jest druga strona, to po niej ma być nadzieja. A ty, człek wzorowy, tkwisz tu, w wilgotnym pierdłu, i nic nie wskazuje, że z niego wkrótce wyjdiesz.

– Sam to wybrałem.

– Śmierć głodową...?

– Nie śmierć głodową, tylko bytowanie tutaj.

– Sam wybrałeś ten cholerny pierdel Człekousta?

– Jasne. Liczyłem się z tym, że mogą mnie posadzić do pierdła. Ale tylko bytując wśród was, może uda mi się zrozumieć, co w was takiego szczególnego. Prawdopodobnie mógłbym w części z tego uniknąć, gdybym się wycofał.

– No nie, ja nie mogę! Toż ja bym wszystko zrobił, żeby wreszcie stąd wyleźć, wyciągnąć Renatę i razem na górę – A ty tu siedzisz z własnej woli...?!

– Można tak powiedzieć. Zresztą, nie sądzę, żebyś zrobił rzeczywiście wszystko, by stąd wyjść. Uważam też, że Renata jest blisko i jeśli sam tak nie zdecydujesz, to jej nie stracisz.

– Chciałbym, żeby na mnie czekała.

Było już na tyle jasno, żeby rozpocząć wędrówkę wokół ścian celi. Ale nawet dość powolny spacer wreszcie zmęczy i znudzi. Znowu przysiedli na pryczach.

– Rzeczywiście jesteś tym samym Ibn Khaldounim, o którym czytałem?

– Mam ci przytakiwać, Adams? Nie chce mi się gęby otwierać, bo nie mam żadnych wątpliwości, że moje gadanie cokolwiek tu zmieni.

– Ale mógłbyś jakoś mnie upewnić. Mnie też niełatwo uwierzyć w twoją tożsamość.

– Co chcesz?

– Skoro jak twierdzisz, wędrujesz między czasami...

– Rozmawiałem z przychodzącymi z różnych czasów.

– To niektóre z nich następowały po moich.

– Nie spodziewaj się, że ci coś opowiem. Tego nie wolno.

– Nic a nic?

– Słownego zakazu nie dostałem, ale nie zdołałem ci powiedzieć tylko czegoś, z czego byś skorzystał.

– Ale ja przecież mogę o wszystko zapytać.

– Tyle że najważniejszego nie pamiętam albo nie wiem.

– A pamiętasz cokolwiek?

– Pamiętam całkiem sporo.

– To zasuwaj. Do obiadu jeszcze ze trzy godziny.

– Za twoich czasów w sztuce panowała tendencja, która wydawała ci się nieuniknionym następstwem rozwoju sztuki.

– No, proszę. – Adams spojrzał z zainteresowaniem.

– Zacznijmy od początku. Wiesz, kim był Hubert van Eyck?

– On nie istniał.

– Istniał. Współcześni twierdzili, że to malarz większy od Jana. Całe życie malował jeden obraz, ale nie zdążył go skończyć. Skończył to dzieło jego brat, Jan właśnie. Skoro Hubert nie namalował innego obrazu, zwątpiono w jego istnienie.

– Przez całe życie namalował kilka paneli polptyku?

– Większość. Hubert van Eyck jest przykładem na to, jak średniowieczny malarz rozumiał swoją pracę. Wiesz, takie aż bolesne dążenie do prawdy. Jego polptyk możesz oglądać z każdej odległości – nie rozjedzie ci się w mgławicę małżów.

– Jednak ma trochę usterek. Postaci są nieruchome, ich twarze często podobne.

– Schrząnął robotę, jak nie umiał czegoś oddać. Jednak dla niego każde świadome uproszczenie było kłamstwem.

– Wielu po nim było większych.

– Tak, to prawda. Ale gdzieś w okolicy Rubensa nastąpiła zmiana: ktoś zauważył, że duży obraz ogląda się z daleka, więc nie ma co wysilać się na dokładne oddawanie detalu.

– Trochę wcześniej to zauważono. Tycjan akurat.

– Dobra. To przytomne spostrzeżenie nieoczekiwanie spowodowało, że małżgi rosły i rosły. Aż zostały tylko małżgi.

– Lubię niektóre takie obrazy.

– Ja też. Powstało tą drogą wiele wartościowych prac. Tak maluje się szybciej. W ciągu życia uda się namalować więcej niż kilkanaście paneli jednego polptyku. Jednakże ta droga wyglądała na jednokierunkową. Małżgi muszą rosnąć.

– To też dość przytomne spostrzeżenie. Skoro nauczono się malować sprawniej, kto wróci do dawnej żmudnej metody?

– A właśnie wróci. Po twoich nadejdą czasy, kiedy znów powstaną arcydzieła formatu polptyku gandawskiego. Pojedyncze, wielkie dzieła, malowane przez całą karierę zawodową autora.

Na dodatek powstaną w Europie. To jest właśnie przekaz o czasach, które dla ciebie dopiero nadejdą.

– A komuż by chciało się robić taką mrówczą pracę?

– Znajdą się tacy. Będzie ich całkiem sporo.

– Dlaczego? Potrafisz wyjaśnić coś tak dziwnego?

– Tak.

Ibn Khaldouni umilkł i uważnie wpatrywał się w Adamsa. Milczenie przedłużało się.

– No powiedzże wreszcie. Nie daj się prosić.

– Czekałem tylko, czy zadziała jakaś blokada.

– Kiedyś już zauważyłeś jej działanie?

– Nie pamiętam.

– Wyjaśnij.

– Malarz spodziewa się zarobić w ciągu życia godną kwotę. Ot, tyle, żeby starczyło mu na rozsądnie pojęte przyjemności. Wiesz: podróże, kobiety, miejsce do życia, spokój do malowania. Jeśli trafi się dość bogaty miłośnik sztuki, żeby kupić całą karierę malarza, to ten przez całe życie będzie malował dla niego jeden obraz.

– Malarz może się rozzuchwalić. Żądać kroci za swoją pracę.

– To się go zastąpi innym chętnym. Dlatego nie zażąda. Jest też inny powód: naprawdę twórca jest człowiekiem dość ascetycznym, jeśli lubi tak trudny i mozolny fach, jakim jest tworzenie.

– Twórca pragnie sławy.

– Jasne. Dlatego bogaty sponsor musi mu to zapewnić. Transmisje z procesu tworzenia... i takie tam.

– Bogaty koneser, kupując życie malarza, nie ma gwarancji, że od razu powstanie poliptyk gandawski.

– Gwarancji nie ma. Ale jeśli będzie wystarczająco dużo bogatych miłośników sztuki, a proceder stanie się popularny, to wśród kupionych znajdzie się talent miary Huberta van Eycka.

– Cieszę się, że powstanie dzieło na miarę jego dzieła.

– Niekoniecznie jest się z czego cieszyć.

Adams spojrział na niego zdziwiony. „Obrazy malowano pośpiesznie, bo było wielu ludzi mogących kupić obraz, ale tani, a przynajmniej nie za drogi”, domyślił się. „Jak się ma wybór, to opłaca się raczej malować wiele obrazów tańszych”, jednak nie spytał o słuszność tej myśli – a nuż zadziała blokada w rodzaju milicjantów z pałkami.

Jedyną rozrywką było gadanie. Zwykle opowiadał Adams. Historia drogi do Krum, potem niewoli u Hrabana, wreszcie służby na Linii i pamiętnej wyprawy dawała się podzielić na dziesiątki epizodów. Ibn Khaldouni próbował analizować jego wspomnienia.

– Solidarność wśród Szczurów jest cechą niezbędną do utworzenia społeczeństwa. Wasze zależności służbowe nie były tu najważniejsze.

– Byli tacy, co poszli w ogień za dowódcą.

– To właśnie ta solidarność i zaufanie. Tu decyduje duma oraz umiłowanie wolności. To są cechy pierwotne, ale i najistotniejsze zespołu ludzi. Dlatego nawet Czarne chciały przechodzić na waszą stronę. Potem jednak w mieście te zalety giną, zastępuje je służalczość i uległość, a władca stara się przejąć jak najwięcej władzy. Wreszcie miasto starzeje się i upada. Póki *sotnikiem* jest *oberszczur*, człowiek nawykły do wolności swoich podwładnych, upadek Krum nie grozi. Mimo że stale jest kontrolowane przez *behmetim*.

– Jeśli Reutel narzuci swoją władzę Obermacajbabie.

– Tak. W przeciwnym razie byłby to początek końca Krum. Dotąd udało się w Krum połączyć dwie zalety różnych społeczeństw – powiedział Ibn Khaldouni. – Dlatego jeśli ich militarnie nie pokonają, sami nie upadną.

– Obecnie jest nieźle, bo legiony trzymają ufortyfikowaną grań. – Adams starannie wyskrobywał grysik z miski. – Strach wspominać, po jakich ścieżkach musiałem ganiać pod ich ogniem – wąskie, nachylone ku przepaści półeczki pokryte szutrowatym piargiem. Strach myśleć, a co dopiero po nich gonić.

– Mnie zdarzyło się kiedyś zjechać w koszu z wysokich murów miejskich. Też emocjonujące. A po co się pchaliście w tak parszywy teren? Nie lepiej było trzymać front w wygodniejszym miejscu?

– Na zboczu bylibyśmy jak tarcza dla ich kamieni czy strzał, a wybrzeże to ledwie wąski pasek uprawnego terenu.

– Ale Czarne niechętnie penetrowały Stronę Człowieka.

– Właśnie z powodu naszego oporu. Ośmielone naszą beczynnością, prędzej czy później zlałyby do Krum. Lepiej było trzymać front na linii wytyczonej przez Hevrensza-Trzy-Palce.

Kiedy indziej Adams opowiedział historię Griety.

– I rozebrała się przy tobie? Na gościńcu koło przechodzącej kolumny?

– Żeby mi pokazać, jak ją atakują.

– Była głupia.

– Głupia? Przecież wraca tam, aby gromadzić wiedzę.

– Jeszcze szuka wiedzy, skoro aż tam była? To Głupia Grieta – Ibn Khaldouni skwitował bezlitośnie.

„Przesłuchania ustały, tylko ja godzinami relacjonuję swoją historię”, pomyślał Adams. „Gdzieś przecież muszą być ukryte mikrofony, a sam dobrowolnie wywlekam szczegóły swojego życiorysu. Trzeba tu więcej ostrożności”. Rozejrzał się po sali, a potem spojrzał na Ibn Khaldouniego.

Ten odpowiedział mu znaczącym spojrzeniem.

– Ciebie wiąże z tym miastem znacznie więcej niż mnie.

Ibn Khaldouni usiadł w kucki na ławce z nieheblowanych desek, którą rano przyniósł im strażnik. Po wycofaniu zarzutów Adamsowi przysługiwało krzesło. W magazynie akurat mieli ławeczkę. Starczała dla obu.

– Nie jestem przekonany.

– Znasz więcej jego zagadek.

– Znać nie znaczy rozwiązać.

– Jednak część z nich rozwiązałeś?

– Prawdopodobnie tak.

– Poznałem tu kiedyś dziewczynę. Nazywała się Liliane, była Francuzką. Potem jakby zmieniła się w kogoś innego, pofrunęła.

– Przecież ją pamiętam.

– Jak ona się naprawdę nazywała?

– Nie powiem ci. – Ibn Khaldouni rozejrzał się dookoła, następnie zebrał się z ławki, przykucnął w kącie celi, gdzie zebrała się warstewka piasku czy pyłu, i palcem napisał: „Llth”.

– Kropki? – spytał Adams.

– Co...?

– Nie dziwi cię, że niektóre litery mają kropki?

– Prawda. Są też kropki, po jednej.

Adams uzupełnił je wedle tutejszej reguły samogłoskami: „Lilituhu”. Słyszał kiedyś podobnie

brzmiące imię od Człekousta.

Odtąd stałym elementem rozmów stało się pisanie palcem po zakurzonej posadzce. Trzeba było podejść, schylić się i wyrysować właściwe litery. Kurzu było za mało, aby zmieściło się całe zdanie. Ibn Khaldouni godzinami łaził po celi, więc za kolejnym okrażeniem czytał przekaz. Nieco gorzej było w drugą stronę, bo chudy jak wieszak filozof kuczał teatralnie i hałaśliwie. Najmniej rozgarnięty klawisz musiał odgadnąć, co ten ukrywa!

Obaj siedzieli naprzeciw siebie na pryczach.

– Zawsze zastanawiałem się, dlaczego te same rzeczy mają wiele nazw. To przecież rozrzutność. Liter nie jest wiele, a przez to krótkich słów też nie ma w nadmiarze.

– Ale nazwy tej samej rzeczy nie zawsze znaczą tyle samo. Oddają niejako jej różne strony. – Ibn Khaldouni lubił filozofować; nie zauważył zamiaru Adamsa.

– Ale jedne bardziej, inne jakby mniej starannie.

– Na pewno, ale trudno tu o jakąś sensowną skalę. „Khaldouni, chłopie, przestańże to roztrząsać...”, pomyślał niechętnie Adams.

– Myślę, że każdy z nas może porządkować je sobie na własny użytek – powiedział.

– Tak, tak... – Ibn Khaldouniego to ożywiło. Zerwał się i zaczął nerwowo krążyć. – Jasne. Potem to już tylko problem, jak te skale ujednoczyć. – Spojrzał bystro na Adamsa.

– My dwaj możemy te skale ujednoczyć.

– Całkiem możliwe – przerwał mu Ibn Khaldouni. – Wspólne obserwacje. Siedzimy tu przecież już trochę czasu.

– Możemy tę skalę ujednoczyć – powtórzył Adams. Ibn Khaldouni odpowiedział spojrzeniem.

– Nasz dobry pan, Człekoust, bardzo rozsądnie administruje Miastem pod Skalą.

– Tak.

– Nasz dobry pan, Uombocco – Adams zaakcentował tę nazwę – ponosi większość trudów zarządzania.

Ibn Khaldouni skrzywił się niechętnie.

– Tak – rzucił i wystartował do wędrówki.

W znanym kącie celi schylił się, a następnie coś napisał palcem w kurzu. Potem wykonał jeszcze parę okrażeń i mógł już spokojnie usiąść.

– Sprawność jego administracji widać nawet tutaj. Posiłki przynoszone są zawsze punktualnie.

Adams ruszył jego śladem. Nie trzeba było się schylać, aby dojrzeć wielgachne kulfony nagryzłone kościstym paluchem Ibn Khaldouniego: „Zhl”. Apostrof przed pierwszą literą oznaczał samogłoskę. Prawdziwe imię Człekousta brzmiało najprawdopodobniej „Azahael” lub „Ezahael”. Uśmiechnął się.

– W Dolnym Mieście też wszystko działało bez zarzutu dzięki Panu z Morza. – Znowu dłuższe spojrzenie.

Powtórzył się teatrzyk spaceru i nic nie znaczących uwag. „Szmhzej”. „Szemahzej” albo „Szamhzej”, próbował zgadnąć w myśli Adams. Dlaczego pisząc to, Ibn Khaldouni kręcił głową?

Właściwie nie było wiadomo, na ile potrzebny był ten cyrk, jak często i w jaki sposób byli podsłuchiwani przez strażników, ale żaden z nich nie miał ochoty oberwać za gadanie na niedozwolone tematy.

Bezkarność ośmiela konspiratorów. Z każdym dniem obaj więźniowie poruszali coraz bardziej ryzykowne tematy. Wymykało się im coraz więcej stwierdzeń, na które nie odważyliby się wcześniej. Reakcji strażników nie było, więc świadomość, że są kontrolowani, odsuwała się w niepamięć.

Adams zaczął podejrzewać, że to oni sami narzucili sobie ograniczenia znacznie przekraczające wymagania pilnujących ich funkcjonariuszy.

– Dwudziesty wiek... – zamyślił się Ibn Khaldouni. – Wiek malarzy, którzy nie umieli malować, i rzeźbiarzy, którzy nie umieli rzeźbić. – Celowo rzucił kontrowersyjny temat, bo Adams był dzisiaj wyjątkowo mrukliwy.

– No, bez przesady! – prychnął Adams. – Nie powiesz mi, że cała sztuka dwudziestowieczna to chłam.

– Oczywiście, że nie. Dobry malarz zdoła coś stworzyć nawet w niesprzyjających warunkach. Ja po prostu powtórzyłem opinię o sztuce waszego wieku.

– Niesprzyjających warunkach...? Przecież artystom powodzi się jak nigdy wcześniej! Nigdy dotąd tak wielu ludzi nie zajmowało się sztuką...!

– Powszechna pogarda dla piękna i doskonałości jest poważnym utrudnieniem dla twórcy. Egzystowała wtedy nawet cała grupa ludzi, których historycy nazywali później „artystami dotacyjnymi”. Ci ludzie pogardliwie nazywali mistrzów w swoim fachu „artystami komercyjnymi”, a ostentacyjnie wykonywali rzeczy, których nikt by nie kupił, a nawet takie, których jak dłubania w uchu, kupić się nie da wcale. Najważniejszą częścią ich działalności było obszerne przekonywanie, że to, co czynią, jest sztuką, połączone z atakiem, że tylko głupcy nie potrafią ich zrozumieć. Sam wiesz, jak trudno jest podważyć starannie przygotowany, choć błędny wywód. Nudne to, męczące, każdy na dodatek myśli, że może to on sam się pomylił, a jeśli jest politykiem, to na dodatek śmiertelnie obawia się kompromitacji. Wykorzystanie tych spostrzeżeń zapewniało tej grupie ludzi w sprzyjających okolicznościach całkiem znośną egzystencję wyłącznie za dotacje państwa. Oczywiście, że darmowe pieniądze zniechęcają do jakiegokolwiek wysiłku.

– Tak to widzisz...? – Adams skubał po kawałeczku z kromki chleba. Wygrali ją od Ciakena w kości. Śledczy miał poważne kłopoty z rachunkiem prawdopodobieństwa i sromotnie przegrał w pokera.

– Rozchmurz się, Adams. W twoich czasach też dobrze malowano. Tyle że najlepsi nie byli najgłośniejsi, przynajmniej nie najgłośniejsi według ciebie.

– Możesz wymienić nazwiska tych najlepszych?

Ibn Khaldouni rozejrzał się bezradnie. Zmierzył dłonią rzadkie, siwe włosy. Obszar łysiny szerzej wyłonił się spod kudłów.

– Nie pamiętam ani jednego nazwiska...? A mam je na końcu języka. Przynajmniej dziesięć.

– Blokada...?

Ibn Khaldouni przechadzał się nerwowo.

– No, blokada. – Machnął bezradnie rękoma. – Wygląda, że zadziałała. Nie pamiętam, którzy spośród nich zostali uznani przez potomnych.

– Ale nazwiska twórców dwudziestowiecznych pamiętasz? Jeśli nie, to mogę ci ich podsunąć.

– Ależ pamiętam całą rzeszę. Tyle że nie powiem, kto z nich co wart, a kto bezwartościowy.

Adams naciągnął koc pod szyję. Dolegało mu gardło. Czuł, jakby zastąpiono mu je czym innym, marnie nadającym się do przełykania. Chciał wygrzać nieznośne bakcyle.

„Ależ właśnie ta blokada to najlepszy znak dla mnie”, pomyślał. „To wspaniała obietnica”. Jednak następna myśl rozwiała jego dobry humor: „Jeśli nie chodzi tu o wzbudzenie we mnie fałszywej nadziei”. Zmarkotniał.

Łagodna forma blokady ośmieliła ich. Warto przetestować jej zasięg, skoro za naruszenie nie groziło ani pobicie, ani ograniczenie racji żywnościowej.

– Jedność światów jest postulatem, który wydaje mi się oczywisty – rozważał Ibn Khaldouni. – Oznacza ona ten sam skład substancyj, te same prawa nimi rządzące. – Lubił przemawiać, chodząc, wtedy często zapominał się, przesadnie gestykułował i machał ramionami jak wiatrak.

– Tamten, dolny świat istotnie różnił się od tego tutaj, Ibn Khaldouni – Adams wytrącił go z uderzenia. – Napotkałem tam Czarnych, a tak właśnie i wy, i my przedstawialiśmy *behmetim* czy *lewtanim*.

– Skoro wyglądały jak *behmetim* czy *lewtanim*, to mogły nimi być. Ja nie mam wątpliwości, że otacza nas wielu *lewtanim*, ludzi drugiego rodzaju. Dlaczego więc tam miałyby być inaczej...?

– Czarne nie były *behmetim*.

– Skąd ta pewność? – Wydatny nos Ibn Khaldouniego przypominał orli dziób.

– Dwa zasadnicze powody: można je było zabijać i rozmnażały się. Były człekopodobnymi stworzeniami obdarzonymi rozumem; co najwyżej sługami *behmetim*. Mogły być ludźmi albo potomkami ludzi skażonych kontaktem z Płomienistymi Wrotami, skoro wydawały potomstwo o różnym stopniu zmian. W Dolnym Mieście mówiono na to zjawisko „Ukąszenie Ognia”.

– Skądże miałyby się wziąć takie stwory. Demon nie jest kreatywny, więc ich też nie mógł stworzyć. Dlaczego tam miałyby istnieć istoty żywe inne niż tutaj, jakieś wybrane jego sługi? – Ibn Khaldouni ruszył wzdłuż ścian celi.

Przecież historia istot żywych to historia nieustannego wymierania. Umiejętnie ułatwiając wymieranie niechcianych gatunków, można według swego zamysłu uformować świat cudzych stworzeń. A skłaniać do wymierania to on może...

– Ale Czarnych nie ma ani tutaj, ani w Haddammie.

– Może obecnie ani tu, ani tam nie docierają. Sporo ich przedstawień, więc może kiedyś były w Haddammie, a może znowu się pojawią.

Chwilę obaj milczeli.

– Nie rozumiem natomiast tych dziwnych kaprysów czasu – Adams podjął po chwili. – Jakby im bliżej końca Mostu, tym czas biegł szybciej, a wreszcie na płaskowyżu wyprawiał dziwne harce.

– Skoro tamta strona jest bezczasowa, to im jej bliżej, ogólna zasada świata załamuje się coraz bardziej. – Ibn Khaldouni usiadł w kucki i poruszył wielkim paluchem stopy. – Jestem głodny – powiedział. – Dlaczego nigdy nie wiadomo, kiedy przyniosą jedzenie? Powinny być tu przecież jakieś reguły. Wtedy moglibyśmy się przyzwyczaić do głodu.

– Nawet jak przyniosą w porę, to specjalnie rozlewają zupę. Przecież nie jest trudno trafić chochlą do miski.

Doszedł ich hałas z korytarza. Może to z opóźnieniem zadziałała bariera ograniczająca wymianę informacji?

Ciaken chwilę mozolił się z zamkiem.

– Adams – rzucił. – Człəkoust chce z wami rozmawiać. Przed wyjściem z celi skuł więźnia.

Umbocco siedział za biurkiem, obie dłonie wsparł o blat. Adamsa posadzono na taborecie naprzeciw niego.

– Rozkuć aresztanta – rzucił.

Adams skwapliwie wziął się do rozcierania zdrętwiałych przegubów.

– Postanowiłem wycofać wobec was zarzut zamordowania Ibn Khaldouniego.

– Czy w takim razie jestem wolny?

– To nie zależy tylko ode mnie. – Człəkoust spojrzał krzywo. Adams znieruchomiał.

– Jak się domyślacie, waszego zwrotu domaga się pan Leviahatannah. Pozostawiliście za sobą sporo niezakończonych spraw.

Sprawdzały się najgorsze przeczucia. Perspektywa powrotu na powierzchnię oddalała się.

– Skoro uciekłem z Miasta pod Skałą, to mój pobyt w Krum był nielegalny.

– Tak. Trzymając się tej linii obrony, może uda mi się nie dopuścić do wydania was Leviahatannahowi, Adams, lub przynajmniej ograniczyć wasz rekompensacyjny pobyt w Dolnym Mieście.

Adams dopiero teraz zaczął bać się naprawdę.

– Wtedy jednak sprawa powrotu Renaty jest raczej przesądzona. Ta sama argumentacja, to znaczy oparta na analizie legalności pobytu, niezbitcie pokaże, że dziewczyna powinna zostać zawrócona do Krum. Na dodatek pojawia się kwestia oszustw finansowych.

– Oszustw finansowych...?

– No, tak. Niespłacone *tarhatum*. Niewyjaśniony ubytek w rejestrze obywatelskim.

– Można zarzucić linię obrony opartą o brak legalności mojego pobytu w Krum?

Człekoust przyjrzał się mu uważnie.

– Nie wiem. Nie wiem, jak będzie argumentował Leviahatannah.

– Więc co teraz będzie z Renatą...?

– Do podjęcia decyzji pozostanie w Mieście pod Skałą. – Człekoust uniósł brwi.

Następnego dnia Adams znowu został na krótko wezwany do Człekousta. Nie założono mu kajdanek. Czarna harpia na biurku siedziała na swojej ptasiej masce. Dwuznacznie uśmiechała się do Adamsa i rytmicznie to składała, to rozpościerała skrzydła; jednocześnie, dla utrzymania równowagi, szeroko rozstawiała nogi.

– Gdyby przedstawiono wam wybór, to gdzie chcielibyście pozostać: w Krum czy, w Mieście pod Skałą?

– Tam, gdzie zostanie Renata. Chcę być z nią.

– Sprawa Ewy Renaty nie jest przedmiotem tej decyzji. Gdzie wolelibyście pozostać?

– Tutaj. W Mieście pod Skałą.

Uombocco skinął głową i coś odnotował w aktach.

– Właściwie byłem pewien waszej decyzji, Adams, jednak musiała paść z waszych ust. – Uśmiechnął się.

Adams patrzył na niego z niepokojem. Nie wiedział, czy właśnie nie popełnił błędu.

– No, nie mogłem was bronić przez wydaniem do Krum, jeśli sami tego nie chcecie.

– Co będzie z Renatą?

– Ta sprawa teraz nie jest dyskutowana. Wasza decyzja nie miała tu najmniejszego znaczenia. Nie będziemy dzisiaj więcej o tym rozmawiać... – urwał.

Znowu wypełniał rubryki obszernych kwestionariuszy. Przekładał papiery, kłął, kiedy się pomylił, znowu coś kreślił, uzupełniał.

– Swoją drogą, nie dziwię się, że wybraliście moje Miasto pod Skałą – mruknął. – Panują tutaj te same prawa, co na górze, w Haddammie.

– W twoim mieście rządzą inne prawa niż na powierzchni.

– Te same. – Behetomotoh wzruszył ramionami. – Gdyby pojawiło się drobne odstępstwo, świat wyglądałby zupełnie inaczej. Nie dałoby się w nim żyć. Stałe fizyczne są identyczne.

– Stałe fizyczne może tak. Ale można tu słuchać głosów *terofim*, a *manu* zgina się zmoczone wodą.

– *Terofim* wydaje dźwięk, bo moneta uciska zakonserwowaną tkanę, z której zaczynają uchodzić gazy. Nie można za często słuchać wyroczeni, bo gaz musi się zebrać w rozpulchnionej tkance. *Manu* zgina się, bo namaka.

– Ale *terofim* mówi.

– Kto chce, może doszukiwać się w tych dźwiękach podobieństwa do ludzkiej mowy.

– To nie tak. Ja zrozumiałem wypowiedź *terofim*, chociaż wcale nie usiłowałem się niczego doszukiwać.

– A cóż zabrania przypadkowym dźwiękom układać się w zrozumiałą mowę...?

– Rachunek prawdopodobieństwa.

– Och, tylko rachunek prawdopodobieństwa! – westchnął Behetomotoh. – Pytałeś o prawa fizyki, a tu ledwie spełnia się mniej prawdopodobny scenariusz wydarzeń.

– Dzięki czemu?

– Powiedzmy, że to mały prezent dla ludności.

– *Amanu...*?

– Drobniejszy prezent, bo informacja mniej dokładna.

– W ten sposób ich sidłasz.

– Dlaczego sidłam?

– Bo dzięki tobie zaglądamy w przyszłość i nie chcą tej możliwości stracić.

– Och, oni już dawno się przyzwyczaili. Dla nich to najzwyklejszy element rzeczywistości.

– To wielka różnica między Haddammah i Miastem pod Skałą.

– Przesada, Adams... Były czasy, kiedy i w Haddammie *terofim* działały, *manu* działały.

– Chciałeś powiedzieć: ludzie wierzyli w takie wyroczenie?

– Nieee. One działały w Haddammie, jak tutaj działają.

„On mówi prawdę”, pomyślał Adams. „W historii świata takie zjawiska mogły manifestować się z różnym natężeniem. Badał ślad za Grzegorzem uważał, że wiek cudów przeminął. Cuda obserwowane przez niego w Northumbrii zaskoczyły go niezwykle. To wtedy jedna epoka się kończyła, a zaczynała następna...?”

– Straciłeś władzę nad powierzchnią...? – Adams przerwał przedłużające się milczenie. Nie lubił badawczego wzroku nadobywatela.

– Akurat ja nigdy nie miałem władzy nad powierzchnią. Trochę miejsca pod Skałą wśród kamieni to całe moje państwo... Mówiłem ci to już kiedyś.

– To dlaczego przestały działać?

– Widać nie są już potrzebne.

– Bo wszyscy podążają w radosnym korowodzie ku świetlanej przyszłości?

Behetomotoh posłał Adamsowi dłuższe spojrzenie.

– Zgrabnie powiedziane – mruknął.

– Oświetlonej blaskiem Płomienistych Wrót...?

– Podobno szedłeś w mroku.

– Na końcu są Płomieniste Wrota.

– Na końcu tej drogi jest władca.

– Ty?

– Oczywiście, że nie ja, lecz Samahael. To też powinieneś wiedzieć. Nie musi wysilać się dla pojedynczych ludzi, skoro i tak wszyscy idą ku niemu.

– Taką silną władzę posiada?

– Wystarczającą. Gdyby osłabła, zaraz pojawiliby się pojedynczy opętani, skuteczne wyrocznie, trafne przepowiednie, takie tam różne... Trzeba by pracować nad każdym przypadkiem oddzielnie.

– Wywalczył taką władzę?

Człekoust rozejrzał się spłoszonym wzrokiem.

„Co on udaje? Któż mógłby akurat jego podsłuchiwać?”, pomyślał Adams. „Czyżby Leviahatannah konkurował z nim o władzę nad Miastem pod Skałą...?”

– Lepsze słowo to „zdobył” – powiedział Człekoust. – Ale zdecydowały ustalenia.

Gdy Adams wrócił z przesłuchania, Ibn Khaldouni spał jak zabity.

Dopiero koło południa następnego dnia Ribnyj zbudził go zastrzykiem. Ibn Khaldouni wodził wokoło nieprzytomnym wzrokiem, przepastnie ziewał i zamierzał ułożyć się do dalszej drzemki. Dopiero surowo napomniany przez śledczego usiadł na pryczy, opierając się plecami o ścianę. Zaraz zresztą znieruchomiał, zupełnie jakby już zdołał zasnąć w niezbyt wygodnej pozycji.

– Czy wyrażicie zgodę, Adams, na założenie galowych kajdanek? – spytał niepewnie funkcjonariusz.

– Ja...? Zgodę?

– No, tak. Formalnie nie jesteście aresztowani, a wypada, żebyście do rozmowy z panem Leviahatannem zostali skuci.

– A mogę odmówić?

Ribnyj wił się jak piskorz. Krzywił twarz w grymasach.

– Co się stanie, jak odmówię?

– Obetną mi rację żywnościową na trzy dni.

– Dobra. Niech wam będzie, Ribnyj. Ale przez tydzień nalewacie nam zupełną równo.

– Zawsze tak nalewam.

– Czasem coś się rozleje. Kroplę uronicie, to dolewka. Dla mnie i dla Ibn Khaldouniego. Zgoda...?

– Zgoda.

Adams wystawił przed siebie przeguby.

– Ale delikatnie: nie zaciągajcie za mocno.

Śledczy zamknął na nich rzeźbione dyby. Ruszyli znanym korytarzem. Ścierwo psa milicyjnego zupełnie zapadło się w siebie. Z braku wilgoci procesy gnilne przegrały z wysychaniem. Trupim odorem zawiewało od niego tylko w najbliższej odległości. Dla odmiany trzeba było uważać na świeże odchody pozostawione przez inne psy służbowe, bez wątpienia rottweilery.

Po drodze przejął ich przodownik Ciaken.

„Wygląda, że sprawa jest rzeczywiście poważna”, pomyślał Adams. „Czy możliwe, żeby Gruby był skłócony z Przystojniakiem?”, zastanawiał się, jaką linię przyjąć w rozmowie z

Leviahatannahem. „Czego Gruby może chcieć?”

Przez otwarte drzwi pokoju przesłuchań uderzyła fala smrodu. Leviahatannah zerwał się z krzesła na widok Adamsa i zaczął się nerwowo przechadzać.

– Podobno rozumiesz znacznie więcej, niż ci powiedziano – rzucił twardo. Jego odzież była przesiąknięta szerokimi plamami potu; stąd ten wiercący w nosie kwaśny odór. – Znasz nazwy, których ci nie powiedziano. Rozumiesz, co się dzieje... – nadobytwał wpatrywał się w twarz Adamsa.

„Co odpowiedzieć? Od czego zacząć? Jakich tematów unikać?”, gorączkował się Adams.

– Rozumiem, że to ja sprowokowałem to wszystko. Tę całą erupcję gniewu. Muszę za to teraz zapłacić – zaczął.

– To nie jest zręczny początek rozmowy. Przeceniasz się, ulepku, stale się przeceniasz. Trudno cię z tego wyleczyć.

– Wsadziłem rękę poza granicę. W płomień czy płomienisty opar. Wiem przecież, co nastąpiło potem.

Behetomotoh przysłuchiwał się rozmowie. Sączył ze szklaneczki złocisty płyn.

– Ujrzałeś, co jest po drugiej stronie płomienia. A potem nastąpił atak Czarnych na Linie i moje przybycie do Krum. Czy właśnie to masz na myśli?

– Tak.

– Czy nie zauważyłeś, że na całej Linii za twojego pobytu było wyjątkowo spokojnie? Mimo że legioniści opowiadali co innego?

– Żołnierze lubią przesadzać, koloryzują.

– Tym razem nie przesadzali. Co jakiś czas rozkręcam ruch w interesie. Walka toczy się na całego. Ty znalazłeś się tam przypadkiem. Gdybyś nie poszedł na zwiad, ataki też by nastąpiły.

– A ten koszmarny obraz za płomieniem? Ta przerażająca, obsesyjna wizja dręczenia? Tak jest tam naprawdę?

– Oczywiście, że jest inaczej. Powiedzmy, że to była drobna inscenizacja specjalnie dla ciebie.

– Więc ci ludzie nie cierpieli? To była tylko gra, pozory?

– Wtedy nie wyglądałoby to tak przekonująco.

– Czyli jednak nie inscenizacja! To była część ich cierpienia.

– Można i tak powiedzieć.

– Więc w taki sposób się tam cierpi!

– W taki też. Zdziwiłbyś się, ile jest różnych sposobów zadawania cierpienia.

– Tamto wydawało mi się takie teatralne, jakby z obrazów średniowiecznych.

– To też jest dobry sposób.

– Nie umiecie tworzyć, dlatego posiłkujecie się pomysłami ludzi, pomysłami malarzy!

– Wymyślanie to zbyt dobra umiejętność. Ludzie sami projektują cierpienia dla siebie. A pomysł jednego z nich na tysiącu następnych można pożytecznie wykorzystać.

– Średniowieczni malarze zafundowali nam cierpienia?

– Oczywiście, że nie. Każdy z moich ma taki rodzaj tortur, których się najbardziej boi. Nawet jeśli sobie tego nie uświadomi, to się boi. Wystarczy podsłuchać jego myśli i zrealizować jego obawy. Nietrudna robota. Jakoś tak jest, że każdy z was się nas boi.

– Widziałem jednak obrazy sprzed setek lat.

– Pewnie. W taki sposób też cierpią. A ja wybrałem właśnie to, bo jest ci znajome.

– Mówiłem, że jest rozgarnięty – odezwał się wreszcie Behetomtoh. – Świadomie działa i stara się jak najwięcej zrozumieć. Oczywiście, to nie oryginalny Kadmon, ale to niewielka różnica.

– To dodatkowy argument za tym, żeby oboje wrócili do mnie na dół. Trzeba ich trzymać w szczelnym zamknięciu – rzucił Leviahatannah. Behetomtoh nie odezwał się.

– To nie jest szczelne zamknięcie. Sam byłem świadkiem, jak srebrzysty lotnik wprowadził kobietę zza Wrót.

– Tak. Zdarza się to. Zawsze podstępem. Gdybym był uprzedzony, kogo zamierzają odbić, *gabriele* nie mieliby żadnych szans. Zgromadziłem wystarczającą ilość środków.

– Ale przecież nawet nam udało się przedrzeć pod same Wrota. Ledwie szczęściu, no, ośmiu żołnierzy, bez żadnej zaawansowanej broni. Ledwie swoją pomysłowością.

– Nie mówiłem, że moi są od was mądrzejsi.

„Czarne są głupsze niż ludzie, Golcy też wydają się mniej inteligentni od innych, może i *behmetim* są tacy?”, pomyślał Adams.

– Gardzisz nimi, prawda?

– „On przeczytał moją myśl...?”

– Czy to znaczy, że nikt inteligentny nie pójdzie za tobą?

– Sam odpowiedz na swoje głupie pytanie. Adams milczał, więc Leviahatannah kontynuował:

– Ilu wróciło z waszej wyprawy?

– Ja i Pachom.

– Znaczy, że inteligencja osobista nie jest najważniejsza. Zostaliście pokonani przez głupszych i przez „bezwładnych”, jak o nich mówiliście. Pobyt w Krum będzie wystarczającym zabezpieczeniem przed waszą ucieczką do Haddammah.

– W istocie mam mniej powodów, żeby zatrzymać dziewczynę – odezwał się Behetomotoh. – Jej wpis do ewidencji osobowej jest relatywnie świeżej daty. Nie jest niemożliwe, że nie urodziła się w Mieście pod Skałą.

– To jest mieszkanka Krum, córka Szoszannah i Nohabaala. Zaraz po urodzinach została wpisana do ewidencji osobowej. Powinna więc wrócić do miejsca zamieszkania.

– Po urodzinach...? – Behetomotoh spojrzał krzywo.

– No co? Specyfika życia w Krum wymaga, żeby urzędnik nie był obecny przy narodzinach. Rodzice sami przynoszą *simbolon* nowo narodzonej dziewczynki, który zostaje zdeponowany w warowni. Odbiera go dopiero małżonek.

– Ja mam *simbolon* Renaty. Jest wśród przedmiotów zdanych przeze mnie przy aresztowaniu. Wystarczy sprawdzić ich listę. Protokół został podpisany przeze mnie i przez Bielenia.

– Okradłeś archiwum?! – w głosie Leviahatannaha zabrzmiała groźba.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Któż mógłby z gołymi rękami włamać się nad oczodoły Krum, twojej twierdzy, strzeżonej siłą *behmetim* i strachem sidlącym duszę każdego mieszkańca Krum. Nikt oprócz *behmetim* tam nie wszedł. A gdybym jako jedyny w historii nawet to pokonał, jak miałbym znaleźć pomieszczenia, w których przechowują akta osobowe?

– On argumentuje bardzo przekonująco – zauważył Behetomotoh. – Wydaje się wielce nieprawdopodobne, że ukradł *simbolon* z twojego archiwum.

Leviahatannah znów zaczął się nerwowo przechadzać. Przy zakręcie pod ścianą skosił z komody narzędziowej tekturową teczkę z aktami. Tymczasem Behetomotoh zamienił z kimś parę słów przez telefon.

– Zgadza się. Adams jest w posiadaniu rzeczonoego *simbolonu*. Jest to pozycja umieszczona wśród długiego wykazu. Nie dało się jej dopisać, nie da się jej też wymazać ani utargać.

– Jak zatem wymknęło się to z moich rąk? – Ciężko sapnął olbrzym.

– *Simbolon* wydano Drubbaalowi, jako jej mężowi. Małżeństwo bardzo szybko miało dojść do skutku – wyjaśnił Behetomotoh. – Jednak *sotnik* tylko zabezpieczył sobie prawa do Renaty i nadal pełnił służbę. Stąd braki w ewidencji.

– A ty skąd to wiesz!?

Behetomotoh okrągłym ruchem wskazał na aparat telefoniczny.

– Noo... – powiedział.

– Coś nie chce mi się wierzyć... Maczałeś w tym swoje łapy. Behemotoh wlepił w niego lodowaty wzrok. Krew odpłynęła mu z twarzy. Wyglądał teraz przerażająco. Leviahatannah zamachał rękoma. Zwrócił się do Adamsa:

– Pewnie uprowadziłeś tę dziewczynę! – ryknął.

– Ona jest pod moją opieką. Na to mam zaświadczenie *sotnika* Reutela. Też jest wśród mojego zdeponowanego mienia.

– Wy obaj! To wy obaj uknuście przeciw mnie! – Twarz Leviahatannaha posiniała z gniewu. – To nie jest żaden Haddam, tylko twój podstawiony współpracownik, jak ten tam w kacie, badawczo śledzący każdy mój ruch! – wrzeszczał, celując potężnym paluchem w Ciakena. – Chcesz ode mnie wyciągnąć tę dziewczynę, bo to dobry materiał...! Chcesz całą historię rozegrać u siebie!

– Rozegrać po swojemu!

Behetomotoh, wsparty obiema dłońmi o biurko, przypłaszczył się, jego ślepia zmatowiały, poszarzały.

– Jak śmiesz...! – syknął, a jednocześnie z jego gardzieli wydobył się przeraźliwy wizg.

Leviahatannah urósł nad nim w górę mięśni, łusek, płetw; jego głowa stale nabrzmiwała. Nagle od dołu, ku jego szerokiemu gardłu, pokrytemu fałdami łuskowanej skóry, wystrzelił rozszalały Behetomotoh, wyciągając jednocześnie wszystkie cztery kończyny zakończone długimi jak sierpy pazurami. Ostrza zazgrzytały po zrogowaciałej skórze, pociekła posoka.

Leviahatannah rozdziawił paszczę wielkości garażu, zionął w przeciwnika odurzającym smrodem, a jednocześnie wszystkimi porami skóry wydzieliał litry, hektolitry potu. Po chwili poziom cieczy sięgał kolan. Sufit i ściany pokoju przesłuchań uciekły gdzieś w dal. Adams stał na otwartej przestrzeni. Obaj walczący coraz głębiej brodzili w cieczy wydzielanej przez Leviahatannaha. Behetomotoh wpił się w jego ciało, zgrzytał pazurami po rogowych łuskach, rozcinał skórę między nimi. Leviahatannah w wodzie czuł się znacznie pewniej, potężnymi płetwami na umięśnionych trzonach raz za razem uderzał napastnika. Nagle ostra krawędź sztywnej płetwy piersiowej ucięła jedno z ramion Behetomotoha. Trysnęła czarna jucha.

Behetomotoh straszliwie ryknął z bólu, jednak już po chwili wystrzelił parą dodatkowych ramion i jeszcze jedną, i jeszcze. Osiem nowych ramion żarłocznie wpiło się w przeciwnika. Leviahatannah wystrzyknął z nozdrzy fontannę wody, zatrzepotał kurczowo, wypuścił tuziny, setki dodatkowych płetw, wyposażonych w tnące krawędzie; każdą z nich próbował zawadzić wiszącego na nim Behetomotoha. Wreszcie celnym uderzeniem zrzucił go z siebie. W garściach spadającego pozostały całe spłachcie skóry Leviahatannaha.

Ciaken podszedł do Adamsa i szybko zrobił mu zastrzyk. Ręce śledczego drżały.

Chwila wytchnienia pozwoliła Leviahatannahowi uformować pysk siedmiokroć większy niż krokodyli, a płetwy przekształcić w krokodyle odnóży, nie cztery, ale dla pewności czterokroć czterdzieści i cztery. Tak uzbrojony, rozdziawił paszczę jak jaskinię i wijącym się ruchem ruszył ku przeciwnikowi. Ten również nie zmarnował tych kilku sekund przerwy w starciu. Przybrał na masie, wsparł się na czterech słupowatych kończynach hipopotama i rozwarł paszczę jak wrota hangaru. Od jego ryku zadrżało powietrze. Teren, gdzie stał, uniósł się nieco do góry, ponad poziom cieczy, w której taplał się Leviahatannah.

Z ogłuszającym rykiem obaj przeciwnicy zwarli się w walce. Potężne kłapięcie krokodylej paszczy rozdarło szarą, gumowatą skórę hipopotama, ukazując warstwy białawego tłuszczu. Tłuszcz zaczął wzbierać, kipiąc białą, kleistą masą, pęczniał wokół w bulgoczące kalafiory. Zakleił paszczę smoka. Wtedy, wydzielając smród jakiegoś chemikalia, szybko zaczął tężeć i zmieniać barwę. Smok pluł i krztusił się, starając opróżnić gardziel z kleistej masy. Hipopotam raz i drugi szarpnął kołkowatymi zębami jego pokrytą łuskami skórę. Rozorał ją głęboko. Strugą pociekła zielonawa posoka. Liczne zęby hipopotama łatwo wyłamywały się, pozostając w ciele jaszczura. Wokół nich w przyśpieszonym tempie przebiegały procesy gnilne.

Łuski smoka zakiełkowały lufami setek dział, natychmiast otwierając zmasowany ogień na wprost w przeciwnika. Z rozrywanej skóry hipopotama wyległy tłumy *behmetim*, niosące krwawe sztandary, oddziały wsparte dywizjami czołgów i innych machin bojowych. Spomiędzy łusek smoka runęły im naprzeciw falangi *lewtanim*, wspartych ciężkim sprzętem, a biegnących też pod czerwonymi sztandarami.

Mundury jednych w czerni, a na czapkach drugich błękitne otoki. Znaki na ich sztandarach niewiele różne, w czerni i bieli lub w złocie.

Coś niedobrego działo się ze wzrokiem Adamsa: wszystkie otaczające przedmioty dostały nagle tęczowych obwódek, ryk bestii splecionych w śmiertelnym starciu i detonacje wybuchów zaczęły rezonować w jego głowie dziwnym echem. Cofnął się i oparł o ścianę, kręciło mu się w głowie. Przy okazji zauważył wykrzywioną w straszliwym przerażeniu zielonkawo-błądą twarz Ciakena. Przodownik tkwił jak przymurowany, nie mogąc oderwać wzroku od zmagających się walców.

A tam znów nastąpiła zmiana. Na ciele Behetomotoha, szczelnie pokrytym jego oddziałami, w dymie wybuchów nagle zarysowały się periodyczne segmenty, na boki wystrzeliły pary odnóży, a ręce przemieniły się w masywne kleszcze o ostrych krawędziach. Nad tułowiem zawisnął jadowy kolec, kończący ruchliwy zaodwłok. Tak masywny, że jedno, drugie celne ukąszenie i wodny olbrzym powinien paść bez życia.

Jednakże Leviahatannah nie próżnował. Wyciągnął ku przeciwnikowi olbrzymie homarze kleszcze, zdolne bez trudu jednym kłapinięciem przepołować skorpiona. Z każdą chwilą na ciele pokrytym armiami walczących wyrastały mu kolejne pary równie mocarnych ramion.

Skorpion miotał ku niemu kolec za kolcem, jednak te, zestrzeliwane ogniem artylerii, rykoszetowały od pancerza gigantycznego skorupiaka.

– Adams, wracamy do celu... – Ciaken wreszcie zdobył się na jakieś działanie.

Adams odwrócił się: przed nim były otwarte drzwi, dziwaczne, absurdalnie wykrojone w pejzażu.

– Tędy, szybko. Wchodźcie, nie utrzymam ich długo otwartych. Adams szedł korytarzem, zataczając się jak pijany. Oszołomienie wywołane narkotykiem rosło z każdą chwilą. Do celu Ciaken dowlókł go, trzymając pod ramiona.

Przerwa w przesłuchaniach trwała krócej, niż można było się spodziewać. Po siedmiu dniach Adams został wezwany do nadkomendanta.

Gabinet znów miał normalny sufit oraz ściany, znowu mieścił się w swych dawnych rozmiarach. Adams próbował wypatrzeć szczeliny, ukryte mechanizmy odsuwające ściany – nic z tego: zwykły mur, pokryty starą warstwą jasnobrązowej farby klejowej, pod sufitem czarne płaszczyzny zestarzałego kurzu, wiszące ze stropu czarne łachy, uformowane z drobinek kurzu czy brudu, oraz strzępy starych pajęczyn. To nie mogło się utrzymać w pomieszczeniu o ruchomych ścianach. Badawcze spojrzenia Adamsa zostały zauważone przez śledczego. Ciaken uśmiechnął się krzywo, ale nie odezwał się.

Skórę na twarzy i na dłoniach Człəkousta pokrywały świeżo zrosnięte czerwone blizny; odznaczały się kropki po dopiero co zdjętych szwach. Gestem wskazał Adamsowi krzesło.

– To godne ubolewania, że dwóch wysokich funkcjonariuszy używa wobec siebie tak niewyszukanych słów – powiedział na wstępie. – I to jeszcze w obecności podsądnego.

Adams wytrzeszczył na niego zdumione oczy.

– Zaręczam, że była to wyjątkowa sytuacja. Pierwsza w mojej karierze zawodowej i mam nadzieję ostatnia. Pan z Morza przeprosił mnie za to surowe określenie. Musicie zrozumieć, że wytrzymałość nerwowa każdego, nawet władcy, ma swoje granice. Jest oczywiste, że słowo „współpracownik” było tu jak najbardziej nie na miejscu. Ufamy sobie tak bardzo, że Panu z Morza pomagają niemal wyłącznie moi *behmetim*, natomiast ze mną, w Mieście pod Skałą, pracują tylko jego współpracownicy, *lewtanim*.

– Przecież...

– Taak...? – Człəkoust spojrział z uwagą. – Ach, zastrzyk – sam sobie odpowiedział na pytanie. – Oczywiście, dostaliście zastrzyk z halucynogenu, ponieważ przez przypadek staliście się świadkiem różnicy zdań między funkcjonariuszami. Taka sytuacja jest niedopuszczalna.

„Łże w żywe oczy”, pomyślał Adams. Behetomotoh uśmiechnął się do niego kwaśno.

– Widzieliście zdumiewające zdarzenia? Może feerię barw...? Jakież kształty? Materializujące się myśli?

Adams nie wiedział, czy i ile powinien relacjonować.

– To wizje. Halucynacje po przyjęciu mocnego chemikalia. Tak działa podany wam środek – powiedział Człəkoust. Podszedł do szafy narzędziowej i wydobyl stamtąd pękatą butelkę. Nalał Adamsowi szklaneczkę.

– Skosztujcie tym razem czego innego, to *pynuj*. Warto mieć trochę miłych wspomnień z pobytu w moim urzędzie.

„A w środku koźle szczyny”, pomyślał Adams. Napój miał jednak przyjemny smak, sztych drożdżowy dodawał gładkości.

– Może jednak nie chcecie? Nie będę was zmuszał.

– To dobry *pynuj*. – Adams wolno sączył napój. Behetomotoh dolał sobie do pełna. Jego twarz zarumieniła się już po kilku pierwszych łykach. Rysunek czerwonych blizn zyskał na wyrazistości.

– Dalej mi nie wierzycie. – Uśmiechnął się nadobyywateľ. – No, przecież nie pozabijaliśmy się, prawda...? Siedzę przed wami, Adams. Czy tak wyglądałbym, gdyby wasze wizje były prawdą?

Adams skinął głową.

– Co teraz będzie z nami obojgiem? Z Renatą i ze mną?

– Decyzja zostanie podjęta – Behetomotoh spowaźniał. – Jednak na razie oboje pozostaniecie w Mieście pod Skałą. Nikt nie będzie wymuszał na mnie błędnych decyzji. Nawet mój stary znajomy i doświadczony współpracownik.

– Ibn Khaldouni żyje, dlaczego więc mnie nie zwolniono?

– To rzuciłoby niekorzystne światło na sprawę Renaty. Zwalniając was, utraciłbym podstawę do przetrzymywania jej u siebie. A tego chyba nie chcecie...?

Adams spojrzał na niego z niepokojem. Człəkoust odpowiedział mu znaczącym spojrzeniem.

– Nie trzeba mnie trzymać za kratkami, przecież bez Renaty nie ucieknę.

Człəkoust pokiwał głową.

– Ta sprawa zostanie rozważona. Nie jest wykluczone, że uzyskacie status rezydenta. Wówczas wolno przebywać na komendzie bez formalnego oskarżenia. Nadanie statusu nie powinno mieć wpływu na decyzję w waszej sprawie. – Nadkomendant spuścił wzrok i zajął się aktami.

Śledczy wyprowadził Adamsa.

Strażnik Clfugg zaczął dostarczać im kupy brudnej odzieży do pralni. Mieli ją przeglądać, łatać dziury i przyszywać guziki. Robota należała do niego, ale Clfugg wolał zlecić ją spokojnym więźniom. Liczył im po pół sycela za partię.

Ibn Khaldouni pośpiesznie czyścił miskę z zupy. Wycierał resztki płynu czarnym chlebem. Ostatnio strażnik bawił się z nimi, wpadając do celi, zanim skończyli obiad, i przemocą odbierając nie dokończone jadło. Adams ostentacyjnie nie śpieszył się: teatralnym gestem wręczał resztki swojej zupy wywiadowcy, z miną: „Zjedzcie. Wy, Ribnyj, też się pożywcie”. Wkrótce jednak będzie musiał z tego zrezygnować, bo głód doskwierał coraz bardziej. Możliwe, że Ribnyj pozazdrościł im dodatkowego źródła dochodu.

– Nie mogę zdążyć – burknął Ibn Khaldouni. – Nie potrafię jeść w takim tempie.

– Mści się, że kiedyś wymusiłem na nim należyte wydawanie posiłków. Odczekał siedem dni i zaczęło się...

Ibn Khaldouni kilkoma haustami wychłęptał resztę z miski i dławiąc się, przełknął ostatnie kęsy chleba.

– Noo – powiedział i zadowolony rozsiadł się na pryczy. Adams, rozwalony na sąsiedniej, już od jakiegoś czasu z uśmiechem śledził starania towarzysza.

– Po co iść do Nieba? – spytał. – Dlaczego ty, Khaldouni, chcesz się tam dostać?

– Wystarcza mi, że wiem, gdzie mogę trafić w przeciwnym wypadku... – mruknął stary, na postrzępionej brodzie zebrały się zbłąkane krople zupy.

– Ale nawet ty nie wiesz, co cię tam czeka?

– Tak. Nawet ja.

Kroków wesołego strażnika jakoś jeszcze nie było słychać na korytarzu.

– Nie wiem, ale sporo mogę się domyślić – dodał, widząc, że Adams oczekuje na precyzyjniejszą odpowiedź.

– Na ten przykład czego?

– Może tam nie od razu będzie sama radość i szczęście...?

– A bezczynności już najmniej?

– Jak to?

– Zwyczajnie. Nie pomyślałeś, że jesteś tutaj przygotowywany do pracy, do sprostania jeszcze

trudniejszym, ale pasjonującym wyzwaniom?

– Taka nagroda?

– Ulubiona praca może być nagrodą. Jeśli jej podołasz, niesie wielką satysfakcję. Przynajmniej mnie... – Z triumfem na twarzy odsunął błyszczącą miskę.

– Trud, wysiłek... Tylko tyle?

– Aż tyle. Może idący w radosnym korowodzie do Miejsca Płomieni zostają zwyczajnie odrzuceni albo sami nie chcą podjąć następnych zadań...?

– Dlatego cierpią?

– Może wolą to cierpienie od czego innego? Dlatego zostają w Miejscu Płomieni na zawsze.

– A ty, Khaldouni?

– A ja coraz częściej myślę o nieznanym wyzwaniu, które mnie tam czekają. Może pora skończyć pobyt w Mieście pod Skałą.

Na korytarzu rozległy się kroki strażnika. Dzisiaj to on przegrał wyścig kulinarny. Nie uzupełni służbowej racji resztkami porcji więźniów.

Wrócili do rozmowy dwa dni później. Zebrało się trochę nowych pomysłów z kolejnych spacerów.

– Jeśli Człəkoust sugeruje, że były tylko dwie generacje dzieł stworzonych, to dla mnie jasny argument, że jest inaczej – zaczął Ibn Khaldouni.

– Inaczej? – Adams wyciągnął się na pryczy z rękami pod głową. Bardziej zaprzętało jego myśli, czy Człəkoust uwolni Renatę.

– Przegonili mnie po wybiegu, ale Ciaken drzemał na krześle w cieniu, więc miałem sporo czasu na rozważania. Widzisz, tu może siedzieć tajemnica Nieba. Może nią być trzecia generacja dzieł stworzonych. Dla której ty będziesz grał rolę tych... – obejrzał się z teatralną ostrożnością – tych, co nas tutaj otaczają. Pozbawionych zdolności tworzenia.

– Pierwszych? – Adams podsunął mu legalne słowo.

– Właśnie.

– Albo rolę *gabrieli*. – To wolno było wypowiedzieć.

– Właściwie to chciałem powiedzieć: rolę osobistego opiekuna, inspiratora, przewodnika. Będziesz miał wgląd w naturę wszystkich światów i pozaświatów, co ci przyobiecano jako nagrodę, ale jednocześnie będziesz miał kupę odpowiedzialnej pracy.

– Marnie się do tego nadają: brak siły, no wiesz, potęgi, zdolności umysłowe nikłe... Duch wąty.

– Niekoniecznie. Jeśli przyjrzeć się relacjom między nami a Pierwszą Generacją, trzeba stwierdzić, że są oni niewiarygodnie potężniejsi od nas, nieśmiertelni, ale też bezpłodni i przy całym swym ogromie pozbawieni zdolności tworzenia. No wiesz, bo to dzieła, a nie dzieci wykazujące podobieństwo.

– Potrafisz z tego wywieść jak miałyby wyglądać Trzecia Generacja? – Adams spojrzał na zgarbionego Khaldouniego.

– Pewnie, że nie. Ale dzięki indukcji trochę przypuszczeń można z tego wyciągnąć.

– Pośpiesz się, bo znowu mnie wezmą na spytki.

Stary uśmiechnął się promiennie: znaleźć wiernego słuchacza to zawsze radość.

– Pierwsi zmysłów wcale nie mają, my mamy ich pięć. Trzecia Generacja może być wielokrotnie bardziej zmysłowa niż my.

– Akurat zmysłowa? A cóż w tym nowego...?

– Nie w tym sensie, jak myślisz. Każdy zmysł to nowy typ doznań. Wzrok to kolory, perspektywa, to mgła, to precyzyjne zrozumienie linii, geometria; słuch to świadomość sekwencji, dzięki temu najprostsze zrozumienie wyrafinowanego piękna, algebra. Mam mówić dalej?

– Parę nowych zmysłów?

– Co tam parę? Dlaczego nie setki nowych parametrów, opisujących istnienie, a odbieranych i rozumianych bez wysiłku?

– Czuję się pokrzywdzony.

– Nie ma powodu. Coś za coś. Może będą niewyobrażalnie słabsi od ciebie? Może przy nich twoja krzepa to jakby ruchy górotwórcze, jakby trzęsienie ziemi?

– To jeszcze nie równoważyłoby wspaniałości ich świata. Setek nieznanymi mi rodzajów sztuki.

– Ty musisz przejść przez śmierć, docierasz do niej po przejściu przez sito życia na ziemi. Skąd wiesz, czym oni mogli zostać doświadczeni dla równowagi? Może nagrodą dla ciebie będzie już samo bycie z nimi?

– Gorzkie to.

– A jeśli będziesz mógł spoglądać na ich świat ich oczami od zmysłu numer pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden, dwa, trzy i dalej?

– Zaczyna mi się tam podobać. Gdybym jeszcze był razem z Renatą... – Adams obserwował pająka łączącego po suficie. Zaraz skończył śledzenie drapieżnika: skakun karkołomnym łamańcem poleciał w zakurzony kąt.

– Nawet On nie chciał pozostać samotną doskonałością.

– Nieźle popracowałeś na wczorajszym spacerunku.

– Jasne. Pomyślałem na przykład, że mogłoby ich naraz obowiązywać wiele czasów, płynących w różnych kierunkach.

– Dlaczego nie uwolnieni od czasu?

– Zarówno Pierwsi, jak i my jesteśmy chronologiczni: podlegamy upływowi czasu. Nawet śmierć nas z tego nie uwalnia, tyle że zmienia prząsną zwyczajność w niesamowitą frajdę albo w udrękę. Nie ma powodu, by przypuszczać, że oni są pozaczasowi.

– Nie ma też powodu przypuszczać co innego.

– Ach, Adams! Oczywiście, że nie. Nie ma też powodu przypuszczać, że Trzeci istnieją lub będą istnieli. W żadnym objawieniu nie powiedziano, że są, ani nie powiedziano, że ich nie ma! Ja po prostu snuję domysły, posługując się swoistym rodzajem indukcji, jacyż też mogliby być, gdyby byli. Posiłkuję się przy tym znaną relacją między nami a Pierwszymi. A przy okazji próbuję ci wyjaśnić, dlaczego uważam, że do Nieba warto iść.

– Dobra. Mów dalej.

– Może żyjąc w świecie o wielu płynących czasach, mogą dzięki temu po nich wędrować? Wracać do starych historii, zmieniać je na inne, przeżywać je od nowa, a wreszcie odtwarzać te raz zmienione.

– Wędrować w czasie...? Więc jednak będą pozaczasowi.

– Nie pozaczasowi, a wieloczasowi. Wiele nitek czasu, wiele dróg, losów. Poza czasem widzisz naraz wszystko, jak jedną rzeźbę. Wiesz stale wszystko, znasz początek i koniec. Wieloczasowi mieliby zdolność wyboru drogi. Jak samochód na skrzyżowaniu. Jednak zawracać w tunelu ani na moście nie wolno. Ani nad kanałem w warsztacie mechanicznym. Znaczą, ta zdolność mogłaby być ograniczona. – Uśmiechnął się.

– Jednoczasowi... – jeszcze raz poprawił Adams – ...tylko ich czas miałby strukturę rozgałęzioną.

– Niekoniecznie. Mogliby, na przykład, wędrować ulicami czasu w różnych kierunkach. A jeśli i to cię nie zadowoli... – Ibn Khaldouni rzucił Adamsowi przeciągłe spojrzenie – ...to, na przykład, istnienie każdego z nich może być mierzone kilkoma niezależnymi upływami czasu, o różnej szybkości i różnym zwrocie strzałki.

– Mali, niewiarygodnie nędzni, ta nędza ma być dla mnie tak widoczna, a przy tym wszystkim jakże różnorodni. Chyba nie można sobie czegoś takiego nawet wyobrazić.

– Nie jest tak źle. – Ibn Khaldouni rozpogodził się. Widać już to sobie dokładnie przemyślał. – Jeśli nie będziesz się upierał, bym ci zademonstrował model świata wieloczasowego, czego nie potrafię, to możesz zaraz dostać przykład reszty.

– Dobra, niech leci.

– Jasne! – Ibn Khaldouni parsknął śmiechem. Podszedł do kupy brudnej bielizny, przygotowanej do zdania do pralni. Wybrał stamtąd zwiniętą, szarą koszulę więzienną i rzucił nią w Adamsa.

Ten odruchowo schwycił kłęb w ręce.

– No, co ty...?

– Obejrzyj pod pachami. Słońce przygrzało, więc przepocona na spacerniaku, pot już wysechł.

Adams ujrzał białe linie o delikatnej, nadzwyczaj skomplikowanej, wielokrotnie rozgałęzionej strukturze, powstałe na granicy wczorajszej plamy potu.

– Prawidłowa chromatografia, bogate wzory, wyjątkowo bogate figury.

– A jednocześnie nędzny brud, aż krzywisz się z odrazą; słabe, wystarczy potrzeć palcem, a się rozsypuje – powiedział Ibn Khaldouni.

Adams odrzucił mu koszulę.

– Dobry model. Punkt dla ciebie.

Załatwienie statusu rezydenta nie zajęło wiele czasu. Ibn Khaldouni nie słyszał o czymś takim. Twierdził, że wymyślono to specjalnie w celu rozwiązania sprawy Adamsa. Wystarczyło jednak, że wyraził tę wątpliwość w jednej z rozmów, a już przy okazji następnego posiłku Ciaken powiedział:

– Wy też, Kalduni, możecie starać się o status rezydenta. Nigdy wam do tej kapuścianej pały coś takiego nie przyszło, a możliwe, że Człəkoust i waszą prośbę rozważy pozytywnie.

Podanie Ibn Khaldouniego nie utknęło w kupie papierów na czyimś biurku. Wkrótce zezwolono mu na opuszczanie budynku Ochrony Ludności. Ponieważ nie miał co ze sobą zrobić, a i źródeł utrzymania na razie nie miał, więc zaproponowano mu złożenie podania o możliwość dalszego nocowania w celi, póki nie znajdzie się dla niego jakaś praca. Tę prośbę również rozpatrzono pozytywnie. Przyznano mu prawo opuszczania celi dwa razy w tygodniu, po półtorej godziny. Przeciąganie czasu spacerów, jak również naruszanie regulaminu mogło zostać ukarane wydaleniem z więzienia.

Długi spacer zaróżowił chude policzki Ibn Khaldouniego. Wyglądał bardziej rześko.

- Na mieście stawiają kilka *mechanitonów* – powiedział. – Oczywiście w centrum, nie w biedniejszych dzielnicach.
- A co jeszcze widziałeś?
- No właśnie to. Gapiłem się, jak stawiają nowy *mechaniton*. Montowali go z całych sekcji już na postumencie. Wcześniej zwalili poprzedniego *fragonarda*. Jeszcze tam leżą jego fragmenty: szare, skórzaste pasma i zbieleńskie kości. Namoknie na deszczu, to się psy za to wezmą.
- Nie wezmą. Ciało jest przesycone substancją konserwującą. Pies, który się tego nażre, zdechnie na drugi dzień. Dobrze zrobiony *fragonard* może stać dziesiątki lat. – Adams przypomniał sobie lekcje ze sztuki praktycznej, jakie kiedyś dawała mu Natalia.
- Do postumentów domurują betonowe schodki, jakby rzeźba miała kiedyś z tego zejść.
- Cieszę się, że wpadli na taki pomysł. *Mechanitony* są piękne, *fragonardy* stale napawały mnie grozą. Nie mogę bez uczucia wstrętu myśleć o przemysłowym przetwarzaniu ciała ludzkiego.
- Te *mechanitony*, które widziałem, to właśnie przemysłowa robota: korpusy, ramiona czy uda odlane z formy, niezbyt dobrze dopasowane do siebie; czasem sprawiają wrażenie, jakby poszczególne części dobrano z różnych zestawów.

Bez wcześniejszego powiadomienia, Adamsa zwolniono o trzeciej nad ranem. Nie było powodu, żeby odstępować od zwykłej procedury tylko dlatego, że więziony był bezpodstawnie. Nie narzekał, ponieważ rekompensata za czasowe ograniczenie wolności opiewała na dziesiątki tysięcy syceli. Za tyle pieniędzy mógłby chyba kupić całą warownię Krum. Z uwagi na wysokość wypłacono mu kwotę w banknotach, nie w monetach. Ponieważ ujęto go jedynie w przepasce biodrowej, więc wydano mu komplet używanej odzieży, za który musiał zapłacić. Łachy nie były bardzo zużyte, chociaż kurtka została nadjedzona przez mole. Cenę odzieży już wcześniej potrącono z odszkodowania. Spytał, czy Renatę także zwolnią, jednak Clfugg, który go wypisywał, odmawiał odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

„Zawsze w takie dni musi siąpić”, pomyślał Adams.

Podniósł kołnierz i powlókł się mroczną ulicą. Do rana przemókł zupełnie. Przynajmniej na mieście było zupełnie pusto. Męty unikały takiej pogody.

Dotarł aż nad Typhure i przeszedł przez most. Nad ranem ruchu ulicznego jeszcze nie było. Szedł środkiem jezdni, omijając trzy rzędy posągów przewodniczącego Nero, umieszczonych po bokach i na środku, między dwoma pasami jezdni. Były to *fragonardy* z głowami wykonanymi z białego tworzywa w metalowych wieńcach laurowych. Rysy twarzy Nerona uchwycono całkiem niezłe. Niektóre z głów były przegięte, jakby zaraz miały się ułamać. Wszystkie *fragonardy* oblaży zielonkawymi liszajami od oparu stale unoszącego się nad Typhure. Służby miejskie usuwały tę lepka, cuchnącą warstewkę i uzupełniały ubytki białym lakierem, co formowało mozaikę plam i łat.

Zmarznięty i głodny przycupnął na bulwarze i wystawił się do bladego słońca, z rzadka przeświecającego przez chmury. „Marny ten pierwszy dzień na wolności”, pomyślał, tłumiąc dreszcze. Od żółtego nurtu niósł się smród. Łachy najszybciej schły na cieple, więc kurtki nawet nie zdejmował, choć przez to odzienie nabędzie odrażającego zapachu. „Za parę dni nie będę się różnił od kloszarda”, pomyślał.

Koło południa głód zaczął bardziej doskwierać, Adams poszedł poszukać jakiejś jadłodajni. Na drugim skrzyżowaniu zgromadził się niewielki tłumek. Ruch zamknięto, a na skwerek na małym rondzie wjechał archaiczny dźwig samochodowy. Chyba tutaj kończono stawiać *mechaniton* opisany przez Ibn Khaldouniego.

Właśnie kotwiono górną część korpusu. Łączniki wykonane z białego metalu nie chciały dobrze pasować do szczelin między blokami mlecznego tworzywa. Instalatorzy próbowali je dopasować uderzeniami młotka. Powstawała pokraczna postać częściowo roznegliżowanej niewiasty o źle dobranych nogach, nierówno zamocowanych w bloku biodrach i skrzywionym torsie.

„Ależ pokracstwo”, Adams pokręcił głową. „Nijak się to ma do piękności, które spotkałem w korytarzach pod Watykanem”. Akurat obok leżał tors jednej z postaci *fragonarda*. Jakiś ulicznik wydłubywał z jego głowy gałki ceramicznych oczu. Umyje się je i kupią w sklepie z częściami anatomicznymi.

Zniechęcony, Adams zawrócił i odszedł. Kilka ulic dalej napotkał następną grupę gapiów. „Nagle tyle tego stawiają...”, pomyślał.

Na walcowym postumencie właśnie skończono wznosić postać niewiasty w szacie udrapowanej z jednego kawałka kamiennej tkaniny. Ten *mechaniton* wyglądał lepiej: można było nawet powiedzieć, że posąg jest piękny. Zastąpił na cokole grupę konnych *fragonardów*. Resztki usuniętej rzeźby właśnie ładowano na ciężarówkę.

– Wyładnieje to skrzyżowanie – powiedział Adams do przyglądającego się robocie zabiedzonego, siwego mężczyzny.

– Na cholere to wprowadzają? – burknął stary. – Komu potrzebne takie luksusy...?

– Będzie mniej tych brunatnych trupów.

– No i co...? W dziurawych trampkach, myślałby kto, że taki bogaty!

– Nie jestem bogaty.

– No to co tak gada? Jak spadnie popyt na *fragonardy*, to co ja zrobię? Z czego będę żył na stare lata? Szwagier już zawarł umowę na swoje ciało, a ja jeszcze nie zdążyłem. Raty może nie są wielkie, ale to pewny pieniądz, człowiek na stare lata z głodu nie umrze. A teraz panie, co...? Co będzie, jak oni przestaną zawierać umowy? Już kazali się złożyć na tę pałubę. Przez pięć lat się z tego nie wypłacę. A jak jeszcze będą stawiali następne?

– Dawniej tego nie budowali?

– Pewnie, że nie. Podobno to jakiś przybłęda podsunął naszemu dobremu panu Człekoustowi. Ja bym takiego... – Stary wygroził suchą pięścią. W ciemnej, dusznej knajpce w suterenie zjadł nadzwyczaj cienką, zakalcowatą pizzę i popił skwaśniałym piwem. Wszystko kosztowało krocie. Nie pamiętał cen z Miasta pod Skałą. Kwota otrzymana z Urzędu Ochrony Ludności topniała.

Nie miał dokąd iść: ani pracy, ani noclegu. Na uniwersytet go pewnie nie wpuszczą, by nie spotkał Natalii; o ile jeszcze nie opuściła Miasta pod Skałą. Zamyślony, snuł się ulicami miasta. Jeszcze rano wydawało mu się, że łatwiej będzie wyciągnąć Renatę z więzienia, kiedy on wyjdzie na wolność. Teraz nie był już tego pewien.

Ileż można łązić brudnymi ulicami miasta? Pod wieczór spytał o tani nocleg jednego z umundurowanych *lewtanim*, którzy szwendali się po ulicach. *Lewtan* zatrzymał przechodnia, samotną kobietę, zakutaną w czarną szatę.

– Zaprowadźcie obywatela do jakiegoś taniego hotelu – polecił nieznajomej.

Ta wysłuchiwała funkcjonariusza, ręką przytrzymując skraj szaty, która zasłaniała jej twarz. Skinęła głową, by Adams poszedł za nią, i podreptała przed siebie. Milczała przez całą drogę, chociaż Adams próbował zagadywać. Wysoka, trzymająca się prosto, stale mu kogoś przypominała.

Zaprowadziła go na ulicę, którą kiedyś kojarzył z rzymską Via Cola di Rienzo. Zatrzymała się przed bramą szarego gmaszyska o zakratowanych oknach.

„Można było podjechać tramwajem”, pomyślał.

– To tutaj – nieznajoma powiedziała przyjemnym, niskim głosem i odeszła, zanim Adams zdążył podziękować.

W ciemnej sieni, w zbitym ze sklejkі kojcu oświetlonym gołą żarówką, urządzono recepcję hotelową. Zaszuszonego recepcjonista z siwymi włosami w uszach mrużył oczy nad książką hotelową wypełnioną niewyraźnymi wpisami. Podnosił ją do światła i zbliżał niemal do nosa.

– Są jeszcze wolne miejsca – powiedział w końcu. – Większość schodzi się tu na poprzedniej zmianie i musiałem sprawdzić – dodał. – Lewe skrzydło. Słup trzydziesty drugi, prycza druga od dołu. Buty zostawić przy wejściu. Dwanaście tysięcy syceli za dobę. Śniadanie, kolacja i łaźnia wieczorem wliczone. – Wskazał dłonią dalszą drogę.

Adamsowi włosy stanęły dęba. Cena porażała. A może po prostu dwie różne waluty miały tę samą nazwę?

„Jeszcze dwa noclegi tutaj i zostanę bez grosza”, pomyślał.

Z korytarza wszedł w lewe drzwi. Uderzył go smród spoconych stóp. U wejścia stała szafka na obuwie gości hotelowych. To od niej tak cuchnęło. Na podłodze leżało jeszcze sporo filcowych kapci. W sypialni nie wolno było chodzić w butach. Wybrał kapcie dla siebie.

Dalej znajdował się niski, długi, mroczny korytarz, oświetlony gołymi żarówkami. Po obu stronach kotary zasłaniały piętrowe prycze. Zza niektórych dochodziło chrapanie. Słupy między kotarami ponumerowano białą farbą. Znalazł trzydziesty drugi. Zbita z desek i nakryta kocem prycza była nieoczekiwanie szeroka, w kącie leżało kilka poduszek oraz kłęb śmierdzących pledów do przykrycia. Jeszcze nie zdążył się ułożyć, kiedy rozległo się wołanie na kolację. Zza kotar wyłoniło się nieoczekiwanie wielu ludzi. Podążył za innymi do stołówki. Podali po aluminiowej misce zupy z koźliny, do tego pajdę chleba i na drugie talerz kaszy z omastą. Całkiem niezłe w porównaniu z więziennym wiktem. Stołowali się tu najróżniejsi ludzie, chociaż na ogół starsi. Stołówkę dla kobiet umieszczono w prawym skrzydle. Nawet małżeństwa kwaterowano osobno.

Po posiłku była zbiorowa łaźnia, z której jednak Adams nie skorzystał, gdyż bał się, że w czasie kąpieli w niewielkim basenie ktoś ukradnie mu odzież, a poza tym niezbyt czysta woda groziła zakażeniem. Na noc zbiorowa prycza wypełniła się. Okazało się, że sprzedano po trzy noclegi za dwa miejsca i na czteroosobowym posłaniu musiało spać sześć osób. Z konieczności ułożyli się na przemian: nogi, głowa, nogi. Nawet poduszek zabrakło. Przynajmniej pluskiew nie było.

Cieężko było zasnąć w smrodzie i przy chrapaniu. Adams zbudził się z bólem głowy. Po śniadaniu – talerz grysiku na mleku – jak najszybciej opuścił obmierzłą noclegownię. Jego butów już nie było, więc zrobił to samo, co złodziej: ryzykując grzybicę, wybrał pierwsze lepsze, pakujące na stopy.

Dzień był słoneczny i ciepły. Adams czuł się nieświeżo, kości bolały. Pieniądze szybko znikwały, a widoki na stabilniejsze bytowanie na razie nie pojawiły się. Mrużąc oczy od słońca, rozglądał się po ulicy. Przypadkiem zauważył ogłoszenie o pracy dla ochroniarzy.

„Od biedy mógłbym się tam zatrudnić”, pomyślał. „Forma po służbie legionowej jeszcze została, a walczyć się poduczylem. Mógłbym też prowadzić kurs początkowy dla adeptów albo nawet doskonalic agentów służb specjalnych jakichś słabych, mało walecznych armii”, uśmiechnął się do swoich myśli.

Zaraz jednak jego uwagę zwróciła wysoka, szczupła kobieta, szczerze zawinięta w czarną szatę. Czyżby wczorajsza przewodniczka...? Niby śpieszyła się do swoich zajęć, nieco zgarbiona i zaaferowana, ale raz i drugi zerknęła na niego spod szaty narzuconej na głowę.

– Chodź za mną, ale ostrożnie – szepnęła, mijając go.

Timbre jej głosu wydał się znajomy: niski, przyjemny. Szła szybko, jakby chciała mu uciec. Rzadko, znikając w przecznicy, zerknęła, by sprawdzić, czy Adams za nią nadąży. Ten rozglądał się, czy ktoś ich nie śledzi. Parę razy wydało mu się, że mają ogon, ale potem podejrzany osobnik gdzieś przepadł.

Po półgodzinie kluczenia wąskimi uliczkami kobieta zatrzymała się przed wysoką bramą z blachy, przyozdobioną mosiężnym ornamentem. Miejsce wydało się Adamsowi znane. Nieznajoma otworzyła zamek. Adams zniknął za nią w uchylonej bramie. Falzarota już zrzuciła szatę z głowy, teraz starannie zamykała odrzwia. Nie była łysa, miała krótkie, jasne włosy. „Piękna dziewczyna i bardzo zgrabna”, pomyślał.

– Wypuścili mnie tydzień temu – powiedziała.

– A Karen, a twój mąż?

– Nie wiem, co z nimi.

– A twoje dzieci?

Wzruszyła ramionami.

– Falzarote od razu posłał pierworodnego synka na *terofim*. Najstarsza córeczka poszła na *manu*. Reszty też już nie mam. Jestem zupełnie sama. – Pokręciła głową.

Poszedł za nią w głąb domostwa. Atrium było zamieciono, ale na korytarzach zalegało sporo kurzu.

– Trudno mi samej jednej utrzymać w czystości cały dom. Odkąd przepadł Falzarote, brakuje pieniędzy. Musiałam zwolnić służbę. Ochrona Ludności wypłaca mi niewielką rentę, która ledwie starczy na żywność i bieżące opłaty. I tak miło z ich strony, że zgodzili się na coś takiego, mimo że

to zniknięcie nie zostało jeszcze wyjaśnione.

Adams pokiwał głową.

– Poznałam cię wczoraj, zanim zaczepiłś tego funkcjonariusza. Nie mogłam sama podejść i zagadać, bo miałeś na karku chyba ze trzech ogonów. *Lewtan* wybawił mnie z kłopotu. Dzisiaj godzinę czekałam na ciebie przed hotelem. Mam nadzieję, że ich wszystkich zgubiliśmy.

– Gnałaś jak sarna.

– Chodźmy na piętro, tam utrzymuję pokoje w lepszym stanie. Przygotuję ci kąpiel, zmyjesz wspomnienie po hotelu.

– A wcześniej po więziennej celi – powiedział. – Zwolnili mnie dosłownie wczoraj. Szukam pracy.

Zaniosła świeży ręcznik do łazienki.

– Przynieść ci kieliszek do wanny?

– Później.

Wymoczył się w ciepłej wodzie. Brakowało mu tego. Znalazł męski, czarny szlafrok w wielobarwne potwory z wyłupiastymi oczyma.

– Może być na obiad kozłina? – Falzarota pokornie skłoniła głowę. Nie uwolniła się jeszcze od starych nawyków. Chodziła teraz w czarnym kimonie, ciasno spiętym białym pasem. Podkreślało to jej talię i biust. Na plecach pysznił się wyhaftowany złotą nicią skrzydlaty smok.

– No pewnie. – Uśmiechnął się, wpadając w głęboki fotel. Było mu dobrze, wygodnie, ciepło. Gospodyni urzekła posągową urodą, chociaż od ostatniego razu jakby się nieco zgarbiła. Może tylko chwilowo przygniotły ją bieżące trudności.

Podawała mu gorącą, bardzo słodką herbatę ziołową z łyżką alkoholu.

– Telewizor masz w szafce koło drzwi – rzuciła już z korytarza. Wypił niewiele ponad połowę kubka, a już zmorzyło go zmęczenie.

Piękna gospodyni zbudziła go na obiad. We śnie zsunął się z fotela na rozłożone na podłodze futro.

– Jeszcze nie zaczęłam starać się o status wdowy – odpowiedziała na pytanie, co zamierza zrobić. – Obawiam się, że mogą mi wtedy odebrać kamienicę. Wiesz, jeśli ktoś mnie zechce i ja go zechcę, mogę też zostać drugą żoną. Nie sprzeciwię się. Jeszcze zachowałam sylwetkę. Urodziłam wiele dzieci, a wszystkie mi odebrali. Nie ma sensu rodzić dzieci w Mieście pod Skałą. Tylko się piersi od karmienia rozciągają, a na brzuchu robią zmarszczki i rozstępy. Marny pożytek z tego, że nie wolno oddalić pierwszej żony, tak jak wolno drugą. Dlatego zapuściłam włosy.

– Wyglądasz teraz pięknie.

– Imienia też jeszcze nie zapomniałam.

– Powiedz, jak masz na imię.

– Mila. Nie oglądałeś telewizji?

– Zaraz usnąłem. A co tam ciekawego?

– Niewiele, ale należy oglądać. Zresztą ja obecnie nie muszę tego robić. Teraz już nic nie nadają.

Pomógł jej pozmywać naczynia po obiedzie. Wyszli na ganek nad atrium, żeby napić się kawy. Przebrała się teraz w białą tunikę bez rękawów, rozciętą do pasa na bokach i spiętą na ramionach. Adams, rozparty w bujanym fotelu, przypominał sobie smak prawdziwej kawy.

– W całej kamienicy dbam tylko o niektóre pomieszczenia – powiedziała. – Najstaranniej pielęgnuję Inez. Suszarką do włosów usuwam kurz. Zraszam ją wodą z detergentem, płuczę, suszę gorącym powietrzem. Zostałyśmy tutaj tylko my dwie.

– Popatrzyłbym na nią.

Skinęła głową i oboje podnieśli się z foteli. Adams ostrożnie odstawił kawę – niech ustoi się jej resztką nad fusami. Starczy na ostatni, letni łyk, za którym przepadał. *Ruj* stał w pokoju na piętrze, przyrzucony leciutkim muślinem. Oboje delikatnie zdjęli powłokę ochronną. Kobieta z mgły naczyń krwionośnych stała przed nim w pełnej krasie. Jak uważniej popatrzeć, ujawniały się naczynia limfatyczne i chyba też nerwy. Mimo niezwyklej zwiewności prezentowała się całkiem kompletnie.

– Majsterszyk – powiedział. – Przykryjmy ją już.

– Niech tak zostanie. Pościelę ci u Inez. – Uśmiechnęła się do niego. – Chodźmy teraz do środka, zrobię ci drinka. Tutaj robi się zbyt zimno.

Weszli do pokoju obok jadalni umeblowanego sofami i fotelami. To tutaj kiedyś Aster tańczyła dla niego. Mila rozwiązała zapięcia na ramionach i opuściła tunikę, pozostając naga od pasa. Zgrabnie spięta materiał, formując coś na kształt białego sarongu od kolan do bioder. Adams jak zauroczony patrzył na jej nagie piersi. Odwykł od widoku roznegliżowanych kobiet. W Krum wszystkie odziewały się bardzo starannie, w głębi serca kryjąc swoje rodzinne tragedie.

– Może wolisz, żebym założyła tamten czarny sarong w kwiaty...? – spytała, niezbyt pewna jego reakcji.

– Nieee. Tak jest świetnie. – Mila trzymała się prosto, miała długie, proste nogi, długą szyję, smukłe ręce o wąskich przegubach i proporcjonalne ramiona. Przy takiej sylwetce duże, podłużne i opadające piersi wyglądały znakomicie. Sylwetką przypominała Crispę, chociaż nie miała tak

delikatnych przegubów rąk ani kostek u nóg jak tamta.

Odwróciła się do niego tyłem, stojąc przy barku. Pewnie tylko po to, by mógł podziwiać jej proste plecy. Wreszcie po długiej chwili przygotowań wróciła z dwoma szklaneczkami. Gdy szła, kostki lodu poruszały się na powierzchni koktajlu w takt falujących ruchów jej piersi.

Chyba spojrział z niepokojem na mlecznobiały napój, bo Mila uśmiechnęła się.

– Tym razem to nie jest moje mleko. Nie karmię już – powiedziała. Jednak zarówno koniuszki jej piersi, jak i aureole były bardziej zaczerwienione niż wcześniej.

Popijał słodki koktajl mocno doprawiony alkoholem. Mleko łagodziło piekący smak, dał się wyczuć aromat wanilii.

Mila rozsiadła się w sąsiednim fotelu ze swoją szklanką i przypatrywała mu się spokojnie. Oboje milczeli. Ona zamyśliła się, przestała dbać o wygląd. Siedziała coraz bardziej zgarbiona, brzuch jej zmarszczył się niepotrzebnie, a pełne piersi opadły o wiele za nisko. Nie próbowała wzbudzić jego podniecenia, coś pochłaniało jej myśli.

„Nie zapytała mnie o nic. Nie widzieliśmy się tak długo, mogła przecież przypuszczać, że coś się ze mną wtedy działo”, pomyślał. Wiedział, że w Mieście pod Skałą pierwsze żony zwykle pokazują gościom karmienie dziecka, jednak tu dzieci nie było, a ona rozebrała się znacznie bardziej.

Ocknęła się z zamyślenia, odstawiła koktajl, wstała, zdjęła sarong i położyła na komodzie. Nieoczekiwanie spłoszona, odwróciła się bokiem i zdjęła bieliznę do reszty.

– Zatańczę dla ciebie – powiedziała, stojąc naga naprzeciw niego.

Zaczęła biegać i wyginać się w milczącym tańcu, słychać było jedynie stuk jej bosych pięt o parkiet. Widok był przyjemny, choć taniec jakby wymuszony. Nie sprawiał jej radości. Może uznała, że powinna coś takiego zrobić jako potencjalna druga żona.

– Nie zdraśnij się jakąś drzazgą z parkietu – ostrzegł, kiedy zaczęła się zbytnio wyginać, przysiadając i tarząc, aż piersią zawadziła o podłogę.

W końcu złapała zadyszkę, wdziała czarne kimono, zawiązała pasek i zanurzyła się w fotelu.

– Podobało ci się?

– Piękna dziewczyna z ciebie. Przyjemnie patrzeć, jak się gibasz naga.

– Nie umiem sobie akompaniować w tańcu – powiedziała. – Nikt mnie nie uczył muzyki. Nie mam też żadnych tatuaży. Myślisz, że to poważny niedostatek?

– Może dla kogoś. Dla mnie nie. Rozebrana wyglądasz jeszcze lepiej niż w ubraniu.

– Wiem, ale jak długo jeszcze? Trudno odzyskać sylwetkę po porodzie. Piersi i tak zostały już stracone.

– Ładne masz piersi.

– Tylko wtedy, gdy karmię. Kiedy indziej robią się z nich płaskie worki, na dodatek pomarszczone jak balon, z którego uciekło powietrze. Podobno niektóre odzyskują dziewicze piersi po urodzeniu dziecka, ja nie miałam tego szczęścia. Na dodatek zrobiły mi się żyłaki.

– Nie widać.

– Spod takiej warstwy pudru nie może być widać. Przynajmniej nóg nie muszę golić, tu nie ma oszukaństwa...

Skinął głową.

– Zaczekaj, wezmę prysznic. Czuję się brudna po tym tarzaniu po podłodze. – Nalała mu kieliszek *pynuju*.

„Dlaczego ona tak podkreśla mankamenty swojej urody? Czy zawsze piękne kobiety oceniają się tak krytycznie?” Spodziewał się z jej strony zachęty, prowokacji erotycznych, którym miałby stawić czoła, tymczasem Mila zachowywała się zupełnie inaczej. Jakby obrażeniem się i nagim tańcem wypełniła obowiązek, a teraz chciała zatrzeć to wspomnienie, obrzydając samą siebie w jego oczach. A może właśnie ta bolesna szczerość jest jej drogą do zdobycia go? Nie można przecież zignorować, a tym bardziej zlekceważyć kogoś szczerego.

– Nie używasz kadzidła, kiedy jesteś naga? – spytał, gdy wróciła i suszyła włosy ręcznikiem.

– Nie muszę.

– Jakie imiona nadałaś swoim dzieciom?

Uśmiechnęła się dziwnie.

– Mam ci je wszystkie wymienić? Falzarote nadawał. Ja nie miałam do tego prawa. Nie wiem, co się z nimi dzieje, gdzie je wysłano. Pościelę ci. Już ciemna noc.

Nie przeszkadzało mu, że w kącie pokoju stoi kobieta uformowana z mgły naczyń krwionośnych. Wprawdzie dostał do łóżka butelkę *pynuju*, ale go nie skosztował. Zasnął mocno, nie przyśniła mu się ani Crispa, ani Złota, ani Renata, ani nawet Mila; tej nocy; spał bez snów.

Rano śniadanie czekało już na stole w jadalni. Mila oderwała się od sprzątanía, wytarła ręce i przysiadła obok. W białym, obcisłym, trykotowym podkoszulku na gołe ciało, luźnych, dzianych spodniach i pozornie zaniedbana przy robocie domowej, wyglądała uroczo i jeszcze bardziej kusząco niż we wczorajszym kimonie.

– Do ostatniego *pynuja* dałam ci ziół na sen.

– Nie wypiętem. Wcześniej usnąłem. Uśmiechnęła się. Dolała mu kawy.

„Jeżeli podrywa mnie na swojego nowego męża, to czyni to wyjątkowo subtelnie”, pomyślał. Jednak jej słowa pokazały, że nie ma mowy o żadnych zalotach.

– Już musisz iść – powiedziała. – Weź wcześniej prysznic, bo możesz nieprędko mieć taką okazję. Wyprałam twoje rzeczy, zdążyły wyschnąć.

– Myślisz, że wysłedziła mnie Obrona Obywateli?

– Nie mam wątpliwości. Lepiej sam się do nich zgłoś.

Kęsy grzanki ze słodkim dżemem stwardniały mu w gardle. Kawa też jakby się zestaliła.

– Oni sami mnie wypuścili – powiedział.

– To nic nie zmienia, przecież wiedzieli, że w mieście nie przetrwasz zbyt długo. U mnie nie możesz być dłużej niż kilka nocy, a każda następna pogorszy twoją sytuację.

Pożegnali się przed bramą. Uścisnęła go dość formalnie, jakby z obowiązku. Jak gdyby chciała jak najszybciej się go pozbyć.

– No, już, już... Ja musiałam to zrobić. Wybacz mi – powiedziała na pożegnanie i zamknęła za nim blaszane drzwi.

Znów stał bezdomny na ulicy. Czy Mila została mu podstawiona, by zrezygnował z Renaty? Czy ta nagła perspektywa ustabilizowania życia w Mieście pod Skałą była realna? Może już czekała propozycja pracy? Czy to gra od początku zaplanowana przez Człekousta?

Szedł zamyślony. Wkrótce zgubił drogę – trudno byłoby mu wrócić pod bramę tamtego domu. Nawet przeraźliwy zgrzyt tramwaju na zakręcie torów, na skrzyżowaniu, nie przerwał rozmyślań Adamsa.

Jaki znak chciała mu dać Mila? Ta jej prośba w ostatnich słowach. Do czego ją zmuszono? Cały wieczór zachowywała się dziwacznie. Owszem, poszedł za nią, ale przecież niczym jej nie prowokował. Wcześniej myślał, że to ona zachowuje się nienaturalnie, bo robi to, co na jej miejscu powinna robić druga żona, jednak ostatnie słowa temu zaprzeczyły.

A jeśli została celowo podstawiona przez Pana z Morza? Jeśli to był jego sabotaż? Gruby z pewnością prowadzi swoją politykę w Mieście pod Skałą.

Pytania cisnęły się dziesiątkami, lecz na żadne z nich nie potrafił znaleźć zadowolającej odpowiedzi. Z wyjątkiem jednego: czy wrócić do Ochrony Ludności. Wystarczyło przeliczyć pozostałe pieniądze, by odpowiedź nasunęła się sama. Mila zamknęła drzwi, Liliane nie sfrunie z nieba, aby go nakarmić i skryć pod jakimś dachem; z Natalią pewnie jest jeszcze gorzej, reszta znanych mu w tym mieście osób przebywa w więzieniu.

Kompleks gmachów Ochrony Ludności wyrastał z ziemi jak wzgórze. Mógł konkurować z Janycelem. Z pewnością funkcjonariusze siedzący w biurach na najwyższych piętrach mogli oglądać imprezy w Ogrodach Przewodniczącego Nero. Trudno dziwić się rozmiarom tego gmaszyska, skoro obywatele Miasta pod Skałą byli tu tak częstymi gośćmi.

Adams podszedł do małych blaszanych drzwi w litym murze pozbawionym okien, a wyciętych tuż poniżej budki strażniczej. Najpierw zapukał, ale nie było żadnej reakcji, więc załomotał, aż echo poszło od blachy.

– Czego tam na dole!?! – zawołał wreszcie strażnik na gnieździe.

– Przyszedłem się zameldować u Człękousta.

– Nie jesteś oczekiwany.

– Przekażcie, że przyszedł Adams. Na pewno mnie wpuszczą.

– Czy wy myślicie, że ja, ot tak sobie, zaraz mogę skontaktować się z samym nadkomendantem?

– Może być przodownik Ciaken, nadzwiadowca Bieleń, może być też śledczy Ribnyj albo funkcjonariusz Clfugg.

– Skąd znacie tyle nazwisk?

– Znam ich wszystkich osobiście. Dajcie choć jednego z nich do bramy.

Strażnik nie odezwał się więcej. Zapanowała cisza. Adams cierpliwie czekał. Pięć, dziesięć, piętnaście minut. Wiedział, że oni tam mają niesamowity bałagan, jednak wreszcie zaczął się niepokoić.

– Mają teraz posiłek – odpowiedział w końcu strażnik. – Zaraz ktoś podejdzie.

W końcu drzwi otworzono, a wychyliły się z nich kłapiące żarłocznie pyski służbowych rottweilerów. Na szczęście funkcjonariusz zdołał okiełznać psy i odciągnąć od drzwi.

– Wchodźcie, Adams! – rzucił nieznanemu *lewtan*. Miał twarz pozbawioną zmarszczek i brwi, jakby ktoś naciągnął mu na głowę maskę przeciwgazową z cienkiej gumy.

Adams ostrożnie ominął rozwścieczone bestie. Funkcjonariusz szamotał się z zamkiem, zarazem próbując utrzymać służbowe psy. Wreszcie skinął głową, by Adams poszedł za nim.

– Do kogo idziemy?

– Do samego nadkomendanta. Macie szczęście, że znalazł dla was chwilkę czasu.

Człekoust spojrzał na wchodzącego Adamsa znad papierów rozłożonych na biurku.

– To znowu wy? Czego chcecie? – burknął. – Przecież załatwiłem dla was wszystko, co chcieliście. Możecie nawet wejść na Most. Trzy dni wytrzymałście na wolności i znowu zawracacie mi głowę.

– Nie odejdę bez Renaty. A ceny w mieście są tak wysokie, że pieniądze skończą mi się za parę dni.

– Wy znowu swoje: Renata i Renata, bez Renaty, bez Renaty. – Nadkomendant skrzywił się, przedrzeźniając Adamsa.

– Proszę o przyjęcie mnie z powrotem jako rezydenta, póki sytuacja się nie wyjaśni.

– Może chcecie jeszcze celę trzydzieści trzy oraz Ibn Khaldouniego jako sąsiada?

– Jeśli jest na wolności, to nie, jednak jeśli nadal tu przebywa, to bardzo chętnie.

– Czy wy sobie myślicie, że my tutaj będziemy spełniać wszystkie wasze zachcianki? – Twarz mu pokraśniała. Wyraźniej rysowały się blizny.

Adams nie odpowiedział. Człekoust się uspokoił.

– Dostaniecie swój apartament trzydzieści trzy. Może nawet siedzi jeszcze tam ten wasz kumpel. Będzie tak samo, chociaż z jedną różnicą: odtąd płacicie za pobyt w pomieszczeniach Ochrony Ludności. – Machnął ręką, żeby Adamsa wyprowadzono, a sam opuścił wzrok na papiery.

Cela znajoma, kubel opróżniony, nie śmierdziało; dodano nawet miednicę na zbitym z nieheblowanych desek taborecie. Tyle że nikogo w celi nie było. Ribnyj zapytany burknął, że stary włóczy się po mieście, ale na wieczór pewno wróci.

Ibn Khaldouni rzeczywiście zbudził go na kolację. Adams powoli przytomniał z drzemki, gramoląc się z podłogi.

– Byłeś tak długo na przesłuchaniu? – spytał stary.

– Nie. Wypuścili mnie na wolność, ale wróciłem.

– He, he, he. Kiedyś mi zarzucałeś, że siedzę tu dobrowolnie, a sam wróciłeś do tego śmierdzącego pierdła.

– Forsa mi się kończyła. Musiałem wrócić.

– Powód nieważny, ważna decyzja.

Adams wziął się za miskę przesłodzonego grysiku.

Spytał Ibn Khaldouniego o to, kto mógłby być demonicznym przybyszem nakłaniającym władcę do zmiany obyczajów w Mieście pod Skałą..

– Ty jesteś specem od *mechanitonów*. Może on podejrział to w twoich myślach, spodobało mu się i teraz to wykorzystuje. Oni tak często robią.

– Czyli że przeze mnie ludność Miasta pod Skałą znacznie zbiednieje?

– Na to wychodzi. I na dodatek stałeś się tu mocno nie lubianą osobą. – Stary zawinął się w koc i nie odezwał więcej.

Z rana, po śniadaniu, Ibn Khaldouni naciągnął swoją połataną kurtkę i palnął pięścią w drzwi, aż blacha załomotała, i jednocześnie uśmiechnął się do Adamsa.

– Tak oto wolny człowiek wychodzi na spacer – powiedział i jeszcze raz przyłożył kulakiem. – To zwykła procedura.

„Jak się zmienił. Zupełnie jakbym rozmawiał z innym człowiekiem. Wolność czyni cuda”, pomyślał Adams. „Wczoraj był normalniejszy”.

Ribnyj otworzył drzwi i bez słowa wyprowadził Ibn Khaldouniego z celi.

– Wrócę na wieczór – rzucił filozof już z korytarza.

Adams cały dzień nudził się w samotności. Zaczął już rozważać, czy dobrze zrobił, wracając.

Może gdyby pozostał na wolności, łatwiej zdołałby załatwić sobie jakąś pracę?

Na obiad wydali mu nieco mniejszą rację. „Przewidują, że wkrótce nie będę mógł płacić za pobyt. Już mi takie numery robili”, pomyślał.

Jednakże Ibn Khaldouni wyglądał kwitnąco. Może mu znaleźli jakąś pracę? Na pewno tu nie głoduje.

Stary wrócił w równie dobrej formie jak z rana. Niemal rozkazał Ribnyjowi przynieść spóźnioną kolację, bo suchy prowiant obejmował tylko obiad. Funkcjonariusz natychmiast się zgodził.

Adams odczekał, aż tamten zaspokoi głód, podciągnął nogi, oparł plecy o ścianę, rozsiadł się wygodniej i powiedział:

– Teraz zreferuj mi, co wymyśliłeś pod moją nieobecność. – Czekał na tę rozmowę przez cały dzień.

Stary odstawił miskę, wytarł usta rękawem.

– To słuchaj. Zasadniczą rzeczą różniącą nas od świata demonów jest sposób poznawania rzeczywistości. To obserwacja i zbieranie faktów tworzące podstawę wiedzy. Ogląd świata charakterystyczny dla demonów przypomina postrzeganie świata przez filozofów: czysty zbiór pojęć, uczuć, związków między nimi. Istnienie świata, jak go postrzega i opisuje człowiek-przyrodnik, jest tu zbyteczne. W każdej chwili filozof może zakwestionować istnienie świata realnego lub – wedle życzenia swego czy kogo innego – wybranych fragmentów świata realnego, a obalenie takiego rozumowania okazuje się nieoczekiwanie trudne lub niemożliwe.

– Co ty?! – spłoszył się Adams. – Takich słów używasz?

– Bez przesady. – Ibn Khaldouni machnął ręką. – To mi jeszcze tutaj wolno. Śledzenie sposobu rozumowania filozofów – kontynuował – jest pożyteczne z dwóch względów: pokazuje, jak może wyglądać rozumowanie bytu odartego z doświadczeń zmysłowych (więc bytu demonicznego); pokazuje również, jak dla takiego bytu istnienie świata realnego może wydać się zbyteczne, budzące niechęć, a nawet, już tylko z powodu swego istnienia, nienawiść. U innych, rzecz jasna, wzbudzić może zaciekawienie, tęsknotę do nieznanych doznań, sympatię. Jak widzisz, w naszym świecie, znaczy w Haddammie, oba światy: ten ludzki i ten demoniczny, przeplatają się niedostrzegalnie. Również Miasto pod Skalą nie jest tu wyjątkiem. – Kończąc wywód, powiódł wzrokiem wokół, jakby oczekując na pytania niewidzialnego audytorium.

– Powiedz jeszcze, jak to się stało, że tak się tutaj ustawiłeś – Adams nie nawiązał do wyводу. – Przecież przy mojej wypisce ledwie żyłeś, a teraz kwitniesz... Dali ci jakąś pracę czy co? Skąd dostajesz pieniądze?

Adams nie pamiętał, czy tamten odpowiedział, że pracę właśnie mu znaleziono, czy też, że dostaje specjalne kupony od strażników, którzy potrzebują gotówki, gdyż po całym dniu zmorzył go

nagly sen.

Jakby w odpowiedzi na wczorajsze pytania Adams został zaraz z rana wezwany do nadkomendanta. Ibn Khaldouni przeliczył się z siłami, bo przespał śniadanie. Nie podniósł się też, gdy wyprowadzano Adamsa.

W gabinecie Człəkousta Adams zatrzymał się naprzeciw biurka władcy, w milczeniu patrząc, aż tamten skończy robotę. Skoro podsłuchali wczorajszą rozmowę, to teraz pozostawało czekać na propozycje.

– Właśnie przeglądam wasze papiery – odezwał się wreszcie Uombocco. – Za cztery dni zostaniecie bez grosza. Później zaczniecie się zadłużać u Ochrony Obywateli. Domyślcie się, co to może oznaczać? – Spojrzał pytająco na Adamsa.

– Nie powinienem był tu wracać?

– Na mieście już bylibyście bez pieniędzy.

– Może mógłbym się tu zatrudnić?

– Wy chcielibyście się zatrudnić w Ochronie Ludności...? – Człəkoust parsknął śmiechem. – A co też chcielibyście robić?

– Jaką przydatną robotę. Mogłem łątać starą odzież, mogę robić co innego. Z racji wykształcenia mógłbym zająć się robotą papierkową – dodał Adams po chwili namysłu. – Prowadzenie archiwum, ewidencji, też statystyka. Sam nie wiem. Myślę, że łatwo bym się przyuczył.

– Wasza prośba zostanie rozpatrzona. – Uombocco machnął ręką, żeby funkcjonariusz wyprowadził Adamsa. – Mam jeszcze trzy podobne sprawy – mruknął pod nosem.

Wieczorem Ibn Khaldouni znowu kipiał energią. Znow był jakby innym człowiekiem. Używał słów, których nie odważyłby się wypowiedzieć kiedy indziej, i formułował poglądy, których nie odważyłby się wyrazić kiedy indziej. Inna sprawa, że były to poglądy dziwaczne.

Teraz przechadzał się z rękami założonymi z tyłu.

– Dłuta Boże – rzucił. – Reinkarnacja jest możliwa. Ale jest ona tylko do wyobrażenia, jeśli dusza przed kolejnym wcieleniem zupełnie zapomina swój pobyt na świecie. Oczyszcza się ze wspomnień, jak to ujawnił Wergiliusz. Człowiek nie jest stworzeniem najważniejszym, lecz ledwie dłutem rzeźbiącym Bożą rzeźbę, świat, we wszystkich chwilach swego istnienia. Przecież ponadczasowy Bóg równocześnie widzi początek, środek i koniec czasów, świat jako obiekt we wszystkich chwilach naraz, więc dla Niego coś jakby rzeźbę. Jakiż miałoby to sens, gdyby człowiek był Dzieckiem, nie dziełem Bożym? Trudno obronić tu koncept dziecięctwa Bożego.

Dzisiejsze pomysły Ibn Khaldouniego wydały się Adamsowi jeszcze bardziej dziwaczne niż poprzednie, oszczędził sobie otwierania ust, żeby z tym polemizować. On sam nie dostrzegł tu sprzeczności akurat z konceptem dziecięctwa Bożego. W takim wypadku wielokrotne skrawanie

rzeźby Bożej, jaką jest świat, oznaczałoby, że świat żywych i ten drugi stykają się w wielu punktach podczas ludzkiej egzystencji, będącej wielokrotnym przenikaniem od jednego do drugiego, a nawet dla wybranych trudnym zadaniem do wykonania. Pozostawały jednak zwykłe zarzuty wobec reinkarnacji, to jest, jaki sens ma dobroć i miłosierdzie, jeśli ktoś drugi przez swoją mizериę i nieszczęście odpracowuje własne niegodziwości z poprzednich bytowań.

Dwa dni później Adams został przez Ciakena zaprowadzony do magazynu, gdzie za pokwitowaniem wydano mu komplet cywilnych łachów: podarte i połatane spodnie, bieliznę i bluzę. Jego dokumenty tymczasowo pozostały w depozycie.

– Włóżcie to, Adams. Nadobywatel komendant wybierze się z wami na spacer.

– Zimno na dworze? – rzucił uradowany aresztant.

– Możecie ustawowy kombinezon zostawić pod spodem. Na mieście wieje, słońce rzadko wygląda – powiedziała tęga, piersiasta milicjantka, wydająca depozyt. Grube rysy twarzy pozbawionej brwi i zmarszczek nie zdradzały wieku otyłej funkcjonariuszki.

Człekoust skrzywił się na widok Adamsa. W czarnej, skórzanej, skrojonej do figury kurtce i czarnych bryczesach prezentował się zgrabnie i elegancko.

– Mam godzinę wolnego, mogę z wami pospacerować. Adams owinął szyję szalikiem, wciskając jego końce pod bluzę.

Wyglądał wyjątkowo nędznie.

Nagle Człekoust zaczął okazywać coraz większe zniecierpliwienie, jego twarz poróżowiała.

– Ciaken! – wrzasnął. – Coście za gówna na niego naciągnęli? Wygląda jak łajza.

– Tak jest! – szczechnął przodownik.

– Biegiem!

– Adams, za mną biegiem marsz! – rzucił stropiony funkcjonariusz.

– Nie, Adams. Wy sami, Ciaken! Dostarczyć odzież cywilną z magazynu strażników. No już!

– Tak jest! – Śledczy załomotał buciorami po pustym korytarzu.

„Tutejsi funkcjonariusze gorzej wyglądają niż *behtim*”, pomyślał Adams.

– Widzicie, z kim przyszło mi pracować...? – rzucił nadkomendant. – Nedorajdy i nieudacznicy, najgorszy materiał... Wszystkich co lepszych Gruby ściągnął na Dół.

Adamsowi drgnęła powieka. „Stale czyta moje myśli...? Niczego nie zdołam przed nim ukryć?”

Człekoust spojrział na niego uważnie.

Adams zauważył to. „Może właśnie to chciał dać mi do zrozumienia...?”, pomyślał. „Takie rozważania to najkrótsza droga do obłądu”.

Wkrótce wrócił zziębnięty Ciaken. Wcisnął Adamsowi w ręce wysokie skórzane buty wąskie, czarne spodnie i szarą bluzę ze skaju.

Identyczną jak noszone przez szeregowych funkcjonariuszy milicji. Adams naciągnął spodnie i buty, kurtkę nałożył na aresztancką bluzę, a szyję owinał szalikiem. Człekoust zmierzył go spojrzeniem.

– No... – orzekł. – Teraz może być. Chodźmy.

Adams dreptał za Człekoustem, rozmyślając: „Czy pokłócił się z Grubym aż tak bardzo...? Dlaczego postanowił się ze mną spoufalić? Dlaczego dał mi do zrozumienia, że moje myśli są stale czytane? Czy szuka we mnie sprzymierzeńca? Może powiernika?”

Nie, to akurat bez sensu. Nie jestem przecież dla niego partnerem. Ale może czuje coś w rodzaju samotności wśród posłusznych, ale niezbyt lotnych funkcjonariuszy... Może wreszcie zaproponuje mi jakąś pracę”. Myśli przychodziły jedna za drugą, ale żadna z nich nie przyniosła rozwiązania.

Nadkomendant sunął długimi krokami, pogrążony w myślach. Niedbale odsalutowywał mijanym wartownikom. Adams musiał mocno wyciągać nogi, żeby nie zostawać w tyle.

„Może spróbować rozmowy w myślach? Może o to mu chodzi?”

Odpowiedz?”

Adams wyczekiwał, jednak odpowiedź nadkomendanta nie pojawiła się wśród innych myśli.

Wkrótce opuścili zabudowania Urzędu. Dzień był pochmurny i wietrzny, ale ziąb nie dokuczał zbyt mocno. Ciepło odziany Adams mógł się wreszcie cieszyć przestrzenią i wiatrem.

Po zachmurzonym niebie krążyły stada ptactwa. To łączyły się w chmury, to ciemnymi liniami przemykały od jednej gromady do innej.

Człekoust zerknął w górę. Wzruszył ramionami.

– Znowu mi je nasłał – burknął pod nosem. – Tędy. – Wskazał drogę Adamsowi.

Otoczony dwiema nitkami jezdni obszar był całkiem jałowy. Ziemia, ubita stopami przechodniów, w zagłębieniach po deszczu tworzyła zwierciadła odbijające niebo. Tu i ówdzie brązowiały psie odchody, niektóre rozdeptane, inne rozwleczone butami nieostrożnych, inne wreszcie – te skryte pod okapami dachów – wyschłe jak kawałki skały. Na tym pustynnym terenie wyróżniało się kilka marnych krzaczków forsycji. Ot, po parę badyli wystających z gołej ziemi. Jeden nieśmiało

wypuścił kilka żółtych kwiatków.

Człekoust przydeptał gałązki do ziemi, butami starł mizerne kwiatki. Sapiąc z wysiłku, odarł krzak z całego kwiecica, nie ustawał w pracy, póki ostatni płatek nie zmieszał się z ziemią.

– Ty nienawidzisz istot żywych, Behetomotoh.

– Ja...? Ach, to masz na myśli? – Człekoust spojrział na niego nieobecny wzrokiem. – Och, nie. Tutaj nie może być żółtej plamy, bo myli kierowców. Widzisz? Niedaleko jest żółty znak drogi z pierwszeństwem przejazdu.

Oczywiście, miał rację, chociaż nikły krzaczek był ledwie widoczny.

– Piszą tak o tobie.

– Jak mogę nienawidzić, skoro sam jestem żywy...?

– Mam na myśli drugą generację istot żywych. Przecież tego, co czujesz do innych podobnych sobie, nie mogę wiedzieć.

– Masz na myśli istoty z pyłu i wody?

– Tak. Na przykład forsycję.

– Ty znowu o tym... – zachnął się. – Zwyczajnie: usunąłem stąd chwasta. To nie jest przepisowy trawnik forsycji. Tu forsycja jest chwastem, na dodatek stwarza zagrożenie dla ruchu ulicznego. Jeśli nie ja, to ogrodnik by to zrobił.

– Jednak wszędzie piszą, że nienawidzisz ludzi. Przynajmniej nienawidzą ich twoi bracia – Adams nieustraszenie rozwijał ryzykowny temat. Ostatecznie Ibn Khaldouni też pozwalał sobie na wiele.

– Człowiek wzbudza moją odrazę, a nie nienawiść. Zarówno wyglądem, jak i sposobem życia. Wybacz, Adams, ale sam nalegałeś... – Behetomotoh uśmiechnął się. Kopnął kamyk. – Bo widzisz, ulepki czy jak chcesz ich zwać, „druga generacja”, powinny spełniać pewne reguły, założenia. A wy, ludzie, wyjątkowo marnie się w tym spisujecie. Patrz! – Schwycił Adamsa za rękę i mocno nacisnął ostrym paznokciem skórę na jego przedramieniu. Zranił go, pociekła krew.

– Dlaczego?!

– Nic. Taka demonstracja. Zaraz się zgoi. – Behetomotoh przejechał palcem po ranie i przestała krwawić, chociaż ślad pozostał.

– Demonstracja czego? Zraniłeś mnie, to wszystko.

– Masz skórę miękką jak gumowy kapeć. Przy najmniejszej nieuwadze leje się z ciebie ciecz. Dość to obrzydliwe, musisz przyznać.

– No, ale...

– Sami rzeźbicie, ale każda z waszych rzeźb jest piękniejsza niż oryginał. Niezmienna forma.

– My potrafimy się ruszać.

– *Mechanitony* też to potrafią. Rzeźba to kryształ, ciało ludzkie jest raczej jak smoła. A po śmierci jeszcze gorzej: nawet jak się spuści tych pięć litrów obrzydliwych płynów, które zawieracie, to i tak każdy z was zamieni się w cuchnącą breję. Moi próbują wydobyć to, co w ludziach najpiękniejsze. Zdobią i kształtują kości, przetwarzają skórę, modelują naczynia krwionośne. Ale przecież kościany dzban to już dzban, a nie czaszka i żebra. Więc piękno jest tu raczej pięknem dzbana, nie człowieka. Jeszcze jedno... – Behetomotoh przytrzymał dłoń Adamsa, czując, że ten chce mu wejść w słowo. – Całe wasze życie to nieustanne niszczenie innych ulepków. Musicie przecież coś jeść.

– Ale to cechy wszystkich istot z pyłu, nie tylko ludzi.

– Niekoniecznie. Są takie, które są piękne, foremne jak *mechanitony*, nie deformują się byle gdzie. Więcej, po śmierci nie zmieniają swej formy. Ich oczy to nie są miękkie, opalizujące gałki, które mętnieją, zapadają się odrażająco zaraz po zgonie, lecz u trupa wyglądają dokładnie tak samo jak za życia.

– Owady?

– Właśnie.

– Ależ one są głupie.

– Mają dokładnie tyle mózgu, ile używają, a nie dziewięć dziesiątych części nieużytecznej masy. Znakomita optymalizacja. Pełna celowość. Mięśni tyle, ile trzeba, nie ma trzęsącego się sadła, jakie hoduje większość ludzi.

– One też pożerają i niszczą.

– Nie te moje ulubione. Są takie, które opanowały i ziemię, i niebo, a ich życie jest nieustannym radosnym tańcem.

– Motyle?

– Skądże? Po co te niepotrzebne kolory. Może to się komu podobać, ale jest bezsensowne. Zresztą te barwy są mocno nietrwałe i prędzej czy później całkiem schodzą. Ich lot jest żałośnie nieporadny, jakby wymachiwały arkusikami blachy.

– Więc które?

Po ramieniu Behetomotoha energicznie przechadzała się mucha. Ten zgarnął ją dłonią i podsunął pod nos Adamsowi.

– O to, to. To moje ulubione ulepki. Są optymalne pod każdym względem. A martwe i przez wiek będą wyglądać jak żywe. Ich barwy nie umkną.

Okazała mucha poruszała opalizująco niebieskim odwłokiem.

– Żerują na padlinie, na odchodach.

– No właśnie. W pokorze swojej nie żywią się tylko nektarem, ale usuwają te wasze odrażające pozostałości. Tę bryję, którą wydalacie, albo tę, w którą się obracacie. – Behetomotoh lekko strząsnął grubą muchę, a ta zerwała się z donośnym bzykiem i zgrabnymi łukami poszybowała gdzieś w górę. – Znakomity lot. Jakże porównywać to arcydzieło z nieudacznymi motylami. W talii jak niteczka, tułów i odwłok ujęte w doskonałe krzywizny. Proporcjonalne, zwiewne skrzydła.

– Kraina, gdzie są tylko muchy, to twój kraj...?

– Ja władam czym innym. Mój kraj to Miasto pod Skałą. A ty mówisz o kraju Szemchazaja. Tam nie masz wstępu. Właściwie skąd o nim wiesz? – spytał surowszym tonem.

– Jak w rojeniach Mazateków?

– Ach... Kiedyś już o tym rozmawialiśmy. Ludzie zawsze bredzą po zjedzeniu trujących grzybów. Wtedy można im wplątać trochę prawdy w te rojenia. Kto to rozróżni? Prawie nikt. A jeszcze mniej z nich oddzieli to od bredni.

– Nie chciałbym tam być.

Behetomotoh spojrział na niego uważnie, zarazem robiąc zdziwioną minę.

Ibn Khaldouni rozchorował się poważnie, złapał dokuczliwego wirusa. Za dnia spał godzinami. Cała jego twarz poczerwieniała i obrzmiała, a krwawy wylew do oczodołów nadał jej upiorny wygląd trupiej czaszki. *Medstrażniczka* regularnie mierzyła mu temperaturę, robiła zastrzyki, podawała proszki i tabletki. Raz dziennie energicznie masowała plecy. Ibn Khaldouni nie znosił tego tarmoszenia: niechętnie ściągał z wychudłego grzbietu szarą kurtkę i z rezygnacją kładł się na brzuchu, wystawiając gnaty na pastwę krzepkich dłoni funkcjonariuszki. Kiedy nie spał, bredził w malignie, wpatrywał się w jeden punkt na ścianie, a kiedy gorączka go nie żarła, był jakby przytępiony. Stale drapał się po twarzy, nie mógł znieść dokuczliwego swędzenia. Spowodowało to, że znudzony Adams niecierpliwie wyczekiwał wezwania do nadkomendanta.

Funkcjonariuszka medyczna zupełnie inaczej odnosiła się do Adamsa. Przy okazji wizyt u starego zawsze poświęcała Adamsowi trochę czasu. Troskliwie pochylała się nad jego dłońmi, własnoręcznie usuwała krzywo odrastające płytki paznokcia. Ostrzegała, kiedy zaboli. Adams zdążył polubić troskę tej dużej, białorzęsej, powolnej i niebrzydkiej dziewczyny.

Ibn Khaldouni nie mógł liczyć na jej sympatię. Procedura medyczna przebiegała mocno, szybko i surowo.

Kiedys Clfugg wezwał Adamsa do dyżurki. Nagle okazało się, że zgodnie z nową rozpiską również on ma prawo do samodzielnych wyjśćówek. Podobno nadobywatel komendant był bardzo zapracowany i niestety nie mógł Adamsowi towarzyszyć na spacerze. Zresztą od dziś będzie mu towarzyszył jedynie raz w tygodniu. Ponieważ właśnie nadeszła pora spaceru, Adamsowi w pośpiechu wydano odzież i obuwie z depozytu. Jeszcze podpis na oświadczeniu o nieprzekraczalnej godzinie powrotu i stalowe drzwi komendantury ze zgrzytem zamknęły się za Adamsem.

Adams zapuścił się tylko o dwie przecznice dalej, gdyż tam na ławce pilnował przodownik Ciaken. Jego obecność niedwuznacznie określała zasięg wolności Adamsa. Krążył więc od bramy do Ciakena i z powrotem. Było to i tak znacznie przyjemniejsze niż najdłuższy nawet spaceriak.

Mimo stwierdzeń Clfugga spacer w towarzystwie Człękousta stały się częstsze. Jednak ani razu w czasie tych godzinnych przechadzek po mieście Behetomotoh nie poruszył tematu zatrudnienia.

Nie zawsze opuszczali budynek komendantury. Pewnego dnia strażnik otworzył drzwi do oddzielnego korytarza: pomieszczenia urządzone tam były z większym zbytkiem, na podłodze leżał rozciągnięty chodnik, na którym w kilku miejscach Adams zauważył liszaje pleśni.

Nadobywatel wprowadził go do jednego z pokoi, otworzył rzeźbione drzwiczki szafy wykonanej z ciemnego drewna i wydobył zeszyt o solidnych okładkach obciążonych skórą.

– Może zainteresują cię moje zbiory. Mógłbyś je dokumentować jako archiwista. Byłeś przecież profesorem historii cywilizacji i pewnie wszystkiego nie zapomniałeś...

– Pamiętam całkiem sporo. Historia sztuki była kiedyś moim hobby.

– Więc obejrzyj to. Ta kolekcja należała kiedyś do Falzarote. Pamiętasz tego faceta...?

– Tak.

– To jego prywatne *kwiaty*. Trzeba to skatalogować i dołączyć do moich zbiorów.

Otworzył album na jednej ze stron i podał Adamsowi. Na jasnobrązowej powierzchni rysowało się prawie regularne, brązowe kółko zaszuszonego kwiatka. Jak rumianek, tyle że zbrunatniałe.

Adams nie okazał większego zainteresowania.

– Przyjrzyj się uważniej. – Uśmiechnął się Behetomotoh. Jego przystojna twarz skrzywiła się drapieżnie.

Kwiat, nie kwiat. Adams powiódł po nim palcem. Wyczuł charakterystyczny zagłębiony rysunek płatków-nie-płatków i pośrodku wystający czubeczek.

– Świetna robota. Znakomicie odrobione. – Wziął album do rąk. Teraz i on się uśmiechnął. – Plastik znakomicie odrobił tę pierś. Świetny żart...

– Odrobił? Przyjrzyj się uważnie. Tak nie da się odrobić brodawki sutkowej. To oryginał.

Wstrząśnięty Adams przeglądał kartkę po kartce. Były tam różne brodawki. Jedne wielkie, słabo wyróżniające się kolorem z tła, za to powierzchnią obejmujące dużą część strony, inne mniejsze, choć regularne; jedne z długimi czubaszkami, jak łodyżki zerwanych kwiatów; inne z krótkimi, jeszcze inne w ogóle bez. Była też jedna w ogóle bez aureoli, tylko sam koniuszek.

Z początku wzbierał się tego dotykać, ale ponieważ zaczął od dotknięcia, więc czasem ukradkiem próbował. Wyprawiona skóra wokół brodawek przypominała zamsz, gładki, „a nie matowy; one same zachowały niemal naturalną fakturę. Na stronach obok były krótkie notatki: imię, czasem imiona kobiety, wiek, czasem dwa zdania opisu.

– Makabryczne! Ten potwór mordował kobiety. Za to go zapuszkowaliście? Dostał skurwiel czapę...?

– Mordował? – Behetomotoh spojrzał zdumiony. – Nie, nie mordował. Chciałem ci po prostu pokazać jego kolekcję. Przecież te piersi są piękne jak zaszuszone kwiaty. Już teraz czujesz, Adams, perwersyjną ochotę przeglądania tego albumu. Gładzenia tych chropowatości.

– Nie – uciał Adams i oddał mu książkę. – Te kobiety nie zostały zamordowane?

– Z reguły nie. Któryś z *kwiatów* mógł należeć do ofiary morderstwa, ale tylko przypadkiem i bardzo rzadko, bo i morderstwa są przecież rzadkością.

– To skąd się je bierze?

– Zwyczajnie. Same zapisują.

– Zapisują?

– Tak. Wiele kobiet nie chce, aby ich skarby, pieszczone i całowane przez kochanków, rozpadły się w nicłość po śmierci. Zaręczam ci, Adams, że sama brodawka i aureola niewiele zmieniają się z wiekiem kobiety. Pierś staruchy jest brzydka, sflaczała, ale jej kwiat nie zmienia się wiele. Dobrze spreparowany nie różni się od kwiatka młodej piękności. Na ogół trwale zmienia się, tylko kiedy kobieta karmi pierwszy raz. Dlatego *kwiaty dziewic* są ozdobą każdej kolekcji.

– Dziewic? Zabijacie je?

– Ty znowu o tym samym. – Behetomotoh skrzywił się. – Nikomu krzywda się nie dzieje. One same sprzedają.

– Dają się okaleczyć dla pieniędzy?

– Znowu niepotrzebne słowo. Nawet jak sprzeda jedną, to zostaje jej druga do karmienia. *Kwiaty karmiących* też mają wysoką cenę. Za jeden taki *kwiatek* samotna kobieta utrzyma siebie i dziecko przez rok. To ważne dla ubogich kobiet. I ty chciałbyś im tego odmówić?

– Okropieństwo.

– Same decydują. Zresztą jeszcze parę lat temu na rynku był nadmiar *kwiatów*.

– Nadmiar?

– Tak. Zwyczajnie. Miałeś już kobietę z białymi piersiami? Albo chociaż widziałeś takie piersi? – zmienił temat.

– Nie.

– Żałuj. Białe piersi są całe gładkie, bez *kwiatka*. Ale w idealnie pięknym kształcie. Rzadko która kobieta może sobie na nie pozwolić bez poprawek plastyka. Wiesz, silikon... takie tam drobne upiększenia. Niektóre zupełnie przesadzały z nowym kształtem.

Adams przysłuchiwał się.

– Właśnie w czasie mody na białe piersi zachęcono ludność do kolekcjonowania *kwiatów*. Były przecież zbyt piękne, aby je niszczyć. Chociaż muszę przyznać, że to zainteresowanie przerosło oczekiwania... – Behetomotoh kartkował album. – Zabawne, że często *kwiaty* zdjęte z nieefektywnych, nieproporcjonalnych piersi wyglądają w albumie najpiękniej. – Czy nie wydaje ci się, że to jakaś forma rekompensaty dla brzydkich kobiet?

Zniesmaczona twarz Adamsa musiała nie pozostawiać żadnych wątpliwości, bo Człekoust

odłożył album.

– Jego albumu z kudłaczkami nie masz ochoty obejrzeć? – powiedział z cieniem nadziei w głosie. – Widzę, że nie.

– To też...? – wybąkał Adams.

– Oczywiście. Tyle że kosztują znacznie więcej, bo od żywych. Wiesz, te od staruch są siwe, tego nikt nie kolekcjonuje. Naprawdę nie masz ochoty ich obejrzeć?

– Na pewno nie.

– Aa, właściwie masz rację. Włosy z tego wypadają. – Machał ręką. – Zresztą Falzarote nie był szczególnym znawcą. Wiesz, i poszukuję podwójnych kwiatków.

– Znaczy, z obu piersi jednej kobiety?

– Nie. To się chyba fachowo nazywa rozszczep czy rozdwojenie brodawki. Ładny, symetryczny okaz kosztuje tyle co samochód, podobno zdarzają się nawet bukieciki, ale nawet ja czegoś takiego nie miałem w ręku.

– Kiedyś widziałem, jak wmurowywali dziewczynę na moście. – Adamsowi zaświtała myśl.

– Jasne. Każda większa budowa powinna mieć wkład osobowy. Dłużej stoi, mniej awarii.

– Czy jej też ścięto kwiatki?

– Pytasz, czy zrobiono to przemocą?

– Właśnie.

– Wykluczone. Zawsze jest to dobrowolna decyzja. Może nie chciała, żeby przepadły z resztą jej ciała, może postanowiła pokryć pieniędzmi za nie część kosztów procesu.

– Zamurowali ją, a ona jeszcze za to płaci?

– Nie ona, tylko jej rodzina. Cena za *kwiaty* mogła znacznie obniżyć płacone przez nich raty.

– No dobrze. Ale zamurowywana nie miała już swoich brodawek sutkowych?

– Prawie na pewno nie miała. Oczywiście, nie mogę tego powiedzieć teraz z całą pewnością, ale jeśli przypomnisz sobie datę, sprawdzę w aktach sprawy.

– To była przestępczyni?

– Raczej tak, chociaż mogła zostać po prostu sprzedana władzom miasta przez swoich rodziców. Wiesz, dla uregulowania należności za ogrzewanie czy zaległych podatków.

Stoły pod parasolami z połatanego brezentu wystawiono przed drzwiami małej ulicznej kafejki. Zatarasowany chodnik przechodnie omijali, przechodząc na drugą stronę ulicy. Dzień był słoneczny, choć wietrzny, i w cieniu było zimno. Adams dygotał, ale nie protestował. I tak przyjemniej tu niż w celi. Sączył blade piwo. Człekoust siedział naprzeciwko, rozpiął kurtkę podbitą futerkiem. Ktoś klócił się przy barze, że dostał zbyt małą działkę prochu. Wreszcie barman zaproponował, że resztę poda w zastrzyku, na co klient oponował, że ma zrosty jak skóra nosorożca. Piwo było nadkwaszone, bez śladu jakiegokolwiek pianki, zmętniałe, a na dnie kufła zbierały się białe kłaczkę. Jednak protestować nie wypadało, bo fundował Człekoust, a niewykluczone, że oni tutaj znali tylko takie piwo.

Chwilę Adams przyglądał się, jak szybko może się zmieniać wyraz twarzy jego towarzysza, jak jej rysy to tężeją, to się wygładzają. „Myśli i myśli, skurwiel... Faktycznie zarządza sporym krajem, bo przewodniczący Nero jest niedorozwiniętym, ospałym kaleką. Figurantem potrzebnym z niewiadomych powodów. Przecież za wszystkie sznurki pociąga Człekoust...”

Skrzywił się, przełykając łyk gorzkokwaśnego napoju.

„Rysy nabrzmiały, ale zmarszczek tylko tyle, by twarz wyglądała przystojnie i męsko. Sam chciałbym tak wyglądać...”

Przy stoliku obok przysiadła jakaś dziewczyna. Studentka albo pensjonarka. Jasna blondynka, w drucianych okularach o małych szklach. Adamsowi wydała się zagubiona, może dlatego, że była zarumieniona. Zatopiona w lekturze, co chwilę robiła notatki. Nosila strój niezwykle w Mieście pod Skałą: długą sukienkę prawie po kostki i narzucony na nią kubraczek. O krzesło oparła mały plecaczek, z którego wystawały fragmenty okładek książek. Ani strojem, ani zachowaniem nie pasowała do pomieszczenia wypełnionego kwaśnym odorem i gwarem pijackich swarów, gdzie jedynymi kobietami poza nią były rozkrzyczane prostytutki, zasłaniające krzykliwym makijażem krosty na twarzy. „Wydział humanistyczny La Sapienzy, pierwszy albo drugi rok”, ocenił w myśli Adams.

Człekoust nerwowo spojrział na dziewczynę, pociągnął jeden, dwa, trzy głębokie łyki piwa, otarł pianę kantem dłoni.

– Popatrz, Adams...! – wrzasnął. – Znowu mi ich nasyła! – zerwał się z krzesła. – Ja nie mogę tego już wytrzymać. To nie jest Twój czas...! – Spojrział z wściekłością w górę. – Dałeś mi tylko trochę miejsca pod kamieniami na skraju skały. A jeszcze tutaj mnie dręczysz...!

Nie przeszkadzali mu pijaczkowie czy nieogoleni, bełkoczący ćpuni, leżący pod ścianami. Zerwał się ku tej cichej dziewczynie i złapał ją za poły kubraka.

– To *gabriel!* To cholerny *gabriel*. Adams, dzwoń po radiowóz! Znowu mi podesłał *gabriela!* Wszyscy umilkli, jedynie z podwieszonego na stalowej rurze telewizora dochodził równy łomot werbli, a na ekranie wyświetlono nazwę zalecanego przez władze miejskie szamponu.

– No, dzwońże Adams! Na co czekasz...!? Jeszcze mi się wyrwie.

– Uombocco, to dziewczyna. Czy naprawdę stanowi groźbę?

– *Gabriel czy gabriela...* Co to ma za znaczenie? Dzwońże, człowieku, bo ją tu zakatrupię! – Człekoust szarpał studentkę. Zrzucił i zdeptał jej okulary. Nie broniła się. Kartki z notatkami rozsypały się na podłogę.

Barman wyręczył Adamsa. Wezwał Ochronę Ludności. Reakcja Uombocco odmieniła wszystkich. Nawet mętny wzrok ćpunów ogniskował się na nieszczęsnej. Skoro popularny i poważany obywatel reagował tak gwałtownie, to z pewnością mieli tu przed sobą groźną przestępczynię.

– Dziewczyna? Jaka dziewczyna?! – dyszał Człekoust, przygniatając ją do blatu stołu. – Żeby mi tylko nie zwiłała.

Wkrótce rozległa się syrena radiowozu. Suka zatrzymała się przy drzwiach knajpy. Milicjanci roztrącili tłumek gapiów i wbiegli do środka. Zignorowali pijaków i narkomanów.

– To ta – rzucił Człekoust. Funkcjonariusze skuli i wyprowadzili dziewczynę.

– Adams, wskakuj do wozu. Na komendzie zobaczysz, co to za zioło.

Wóz trząśł niemiłosiernie na nierównym bruku, w korkach czy na światłach zamierał beznadziejnie. Dziewczyna uporczywie wpatrywała się w podłogę. Miała mocno zarumienione policzki.

Na komendzie Człekoust natychmiast zawlókł ją do pokoju przesłuchań. Z upodobaniem osobiście tarosił lub popychał ujętą. Zatrzasnął za nimi metalowe drzwi.

– Patrz, Adams – powiedział i rozerwał jej z całej siły kubrak, potem sukienkę, wreszcie zdarł bieliznę.

– No, co!? Ma tam co czy nic?

Dziewczyna wyginała się na boki, ale mając ręce skute na plecach, nie mogła się osłonić.

– No, widzisz to? Widziałeś kiedyś taką!?

– Mówiłeś, że wiele z nich sprzedaje...

Człekoust skrzywił się ze złości i wściekle machnął ręką.

– Ech, gdzie tam...! To *biała gabriela*.

Adams nie protestował. Sytuacja była dziwaczna. Dziewczyna miała zupełnie gładką skórę. Nie chodziło o to, że jej biust był mały. Ona po prostu nie miała brodawek i ani śladu blizn po

amputacji. Nic. Tam, gdzie kobieta ma piersi, ta miała gładką skórę o jasnej karnacji bez śladu obu kwiatków rumianku, które powinny ją zdobić, nawet gdyby nie wznosiły się na fascynujących podstawach. A u niej tylko ładnie ułożone, choć płaskie mięśnie piersiowe, lekko zaznaczające się przy wyłamanych do tyłu ramionach.

Dziewczyna wpatrywała się w Adamsa trochę nieprzytomnym spojrzeniem krótkowidza. Miała duże, mądre oczy, ocienione nieprzeciętnie długimi, choć za jasnymi rzęsami.

„Jak ci pomóc...?”, odpowiedział spojrzeniem Adams. „Przecież wiesz, że oboje od niego zależyśmy”.

– Jeszcze nie wierzysz? Widziałeś kiedyś takiego stwora...?!

– Dlaczego znieważasz kalekę dziewczynę? Wywlokłeś ją skądś. Pobiłeś. A teraz na dodatek obnażasz jej nieszczęście.

– Głupcze! – Twarz Człəkousta stężała.

– Kim jesteś? Mów! – rozkazał dziewczynie.

– Azahael.

– No i co? Ona zna moje imię.

– Wolno ci z nimi robić, co chcesz, ale dlaczego z tego korzystasz?

– Ona nie jest jedną z moich. To nie jest ona. Patrz, niedowiarku! – pchnął dziewczynę na obitą ceratą kozetkę, służącą do przesłuchań. Zaczął zdzierać z niej odzienie do reszty. – Przekonajże się wreszcie, człowieku...!

Adams z początku chciał powstrzymać rozsierdzonego dostojnika, ale zatrzymała go ciekawość.

Dziewczyna nie miała tam nic. Nawet zwykłych włosów, które ochraniają od otarć. Nic, tylko gładka, elastyczna skóra, zaznaczająca wyżej spojenie łonowe miednicy. Adams po raz pierwszy w życiu widział żywy posąg – piękną, proporcjonalnie zbudowaną dziewczynę, ale bez jakichkolwiek śladów piersi czy łona.

Nie było wątpliwości jednak, że ta dziwna istota o białobłękitnych oczach, prostych nogach, gładkiej skórze i braku wyznaczników płci jest przepiękną kobietą.

– To *biała gabriela*, cholerna *Gabriela*! Nie mogę wytrzymać na jej widok! Zaraz mi portki rozerwie. Najpierw zrobię jej dziurkę nożem, a potem ją zerżnę!

Złapał ją za ramię, brutalnie odwrócił na twarz, zrzucając z kozetki na ziemię. Aż Adams westchnął.

– Patrzaj tutaj! Tu, gdzieś na ramionach, wyrastały jej skrzydła.

– Skrzydła?

Człekoust znowu złapał za kajdanki i rzucił ją twarzą na kozetkę. Ze ściśniętych przegubów *gabrieli* ciekła krew. Teraz ofiara klęczała na ziemi, leżąc resztą na kozetce.

– O, tu! O, tu powinna mieć skrzydła!

Trudno było dopatrzeć się na łopatkach *gabrieli* czegoś więcej niż naturalnych mięśni.

– Widziałeś takiego stwora...? Te usta to atrapa, skoro nie sra. Wszystko mi jedno. Nożem jej zrobię cipę, najwyżej się potem wykrwawi.

– Zabijesz ją, Człekoust?

– A co? Wolisz, żeby jej kiszki zostały rozerwane przez pożywienie...? Wyjdz.

Dziewczyna-jętka pokornie leżała twarzą na kozetce. Z rozciętej wargi sączyła się jej krew.

Strażnik wyprowadził Adamsa do celi.

Adams nie unikał kontaktów z wysokim urzędnikiem. Uważał, że może to pomóc w uwolnieniu Renaty. Ponadto był po prostu ciekaw kulisów życia w Mieście pod Skałą. Zbyt często jednak odnosił wrażenie dotknięcia nieskończonego brudu, który mógłby go skalać. Jakiejś nieskończonej głębokiej studni niegodziwości, która niezmywalnie naznaczy go, jeśli tylko do niej spojrzy.

Nigdy w Dolnym Mieście, ani nawet zaglądając za Płomieniste Wrota, nie miał odczucia takiego zbrukania, jak czasami tutaj, przy zwyczajnych rozmowach czy po prostu przebywając z Człekoustem.

Ibn Khaldouni przestał gorączkować. Jego twarz się goiła. Zniknęła czerwona wysypka i krwawe wylewy okularowe. Obrzmienia też prawie już nie było. Za dnia spał mniej, choć nadal respektował wymogi procedury medycznej.

– Cieszę się, że stajesz na nogi – powiedział Adams, kiedy *medsłużniczka* zakończyła swoją krzątanie przy chorym.

Ibn Khaldouni lekliwie zerknął na judasza w drzwiach celi.

– Od razu mi się poprawiło, jak zacząłem wypluwać tabletki. Masaży nie da się uniknąć, ale pigułki można schować pod policzkiem. Ona wychodzi, zanim świństwo rozpuści się do reszty. Trują mnie mniej, a twarz goi się lepiej bez ich pomocy.

Adams zamilkł.

– Może chcą, żebyś się mniej ze mną kontaktował.

– Ale przecież mają swoją barierę.

– Widać chcą więcej, niż im gwarantuje bariera.

Skoro tak, Adams opowiedział mu ze szczegółami wydarzenia ostatnich dni, w tym zdarzenie z dziewczyną-jętką.

– Myślę, że kłamał – podsumował Ibn Khaldouni. – Odbyt musiałby jej zarosnąć niewiele przed aresztowaniem. Musiałyby być jeszcze widoczne ślady. Tymczasem twierdzisz, że była tam gładka, biała skóra.

– Właśnie. Pokój był dobrze oświetlony. Widziałem wyraźnie. Gładka, zdrowa skóra. To był żywy posąg. Ale co ona w takim razie robi z niestrawionymi resztkami?

– Może całkowicie trawi? Może wydycha resztki? A nadmiar wody usuwa, ziając jak pies?

– Mało prawdopodobne.

– To może w ogóle nie je.

– Jakże? Siedziała w kafejce.

– Siedziała, nie jadła. Może was śledziła?

– Sam mi to zasugerował. – Adams pokręcił głową. – Ale jakże ktoś tak rzucający się w oczy zajmowałby się śledzeniem?

– Kiedyś wyłuszczałeś mi przemiany u Czarnych, analogiczne jak u owadów. Są przecież owady, których forma dojrzała jest pozbawiona ust.

Przerwał im hałas na korytarzu. Do celi drugi raz dzisiaj wkroczyła postawna *medstrażniczka*.

– Będzie trochę seksu – powiedziała lekko zarumieniona. – Kalduni, kładźcie się na pryczy i nadstawcie tyłek.

– Co!?

– No, nie... – zachichotała. – Będzie zastrzyk. Doktor zaordynował wam bardzo skuteczny antybiotyk.

– Ale dureń ze mnie: tak się wygadać... – burknął stary, wyciągając się na pryczy i odsłaniając blady pośladek.

Wkrótce Adamsa znowu wezwano na spacer z nadkomendantem.

– Spacerki, samotne spacerki, tylko dwie przecznice i z powrotem – zagadnął Człękoust, gdy zamknęła się za nimi blaszana furtka Ochrony Ludności.

– Tam przecież filuje nadzwiadowca Ciaken – powiedział Adams. – Pod takim zapyziałym drzewkiem w żelaznym koszu. Myślałem, że dotąd mi wolno chodzić. Chyba w tamtym miejscu wydeptałem koleinę w „chodniku, bo zawsze zawracam pod drzewkiem. – Adams uśmiechnął się.

– Ee... gdzie tam. Ciaken tam stoi, bo jednocześnie prowadzi inną sprawę. Stamtąd ma wgląd do śledzonego mieszkania.

– Podziwu godna wydajność.

– Sam tak wybrał. Dwa kroki dalej ma pizzerię. Może zjeść drugie śniadanie.

– Kosztowna kuchnia.

– Ma służbowy karnet. Na kupon porcja makaronu lub kluski bezmięsne. Do tego herbata. Resztę może dokupić.

– Ciężki kawałek chleba.

– Taa. Chodź, rozerwiemy się. – Popchnął lekko Adamsa. – Na zawody sportowe.

Po półgodzinie szybkiego marszu znaleźli się przed okazałą halą sportową w kształcie owalnej rotundy, ozdobioną kolumnami i stojącymi między nimi nadnaturalnej wielkości posągami betonowych kulturystów i kulturystek.

Korytarzem przeszli obok kas. Nikt nie wymagał od nadkomendanta biletu. Bez wątplenia przecież bawił tu w sprawie służbowej. Zawody trwały już od rana i stadion był pełny. Od słońca osłonięto go szczelnym dachem z szarego płótna żaglowego, natomiast nad pokrytą gliną kolistą areną, wzniesioną ponad półtora metra nad podłogę, zawieszono w powietrzu płócienny parasol w kształcie dachu budynku. Z jego krawędzi zwisały barwne frędzle.

Nadobywateľ poprowadził Adamsa do jednego z pierwszych rzędów, a końcowy odcinek ich wędrówki śledziły reflektory. Rozległy się oklaski zgromadzonej widowni. Popularny urzędnik uklonił się na wszystkie strony, dał znak dłonią, że dziękuje, i że wystarczy, i usiadł. Adams obok niego.

– Nigdy nie siadam w pierwszym rzędzie, bo można oberwać – Uombocco konfidencjonalnie szepnął do Adamsa. – Teraz zaczynają się najlepsze walki.

Adams dostrzegł siedzące z przodu za przeciwnymi narożnikami ringu dwie olbrzymie, otyłe kobiety, opalone w solarium i odziane w szlafroki. Obie miały włosy zlepione brylantyną i zaplecione w jednakowe dziwaczne koki. Kobietom towarzyszyło kilka równo rozsadzonych znacznie drobniejszych niewiast, mających na sobie kolorowe, wzorzyste – jednak identyczne w formie – długie do kostek stroje przypominające kimona. Granicę ringu stanowiła usztywniona gliną barierka z plecionki, wysoka na pięćdziesiąt centymetrów.

Obie czekające kobiety podniosły się z miejsc, zdjęły szlafroki i spokojnie, po schodkach wyciętych w glinie, wyszły na ring. Były odziane jedynie w wielokrotnie zawinięte pasy, formujące skromny substytut majtek. Jedna miała pas żółty, druga bordowy. Z boku zwieszały się im ozdoby wykonane z kilkunastu frędzli w odpowiednich kolorach. Pasy ginęły między olbrzymimi pośladkami. Kobiety były do siebie tak podobne, że Adams odróżniał je tylko dzięki kolorom pasów.

– To jest sumo kobiet? – spytał.

– Zawodowe sumo było sportem wyłącznie męskim, ale to niedopuszczalne. Kobiety tak długo domagały się równouprawnienia, że Nero zezwolił na ich zawody, a także wskutek długotrwałych nalegań zgodził się na stroje identyczne z męskimi. Kobiety muszą mieć przecież równe prawa. Obecnie ta dyscyplina stała się tak popularna, że mężczyźni w ogóle przestali ją uprawiać, a kultywują ją wyłącznie kobiety. Tak naprawdę jest to obrzęd ku czci bogini Maanat. Od jej imienia zawody nazywają się też *maanat*.

– Przecież żadna Maanat nie istnieje.

– Co to ma za znaczenie, skoro one w to wierzą?

Obie zawodniczki stanęły obok siebie, patrząc w tym samym kierunku, nieco w górę. Każda uniosła prawe ramię i lewą nogę, a następnie uderzyła w matę, aż rozległ się głuchy odgłos. Potem

to samo lewym ramieniem i prawą nogą. Następnie powtórzyły ruchy, unosząc jednocześnie prawe ramię i nogę, a wreszcie lewe ramię i nogę. Ich taniec wywołał aplauz publiczności.

– Są tak tęgie, a piersi mają nieproporcjonalnie małe – Adams podzielił się spostrzeżeniem.

– Nie piersi, a *splendory*, nie pośladki, a *zasiady* – poprawił go władca. – Nie używają silikonu ze względów bezpieczeństwa; a piersi nie powiększają się tak bardzo, jeśli kobieta tyje. Zresztą następne będą wyglądać lepiej.

Teraz zawodniczki ujęły swoje piersi w dłonie i obracając się po kolei w cztery strony świata, machały nimi rytmicznie.

– To ceremonia ważenia *splendorów*. Symbolizuje Maanat, która swym mlekiem ożywia wszystkie strony świata. W czasie walki zwycięska zawodniczka staje się Maanat – wyjaśnił władca.

– Która?

– Tego w tym momencie jeszcze nie wiadomo.

– Ta ceremonia wygląda dziwacznie i upokarzająco. Ty ją wymyśliłeś?

– Tak.

Obie nisko przykucnęły naprzeciw siebie, w oznaczonych miejscach, mierząc się wzrokiem. Pomiędzy nimi, nieco z boku, stała małeńka sędzina, odziana w długi do kostek szlafrok i czapkę przypominającą perukę z loków. Trzymała przed sobą pokrytą płaskorzeźbami tabliczkę kultową na długiej rączce. Sędzina coś powiedziała i dała znak tabliczką.

Zapaśniczki mierzyły się jeszcze chwilę wzrokiem; nagle najpierw żółta, potem bordowa dotknęła oboma kulkami ringu. Jednocześnie ruszyły do przodu, odbijając się dłońmi od gliny, i zderzyły barkami. Przypominało to zderzenie dwóch parowozów. Żółta ujęła przeciwniczkę obiema rękami za pas i krótkimi szarpnięciami wyrywała ją z pozycji, za każdym razem przesuwając nieco poza krąg. Bordowa spóźniła chwyt, a teraz szamotała się, by zepchnąć dłonie żółtej. Żółta stała tyłem do Adamsa, starając się poprawić chwyt, a drganie tłuszczu falami przebiegało przez jej boki, biodra i pośladki. Jeszcze parę pchnięć i przeciwniczka była poza kręgiem ringu. Walka nie trwała dłużej niż trzydzieści sekund. Zwycięzczyni ukloniła się pokonanej, następnie przykucnęła i wykonała ramionami dziękczynny gest w kierunku daszku. W nagrodę za zwycięstwo sędzina włożyła jej naszyjnik oraz wpięła błyszczące złociście klipsy.

Nowa para szykowała się do walki. Spiker ogłaszał imiona zawodniczek. Ta z lewej miała obrzmiałe, jakby opuchnięte podudzia i chorobliwie sinoróżową skórę, jak przy rozwijającej się niedomodze krążenia. Mimo potężnych *zasiadów* i szerokich bioder była zbudowana bardziej proporcjonalnie. Stawiła jej czoła mocno opalona kobieta w białym pasie. Ze śniadej plamy opalonego ciała światła wydobywały jaśniejsze kształty okazałych *splendorów*. Obie od razu stanęły na pozycjach.

– Nie powtarzają ceremonii? – spytał Adams.

– Widać obie są pewne swej odwagi.

Jeszcze chwila i zwały się w starciu. Opalona podstawiała nogę, hacząc od zewnątrz, i jednocześnie pchnęła białawą; błyskawicznie powtórzyła haczenie i mocnym pchnięciem między *splendory* powaliła przeciwniczkę na plecy. Błada, zbierając się, wystawiła w stronę widowni umazane gliną *zasiady*. Starcie trwało ledwie pięć sekund. Sala huczała od braw.

– Za uderzenie albo celowe dotknięcie w *splendory* jest dyskwalifikacja – wyjaśnił Behetomtoh. – Nie mogą się pokaleczyć. I tak zbyt często kończą karierę z powodu kontuzji.

– Ładna walka.

– Zawsze mi staje, jak walczy Złota Lilia. Adams spojrzał z niesmakiem na towarzysza.

– No co? – obruszył się Behetomtoh. – Ja po to tylko tu przychodzę.

Zawodniczki występowały para za parą. Na ogół były to ogromnie przekarmione, rozrośnięte brzydule. Rzadko trafiała się taka, która mimo nadwagi wyglądała nieźle. Większość walk rozstrzygana była przez frontalne wypchnięcie z ringu. Krąg posypano solą, co sprawiało, że łatwiej było się poślizgnąć na glinie. Miał średnicę czterech kroków niskiej niewiasty, dla zmagających się olbrzymek były to ledwie trzy kroki. Jeden błąd oznaczał przegraną.

– Widzę, że cię nie ruszają te zawody.

– Wręcz przeciwnie. Są świetne – odpowiedział Adams. – Walki przypominają pojedynki rewolwerowców: jedno starcie i po wszystkim.

Akurat odziana w czarny pas zawodniczka rozstrzygnęła walkę, coraz szybciej pchając przeciwniczkę, aż obie spadły z ringu na widownię. Sędzina zabrała z areny zgubione szmaragdowe, ozdobne frędzle pokonanej.

Behetomtoh, czemuś niezadowolony, gestem ręki wezwał jednego z *lewtanim* i coś powiedział do niego szeptem. Funkcjonariusz zasalutował i oddalił się wykonać rozkaz.

– Dzisiaj są różne walki. Dla nas zmienią program. Mistrzostwo wszechwag będzie wieczorem. Wcześniej wystąpią zawodniczki podzielone na klasy.

– Nie ma wag w sumo.

– W *maanat* też nie. Podzielone są według wzrostu, żeby wyrównać parametry kośćca.

Spiker ogłosił zmianę w dzisiejszym programie, co wywołało eksplozję entuzjazmu.

– Skąd ta radość?

– Wystąpią *klejnociki*, czyli zawodniczki poniżej metr sześćdziesiąt. Zwykle walczą na końcu. Wielu widzów musi zwykle wcześniej wyjść z uwagi na obowiązki służbowe, a dzisiaj nie tracą najładniejszego, więc wpadli w zachwyty. Zdziwisz się, jak kształty zawodniczek zależą od wzrostu.

Wokół ringu siedziały już zupełnie inne zawodniczki. Były znacznie niższe, a niektóre tak tęgie, że przypominały sylwetką kule. Większość z nich miała bardzo okazałe *splendory*, u niektórych wiszące niemal do pasa.

– Kiedyś w męskim sumo zawodnicy nie dożywali pięćdziesiątki. My wykorzystaliśmy naturalne tendencje niewiast do tycia i wiele naszych czynnych zawodniczek dożywa tego wieku. Walka krótka, sercu nie zagraża; o zwycięstwie decyduje technika. Wiek jest tu często atutem. Zakaz atakowania *splendorów* zupełnie zmienił charakter tej walki.

Pomocnicy zmniejszali rozmiar ringu, aby odpowiadał mniejszej długości kroku u niższych zawodniczek.

Teraz wejście każdej pary witały wybuchy entuzjazmu. Męskiej części widowni wystarczało falowanie ciężkich *splendorów* u wkraczających na ring wojowniczek. Niewątpliwie taki typ budowy kobiety ożywiał pradawne wspomnienia.

Zmniejszenie rozmiarów ringu miało wykluczyć szamotaninę podczas walki; wymusiło wzmożoną uwagę zawodniczek, pojedynki toczyły się w podobnym tempie, jak wśród walczących o mistrzostwo wszechwag. Niektóre walki trwały niewiele ponad sekundę, inne przeciągały się prawie do minuty.

Adams zauważył jednak różnice w technice. Szczególnie ważne w walkach tej kategorii było unikanie imponujących *splendorów*. Ręce same składały się do braw, gdy śniadoskóra Kwiat spod Skały zręcznym unikiem z obejściem i natychmiastowym powaleniem za kark od tyłu – przesuwając dłoń od karku do szyi, by przypadkiem nie chwycić włosów, za co byłaby dyskwalifikacja – w pięć sekund uporała się ze znacznie cięższą przeciwniczką. Albo kiedy Perlisty Potok, wyróżniająca się jasną karnacją, serią uderzeń otwartą dłonią w szyję i twarz odepchnęła rywalkę pod linię, a następnie błyskawicznie schwyciła jej głowę w obie dłonie i przyciągnęła ją do ringu. Niektóre popisywały się siłą fizyczną, a jednocześnie niezwykłą precyzją uderzenia, skutecznie trafiając otwartymi dłońmi w gardło i w szyję, aż atakowana traciła równowagę i nieopatrznie wystawiała stopę poza krąg. Drobne zadrapania na twarzy zdarzały się bardzo rzadko.

Występ tej serii zakończyła parada wokół ringu wszystkich zawodniczek odzianych oprócz zwyczajowych pasów we wzorzyste, misternie haftowane kolorową, złotą i srebrną nicią fartuchy. Zawiązane w pasie, niektórym przysłaniały fragmenty *splendorów*.

– Znalazłem dla ciebie pracę w urzędzie – Behetomotoh odwrócił uwagę Adamsa od pokazu. – Zajmiesz się inwentaryzacją, poprzednik się zwolnił.

Zbyt zaaferowany marszem pulchnych *klejnocików*, Adams nawet nie podziękował.

– Idziemy – powiedział Behetomotoh. – W następnej kategorii *klejnoty* są równie ładne, ale

robi się już późno, a ja mam jeszcze sporo roboty.

– Dlaczego wśród rzeźb nie ma wyłącznie niewiast, skoro to świątynia Maanat...? – rzucił Adams, gdy wyszli przed stadion.

– Dzisiaj to świątynia Maanat. Ale to również świątynia Byka wśród Fal i paru innych.

– Sporo ich.

– O, tak. U mnie wolno błądzić w dowolny sposób.

Renata nieufnie przycupnęła na krześle. Przez chwilę nadkomendant nie zwracał na nią uwagi. Czytał dokumenty, porównywał zapisy, uzupełniał notatki. Na nosie miał zgrabne okulary, składające się z samych szkieł, połączonych cienkimi srebrnymi drucikami. Zapracowany, wyglądał fachowo i przystojnie. Wreszcie westchnął z ulgą i odsunął ukończone sprawozdanie. Podniósł oczy znad szkieł i uśmiechnął się do Renaty.

– Możecie odejść... – Wykonał dłonią niewyraźny gest, a obie strażniczki strzeliły buciorami.

– Czy ci czegoś nie brakuje? – Spojrzał Renacie w oczy. Wzrok był ciepły, jednak nieodparcie wdzierał się gdzieś do wnętrza i rozgrzewał serce.

– Jestem sama w celi, ale nie czuję się samotna. Resocjalizatorka spędza ze mną wiele czasu. Wyżywienie jest dobre.

– To wiem. Nie bądź taka oficjalna. Pytałem o inne sprawy.

– Nie narzekam.

– A Adams? Nie brakuje ci go?

– Chciałabym go zobaczyć. Wcześniej się nie rozstawaliśmy, teraz nie widziałam go od dawna.

– Rozstaliście się, kiedy wybrał się na Linie.

– To było, zanim... Potem byliśmy już razem.

– Zanim co?

– Zanim powiedział, że chce, żebym z nim poszła.

– Niewolnik powiedział, żebyś z nim poszła?

– Wtedy już nie był niewolnikiem.

– Ach tak...? – Znów ten irytujący ton.

– Wcześniej też bym za nim poszła.

– Na pewno, na pewno...

Jej przekonanie co do prawdziwości własnych słów topniało w ironicznym spojrzeniu Człekousta. Czy rzeczywiście potrafiłaby porzucić życie w dostatku dla niewolnika? Nawet dla tak niezwykłego niewolnika? Przecież gospodarstwo młynarza Hrabana było najzasobniejsze w całym Krum. Jedzenia nigdy tam nie brakowało. Czy niewolnik Hemfri uchroniłby ją od nędzy? A może to dopiero jego niezwykły awans spowodował jej decyzję?

– Chcesz go zobaczyć?

– Tak.

– Nawet jeśli to, co zobaczysz, zrani cię do głębi?

– Renata wzdrygnęła się.

– Chcę go zobaczyć. On mnie nie zrani.

– Dobrze. – Człękoust skinął głową i podszedł do kotary zasłaniającej jedną ze ścian pokoju. Odsunął kotarę. Ściany tam nie było, lecz okno, przez które widać było duże pomieszczenie, gdzie siedział Adams oraz dwie kobiety. Jedna z nich grała na fletni, potem zaczęła tańczyć, akompaniując sobie kastanietami. Adams spokojnie przyglądał się obu kobietom, popijając z kubka.

Renata nie mogła od nich oderwać wzroku.

– Tam właśnie jest teraz Adams. Ty go widzisz, on widzieć cię nie może. Czy nadal chcesz go oglądać...?

– Tak – głos Renaty był cichy jak powiew wiatru. Człękoust z udaną bezradnością wzruszył ramionami.

– Skoro sama chcesz... – powiedział.

Tańcząca stopniowo rozluźniała strój, spod barwnej jak skrzydła motyla szaty wyłaniały się coraz większe fragmenty jej nagiego ciała. Skórę dziewczyny szczelnie pokrywał wzorzysty tatuaż. W tańcu ściągnęła z siebie szatę i teraz tańczyła, wywijając nią we wszystkie strony.

Nagle przerwała i wybiegła z pokoju. Po chwili wróciła, znów szczelnie zawinięta we wzorzystą tkaninę, usiadła na kanapie obok Adamsa i przyciskając usta do jego ucha, coś do niego szeptała. Jednocześnie palcem wskazywała na drugą kobietę. Ta uważnie przyglądała się scenie, siedząc z podwiniętymi nogami. Mimo gładko wygolonej głowy, była urodziwa. O pięknej, smukłej szyi, trzymająca się prosto.

Adams słabo wzbraniał się namowom tatuowanej. Wreszcie niezdarnie zgramolił się z posłania. Nie mógł stać; zataczał się pijany.

Renata łapczywie chłoneła scenę. Wyczuwała, że zaraz stanie się coś ważnego.

– Czy już wystarczy...?

– Nie. – Renata spojrzała na niego poważnie. – Tam nie ma żadnego pokoju, prawda? Ta scena dzieje się w zupełnie innym miejscu i w innym czasie, a ty, panie, swoimi metodami potrafisz mi ją ukazać, tak...?

– A jak myślisz? – w głosie Człękousta dało się wyczuć dziwną nutę.

Renata bez słowa zerwała się z miejsca i zaniemógł, podbiegła do ściany. Obie strażniczki (które stały w gotowości za drzwiami) bez rozkazu wbiegły i ruszyły za nią, ale dziewczyna była szybsza. Oparła obie dłonie na chłodnej powierzchni szkła, oddzielającej ją od tamtej sceny.

– To twoja moc – powiedziała pewnie.

– A jakie to ma znaczenie? Siadaj i patrz dalej. – Skinieniem dał strażniczkom znak, aby się wycofały.

Adams, zataczając się, kroczył podtrzymywany przez dziewczynę w barwnej szacie; jej fryzura rozsypała się, zawadzona ramieniem pijanego.

Wreszcie dotarł do siedzącej. Stał nad nią, z trudem utrzymując równowagę. Po chwili, jakby z wahaniem, sięgnął za poję jej szaty. Łysa dziewczyna zachowywała się biernie: nie protestowała, ale i nie ułatwiała mu zadania; ograniczała się jedynie do obserwacji.

Adams zatrzymał dłoń w połowie ruchu, kolorowa znów – coś szepnęła mu do ucha. Teraz zdecydowanie sięgnął bardzo głęboko pod materiał, uchwycił i wydobyl jej białą pierś i zaczął ją gładzić dłonią. Renata pomyślała z bezsilną wściekłością, że pierś tamtej jest piękna, mimo że dziewczyna już rodziła. Ciemne kwiatki, foremny kształt. Może pierś nieznacznie za długa, brodawka też zbyt wydatna, ale trudno było jej coś zarzucić.

„Moje piersi nie będą tak pięknie wyglądać, kiedy już zacznę rodzić”, pomyślała ze złością.

Adams sięgnął dłonią po drugą pierś, ale rozbieranie łysej piękności nie szło mu z ręcznie. Ta w kolorowych szatach szepnęła coś do łysej. Łysa wyszła, a po chwili wróciła odziana tylko od pasa do kolan. Obfite piersi podtrzymywała na tacy.

„Nawet jej brzuch pozostał płaski, ledwie wystaje, ot, tyle, żeby widać było, że rodziła”. Potem łysa nadstawiła pierś ku ustom Adama. Ściekająca mu po brodzie biała strużka nie pozostawiła wątpliwości, że pił mleko wprost z jej piersi.

Renata czuła, że traci grunt pod nogami. To już nie był jej Hemfri. Znalazł inną dziewczynę, łysą, ale bardzo piękną. Rola tatuowanej była niejasna, ale wyglądało, że kobieta sprzyja temu, co się tam dzieje.

Na twarzy Renaty pojawiał się rumieniec, znikał i znowu wracał. Łysa już zupełnie naga leżała na kanapie. Leniwym ruchem przetaczała się z boku na bok. Zachowywała się z pozorną obojętnością; przypominała gorący lód. Widać było jej długie, proste nogi i smukłe biodra. „Nogi ma za grube w kostkach”, pomyślała Renata, choć defekt rywalki był ledwie zauważalny.

W oczach Renaty zaperliły się łzy wściekłości. Ona sama nie umiałaby tańczyć na łóżku tak kusząco. Chłonęła wzrokiem rozgrywającą się scenę.

Również tatuowana dziewczyna pozbyła się odzieży. Z daleka trudno było ocenić jej budowę; raczej przypominała żywe malowidło. Renata nie miała wątpliwości, że i ona jest piękna.

– Jak się nazywają te kobiety?

– Wzorzyste tatuaże ma Karen. Ta łyśa to Falzarota, kiedyś zwali ją Mila. Chcesz dalej patrzeć...?

– Już nie mam wątpliwości, co zajdzie. Przecież specjalnie mi to wyszukałeś.

– Dobrze. Nie patrz więcej. Nadkomendant zasunął kotarę.

– Wystarczyło Adamsa zwolnić na trzy dni. Zbyt długo był bez kobiety.

– Może rzeczywiście jest w tym trochę mojej winy. Człəkoust spojrział na nią z zainteresowaniem. Czekał na wybuch gniewu czy zazdrości i na razie nie doczekał się. Łzy wściekłości już wyschły na policzkach Renaty.

– Usiądź mi na kolanach – powiedział.

Renata rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Nie mam nic złego na myśli. Chciałem cię po prostu utulić w żalu.

– Nie czuję żalu, nie ma mnie z czego tulić – powiedziała, kierując wzrok na posadzkę. – Właściwie mogłam się spodziewać czegoś podobnego.

Tym razem był szybki: błyskawicznie zbliżył się, schwycił ją za ramiona i przemocą posadził na swoich kolanach. Pachniał mocną wodą kolońską.

– Ja naprawdę wiem, czego teraz potrzebujesz.

Renata z całej siły odpychała jego uścisk, jego zbliżającą się twarz. Myśl: „Po co właściwie z nim walczyć?”, ledwo zakołatała w głowie, a zaraz została odparta.

– Dlaczego tak szalejesz, głupia? Kto pozna, że się ze mną pieściłaś? Hemfriu cię zdradził, ty powinnaś mu odpłacić!

Próbowała go bić, drasnęła paznokciami, nie przestawała się opierać. Całe to zmaganie toczyło się na kolanach Człəkousta. Stale czuła ciepło jego ciała i nie było to odczucie odrażające.

– Hemfriu ma mój *simbolon* – powiedziała wreszcie. – Póki nie odzyskam *simbolonu*, należę do niego.

– Ach nie... Ja posiadam twój *simbolon*.

– Nie wierzę!

Człəkoust zwolnił chwyt, co Renata wykorzystała, żeby wyrwać się i usiąść na krześle do

przesłuchań. Nadobywateľ wydobył z szuflady biurka ułomek ceramiki.

– Oto twój *simbolon*. – Pokazał go dziewczynie, nie dając jednak do rąk. – Odkupiłem go od Hemfriu za niewysoką kwotę. Potrzebował pieniędzy, żeby zacząć życie na wolności. – Znów odsłonił kotarę. – To się dzieje po waszym przybyciu z Krum.

Teraz widok się zmienił. Druga kobieta miała znowu na sobie biały sarong od bioder do kolan. Najpierw sporządziła dwie szklanki białego napoju, do każdej wycisnęła nieco swojego mleka, potem rozebrała się do reszty i zaczęła tańczyć. Jej taniec złożony był z najdziwniejszych figur, kobieta gibała się na wszystkie strony, jakby chciała odpoczywającemu w fotelu Adamsowi pokazać swoją znakomitą formę fizyczną.

„Ja też potrafię się tak wyginać”, pomyślała Renata, zanim widok znowu skryła kotara.

Oglądanie spektaklu za szybą najpierw Renatę zdruzgotało. Teraz jednak przyszła refleksja: „Zbyt to rozbudowane. Hemfriu upił się i zabrał za obce kobiety, czy też planował zdradę od dawna...?”

Jak takie dwie rzeczy mogą naraz mieć miejsce? Czy cała ta scena nie została przez Człekousta w nieznanym sposobie uformowana? Czy tam rzeczywiście był Hemfrius...?”

– Moje *tarhatum* należy do wielu osób. Spora jego część jest własnością legionu – powiedziała.

– Już nie, wykupiłem jego resztę. Jesteś wolna, nic cię nie wiąże z Adamsem. Możesz wybrać takiego mężczyznę, jakiego zechcesz.

– To musi mi powiedzieć on sam. Mogę tego wymagać. Takie jest tu prawo.

– Ja tu mogę wszystko. Mogę cię wziąć i wbrew prawu. Renata poważnie patrzyła na władcę.

– Panie, stanowisz prawa, które ci się podobają. Nie ma powodu, żebyś musiał je łamać.

– Źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że ta prawda jest oczywista.

– Z pewnością masz rację. Mnie jednak wolno usłyszeć słowa odrzucenia z ust Hemfriusa. Cokolwiek zdecydował, powinnam to od niego usłyszeć na pożegnanie.

Człekoust chwilę patrzył na nią szarym, nieruchomym wzrokiem.

– Usłyszysz. – Skinął, by ją wyprowadzono.

Renata wracała do celi uspokojona: obraz ukazany jej przez Człekousta był niewątpliwie iluzją, możliwe że specjalnie dla niej spreparowaną. Przecież ta piękna kobieta, kiedy naga tańczyła przed nim, miała krótkie włosy, a kiedy wcześniej pił jej mleko, była całkiem łysa. Przecież Hemfrius ma zwierzęce, grube pazury, a na dłoniach kępki czarnej sierści. Sobowtór ukazany jej przez Behetomotoha miał białe i gładkie dłonie.

Wymyśliła kilka innych różnic, które ją jeszcze bardziej upewniły. W rzeczywistości nie widziała wtedy wyraźnie dłoni Hemfriua. Wprawdzie była bystrą obserwatorką, jednak obraz nie miał wystarczająco dobrej jakości, żeby dało się wyłowić drobne szczegóły. Z wyjątkiem włosów piękności inne różnice były tylko domysłami Renaty. Z drugiej strony, nie mogła wykluczyć, że tamta zgoliła włosy do reszty w trakcie swoich zalotów, a sceny zostały pokazane w odwrotnej kolejności.

„Tak się gibała, aż tymi białymi cyckami szorowała po podłodze”, pomyślała z niechęcią o pięknej nieznajomej.

Stany Ibn Khaldouniego można było podzielić na dwa całkiem różne rodzaje. Albo eksplodował aktywnością, promieniał energią i wygłaszał przedziwne opinie; albo sprawiał wrażenie udręczonego, otępiałego, sypiał bardzo wiele, a jego sądy były zwyczajniejsze, choć wtedy jakby wnikliwiej oceniał sytuację w Mieście pod Skałą. Gdy wpadał w okres pasywności, nasilała się jego dziwna dolegliwość: twarz mu puchła, obrzmiewała, siniała i powracały wylewy okularowe.

Medstrazniczka, nagabywana o przypadłość starego filozofa – zwykle miła dla Adamsa – z początku odpowiadała zdawkowo i opryskliwie, jednak po jakimś czasie zaczęła lepiej traktować Ibn Khaldouniego. Nawet kurowała twarz starego zimnymi kompresami, co przynosiło ulgę. Może trochę mu współczuła.

Skoro nie dało się wiele pogadać z chorym, Adams chętniej towarzyszył nadkomendantowi na obowiązkowych spacerach, zresztą lada dzień spodziewał się skierowania do pracy w archiwum.

– By rządzić, należy skłócać – rzucił Uombocco w czasie jednego z takich spacerów. – To żadna tajemnica, każdy z was to wie. Należy skłócić dzieci z rodzicami, mężczyzn z kobietami, miasto ze wsią, robotnika z przedsiębiorcą. Zajęci sobą, dadzą sobą władac.

– A jeśli się pogodzą?

– Niemożliwe. Wszystko trzeba przygotować. Skłóceniu dodać ideologię, może nawet filozofię. To nie jest trudne przedsięwzięcie, wymaga tylko starannej pracy.

– Tak władasz nimi?

– Nie tylko ja. – Uśmiechnął się. – Wracając do poprzedniego: widzisz, jeśli nawet pogodzą się w jednym ze sporów, to dzielić ich będą pozostałe konflikty. Umiejętnie sącząc swoje, złamiesz każdą solidarność.

– To dla skłócenia kobiet z mężczyznami w twoim mieście każdy ma dwie żony? – spytał ironicznie Adams.

– Żartujesz? To akurat stabilizuje rodzinę, te jasno określone role. Można tak skłócić obie płci, by ludzie w ogóle nie chcieli się żenić. Na przykład zarzucić ich nadmiarem seksu albo wypromować seks bez małżeństwa. To wystarczy, by w większości przypadków powstrzymać ludzi od trwałych związków. Albo można uczynić małżeństwo nieopłacalnym przedsięwzięciem. To też nieźle działa. Nie wymyśliliście tego już...? – odpowiedział Adamsowi, uśmiechając się z ironią.

– A jeśli nawet nie my, to ty nam podsunąłeś?

– Akurat ani ja, ani Gruby.

– Dwie żony dla każdego, a dlaczego nie dwóch mężów dla jednej?

– Prawda, już można by wykorzystać wysokie ambicje jakiejś damy i dzielić... Niestety, powód

jest zupełnie praktyczny. Za dużo mężczyzn się kastruje, za dużo idzie na *terofim*, żeby jakaś kobieta mogła sobie pozwolić na dwóch mężów.

– Nie buntują się mimo wszystko?

– Skądże. Mają przecież prawo do dwóch mężów. Telewizja stale im to tłucze do głowy, co nie przeszkadza, że nic takiego się nie stanie.

– Widzisz, cała gorycz tej sytuacji bierze się z mojej dobrej woli. Muszę mieć się takich środków, by utrzymać władzę, a przecież to Tamten wygnał was z Edenu i zmusił, byście na Ziemi zdobywali wszystko w pocie i znoju, sam wysłał was pod nasze władanie.

Adams nic nie odrzekł, więc Człekoust kontynuował:

– Skoro tak, więc to ja stworzę wam raj na Ziemi. To znaczy, wy go stworzycie, idąc za mną. Wtedy staniecie się jak bogowie, ponieważ powtórzycie to samo, co Tamten stworzył. Czy nie jest to dobre? Czyż nie jestem dobry...? Wystarczy pójść za mną.

Adams nie przerywał jego monologu. Może władca się z czym wygada?

– Celowo nas upośledził, a was wywyższył.

– Nie są to aby zaszłości historyczne...? – spytał nieśmiało.

– Po co więc stworzył świat? – Behetomotoh wlepił w niego badawcze spojrzenie.

– Dlaczego nie zostaliśmy wyłącznie duchami, jak wy? – Adams upewnił się, czy zrozumiał pytanie.

Człekoust gestem potwierdził.

– Dał nam zmysły: wzrok pozwala lepiej zrozumieć słowo „dystans”, „odległość”; słuch daje lepsze wyczucie słowa „rytm” czy „harmonia”; dotyk lepsze zrozumienie słowa „faktura”, często przecież rozumianego jako „natura przedmiotu” – Adams powtórzył fragment niegdysiejszej dyskusji z Ibn Khaldounim.

– My dobrze rozumiemy te słowa. Bez takich ilustracji.

– Może więc nie potrzebowaliście świata do ich ilustracji? Nie jesteście dziełem upośledzonym. On dał wam potęgę i wielką moc, dał wam lepsze zrozumienie. A ty żałujesz, że nie obdarzył was zmysłami. Nasza niby-wyższość ma polegać na tym, że istniejemy dwuetapowo: najpierw na krótki czas wśród materii, którą postrzegamy zmysłami, aby się do istnienia przyuczyć; a dopiero w drugim etapie wśród duchów? Mnie to nie przekonuje. Ja tu widzę raczej równowagę darów i upośledzeń.

Adams instynktownie czuł niebezpieczeństwo tych rozmów. Zbyt często dochodzili do zgody, za łatwo poglądy Człekousta stawały się jego poglądami. Z drugiej strony, nie potrafił im sprostać, nie

widział w nich szczeliny. Z jeszcze innej strony Adams miał na podorędziu parę stwierdzeń, które chciał tamtemu podsunąć, a które nieoczekiwanie mogłyby się przerodzić w coś jakby pułapkę intelektualną, w którą rozmówca mógłby wpaść.

Człekoust zaczął wprowadzać Adamsa w prowadzenie ewidencji, jednak żadnej konkretnej roboty na razie mu nie zlecił. Na ogół wzywał go do pokoju przesłuchań, gdzie przesiadywali godzinami przy obowiązkowym kieliszku. Wyjaśniał szczegóły nowej pracy Adamsa. Pił dużo, Adamsa też nakłaniał. Nie nalegał wprost, jednak nie do pomyślenia było, żeby odmówić nadobycielowi. Posiedzenie z reguły kończyło się ciężkim bólem głowy następnego ranka.

Kiedyś Człekoust otworzył szafę narzędziową i po kolei demonstrował Adamsowi działanie poszczególnych przyrządów. Przechodził dreszcz, kiedy na próbę zakładał je na szyję, palce czy kończyny Adamsa, jednak nadobyciel żadnego z nich nie wprawił w ruch. „Aż się rwie z ochoty, żeby to zacisnąć na moim ramieniu”, pomyślał Adams. „Aż go korci. Dłonie mu się spociły”.

Uombocco trzymał nerwy na wodzy, potrafił się powstrzymać, ale pokusy ukryć nie potrafił.

– Oprócz archiwów będziesz inwentaryzował moje wybrane zbiory – powiedział, odkładając narzędzia. – Ale nie wszystkie. Dopiero jak się sprawdzisz, zajmiesz się moimi ulubionymi. Pokażę ci je, żeby cię bardziej zmotywować do tej pracy.

– Już jestem zmotywowany.

– Jasne. Ale będzie jeszcze lepiej. – Skinął ręką, żeby Adams poszedł za nim.

– Obejrzyj zbiór ludzi.

– Ludzi...? A gdzie tve ulubione muchy?

– Muchy żyją, ludzie pozwalają się kolekcjonować. To tu. – Behetomotoh podbródkiem wskazał boczny korytarz.

– Wypychasz ich czy co?

– Gdzie tam. Mają wikt, opierunek i uznanie. To im wystarcza. Tyle że łążą na golasa, bo chodzi wyłącznie o ich ciała. Zresztą, łatwo dają się przekonać, że tak jest naturalnie. Przecież są okazami w kolekcji: pierwsza połowa siedemnastego wieku, mężczyzna, druga połowa pięćdziesiątego ósmego wieku, kobieta. Zestawieni w odstępach stuletnich.

– Aż takie późne stulecie? Pewnie ma łeb jak wiadro, a zęby w zaniku.

– Nic z tego, Adams. Te rojenia nie są obecnie potrzebne. Nie trzeba ich wam już podsuwać.

Weszli do sali przechodzącej w bardzo długi korytarz. Wzdłuż jego ścian zawieszono kotary. Człekoust podszedł do jednej z nich i odsłonił skryte za nią okno. Za szybą na drewnianym zydłu siedziała nieatrakcyjna, naga kobieta około trzydziestki: szarawe, rzadkie, krótko ścięte włosy; zwiotczale, zdeformowane piersi i nadwaga zaznaczona zbyt pełnymi biodrami. Nieznajoma drzemała oparta o ścianę.

– Ta kobieta jest tobie współczesna. Właśnie ty żyjesz w końcu pięćdziesiątego ósmego wieku.

Adams spojrzał na niego. Behetomotoh przytaknął gestem i skinieniem głowy.

– Można ją łatwo odróżnić od innych – kontynuował. – Większa niż poprzedniczki, zwykle piersi też ma większe. Wiesz, wokoło analogi hormonów żeńskich pod każdą postacią... Nie dość, że rozwoju piersi nie próbowano powstrzymać krępowaniem, to nawet wszyto w nie plastikowe worki z ciecżą, żeby je bardziej rozdać. Niestety, z wiekiem worki się poprzesuwały. Tatuaze w różnych miejscach ciała. Po kilka dziur w płatkach uszu. Poprzedniczka miała tam zawsze po jednej dziurze. I co ważne, popatrz, te dziury w skrzydełkach nosa, w policzku i w łukach brwiowych. O, tu wywiązało się wokół nich zapalenie. Widzisz te czerwone obręcze naokoło dziurek?

– A mężczyzna?

– Co, mężczyzna?

– No, jej współczesny.

– Nic ciekawego. Przerost prostaty przez nadmiernie częste kopulowanie, jednocześnie najniższe w historii stężenie plemników w spermie. Też dziury w skrzydełkach nosa, w uszach i innych miejscach twarzy. Sporo tatuazu. Łatwo go odróżnić od poprzednika: ma bliznę po wyrostku robaczkowym. Poprzedni ma zagojoną, wygnitą ranę, ten ma już ślady szycia. A ten? Zgadniesz? – Człękoust odsunął kotarę zasłaniającą następny kojec. – Popatrz, jaki niski, chociaż nie karzeł. Nie wyrósł. Kości zniekształcone krzywicznie. Zęby starte do dentyny. Żywił się chlebem z ziarna mielonego na kamiennych żarnach i zdrewniałymi łądygami. Trwała deformacja skręceniowa kręgosłupa, widoczna skolioza. Jedna z kości śródstopia ma ubytek po skórnym ropniu, który wygnił aż tak głęboko. Brak śladów operacji jamy brzusznej.

– Nie wiem.

– Trzydziesty siódmy wiek. Jakiś niewolnik czy więzień, za młodu był łucznikiem.

Wolno przechodzili od kojca do kojca.

– A następne wieki, te po pięćdziesiątym ósmym?

– Chciałbyś wiedzieć, czy będą jeszcze jakieś następne wieki, tak...?

Adams popatrzył na niego spłoszony.

– Jasne: zobaczysz pannę z sześćdziesiątego drugiego wieku, Azjatkę na ten przykład, to łatwo domyślisz się, że przynajmniej Azjaci dotrwali do tego wieku.

Blokada sama ujawniła swoją obecność.

– No dobrze, popatrz sobie. To akurat nie ma wielkiego znaczenia. Na następnym wybiegu... – Skinął dłonią w kierunku kolejnego okna przypominającego wielką szybę w biblioteczce. – O, tamta

panna.

Stojąca tam kobieta różniła się budową od oglądanych poprzednio. Była dość wysoka i szczupła tak, że szerokie biodra sterczały kanciasto. Skórę na twarzy miała gładszą i znacznie jaśniejszą niż na reszcie ciała, szczelnie pokrytej mozaiką przebarwień i wykwitów. W jej sylwetce wyróżniały się niezwykle, wręcz wzorowo piękne, foremne piersi.

– Zgadnij, ile ona ma lat?

To pytanie okazało się nieoczekiwanie trudne. Jej ciało nie dawało typowych wskazówek, po których zwykle ocenia się wiek kobiety.

– Nie może być stara. Wprawdzie ma nieco zwiotczalej skóry na brzuchu i na bokach, ale takie piersi nie mogą należeć do staruchy.

– Ma ponad osiemdziesiąt lat.

Można ekstrapolować rozwój medycyny w przyszłości. To nie było niemożliwe. Jednak ani śladu osteoporozy, jędrna skóra czterdziestolatki, twarz piękna. Zbyt wiele zwycięstw nad czasem.

– To jakieś wszczepy? – Adams spytał o najbardziej intrygującą rzecz.

– Dodano trochę tkanki tłuszczowej, ale to jej własne piersi. Wybrała sobie ich kształt, nie zmieniając wielkości.

– Sama wybrała?

– Ma na sobie biustonosz wewnętrzny. Delikatną plecionkę kolagenową, wszczepioną pod warstwy jej własnej skóry. Koszyczki modelują kształt, a pierś sprawia wrażenie jędrniejszej, niż gdyby była pozbawiona wszywek.

– Za to pewnie zwiększone ryzyko raka.

– Nawet nie. To jej własny kolagen. Jedyne niebezpieczeństwo, to że plecionka zostanie wchłonięta przez organizm, a zabraknie pieniędzy na nową. Wewnętrzny biustonosz jest charakterystyczny dla jej stulecia.

– Jej skóra wygląda jak kombinezon, skrywający ją od stóp po szyję.

– Ach tak. Faktycznie miała dość pieniędzy, żeby sobie zrobić twarz, na resztę skóry funduszy brakło. Za odmłodzenie skóry płaci się od centymetra kwadratowego. Zresztą nie jest źle: przecież tylko twarz widać na co dzień.

– Wygląda wspaniale interesująco. Zdrowa i zgrabna. Niesamowity widok.

– Z tym zdrowiem u niej nie bardzo. Kona na marskość. Żadna wątroba nie wytrzyma takiej ilości przyjmowanych chemikaliów. Marskość wątroby jest drugą typową cechą jej stulecia; ponad

połowa zgonów populacji.

– Nie może zrobić przeszczepu?

– To nie jest zamożna kobieta. Coś za coś. Mało kogo stać na wszystko. Ale to jeszcze nie najlepsze. Chodźmy dalej. Pokażę ci okaz z innej kolekcji.

Człekoust otworzył drzwi prowadzące do bocznej sali, też nieoczekiwanie długiej – jej koniec nikał gdzieś w mroku. Tym razem otworzył drewniane drzwi jakby od szafy.

– Popatrz tutaj. – Wskazał dłonią.

Naprzeciwko nich znów stała naga kobieta, a właściwie mała dziewczynka.

– No, moja mała! – Klasnął w rękę. – Teraz ty!

Nagle dziewczynka zaczęła rosnać. Straciła proporcje dziecka. Nogi jej wydłużyły się i wyszczuplały. Biodra zaokrągliły się. Nabrzmiały piersi. Dziecięca buzia zmieniła się w twarz urodziwej dziewczyny. Włosy też ciągle odrastały, jednak jakby ich nie przybywało. Wreszcie kobieta przestała rosnać, tylko jej piersi stawały się pełniejsze i jakby spływały w dół, a jednocześnie stale zaokrąślały się biodra, pośladki stawały się coraz większe, a brzuch coraz bardziej wystający. Na tęgich udach pojawiły się kropkowane zagłębienia. Ściekające piersi oparły się na wystającym brzuchu. Twarz orały coraz głębsze zmarszczki. Wreszcie ciało jakby straciło ciśnienie, dzięki któremu wypełniało skórę, i zaczęło się pod nią kurczyć, skóra zaś marszczyła się coraz bardziej, jak balon, z którego uchodzi powietrze. Tęgie biodra rysowały się teraz ostro kośćmi miednicy, brzuch wisiał jak pusta torba, piersi przypominały równie puste worki z pomiętej skóry, rzadkie, siwe włosy aureolą otaczały twarz pomarszczoną jak sucha gruszka.

– Wspaniałe? Mógłbym to oglądać godzinami. Nazywam ją „Płynąca”. Prawda, że kobieta płynie przez całe życie?

Adams oderwał wzrok od starzejącej się niewiasty.

– Nawet jej ciało nie może pogodzić się ze starzeniem. Wypłakuje dwie łzy. Piersi to dwie łzy... – Behetomotoh uśmiechnął się. Zaraz spojrzał krzywo na Adamsa. – Nie byłbym sobą, gdybym nie powiedział: „kobieta cieknie całe życie”, co?

Przed nimi stała niezwykle zgrzybiała, zgięta w pół osteoporozą goła starowinka.

– Ciekawe, jak młodnieje – podsunął Adams.

– Nie odmłodnieje. Potrafi najwyżej zeszywnieć i się rozłożyć. Chodźmy, nie warto dalej na to patrzeć! – Wziął Adamsa pod rękę.

– Mówiłeś, że mógłbyś to oglądać wielokrotnie.

– Pewnie! Można wybrać jakąś inną. Mam ich tu dość.

Pierwszy dzień w pracy Adams spędził w małym, dusznym, pozbawionym okien pomieszczeniu, dokąd zaprowadziła go znana *medsłużniczka*. Zdziwiony, dowiedział się, że Tamarell, bo tak się nazywała, zatrudniana jest też do innych prac wymagających wykształcenia.

W pomieszczeniu były metalowe regały, na których w tekturowych pudłach znajdowały się sterty papierów. Jedynie lampa na biurku rozświetlała pomieszczenie; na biurku stały też rejestry, które Adams miał sprawdzać i uzupełniać. Wkrótce odkrył, że mimo pozornego bałaganu pudła podpisano numerami rejestrów, co uprościło robotę. Pierwszy wpadł mu w ręce rejestr kastratów: całymi kolumnami ciągnęły się nazwiska, daty urodzenia i daty zabiegu. Zauważył, że chłopców kastrowano w siódmym dniu po urodzeniu. Okazało się, że kartki zgromadzone w pudle to protokoły zabiegów, a żaden z nich nie jest odnotowany w spisie. Należało je najpierw uporządkować chronologicznie, aby uzgodnić kolejność z wpisami w rejestrze.

Po godzinie Tamarell przyniosła mu gorącą gorzką herbatę. Mimo oczywistej wyższości, wynikającej z relacji służbowej, szanowała pracownika, który jak ona wyróżniał się tu wykształceniem. Przez cały dzień Adams starał się uporządkować nieszczęsne protokoły. W pomieszczeniu było zbyt gorąco, drażnił smród starych papierów. Na wieczór przyszedł po niego Clfugg, Adams przygotował sobie na jutro potężny stos uporządkowanych papierzyk. Opróżnił to pudło prawie do końca, kichał od podnoszącego się kurzu.

Ibn Khaldouni już spał na swojej pryczy. Czasem jęczał przez sen.

Kolejny dzień pracy zaczął się podobnie. Innej paczki z protokołami kastracji nie znalazł. Kiedy więc po drugim dniu pracy uporządkował już wszystkie, zaczął wpisywać kolejne pozycje do rejestru według numeru zaświadczenia. Liczba zabiegów robiła wrażenie. Chociaż daty były niekompletne, trudno było określić, w jakim okresie dokonano zabiegów. Uznał, że to w ciągu jednego roku, bo nazwy miesiący nie powtórzyły się. Uporządkowanie całego pudła jednego z rejestrów zajęło Adamsowi tydzień.

Po tygodniu znowu nadkomendant wziął Adamsa na kolejny spacer resocjalizacyjny. Oczywiście trafili do knajpy, gdzie kiedyś Człekoust schwytał *białą gabrielę*. Teraz w pomieszczeniu było pusto, dopiero co milicja usunęła większość towarzystwa po jakiejś bójce. Kierownik lokalu ustawiał krzesła, gwoździami zbijał połamane; kuchenna zamiatała okruchy szkła, a inna ścierała szmatą ze stołów rozlane piwo. Z ciemnego kąta, zza stolików, zalaatywało rzygowinami.

Behetomotoh uważnie powąchał złocisty trunek. Pociągnął łyczek koniaku z szerokiej szklanki. Jego twarz rozpogodziła się.

– A widzisz! Mam tu też dobre gatunki. Bez szczyn czy posmaku drożdży. Można je pić bez wstrętu. – Uśmiechnął się do Adamsa.

– Nic takiego nie twierdziłem.

– Twierdziłeś, twierdziłeś... Może tego nie powiedziałeś, ale przecież tak uważasz, bo tak bywa.

Adams właściwie polubił *pynuj*. Ale teraz powiedzieć cokolwiek na ten temat nie byłoby z pewnością.

Behetomotoh uniósł kieliszek, by kelnerka mogła zetrzeć ze stołu kałużę rozlanego piwa. Można już było oprzeć łokcie o blat. Nadkomendant delektował się kolejnym łykiem.

– Teraz, kiedy już wiesz tak wiele o mnie, a wszystko o moim państwie... – zaczął i odstawił szklaneczkę – ...czy nadal uważasz mnie za zło absolutne?

Adams był zaskoczony pytaniem. Dotąd zdążył poznać zaledwie statystykę kastracji z okresu jednego roku, prawdopodobnie ostatniego.

– No, czy wszystko, co mówię, jest kłamstwem? Czy każdy mój czyn jest złem...? Ale szczerze, Adams, odpowiedz szczerze.

– Nie wydaje mi się... Prawdopodobnie nie jest to nawet możliwe logicznie.

– No to nie wszystko, ale sporo... Akurat tyle prawdy, żeby uwiarygodnić kłamstwo? Akurat tyle dobra, żeby uwiarygodnić zło? Dokładnie jak każą zasady kłamliwej propagandy, he...?

– Zgrabnie to powiedziałeś.

– A nie uważasz właśnie tak?

– Jeśli mi to tak zgrabnie sformułowałeś...

– A niby dlaczego miałem unikać sformułowania twoich opinii?

Adams sięgnął po kieliszek. Wypił dwa drobne łyki. „Do czego on zmierza? Do czego chce mnie przekonać? Co chce tym osiągnąć...?”, myśli biegły jedna za drugą.

– No, to czym mam cię przekonać, że tak nie jest? No, przynajmniej, że nie zawsze chcę, by tak było? Że jeśli coś takiego ma miejsce, to wychodzi tak czasem wbrew mej woli?

– Uwolnij Renatę!

– Renatę!? Akurat Renatę?

– Tak, właśnie ją.

– Wybacz, myślałem, że poprosisz o Natalię, może o Liliane. Obie to kobiety z klasą, fascynujące piękności. Ale o tę małą prostytutkę?

– Uwolnij Renatę.

Behetomotoh spowaźniał. Zachmurzył się.

– Dzisiaj nie mogę odpowiedzieć. Decyzja nie należy tylko do mnie, ale obiecuję, że sprawa zostanie wkrótce rozpatrzona.

Obaj umilkli. Behetomotoh zmarszczył czoło. Zza przewróconych stołów, z kąta pod ścianą, mozolnie wydobywał się kompletnie pijany, zarzygany menel. W ukryciu przetrwał zamieszanie spowodowane bójką i późniejszą akcją milicji. Teraz próbował nieporadnymi ruchami wesprzeć się o stół i jednocześnie pociągnął ku sobie zaplamiony obrus. Z cukiernicy sypnął się cukier, a niezgrabny ceramiczny flakonik runął, uwalniając przywiedły kwiatek.

Skoro Człekoust sam orzekł, że Adams poznał tajniki jego administracji, oznaczało to, że poznanie przynajmniej niektórych z nich było w jego zasięgu. Adams zauważył, że część korytarza, do której codziennie doprowadza go *medstrażniczka*, jest oddzielona od reszty zakratowanymi drzwiami i że za dnia nie zaglądają tam inni strażnicy. Zaczął więc penetrację kolejnych pokoi. Żaden nie był zamknięty na klucz – widać przewidziano, że archiwa w nich zgromadzone zostaną mu wcześniej czy później udostępnione.

Nie wkopywał się teraz w beznadziejną, mrówczą robotę, chcąc najpierw rozejrzeć się w rodzajach statystyki. Najwięcej pokoi zajmowały pudła z danymi osobowymi mieszkańców Miasta pod Skałą; kryteria ich klasyfikacji były mętne. Najbardziej interesowała Adamsa, oczywiście, jego własna kartoteka, jednak jej nie odnalazł. Pod hasłem „Adams” nic nie było.

Odkąd wydano mu odzienie funkcjonariusza, okazało się, że może również bezkarnie snuć się po korytarzach Ochrony Obywateli, nie tylko po zakratowanym odcinku korytarza. Kiedyś sama Tamarell zachęciła go do tego.

– Nie mam czasu dzisiaj prowadzić was do archiwum – powiedziała, wypuszczając go z celi. – Znacie drogę. Dyżurny wam otworzy.

Rzeczywiście, poproszony o to, znudzony *lewtan* przekręcił klucz w zamku i wrócił do stróżówki.

Adams zastanawiał się, ilu jeszcze takich przypadkowych gości snuje się korytarzami ogromnego gmazyska. Należało tylko unikać patroli z psami, rozwścieczone bestie natychmiast wyczuwały, że coś jest nie w porządku i starały się zaatakować.

Na końcu tego piętra były ogromne, blaszane drzwi, zza których dochodził hałas pracujących maszyn. Kiedy o tym wspomniał *medstrażnicze*, ta wzruszyła ramionami.

– Zajrzeć tam możecie, czemu nie. Tylko uważajcie, żeby was nie wciągnął jaki pas transmisyjny. Hale też będziecie inwentaryzować.

Oczywiście jeszcze tego samego dnia zajrzał za drzwi z blachy. Ujrzał tam wielką halę, w której rządami stały *mechanitony*. Nieporadne, błędnie wykonane, niedziałające. Wokół krzątali się robotnicy, którzy próbowali akurat jeden z nich uruchomić.

Hala była bardzo obszerna, rzędy *mechanitonów* ciągnęły się w dal, jednak robotników tylko mała gromadka. Zdziwiło też co innego: rodzajów *mechanitonów* było niewiele. Kobiety na ogół przypominały posągi z korytarzy, sfinksy też były podobne do siebie; poza tym nieco innych ruchomych rzeźb.

Później zauważył grupę mniejszych *mechanitonów*, przedstawiających owady, głównie były to różne sceny z muchami, ale i miernie odrobione wojsiłki czy chrząszcze, także kilka podobizn skorpionów różnej wielkości, a jeszcze dalej, w cieniu, trochę węży.

Na oczach Adamsa ręka mechanicznej kobiety nienaturalnym ruchem roztrzaskała jej twarz. Zapytany brygadzysta wytłumaczył, że oni tutaj metodą prób i błędów próbowali skonstruować działający *mechaniton*, a to są egzemplarze prototypowe. Mówił tonem zwykłego, zastrachanego mieszkańca Miasta pod Skałą, nie jak *lewtan*.

– Te tutaj to egzemplarze drugiej sprawności. Mamy poprawić ich funkcjonowanie.

– Niektórych się nie da naprawić. – Adams wskazał na *mechaniton* o całych kończynach odlanych z jednego kawałka materiału.

– Z niektórymi będzie trudniej – powiedział majster, unikając jego wzroku.

– Mało urozmaicone te rzeźby: trochę niewiast, owady, skorpiony.

– Takie miały być. Wyroili się w wyobraźni jednego śledzonego i stamtąd zostały podejrzone, żeby mu spasowały. Tyle roboty dla jednego zasrańca. – Robotnik splunął przezutym tytoniem i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Główny konstruktor to Gerbert...? – podsunął Adams.

– Nie. Taki stary, brodaty. Inaczej go nazywali. – Robotnik pokiwał głową. – Ale widzi pan, jak on się na tym znał...

– To dlaczego je robił?

– Powiedziano nam, że to droga do wolności. Że jak zrozumiemy ich konstrukcję, będziemy tyle wiedzieć, co ten Gerbert właśnie. Bo to on był majstrem nad majstrami, a jego *mechanitony* nie miały sobie równych. Wtedy uda się poznać działanie zamka, który Herbert zamknął nad nami, i zrobić klucz do niego.

– Gerbert was tutaj zamknął?

– Gerbert zamknął naszego władcę, a nas z nim. – Brygadzistę rozmowa coraz bardziej denerwowała. – A wy co o takie rzeczy pytacie...?! Jakbyście sami nie wiedzieli. Ja tu gadał o niczym nie będę. Robota nie może czekać.

Nieoczekiwanie rozsierdzony odszedł kierować beznadziejnymi próbami uruchomienia wadliwej maszyny.

Wychodząc, Adams zauważył całkiem udatnie odrobione czerwie na gnijącym mięsie. *Mechanitony* robaczym ruchem to wychylały się, to zagłębiały w bryle trawertynu, naśladowującej padlinę.

„Prosty ruch łatwiej odrobić”, pomyślał.

Uwolnienie Renaty okazało się tymczasowo niemożliwe, jednak Człekoustowi udało się załatwić dla Adamsa widzenie z nią. Oczywiście, mogło się to odbyć wyłącznie w budynku Ochrony Ludności. Widzenie miał zabezpieczać przodownik Ciaken. Od czasu przybycia do Miasta pod Skałą Renata przebywała w więzieniu pod zarzutem nielegalnego przekroczenia obu granic. Adamsowi zarzut ten wydawał się absurdalny, skoro nie wysunięto go w stosunku do niego samego. Jednak Behetomotoh niezmiennie wywodził, że nie może samowolnie zmienić statusu Renaty. Obecnie stosunki z Kram oziębły i spotkania władców rzadko się odbywały. A przecież wolność mało znaczącej dziewczyny lokowała się na odległym miejscu na długiej liście spraw do wyjaśnienia między oboma władcami.

Ribnyj wiódł Adamsa długimi korytarzami. Było to bezpośrednie podziemne przejście, prowadzące do Miejskiego Odosobnienia. W korytarzu przykro cuchnęło. Obficie leżały psie odchody (korytarz wykorzystywano do szkolenia psów milicyjnych i ich przewodników), jak również zaschnięte rzygowiny. Widać funkcjonariuszom zdarzało się popić na służbie. Zdarzało się im też ulżyć pęcherzom, bo przy ścianach trafiały się cuchnące kałuże o różnym stopniu wyschnięcia.

Renata już czekała przy rozmównicy. Nie zmieniła się wiele, choć Adamsowi wydała się drobniejsza, niż ją pamiętał. Była w szarej, grubo tkanej bluzie i takich samych spodniach. Podniosła na niego zmęczone spojrzenie, w którym nie było blasku. Może nie spała od dawna, chociaż jej oczy nie były zaczerwienione.

Ribnyj pozwolił Adamsowi usiąść koło Renaty. Chwilę milczała.

– Dobrze cię tu traktują?

– Tak. Jest w porządku – powiedziała matowym głosem, nie podnosząc ciężkich powiek.

„Gdzie podziała się jej wesołość?”

Adams dowiedział się od Ibn Khaldouniego, że podobno uwięzionych uczy się zestawu typowych odpowiedzi, wyłącznie których wolno im używać. Jednak on sam mógł (a przynajmniej tak myślał) zadawać dowolne pytania.

Odsunął jej kosmyk włosów z czoła. Nie były nawet ciemno-miodowe ani tym bardziej blond.

Renata zadrżała pod jego dotknięciem.

– Nie są tak piękne, co?

– Są.

– Jak nie mogę ich myć w ziołach, to pociemniały. To jest ich naturalny kolor. Ciemniejsze już nie będą.

Uśmiechnął się. Położył dłoń na jej dłoni.

- Twoje ręce, Hemfriiu!
 - Tak?
 - Ty masz piękne paznokcie, a nie...
 - Znowu mam paznokcie. Szpony zerwali mi w śledztwie. Paznokcie zdążyły już odrosnąć.
- Renaty to nie ucieszyło, rzuciła mu szybkie spojrzenie.
- A włosy przykrywające dawne blizny?
 - Spalili je w czasie przesłuchań.
 - Wszystkie?
 - Tak. Wypalili je bardzo dokładnie. Ale już się zagoiło.
 - Nie odrosły?
 - Nie. Odrosła normalna, biała skóra.
 - Dawno to się stało?
 - Nie liczyłem dni, ale to już kilka tygodni. – Jej niepokój udzielił się Adamsowi.
 - Czy opuszczasz swoją celę?
 - Tak. Często wychodzę z nadobytwarem komendantem na spacerzy czy do kawiarni.
 - Zawsze z nim?!
 - Najczęściej. Pozostaję pod nadzorem.

Renata patrzyła na niego swoim dawnym przenikliwym spojrzeniem, lecz nie było w nim ani odrobiny wesołości.

„Jak przeniknąć, czy Hemfriiu mówi prawdę?”

„Jakby chciała zajrzeć do mojego wnętrza. Dlaczego ona mnie o to wypytuje?”, zastanawiał się.

Chwilę zbierała w sobie odwagę.

- Znasz Karen i Falzarotę? – spytała wreszcie. – Czy byłeś u nich?
- Tak. Spotkałem je kilka razy. Rysy twarzy Renaty stwardniały.
- Widziałam twoją wizytę u nich. Widziałam tańczącą Karen i równie nagą Falzarotę, a ciebie

kompletnie pijanego.

– To było zanim zszedłem do Kram. Przecież mówiłem ci o sobie, o nich chyba też.

– Nie wymieniałeś imion.

– Może imion nie pamiętałem. To były żony Falzarota.

– Ale ty piłeś mleko Falzaroty, a mnie jeszcze nawet nie miałaś...! To coś... To coś niebywałego...! Niezwykła więź...! To nie mógł być epizod. Jak mogłeś...!?

– Oni to robią tutaj często. Częstość gości mlekiem swoich pierwszych żon. Widziałem to wcześniej, ciekawość mnie skusiła. Ale to zdarzyło się, zanim ciebie poznałem. Chociaż teraz też nocowałem u Falzaroty, kiedy zwolnili mnie na parę dni. Ona sama mnie do siebie ściągnęła. Nic się jednak nie wydarzyło.

– Odrosty jej włosy. Tańczyła naga przed tobą, szorując piersiami po podłodze.

– Tak. Chociaż nie rozumiałem, dlaczego to robi.

Za drzwiami usłyszeli pośpieszne kroki. Ktoś zbliżał się korytarzem. Renata rzuciła szybkie spojrzenie ku drzwiom. Pilnujący ich śledczy drzemał na zydlu.

Drzwi z hukiem rozwarły się na oścież. Pojawiła się w nich czerwona z wściekłości gęba Ciakena.

– Ribnyj!! – ryknął oficer. – Śpicie na służbie!

Gwałtownie wyrwany z drzemki funkcjonariusz omal nie spadł z krzesła. Instynktownym ruchem wyprężył się na baczność.

– Wtedy też kosztowałaś jej mleka. Podała ci w kubku – powiedziała, ale nie dosłyszał jej słów w gwarze kłótni obu milicjantów.

– Melduję, że pozorowałem sen... – niepewnym głosem recytował Ribnyj. – Dokładnie słyszałem, o czym gadają.

– O czym gadają?! Właśnie to, o czym gadają! – wrzeszczał Ciaken. – Znowu spieprzona cała robota! Stary was pośle na Dół do Grubego!

– A ciebie też przesłuchiwali?

– Nie tak jak ciebie. Inaczej. On stale próbował podważyć moje zaufanie do ciebie – odpowiedziała.

– Koniec widzenia! – przerwał Ciaken. – Wyprowadzić aresztantkę!

Dwóch wartowników natychmiast wpadło z korytarza i rozdzieliło Renatę i Adamsa. Pośpiesznie wyprowadzili dziewczynę z rozmównicy.

– Teraz będzie mu jeszcze trudniej – zdążyła powiedzieć.

Zdarzało się, że Adams całymi dniami nie widział Ibn Khaldouniego. Filozofa często wypuszczano na miasto, podobno przygotowano mu oddzielną celę i co jakiś czas w niej nocował. Adams zresztą wracał z pracy tak późno, że nawet jak stary był obecny, to już spał.

Adams znalazł kartoteki zapaśniczek *maanat*, ale na razie nie wziął się do ich porządkowania. Odnotował tylko w pamięci, że zawodniczki *maanat* żyły średnio nie dłużej niż zapaśnicy sumo. Rzadko która przekraczała sześćdziesiątkę.

Szukał czego innego i wreszcie wśród dokumentacji mieszkańców Miasta pod Skałą odnalazł teczkę podpisaną „Pseudo Kadmon”. Pamiętał, że podobnym imieniem nazwał go kiedyś Leviahatannah. Mogła to być jego własnateczka osobowa, chociaż wielce niekompletna. Większość papierów zapewne przeniesiono w inne miejsce, nie odnotowując ich pobrania.

Żadna z kartek nie dotyczyła go osobiście. Były tam prognozy i nużące opisy pogody nad miastem, ze szczególnym uwzględnieniem siły i kierunku wiatrów. Adams zauważył, że punktem pomiarowym był hotel, w którym kiedyś mieszkał.

Potem znalazł protokoły zaopatrzenia miasta w koźlinę. Obejmowały one kilka kolejnych dni, a liczby odnoszące się do jednego z nich podkreślano czerwonym pisakiem. Czy ktoś robił porównawczą analizę wydajności pracy w dniach, kiedy zatrudniano Adamsa, z wydajnością w dniach bezpośrednio przed i po? Do czego miałyby to służyć?

Dalej następowały żmudne tabele poziomu wody w rzeczce ujętej kanałami miejskimi. Mrowie danych próbowano skorelować z pogodą, opadami, a nawet porą dnia.

Zaraz potem seria notatek poświęconych eksperymentom prowadzonym na tej rzeczce. Zamalowano w nich czarnym flamastrem sygnatury i daty.

Pierwszy zapis: *„Obiekt lat 37, eksperyment przeprowadzono dla stanu wody wynoszącego na wskaźniku 60 cm. Nurt wreszcie niesie płynnie. Po 25., 70. i 90. metrze twarde uderzenie o umieszczone zgodnie z zaleceniem progi i głazy. Po wyłowieniu stwierdzono paraliż części lędźwiowej i hipotermię. Zaleca się podwyższenie poziomu wody”*.

Kolejny mówił: *„Poziom 40 cm na wskaźniku. Test trzech obiektów. Zaledwie jeden (19 lat, kobieta) był w stanie brodzić pod prąd. Oba pozostałe uniesione nurtem. Znaczne obrażenia, najprawdopodobniej podczas pokonywania progu. Upadek niegroźny”*.

Znowu następna notatka: *„Poziom 120 cm. Obiekt (51 lat, mężczyzna) płynnie przebywa tor, jednak nie opuścił kotła eworsyjnego. Prawdopodobnie szok temperaturowy, hipotermia mniej prawdopodobna. Obecnie ciepłownia miejska nie jest zdolna do zwiększenia grzania”*.

A potem plik kartek spiętych zardzewiałym spinaczem.

Zaleca się ograniczenie żeglugi na środkowym odcinku Cloaca Maxima. Zapach paliwa i

spalin jest nadal wyczuwalny na całej trasie jego wędrówki. Lewtanim winni już zacząć korzystać z komunikacji miejskiej. Niezależnie należy zwiększyć poziom odoru kanałowego (dodatkowy nawiew?)”.

Wysunął spod zardzewiałego drutu następną notatkę.

„U każdego z dotychczasowych obiektów (lat 18, 32, 31, 42 i 56, kobiety) po przebyciu Cloaki stwierdzono poważne zakażenie dróg rodnych. Należy znacznie zwiększyć stężenie dezynfektanta, koniecznie kompensując jego zapach, który obecnie jest wyczuwany przez co bardziej sensytywne obiekty”.

Tę serię kończyła kartka z informacją: *„Poziom 0.4, eksplozja metanu podobnie jak przy wyższych testowanych (0.6, 0.72 i 1.12). Precyzyjne określenie poziomu, przy którym wystąpi jedynie aureola płomienna, wydaje się bardzo trudne. Za każdym razem eksplozja metanu, gdy obiekt był przy kracie, powodowała oparzenia eliminujące z dalszej drogi”.*

W kącie pudła znalazł samotną kartkę, wsuniętą pod tekturę opakowania. Starannie przetarł ją z grubej warstwy kurzu.

„Wyznaczono funkcjonariuszkę Bjezduszną. Profilowanie wykazało, że właśnie jej wygląd zainteresuje go najbardziej. Jedyne Mówiąca twierdziła, że należy wyznaczyć kogoś w typie Pierwszej. Jednakże reakcja na ponowne spotkanie z Łagodną mogłaby wywołać nieprzewidywalne następstwa, a ponowne wykorzystanie Llth jest wykluczone – odmawia współpracy. Dlatego Mówiąca została przegłosowana”. Kartka została przekreślona czerwonym ołówkiem, a obok ręczny dopisek: zamiast Bjezduszej spotkał Łagodną. Należy wyciągnąć konsekwencje służbowe, do pozbawienia twarzy włącznie”.

Ostatnia kartka wydawała się najmniej zrozumiała.

Dzień był chłodny, nieco wietrzny, ale kiedy zaświeciło słońce, stawało się przyjemnie ciepło. Adams mógł pójść ulicą w prawo lub w lewo, z przyzwyczajenia skierował się w stronę baru, w którym przesiadywali z Człəkoustem.

„Czy on potrzebuje moich ujęć, aby udowodnić Renacie, że nadal odwiedzam Karen i Falzarotę? Może właśnie teraz jestem filmowany ukrytą kamerą, a cała rzecz zostanie wkrótce zmontowana i przedstawiona jej jako kolejny niezbity dowód”, pod czaszką Adama zagościła niepokojąca myśl. „Czy mój wygląd wystarczająco różni się od tego sprzed wyprawy do Krum? Czy Renata zdoła odróżnić zmiksowane różne ujęcia?”

Kurtka była szara, drelichowa, nie granatowa z syntetyku. Ale czy to jej wystarczy, żeby dostrzec różnice...? Czy ona w ogóle pamięta moją starą kurtkę? Przecież w podziemiach widziała zmięty łach, wysmarowany gnojówką.

Dziwiła dwoistość w zachowaniu Człəkousta. Z jednej strony wtajemniczał Adamsa coraz bardziej w działanie swojego państwa, z drugiej, nie ustawał w próbach zerwania jego więzi z Renatą.

Zamyślony Adams mijał znajome miejsce, gdy usłyszał czyjeś wołanie. To sam Uombocco machał do niego zza stolika barowego. Oczywiście, nadobywatel stawał. Jak tylko Adams zdążył opróżnić poprzedni kufel, zamawiał nowy.

– Ta cała wasza kara to też niezły nonsens – prychnął nagle, rozpylając banieczki piany. Jego piwo pokrywała gruba biała warstwa, na piwie Adamsa piany nie było.

Adams spojrzał zdziwiony.

– Oddawać mi tych, którzy Jemu odmawiają, czyli oddawać temu, kto też odmówił. A niby dlaczegóż miałbym ich za to gnębić? Istoty mi bliskie? Towarzyszy losu? – Behetomotoh znowu energicznie zdmuchnął pianę z kufła, aż spadła na blat stołu. Jakby chciał pochwalić się jakością pitego przez siebie piwa.

Jednakże Adams pomyślał o czym innym: „Właściwie jak zaprotestować?”. Intuicyjnie wydawało mu się, że w tym wywodzie jest szczelina, jednak nie potrafił jej wskazać.

– Boisz się powiedzieć, Adams? Nie ma sprawy... Wał, co myślisz! Obiecuję, że drugi raz nie będę ci zrywał paznokci. A przy okazji, jak odrosły? Ładnie?

– Zagoiły się.

– No, pokaż. – Behetomotoh pociągnął go za rękę. – No, proszę! Ale cienkie i równe! Dużo ładniejsze paznokcie niż te zdarte. A widzisz? Opłaciło się nieco pocierpieć, no nie...?

– Są takie, jak przed zwiadem na płaskowyżu.

– Wiesz, że w zacierzewieniu zdjęliśmy z ciebie nasz znak?

– Widzisz, jak się można zapomnieć?

Adams spojrzał na niego ponuro.

– No, powiedz, co myślisz. Bez obaw.

– Nienawidzisz ludzi. Dlatego ich dręczysz.

– Bo oni to dzieci... a ja to dzieło... taki zwykły twór – teatralnie przekręcał słowa. – To o ten wywód ci chodzi?

– Właśnie.

Behetomotoh pociągnął jeden łyk, potem drugi.

– Na pewno coś w tym kiedyś było. Może dawno temu... to zaszłość historyczna, jak kiedyś łaskawie zauważyłeś. Ale teraz, kiedy tyłu was do mnie dociera. Właściwie tak do mnie podobnych...

Na chwilę umilkł.

– A ja zapewniam wam najlepsze warunki, jakie tylko potrafię. Przecież sam z wami tutaj siedzę!

Adams pomyślał, że nawet najlepsze warunki stworzone przez Behetomotoha mogą być karą nie do zniesienia.

– Zaaranżowałeś zamordowanie Ibn Khaldouniego. Oskarżyłeś mnie fałszywie – powiedział.

– To a *propos* tych idealnych warunków, co...? Zgoda, ale przecież zaraz potem zostałeś zwolniony.

– Więc po co ten cyrk z funkcjonariuszami?

– Argumentowałeś wystarczająco przekonująco. Adams milczał.

– No... zwyczajnie. Na ścianie nie było twoich odcisków palców, więc jak mógłbyś wytrzeć dłonie z krwi?

– I rzeczywiście to mogło mieć dla ciebie znaczenie? Przecież cała sytuacja była ukartowana. Co z tego, że nie było akurat tego dowodu...? Przecież można było zdjąć moje odciski palców we śnie i przenieść na ścianę. Co to za problem dla sprawnych organów ścigania...?

– Faktycznie, żaden problem.

Adams nie potrafił powiedzieć, czy nadfunkcjonariusz mówi szczerze, czy tylko dobrze gra.

– Naprawdę zaskoczyłeś mnie swą przenikliwością. Wiesz, umiejętność nazywania, definiowania, takie tam sprawy... – kontynuował Behetomotoh. – Myślałem, że to nie jest aż tak wielka różnica między nami, między generacjami. Ty zaskoczyłeś mnie, przejrzałeś całą intrygę... A wyglądało, że rozegraliśmy to po mistrzowsku.

– Milicjanci czekali na moje przybycie w kuchni Ibn Khaldouniego.

– Tak. Nawet tego się domyśliłeś.

– To właściwie po co była cała ta intryga?

– Leviahatannah nalegał, żebyś zszedł i do jego miasta.

– Było niewiele szans, że wyjdę z tego żywy.

– Wręcz przeciwnie, wszystko zostało starannie przygotowane. Trzeba było zadbać nawet o takie detale jak latarka.

– Wysiadła przed końcem drogi. W zacisku ziemnego korytarza.

– Wtedy już mogła. Należało ją tak przygotować, żeby wytrzymała kąpiel w wodospadzie, a później w gnojówce. Dział techniczny miał z tym trochę roboty.

– To dlaczego zabroniłeś mi opuszczenia Miasta pod Skałą?

– Nawet dodałem nieco drobnych szykan. Wszystko po to, abyś sam poszukał drogi ucieczki.

– Ale strażnicy starali się mnie powstrzymać, ująć.

– Nie dość skutecznie? W sam raz, abyś się nie zawahał i umknął. Zresztą sam musiałem odsunąć od sprawy paru głupawych nadgorliwców.

– Przecież i tak poszedłbym w dalszą drogę.

– Niekoniecznie. Zbyt wiele wysiłku poświęcałeś odzyskaniu Natalii, a ona przecież nie poszłaby tam z tobą. Gdybyś został, nigdy nie poznałbyś Renaty.

– Tak, nigdy nie poznałbym Renaty – Adams urwał na chwilę. – Jednak po powrocie z Krum oskarżenie o zabicie Ibn Khaldouniego zostało wznowione.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale u mnie panuje straszny bałagan... Któryś chciał się wykazać i dorobił ten odcisk palca na ścianie. Nie jestem w stanie panować nad wszystkim, mając pod sobą samych niedorajdów i nieudaczników. Nikt nie zauważył, że Ibn Khaldouni żyje.

Adams, coraz lepiej poznając działanie tutejszej administracji i archiwizacji, był nawet skłonny zgodzić się z tym.

Prowadząc prace archiwizacyjne, Adams badał zakres swoich uprawnień. Okazało się, na przykład, że na jego polecenie *medstrażniczka* potrafi przez parę godzin odkurzać i przestawiać tekturowe pudła z dokumentami. Kiedyś po prostu zaryzykował, wydał polecenie, a ona posłuchała.

Od tej pory ta spokojna, powolna dziewczyna cierpliwie czyściła z kurzu i wstępnie porządkowała sterty papierzysk. Pracowała dokładnie, uważając, by nie pobrudzić kurzem zielonego munduru, do którego nosiła czarną spódnicę.

Funkcjonariuszka nieodparcie mu kogoś przypominała. Oczywiście, nieszczęsną *białą gabrielę*. Nie była tak zgrabna, nie miała tyle wdzięku i lekkości, ale była jakby nieco mniej urodziwą i przewymiarowaną kopią tamtej.

„Właściwie mógłbym jej zlecać całą robotę”, pomyślał.

Rzeczywiście, na polecenie Adamsa Tamarell wpisywała równym, okrągłym pismem kolejne pozycje w rejestrach. Czyniła to nie gorzej niż on, a wpisy były wyraźniejsze.

„Dlaczego w takim razie mi ją przydzielili?”, zastanawiał się. „Czy ona nie ma tutaj innych obowiązków?”

– Zawsze się chciałam nauczyć takiej pracy – odpowiedziała, jakby odgadła jego myśli. – Obecnie na oddziale wszyscy zdrowi, roboty mało.

Adams spojrział na nią zdumiony, jednak powstrzymał się od uwag. Nie miał wątpliwości, że *medstrażniczka* jest człowiekiem drugiego rodzaju. Spytał o co innego.

– Nadobywateľ komendant jest zapalonym kolekcjonerem – powiedział. – Skatalogowanie tego zajmie lata.

– Przejmuje kolekcje mieszkańców, którzy zostali skazani. Przygląda się im i szuka nowych inspiracji. – *Medstrażniczka* przyniosła zakurzone pudło i postawiła na stole. – Lubię tę robotę. Ciaken chciał się koniecznie ze mną zamienić. Ale tu trzeba pisać i czytać płynnie, a on przecież ledwie sylabizuje...

Przez jakiś czas oboje pracowali w milczeniu, on nad swoim rejestrem, ona nad swoim.

– Możesz zobaczyć, jak jest na samym dole. Mogę cię tam zaprowadzić – przerwała milczenie.

„Czy ja o czymś takim nawet pomyślałem? Może pojawiło się to w mojej głowie, ale nie dzisiaj przecież...”, pomyślał.

– Już raz o mało nie zapłaciłem wysokiej ceny za oglądanie tamtej strony.

– Zejdziemy tylko tam, gdzie jeszcze nic nie grozi. – Pokiwała głową. – Nie będzie żadnych płomieni. Nic takiego. To zupełnie inne dojsćcie.

„Ona mnie kusi?”

– Czy będę też inwentaryzował tamtą stronę?

– Nie dostałam rozkazów. Chodźmy od razu, jeśli mamy zdążyć przed końcem zmiany. To krótka droga, ale nie można marudzić. – Odsunęła plik papierów.

Adams nie sprzeciwił się, ciekawość była zbyt silna; nie powiedział też ani słowa, że się zgadza. Poprowadziła go korytarzami gmachu. Z magazynu broni pobrała karabin automatyczny oraz skrzynkę z amunicją, którą Adams dostał do dźwigania.

– *Medstrażniczka* Bjezduszna – zameldowała się na posterunku przy zakratowanych drzwiach. – Patrol na Dół.

Lewtan przyjrzał się im obojgu nieżyczliwie i przepuścił ich na drugą stronę. Pusty korytarz ciągnął się dalej. Dotarli nim w opuszczone i zaniedbane rejony urzędu. Tynk odpadał ze ścian, a wyrwane przewody zwieszały się z sufitu. Dewastacja budynku była tu większa niż na innych oddziałach.

Strażniczka znalazła drzwi z blachy i przekręciła klucz w zardzewiałym zamku.

– Może jednak nie? – spróbował.

Pokręciła głową, sięgnęła do skrzynki i podpięła taśmę z nabojami do karabinu.

– Podawaj amunicję płynnym ruchem, żeby nie szarpało – powiedziała.

Za drzwiami były ciemne, kręte schody wiodące na dół. *Medstrażniczka* szła pierwsza, Adams, dźwigając w rękach skrzynkę amunicji, za nią.

Długo schodzili w milczeniu, wreszcie Adams dostrzegł jakiś ruch w dole. Kobieta zareagowała krótką serią. Przerażliwy skrzek i znowu cisza, jakiś czarny łach spadł na ziemię. Ominęli ścierwo jakiegoś stwora. Za chwilę znowu to samo. *Przewodniczka* radziła sobie znakomicie mimo półmroku. Kruczoczarne, skrzydlate, uzębione potwory jeden za drugim padały na beton.

„Harpie czy co?”

– Mnożą się w ciemnościach – powiedziała. – Na schodach zawsze jest tego pełno.

Zstąpili w obszar występowania innych stworów, naznaczonych bliskością tamtej strony. Adams odróżnił je po przeraźliwym wrzasku, jaki wydawały, ginąc. Serie pocisków masakrowały ich ciała i trudno było orzec, czy jest ich tylko jeden rodzaj, czy więcej. „Może powstały, gdy zwykle ptaki dostały się tu przypadkiem i doznały Ukąszenia Ognia?”

Sam nie pamiętał, jak długo już schodzili. Zaczął obawiać się, że zabraknie amunicji.

– Zwykle po takim patrolu zostaje połowa skrzynki – odpowiedziała na jego nie wypowiedziane wątpliwości.

Wreszcie dotarli do poziomego korytarza rozświetlonego gołymi żarówkami na przewodach.

– To już tutaj – powiedziała. W ścianie obok czarnej kotary były następne drzwi. – Dalej wiodą kolejne klatki schodowe, ale do zejścia tam nie wystarczyłby karabin automatyczny. Twój powrót też nie byłby pewny. Tam zejść nie wolno, ale już stąd możesz zobaczyć fragment tamtej strony.

Medstrażniczka odsunęła kotarę. Ukazała się im kobieta w butelce z zielonego szkła. Nie dostrzegła, gdzie ją umieszczono, nawet nie zauważyła, że jest po drugiej stronie. Wyglądało tak, jakby szła przed siebie z szarym, matowym wzrokiem wpatrzonym w ziemię, zgarbiona, z głową schowaną w uniesione ramiona, chociaż stale tkwiła w miejscu.

Nagle nieoczekiwanie otworzył się przed nimi szary obraz duszy tej kobiety. Nie był to obraz piękny ani nawet ładny, nie była to też rozległa panorama, lecz widok mocno ograniczony, duszny, przytłaczający. Wszystkie myśli tej kobiety pochłaniała jedna – majątek. Był jej pragnieniem i celem działania, jednak talentów do robienia interesów została pozbawiona. Nie założyła żadnej firmy, nie umiała dobrze zainwestować ani przeprowadzić zyskownych operacji giełdowych. Pozostawało to poza jej możliwościami, a w jej zasięgu była tylko własna rodzina. Z nią postępowała twardo, bez śladu spodziewanych w takiej sytuacji uczuć. Przez część swojego życia prowadziła drobny interes wspólnie z jednym ze swych braci. Szybko postanowiła przejąć cały sklepik, uznała bowiem, że mienie jego, jak i innych bliskich stanowi jej przyszłą własność. Ot, należało się jej, jak psu należy się buda. Aby osiągnąć cel, obrzydzała temu człowiekowi życie, to ukrywając dokumenty, to nierówno dzieląc zyski; szykany dozowała umiejętnie, by ofiara nie rzuciła wszystkiego przedwcześnie. Po każdym udanym kręactwie rosła we własnych oczach.

Już w dzieciństwie zauważyła, że w razie braku innych argumentów czasem sam wrzask pozwala jej osiągnąć cel. Inni ustępowali dla świętego spokoju, a ona doskonaliła swą sztukę. Wielu wpada w słowotok, jednak słowotok tej niewiasty osiągał natężenie ogłuszającego krzyku. Ludzi podzieliła sobie na tych, którym zazdrościła lub których się bała, a przed którymi się płaszczyła; oraz innych – wrażliwszych, może słabszych – którymi gardziła, a których traktowała z góry, jak marny nauczyciel ucznia. Dla realizacji swych zamierzeń usiłowała wykorzystywać bliskich. To jednak było zbyt widoczne. Inni zauważali, że są traktowani instrumentalnie, i odsuwali się od niej. Wreszcie oddalili się wszyscy, a ona pozostała sama, w butelce z zielonego szkła.

– I Skąd ja to wszystko wiem? – spytał Adams *medstrażniczkę*. Rozumiał, że w zielonej butelce tę kobietę zamknęły pycha, chciwość i gniew.

– Tu wiadomo. Niżej ujawniłoby się jeszcze więcej, ale tam nawet ja boję się zejść.

– Czy ona kiedyś opuści tę butelkę?

– Nigdy. Ona nie ma innych dążeń niż posiadanie i władzę. To haczyk, z którego nigdy się nie wyplącze. Widziałeś jednoosobowe piekło. Bez płomieni, smoły...

– Chyba okropniejsze niż tamto za Płomienistymi Wrotami. Dlaczego ona to wszystko czyniła?

– Sobie uzasadniała to na różne sposoby, na przykład, że czyni to dla dobra swoich dzieci, jednak tylko zaspokajała swoje pragnienie posiadania i władzy. Pragnienie, które nie jest do zaspokojenia. W sumie poważnie zaszkodziła wszystkim ze swego otoczenia. Wszczynane przez nią awantury już wystarczały, by w długim czasie okaleczyć psychikę bliskiego człowieka.

– Wiele jest takich spiczastych klatek?

– Tysiące milionów Rogów, choć nie wszystkie wyglądają jak butelki z zielonego szkła. Miejsca dla tych, których życie upłynęło na robieniu niegodziwości małego formatu.

– Chodźmy już stąd. – Nie chciał dłużej patrzeć na osobę tkwiącą na wieki w piekle swej psychiki.

Czekało ich nie kończące się podejście krętymi schodami, jednak szedł szybko, byle dalej od tamtego poziomu. *Medstrażniczka* jeszcze wielokrotnie otwierała ogień do atakujących drobnych harpii. Po tym, co zobaczył, stwory wydały mu się swojskie i dziwnie bezradne.

Tamarell zarumieniła się z wysiłku. Gdy zamykała już drzwi na klucz, jej twarz pokrywały białe wzory. Delikatny rysunek białych nitek, jak puch czy pióra, upodabniał jej twarz do oblicza drapieżnego ptaka. Rysunek był ledwie widoczny, bo rumieniec słaby, a karnacja skóry bardzo jasna.

Adams odważył się spytać o ten wzór.

– Niektóre mówią, że to część munduru. Mój wzór jest chyba bardzo ładny. Lubię tę ozdobę. Sama go wybrałam – skwitowała jego pytanie.

– Jak to się stało, że kiedyś musiałem tam schodzić Mostem, długą drogą trwającą całymi dniami, a dzisiaj tylko po tych schodach i już...? – spytał, gdy wrócili do urzędu i usiedli za biurkami.

– Nie zbliżyliśmy się tam ani na ułamek odległości pokonanej kiedyś przez ciebie. Rogi są nieskończenie wyżej od Paszczy, do której zajrzałeś przez Płomieniste Wrota. Nie obawiaj się.

– Już nigdy więcej mnie tam nie sprowadzaj.

Choć myślał, że wyprawa zajęła kilkanaście godzin, okazało się, że uwinęli się w niecałe dwie godziny i do końca dniówki jeszcze sporo zostało. Zdążył wiele razy kichnąć od kurzu pokrywającego papierzyska i wypić sporo szklanek gorzkiej herbaty. Nie zdziwiło go to dziwne zachowanie czasu.

Podczas pracy spytał *medstrażniczka* o imię Bjezdusznia, którym ta melduje się na posterunkach.

– Tak się nazywam. Tamarell wzięłam po takiej jednej więźniarce. Leczyłam jej obrażenia

poprzesłuchaniowe. Bezskutecznie. Z takich ran się nie wychodzi. Oni nie przeżywają zakażenia.

– Ładne imię.

– Zostawiła mi je po sobie z wdzięczności.

– Była podobna do ciebie?

– Tak. – Bjezdusznka pokiwała głową. – Ale ładniejsza. One są ładniejsze od nas.

Behetomotoh sprawiał wrażenie, jakby wyprawy w towarzystwie Adamsa, kończone w tym samym barze i zwykle przy tym samym stoliku, były dla niego jedynymi chwilami wytchnienia od ciężkiej pracy. Coraz częściej po kilku kuflach piwa mówił rzeczy niebywałe. Ujawniał tajemnice prawdopodobnie nie przeznaczone do ujawniania. Widząc zdumione spojrzenia Adamsa, wykonywał nieznaczny, lekceważący ruch dłonią w kierunku ucha, mający znaczyć: „Tu i tak nas nie słyszą...”.

– U nas jest jak w drużynie. Ci sami, znani od eonów. Co najwyżej ten lub ów ubędzie z grupy. Nie zauważyłeś, jak odpowiedzialną rzecz robimy?

Adams oczywiście zaprzeczył skinieniem głowy.

– Nasz zakątek określa dolną granicę skali. Czasami odnoszę wrażenie, że jesteśmy Jego pracownikami. Jeśli jeden z was zostanie wyniesiony do góry, powiedzmy: do Niego, to ktoś inny musi trafić do mnie czy do Grubego, znaczy, upaść, jak czasami twierdzicie.

– Dokładnie jeden za jednego?

– A jak może być inaczej...? W przeciwnym razie całość stworzenia straciłaby symetrię. A porządek to, jak sam twierdzisz, Jego cecha, hę...? – Uombocco rzucił mu łobuzerskie spojrzenie. – Jeden na jednego, inaczej świat nabrałby moich cech, a nie Tamtego. Widzisz teraz, jak odpowiedzialną robotę my tu wykonujemy. Za co niby miałbym przepraszać...?

– Nie ma skończonej winy wymagającej nieskończonej kary. To jest nadzieja też dla ciebie.

– A co to jest wina? – Behetomotoh spojrział krzywo. – Czy jest winą to, co robię? Ja robię, co chcę. Uważasz, że kiedyś i tego mi zabroni...?

Obaj umilkli na chwilę. Popijali piwo.

– I nagle rusza ta fabryka bytów. – Behetomotoh zlizął pianę z wargi. – To szokujące na początku. Dał wam prawo do wzywania następnych dusz, nawet na to wam pozwolił.

– Czujesz zazdrość?

– Z początku na pewno tak, na pewno też zazdrość. Ale i przygnębienie. Wiesz, ten ciągle rosnący legion ulepków. Mnożąca się bez umiaru armia nieporadnych, słabych stworków. A nas nie przybywa. Im tych słabych więcej, tym trudniej sobie z nimi poradzić, wymykają się nam spod kontroli. Staramy się, jak można, ograniczać ich przybywanie, ale nie zawsze udaje się to w zadowalającym stopniu.

Adams odstawił kufel pełen mętneho, cienkiego piwa z warstwą drożdży osadzoną na dnie. Nie przerywał monologu nadobywatela.

– Wiesz, Adams, czasami myślę, że On uruchomił tę całą fabrykę dusz po to, żebym ja miał ubaw.

Adamsa zaskoczyły te słowa.

– Przecież i tak prawie wszyscy trafiają do mnie. Trafiają, bo chcą trafić. Nikt ich nie przymusza. A ja mam z nimi niezły ubaw.

– Widziałem trochę tego...

– Co tam widziałeś!? To jeszcze betka. Nawet kobieta w butelce z zielonego szkła nie cierpi szczególnie mocno; ona po prostu nie dostąpi szczęścia, którego nigdy nie pragnęła – umilkł na chwilę. – Wiesz, On jakby nagradzał mój bunt.

– Nagradzał bunt?

– No, a jak to inaczej nazwiesz? Trafia do mnie przytłaczająca większość Jego dzieci. – Rzucił mu zimne spojrzenie.

– Przecież oni sami wybierają.

– No, dobra, ale jakby nie było, wy również wymknęliście się Tamtemu z rąk. Mamy ze sobą sporo wspólnego, Adams. Rzadziej podkreślaj tę swoją dziecięcość.

Innym razem, w tym samym barze, z tą tylko różnicą, że wypili znacznie więcej, oznajmił:

– Każdy ma swoje piekło. Nie ma dwóch identycznych życiorysów, nie może być dwóch identycznych kar.

– A Niebo?

– Cóż, Niebo...? Tu sytuacja różni się jeszcze bardziej od twoich oczekiwań, Adams. Jest jeszcze gorzej.

– Gorzej w Niebie? – Adams niemal wybuchnął śmiechem. Miał już mocno w czubie.

– Jesteś historykiem cywilizacji, nie...?

Nie było sensu przytakiwać oczywistości.

– Nie zwróciłeś aby uwagi, jak ubogie są wyobrażenia Nieba?

– Te tłumy śmiertelnie znudzonych postaci na obrazach?

– Śpiewają. Modlą się.

– Właśnie. Ale to samo można robić i w Haddammie. Adams nie mógł sobie przypomnieć najważniejszej różnicy.

– Ale co złego z tym Niebem?

– Każdy dostaje takie Niebo, jakie potrafi sobie wymyślić. Dlatego na ogół marne.

Adams musiał patrzeć z niedowierzaniem, bo Człəkoust powiedział z werwą:

– Szczycisz się swoją zdolnością tworzenia. – Pociągnął łyk piwa. Zdmuchnął piankę. – Tak, to prawda. Ja jej nie mam.

Adams chciał koniecznie zaprzeczyć, przerwać, ale tamten nie czekał na jego nieszczerze zapewnienia. Twarz miał spoconą, oczy przekrwione. Wolno smakował złotawy płyn. Piwo Adamsa było cienkie i kwaśne.

– Ceną za to jest Niebo. Właśnie Niebo, nie Piekło, którym straszycie się nawzajem.

Adams starł pot z twarzy. Wieczór był chłodny, w kafejce pod gołym niebem marzył coraz bardziej.

– Jakie Niebo potrafił sobie wymarzyć, takie dostanie. Całe życie marzył o misce stawy...? Jasne! To przez całą wieczność będzie miał tylko solidną miche żarcia przed sobą.

Adams zatrząsł się z zimna i z niechęci na myśl o takiej nieśmiertelności.

Wprawdzie Adamsa nie poinformowano o jakiegokolwiek decyzji w sprawie Renaty, jednak nieoczekiwanie oznajmiono, że oboje będą towarzyszyć Człəkoustowi we wspólnym spacerze. Renata nie miała prawa odzywać się do nadkomendanta. Nie wolno jej było też przerywać rozmowy resocjalizacyjnej, natomiast miała się przysłuchiwać. Na razie jednak zamyślony Uombocco szedł szybkim krokiem, wyprzedzając ich oboje, mieli więc trochę czasu dla siebie.

„W jej odzieniu mogli umieścić podsłuch. Nawet gdyby była zupełnie naga, rozmowa z nią nie byłaby pozbawiona ryzyka”, pomyślał Adams.

Minęli właśnie okazałą grupę *fragonardów* – przynajmniej siedem postaci splecionych w misterny kłęb. Adams zauważył u dwóch z nich gołe pizczcele, sterczące zamiast ułamanych dłoni; u innych odśłonięte dziobami ptaków kremowe czerepy.

„Czym ona się cieszy?”, pomyślał Adams. „Ten chodnik pokryty liszajami wyżartymi przez dawne rzygowiny ją tak raduje? Czy może te psie ekskrementy roztaraszone przez nieuważnych przechodniów?”

Spojrzał kwaśno na dziewczynę. Szła, trzymając go za rękę. Ubrała się inaczej niż miejscowe kobiety: nie założyła czarnej szaty, tylko jaśniejszą tunikę, pokrytą misternym haftem. Podobno wybrała ją spośród oferowanych przez Urząd. Stała w lekkich sandałach, wiązanych rzemykami. Jasne włosy spięła plecioną, skórzaną przepaską z naszytymi kamykami i koralikami. Pozwolono jej użyć rozjaśniającego szamponu.

Nie mogła się nie cieszyć, jednak zerkała co chwilę na niego z taką troską, że musiał wreszcie się odezwać.

– Widzę twoją radość. Promieniejesz.

– Wysłałem z więzienia. Chmury na niebie tu lżejsze. Im dalej od Pana z Morza i jego płomieni, tym lepiej.

– Najdalej jest Niebo.

– Właśnie. Teraz bliżej.

– Mam iść do miejsca, którego nie potrafię sobie nawet wyobrazić. A jeśli dostanę tylko to, co sobie potrafię wyobrazić?

– To byłaby żadna nagroda. Renata zamilkła.

– A może gdybyś wiedział, jak tam jest, nie wahałbyś się więcej? Twoja wola nie byłaby już wolna? Czekają tam takie przygody, takie zadania, że wiedząc o nich, nie pomyślałbyś nawet o czym innym? Wtedy nie można by twoim życiem sprawdzić, coś wart.

Tych parę zdań go pokrzepiło.

Wreszcie Człekoust się zdecydował i zaprowadził ich do tej samej knajpy, co zwykle. Nie można było władcy odmawiać. Sam pił i nakłaniał do tego Adamsa. Potem uważnie obserwował, co się z resocjalizowanym dzieje. Adams nie chciał, żeby Renata oglądała go pijanego. „Jak uniknąć rytualnego picia?”, zastanawiał się. „Jak to chociaż opóźnić?”

– Wyglądasz, jakbyś chciał mi zadać ważne pytanie – powiedział Uombocco.

– Masz tu wszystko oprócz najważniejszego.

– To początek dyskusji? – Behetomotoh uniósł brew.

– Może.

– Mam poddanych, którzy chcą mi się przypodobać. Mięsa dostaję dość dla wszystkich. Komunikacja miejska działa. Mogę robić, co chcę. Gruby na niebo może popatrzeć, tylko kiedy zerka przez okno mojego biura. Cóż może być jeszcze ważniejsze? Nie żartuj, Adams.

– Twoje zbawienie.

– Zbawienie?! Mnie coś takiego nie interesuje.

– Nie chcesz zostać zbawiony?

– Zrozumie wreszcie, istoto z pyłu i wody, że skoro mnie stworzył, to mnie ma. A ja Mu udowodnię, że powinien się był ograniczyć do pierwszej generacji, do nas. Myślał, że daje wam więcej, bo dał wam to, czego nam odmówił.

– Zdolność tworzenia?

– To też.

Zielone oczy Behetomotoha płonęły pod krzaczastymi brwiami. Napięte mięśnie twarzy wyostrzały drapieżne piękno jego rysów. [Adams](#) niepewnie spojrzał na Renatę.

– A ja Mu właśnie pokażę, że wszyscy ludzie pójdą na moim pasku. A nie za Jego Synem. Za mną, za jednym z dzieł pierwszej generacji. Dziecko za dziełem. Tacy jesteście marni... Te wszystkie dary, których nam poskąpił, obrócą się przeciw wam. Zniszczą was. Dlatego gardzę wami.

– Ale przecież obaj jesteśmy braćmi, bo dziećmi tego samego ojca. – Adams bezradnie machnął dłońmi.

– Co, braćmi?! Ty gnojku!

– On jest dziełem, nie dzieckiem. – Renata szarpnęła Adamsa za rękaw.

– Wiem. On też wie. Mówiłem mu już o tym.

– O tak. Nie omieszkał o tym wspomnieć. Wielokrotnie. A ty, prostaczk, wyrwij się raz jeszcze, to przez najbliższy miesiąc nie opuścisz celi!

– Sam ukazałeś mi wiele podobieństw między tobą a mną – powiedział Adams.

Nadkomendant spojrzał uważnie, kilkakrotnie skinął głową. Jego twarz wolno wracała do zwykłych kolorów.

– Tak, tak – powiedział. – Pamiętam tamtą rozmowę.

– Dlaczego w takim razie miałyby tu być różnica w sprawie najważniejszej? Dlaczego przebaczenie dla jednych, a nieprzejednanie dla drugich?

Behetomotoh słuchał Adamsa. To podnosił wzrok na niego, to opuszczał, to dłonią robił ruch, jakby chciał gestem przyozdobić wypowiedź. Jednak nie odezwał się.

– Dlaczego nam wolno upadać wiele razy, a ty zostałeś odrzucony po pierwszym razie? Czy dlatego, że dostałeś taką potęgę...?

– Potęgę...? – Uombocco ironicznie skrzywił wargi. – Czymże jest moja siła naprzeciw nieskończoności?

– Więc dlaczego...? Co wywołało taką asymetrię?

– Ty dostałeś komfort niepewności. Dlatego wolno ci upaść wiele razy i za każdym razem zostaniesz znowu przyjęty – w słowach Człekousta uderzała szczerłość.

– Niepewność jest przerażająca. Idę po omacku.

– Dlatego wolno ci wiele razy zatrzymać się na tej drodze albo z niej zboczyć. Byłeś tylko wreszcie wrócił... A ja mam pewność. Dlatego po jednym razie zostałem odrzucony.

„Tak nie mówi osobowe zło”, pomyślał Adams. „To słowa zagubionej istoty”.

– Nie zmuszaj mnie do picia w takich ilościach – powiedział. – Szkodzi mi to. Choruję cały następny dzień.

– Dobrze.

– Skoro twoja wina zaszła i nie dzieje się dalej...

– Taak...?

– Nie trwasz w niej. Znaczący, miara twojej winy jest skończona.

– Tak mi się wydaje.

– To i kara za nią winna być współmierna.

– Nie chcę nic innego. Zupełnie wystarcza mi mój kraj. Czy administrowanie nim jest kontynuowaniem mojego przewinienia...?

– Chciałem powiedzieć, że kara nie powinna trwać wiecznie. Też możesz mieć nadzieję, jak i my mamy.

– To przypuszczenie. – Człękoust machnął dłonią. – Znam ten wywód. – Podniósł się z krzesła. – Chodź. Godzina minęła. Wracamy – rzucił i nie odezwał się więcej. Pochłonęły go własne myśli.

– Hemfriu, ty znowu zszedłeś na Dół. – Renata szarpnęła go za rękaw. – Tracisz nadzieję. Nie daj się znowu tam sprowadzić, bo w ten sposób uzyskują wpływ na ciebie.

Człękoust spojrział na nią groźnie.

– Pamiętaj, nie wolno schodzić nawet najpłycej, nawet do ludzi w butelkach... – dodała pośpiesznie.

Adams zaczął się zastanawiać, czy to on jest faktycznym partnerem w tej grze, czy też prawdziwa rozgrywka toczy się między Renatą a Człękoustem, a on sam jest tylko pionkiem.

– Ściśle rzecz biorąc, to są Rogi, nie butelki – Człękoust przerwał jego rozmyślenia.

– Dokładnie wiadomo, ile Rogów przewidzieć dla tych ludzi? – spytał Adams.

– Jasne, że nie. To tak, jak rogi ślimaka. Może je wysuwać, może chować. A potem w każdym Rogu lokuje się jeden człowiek, jak pasożytnicza larwa owada w rogu ślimaka.

Wcześniej powiedziane słowa, toczone przed paroma dniami rozmowy wydają owoc dopiero po czasie. Tym razem nie wyszli do miasta, lecz zaprowadzono Adamsa do gabinetu Behetomotoha. Ten dłonią wskazał mu krzesło i wyprosił Ribnyja.

W pomieszczeniu panował półmrok, ponieważ przez zasunięte, pluszowe kotary przenikało niewiele światła dziennego. Na biurku paliła się lampa, jednak przesłuchujący nie skierował jej w twarz Adamsa, lecz w jej świetle przeglądał notatki. Nie odzywał się.

– Zrelacjonujcie ostatni tydzień pobytu w celi – rozkazał wreszcie. – Powtórzcie wszystkie wypowiedzi Khaldouniego.

Adams spojrzał na niego zdziwiony i zaczął nieskładnie opowiadać. Człəkoust sprawiał jednak wrażenie, jakby zupełnie nie interesowało go zeznanie. Szybko coś zanotował i podsunął mu kartkę.

– Wystarczy, Adams.

Adams to patrzył na podsuniętą kartkę, to znów spoglądał na Człəkousta, i tak w koło. Treść skreślonej wyrobionym pismem notatki nadfunkcjonariusza jakby nie chciała dotrzeć do jego świadomości, chociaż od jakiegoś czasu mógł domyślać się czegoś podobnego.

Człəkoust z napięciem wpatrywał się w niego. To spojrzenie wyrażało pytanie i jakby prośbę.

„Jest na podsłuchu we własnym państwie, jednak myśli to on podsłuchuje”, pomyślał Adams. „Zresztą to oczywiste, skoro otaczają go ludzie Grubego”.

Człəkoust zmiął poprzednią i podsunął mu drugą kartkę.

Adams przeczytał na niej: „Jeśli chcesz dowodów mojej szczerości, zapytaj o rzeczy dla ciebie ważne”.

– Miasto pod Skałą zmieniło się od mojego przybycia.

– Czyżby...?

– Wprowadzono *temidony*. W miejsce *fragonardów* stawia się w mieście seryjnie wykonywane *mechanitony*. Inna sprawa, że na ogół szpetne.

– Szpetne?

– Niestety. Trupie rzeźby, mimo całej ich grozy, były na ogół piękniejsze od tych nowych.

– Tak...?

– Czy *mechanitony* podejrzano w moich myślach? Jeśli nie ja, to kto je wymyślił?

– Ty i nie ty. W istocie, zbudowano kiedyś nieco *mechanitonów*, jednak nie tak wymyślnych, jak sobie je wyobraziłeś. Zresztą do twoich czasów żaden z nich się nie zachował. Metal miał sporą wartość, kamień mniejszą...

– Wchodząc tutaj, spotykałem w korytarzu zwierciadlane odbicia moich myśli?

– W przypadku niektórych, owszem. Czasami ich twarze czy postaci to refleksy twoich myśli, choć schemat techniczny był dziełem antycznego inżyniera.

– Jedna z nich miała twarz i figurę Liliane.

– Tak, też to zauważono. Zastanawiająca zbieżność.

– *A temidony...?*

– To, oczywiście, następstwo tego samego pomysłu. Ale stały się one koniecznością.

– Przecież rozsądzanie spraw to robota przewodniczącego Nero. Cokolwiek by myśleć o jego sprawności intelektualnej czy fizycznej, to przecież władca ma sędzić.

– Ma sędzić. Jednak ze sprawnością Nerona obecnie jest jeszcze gorzej.

– Jeszcze gorzej?

– Tak. Zmarł, zanim zszedłeś do Kram. Na koncercie żegnały cię jego zwłoki.

Adams wzdrygnął się.

– Nie jest łatwo wypromować władcę. Przekonanie ludności do wyboru jego osoby, wykreowanie autorytetu, wdrożenie miłości. To musi potrwać. A wiele spraw, szczególnie sądowych, czekać nie może.

– Zastąpiliście go więc maszyną?

– Na jakiś czas. Przynajmniej póki osobowość następcy nie zostanie wydobyta na należyłą wysokość.

– Uważacie, że będą słuchać wyroków maszyny?

– Słuchają. Sam byłeś świadkiem. Też się wahałem, ale to było jedyne wyjście. Naciągnęliśmy skórę z przewodniczącego na ruchomy, metalowy szkielet, wypchaliśmy go, i nawet wyglądał jak żywy. Niestety, olej kapał z oliwiarki, ludzie myśleli, że władca leje pod siebie. Skóra schła i przy próbie poruszania ramiona się ułamały. Próby nasycania jej różnymi chemikaliami okazały się mało skuteczne. I tak prędzej czy później wypchany Nero rozleciałby się w czasie jakiejś uroczystości państwowej. Dałem sobie spokój. Na szczęście ty podsunąłeś mi czyste i piękne *temidony*.

Adams spojrział na niego z ukosa.

– Te *mechanitony* w korytarzach były wspaniałe. To nie mogły być twoje dzieła. U kogo je podpatrzyłeś? Musiałeś przecież mieć jakiś wzorzec. Kto wykonał dla ciebie te rzeźby?

– Ibn Khaldouni.

– On? Właśnie on?

– Rzeźbiarzem nie jest, jednak wyrobiony smak posiada. On je zaprojektował, kierował wykonaniem, wielokrotnie zmieniał projekty. Wykazał wielkie poświęcenie w tej pracy.

– Ujawnij mi jeszcze jedną rzecz. Stworzenie Natalii to nie był żaden wasz eksperyment, prawda?

– To prawda. On stale kogoś tam stwarza. Przynajmniej duszę, a czasem, jak widziałeś, również ciało.

– Dostałem się tam nielegalnie. – Adams pokiwał głową.

– Oczywiście, że nie. Przygotowano cię, byś stapał wyłącznie po Miejscach Węża.

– A gdybym pobiegł w głąb Ogrodu?

– Nie zrobiłeś tego, Natalia też nie. – Człəkoust uśmiechnął się.

– Powiedz jeszcze jedno. Skoro jesteś duchem, bytem bezcielesnym, to jak ja mogę cię widzieć w postaci przystojnego, energicznego faceta. Mówisz, patrzysz, słuchasz, posługujesz się zmysłami. – Adams pamiętał jeszcze wywód Ibn Khaldouniego o przenikaniu się kategorii bytów. Spodziewał się, że właśnie to usłyszy.

Człəkoust spojrzał na niego niechętnie.

– Ja nie jestem przykładem żadnego przenikania się bytów, jak niektórzy w moim otoczeniu – Uombocco odpowiedział na myśl Adamsa. – Oto niektórzy z was pozwalają sobą zawładnąć z własnej woli. Czynią to z entuzjazmem, dobrowolnie i świadomie. To ciało jednego z takich. Jego resztką gdzieś tam jeszcze tkwi w jakimś zakamarku, ale ledwie to coś zauważam.

– Rozmawiałeś ze mną pod postacią Ibn Khaldouniego? Domyśliłem się, że Khaldouni bywa podstawiony.

– Tak, ale robiłem to inną techniką. Nigdy nie zawładnąłem jego ciałem.

– Odkąd to robiłeś? Ty miałeś pomysł?

– Od kiedy to ty wymyśliłeś, że Ibn Khaldouni może być podstawiony. Mieć pomysły jest rzeczą ludzką. Naszą rzeczą jest te pomysły wykorzystywać. Do skutecznego działania zupełnie nam wystarczą wasze pomysły. – Człəkousta jakby zniecierpliwiły pytania Adamsa. Ułożył dokumenty na biurku, poprawił mundur. – Tyle na dzisiaj. Mam sporo bieżących spraw. Odprowadzić do celi!

Drzwi pokoju otworzyły się; Ribnyj bez słowa złapał za ramię Adamsa i wyciągnął, zanim ten zdążył zareagować.

„Byty spomiędzy kategorii. To Liliane? Może Mila? Czy Tamarell też...?”, zastanawiał się, idąc szybko korytarzem za funkcjonariuszem.

Adams niechętnie patrzył na skulonego w kłębek profesora. Ibn Khaldouni jednak nie spał, krzywo spojrzął na wchodzącego. Cała jego sylwetka wydała się Adamsowi wyrazem fałszu i podłości. Wolno, niezdarnie, ruchem wyrażającym całą nikczemność poruszającego się, zbierał się z pryczy. Nieszczercze przetarł oczy kułakiem, wrednie ziewnął, a zmierzwiona, czarna broda odpowiedziała ziewnięciu kłamliwym podrygiem. Jakże Adams mógł dać się zwieść tak czytelnej dwulicowości...?

– Cały czas prowadziłeś ze mną podwójną grę – powiedział gorzko. – Ja ci ufałem, zwierzałem się, a ty byłeś zwyczajnym stukaczem Behetomotoha w mojej celi. Donosiłeś na mnie.

– Ja, stukaczem...? Co też ci przyszło do głowy.

– Wszystko, co mówiłeś, było celowo podsuwane przez Upadłych.

– Tak mogło być, ale ja nie robiłem tego świadomie. Dlaczego mnie oskarżasz? Nie donosiłem na ciebie, nie prowadziłem żadnej gry.

– Nie? A kto skonstruował dla nich *mechanitony*? Sami tego nie potrafiliby wymyślić.

– Ja skonstruowałem, zanim cię tu sprowadzono. Na podstawie informacji o twoich zainteresowaniach i tematyce badawczej, a także na podstawie tego, co zbudowali starożytni. Korzystałem z notatek Gerberta z Aurillac. To było fascynujące zadanie, chyba udało mi się sprostać wyzwaniu. Pamiętaj, że wywodzę się z tradycji, w której unikano przedstawiania postaci ludzkich.

– No więc współpracowałeś z Upadłymi! – Adams miał ochotę mu przyłożyć.

– Tylko tyle. Nic więcej.

– Wenus Knidyjska była kopią Liliane.

– Możliwe. Dla każdej z nich dostarczyli mi obraz wzorca. Mogłem nadzorować robotę.

– Jak mogłeś? Ile ci zapłacili za udział w tym oszustwie?

– Pozwolili mi z tobą rozmawiać. To było zapłatą. Adams spojrzął zdumiony.

– Musiałem za to odtworzyć koncept *mechanitonu*. Wykonanie należało do kogo innego; rzeźbili i wykonywali mechanizmy mieszkańcy Miasta pod Skałą.

– Rozmawiać ze mną...?

– Właśnie. Przecież przyszedłeś z góry. Każda twoja opowieść to dla mnie niezmierny materiał badawczy. Nie dziw mi się.

- Cały czas byłeś nieszczerzy. Ukrywałeś to przede mną.
- Nie pytałeś. Nie musiałem kłamać, chociaż przyznam, nie było to całkiem w porządku.
- Wypada to zrekompensować. Odpłacić wyjaśnieniami. Czasem odnoszę wrażenie, jakby moje dzieje były lustrzanym powtórzeniem losów Adama. Niektóre fakty zostały powielone, inne są symetrycznie odwrócone.

Stary pokiwał głową. Spuścił nogi z pryczy.

– Dobrze, ujawnię ci moje obserwacje. Prawdopodobnie to nie ma już znaczenia. – Ibn Khaldouni wygodniej oparł się o ścianę, wlepiając w rozmówcę oczy. – To nie jest powtórzenie losów Praojca. Losy Adama opisano w Genesis. Twoje dzieje są dokładnym powtórzeniem jego sfalszowanej historii. Znalazło się w niej miejsce nawet na epizod z Naamą. To przecież ta miła i łagodna, urodziwa jak sarna, Falzarota.

– Jednak wiele podobnych faktów przechowało się w tradycji.

– Wręcz przeciwnie: one dzięki tobie powstały.

– Dzięki mnie?

– Właśnie. Przecież wiesz, że Upadli pozbawieni są zdolności tworzenia. To dla nich miałeś odegrać tę historię. Fałszywą historię stworzenia, wymyśloną zaledwie na dwa tysiące trzysta lat przed tobą: Adam miał Lilith – jedną z nich, która go opuściła, potem dostał Pierwszą Ewę, której stworzenie widział, i dlatego ją odrzucił; dopiero kiedy dostał Drugą Ewę, zgodził się na nią. Wplątał się też w epizod z Naamą, a potem z Córkami Ziemi.

– Natalia sama mnie porzuciła.

– Część twojej historii rozegrała się identycznie, reszta dokładnie odwrotnie, więc i wtedy została zachowana. Ty przecież nie jesteś pierwszym, lecz ostatnim.

– Renata została zrodzona, miała matkę.

– Renata jedna nie została skażona przez ojca... Jedna z całego pokolenia w Krum. Nie dziw się: nawet w Szeolu taka się trafi... Już raz tak się zdarzyło w historii. W pokoleniu Noego. – Spojrzał badawczo. – Przejrzyj swe losy: zostały przez nich misternie zaplecione, aby wypełnić kiedyś powiedziane słowa. Teraz fałszywa historia stworzenia może być już głoszona bez przeszkód. Oni nic nie muszą wymyślać, czego przecież nie potrafią, lecz będą głosić szczegóły twojej wędrówki. Stworzyłeś dość pożywkę dla ich propagandy.

– To wszystko rozegrało się dzięki mojemu udziałowi? I fałszywa historia stworzenia? I uwolnienie?

– To był plan. Ty byłeś jego fragmentem.

– I to wszystko tylko dlatego, że wtedy skusiła mnie ta furtka?

– Przypadkowo wybrany kierunek spaceru?

– Musiało się zacząć.

– Nagle tyle zaczęło zależeć od przypadku. Przecież ktokolwiek inny mógł tam wejść.

– Tu nie ma nic przypadkowego. Zostałeś naznaczony choćby swoim imieniem.

Na korytarzu rozległy się kroki. Ibn Khaldouni uświadomił sobie, że mógł powiedzieć za wiele, ale nie przestał mówić.

– Ta historia wcześniej nie istniała. Była nieprzekonującym wymysłem szalonego herezjarchy. Teraz stała się faktem. Wystarczy ją opisywać. Tego fałszerstwa nie da się nakryć. Nic nie powstrzyma jej rozpowszechnienia. Tego właśnie potrzebowali.

Ktoś szamotał się z kluczem w zamku. Drzwi odskoczyły i do celi wpadli wyposażeni w pałki funkcjonariusze.

– Kalduni, jesteście wzywani na przesłuchanie! – wyszczekał przodownik Ciaken.

Stary filozof westchnął i niezdarnie podniósł się z derki. Obaj milicjanci mocno złapali go pod pachy.

– To chyba nasze ostatnie spotkanie. Szczęścia życzę, kolego – rzucił od drzwi, wleczony pod rękę przez obu funkcjonariuszy.

Adams długo jeszcze słyszał oddalające się kroki.

„Potop w Krum wywołała nie woda, symbol życia, lecz gnijąca masa. Ale zalew martwiny przyniósł ziemi życie, nie zagładę”, pomyślał Adams. „Takie analogie można znajdować w nieskończoność. Jednak to strata czasu, bo nie da się orzec, które z nich są istotne”.

Ibn Khaldouniego przeniesiono do pojedynki, Adams pozostał w celi sam. I jakby przestano się nim interesować: posiłki zaczęły się opóźniać, z jadłospisu zniknęło mięso. Zdarzało się, że strażnik w ogóle nie przywoził jedzenia. Kiedy nadchodziła pora wyjścia do pracy, Adams próbował tłuc w drzwi, jednak nikt się nie pojawił. Widać znowu coś pomylili w administracji.

Wieczorem Clfugg przytoczył wózek z owsianką.

– Wszyscy byli zbyt zajęci. Trwały przygotowania do dzisiejszego święta – odpowiedział. – Ulice są pełne wiwatujących tłumów. Spacer resocjalizacyjny nie odniósłby żadnych skutków w takich warunkach.

Owsianka nie była ani posolona, ani posłodzona: letnia bryja bez smaku. Prośbę o sól strażnik zbył wzruszeniem ramion.

Kolejne dni upływały Adamsowi na wędrowaniu w kółko po celi albo na wylegiwaniu się na pryczy. Spał coraz więcej, sił z głodu mu ubywało. Posiłki były rzadsze, porcje coraz mniejsze albo nie doprawione. Kolejny spacer też odwołano.

– Święto narodowe – wyjaśnił Clfugg.

– Znowu? To już drugie w tym tygodniu...

– Tak się składa. Trzymajcie równo miskę, bo się zupa rozleje!

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów po południu wzięto go na przesłuchanie. Behetomotoh wskazał mu krzesło. Sam rozparł się w fotelu i wpatrzył w Adama. Nie zapalił wymaganej rutyną lampy. Na biurku stała pełna szklaneczka bursztynowego płynu.

– No! – zaczął. – Wyduście to ze siebie!

– Co niby...?

– Nie udawajcie, Adams, głupiego. Przecież mamy nagranie waszej ostatniej rozmowy z Ibn Khaldounim.

– Ach to...?

– Próbujecie bagatelizować? – Człekoust uniósł brwi. Zwracał się do Adama w oficjalnej formie, co mogło znaczyć, że ktoś zza ściany przysłuchuje się tej rozmowie.

– Przecież informacje Ibn Khaldouniego wywarły na was piorunujące wrażenie.

– Trudno się dziwić.

Ciaken wszedł po cichu i szepnął coś do ucha Człekoustowi.

– Najpierw się zapowiada, a potem nie przychodzi! – prychnął Człekoust. – Przesłucha taśmy...!? Jakie taśmy będzie przesłuchiwał?! Nic nie będę dla niego nagrywał. Niech sobie rządzi u siebie w kałuży, a nie tutaj! Nie chce mu się ruszyć tyłka, to nie!

Ciaken wyszedł, goniony okrzykami zwierzchnika. Człekoust chwilę wodził oczyma po pokoju, uspokajał się.

– Uwierzyłeś w słowa Ibn Khaldouniego? – spytał, znowu wygodnie wyciągnięty we fotelu.

Adams nie odpowiedział.

– Milczysz, he...? – Pociągnął łyk brandy. – I masz rację. – Pokiwał głową. – Jemu warto wierzyć, chociaż współpracował z nami; mnie nie warto. Bo ja jestem stworem bez uczuć, tyranem i kłamcą, tak...?

Adams uznał, że lepiej nie przerywać nadkomendantowi.

– A może ja słucham twoich słów? – rzucił innym tonem, jednocześnie rozglądając się w popłochu.

„Czego się boi? Grubemu nie chciało się przyjść”, pomyślał Adams.

– Ibn Khaldouni mówił prawdę. Znam historie herezjarchów. Tu jest zbyt wiele punktów wspólnych.

– Może jego słowa to tylko część prawdy?

– A ty mi powiesz całą prawdę?

Człekoust rzucił mu krzywe spojrzenie.

– Na pewno więcej, bo jestem... bo chcę być szczerzy. Adams nie potrafił powstrzymać kwaśnego uśmiechu.

– Dobrze, przekonaj się. – Człekoust sięgnął do jednej z szuflad biurka. Chwilę grzebał w pliku dokumentów. – Cholerny bałagan – burknął.

„Czym mnie teraz zaskoczysz, żeby zwieść moją czujność?” Człekoust wreszcie znalazł właściwą teczkę.

– Obejrzyj, na przykład, protokół Mówiącej. – Człekoust pchnął przez biurko plik zszytych kartek. – To była oficer prowadząca Natalię. Wiele jej zawdzięczamy.

Adams aż się wzdrygnął.

– Nigdy nie poznałem tej kobiety – powiedział. – Tylko w rozmowach z Natalią ciągle wracało jej nazwisko. Była kimś ważnym dla niej, mentorką, powierniczką.

– Taak... Nie mówię, że nie wykonała zadania. Sporo z jej wysiłku poszło jednak na marne.

– Gdzie jest teraz Natalia?

– Narysowałeś kiedyś odpowiedni diagram, no nie? Diagramy mówią prawdę, więc wiesz, dokąd trafiła.

Adams w milczeniu przeglądał strony raportu.

– Aby ją spotkać, musiałbyś wrócić do Krum.

Adams nie odzywał się nadal. Nie chciał spotykać Natalii, tanto już się skończyło.

– Mnie nigdy nie udało się zrobić poprawnego diagramu. Ot, taka specyfika... – powiedział kwaśno Człekoust.

Adams przerzucał kartki, nie czytając ich. Wydawało mu się, że akurat wtedy, gdy kreślił diagram, nie był podglądany.

„Właściwie nie miało to przecież większego znaczenia”, pomyślał. Już spokojniejszy, wziął się do studiowania raportu Mówiącej. Kilkanaście stron mało czytelnego rękopisu nie zawierało wiele więcej ponad ciągle powtarzane stwierdzenia, że Adams wywiera zgubny wpływ na Natalię, niewołąc ją swym wdziękiem oraz tłumiąc jej rozwój. Brakowało wymaganej przez monit nadkomendanta analizy, w jakim kierunku powinien postępować rozwój twórczy Natalii, brakowało obowiązkowego zestawienia jej cech charakteru. Wyglądało to na niezdarne próby uniknięcia odpowiedzialności. U dołu widniała adnotacja uczyniona czytelnym pismem Człekousta: *„Wassilisa Mówiąca usiłuje swymi wywodami wybielić się, opisać motywy swoich działań, a najczęściej – niestety – swoich zaniechań, nie próbuje wyjaśnić czegokolwiek; w istocie, jej raport nie jest analizą prowadzonej, lecz tylko rozbudowanym odwołaniem nieudolnej funkcjonariuszki od spodziewanej przez nią surowej kary służbowej”*.

Uombocco, zerkając na Adamsa, uśmiechał się nieznacznie. Podeszedł do szafki narzędziowej, wydobyl butelkę brandy i drugą szklaneczkę.

– To rozproszy chmurne myśli – zauważył. – Najlepszy gatunek, jaki można tu załatwić. Nie gorszy niż u was, w Haddammie.

Adams nie mógł oderwać się od wywodów Mówiącej, notowanych nierównym, brzydkim pismem. Przed oczyma stawały minione wydarzenia: rozpacz, utracona miłość, niezasłużone potępienie, zajadłe ataki anonimowej milicjantki. Sięgnął po alkohol i wypił, nie zwracając uwagi na klasę trunku.

Człekoust uzupełnił zawartość jego szklaneczki.

– Właściwie powinieneś mi podziękować za Renatę, Adams – powiedział. – Gdyby Natalia zdecydowała inaczej, pewnie dotąd mieszkalibyście w moim mieście, a ty nigdy nie znalazłbyś Drugiej Ewy w Krum.

– Gdyby Natalia zdecydowała inaczej?

– Przecież na początku nie wiedzieliśmy, co ona postanowi. Trzeba było jakoś na nią wpłynąć. Choćby dowody osobiste... Ty wiesz, jak trudno było zmieniać datę ślubu w waszych dokumentach? Tego nie da się robić bez śladów. Papier powoli, choć nieodwołalnie się ścierał.

– Nie zauważyłem żadnych śladów. Przez pewien czas nie wierzyłem, potem znowu myślałem, że snię albo że zwariowałem.

– Rutynowa robota z dokumentami. – Behetomotoh powąchał koniak.

– A telefony od Liliane to był wymysł Natalii...?

– Oczywiście, że nie. To też jest w raporcie, tylko na następnych stronicach. Dzwoniła do niej Wassilisa Mówiąca i zmienionym głosem podawała się za Liliane. Oryginału nawet my nie mogliśmy ściągnąć z obłoków.

– Nie dałeś Natalii żadnych szans. Żadnych. Narkotyki całkiem ją zniewoliły. Oszustwo z dowodami osobistymi i telefony fałszywej Liliane zburzyły zaufanie do mnie.

– A kto powiedział, że miała dostać jakieś szanse?! Ona przecież wiedziała dość. Na ten przykład, wiedziała, kim ja jestem.

– Tak potraktować idealną istotę...

– Skoro ja się jej bardziej spodobałem niż ty... – Na twarz Behetomotoha wypełził wyraz fałszywego współczucia.

– Co teraz dzieje się z Natalią?

– Jest u Leviahatannaha i u niego pozostanie. Sama wybrała. Pan z Morza potrafi być przystojniejszy nawet ode mnie.

Władca umilkł i wpatrywał się w Adamsa natarczywie.

– Tak, dobrze. Powiedziałaś mi więcej... – wykrztusił Adams.

– Właśnie. Nawet dla ciebie zdekonspirowałem jedną z moich pracownic. Wassilisa Mówiąca musi zostać odsunięta od działań operacyjnych na dłuższy czas. Będzie to dla niej uciążliwe. Skończą się wzbogacone kalorycznie racje na stołówce, fundusz operacyjny, z którego rozliczała się ryczałtem, częsty przydział kuponów na odzież, skierowania na pobyty regeneracyjne w ośrodkach podmiejskich... Przywykła do tego, a teraz będzie musiała zmienić przyzwyczajenia. Oficer-rezydent nie musi tak często przebierać się, bo dekonspiracja grozi mu znacznie mniej; nie ma też sensu przesadne dbanie o jego sprawność fizyczną czy świeżość intelektualną. Zresztą nawet długie pobyty regeneracyjne nie zwiększały skromnej błyskotliwości pedagog Mówiącej...

Adams złapał porozumiewawcze spojrzenie Uombocco. Skoro nadobywatel komendant chce

być dobry, warto upomnieć się o inne rzeczy.

– Jeszcze dwie sprawy – powiedział szybko.

– Taak...?

– Czy uwolnisz Renatę?

– Ta sprawa jest w ciągłym załatwianiu. Wiem, jak bardzo ci na niej zależy. Przyznam, że udało się osiągnąć znaczne postępy. Wprawdzie Pan z Morza nie pojawił się na dzisiejszym przesłuchaniu, ale bądź dobrej myśli. A druga sprawa...?

– Czy istniał Alonzo Zumarraga?

– Ach, tak... Owszem, istniał. Nie jest prawdą, jak pisze Battaglia, że zniknął w Rzymie. Zumarraga był świadkiem ukamienowania Raymundo, a zaraz potem został rozpoznany przez tłum. Przeżył mistrza o czterdzieści pięć minut. Nie pozostawił ani jednego traktatu. Przez całe życie był w cieniu Lulliusa.

– A te notatki, szkice, które próbowałem rozwikłać...?

– Zostały sfabrykowane na użytek waszego śledztwa. Rysował je Bieleń, niektóre Mówiąca... W obawie, że braknie im fantazji, przerysowywali dokumenty z naszego archiwum.

Adams ciężko westchnął.

– Skąd więc przesłanki o jego dziele?

– Zbyt często wspominał o swoich pomysłach, żeby nie zostało to zauważone. Gdyby nie pojechał wtedy do Bugii, prawdopodobnie nadal rozwijałby sztukę Lulliusa.

– A czy zostały jakieś prawdziwe notatki Zumarragi?

– Owszem, zostały. – Nadkomendant podszedł do szafy narzędziowej i wyjął z szuflady tekturową teczkę. – Trochę niewyraźnych szkiców i niezrozumiałych bazgrołów... Jeśli chcecie, to przejrzyjcie je w wolnej chwili.

Adams przerzucił zawartość teczki i parsknął śmiechem.

– Przynajmniej trzy z tych szkiców zostały przerysowane stąd przez śledczych. Już je poznałem.

– Banda nieudaczników – burknął Człekoust. – Kręca, kłamią i migają się od roboty. I jak to wszystko ma działać.

– Nieco zmienili i uprościli te szkice.

– Teraz to bez znaczenia. – Człekoust machnął ręką. Adams wracał do celi, ściskając pod pachą

skarb.

Analiza notatek Zumarragi przyniosła rozczarowanie: po siedmiuset latach jego odkrycia okazały się niczym nowym. Zumarraga był zapoznanym geniuszem, którego nie wysłuchano w porę, po części zresztą jak jego mistrza. Kiedyś odkryty przez Zumarragę sposób zapisywania myśli i przekazu informacji byłby rzeczą rewelacyjną, ale ponownie odkryty przez innych, zdążył już stać się rutynową metodą przedstawiania danych, uruchamianą naciśnięciem klawisza w programie kalkulacyjnym przez sprawną sekretarkę przygotowującą szefowi zestawienie bieżących wyników firmy.

Adams nerwowo przeglądał kartkę za kartką: pożółkłe stronice nie potrafiły – a może nie chciały – ujawnić niczego więcej. Pomysł Goodmana, by zająć się uczniem Lulliusa, był w istocie naukowym grobem. Adams właśnie miał w dłoni dowód trafności swoich przeczuć.

Godzinami przeglądał wykresy, na których ściśle powiązано pole powierzchni z natężeniem obrazowanej cechy; czasami z precyzją, która budziła uznanie dla samotnego umysłu sprzed wieków, czasem pobieżnie – z przybliżeniem marnego szkicu. Akurat ta dziedzina nauki rozwinęła się intensywnie. Zumarraga zbyt długo milczał, aby to, co miał do przekazania, zachowało wartość. „Czy tak będzie i z moimi odkryciami?”

Wreszcie przerwał analizowanie zetłanych stronic. Pamiętał niemal wszystkie wykresy. Treść notatek Zumarragi na ogół zgadzała się z dołączonym tłumaczeniem, wystukany na mechanicznej maszynie do pisania. Drobne rozbieżności występowały zaledwie w kilkunastu punktach. Dość. Nic więcej tu nie było.

Poczuł się okradziony z marzeń. W rzeczywistości notatki Zumarragi pozbawiły go tylko złudzenia, jednak Adams nie potrafił jeszcze tego tak potraktować. Ostatecznie będzie z tego niezła praca monograficzna... Niestety daleko jej będzie do wymarzonego tonu, opisującego odkrytego geniusza wielkości Raymundo Lulliusa. Jeszcze jedna mrzonka, która wciągnęła go w podziemia. Podobnie czuł się, gdy wyjaśniono mu tajniki powstania *mechanitonów* z korytarzy. Starannie uformował stosik kartek na wolnej pryczy. Można to zwrócić strażnikowi przy okazji najbliższego posiłku.

Dziś obiad nie opóźnił się. Clfugg nałożył mu pełną michę niedosłodzonego grysiku. Zabrał też brudy do pralni i notatki Zumarragi.

Zaniepokoiło to Adamsa przywykłego już do kompletnej beczynności i braku zainteresowania. Na dodatek w godzinę później pojawił się Ciaken.

– Idziecie na przesłuchanie – rzucił ochrypłym głosem. – Beret!

Adams naciągnął na głowę regulaminowe nakrycie głowy i poczłapał za nim.

Śledczy nie był dzisiaj rozmowny. Na uwagi konwojowanego odburknął z tą samą chrypką:

– Nie włóczcie nogami, Adams. Wysoko podnosić chodaki. Sam szedł zgarbiony, zamyślony.

Wydawał się Adamsowi jakby za wysoki, a jednocześnie jakiś przygarbiony: może miał problemy...?

Adams wkrótce zorientował się, że nie jest prowadzony tam, gdzie zwykle. Ciaken zapuszczał się w podziemia budynku komendantury. Na ścianach widniały zacieki, miejscami liszaje grzyba, w korytarzach ciągnął wilgotny ziąb.

„Byle nie za nisko”, pomyślał Adams. Rozglądał się niepewnie: pusto, echo kroków dźwięczy w korytarzu, nie słyhać zwykłych nawoływań przy tresurze psów milicyjnych, nie mijają ich śpieszący w służbowych sprawach zaaferowani funkcjonariusze.

„Czy rewelacje Ibn Khaldouniego skończą się moją egzekucją?”

Cele śmierci są z reguły umieszczane głęboko w podziemiach”, pomyślał, a włosy zjeżyły mu się pod beretem. „Jego samego nie ma w celi już od wielu dni. Mogli też wznowić proces o jego zamordowanie... Mogli zresztą znaleźć dziesiątki innych powodów, aby mnie skazać i stracić. Ostatecznie, odegrałem już swoją rolę”.

Zatrzymali się przed drzwiami obitymi zardzewiałą blachą. Ciaken wydobył pęk kluczy.

Adamsowi przemknęła myśl, żeby zaatakować samotnego śledczego i zaryzykować ucieczkę. Zanim podjął decyzję, Ciaken uporał się z zardzewiałym zamkiem.

– Wchodźcie. – Ciaken zapalił lampę na biurku.

Weszli do małej, dusznej salki bez okien. Ciaken usiadł za biurkiem. Naprzeciw posadził przesłuchiwanego. Ostry strumień światła uderzył w oczy Adamsa. Tego wymagała procedura przesłuchania. W zupełnie ciemnym pomieszczeniu było to szczególnie przykre.

– No – rzucił Ciaken i obiema dłońmi złapał się za zuchwę. Jednym ruchem zdarł swoją twarz, odsłaniając skrwawione wnętrze.

Adams wydał cichy krzyk.

– To nic – burknął Ciaken. – To tylko klej. – Ręcznikiem starł różowawy żel z oblicza. Spod czerwonej mazi wyłoniła się twarz Człekousta. Nadobywateľ uśmiechnął się. – Nawet podobne, nie...? – Rozpostarł zdartą maskę, następnie wrzucił ją do stojącego na wolnym krześle słoja z wodą.

– Sylwetka wyższa i szczuplejsza, ale nie dość, by dostrzec różnicę.

– Tutaj można rozmawiać normalnie. Znalazłem podsłuch i usunąłem. Dość mam tych sztuczek z karteczkami.

– Jak uważasz. Ty bardziej ryzykujesz.

– Tak. To prawda.

– Uważam, że powinieneś spróbować. – Adams od razu przeszedł do sedna. Natychmiast domyślił się, o czym będzie rozmowa. – Kara musiała już dobiegnąć końca. Przecież życie twoich poddanych nie jest wiele gorsze niż życie ludzi w Haddammie.

– Niby jak to mam zrobić...? Powiedzże wreszcie, co wymyśliłeś. Ja nie potrafię tworzyć jak ty.

– Powinieneś opuścić swoje państwo. Pokazać, że jesteś wolny od zachłanności. Od drapieżnej chęci sprawowania władzy i formowania ludzi wedle swojego upodobania.

– Tylko gest?

– To więcej niż gest.

– Wielokrotnie schodziłem do Krum, choćby po to, żeby obserwować twoje poczynania.

– To była wizyta. Ty powinieneś zrezygnować z tego, co dał ci bunt. Odejść z Miasta pod Skałą.

– To się nie uda.

– Cóż prostszego, jak spróbować? Wrócić korytarzami do Rzymu. – Adams usiłował obok oślepiającej plamy żarówki dojrzeć w ciemności twarz rozmówcy.

Behetomotoh nie odezwał się.

– Ciaken wiedział, że wyjście z korytarzy jest zamurowane, więc albo on sam przeszedł labirynt wstecz, albo ktoś inny z Ochrony Ludności.

– Nikt nie był w korytarzach z mojego polecenia. Ja sam też tam nie byłem. Ale wiem, że wyjścia z nich nie ma.

– Kilku robotników z kilofami w godzinę usunie przeszkodę.

– Nie usunie. Jestem tu zamknięty. Moi robotnicy nie zdołają zburzyć tego muru, nie potrafiłbym nawet wejść do tych korytarzy.

– A próbowałeś?

Behetomotoh wyłączył lampę.

– Nie ma po co. Nie ma nadziei, że się uda.

– A linie lotnicze? Kiedyś widziałem ich reklamę na mieście.

– To było zrobione dla ciebie, żebyś poczuł się tutaj bardziej swojsko. Stąd nikt nie odleci.

– Musisz więc sam podjąć decyzję.

Nadobywateľ nie odpowiadzał, wylowił maskę ze słoja, energicznie strzepnął z niej wodę a następnie założył, żeby niepostrzeżenie odprowadzić Adamsa do celi.

Następnego dnia wczesnym popołudniem znów pojawiła się znana sylwetka zbyt wysokiego Ciakena taszczącego mały pakuneczek. Bez słowa wszedł do celi i podał zniekształcone oblicze Bielenia Adamsowi, a ten naciągnął je na swoją twarz. Wyczuł, że jest pokryte od wewnątrz wilgotną, miękką masą. Maską zaraz przywarła do skóry i przestała się przesuwać, kiedy Adams otwierał usta lub mrużył oczy.

Azahael podał Adamsowi spakowane bryczesy, skajową kurtkę, czarne, skórzane buty i czapkę z daszkiem – mundur śledczego. Adams szybko założył na siebie służbową odzież. Pasowała jak ulał.

– Idziemy – rzucił.

– Na oddział żeński?

– Potem.

– Daj mi *simbolon* Renaty.

– Jest u mnie, w gabinecie.

Gdy się tam znaleźli, Azahael opróżnił szuflady biurka, wyjął sporo papierów i porozdzielał po kieszeniach. Podał Adamsowi mały kawałek ceramiki. Ten uważnie sprawdził, co otrzymał i schował do kieszeni kurtki.

Azahael chwilę przyglądał się krytycznie opuszczanym włościom.

– Zobacz choć, co opuszczasz – powiedział do Adamsa. Ten spojrzał nań pytająco.

– Tam, wśród chmur. – Nadkomendant odsunął zasłonę i otworzył drzwi na balkon gabinetu.

Dziś powłoka chmur była wysoka. Adams oparł dłonie na balustradzie, przysłonił oczy dłonią. W ich kierunku leciały okazały ptak o tęczyowych skrzydłach. Rósł w oczach. Adams dostrzegł rozwiane, złote włosy ujęte nad czołem diademem, ramiona wyciągnięte przed siebie, bransolety na przegubach dłoni i na nogach. Cudowna latająca kobieta o ciele pokrytym barwnym, świetlistym ornamentem. Adams poznał ją.

– Liliane. Przecież jej nie zapomnę – powiedział cicho. Liliane zataczała to kręgi, to pętle nad budynkiem urzędu. Azahael położył mu dłoń na ramieniu.

– Ona może wylądować – powiedział – i wrócić do ciebie. Będziesz jednak musiał pozbyć się tej małej zmi.

– Renaty?

– Ona nie zniosłaby drugiej kobiety przy tobie. Nie jest tolerancyjna jak Lilith.

– Jak kto?

– No, Lilith czy Lilituhu. No, Liliane, twoja kobieta. Znasz jej imię. Powiedział ci je Ibn Khaldouni. Wiele razy oglądaliśmy tę kasetę z waszą konspiracją. To przekazywanie wiadomości za pomocą kurzu na podłodze w celi. Te uwagi o kropkach pod literami.

Adams nie wezwał latającej piękności.

– Wejdźmy do środka – powiedział.

– Wiele tracisz, opuszczając Miasto pod Skalą, bo ona dotąd nie została jeszcze całkiem utracona. – Azahael skinął w stronę świetlistej, tęczowej dziewczyny.

– Ty tracisz więcej.

– Teraz to ty się mylisz. Ja odzyskam to, co kiedyś utraciłem. Wrócę tam, skąd spadłem. Idziemy już.

– Na oddział żeński.

– Oczywiście. Bierz, to dla niej. – Władca rzucił mu białawy flak.

Adams rozprostował oblicze starszej niewiasty. Miękki lateks idealnie imitował prawdziwą skórę.

– Wassilisa Mówiąca. – Azahael wyszczerzył białe zęby. – Ot, taki żarcik, a dla was jakaś rekompensata... Była śledczą prowadzącą dla obu Ew.

Ruszył szybkim marszem, Adams pognał za nim. Kilkaset metrów bliźniaczo podobnymi do siebie korytarzami, kilka pięter w dół jedną klatką schodową, potem kilka w górę inną. Mijani funkcjonariusze salutowali obu śledczym. Z jakiejś budki strażniczej pseudo-Ciaken pobrał wielki pęk kluczy. Dalszą część korytarza odcięto zakratowanymi drzwiami. Azahael bez trudu znalazł właściwy klucz. W dali strażniczka-kalifaktorka ciągnęła za sobą wózek z posiłkiem. Otwierała po kolei drzwi do cel i wydawała strawę. Rozchodził się zapach gorącego grysiku. Przecisnęli się obok jej wózka.

Wreszcie właściwe drzwi. Renata zerwała się na widok funkcjonariuszy. Patrząc niechętnie, wyprężyła się w postawie zasadniczej. Beret, zgodnie z regulaminem, miała pod epoletem.

– Załóżcie tę kurtkę, bryczesy i buty – rzucił sucho Azahael. – A to na twarz – wziął od Adamsa maskę Mówiącej.

– Dlaczego...? – wyrwało się Renacie.

Adams gestem nakazał jej milczenie, a następnie zdarł z twarzy maskę Bielenia. Skóra gwałtownie zapiekła.

– Co wy...!?! – syknął Azahael, ale rzucił Adamsowi ręcznik. Renata ze zdumienia otworzyła usta. Adams energicznym ruchem starł z twarzy różową galaretkę.

– Przebierz się. Wychodzimy stąd – powiedział.

– Dobrze, ale nie oddawaj mu ręcznika.

Adams przyjrzał się trzymanej szmacie, złożył w kostkę i upchał w kieszeni munduru.

– Mój *simbolon!* – powiedziała z naciskiem.

– Masz w kieszeni na piersi kurtki – powiedział Azahael.

Oboje z Adamsem sprawdzili, czy połówki pasują. Następnie Renata szybko przebrała się w bryczesy, a kurtkę strażniczki narzuciła na więzienny kubrak. Z odrazą nałożyła na twarz paskudne oblicze Wassilisy Mówiącej. Adams zafascynowany patrzył, jak znakomicie wykonana maska przywiera do jej skóry. Już po chwili grymasy czy mimika obwisłej, pomarszczonej twarzy stały się zupełnie naturalne. Nawet jej oczy jakby zrobiły się wodnisto-niebieskie – miał przed sobą szpetną sześćdziesięcioletnią niewiastę o tępej, dużej, mięsistej twarzy i bezbłędnej, dziewczęcej sylwetce.

– Tego chciałeś? – rzuciła do niego.

Adams nie wiedział, co odpowiedzieć.

Azahael skinął głową w kierunku wyjścia. Należało mówić jak najmniej – wszędzie był przecież podsłuch.

Tym razem droga korytarzami była krótsza. Starali się zrównać krok, iść jak mały oddział. Zwykle tak poruszali się funkcjonariusze. Adams cały czas czuł lekkie mrowienie skóry pod maską. Nie było to bolesne, ale lekko swędziało, trochę jak skóra Gaberci po Stronie Trupa. Odruchowo drapał się po policzkach, zawadzał palcami o nozdrza, mocno ścisnął nos. Renata robiła to samo.

W garażu pseudo-Ciaken złożył formularz zapotrzebowania, musiał jeszcze pokwitować odbiór wozu. W oszklonej budce siedział rosły funkcjonariusz o nalanej, nieogolonej gębie.

– Wy, Ciaken, to się zawsze ustawicie – mruknął garażowy. – Co dzień przejeżdżka.

– Taak...? – zdziwił się skryty pod maską zwierchnik.

– A dzisiaj to dokąd?

– Zobaczyć, jak Kalduni nosi zaopatrzenie. Ma się nie objąć.

– He, he, he... – zarechotał strażnik. – To zupełnie jak wczoraj... Na dodatek na ten piknik jedziecie z całym patrolem. Wy to macie dojścia do Starego. – Pokiwał głową z uznaniem. – Ale wam to się skończy.

– Skończy się. – Skinął głową pseudo-Ciaken. Furgonetka długo nie chciała zapalić. Ruszyła dopiero na korbę.

Adams usiadł koło Azahaela, a Renata na tylnym siedzeniu. Był to stary, niemiłosiernie zużyty samochód, w którym szyby telepały na każdym wyboju, a klamka do drzwi walała się na podłodze. Pomiędzy przednimi siedzeniami, wokoło dźwigni biegów, znajdowało się całe złożo niedopałków. Gdy tylko ruszyli, Azahael zaczął ćmić papierosa za papierosem; niedopałki beznamyślnie dorzucał do kupy poprzednich. Zanim przyjechali pod Ogrody Przewodniczącego Nero, wypalił ich sześć. Na każdym skrzyżowaniu, w każdym korku pieklił się i wrzeszczał na innych kierowców albo pokazywał im obsceniczne gesty. Ci na ogół odpowiadali tylko zalęknionymi spojrzeniami; jedynie z innych furgonetek Ochrony Ludności w odpowiedzi dolatywały wiązanki przekleństw i wulgarne gesty.

W czasie jazdy Adams trzymał za burtę wozu lub ramę okienną, tak telepało na dziurach w asfalcie. A kiedy zatrzymywali się w korku, nerwowo drapał się po nieznośnie swędzącej twarzy.

Zaparkowali przy bramie Ogrodów. Trzeba było najpierw odnaleźć leżącą na podłodze korbkę, z wizgiem trącej gumy opuścić szybę, wystawić na zewnątrz rękę i stamtąd otworzyć drzwiczki wozu. Wygnieciony i wytrzęsiony Adams z ulgą opuścił niewygodny pojazd. Będąc w znajomym miejscu, nie potrafił powstrzymać wzruszenia. Idąca obok Mówiąca odpowiedziała mu wymownym spojrzeniem. Może myślała o tym samym. Wkrótce ujrzeli dwie znajome bliźniacze sylwetki. Przy *Cayleiach* pełnił dzisiaj służbę Ribnyj.

– Jest uzasadnione podejrzenie, że Obiekt Jeden i Obiekt Cztery będą dzisiaj próbować

przeniknięcia – powiedział do niego pseudo-Ciaken. – Wzmacniamy wartość.

Ribnyj rozdziawił gębę.

– Wy się przenosicie, Ribnyj. Zajmujecie pozycję przy bramce. Zdrzemnicie się na służbie albo przegapicie uciekinierów, to wam Stary gębę obedrze ze skóry. Wykonać!

– Tak jest! – Funkcjonariusz oddalił się truchtem.

Po chwili byli już na trawniku.

– Poznasz, która to z nich? – rzucił Azahael.

– Bez trudu. Wystarczy zajrzeć do dziupli.

Adams zdecydowanie skierował się ku jednemu z drzew.

– Hemfriu, nie! – krzyknęła Renata. – Najpierw zdejm to z twarzy!

– Milcz! – powiedział Azahael. – Bo wrócisz do Krum.

– Ona wychodzi z nami. To był warunek.

– Niech będzie.

Renata zdarła maskę. Krzywiła się z bólu, nie przestając ciągnąć. Wreszcie nieprzydatny łań wylądował w trawie. Bardzo starannie przecierała twarz ręcznikiem – wreszcie znikły ostatnie ślady żelu.

Adams, skubiąc skórę, usiłował wyszukać krawędź maski. Dopiero Renata pomogła mu odnaleźć niemal niewidoczny karb. Pociągnął raz i drugi, wreszcie obca skóra zaczęła powoli ustępować. Ciągnięta z całej siły, odklejała się centymetr po centymetrze. Adamsowi stanął przed oczyma powrót spod Płomienistych Wrót. Czyżby tym razem on znalazł się w sytuacji Pachoma...?

Chwilami czuł, jakby maska wyrywała całą miękką tkankę, bał się, że po zdarciu pozostanie tylko goła czaszka. Jednak skóra na twarzy wytrzymała umiejętnie wywieraną siłę. Pomoc Renaty okazała się nieoceniona. Ciągnąc sam, roztargałby sobie twarz. Wreszcie uwolnił się od nieznośnego piętna.

– Ręcznik – rzuciła Renata. – Wycieraj do sucha. Nic z tego świństwa nie może pozostać na skórze, bo dostaniesz wrzodów albo czegoś jeszcze gorszego.

– To przyrastało?

– Nie czuleś? Gdybyś zajrzał do korytarza, przyrosłoby na zawsze. To były prawdziwe twarze tamtych funkcjonariuszy, nie żadne maski.

Adams spojrział z wyrzutem na Azahaela.

– Inaczej nie wyszlibyśmy z komendy. Każdy jest tam nieustannie sprawdzany na dziesiątki sposobów. – Demon wzruszył ramionami. Teraz on ściągnął z twarzy maskę Ciakena i wysuszył skórę ręcznikiem.

– Mogę tam już zerknąć?

– Jeśli on czego jeszcze nie ma w zanadru. Nie ufam mu – powiedziała. – Tylko wzbudza nadzieję, by potem wpędzić nas w rozpacz. Hemfrii, nie budź w sobie tej nadziei. Cieszymy się, że przez jakiś czas jesteśmy razem. On może znowu zapragnie nas rozdzielić.

– Nic nie mam w zanadru – obruszył się Azahael.

Adams podszedł do *Cayleii* bliższej parkowej ścieżki. Zajrzał do dziupli. Zauważył uchylone drzwi i korytarz wiodący w niebyt.

Prawa dziupla była ciemna. Nie zaryzykował wejścia na fałszywą ścieżkę.

– Tędy – powiedział.

– Obejrzyj obydwa drzewa – powiedział władca.

– Czas ucieka. Nie zostaniemy schwytani? – zaniepokoiła się Renata.

– Ribnyj jest durny jak kłoda drewna. Do końca zmiany nie ruszy się sprzed furtki.

W lewej *Cayleii* też były dwie dziuple. Jednak obie zwyczajne: jak dziuple drzewa, tyle że o powierzchni uformowanej w nieskończenie rozgałęzione igły. Pierwsza była pusta, z drugiej sterczały podeszwy butów i dochodził intensywny trupi odór.

Adams cofnął się.

– To świństwo to były funkcjonariusz-idiota, który usiłował zasłużyć się, łapiąc cię w czasie spływu do Krum. Wskoczył, niestety, do niewłaściwej dziupli. Teraz nie da się go usunąć, tak się zawdziął za te drobnutkie igiełki. Trzeba czekać, aż sam się rozłoży.

„Dwa bliźniacze drzewa, jedno mieści w sobie światy, a drugie jest tylko atrapą, ssącą ludzką krew”, pomyślał Adams.

– Tak musiało być. – Azahael złapał jego myśl. – Zawsze z jednego ziarna *Cayleii* wyrastają dwa drzewa.

– Jak to się stało, że trafiłem do właściwej?

– Musieliśmy tak pokierować twoją ucieczką, abyś biegł od strony stadionu. Tylko tak mogłeś nie zauważyć dziupli w drugim drzewie i trafić do właściwego otworu. W przeciwnym razie

pomyślałbyś, że Miasto jest korytarzem i wskoczył na miejsce tego durnia.

– Chodźmy stąd – powiedział Adams i skierował się do właściwej dziupli. Podsadził Renatę, żeby nie poraniła się o mikroskopijne ostrza.

Potem skorzystał z pomocy Azahaela. Demon poradził sobie sam.

Zamknęli drzwi i znaleźli się w korytarzu oświetlonym łagodnym blaskiem, który kiedyś opuścił, wędrując w głąb podziemi Watykanu w towarzystwie Liliane.

Efekt był niewiarygodny: cały dotychczasowy świat zniknął, pozostała tylko ciasna salka, zupełnie jak wtedy, gdy towarzyszyła mu tutaj Liliane. Tylko że teraz obok stali Renata i Azahael.

Nie wierząc zmysłom, Adams jeszcze raz otworzył drzwi i wychylił głowę: szaleństwo topologiczne było faktem – po tamtej stronie był przestwór, otaczający wąski przecież pień *Cayleii*; był park, pokryte szarą warstwą chmur niebo. Po zamknięciu, filtr zdrowego rozsądku czynił to wszystko niemożliwym.

– Nie traćmy czasu – powiedział Azahael. – Pogoń wkrótce wyruszy. Pan z Morza już pewnie wie o naszej ucieczce. Prowadź, Adams.

Korytarz był oświetlony, kanapę pokrył kurz. Adamsowi trudno było uwierzyć, że tu przespał noc w ramionach Liliane. „To aż tak dawno temu...? Aż tyle kurzu się zgromadziło...?”

Azahael posłał mu zbójcecki uśmiech.

Szli szybkim krokiem, jednak korytarz ciągnął się i ciągnął, a przecież miał mniej niż dwieście metrów.

Wreszcie drzwi i salka.

– Gdzie teraz?

– Prawe – odpowiedziała Renata.

– Tak, prawe. Tu będzie najwspanialsza kolekcja *mechanitonów*. Niektóre z nich potrafią mówić – dodał do Renaty.

– Zrobił je twój przyjaciel – powiedziała Renata.

– Raczej fałszywy przyjaciel.

– Ibn Khaldouni był twoim przyjacielem. Niezależnie od tego, do czego został zmuszony.

– Mówisz zbyt wiele – warknął Azahael.

– Nawet teraz...? Przecież uciekamy razem.

– Tak. Uciekamy razem.

Trudno było nadążyć za Azahaelem gnającym korytarzem. [Adams](#) chwycił Renatę za rękę. Niemal biegli. *Mechanitony* trafiały się nieco rzadziej, jakby coś rozciągnęło korytarz do monstrialnej długości. Sfinks patrzyła nieruchomym wzrokiem. Renata przypatrywała się rzeźbom z zainteresowaniem. Były o wiele piękniejsze niż te eksponowane na placach Miasta pod Skałą czy rzeźba Latarnika w Krum.

Mijając Wenus z Ostii, przystanąła: Oblicze posągu wydało się jak jej własne – te same duże oczy, ten sam owal twarzy. Sylwetka posągu była jej sylwetką: pełne piersi jak owoce, krągłe biodra. Kto kiedy skrycie ją podejrział i utrwalił w kamieniu i metalu...?

Adams natomiast co chwilę odwracał głowę, nadal ulegając fascynacji. Piękne mechanizmy, wymarzony cel do badań. Na dodatek te tutaj potrafiły sensownie odpowiadać na pytania – wprawdzie we śnie, ale cóż nie jest snem...?

– Piękne kopie dzieł starożytnych zaprojektował Ibn Khaldouni – powiedział Adams. – W średniowieczu nie stanowiłyby takiej sensacji. Już Gerbert potrafiłby skonstruować taki *mechaniton*.

– Właśnie, Gerbert... – Renata schwyciła go za rękaw.

– Ty! – Azahael skierował na nią palec. – Nie wymawiaj go...!

– Skoro robił zegary – Adams wzruszył ramionami.

– Właśnie – uciął rozmowę Azahael.

Obojętnie mijał wspaniale odrobione *mechanitony*. Odegrały już przecież swoją rolę. Jednak to właśnie jego krzyki zaaktywowały *mechaniton*.

– Adams! – powiedziała Pani z Ostii. Zatrzymał się i podszedł do niej.

– Tak, pani?

– Wyprowadzisz stąd Renatę za rękę, nie inaczej. Pamiętaj.

– A zamknij się, ty cholerna, blaszana kukło! – krzyknął Azahael.

– Masz pozdrowienia od kolegi. – *Mechaniton* zignorowała wrzask nadobywatela, patrząc na Adamsa.

– Dziękuję – powiedział do siebie, gdyż rzeźba już znieruchomiła.

– Ja po prostu chcę jak najszybciej mieć to za sobą – powiedział Azahael. – Namówiłeś mnie do ważnego kroku. Chcę jak najprędzej przekonać się, że postąpiłem słusznie.

Z oczu Wenus Knidyjskiej ściekło kilka mosiężnych łez, a Kapitolińska lekko się uśmiechnęła. Tylko odziana Pani z Melos spoglądała zagniewana, szczerze zasłaniając biust ramionami.

W następnej sali poszli w prawo. Minęli nieruchomego skorpiona, który w którejś z warstw snu-nie-snu, jawy-nie-jawy „przepełowił” Adamsa. W porównaniu do poprzedniego ten korytarz wydał się nieoczekiwanie krótki.

Znowu sala, znów Azahael zatrzymał się, żeby Adams mógł wskazać mu właściwe drzwi, tym razem lewe.

W tym korytarzu Azahael przyśpieszył jeszcze bardziej, z rozmachem walnął na odlew w mijaną rzeźbę. Kamienna Pani z Melos straciła rękę. Uderzeniem dłoni władca potrafił odłamać grube kawały marmuru.

– Ha...! Wreszcie wygląda, jak powinna.

– Nie gnaj tak. Nie mogę nadążyć.

– A co mi tam... – prychnął Azahael, ale zreflektował się i obejrzał. – Dobra. – Zawrócił, zainteresowało go co innego. Złapał pilum stojącego z boku posągu legionisty. Z rozmachem kilkakrotnie pchnął nim w twarz Wenus z Ostii. Uderzał tak długo, dopóki nie roztrzaskał jej twarzy.

Adamsa przeraziła radość, z jaką Azahael dewastował rzeźby, i jego nieokiełznana siła.

– I tak masz już taką. Po co ci druga...? Właściwie to Leviahatannah wpadł na pomysł, że trafisz na tę małą. I można dać rzeźbie jej twarz. Twarzy tej rzeźby nie może zobaczyć nikt inny.

– Azahaelu, pamiętaj, co mówiłeś! Nie łam obietnic.

– Nie, nic. Poniosło mnie. Chodźmy dalej. Ale dlaczego wybrałeś tę małą, tego nadal nie rozumiem.

– Renatę?

– Właśnie. – Człekoust gnał, rzucając swoje uwagi przez ramię ku dyszącemu ze zmęczenia Adamsowi, który ledwie za nim nadązał. Gdzieś z tyłu została Renata. Słychać było tylko tupot jej stóp.

„Te korytarze miały co najwyżej po sto kilkadziesiąt metrów, najwyżej dwieście, a teraz tak się to dłuży...”, przemknęło przez myśl Adamsowi. „Tu powinna być rzeźba skorpiona. Może ją przestawili...?”

– Dostałeś wszystko, czego mogłeś zapragnąć, a jednak zrezygnowałeś dla tej małej, o wilgotnych czarnych oczach łani.

– Wszystko?

– Lilith jest kobietą – ideałem cielesnym. Ideałem dla każdego mężczyzny, dla każdego innym,

ale idealnie dopasowanym fizycznie – dodał pod nosem.

– Co mówisz?

– Odrzuciłeś Lilith – powiedział Azahael.

– Zaszokowała mnie. Mówiłem pod wpływem impulsu. Nie miała ani chwili do namysłu, tylko pofrunęła. Zareagowała niezwykle gwałtownie.

– Potem Natalia. Kobieta specjalnie stworzona dla ciebie.

– Natalia sama odeszła. Bardzo ją kochałem.

– Mogłeś ją zatrzymać.

– Próbowałem. Nie udało się.

– Irytująca ta twoja nieudolność – warknął Azahael. Nie dyszał z wysiłku. Gnał przed siebie, jakby mu skrzydła u stóp urosły.

– Żał mi Natalii, która nigdy nie wyjdzie na powierzchnię.

– Trzeba było aż sfingować zabójstwo Ibn Khaldouniego, byście nie pogodzili się z Natalią – wygarnął Azahael. – Z nią mogłeś powrócić do Heddenu. Droga tam nie była przed tobą nieodwołalnie zamknięta, póki Natalia mogła do ciebie wrócić.

– Przecież Natalia mnie nie chciała. Unikała mnie.

– Skąd wiesz, że tak było przez cały czas? Ona wahała się, targały nią wątpliwości. Właśnie dlatego, że obawialiśmy się waszego pogodzenia, skłoniłem cię do zejścia na Dół.

– Co teraz będzie z Natalią?

– Sama wybrała. Zostanie w Mieście pod Skałą.

– Żał mi jej.

– Żałuj. Romans z Renatą pozbawił cię możliwości powrotu do Heddenu. I to na zawsze. Możesz wspiąć się tylko z powrotem na powierzchnię Haddammy. Wyżej nie dasz rady. Coś w niej takiego zobaczył...?

– Jest piękna, dobra, nie okłamała mnie – mówił Adams, ale już wzbierała w nim złość. A czegoż ten od niego chce...? Dlaczego ten demon tak twardo go egzaminuje...? I to podczas dziwnego marszu, kiedy nie można się namyślić nad odpowiedzią... – Ona jest dla mnie.

– Przecież nawet jej nie miałeś.

Adams zatrzymał się, by uspokoić rozdygotane serce.

– Czemu nie idziesz?

– Zaczekam na Renatę. Taka gonitwa nie ma sensu.

– No, dobra. Ja też zaczekam.

Wkrótce nadeszła. Dłonią przytrzymała chustę zarzuconą na głowę. Podniosła na Adama rozświetlone spojrzenie, ze spoconego czoła odgarnęła jasny kosmyk.

– Już jestem. Pamiętałam, jak skręcać – powiedziała.

– To w drogę – rzucił Azahael.

– Dobra. Tylko po co ten szaleńczy pośpiech?

– Lubię szybki marsz.

Adams zatrzymał się przed drzwiami kończącymi korytarz. Czy wskazać mu wejście do następnego korytarza? Czuł coraz mocniej, że nie powinien tego robić.

Chciał porozmawiać, upewnić się w szczerości zamiarów władcy. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, Azahael powiedział:

– A ty myślisz, że zdołasz mnie powstrzymać?! Teraz...? Nie bądź śmieszny.

– Tylko ja znam regułę wyjścia z podziemi.

– Skażesz na śmierć głodową tę swoją Ponownie Urodzoną...? Nie będziesz miał tyle siły. – Twarz Azahaela wykrzywiła się szyderczo.

– Zrób tak – powiedziała Renata. – Nie chcę, żeby za moją sprawą stało się tak wiele zła. Jeśli to go powstrzyma, prowadź nas fałszywą drogą.

– Znowu ty...! – Azahael pogroził jej pięścią. – Nie myśl, że przestaliśmy patrzeć na ciebie – sapnął. – Nie sądz, że nam się wymkniesz. Czy w Szeolu, czy w Haddammie...

Sam wszedł do salki i tu zatrzymał się przed dwojgiem drzwi. Zaczekał, aż Adams i Renata go dogonią.

– To tu. – Wskazał na prawe. – A co ty myślisz, Adams? Że te twoje sekrety są takie trudne do przejrzania? Powiem ci więcej: za tymi drzwiami będzie korytarz i następna, ostatnia już para drzwi. A ja pójdę w lewe... – Wybuchnął śmiechem. – A co, może nie? Pomyślałeś, że poświęcisz się i mnie zatrzymasz? Za dużo sobie wyobrażałeś, Adams.

Już był nie do powstrzymania.

– Może chcesz ujrzeć, gdzie wracasz, co...! – Skrzywił się złośliwie.

– Tu? W korytarzu?

– A czemu nie? To też potrafię! – Azahael zatoczył ręką kółko. – Patrz i drzyj!

– Nie...! Hemfri! Nie! – Renata zdecydowanym ruchem narzuciła na twarz Adamsa chustę i jeszcze róg szaty. – Nie patrz!

– Zaciśnij powieki z całej siły!

Sama mocno przywarła do niego, wtulając twarz w jego ramię.

Pod zaciśniętymi powiekami rozblęskło. Jadowicie biały blask wolno ciemniał w kremowy i żółty. Potem następny rozblęsk, i jeszcze jeden. W korytarzu zrobiło się gorąco. Zapachniało spalenizną.

– Nie chcesz wiedzieć, co się tam teraz dzieje, to nie – powiedział obojętnie Azahael i ruchem ręki zgasił palącą wizję.

Jeszcze przez minutę gasły pod powiekami powidoki.

Chusta Renaty rozsypała się w pył. Była zupełnie zetłła. Podobnie stało się z zewnętrznymi fałdami jej szaty. Odsłonięte przeguby dłoni Adamsa i Renaty zarumieniły się od lekkiego oparzenia, a rozgrzane cholewki czarnych wojskowych butów parzyły w łydki.

– Oślepiłbyś, Hemfriu – powiedziała. – Niektórych widoków nie wolno oglądać.

– No to możecie iść za mną albo tu pozostać – rzucił Azahael. – Wolna wola.

„Nawet jeśli pokazał eksplozję nuklearną, to nic nie znaczy. Skoro broń jądrowa została wymyślona, ktoś ulegnie pokusie i pewnie znowu ją gdzieś zastosuje”, pomyślał Adams.

Ostatni korytarz okazał się nadzwyczaj krótki, a może to zdenerwowanie i to, że był niemal pusty, narzuciło takie wrażenie. Znaleźli się przy ostatnich drzwiach. Pierwsza salka przyniosła wspomnienie pamiętnego dnia, kiedy po zwiedzaniu Muzeów Adams skręcił w lewo, nie w prawo jak wszyscy wychodzący.

Azahael otworzył lewe drzwi. Widać było za nimi ceglany mur, zaprawa zdążyła tu i ówdzie nierówno ścieknąć, zanim stężała. Od tej strony nikt jej nie wyrównywał. Adams spojrzał na Człekousta. Ten podał mu kilof. „On go niósł przez całą drogę?”, przemknęło przez myśl Adamsowi. Nie zauważył, by mroczny towarzysz dźwigał to narzędzie. Czy ktoś mu je przygotował?

– Cóż, bierz się do roboty – powiedział Człekoust. – Słowo się rzekło.

– Nas to kiedyś zawróciło w podziemia.

– W podziemia poprowadziła cię Lilith.

Adams bez przekonania uderzył kilofem. Skruszył parę cegieł. Azahaelowi to wystarczyło. Uderzył pięścią w ścianę. Walił coraz mocniej, równo, metodycznie, jak młotkiem.

– Nie dał rady – wydyszał. – A tak się starał. Dziesięćmioma pieczęciami mnie zamknął.

– Sylwester, czyli Gerbert?

– A jak go zwał, tak zwał... Oni wszyscy jednacy. – Azahael pogardliwie wzruszył ramionami. – Nic mu to nie pomogło. Nic a nic. Swój Biały Pałac na mnie pobudował, żeby mocniej przycisnąć. Budował, pieczętował, zaklinał i nic nie pomogło.

– Dlaczego na pieczęciach pisało: „Silvestere”...?

– Bo musiało. Jeszcze nie wiesz, co to znaczy?

Adams nie odpowiedział.

– Gdybyś do końca wiedział, tobyś nie pytał.

„Tak jest w rzeczywistości...”, myślał Adams. „Jak Sylwester mógł go skutecznie uwięzić, powstrzymać...? Oczywiście pod świątynią, przygniatając go największą świętością. A najmocniej przygniotła go świątynia świątyń, Piotrowa”.

– A co myślisz, Adams? Dlaczego pierwszy z nich przyszedł właśnie tutaj, żeby umrzeć? – Azahael odpowiedział, zanim Adams zapytał. – Myślisz, że nie wiedział o Moście? Przyszedł specjalnie tutaj zginąć i tu go pochowali. Aby sobą zamknąć, mnie zapieczętować, aby kiedyś zbudowali tę bazylikę. Wiedział, że następnych Strażników też tu będą chowali, a siła pieczęci będzie rosła ze świętością każdego z nich. Ale przeliczył się, on i jego następcy też. Przez wieki zbudowali naprawdę silny dekiel na mnie... – Skrzywił się ironicznie. – Jednak co jeden człowiek

zamknie, inny człowiek musi kiedyś otworzyć. Wychodzę stąd, zbrzydło mi to miejsce między kamieniami. Teraz cała Haddamma będzie moja.

Mocniej uderzył w mur i jeszcze raz. Zaczęła się sypać zaprawa. Uśmiechnął się do siebie i znowu kilka razy uderzył. Cała konstrukcja pękała i trzęsła się pod ciosami jego pięści. Wreszcie wypadła pierwsza cegła, wpuszczając jasny promień, po niej druga, trzecia i następne. Azahael wybił otwór wystarczający do przejścia.

Pył powoli opadał, przez otwór wpadało ostre światło dnia. Ani Adams, ani Renata nie ruszyli ku blaskowi. Zabrakło im odwagi.

– Azahaelu, pamiętaj o swoich słowach. Pozwoliłeś mi odejść, by okazać skruchę.

– Ty głupcze! – twarz Człəkousta stwardniała w wyrazie nienawiści i pogardy. – To nie ja pozwoliłem ci odejść. To ty rozbiłeś ten mur, aby mnie wypuścić! Wystarczyła twoja zgoda, wystarczyło twoje pierwsze uderzenie. Mnie samemu nie było tego wolno. Patrz! Rozejrzyj się, dokąd wracasz! – Azahael mocno popchnął Adama przed siebie wprost w wybity otwór.

Obluzowana konstrukcja zaczęła drżeć, jakby chciała zamknąć dziewczynę w środku.

Adams jednym susem znalazł się przy Renacie. Zgodnie ze wskazówką Ibn Khaldouniego, przekazaną ustami Wenus, schwycił Renatę za rękę i wspinając się po leżących ceglach, wyprowadził z podziemi.

– Tylko tak wolno mi było opuścić podziemia – powiedziała. – Te drzwi nigdy nie istniały, ale czasami otwierają się niebezpiecznie.

Wyszli na jakiś plac. Drzwi ledwie do połowy wystawały ponad bruk. Ścieżki wiodącej od furki już nie było. Nic nie pozostało z trawnika okalającego mury Watykanu, mury Leona były zrujnowane. Warowny mur przetrwał wiele stuleci, aż kataklizm go zniszczył.

Wokół, jak okiem sięgnąć, ciągnęło się morze ruin, kupy gruzu. Wieczne Miasto zamieniło się w płaskie, szare wzgórza z rzadka straszące przeziorami okien i wyszczerbionymi zębami ścian.

A nad wszystkim kładły się ciemne, burzowe chmury, aż granatowe, aż gęste od niesionej wilgoci. Jeszcze znad horyzontu słońce puszczało ostre szpile ostatnich promieni. Trzeba było zmrużyć oczy.

– Wszystko przygotowane na moje przyjście! – powiedział triumfalnie Azahael. – Taki powrót! Kurtyna w górę! – Oblicze demona jaśniało.

– To wszystko przeze mnie?

– A jak myślisz? – Azahael odwrócił się ku niemu. – Wreszcie znowu tutaj... Wreszcie wolny! – Głęboko wciągnął powietrze. Wykonał nieokreślony ruch dłonią. – Nie myśl, że przestałem być czuły na piękno. – Te chmury, to słońce... Nawet te gruzy mają klasę. Ja to widzę, Adams. Potrafię to zauważyć i docenić. – Rozejrzył się. – Wiesz, co zrobię...?! – krzyknął. Jakby urósł, spotęźniał. –

Zostanę magikiem. Mistrzem iluzji. Wyśmieję Galilejczyka. Na oczach milionów, przed kamerami umrę na trzy dni, a potem zmartwychwstanę. To będzie spektakl... Wszyscy zobaczą na ekranach, wszyscy uwierzą, że ja jestem Nim...! A ja z tego zrobię cyrk, szo!...!

Wyciągnął dłoń ku Adamsowi.

– Chodź za mną. Przydasz mi się. Będziesz rządził światem, będziesz nim administrował dla mnie.

Adams odruchowo cofnął się, biorąc w ramiona Renatę.

– Zostaw tę małą, Adams. To nie ma sensu. Sięgniesz po kobiety, o jakich zamarzysz i będziesz miał, którą zechcesz. Zdołasz każdą z nich przymusić.

– Nie idę, Azahaelu. Okłamałeś mnie. Demon wzruszył ramionami.

– Oczywiście, wielokrotnie, ale tyś nie lepszy, sam chciałeś złapać mnie w pułapkę apokatastazy. Zapomniałeś, że intrygi są naszą specjalnością, tak jak twórczość jest waszą. Idziesz?

– Nie.

Renata pociągnęła Adama do tyłu, bo w tej samej chwili muskularne ramię Azahaela wystrzeliło ku twarzy Adama, by wyrwać mu oczy. Jednak końce pazurów ledwie dosięgły ofiary, rozcinając skórę od krawędzi włosów nad czołem w dół. Fala krwi zalała Adamsowi oko.

– Ach, to znowu ty – syknął Azahael i spojrzał wściekle na Renatę. – A zresztą, bez znaczenia. Kto inny to dla nas zrobi. I tak świat od zawsze należał do nas.

Rozpostarł szeroko czarne, błoniaste skrzydła.

– Piór mi odmówił! Nawet to miało mnie poniżyć. Ale te mi zupełnie wystarczą.

Zamachał skrzydłami, sprawdzając siłę nośną.

– To lubię.

Parę mocnych uderzeń skrzydeł i demon wzniósł się w powietrze. Nabierając wysokości, zatoczył kilka kręgów i odleciał ku jasnej tarczy słońca znikającej pod horyzontem.

Adams lękał się. Serce zamierało jakby od przejmującego ziąbu mocniejszego niż ból.

– *Pan jest moim pasterzem i nie chcę innego, pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi nad wody spokojne: krzepi moją duszę.*

Wiedzie mnie drogą dobrą, bo Jego Imię to znaczy.

Chociażbym szedł Ciemną Doliną, Złego się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną. – Słowa przyszły

same. Niedokładnie te, które kiedyś złożył żydowski pasterz – choć jak myśli tamtego – gdyż słowa te tkwią gdzieś w sercu każdego dwukrotnie narodzonego.

– I uniósł mnie z głębin Szeolu – powiedziała Renata. Nad ziemię wyschniętą mnie podniósł.

Pokazał mi ścieżkę wśród sitowia i wzgórza pokryte winnicami.

Idę tam Jego drogą wśród skał i cierni, idę dobrą ścieżką, w sandałach.

Cierń mnie nie zrani, jeśli Pan mnie wie.

– Biada mi – powiedział. – Zrobiłem rzecz nie do naprawienia. Pan mnie odrzuci. Zamkną mnie na wieczność w jednym z Rogów Otchłani albo jeszcze niżej.

Renata spojrzała na niego poważnie.

– Przecież właśnie wyparłeś się innego pana. A skoro oboje mówiliśmy w Jego imieniu, więc przyszedł tu i był między nami.

– Nie uniknę kary. Azahael powiedział mi, że zamknięty jest przed nami świat wyższy. Dlatego że wspiałem się tu z Szeolu z tobą. Powiedział, że tylko z Natalią mogłem powrócić do Heddena.

– Wiele razy cię okłamał, a nadal mu wierzysz. Idąc za nim, w Ogrodzie mógłbyś najwyżej stąpać po Miejscach Węża. To bardzo niewiele. Na Ogród musisz sam zasłużyć. Póki żyjesz, nie jesteś stracony. Pan zostawił ci mnie. Myślę, że byłeś tylko narzędziem, nie powtórz cudzego błędu i nie utrac nadziei.

– Uwolniłem smoka spod dziesięciu pieczęci. Sylwester go spętał, życie ludzi zmieniło się, a teraz przepadło. A powiedziano nam, że bramy piekielne nie przemogą Opoki – westchnął.

– Nie przemogły. Wydostał się tylko jeden z nich, nie najważniejszy. To zdarzało się już wcześniej. Smok nadal pozostał spętany. Większą szkodą może być sfałszowana historia Praojca. A Opoka to nie budynek czy pieczęcie, czy zamknięte drzwi.

– Jednak on został uwolniony przeze mnie.

– Twoja wina nie jest tak wielka. Ja też bardzo chciałam stamtąd wyjść.

– Nie wiem, w jaki czas trafiliśmy, jak zdołamy tu żyć...?

– Pamiętasz wyliczankę? Wiesz, kim byli Jan i Król?

– Tak, ale z niej wynika przedział tysiąca lat.

– Żyłeś w różnych czasach, dlaczego tutaj miałbyś nie podołać...?

– Będzie nam ciężko. Jak wygląda miasto?

– Zaczekaj. – Starła ściekającą krew. Obejrzała ranę. – Już nie krwawi tak bardzo – powiedziała.

– Nie zagoi się łatwo. Na pewno miał septyczne pazury.

– Musisz znaleźć drugiego Krawca, żeby to ładnie pozszywał. A jeśli nie, to ja zeszyję ranę – powiedziała z mocą.

– Chetti miał rozkrojoną gębę. W Krum się pannom podobał. – Uśmiechnął się do niej. Rozejrzał się wokoło: jak okiem sięgnąć, morze kamieni. Zburzone mury Leona ledwie wyłaniały się spod zwałów gruzu. Watykan przypominał obłe wzgórze. Nigdzie śladu ludzkiej obecności. – Tu była okrutna wojna, gdy ja błądziłem w podziemiach. To straszliwe zniszczenia.

– Ale niebo tu piękne. Lekkie. Można oddychać. Jak cudne obłoki! Podoba mi się tu coraz bardziej.

– To było kiedyś przepiękne miasto. A tam stał kościół jak ze snów. I muzeum, którego każdą salę można było oglądać godzinami. Dokąd teraz pójdziemy?

– Myślisz, że jesteśmy jedynymi ludźmi? Jeśli zostaliśmy tylko my dwoje, nie ma nadziei. Azahael pokona nas bez trudności. Jeśli jest nas więcej, będzie lżej.

– Wiem.

Rozejrzał się uważnie. Ulica była uprzątnięta z gruzu, a niedaleko tkwiła tyczka, do której przybito deskę z nierówno wypisanymi literami „SPQR” w kółku i napisem: „*Anea due: Vaticano – scassi stazione Gianpaulo in Terme*”, poniżej.

– Jest nadzieja – powiedział Adams.

Spis treści

[Adams](#)